http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

# MUZEUM DOMOWE

ALBO

# CZYTELNIA WIECZORNA.

DZIEŁO

POŚWIĘCONE HISTORYI, STATYSTYCE, MORALNOSCI, NAUKOM, SZTUKOM PIĘKNYM, I LITERATURZE KRAJOWEJ.

z 200 RYCINAMI.

PRZEZ

F. S. DMOCHOWSKIEGO.

ROK 1835.



SEMINARJUM POLONISTYCZNE UNIW. WARSZ. MCMXV
1225

WARSZAWA
W DRUKARNI PRZY ULICY NOWO-SENATORSKIÉY NRO 476 LIT D.
1835.

http://rcin.org.pl

*Za pozwoleniem Cenzury Rządowéy.*

P. I 154

http://rcin.org.pl

# MUZEUM DOMOWE

ALBO

# CZYTELNIA WIECZORNA.

1. WYCHODZI CO PIĄTEK. 2 Stycznia 1835.




## KÖNIGSTEIN.

Lepiéj mało a pewne, niżeli wiele a z kłopotem. To zdanie wybornie przystósować można do jedynéj Saxońskiéj warowni. Zabezpieczenie panującego domu, kosztownego sztuk i xiążek zbioru, w czasach wojen i ciągłych niebezpieczeństw, było zapewne jedynym celem i główną troską władzców Saxonii. Myśl o Koenigsteinie koniec położyła ich troskliwości, gdyż w pierwszych początkach swego zakładu, był już niezdobytym i niejako sercem Saxonii. Miano Koenigsteinu nosi zarówno miasteczko i twierdza. Oboje leżą na lewym brzegu Elby, niedaleko od Pirna, ściągają na siebie ciekawe i zadziwione oko wszystkich podróżujących, choć nie każdemu wolny jest przystęp do twierdzy.

Miasteczko Koenigstein leży na wyniosłym brzegu Elby. Główne gałęzie jego przemysłu, zależą na spławie drzewa, lnianych wyrobach, cwilichach, żegludze, kopalniach kamieni i handlu na Elbie.

Dobra, gładka, lecz stroma droga, prowadzi z miasteczka do bram twierdzy, do któréj przystęp zabezpieczony jest wszelkiemi, jakie tylko wymyśléć można sposoby; pomiędzy innemi, z tak zwanéj sali Jana, która tuż po nad bramą leży, urządzone są drzwi zapadające, któreby nieprzyjacielowi już tak daleko wdzierającemu się, wszelką nadzieję odwrotu odjęły i wysta-

http://rcin.org.pl

wiły go na grad kul i kamieni.

Dosięgnąwszy samego szczytu twierdzy, ujrzy się podróżny w pośród niedostępnej, strumieniem oblanéj, cudownéj skały, okolonéj najpyszniejszemi górami. Odosobniony jéj ogrom wynosi 950 stóp wysokości. Przestrzeń, którą zaledwie można obejść wpół godziny, zamyka w swoim obrębie nie tylko budynki, lecz jeszcze laski, pola, łąki i ogrody.

Niedostępne położenie i rzadki zbieg wszelkich obrony sposobów, zwróciły uwagę starożytnych, i w upłynionych wiekach uczyniły tę górę jedną z nadgranicznych czeskich warowni. W piętnastym wieku, była własnością potężnego hrabi von Dohna, a z początkiem szesnastego, klasztorem Celestynów. Po dziewięciu latach rozproszyli się zakonnicy, i uchwyciwszy się strony Lutra, przenieśli do Wittenberga. Odtąd Koenigstein stał się wyłącznie twierdzą i więzieniem stanu. Wielki Xiąże Chrystyan Iszy rozpoczął jego budowę, lecz dopiero w roku 1731 zupełnie ukończoną została.

Niedobytość Koenigsteinu zawisła na kilku wzajemny na siebie wpływ mających okolicznościach. Ma tylko jedno, ale wszelkiemi pomysłami obrony obwarowane wejście, i to z jednéj tylko przystępne strony, tak, iż nie rozdzielona siła, na obronę tego jedynego punktu połączyć się może. Podsadzenie minami, lub bombardowanie z pobliskich wzgórzów nie są podobnemi, jak o tém przekonało doświadczenie ostatnich wojen. Również niepodobna twierdzę zmusić głodem do poddania się; gdyż prócz licznych ciągłe utrzymywanych zapasów, podostatkiem jest roli i lasu dostarczających wszelkich potrzeb załodze. Prócz tego, posiada na 1200 stóp głęboką studnię w skale wykutą, która zawsze najmniéj 52 stóp wody w sobie zawiera. Niemniéj ważną korzyścią jest i ta, że armaty twierdzy, Elbę i miasteczko przenoszą. Prócz zwyczajnych zabezpieczeń, wszelkie wynalazki w sztuce fortyfikacyi zaprowadzane bywają, co wszystko czyni Koenigstein jedną z najlepszych dotąd znanych warowni.

Przedmioty najgodniejsze widzenia w Koenigsteinie są: *Kościół Załogi*, gdzie jest ogrómny krzyż z hebanu i kości słoniowéj, dar W: xięcia Jana Jerzego II. *Fridrichsburg* zajmujący bogatym zbiorem obrazów wszystkich Saskich monarchów i dowódzców twierdzy, tak zwane *Paziowe-łoże*, wązki kawał muru przy Frydrychsburgu. Tam schronił się 12 Sierpnia 1665 pijany paź Jana Jerzego IIgo i spał spokojnie, dopóki związanego nie przebudziły z tak niebezpiecznego łoża trąby i kotły, aby dożył jeszcze późnéj starości bo aż stu sześciu lat wieku. *Georgenburg*, sławne w historyi jako więzienie stanu; najgodniejszemi wspomnienia jego mieszkańcami byli: Kanclerz Krell, ścięty w Dreźnie za kościelne niezgody; Patkul, którego Karól dwunasty król szwedzki roku 1707, w koło wpleść rozkazał; Kl ttenberg, roku 1720 przez Augusta drugiego za oszustwo na śmierć skazany; nakeniec tajny sekretarz Menzel, który był powodem wojny siedmioletniéj.

## KRONIKA LITERATURY I WIADOMOŚCI NAUKOWYCH.

Zapatrując się na teraźniéjszy stan naszego piśmiennictwa, postrzegamy, iż nie ma takiego pisma, któreby ciągle umieszczało wiadomości o nowych dziełach, wynalazkach, ulepszeniach, instytutach, zakładach, zgoła, któreby dawało obraz nie ustającego nigdy postępu, prawdziwéj cywilizacyi. Oderwane wiadomości tu i owdzie napotykane w gazetach, są aż nazbyt niedostateczne. Muzeum domowe poświęcając im część kart swoich, starać się będzie, ażeby jile możności zaradzić temu niedostatkowi. Zaczyna więc *Kronikę* swoją od wiadomości o dziełach polskich, wydanych w roku zeszłym.

Z przyjemnością postrzedz się daje, że tak liczbą dzieł, jakoteż ważnością przedsięwzięć literackich, rok 1834, przewyższa poprzedzające lata. W ciągu tego to roku, przeniesioną została do nas literatura przystępna wszystkim, oparta na tanności dzieł, na ozdobném ich wydaniu i na upowszechnianiu wiadomości w każdym stanie przydatnych. Wydawcom Magazynu powszechnego, należy się ta zasługa, iż pierwsi wskazali, że pismo naukowe i literackie, może u nas znaleźć odbyt kilku tysięcy exemplarzy: za ich przykładem poszli inni wydawcy, a Podróż Malownicza i powstające teraz Muzeum domowe, zdają się wzbudzać nadzieję, że czytanie xiążek coraz bardziéj wzrastać i upowszechniać się będzie. Z dzieł samą tylko rozrywkę na celu mających, rok upłyniony rozpocząwszy się pięknym tak co do wewnętrznéj wartości jak i ozdobnego wydania noworocznikiem Jutrzenka, przyniósł nam zbiór najnowszych powieści, pod tytułem Rozrywek Niedzielnych, dwanaście zeszytów Gabinetu Czytania, (1) 2 tomy powieści p: t: Wieczory w domowém zaciszu, (2 przekłady romansów Cyrulik Paryzki (3) Kreol, (4) i Poczciwy koleżka; (5) zbiór sztuk grywanych na teatrach Warszawskich i z upodobaniem przyjętych (6); dziełko zajmujące pomysłem swoim: *Sztuka podobania się mężowi* (7) i *Botanikę dla płci pięknéj*, (8) która razem naukę, przyjemność i gustowność wydania połączyła.

(1 u F. S. D zł. 24 — (2 w Biórze zleceń zł 9. (3 u F. S. D. zł. 12. — (4 u Węck. zł. 9. — (5 u E. Gluck. zł. 18. — (6 u Merzbacha zł. 27 za 14 sztuk. — (7 u Merzbacha zł. 4. — 8) u Merzbacha zł. 15.

Od roku 1818, już nie można widzieć rzadkiej osobliwości, to jest beczki do wina, wysokiej na 17. łokci, na 11. szerokiéj, mieszczącej w sobie 3,700 wiader, ta bowiem, chociaż zupełnie uszkodzoną nie była, ale jako zbyt wiele zajmująca miejsca, zniszczoną została.

Kamienno-piasczyste łoże Elby, mieści w sobie wiele łysych, stromych, pojedynczo wybiegłych skał: na jednéj z nich zbudowany jest Koenigstein. Powierzchnia Saxonii, taka jaką jest dzisiaj, łatwo da się wytłómaczyć przez nagły zalew. Ziemia, która zapełniła widoczny dotąd szkielet téj okolicy, nagromadziła się pomału, jak tego dowodzi dzisiejsza jeszcze jéj urodzajność. Nurt musiał bydź właśnie w tém miejscu silniejszy, głębiéj zarywający jak gdzie indziej, gdyż grunt jest wyższy i pewnie naniesiony ze szkodą pobliskich gór czeskich, czego dowodzi pochyłość gubiąca się dopiero w płaszczyznach niższéj Saxonii, a która świadczy kierunek, w jakim główny nurt Elby uniesiony bydź musiał.

Z pomiędzy tych jednorodnych synów jednéj matki, to jest skał otaczających Koenigstein, najbardziej podziwienia godnym jest Lilienstein na prawym Elby brzegu. Ich położenie względne jest, jak dwóch braci, z których mniejszy lecz starszy, większemu i silniej szemu porçki udziela. Bo chociaż Lilienstein o 60 stóp jest wyższy, nigdy przecież w czasie wojny, Koenigstejnowi szkodzić nie może.

Na szczycie jego wznosi się posąg, którego łaciński napis dowodzi, że wzniesiony został na pamiątkę króla Augusta, zwiedzającego tę górę.

Utrudzające wdrapanie się na owe góry, obficie nagrodzone bywa zachwycającym widokiem Saskiej Szwajcaryi, gdzie szczególniej pieszczą oko miłe miasteczka i wioski i na wpół kryjąca się po za skałami, na wpół wspaniale po polach roztoczona wstęga Elby.

## FANTAZMAGORYA.

Przypuśćmy na chwilę że ktoś powiedział:

Nie Karólowi W. który unosił się nad bijącym zegarem, pierwszym jaki wprowadzono do Francyi:

Nie Franciszkowi I. który z dworem swoim przypatrywał się paleniu czarownic:

Lecz Ludwikowi XIV, wielkiemu monarsze, za którego panowania żył Rasyn, Bossuet i Paskal:

Gdyby więc był rzekł do niego. »N. Panie! nim trzy wieki upłyną, powóz bez koni poruszany parą wody wrzącéj, przebiegnie w trzech godzinach mil dziesięć. Zamiast żagli, taż sama para wody wrzącéj, nieść będzie po morzach, największe i najcięższe okręty. — Oprócz tego, taż sama para poruszać będzie machiny, których ruszyć nie mógł przemysł rąk ludzkich.—Człowiek wzbije się w powietrze za pomocą kuli z gumowanéj materyi, nadętéj niewidzialném i niedotykalném ciałem.—Nie dosyć na tém iż będą okręty bez żagli, znajdą się i takie które podobne do Lewiatana

---

Obok tych płodów nadobnéj literatury, znajdujemy także poważniéjsze naukowe dzieła.

A najprzód, kilka dziełek dla nauki i zabawy dzieci jako to: (1) *Dobra ciotka i dziecię osierocone*, (2) *Rady dla dzieci, w moralnych i ciekawych powieściach*, (3) *Siedmioro dziatek*, (4) *Xiążeczka dla młodego wieku*, zmniejszyły daninę, którą corocznie pobiera od nas pan Korn w Wrocławiu, za wyroby swoje, innych po większéj części nie mające zalet, prócz pięknéj okładki, białego papieru i illuminowanych obrazków. Nowa metoda nauczenia się łatwym sposobem pierwszych zasad języków polskiego, francuzkiego, i niemieckiego praktycznie wyłożona; część pierwsza, i część druga tegoż dziełka, obejmująca zasady grammatyk tychże języków w 120 ćwiczeniach praktycznych, są bardzo użytecznem dziełkiem dla początkowéj edukacyi domowéj, a zwłaszcza przez to, że każde prawidła wyjaśniają przykładami (5).

Z dzieł, gospodarstwo na celu mających, ważna co do treści, chociaż szczupła co do objętości, wyszła xiążka o *Nauce gospodarstwa wiéjskiego* przez M. Oczapowskiego, (6) wykłada w niéj autor jaka jest potrzeba i pożytek praktycznych szkół rolniczych, jakie nauki i jakim sposobem w takich instytutach wykładane bydź powinny. Dzieło to utwierdza w przekonaniu, że w teraźniejszym stanie rolnictwa, handlu i przemysłu, nie podobna jest utrzymać gospodarstwa, bez zaprowadzenia do niego ulepszeń, jakich przykład widziemy już u tylu znakomitych w kraju naszym gospodarzy, że ulepszenia te nie dadzą się upowszechnić i nie zakwitną, bez usposobionych należycie zarządzców gospodarstw i samychże właścicieli.

Pan Kurowski, który z niezmordowaną gorliwością przelewa na nasz język celujące dzieła gospodarskie w języku niemieckim, w roku przeszłym przysłużył się współziomkom dziełami: I^mo *Wyjawienie sposobów*, jakich handlujący końmi używają do oszukiwania kupujących, z dodatkiem Nauki o sposobie anglizowania koni przez S. Tenneker. Użyteczności tego dzieła, a zwła-

1) u Gałęz: zł. 4. — 2) u F. S. D. zł. 6 g. 20. — 3) u Sztebl: zł 2 gr. 15. — 4) u E. Glucks. zł — 5) u Merzb. zł. 6 gr. 15.

6) u Węckiego zł. 2.

http://rcin.org.pl

w piśmie świętem, pływać będą pod wodami i żyjące istoty we wnętrzu swojém obejmą (*).

Gdyby ten człowiek wspomniał był jeszcze o innych cudownych wynalazkach nauk i mechaniki, które teraz nałóg uczynił dla nas zupełnie obojętnemi, byliby niezawodnie śmieli się z niego jak z szaleńca, któryby prawił bajki, jeszcze niedorzeczniéjsze, aniżeli w *Tysiąc nocy i jedna*.

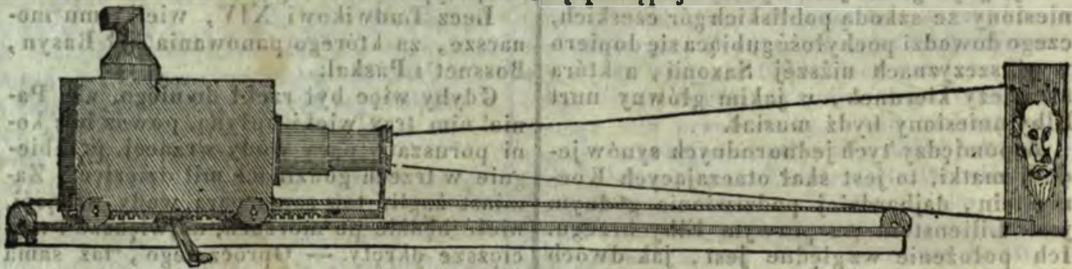
Ale gdyby ten człowiek był przydał: »Zaprowadzę cię do staréj w gruzach leżącéj świątyni. Tam pod sklepieniami złowieszczym otoczonemi cieniem, pokażę ci widma, dążące ku tobie z wyciągnionemi rękoma, z iskrzącemi się oczyma, obmierzłe widma, które znikną skoro zechcesz je schwycić.»

Byliby wypędzili tego człowieka, byliby go może ukarali jako bluźniercę.

I cóż! byliśmy obecni na takiém widowisku, nie doznając uwielbienia, ani nawet podziwu; nie oskarżaliśmy bynajmniéj o czarnoxięztwo, ani pana Comte który pokazywał te dziwy, ani pana Robertson które je wynalazł.

Fantazmagorya, o niéj to bowiem mówimy, okazując nam widziadła i duchy, nie już jako nadprzyrodzone zjawiska, będące skutkiem czarnoxięztwa, lecz jako zabawkę fizyczną, zrządzoną działaniem światła podług zasad optyki, musiała silnie przyłożyć się do zniszczenia zabobonów.

Prawie wszyscy znają skutki fantazmagoryi, lecz mało osób może zdać sobie dokładną sprawę ze sposobów, jakiemi w niéj się postępuje.



Ściśle biorąc rzeczy, jest ona tylko wydoskonaleniem *Czarnoxięzkiéj latarni*. Wytłomaczmy więc najprzód nie to czém jest czarnoxięzka latarnia (wszyscy wiedzą o tém) ale jakim sposobem tworzą się jéj zjawiska.

W kwadratowym pudełku stawiają lampę Arganta (*) w ognisku zwierciadła wypukłego, które odbija jéj światło na szkło

(*) Okręty pod-wodne

(*) Argant jest wynalazcą lamp z okrągłym knotem i z podwójnym pędem powietrza, powszechnie znanych pod nazwiskiem kinkietów.

---

szcza co do zabezpieczenia się od oszustwa chytrych handlarzy, nikt nie zaprzeczy (1).

2do. Krótka nauka praktycznego chodowania owiec, przez J. G. Elsnera, w którym systematycznie i zwięzle wyłożone są wiadomości owczarzowi i właścicielowi owczarni potrzebne (2).

Dwa dzieła, częścią fizyologiczne, częścią lekarskie, wyszły w roku zeszłym, a te są: Fizyczny i moralny układ kobiety, przez Piotra Russel po francuzku napisane, a na język polski przełożone przez Karola Gostkowskiego,(3) i Rady dla matek, obejmujące przepisy pielęgnowania i hodowania dzieci w pierwszych latach ich życia, przez Dr: Malcza (4). To drugie dzieło tak jest ważne i użyteczne, iż później obszerniej zastanowimy się nad nim.

Ze starożytnych pisarzy, wyszedł przekład pozostałych xiąg historyi rzymskiéj, Kaja Welleja Paterkula, przez Wincentego Smacznińskiego; wierność i dobra polszczyzna, są jego zaletą (5). Nareście Listy Napoleona do Józefiny, jakkolwiek więcéj powierzchowną ozdobą, niżeli ważnością historyczną zalecone, są przecież zajmujące jako pamiątka wielkiego człowieka (6).

Xięgarnia S. H Merzbacha, w ciągu roku zeszłego, wydała dzieło należące do ważniejszych przedsięwzięć xięgarskich: p: t: Nabożeństwo dla Chrześcian Katolików, na wszystkie dni roku rozłożone, przez X. Jana Michała Hauber, Radzcę Archidyecezy; Nadwornego Kaznodzieję i Kapelana w Monachium; 7 tomów (7). Styl prosty i czuły, pobożność najczystsza odznaczają to dzieło.

Nakładem xięgarni Gałęzowskiego, wyszedł Nowy Testament dla chrześcian wyznań reformowanych, którego tanność jest prawdziwie bezprzykładna i przechodzi to wszystko, co dotąd u nas usiłowano w tém względzie, tém bardziéj, że wydanie jest czyste, porządne, papier piękny (8).

W innych miastach polskich, za obrębem królestwa naszego, wyszły następujące dzieła:

1) u Gałęz. zł. 4. — 2) u E. Glücks. zł. 5 — 3) zł. 4. 4) u Gałęz. zł. 4. — 5) u Gałęz. zł. 5. — 6) u J. Glücks. zł. 10.

7) zł. 18 i zł. 24. — 8) zł. 2 gr. 15.

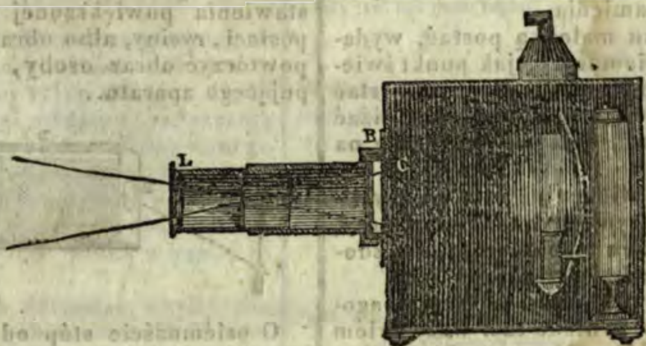
http://rcin.org.pl

okrągłe, grube we środku, a coraz bardziéj cieńsze ku brzegom, jak soczewka C.

To szkło zbiera promienie na malowidło przezroczyste, poważne lub dziwaczne, wyobrażające duchy, albo inne jakie przedmioty. Malowidło tak oświecone, odbite jest przez inną soczewkę z krótkiém ogniskiem, które je powiększa i powtarza na oponie umieszczonéj w niejakiéj odległości od latarni czarnoxięzkiéj. Ta druga soczewka powinna bydź ruchomą, gdyż żeby postać malująca się na obrazie, czysto się wydała, musi zachodzić jednostajny stosunek odległości przedmiotu od soczewki, i soczewki od obrazu. Przedmiot umieszczony nieco daléj niżeli ognisko, powinien zbliżać się do niego, w miarę jak się obraz oddala i nawzajem.

Aby temu widowisku nadać tém więcéj wrażenia, trzeba pokazywać je w pokoju zupełnie ciemnym. Skrzynka w któréj się mieści lampa, jest szczelnie zamknięta, a widzowie nie widzą innego światła, prócz światła obrazu i pola w którém się tenże zawiera.

Fantazmagorya, któréj skutki wydają się tak nadzwyczajnemi, jest tylko ulepszeniem czarnoxięzkiéj latarni. W tych obu narzędziach, przedmioty są oświecone i przed-




stawiane témże samym sposobem; lecz w fantazmagoryi, latarnia umieszczona na kółkach, zbliża się lub oddala od opony, a że się krzyżują promienie wychodząc z soczewki, wynika ztąd, iż postać wzrasta, albo zmniéjsza się na oponie, stósownie do większéj albo mniejszéj odległości od latarni. Lecz aby się czysto i wyraźnie pokazywała, musi także soczewka zbliżać się, lub oddalać od przedmiotu, a to w odwrotnym stosunku. Dla tego szkło osadzone jest w rurce, które się za pomocą śrubki wysuwa, albo wsuwa. Ten mechanizm dość prosty, ułożony jest w ten sposób, że wszystkie poru-

---

Wilno, które co do piśmiennictwa, w równi stoi z Warszawą, a nawet ją przewyższa obszerniéjszemi i poważnemi przedsięwzięciami, pomnożyło literaturę polską Noworocznikiem *Znicz*, (1) w którym między wieloma zajmującemi artykułami, szczególniéj zwraca uwagę czytelnika wyciąg z autentycznych pamiętników Karpińskiego, stan Litwy do przyjęcia wiary chrześciańskiéj i powieść, któréj przedmiotem jest podanie gminne o budowie kościołka Świętéj Anny. Zaczęło tamże wychodzić pismo w nieoznaczonych terminach wydawane p. t. *Wizerunki i Roztrząsania Naukowe* (2). Wydawcy, jak oświadczają w przedmowie, chcieli zaradzić brakowi pism poważniéjszych, na rozwinięcie umysłu wpływać mogących, a tak przyłożyć się do upowszechnienia między współziomkami naszymi, zdrowych myśli, gruntownych poznań, dojrzałych, dobrze zgłębionych i rzetelnych sądów, w rzeczach naukowych, powszechniejszy interes wzbudzających. Przedmioty, oświecające rozum, przybrane w powaby stylu i sztuką pisania zalecone, składać będą *Wizerunki i Roztrząsania Naukowe*. Znajdzie tu czytelnik obrazy ogólnych charakterów i stanu obecnego literatury, rozmaitych narodów, żywoty sławnych pisarzów, artystów i w rozlicznych zawodach życia towarzyskiego niepospolitych ludzi, rozbiory i krytyczne oszacowanie dzieł najwięcéj wziętości mających, wiadomości o wynalazkach, odkryciach i przedsięwzięciach do wzrostu cywilizacyi dążących i t. p.

W trzech tomikach tego zbioru, dotąd wydanych, znajduje się: Zdanie o współczesnéj literaturze francuzkiéj, z pisma angielskiego *Edinburgh Rewiew* wyjęte, miejscami zbyt surowe, ale jednakże po większéj części sprawiedliwe; —Obraz geniuszu i pism Goetego, Wernera i Kanta; — Lekcya Szlegla o literaturze drammatycznéj, oraz wiadomość o jego życiu, —O stanie literatury Czeskiéj, rzecz wyjęta z dziełka pod tym tytułem wydanego w Krakowie. — przy tém krótka wiadomość o najnowszych dziełach w języku polskim wydawanych. Oddając sprawiedliwość celom, dobremu wyborowi i czystéj polszczyźnie Wizerunków Naukowych, życzymy im jak największego upowszechnienia, któreby dozwoliło im rozwinąć swój zakres i pomnożyć użyteczność.

(1 zł. 13. — (2 u J. Zawadzkiego zeszyt zł. 3.

szenia odbywają się dokładnie i bez łoskotu.

Chcąc otoczyć tém większém złudzeniem, zjawiska fantazmagoryi, potrzeba zostawić widzów w zupełnéj ciemności, aby nie mogli dostrzedz składu machiny. W tym celu, postać okazuje się na białéj i cienkiéj oponie perkalowéj, dobrze wyciągniętéj i powleczonéj pokostem. Wtedy przejrzystość jest jeszcze tak znaczna, że przez tę oponę można dokładnie widzieć okazującą się postać. Widzowie nie zdołają zmiarkować, w jakiéj odległości znajduje się od nich, ponieważ nie dostrzegają żadnego pośredniego przedmiotu, a tém samém zupełnego doznają omamienia.

Pokazują z razu maleńką postać, wydającą się pośród ciemności, jak punkt świetny niezmiernie oddalony. Po tém postać wzrastająca powoli, zdaje się przybliżać wielkiemi krokami, a nawet rzucać się na widzów (*).

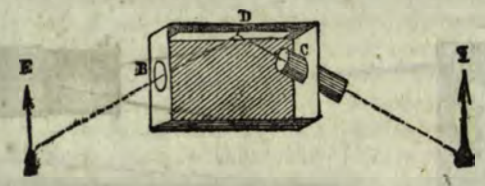
Ten fenomen widzenia, jest rzeczywiście bardzo znaczącym, gdyż znajomość praw optyki i mechanizmu tego aparatu, nie zdoła uchronić nas od złudzenia.

Pan Robertson, wynalazca fantazmagoryi, otoczył to widowisko tém wszystkiém coby mogło powiększyć jego wrażenie. Stary gmach klasztoru Kapucynów, obrał za miejsce widowiska. Sala zupełnie kirem pokryta, na którym pomalowane były widziadła i inne żałobne przedmioty, usposabiała umysł widza. Nagle znikało słabe światło, które oświecało to miejsce; a zjawienie się duchów przy odgłosie grzmotów i piorunów, i żałosnych dźwiękach muzyki, trwogą przejmowało duszę.

(*) Przed kilkoma laty, widzieliśmy w Warszawie między innemi pokazywane piękne zjawiska fantazmagoryi.

Aparat fantazmagoryi, może bydź urządzony w ten sposób, iż przedstawi widzom postać obrazu, posągu, a nawet żyjącéj osoby. W tym celu, trzeba zastąpić soczewkę dwoma szkłami achromatycznemi bardzo czystemi. Światło wtedy mocno oświeca przedmiot z przodu, a jego postać okazuje się na pokostowanéj oponie.

Megaskop, inne narzędzie optyczne, wynalezione przez pana Charles, służy do wystawienia powiększonéj lub zmniejszonéj postaci, ryciny, albo obrazu; można nawet powtórzyć obraz osoby, za pomocą następującego aparatu.




O osiemnaście stóp od opony, na któréj ma się pokazać obraz, stawiają ściankę, i przykładają do niéj pudełko, mające około dziesięciu cali i wewnątrz czarno wymalowane. W ściance jest otwór na sześć cali, odpowiadający otworowi B w pudełku. W punkcie D jest zwierciadło, w punkie C soczewka szklanna, mająca osiem stóp ogniska. Obraz osoby stojącej w punk-

---

Może tém prędzéj osiągną ten cel, jeżeli powiększą objętość, a zniżą cenę, chociażby piękność wydania, cokolwiek umniéjszyć się miała. Z Romansów wyszedł tam przekład *Stepów* z dzieł sławnego Kupera, nakładem Zawadzkiego; (1) u Glucksberga zaś Powiastka p. t. Dwanaście dni rodziny Chińskiéj (2). Przedrukowane także zostało ze znacznemi dodatkami, znane i powszechnie cenione dzieło Strumiły, Ogrody północne.

*Mowy pogrzebowe Xdza Trynkowskiego.* sposzyt pierwszy, Wilno drukiem Zawadzkiego. Przytaczamy zdanie o tém dziele w Wizerunkach naukowych umieszczone.

»Od lat kilku w Wilnie, w każdą niedzielę lub święto, zawsze liczne rozmaitego stanu, wieku i płci, a nawet wyznania, grono osób, napełnia kościół katedralny, oprócz pobożności, nęcone wyborną wymową kościelną Xiędza Trynkowskiego. Młody ten kaznodzieja, w krótkim przeciągu czasu potrafił zyskać imie znakomitego mówcy, wyższym talentem, samodzielnością obcą wszelkiemu naśladownictwu, zgłębieniem ducha słuchaczy, oraz trafném zastosowaniem się do ich usposobienia i potrzeb. Oprócz kazań świątecznych i niedzielnych, mowy pogrzebowe często były przedmiotem prac apostolskich X. Trynkowskiego, te przedsięwziął ogłaszać teraz drukiem; co właśnie było powszechném życzeniem.»

1) zł. 16. — 2) zł. 5.

W Krakowie wyszło w roku zeszłym kilka dzieł istotnie ważnych i użytecznych. Pierwsze miejsce zajmuje pomiędzy niemi Bakona Metoda tłómaczenia natury, ułożona przez Michała Wiśniewskiego. Dzieło filozoficzne jest tak ważnem u nas wypadkiem, a cóż dopiero gdy się jasnością wykładu i czystością stylu odznacza. W tak krótkim zarysie niepodobna jest udzielić wyobrażenia o tém dziele, a cóż dopiero dawać o nim chociażby ogółowe zdanie. Poprzestać musimy na tej prostej wzmiance i na wynurzeniu nadziei, że Metoda Bakona przez Pana Wiśniewskiego wyłożona, nie powinna ujść baczności wszystkich, którzy się gruntownym naukom oddają.

Rys krótki historyi ludu żydowskiego w Europie, jest także jednym z ważnych dzieł w literaturze naszej. Autor nie objawił nazwiska swego; w krótkiej przedmowie wyraził, że pismo to jest wstępem do dzie-

http://rcin.org.pl

cie E i mocno oświeconéj, okazuje się na oponie, lecz w położeniu naturalném i można tym sposobem wykonywać najrozmaitsze i najbardziéj zadziwiające sceny. Nie podobna wytłómaczyć sobie naturalnych poruszeń zjawiających się postaci. Rozmaicie łączyć można te doświadczenia, i tak, na jednéjże oponie okazuje się jedna postać wryta, druga ruchoma. Takim to sposobem Robertson pokazywał w głębi klasztoru słabo oświeconego, zakrwawioną kobietę, trzymającą w jednéj ręce sztylet, w drugiéj latarnię. Powoli posuwała się długim korytarzem, i zdawała się tak blisko przystępować do widzów, iż się cofali aby jéj miejsca ustąpić.

Są także i inne złudzenia uzupełniające złudzenie fantazmagoryi. Ponieważ obrazy pokazują się z jednéj tylko strony, fizycy dla odwrócenia uwagi widzów, spuszczają głowy z cienkiego płótna woskowanego zrobione i oświecone wewnątrz. Za pomocą kapturków, można to światło odsłaniać, albo zakrywać nagle; a tym sposobem przedmioty objawiają się albo nikną z przed oczu widza.

Za pomocą takich narzędzi, czyliż nie może wytłómaczyć sobie rozmaitych zjawisk, które w dawnych czasach ugruntowały wiarę w czarnoxiężników? Gdyż nawet te sposoby optyczne, w pierwszych chwilach po ich wynalezieniu, wzbudziły mniemanie w osobach nie znających się na tém, że muszą bydź dziełem złego ducha. I tak, w dziele wydaném we Francyi, na początku 19go wieku, naszego wieku! pod tytułem: *Francya zwiedziona przez czarowników, i demonolatrów*: mówi autor:

»Nie będziemy sądzić o tém co nazywa»ją skutkami fantasmagoryi gdyż nie widzie»liśmy tego widowiska, ale przyznajemy »że ich pojąć nie można, bez przypuszcze»nia nadprzyrodzonego działacza, a tym jest »szatan.»

## DZIECIĘ I UBOGI.

—„Mamo, czy ubogiego wesprzéć się należy,
Gdy tak strasznie wygląda, w tak brzydkiéj odzieży,
Kiedy jest tak natrętnym?

—„Wszak wiesz moje dziecię,
Że biedny jest posłańcem Boga na tym świecie.
Któż się o jego postać i łachmany pyta?
Nędza na jego twarzy wybladłéj wyryta,
Do podwojów bogacza toruje mu drogę.
On przyszedł duszy twojéj wybadać szlachetność.
Pogardzanie nędzarzem, to jedyna szpetność
Jakiéj dla ciebie obawiać się mogę.
Żaden język nie wysłowi,
Jaką władzę nad tobą dał Bóg żebrakowi.
Kiedy go dziecię wesprze i pocieszy,
Gołąbek pod nieba śpieszy,
I o dziecka dobrym czynie,
Stwórca dowie się w godzinie.
Do tych, którym na ziemi nie zbywa na niczem:
Rzekł: „Wasze winy zmyjcie ofiarami;
Chcecież mieć miłosierdzie przed moim obliczem,
Miłosierni bądźcie sami.“

ła obejmować mającego historyą Izraelitów na ziemi polskiej. Rys historyi ludu żydowskiego, nosi cechę gruntownego zgłębienia rzeczy; zbogacił go autor obszernemi przypisami. Obszerniejszą wiadomość o tem dziele odkładamy na czas dalszy.

Księgarnia Friedlejna w Krakowie, wydała kilka dzieł do modlitwy, jako to xiążka do nabożeństwa Sznejdera. Dzień Chrześcianina X. Lammenais. Przewodnik młodego wieku przez tegoż, i modlitwy dla dzieci. Dziełka te, co do powierzchowności wyrównają Wrocławskim, przewyższają je czystością polszczyzny. Tenże xięgarz, wydał trawestowaną Eneidę naśladowaną z Blumanera. Kto zdolny jest czuć wyższą piękność w literaturze, ten z niesmakiem czytać będzie wesołe nawet koncepta niemieckiego przerabiacza Eneidy, a cóż powie na przekład polski, w którym znikł cały dowcip, jaki się tam mógł znajdować, a zostały same tylko brudne, nieprzyzwoite i gminne wyrażenia.

Wyszło także w Krakowie kilka pomniejszych ulotnych pism, między któremi Wiadomość o stanie literatury czeskiej jako bratniego szczepu Słowian, jest dla nas zajmującą i zasługuje na wzmiankę.

W Poznaniu nakładem xięgarni T. Scherka, wychodzi gospogarstwo wiejskie, teoretycznie i praktycznie ułożone przez Towarzystwo ekonomiczne, wydane przez F. Kirchhof Kommissarza ekonomicznego, przełożone na język polski przez W. J. Z. Dzieło to należy do najlepszych w tym przedmiocie wydanych; nie teorye lecz doświadczenia praktyczne przez najpierwszych agronomów niemieckich podane, stanowią główniejszą tu zaletę. Dotąd wyszło trzy zeszyty.

Nie nadeszły jeszcze do nas dzieła wydane we Lwowie w drugiém półroczu r. 1834. Musimy więc poprzestać na wspomnieniu o Noworoczniku Lwowskim Ziewonia, w którym wszystkie artykuły czerpane są z przedmiotów krajowych, i o czwartym tomie Alexandra Hr. Fredry, obejmującym komedyą wierszem w 5 aktach; Śluby panieńskie, wystawioną na teatrze Warszawskim i z najżywszém upodobaniem przyjętą, komedyą prozą w 4ch aktach, p: t: *Pan Jowialski*, pełną scen komicznych i wesołych myśli, i Operę wierszem p: t: *Nocleg w Apeninach*.




—„Gdyby to kiedy miało zależéć odemnie,
Żadenby mój ubogi nie chodził nikczemnie,
Nie cierpieliby głodu co im łzy wyciska,
Aniby u zimnego nie drżeli ogniska.
Alebym w pięknych chatkach dał im zamieszkanie,
Opatrzył w ciepłe suknie, wygodne posłanie.

—„Próżne to są marzenia; taka niebios wola
Że zawsze obok szczęścia znajdzie się niedola.
Lecz nad wszystkiemi boska rozciąga się władza,
I tych cierpienia, tamtych jałmużnę nagradza.

—„Ach! moja mamo, uczynię co mogę,
I dzisiejsze śniadanie oddam mu na drogę.

—„Dobre dziecię! pójdź do mamy.
Niech cię uściskam, pełnisz słowa Boże:
„Oddajcie biednym co wam zbywać może."

—„A cóż nam zbywał. My zbytków nie znamy!.

—„Prawda, lecz co dzień przecież mamy chleb powszedni,
Patrz, jak blisko z ubóstwem dostatek graniczy.
Czułe serce, chleb suchy za zbytek policzy,
Jeżli go nie mają biedni.

*Pani Desbordes Valmore.*


CENA PRENUMERATY

## MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, W KANTORZE GŁOWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10

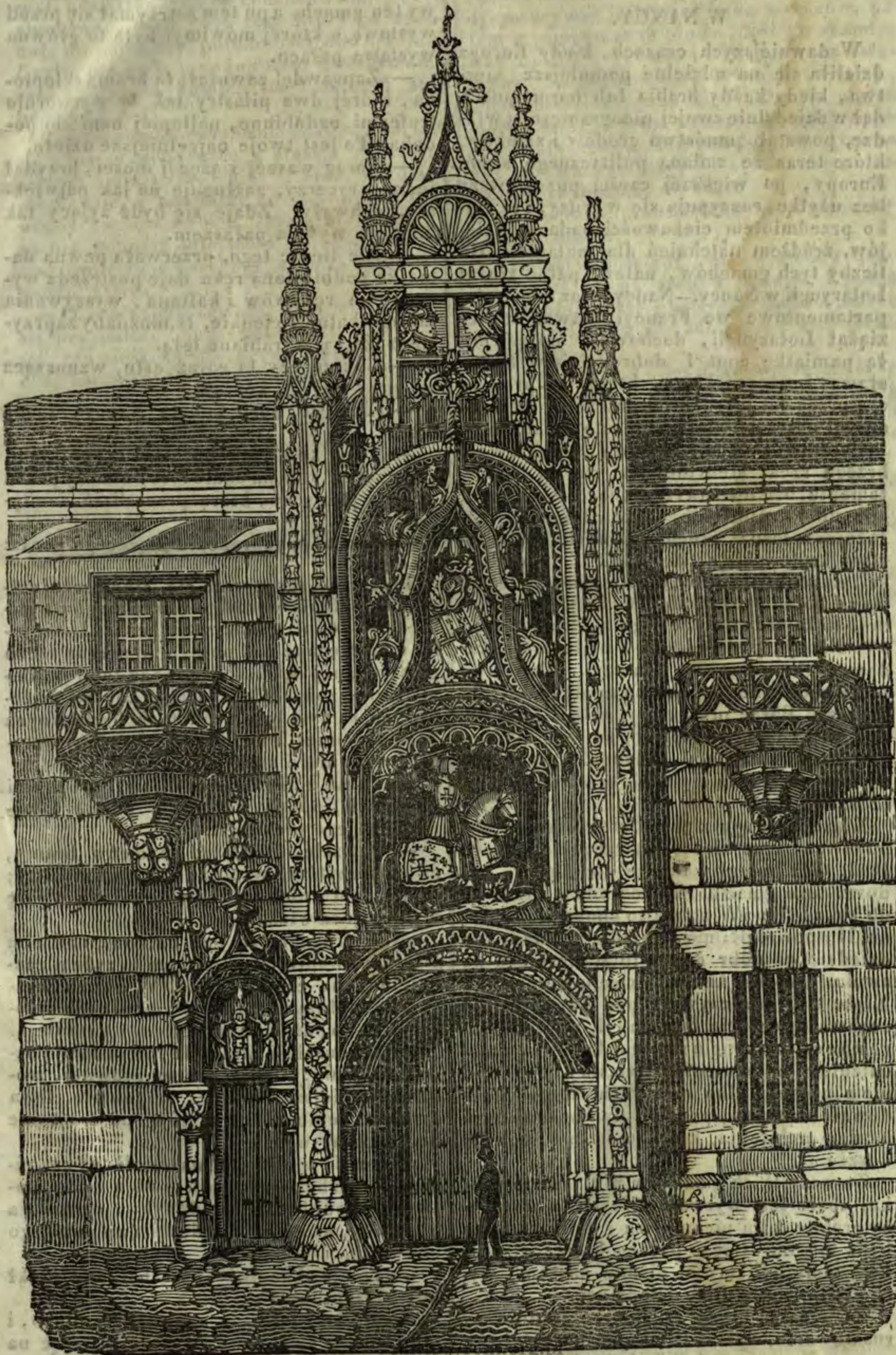
Na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych rocznie zł. 24, półrocznie złp. 13.

Można także prenumerować na Urzędach Pocztowych zagranicznych, oraz u następujących xięgarzy:

w Kaliszu u Jahnischa.
w Radomiu w xięgarni tamtejszéj.
w Lublinie u Streibla.
w Poznaniu u T. Scherka.
w Krakowie u Friedlejna i Czecha.
w Wilnie u Zawadzkiego,
w Winni y na Podolu i) w xięgarniach braci Lechów.
w Kamieńcu Podolskim )

Osoby prywatne na prowincyi zamieszkałe, któreby raczyły dopomódz upowszechnieniu pożytecznych nauk, przez zatrudnienie się zbieraniem prenumeraty, otrzymają na 10 exemplarzach 11sty gratis.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Warszawie, w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.



## PAŁAC XIĄŻĄT LOTARYNGII W NANCY.

W dawniéjszych czasach, kiedy Europa dzieliła się na udzielne pomniéjsze xięztwa, kiedy każdy hrabia lub baron posiadał w dziedzinie swojéj nieograniczoną władzę, powstało mnóstwo grodów i zamków, które teraz ze zmianą politycznego stanu Europy, po większéj części pozostawszy bez użytku, rozsypują się w gruzy, i są tylko przedmiotem ciekawości badacza dziejów, źródłem natchnień dla malarza. Do liczby tych gmachów, należy pałac xiążąt Lotaryngii w Nancy.—Nancy teraz miasto departamentowe we Francyi, dawna stolica xiążąt Lotaryngii, dochowuje dotąd miłą pamiątkę cnot i dobrodziejstw Stanisława Leszczyńskiego, który tę prowincyą przez lat trzydzieści przeszło, rządami swemi uszczęśliwiał, a miasto gmachami i instytutami zbogacił. Nancy leży na lewym brzegu rzeki Meurthe; jest stolicą departamentu, biskupstwa i trybunału. Akademia, kolegium królewskie, szkoła lekarska, położnicza, leśna, głucho-niemych, towarzystwo królewskie sztuk, nauk i umiejętności, muzeum obrazów, biblioteka publiczna, ogród botaniczny i gabinet historyi naturalnéj, są to główniéjsze jego zakłady naukowe. Nancy, jest jednem z najlepiéj zabudowanych miast we Francyi. Obszerne place publiczne, ozdobione są pięknemi fontannami. Pałac prefektury, ratusz, sala widowisk, koszary i szpital, są jego najpiękniejszemi gmachami. Handel i przemysł, zaczyna wzmagać się w niém od niejakiego czasu.

Xiąże Raul syn xięcia Ferri IIIgo, zaczął budować pałac xiążąt lotaryngskich około 1340. Gdy poległ w bitwie pod Crecy, budowa tego gmachu zawieszona została aż do roku 1476: »W któréj to epoce xiąże Rene II, powrócił: mówi xiądz Liomail: do dziedzictwa dóbr domu lotaryngskiego po swoim dziadku Antonim xięciu Lotaryngii. Xiąże ten, zwalczywszy pod Nancy Karola zuchwałego xięcia Burgundyi, zajął się razem ze swoim synem xięciem Antonim, umocnieniem, upięknieniem miasta i dokończeniem pałacu: albo raczéj chciał go odbudować na nowo, podług planów sławnego bardzo architekta, którego imie do nas nie doszło.»

Ze wszystkich gmachów piętnastego wieku, mało jest wytworniéjszych, a których-by architektura piękniéjszą i delikatniéjszą bydź mogła. Część pałacu któréj wizerunek zamieściliśmy w piśmie naszém, wychodzi na małą ulicę dziedzińca.

Tego dnia, kiedy rzeźbiarze zrzuciwszy rusztowanie, wystawili ukończone dzieło ku powszechnemu uwielbieniu, xiąże Antoni w towarzystwie całego dworu obejrzał nowy ten gmach, a po tém zatrzymał się przed wystawą o któréj mówimy: była to główna wystawa pałacu.

—»Zaprawdę! zawołał, ta brama sklepiona, któréj dwa pilastry tak są wytwornie trofeami ozdobione, najlepiéj nam się podoba. To jest twoje najcelniéjsze dzieło.

—»Posąg waszéj xiążęcéj mości, przydał jeden z rycerzy, zasługuje na jak największe pochwały. Zdaje się bydź żyjący tak dzielnie wywija pałaszem.

—»Nie licząc tego, przerwała pewna dama, że podniesiona ręka daje postrzedz wyszywania rękawów i kaftana, wyszywania tak delikatne i cienkie, iż możnaby zaprzysiądz, że są wyrabiane igłą.

—»Cóż znaczy ta gałąź ostu, wznosząca się przy nogach konia?

— »Jest to herb miasta Nancy, zacna pani.

—»A ten koń z tak bogatym czaprakiem, dla czegóż stoi na skale? cóż znaczy przed nim ta przepaść, którą przesadzić zamierza?

—»Jest to wyobrażenie xiążęcego godła: *Dosięgnę.*

Przestano zapytywać się, albo raczéj zginęły zapytania wśród powszechnego uwielbienia. Jedni wskazywali herby Lotaryngii umieszczone nad posągiem, pośród rzeźb niesłychanéj delikatności. Nad temi herbami zawieszony był szyszak i korona xiążęca; na samym wierzchu tych herbownych znaków, orzeł z koroną na głowie, roztaczał wspaniałe skrzydła.

Architekt z uśmiechem dumy i próżności na ustach, pokazywał swoje dzieło i wymieniał jego piękności.

—»Patrzcie! rzekł: od gzymsów bramy, aż do szczytów, wznoszą się dwa pilastry; na każdym z nich jest czworoboczna w górę wybiegająca wieża.

»Nad drugą niszą jest balkon, nad nim wystaje kwadrat, kamiennym krzyżem rozdzielony na cztery części. W dwóch wyższych znajdują się popiersia sławnych założycieli tego pałacu, xiążąt Rene i Antoniego. Wielka muszla i piramida, dopełniają ozdób wystawy. Obok bramy głównéj, zrobiłem mniejszą i nie tak wspaniałą. Dwa zgrabne geniusze utrzymują na frontonie herby Lotaryngii.

»Nareście spojrzyjcie na te balkony zakończone rzeźbą, jeden utrzymują dwie potwory, w pół ludzie, w pół ryby; a drugi dwa olbrzymy, które zdają się upadać pod jego ciężarem.

—»To nie okazuje lekkości balkonu, rzekł pół głosem jakiś szyderca.

Architekt z pogardą spojrzał na niego, i mówił daléj, dumny wzrok zwracając na słuchaczów.

—»Powiedzcie mi panowie, powiedzcie mi, czyli nazwiska tych co rozkazali taki gmach zbudować, czyli imie tego który go wykonał, do najdalszéj potomności nie przejdą? Czyliż nie będą przedmiotem uwielbienia i cześci, dopóki kamień na kamieniu stać będzie?

»*Vanitas vanitatum et omnia vanitas!* odezwał się głos przechodzącego starca. Wkrótce zaginie imie twoje, nikt o niém wiedzieć nie będzie, a ten pałac zniszczony i pozbawiony herbów swoich, stanie się pustém i za nic mianém miejscem (I). Świetny orszak śmiechem parsknął, a xiąże kazał wypędzić starca.

—»Zaczekajcie, zawołał architekt, niechaj się przypatrzę temu szaleńcowi, który nam tak złowieszcze proroctwa ogłasza. Niechaj uwiecznię twarz jego, aby był świadkiem naszéj chwały, dopóki chociaż jeden kamień tego pałacu stać będzie.

A skoczywszy na ramiona jednego z uczniów swoich, który mu podał potrzebne narzędzia; rzeźbiarz z posążku stojącego nad mniejszą bramą, zrobił dziwaczną figurę małpy, trzymającéj xiążkę na kolanach. Ta małpa niezmiernie podobna była do owego starca.

Wtedy puścili nietrafnego przyganiacza, który bez oporu dał się schwytać i przytrzymać uczniom artysty, i z smętnym uśmiechem przypatrywał się téj scenie.

A przecież spełniła się przepowiednia starca! Nikt dzisiaj nie zna nazwiska architekta. Opuszczony pałac xiążąt Lotaryngii, został koszarami żandarmów; dziedzińce jego zawalone są gnojem końskim, a nareście herby xiążąt Lotaryngii, rozbito w r. 1792.

## DWA CIERNIOWE WIEŃCE.

### § I. ŚNIADANIE.

— » Śniadanie waszéj przewielebności, już gotowe.

Taką to ważną wiadomość oznajmiła: pewną będąc że dobrze przyjętą będzie: stara gospodyni, dona Margareta. Zmieszała się więc niezmiernie, gdy szanowny ojciec Maciej Cardoso, zamiast coby miał wstać i zasiąśdź do stołu, skinął ręką, aby mu nie przerywała, i daléj zajmował się pracą, nad którą siedział już od rana.

Na twarzy staréj gospodyni malował się kwaśny humor. Jednakże po chwili wahania się, wyszła po cichu.

Oparłszy głowę na lewéj ręce, a w prawéj trzymając pióro, kanonik czynił tą ręką gesta, jakich używają w kolegiach do skandowania wierszy łacińskich. Niekiedy przerywał je i pisał kilka wyrazów, potém wymazywał te słowa, znowu skandował i pisał. Trwało to blisko przez kwadrans. Nareście wydał krzyk tryumfalny, najradośniéjszy jaki kiedykolwiek wydać mógł autor, przy końcu dzieła swojego. Usłyszawszy ten krzyk, gospodyni na pół w kwaśnym na pół w ucieszonym humorze przybiegła, mówiąc:

—»Nareście przewielebny ojciee jeść będzie śniadanie.

Zamiast odpowiedzi, przewielebny ojciec zatrzymał się na środku pokoju, i potém znowu poprawiał papiery leżące na biórku.

—» Czekolada nie zda się na nic: rzekła Margareta.

Ale kanonik jeszcze wyrzucał sobie jeden wiersz źle zbudowany i nie mógł przewieśdź na sobie żeby go tak zostawić. Nareście zrobił tę chlubną i niespodziewaną poprawkę; odsunął papier i zawołał:

—»Skończone! już się ich nie tknę! już skończone!

— »Przecież przewielebność wasza pójdzie na śniadanie.

I już otwierała drzwi prowadzące do sali jadalnéj, gdy młody człowiek wszedł nieśmiałym krokiem. Trzymał w ręku sporą trąbkę materyi i złożył ją na biórku kanonika.

—»Ach! ach! przyszedłeś wreście mój młody malarzu. Jużem się nie spodziewał tych nowych chorągwi, którém zamówił u ciebie na przyszłą processyą. Zobaczmy. Dobrze, bardzo dobrze moje dziecię. Przedziwnie! oto jest cudowna głowa Madony! te zarysy są tak wytworne i czyste. Zamiast trzech dukatów daję ci dwadzieścia... Pracuj młodzieńcze; jestem znawcą; to malowanie wróży znamienitą przyszłość: przydał, trącając ręką, zwinięte chorągwie.

Młodzieniec zapłoniony z radości, chciwie słuchał starego kanonika.

—»Pilnie i gorliwie trzeba pracować; nie poprzestań na zatrudnieniach malarskich. Wiadomość języka greckiego i łacińskiego, jest nieuchronnie potrzebna, dla przejęcia się wielkiemi autorami; a przedewszystkiém Biblia, Biblia, z któréj nasi malarze biorą teraz wszystkie przedmioty.

—»Moje wychowanie nie jest tak zaniedbane jakby wznosić można z ubóstwa mojéj odzieży. Umiem trochę po łacinie...

—»A gdy tak, ciekawy jestem przekonać się o twojéj umiejętności! zobaczmy: przerwał kanonik, uradowany że znalazł słuchacza do swoich nowo urodzonych wierszy: posłuchaj tego nagrobku i przełóż go na czysty język portugalski. Siadaj.

—»Sprobuję, chociaż jestem hiszpanem i

(1) Don Calmet w historyi Lotaryngii, xiądz Liomail i rękopism biblioteki królewskiéj, traktujący o starożytnościach miasta Nancy, wspominają o téj okoliczności.

http://rcin.org.pl



## KAMOENS UMIERAJĄCY.

jeszcze nie oswoiłem się z językiem portugalskim.

—»Śniadanie już na stole! rzekła Margareta do rozpaczy przywiedziona.

Kanonik nie odpowiadając wcale, czytać zaczął. Wysłuchawszy go, rzekł młody malarz:

—»To są prześliczne hexametry i pentametry, zwięzłe, wytworne, trafne, mocne, i zupełnie w guście starożytnym. Kanonik nie posiadał się z radości.—»A tłomaczenie?

—»Zaraz je zrobię; proszę o rękopism.

I od ręki przetłomaczył wiersze łacińskie, które czytelnikom naszym dajemy tylko w przekładzie.

»Tu spoczywa, równy Nazonowi w ele»giach, Marcyalisowi w epigrammatach, Ho»racemu w odach, Wirgiliuszowi w bohatyr»skim rymie. I piórem i żelazem powięk»szył chwałę twoją Luzytanio! Tęż samą rę»kę wsławił Mars i Apollo. Pieśniami stwo»rzył w Indyach źrzódło Kastalskie, gro»ty swemi przestraszył nurty Gangesu. Lu»zytania zadrżała podziwieniem zdjęta, gdy »ten wieszcz przyniósł ze wschodu, wier»sze, szlachetne płody geniuszu swojego, »zamiast złota i kosztownych zdobyczy.

»Jeźli dobrze zasłużył się krajowi, wal»cząc orężem, więcej jeszcze, gdy jego świe»tne dzieła opiewał. Włosi, Francuzi, Hi»szpanie, przełożyli jego wiersze. Jakiż »kraj nie pragnąłby nazwać go wieszczem »swoim? Można go tłomaczyć, wyrównać »mu nie podobna.

—»Bardzo dobrze moje dziecię. Czy zgadujesz dla kogo napisałem ten nagrobek?

—»Dla Ludwika Kamoensa. (1)

—»Tak jest. Któżby powiedział że w biednym umierającym na łożu szpitalném, znajdę wieszcza, największą ozdobę Portugalii.

—»Co! byłeś przy zgonie Kamoensa? zawołał mocno wzruszony młodzieniec. Ach! wystaw mi wszystkie gesta, powtórz mi każde słowo jego.

—»Czy wasza przewielebność nie będzie jeśdź śniadania? wyjąkała Małgorzata, wybladła od gniewu.

»Pewnego wieczora, moje dziecię, przechodziłem obszerne sale szpitala Świętego Krzyża, którego jestem jałmużnikiem. Pośród nędzarzy, postrzegłem przy trupie nieostygłym jeszcze, człowieka z szlachetną i pełną rezygnacyi postawą. Zatrzymałem

(1) Ludwik Kamoens autor poematu Luzyada; jeden z najznamienitszych poetów nowożytnej Europy, niepoznany za życia, umarł w najnędzniejszym stanie r. 1579.

http://rcin.org.pl

się przed nim, a podając mu krucyfix, rzekłem:

— »Odkupiciel nasz umarł na krzyżu i wypił kielich goryczy.

Chory podniósł się, wziął krucyfix w osłabłe ręce, i przyciskając go do ust, rzekł:

—»Nadzieja moja w Bogu. A po tém przydał po chwili milczenia:

—»Mój ojcze, chceszli wypełnić ostatnią wolę umierającego?» —Mój synu! odpowiedziałem: wypełnię ostatnią wolą twoją tak, jak gdybyś był moim bratem.

—»Słuchaj mię więc, o to są papiery. Dla ich ocalenia, wyskoczyłem z szalupy, do któréj schroniłem się po rozbiciu okrętu; dla ich ocalenia, walczyłem dwa dni ze śmiercią, obłąkany pośród mórz na ułomku masztu. A dla ich napisania, wyrzekłem się majątku, uciech młodości, wszystkiego. Otóż przysiąż mi ojcze, na ten krucyfix, i na zbawienie duszy mojéj, że nie pytając się kto jestem, rzucisz je w ogień. Przysiąż. Wahałem się; wyczytał to z moich oczu.

—»Ognia! ognia! błagam cię ognia! albo umrę przeklinając ciebie. Ognia! albo zgubisz duszę moją! Kapłanie, za nią odpowiesz przed obliczem najwyższego...

Musiałem ustąpić tak gwałtownéj rozpaczy. Przyniesiono ogień, rzucił weń swoje papiery, i ze smutną radością patrzał jak się paliły; wkrótce pozostał sam tylko popiół.

—»Pobłogosław mnie mój ojcze: rzekł, i odpuść mi grzechy moje. Dosyć wycierpiałem za nie. Widzisz, los położył na czole mojém ciężki wieniec... Wieniec którym często przeklinał i nie raz chciałem go się pozbyć. Ach! ileż wycierpiałem. O mój Boże! mój Boże! Geniusz... nie wiesz ile przekleństwa mieści się w tym nieszczęsnym darze. Szczęśliwy ten kto się rodzi w miernym i nieznanym stanie i w nim umiera. Szczęśliwy! szczęśliwy!

—Któż więc jesteś i dla czego tak przeklinasz geniusz?

Uśmiechnął się gorzko, wzniósł oczy w niebo, chciał wymówić jedno słowo i umarł.

Oddaliłem się przejęty trwogą, pytając z utęsknieniem czem był ten człowiek. Nazajutrz, gdym chciał zobaczyć jego zwłoki śmiertelne, już go z innemi trupami wrzucono w dół wspólny. Pokazano mi tylko nieco papierów, znalezionych pod jego posłaniem, między któremi znalazłem sonet włoski, napisany przez Torquata Tassa, adresowany do Ludwika Kamoensa.

—»Spalił swoje poezye! zawołał młody malarz. I niewdzięcznym ziomkom odmawiał ich dziedzictwa! O tak! dobrze czynił. Geniusz jest to nędza, jest to głód. Geniusz bywa zawsze niepoznany, pogardzony, traowany nogami. Jest to zgubny wieniec, który rozdziera, pali, zabija. Taki los i mnie czeka. O biada! biada! niechaj będzie przeklęty zgubny dar geniuszu.

I oddalił się, w ponuréj pogrążony rozpaczy.

—»Zaczekaj! nie powiedziałeś mi twojego nazwiska, a przecież spodziewam się, że cię zatrudnię dalszemi pracami.

—»Nazywam się Zurbara, zawołał. (2).

— »Przecież wasza przewielebność pójdzie na śniadanie, zawołała Margareta.

---

## § II. JESZCZE ŚNIADANIE.

W dwanaście lat potém, dona Margareta podobnież oznajmiła panu swojemu, zacnemu kanonikowi Maciejowi Cardoso, że już śniadanie jest gotowe; a kanonik zajęty jak i dawniej poezyą łacińską, na ciężką narażał próbę cierpliwość swojéj gospodyni.

Ten przeciąg czasu, żadnéj prawie zmiany nie zrządził w ich postaci, nieco tylko powiększył ich dobrą tuszę.

Kanonik wysłuchawszy nareście napomnień swojéj staréj sługi; zasiadł do śniadania, gdy w tém posłaniec ze szpitala Sgo Krzyża, przyszedł i oznajmił że jeden z umierających żąda jak najmocniéj, pociechy przewielebnego ojca Macieja Cardoso.

Kanonik odrzucił serwetę, i wstał mówiąc, aby mu podano jego *sombrero* (parasol).

—»Wasza przewielebność zapomina się; wychodzić na czczo w taki upał! Cóż znaczy kilka minut prędzéj czy późniéj?

—»Idzie o zbawienie duszy! odpowiedział kapłan surowym tonem, którego rzadko bardzo używał, względem swojéj staréj gospodyni.

To rzekłszy, poszedł do szpitala Sgo Krzyża. Tam zaprowadzono go do łóżka, na którém znajdował się człowiek młody jeszcze, ale przedwcześnie znękany nieszczęściem. Oczy miał zapadłe, lica wychudłe, a kilka rzadkich i białych włosów, pozostało tylko na jego czole wybladłém i zmarszczkami okrytém.

Z goryczą uśmiechnął się do kapłana, wyciągnął do niego rękę, i pozdrowił go po imieniu. Don Cardoso z podziwieniem spojrzał na chorego, lecz go nie poznał.

— »Czy nie przypominasz sobie mój ojcze, o młodym malarzu i o nagrobku Kamoensa?

—»Ach! zawołał kanonik: nieszczęśliwy młodzieńcze!

—»Ach! tak jest, nieszczęśliwy i bezrozumny! żem ścigał za szyderczém widziadłem,

---

(2) Andrzéj Zurbara malarz hiszpański w szesnastym wieku. Jego obrazy są to po większej części odosobnione postacie Zrobił sławne obrazy Filipa II, Filipa III. i xięcia Oliwares. Jest on Michałem-Anıolem Hiszpanii.

cin.org.pl

które bezustannie uciekało odemnie, a które usiędzie na moim grobie i okryje go wieńcami. Mój ojcze! pobłogosławiłeś umierającego Kamoensa; pobłogosław umierającemu Zurbarze.

—»Ten człowiek jest w obłąkaniu; odezwał się lekarz: rozumie że jest geniuszem jak Kamoens, biedny szaleniec!

Umierający podźwignął się na łożu, dał znak aby mu podano węgiel tlący się w kadzielnicy chłopczyka z chóru, który przyszedł pomagać przy obrzędzie ostatniego namaszczenia.

Tym węglem, silną jeszcze ręką, nakreślił szybko na murze, głowę umierającego Chrystusa. Szczytny wyraz téj głowy, przejął wszystkich widzów uwielbieniem i przestrachem.

Wycieńczony tém wysileniem, malarz upadł na posłanie, z pogardą odwrócił się od obecnych, i wlepiając bolesne spojrzenie w swoje ostatnie dzieło, skonał.

—»Okropny wypadek! biedny młodzieniec! jakże jest godzien politowania!

Politowania! przerwał chłopczyk posługujący w chórze: Politowania! kiedy zostawia nieśmiertelne imie.

—»Milcz! rzekł kapłan do chłopca. Milcz Murillo i uklęknij; odmówmy modlitwy za umarłych.

Przewielebny ojciec Maciej Cardoso, dopełniwszy pobożnie obowiązków swoich. wrócił smutny i zamyślony; nie podobna mu było nic wziąść w usta, mimo nalegań Małgorzaty.

Jeżeli kiedy będziesz w Lizbonie, odwiedź szpital Sgo Krzyża. Pokażą ci łoże, na którém umarł Kamoens i Zurbara; pokażą ci troskliwie zachowany za szkłem kawał muru, na którém jest wyrysowana głowa Chrystusa przez Zurbarę; a twój przewodnik dokończy opowiadania temi słowy: »W tém także szpitalu, Murillo sławny malarz hiszpański, był chłopcem śpiewającym w chórze.

N. Berthoud.

## ZADZIWIAJĄCY PRZYKŁAD POJĘTNOŚCI SŁONIÓW.

(z niemieckiego.)

Mały oddział żołnierzy wschodnio indyjskiéj kompanii, przeznaczony do strzeżenia śpichrza napełnionego ryżem; musiał śpiesznie odstąpić od niego, dla poskromienia rozruchu w sąsiedniéj wiosce. Dwóch żołnierzy pozostało jeszcze przy tym śpichrzu, gdy się zdarzył następujący przypadek. Natychmiast po odejściu oddziału, pokazała się przed spichrzem trzoda dzikich słoniów, którą już od dawna postrzegano w okolicy. Przed niemi szli wywiadywacze, którzy zaraz wrócili się do gromady, a gdy zapewne powiedzieli jéj językiem do którego żadnego nie potrzeba było tłomacza, iż nikt nie pilnuje śpichrza, cała gromada szybkim krokiem podstąpiła pod ten budynek. Gdy w wojennym szyku byli tylko o parę łokci od muru, zatrzymali się nagle i zaczęli czynić przygotowania do napadu. Nic nie może bydź porządniéjszém i ostrożniejszém jak ich postępowanie. Spichrz zmurowany był z mocnéj palonéj cegły, wązki i jedyny otwór tego budynku, znajdował się w połowie wysokiego dachu i trzeba było iśdź tam po drabinie. Za zbliżeniem się słoniów, dwaj pozostali żołnierze, schronili się na drzewo, unikając nieochybnéj śmierci. Postępowanie tych czworonogich napastników, wzbudziło w nich najmocniéjszą ciekawość z bijącém sercem przypytrywali się ich działaniu. Ci dwaj widzowie zasłonieni byli liściami i gałęziami drzewa, przed oczyma tych zwierząt, mogli jednakże widzieć wszystko.

Gdyby drzwi były u śpichrza, zniknęłyby wszelkie trudności; ale murowane ściany ciężką stawiały przeszkodę. Nie zrażone słonie wzięły się do roboty. Jeden z nich, ogromnemi kłami opatrzony, pracował czas niejaki nad zrobieniem wyłomu, ale po niejakim czasie wyczerpały się jego siły i cofnął się, wystąpił po nim drugi, i podobnież bez skutku odejśdź musiał. Zbliżył się trzeci, założył kły swoje jak lewar i z niesłychaną mocą niemi dźwigał, aż nareście udało mu się jedną cegłę podważyć. Po tém łatwiéj było wyruszyć inne, a gdy już dostateczny uczyniono otwór, rabusie weszli wewnątrz składu. Ponieważ cała gromada nie mogła pomieścić się od razu, wchodzili więc po trzech albo czterech, aż dopóki nie najedli się wszyscy. Jeden z tych którzy najpierwsi weszli, stanął był potém na czatach, a widząc że powraca oddział żołnierzy, wydał krzyk przenikliwy. Na ten znak, słonie wyszły ze spichrza i wszystkie udały się w pobliskie bagna, sitowiem porosłe.

---

## E T N A.

Mówiąc o wulkanach czytelnikom naszym, zwracamy ich uwagę na jedno z najwspanialszych zjawisk natury, a biorąc Etnę za główny przedmiot tych uwag, wybieramy jeden z najsławniejszych wulkanów, z którego o wszystkich innych możemy sobie uczynić zupełne wyobrażenie.

W Europie znajdują się wulkany tylko we Włoszech i w Islandyi. W Azyi jest ich daleko więcéj, ale tylko wulkany Kam-

czatki dobrze są znane; jest ich sześć a ich wybuchy ponawiają się często. Na wyspach Kurylskich liczą ich piętnaście, dziesięć w Japonii; o wulkanach w Chinach i Mongolii, mało mamy wiadomości. Wyspy Filipińskie, Maryańskie, Mołuckie, Sumatra i Jawa, wstrząsane są podziemnemi ogniami; utrzymują, że na wyspie Jawa jest 48 dotąd gorejących wulkanów.

Wulkany Afryki nie są jeszcze opisane jak należy. W Ameryce, działanie ogni podziemnych, rozciąga się wzdłuż całéj téj części świata, od południa do północy. Pan Humbold dokładnie zwiedził i opisał wulkany znajdujące się w górach Andes. Na wyspach Antylskich są także wulkany. W ogóle, można liczyć przeszło dwieście kraterów wyrzucających ogień na całéj kuli ziemskiéj. Fenomena wszystkich, podobne są do tych, które okazuje Etna w Sycylii, najdawniejszy i najwznioślejszy wulkan Europy.

Za zbliżeniem się do téj sławnéj góry, uderza widok przyrodzonych piękności kraju, wspaniałości widoku, żyzności i płodności gruntu, a obok tego klęsk zrządzonych przez wściekłość wulkanu. Jego wierzchołek śniegiem okryty, czysto odbija się na pogodnem niebie. Przebywszy zaludnioną i uprawną okolicę, dostajemy się przez przestrzenie popiołów i piasku wulkanicznego, do lesistéj części góry, znajdujemy tam *grotę kóz*, znaną także pod nazwiskiem *groty Anglików* dla tego, że mnóstwo podróżnych z tego narodu nocuje tam, wstępując na wierzchołek Etny. Wyżéj lasów, nierówność i spadzistość drogi coraz się powiększa; już nie można jechać i wkrótce dotykamy się śniegu. Wówczas droga staje się jeszcze bardziéj utrudzająca, po stwardniałéj powierzchni ziemi. Pośliźnięcie się byłoby niezmiernie niebezpiecznem, gdyż na téj pochylonéj powierzchni lodów, trudno byłoby zatrzymać się w upadku. Tak z nie małym trudem dochodzimy do *angielskiego domu*, miejsca przytułku, zbudowanego w 1810 za staraniem Anglików, zajmujących wtedy Messynę. Nie zawsze można się tam dostać, z powodu śniegów wznoszących się w około. W niejakiéj odległości na prawo, widać *wieżę Filozofa*, inne miejsce przytułku, także zbudowane już od dawna, a które jakby cudem jakim dotąd oszczędziły trzęsienia ziemi i potoki lawy. Z tego miejsca jest jeszcze osiemset stóp do wierzchołka Etny, z kąd w dzień pogodny można objąć spojrzeniem, przestrzeń mającą pięćdziesiąt mil francuzkich w średnicy; to jest całą prawie Sycylią, Kalabryą, wierzchołek Wezuwiusza i szczyty wyspy Malty.—Etna wybuchała ogień jeszcze w czasach bardzo odległéj starożytności. Diodor sycylijski, najpierwszy o niéj wspomina, ale nie oznacza epoki pierwszego wybuchu. Wiemy z Tucydydesa, że zdarzył się jeden na 734 lat przed erą chrześciańską. Wirgiliusz w Eneidzie kreśli poetyczny obraz tego wulkanu.

Port wielki i bezpieczny od wiatrów igrzyska,
Lecz strasznemi ruiny huczy Etna bliska:
Już chmurę zaczernioną z kurzącéj się smoły,
Wyrzuca na powietrze z białemi popioły.
I aż pod gwiazdy wznosi kule płomieniste!
Już oderwawszy góry wnętrzności skaliste,
Wyrzyga: i kamieni płynących roztopy,
Z głębi dna jęcząc, miota pod niebieskie stropy.

Wielki krater na wierzchołku góry, wyrzuca słupy dymu i płomieni, i ogromne odłamy skał rozpalonych, które po tem w jego łono wpadają. Niektóre dosięgły jak mówią, nadzwyczajnéj wysokości, bo aż do sześciu tysięcy stóp. Roztopione zaś lawy, które tyle klęsk zrządzają, wychodzą z niższych kraterów i pożerają lasy, wioski, niszczą żyzne pola, a niekiedy nawet odpychają morze zdala od jego brzegów.

Wybuch Etny w roku 1669 był jednym z najstraszliwszych i najpamiętniejszych. Góra rozpadła się wzdłuż, bo na cztery mile długości, a szpara była na sześć stóp szeroka. Inne szpary otworzyły się równoodległe od pierwszéj, z łoskotem, który na trzynaście mil w około słyszano. W nocy widać było wychodzący jasny płomień. Potok lawy, albo raczéj ognista rzeka, szeroka przeszło na milę, podstąpiła aż pod mury miasta Katana, i przeszedł przez nie, chociaż wysokie były na sześćdziesiąt stóp. Trzysta domów spłonęło w mieście. Nakoniec główny potok, wysoki na czterdzieści stóp a szeroki na 1800, utorował sobie drogę aż do morza, przebywszy przestrzeń mil pięciu. Lawa na w pół płynna, opóźniona w biegu swoim przez nierówność gruntu i posuwając się śpieszniéj górą aniżeli dołem, nie płynęła już, ale toczyła się z okropnym świstem aż do morza, gdzie utworzyła ogromną groblę, przykładającą się teraz do zabezpieczenia portu. Podczas tegoż samego wybuchu, skała mająca pięćdziesiąt stóp kubicznych, wyrzucona ze wnętrza góry, nakreśliła niezmierną linię półkolistą i zagłębiła się o 25 stóp w piasku wulkanicznym, o jednę trzecią część mili od krateru. Głazy dosyć znaczne spadły o pięć mil od wulkanu, a deszcz popielny zupełnie tamował światło dzienne. Wiatr zaniósł te popioły aż na wyspę Maltę, o 50 mil odległą.

Kratery Etny, podobnie jak wszelkich innych wulkaów, mają kształt przewróconego ostrokręgu. Wybuch oznajmia się kolumną dymu, wznoszącą się bardzo wysoko, i przedstawiającą kształt sosen włoskich. Po nim następują trzęsienia ziemi; kamienie rozpalone do czerwoności, wyla-




tują w powietrze. Jest to najświetniéjsza chwila, którą poeci i malarze, usiłują wystawić. Nareście lawa dosięga brzegów krateru, wylewa się z niego i spada po bokach góry. Jeżeli ściany krateru zarwą się w części, strumień ognia płynie tym wyłomem, a w takim przypadku ciepło i płynność utrzymuje się dłużéj i lawa daleko niżéj zstępuje. Jéj odpływ trwa czasem przez kilka miesięcy. Odłamy skał w proch zmienionych, wychodzą razem z lawą i to nazywają wulkanicznym popiołem; kłęby gęstego dymu, ciągle wybuchają z krateru, oraz wytryski wody białéj jak bawełna; tym zjawiskom towarzyszą fenomena elektryczne, nakształt błyskawic i piorunów: jest to wspaniały i straszliwy obraz.

Etna wspaniale się wznosi na podstawie mającéj dwadzieścia pięć mil obwodu, wysoka jest 11,000 stóp nad poziom środziemnego morza. Od czasu jak zasięgają podania historyków, naliczono trzydzieści jeden wybuchów Etny; ostatni był roku 1809, a najstraszliwszy w r. 1669 wspomniany powyżéj, w którym oprócz zniszczenia Katany, zginęło 18,000 ludzi.

---

CENA PRENUMERATY

## MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, W KANTORZE GŁÓWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiej Nro 470 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp 10.

Na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych rocznie zł 24, półrocznie złp 13.

Można także prenumerować na Urzędach Pocztowych zagranicznych, oraz u następujących xięgarzy:

w Kaliszu u Jahnischa

w Radomiu w xięgarni tamtejszéj.

w Lublinie u Streibla.

w Poznaniu u T Scherka

w Krakowie u Friedleina i Czecha

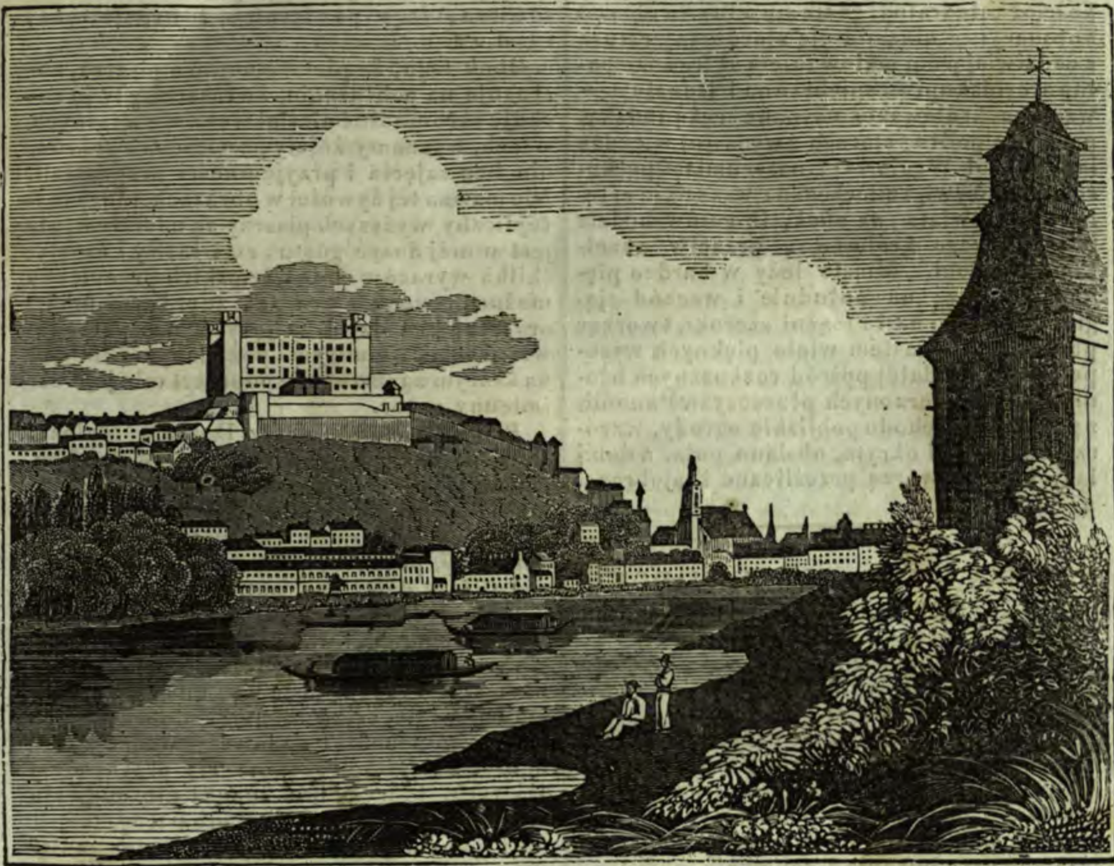
w Wilnie u Zawadzkiego,

w Winnicy na Podolu i) w Kamieńcu Podolskim ) w xięgarniach braci Lechów.

Osoby prywatne na prowincyi zamieszkałe, któreby raczyły dopomódz upowszechnieniu pożytecznych nauk, przez zatrudnienie się zbieraniem prenumeraty, otrzymają na 10 exemplarzach 11sty gratis.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.

w Warszawie, w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiej Nro 470 Lit D



# PREZBURG.

Prezburg, po łacinie Posonium, w języku węgierskim Posony, po sławiańsku Presspurek, przez długi czas stolica Węgier, leży na 409 stóp nad powierzchnią morza, u zniżającego się pasma Karpatów, na lewym brzegu Dunaju. Początek i nazwisko tego miasta, giną w czasach odległéj starożytności Rzymian, albo też w epoce wielkiego mahrańskiego królestwa, które Madżarowie zniszczyli i cały kraj pomiędzy rzekami Waag i March zdobyli. To miasto, po większéj części zaludnione teraz Niemcami, było ważnym punktem nadgranicznym, przeciw Niemcom i Czechom, podzielało dobre i złe powodzenia wojen prowadzonych z temi dwoma narodami, otrzymało wiele przywilejów, i nie raz odbywały się w nim posiedzenia sejmu węgierskiego. Burgrabia Prezburski zamykał szereg wielkich baronów państwa. Kiedy Turcy połowę Węgier i stolicę Budę zabrali, Prezburg stał się wtenczas trwałą stolicą sejmu i miastem koronacyjném, najmocniejszym centralnym punktem królów z habsburskiego domu, strażnicą świętéj korony, siedliskiem wszystkich władz naczelnych, a prymas królestwa długi czas mieszkał w niém, nawet wtedy, gdy już całe królestwo oswobodzone zostało z pod władzy Turków. W tém to mieście 11 Września 1741 zebrały się stany państwa, pośród których okazała się Marya Teressa z półroczném dziecięciem na ręku i usłyszała święcie dotrzymane przyrzeczenie: *Moriamur pro rege nostro Maria Theresia.*

Aż do roku 1780, był Prezburg stolicą sejmu i władz naczelnych, najpiękniejszém i najlepiéj zaludnioném miastem królestwa, ale po tém przewyższyły go miasta Pest, Buda i Dobreczyn, od czasu, gdy Cesarz Józef II. przeniósł do Budy główne władze. Mimo tego, odprawowały się tam w r. 1790, 1802, 1805, 1808 i 1811, sejmy i koronacye. Wojna z francuzami roku 1805, zakończyła się zawartym w Prezburgu pokojem. Wojna roku 1809, znaczne klęski temu miastu zrządziła. Przez bombardowanie spłonęło w niém 103 domów, a bardzo wiele uszkodzonych zostało. W roku 1811, spłonął aż do gruntu zamek królewski, przez nieostrożność żołnierzy stojących tam kwaterą. Prezburg razem z przedmieściem Blumenthal, liczy około 32,000 mieszkańców. Niemiecki język i obyczaje, mają tam górę nad sławiańskim i węgierskim. Handel i przemysł, kwi-

tnie w tém mieście; znakomitsze gmachy są: kościół katedralny, gdzie się odbywa obrzęd koronacyi — niezmiernie starożytny ratusz z zadziwiającém malowaniem al fresco — pałac arcybiskupi — spichrze nad Dunajem — wzgórze królewskie usypane ręką ludzką, na które podług starego zwyczaju, wjeżdża konno król Węgierski, natychmiast po koronacyi i wywija mieczem na wszystkie cztery części świata, na znak, iż gotów będzie bronić swego królestwa, przeciw wszelkim napadom. Miasto leży w bardzo pięknéj okolicy; na południe i wschód ciągnie się Dunaj na 130 sążni szeroki, tworząc pod samém miastem wiele pięknych wysepek, i płynie daléj pośród rozkosznych błoniów i niezmierzonych płaszczyzn Panonii; z północy i zachodu pobliskie ogrody, wzgórza winnicami okryte, obsiane pola, a daléj lasy i góry, tworzą prześliczne krajobrazy.

---

## KRONIKA LITERATURY I WIADOMOŚCI NAUKOWYCH.

*Jan Rawicz powieść obyczajowa z XIX wieku. Warsz: w druk: Dzien: Powsz: nakładem autora,* 1835, 2 *tomy zł.* 6.

Jan Rawicz młody człowiek, którego rodzice stracili majątek smutnym zbiegiem okoliczności, przymuszony jest rozstać się z matką, i udać się do Warszawy, aby tam po wydoskonaleniu się w naukach, mógł otrzymać urzędowanie i zapewnić sobie sposób do życia. Nie znalazłszy pomocy u dawnych przyjaciół ojcowskich, doznał iéj od ubogiego człowieka, przekupniarza ciastek, który mu w szczupłéj izbedce swojéj, ofiarował schronienie. W tym samym domu mieszkała wdowa nazwiskiem Remboszowa ze swoją córką Anielą. Jéj wdzięki zajęły serce Rawicza. Lecz Aniela stała się przedmiotem intryg i zamachów Lisowicza, człowieka wylanego na wszystko złe, gracza z rzemiosła, nie wzdrygającego się nawet popełnić zbrodnię, jeźli tego dla dopięcia zamiarów swoich potrzebuje. Lisowicz, sztyletem rani Rawicza, wykrada Anielę i wywozi ją z Warszawy. Rawicz i jego stary przyjaciel Jakób B*** udają się za ich śladem, wynajdują po długich trudach i powracają matce. Okazuje się nareście, że Aniela nie jest córką Remboszowéj, ale owocem tajemnego zamęźcia Bronisławy W** bogatéj i znacznego urodzenia osoby. Związek Anieli z Rawiczem, ustala szczęście młodzieńca. Oto jest rama téj powieści. W jéj obrębie umieścił autor, obraz młodego Edwarda Z***, jego roztrzepanego życia, wieczorów na grze i hulance przepędzanych, zabaw towarzystwa wiejskiego w domu, dokąd Rawicz wstąpił szukając swojéj kochanki, intryg i przewrotności Lisowicza, jego powiernicy i wspólniczki, i t. d. i t. d.

Obok tego, że pierwsza praca pisarza, zasługuje na pobłażanie, zwłaszcza gdy ją cechuje skromność i nieśmiałość we własnych siłach, wyznamy żeśmy powieść *Jan Rawicz,* nie bez zajęcia i przyjemności przeczytali. Nie ma ona téj żywości w obrazach, które małéj liczby wyższych pisarzy są udziałem, ale jest w niéj dosyć gustu, styl łatwy i czysty; (kilka wyrazów cudzoziemskich przecieżby można usunąć), a w tak zupełnym braku oryginalnych dzieł w języku naszym, powieść ta będzie miłym i pożądanym płodem, na którym zapewne nie poprzestanie jéj bezimienny autor.

*Rady dla matek*, przez Doktora Malcza.

W zarysie dzieł wyszłych w roku zeszłym, wspomnieliśmy o Radach dla matek i przyrzekliśmy obszerniéjszą udzielić o nich wiadomość: pośpieszamy z uskutecznieniem téj obietnicy, przekonani bowiem jesteśmy, że mało jest dzieł tak potrzebnych i użytecznych.

Wydając to dzieło, zamierzył sobie autor: jak wyraża we wstępie: skierować wrodzone macierzyńskie uczucie, ku prawdziwemu należycie zrozumianemu dobru dzieci. Oświeceńsze matki uznawszy ważność rad w nim zawartych, staną się przykładem dla tych, którym brak nauki nie dozwala korzystać ze zbawiennych przestróg.

»Pięknem jest wasze powołanie: mówi autor do matek: wydanemu przez was potomstwu zachować i osłaniać życie, zdrowie i siłę, w pierwszych leciech istnienia. Do was należy, i tylko wy zdołacie czuwać nad tém, aby ta roślina wątła, pod przyjaznym wpływem świata zewnętrznego, darzyła się, rosła i zakwitła; by, z czasem dojrzawszy, wyborne wydała owoce.»

Śmiertelność zbyt wielką panującą pomiędzy dziećmi, przypisuje w znacznéj części błędnemu ich prowadzeniu w pierwszych chwilach i latach dzieciństwa. Wskazawszy jak świętym jest obowiązkiem dla matki, osobiście zajmować się dozieraniem dziecięcia, zwraca jak największą uwagę na rozwijanie się fizycznych i umysłowych sił w pierwszym zakresie jego życia. Szczegółowo po tém traktuje:

1. O zachowaniu się ciężarnych w czasie ciąży. — 2. Obejście się z nowonarodzonem dziecięciem. — 3. Karmienie dziecięcia nowonarodzonego piersią macierzyńską — 4. Karmienie dziecka przez mamkę. — 5. Karmienie dzieci bez piersi. — 6. Pokój położniczy i izba dziecięcia. — 7. Odsadzenie dzieci od piersi. — 8. Żywienie dzieci, po odłączeniu od piersi. — 9. Odzienie i okrycie dzieci. — 10. Sen i czuwanie: — 11. O powietrzu czystém. —

http://rcin.org.pl

12. Ochędóstwo, mycie i kąpanie. — 13. Ruch dzieci i noszenie, Początki chodzenia, Zabawy. — 14. Kształcenie władz umysłowych, Nauka. —

Odsyłamy troskliwych rodziców do samegoż dziełka, gdzie wszystkie przestrogi oparte są na doświadczeniu i do przekonania trafiają. Kończymy to zdanie sprawy o *Radach dla matek* uwagami, ktore autor zamieścił na końcu, względem kształcenia władz umysłowych dziecięcia.

»Jeszcze wiele jest rodziców, kosztem fizyczności swych dzieci, umysł ich zawcześnie rozwijających i kształcących; nie od rzeczy tedy będzie, kilka przynajmniéj w téj mierze dodać uwag.

»Jednostajne, harmonijne kształcenie spoczywających w dziecku usposobień i władz, stanowi zadanie i cel wychowania. Żadnéj władzy, żadnego usposobienia nie dała natura człowiekowi bez celu; to tedy wychowanie będzie najlepsze, które, ile się to zrobić da, rozwija uśpione władze, nie zaniedbując jednych, ani rozwijając innych kosztem pierwszych.

»Przez wychowanie powinny tedy siły fizyczne, obok władz moralnych, w równi bydź rozwijane i kształcone.

»Żeby zaś w tej mierze wychowanie zupełnie odpowiedziało, potrzeba 1) w wychowaniu iść za naturalnym porządkiem, w którym rozmaite usposobienia i władze, jedne po drugich rozwijają się; i 2) w daléj posuniętém dzieciństwie, gdy się równocześnie rozwijają fizyczne i moralne dziecka władze, nie chcieć żadnéj z nich jednostronnie, zawcześnie, z zaniedbaniem innych rozwijać. Dosyć to są znane prawdy, mało wszakże osób idzie za niemi.

»W najwcześniejszém dzieciństwie wykształca się mianowicie ciało. Dopiero z końcem pierwszego roku ocucać się zaczynają władze umysłowe, z następnemi laty coraz bardziéj rozwijające się.

»Im więcéj tedy kształcenie ciała przeważa rozwijanie się władz umysłowych, tém jest młodsze dziecię. Dla tego, naturę za przewodnika wziąwszy, należy nam się w pierwszych czasach więcéj zajmować ciałem aniżeli umysłem dzieci. Nie rozumie się przez to, żeby zupełnie z widoku spuszczony był umysł; owszem, wcześniéj zaczynać się powinno wychowanie moralne, aniżeli może myśli nie jedna matka; lecz to kształcenie serca nie powinno odbywać się przez właściwą, do pewnych godzin przywiązaną, regularną naukę, ale przez moc przykładu, przez wczesne przyuczanie do posłuszeństwa. Wcale niedorzeczną jest, pamięć i inne władze umysłowe dziecka obciążać, i regularną szkolną nauką natężać; a tak cztero lub pięcioletnie dziatki, posyłać do szkoły, lub przytrzymywać do regularnego uczenia się w domu. Nie tylko z tego nie korzystają, ale obmierza im nauka; jakie zaś skutki z tego na dal, każdy to łatwo pojmie.

»Przed upłynionym siódmym rokiem życia, nie należałoby przytrzymywać dziecka do nauki. Lepiéj jest, żeby do tego czasu przez ruch ciała, bieganie, skakanie, igranie i inne chłopięce zabawy, ukształcało i wzmacniało ciało, zmysły zewnętrzne wprawiało i zaostrzało; aby świat i tworzące go przedmioty poznawało, a pamięć ich wyobrażeniami bogaciło.

»*Il faut savoir perdre du temps pour en gagner*, mówi słusznie Rousseau w swoim Emilu.

»*Mądre dzieci nie starzeją się*: przysłowie bardzo dawne, bardzo prawdziwe; którego znaczenie należycie pojmuje się, przejąwszy się tém, co dotąd powiedziane było. Jakoż uczą lekarzy doświadczenia, że to są zwykle dzieci słabujące, z usposobieniem do skrofuł, u których ukazuje się tak niezwyczajnie wczesne rozwijanie władz umysłowych; że, przyjemne to dla rodziców wszystkowiedztwo dzieci, zwykle najsmutniéj się dla tych ostatnich kończy.

»Przez podane tu przepisy, osiąga się zamierzony cel każdego porządnego wychowania.

«UMYSŁ ZDROWY W CIELE ZDROWÉM.»

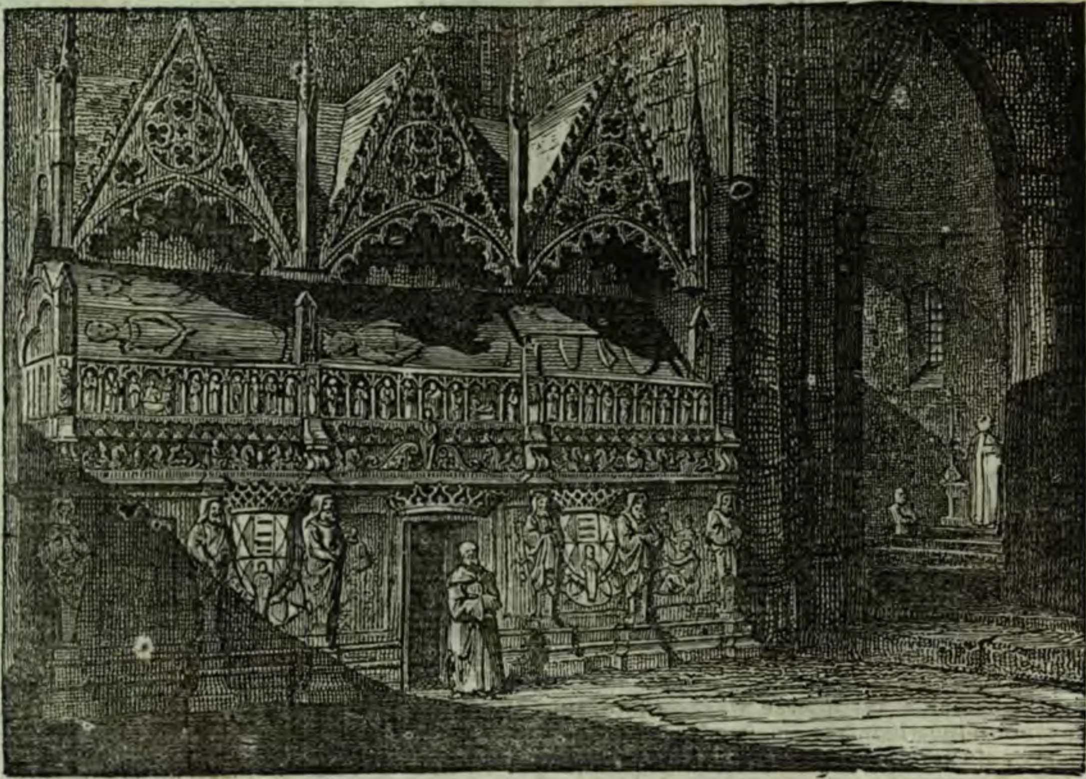
---

## GROBY KROLÓW ARRAGONII.

Bardziéj niżeli wszelkie inne pomniki grobowe, groby monarsze pobudzają do rozmyślania. Ale nie każde z nich czynią w tymże samym stopniu, tak głębokie wrażenie. Saint-Denis, Westminster, Eskuryal, wzniesione pośród innych gmachów, wśród wrzawy i ruchu życia, nie mają w sobie nic takiego, coby wzbudzało religijne uczucie, i usposabiało do dumania, gdy tymczasem opactwo Poblet gdzie spoczywają zwłoki królów Aragonii, działa na umysł i serce i odwiedzającego wcześnie przygotowywa do wzruszeń, które nań pod grobowem czekają sklepieniem.

W środku wesołéj i żyznéj Katalonii, w dolinie zwanéj *Canea de Berbera*, pod cieniem gór wzniosłych, stoi nieregularna budowa opactwa Poblet. Podwójny okręg jego wzniosłych murów, opatrzonych blankami, czyni je z razu podobném do warowni; ale ten wyraz wojenny zmienia się im bardziéj przybliżamy się: wszystko w około przybiera ciche i uroczyste znamie. Wkrótce, pobożne przeznaczenie téj budowy, oznajmia się wielkim krzyżem z szarego marmuru. W pierwszym dziedzińcu mającym 2,154 stóp obwodu, zwracają uwagę widza, posągi Sgo Bernarda i dwóch siostr jego, Maryi i Gracyi,

http://rcin.org.pl



GROBY KROLÓW ARAGONII.

które z rąk Maurów otrzymały koronę męczeńską. Nim tam wejdą, odwiedzający powinni złożyć broń; najwięksi monarchowie, najmężniejsi rycerze poddali się temu zwyczajowi i powierzyli broń swoją cichemu zakonnikowi strzegącemu wnijścia. Największe panuje milczenie i samotność pod drzewami zasadzonemi w tym drugim dziedzińcu. Czasem tylko przechodzi się wolnym krokiem, mnich w białej szacie z kapturem na głowie; czasem zabrzmią dzwony i dojdzie do ucha pomieszany szmer pieśni kościelnych. Zdrój którego wody spoczywają pod gotyckiém sklepieniem, surowa i jednostajna architektura gmachów klasztornych, powiększa jeszcze smętność tego miejsca; z klasztoru wchodzi się do kościoła mającego kształt krzyża, z powodu rozkładu trzech jego naw; z których najwyższa ma 92 stóp wysokości. W obrębie pomiędzy tą nawą a chórem, wyłożonym białemi i czarnemi flizami, stoją po obu stronach groby królów. Tam wiecznie palą się lampy grobowe i świece; tam bez ustanku modlą się kapłani czuwający nad królewskiemi zwłoki.

Cały ten pomnik spoczywa na podstawie z marmuru białego z prostemi ścianami, które zdobią obrazy, herby i rzeźby; nad nią jest galerya, między kolumnami której są nisze, a w nich wydane w płaskorzeźbie postaci świętych; wyżéj spoczywają wyobrażenia królów: ich zwycięztwa, ich czyny i obrzęd pogrzebny, wyryte są na kamieniu grobowym; posągi ich żon, spoczywają obok. Sklepienie grobów jest z drzewa, zbogacone malowaniami, wyzłacaniem i lekką rzeźbą. Postaci sześciu królów Aragonii, znajdują się na tym pomniku: Alfons 2gi, który panował przy końcu 12go wieku i przeniosłszy władzę swoją za Pireneje, przyłączył do państwa Aragonii, prowincye Bearn i Russillon — Jan I. nie wsławiony żadnym świetnym czynem, i Jan II nie tylko z tego sławny iż był ojcem założyciela monarchii hiszpańskiéj Ferdynanda katolickiego, ale że był odważnym, przedsiębierczym że jego okręty nałożyły daninę władzcy Stambułu; że na swojéj osiemdziesięcioletniéj głowie nosił korony Walencyi, Nawarry, Sycylii i Sardynii. Z drugiéj strony, spoczywa Jakób I. przezwany zdobywcą, Piotr IV. i Ferdynand I. syn króla Kastylii, którego po wygaśnieniu prawéj dynastyi, zgromadzone stany państwa powołały do tronu. Widać ztąd, że nie wszyscy sławni królowie Aragonii, leżą w tych uprzywilejowanych grobach.

http://rcin.org.pl

Podstawa wydrążona w sklepieniu, obejmuje niższy rzęd grobów. Dwa z nich przytykające do filarów, utrzymujących pomnik, zasługują na wspomnienie. W jednym umieszczono zwłoki największego z królów Aragonii, Alfonsa V.(w 15stym wieku)w drugim infanta Xcia Henryka, syna Ferdynanda Igo.

Hrabia Barcelony Rajmund Berenger, założył opactwo Poblet. Królowie Aragonii, a mianowicie Alfons II. i Ferdynand II. powiększyli je i upięknili. Opactwo Poblet słynące cudami i świętobliwością zakonników, szanowane było nawet przez Maurów, gdy ten kraj mieli w mocy swojéj. Liczne dotacye uczyniły je jednem z najbogatszych w Hiszpanii i siedem baronostw należy do jego dziedzin.

## WYJĄTKI
### Z DZIENNIKA PODRÓŻY PO ZACHODNIEJ CZĘŚCI GALICYI.

....Okolice Tarnowa niepospolitą mają fizjonomią; południowa część mianowicie, objawia pierwszemu zaraz wejrzeniu, że jest rodziną Tatrów, aczkolwiek drobną, tak się mającą do pnia swojego, jak my do naszych ojców przedpotopowych. Okazałe garby rozmaitej wielkości, kształtu i kierunku; to napół lasami obwieszone, to całkiem odziane czernią, to smugami pól uprawnych strojne, i równiankami gęstych wiosek okryte; pożłobione rozdołami tym głębszemi, tym przepaścitszemi, im dalej w góry idą; obwiedzione u podnóża kobiercami łąk najświeższych i wstęgami potoków zmiennéj barwy, według chmurnego lub wesołego nieba, igrających śród pogody, jak sarna przyswojona, a za pierwszym deszczem wzburzonych, niszczących wszystko, jak drapieżny zwierz wściekły, jednem słowem, nieugłaskanych, dzikich jak przyroda, która poczęła je: oto są pierwsze schody godne majestatu łomnickiego szczytu i Krywania. Płaszczyzna, która się od nich poczyna, i pochyla się nieznacznie przez mil kilka ku Wiśle, podnosi swoją jednotonnością tę rozmaitość, a odosobniona góra ś. Marcina, panująca z jednej strony nad Tarnowem i jego niskiemi polami, z drugiej nad drobniejszą pobliskich wzgórzów rodziną, zdaje się, że stoi na straży przed niemi; że jest kopcem, odgraniczającym dziedzinę gór od płaszczyzn. Takie są główniejsze rysy okolicy, którą przecina gościniec wiodący z Tarnowa ku Krakowu. Kierunek jego jest ze wschodu na zachód. Po lewej stronie panują wzgórza, prawą zalegają niziny. Droga, niska z początku, przechodzi kryty most na Białej, pomija brzezinę koszycką, i podnosi się nieznacznie przez pół mili, aż stanie na równi ze wsią Zgłobicami; skąd poraz pierwszy dają się widzieć Tatry, o mil dwadzieścia stąd odległe, a tuż pod nogami biały Dunajec i dolina Wojnicka.

Dwie mil od Tarnowa, po drugiej stronie Dunajca, leży miasteczko Wojnicz: małe i nieporządne ale dawne i historyczne. Autor dzieła: Żywoty ŚŚ. polskich utrzymuje pod życiem Bolesława śmiałego (na mocy podania zapewne) że kobiety niewierne oddalonym mężom, obawiając się kar srogich ogłoszonych na nie przez króla, okopały się w tém miejscu z kochankami i zacięcie broniły się królewskiemu wojsku; zwalczono je nakoniec, a Bolesław na pamiątkę tak dziwnéj wojny założył to miasto, i Wojniczem je nazwał. Bądź co bądź, lecz i dziś jeszcze można widzieć, w południowej stronie Wojnicza okopy niezwykłej wysokości. Podanie to dziwniéj uderza inną okolicznością. O pół mili na południe wznosi się góra zwana babią lub panieńską, jej wierzchołek obwarowany okopami większemi jeszcze jak wojnickie; gdzie także kobiety (jak niesie podanie) bronić się miały; sama ich nazwa przydaje podaniu powagi. Miejsce to przez wyniosłość swoją panujące nad przestrzenią kilkunastu mil kwadratowych, musiało naturalnie myśl moją uderzyć. Chciałem je zwiedzić i dopełniłem tego. Było to 20 Kwietnia. Niebo pogodne, ziemia rozjaśniona, na odległych okolicach mgła oddalenia: zgoła poranek, jakich mało w porze wiosennéj.— Wstąpiłem na górę od strony wschodniej, od Dunajca: płaszczyzna zamknięta pasmami wzgórzów, między któremi Dunajec płynie, zdaje się być jego dziełem, i można wierzyć łatwo powieściom, że koryto tej rzeki, ocierało się kiedyś o panieńską górę. Sama góra ze trzech stron podnosi się od razu nad płaszczyznę; tylko od strony zachodniej łączy ją przesmyk wyżyny z pasmami innych wzgórzów, rozbiegających się późniéj w różne strony. Boki jej zasiane do pewnej wysokości krzakami jałowcu; gdzie niegdzie ustępy niekształtnych małych dolin; na jednej z nich w stronie wschodniej, bliżéj wierzchu niż spodu, zródło najczystszéj najświeższej wody; od południa kilka chatek, niemal zupełnie ukrytych w dolinie, a wyżéj dopiero, prostopadłe prawie ściany okopu. Okrążywszy północny bok wzgórza, wszedłem na grzbiet jego od zachodu i usypaną przez fossę drożyną wszedłem pomiędzy wały. Na stanowisku tak wzniosłém, piérwszy hołd mimowolny składamy pięknościom natury. Sto razy pojrzałem do koła, nim potrafiłem ogarnąć, com widział, nim mogłem zdać so-

http://rcin.org.pl

bie rachunek ze wzruszeń, jakich doświadczałem natenczas.

Zwiedziwszy gruzy Melsztyna, umyśliłem korzystać z przejazdu pod panieńską górę, i dokładnie z jej okopów przypatrzéć się okolicy. Wyjaśnione nadzwyczaj powietrze, słońce schylające się za mną ku zachodowi, a tém samém cała dolina wyraźniej w jego blasku odmalowana, z resztą dobra perspektywa, sprzyjały temu zamiarowi. Ćwierć-godzinna przechadzka, postawiła mię w upragnioném miejscu. Na południe miałem dolinę po której błąkał się biały Dunajec: pręga jego rozjaśniona spuszczającém się słońcem, czysta i szeroka, wypłynąwszy z pomiędzy wyżyn, które południową część widokresu zamykały, błąkała się okazale między górami, co w dwóch równoległych prawie rzędach podnosiły się z obu stron doliny, i odbijały pęd niestałej wody, dopóki ta znużona bezskuteczném usiłowaniem, nie rzuci się na dolinę wojnicką, na rozległe pole swobodnego już biegu, aż do swego połączenia się z Wisłą. Kilka wiosek, liczne załomy pagórków, i pola śród lasów lisiejące, urozmaicały południową część mego krajobrazu; a daleko, daleko nad wody, doliny i piętrzące się w kilka stopni wzgórza, panował widok skalistych Tatrów, jak korona okolicy, ukuta ze srebra śniegu, i mrocznej barwy opok, które przez odległość wydawały się mgłą wpółprzejrzystego obłoku. Zupełnie różny, a nierównie rozleglejszy leżał kraj od północy. Z tej strony mordowały się oczy po płaszczyznach, w całém znaczeniu tego wyrazu. Aby mieć jakiekolwiek pojęcie tego obrazu, potrzeba sobie wystawić powierzchnią kilkunasto-milowej równiny, której wyniosłości, jeżeli są jakie, nikną z punktu, gdzie stałem; powierzchnią najrozmaiciej ubraną we wszystko, drzewa, wody, pola i mieszkania ludzkie, co natura dzika i ukształcona, śmiejąca się i zachmurzona, dostarczyć mogą; pełną życia, pełną wesela. Począwszy od Panieńskiej góry, przy której stopach Wielka-wieś tuż leży, nieustannie rozwijają się postępującemu oku, i dłuższém coraz półkolem, wieńce z najrozmaitszych przedmiotów uplecione. Bliżej, między rozległemi polami, między gromadą gęstych, obsadzonych sadami wiosek, uderza cię Wojnicz, białym swoim kościołem i grupą miejskich domów; dalej jak gaj nadwodny, przytykają do Dunajca, Mikołajewice; jeszcze w dalszém pasmie wiosek śnieżne płatki kościoła Wierzchosławic, i pomieszkań wiejskich; jeszcze dalej cała puszcza niepołomska, nadwiślańskie piaski, ledwo już dojrzane mury Radłowa, Dunajec rozpleciony w kilka smug jasnych, a za tém wszystkiém, ciemna, mglista zasłona świętokrzyskich borów; przydaj do tego rzęd wzgórzów to łysych, to wsiami osiadłych, to lasami najeżonych, z piersiami to zielonemi i okrągłemi, to uciętemi prostopadle, odkreślających dolinę ze wschodu; przydaj ozwierciadlający te wzgórza Dunajec; przydaj most na Dunajcu, i wielki gościniec ożywiony snującym się ciągle rojem podróżnych, i białych bryk kupieckich; a będziesz miał dolinę wojnicką. Jeżeli po tém wszystkiém nie dostrzeżesz w mojém malowidle piękności, jakich się spodziewałeś to nie wina przedmiotu, ale moja.— I tak być musi: bo żadne odbicie natury, bądź w barwach, bądź w słowach, nie potrafi jej schwycić; nie potrafi oddać tych skarbów, tego uroku, z których ani myśl, ani oczy nie zdadzą rachunku i sobie i drugim. Aby temu zadosyć uczynić, potrzebaby całość obrazu objąć w jednéj chwili, jak ją jedném rzutem oka ogarniamy i w jedném słowie, w jednym dźwięku całość przedstawić; ale gdzie musisz użyć zimnego rozpatrzenia się i martwego języka, tam zawczasu powiedz sobie: może zachęcę innych, że zechcą uczuć, co ja czułem, więcej ani przyrzekam, ani dotrzymam.

Drugi dzień Wielkiej nocy jest dniem dziwnej zabawy, spólnej wszystkim prawie stronom dawniejszej Polski: mówię tu o oblewaniu kobiet wodą. W tarnowskiém zowią ten obrzęd smigus; początku jego nie mogłem się dowiedzieć.— Maski mają także w tym dniu miejsce. Dwóch parobków, udających, jeden niedźwiedzia, drugi cygana, chodzili po chatach, i odpowiedne swoim rolom wyprawiali sztuki, a w nagrodę o smigus prosili.— Lud ten w tarnowskiém, są właściwie Krakowiacy, a przynajmniej kiedyś jedném plemieniem być musieli, prawie te same obyczaje, charakter, wesołość, duch tańca i pieśni; mniej trochę dziarskości i widoczniejsze moralne poniżenie. Ubior ich ten sam w barwach i kroju, co krakowski, tém się różni, że mniej widać wykwintnych ozdób i dobrego bytu: ta różnica, w kobietach szczególniej uderza. Nie miałem czasu i zręczności wejrzeć w ich życie umysłowe; ale z kilku powieści, które przypadkiem zdarzyło mi się słyszeć, przekonałem się, że i tutaj, jak w każdym ludzie, życie to jest czynne; z przyjemnością udzielam czytelnikom, wyjątek z ich, że tak powiem, literatury gminnej, jest to powieść o Iskrzyckim.

Pewien Pan w okolicach Tarnowa (nazwisko osoby i miejsca niewiadome) potrzebował ekonoma. Jak raz jawi się nieznajomy człowiek, powiada, że się zowie Iskrzycki, i prosi, aby jemu ten obowiązek powierzyć chciano. Pan przystaje; przy-

http://rcin.org.pl

chodzi do umowy, poźniej do zgody, nakoniec do kontraktu; już i kontrakt podpisany, już go pan wręcza nowo przyjętemu, kiedy z nienacka postrzega, że Iskrzycki nieludzkie ma pazury. Zmięszał się obywatel, waha się niejakąś chwilę, w końcu zrywa całą umowę, i służbę Iskrzyckiemu wypowiada. Ale Iskrzycki ani da sobie mówić o odprawie, przysięga że raz podpisawszy kontrakt, musi mimo woli pana dopełnić wszystkich jego warunków; z tém zapewnieniem wychodzi i ginie. Odtąd nie pokazał się już nikomu; ale obrał sobie mieszkanie w piecu, i z tamtąd wszystkie usługi najgorliwiéj na każde zawołanie pełnił. Państwo bali się z początku; pomału tak przywykli do niewidzialnego sługi, tak byli pewni jego dobrych chęci, że wyjeżdzając z domu, oddawali mu dzieci w dozór. Z tém wszystkiém przykre było pani gadanie sąsiadek, że w domu swoim diabła przechowuje; nastaje tedy na męża, aby na czas pewny przemienić mieszkanie. Mąż wypełnia wolę żony, i bierze dzierżawę gdzieś za Wisłą; wyjeżdżają na nowe siedlisko, radzi, że z djabła zażartowali. W drodze wypadło przebywać jakieś miejsce, tak złe i niebezpieczne, że pani krzyknęła ze strachu; aż tu za powozem dało się słyszeć: »Nie bój się pani, Iskrzycki z wami!« Zdumieni państwo, pomiarkowali, że nie było sposobu rozstania się z tak wiernym sługą, wrócili więc do domu, i żyli z nim w dawnéj zgodzie, poki termin kontraktem oznaczony nie rozłączył ich na zawsze.

Zacząłem drogę do okolic Nowego-targu, z radością, że przecież niebawnie przypatrzę się owym Tatrom, które dotąd z daleka tylko, w niewyraźnych rysach, jak sen proroczy, spokojność moją prześladują. Deszcz ulewny i późny wyjazd z miejsca, były przyczyną, że nie wiele tego dnia widziałem, i nad zamiar bliski miałem nocleg, bo tylko o mil dwie od Wojnicza, w miasteczku Zakliczynie. Po drodze nie spotkałem innych osobliwości nad dolinę, którą już z panieńskiéj-góry wprzódy obejrzałem. Przebywszy nie daleko panieńskiéj-góry Dunajec, minąłem Janowice, i wkrótce byłem w Lusławicach. Swięcki w opisie starożytnéj Polski powiada, że ta wioska, niewielka dzisiaj, miała bydź przed laty znaczną osadą, a nawet jakiś czas stolicą Arjanów. Według jego zdania mieszkało tu do 300 rodzin arjańskich, mieli oni w Lusławicach drukarnią i szkoły. Tutaj umarł i pogrzebiony jest sławny Socyn; dotąd lud miejscowy pokazuje wysoką jego mogiłę, ogromnemi drzewami ocienioną.

(*Z Noworocznika Ziewonia.*)

## KALAO NOSOROŻEC (Buceros).

Trudno byłoby wyobrazić sobie, że są ptaki obciążone dziobem tak wielkim jak ten którego wyobrażenie załączamy. Gatunek ten widocznie upośledzony od przyrodzenia, znajduje się w Afryce i Wielkich Indyach, żaden ptak nie ma cięższego i niezgrabniejszego dziobu, i zdaje się iż na to go utworzono, aby biednemu stworzeniu utrudnić jedzenie i prawie je nie podobném uczynić.

Przyczepiony do głowy zbyt małéj w proporcyi, dziób ten długi na stopę, zagięty w kształt kosy, ledwie zdoła pochwycić żywność, i to jeszcze ledwie sam koniec służy do użytku; daléj bowiem dwie jego części nie łączą się wcale. Jest przy tém tak słaby i kruchy, iż łamie się za najmniejszém potarciem, i dla tego biedne te ptaki nie mogą schwycić swojego łupu bez potrzaskania dzioba, tak dalece, że po krótkim przeciągu czasu, jest poprzebijany, wyszczerbiony, zębaty jak ostrze popsutego noża.

Ta niedoskonałość mogłaby jeszcze bydź wynadgrodzona w części, językiem dużym i czynnym jak u dzięcioła: Kalao nie posiada go bynajmniéj, jego język niezmiernie mały i krótki, bezużytecznie przylepia się do głębi podniebienia, i nawet nie służy tak jak inne języki ptasie. Mimo tego, upośledziony ten dziób ma swoją ozdobę, która czyni go jeszcze niewygodniejszym; na wyższéj części wznosi się narość rogowa, długa na osiem cali, a na cztery szeroka przy podstawie, która wysunąwszy się naprzód, zakrzywia się w górze jak róg nosorożca. Dziób więc już i tak słaby, obciążony jest jeszcze tym bezużytecznym ciężarem.

Kalao Nosorożec długi przeszło na trzy stopy, od głowy aż do końca ogona, ma niejakie podobieństwo z krukiem, którego także przypomina pierzem swojém. Pierze to czarne, świecące się z niebieskawém odbiciem na całem ciele, ma tylko biały pas przy końcu ogona. Czarne i płaskie rzęsy, otaczają jego powieki. Aż dotąd Kalao w składzie swoim nie przedstawia nic coby spojrzenie razić mogło, ale dziób jego nadaje mu głupowatą i nieszlachetną postać. Róg jego czyli szyszak jak go nazywają, jest pięknego czerwonego koloru w wyższéj części, żółty jak szafran przy końcu, dwie linije czarne ciągnące się wzdłuż, dzielą go na dwie części. Dziób, czarny przy podstawie, przybiera przy końcu kolor żółto-czerwony, tak iż dziwacznością kształtu i barwy; zwraca uwagę. Dziób ten szkodliwy ma wpływ na charakter i obyczaje tego ptaka. Jak wszystkie istoty upośledzone od natury, podobnie i Kalao jest smutny i posępny. Ciężko siedząc na wysokiéj gałęzi zeschłego drzewa, głowę pochyla w

http://rcin.org.pl



KALAO NOSOROŻEC.

tył, a szyję chowa między skrzydła, aby mu łatwiéj było dźwigać swój ciężar; zdaje się bydź zamyślony i przygnębiony uczuciem swego nieszczęścia. Nie zna on wesołych podskoków, igraszek, piosnek, czeka w ponurém utęsknieniu, dopóki głód nie zniewoli go do przykréj czynności, do wyszukiwania pożywienia. Nie może żywić się orzechami i innemi owocami, nie może dosięgnąć żyjącéj zdobyczy, musi więc szukać jéj w szczątkach biesiady innych zwierząt drapieżnych, w wyrzuconych jelitach zabitego bydła; idzie za myśliwcami na dziki i bawoły; rzuca się na ścierwo i pożera je tak żarłocznie jak sępy. Nie pogardza świeżém mięsem; ale bardzo rzadko może go dostać. Jaszczurki, owady, żaby, a przypadkiem myszy, szczury i małe ptaszki; oto jest jego najznamienitsza zdobycz. Niekiedy je chwyta mimo ciężkości swego chodu. Ponieważ nie może ich poszarpać i zżuć, długo zatém gniecie je między szczękami, a po tém podrzuca w górę tak, aby w padły w jego szerokie gardło. — Ten rodzaj ptaków, składa się z dziesięciu gatunków. Naturaliści uporządkowali je stósownie do wielkości rogu, znajdującego się nad dziobem.

---

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Warszawie, w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D



PRZEJŚCIE PO DRABINACH
W GORACH ALPEJSKICH.

http://rcin.org.pl

„...Uszedłszy blisko trzy ćwierci mili, przewodnik mój zatrzymał mię za rękę i rzekł. Jużeśmy stanęli na miejscu.

W rzeczy samej, byliśmy w niejakiéj grocie, mając pod stopami naszemi wierzchołek skały prostopadłéj, na osiemset stóp wysokiéj, przy podstawie któréj płynie rzeka Dala, a po lewéj pierwszą z sześciu drabin, tworzących związek między kąpielami Louesche i wioską Albinnen, któréj mieszkańcy musieliby trzy mile obchodzić, gdyby nie zrobili téj nadpowietrznéj drogi.

Własnemi oczyma musi widzieć to przejście, kto chce wyobrazić sobie niesłychaną śmiałość mieszkańca Alp. Położywszy się na brzuchu, dla uniknienia zawrotu głowy, spojrzyj na pieniące się pod tobą o osiemset stóp niżéj, nurty Dali, a potém wstań, wstąp na pierwszą drabinę, rękami i nogami wdrap się na cypel skały na którym stoi druga; a gdy tam staniesz i zaprzeczysz przewodnikowi że nigdy żadna ludzka istota nie może zapuszczać się taką drogą, usłyszysz śpiew goralski brzmiący w powietrzu i o sto stóp nad tobą postrzeżesz wieśniaka z owocami, strzelca z giemzą, kobietę z dziecięciem na ręku, i iśdź będą do ciebie tak obojętnie i szybko, jakby po zielonéj pochyłości wzgórzów naszych.

Przewodnik zapytał się czyli chcę iśdź w górę. Podziękowałem; zaczął śmiać się. »To fraszka, rzekł do mnie: nadchodzi kobieta, zobaczysz jak się piąć będzie w górę. W rzeczy saméj, młoda dziewczyna wracająca z Louesche, weszła na drabinę i wkrótce stanęła na wązkim cyplu, gdzieśmy się ledwie we trzech pomieścić mogli; a potém szła daléj, z tą tylko ostrożnością, że spięła suknię swoją tak, iż ze spódnicy zrobiła sobie pantalony.

Patrzeliśmy na nią, gdy w tem, mężczyzna pokazał się na wierzchołku trzeciéj drabiny; zchodził na dół podczas gdy ona wstępowała w górę. Jakże się wyminą? rzekłem: nie ma na to miejsca.—»Zobaczysz pan.» Jakoż jeszcze nie domówił, a już widziałem.

Mężczyzna, z grzecznością, na którą nie wielu naszych elegantów byłoby się zdobyło w takim razie, obrócił się na prawo, a przesunąwszy się na drugą stronę drabiny, schodził pod czas gdy młoda dziewczyna wchodziła; spotkali się na środku, powiedzieli do siebie słów kilka i poszli każde w swoją drogę. To była rzecz do nie uwierzenia.

Człowiek ten przeszedł koło nas. Czy widzisz tego zucha? rzekł Waller:

—»I cóż?

—»Dziś wieczorem o siodméj, wypije cztery butelki wina, wyjdzie z karczmy pijaniuteńki, obali się ze trzydzieści razy na drodze od kąpieli aż do pierwszéj drabiny, a mimo tego przebędzie to przejście, i bez przypadku wróci do domu. Już od lat dziesięciu czyni toż samo.

—»O tak! i zabije się nareście.

—»Co? on! może schodząc do piwnicy, ale tu nigdy. Czyliż to nie ma opieki nad pijakami?

—»Mój przyjacielu! ta opieka nie rozciąga się nademną, bo mi się w głowie zaczyna kręcić.

—»A więc zejdź czémprędzéj i nie zrób tak jak pan B....

—»Jaki pan B...? rzekłem, gdyśmy już zeszli.

—»Ach! pan B...! pójdźmy tu, opowiem to zdarzenie.—Szliśmy więc—»Pan B..., mówił daléj mój przewodnik, był ajentem wexlowym.

—»Tak jest, przypominam sobie jak przez sen.

—»Stracił cały majątek, ażyoterując papierami publicznemi. Musisz pan wiedzieć co to ma znaczyć, jesteś bowiem z Paryża.

—»Wiem jak najlepiéj.

—»Otóż więc stracił wszystko. No i cóż robi? zabezpiecza życie swoje. Czy rozumiesz pan, życie swoje? to jest że jeżeli umrze, wtenczas odziedziczy pięćkroć stotysięcy franków. Ja tego dobrze nie rozumiem, jest w tém jakiś przeklęty galimatias, ale może pan znasz się na tém. (1).

—»Jak najdoskonaléj.

—»To dobrze. Otóż tedy przyjeżdża do Szwajcaryi z pewném towarzystwem. Jedna z dam rzekła przy śniadaniu. »Pojedźmy zobaczyć Drabiny.

—»A dobrze: rzecze pan B... pojedźmy tam.

Po śniadaniu wsiedli na muły i wzięli przewodnika. Pan B... miał swoją myśl i rzekł: »Ja pójdę piechotą—i poszedł.

Przyszedłszy na to miejsce... patrzaj pan, tu na tę maleńką pochyłość, nic nie znaczącą jak się zdaje... Nie zbliżaj się pan do samego brzegu, jest ślizgo i tam jest pięćset stóp głębokości.—»O czémże mówiłem?

—»Przyszedłszy tu...

—»A tak... Przyszedłszy tu, pozostał się w tyle towarzystwa, usiadł i rzekł do swojego przewodnika. »Poszukaj mi dużego kamienia, ale dużego, rozumiesz.»—»Dobrze. Przewodnik poszedł, nie domyślał się niczego. Za pięć minut powrócił z kamieniem, i ledwie go przydźwigał. »Masz pan, rzekł, oto jest, jeżeliś z niego nie kontent, nie łatwo znajdziesz lepszy.

— Upadam do nóg, nie było nikogo. Tylko widać było na murawie mały ślad obsunięcia się, od miejsca gdzie był siedział pan

(1) Poczciwy Szwajcar nie wiedział o towarzystwach zabezpieczenia na życie, w których można opłacać aż do śmierci pewną kwotę corocznie, za co towarzystwo, wskazanym dziedzicom wypłaci zapisany kapitał.

http://rcin.org.pl

B... aż do krawędzi przepaści. Nie trzeba się pytać czyli przewodnik zaczął wołać. Wtedy wszyscy przybiegli. Jeden z panów rzekł: »Mój przyjacielu, masz dukata, zajrzyj w tę przepaść. Przewodnik nie dał sobie mówić dwa razy. Jak mógł chwytał się tych krzaków i nareście zajrzał.

— I cóż? rzekł ten pan. — Ach! widać go na dole, rzekł przewodnik. Nie było żadnéj wątpliwości, ponieważ go widział.

Wtedy towarzystwo wróciło do Louesche, i posłano ludzi po ciało. Poprowadził ich przewodnik.

Za pięć godzin przyniesiono dwa koszyki napełnione mięsem ludzkiém; były to szczątki pana B...

—»Czyliż się zabił naumyślnie?

—»Nikt o tém nie wie. Towarzystwo zabezpieczenia chciało się z nim prawować jako z samobójcą; ale zdaje się że pan B... wygrał, ponieważ odziedziczył pięćkroć sto tysięcy franków.»

Słyszałem w Paryżu o tém zdarzeniu, ale przyznaję że nie tyle wrażenia uczyniło na mnie, ile teraz gdym się znajdował na tém samém miejscu: tak dalece, że gdy mój przewodnik przestał mówić, musiałem usiąść: nogi drżały podemną, a pot spływał mi z czoła.

Dziwne urządzenie naszéj społeczności! które przez rozwinięcie przemysłu i handlu, podaje człowiekowi myśl takiego poświęcenia, i pozwala mu ażyoterować nawet na śmierć swoją!

(Z Wrażeń Podróży, Alex: Dumas).

## ZWIERCIADŁO PALĄCE.

Umieszczając w piśmie naszém artykuł o fantazmagoryi, mieliśmy na celu upowszechnić wiadomość z fizyki, mogącą przyłożyć się do zbicia wielu przesądnych mniemań. Podobnym względem powodowani, dajemy teraz wiadomość o zwierciedle palącem.

W roku 212 przed erą chrześciańską, Rzymianie pod dowództwem Marcellusa, uderzyli na Sycylią i oblegli Syrakuzę. To miasto słabo obwarowane, nie mogłoby oprzéć się przemożnym siłom nieprzyjacielskim, ale był wtedy w Syrakuzie człowiek, którego geniusz sam wart był tyle co potężne wojsko.

Był to Archimedes.

Między wynalazkami które posłużyły mu do odparcia szturmu Rzymian, Polibiusz, Titus Liwiusz i Plutarch, z uwielbieniem wspominają o palących zwierciadłach, za pomocą których, rzucił, jak mówią, ogień słoneczny na flotę nieprzyjacielską i spalił ją gdy podstąpiła pod mury Syrakuzy.

Ta historya, o któréj nie wątpiono przez szesnaście wieków, późniéj podana została w wątpliwość, a nareście poczytana za bajkę, ponieważ zaginął sposób osiągnięcia takich samych rezultatów. Jednakże, palące zwierciadła, nie są większym cudem jak inne wynalazki starożytne, podobnież zatracone. Rozkaż tegoczesnym mechanikom, aby podźwignęli ogromny kamień, kończący największą piramidę egipską. Nie dokażą tego, zaprzeczyliby nawet możności uskutecznienia, gdyby ten kamień umieszczony na wierzchołku olbrzymiego pomnika, nie poświadczał o sile machin, których używali starożytni, a któréj nie możemy wyrównać.

Wynalazek Archimedesa, uchodził przeto za bajkę w oczach filozofów osiemnastego wieku, i łatwiéj im było zaprzeczyć jego istnienie, aniżeli go wznowić. Sam nawet Kartezyusz uważał za kłamstwo, palące zwierciadła. Nareście Buffon, przez doświadczenia swoje zbił tych wszystkich, którzy zaprzeczali prawdy Polibiuszowi, Liwiuszowi i Plutarchowi.

Wspomniemy tylko o głównych rezultatach jego doświadczeń.

10 Kwietnia po południu, podczas pięknéj pogody, spalił za pomocą stu dwudziestu ośmiu zwierciadeł, deskę sosnową, w odległości stopięćdziesięciu stóp. Zapalenie nastąpiło nagle, w całéj obszerności ogniska, mającego szesnaście calów średnicy.

Powiększając liczbę zwierciadeł, zapalono deskę o dwieście do dwóchset dziesięciu stóp odległości. Podług twierdzenia Buffona, możnaby tego dokazać o czterysta stóp i daléj.

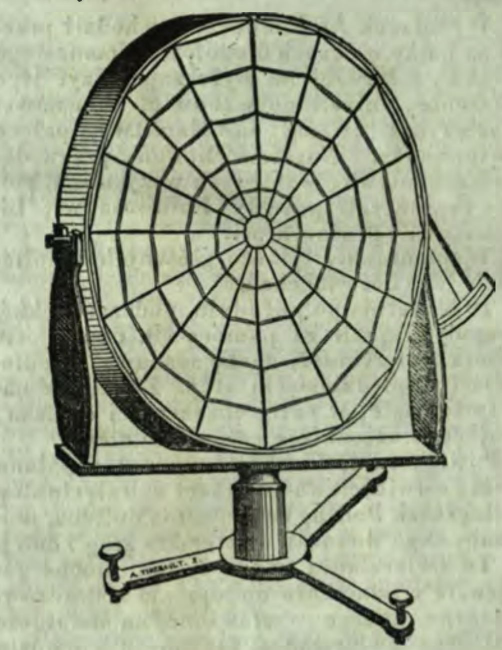
Te zwierciadła tworzyły tak mocne gorąco, iż wystarczało do topienia kruszczów. Srebrne talerze wystawione na działanie palącego zwierciadła, złożonego z dwóstu dwudziestu czterech zwierciadeł, roztopiły się w przeciągu ośmiu minut, w odległości czterdziestu pięciu stóp.

W tém miejscu dodać jeszcze potrzeba, że zwierciadło palące, składa się z pewnéj liczby zwierciadeł wklęsłych, tak ustawionych, aby wszystkich ogniska w jeden punkt zbiegały się; zwierciadło zaś wklęsłe ma tę własność, że odbite promienie słoneczne zbiera w jeden punkt, podobnie jak wypukłe szkło palące: z tą różnicą, że szkło wypukłe, zbiera te promienie za sobą, a zwierciadło wklęsłe przed sobą. Kilkanaście lub kilkadziesiąt tak połączonych ognisk, dają gorąco tak mocne, jakiemu najmocniejszy ogień nie wyrówna.

Po takich rezultatach, ani wątpić można o spaleniu flotty rzymskiéj, gdyż u starożytnych z bliska walczono. »Gdy okręty rzymskie podstąpiły pod miasto na jeden rzut włóczni: mówi autor starożytny: Archimedes przygotował sześciokątne zwierciadło

http://rcin.org.pl

i inne mniéjsze; umieścił je w stósownéj odległości tak, że można je było poruszać; a tak były ułożone, iż promienie słoneczne odbite o zwierciadło, złamały się i wznieciły wielki ogień, który zniszczył okręty rzymskie, odległe o jeden rzut pocisku.» Rzut ten nie może bydź większy jak na sto pięćdziesiąt stóp; tak więc palące zwierciadło Buffona, zastąpiło zwierciadło Archimedesa. Na nieszczęście, ustawienie tego zwierciadła jest trudne i wiele czasu zabiera. Pół godziny potrzeba na zastósowanie go do każdéj odległości;pod tym przeto względem, zagadnienie mechaniczne jeszcze nie było zupełnie rozwiązane.

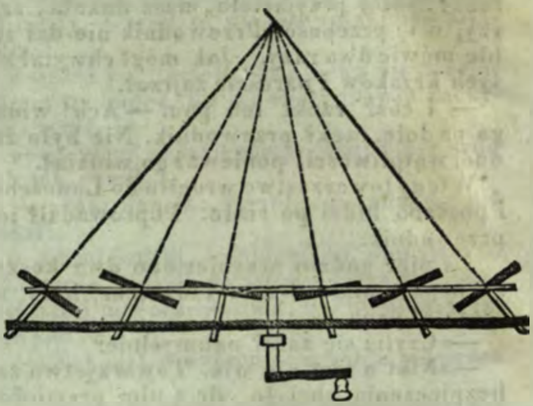


*Palące Zwierciadło.*

Pan Robertson wynalazca wielu trafnych instrumentów fizycznych, wznowił doświadczenia Buffona i szczególniéj zajął się wyszukaniem prostego mehanizmu, za pomocą którego mógłby dowoli i natychmiast, zmieniać ognisko palącego zwierciadła.

Po wielu usiłowaniach, trafił na następujący sposób:

Układa wszystkie zwierciadła tak, aby ich ogniska zbiegały się w punkt jeden, każde zwierciadło ruchome jest na swojéj osi, przez co może pochylać się ku środkowi; ma prócz tego rękojeść: wszystkie te rękojeści osadzone są w fugach, wyrobionych w okrągłéj płaszczyźnie, równoodległéj od powierzchni palącego zwierciadła. Jeżeli tę płaszczyznę obrócimy na jednę stronę lub na drugą, pochyłość fug, coraz większa dla zwierciadeł bardziéj oddalonych od środka, zmusi rękojeści zwierciadeł przybrać kierunek mniéj lub więcéj pochylony; ale zawsze taki, aby wszystkie ogniska zbiegały się w jedno.



*Przecięcie palącego Zwierciadła.*

Tym sposobem w miarę jak przedmiot zmienia położenie swoje, można natychmiast zmieniać kierunek ogniska i uskuteczniać palenie.

---

## WYJĄTKI
### Z DZIENNIKA PODRÓŻY PO ZACHODNIEJ CZĘŚCI GALICYI.

(Wyciąg drugi.)

O mil trzy na wschód Lusławic leży wieś Bruśnik;na jéj gruntach znajduje się znacznéj długości pieczara, gdzie, według pewnych wiadomości, członkowie wyznania aryańskiego schadzki tajemne odbywali. Trudny i dziś wstęp do niéj, dla kamieni, któremi otwór zarzucony; ale jeszcze przed laty kilkunastą zwiedzano jéj wnętrze, i znajdowano nienaruszone kamienne wschody; ci, co tam byli, odkrywali w całym jéj składzie ślady sztuki i pracy ludzkiéj. W tych latach, słynie między ludem, jako skład niezmiernych skarbów, których szatani strzegą. Na dowód tego, podanie przytacza powieść o kulawym ślusarzu z Bruśnika, który nie dawno umarł. Śmiały ten człowiek i potrzebujący, wyśpiegował, nie wiem jakim sposobem, że w pewne dni diabli się rozchodzą, i zostawiają pieczarę bez żadnéj straży. Korzystał z pory, udał się do strasznego miejsca, nie zastał w saméj rzeczy nikogo z duchów, nabrał więc pieniędzy, ile mu się spodobało i wrócił szczęśliwie do domu. Pierwsza ta wyprawa, zachęciła go do podobnych częstszych i zawsze pomyślnych. Raz, chciwszy nad zwyczaj, zabawił przy rabunku dłużéj niż wypadło; diabli nadchodzą, łapią go na gorącym uczynku; nieborak znalazł przynajmniéj dość czasu, wymknąć się rozgniewanym duchom; ale uciekając,

tak pośpiesznie drzwi za sobą zatrzasnął, że mu piętę ucięły i z tej przyczyny chromał aż do śmierci.

Zakliczyn styka się prawie z Lusławicami; słynie błotem i szewstwem. Szewstwo, w dawniejszych czasach, było głównem zatrudnieniem jego mieszkańców; zaopatrywali oni tym artykułem najdalsze strony Galicyi. Główne ich jarmarki były w Brzesku; pośpiech, z jakim zdążali do tego miasta, o mil cztery z tąd leżącego, został w przysłowiu: śpieszy, jak szewc z Zakliczyna; upodobanie do tego rzemiosła, objawia się i dziś jeszcze, w charakterze tutejszych mieszkańców; i dziś jeszcze, liczą do 400 rodzin, trudniących się szyciem butów, co, zważając ludność miasteczka, zdaje się rzeczą niepodobną.

Okolice Zakliczyna charakteryzuje szczególniej, starożytny zamek melsztyński, a właściwie, jego rozwaliny. Wznoszą się one po drugiej stronie Dunajca, o pół mili od Zakliczyna, względem tego miejsca na zachód. Wzgórze, podmywane od Dunajca, jest ich posadą. 11go Lipca postanowiłem je zwiedzić; a że moczary zalegają wielką część niziny, przymuszony więc byłem kołować na wieś Wesołów. Za Wesołowem przeprawiłem się przez Dunajec i kępami dojechałem do podnóża melsztyńskiej góry. Uboczą rozdołu, który z północnej strony oddziela melsztyńską-górę od innych, doszedłem do otworu, w szczątkach północnego muru; a żem był znużony spieką i przykrą ścieszką, chciałem najprzód spocząć w takiem miejscu, zkądbym zarazem i widok miał jakiś. Po skruszonych więc murach, w których ślady pokojów dostrzedz można, dostałem się na cypel góry, wiszący nad odnogą Dunajca, z kąd miałem na oku trzy prawie boki wzgórza, i całe półkole niziny, z krążącemi koło niej wyżynami. Dzieło to ludzkie, spojone jest z dziełem odwiecznego budownika, w całem znaczeniu tego wyrazu. Mury zamku z prostopadłą ścianą góry, zdaje się, tworzą najściślejszą jedność; zniszczenie nawet zarówno oboje dotyka; ziemia tu, jak matka, dzieląca los ukochanego dziecka, popękała pod rodzinnemi gruzami; cały bok urwany i poryty skutkiem niebieskich i ziemskich powodzi, nasterczony powywracanemi drzewy; pogarbiony ogromnemi bryłami, obdzierającej się co rok ziemi, tworzy dziwną harmonię zniszczenia, z osuwającym się Melsztynem. Ochłodziwszy się winem i kilką poziomkami, które bardzo pięknie i obficie rosną wśród tych gruzów; podziękowawszy za nie miejscowemu duchowi, ofiarującemu podróżnym ten skromny posiłek, jakby przez wdzięczność za nawiedzenie jego dziedziny, udałem się grzbietem góry ku zachodniej wieży, najokazalszej i najlepiej jeszcze dochowanej części tych gruzów. Wieża jest kwadratowa, obwiedziona wysokim murowanym tarasem, żadnego już na niej pokrycia trzy ściany w zupełnej całości, czwarta, znacznie u góry wyszczerbiona; w niektórych oknach dochowują się z ciosanego kamienia futryny, ale wewnątrz próżna: tylko na ścianach ślady sklepień, z których się piętra kiedyś kształciły. Podziemna dawniej część wieży, zawalona gruzami upadłych sklepień, zarasta bzem dzikim i innem zielskiem. Kiedym ją tak oglądał, i przy pięknym krzaku dzikiej róży, składał z jej kwiatów równiankę pamiątki, postrzegłem zbliżającego się ku mnie człowieka; pozdrowiliśmy się wzajemnie. «To wy zapewne tu mieszkacie?» zapytałem go, wskazując na chatkę opartą o mur północny. »Nie, ale nie daleko, zaraz pod górą, we wsi Melsztynie.» »Zapewne wiele wiecie o tym zamku, i zechcecie nam opowiedzieć, co wiecie? »Jakże nie mam wiedzieć, odpowiedział, już to ośmdziesiąt lat z górą, jak żyję na tym świecie. »Pojrzałem na niego z prawdziwem zadu mieniem; na głowie żadnego włosa siwego, wszystkie zęby, twarz pełna i czerstwa, postawa prosta, w każdym poruszeniu moc i żywość, nie zgadzająca się żadną miarą ze zgrzybiałością ludzi podobnego wieku. On tymczasem dalej mówił: »Ja tutaj urodziłem się i mieszkałem, nim poszedłem do wojska; panowie Tarłowie, panowie Lanckorońscy, do których ten zamek należał, za mojej pamięci żyli. Jaki to mocny był zamek! a jakie piękne i bogate pokoje! Nie raz, nie tysiąc razy chodziłem po nich; dziś jeszcze mógłbym panom pokazać, gdzie co stało.» »Właśnie też was o to prosimy.» Starzec chętnie się przychylił do naszej proźby, poprowadził nas kilkanaście kroków wstecz ku zachodowi, aż nad głęboką fossę, która odcinała posadę zamku, od reszty góry, coraz rozłożystszej, i mówił: »Z tej tylko strony można było do zamku wjechać; przez tę fossę był most zwodzony, a tutaj, gdzie stoimy, brama. »Zwróciliśmy się potem ku wschodowi. »Na tej wieży, po prawej ręce, siedziała straż, co bramy pilnowała; na pierwszem i drugim piętrze, były piękne pokoje, a pod spodem w ziemi więzienie; jeszcze nie dawno można było do niego wchodzić; dalej, jak panowie tę dziurę widzicie między drzewami, to jest studnia, tak głęboka, że jej dno było równo z wodą Dunajca. Dunajec płynął wtedy aż pod samą górą; a od spodu studni szedł aż do niego podziemny kanał; cała studnia wyłożona była ciosanym kamieniem; można było dojść aż do wody, bo im wyżej, tym się coraz bardziej rozszerzała; nie dawno powybierali z niej panowie kamienie, że były bardzo duże i ładne, a ona przez to się zasypała. Na prawo, równo ze

http://rcin.org.pl

studnią były stajnie, jedne w ziemi, a drugie na wierzchu, właśnie w tych samych murach: tylko że się już wszystko zawaliło. Zaraz od stajni, jak te ściany, zaczynały się pokoje; pod spodem były więzienia, a kogo tam raz posadzono, już ten więcéj świata nie zobaczył; na prawéj ręce tych pokojów była kaplica zamkowa; cały zamek, ach! jaki był piękny, trudno opowiedzieć; wysoki, jak wieża, na trzy piętra, pod czerwoną dachówką; szkła w oknach były różnego a różnego koloru. Z téj strony na lewéj ręce, jak panowie widzicie ten kawałek muru, nad tą chatką, taki mur szedł od bramy aż do pokojów, nic tu nie stało, tylko w murze dziury do strzelania były. Te drzewa jak są dzisiaj, tak i dawniéj rosły, tylko, że niektóre starsze poschły, a drugie mniejsze, dzisiaj są wielkie. Mówili starzy ludzie, ale tego za mojéj pamięci już nie było, że, jak panowie tę górę, gdzie zamek stoi, widzicie, (a góra bardzo wysoka) tak od zamku aż na drugi brzeg Dunajca, stał most na słupach, precz! nad te pola, nad ten las, aż tam, na drugi brzeg rzeki; że można było, jak z dachu spuścić się od zamku za rzekę... Zamek ten zburzony był pod czas zaburzeń krajowych, między 1768 — 73 rokiem. Od tego czasu nikt już tu nie mieszkał; zamek coraz bardziéj pustoszał; a późniejsi panowie brali kamień i dachówkę na gorzelnie, na stajnie, zwyczajnie na to, do czego były przydatne. Nagrodziliśmy Wojciecha Kareckiego (tak się ten starzec zowie) i, kilkakrotnym rzutem oka, pożegnawszy te gruzy, odeszliśmy drogą, którąśmy przyszli.

## KRONIKA LITERATURY I WIADOMOŚCI NAUKOWYCH.

*Rys krótki Historyi Ludu Żydowskiego w Europie, jako wstęp do dziejów ludu tegoż na ziemi Polskiéj. W Krakowie drukiem Józefa Czecha*, 1834. *zł.* 6.

Lud żydowski jest niezmiernie ważnym przedmiotem badań filozofa, historyka, statysty. W kraju naszym, wywiera wielki bardzo wpływ, przez swoje rozplemienie i objęcie wszelkich prawie gałęzi przemysłu, i z tego powodu zwraca ciągłą troskliwość rządu, który już od dawna nad jego oświeceniem i reformą pracuje. Jeżeli przeto historya ludu Żydowskiego, może zajmować uczonych innych narodów, pod historycznym i filozoficznym względem, dla nas jest jeszcze daleko ważniejszą: od jéj bowiem dokładnego zrozumienia zależą środki na dobro kraju wpływać mogące. Tém zatém pożądańszém i użyteczniejszém byłoby zupełne dzieło, do którego *Rys krótki Historyi Ludu Żydowskiego,* jest wstępem. Rys ten pisany jest z wytrawną pracą, któréj w naszych czasach nie wiele znajdujemy przykładów. Widać że jest długoletnich poszukiwań owocem. Na samym wstępie zwięźle i jasno wykłada autor główny pomysł dzieła swego.

»Nie zatarte piętno,(mówi) które lud żydowski w samém swojém rozproszeniu tak statecznie dochował, szczególniéjszy onegoż rodzaj istnienia, zupełnie pojedynczy stosunek, ażeby dzielić z nami wspólną prawa opiekę i korzyści, jakie postęp światła, wzrost przemysłu i celniejsze uobyczajenie Europie nadały, a zatrzymać jednak wszystkie cechy osobnego plemienia, ciągły nakoniec opór, którego rządy teraźniejsze doznają w przyswojeniu tego ludu do różnych kształtów swoich, w pociągnieniu do różnych obowiązków, w połączeniu się ściśiejszém, wspólnéj ojczyzny i wspólnych losów węzłami, czyli z winy onegoż lub z winy rządów samych pochodzi? rzecz nader ważna, aby nie ściągnęła całéj naszéj uwagi. Jeżeli więc niniejsze pismo z różnych źródeł historycznych czerpane, w saméj epoce zawojowania i rozproszenia Izraelitów, wykaże zasadę do wyświecenia tego przedmiotu posłużyć mogącą; będzie miało tę dla siebie zaletę, iż uczeńszemu i świadomszemu rzeczy krajowych pisarzowi, nie tknięte dotąd pole otworzy do pisania dziejów ludu tego na ziemi polskiéj, w tylu ważnych i licznych stosunkach z dziejami kraju naszego będącego.»

Zasadę tę upatruje autor, w postanowieniu Cesarza rzymskiego Augusta, wydaném jeszcze przed zburzeniem Jerozolimy.

»Cesarz August podzieliwszy państwo rzymskie na prowincye cesarskie, i prowincye ludu rzymskiego; ziemię Judzką i wszystkich w różnych okolicach rozproszonych żydów, do pierwszych przyłączył, ustanowił osobną dla nich kamerę, czyli Judaicum Fiscum, i jako własność korony, niecném nazwiskiem (Servi fiscales) naznamionował. Ta epoka, rozróżniająca osobną cechą naród żydowski od innych, była stanowczą, i wpływającą na dalsze losy i przygody tegoż plemienia, a przetrwawszy aż do naszych czasów, ciąży dotąd na niem, brzemiennem swojém przeznaczeniem.»

»Ustawa cesarza Augusta, podciągająca żydów pod osobny zarząd skarbowy, a tém saméin plemie to od innych ludów odcieniająca, pociągnęła za sobą, w następstwie czasów, osobne dla nich przepisy, osobny rodzaj podatkowania, osobne sądy, osobnego w stolicy pretora, i osobną a naczelną nad niemi jak rzekliśmy kamerę.»

Tak więc żydzi wyłączeni z pod praw sądowych i administracyjnych całego państwa, musieli utworzyć stan w stanie; musieli związać się ogniwem wspólnego interessu. Do téj zewnętrznej pobudki, przyczyniła się

http://rcin.org.pl

druga; to jest ustawy religijne i zaprowadzenie Talmudu, którego twórcy napełniając go takim mnóstwem drobiazgowych, zabobonnych przepisów, tém mocniejszą położyli tamę rozprzężeniu się żydów i wcieleniu ich między inne narody.

W ciągu dzieła swojego, wykazuje autor, że ustawa Cesarza Augusta, przez wszystkie przetrwała wieki. Rządy albowiem upatrując w tém pieniężne korzyści, zachowały ją jak najściślej. Następnie przechodzi autor stan ludu Żydowskiego w rozmaitych państwach Europy, od upadku Jerozolimy aż do naszych czasów; wykazuje, jak zaraz oddawszy się handlowi, umieli przeciągnąć w ręce swoje wszystkie prawie kapitały, i przez to stali się potrzebnemi rządom; jak rozmaitej doznawali kolei; jak z postępem oświaty i wzrostem ogólnego przemysłu, upadał ich wpływ i bogactwo. Wykazuje, że żydzi w każdéj ważnéj epoce, zwoływali Sanhredyn, który ustanawiał dla nich prawidła postępowania: i tak, pierwszy był po zawojowaniu Jerozolimy, drugi za Adryana Cesarza, trzeci po przyjęciu wiary chrześciańskiéj przez Konstantyna W:, czwarty w Babilonie, następnie po zjawieniu się Machometa i pod czas Krucyat: nareście w r. 1386 w Wejsnfels w Miśnii, gdy Cesarz Karól IVty zrzekł się opieki nad żydami.

»Dzieje żydów w Europie, mówi autor, obraz ciągłéj przedstawiają walki, wyższego pojęcia, trafniejszéj zdatności, subtelniejszéj zręczności, a przy tém nieugiętego przedsięwzięcia, nieodstraszonéj niczém wytrwałości, pogardy opinii, z niewiadomością ludów, najczęściéj innéj broni na przeciw tymże nieużywających, jak téj fizycznéj, która nie zdoła nigdy przekonać, a zwykle pośledniejsze, o chwytających się tejże, daje wyobrażenie.»

»Wielu przedemną w tymże przedmiocie pisało, wielu tenże zgłębiło, niektórzy zdawali się wyczerpać co tylko było do powiedzenia, ale może postać jest nowa, pod którym tenże uważam, i może pochód tak dawny, ciągle utrzymujący się z zasady w historycznem następstwie, wykazany jeszcze nie został. Zbywa dotąd na dziejopisie ludowi żydowskiemu, którył by bez namiętności kreśląc jego w towarzystwie stosunki, wyświecił tę zobopólną reakcyą z jednéj strony przez niezatarty niczém narodowości charakter, trafność w celach, niezmordowane zabiegi w osiągnieniu onychże; z drugiéj, przez przewagę liczby, opiekę rządu, panującą wiarę, działające na siebie; zbywa mówię na dziejopisie, któryby w ścieraniu się wzajemném, z jednéj strony rozpacz bezbronną w intellektualnéj przewadze szukającéj odporu, z drugiéj obawę tejże i górującą przesądnie nienawiść, w zapasach z sobą wykazał.»

Kończy dzieło swoje tą myślą, że w przyjętém jeszcze od cesarza Augusta prawidle względem żydów, trzeba śledzić przyczyn dochowania niezatartego u nich piętna narodowości; że zatém opór którego od nich rządy europejskie doznają z winy samych rządów pochodzi, a tém samém wskazując początek złego, wskazuje zarazem sposób zaradzenia onemuż.

Obszerne i liczne przypisy, połowę tomu zajmujące, świadczą o pracowitości i erudycyi autora.

---

## MANCENILLA
### DRZEWO TRUJĄCE.

Przez długi czas drzewo *Upas* na wyspie Jawa, słynęło jako najstraszliwszy utwor natury. Przerażającą potęgę zniszczenia, przypisywano temu drzewu; powietrze nawet które się jego liści dotknęło, uważano jako szkodliwe zwierzętom i roślinom. Okropny i ponure były opisy podróżników, gdy mówili o drzewie *Upas*. Za wysokiemi górami, w głębinach ciasnéj doliny, te złowróżbe drzewa, jeden las tworzące, wznosiły swoje mordercze wierzchołki. Wegetacya gasła stopniami na pochyłości gór; im się bardziéj zbliżała do tego ogniska jadowitych wyziewów, znikały wszystkie żyjące istoty. Pod zgubnym cieniem jego konarów, leżały liczne trupy ludzi, szczątki ofiar, na których *Upas* spełnił wyroki jawańskiéj sprawiedliwości: gdyż winowajcy skazani na śmierć, musieli zebrać sok sączący się z drzewa *Upas*, którym zatruwano strzały i otrzymywali przebaczenie, jeżeli wrócili z téj doliny śmierci; ale mnóstwo trupów nagromadzonych przy każdém drzewie, dowodziło, jak mała liczba mogła ztamtąd wrócić szczęśliwie.

Postrzeżenia naukowe, te okrutne wrogi uciech imaginacyi, zniszczyły tę bajkę, i *Upas* pozbawiony swojéj poetyczności i przestrachu, jest tylko pospolitą rośliną lekarską, mogącą zaledwie sprowadzić wyrzut skórny. Od czasu poniżenia jawańskiego drzewa, stopień które zajmowało, przeznaczono *Mancenilli* na wyspach Antylskich, która dotąd zdaje się usprawiedliwiać to wszystko, co mówiono o drzewie *Upas*. Ale już powstały sprzeczki o dzielności jéj trucizny i może podobnież jéj historycy przekonają się, iż się dopuścili przesady, jeżeli tylko gatunek ten nie wyginie wprzódy, nim dokładnie rozpoznanym będzie.

Mancenilla lubi zapuszczać korzenie w gruntach piaszczystych i kąpać liście swoich w falach morskich; jest wielkości orzecha, lub gruszki. Liczne konary podzielone na tysiące gałązków, wyrastają z jéj

http://rcin.org.pl



pnia, mającego grubości dwie lub trzy stopy w okręgu, i pokrytego gładką i zielonawą korą. Jéj liść przyczepiony do gałęzi na dosyć długim ogonku, tworzy owal na kilka calów długi, zaokrąglony przy podstawie, ostrzejszy przy końcu i delikatnie wyzębiony w około. Jest gładki, ciemno zielony z wierzchu, blado zielony z podspodu, i jak liście drzew północy, żyje tylko rok jeden. Kwiaty Mancenilli dosyć zwracają uwagi; kwiaty męzkie ciemno czerwone, zbierają się w nierównéj odległości w pękach po trzydzieści do czterdziestu kwiatów, na pewnym gatunku kłosa, umieszczonego przy końcu gałęzi: kwiaty żeńskie, zawsze samotne, rosną niżéj na młodych gałązkach, bez kłosów. Każdy z nich wydaje owoc sferycznego kształtu, podobny do jabłek. Chociąż Mancenilla jest dosyć kształtném drzewem, nie zwraca uwagi na siebie ani wzrostem, ani kwiatami, ale sławna jest tylko trucizną, którą w sobie mieści. Trucizna ta, zawarta w soku mlecznym, obficie rozlanym na całéj powierzchni drzewa, w liściach, w kielichu kwiatów, wytryskująca za najlżéjszém ukłóciem, jest śmiertelną, jeżeli zażyta będzie wewnątrz, albo przez ranę wprowadzona do krwi. Dla tego też Indyanie maczają w niéj końce strzał swoich, które nawet po upływie lat pięćdziesięciu, jak to sprawdziły doświadczenia na psach czynione, zrządzają śmierć prędką i nieomylną.

Lecz to są najpospolitsze skutki Mancenilli. Spoczynek pod jéj cieniem, jeżeli go podróżny zbytnie przeciągnie, może stać się snem śmierci. Powietrze napełnione wyziewami tego straszliwego drzewa, sprawuje zapalenie mózgu, zajątrzenie ust i powiek. Deszcz i rosa spadająca z jéj liści, ma własność gryzącą: kropla jéj mleczu na skórę człowieka upuszczona, wzdyma ją jakby sparzelizna; przyłożenie liścia, sprowadza ranę. Ryby które zjedzą owoc tego drzewa, uniesiony przez fale morskie, zdychają i same stają się trucizną. Dym wychodzący z jego spalonych gałęzi, jest także przejęty trucizną, a pewien historyk wysp Antylskich, powiada nawet, że mięso ugotowane przy ogniu z drzewa Mancenilli, nabywa jakiéjś ostrości, która pali usta i gardło. Nareście proch wychodzący z niego pod czas tarcia piłą, jest szkodliwy. Używają jak największych środków ostrożności, przystępując do tak zabójczego drzewa. Dzicy odwracają głowę, zacinając Mancenillę dla zebrania jéj mleczu tak użytecznego dla nich na wojnie i na łowach: mięso bowiem zwierza zabitego za pomocą téj trucizny, nie jest nie zdrowe, jeżeli natychmiast po zabiciu wykroją wszystkie części dotknięte strzałą. Osadnicy chcący je zniszczyć, podkładają ogień i śpiesznie odchodzą. Gdy sok wyciśnięty z kory przez działanie ognia, już uleci w powietrze, robotnicy rąbią pień zasłoniwszy głowę i ręce. Dawniéj szukano Mancenilli dla tego tylko aby ją zniszczyć. W Martynice spalono całe lasy zapełnione tém drzewem. Późniéj przekonano się, że Mancenilla traci schnąc, wszelkie szkodliwe własności i dziś służy do najcelniéjszych wyrobów stolarskich: ma bowiem bardzo piękny słój i twardość, i łatwo da się polerować. Jednakże mimo tego odkrycia, więcéj ma nieprzyjaciół niżeli obrońców, i tak uważana jest między drzewami, jak wąż dzwonnik pomiędzy zwierzętami.

Mancenilla odznaczona przez Lineusza, pod nazwiskiem hippomana, znajduje się tylko w Antyllach i na brzegach Ameryki południowéj. Jest jéj trzy gatunki; ten któryśmy opisali, dosyć podobny do gruszki; drugi z kolczastemi liściami, podobny do ostokrzewu, trzeci do lauru. Ten ostatni gatunek zwany jest pospolicie *Lepownikiem*. Jego sok mleczny, daleko jest gęstszy jak innych gatunków; ścina się po dwudziestu czterech godzinach i tworzy płyn tak gęsty i lepki, iż można na niego chwytać papugi i inne ptaki. Do tego celu używają go ptasznicy amerykańscy.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Warszawie, w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.
http://rcin.org.pl




# WALKA NOSOROZCA ZE SŁONIAMI.

Najpierwszy Pliniusz opisał walkę Nosorożca ze słoniami. W cyrku w Rzymie, pokazywano to widowisko dla zabawy ludu. Ale taka walka w szrankach i między zwierzętami już na pół poskromionemi, nie wyrównywa walce jaką prowadzą w stanie dzikości.

»Pewnego dnia, opowiada jeden podróżny, gdym spoglądał ze wzgórza na obszerne płaszczyzny wyspy Cejlan, i na kołyszące się pod memi stopy obszerne niwy kukurudzą okryte, gromada z siedmiu do ośmiu słoniów złożona, wyszła z pobliskiego lasu i zaczęła pustoszyć pola. Zadziwiającą było rzeczą widzieć, jak trąbą swoją porywali ogromne snopy, ładowali na kark swój i wynosili do lasu, aby wkrótce z nowym łupem powrócić.

Trwało to już od godziny, a upał słoneczny tak doskwierał, że mimo ogromnego parasola i lekkiej odzieży, pot spływał ze mnie i niezmiernie zesłabłem. Umyśliłem więc położyć się w cieniu: a to nie była rzecz łatwa, bo tam cień rzadko się zdarza: i czekać dopóki słońce nie schyli się ku zachodowi, albo wiatr nie ochłodzi powietrza.

Słonie uczyniły toż samo, położyły się pod drzewami, pośród kukurudzy, która tym sposobem udzieliła im pożywienia i posłania.

Nie słysząc żadnego hałasu, ogromny nosorożec wszedł w toż samo pole, z niezgrabnością zwyczajną temu rodzajowi zwierząt. Natychmiast zerwały się słonie i rzuciły się na nieprzyjaciela, z podniesioną trąbą, z kłami wystającemi naprzód. Nosorożec jeszcze nie przygotował się do obrony, a już trąby słoniów spadały na niego z wściekłością; kieł jednego z nich ugodził w brzuch jego i zadał mu szeroką ranę. Ryknął strasznie, cofnął się i natychmiast rzucił się na słonia, który go zranił. Słoń upadł rozbity tak strasznliwém uderzeniem; róg nosorożca i prawie cała głowa jego, wleciały w brzuch biednego zwierza. Widząc to, słonie uderzyły z nowym zapałem. Tuman kurzawy i okruchów kukurudzy wzniósł się w górę; słychać było straszliwe krzyki, i tylko po tych okrzykach mogłem rozpoznawać stan walki, słysząc ryk grzmiący nosorożca i wołania słoniów. Nagle podwoił się hałas, jeszcze gęstszy tuman otoczył walczących, a potém krzyki ustały, ku-

http://rcin.org.pl

rzawa opadła i powróciła spokojność. Nosorożec nie żył, ale w koło niego leżały ciała trzech słoniów, a dwoje tych zwierząt oddalało się pośród towarzyszów swoich, powoli i z ciężkiemi ranami, z których krew obficie spływała.

*(Podróże do Jndyi i do wyspy Cejlan).*

---

## OPIS WESELA SERBSKIEGO

Opis obyczajów i zwyczajów kraju, należącego do obszernej Sławian rodziny, bez wątpienia dla każdego Sławianina ważném bydź powinien; nie od rzeczy przeto sądzimy, naszym polskim czytelnikom opis wesela u Serbów, jak go nam Wilk Stefanowicz Karadzicz (pisarz Serbski) skreślił, udzielić w przekładzie.

---

Równie jak u Turków tak i u Serbów, panuje do dziś dnia zwyczaj: że chłopak żeniący się, tak jak dziewczyna za mąż idąca, ten swoją żonę a ta męża dopiero w dzień ślubu poznaje. Rodzice tylko obydwóch stron robią między sobą ugodę. Jeżeli Serbian jaki syna swego żenić zamyśla; tedy nie tak na przymioty dziewczyny, jako raczéj na rodzice téjże, ich majątek i stan patrzy. Dziewczyna nie śmie ojcu lub bratu (zastępującemu ojca u niéj miejsce) oświadczyć że za młodziana, którego oni jéj za męża obrali nie pójdzie; lecz musi w téj mierze (podobnie Tureckim dziewczętom) bydź posłuszną. Z resztą nie starają się w Serbii o żonę z bogatém wianem, lecz przeciwnie płacą za żonę pieniędzmi i innemi podarunkami: naprzykład, dają bratu tejże parę nowych butów, (czizmy) suknię wierzchnią bez rękawów (djedzerma), siostrze także sukienkę, a krewnym i rodzicom pieniądze; słowem sprzedają się tu dziewczęta na sposób turecki. — Dawniéj żądano tyle za dziewczynę, że biedni całkiem ożenić się nie mogli; dopóki xiąże Jerzy, Czarnym zwany, nie przykazał, aby więcéj jak dukata za dziewczynę nie brano.

Dwa lub trzy dni wprzódy, nim żonę do męża sprowadzają, obchodzi starosta weselny (djever) z napełnionym i przystrojonym pucharem (dzutura), po kolei domy we wsi, i zaprasza na wesele. Skoro tylko do domu jakiego wstępuje, podaje gospodarzowi puhar, mówiąc: »Pozdrawia cię N, abyś jutro w swaty przyszedł.« Gospodarz bierze puhar, napija się i przywiązuje do niego srebrny jaki pieniążek. (Jeżeli już mało co w pucharze staje, tedy starosta, pierwszego gospodarza, o śliwowicę (wódkę) prosi, aby go znowu napełnić.)

Do wesela potrzebni są koniecznie: Starszy kum, Starosta, starszy swat, młodszy kum, Wojewoda (przełożony), *Dzausz* czyli figlarz, i osoba jedna grająca na kozie. Resztę gości zaproszonych zowią *Pustoswatice*. Starszego kuma, (który po rodzicach najgłówniejszą w familii osobą) sami rodzice, nowożeńców lub sam pan młody, zapraszają na wesele. Ten jest obowiązany potém bydź na weselu, a jeżeliby nie mógł się stawić, to trzeba mieć od niego pozwolenie innego kuma do tego zaprosić, przekleństwo bowiem pierwszego, podług przesądu, wiele szkodzi. Na starostę obierają jednego z krewnych pana młodego, lub przynajmniéj jednego z jego znajomych. Brat oddaje siostrę staroście, a ten z nią idzie do starszego kuma, do starszego swata, których ona w rękę całuje, i do innych przytomnych gości; prowadzi potém aż do domu pana młodego, konia, na którém ona siedzi i uważa żeby z niego nie spadła; starosta ma także obowiązek prócz tego, bawić pod czas wesela wraz z panią młodą, kuma i swata, przyjmuje wszystkich gości wchodzących do domu wesela, i odprowadza tychże. Starszy swat jest pod czas wesela, pierwszą głową. Młodszy kum z starszym kumem, idzie na przodzie orszaku weselnego, trzymając chorągiew. *Dzausz* czyli błazen, płata figle, plecie niedorzeczności, (1) i rozdaje dary. Ma zazwyczaj w ręce pałeczkę, którą wszędzie puka, a za kapeluszem kilka ogonów lisich lub wilczych, lub kilka łyżek zatkniętych. Muzykant gra przytém na kozie. W niektórych miejscach idą także z panią młodą i drużki (engibule). Pan młody idąc po żonę, ma na kapeluszu przypiętą białą chustkę, a w drodze nazad ma już więcéj chustek, które mu matka jego żony i krewne przypinają. Starosta ozdabia swój kapelusz prawdziwą lub robioną różą. Gdy tedy orszak ten do domu pani młodéj przychodzi, siada sobie pan młody przy starszym kumie, który przy stole pierwsze zajmuje miejsce; pan młody ani jé, ani pije, tylko na znak wstydu przed siebie patrzy. Matka pani młodéj, przypina z krewnemi zięciowi chustki, a pod czas tego ubierają w komórce pannę młodą, płaczącą bez ustanku i żegnającą się ze swemi przyjaciołkami, w suknię godową. Pierwéj nim ją z komórki wyprowadzą, zakrywa się jéj twarz białą chustką, i tak zostaje zakrytą, dopóki ją do łożnicy nie zawiodą. (2)

Na drodze do domu pana młodego, kogo tylko orszak weselny zdybie, tego zaraz winem lub wódką częstują. Jeżeli pani mło-

(1) Zwyczaj ten i w Polsce do dziś dnia gdzie niegdzie u mieszczan panuje. Błaznów podobnych dostarczał C e c h h u l t a j s k i, o czém przy inszéj okoliczności, wiadomość udzielimy Przypis tłomacza.

(2) Zwyczaj ten, którego początku na wschodzie szukać trzeba, zachowują i żydzi zamieszkujący Galicyę. Przyp: tłom:

http://rcin.org.pl

da przez jaką cudzą wieś prowadzoną bywa, tedy mieszkańce tejże wychodzą na przeciw i ofiarują pieczywo, chleb, ciasto i t. d. (1). Gdy przed dom pana młodego przychodzą, to wychodzi Szwagrowa, trzymając na prawém ręku dziecię, a na lewém płótno; dziecię oddaje pani młodéj, która tož czerwoną nitką opasuje, a płótno rozciąga na ziemi aż do nóg nowożeńców. Potém dają pani młodéj sitko z różném zbożem, które ona kilka razy przesiwa. Zesadzona z konia idzie z płótnem do domu, a gdzie niegdzie z dziecięciem. Tu dostaje przęślicę z kądzielą i wrzecionem, którą ona we wszystkie cztery ściany puka. Potém kładą jej pod każde ramie bochen chleba, do ust kawałek cukru, (może aby przez to słodkość stanu małżeńskiego oznaczyć), w jednę rękę flaszkę wina, w drugą wody; co ona wszystko do bawialnéj zanosi izby i na stół kładzie. Pani młoda chcąc rękę komu ucałować, albo jeżeli goście czyje zdrowie piją, lub jeźli kogo z nich na ulicy spotyka, kłania się chyląc czołem aż do ziemi; tož czyni przez rok, póki w ciąży nie zostanie.

Na przód gości, idą dwaj młodzieńcy *Musztukdzije* zwani, którzy z pistoletów strzelają, i którzy o podarek proszą. Dar ten stanowi piękna chusteczka lub nowa koszula.

Drugiego dnia, gdy już panią młodą do domu męża przyprowadzili; objeżdżają wszyscy goście, oprócz Starszego kuma, Starosty, i Starszego swata, dom w dom konno i zapraszają na wesele tym sposobem: »Pozdrawia was kum i starszy swat, abyście przybyli na wesele, lecz przynieście ze sobą jadło i siedzenie» (2). Przy każdych zaprosinach dostają kitkę lnu lub chusteczkę, którą koniowi do uzdy lub koło głowy przywiązują. Dary te mają bydź oddane pani młodéj. Schodzą się tedy mieszkańce wszyscy na wesele i przynoszą podług upodobania, żywe lub pieczone jagnie, prosie, indyka, kurę, gęś, kaczkę, strucle i t. d. Kołacz i puchar wina lub wódki, musi każdy ze sobą przynieść. Wśród objadu, rozdaje Dzausz od gości poprzynoszone dary do jadła. Mówi przy tém żarty różne, aby śmiech wzbudzić, n. p. jeżeli gość jaki prosie przyniósł: »Ten N. mieszka blisko wody i uchwycił mysz wodną.» (3) Kurę nazywa wroną lub innym ptakiem. Jeżeli jest baranek, tedy się pyta udając bojaźń przed jego rogami, czyliby to był byk lub jeleń? Przy każdym darze który okazuje, dodaje: »sobie na chwałę, a braciom na obiad.» (1) Dary te odnoszą dwa młodziany do kuchni, udając że aż z ciężaru tychże kuleją.

Pani młoda musi Starszemu kumowi, starszemu swatowi i staroście, koszulę podarować, innym gościom daje zaś podług upodobania z niskim ukłonem różne dary, naprzykład: jednemu chustkę na szyję, drugiemu ręcznik, trzeciemu pończochy. Przy rozdzieleniu tych darów, Dzausz także gości żartami zabawia, n. p. Jeżeli koszulę starszemu kumowi pani młoda daje, to mówi: »Oto nasza pani dała kumowi koszulę tak cienką, że przez pierścień przejdzie, lecz wtenczas gdyby pierścień tyli co obręcz od pługa był i gdyby dwóch pchało, a dwóch ciągnęło.» (2) Dzausz przywięzuje swój dar do pałeczki, a muzykant do kozy.

Drugiego dnia, bierze pani młoda wodę i ręcznik, polewa gościom ręce nad miednicą lub cebrzykiem, w który oni pieniądze rzucają, i co *poljevaszyna* zowią. Każdy któremu pani młoda rękę ucałuje, musi jéj cóś podarować. Prócz tego goście stroją różne żarty i zbierają pieniądze na wykupne za panią młodą. Tak naprzykład: niektórzy chcą psa domowego zabić, jeżeli im go pan nie opłaci; drudzy biorą prosię pod ramie zamiast kozy i ściskaią go; a płacą za to aby kwik ustał, inni siodłają wołu, wprowadzają go do izby, i każą sobie dary składać, inni znowu przebierają się za dziewczęta i całują za zapłatę.

Często goście tak są niespokojni, że aże o nich przysłowie krąży: »zachowują się jak serbscy goście.» Zabijają kury, prosięta, indyki, gęsi, kaczki, rozbijają domowe narzędzia, kradną łyżki i inne drobiazgi, rozwalają piec za dozwoleniem starszego kuma, wynoszą go, krzyczą, wrzeszczą, i tłuką się jak szaleni.

Wesele Serbskie, trwa najczęściej cały tydzień. Zaczynają zwykle dwa dni wprzód nim żonę do męża odprowadzają jeść i pić; która to biesiada po ślubie tak długo trwa, dopóki starszy kum nie odejdzie. Pani młoda nie śmie pod czas wesela nikogo po imieniu wołać, lecz ma na to osobne imiona, tak n. p. zwie mężczyzn: tata, gospodin, djever (szwagier), brato, zlatoje, miloszta milojko i t. d. Kobiety: baba, mama, gospa, (gospodynia), i t. d. dziewczyny: lepotica (piękna), gospodjica (panna), golubica i t. d. Jeżeli się kto ženi i to w tym miesiącu, w którym jego] urodziny przypadają, to nie śmie (dla przesądu) który z familii bydź w domu, odsyłają go do krewnych w innéj wsi, i nie dadzą mu ani skosztować potraw do wesela przyprawionych.

(1) Na Rusi gdy się orszak weselny do domu zbliża, to wychodzi matka z bochenkiem chleba i z solą na przeciw temuż. Przypis Tłomacza.

(2) Pozdravijo je kum i stary svat da dodjete na veselje, ali da ponesete szto tjete jesti i na szto tjete sesti.

(3) Evo ovaj N. zivi blizu vode, pa uvatio vodenoj misza.

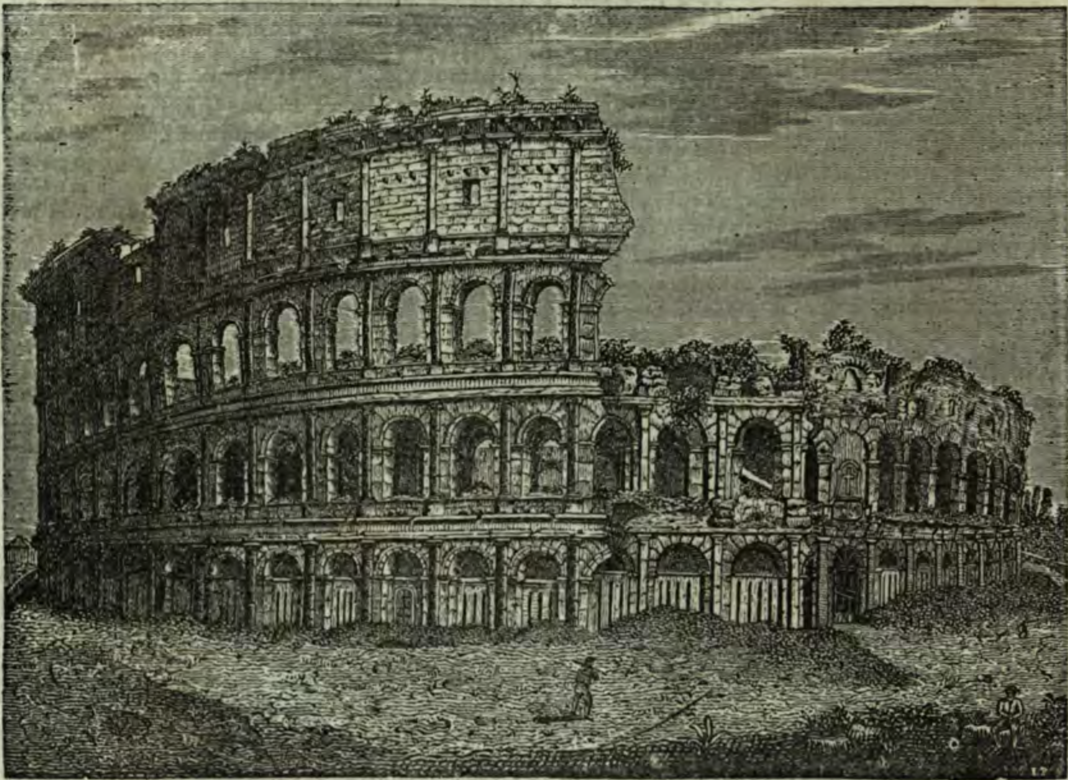
(1) Sebi na glas, a swoji bratji na czast.

(2) Evo nasza snasza donela kumu koszulju kakvaje tanka, kvoz prsten bi proszla, daje prsten guzeva oracziesza pa da dva tuku, a czeter vuku.

http://rcin.org.pl

Żonaci Serbi, zostają w domu ojca lub dziadka: lecz otrzymują własną komorę, w której oni rzeczy własne, n. p. suknie przechowują, i w której mężczyzna wraz z żoną pod czas największéj zimy bez opału sypia: w podobnych bowiem komórkach, nie ma ani komina, ani pieca. Komórka taka zwie się *klijet*.

Dla uzupełnienia opisu wesela Serbskiego, dodamy jeszcze niektóre zwyczaje: Jeżeli goście zejdą się do pomieszkania pani młodéj; tedy zwykł im ojciec nowy kieliszek dawać, z którego piją. Kieliszka tego używają także przy ślubie nowożeńcy, wino kosztując, z którego to powodu Molitvena czasza, (przez modlitwę poświęcona czasza) się zowie. Kieliszek ten bierze po ślubie pani młoda, i chowa na pamiątkę aż do śmierci. Jeżeli starszy swat lub drużba przy weselu pije, tedy reszta gości woła: Starszy swat z czaszy pije, Bogu się modli, Amen.» (Stari svat czaszu pije, Boga moli, Amin). Nazywają to *aminati*.



## KOLIZEUM.

Ze wszystkich pomników dawnego Rzymu, których zwaliska są jeszcze chlubą i ozdobą tegoczesnego miasta, żaden nie wzbudza w duszy głębszego wrażenia. Na widok tego amfiteatru zewsząd rozsypującego się w gruzy, który nawet pierwotne imie swoje postradał, obudzają się w umyśle, z niezwalczoną potęgą, wszystkie te wymowne prawdy o nicości dzieł człowieka. Jakieżto zmiany losu, jakież to klęski! jakież to wstrząśnienia przypomina Kolizeum. W téjże chwili, kiedy olbrzymia jego budowa, jest miarą prac które człowiek pojąć i' uskutecznić zdoła, jego obsypujące się mury, jego zwaliska któremi działanie czasu i wojny średnich wieków ziemię zasuły, poświadczają także znikomość najwspanialszych dzieł naszych. Ale otóż cudowniejsze zbliżenie wypadków, wyższa i bardziéj uderzająca nauka! Ci żydzi, którzy pod czas niewoli Egipskiéj, a późniéj w Babilonie budować musieli gmachy zwycięzców swoich, oni także uprowadzeni w niewolę przez Tytusa, po upadku Jerozolimy i kościoła, zbudowali w przeciągu lat pięciu, ten pomnik potęgi Rzymian.

Amfiteatr Flawiana, tak nazwany od dwóch cesarzów z téj rodziny, Wespazyana i Tytutusa, z których jeden go rozpoczął, drugi dokończył, stanął około roku 79 ery chrześciańskiéj. Rozmaicie tłumaczą jego tegoczesne nazwisko, Kolizeum, zrobione

z wyrazu łacińskiego *colossus* albo *colosseum*, zapewne z powodu jego olbrzymiej wielkości. Jakoż żadne imie nie było właściwszém. Zewnątrz, Kolizeum wydaje się wieżą niezmiernie szeroką, w porównaniu wysokości, nie bardzo znacznej, bo tylko 150 stóp wynoszącej, a którą zmniejsza ziemia, nagromadzająca się przy podstawie. Składa się z trzech rzędów arkad, ozdobionych kolumnami na pół w płaskorzeźbie umieszczonemi, rozmaitego porządku architektury; doryckiego na dole, jonskiego i Koryncklego wyżéj. Wysoki mur z gzymsem, tworzy czwarte piętro, nie mające związku z innemi i smaku w budowie. Osiemdziesiąt arkad wzniesionych tylko o dwa stopnie nad powierzchnią ziemi, kształciły niezmierny obwód Kolizeum. Cztery z nich położone w końcach dwóch osi téj ellipsy, z któréj dłuższa liczyła 620 stóp, a krótsza 513, służyły za wnijście wielkim zwierzętom, jako to: słoniom i t. d. Widać jeszcze na tramie każdéj z tych arkad, liczbę, podług któréj widzowie szukali miejsc swoich: ich bowiem bilety (*tesserae*), były także numerowane: tak więc łatwo mogli znaleźć rzęd amfiteatru, w którym stósownie do swojego stanu zasiąśdź powinni. Trzy rzędy arkad okręgowych, było za pierwszém rzędem, tam schronić się mogli widzowie podczas słoty, przechodząc się tém wygodniéj, że na wyższych piętrach były także pokryte galerye. Dwadzieścia wielkich schodów, a trzydzieści dwa małych, prowadziło z dołu na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się wnijścia, przez które wchodziły tłumy ludu, a które dla tego łacinnicy nazywali *vomitoria*.

Pod temi schodami z marmuru, były izbedki, a w nich zamykano nieszczęśliwych, przeznaczonych do walczenia jedni z drugiemi, albo z dzikiemi zwierzętami dla zabawy znudzonych Rzymian.

Niektóre z tych pięćdziesięciu dwóch schodów, prowadziły na taras zwany podjum, otaczający szranki. Wyłożony był marmurem, miał trzynaście stóp szerokości, a czternaście wysokości. Tam zasiadał cesarz na wyniesionem krześle, senatorowie którzy kazali przynosić sobie krzesła swoje ze słoniowéj kości, a nareście westalki, które, rzecz dziwna! uczęszczały także na te krwawe widowiska. Nieco daléj, siedzieli posłowie obcych mocarstw i królowie sprzymierzeńcy Rzymu. Mimo wysokości *podjum*, opatrzono go rozmaitemi środkami obrony, jako to cylindrami kręcącemi się na osi, kolcami, i wyzłacaną kratą, aby czasem lew albo tygrys rozjuszony, nie wskoczył tam i nie oddał niespodzianych odwiedzin dostojnemu zgromadzeniu. Same szranki zajmowały blisko morgę. Lud siedząc na stopniach amfiteatru, zabezpieczony był od słońca i niepogody, płótnami wyciągniętemi na sznurach, które pokrywały cały gmach i do woli ściągnięte bydź mogły.

Za tarasem cesarskim *podjum*, ciągnęła się pierwsza i druga klassa stopni, złożone z czterdziestu i czterech ławek w okrąg ustawionych, i mogących pomieścić 25,000 widzów. Daléj była trzecia klassa z dziewięciu ławek, gdzie siedziały kobiety, a wyżéj jeszcze czwarta i ostatnia klassa, ozdobiona portykiem uwieńczającym w około, pochyłą płaszczyznę amfiteatru. Mówiono, że Kolizeum pomieścić może osiemdziesiąt, a nawet sto tysięcy widzów. Było to przesadą: liczba 44,000, oznaczona przez tegoczesnego wędrownika, iest podobniejsza do prawdy i jeszcze bardzo nadzwyczajna.

Takie to było owe Kolizeum niesłychanéj wspaniałości i ogromu, nad którego budową pracowało dwanaście tysięcy nieszczęśliwych jeńców żydowskich, i które kosztowało summę wyrównywającą 50 milionom franków teraźniejszéj monety. Zaiste, wielki tylko naród mógł wznosić takie pomniki. Ale cóż powiedzieć o użytku na który je przeznaczał! jakąż pogardę wzbudzać on musi dla tego narodu! Tu objawia się cała srogość obyczajów rzymskich, tu pojąć możemy, dla czego sztuka drammatyczna na tak niskim stopniu pozostała w barbarzyńskim i zepsutym Rzymie.

W szrankach cyrku, występowali dwojakiego rodzaju szermierze: ci których zmuszano do tego rzemiosła, i ci który je dobrowolnie wykonywali. Byli to niewolnicy na ten cel sprzedani, winowajcy, jeńcy wojenni, których przeznaczono na igrzyska, oprowadziwszy ich wprzódy w tryumfie i nareście winowajcy stanu. Między gladjatorami, widać także było obywateli rzymskich, przywiedzionych do tego poniżenia, albo przez zepsucie, albo przez ponętę pieniędzy i dumy. Członkowie stanu rycerskiego, senatorowie nawet, występowali w szranki; zmuszano także do walczenia kobiety i karły. Justus Lipsiusz powiada, iż żadna wojna nie gubiła tyle ludzi, ile igrzyska w Cyrku. Kiedy gladjator był zraniony, rzucał broń i zbliżał się nad brzeg szranek, błagając litości widzów. Jeżeli mężnie walczył, darowano mu życie, w przeciwnym razie, albo też jeźli nie podobał się widzom, kazano go dobić. Zdziczone pospólstwo, niecierpliwiło się niekiedy widokiem walki przeciągającéj się dłużéj jak za zwyczaj, bez zranienia lub śmierci jednego z szermierzy. W innym razie, drapieżne zwierzęta walczyły jedne z drugiemi. Trudno uwierzyć ile zwierząt poświęcano, aby uspokoić żądzę rzezi, pożerającą lud rzymski. Gdy Tytus pierwszy raz otworzył Kolizeum, zginęło tam w jednym dniu 5,000 zwierząt wszelkiego rodzaju, zacząwszy od lisa, aż do lwów

http://rcin.org.pl

i tygrysów, od słonia aż do gazelli: krew zalała szranki, a jęki umierających, pokrył krzyk pospólstwa, sroższego jeszcze niźli te potwory szarpiące się przed jego oczyma. Starożytne malowanie wyobraża nieszczęśliwego niewolnika, wchodzącego do szranek, wązkiém przejściem, które miał przebydź pośród lwów i tygrysów, i złożyć na drugim końcu jaja, które trzymał w ręku: jeżeli go nie rozszarpały, otrzymał wolność. Potém przyszła kolej na chrześcian, wielka ich liczba opłaciła krwią własną w szrankach, tryumf téj religii, która położyła kres ofiarom z ludzi.

Dziś święty znak chrześciaństwa, wznosi się na ołtarzu pośród tych samych szranek, a czternaście mniejszych ołtarzy, zbudowano w ich okręgu, za rozkazem papieża Benedykta XIV, który tym sposobem chciał ocalić Kolizeum od zupełnéj zagłady, umieszczając te piękne olbrzymie zwaliska, pod strażą czci religijnéj. Dziś wszystko przedstawia sprzeczność w tym gmachu pogańskim. Nie przerwana spokojność, głęboka cisza i samotność, zastąpiły przepych władzy najwyższéj i obecność niezliczonego tłumu. Po rzezi nastąpił pokój, po okrzykach radości wściekłość, milczenie które ledwie kiedy niekiedy przerywa już to mnich z rożańcem w ręku, już to kilku wieśniaków korzących się u stóp krzyża, ktorych przodkowie wołali niegdyś w tymże samym Cyrku: »Wyrzućcie chrześcian na pożarcie dzikim zwierzętom.»

## KRONIKA LITERATURY I WIADOMOŚCI NAUKOWYCH.

*Mazepa, romans historyczny Tadeusza Bułharyna, przełożony na język Polski przez Karóla Korwella, Warszawa* 3 *tomy zł.* 15

Romans historyczny, płód literatury dziewiętnastego wieku, którym się najsprawiedliwiéj pochlubić może i który wynadgradza czczość i upadek innych jéj rodzajów, znalazł wielu godnych Waltera-Skotta naśladowców, jako to: Alfreda de Vigny i Souliego we Francyi, Spindlera w Niemczech, Bronikowskiego i Bernatowicza w Polszcze, Manzoniego we Włoszech, Bułharyna i Zagoskina w Rossyi.

Publiczność polska poznała już w przekładzie jeden romans historyczny Bułharyna, Dymitr Samozwaniec, teraz, pięknym przekładem Mazepy, zbogacił P. Karól Korwell literaturę naszą. Epoka z któréj ten romans jest czerpany, najważniéjszą była dla państwa Rossyjskiego. Charakter ludzi którzy w niéj głównemi są działaczami, dzikość obyczajów, przekształcanych dopiero niezgiętą wolą monarchy, smutne rozprzężenie i nierząd sąsiedniéj Polski, obfite autorowi podawały żniwo. Zamierzoną pracę wykończył autor ze znanym talentem, którego w Dymitrze, i Wyżyginie widzieliśmy dowody. Karól XII król Szwedzki wprowadziwszy na tron polski Stanisława Leszczyńskiego, dąży z wojskiem ku południowym prowincyom Rossyi, aby zniszczyć jéj wzrastającą potęgę i w samym zarodzie obalić plany Piotra Wgo. W takim położeniu rzeczy, Mazepa hetman kozaków mógł szalę szczęścia przechylić na jedną lub na drugą stronę. Znał on ważność stanowiska swojego, niepohamowaną dumą wiedziony, chciał zostać władzcą niepodległego państwa; lecz ważne przeszkody stawiała mu przychylność ludu kozackiego dla Rossyi, wierność niższych dowódzców, a mianowicie współzawodnictwo Paleja, hetmana ukrainy polskiéj. Otoczony niebezpieczeństwy, musi używać wszelkich sprężyn chytrości; ale jego zabiegi pełzną na niczém. Zdrada i duma odbiera zasłużoną karę. Odstępuje go znaczna część Kozaków, w chwili, gdy im objawia że przechodzi na stronę Karóla XII.; z własnéj winy traci córkę, która sama tylko posiadała przywiązanie jego; przymuszony jest schronić się do Turcyi razem z Karólem XII, i tam najokropniejszą śmiercią umiera. Charakter Mazepy wydany jest w bardzo mocnych kolorach; nie mniéj trafne są obrazy Hetmana kozaków Paleja, Orlika i Tatarzyna głównych powierników Mazepy. Widzimy także w ustępie zręczne naprowadzonym, obraz powstających murów Petersburga i niezmordowanéj czynności Piotra Wielkiego, daléj burzliwych narad, biesiad szlachty polskiéj, i nomadzkiego życia Kozaków. Miłość Ogniewika wychowańca Paleja, i Natalii córki Mazepy, jest pasmem wiążącem to dzieło w jedną całość. Oddając jak największą sprawiedliwość talentowi autora, europejską posiadającego sławę, nie możemy wstrzymać się od wynurzenia żalu, iż napełniając ten romans obrazami obłudy, niewiary i dzikości, nie zamieścił sceny przy któréjby serce czytelnika wytchnąć mogło, którąby odbijając się od wstrętnych obrazów, koiła smutne wrażenie. Zgon Mazepy, który zmuszony przez Ogniewika do wypicia trucizny, mszczącego się za Natalią i za krzywdy swego opiekuna Paleja, poznaje w zabójcy własnego syna, którego w niemowlęcym wieku postradał — w tak okropnym zgonie widzi oczywisty wyrok sprawiedliwości bożéj i umiera przejęty żalem i skruchą, zakończa dzieło i bez przesady powiedzieć można, że w najcelniejszych romansach mało znajdziemy obrazów równie drammatycznych, równie czyniących wrażenie.

http://rcin.org.pl



# KARTUSZ.

Nazwisko Kartusza, jego liczne występki i zbrodnie, które nie uszły nareście zasłużonéj kary, znane są w ogólności każdemu prawie z czytelników. Muzeum Domowe wychodzące w Paryżu, a po nim Sontags Magazin niemiecki, umieściły wyobrażenie i szczegółowy opis życia tego człowieka, który może i dla naszych czytelników obojętnym nie będzie, wskazując, do jakiéj okropnéj ostateczności doprowadza brak religijnego i moralnego ukształcenia, oraz nie powściąganie i niewykorzenianie złych skłonności w młodocianym wieku.

Ludwik Dominik Kartusz, urodził się w Paryżu roku 1693. Ojciec jego, bogaty bednarz, oddał go do szkół i nie szczędził na jego wychowanie. Kartusz wcześnie okazał wielką pojętność i czynność umysłu. Z takiemi zdolnościami, mógł był wyjśdź na znakomitego człowieka, ale źle prowadzony użył ich tylko do utrzymywania się przez czas niejaki na drodze występku, która go nareście na rusztowanie zaprowadziła.

Już nawet w pierwszém dzieciństwie, Kartusz okazał mocny bardzo popęd do kradzieży. Codziennie prawie kradł matce jakie przysmaczki, a sąsiedniéj straganiarce jabłka. W szkołach kradł pióra, papier i inne drobne rzeczy swoim współuczniom. Raz wstąpiwszy w ten zawód występku, szybko w nim się posuwał. Ośmielony początkową bezkarnością i powodzeniem, postanowił zbogacić się od razu; wkrótce trafiła mu się sposobność. Nauczyciel pozwalał mu przychodzić do swego pomieszkania. Pewnego razu, Kartusz postrzegł na stoliku kilka luidorów. Widok tego złota, draźni jego wzrastającą żądzę do kradzieży; postanowił przywłaszczyć go sobie. Chcąc tego dokazać, prosi proffessora, aby mu przeczytał wiersze, które rozkazano zrobić wszystkim uczniom. Proffessor pozwala na to; drudzy uczniowie przybiegają, każdy czyta swoje dzieło; praca Kartusza jest najlepsza, Proffessor idzie do biblioteki po xiążkę którą miał dać za nagrodę. Wtedy Kartusz, nie spuszczając z oka celu swojéj żądzy, niby swawoli ze współuczniami i zręcznie kradnie pieniądze. W téj chwili zadzwoniono na obiad i wszyscy się rozbiegli. Po obiedzie proffessor postrzega iż mu zginęły pieniądze i zapytuje się uczniów najprzód łagodnie, a potém z surowością. Wszyscy utrzymują iż nie wiedzą o co idzie.

http://rcin.org.pl

Kartusz udaje toż samo, chowa swoją zdobycz w trzewik dozorcy klassy, i wraca do roboty jak gdyby nic złego nie uczynił.

W trzeciej klassie, Kartusz był razem z margrabią... któremu robił okupacye, a za-to żył z nim w wielkiej przyjaźni. Pewnego dnia, młody margrabia dostał od ojca sto talarów na imieniny; Kartusz widział to, nie spuścił z oka pieniędzy i zobaczył że jego towarzysz schował je do szafki. Już je uważa za swoją zdobycz. Tylko co się zaczęły lekcye, prosi aby mu wolno było wyjśdź na chwilę. Natychmiast biegnie do pokoiku margrabiego, otwiera drzwi wytrychem i zabiera pieniądze. Lecz gdy już miał wychodzić, słyszy stąpanie nauczyciela młodego margrabi. Nie podobna uciekać. Musi wleźć na szafę. Tam kryje się za wielkim i starożytnym gzymsem. Po skończonéj lekcyi, margrabia chcąc uczęstować towarzyszów, idzie do swego pokoju po owe sto talarów; szuka, nic nie znajduje: z tego powodu powstaje wielki hałas. Proffessor przychodzi, przypomina sobie kradzież pięciu luidorów, zwoływa uczniów, wszyscy przychodzą prócz Kartusza. Szukają go wszędzie, krzyczą, grożą, ale nadaremnie: winowajca siedzi ukryty na szafie. Kilka godzin upłynęło, zadzwoniono na obiad, chodzą po korytarzach... Kartuszowi nie podobna wymknąć się; po obiedzie taż sama trwoga, tenże sam kłopot. Cały wieczór upłynął tym sposobem. Chce korzystać z nocnej pory i uciec. Wychyla głowę, ale w téj chwili powraca młody margrabia i jego nauczyciel... Pięćdziesiąt godzin przetrwał w tym stanie, umierający z głodu, w najniewygodniéjszém położeniu, nie śmiejąc się ruszyć aby stara szafa nie zatrzeszczała i nie wydała jego ukrycia. Nareście po wytrzymaniu tak strasznéj męczarni, upatrzył chwilę i uciekł przebrany w suknie przełożonego. Ojciec domyślając się jakiego oszustwa, nakrył go wielką kadzią, którą przywalił ciężkiemi kamieniami. I z tego więzienia potrafił wydobyć się i uciekł do stryja, do miasta Rouen. Tam puścił się na większe kradzieże; ale stryj domyślając się ich, zmusił go do powrotu do Paryża. Ojciec chciał go wtedy zamknąć w domu poprawy; Kartusz dorozumiawszy się jego zamiaru, na zawsze porzucił progi domowe. Wkrotce zebrał gromadę złodziejów i stanął na ich czele; żeby zaś tym lepiéj ukryć swoje występki, oświadczył policyi, że dopomagać będzie do wyszukania złodziejów. — W owym czasie, nie znano systematu konskrypcyi, ale gwałtem, albo podejściem werbowano do wojska. Werbownicy takowi schwytali raz Kartusza i zaprowadzili do Flandryi. Chciano od niego sto luidorów za wykupne, ale wydobył się tańszym kosztem. Napsał do swojego zastępcy w bandzie złodziejów, który chociaż młody, przebrał się za siedemdziesięcio-letniego starca, a udając ojca Kartusza, wykupił go stoma talarami. Kartusz zakazał bandzie swojéj używać broni po miastach. Wolno im tylko było mieć kije, z ostrém żelazem na jednym końcu, a z gałką ołowianą na drugim. Wyraźnie polecił aby nie zabijali chyba w ostateczny m razie, i sam zastrzelił jednego ze swoich, którego srogości niczém nie można było poskromić. Niekiedy okazywał się wspaniałomyślnym, co dowodziło, że gdyby był troskliwsze wychowanie odebrał, byłby mógł zostać słusznym człowiekiem. Pewnego dnia, zatrzymał podróżnego który jechał do Lugdunu, a gdy ten bez oporu oddał pieniądze, zapytał się go dokąd jedzie. — »Do Lugdunu. —»Cóż ci zostało na drogę? —»Nic, oddałem wszystko. Kartusz wrócił mu dziewięć luidorów, i zniknął. Policya tak mocno zaczęła go śledzić, iż umyślił przez cały rok nie dopuszczać się żadnych kradzieży i toż samo rozkazał swojéj bandzie; sam zaś opuścił Francyą. Następująca przygoda może dać wyobrażenie o jego podejściach i zręczności.

Przechodząc przez Orlean, usłyszał że pewna pani w miasteczku *Bar sur Seine* płakała jedynego syna, który w młodym bardzo wieku pojechał do Gwadelupy. Zebrawszy potrzebne szczegóły, idzie do tego miasteczka i wynajduje starą kobietę, która była boną syna téj pani. Przekupuje ją stoma luidorami i przyrzeczeniem dożywotniego dochodu. Przychodzi potém do nieszczęśliwéj matki, rzuca się jéj na szyję, a biedna nie wątpi na chwilę, że odzyskała ukochanego syna. Kartusz grał swoją rolę z taką przytomnością i odwagą, iż krewni, przyjaciele i sąsiedzi, uznali go za tego syna i przyjęli jak najuprzejmiéj. Matka uradowana, spieniéża część swego majątku, i powierza mu 80,000 franków, aby sobie kupił urząd u dworu. Kartusz zabiera tę kwotę i ucieka do Paryża. Ale tam ścigany bez ustanku przez policyą, ledwie mógł kilkakrotnie wyrwać się z jéj mocy, i ocalenie swoje winien był odwadze i przytomności umysłu, któreby w innym zawodzie na drodze cnoty, byłyby go mogły wsławić i wywyższyć. Nareście znudzony temi poszukiwaniami, chciał spokojnie używać swoich łupów. Ale nie dozwoliła na to sprawiedliwość Boska. Wyznaczył po sobie naczelnika bandy, składający się wtedy z 300 złodziejów. Niektórzy z nich, obrażeni że ich nie wybrał na ten stopień, wydali go w moc zwierzchności. Przekonany o liczne kradzieże i zabójstwa, skazany został na śmierć, i żywcem łamano go kołem. W więzieniu okazał żal i skruchę za grzechy, przyjął ostatnie Sakramenta i napisał historyą swego życia, w tém celu, aby straszliwém była przykładem, iż małe zdrożności, bezkarnie puszczone za młodu, stają się zarodem największych zbrodni.

http://rcin.org.pl



# PALAIS-ROYAL.

(Pałac Xiążąt Orleańskich w Paryżu.)

Zawsze z przyjemnością odwiedzamy te miejsca, w których znakomici ludzie mieszkali. Ale zajęcie to podwaja się, kiedy te miejsca nie zmieniły swojej postaci i kiedy święcie zachowano w nich dawną architekturę i umeblowanie. Zdaje nam się wtedy, iż przeniesieni jesteśmy w dawne wieki. Na chwilę stajemy się współczesnemi tych, którzy ważne układali zamiary, albo dawali świetne uczty w tych komnatach, gdzie wszystko upłynione wieki przypomina. Francuzi żałują teraz, że wcześniej nie umieli ocenić wartości i powagi tych wspomnień. Pałac królewski (Palais-Royal) byłby gmachem któryby z największą odwiedzano przyjemnością. Zaczęty przez kardynała Richelieu, wzrastał razem z potęgą założyciela, pod imieniem pałacu Kardynała; zapisany potém panującemu królowi przez ministra, który był pod nim samowładnym rządzcą państwa, iluż to scen był miejscem, zacząwszy od Kardynała, aż do rejenta Xcia Orleanu, od zaburzeń Frondy, aż do czasów rewolucyi? Jakże ciekawą byłoby rzeczą widzieć, gdyby dotrwały aż do nas, te pokokoje, w których pracował Richelieu! tę galeryę gdzie nieco później uwięziono wielkiego Kondeusza, i oratoryum królowej Anny żony Ludwika XIII. Nie ma żadnego śladu tych wszystkich komnat. Dziwactwo panów, miłość własna architektów, pożary, i wstrząśnienia kraju, stokroć bardziej niszczące niżeli pożary, wszystko zniszczyły; ale historya tego gmachu ściśle łączy się z wypadkami każdej epoki państwa francuzkiego. Pozostały przecież plany podług których przekształcano tę budowę.

Pierwszy plan jest z roku 1679 i wyobraża Palais-Royal w takim stanie w jakim był za czasów Kardynała Richelieu, zbudowany przez architekta Lemercier. Dosyć jest spojrzeć na niego, aby przekonać się, że minister znał się lepiej na polityce, niżeli na architekturze; a chociaż powiedział Kornel w *Kłamcy*: »Wątpię ażeby cały świat miał piękniejszą architekturę, nad zewnętrzną postać pałacu Kardynała.» ta zewnętrzna postać przedstawiała same tylko kwadratowe pawilony, niezgrabnego kształtu, podobne do tych jakie jeszcze widać w części miasta zwanej Marais. Wnętrze było zbiorem sal i galeryi, bez proporcyi i układu.

Ludwikowi XIV który chciał dokończyć Luwr i powiększał Wersal, za szczupło było w Palais-Royal. Jego brat xiąże Orlea-

http://rcin.org.pl

nu, długi czas mieszkał w nim, nim go dostał na własność, jako część swego uposażenia. Syn jego który był regentem Francyi po śmierci Ludwika XIV, mało co upięknił ten pałac. Jednakże utrzymał w nim salę widowisk zbudowaną na rozkaz Ryszeliego, a w której kardynał Mazaryni pierwszy raz kazał dać reprezentacyą opery. Ta sala Opery miała wielki wpływ na przeznaczenia tego gmachu. Od stu lat była miejscem tryumfu sławnych tancerek, gdy się spaliła w roku 1763. Odbudowana podług nowego planu, podobnież jak wystawa pałacu, spłonęła powtórnie w roku 1781. i ten przypadek szczęśliwym nazwaćby można, ponieważ niszcząc to niekształtne nagromadzenie dziedzińców, gmachów i sal, składających dawny Palais-Royal, pożar podał sposobność żyjącemu wówczas xięciu Orleanu, odbudować ten gmach podług planu pana Louis. Wtenczas to xiąże, pragnąc pomnożyć dochody swoje, umyślił uczynić go ognjskiem handlu, zbytków i uciech Paryża, i dopiął celu swojego.

Starzy Francuzi z rozrzewnieniem wspominają jeszcze wielką kasztanową aleję, która od jedenastéj z rana, pełna już była życia i ruchu, a stołki po obu stronach ustawione, mieściły bez ustannie tłumy wszelkich stanów i narodów. W pośródku było drzewo; pod jego cieniem ludzie nie mający nic lepszego do czynienia, rozprawiali o losach świata. Teraz, miejsce drzew zastąpiły galerye, a w nich mieszczą się sklepy, xięgarnie, magazyny strojów, kawiarnie, domy gry, teatra i inne tym podobne zakłady. Miejsce to różnorodnych schadzek, wielki zysk przynosiło xiążęciu Orleanu. Przechadzający mścili się straty pięknych drzew przez dowcipne ucinki. Nazywano xięcia *Egorgeur des ombres*.

Nowy pałac wzrastał z niepodobną do uwierzenia szybkością. W przeciągu lat trzech, dwa główne skrzydła już ukończono, i najwystawniejsze sklepy w nich się nagromadziły; pozasadzano także nowe aleje, lecz te z powodu nieustannéj kurzawy, przyjąć się nie chciały. Nawet teatr francuzki przeniesiono do Palais-Royal, gdzie się dotąd jeszcze znajduje. W czasie rewolucyi, nazwano ten pałac *Palais-Egalité*. Roku 1802, otrzymał na krótki czas miano: *Palais du Tribunat*. Główne wejście do Palais-Royalu, jest od ulicy Sgo Honorjusza. Nie wielki jego plac jest bezustannie ludźmi i pojazdami napełniony. Niebezpieczny niekiedy tłok i popychanie, przypomina cudzoziemcowi iż się zbliża do ogniska jednego z największych miast, które zarówno opływa, w najprostsze, jak w najwyszukańsze rozkosze. Dwa pawilony z jońskiemi i doryckiemi kolumny, z których każdy ma fronton posągami ozdobiony, łączą się murem, w którym trzy arkady, tworzą główne wejście do pałacu. Wszedłszy na pierwszy dziedziniec, widzimy dwa skrzydła podobnież jońskiemi i doryckiemi kolumnami ozdobne. Pomiędzy niemi znajduje się przestwór, prowadzący na drugi dziedziniec, *la cour Royale* zwany. Wspaniałe doryckie słupy, wznoszą się po obu stronach, lecz tak są zarzucone kramami i sklepami rozmaitego gatunku, iż nie podobna między niemi się przecisnąć. Ta część pałacu od roku 1816, aż do 1831, była znowu mieszkaniem xięcia Orleanu. Drewniane galerye ciągną się poprzecznie, w nich, xięgarze, modniarki, galanternicy, rozkładaią swe fraszki i cacka. Za niemi, rozwija się dopiero świat czarodziejski, najpyszniejszemi arkadami otoczonego ogrodu. Ogród ten jednak jest bez cienia, oschły i wymuszony, ziemia mocno żwirem ubita, drzewa są małe i schną wkrótce, spalone odbitemi słońca promieńmi; ale któż w tym ogrodzie szukać będzie zachwycających natury piękności? Lecz za to, zaślepi go widok pawilonów i arkad, szczególnéj wieczorem, fantastycznem oświeconych światłem.

Dwa boczne skrzydła ciągną się na 117 sążni, a środkowe ma 50 sążni długości. Wszystkie trzy są równej wysokości. Słupy składanego porządku, wznoszą się do koła, dźwigając balustradę, która herbami i zbrojami ozdobna, całą wieńczy budowę. Poniżej biegną w około sklepione galerye, przebite 180 arkadami, w których co druga wisi ogromny rewerber. Kończą ją po obu stronach wspaniałe przysionki, na przepysznych wsparte kolumnach. Odstępy pomiędzy arkadami, zdobią festony i płaskorzeźby, a po nad niemi wznosi się pierwsze piętro z wysokiemi pałacowemi oknami, nad tém drugie z mniejszemi, nakoniec poddasze, na którém spoczywa balustrada. Nie masz żądzy, naturalnéj czy sztucznéj, prostéj czy wyszukanéj, którejby tu zaspokoić nie można. U xięgarza znajdziesz najstarożytniejszą równie jak najnowszą, najgłębszą lub najbardziéj płochą książkę. Nagromadza on roje sławnych i nieznanych autorów, a obok nich najzjadliwsze krytyki i paszkwile. Obok niego jubiler, trzy arkady na sklep zagarnął: ma dla najbiedniejszéj oblubienicy skromną obrączkę, i ćmiące brylantami naszyjniki dla najbogatszéj z xiężniczek. Tam znowu sklep przepyszny, oświecony wieczorem pięćdziesięcią świec woskowych, ogromne zwierciadła setnie wtórzą jasność i barw tysiące. Tam wykwintne modniarki zasiadły z berłem swojém. Co tylko rozbujała wyobraźnia utworzyć zdoła ze wstążek, blondyn, piór i kwiatów, powstaje tutaj pod kształtnemi paluszki całego tłumu nadobnych dziewcząt: pracują śpiesznie, ale śpieszniéj jeszcze oko ich strzela na przechodzących.

W tém znowu składzie, rozwijają się najświetniejsze jedwabne tkaniny, najkosztowniejsze merynosy, tam znowu najcieńsze sukna, najpiękniejsze wschodnie szale, a tam daléj najsztuczniejsze hafty. Sklepy pełne rozlicznego gatunku zegarów i zegarków, walczą o pierwszeństwo ze składami najpowabniejszych naczyń porcelanowych; tu dostać można guziczków z Wedźwoodu, lub dyamentów, tam złotych łańcuszków do zegarków, rękojeści do szpad, błyszczących stalą lub srebrem. Tu perfumy najroskoszniejsze zioną wonie, tam zachwycają oko najładniejsze miniatury i czarowne ryciny; obok matematycznych instrumentów, nęcą cukierki; przy dziecinnych cackach, jaśnieją błyszczące bronie; a tam znowu obszerny sklep przedstawia najrozmaitsze ubiory, jakich tylko zażądać można. Daléj, najwytworniejsze meble, wszystko co do porządku i wygody posłużyć może, znajduje się obficie. Potém następują po sobie kantory loteryjne, wexlarze, pieczętarze, pasztetnicy, restauracye, owocarki. W sławnym sklepie *Pod Żarłokiem,* nagromadzone są łakocie wszystkich mórz i krajów, w kawiarni *de Foi* najlepsze znowu znajdują się lody i najdobrańsze gromadzi się towarzystwo. Z kawiarni *Ślepych*, najrozkoszniejsza rozlega się muzyka, przez samych ślepych wykonywana, kiedy przeciwnie z kawiarni *Dzikich*, słychać głośne śmiechy i gwar zmięszanych rozmów. Gospodarz kawiarni *Brzuchomówcy*, figlami swemi przynęca prawie tyle gości, ile ich kawa *Tysiąca Kolumn* ułudnym blaskiem przywabia. Lecz za to, wszelkie towary są jeszcze raz tak drogie w Palais-Royalu. Zewnętrzne tylko życie tu działa i wszechwładnie panuje; ze wszystkiego co jest umysłowe, wewnętrzne, czyste, święte, tak płocho żartować się zdaje, iż niewinny cudzoziemiec jak najśpieszniéj ucieka od tego labiryntu zepsucia. Ale bardziéj jeszcze przynęcające, i zgubniejsze są sale pierwszego piętra. Tam znajdują owe zawołane szulernie, gdzie gracze przy zielonym stoliku, w Ruletę lub *Rouge et Noir,* tracą ostatnią iskrę rozsądku.

Przechadzających się pełno jest o każdym czasie w Palais-Royal. Z rana śpieszy zamyślony kupiec lub pracowity artysta, aby odetchnąć świeżém powietrzem, nim siędzie do pracy; właściwi jego mieszkańcy w głębokim jeszcze śnie są pogrążeni. Sklepy otwierają dopiero o osméj; o dziewiątéj kawiarnie zaczynają bydź pełne, i schodzą się czytający gazety. Od dwunastéj do drugiéj przybywa wielki świat; wówczas przedstawia wzór gustu i mody. Ławki nie mogą wystarczyć; wynoszą krocie słomianych stołków, na których można spocząć za dwa soldy. Od drugiéj do piątéj, tłum się przerzedza. Korzystają z téj przerwy, bony, mamki i matki, i przyprowadzają dzieci; ale wkrótce napływają nowe tłumy śpieszące do teatru. Zapalają nieprzeliczone światła, i aż do jedenastéj największy ruch i rozmaitość panuje; po jedenastéj wszystko cichnąć zaczyna, a o dwunastéj pusto i głucho jak w grobie. Ponieważ aleje trzy razy na dzień bywają polewane, kurz nie bardzo dokucza. W ostatnich latach, wzniesiono w pośrodku wodotrysk, który dwudziesto czterema otworami wysoko wodę podrzuca, i pożądany chłód przynosi. Można wyjśdź z ogrodu drugą galeryą na dziedziniec, gdzie zwykle dostanie najpiękniejszych kwiatów, najrzadszych roślin. Drugi znowu wychód, prowadzi przez ogromne schody na wspaniałą ulicę Vivienne. Chociaż to miejsce, którego zmysłowe uciechy, zdają się urągać ze wszystkiego co jest czystém, cichém, świętém, mało będzie mieć pociągu dla niezepsutego cudzoziemca, niemniéj dla tego jest nauczającém dla niewiadomych, przyjemném i zajmującém dla prawych, ponętném dla badacza ludzi i obyczajów. Jest najbogatszym, najbardziéj ożywionym obrazem, płochości, zbytku, odurzających uciech i teraźniejszego zepsucia.

## PIEŚŃ RUSKA
### WESELNA.

(Z osad nad Bugiem Województwa Podlaskiego).

Przy chacie dąb młody rośnie,
Tam dzień Halka przepędziła:
Przychodzi ojciec i woła radośnie;
—»Pójdźże ze mną córko miła.»

—» Ach, mój ojcze, noc burzliwa,
I wicher gwałtowny świszczy,
Wezbrany potok brzegi rozrywa,
I miesiąc jasny nie błyszczy;
Jakże przebędziem tę drogę
Zostaw mnie ojcze, ja iść nie mogę!—

Przy chacie, dąb młody rośnie,
Tam dzień Halka przepędziła:
Przychodzi Hrycio i woła radośnie,
—»Pójdź ze mną kochanko miła.
Już na nas Swaty czekają
Weselne piosnki śpiewają!»

—»Idę z tobą Hryciu drogi,
Już i wicher ustał srogi,
Noc piękna, razem śpieszemy,

http://rcin.org.pl

Łatwo potok przepłyniemy:
Miesiąc świeci, widne pola,
Pośpieszajmy więc do chaty,
Tam się zmieni moja dola,
Tam czekają na mnie swaty.

K. W.

## MANDRYLL.

Skłonność do czynienia złego, jest znamienną cechą wszystkich małp, ale po większej części nie mogą bydź tak złe jakby chciały; ich przestępstwa są tylko psotami, dla których stworzono właściwe nazwisko małpiarstw. Z tém wszystkiém, ponieważ sama tylko słabość ogranicza ich chęć czynienia złego, chęć ta wzrasta od gatunku do gatunku, w miarę wzrostu sił fizycznych. I dla dla tego można ściśle ustanowić proporcyą geometryczną, międzi ich przewrotnością a siłą, wnosząc z tego że największa z małp (prócz orangutanga) będzie najzłośliwsza. Zdanie to opieramy na dowodach, a zwierze którego szpetny obraz mamy przed oczyma, usprawiedliwia je zupełnie.

Mandryll jest najmocniejszy i największy z gatunku małp, zwanych cynocephalus (psia paszcza.) (1) Jego ciało grube jak ciało człowieka, a czasem długie na pięć stóp, jest krępe i żylaste. Głowa przedłużona i wielka, przymocowana jest do ramion bardzo zbliska i mocno. Cztery nogi równe i niezmiernie długie, są giętkie, żylaste i pięcioma palcami opatrzone, prawie takiego kształtu jak u ludzi, ale uzbrojone długiemi i ostremi pazury. Jego paszcza nie mniej jest silna i straszna, jak każdego drapieżnego zwierza. Nareście, zwinność mandrylla jest zadziwiająca, a w mocy wyrównywa najsilniejszemu człowiekowi. Jeżeli przydamy do tego, że środki szkodzenia wynikające z tego zbioru przymiotów, przechodzi jeszcze wrodzona jego złośliwość, że wszystkie jego siły ciągle są natężone i obudzone przez najdziksze namiętności, zaledwie zdołamy uczynić wyobrażenie o przewrotnéj jego naturze.

Ciągła potrzeba rozdzierania, nienawiść przeciw wszystkim istotom żyjącym, najgrubsze żądze, oto są jedyne podniety działań mandrylla. Niszczenie, jest jego ostatecznym celem; nie zadaje śmierci jak inne dzikie zwierzęta, aby wyżywił się i obronił; rani, zabija tych, od których ani dobrego ani złego spodziewać się nie może, chce tylko ich rozszarpać, zniszczyć ich ruch i całość. Tę pustoszącą zajadłość, wywiera nawet na owocach, na roślinach, któremi się żywi; lubi szarpać je, łamać, rozrzucać na kawałki. Jeżeli jego skłonności ucichną na chwilę, budzą się niespodzianie bez żadnego wyraźnego powodu, i Mandrylle przechodzą częstokroć ze stanu spokojności, do zapędów szaleństwa, z obojętności do najgwałtowniej

(1) W Zoologii Jarockiego, Mandryll liczony jest do rodzaju Pawianów; w rodzaju zaś Cynocephalus umieszcza tenże autor małpy zwane Magot, w Barbaryi i na skałach Gibraltaru znajdujące się, których kuglarze różnych sztuk uczą i po miastach europejskich pokazują.



MANDRYLL.

http://rcin.org.pl

szego gniewu. Żaden wpływ nałogu albo przywiązania, nie może uskromić ich nieprzyjaznych usposobień przeciw całemu światu. Mandryll, bez żadnego skrupułu kąsać będzie rękę, która mu codziennie pożywienie przynosi. Surowość również żadnego na nim skutku nie zrządza, jak dobrotliwość; daremnie używano z największém wytrwaniem i usilnością, dwóch wielkich środków działania, siły i łagodności. Mandryll najlepiej wychowany, nie pozbędzie się ani jednéj złéj skłonności, i nie wiadomo jakim sposobem Egipcyanie zdołali, jak powiada jeden ze starożytnych historyków, nauczyć te zwierzęta grać na cytrze i flecie. Nie dosyć na tém że Mandryll jest najgorszym ze wszystkich małp, jest zarazem i najbrzydszym, a szpetność podobnie jak wszystkie złe przymioty, doszła u niego do najwyższego stopnia. Jego paszcza przedłużona bez miary, opatrzona jest dwoma workami, które brzydkie wtedy, gdy są wzdęte pożywieniem, stają się jeszcze brzydszemi, gdy obwisną. Skóra obnażona i brudno-czarna, która okrywa pysk jego, poryta jest głębokiemi zmarszczkami, idącemi w podłuż, a zarazem wytężona ciśnieniem ogromnych kości szczęki, któréj obwód odznacza się kolorem już to niebieskim, już to fioletowym. Nos bardziéj niżeli zadarty, ponieważ otwór nozdrzów nie jest zupełnie przy końcu, oznaczony jest w całéj długości wązką krwawą pręgą, zęby długie i szerokie są koloru brudno żółtego, podobnie jak kosm u brody. Czoła nie ma wcale, oczy głęboko zapadłe, zakryte są gęstemi brwiami, ucho nareście obnażone i sterczące, wpada w kolor czarny i niebieski. Cała nikczemność i dzikość charakteru Mandrylla, wydaje się mocno na téj paszczy, którą odosobniają i bardziéj wydatną czynią, długie włosy, któremi jest otoczona. Reszta ciała, okrytego szarą albo oliwkową sierścią, również jest nieprzyjemna. Sam nawet ogon, ta nieuchronna ozdoba zwierząt czworonożnych, jest u Mandrylla tylko na parę calów długi. Obmierzłe zwierze nie chodzi prawie, ale się rzuca z nienacka, wydając głuche i ostre dźwięki, podobne do szczekania psa, albo do kwiku wieprza.

Mandryll jest zuchwały i zna siłę swoją. Nie boi się obecności człowieka, nie ucieka usłyszawszy wystrzały broni palnéj, których boją się prawie wszystkie inne zwierzęta. Broni wstępu do lasów w których przebywa, a zwołując do siebie wszystkie zwierzęta tegoż samego rodzaju, usiłuje krzykiem swoim wzbudzić trwogę w nadchodzących. Uzbrojony kamieniami i kijami, ustępuje krok za krokiem, a niekiedy wyrywając z kory drzew, utkwione strzały, które przeciw niemu wypuszczono, rzuca je na negrów, co go napastują.— Schwytany, obojętnie znosi nowe położenie swoje. Mandrylle zbierają się gromadami, nie tylko wtedy gdy zamyślają zrabować pole, albo stawiać odpór murzynom, ale i do zwyczajnego życia, i nie puszczają innych gromad w miejsca, które sobie na mieszkanie obiorą.

Mandryll mieszka w górzystych i lesistych okolicach Afryki zachodniéj i południowéj. Ciągle napastuje pokolenia negrów, którzy ledwie mogą odpędzić go od swoich osad. Schwytanych Mandryllów negrowie zjadają albo też przesyłają do Europy, gdzie ich szpetność przestrasza i bawi odwiedzających menażerye.

---

## PODANIA GMINNE.

Równie jak pieśni gminne, przysłowia; tak też niemniej podania i powieści, wielkie na poznanie języka, poezyi i historyi rzucają światło. Chociaż wszystkie niemal sławiańskie pokolenia pilnie się około zbioru tychże krzątały; najmniéj w tym względzie u nas pracowano, i z żalem wyznać należy, że pole to bujne, zupełnie odłogiem stoi. Sądzimy przeto, iż nieodrzeczy będzie, jeżeli tutaj jednę z tych powieści, jak je lud nasz opowiada, umieścimy.

### PIECZARY W CZARNEJGÓRZE. (*)

Koło Czarnéjgóry, wije się niedaleko pieczar, między kłodami i gęstemi zaroślami wązka ścieszka. Przy rozpoczynającym się zmroku, nikogo z ludzi już więcéj tu nie widać; a jeżeli podróżnego na tém miejscu przypadkiem noc zaskoczy, to mimowolnie go jakaś bojaźń, i zimny dreszcz przechodzi. Bo jak tylko słońce zajdzie, to zaraz słychać wśród góry jakiś szum i brzęk łańcuchów, a wśród nocy widać przy miesiącu widma rozbójników, którzy tu jeszcze przed wiekami gościli, i mordy i pożogi stalowemi toporkami po przyległych osadach rozszerzali. W milczącym i poważnym orszaku, wychodzi dwanaście dużych postaci w bieli, niosących na barkach wielką otwartą trumnę; zaniosłszy ją na wierzch, znikają. Wtenczas także podnoszą się czaszki wśród kamieńca porozrzucane.

Przez długi czas zasiadywali w pieczarach rozbójniki, obdzierali podróżnych, zabierali skarby z kościołów (cerkiew) i przyległych siół, zgromadzali do pieczar i tam je zagrzebywali. Różne przy tym okrucieństwa wyrabiali. Skarby tych rozbójników, złoto, srebro, perły i drogie kamienie, leżą do dziś dnia jeszcze w beczkach, w długich tych pieczarach. Lecz rzadko komu zdarzy się

*) Czarnogóra (Czernohora) w Kołomyjskim obwodzie w Galicyi, od niepamiętnych czasów znane siedlisko opryszków.

http://rcin.org.pl

namacać drzwi do nich prowadzące, chociaż się często zawarty wchód pokazuje. Widma w postaci pustelników wchodzą często do pieczar.

* * *

Razu jednego, widział biedny wieśniak, który prawie za załomem skały buka ściąć zamyślał, zwolna przez las postępującego pustelnika, i aby od niego nie był spostrzeżonym, schował się za grube drzewo. Pustelnik przeszedł koło niego i wszedł w opokę. Wieśniak zwolna za nim postępował, i ujrzał jak tenże przy małych drzwiczkach zatrzymał się, których żaden dotąd z sioła nie uważał. Pustelnik zakołatał z cicha i wyrzekł: »Otwórzcie się drzwiczki» a drzwi odskoczyły; na drugi rozkaz »Zawrzyjcie się drzwiczki» znowu się zawarły. Całe ciało na wieśniaku drżało, a mimowolnie naznaczył wchód gałęźmi i chróstem.

Od tego czasu, nie mógł ani jeść ani spać; wciąż go tylko coś tajemniczego ciągnęło, aby się dowiedzieć, coby w tych pieczarach było, do których dziwne drzwi prowadziły.

Pościł dla tego w najbliższą sobotę, a ze wstającém słońcem w niedzielę, udał się, mając krzyż w ręku, do naznaczonego miejsca. Stanął teraz nie daleko drzwiczek, i dzwonił zębami; bo się mu wciąż zdawało, że znowu jakieś widmo w postaci pustelnika tutaj przybędzie. — Lecz żaden się duch nie ukazał. Z dreszczem przystąpił bliżej ku drzwiom, i długo tam podsłuchiwał — lecz nic nie słyszał. Nakoniec zakołatał mocno, na pół bez pamięci, w drzwiczki: »Otwórzcie się drzwiczki» wyrzekł słabym i cichym głosem. Odskoczyły drzwiczki, a on ujrzał się w wązkim i ciemnym sklepie; wszedł głębiéj tymże i widział obszerną jasną izbę; »zawrzyjcie się drzwiczki» rzekł mimowolnie — drzwi się zamknęły. Tutaj to było w wielkich odkrytych kadziach pełno białych talarów i czerwonych złotych; tam leżało skrzyneczek bez liku z perłami i drogiemi kamieniami; szczerozłote krzyże, obrazy świętych, to leżały, to stały po końcach izby, na srebrnych stołach. Żegnał się wieśniak, i wolałby o sto mil od tego zaczarowanego miejsca bydź oddalonym; nie mógł się jednakowoż wstrzymać, aby cośkolwiek z tych wielkich skarbów nie wziął i to na odzienie swéj żony i ośmiorga dzieci, które już nago prawie chodziły. Przeżegnał się, z bojaźnią sięgnął ręką, do kadzi, która koło niego stała, i wziął sobie nieco tych białych pieniędzy. Zaraz potém uchwycił się za głowę, lecz ta jeszcze na swojém stała miejscu. Już nie tak przestraszony, wziął znowu pełną garść drobnych białych pieniędzy i udał się z dreszczem ku drzwiom.

»Przyjdź znowu» odezwał się gruby głos z głębi pieczary. Wszystko teraz koło niego krążyło, i ledwie mógł: »Otwórzcie się drzwiczki» powiedzieć. Drzwi odskoczyły. Głośniejszym i weselszym już głosem krzyknął: »Zawrzyjcie się drzwiczki;» a drzwi się zamknęły.

Poleciał do domu tak prędko jak mógł; lecz nie powiedział, że znalazł skarby; tylko poszedł do cerkwi, dał dwie dziesiąte części tego co wziął w pieczarze, na kościół i na ubogich. Nazajutrz poszedł do miasta, kupił co nieco potrzebnego żonie i dzieciom i mówił przy tém że zardzewiały ten talar i garść złotych, znalazł pod korzeniami buka ściętego.

Następującéj niedzieli, poszedł z mniejszą bojaźnią i odważniejszemi krokami, ku drzwiom opoki, czynił toż samo co i pierwéj i nabrał miernie do kieszeni. — »Przyjdź znowu» odezwał się gruby głos; a on przyszedł znowu trzeciéj niedzieli, i napełnił znowu jak pierwéj swoje kieszenie.

Teraz był już sobie bogatym gospodarzem. Lecz cóż miał robić z owém wielkiém bogactwem? Rozdał na kościół i na ubogich, dwie dziesięciny, tego wszystkiego co posiadał; a co się zostało jeszcze, życzył sobie w piwnicy zakopać, aby z gotowizny téj, w przypadku swego gazdowstwa (gospodarstwa) mógł sobie pomódz. Jednakże chciał wprzódy pieniądze swoje przemierzyć; bo się za młodości liczyć nie uczył i poszedł z téj to przyczyny ćwierci sobie pożyczyć od sąsiada, bardzo wielkiego bogacza, któren przy swojém bogactwie głód cierpiał, któren z lichwą żytem kupczył, robotnikom zarobek umniejszał, sługom płacy nie dawał, wdowom i sierotom należytości nie wracał, pieniądze na fanty rozdawał — a przytém wszystkiém dzieci nie miał żadnych. Lecz w ćwierci były wielkie szpary, przez które jak żyto ubogim robotnikom sprzedawał, strząsane i ubijane ziarna wylatywały, co on znowu na swą kupę zgromadzał. Między te to szpary, zaroniło się kilka białych małych pieniędzy, których wieśniak nie wytrząsł; lecz bystremu sokolemu sąsiada bogatego oku, nie utaiły się żadnym sposobem. Szukał więc wieśniaka w lesie, a gdy go znalazł, zapytał: coby ćwiercią pożyczaną mierzył? »Leśne nasienie, i mysiarki» (*) odpowiedział tenże z jąkaniem. Wstrząsając głową pokazał mu lichwiarz srebrne pieniądze, groził sądem i męką, a potém obiecywał cokolwiek sobie tenże życzyć mógł. I tak to powoli wyłudził z niego tajemnicę i dowiedział się o niezliczonych tych skarbach.

Cały tydzień przemyśliwał nad tém bogacz, jakby zaraz cały skarb z pieczary wy-

(*) Tak się zowią orzechy laskowe, które sobie myszy polne zagrzebują i które ludzie tamtejsi wykopują.

http://rcin.org.pl

prowadzić można, nie opuściwszy i tych co w pobocznych pieczarach lub pod ziemią ukryte leżały. A jakby już cały skarb u siebie miał, tedy sobie przedstawiał jak go będzie liczył, pomału jeden łan pola po drugim, jednę niwę po drugiéj, od swych sąsiadów na wpół darmo skupował, albo wyprocessował, lub krzywemi przysięgami zarabiał. A jakby takim sposobem całe sioło zakupił; to wyobrażał sobie, jak jednę wieś po drugiéj, zamek za zamkiem nabywać będzie; aż wreszcie xiążęciem zostanie.

Wieśniakowi nie było po myśli, że się jego zawistny sąsiad do pieczar uda. Prosił go aby zaniechał tego przedsięwzięcia, przestrzegał go, rozbierał mu niebezpieczeństwo, opowiadał tysiąc powieści o marném zaginieniu tych, co pieniądze kopali.— Lecz któż może skąpca odwieść od rozwiązanego worka z czerwonemi złotemi? Przez różne wreszcie groźby i prożby, dał się wieśniak namówić, aby z nim jeszcze raz do drzwi pieczar poszedł; a tam miał on wory które lichwiarz napełni, odbierać. Tym to mieli się podzielić, dziesięcinę dać na kościół, i prócz tego wszystkim ubogim ze wsi nowe suknie. Tak prawił skąpiec. Lecz w sercu swém postanowił, wieśniaka wtrącić w najgłębszą przepaść, jak go już nie będzie potrzebował, ubogich zaś niczém, a cerkiew kilkoma zbyć srebrnikami.

Następnéj niedzieli, wybrał się skąpiec z wieśniakiem przed wschodem słońca jeszcze, do pieczar w Czarnejgórze. Dźwigał na plecach, łopatę, potężną siekierę i wielki wór trzy ćwierciowy, w którym znowu do sto mniejszych było woreczków. Wieśniak napominał go jeszcze raz ostatni, aby poprzestał swej chciwości; ale wszystko darmo. Klnąc i strzygąc zębami szedł daléj skąpiec. Już byli przyśli do drzwiczek. Wieśniak, któremu się już nie dobrze robiło, przeczuwał bowiem strach niejaki, został się przed otworem aby podawane mu worki odbierał. »Otwórzcie się drzwiczki! krzyknął grubym i tęgim głosem lichwiarz. — drzwi się otwarły; wlazłszy rzekł: »Zaprzyjjcie się drzwiczki» a drzwi się zawarły. Ledwie tylko wszedł, to zobaczył wszystkie kadzie, beczki i skrzyneczki z złotem srebrem, perłami i innemi drogiemi kamieniami; przerzucił wszystkie te skarby oczyma, i wyjął trzęsącą się ręką worki i woreczki aby je napełnić. W tym wyszedł powoli z głębi pieczary wielki czarny chart, z błyszczącemi oczami, i położył się na skarbach i pieniądzach. Przestraszonemu lichwiarzowi zawróciło się w głowie, upuścił worki; a wielki czarny chart pokazał mu zęby i zawył: »Po coś tu przyszedł lichwiarzu.» Dreszczem przejęty upadł na ziemię i popełzał się na rakach ku drzwiom, lecz w strachu tym zapomniał powiedzieć: »Otwórzcie się drzwiczki» tylko raz po raz krzyczał: »Zawrzyjcie się drzwiczki;» a drzwiczki były zamknięte.

Długo czekał na niego wieśniak z drżącém sercem. Wreszcie przystąpił bliżej ku drzwiom. Tu usłyszał głuchy krzyk i jęk pomieszany z złowieszczem wyciem psa. — potém wszystko ucichło. Właśnie także zaczęto dzwonić na służbę Bożą do kościoła. Zmówił Ojcze nasz, i z lekka zapukał do drzwi. »Otwórzcie się drzwiczki»—drzwi się odemknęły. A tam co za okropność! — Leżało krwią zbroczone ciało lichego sąsiada, rozciągnione na worach — a kadzie, beczki i skrzynie z złotem, srebrem, perłami i drogiemi kamieniami, zapadały się powoli w ziemię przed jego oczyma.

Powieść ta okazuje zdrowy rozsądek i moralność naszego ludu. Z jéj powodu namienić także wypada, że są podania wszystkich ludów będące własnością. Powieść gminna, z któréj Burger sławną napisał Lenorę, znana jest wszystkim ludom sławiańskim. Żukowski w języku Rossyjskim zrobił z niéj Balladę p. t. *Swietlana*, którą na wiersz polski przełożył Odyniec. Ja także przypominam sobie, że urywki podobnéj treści pieśni gminnéj, słyszałem w języku polskim.— Powieść zupełnie prawie podobna do téj którąśmy tu umieścili, znajduje się w Tysiącu Nocy, a przecież ani przypuścić można aby wieśniacy Kołomyjscy, ztamtąd mieli ją sobie przyswoić.

## BANANAS. (1)

Królestwo roślinne, obfituje w płody, będące dowodem z jak troskliwém przewidywaniem Opatrzność zaopatrzyła wszystkie potrzeby człowieka, w miejscach które były jego kolebką, to jest pod strefą gorącą. Królestwo to dostawia mu pożywienia stosownego do jego fizyczności, w owocach chłodzących, smacznych, słodkich, winiastych, tłustych, wonnych, jakoto: pomarańczy, orzechów kokosowych i t. d. Inne drzewa udzielają człowiekowi przytułku, odzieży i sprzętów, takiemi są drzewa palmowe, co tak rozmaite wydają płody: bawełna, kalebassya czyli drzewo baniorodne, którego owoc może przybierać kształty wszelkich naczyń. Ale jeszcze jeden cud uskutecznić było trzeba: zebrać w jednem drzewie tyle użytecznych rzeczy tak, iż samo jedno opędzić może wszelkie potrzeby życia; cud ten znajdujemy w Bananasach, które podróżny Dampier nazywa królami roślin, wynosząc je nawet nad drzewo kokosowe i chlebowe.

(1) Bananas podług Kluka, jest gatunkiem rodzaju Musa paradisiaca, Rajska figa.

http://rcin.org.pl



BANANAS.

Bananas hodowany jest jak najtroskliwiéj w ciepłych klimatach obu Indyi i Afryki. Jego łodyga utworzona jest w całéj prawie grubości swojéj; z osad liści wchodzących jedna w drugie; długa jest zwyczajnie do dwudziestu stóp; gruba przynajmniéj jak udo człowieka, nie ma żadnéj gałęzi, i tylko na wierzchołku ma piękny bukiet z kilkunastu liści, szerokich na półtory stopy do dwóch, długich od sześciu do dziesięciu, pięknego koloru zielonego, bardzo gładkich po wierzchu i śklniących się jak atłas. Sama postać i układ tych liści, już wzbudza uwielbienie. Wyrastając w górę, zaginają się w łuk i niekiedy tworzą piękną altanę, nieprzystępną ulewie i słocie; z pośrodka tych to liści wychodzi bukiet kwiatów i owoców. Bananasy podobne kształtem do ogórków; wyrastają pękami, a czasem po sto na jednéj gałęzi; każda część tego drzewa, służy za zaspokojenie potrzeb, lub uciech człowieka.

Liście Bananasów bardzo są giętkie zerwane świeżo. Indyanie robią z nich rozmaite naczynia, i zachowują w nich wodę lub żywność, niemi także pokrywają dachy. Jeden liść wystarczy na szeroką przepaskę dla człowieka, a dwa okryć go mogą zupełnie. Zielone liście bananasów, służą także zamiast obrusów i serwet. Pewien podróżny przechadzając się po wyspie Ile de France, napotkał dwóch negrów opatrzonych w rydel i motykę; nieśli oni na plecach pręt bambusowy, do którego przywiązane było zawinięcie otoczone dwoma liściami bananasu. Było to ciało ich biednego towarzysza, któremu ostatnią oddać mieli usługę. Tak więc liście tego drzewa, służą za okrycie, ubranie i trumnę człowiekowi.

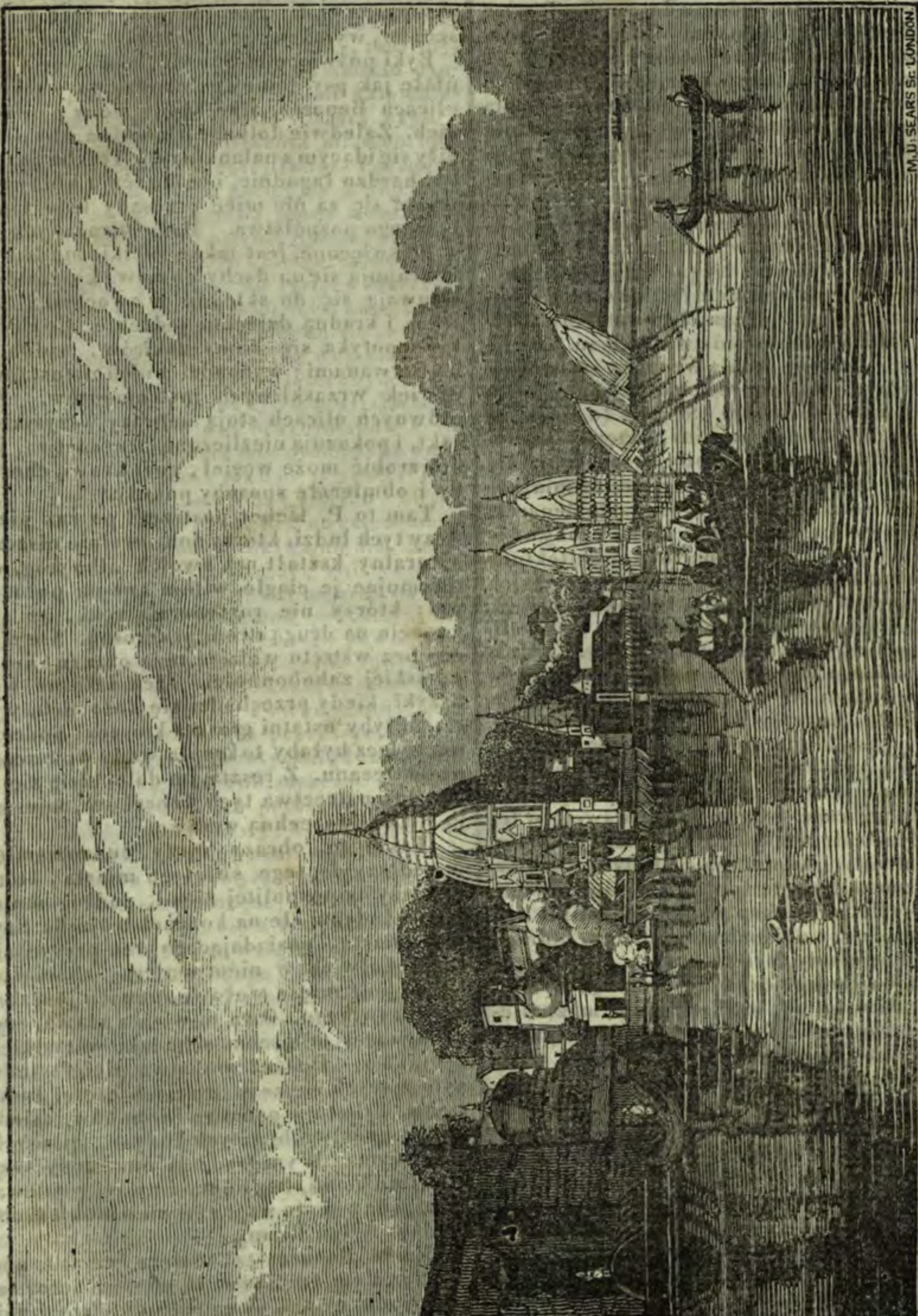
Bananas pod równikiem, wydaje owoce w dziesięć albo dwanaście miesięcy; potém łodyga usycha ale jest otoczona kilkonastoma odrostkami rozmaitéj wielkości, które ją zastępują i nowe wydają owoce tak, że ich nigdy nie braknie.

Ta łodyga zaleca się także bardzo kosztownemi przymiotami; znajduje się w niéj mlecz łatwo dający oddzielić się od włóknistéj powłoki. Część niższa tego mleczu ugotowana, służy do pożywienia ludzi. Młoda jeszcze i posilna łodyga, dostarcza wybornéj żywności domowym zwierzętom, jako to: słoniom, wołom, baranom, i. t. d. a że przez długi czas zachowuje się w stanie świeżości, używają jéj do żywienia tych zwierząt pod czas morskiéj żeglugi. W niektórych krajach Indyi, umieją robić z łodyg bananasu, nici, z których potém robią liny, sznury, posłania okrętowe, z cieńszych zaś płótno. Czyliż więc nie należy policzyć tego drzewa do najkosztowniejszych darów Opatrzności? a przecież nie wspomnieliśmy jeszcze o owocach Bananasowych, o tych owocach razem wonnych, mącznych i słodkich, które są najzdrowszém pożywieniem. Owoc ten posiada tę szacowną własność iż owady i ptaki nie tkną go póki zupełnie nie dojrzeje; a zerwany na kilka dni wprzódy, dojdzie w schowaniu. Bananasy są zwyczajném pożywieniem Indyan i Negrów w osadach. Z suszonych robią mąkę, którą biorą na okręty. W Antyllach i w Kajennie, robią z nich wino bardzo przyjemne. Ale nie skończylibyśmy tego artykułu, gdybyśmy chcieli powtorzyć wszystkie opowiadania podróżnych o téj roślinie. — Powieści te, połączone są z nadzwyczajnemi podaniami, a nawet z bajkami, które okazują, jak mocno uderzył wyobraźnię ludów, zbiór tak licznych przymiotów tego drzewa. Z powodu zaopatrzenia pierwszych potrzeb człowieka, nazwano go w Indyach figą Adamową, a chrześcianie ze wschodu, uważają go za drzewo raju ziemskiego. To rzecz pewna, że liście jego najstosowniéj służyć mogą za okrycie, którego po upadku swoim, potrzebowali pierwsi rodzice nasi.

---

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

http://rcin.org.pl




ŚWIĄTYNIA W BENARES.

http://rcin.org.pl

Umieszczając na czele tego zeszytu rycinę, wyobrażającą jednę z najznakomitszych świątyń miasta Benares, załączamy wiadomość o téj religijnéj stolicy Indyan.

Jednym z miast najbardziéj obudzających ciekawość podróżników, jest bez wątpienia Benares, to miasto tak święte w mniemaniu Indyan, że wielu rajachów indyjskich, trzyma tam swoich ajentów, którzy za nich czynią ofiary i obmycia podług obrzędów wiary Bramy. Nazwisko jego pochodzi od dwóch rzek, Benar i Assi, wpadających do Gangesu, jedna wyżéj a druga niżéj jego okręgu. Między ich ujściami jest przestrzeń blisko na trzy mile długa, i tam stoi owa stolica nauk i duchowieństwa Indyan. Od jednéj do drugiéj rzeki, wznoszą się kościoły, domy, i wspaniałe schody zwane *ghauts*, dochodzące do wody. Schody te zrobione z szerokich stopni granitu, zstępują od domów aż do rzeki, i jakoby przerzynają się pośród fantastycznego nagromadzenia domów. Postać tę, przybrało miasto Benares, od czasów Aureng-Żeba, który zdobywszy je, wzniósł mnóstwo gmachów architektury muzułmańskiéj, odbijających się od ciężkich i niekształtnych budowli Indyjskich.

Zdobywca ten, wystawić kazał na zwaliskach starego kościoła, meczet, zwany Mussid, którego śmiałe minarety wystrzelają w górę i liczą się pomiędzy osobliwości tego miasta. Aureng-Zeb chciał aby ten meczet poniżył uporczywy fanatyzm Indyan. Ozdabiają go dwa minarety bardzo wysokie, z których szczytu ten władzca mógł całe miasto ogarnąć. Codziennie stawiał w téj świątyni oddział zuchwałych muzułmanów, aby patrzali na kąpiących się Indyan, dla których zmazą były te spojrzenia niewiernych. Uczony Heber, biskup Kalkutty skreślił najdokładniejszy opis miasta Benares, którego treść udzielamy czytelnikom.

Żaden Europejczyk nie mieszka w mieście; ulice są tak wązkie iż nie można jechać powozem. Te ulice po większéj części są tak zawalone i kręte, że nawet w palankinie albo w lektyce, trudno je przebywać. Domy są bardzo wysokie, każdy z nich ma przynajmniéj dwa piętra; wiele z nich ma trzy, a wiele pięć lub sześć; są bogato ozdobione warandahami, galeryami, balkonami. Znaczna jest liczba kościołów, po większéj części są małe, wyglądają jak nisze, stoją na rogach ulic, albo pod zasłoną wielkiego domu. Ich budowa nie jest jednakże pozbawiona kształtu i piękności. Większa ich część zupełnie jest pokryta płaskorzeźbą, wyobrażającą kwiaty, zwierzęta, liście palmowe, wyryte z wytworem i dokładnością, których żadna budowa grecka albo gotycka, nie przewyższyła. Mieszkańcy ozdabiają wydatniejsze części domów swoich malowaniami koloru ceglastego, wyobrażającemi kobiety, mężczyzn, byki, słonie, bożyszcza, i t. d. Stopień potęgi tych bożyszczów, wyrażony jest liczbą ich głów i rąk.

Byki poświęcone Szywie, oswojone i poufałe jak psy domowe, chodzą po wązkich ulicach Benares, albo kładą się w poprzek nich. Zaledwie dotknąć ich można, aby ustąpiły się idącym z palankinami. Trzeba je trącać bardzo łagodnie, i biada temu ktoby odważył się za nic mieć przesądy tego fanatycznego pospólstwa. Małp uważanych jako poświęcone, jest także wielkie mnóstwo. Wdrapują się na dachy domów i kościołów, wsuwają się do sklepów z owocami i ciastem, i kradną dzieciom jedzenie. Co chwila napotyka się domy fakirów, ozdobione bałwanami; wychodzi z nich nieustanny dźwięk wrzaskliwych instrumentów. Na głównych ulicach stoją żebracy wszystkich sekt, i pokazują niezliczone brzydactwa, jakie zrobić może węgiel, gnoj krowi, choroby i obmierzłe sposoby pokuty.

Tam to P. Heber postrzegł po raz pierwszy tych ludzi, którzy dobrowolnie niszczą naturalny kształt rąk swoich albo nóg, utrzymując je ciągle w tém samém położeniu; którzy nie roztwierają ręki, aż paznokcie na drugą stronę przerosną. Nie można bez wstrętu widziéć tego obrazu barbarzyńskiéj zabobonności. Ich żałosne wykrzyki, kiedy przechodzi się koło nich, wyciągnęłyby ostatni grosz z kieszeni podróżnika, lecz byłaby to kropla wody wpuszczona do Oceanu. Z resztą, im daléj idzie się w miasto, natręctwa tych żebraków, mieszają się z powszechną wrzawą.

Takie to obrazy ujrzy cudzoziemiec wszedłszy do tego świętego miasta, które nie leży na pospolitéj ziemi, podług mniemania Indyan; ale na końcach trójzęba Szywy, miasta, posiadającego ten przywiléj, że ktokolwiek w niém umiera, chociażby nawet jadł mięso wołowe, pewien jest zbawienia swojego. Owa to wielka sława, czyni Benares miejscem schadzki wszystkich żebraków. Oprócz mnóstwa pielgrzymów zbierających się ze wszystkich części Indostanu, Tybetu i państwa Birmanów, osiada tamże mnóstwo bogatych Indyan, ku schyłkowi życia. Wynagradzają oni błędy swoje jałmużnami, bez miary i uwagi rozdawanemi, i bawią się wspaniałym widokiem obrzędów religii Bramy.

Miasto Benares tak dalece wzrasta pod panowaniem Anglików, iż pewien autor tego narodu, uważa je za najludniejsze i największe w Indostanie, i oblicza ludność jego na 630,000 dusz. Jest w niém mnóstwo szkół machometańskich i indyjskich, jako też pewien rodzaj akademii Bramińskiéj zwanéj Widalaja, któréj professorów opłacają Anglicy. To miasto słynie także licznemi rękodzielniami materyi jedwab-

http://rcin.org.pl

nych, bawełnianych, wełnianych, obszernością swoich handlowych stosunków; jest tu wielki targ na szale, dyamenty, muśliny, i na towary Angielskie. Co do handlu dyamentami i innemi kosztownemi kamieniami, nie ma równego miasta w całéj Azyi.

Benares jest bez wątpienia miastem najlepiéj urządzonem w całéj Indyi. Porządek utrzymuje tam straż policyjna z pięciuset ludzi złożona i wybierana przez mieszkańców. Pomimo niezmiernéj ludności téj stolicy, mnóstwo żebraków i pielgrzymów, między któremi znajduje 20 tysięcy Maratów po większéj części uzbrojonych i nawykłych do morderstw, nie wiele zdarza się kradzierzy i zabójstw. Siła zbrojna Angielska nie bywa używana, chyba w ostatecznym razie. W przeciągu lat 25, raz tylko musiała bydź czynną pod czas kłótni Muzułmanów z Indyanami. W meczecie muzułmańskim znajdowała się kolumna sławna w religii Bramy i bardzo czczona przez Indyan, zwana *laską Szywy*. Był to obelisk na czterdzieści stóp wysoki, z jednéj sztuki kamienia. Pagodę do któréj nigdyś należał, zniszczyć kazał Aureng-Zeb i wystawił meczet na tém samém miejscu. Kolumna pozostała nie tknięta, nie wiadomo z jakiego powodu, a kapłani muzułmańscy pozwolili Indyanom odwiedzać ją, pod warunkiem że mieć będą prawo do połowy ofiar. Pewnego razu, spotkały się przy niéj dwie processye, Muzułmańska i indyjska; fanatyczni Muzułmanie obalili kolumnę; Indyanie mszcząc się za to, zburzyli meczet, a ich przeciwnicy odpłacili im zabójstwem krowy, któréj krew rzucili w Ganges. Rozjątrzenie obudwu stronnictw, doszło do najwyższego stopnia, rząd musiał użyć siły zbrojnéj, a ta po większéj części składała się z Indyan. Mimo tego, karność wojskowa wzięła górę. Na próżno na czele rozjuszonego tłumu, który trzeba było rozproszyć, stanęli braminowie i inni żebracy okryci popiołem i kredą, grożąc żołnierzom najstraszliwszemi przekleństwami. Cypaje usłuchali gdy im kazano dać ognia i rozpędzili gromady. Wieczorem stali na straży meczetów, z taką gorliwością i odwagą, jak gdyby czuwali nad własnemi pagodami.

Gdy już uśmierzył się rozruch, nastąpiła druga nadzwyczajna scena. Miasto święte było znieważone, krew krowy zmięszano ze świętemi wodami Gangesu; już odtąd nie można będzie dostąpić zbawienia w Benares. Wszyscy Braminowie w liczbie kilkunastu tysięcy, poszli processyonalnie, z obnażonem ciałem, z włosami osutemi popiołem, nad główne koryto rzeki, i usiedli nad brzegiem, z pochyloną głową, z oznakami głębokiéj boleści. Ogłosili powszechny post i przez trzy dni nie chcieli wrócić do domów i przyjąć pożywienia. Przełożenia władz angielskich przecież ich przekonały, że nie powinni karać się za występek, którego nie popełnili. Anglik będący świadkiem téj sceny, opowiadał, iż blade i wychudłe twarze tych fanatyków, ich włosy w nieładzie, mocny i prawdziwy smutek wyryty na twarzach, jęki kobiet, krzyki dzieci, przedstawiały niezmiernie uderzający obraz.

Postępowanie takie nazywa się *dhurna*. *Siedzieć dhurna*, znaczy usiąśdź ażeby płakać, bez zmiany miejsca, bez przyjęcia żadnego pożywienia, pod odkrytém niebem, dopóki osoba przeciw któréj wymierzona jest *dhurna*, nie uczyni zadosyć ich żądaniu. Indyanie są przekonani, że dusze tych którzy umrą siedząc *dhurna*, dręczyć będą swoich nieprzyjaciół. Pewnego razu, cała ludność nie chcąc opłacać nowego podatku, usiadła *dhurna* w liczbie 300,000 i rząd angielski zaledwie zdołał skłonić tych zapaleńców, iż się rozeszli do domów.

## KONWERSACYA. (1)

Jestże to prawdą? czyliżby zginąć miała ta potęga, co u nas nad wszystkiemi panowała i zamieniała Francyą w niezmierny salon, w którym roztrząsano najważniejsze sprawy, rozdawano wieńce zasłudze, chwałe, dobremu smakowi, w którym pogardą karano mierność, szyderstwem niewłaściwe pretensye, a wesołością śmieszność? Jeszcze w roku 1810, wyznała pani Stael, że konwersacya od lat stu nadaje kierunek wyobrażeniom. Myślano aby mówić, mówiono aby zyskać oklaski; a wszystko o czém mówić nie można było, zdawało się zbytecznem.

Otóż więc ta wróżka tak dowcipna i gadatliwa, któréj składali hołd uczeni, artyści, wojownicy, wytworna młodzież i zalotne kobiety, straciła całą władzę swoją. Biedna konwersacya, oparła się Ludwikowi XIV. rusztowaniom terroryzmu, woli Napoleona, a skonała z nudów, umarła pod kolossem pieniędzy, przytłumiającym teraz wszystkie szlachetne uciechy, upodobania, uczucia. Biedna! z jakimże powabem umiała zachęcać swoich wiernych poddanych, jakiemi byli Champfort, Rivaroł, Segur, Ben-

(1) Wybaczą mi gorliwi przestrzegacze czystości języka, iż mając wyrazy polskie, rozmowa, rozmawianie, używam cudzoziemskiego. Konwersacya, jak mniemam, nie da się wytłomaczyć przez dwa powyższe wyrazy polskie. Jest to rozmawianie w wykształconem towarzystwie, o najprostszych jak razem o najwznioślejszych przedmiotach; rozmawianie łatwe, szlachetne, dowcipne, przyjemne, uczone, wyłączny przymiot Francuzów, w którym żaden naród nie zbliżył się do nich; jest to znamie ich charakteru. A jak rzecz sama dotąd nie dała się u nas przyswoić, tak musimy zachować jéj cudzoziemskie nazwisko.

http://rcin.org.pl




## WIDOK TERAŹNIEJSZEGO SALONU.

jamin-Constant, Tayllerand, i tylu innych. Jakże umiała zstępować do wszystkich stanów, aby tém bardziéj władzę swoją rozszerzyć! Znajdowano ją w barakach, koszarach, ustępowéj sali trybunałów, w sklepie xięgarza, na publicznych placach; ona to oznaczała stopień szacunku należący się wodzowi, urzędnikowi, statyście, autorowi, albo artyście drammatycznemu. Nikt nie uchronił się przed jéj wyrokiem: surową albo pobłażającą, płochą albo poważną, każdy szanował, gdyż była matką wziętości.— Polityka ją zabiła, mówią jéj starzy zwolennicy, chcąc przynajmniéj zgon szlachetny dla niéj wybrać; ale prawda historyczna nie dopuszcza téj potwarzy. Nigdy polityka bardziéj nie zajmowała umysłów, jak za Zgromadzenia Prawodawczego, a konwersacya w żadnéj epoce nie była bardziéj ożywioną jak wówczas. Nie, konwersacya musiała uledz pod namiętnością najnikczemniejszą ze wszystkich, pod tą, o któréj bez zarumienienia mówić nie można. I w rzeczy saméj, jakżeby śmiano mówić o przedmiocie, w którym osobisty interes usuwa wszelką delikatność; o zamiarze małżeństwa, w którym posag zastępuje miejsce bożka miłości; o niebezpiecznéj spekulacyi; o grze giełdowéj, narażającéj honor i majątek; o intrydze miłosnéj, która ma na celu korzystanie ze stosunków zwiedzionego męża; o przedaniu swojéj kreski?.. nikt o tém nie chce i nie lubi mówić; a rozmawianie musiało ustać dla braku żywiołów.

Byłby to przedmiot godzien pędzla najcelniejszych artystów, odmalować salon pani de Stael, w którym każde oblicze ożywione było rozmową; jakąż sprzeczność tworzyłby ten obraz obok naszych tegoczesnych salonów, których zarys umieściliśmy na czele tego artykułu? Środek, zwykle zajmują kobiety, przypatrują się swoim ubiorom i ledwie parę słów powiedzą o najświeższych modach, gdyż mężczyzni zebrani po kilku przy oknach, albo przy stolikach gry, ani się odezwą do nich. I oni także nie rozmawiają; każdy, lubiąc tylko mówić o sobie, wie, iż to nikogo obchodzić nie może.

Wszyscy więc czémprędzéj biorą się do wiska, albo do ekarté: każde zatrudnienie jest dobre, byleby tylko od rozmawiania uwolniło. A przecież nie trudno jest znaleźć w tych licznych towarzystwach, ludzi sławnych talentami i dowcipem; ale malarz pragnąc przedać swój obraz, mówi o nim z temi tylko, którzyby go kupić mogli. Autor nie myśli trwonić darmo tego dowcipu, który tak drogo przedaje xięgarzowi, albo dyrektorowi teatru. Tak więc pieniądze, to bożyszcze czasów naszych, wszystko zatłumia; wyrachowanie wysusza wszystko; nie ma zaufania: w rozmowie bowiem z przyjacielem możnaby wydać myśl swoją, co w

http://rcin.org.pl

języku interessów, znaczy sposób zrobienia majątku, a poufały przyjaciel stałby się natychmiast niebezpiecznym współzawodnikiem.

(Przez Panią Zofią Gay.)

## O MIŁOŚCI POETÓW.

( Wyjątek z dzieła, o Literaturze Polskiéj. )

Jest to rzeczą godną uwagi i badania, dla czego poeci dziś najwięcéj piszą o miłości, i więcéj wzdychają sentymentalnie, aniżeli kiedykolwiek.

Na początku naszego wieku, i w końcu osiemnastego, prawda że nie zapomniano o pięknych oczach i miłości, ale bawiono się jak dziecię cackiem, a Kupidyn i Wenus odgrywali główną rolę. Dziś słusznie już i Wenus i Kupidyn wypadli jak z procy; ale za to namnożyła się liczba (przynajmniéj piśmiennych) nieszczęśliwych kochanków, tak mnoga, że czy weźmiesz do ręku jakiekolwiek poezye, czy dzienniki lub gazety nawet z rozmaitościami i dodatkami, wszędy wzdychania do niewzajemnéj lub przyszłéj kochanki, a sonetów miłosnych jak makiem zasiał.

Zachodzi tu ciekawe pytanie, dla czego w wieku naszym, kiedy z prawdziwie pojętéj miłości, czcimy jeno kościo-trup bez życia i siły, na papierze robimy się Abelardami, męczennikami ognistych i płomienistych uczuć.

Łatwo odpowiedziećby można, że jak pospolicie bohaterowie w języku, są tchórzami na polu; junaki dokazujący wśród kobiet, schowają się pod ławę w trwodze: podobnie i poeci lubią się rozpisywać o tém, czego nie czują, nie doświadczali, a co chcą czuć i uwielbiać gwałtem. Ten *gwałt*, wytłomaczymy nie trudno, bacząc na to, że ta klassa poetów, zawsze uciekać się musi do miłości i kochanek, bo nie łatwo znajdzie inne przedmioty do swojéj lutni.

Exaltacya tego rodzaju, jak nam nasi wystawiają poeci, tak przystała do naszego charakteru, i usposobienia, jak *kwiatek do kożucha*, wedle staréj przypowieści.

Słuszną tu uwagę przytoczyć musimy lady Morgan.

»Poeci są rzadko dobremi kochankami, wyjąwszy na papierze w utworach swoich; aż nad to myśli w jeden punkt skupiają, ażeby ich uczucia wiele z resztą działać mogły. Często sprzeczano się o to, czyli wielcy aktorowie sami siebie sztuką swoją omamiają; ale wielcy aktorowie przyznali się szczerodusznie, że pozyskane oklaski, tylko własnéj oziębłości i panowaniu nad sobą są winni. Gdyby poeci byli równie rzetelni, wyznaliby bez wątpienia, że i oni w tymże samym znajdują się przypadku; nie zawsze atoli mają chęć do podobnego wyznania. Namiętność jest wymowną, ale nie zwykła opisywać. Johnson który kochał Berynę swoją, lub zdawał się kochać, mówił: »Człowiek opłakujący kochankę wierszami, zasługuje, ażeby ją utracił.» Każda rozsądna kobieta słuszność mu przyzna. — Pope, Dryden, Swift, Boileau, Lafonten, wcale sławnymi kochankami nie byli: nie czuli żadnych wielkich namiętności, i nie wzniecali żadnych. Lafonten przy całéj naiwności swojéj, zwyczajnie namiętność oznaczającéj, był jak lód zimny: »Nie wierzę ażeby u Lafontena mógł skutkować napój miłosny» mówił jego przyjaciel Miron. — Wątpię, czy Petrarka bardzo był tkliwy, mimo 1,001 sonetów, które na Laurze tak mało wrażenia zrobiły. Błyszczące dowcipy Owida, są antypodami namiętności i czucia. Anakreon był tak ukończonym rozpustnikiem, że jeżeli jego to i Don Juana możnaby nazwać męczennikiem miłości. Rousseau poeta w prozie, pisał nową Heloizę, a żył z Teressą która nie tylko głupią była, ale ani skromną ani trzeźwą, i gotowa wszystko poświęcić dla miłości flaszki.»

To wszystko co lady Morgan wyrzekła, wiernie da się zastósować do naszych żyjących kochanko-poetów; ale przejdźmy szereg dawniejszéj lat doby, przejdźmy je trzymając się szczerze prawdy.

Rej z Nagłowic, lubo pisał o miłości, a język czucia i namiętności, umiał kształcić w swoim drammacie *Żywot Józefa»* (1545) więcéj myślał o misce i mętném piwie którego garce wychylał, aniżeli o miłości.

Jan Kochanowski z upodobania się ożenił; ale nie czuł wrzącéj i gwałtownéj miłości, którą przemocą w nasz charakter chcą wmówić pisarze romansów historycznych i poezyi miłosnych. Kochał żonę spokojném uczuciem, płakał po stracie dziecka jak dobry ojciec, ale ani śladu nie mamy owych ognistych, południowych uniesień, nad któremi stękają dzisiejsze drukarnie.

Janicki Klemens, uwieńczony laurem poeta od papieża Klemensa VII, lubo miał kochankę *Elżusię*, i w swoich łacińskich elegiach o niéj się szeroko rozpisuje, to dziękując jéj za wieniec różowy, to znowu stale ją kochać oświadcza, przy odebraniu wieńca sosnowego, a posyłając przepiórki, oczy Elżusi swoim nieszczęściem nazywa; obok tego narzeka na słabe zdrowie, które przecie rozpustą ztyrał i śmierć sobie przyśpieszył. Umarł w nędzy, zapomniawszy miłości dla któréj tyle naskandował wierszy, czekając na słuszną po zgonie sławę.

Fr: Karpiński czuł miłość jak każdy zwyczajny człowiek, ale że umiał czucia prostego serca tkliwie wyrażać, osądzono go za osobliwego kochanka. Miał w istocie dwie kochanki jak sam o sobie pisze: pierwszą *Justynę Broselówne*: do niéj to napisał: »*Tę-*

http://rcin.org.pl

*skność na wiosnę, do Justyny»* i parę sielanek: reszta miłosnych śpiewów należy do drugiéj *Justyny, Maryanny Ponińskiéj*, którą czcił jak przyjaciel: pierwszą więcéj kochał, ale jakże flegmatycznie o niéj się sam wyraża.

»Czasem najgorręcej (?) ślubem małżeń»skim z nią się połączyć chciałem, a czasem »bojąc się jéj humoru, ustawicznie prawie »sprzecznego, że lubiła zaufana w rozumie »swoim dysputować ustawicznie, ostygną»łem pomału w żądaniach moich.»

Trembecki czuł tyle miłości, ile każdy rozpustnik: strzelał się wielokrotnie za kobiety, ale to tylko jak wielu tego rodzaju szczęśliwych awanturników. Z resztą brudny i zatabaczony, więcéj się zajmował ulubionemi wróblami, co mu pstrzyły xiążki i papiery, aniżeli rozmyślał o miłości, a tém więcéj czuć ją umiał. A przecież ten sam Trembecki pisał o miłości.

Szymanowski z całą swoją *Świątynią Wenery w Knidos*, zachwaloną w starych czasach, jako wzór języka czułości, gładkości, sentymentalności i miłości; był wypudrowanym i wypiżmowanym salonowym kochankiem, i tak gorzał jéj czystym płomieniem, jak oddychała poezyą jego *Świątynia Wenery*.

Kniaźnin, lubo w kapocie chodził i z długiemi wąsami, więcéj miał od nich wszystkich czucia; kochał jak żaden dotąd nie kochał; a drażnił jeszcze więcéj namiętność, tą pewnością, że nigdy celu swéj miłości nie dosięże. Przecie przy tak tkliwém sercu, przy tylu cierpieniach, nie z miłości dostał pomięszania zmysłów, które mu jedenaście lat długich przeciągało smutne i bezużyteczne życie. Rozjątrzyła miłość serce szlachetne i pełne uczuć, ale sama nie potrafiła mu rozumu odebrać. Umarł ten jeden z najprawdziwszych kochanków, patrząc codziennie na kompas, jakby rachował godziny które go do wieczności zbliżały.

Charakter nasz jak i pobratymczych braci Sławian, jest dalekim od tych exaltacyi miłosnych, ognisto-południowych; a jeżeli zdarzają się wyjątki, są to skutki szału z cudzéj krainy zarwanego.

Miłość dla Barbary, Zygmunta Augusta syna Włoszki Bony, do tych wyjątków należy; ale była to gwiazda najpiękniejsza w jego życiu, co krótko mu zaświeciła; zaczął w rozpuście młodość, i po śmierci Barbary rozpustą ukrócił życie.

Polak kochał i umiał hołdować białymgłowom; był dla każdéj rycerzem co wezwała jego pomocy i opieki, ale nie umiał dla miłości poświęcać ani swego honoru, ani życia, bo je tak wysoko cenił, że skracać je dla miłości uważałby za hańbę, gdyż je na ważniejsze usługi poświęcał. Lubo mało znał gwałtownych uniesień, żeniąc się z *dziewką*, nie wiele sobie znajomą, szanował w niéj małżonkę i matkę dzieci swoich; w domowym życiu często ulegał żonie, i słusznie wyrzekł znany w literaturze rossyjskiéj T. Bułharyn: »że w Polszcze wiele rządzą kobiety.»

Miłość Polaka ma oddzielną cechę, na któréj wyciska piętno, czas i oświata. Niepozbawiona ognia i uniesień, ale właściwych charakterowi Sławiańskiemu, a daleka od opiewanych miłostek, równie jak daleko od téj uniżoności małżonek Serbskich, dla których mąż jest wszechwładnym panem.

Jak takie gwałtowne uczucia były nieznajome, tak równie osobliwe były samobójstwa, a szczególniéj z miłości. Za niesłychane dziwo w dziejach panowania Zygmunta III., wspomina Siarczyński, o jednym młodzieńcu znakomitéj rodziny, co z miłości odebrał sobie życie.

Niech to posłuży za małą przestrogę tak poetom jak i pisarzom powieści historycznych.

K. Wł: W.

## KRONIKA LITERATURY I WIADOMOŚCI NAUKOWYCH.

*Znicz wydany przez Krzeczkowskiego. Wilno* 1835. *Nakładem wydawcy. Cena złp.* 15.

Wydawcy wileńscy wytrwalszemi są od warszawskich; gdy u nas Jutrzenka wydana w roku 1834, zaczęła i skończyła ciąg Noworoczników, Wilno już trzeciem z kolei pomnaża literaturę polską. Przyjemném i użyteczném jest pismo, które w jeden bukiet zbiera powstające tu i owdzie kwiatki, i młodym pisarzom podaje sposobność udzielenia publiczności prób swojego talentu. Kwiatki te, nie wszystkie są równej wartości, nie wszystkie jaśnieją wytwornym blaskiem i wonią; przyjmijmy z życzliwém i wyrozumiałém zdaniem, jakie się zebrać mogły. W Zniczu na rok 1835, jest wiele poezyi, może nawet za wiele; dosyć znalazłoby się takich, któreby pominąć można bez uszczerbku zbioru. Z poezyi które szczególniéj zwróciły uwagę naszą, wspomniemy: Wyjątek z Tragedyi Szyllera don Karlos,— Dumanie nad Horyniem, — Spiew Zaporożców, — Pieśni gminne z nad brzegów Niemna, i z mowy Podolsko-Ukraińskiéj przełożone. —Do Wirginii M...— Fijołek,— Rozkosz smutku, i t. d. Z prozy ważny jest artykuł p. t. Litwa pod względem cywilizacyi, w trzech pierwszych jéj chrześciaństwa wiekach. — Wiadomość o kaplicy Sgo Kazimierza przy kościele Kat: Wileńskim,— Wiadomość o Piotrze Daneckersie, —Wspomnienie o Szymonie Felixie Żukowskim, proffessorze uniwersytetu Wileńskiego, i powieść pana Kraszewskiego Raj i piekło, w któréj, chociaż idąc za wzorem tegocze-

http://rcin.org.pl

snych pisarzy francuzkich, przesadził okropnością, dał jednakże dowody talentu opowiadania i kreślenia obrazów.

Przytaczamy parę poezyi wyjętych z tego Noworocznika.

## RADA MATKI.

(Myśl ze śpiewu gminnego z nad Niemna).

Płyną trzy ruczaje —
Jeden po dolinie
Cicho sobie płynie
I ożywia żyzny brzeg.

Płyną trzy ruczaje
Drugi huczy, szumi,
Pola nasze tłumi,
Niosąc wszędzie mętny muł.

Płyną trzy ruczaje —
Trzeci z góry bieży,
Drzewami się jeży,
Co zielenią jego brzeg.

Jedziesz synu drogi
Wybrać żonę sobie,
Co ma zostać tobie
Przyjacielem cały wiek.

Znajdziesz trzy dziewice:
Jedna bardzo szumna
I pięknością dumna;
Ale statku ni za grosz.

Znajdziesz trzy dziewice:
Druga zbyt się jeży
W bogatéj odzieży;
Lecz rozumu ni za grosz.

Znajdziesz trzy dziewice:
Trzecia przy rozumie]
Skromność chować umie,
Kądziel i wrzeciono zna.

Nie kwap się na wdzięki,
Nie bierz w aksamicie,
Weźmij moje dziecię,
Co z rozumem skromność ma. —

*C. J...*

## DARY.

Przyszła wiosna, przyszła miła,
Która twym obrazem.
Ach! na łąki moja luba
Pójdźmy ze mną, pójdź razem.

Kwiatków tobie, piękna tobie
Zbiorę droga, na wianki;
Wszakże lubisz te ozdoby
Przyrodzenia kochanki?

Kwiatek wiary purpurowy,
I miłości różany,
I nadziei kwiat majowy,
Każdy w barwie dobrany.

I przyjaźni białe kwiecie
I uczucia bratniego,
Cnoty kwiatek, błękitniejszy
Od tła niebios jasnego. —

Wszystkie znajdę, wszystkie zbiorę,
Ku twej luba ozdobie,
Ty z nich jeden po mym zgonie
Rzuć mi tylko na grobie. —

Nie wiem który z nich troskliwiej
Pielęgnować mi raczysz?
I nie ujrzą zgasłe oczy
Lecz ty sama zobaczysz. —

*C. J..*

## MORALNOŚĆ.

*Dobrze zrozumiany interes własny.*

Przyznać należy, iż po największéj części interes własny jest najgłówniejszą sprężyną czynów człowieka, i to wynika z natury rzeczy. Ale nie mniemam aby interes własny koniecznie czynił nas samolubami, nieużytemi, obojętnemi na cierpienia i proźby nieszczęśliwych; przeciwnie, ludzie podpadający tym wadom, nie rozumieją interessu własnego, za nic mają roskosze moralne, słodkie wzruszenia serca, spokojność umysłu, zadowolnienie z postępków swoich, a przecież są to niezbędne warunki szczęścia i przez interess własny nie trzeba niemi pogardzać. Temi względami powodowani, umieszczamy tu zbiór prawideł praktycznego życia, przez pana de La Borde ułożony, pod tytułem: przepisy dobrze zrozumianego interessu własnego.

---

Porządek jest głównym środkiem osiągnięcia niezawisłości osobistéj, jednym z najpewniejszych znamion szlachetności i wzniosłości duszy; rachujemy się z sobą, ażebyśmy nikogo o nic nie prosili.

Nie trzeba namyślać się jeźli chcemy zasadzić drzewo, mawiał Katon, ale trzeba namyślać się, jeźli chcemy budować.

Jeźli kupujesz bez braku to wszystko co ci jest przyjemném, wkrótce będziesz musiał sprzedać to co ci jest potrzebne.

http://rcin.org.pl

Ten kto ścina drzewo, które ojciec jego zasadził, sprzeda dom który zbudował, a nawet zdolny będzie sprzedać dobre imie które od niego powziął.

Cnota, zdrowie, szczęście i talent, są owocem cierpliwości i uwagi: te dwa przymioty potrzebne są do wszystkiego. Są to pierwsze żywioły i moralne podstawy naszego postępowania.

Do szczęścia, mówił Fontenel, potrzeba mało miejsca zajmować i rzadko je zmieniać.

Ogranicz twoje stosunki z ludźmi, a pomnóż je z rzeczami; na tém zasadza się mądrość; cel ten osiągnąć można przez nauki i ustronne życie.

Czas jest podobny do pieniędzy, nie trać go, a mieć go będziesz dosyć.

Porządek postępuje z miarą i wagą, nieład zawsze się śpieszy.

Trzeba wszystkiego obawiać się i wszystkiego spodziewać się od czasu, ludzi i siebie samego.

Dostatek bardziéj udziałem jest tych, co się bez niego obejśdź mogą, niżeli tego co go posiada.

Mądrość nie tyle zależy od dokonywania świetnych czynów, ile raczej od unikania głupstw.

Bezrozumny nie uważa na rady swoich przyjaciół; mądry korzysta z wyrzutów swoich nieprzyjaciół.

Ucz się troskliwie tego co ma związek z twojém powołaniem, a będziesz uczonym; bądź pracowitym i oszczędnym, a będziesz bogatym; bądź wstrzemięźliwym a zachowasz zdrowie, bądź sprawiedliwym i pobożnym, a nie będziesz się lękał wieczności.

Chceszli żyć w zgodzie z ludźmi, nie zaprzeczaj im przymiotów, z których się chlubić pragną. Największa nierostropność ze wszystkich, jest, powziąść to zarumienienie że się ten lub ów przymiot posiada: i to jest po większéj części przyczyna nieszczęść ludzkich.

---

## NAJA.



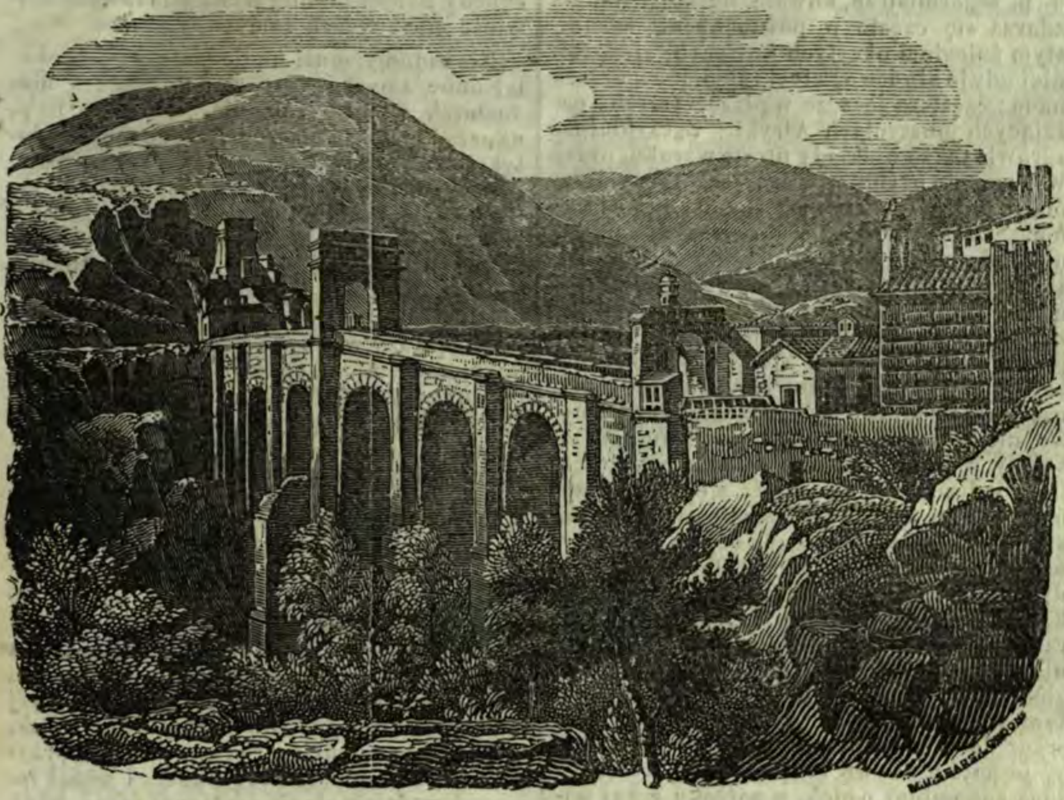
To nazwisko nadają w Indyach wężowi, co go naturaliści z powodu jadowitości trucizny, do rodzaju Żmii liczą, a dla pręgi czarnéj odznaczającéj się na szyi tego płazu, Wężem okularnikiem nazywają. Płaz ten pokryty małemi łuskami owalnego kształtu, zakładającemi się jedne na drugie jak dachówki na dachu, ma blisko cztery stopy długości. Kolor jego jest żółtawy albo szarojasny, z błękitnawem odbiciem. Naja gdy zostaje w spoczynku, nie ma szyi grubszéj niżeli głowa. Ale gdy się rozgniewa, skóra téj części ciała rozciąga się i wzdyma. Gdy na niego natrafi jaki nierostropny podróżny, wąż ten powstaje, wzdyma szyję, otwiera paszczę i posuwa się ku nieprzyjacielowi za pomocą ruchów swego ogona. Ukłócie jego prawie zawsze śmierć zrządza.

Mimo tak wielkiego niebezpieczeństwa, kuglarze indyjscy potrafili oswoić to straszliwe zwierze, tak dalece iż je nauczyli tańcować. Ci ludzie utrzymują iż mogą czarować go mocą muzyki, i przedają lekarstwa przeciw jego ukąszeniu. Dozwalają nawet, aby ich ten wąż ukąsił, ale zapewne powyrywali wprzódy jego pęcherzyki jadem zapełnione. Codziennie widzieć ich można na ulicach, siedzących na ziemi z flecikiem w ręku; otwierają koszyk w którym znajduje się Naja, i wypuszczają go na ziemię. Na dźwięk muzyki, wąż podnosi się powoli, skacze w takt, wlepia oczy w pana swojego, naśladuje w pewnym względzie jego giesta i porusza się za jego skinieniem.

Pewien autor zapewnia, że w Indyach, gdy wąż ten wciśnie się do domu albo do pomieszkania, właściciel wzywa czarownika, aby go z tamtąd wyprowadził. Czarownik zniewala węża dźwiękiem fletu do czołgania się przy jego nogach, potém bierze go w ręce i wynosi z domu; ale nie zabija go, gdyż Naja jest przedmiotem czci Indyan, a zwłaszcza w Malabarze. Wyobrażenie jego jest zwyczajną ozdobą pagod i składają mu ofiary. Braminowie zaklinają go, exorcyzmują, a nabożni ludzie zanoszą mleko i inne pożywienie, do lasów, w których przebywa.

---

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.



MOST W ALKANTARA.

Nie ma kraju bogatszego w zabytki różnych wieków i narodów jak Hiszpania. Kartagińczycy, Rzymianie, Gotowie, Maurowie, zostawili w niéj ślady swego panowania, w pomnikach, które dotąd są ozdobą tego kraju. Z dzieł wzniesionych pod panowaniem Rzymian, most w mieście Alkantara, którego rycinę umieszczamy, odznacza się śmiałością i mocą budowy. Miasto Alkantara leży w prowincyi Estramadurze nad rzeką Tagiem, za czasów starożytnych nazywało się *Norba Caesaria Turobica*, albo *Pons Trajanus*, z powodu mostu, który w témże mieście Trajan kazał zbudować na Tagu, kosztem wielu miast, których nazwiska wyryte były na marmurze, na czterech tablicach. Jedna tylko dotrwała dotąd, a napis znajdujący się na niéj, potwierdza nasze twierdzenie. Ten most, z łukiem tryumfalnym na środku, ma 200 stóp wysokości, 106 długości, a 28 szerokości, i stoi tylko na sześciu arkadach.

Maurowie nazwali to miasto Alkantara (most). Alfons IX król Kastylii, zdobył je na nich w r. 1212, i powierzył straż jego kawalerom Kalatrawa; w dwa lata potém oddano je kawalerowi Sgo Juliana, których zakon ustanowiony był w roku 1170 pod regułą Sgo Benedykta. Od tego czasu, przybrali nazwisko tego miasta. Ludność miasta Alkantara wynosi 3,000 dusz. Prócz tego starożytnego mostu, niczém się więcéj nie odznacza.

NIEWIDOMI.

Strata najszlachetniejszego zmysłu, za pomocą którego człowiek jedynie pojąć zdoła otaczający go świat we właściwém świetle i barwach, jest równie smutnym, jak często wydarzającym się wypadkiem; zebrana przeto obszerniejsza wiadomość o tym kalectwie i zakładach, w których niewidomi ukształcić się mogą na użytecznych członków społeczności, a następnie zarys ich charakteru, obyczajów i fizyonomii, objaśniony stósownemi rycinami, powinien bydź zajmujący dla czytelników.

Rozmaite są rodzaje ślepoty: niektórzy niewidomi postrzegają odblask światłości, mogą rozróżnić jaśniejsze barwy i zarysy przedmiotów; inni zupełnie są wzroku pozbawieni. Rozmaite także są powody ślepoty. Niektórzy niewidomi są z urodzenia, inni przez rozmaite choroby lub przypadki wzrok tracą, często ze zbytku pracy, lub

http://rcin.org.pl

zbytniego narażania się na działanie ognia, n. p. zegarmistrze, kowale, hutnicy; ślepota zdarza się często w północnych, wiekuistym śniegiem okrytych krainach, szczególniéj gdy je słońce oświeci i ślepiący im blask pada; częstsza jeszcze w piaszczystych, pałających pustyniach Afryki. Zgrzybiałość sprawia także niekiedy utratę wzroku, przez wysuszenie płynu odwilżającego oczy. Rozmaite są także przyczyny ślepoty od urodzenia. Czasami bywają powieki zrośnięte, niekiedy nawet przyrośnięte do saméj kulistości oka; niekiedy oczy bywają powleczoczone błoną, niekiedy źrenica zarasta lub zupełnie wypływa; bywają także gatunki przyrodzonéj ślepoty, których powodu odkryć nie podobna. Niewidomi z urodzenia, nie mając żadnego wyobrażenia o tym zmyśle, nie czują się tak nieszczęśliwemi jak ci, którzy w późniejszym wieku wzrok tracą. Doświadczenie nauczyło, iż ślepi z urodzenia, lub ci którzy w dzieciństwie wzrok stracili, zupełnie odmienne czynią sobie wyobrażenie o przedmiotach. Pewnemu młodzieńcowi, któremu Ehefelden zdjął szarą kataraktę, wydawało się w chwili gdy przejrzał, iż wszystkie przedmioty tuż są przy nim, i nie mógł rozróżnić jednych od drugich, chociaż zupełnie odmiennego były kształtu; tym, które dawniéj dobrze znał przez dotykanie, przyglądał się z uwagą, aby je potém znowu rozpoznać; wkrótce jednak zapominał o nich, w natłoku coraz nowych przedmiotów. Dziwił się niezmiernie, iż osoby które najbardziéj kochał, piękniejszemi nie były od innych. Nim wzrok odzyskał, nie okazywał wielkiéj chęci posiadania tego zmysłu. U osób zostających długo w stanie ślepoty, inne zmysły dziwnie się zaostrzają, może przez to że pozbawieni są roztargnień, które zmysł widzenia zwykle sprawia. Przez to może, wielu niewidomych nabywa większéj mocy duszy, a w niektórych, nadzwyczajném sposobem rozwijają się przyrodzone talenta. Niewidomi mają szczególnie czucie i słuch niezmiernie bystry. Dowodem tego jest niewidomy z Puisseaux, któren w wysokim stopniu posiadał chemią i muzykę; umiał najdokładniéj oznaczyć odległość przedmiotów, wskazywał dalekość ognia po stopniu gorąca; sądził o pełności naczynia po odgłosie jaki sprawował płyn, gdy go z jednego do drugiego przelewał; poznawał bliskość przedmiotów, po działaniu powietrza na twarz swoją. Oznaczał niechybnie ciężar każdéj rzeczy, oraz ile naczynie jakie pomieścić w sobie może.

Sławny Saudersen, proffesor matematyki w Kambrydge, stracił wzrok za młodu. Poczynił wiele wynalazków ułatwiających naukę Arytmetyki i Jeometryi. Tak miał wydoskonalony zmysł dotykania, iż poznał każden pieniądz fałszywy między innemi, choćby najdokładniéj był naśladowany i uwieść mógł wzrok samych znawców.

Niewidomy musi koniecznie wydoskonalać inne zmysły, aby za ich pomocą niedostatek wzroku zastąpić. Chcąc go n. p. nauczyć czytać i pisać, potrzeba mu dać dotykalne litery, po których tak długo prowadzić musi ręką, dopóki ich rozpoznawać nie zdoła. Jeśli chce powziąść wyobrażenie o powierzchni kuli ziemskiéj, musi mieć wypukłe globy i mappy. W prawdzie, nauka przez dotykanie, daleko jest powolniejsza niżeli za pomocą wzroku. Długo musi macać niż ułoży w głowie swojéj to, co inny jednym rzutem oka ogarnie. Łatwo więc pojąć przyczynę dla któréj niewidomi nie mogą nauk odbierać w tych samych szkołach co widzący jasno, — najprzód, że byliby pozbawieni dotykalnego sposobu uczenia się, a powtóre, że powolne ich objęcie, przeszkadzałoby ciągle postępom dzieci obdarzonych wzrokiem. A ponieważ niewidomi niepoślednią część ludności składają, i tak n. p. w samych Prusach znajduje się ich 13,000 dusz (*), dla tego też musiano dla nich oddzielne poczynić zakłady. Wychowanie ich ma głównie na celu oświecenie duchowne, aby ślepych wyprowadzić ze stanu umysłowéj ciemnoty, i na godnych wykształcić ludzi; drugim jego celem jest rozwinąć w nich przyrodzone skłonności i zręczność, i podać im sposób wyżywienia się z własnéj pracy, bądź przez jakie rzemiosło, bądź przez muzykę.

Wychowanie niewidomych dzieli się na trzy oddzielne gałęzie: rękodzielnictwo, sztuki piękne, umiejętności; nie podobna bowiem przeniknąć jakie skłonności uśpione są w niewidomym. Francuzkie i niemieckie zakłady, potrójny ten wzgląd mają na celu, kiedy przeciwnie, angielskie zajmują się samém tylko rękodzielnictwem.

Pierwszy pomysł naukowego zakładu dla niewidomych, powziął Walenty Hauy, brat sławnego mineraloga tego imienia, powodowany przez młodą niemkę, niewidomą pannę Paradis, z Wiednia, która 1780 r: przybyła do Paryża, i z powszechném upodobaniem słyszeć dała kościelne melodye wykonane na organach. Zaczął częściéj odwiedzać ową dowcipną panienkę, i z wielkim podziwieniem znalazł u niéj mnóstwo przedmiotów służących do nauki niewidomych, a między innemi wyszywane mappy i podręczną drukarnię, za pomocą któréj pisywała listy do P. Kampeln w Wiedniu, (wynalazcy machiny grającéj w szachy, a drugiéj

(*) Zeune, podaje nam, na doświadczeniu oparte wyrachowanie stosunku w jakim ślepota od równika aż ku biegunom się zmniejsza, tak iż gdy w Egipcie setna część ludności jest niewidoma, w Norwegii zaledwie tysiączna znajduje się pozbawiona wzroku.

http://rcin.org.pl

mówiącéj), oraz do Weissenburga z Manheimu, uczonego niewidomego.

P. Hauy porównał wysoki stopień oświaty, do którego wzniosły się te dwie osoby w Niemczech, z pogardą w jakiej żyli ślepi francuzcy, gdzie n. p. karczmarz pewien, zgromadził na jarmark na S. Owidy dziesięciu ślepych, a przystroiwszy ich najdziwaczniéj, w ośle uszy, pawie ogony, okulary bez szkieł, śmieszne wystawił z nich widowisko. Wielki szpital dla ślepych, roku 1260 przez Sgo Ludwika założony, za powrotem z Egipskiej krucyaty, w któréj mnóstwo wojowników wzrok utraciło, nie przedstawiał naszemu przyjacielowi ludzkości, pocieszającego obrazu umysłowego rozwinięcia, lecz owszém przytępienie i zepsucie obyczajów. Postanowił zatém stać się tém dla niewidomych, czém L'abbé de l'Epée był dla głucho-niemych, i otworzył 1784 naukowy zakład dla ślepych, gdzieby uczyli się nie tylko ręcznych robot, jako to: przędzenia, tokarstwa, passamonictwa, rozmaitych wyrobów z tektury, ale zarazem muzyki i śpiewu, czytania, pisania, rachunków i innych nauk. Urządził sposób uczenia podług wzorów które widział u panny Paradis. Do czytania kazał porobić wypukłe litery metalowe, któremiby razem na papierze drukować można było; do pisania właściwe przysposobienie: na papierze umieszczała się rama z drucikami, przedzielającemi wiersze od siebie; do rachowania wypukłe liczby metalowe, i tablice umyślnie urządzone do zatykania w nich owych liczb; do nauki jeografii, mappy, na których góry, rzeki, miasta i granice, rozmaitym sposobem były wyszyte. Zrazu, towarzystwo przyjaciół ludzkości złożyło składkę na utrzymanie 12stu niewidomych; r. 1791 rząd zajął się tym zakładem, i połączył go ze szkołą głuchoniemych; gdy jednak postrzeżono że to jest nie dogodném, roku 1801 przyłączono go do dawnego szpitalu niewidomych. Tam, z powodu pomięszania młodych ślepych, ze staremi nieokrzesanemi wojownikami, zupełny nieład nastąpił. Hauy niezmiernie tém zmartwiony, udał się 1806 r. do Petersburga, ażeby tamże podobną szkołę urządzić. Po przywróceniu królestwa w 1815, zwrócono zakład do pierwotnego przeznaczenia, a rządzcą jego obrano doktora Guillie.

Po Francyi, Anglia założyła pierwsze szkoły dla niewidomych, ścieśniając jednakże rozciągłość ich zakresu. Wszystkie te szkoły kosztem obywateli nie zaś rządu są utrzymywane. R. 1790 utworzono podobny zakład w Liwerpolu, w którym niewidomych płci obojej uczono ręcznych robot, kościelnego śpiewu i grania na organach. Roku 1791, powstał drugi zakład w Edymburgu, gdzie szczególniéj koszykarstwa i powroźnictwa uczono. Podług tegoż planu, założono 1800 roku, zakład Londyński; szkoły w Dublinie, Brystolu i Norwich, w tymże ustanowione są duchu.

W Niemczech najpierwszy zakład powstał 1806 r., podczas przejazdu pana Hauy przez Berlin, wzniesiony szczodrobliwością monarchy. Zeune został jego zarządzcą, a głównym celem było nauczanie niewidomych i zapewnienie im sposobu utrzymania. Zeune, zamiast kosztownego paryzkiego sposobu pisania, zaprowadził daleko prostszy z tektury i szpagatu urządzony; zamiast zmudnego rachowania metalowemi liczbami, doprowadził rachunek z pamięci do wysokiego stopnia biegłości; a na miejsce wyszywanych mapp, które właściwego wyobrażenia o rzeczach dać nie mogły, wymyślił prawdziwe wypukłe globy, przedstawiające najdokładniéj całą kulę ziemską, które się w całéj Europie upowszechniły, nawet do nauczania widzących.

Po Berlińskim, najpierwsze zakłady w Niemczech, powstały w Wiedniu i Pradze, oba roku 1808; tegoż samego roku założono podobny w Amszterdamie. Roku 1809, utworzono w Dreźnie instytut niewidomych na wzór Berlińskiego. Roku 1810, towarzystwo dobroczynności utworzyło podobny zakład w Zurych, za szczególném przyłożeniem się niespracowanego doktora Hirzel. Kopenhaga winna Professorowi Brorson, podobneż ustanowienie roku 1811. Podczas wojen od 1813—15, gdy Egipska zaraza oczu tak straszliwie grassowała w wojskach Europejskich, powstało w Prusach podług planów pana Zeune, kilka zakładów dla niewidomych wojowników. Zamiarem ich było, ociemniałych żołnierzy, który nie mogli się na dal trudnić dawném rzemiosłem, do pożytecznych robot usposobić. Najpierwéj w domu Inwalidów w Berlinie, urządzono taką pracownię żołnierską, któréj Zeune i jego żona przewodniczyli, a ztąd wyuczeni kunstmistrze rozsyłani dopiero byli po rozmaitych prowincyach, ażeby tamże podobne zakłady dla niewidomych wojowników urządzili. Pracownie te, tak długo tylko trwać miały, dopókiby utrzymani w nich żołnierze dokładnie rzemiosł się nie wyuczyli. W tymże czasie podobne założono w Wrocławiu i Królewcu. W Wrocławiu, wychowaniec Zeuna, Jan Knie, podnauczyciel, wynalazł oszczędne wzory z blachy i drzewa, do dotykalnego nauczenia trygonometryi.

Prócz Niemiec, Szwajcaryi, Hollandyi, Danii, Francyi, Anglii i Rossyi, zdaje się iż w innych krajach, a szczególniéj innych częściach świata, nie powstały żadne w tym rodzaju zakłady. Charlevoix wspomina wprawdzie, iż w Japonii historyczne podania powierzane bywają pamięci ślepych, a

http://rcin.org.pl

Gołownin w samémże olbrzymiém mieście Jeddo, liczy 36,000 niewidomych, ale żaden z nich nie wspomina, aby istniały naukowe dla nich zakłady, a zatém opieka nad pozbawionemi wzroku, zdaje się bydź wyłącznie owocem cywilizacyi Europejskiéj.

Dyrektor Wiedeńskiego instytutu Klein, wydał ważne dzieło pod tytułem: Sposób uczenia Niewidomych i przekształcenia ich w pożytecznych obywateli.

Po tych ogólnych instytutach dla ulżenia tak ciężkiemu kalectwu poświęconych, umieszczamy szczegółowy opis doktora Bourdon.

Gdym pierwszy raz odwiedzał ślepych z urodzenia, w instytucie przy ulicy Sgo Wiktora w Paryżu, towarzyszący mi zarządzca radził abym zaczął od drukarni. Tam zgromadzeni byli najpojętniejsi niewidomi: przewodnikami mojemi byli także niewidomi.

—»Jakże, spytałem, nie widząc, możecie działać z taką pewnością? —»Za pomocą dotykania, odpowiedział mi jeden z nich, lecz jakże to dotykanie różni się od waszego! Właściwie ucho i owa część twarzy przytykająca do ucha, kieruje naszemi krokami... Jeśli zbliżamy się do nieznanego nam miejsca, wąchamy że tak powiem, i słuchamy czczości powietrza: jeśli nam jaka wątpliwość pozostaje, klaskamy w ręce, i uderzamy nogą w ziemię: a powstający ztąd odgłos uwiadamia nas, czy izba do któréj weszliśmy jest wielka lub mała, jak daleko jesteśmy od ścian i wyjścia. Właściwie ucho, zarazem organ słuchu i dotykania, jest przewodnikiem naszym. Ci z pomiędzy nas, którzy nieszczęściem mają słuch przytępy, są niezmiernie niezręczni. Dosyćby było włożyć nam opaskę na uszy i skronie, abyśmy nie mogli sami kierować sobą, gdyż upewniam pana, że ręce słabą są dla nas pomocą.

Przypatrywałem się ich postępowaniu i pracy. Postrzegłem iż nie dotykali przedmiotów końcami palców i tak obojętnie jak my. Obracają je na wszystkie strony, co im nieraz wyższość nad nami nadaje. My, naprzykład, możemy tylko objąć połowę jakiéj kulistości, oni od razu obejmą całą.

W drukarni była biblioteka, złożona zaledwie z dziesięciu książek: byłem ciekawy widziéćjak czytają młodzi niewidomi. Xiążki ich są zbiorem wypukłych białych liter, które składają palcami dość płynnie. Nie

**Le mécanisme de l'Impression en relief diffère de celui de l'Impression en noir:**

*Mechanizm drukowania wypukło, różni się od mechanizmu zwyczajnego druku.*

czytają wprawdzie tak szybko jak my; na przeczytanie jednéj myśli potrzebują tyle czasu, ile my na przebiegnięcie całéj karty. Lecz czytają prawdziwie i nie tracą drogiego czasu na przerzucanie niedbale i bezkorzystnie, mnogich kartek nie jednéj księgi. Czytają mało, lecz dzieło, którego każda litera przesunęła się pod ich palcami; pozostaje na zawsze w ich pamięci. Przejmują się rzeczywiście ulubionemi sobie autorami. Podobni są bardzo pod tym względem do wieśniaków, których całą bibliotekę składa Biblia i książka do nabożeństwa; lecz choć umieją mało, umieją za to gruntownie i pamiętają całe życie.

Jedna rzecz uderzyła mnie szczególniéj w tych ślepych: to jest jednostajne i charakterystyczne upośledzenie ich postaci. Ciekawy byłem wybadać jego powód, oto moje uwagi w tym względzie. Utrata wzroku pozbawia śmiałości i przyjemnego ułożenia. Ponieważ przez wrażenie powietrza działającego na ich twarz, rozpoznają miejscowość, ciągle zatém wystawiają oblicze na przód. Do tego, większa część tych nieszczęśliwych przez ospę straciła wzrok, i nosi głęboko wyryte na twarzy, niszczące jéj ślady.

Lecz nie koniec na tém. Cóż nadaje fizyonomii ten wyraz piękności i uczucia, stanowiący jéj wdzięk i piękność? Nie tylko lekki uśmiech, dowodzący dowcip lub szczęście; nie tylko wymowa i ogień spojrzenia: ale jeszcze doskonała zgodność wszystkich części twarzy, a ta tylko za pomocą oczu nabyć się zdoła. Inna przyczyna szpeci jeszcze oblicze młodych niewidomych, to jest nadzwyczajna wązkość czoła.

Ta uwaga tém ważniejszą mi się wydaje, iż widać ją tylko w tych, którzy stracili wzrok w dzieciństwie, lub przyszli na świat niewidomemi.

http://rcin.org.pl



*Niewidomy od urodzenia.*

Widziałem kilku niewidomych, którzy po dziesiątym roku ociemnieli, i przekonałem się że ich czoła były tegoż samego kształtu co i nasze. Nie można zaprzeczyć zmysłom, a szczególnie zmysłowi widzenia, dzielnego wpływu na tworzenie się wyobrażeń, ich liczbę i rozmaitość. Im więcéj dusza ma narzędzi i pomocników, tém większą powinna bydź objętość mózgu. Objętość mózgu jest zawsze równa rozciągłości pojęcia. Jasną jest rzeczą, że cztery zmysły mniéj dostarczą pojęcia niżeli pięć, i że więcéj potrzeba mózgu na wyobrażenia pochodzące od pięciu zupełnych zmysłów, niżeli na wyobrażenia których tylko cztery zmysły dostarczają. Nie trzeba się więc dziwić, iż ciemni z urodzenia, mają czoło daleko węższe.



*Ociemniały w 10tym roku życia.*

Dziewczęta niewidome tém się różnią od chłopców, iż są staranniejsze o siebie i bardziéj lubią się stroić: mają prawie też same ułożenie co i panienki nie pozbawione wzroku, a jednak wyszedłszy z instytutu rzadko kiedy idą za mąż, kiedy przeciwnie chłopcy niewidomi, prawie wszyscy z łatwością się żenią.

Przewodnik powiedział mi abym podyktował co młodym zecerom. Dla przekonania się o ich umiejętności; spytałem jakim sposobem, pozbawieni jednego zmysłu, mieli jednak więcéj dowcipu niżeli wielu widzących.

Nie okazując pogardy ani zbytniéj czułości na tę pochwałę, jeden przyniósł mi za kilka sekund żądany wysłów, złożony jak najdokładniéj. —»Musicie więc mieć niezmiernie delikatne dotykanie? rzekłem: —»Tak dalece, odpowiedział, iż niektórzy z nas umieją nawet rozpoznawać kolory, jedynie za dotknięciem. Jest pomiędzy nami młoda panienka, również jak my niewidoma od urodzenia, która rozróżnia jedwab różowy, pomiędzy inszemi różnobarwemi próbkami tejże saméj materyi, z których robi śliczne woreczki. Wprawdzie, jeden tylko różowy kolor rozpoznaje, a nie odróżni innych; lecz co do tego odcienia nigdy się nie myli. —»Mógłbyś jeszcze dodać, odezwał się inny, że niektóre kolory poznać można po zapachu, szczególniéj gdy materya jest nowa i nie dawno ufarbowana. Uważałem mówił daléj, że kolor czerwony łatwiejszy jest do rozpoznania, dla tego iż bardziéj wciąga w siebie wilgoć; ta własność posłużyła mi nieraz do rozróżnienia czerwonéj włóczki, z których robią kobierce.

—»Z resztą, rzekł trzeci łagodnie, nie samo tylko dotykanie wynagradza nam zmysł utracony; mamy prócz tego słuch niezmiernie bystry; żaden dźwięk i odgłos nie ujdzie naszego ucha; możemy prawie wszyscy rozróżnić kilka odgłosów zarazem, i to każdy najdokładniéj.

Przekonałem się, że ci młodzieńcy posiadali prawdziwie dziecinną prostotę, bez żadnéj próżności, zazdrości, a przyczyna tego szczęśliwego usposobienia, jest bardzo naturalna.—Ponieważ nie mogą wyczytać w zmiennych rysach fizyonomii, nagłego wyrazu pochwały i przenoszenia nad innych, to samo chroni ich od dwoch tych wad, tak upowszechnionych i tak szkodliwych.

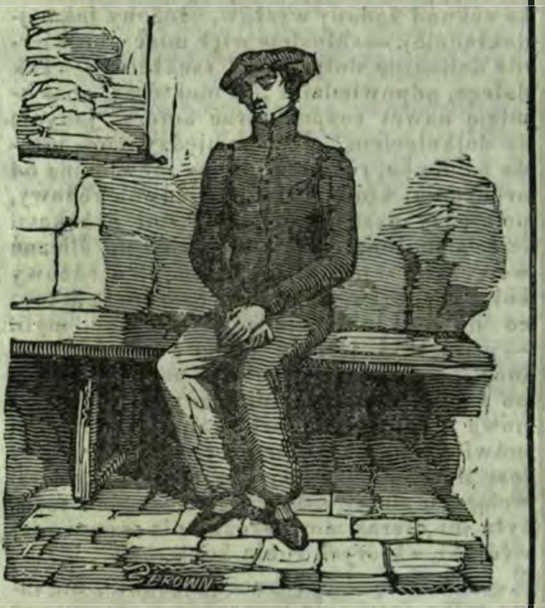
Rzecz godna uwagi i przykładna, widzieć jak słuchają pilnie: niesłychana jest widzieć dwóch niewidomych mówiących razem lub przerywających sobie wzajemnie; nigdy nie podobna ich słyszeć czyniących niebacznie zapytanie po zapytaniu: rozmowa ich tchnie rozważną powolnością ich chodu.

Równość układu i wrażeń, podobnie jak odosobnienie ich od towarzystwa, sprawia iż się łączą i kochają na wzajem, jakby to uczynili ludzie jednejże krainy, przypadkiem wyrzuceni na obcą ziemię. Ta sama przyczyna która ich chroni od zazdrości i pró-

http://rcin.org.pl

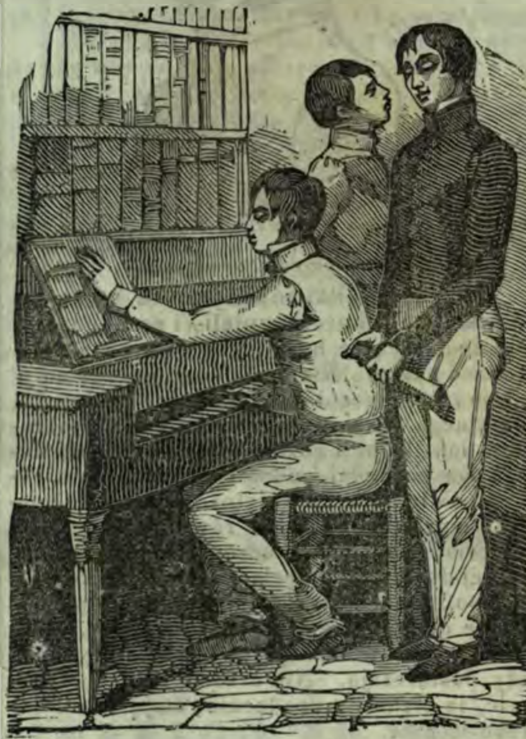
żności, czyni ich nieufnemi: w istocie, znają tylko ludzi z tego, co w nich jest najbardziéj zwodniczém, z mowy.

Uważałem także, iż różnica wieku, większy przedział między niemi stanowi, niż między innemi ludźmi. Niewidomy piętnastoletni, okazuje dla dwudziestoletniego, takie uszanowanie i pełne względów pierwszeństwo, jakie pomiędzy nami młodzie-




*Niewidomy słuchający.*

niec ma dla starca. W istocie, wyobrażenia jednym nabyte zmysłem, wymagają, aby dojrzały, więcéj doświadczenia i lat; trudniéj mówić nie mylnie o tém, czego tylko można dotykać, niżeli o tém co pod tysiącznym ukazuje się względem, i co rozmaitym sposobem czuć można. Wychowanie ciemnych, daleko jest powolniejsze niżeli jasnowidzących i ta właśnie przyczyna czyni młodszych tak skromnemi i tak pełnemi uszanowania.



*Niewidomy uczący się muzyki.*

## POLICZEK PANIENSKI (1)

### ZDARZENIE PRAWDZIWE.

(Z rękopismu mojéj prababki.)

...Byłam dawniéj młodą i gładką; Tateńko i mateńka mieszkali *taki tak* na wsi na Litwie, a ja skończywszy pensye *juże* w doma oczekiwałam, rychło-li Pan Bóg zeszle jakowego *konkurenta.* Miałam rok dwudziesty, *ta* dobrze wszystko zapamiętać mogę: wielu było Litwinków co bardziéj dla wiana starali się o rękę; ale każdemu mój Tateńko dał od kosza.

W lato *może godzina jedenasta biwszy*, na siwéj klaczy, z pacholikiem, zajeżdża szlachcic z Podlasia, i prosto przywiązawszy konie u słupka na dziedzińcu (2) weszedł do komnaty, zdjął czapkę, zawiesił na szabli; poprawił wylotów, i nisko a grzecznie nam się wszystkim ukłonił. Mój Tateńko przyjął go uprzejmie, *ta* kazał dać śniadanie, i rozpoczął *rozhowor.* Szlachcic począł o swoich rozpowiadać interessach, ale coraz rzucał oczyma na mnie. Tateńko zaprosił go na noc, co nie wzbraniawszy się przyjął. Na drugi dzień kiedy w rozmowie ojcu mojemu cały stan *substancyi* swojéj opisał. zarazem przy tém oświadcza się o mnie, i prosi o rękę, zapewniając że skoro otrzyma deklaracye rodziców, ukaże klejnot szlachectwa z genealogicznem drzewem, i majątek jaki posiada.

Mój tateńko i mateńka zdziwieni takiem zuchwalstwem chudzinki takowéj, poczęli śmiać się na boku, i ułożywszy razem że zadrwią ze szlachcica, przyrzekli mu solennie rękę panny Barbary. *Ta* i ja się śmiałam

(1) Zachowujemy wiernie sposób wyrażania się. dla zachowania właściwéj rękopismu oryginalności.

(2) Było zwyczajem że na dziedzińcu stał słup wkopany we środku, a przy nim trzy kołka: złote, srebrne, i żelazne; złote i srebrne dla szlachty, dworzan i panów przeznaczone; żelazne mieszczanom i kmieciom: kto się pomylił, często odbierał napomnienie surowe, słowne, a częściej korbanem rzemiennym.

http://rcin.org.pl

serdecznie, a szlachetka gwałtem prosił by mu termin oznaczyli, jakoż obiecano za trzy miesiące. Podlasiak *ta* nie długo się bawił, wsiadł na siwą kobyłkę, pacholiczek za nim, i ruszył z kopyta.

*Taże* po śmiechu, tateńko się pomiarkował, jak źle uczynił że chociaż takiéj chudzince dał przyrzeczenie, a dotrzymać go nie myślał. Już zbliżał się i termin, wysłano mnie do serdecznych sąsiadów, o trzy mile, obawiając się by zuchwały koroniarczyk nie nadjechał.

Co sobie wróżono, to ziściło się do odrobinki. Na dzień przeznaczony przyjeżdża ów chudzinka, ale nie na kobyłce siwéj; *ta* śliczną kolasą, za nim kilkanaście rumaków podwodnych, a kilkadziesiąt kolas pełnych koroniarzy i koroniarek. Wszakże nie zajechał do dworu ale do karczmy, i począł wypytywać czy jest panna Barbara doma.

Zaledwie z gospody znać dano rodzicom o jego przyjeździe z tak wielką kalwakatą; a tateńko i mateńka wystraszeni, nie wiedzieli co czynić; zajechał do dworu i z gęstą i śmiałą miną wszedł do komnaty.

—»Kłaniam waszeci: rzekł do tateńki, muskając czuprynę: przybyłem na oznaczony termin; bo u nas verbum nobile, słowo szlacheckie, każdy święcie szacuje; spodziewam się że i Waszeć na to pamiętny; bo inaczéj na Sgo Stanisława zakrzyknął w gniewie: gotowem uszy po obcinać!

*Ta* po tych słowach, zaczął kańczukiem machać, i dobył serpentyny do połowy z pochew.

—»Gdzie jest moja Basia? zarzekł surowo tateńka.

Mój tateńko *taki tak* nie wiedział co odrzeknąć: mateńka po chwili odpowiedziała że jest w sąsiedztwie, ale już po nią posłano: jakoż wnet podstarościego *po mnie wysławszy.* Szlachcic tymczasowo ze swatami i drużbami (a wszystko było zuchwałe) pił wódkę i zajadał śniadanie, a potém skłonił się grzecznie i oświadczył że przybędzie po obiedzie złożyć swoją submissyę tateńkowi i mateńce i swojéj, jak już nazywał, pannie Barbarze.

Ja ni o czym nie wiedziawszy, zobaczyłam z ogrodu podstarościego naszego, co sadził na gniadym podjezdku: cały potem zlany, *ta* zeskoczywszy z siodła oddał list mateńki; przestraszona poczęłam czytać.

*Sercem najukochańsza Basieczku!*

»Czegośmy się obawiali to się ziściło; zu»chwały konkurent z sutą kalwakatą przy»był, i jeszcze dziesiąta na zegarze *nie bi»wszy,* jak stanął u nas na dworze, i twojéj »się ręki dopomina. Zacięty *ślepy Mazur*, »nie chce o niczém słuchać mając przyrze»czenie nasze: potrzeba Basieczku zaraz »przyjechać, i wyraźnie zuchwalcowi odmó»wić.»

Przeczytawszy pismo Mateńki, *taki tak* wsiadłam do kolasy i we trzy godziny już byłam doma. Tateńko kazał się mnie wystroić, a ja poszłam do swego panieńskiego pokoiku. Już czekały panny służebne, i jedna z nich Zosia, najdawniéjsza w służbie, poczęła się dziwić nad wystawną kalwakatą pana Bartłomieja.

—»Mój Boże! ktoby się spodział, żeby to był ten sam co to przyjechał na siwéj kobyle z jednym pacholikiem! A wszakże to zajechał do gospody jakby kniaź jaki albo Wojewoda. Tyle kolas, a w każdéj i białychgłów nie mało; a jak postrojone, a *ślepe mazury,* jak ich stary jegomość nazywa, postroili się że od kamieni drogich szabli nie widać, a złoto aż kapie.

Nic nie odrzekłam; w tém dano znać że pan chorąży już przyjechał i oczekuje z drużbami na mnie. Ubrana czémprędzéj, i wysznurowana, *ta* wychodzę do komnaty bawialnéj cała drżąca, i dygnęłam pokornie. Rzucę oczkiem i dojrzałam pana Bartłomieja chorążego: był dorodny choć nie młody; stał z uszanowaniem, żal mi go było, ale mateńka stojąc przy mnie rzekła: »*Daléj Basiu, mów.*»

Nabrałam odwagi i siły, *ta* dygnąwszy, rzekłam poważnie jak mnie mateńka nauczyła.

—»Kłaniam Waszeci i dziekuję za jego afekt ku mnie skierowany, ale z tego nic nie będzie.» I już chciałam się zawracać, gdy mocny policzek obalił mnie na ziemię; *ta* padłam bez duszy, i tylko krzyk słyszałam.

Jak mi potém Mateńka mówiła było tak. Pan Bartłomiej chorąży, odebrawszy odemnie taką odpowiedź; uniesiony passyą dał mi policzek ognisty; a gdym upadła, *taki tak* obrócił się do swoich: »Przyjaciele! zawo»łał; czy dozwolicie aby tak z waszego cho»rążego brata drwiono? Daléj za mną! a ty: »krzyknął, porwawszy tateńkę za bary: da»léj *Diable z Polesia,* chodź sprobuj się ze »*ślepym Mazurem* jak nazywasz, a zobaczysz »okowidnie, że mazur choć ślepy, poobcina ci uszy.»

I zaraz drużbowie jego krzyczéć poczęli na on czas mateńka padła na kolana przed panem chorążym, przyrzekając że wydadzą córkę najchętniéj, że to nie ich wina, i że wszystko do ślubu gotowe.

Jakby wodę na ogień, *taki tak* słowa mateńki skutek miały na panu Bartłomieju.— Schował broń do pochwy, uciszyli się drużbowie, a ja oczy otwierając, ujrzałam pana chorążego na kolanach przy łożu mojém, i jako całował mnie po ręku.

Nazajutrz w kaplicy ślub wzięliśmy otrzymawszy błogosławieństwo rodziców; a pan chorąży z radości całował w kolana mateńkę i tateńkę.

http://rcin.org.pl

Przy uczcie mazury pili z trzewików naszych, a w miesiąc, do dworu męża wyjechałam z mateńką.

Żyłam z nim lat 26, był mężem jak najlepszym, *taki tak* spokojny, grzeczny, uległy, kochałam go szczerze, a afekt nasz pomnażał się potomstwem pięciu synów i czterech córek: które wszystkie na chwałę Boską w cnotach chrześciańskich wychowałam. Ile razy wspomnę *ta* swego kochanego Barteczka: zawsze płacze gorzko, bo to był mąż i ojciec razem, a jednakże i szczerym afektem gorzał *ta* do grobowéj deski: niech mu Bóg dobry da Niebo i zbawienie duszy, Amen.

K. Wł. W.

---

## FIJOŁEK.

( Z Noworocznika Znicz).

Unikasz oka, w trawie się kryjesz
Fijołku, wiosny synu pierwotny,
Dla czego czynisz, czemu tak żyjesz
Prawie nieznany, samotny?

Wszak cię natura przybrała strojnie
Nie skąpiąc darów hojnej swej dłoni.
To mając jednak rośniesz spokojnie
Ledwo cię poznać po woni.

Patrz oto, jako twoja sąsiadka
Brzydka pokrzywa pnie się do góry;
I gdyby mogła, choćby z ostatka,
Chciałaby przeróść Jawory.

Lecz już dochodzę tego przyczyny,
Już mię ciekawość więcéj nie budzi,
Pewnie natura przez twoje czyny
Chciała dać przykład dla ludzi.

Że kto ma więcej zasług, przymiotów,
Ten się zwyczajnie z niemi ukrywa;
Kto nic, lub mało, ten się piąć gotów
Jak twa sąsiadka pokrzywa.

J. K.

## MORALNOŚĆ.

*Przepisy dobrze zrozumianego interessu własnego.*

Nic tyle nie poddaje nas w zależność drugich, jak nieład.

Jeśli można pozbyć się przeszłości zapominając o niéj, nie można pozbyć się przyszłości, nie myśląc o niéj wcale: niech to będzie przestrogą dla tych, co żyją odednia do dnia.

Wierzyć szczerze, że jesteśmy tym, czém jesteśmy, oto cała skromność, a przecież tak trudna do wykonania.

Trzeba bydź młodym w starości, a starym w młodości naszéj.

Moralność jest roskoszą, któréj korzeń jest w niebie, a któréj kwiaty i owoce, upiękniają ziemię.

Chceszli oderwać się od fałszywych uciech? zapatruj się na nie w chwili ich oddalenia się, nie zaś w chwili ich przyjścia.

Najwyższy rozum jest ten, który najlepiéj zna swoje granice.

Nie czyń przyjacielowi twojemu wszystkiego dobrego, ile tylko możesz, ponieważ stać się może twoim nieprzyjacielem; nie czyń złego twemu nieprzyjacielowi, ponieważ może zostać twoim przyjacielem.

Ten kto zna swoje powinności, a nie czyni im zadosyć, podobny jest do tego który uprawia a nie sieje.

Ten kto mniema, że potrafi obejśdź się bez wszystkich, myli się bardzo; ale ten kto mniema, że nikt się bez niego obejśdź nie może, myli się jeszcze bardziéj.

Wojny, sprawy i kłótnie, dla tego tylko długo trwają, że wina jest przy obu stronach.

Pobłażanie dla siebie a nieużytość dla drugich, jest jedną i tąż samą wadą.

---


CENA PRENUMERATY
MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, W KANTORZE GŁOWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.

Na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych rocznie zł 24, półrocznie złp. 13.

Można także prenumerować na Urzędach Pocztowych zagranicznych, oraz u następujących xięgarzy:

w Kaliszu u Jähnischa.
w Radomiu w xięgarni tamtejszéj.
w Lublinie u Streibla.
w Poznaniu u T. Scherka.
w Krakowie u Friedlejna i Czecha.
w Wilnie u Zawadzkiego,
tamże u T. Glücksberga.
tamże u Rubina.
w Winnicy na Podolu i) w xięgarniach braci Lechów.
w Kamieńcu Podolskim.)

Osoby prywatne na prowincyi zamieszkałe, któreby raczyły dopomódz upowszechnieniu pożytecznych nauk, przez zatrudnienie się zbieraniem prenumeraty, otrzymają na 10 exemplarzach 11sty gratis.


---

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.



## ULM.

Obok widoków dwóch miast Wirtembergskiego królestwa, Stuttgardu i Ulmu, uważamy za rzecz niezbędną, umieścić krótką wiadomość o tymże kraju. Królestwo Wirtemberskie wzrastało zwolna z małych początków i zasięga bardzo odległéj starożytności, Wirtemberg, było nazwisko familijnego domu, leżącego nie daleko od Stuttgardu, gdzie w roku 1083 założono kaplicę. Z początku Wirtemberg było nazwiskiem familii, po tém nazwiskiem xięztwa, a nareście królestwa. Przy końcu jedenastego wieku, historya po raz pierwszy wspomina o panach Wirtemberga; od wieku 13go ciągle dom ten wzmagał się w potęgę i znaczenie. W roku 1495, Cesarz Maxymilian pierwszy wyniosł ten dom do godności xiążęcéj. W roku 1805, xiąże Fryderyk trzymał stronę Francyi, pod czas wojny z Austryą, a po zawarciu Prezburgskiego pokoju, przybrał tytuł króla. Po wojnie 1809 r. królestwo to nowe zyskało nabycia, które ludność jego do miliona trzykroć pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców podniosły. Kraj ten skropiony jest rzeką Necker, posiada wyborne pastwiska, w wielu miejscach wydaje zboża i obfite owoce, ale w innych jest piaszczysty, i pełen kamieni. Lud jest pracowity, mający dosyć objęcia i czerstwy. Wojska na stopie pokoju utrzymuje cztery do pięciu tysięcy ludzi, a siedemnaście pod czas wojny. Kraj ten zupełnie leżący w dawnym cyrkule Szwabskim; dzieli się na cztery cyrkuły: Nekeru, Czarnego lasu, Jaxt, i Dunaju. Znaczniejsze miasta królestwa Wirtemberskiego są: Ulm, leży na lewém brzegu Dunaju, było dawniéj wolném miastem cyrkułu Szwabskiego, późniéj przyłączone zostało do Wirtemberskiego królestwa, okolica jego obfituje w zboże, a już od dawnych lat trudnią się tam uprawą winnic; spław towarów Dunajem przynosi mu znaczne korzyści; znajdują się w niém różne fabryki, między innemi tabaki i wyrobów lnianych; gimnazyum w témże mieście jest dosyć sławne: kościół katedralny należy do najwyższych, najpiękniejszych i najobszerniejszych w całym kraju niemieckim; ludność miasta wynosi 14 tysięcy. Inne miasta kraju Wirtemberskiego są: *Tubinga*, sławna przez Uniwersytet i inne ważne zakłady; *Hall* słynie kopalniami, solą i handlem; *Gmund* szkołą głucho-niemych i fabrykami sukna; *Freudenstadt* przemysłem i kopalniami żelaza; *Mer-*

http://rcin.org.pl

*genthein*, pięknym zamkiem, gdzie niegdyś mieszkał wielki mistrz Teutoński i t: d.

Stolicą tego kraju jest Stuttgard; pewien podróżny tak opisuje wrażenie, które na nim uczynił widok tego miasta i jego okolicy.

»Przed kilkoma miesiącami, zaprowadziły mnie interessa do stolicy państwa Wirtembergskiego. Ponieważ mój pobyt przeciągnął się do kilku tygodni, a wiele mi wolnego czasu od zatrudnień zbywało, starałem się więc o ile można jak najlepiéj użyć téj pozornéj nieprzyjemności, i obznajmić się z tém wszystkiém, co natura i sztuka, w Stuttgardzie i okolicach, ciekawego nastręcza. Uczyniłem wówczas uwagę, że widok którego się bynajmniéj niespodziewamy, niewysłowiony ma dla nas urok i żywą radość sprawia. Nigdy, podobnie jak inni moi ziomkowie, nie byłem dobrze uprzedzony względem okolic Szwabii. Co do piękności natury i pomysłów sztuki, wysławiano przy mnie inne Niemiec okolice, a tę część mego kraju za upośledzoną uważałem: tém więc przyjemniej zostałem wywiedziony z błędu.

»Podobała mi się najbardziéj dolina Nekeru, miasteczka i wioski, bogate żniwa, powabne wzgórza winnicami okryte, dzikie romantyczne skały.

»Najpiękniejszą częścią miasta są niezaprzeczenie przedmieścia, których ulice przecięte są w jak najprostsze kąty. Prócz starego i nowego zamku, wymienię jako najgodniejsze widzenia: Ogród Menażeryi, pałac Wielkich xiążąt, główną ulicę Graben, dzielącą miasto na dwie równe części i królewską bibliotekę. Należy ona do najbogatszych xięgo-zbiorów, zawiera bowiem w sobie 200,000 tomów, między niemi znajduje się 12,000 biblii, których jest 4,000 rozmaitych wydań. Słowem, nie zbywa Stuttgardowi bynajmniéj na zakładach literatury i sztuk pięknych. Wspaniała jest budowa w któréj niegdyś, (od roku 1775—1794) mieściła się wojskowa akademia, nim do gmachu Samotnią zwanego, przeniesiona została. *Samotnią*, królewski letni pałac, zwiedziłem dniem przed moim wyjazdem. Gmach ten leży na pochyłości góry, zkąd czarowny jest widok. Szczególniéj zasługuje tam na uwielbienie, sala jadalna, wspaniała sala laurów i koncertów, sala opery, menażerya, budowle Chińskie, ogrody i kaplica poświęcona pamiątce ostatniéj królowej.

---

## WYCIĄGI Z PAMIĘTNIKÓW XŹNEJ D'ABRANTES.

### POBYT W PORTUGALII.

Gdym przejechała granicę Portugalii, uderzyła mię różnica między temi dwoma krajami. Czarne oczy i włosy, brunatna skóra, oto są jedyne rysy wspólne portugalczykom i hiszpanom. Pierwsi mają grube wargi, nos trochę murzyński, włosy częstokroć kędzierzawe, a w ich postaci, rękach, a zwłaszcza paznokciach, poznać można mieszaninę rodu afrykańskiego. Hiszpanie zaś, mają przynajmniej Europejskie zarysy. Na samym wstępie do Portugalii, przyjemnie uderza widok lepszego kraju. Opuszczając te wielkie stepy, te pastwiska pustoszone niezliczonemi trzodami merynosów, znajdujemy domy wiejskie ale dobrze zbudowane i wybielone. Lud portugalski więcéj ma starania około siebie; kamizelka z ciemnego sukna zastępuje płaszcz i skórzany kaftan; noszą kapelusz zamiast *montera* (gatunek szlafmycy). Kobiety wiążą włosy wstążką, albo też przykrywają chustką, zawiązaną pod brodą. Są dosyć przyjemne, co się rzadko zdarza w Hiszpanii. Oprócz tego, nie z samego ludu wiejskiego sądzić trzeba o Portugalczykach; ma on dwie oddzielne cechy, które wskażę mówiąc o Lizbonie i Oporto.

Dojeżdżając do miasta Elwas, ujrzeliśmy pierwszy ogród drzew pomarańczowych, od chwili naszego przybycia do Hiszpanii. Cała ta linia nadgraniczna, niezmiernie różni się od kraju któryśmy zostawili za sobą.

Elwas jest miejscem rezydencyi korredżydora, sędziego powiatu, i sędziego miejscowego. Podziwialiśmy piękny wodociąg długi na milę, złożony z bardzo wysokich arkad, przechodzący przez dolinę żyzną niezmiernie, okrytą ogrodami i gaikami drzew pomarańczowych. Ale ta dobra uprawa, ten piękny widok, są tylko strojem, którym Portugalia chce poniżyć swoją rywalkę; wszystko znikło, skorośmy tylko opuścili Elwas i ujrzeliśmy same obnażone i niepłodne góry. Przyjmowani z jak największém uszanowaniem od władz portugalskich, wjechaliśmy do prowincyi Alemtejo, w której leży stolica kraju, Lizbona. Nie zdołam opisać jak miłe wrażenie uczynił na mnie widok płaszczyzn téj prowincyi, okrytych. w epoce gdyśmy je przejeżdżali, najpiękniejszemi kwiatami. Ale wkrótce ogarnął mię gniew przeciw temu krajowi, z powodu najgorszego stanu gościńców publicznych. Powóz trącając o kamienie, trząsł mię najokropniejszym sposobem. Można powiedzieć, że był to kraj najdziwaczniéj rządzony i dowodził na nieszczęście, że państwo może czasem iśdź bez głowy, bez nóg i bez rąk. Toczy się wtedy jak kula, potrącane w różne strony.

W wielki czwartek roku 1805, przybyłam wreście do Lizbony. Widok téj stolicy wzbudził we mnie zachwycenie. Żadne miasto nie przedstawia tak uderzającego widoku,

http://rcin.org.pl

jak Lizbona od strony Hiszpanii. Tag rozlany jak płaszczyzna, na półtory mili szeroka; na przeciwnym brzegu wznosi się niezmierne miasto, w amfiteatr zbudowane na wzgórzach; a przystań zapełniona niezliczonym tłumem okrętów, tworzy las masztów, ozdobiony chorągwiami wszystkich żeglownych narodów: w owej bowiem epoce, Portugalia była w zgodzie z całym światem. Można powiedzieć i napisać, że Lizbona jest pięknem i wielkiem miastem, zbudowaném nad wspaniałą rzeką, że ma zachwycające okolice, piękne niebo, gaje wonią tchnące, ale nie podobna odmalować słowami albo piórem, widoku Lizbony. Zdaje mi się, że jeszcze widzę to wspaniałe miasto, jego rzekę, ogrody, świątynie, klasztory, pałace; wrażenie moje nie zatarło się bynajmniej długim lat przeciągiem.

Zajęliśmy w Lizbonie dom, w którym był mieszkał marszałek Lannes. Był to dom jeden z najlepiej urządzonych w Lizbonie; na czém Portugalczycy wcale się znają, chociaż prawie nigdy z domu nie wychodzą. Pałaców nie ma w Lizbonie. Po wielkiem trzęsieniu ziemi w r. 1755, margrabia Pombal chciał odbudować miasto podług nowego planu, lecz daremne były jego usiłowania. Rząd stracił udzielone zasiłki i te tylko gmachy są ukończone, które postawiono kosztem rządu. W lat pięćdziesiąt po trzęsieniu ziemi, ulice jeszcze były zawalone gruzami; wystawy domów zaczętych przez margrabiego de Pambal, rozsypywały się w gruzy, a nędzne chaty stały przyczepione do wspaniałych arkad, do kolumn korynckich. I cóż z tym zrobić!.. Portugalczykowie w wysokim stopniu nienawidzą to wszystko co jest pięknem.

Część miasta gdzie mieszkałam, była najłudniejsza ze wszystkich. Okna małego salonu wychodziły na plac zapełniony mnóstwem przechodzących. Ubior ludu w Lizbonie, nie odróżnia się żadną osobliwością jak w Madrycie, ale jest daleko weselszy. W Lizbonie same tylko niewiasty z pospólstwa chodzą po ulicach; kobieta z majętniejszego stanu jedzie karyolką, do której są zaprzężone dwa muły, na jednym z nich siedzi człowiek dosyć nędznie ubrany. Bogate osoby mają piękniejsze ekwipaże i to zwykle czterema mułami zaprzężone, a koniuszy stoi przy drzwiczkach powozu. Zwyczaj ten jest rzeczą nieuchronną. Z powodu niezmiernej rozciągłości miasta, nie można oddać kilku wizyt, powozem zaprzężonym dwoma mułami. Miasto liczyło wtedy 350,000 ludności prócz wojska; ciągnęło się pół trzeci mili wzdłuż Tagu; szerokość jego stosunkowo jest bardzo mała. Oprócz tego, jest zbudowane na siedmiu wzgórzach jak Rzym, a ztąd wynika, że trudno jeździć po ulicach zawalonych, spadzistych i ostremi kamieniami wybrukowanych. Nikt z majętniejszych nie chodzi pieszo; kobiety z pospólstwa wszystkie są dosyć ładne i zgrabnie ubrane.

Szlachta Portugalska, ma zupełnie odrębną cechę. Czasy Jana de Kastro, Albukwerka, Pombala, już dawno przeszły, ich nawet wspomnienia zagasły. We wszystkich krajach, wyższa klassa różni się od pospólstwa, ale rożnica ta nigdzie nie uderza tyle, co w Portugalii. Jeden tylko mają wspólny zwyczaj gadania komplementów, posunięty aż do najśmieszniejszej przesady, i wcale różny od ceremonialnej grzeczności Hiszpanów, której przecież możesz zawierzyć jeśli ci ją okazują. Wieśniak Portugalski, jeśli się z drugiém spotka, nie omieszka zdjąć kapelusza i przez cały czas rozmowy trzymać go w ręku; pyta się o zdrowie rodziców, dzieci, a nawet psa domowego; potém kończy swoje grzeczności zwyczajnemi wyrazami: »*Estoj a sous ordens seu criado*« (jestem na rozkazy pańskie). Oślarze nadewszystko odznaczają się tą grzecznością. Tak u szlachty jak i pospólstwa portugalskiego, nigdy nie usłyszysz przekleństwa, albo nieprzyzwoitego wyrazu. Czasem tylko klną przez diabła. Portugalczykowie są gadatliwi, i zajmują się drobiazgami dotyczącemi się życia domowego swoich przyjaciół i znajomych; pochodzi to po większej części ztąd, iż zwykle przestają ze swemi służącemi, są przy tem bardzo obłudni. Ten stan społeczeństwa z wielu przyczyn pochodzi. Wszystko przytłumiły dziwaczne prawa, jeszcze dziwaczniej zastósowane. Literatura tak dalece upadła, że nawet zapomnieli o nazwisku Kamoensa. Panowanie Anglików, równie szkodliwy wpływ wywarło na naród portugalski.

Lizbona leży pod tąż samą szerokością północną co Messyna. Trudno oznaczyć ludność tego miasta, ponieważ liczba domów jest jedyną skazówką podług której obrachować ją można. Francuzi pod czas pobytu swego w Lizbonie, liczyli 360,000 mieszkańców. Biorąc razem z Belem i Campo-Grandowy niesie 450000. Lizbona jak mówią, mieści w sobie siedem wzgórzów; to podobieństwo do dawnego Rzymu, jest zupełnie mylne. Rzeczywiście znajdują się tylko trzy wzgórza. Pierwsze, a nawet ściśle biorąc jedyne, zaczyna się przy moście, a ciągnie się aż do ulicy San-Benito, i tworzy część miasta zwaną Buyenos-Ayres. Miejscami tak jest spadziste, że pod czas nawalnych deszczów, dwa muły nie mogą oprzéć się potokowi spadającemu z wierzchołka, i nieraz się zdarza, iż ludzie i konie porwani są jego pędem i zatoczeni aż do Tagu, który tuż płynie u spodu wzgórza. Te potoki przynajmniej tę korzyść przynoszą, iż zabierają

http://rcin.org.pl

nieczystości, które bez tego i bez nadzwyczajnie zdrowego klimatu, nieuchronnie wznieciłyby zarazę morową; w Lizbonie bowiem nigdy ulic nie czyszczą; a gdy osioł, krowa, albo koza wieśniaka zdechnie na ulicy, wieśniak zostawi ją na bruku i odchodzi; ścierwo leży nie sprzątnięte; a za trzydzieści sześć godzin, żywość powietrza już wysuszyła szkodliwe wyziewy. W Estrella i Buyenos-Ajres, najwięcej jest domków zbudowanych na sposób angielski i holenderski. Kupcy z tych obu narodów lubią tam mieszkać nie tylko z powodu czystości powietrza, ale i dla tego że pod czas trzęsienia ziemi ta część miasta nie tyle ucierpiała. Gdym po raz pierwszy widziała to wzgórze, doznałam takiego samego wrażenia, jakby na widok miasta na Wschodzie. Te domy nie pod sznur stawiane, źle brukowane ulice, kawałki pola zasiane zbożem, ogrody, cyprysy, drzewa palmowe, aloesy i rosnące koło domów, wzbudzały we mnie to omamienie. Nie raz przechadzałam się w téj dzikiéj prawie części, tak zaludnionego miasta; i chodziłam na miejsce najbardziéj ulubione dla mnie, na cmentarz protestantów. Ten cmentarz mieści w sobie wiele znakomitych pomników, i jest utrzymywany w jak największym porządku. Drugie wzgórze, jest tylko dalszym ciągiem pierwszego. Tam pamiętne trzęsienie ziemi, zrządziło największe szkody.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## SŁAWNY ŻARŁOK.

(Z rękopismu Xięcia Jabłonowskiego z czasów Augusta IIgo.)

»Bohdan na dworze xięcia Bazylego O- »strogskiego Wojewody Kijowskiego, na »śniadanie zjadał: Cwiartkę skopu, pieczoną »gęś, parę kurcząt, pieczeń wołową, sér, »dwa chleby: do tego wypijał trzy garnce »miodu.

»Na obiad zjadał dwanaście sztuk mięsa: »cielęciny, baraniny, wieprzowiny nie ma- »ło, kapłona, gęś, prosie, trzy pieczenie, »to jest wołową, baranią, cielęcą; wina i mio- »du cztery garce, oprócz piwa i gorzałki. »Jadał smaczno i wieczerzę.»

---

Mikołaj Rej z Nagłowic, którego ojcem literatury polskiéj nazwać można, równie miał dobry apetyt. Józef Wereszczyński Opat Sieciechowski, późniéj Biskup Kijowski, współczesny i znający osobiście Reja, tak jego żarłoctwo opisuje. (Gościniec pewny 1585.)

»Ow polski poeta, Rej stary, sam rad dobrze pił i jadał: tegom ja dobrze znał, bo często u podsędka Chełmskiego ojca mojego, dla używania myślistwa bywał. Albowiem zawdy kiedy przyjechał, pudło śliw jak korzec Krakowski, miodu prasnego pół rączki, ogórków surowych wielkie niecółki, grochu w strączkach cztery magierki: (czapki) na każdy dzień na czczo to zawzdy zjadał. A po tém z chlebem garniec mleka zjadłszy, jabłek z kopę, a pół tryfusa gniłek (ulęgałek) zjadłszy, do tego sztukę mięsa, kilka półmisków zmiotłszy czupryny, kapuście kwaśnéj po tém dorobił, mało już o żabki włoskie dbając. Potém gdy do ugaszenia pragnienia przyszło, gdybym o tym pisał szeroko, byłoby nie jedno dziwo. Bo jako rad jadał potrawy trefne, także też rzadko pijał piwo dobre, jedno gorzkie, kwaśne, na ostatek i mętne, a gdy trafił do kogo na łotrowskie piwo, to pił aż mu w karku trzeszczało: a jeszcze sobie ust nie utarł, a przedsię wołał aby mu pełną inną nalano, i inszych napominał, aby też spełnili, pana gospodarza nieprzepomniano: to ono piwko znowu przed gośćmi i przed gospodarzem wychwalał, i aż do nieba wynosił, i nie wyjechał z tego doma, aż wypił z gośćmi i gospodarzem wszystko, acz to było gościom, a najwięcéj panu gospodarzowi brzydko. Acz tego nie wiem jeźli gdzie indziéj w pomiernym życiu się kochał, ale w ziemi Chełmskiéj wiele jadał i pijał.»

---

## RAKI.

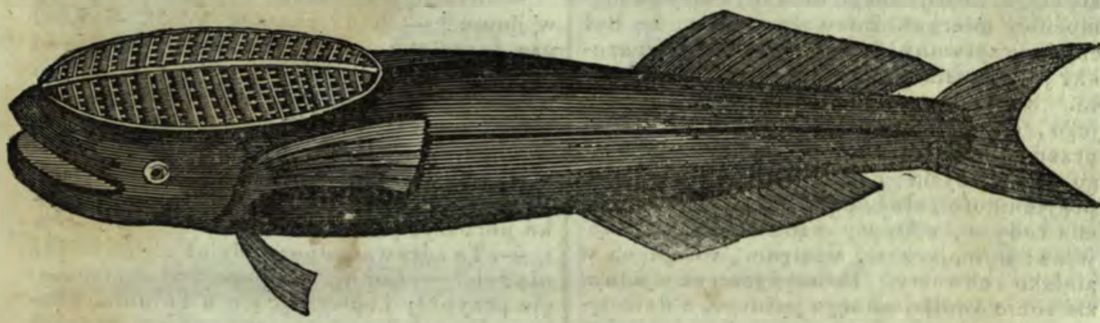
Chociaż w sąsiednich Sławianom Niemczech, używano od dawna za pokarm raków, przecież Słowianie długo się niemi brzydzili. W XV wieku w Morawie między Hanakami, gdy głód okropny zaczął grassować, i wiele ludzi wymarło, wdowa uboga, przezwana późniéj *Raczynka*, z siedmiorgiem dzieci, przezwyciężywszy wstręt i obrzydzenie, poczęła gotować raki i niemi żywić siebie i liczną dziatwę. W téj wsi gdzie zamieszkiwała, sama prawie utrzymała się przy życiu; okoliczni mieszkańcy uznali ją za czarownicę i oskarżyli o czary. Ctibor Towaczowski z Cymburga, wyznaczony do sądu, kazał winnéj się stawić, i stos przygotować. Wdowa stanęła przed sądem, i na zarzuty oskarżycieli, zkąd mogła wziąźć żywność wśród powszechnego głodu, pokazała gotowane raki które ją z rodziną od śmierci głodnéj zachowały. Na rozkaz Ctibora, w obliczu zgromadzonego ludu, zjadła raki dzieląc je pomiędzy dziatwę, a rostropny sędzia uwolnił ją nie tylko od oskarżenia, ale i od kary, i zabezpieczył od napaści przesądnego ludu. Odtąd powoli zaczął znikać wstręt Morawców od ogromnych na on czas raków, i poczęli w nich smakować. Od Morawian przyjęły je do potraw swoich, i inne pokolenia Sławian, a wdowa od ludu otrzymała nazwę *Raczynki*.

W.

http://rcin.org.pl

## TRZYMONAWY, *ECHENEIS.*

Ryby z rodzaju Echeneis, są rozmaitego gatunku, znajdują się w morzach pod strefą gorącą lub umiarkowaną, i u dawniejszych łatwowiernych naturalistów wielkiéj sławy nabrały. Sława ta polega na gminnych bajkach przyjętych przez pisarzy, lubiących cudowność i przytaczających ją bez rozwagi. Owidyusz i Lukan zapewniają, że Trzymonaw przyczepiając się do dna okrętu, zatrzymuje bieg jego. Pliniusz, jeszcze łatwowierniejszy, przydaje: »Echeneis służy do trucizn oziębiających, tamuje czynność człowieka, opóźnia bieg interessów; ale za to, jeźli go zachowają w soli, samo jego zbliżenie wyciąga z najgłębszych studni złoto, które tam wpaśdź mogło.» Pliniusz który



z dobrą wiarą przytacza takie niedorzeczności, a któremu jeszcze dają nazwisko naturalisty, na każdéj karcie prawi podobne bajki. Opisawszy wspaniale, jakie siły może człowiek rozwinąć walcząc z wściekłością Oceanu — te floty pokryte wieżami, na których najpotężniejsze wojska walczyć mogą jak gdyby były na lądzie — te rozwinięte żagle, to mnóstwo wioseł posuwających okręt, wykrzyka: »A przecież mała rybka, bezużytecznemi czyni te wszystkie siły i krępuje odwagę żołnierzy. Na bitwie pod Akcyum, *echeneis* zatrzymał okręt Antoniusza, w chwili, gdy ten wódz miał przebiegać szeregi i zachęcać żołnierzy.» Te dziecińswa, nazywano potém arcydziełami wymowy. Ale wróćmy się do Echeneis, którą majtkowie nazywają susset. (1) Jarocki w Zoologii swojéj tak ją opisuje.

»Głowa Trzymonawa jest spłaszczona, i ma na wierzchu płaską eliptyczną tarcz, która się składa z dwóch rzędów listew ruchomych. Te listwy są cienkie, kościane, na spodzie zewnętrznego brzegu trzema rzędami w tył podanych haczyków najeżone, tylnym brzegiem za pomocą osobnych muszkułów do głowy przytwierdzone, a przed nim podobnie na siebie zastające, jak listwy w *zasuwnicy* czyli zaluzyi (d e s j a l o u s i e s) u okien, lub jak noże w szatkownicy. Liczba tych listew na głowie, jest różna w różnych gatunkach.»

Organ przyczepiania się którym jest obdarzony Trzymonaw, rozwija w niém szczególny instynkt i jest przyczyną szczególnego pociągu tych ryb do ludojadów, z któremi jak zdaje się ich życie jest połączone. Jakoż rzadko napotkać można tych niszczycieli mórz bez towarzystwa Trzymonawów rozmaitéj wielkości, które płynąc z nadzwyczajną szybkością, a mianowicie około jego paszczy, nagle przyczepiają się do boków i pletew ludojada, jeźli się zmordują i tak z nim się razem unoszą. Jeżeli puszczą go dla schwytania żywności, znowu przyczepiają się czémprędzéj, pływając brzuchem do góry wbrew zwyczajowi innych ryb, z których żadna tym sposobem nie pływa.

Ten ich zwyczaj płynienia razem z żarłocznemi rybami oceanu, zjednał im także nazwisko Rotmanów, które też służy innemu rodzajowi zwanemu Centronotus, którego nałogi są prawie też same, ale który nie mogąc przyczepiać się do swego towarzysza, częstokroć traci ślad jego; Remora zaś nigdy go nie opuszcza. Zjawienie się Rotmana albo Trzymonawa, jest prawie zawsze skazówką, że blisko jest Ludojad. Zdaje się, iż te zwierzęta przyrzekły sobie wieczne towarzystwo, i uważałem ciągły stosunek między ich wzrostem. Małe Trzymonawy towarzyszą małym ludojadom, wielkie płyną z wielkim; czyliżby razem starzeć się miały? Widzieć można, jak Trzymonaw igra około swego groźnego towarzysza, poprzedza go w bardzo małéj odległości od pszczy, oddala się jak gdyby czego śledził, wraca i nagle przyczepia się do jego straszliwéj szczęki.

*Bory de St. Vincent.*

## KRONIKA LITERATURY I WIADOMOŚCI NAUKOWYCH.

*Cztery wesela, Szkic fantastyczny, przez J. K. Wilno* 1835 *r.* 2 *tomy.* — *Cena złp.* 9.

W kraju polskim, w wiosce któréj nazwiska i okolicy nie wymienia autor, żona! obywatela niebezpieczną chorobą dotknięta,

(1) Od dawnego przesądu otrzymała w polskim języku nazwisko T r z y m o n a w.

http://r

żyć przestała. Opisuje autor jéj ostatnie chwile, żal starszego syna Adolfa, obojętność świadków pogrzebu, i rozpacz owdowiałego męża. Obrazy te skreślone są bardzo zajmującym sposobem. Powszechnie mniemano, że nie była połączona związkami ślubnemi, z towarzyszem życia swego.

Krótki ten wstęp, uważaliśmy jako potrzebny do zrozumienia następującéj sceny, którą udzielamy czytelnikom naszym.

---

Parę miesięcy upłynęło od pogrzebu; stary wstał z łóżka, ale śmierć towarzyszki jego życia, wypiętnowała na jego umyśle niezgładzoną pamiątkę, bo od téj chwili nie odzyskał przytomności i rozumu. Myśl jego jak sprężyna przykuta do koła, kręciła się ciągle koło jednego obrazu, który go najmocniéj uderzył. Zdawało mu się, że był ciągle przytomny konaniu swojéj Maryi; szukał jéj bezustannie i pytał gdzie się podziała. Smutnie było spojrzeć na siwy włos jego, okrywający głowę, z któréj rozum przed zgonem uleciał i widzieć go wlokącego ciężar życia, ogołocony ze wszystkich przyjemności, słodzących życie. Była to sucha łodyga, z któréj spadł kwiatek na zawsze; uginająca się wiatrom, wdeptana w zielsko i chwasty. Proszęż jeszcze wyobrazić sobie Adolfa, samego jednego, z dziecięciem niepojmującém żadnego cierpienia i obłąkanym ojcem? Proszę uczuć cierpienia jego, kiedy zimny patentowany lekarz, powiedział mu zażywając tabakę, że Jegomość pewno nie odzyszcze przytomności.

Mijały dni jednostajne, długie, głuche, smutne; stary chodził tylko jęcząc po całym domu i pytał w każdym kątku, w każdym pokoju. »Gdzie ona? gdzie Marysia?«

Często kiedy Adolf siedział smutny, myśląc sam nie wiedząc o czém; drzwi otwierały się powoli, ukazywała się głowa starca i cichy głos dawał się słyszeć bojaźliwie: »Czy jéj tu nie ma? — Któżby znalazł odpowiedź, na pytania sięgające za groby? Starzec też chodził, i nikt mu nie odpowiedział, gdzie ona?

Pytał przez sen w nocy, pytał obudzony od rana do wieczora; nikt nie odpowiadał, każdy wzdychał, ruszał ramionami, lub rękawem oczy suche obcierał, dla pokazania, że jest czulszym od drugich, a w duszy nie wiedząc o czém była mowa.

Wieczór był, słońce zachodziło, na dziedzińcu dwóch wracających z polowania sług, rozmawiało z woźnicą, który konie od wody prowadził; jakiś pojazd zajechał przed wrota i głos dał się słyszeć.

—»A otwórzcie tam przecie!

Spojrzeli myśliwi i ujrzeli koczyk maleńki, czterma końmi w lejc zaprzężony, z tłómokiem z tyłu. Pośpieszono otworzyć wrota, pojazd wtoczył się na dziedziniec.

—»A czy jest pan w domu? zapytał głos z koczyka. —»Jest! jest! odezwali się wszyscy razem potrząsając głową.

Stanął pojazd przed gankiem; z niego za pomocą dwóch barczystych lokajów wysiadł otyły, sapiący jak wół mężczyzna, i stanąwszy na progu zapytał jednego.

—»Słuchaj ty, a co pan robi?

Sługa nie wiedział co odpowiedzieć i ruszył tylko ramionami.

—»Czyś głuchy? co pan robi? — »Jest w domu! odpowiedział zapytany i unikając dalszych badań, umknął.

Adolf, którego ten hałas na ganek sprowadził, zaszedł w téj chwili drogę przybywającemu; a on do niego natychmiast obrócił mowę.

—»Słuchajno wasan! czy jest pan Jerzy w domu? —»Kto? zapytał Adolf. —»Kto! pan Jerzy! toż mówię wasanu! Czyś i wasan głuchy... mój brat! rodzony brat, z którym Bóg wie jak dawno nie widziałem się... pan Jerzy! —»Jest! ale chory. —»Co? chory! o fe! chory! no proszę! a jejmość wasza... ta! ta! jakże ją tam nazywacie?

Adolf zaczerwienił się cały i ustami tylko poruszył boleśnie.

—»Ta zdrowa! odpowiedział cicho: bo już nie żyje! —»Co? hę? co? przerwał sapiąc ciągle przybyły i opierając się o kolumnę ganku. Umarła? co? no, czemuż nie gadasz? A wasan co za jeden jesteś?

Jakże miał na to pytanie, Adolf odpowiedzieć?...

—»Co? milczysz! co? hę? pytam, co za jeden wasan jesteś co? no, mów! co?.. pisarz? co? nie?.. Kommissarz? co? nie? no gadajże! tfu! ja tu ładu nie dojdę! co? —»Jestem syn téj która umarła, odpowiedział cicho udręczony Adolf. —»Co? alboż ja wiem która umarła! a! a! to ta! krzyknął sapiąc ciągle przybyły, a to ta! wasza Jejmość! to wasan jesteś, a! wiem! syn! syn! a! no! jak się ma Jerzy! Uuu! a ja mówiłem! i czy doprawdy pan brat mój zwaryował? —»Tak jest! szepnął Adolf i łzy mimowolnie potoczyły mu się z oczu. —»Hę? co? płacze, fe! baba! wasan jesteś! czego? co? fe! A czy dacie tam lulkę! hę? proszę! a wasan jesteś syn! syn! Tęgi chłopak! jaka szkoda! no proszę. To tak! mosanie! tak! a czy jest was więcéj?... —»Mam brata małego! —»Uu! brata! a kiedy wasan chcesz, u mnie w folwarku potrzeba officyalisty, to ja wezmę wasana, jeżeli co umiesz, i wierny będziesz; a brata, za moją protekcyą, można będzie umieścić u XXży w miasteczku, między *Paupery*, co? hę? —»Znajdę sposób utrzymania się, odpowiedział Adolf, z jakąś dumą wewnętrzną....

Mówił daléj pułkownik.

—»Czy zrobił on testament, nim zwaryował. —»Nie wiem! — »Ta! juściż! ale niedobrze, że stary odwlekał, uuu! bo to i wa-

http://rcin.org.pl

sanom po parze tysięcy złotych wypadało zapisać! ja to znam, że inną to było! a wasana matka, może co i wniosła?—»Nie wiem! —»Nie wiesz? co? to prawnego nic nie ma! dokumentów? hę? No! to przepadło! Bóg wie, kiedy testamentu nie ma, to i wasanom nic się nie dostanie!....

Drzwi się otworzyły powoli, przybyły oniemiał na widok siwej głowy starca, i słysząc zwykłe jego słowa, bojaźliwie wymówione.

—»Czy jéj tu nie ma? Gdzie ona? I schylony z posępną miną, z zapadłemi oczyma, z drżącemi rękoma, siwy jak gołąb staruszek, krokiem niepewnym przeszedł się po pokoju, jakby szukał kogo, lub czekał odpowiedzi, zbliżył się do brata, nie poznając go, głową potrząsnął i powtorzył: »Gdzież ona? Adolfie, czy widziałeś ją?

Adolf milcząc przybliżył się do starca, a pan brat sparty na poduszce wypuścił z ust cybuch i jak na dziwo patrząc na nieszczęśliwego, z tą zimną krwią i suchém okiem, właściwém samolubom; otworzył szeroko gębę oniemiałą i suche oczy. Potém nie mogąc pojąć, żeby go brat nie poznał, choć się dawno bardzo nie widzieli, w te się odezwał słowa:

—»Ts! panie bracie! Cóż to... to i mnie nie poznałeś... Pułkownika Salezego? brata rodzonego? hę? co?

Starzec, obłąkany wzrok powiódł po nim, potém spojrzał po kątach i cicho jakby się lękał obudzić kogo, zapytał znowu, obracając się do Adolfa. —»Czy jéj tu nie ma?

—»Proszę! zawołał pułkownik: dalipan sfixował; zupełnie! fe! ts! uuu! i mnie nie poznał!

To mówiąc wstał z kanapy, i sapiąc okropnie z fajką w zębach zbliżył się do starca, który na widok jego, z przestrachem zasłaniając sobie oczy w kąt uciekł i przytulił się do ściany.

—»Proszę wasana! jakby nie znał; co? to dziwnie! dalipan! I znowu poszedł aż do kąta za starcem, który jak dziecię, zatulając twarz i siwą głowę rękoma, stał w kątku. —»Czy mnie nie znasz? zakrzyczał mu nad uchem: co? hę? brat Pułkownik jestem! hę? Starzec drżał cały i piskliwym głosem zdawał się prosić, aby mu pokój dano. Głos ten jego bez słów, dosyć miał wyrazu, aby go każdy zrozumiał; był to okropny dźwięk boleści, jaki tylko z ust obłąkanych się wyrywa. Pułkownik jednak stał ciągle nad nim i pytał co? i dym puszczał kłębami.

Adolf odważył się przybliżyć nareście i odezwać do Pułkownika.

—»Niech mu pan da pokój; on się lęka.

—»Co? hm! poczekaj! Czy mnie nie znasz? zawołał znowu, i starzec pisnął przeraźliwie. Ten dźwięk okropny przeszywał duszę syna, który stać musiał i patrzeć na męki z krwią zimną ojcu zadawane. Wziął nareście Adolf z lekka ojca za rękę i chciał go ku drzwiom prowadzić, ale biedny obłąkany, cały drżący z przestrachu stał i upierał się tak silnie, zakrywając sobie oczy, że biedny syn wyprowadzić go nie mógł; a pułkownik stał ciągle nad niemi, fajkę palił i wołał: —»Uuu! bracie! czy mnie nie znasz? czy doprawdy! uuu! a to fe! —»Widzisz panie pułkowniku, że się boi; trzeba mu teraz dać pokój; trzeba mieć litość, boleśnie mówił Adolf. —»A to osobliwość! Czy ja nie wiem jak się z nim obchodzić, czy co? to także! Właśnie pierwszy raz, czy co? hę! Puść go! puść go wasan! co wasanu się dzieje, jaż przecię muszę się rozmówić! o! fe! puść!

Adolf stał jak na mękach; bo biedny starzec piszczał boleśnie, drżąc cały i twarz zakrywając rękoma; a pułkownik z wytrzeszczonemi oczyma i otwartą gębą, kroku nie ustępował.

—»Toż i jutro można będzie panie pułkowniku, rzekł Adolf pokornie. Widzisz pan Dobr:, tak mu to przykro; cały drży, słyszysz pan głos jego?

Tfu! plunął pułkownik i odszedł rzucić się na kanapę, a Adolf wziąwszy pod rękę starca ku drzwiom go prowadził. Obłąkany obrócił się raz jeszcze, drżąc rzucił wzrok na pułkownika i do ucha szepnął Adolfowi smutnie i przenikającym głosem: »Tu jéj nie ma!»

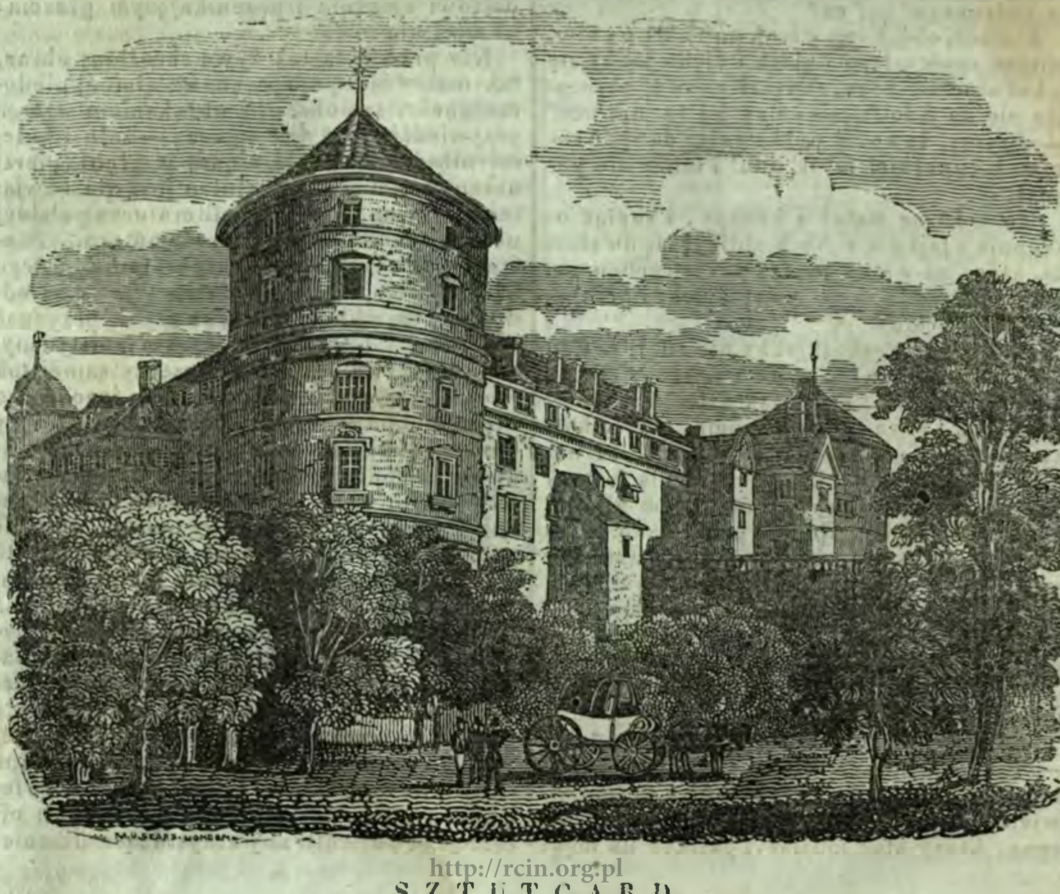
Kto przeczyta tak żywo skreślony obraz, tak malowniczą sprzeczność, zimnéj niedorzeczności samoluba, z obłąkaniem starca przywiedzionego do rozpaczy — żalu i boleści młodzieńca, tłumionéj w głębi piersi uszanowaniem jakie winien jest dla stryja; ten zapewne powinszuje literaturze polskiéj nowego i odznaczającego się autora... Niestety! dla czegóż po przeczytaniu całego dzieła pana J. K. nie możemy jeszcze oddać mu téj chlubnéj pochwały i przyznać tych zalet. *Cztery wesela*, szkic fatastyczny, jak je nazywa autor, są w rzeczy samej tak *fantastycznym* utworem, że nam jego *szkicu* nie podobna skreślić. Jaki jest główny pomysł, jaki cel? jaka prawda moralna? Jaki obraz społeczeństwa chciał wystawić autor? Na to wszystko nie można dać zaspokajającéj odpowiedzi. *Cztery wesela*, umyślił związać w jedną powieść, i związał je to prawda, ale takim sposobem jakim na zabawie towarzyskiéj wiąże ktoś dla wykupienia fantu, cztery podyktowane końcówki. *Pierwsze wesele* jest Adolfa z młodą wdową Matyldą, Adolfa, który jak się okazuje, jest prawym synem, i matka jego zawarła była ślubny związek z owym starcem co po jéj zgonie rozum utracił. Ale syn, chociaż już miał lat dwadzieścia i kilka i bywał w świecie, nic o tém wszystkiém nie wiedział; ojciec jego dozwolił aby krzywdzące domnie-

http://rcin.org.pl

mania ciążyły aż do zgonu nad jego żoną i dziećmi. Ale bez tego wszystkiego nie byłoby drammatycznej sceny przy otwarciu testamentu i upokorzony stryj samolubny nie odjechałby z kwitkiem. — *Drugie wesele*, jest Julii, młodej, zalotnej kobiety, bez żadnych zasad i moralności, która idzie za pułkownika, a bałamuci słabego Adolfa. Są ludzie, którzy lekce ważą moralność; ale żeby tak otwarcie wydawali się z zasadami swojemi, a zwłaszcza gdyby to była młoda panna, tego niepodobna przypuścić. To drugie wesele zakrwawia okropna scena, w której mąż fałszywém uniesiony podejrzeniem, własną żonę koniem na śmierć roztrąca: obraz skreślony z pięknym talentem, ale nie wiem czy wprowadzony z trafnym pomysłem. Rozwiedziona Julia idzie za drugiego męża i to jest *Trzecie wesele*. Idzie za owego wdowca, który był sprawcą śmierci żony swojéj i który po to żeni się z Julią aby ją zabił. Julia bowiem, przez płochość swoją, była powodem owej okropnéj katastrofy z jego pierwszą żoną. W tém miejscu, autor obdarzył nas sceną, któréjby się pisarze francuzcy tak zwanéj *djabelskiéj szkoły*, panowie Sue, Soulie i t. d. nie wyparli. Jak wszędzie tak i tu widać piękny talent autora. Nowożeniec zażywa truciznę, szarpany bólami chce zadławić żonę, umiera przecież, a Julią odrętwiałą bez sił i czucia, ledwie zdołano uratować. Ta przygoda nie odstręczyła odważnéj bohaterki, od małżeńskiego zawodu. Idzie trzeci raz za mąż, za dawnego konkurenta swego, który pod czas weselnego obchodu, za długo zabawiwszy się z przyjaciołmi, musi noc przepędzić w skrzyni na sienniku gościnnym i to jest *Czwarte wesele*.

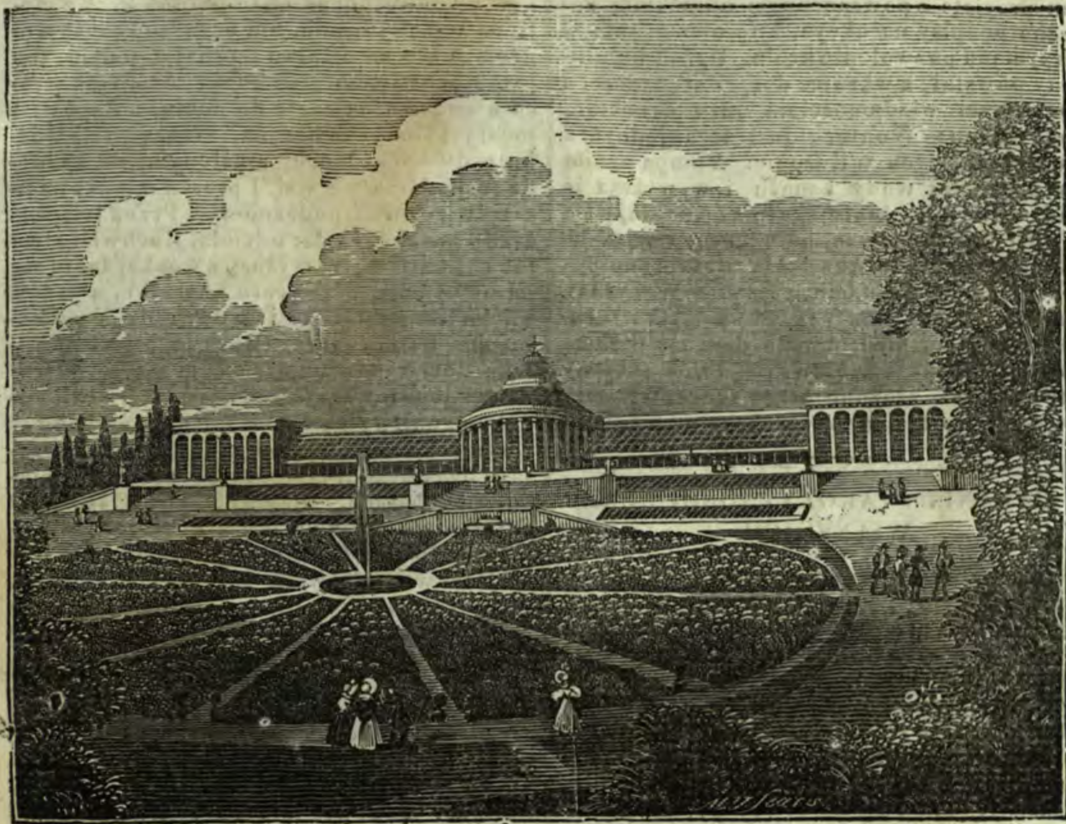
Autorem tego *Szkicu* jest pan Józef Kraszewski. Już to szósty jego oryginalny utwor, (*) w każdym są też same zalety i wady, oznaki talentu, zajmujące obrazy, ale zła całość, brak należytego zastanowienia się i dobrego ogólnego pomysłu. Przy łatwości jaką posiada, przy pięknym stylu, mógłby ozdobić literaturę naszą, gdyby nie wprzódy zasiadł przy stoliku, dopóki zupełnie i dojrzale nie ułoży dzieła swojego, gdyby nie rzucał na papier tego wszystkiego, co z rozbujanego pióra wypłynie, gdyby nareście więcéj dbał o swoją wziętość literacką. To życzenie wynurzył mu Tygodnik Petersburgski, też same powtarzamy także, spodziewając się, iż je przyjmie równie życzliwém sercem, z jakiem napisane było.

(*) Pan Kraszewski jest autorem powieści: Pan Walery, Wielki świat małego miasteczka, Kościół Sto Michalski, Rok ostatni panowania Zygmunta IIIgo, Pan Karól, Cztery wesela.



SZTUTGARD.

http://rcin.org.pl



## OGRÓD BOTANICZNY W BRUXELLI.

Bruxella stolica Belgii, leży nad rzeką Senne, połączona jest z Antwerpią i prowincyą Hainaut, dwoma kanałami. Podanie o dwóch straszliwych pożarach tego miasta, w r. 1326 i 1405, może uczynić wyobrażenie o jego obszerności i ludności w owym czasie. Pierwszy pożar był zniszczył 2,400 domów, drugi 1,400. Teraźniejsza ludność Bruxelli, nie przechodzi 80,000. To miasto już od początku trzynastego wieku, znaczny handel prowadziło. Wyroby sukna, kobierców, broni i koronek, doszły do wysokiego stopnia doskonałości. Z powodu fabryki koronek, czyniono tę uwagę, że ilość lnu, która na gruncie nie zajmowała dwóch stóp kwadratowych powierzchni, i warta była najdrożéj 10 do 12 franków, wyrobiona na koronki, dochodzi do 2,400 fr. ceny. Nie wiele miast posiada tyle starożytnych zabytków architektury średnich wieków, ile Bruxella i Antwerpia, a w ogólności miasta Belgii i Flandryi. Z liczby tych gmachów zasługuje na wspomnienie, ratusz zaczęty w r. 1401, skończony w 1441, dom królewski zbudowany z kamienia ciosowego, kościół Stej Guduli, którego fundamenta zasięgają r. 1047 i t. d. Rządowi króla Niderlandzkiego, winna jest Bruxella wielki wzrost i upiększenie: powiększył się okrąg miasta, przebito nowe ulice, smutne wały zamieniono w piękne bulwary, wzniesiono wiele gmachów publicznych. To miasto posiada także wiele naukowych zakładów, jakoto Szkołę lekarską— Obserwatoryum — Konserwatoryum muzyki — Konserwatoryum sztuk i rzemiosł — Gabinet obrazów — Gabinet Historyi naturalnej, — Skład starożytnych archiwów, — Akademią sztuk pięknych, — Bibliotekę publiczną i Burgundzką czyli rękopismów, bogatą w bardzo ciekawe zabytki starożytne — Akademią królewską nauk i umiejętności; nareście ogród botaniczny, ukończony w roku 1829, którego rycinę załączamy do tego artykułu.

Założenie tego ogrodu, było skutkiem szyderstwa. — W lecie 1826, przedawano w Bruxelli kwiaty, przez publiczną licytacyą; i wielu było amatorów. Wystawiono na sprzedaż roślinę bardzo kosztowną; jéj cena zbyt wysoka, przechodziła możność prywatnych. —»Trzeba to kupić do ogrodu Botanicznego w Bruxelli! zawołał z pośród tłumu jakiś głos szyderczy. — »Szyderca ma słuszność, rzekł pan Van-Gobbelscroj, wówczas sekretarz królewski. Wstyd jest, ażeby Bruxella nie miała ogrodu botanicznego.

http://rcin.org.pl

Zmyjmy tę ochydę, założmy ogród.» Zamysł ten przyjęto z powszechnym oklaskiem, zebrano podpisy na akcye, kupiono grunta, i otrzymano pozwolenie króla. Ogród botaniczny powstał, a wkrótce dzięki zręczności i obszernym wiadomościom jego dyrektora pana Meeus-Wouter, jest teraz jednym z najpiękniejszych w Europie. Pompa ogniowa prowadzi wody kanału i wywyższa je nad szklarnie, które skrapia; znajdują się w nich najpiękniejsze, największe i najrzadsze drzewa palmowe, jakie otrzymano dotąd w naszym klimacie. Rząd uposażył ten zakład, roczną pensyą sześciu tysięcy złotych holenderskich; miasto daje takąż samą kwotę. Fundusze królewskiego towarzystwa ogrodnictwa, złożone przez akcye, wynoszą dwakroć sto tysięcy złotych holenderskich.

## BADANIA STAROŻYTNOŚCI SŁAWIAŃSKICH.

Lubo starożytni dziejopisowie nie zachowali bynajmniej pamiątki oporu, z którym ojcowie nasi przyjmowali światło wiary prawdziwej i wyrzekali się dawnych Sławiańskich zwyczajów, jednakże z natury rzeczy wynika, iż przemiana ta nie mogła nastąpić od razu. Zwyczaje i obrzędy sławiańskie zaniedbane i zapomniane u wyższej klassy mieszkańców, utrzymywały się między ludem wiejskim, i dotąd w wielu miejscach istnieją, pod nazwiskiem zabobonów i przesądów. Czego więc badacz obyczajów starożytnych nie znajdzie w kronikach pisanych przez ludzi, którzy z umysłu zamilczali o zabytkach pogańskich, to wyrozumieć może z rozstrząsania i porównywania zwyczajów prostego ludu w rozmaitych krajach, zajętych przez obszerne plemie słowiańskie.

Tak więc nie tylko w pieśniach, zwyczajach i obyczajach, ale pośród mnóstwa przesądów i zabobonów, ukrywają się liczne dla Słowianina skarby. Tam zajrzyjmy w odmęt baśni pomieszanych z sobą częstokroć niezgodnie, przyjrzyjmy się temu chaos z pochodnią prawdy, a światło jéj potrafi rozróżnić rzeczywistość od fałszu, zabytki starożytności Słowiańskiej od obcej i wędrownéj bajki.

Uczony J. S. Bandtkie, (Pamiętnik Warszawski tom 21. z roku 1821.) zwraca na to uwagę ażeby nie zapominać i o historyi bajecznéj, która czasem jest podstawą zwyczajów wiejskich: na dowód czego przytacza zwyczaj ubiegania się do mety, który tu w skróceniu załączamy.

W Szlązku, nad rzekami Odrą i Oławą, gdzie są wsie polskie, jest zwyczaj w zielone świątki, iż parobcy którzy konie paszą, ze świtem pierwszego święta wyjeżdżają na gonitwę do celu już od niepamiętnych czasów ustanowionego. Kto najpierwszy u mety na wyścigi stanie, ten ogłoszony jest wodzem, a kto na ostatku do niej dojedzie, ten jest Rochwistem. Ochocza młodzież wraca z wodzem na czele do domu, a Rochwist musi jéj służyć za błazna. Wiozą go na wózku o dwóch kółkach, umajonym, do każdego gospodarza we wsi, i proszą o mały na ucztę wieczorną podarunek. Przez ten czas kiedy gospodarz dar udziela, Rochwist strojąc rozmaite figle, wyłazi z wózka, tacza się na podwórzu, przewraca koziołki, a jeżeli blisko jest kałuża, to i téj odwiedzieć nie zaniecha, bo im więcej twarz jego jest zawalana, tém zabawniejszą zdaje się bydź wodzowi, jego towarzyszom i gospodarzowi. Podobne gonitwy są także między Syrbami w Łuzacyi; te istnieją od niepamiętnych czasów, a jak uczeni tameczni twierdzą, od wieków pogańskich. Czy Rochwist, Rozchwist Szląski nie ma związku z Pochwistem, dawnym Słowian Polskich Bożkiem, od którego Pochwiściela wiatr gwałtowny w Mazowszu Naruszewicz wywodzi? Czy nie masz podobnych zwyczajów i u nas w Polszcze? Stan biedny w jakim są konie naszych włościan, czyni podobno rzeczą nie możną, aby nasi włościanie takie miewali gonitwy. Że w naszéj bajecznéj historyi pamiętna jest gonitwa konna do słupa po śmierci Przemysława Igo czyli Leszka IV. która o wybór następcy stanowić miała, wiadomo każdemu z dziejów.

Przypominam to dla tego (mówi w końcu uczony Bandtkie) ażeby zwracać uwagę i na bajeczną historyą, i na obyczaje wiejskie, które niekiedy aż do owych wieków sięgają. Jeszcze jedna nastręcza się uwaga. W niezmierzonych płaszczyznach które zajmowali Słowianie; pierwszeństwo na wyścigach konnych mogło bydź niepospolitą zasługą, a nawet nadawać prawo do przewodniczenia innym.

Ludy Słowiańskie które od Greków przejęły światło wiary, więcéj dochowały dawnych zwyczajów i podań; niżeli te których nawrócili kapłani innego wyznania.

W rzeczy samej, mogę to powiedzieć z własnego doświadczenia, gdy przebiegając w Podlasiu osady Ruskie, ich pieśni, zwyczaje i obyczaje więcéj mnie nauczyły, niż całkowite Województwa Krakowskie, Sandomierskie i Mazowsze.

## *Pamiątka topienia śmierci.*

Pierwszy Długosz podaje jako pamiątkę burzenia bałwanów za Mieczysława Igo, a zaszczepienia Chrystyanizmu w Polszcze, zwyczaj wieśniaków naszych ubierania bałwana ze słomy, lub grochowin, obwożenia

http://rcin.org.pl

takowego po siołach, wkońcu topienia lub spalenia. Następni nasi kronikarze idąc w ślady poprzedników, bez krytyki, tylko na dobrą wiarę powtarzali błędne podanie Długosza. Tak M. Stryjkowski który za swoich czasów był świadkiem tej starożytnej pamiątki topienia śmierci, pisze:

»Pamięć burzenia tych bałwanów (?) Długosz i Miechowita piszą, iż za ich żywota, »jawnie w rok gdy ten dzień przyszedł sprawowano. Co i dziś (mówi Stryjkowski) »w Wielkiej Polszcze i w Szlązku zachowują. Albowiem dzień w Niedzielę Srzodopustną, uczyniwszy sobie Bałwan nakształt »niewiasty Ziewonie albo Marzanny które »pierwej chwalili, wetknąwszy na kij długi, noszą żałośnie śpiewając, i na wózku »wożąc. Potém w kałużę albo w rzekę z mostu wrzucają, a do domów co wskok uciekają jakoby od bałwanów do prawdziwej »chwały Chrystusa Pana.» (1)

Jaśniejszą i dokładniejszą w tém względzie podaje wiadomość Marcin Bielski. (2).

»Za méj też jeszcze pamięci, był ten obyczaj u nas po wsiach, iż na białą niedzielę po poście, topili bałwan jeden ubrawszy snop konopi, albo słomy w odzienie człowiecze, który wszystka wieś prowadziła, gdzie najbliżej było jakie jezioro albo kałuża; tamże zebrawszy z niego odzienie wrzucili do wody, śpiewając żałobliwie.

»Śmierć się wije po płotu,
»Szukający kłopotu etc.

»Potém co najprędzéj do domu od tego miejsca bieżeli, a który, albo która się natenczas powaliła, albo powalił, wróżbę tę mieli iż tego roku umrze.» Błazowski w tłomaczeniu Kromera (3) powtarza tylko podanie Długosza.

Same te słowa piosnki przytoczone przez Bielskiego, *Smierć się wije po płotu, i t. d.* wskazują że obrządek ten nie był pamiątką topienia bałwanów, ale dawnym sławiańskim zabytkiem. Znajdujemy go u wszystkich ludów Słowiańskich.

Słowianie Niemieccy w dniu 1go Marca, wynosili ze wsi zrobionego ze słomy bałwana, który śmierć wyobrażał, palili go lub wrzucali w rzekę, śpiewając pieśni na pochwałę lata. W Czechach dzieci ciągnąc takowego bałwana śpiewali.

»Giž nesem smert ze wsy,
»Nowe leto do wsy
»Witaj leto libezne
»Obiliczko zelene. (3)

Już niesiem śmierć ze wsi,
Nowe lato do wsi,
Witaj lato ulubione (4)
Witaj zbożko (zboże) zielone.

Oparty na tych dowodach, sławny Karamzyn wspiera nasze zdanie, okazując błąd Długosza. Co się dotycze słów tegoż dziejopisa: »Jż lud bałwany pod imieniem Ma»rzanny niszczył, którą podaje jako Boginią »urodzajów.» dosyć jest na zbicie tego przytoczyć zdanie uczonego J. S. Bandtkiego. (6) »Marzanna jak Długosz mylnie utrzymuje, »miała bydź Bogini urodzajów. Marzanna »u innych Słowian była Boginią śmierci, i »tak zapewne było i u Polaków, że znaczy»ła śmierć, czyli Boginią śmierci. Marana »do dziś dnia jest śmierć w Mitologii Hin»dów»

Etymologia tego wyrazu od *moru, mrzeć,* także toż samo poświadcza.

W Podlasiu w powiatach zamieszkałych przez wiesniaków Grecko-Unickiego wyznania u Rusinów, przy końcu zapust, to jest w środę popielcową, uwiązawszy z grochowin bałwan, ubierają go w odzienie ludzkie. Takowy na wózku o dwóch kółkach obwożą po wsi, wstępując od chaty do chaty. Zebrane grono młodzieży, które towarzyszy temu bałwanowi, przebrane jest najdziwaczniej. Dziewczęta pospolicie ubierają się za cyganki, niosąc na ręku i plecach dzieci przystrojone ze słomy lub grochowin. Chłopcy przebierają się już za Cyganów, już za ubogich dziadów. W pośród tego grona, są wyznaczeni co noszą garnki z popiołem; drudzy na długim kiju pończochy, podobnież popiołem wypełnione. To całe zgromadzenie młodzieży wiejskiej, przechodzi kolejno domostwa sielskie. Przyszedłszy przed którą chatę, zostawiają z wózkiem posąg, a sami tłumnie wchodzą do izby, czyli świetlicy jak w swoim dyalekcie nazywają. Tam się gospodarstwu kłaniają, i proszą o podarek. Jeżeliby przypadkiem nie otrzymali żadnego daru; występują ci co mają pończochy z popiołem, i gospodarstwo uderzając po głowach, obficie zasypują popiołem. Lecz nie dosyć na tém, z wrzaskami porywają przygotowany spory garnek pełen popiołu, uderzają nim w stół, tłuką, i całą świetlicę nieprzejrzanym tumanem kurzu zasypują. Jeżeli gospodarstwo przyjmie ich uprzejmie, co prawie zawsze się zdarza i da z ochotą jakikolwiek podarek, po złożeniu dziękczynień za dobre przyjęcie, uderzają

(1) Kronika Macieja Stryjkowskiego Ed: Warsz: Bohomolca 1766 r. stron. 140.

(2) Kronika Marcina Bielskiego Ed. Warsz r 1764 stronnica 34.

(3) Marcina Kromera kronika przekład M. Błazowskiego stron. 45 Ed. roku 1611 w Krak. w Drukar. M: Loba.

(5) „Obilie" w języku Czeskim znaczy zboże: w rossyjskim obfitość. urodzaj.

(6) Dzieje Królestwa Polskiego, T I. stron. 131. Ed. 1820 r Wrocław.

http://rcin.org.pl

ich tylko pończochą z popiołem po głowach. Tak obszedłszy wieś całą, wieziony bałwan z okrzykami, głośną wrzawą i przekleństwem zwyczajnym: »Czort tebe zabery:» Zdjąwszy z niego odzienie, topią w kałuży jakiéj lub bagnie, a gdyby tego nie było w pobliskości, zapalają go i przez płomień pożerający ten posąg, z okrzykami skaczą. Po odbytém tym obrzędzie, co oczywiście jest śladem dawnego zwyczaju topienia śmierci, zebrane dary składają, i wspólnie z nich wyprawiwszy sobie biesiadę, bawią się i weselą. — Sam byłem świadkiem w roku 1826 podobnego obchodu w jednéj z wiosek w powiecie Bialskim: a który trwa do dziś dnia powszechnie na Podlasiu.

W Województwie Lubelskiém podobnymże obrzędem, bałwana ubranego w stare łachmany, ze słomy lub grochowin zrobionego, topią lub palą podług dawnego zwyczaju.

K: Wł: W.



## DRZEWO CYNAMONOWE.

Prócz tych które prawdziwie należą do gatunku lauru, wiele innych drzew i krzewów, podobnych do niego kształtem lub liściem, nosi to miano z odróżniającym przydomkiem. Takiém jest lauro-cynamon. Otrzymywane ze wszystkich jego części kosztowne aromaty, mieszczą go w rzędzie najbardziéj zajmujących drzew tego rodzaju. Wysokość jego dochodzi piętnaście do dwudziestu stóp, a jednę i pół stopy średnicy. Kora brunatno-szara po wierzchu, jest żółto-czerwona wewnątrz. Liście podłużno-okrągłe, wierzch mają błyszczący, spód chropowaty, nieco popielatawy, przerznięty w podłuż trzema mocnemi żyłkami. Kwiaty są małe, żółte wewnątrz, po wierzchu kosmate. Owoc brunatno-błękitnawy, na pół cala długi, zawiera w sobie zieloną i lepką mięsistość, otaczającą pestkę, która kryje purpurowe migdały.

Wszystek cynamon, którego przez długi czas dostarczali Holendrzy obu półkulom, zbierany był na przestrzeni czternastu zaledwie mil, nad brzegiem morskim w Cejlanie. Powodowani niepowściągnioną chęcią zysku i żądzą owładnięcia handlowego monopolium na całym świecie, Holendrzy wypędziwszy Portugalczyków z Cejlanu, opanowali prócz tego królestwo Kochin na wybrzeżu Malabarskim, ażeby im jeszcze wydrzéć sprzedaż *cynamonu dzikiego* czyli *białego*, któren rośnie w tym kraju. Wyniszczyli go zupełnie, podobnież jak wszystkie cynamony rosnące bez uprawy, a nawet i część hodowanych dotąd, wiedząc ze stu dwudziesto-letniego doświadczenia, jaka ilość cynamonu potrzebna jest do handlu, i mocno przekonani iżby go więcéj nie spotrzebowano, choćby nawet był tańszy. Nie mogli jednakże przeszkodzić, aby cynamon nie wydostał się nakoniec z wyspy Cejlan. Dzisiaj uprawiają go na wyspie Ile de France, w Kajennie, na Antyllach, a nawet w botanicznym ogrodzie w Paryżu, gdzie jednak trzeba go przechowywać w szklarniach pod czas zimy.

Cynamon kwitnie w Lutym lub Marcu, i przez cały rok zieloność zachowuje. Zbierają go dwa razy na rok; jeden zbiór wielki od Kwietnia do Sierpnia, w porze dżdżystéj; drugi mały od Listopada do Stycznia, w porze suchéj. Urzynają gałązki trzechletnie i odzierają ze zwierzchniéj kory, za pomocą obosiecznego noża; potém rozłupują podłużnie drugą korę, i zwolna ją odrywają tylcem tegoż narzędzia. Kory te kładą jedne w drugie, umieszczają na słońcu, gdzie w miarę schnięcia same się zwijają. Po dwóch albo trzech latach, drzewo nową pokrywa się korą, którą znowu tymże sposobem zdejmują.

Każda część cynamonowego drzewa, jest użyteczna. Woniejąca kora wydaje czysty i żółtawy olejek, sprawiający ważne skutki lekarskie; Indyanie zażywają go zewnętrznie i wewnętrznie. Kora ta wydaje także kamforę, którą zbierają jak najstaranniéj i dla samych zachowują xiążąt. Na starych pniach drzewa cynamonowego robią się wyrostki, pachnące jak drzewo rożane, a z których sztuka stolarska mogłaby korzystać. Liście przyjemnéj woni i smaku używane by-

wają do aromantycznych kąpieli, a przez alembik przepędzone, wydają olejek wielce skuteczny na gwałtowne biegunki. Kwiaty mają woń roskoszną, rozchodzącą się na kilka mil w około; robią z nich kosztowną wodę. Z owocu, przez dystylacyą wydobywa się wonny olejek; a przez wygotowanie, pewien gatunek łoju, który Indyanie uważają jako bardzo skuteczny na uleczenie wszelkiego stłuczenia lub wywichnięcia: przychodzi do Europy w krążkach, pod nazwiskiem *wosku cynamonowego*. Król Kandy każe z niego robić świece pachnące.

Taki jest rozmaity użytek korzeni, pnia, liści, owoców i kwiatów cynamonowych, o którym wspominają podróżnicy; lecz z codziennego doświadczenia znamy pożytek kory cynamonowéj, użytéj jako lekarstwo, a częściéj jeszcze jako przyprawa. Ze wszystkich płodów zamorskich, cynamon najbardziéj sprzyja człowiekowi: pokrzepia siły żywotne, nerwy i żołądek. Używany jest pod rozmaitemi kształtami i w rozmaitej ilości, bądź na odjęcie przykrego smaku, bądź na zwiększenie działalności niektórych lekarstw. Dodaje przyjemności wielu potrawom, pieszcząc zarazem smak i powonienie; lecz tak powszechnie znany jest z tych zalet, iż byłoby rzeczą niepotrzebną dłużéj się nad nimi rozwodzić.

## IBIS.

Ibis jest jednym z owych bajecznych ptaków, o których więcéj jest domysłów i podań niepodobnych do wiary, niżli wiadomości na prawdzie ugruntowanych. Najdawniejsi autorowie wspominają o Ibisie, gdyż zwracał na siebie ich uwagę przez cześć religijną, jakiéj przedmiotem był w Egipcie. Ibis stał się godłem Egiptu, który zawsze pod postacią tego ptaka wyrażany bywał na hieroglifach; mało wyobrażeń tak licznie znajduje się na murach świątyń, obeliskach, medalach, podstawach posągów. Kto zabił Ibisa, podpadał karze śmierci, a ta cześć zabobonna chroniąca go za życia, stawała się jeszcze powodem iż balsamowano jego ciało tak starannie jak zwłoki ludzkie. Kapłani upewniali, iż Bogowie, gdyby raczyli przybrać postać widzialną, ukazaliby się pod postacią Ibisa.

To nadzwyczajne poszanowanie okazywane dla tego ptaka, wytłómaczy, dla czego tyle dziwnych bajek o nim prawiono. Utrzymywano że się rozpładza jedynie za pomocą dzioba. Pewien autor wspomina o podaniu bardziéj jeszcze zadziwiającém, mówi: że podług starożytnych, bazyliszek rodził się z jaja ibisowego, ukształconego w tym ptaku z jadu wszystkich wężów które pożarł. Inny twierdził, że krokodyle i węże dotknięte piórem Ibisa, stawały się nieruchome, a niekiedy zdychały natychmiast. Nie tylko utrzymywano że ptak ten żyć może niezmiernie długo, lecz kapłani z Hermopolis twierdzili, że jest nieśmiertelnym. Przypisywano mu prócz tego wyłączne przywiązanie do Egiptu, i powszechnie mniemano że niszczeje z tęsknoty, uprowadzony zdala od rodzinnéj ziemi. Dziejopisowie utrzymywali, że tłumy małych jadowitych wężów, wylęgłe z rozgrzanego mułu bagnisk, ciężką klęskę zadałyby Egiptowi, gdyby Ibisy wyszedłszy na przeciwko nim nie zwalczyły ich; i nie wyniszczyły do szczętu. Herodot powiada, iż udał się na miejsce aby przekonać się o tém zjawisku. »Nie daleko Butusu, mówi, na granicach Arabii, widziałem pola okryte nieprzeliczoném mnóstwem nagromadzonych kości i skór o-



wych płazów, na które Ibisy napadają i niszczą, w chwili gdy mają już wkroczyć do Egiptu.» Cycero przytaczając to samo zdarzenie, bynajmniéj nie zbija opowiadania Herodota, a Pliniusz zdaje się potwierdzać, gdy nam wystawia Egipcyan, pobożnie wzywających pomocy Ibisów, pod czas napadu wężów. Diodor Sycylijczyk mówi, że Ibisy przechadzają się dzień i noc po nad brzegami wód, czatując na płazy, szukając ich jaj, i niszcząc w przechodzie chrząszcze i szarańcze. Tak szanowne świadectwa, musiały nadać pozór prawdy bajkom o walkach Ibisów z wężami; sam nawet Buffon, odrzuciwszy wszelkie inne baśnie, powieść tę przypuszcza, dodając iż postrzegł w Ibisach niepowściągniony pociąg do mięsa wę-

żowego i wielką odrazę ku wszystkim gadom.

Pewien tegoczesny naturalista, rozważywszy te rozliczne dowodzenia o przysługach które Ibisy czyniły Egiptowi, oswobodzając go od wężów, a to zapewne było powodem głębokiéj czci jaką mieli dla niego Egipcyanie, zwraca najpierwéj uwagę, iż organizacya tych ptaków, nie jest bynajmniéj zdolna do podobnych przedsięwzięć. Prócz tego, zwierzęta te, uwalniając kraj od szkodliwych płazów, nie mogą bydź powodowane do téj wojny wrodzoną ku nim nienawiścią, ale przeciwnie, zużęcone powabem żyru. Nie zastanowiono się także nad tém, iż pokarm zwierząt zawsze jest jednaki, wyjąwszy w razie niedostatku, do którego zapewnie nie zechcą się dobrowolnie przyczynić; i że gdyby węże były zwyczajnym pokarmem Ibisów, zamiast zabraniać im wstępu do kraju gdzie same mieszkają, starałyby się raczéj je przynęcić, ścigając je zwolna po obranych ustroniach. Dodawszy do tego, że węże najlepiéj lubią piaski, a Ibisy przeciwnie szukają gruntów wilgotnych, nowe będziemy mieli powod poczytać za bajkę zdanie Herodota, tém bardziéj, że pierwszy naturalista grecki przemilczał o wstręcie jaki Ibisy mają ku wężom, a nawet i o ich walkach. Co się zaś tycze ogromnych stosów kości, które Herodot widział na granicach Arabii, nic nie dowodzi, aby pochodziły z przyczyny przez niego wzmiankowanéj, i pewnie wpadł na ten domysł, dowierzając zbyt łatwowiernie baśniom gminu. Te kupy kości, nie mogłyby się długo zachować, gdyby się składały tylko z wątłych chrząstek płazów, niezdolnych oprzeć się napadom ptaków tak słabych jak Ibisy.

Zarzuty te są niezbite; innym okolicznościom przypisujemy cześć Egipcyan ku Ibisom i najrozsądniéj nam się wydaje podzielić w tym względzie zdanie pana Dumont.» W kraju, mówi ten naturalista, w którym lud ciemny niezmiernie, powoduje się jedynie zabobonami, nic naturalniejszego jak wynalezienie przyczyn: które corocznie przynęcają tego ptaka. Niezmienna jego obecność w czasie zalewów, niszczących wszelkie zrzódła zepsucia, i zapewniających żyzność gruntu, uczyniła wrażenie na umysłach, i naprowadziła na myśl o nadprzyrodzonych i tajemniczych stosunkach pomiędzy biegiem Nilu, a pobytem tych przyjemnych i niewinnych ptaków, uważanych wówczas za przyczynę skutków, zdziałanych wylewem rzeki.»

Ibis jest czarny i biały, z odcieniem po rozmaitych częściach ciała, to jest wszystkie pierze ma białe, prócz głowy i szyi, które są nagie; skórę ma czarną również jak końce skrzydeł i ogona. Dziób zakrzywiony, nogi podobne do żurawich. Opis ten jednak można tylko przystosować do starego Ibisa, bo za młodu, sama tylko część pomiędzy dziobem a oczami jest naga: policzki, szyję, kark i gardło, powleka puszek biały, z lekka posiany niby po skórze, którą nie zupełnie zakrywa. Wierzch głowy i kark zdobią nieco większe i gęstsze pióra, w czarne odcienia; niektóre z nich mają obwódkę białą. Gdy głowa i szyja zupełnie z pierza zostaną ogołocone, przybierają kolor czarniawy; najdłuższe pióra kończą się wówczas popielatawym i szklniącym odblaskiem, przerzynanym w ukośne paski białe; mniejsze mają obwódkę zupełnie czarną, w zielone i fioletowe odcienia. Trzy lub cztery największe pióra z lotów, stają się z czasem tak długie, iż zakrywają całkiem ogon, któren właściwie jest biały. Ten to mocny i czarny szczerb, któren skrzydła zakreślają na białym ogonie, przedstawiał Egipcyanom podług Herodota, obraz xiężyca na nowiu. Inny jeszcze wskazują powód poświęcania Ibisa xiężycowi mówiąc że przez tyle dni wysiaduje pisklęta, ile ich gwiazda Izydy potrzebuje na obieżenie wszystkich kwadr swoich.

Prócz Ibisa czarno-białego, Egipcyanie czcili jeszcze Ibisa zupełnie czarnego, którego także po śmierci balsamowano. Ten ma kształt wysmuklejszy, a wewnętrzny jego układ także jest delikatniejszém. Ptaki te uczęszczają po nad brzegami jezior i rzek. Owady, robaki, muszle rzeczne, a niekiedy małe rybki, stanowią zwyczajny ich pokarm. Po większéj części, gnieżdżą się na wysokich drzewach, i dopóty pisklęta karmią w gnieździe, dopóki nie nauczą się latać.

Obadwa gatunki, w potężnym i wzniosłym locie, wyciągają prostopadle szyję i nogi, wydając niekiedy krzyk chrapliwy i przytłumiony, głośniejszy u białych niżeli u czarnych. Gdy ptaki te spuszczą się na grunt niedawno odsłoniony, cisną się jedne koło drugich i można je wówczas widzieć po całych godzinach, jak posuwają się zaledwie krok za krokiem, i rozkopują muł dziobami.

Ibisy nie gnieżdżą się teraz w Egipcie. Białe ukazują się skoro Nil zaczyna przybierać ku końcowi Czerwca, przybywając podług Bruca z Etyopii. Ibis czarny, któren później przylatuje do Egiptu, dłużéj za to przebywa. Polują zwykle na nich gdy Nil zaczyna opadać a one się oddalają; nie zabijają ich z ręcznéj broni ale zwykle chwytają w siatki. W jesieni można ich widzieć mnóstwo na targach w niższym Egipcie, a osobliwie w Damiecie.

Często można widzieć żyjącego Ibisa w postawie prostopadłéj, z pochyloną szyją, zwieszoną głową, stojącego niekiedy na jednéj tylko nodze. Ibis biały przechadza się

http://rcin.org.pl

niekiedy samotnie, niekiedy gromadkami od ośmiu do dziesięciu. Ibis czarny, daleko liczniejszy, gromadzi się w stada od trzydziestu do czterdziestu.

Chociaż niektóre wyżéj wzmiankowane szczegóły, dotyczą się jedynie Egipskiego Ibisa, jednakże przystosować je można do całego ogółu tego rodzaju. Wspomniemy więc tylko po krótce, o Ibisie zielonym znanym w Europie, a mniejszym daleko od Ibisa białego; Ibisie czarno-głowym, któren żyje po nad brzegami Gangesu, czubatym Madagaskarskim; nago-głowym z przylądka Dobréj-Nadziei, czerwonym którego pełno w cieplejszych krajach Ameryki, a któren łatwo da się oswajać; o Mexykańskim Ibisie z białą szyją, znajdującym się w Kajennie i Surynamie. Słowem, Australia jest jedyną częścią świata, w któréj dotąd nie widziano jeszcze Ibisów.

## AMFITEATR W ARLES.

Miasto Arles, już wtedy starożytne gdy Juliusz Cezar rozciągnął panowanie Rzymian nad Galią, dawne nawet wówczas gdy Foceńczykowie zbudowali Marsylię, nie może początku swojego wywodzić od Greków i Rzymian; założenie jego gubi się w bajecznych wiekach. Jedni przypisują jego początek niedobitkom uszłym ze zburzenia Troi; inni synowi Gada, o którym wspomina Xięga Rodzaju; inni znowu osadzie Celtyckiéj. Dzieje jednakże tego miasta, dopiero od Rzymian przedstawiają podobieństwo do prawdy, i wskazują pomniki na poparcie podań. Juliusz Cezar pierwszy założył osadę rzymską w Arles. Pod wpływem tych nowych mieszkańców, miasto doszło wkrótce do wysokiego stopnia wspaniałości i dobrego bytu. Jak Treves było stolicą prowincyi północnych, tak Arles było miastem stołecznem południowych; główny zarządzca Gallii, założył w niém stolicę. Miano drugiego Rzymu i karmicielki Gallii, które nadają mu poeci i dziejopisowie, dowodzi, że kwitły w niém sztuki, handel i przemysł. Późniéj, Konstantyn Wielki osądził że jest godne nosić jego nazwisko, mieścić w sobie jego dwór, i stać się stolicą zaapelskiej części państwa. Gdy Barbarzyńcy zaleli zewsząd cesarstwo rzymskie, i podzielili się szczętami jego, Arles nic nie straciwszy ze swojéj świetności, przeszło pod panowanie Ostrogotów. Saraceni nastąpili po Ostrogotach około ósmego wieku. Jeśli ci samowładzcy Hiszpanii, umieli rządzić jako ludy ucywilizowane, podbijali jako barbarzyńcy. Arles, było już tylko stosem zwalisk, gdy je z pod ich władzy wydarł Karól Martel. Lecz podźwignęło się wkrótce z gruzów, i szczęśliwsze od innych miast gallickich, nie wiele ucierpiało w czasach nierządu i zaburzeń, które poprzedziły założenie drugiéj dynastyi i po niém nastąpiły. Zdawało się nawet wzrastać w przewagę. Przy końcu dziewiątego wieku, utworzyło się z niego królestwo, współcześnie z królestwami Prowancyi i Burgundyi. Cesarze Niemieccy stali się dziedzicami królów Arles, a gród starożytny znowu uniknął niebezpieczeństw jakie zagrażały jego istnieniu, przez wcielenie do ogromnego państwa. Używało swych przywilei pod panowaniem cesarzów, i nie raz było miejscem ich rezydencyi. W czternastym wieku podbili je Hrabiowie Prowanccy, i przyłączyli do swoich posiadłości. Stało się nakoniec dziedzictwem korony francuzkiéj, podobnie jak wszystkie posiadłości wielkich jéj lenników. Dzisiaj, osada trojańska, hebrajska czy celtycka, miasto Cezarów i Konstantynów, metropolium całéj Galii, stolica królestwa, wolne miasto cesarskie, jest tylko miastem obwodowém w departamencie Bouches du Rhone. Źle zbudowane, liczy zaledwie dwadzieścia tysięcy mieszkańców, utrzymuje się bez czynności i blasku, ze sprzedaży win, owoców i oliwy, które Rodan spławia do morza Srodziemnego, Arles jest tylko na gastronomicznéj karcie Francyi zaszczytnie wspominane; dzięki jego wyśmienitym salcesonom. Jeśli następstwo rozmaitych władzców, zbogaciło dzieje miasta Arles licznemi wypadki, jedni tylko Rzymianie uwiecznili pamięć swoją pomnikami architektury. Jeden tylko gmach tegoczesny, wznosi się z pośrodka zwalisk starożytnych: jest to dość piękny ratusz, do którego twórca pałacu Inwalidów i zamku Wersalskiego, Hardouin Mansard, plan podał. Lecz rzymskie szczątki dostatecznie zastępują ubóstwo inszych epok, i czynią Arles szacownem dla miłośnika sztuk pięknych. Prócz posągów, grobowców i ołtarzy, które, nie głęboko nawet odkopując znaleźć można; wszędzie stoją szczątki znakomitszych budowli. Termy, gruzy pałacu w którym mieszkał niegdyś Konstantyn, ślady teatru, którego wytworność i kosztowne wypracowanie, dochowały się nawet pośród zniszczenia, rozrzucone są tu i owdzie, jako przydatek do pięknych zwalisk pomnika, wyobrażonego na rycinie naszéj.

Amfiteatr ten, noszący miano *les Arenes*, zbudowany jest na wierzchu wzgórza, które Arlezianie zowią *Grotą*, gdyż obszerna piwnica wykuta jest pod stopniami, po których się doń wchodzi. Chociaż gmach ten przedstawia wspaniały widok, zbliska zakrywają i szpecą jego ściany pasożytne budynki. Poprzyczepiano lepianki do zewnętrznego obwodu. Inne lepianki zajęły także samowolnie wnętrze wspaniałego gmachu; a ściany szlachetnego amfiteatru, stały się w stylu

http://rcin.org.pl



AMFITEATR W ARLES.

rzemieślniczym, pośredniemi murami. Nim owładnęli ten pomnik i zamaskowali niejako to co wieki oszczędziły; architekci tegocześni, lub raczéj mularze, zaczęli go pierwéj burzyć dla nabycia materyałów, zamurowali arkady, pozwalali kolumny stawiające zawadę nowym ich planom.

Mimo takich zniszczeń, gruntowność rzymskiéj budowy tryumf odnosi nad barbarzyństwém ludzi i działań czasu. Jeśli nie pozostał ślad stopni na których zasiadali widzowie, jeśli zaledwie odgadnąć podobna istnienie galeryi, po których tłoczyły się tłumy, szkielet amfiteatru, który w podłużnokrąg zakreślają dwa piętra arkad, dochował całości swego obwodu, i rozciąga jeszcze skrzydła pod któremi były główne wejścia. Wnosząc z teraźniejszego stanu, niektórzy krytycy utrzymywać chcieli, że amfiteatr ten nigdy nie był ukończonym. Lecz to zdanie utrzymać się nie zdoła, gdy sobie przypomnimy charakterystyczny okrzyk ludu rzymskiego: »Chleba i widowisk!» W każdéj nowéj rzymskiéj osadzie, cyrk wznosił się zwykle pierwéj niżeli posąg Jowisza; a wnosząc z tego jak wiele Nimes, Autun, Saintes, miasta drugiego rzędu, posiadały amfiteatrów, można śmiało utrzymywać, że nic nie brakowało amfiteatrowi Arles, stolicy rzymskiéj Galii.

Amfiteatr Arles, nie tylko był widownią owych scen krwi i zabójstw, owych walk ludzi z dzikiemi zwierzęty, służył jeszcze za cytadellę mieszkańcom miasta pod czas napadów Saraceńskich. Schronili się doń Arlezianie pod czas gdy miasto ich na łup było wystawione, i zabezpieczyli rodziny swoje w podziemiach wykutych pod cyrkiem, które zmieniwszy się dzisiaj w piwnice, pełne są barył oliwy i wina. Cztery wieże, noszące wyraźnie cechę tegoczesnéj budowy, umieszczone przy wejściach, świadczą jeszcze o tém wojenném i obronném przeznaczeniu gmachu, leżącego prawie w środku miasta. Po odstąpieniu nieprzyjacioł, nowe budowy nagromadziły się w około.

## NOWE DZIEŁO.

Nakładem Teofila Glucksberga w Wilnie, wyszły druku Rozmowy potoczne Polsko Rossyjsko francuzkie, czyli sposób najłatwiejszy wydoskonalenia się w języku rossyjskim i francuzkiem; stronnic 118, cena zł. 4 gr: 15. Obejmuje rozmów 28 i umieszczone na czele pojedyncze sposoby mówienia.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.



## MURWIEDRO.

Miasto Murwiedro, czyli Merwedro, leży w królestwie Walencyi, najpiękniejszéj ze wszystkich prowincyi Hiszpańskich. Zbudowane jest na zwaliskach dawnego Saguntu (Sagontum), tak sławnego wiernością dla Rzymian. Annibal obległ go i wziął szturmem roku 209 przed Chrystusem. Wdzierając się pierwszy na mury, zraniony został dzirytem. Rana ta zwolniła nieco napad Kartagińczyków, lecz wkrótce znowu natarczywiéj nacierać zaczęli. Saguntczykowie ogromny stos zapalili na rynku, powrzucali weń złoto, srebro, co tylko mieli najkosztowniejszego, wielu nawet wskoczyło w płomienie. Annibal korzystając z téj wrzawy, nowy szturm przypuścił, opanował miasto, i rozkazał wyciąć w pień wszystkich którzy byli zdolni broń nosić. Zdobycie tego miasta przez Kartagińczyków, było powodem drugiéj wojny punickiéj.

Pełno jest dotąd w Murwiedro kamieni, noszących napisy fenicyjskie i łacińskie: tych drugich największa jest liczba; można je często napotkać w murowane w ściany wązkich i źle zbudowanych ulic. Widać jeszcze dotąd fundamenta starożytnego cyrku; lecz ze wszystkich szczątków Saguntu, najlepiéj dochował się teatr. Można rozpoznać jak najdokładniéj rozmaite stopnie, na których względnie do stanu zasiadali obywatele.

Gliniane naczynia Saguntskie, zwane *Pocula Sagontina,* bardzo były sławne. Dwieście pięćdziesiąt lat temu, znaleziono przy bramie cytadelli zbudowanéj w Murwiedro, grobowiec z marmuru białego, mający napis hebrajski, któren przez niewiadomość Franciszka Stella, uczonych nawet w gruby błąd wprowadził. Stella, słynący z nauki, w wieku tak mało oświeconym, przedsięwziął dojść znaczenia napisu i utrzymywał że brzmi w te słowa: »Admiram urzędnik wysłany przez króla Salomona, po odebraniu haraczu od Saguntu, umarł i oto jego grobowiec.»

Marmur ten jednakże, któren po dziś dzień widzieć można przy bramie warowni, wskazuje po prostu grób jakiegoś Nebata.

Murwiedro ma dobry port. W okolicy znajdują się kopalnie marmuru i miny miedziane. Ludność teraźniejsza dochodzi sześć do siedmiu tysięcy mieszkańców.

O dwie mile od Murwiedro, leżą niezmiernie malownicze zwaliska klasztoru *San Juan de Dios*, zamieszkane przez Hieronimitanów. Roku 1679, pożar zniszczył tę starodawną budowę. Ponieważ obwód mieszczący ją w sobie bardzo był szczupły, zakonnicy uzyskali pozwolenie odbudowania klasztoru w miejscu obszerniejszem, żyźniej-

szém i o cwierć mili bliżéj leżącém od Murwiedro.j:

# POGRZEBY.

Mając badać zabytki starożytności, w obrzędach pogrzebowych do dziś dnia zachowanych u wieśniaków naszych, sądzę iż niezbędną jest rzeczą, dadź krótką wiadomość o pogrzebach Słowiańskich i Litewskich. Ponieważ zaś, z pewnemi odmianami obrzędy te obchodzone były, dla tego w odrębnych oddziałach, o nich traktować będziemy.

## *Pogrzeby u Słowian.*

Palenie ciał zmarłych, i chowanie ich w urnach, było u Słowian zwyczajem prawie powszechnym, a to albo na Zgliszczach poświęconych albo pojedynczo. Znalezione w wielu miejscach urny takowe, w których popioły ojców swoich Słowianie przechowywali, potwierdzają powyższy wniosek, znajdowano je bowiem już w znacznéj liczbie już pojedynczo. Chociaż upowszechnione, nie było przecież panującym zwyczajem palenie ciał zmarłych. Mamy dowody na zasadzie prawdy umocnione, że niektóre pokolenia Słowiańskie, umarłych zagrzebywały w ziemi. To wynikało ztąd, iż u Słowian bywały różnice w obrządkach, jak Helmold kapłan Bozawski świadek prawie oczewisty, który pisał historyą Słowian około roku 1170 za czasów synów Bolesława Krzywoustego, zaświadcza, iż różny rodzaj balwochwalstwa zachowują Słowianie, gdyż nie wszyscy w jednostajną zabobonność zapuszczają się. Tak więc bydź może, iż i u Słowian Polskich jedne pokolenia paliły, a drugie chowały ciała zmarłych; albo jedno i toż samo pokolenie podług rozmaitości familii, różne miewało obrządki pogrzebowe. Te pokolenia które nie paliły ciał zmarłych, ale chowały w ziemi, wybierały pospolicie na miejsce wiecznego spoczynku czyli groby, miejsca odosobnione wpośród lasów ciemnych, gdzie przechodnie mieli zwyczaj rzucać kije i gałęzie. Ztąd do dziś dnia zachowywany z troskliwością zwyczaj, w niektórych prowincyach przez wieśniaków naszych, otaczania grobów drzewami, jak równie umieszczania obrazków świętych na drzewach wśród lasów, co można często widzieć w Województwach Krakowskiém i Sandomierskiém, zasięga początkiem owych wieków dawnych.

Umarłego opatrywali w to wszystko czego pospolicie używał w tém życiu i co mu służyło w jego powołaniu i przemyśle, jako to: z przystojną odzieżą, męzczyznę w oręż, nóż, siekierę, krzesiwo; kobietę w igłę, nici, nożyce, do czego dodawano wyobrażenia małych Bożków, różne monety, i t. p. co wszystko razem zagrzebywano w ziemi. Niekiedy wystawiali pomniki, okładali mogiły kamieniami polnemi, lub ogradzali palisadą. Niektóre pokolenia zebrawszy popioły po spalonych w urny, stawiali je na słupach przy rozstajnych drogach. Krewni najbliźsi zwykle nosili przez czas niejaki na grobowiec potrawy, któremi się dusza zasilać miała. Dopóki zmarły nie został pochowany, dopóty duch jego błąkał się po lasach między gałęziami drzew ciemnych, gdzie mu smutne towarzyszyły sowy. Zwyczaj opłakiwania umarłych, z wielkim wyrzekaniem, wyliczania ich pochwał, i wyprawiania w końcu wesołej uroczystości którą nazywano Strawą (1) był powszechny u Słowian.

Przy obchodach pogrzebowych śpiewane były pieśni, jak śladem tego są pienia pogrzebne dawnych Polaków wyjęte z listu Meleciusza: »De Religione veterum Prussorum.«

»Ha lele, lele, y procz ty mene umral, za »to ty nye midl szto ysty, albo pyty, y prócz »ty umral. Ha lele, lele, y za ty nye mial »krasnoje mlodzice, y prócz ty umral.«

Przy pogrzebach bywały gonitwy i uczty: takowa w Rossyi uroczystość nazywała się Tryzna (2) Że podobne igrzyska, i gonitwy pogańskie, i u nas w Polszcze były, a z rozkazu panujących xiążąt ustały, zaświadcza Długosz.

»Słowianie Ruscy, mówi Rakowiecki, czynili przy pogrzebach obchód zwany Tryzny, który wyobrażał różne gry Rycerskie, przez okazywanie siły i zręczności. Gry te połączone były z ucztą. Ciało zmarłego palono na wielkim stosie z drzewa, a zebrane do urny popioły, w bliskości dróg na słupie stawiano. Takowe obchody pogrzebowe zachowywane były przez Wiatyczów, i Krywiczów (pokolenia Słowiańskie) do czasów Nestora; okazują one ówczasowego ducha wojennego. W bezdrożach i lasach umieszczali urny zawierające popioły ich przodków. Słowianie zaś Kijowscy i Wołyńscy od dawna mieli zwyczaj pogrzebywania ciał umarłych w ziemi. Niektórzy razem z trupami chowali drabinki z rzemienia plecione i na mogile pogrzebionego zabijali jego ulubionego konia. Krewni zaś na znak smutku i żałoby przy płaczach i łkaniach ranili swe twarze.«

W wielu krajach Słowiańskich długo zachowywane były ślady niejakiego pogańskiego święta, na cześć umarłych obchodzonego. W Luzacyi, w Czechach, w Szlązku,

(1) „Strawa“ w języku Polskim znaczy jedzenie, pokarm. Zwyczaj dawania jedzenia po pogrzebie zachowany jest dotąd u wszystkich Słowian. Na Białej Rusi uczty takowe nazywają: „Chautyrynami“ Ztąd mówi się niekiedy; „Chodzić po Chauturach“ to jest nie pilnować domu, patrzeć gdzie się z komina kurzy.

(2) Tryzna znaczy zapaśnictwo, turnieje.

i Polszcze dnia 1go Marca, pospólstwo przed świtem wychodziło z pochodniami na Zgliszcza i mogiły i przynosiło ofiary dla umarłych. W Czechach dla uspokojenia dusz, stawiano na rozstajnych drogach, pewien gatunek amfiteatru, i w maskach przedstawiano cienie umarłych, poświęcając takowe gry ich pamiątce. To wszystko dowodzi uczucia i przywiązania do krewnych i przyjacioł z tego świata zeszłych, i oraz wierzenia w nieśmiertelność duszy, o czém że wiara podobna nie miała miejsca u Słowian, niektórzy mylnie twierdzili pisarze. Po takich dowodach któreśmy przytoczyli, łatwo się przekonać, jak mało Dittmarowi Mersburskiemu można wierzyć czytając co pisze, że: »Slavi cum morte omnia finire putant.»

(Dalszy ciąg nastąpi.)

---

## MALBORG.

(Z dziennika podróży).

Od strony Marienwerder, zbliżaliśmy się zwolna do stolicy sławnego zakonu krzyżaków. Już zdala dostrzegliśmy wysoką wieżę kościelną, a na niéj wizerunek Matki Boskiej olbrzymiej wielkości.

Malborg powierzchowną postacią silne czyni wrażenie na umyśle wędrowca; długa ulica prawie jednego kształtu domów, a każdy z wystawą, tak że ciągle po obu stronach wygodnie w czasie deszczu przechodzić można, prowadzi do zamku. Każdy z tych domów zachował starożytną postać i wewnętrzny układ. Ktokolwiek wnijdzie do jednego z tych mieszkań, już z tego samego może powziąść dokładne wyobrażenie o starych mieszkańcach Malborga. Szerokie drzwi prowadzą wewnątrz, za wnijściem na dole obszerna stajnia, gdzie rumaki gotowe do boju, stały ciągle na rozkazy Rycerzy mnichów. Kręcone schody prowadzą na pierwsze piętro: nie znajdziesz tam obszernych komnat, jedna lub dwie cele stanowią mieszkanie; takich cel jest kilka w domostwie.

Głęboka cisza panowała w mieście, gdyśmy wjechali jeszcze przed zachodem słońca. Turkot powozu rozległ się jakby silny łoskot, i odbijał o ponure mury starych domów. Nocowaliśmy w jednym domu, którego skład wewnętrzny opisaliśmy. W obszernéj umieszczony celi długo zasnąć nie mogłem, a cichość miasta nie przerywała marzeń moich. Zaledwie sen skleił powieki, myśl obciążona wspomnieniami, przedstawiała turnieje, bitwy i postacie olbrzymi krzyżaków.

ano, wybraliśmy się na zwiedzenie zamku który byłby uległ zniszczeniu jak wiele innych starożytnych grodów, gdyby go ni wsparła opieka i ręka Monarchy Pruskiego Po moście weszliśmy do głównego zamku i na sam przód wprowadził nas murgrabia do obszernego refektarza krzyżaków.— Oprócz murów i wspomnień, nie zachował więcéj żadnych pamiątek. Ogromne okna są nieocenionéj wartości; malowania na nich dziwią pięknością i żywością kolorów. Na kilku szybach są malowane obrazy historyczne, jakoto: spalenie klasztoru Oliwskiego, dobywanie Malborga, i t. p. Murgrabia pokazując szczerbę w sklepieniu téj obszernéj komnaty, opowiadał szczególny wypadek. Gdy Jagiełło obległ Malborg, mistrz krzyżacki, kiedy go wezwano o poddanie miasta, kładąc czapkę na oknie wyrzekł: »Jeżeli kula strąci moją czapkę, wtedy i ja poddam Malborg.» Dowiedziano się o tém w obozie oblegających; puszkarz jeden niewiadomy z imienia, tak dobrze wycelował, że kula strąciła czapkę Wielkiego Mistrza, i wpadłszy do refektarza, wyszczerbiła kawałek sklepienia. Mimo to wszakże, Malborg się nie poddał.

Przechodziliśmy następnie sale i komnaty, których wszystkie okna kosztowną malaturą ozdobione; z pamiątek starożytnych nie wiele zostało; wspomnę tu o nich.

Obraz wiszący nadedrzwiami, wyobraża Konrada de Jungingen, w zbroi i białym płaszczu z krzyżem czarnym. Czapka xiążęca, miecz szeroki, i tarcza herbowna, oznaczają dostojność którą piastował. W téjże saméj komnacie jest jeszcze obraz mistrza Wielkiego, Konrada Zollner; podobnież w zbroi: prócz tych znajduje się parę obrazów Polaków; na jeden wskazując murgrabia, wyrzekł imie Koniecpolskiego, ale ani rysy twarzy, ani ubior, nie okazują wcale tego bohatera.

Z zabytków starożytności po krzyżakach, został się kask niecały, szabla i halebarda: najciekawszy pomnik jest to ze złota i srebra, w kształcie xięgi oprawnéj ołtarz obozowy, ktorego używali Wielcy Mistrze, w czasie wypraw wojennych na Litwę i Polskę.

Malborg inaczéj Marienburg (Maryi miasto) leży nad odnogą Wisły zwaną *Nogatem*. Dietrich albo Teodoryk z Altenburga, Mistrz krzyżacki od r. 1329 do 1339, wzmocnił go przekopami, i silnemi wieżami, w obawie Litewskich najazdów. Była to mocna twierdza. Władysław Jagiełło po zwycięztwie pod Grunwaldem r. 1410, szturmował do Malborga na próżno. Teraz i śladów dawnéj fortyfikacyi nie ma.

Zwiedziliśmy sklepy zamku; są nizkie, suche i widne; były tu groby Wielkich Mistrzów ale teraz żadnego nam nie ukazano.

Po obejrzeniu górnego zamku, przeszliśmy most na powrót, oglądając kościół Stéj Anny, gdzie został pochowany Weirich Kniperade mistrz wielki, wsławiony ustawicznemi walkami z Litwą; wszakże na próżno jego grobowca szukałem.

Dolny zamek jest to gmach wielki i mo-

cno zbudowany, obrócony teraz na składy żywności.

Voigt professor królewiecki wydał historyą Maryenburga; dzieło to, równie jak i wszelkie inne pisma tego uczonego badacza, jest ważne dla historyi Pruss i Litwy. Żałować potrzeba, że dotąd go w przekładzie nie posiadamy; wszakże dzieje zakonu Krzyżackiego, oprócz ciekawości, zawierają mnóstwo niezbędnych materyałów do dziejów krajowych.

K: Wł: W.

## PANI MACIEJOWA.

Maciej rodem z Kołomyi, niski i krępy, sławny był z niedźwiedziej siły. Jeszcze nie miał lat trzynastu, kiedy zabłąkane w górach kozy, barany i cielęta, przynosił do domu, niezmordowany wcale. W dwudziestym roku już się ożenił, a lubo pojął córkę bogatego mieszczanina, miał przecież tyle pieniędzy, że w znajomych obudził podziw i sam nawet się stary teść dziwował. Biegały rozmaite pogłoski, za najpewniejszą rzecz ogłaszano, że się zapoznał z Opryszkami (tak nazywają rozbójników w Karpatach) i zabiwszy bogatego Ormianina, przyszedł do znacznego majątku. Wieść zdawała się potwierdzać ta okoliczność, że między godziną jedenastą a dwunastą w nocy, Maciej doznawał napadów konwulsyjnych, i nieraz zdziwionym obecnym ukazywał coś w kącie izby, co budziło w nim ten przestrach, a czego widzieć nie mogli. Po ożenieniu wszakże, widziadło straszące Macieja, nie tak często go napastowało; a ile razy go trapiło, głos żony i silne wstrząśnienie jéj ręką, przywracało mu pokój.

Pan Maciej ożenił się bogato, ale nie był szczęśliwym: żona swarliwa, kłótliwa i wielomówna, nie dawała mu spokoju. Zadzierżawił młyn o czterech kamieniach, a ciągle siedząc przy mlewie, spodziewał się że tym sposobem dozna pokoju i nie będzie słyszał krzykliwego głosu żony. Ale jakże się zawiódł! Przed wielkanocą miał wiele roboty, siedział dzień i noc we młynie, tém czasem żona zajęta przygotowaniem święconego, rozgniewana że się jéj spaliły placki, a baby nie urosły, wybiwszy czeladź, złamawszy kij od miotły na dużym kundlu, wyrzuciwszy ulubionego kota, kiedy wszyscy jéj ustąpili z oczu, wpada na męża i jemu całą winę złego święconego i kosztów przypisuje. Biedny Maciej puścił młyn prędzéj; turkot kamieni się powiększa, ale nic zagłuszyć nie może krzykliwéj żony, nic ją pohamować, ani nawet przetrzymać. Gadała i gadała, a Maciej skurczony słuchał z pokorą: nareście i wody zabrakło, młyn ustał a żona gadała. Maciej wziął na plecy korzec pszenicy, i poszedł do bliskiego wiatraka, korzystając z silnego wiatru. »Tu pomyślał sobie, zje kata, nim wiatrak potrafi przegadać.» Rozgniewana Małgorzata milczeniem małżonka, wpadła do wiatraka; turkot kamieni był silniejszy, skrzydła wiatraka z nadzwyczajną szybkością obracały się; ale czemże to jest wszystko w porównaniu języka babskiego! Głos Małgorzaty mocniejszy od stuku kamieni i poswistu wiatru, górował nad wszystkim, a wytrwała w wymowie, potrafiła i wiatrak przetrzymać. Jakoż wiatr blisko północy ustał, a Małgorzata jeszcze gadała. Gdy się do tego i kilka szturchańców przyłączyło, Maciej zabrawszy ze skrzyni spory worek, powędrował daleko, idąc gdzie go oczy poniosą.

I szedł, i szedł dalej, urwał kika szulek kukurydzy, upiekł na węglach i spoczął swobodnie. W sześć dni zawędrował aż do Jarosławia, gdzie założył sobie sklepik, sprzedawał orzechy włoskie, śliwki suszone, siecie i płótno i nie źle mu się powodziło. Ale spokój nie był dla niego; dawne widmo zaczęło go znowu dręczyć. Między znajomemi pokochał szczególniéj płóciennika z Andrychowa, którego zwano *Kogutkiem*, bo umiał doskonale naśladować pianie koguta. Maciej zaprzyjaźnił się z kogutkiem, i razem o wieczornéj dobie, w jednéj gospodzie odpoczywając po dziennych trudach, spijali miód i piwo. Ale zaledwie dwunasta uderzyła na zegarze i kukawka odkukała godzinę, Maciej zrywał się, włosy mu się jeżyły, a wskazując palcem wołał przeraźliwie: »Oto stoi! i grozi! ach zakryjcie mi oczy.» I padał cały upocony i zmęczony. W pierwszych dniach, Kogutek przestraszony chciał uciekać, ale powoli ochłonął z bojaźni i nazwyczaił się do widzenia Macieja.

Już lat cztery upłynęło; daleki od żony, a przeto spokojniejszy, handel mu szedł pomyślnie, nic mu nie brakowało, tylko żeby mógł się pozbyć nieubłaganego ducha, który go codziennie trapił. Kogutek przyjaciel od serca, lubiący miodek i piwo, poradził mu, żeby przed naznaczoną godzną w której się widmo ukazuje, spił się bez pamięci, a tym sposobem, już nie obaczy ducha.

Maciej usłuchał rady kmotra, poszli więc do swojéj gospody; postawiono garniec piwa i dwa garce miodu. Naprzód upili się jeszcze wódki, Maciej popijając i oźmarzony, zaczął bydź mowniejszy, gdy Kogutek nie wiele się troszcząc ani o zjawiska, ani o rozmowę, pochylił głowę i zasnął głęboko. Czas prędko ubiega; już i Maciej zaczynał drzymać. W tém zegar bić zaczął dwunastą godzinę. Maciej zachmurzył się, brwi zmarszczył, usta zaczęły mu drżeć konwulsyjnie. — Zabrzmiało ostatnie uderzenie. — Wtedy stanął jak gdyby go ktwo,



łał, kościste palce przeciągnął po najeżonych włosach. i zawołał chrapliwym głosem:

—»On znowu, on!

Nikogo nie było w ogromnéj izbie; świeczka przylepiona do ściany i kilka dogorywających drzazeg na kominie, więcéj rzucały cienia niżeli światła, na gołe ściany, na stoły zlane piwem i wódką, na porozrzucane szklanki.

—»On! znowu! on! powtórzył przestraszony Maciéj; zimny pot spływał z wybladłego czoła, rękami ściskał stół konwulsyjnie, i mówił daléj cichym i żałosnym głosem:

—»Czyliż mi nigdy nie dasz pokoju? już od lat dwudziestu zakupiłem mszę świętą za duszę twoją. Jakże mię szarpie pazurami swojemi! Zmiłuj się! przebacz! przebacz!»

W tém uczuł na ramieniu szeroką rękę, i usłyszał głos dobrze znajoméj Małgorzaty. »A przecież cię złapałam ptaszku.» Słowa te przywróciły zmysły Maciejowi; powitał jak mógł, kochaną jak nazywał Małgosię. Na jéj głos donośny, zbudził się i Kogutek, otrzeźwiał wkrótce i rozeszli się do domów.

W kilka dni, Maciej przyszedł ukradkiem do gospody i zaprosił dawnego przyjaciela.

—»No! kmotrze! nie możem się tak często widywać, bo mnie żona nie puści; ale jestem spokojniejszy, widmo już się nie pokazuje.

—»Czy twoja baba czarownica? zapytał zdziwiony.

—»Tego nie wiem, ale widziałem że kiedy do mnie głośno przemówiła, widmo na pierwsze jéj słowa zawinęło się prześcieradłem i poskoczyło z kopyta.

—»Jakto dobrze mieć żonę! to zachęca do małżeństwa: rzekł popijając Kogutek.

—»Tak, dobrze! odpowiedział Maciej z westchnieniem, nawet ani młyn wodny ani wiatrak, nie zasłoni cię od jéj gadania.

Ale przyjaciel nie dosłyszał słów ostatnich, bo rozmarzony zdrzymnął. Maciej spojrzał na zegar; już była jedenasta, wziął czémprędzéj kapelusz, nacisnął na uszy i wyszedł z gospody. Przybywa do domu, nie zastaje żony; chce się położyć, ale już wpół do dwunastéj; pyta o Małgorzatę, śpieszy do wskazanéj karczmy. Tam przy kieliszku siedziała poważnie i silnym opowiadała głosem o wędrówce, ile trudów doznała szu-

http://rcin.org.pl

kając męża. Maciej z daleka słysząc głos żony, uradowany usiadł pod oknem. Na ratuszu bije dwunasta... ledwie wymówił dwanaście rachując godzinę, podniósł oczy, i spojrzał w około; widmo nie pokazało się wcale. Zdala tylko coś białego przesuwało się zwolna, ale Maciej bez bojaźni rzekł do siebie: »Aha! z daleka mnie chce nastraszyć, alem nie w ciemie bity; nie, nie pójdę ja tam, gdzie nie słychać Małgorzaty.»

Przekonajcie się więc zacni czytelnicy, że i swarliwa żona przyda się jeszcze, i podziękujcie Bogu za taką jaką was obdarzyć raczył.

K. W.

## CHATEAUBRIAND.



Chateaubriand, jest jednym z tych ludzi, których Niebo obdarzyło najpiękniejszem przeznaczeniem, jakiego człowiek pozazdrościć może. Widzi iak imie jego jaśnieje powszechną chwałą, świadkiem jest tryumfu wszystkich dzieł swoich, doczekał się ich przekładu na wszystkie języki, cieszy się swoją własną sławą, i może powiedzieć sobie, iż te wszystkie powodzenia i tryumfy, winien samej tylko wyższości swego umysłu. Jeżeli pod pewnym względem los nie sprzyjał temu mężowi, jeśli poświęcenie swoje rzucił na niewdzięczną ziemię, jeźli potwarz szarpała jego najpiękniejsze czyny, jeśli biografie nienawiścią tchnące, nikczemnie przetwarzały jego charakter, chwała i sąd całego świata dostateczną przynosi mu pociechę! Zostanie jednym z wielkich ludzi naszego wieku, jest albowiem jednym z najpierwszych pisarzy i z najwznioślejszych geniuszów Francyi. W polityce wierny był zawsze zasadom i sumieniowi swojemu. Los jego dosyć jest piękny, szczęście zamienił za chwałę.

Czas ten coraz dalszym jest od nas, kiedy niechęci stronnictw, brały górę nad głosem sprawiedliwości i prawdy, kiedy ludziom przeciwnego sposobu myślenia, odmawiano wszelkiej zasługi.

Franciszek August de Chateaubriand, urodził się w Combourg w Bretanii w roku 1769. Jego lata dziecinne upłynęły spokojnie i samotnie w ojcowskim zamku. Combourg leży pośród wielkich lasów. Za niemi ciągną się obszerne odłogi krzakami porosłe, a ten dziki krajobraz otacza ciemny błękit oceanu. Wyobraźcie sobie kolebkę poety, to miejsce gdzie spoczywa nieznane jeszcze dziecię, w którego umyśle znajduje się zaród odrodzenia tegoczesnej literatury, a nic stosowniejszego nie zdołacie wystawić sobie, jak ten zamek ze staremi wieżyczkami, przy którém morze uderza nieustannie o skały, a kruki wiją gniazdo na okolicznych dębach. Tam wzrastało dziecię delikatne i posępne, pośród familii, nie myślącej nawet o tém, że jéj nazwisko zajaśnieją inną chwałą, prócz téj jakiej spodziewała się od dawnéj ale nie znanéj rodowitości. Młody Chateaubriand odbył pierwsze nauki w domu. Jako młodszy z rodzeństwa, przeznaczony był do stanu duchownego i zdaje że te nauki były gruntowne i poważne. Jeszcze nie był poznał świata, a już uczuł w sercu swojém popęd do poezyi. W jego dziełach znajdują się wiersze, napisane gdy miał lat piętnaście, sam autor wspomina iż spalił ich przynajmniéj na *trzy tomy*.

W naszym wieku tak płodnym w nadzwyczajne i nieprzewidziane wypadki, w tryumfy i klęski, Chateaubriand był przykładem niestałości losu, i okazał co uczynić zdoła mocna dusza i wzniosłe pojęcie. Zrodzony z familii szlachetnéj, bogatéj, znaczącéj, nie zdawało się aby miał odbywać niebezpieczne podróże, podejmować niezmierne prace literackie i toczyć ciągłe walki polityczne; ale dotknęła go rewolucya francuzka. W roku 1789, będąc jeszcze bardzo młodym, wszedł do wojska. Rzecz osobliwsza iż ojciec jego chciał, aby służył w marynarce, matka zaś, aby wszedł do stanu duchownego, a zdarzyło się iż odbył długie podróże na morzu, i on pierwszy podźwignął religią którą obaliły szalone namiętności rewolucyi. Wyjście z Francyi opisuje następującym sposobem: »Byłem podporucznikiem jazdy w pułku Nawarry, gdy żołnierze tego pułku wypowiedzieli posłuszeństwo przełożonym swoim, zostałem uwolniony od wszelkiego zobowiązania się. Przy końcu r. 1790 umyśliłem zwiedzić Amerykę. Na wiosnę roku 1791, pożegnałem się z moją szanowną

http://rcin.org.pl

matką, i wsiadłem na okręt w porcie Saint-Malo. Miałem list polecający do Generała Wassyngtona.»

Jest więc rzeczą oczywistą, iż podróży Pana Chateaubrianda nie można nazwać emigracyą; był on powziął plan olbrzymi i zaczął go wykonywać. Chciał odkryć sławne przejście w północno zachodniéj stronie Ameryki, które to śmiałe usiłowanie czynił potém, ale bez skutku, sławny kapitan Parry i mężny kapitan Franklin. Ale miał to bydź kres jego przedsięwzięcia; zaczął zwiedzać obszerne puszcze Ameryki, i tam objawił się w nim ten wspaniały talent opisywania, w którym nikt go nie zrównał, i to głębokie uczucie religijne, znajdujące się we wszystkich jego dziełach, a które wyrażał z taką wzniosłością i natchnieniem. Tam w chatach dzikich Indyan, pod niepewną gościnnności opieką, zakreślił pierwsze dzieła swoje i nadał im jak gdyby mimowoli, oryginalne piętno tak nieznane dotąd, jak nowa natura i nowe obyczaje które opisywał.

Tam pośród dzikich ludów i miejsc dzikszych jeszcze, rozstrzygnęło się jego powołanie. Wiadomość o uwięzieniu Ludwika XVI, dochodzi aż do puszcz Ameryki; Chateaubriand wraca do Europy i łączy się z emigrantami. Odbył kampanią roku 1792, zraniony przy oblężeniu Thionville, ledwie życia nie postradał. W najnędzniejszym stanie dostał się do Anglii, a tam litość staréj kobiety, uratowała go od śmierci. Dając lekcye, tłomacząc dla xięgarzy, zarabiał na życie. Wtedy około roku 1796, wydał dzieło: *Zarys historyczny rewolucyów*. Dzieło to nieznane z początku we Francyi, zyskało powodzenie w Anglii.

W roku 1800, wrócił do Francyi i otrzymał łącznie z panem de Fontanes, swoim przyjacielem, przywilej na wydawanie dziennika *Merkury*. Zajęty planem swoim, wzniesienia pomnika religii, która go w najsroższych pocieszała przeciwnościach, powziął plan do dzieła *Duch Chrystyanizmu*. Ale wprzódy chciał doświadczyć usposobienia publiczności, i wydał z tego dzieła *Ustęp Atala*, a w przedmowie wymienił okoliczności, które go skłoniły do szukania w religii chrześciańskiéj, pokoju i światła duszy. Powszechny okrzyk podziwu i uwielbienia powitał Atalę; żadna iskra szybciej nie obiegła, powszechne współczucie nie wzniosło się nigdy do tego stopnia zapału i uniesień. Nieprzeliczone wydania, przekłady na wszystkie języki, rozsławiły po całéj Europie imie Chateaubrianda. Nawet tegocześni Grecy czytali Atalę na zwaliskach starożytnych pomników: ale to było tylko zorzą wschodzącego słońca. Talent chrześciańskiego pisarza, wzruszył wszystkie wyobraźnie które jeszcze nie zgasły pod materyalizmem zeszłego wieku. Uczucie religijne, któremu sam nawet Robespierre okropną cześć oddał, odrodziło się nagle na głos natchnionego śpiewaka, i Duch Chrystyanizmu wydany w roku 1802, był jednym z wielkich wypadków 19go wieku.

Napoleon ocenił geniusz Chateaubrianda, i chciał go przywiązać do siebie. Poeta, godnie odpowiedział życzliwości bohatera, i *Duch Chrystyanizmu* oddał pod opiekę tego, »którego Opatrzność powołała do spełnienia swoich zamiarów.» Napoleon mianował go sekretarzem poselstwa w Rzymie, a potém pełnomocnikiem Francyi w Valais, ale gdy Napoleon przez rozstrzelanie xięcia d'Enghien, chciał dać rękojmię ludziom rewolucyi, że nie myśli o powrocie Burbonów, Chateaubriand natychmiast złożył swój urząd. Ta protestacya, tém głośniejsza iż była samotną, uczyniła niezmierne wrażenie. Odtąd zerwały się ogniwa łączące autora Atali z Napoleonem. Przy końcu rządów Napoleona, doznał nawet prześladowania. Zająwszy się pisaniem drugiego dzieła swego, *Męczennicy*, umyślił odbyć podróż do Grecyi, Azyi mniejszéj i Jerozolimy, aby własnemi oczyma ujrzał miejsce i zwaliska miast i pomników, o których w dziele swojém wspomina. Zamiar ten uskutecznił w roku 1806, a za powrotem zwiedził brzegi Afryki, zwaliska Kartaginy i Hiszpanią. *Duch religii Chrześciańskiéj*, *Męczennicy* i *Podróż z Paryża do Jerozolimy*, są jego najpiękniejszemi prawami do chwały, jako pisarza, filozofa i Chrześcianina.

Od czasu powrotu Burbonów w r. 1814, Chateaubriand puścił się w zawód polityczny, i wiele pism wydał w tym przedmiocie, między któremi najznaczniejsze są: *Bonaparte i Burbonowie*, i *Monarchia podług ustawy*. W tym zawodzie pełnym dla niego niesmaku i kolejno idących po sobie zaszczytów i niełaski, mianowany parem Francyi, ministrem spraw zewnętrznych, posłem do Rzymu, chciał pogodzić przywiązanie swoje do prawéj dynastyi Burbonów, z instytucyami, które podług jego sposobu widzenia, potrzebne były dla Francyi. Po rewolucyi lipcowej w roku 1830, wzniósł głos wymowny, domagając się utrzymania na tronie młodego xięcia Bordeaux, pod imieniem Henryka V, a gdy to nie nastąpiło, wierny przysiędze swojéj, zrzekł się dostojności para i wyszedł zupełnie z politycznego życia. Teraz trudni się pisaniem pamiętników życia swego, które będą bez wątpienia najszacowniejszym pomnikiem dla historyi i literatury.

## FILIS WHEATLEJ.

**Poetka murzyńska.**

Skradziona w Afryce gdy miała zaledwie lat siedm lub ośm, Filis przywieziona zo-

stała do Ameryki i sprzedana 1761 r. Johnowi Wheatlej, bogatemu kupcowi w Bostonie. Obyczaje łagodne, nadzwyczajna tkliwość i talenta, zjednały jéj miłość całéj rodziny, tak dalece, że nie tylko uwolnioną została od ciężkich prac wkładanych na niewolników, lecz nawet od zatrudnień gospodarskich. Lubiąc namiętnie czytanie, a szczególniej Biblię, wkrótce nauczyła się po łacinie. Roku 1772, mając lat zaledwie dziewiętnaście, Filis Wheatlej wydała mały tomik poezyi, złożony z trzydziestu dziewięciu sztuk. Dziełka tego wyszło kilka edycyi, tak w Stanach Zjednoczonych jak w Anglii. Aby złośliwość nie mogła przypuścić że imie Filidy jest tylko przybraném, prawdziwość tego dziełka stwierdza na samym wstępie, poświadczenie jéj pana, gubernatora, wice-gubernatora i piętnastu innych szanownych obywateli Bostonu, którzy ją dobrze znali.



John Wheatlej wrócił jéj wolność 1765 r. We dwa lata późniéj poszła za mąż, za człowieka swéj barwy, któren przez rozwinięcie władz umysłowych, także był fenomenem pomiędzy murzynami. Nie dziwiono się też bynajmniéj, że mąż Filidy, kupiec korzenny, został prawnikiem pod nazwiskiem doktora Peter i stawał przed trybunałami w sprawach Cz:rnych. Zjednał sobie sławę i znacznego dorobił się majątku.

Tkliwa Filida, wychowana jak zepsute dziecię, nie znała się wcale na gospodarstwie a mąż wymagał aby się niém zatrudniała. Zaczął od wyrzutów, posunął się aż do bicia, a to nieustanne złe obchodzenie się tak mocno dręczyło Filidę, iż umarła z żalu r. 1787. Miała z Petersem jedno tylko dziecię, które krótko bardzo żyło. Mąż umarł po niéj we trzy lata.

Zapewne czytanie Horacyusza, przywiodło ją iż na czele zbiorów, umieściła wiersz do swego opiekuna. Ma i ten wiersz swoje zalety; lecz przystąpmy do przedmiotów godniejszych natchnień poezyi: wszystkie mają na celu religią albo moralność, we wszystkich prawie rzewna oddycha tęsknota, dwanaście opiewa śmierć osób, które jéj były drogie. Celują nadewszystko *Hymny o dziełach Opatrzności*, *cnocie*, *ludzkości*; *Oda do Neptuna*; *Wiersz do młodego malarza murzyńskiego, na widok jego obrazów.*

Umieszczamy jednę z jéj elegii. Czytelnik raczy pamiętać, że pobłażanie staje się prawie sprawiedliwością, gdy idzie o ocenienie utworu dziewiętnastoletniéj niewolnicy murzyńskiéj; prócz tego tłómaczenie jest może bardzo słabą kopią dobrego oryginału.

NA ŚMIERĆ DZIECIĘCIA CZARNEGO.

Radość uwieńczona kwieciem, już chwil naszych nie umila.

Nadzieja nie otwiera nam przyszłości i nie łudzi czarodziejskiemi uroki.

Ponieważ radość i szczęście nas opuściły, niechaj poezya z niebios zstąpi.

Poezya, łagodna i tkliwa matka, która cierpiących na swojém łonie kołysze.

Poezya, co pocałunkiem osusza łzy zasmuconych.

Poezya, która powiewem swoich skrzydeł, chłodzi pałające czoła nieszczęśliwych.

Niechaj przybędzie poezya! gdyż nie ujrzymy więcéj owéj dziecięcéj twarzyczki, czarnéj jak heban, wdzięcznéj jak liście kokosu.

Niechaj przybędzie poezya! bo oczy wszystkich łzy ronią. Jęki są echem jęków; łkania łkaniom odpowiadają.

Jako! mogłaż śmierć bez wzruszenia zimną dłonią przycisnąć to dziecię ukochane?

Zgasiła życie na jego twar y, która zaciemniła się jak się zaciemnia źdźbło trawy, gdy niknie po za obłokiem promień słoneczny co je złocił.

Gdzież mi uszedł syn mój drogi? woła ojciec. Gdy jego dusza unosić się będzie w powietrzu, aniołowie jéj przewodnicy! wskażcie mi jéj przejście.

A matka, smutnie siedzi z opuszczonemi rękoma, z głową pochyloną na piersi i milczy.

Cóż bardziéj tkliwego, naiwnego, poetycznego, nad te śpiewy biednéj murzynki? czy nie są zwycięzką odpowiedzią na zdanie tych, co koniecznie chcą widzieć w murzynach zwierzęce istoty, któremi jedynie za pomocą chłosty powodować można?



## NOC W ALPACH.

Niechaj was Bóg ochroni od błąkania się pośród nocy w Alpejskich górach, kiedy na niebie nie ma ani jednej gwiazdy, kiedy wicher huczy wpadając między drzewa i miesza się z wyciem wilków i odgłosem strumieni. Niechaj was niebo ochroni, gdyż nieznośne zimno ściska członki, i aż do kości przeszywa bólem, którego opowiedzieć nie

http://rcin.org.pl

podobna. Pierś tchnie pod ciężarem wzmagającym się co chwila. Głowa pali, mieszają się wyobrażenia; para z ust wychodząca marznie na nich. A do tego, strach przejmuje w téj niezmiernéj samotni, strach, chociaż kto był szedł śmiało na bateryą najeżoną działami; strach, chociaż był nie zadrżał znajdując się pośród oceanu, na okręcie na pół rozbitym; strach, gdyż przepaść może bydź tuż przed nogami twojemi i pochłonię cię w rozwarte przepaści, jeźli jeszcze jeden krok postąpisz. A jednakże nie zatrzymuj się, albowiem śnieg zwolna cię zagrzebie w swojém lodowatém prześcieradle; śmiertelne to prześcieradło oziębiłoby krew twoją, czułbyś jak twoje istnienie zawiesza się, zatrzymuje i kończy. Ani jedno przesilenie, ani jeden postęp słabości, nie uszedłby uwagi twojéj; straciłbyś przytomność i uwolnił się od rozpaczy wtedy dopiero, kiedyby zupełnie spełniło się dzieło śmierci.

Takie były udręczenia i męczarnie francuza, obłąkanego w r. 1793, w niezmierzonych pustyniach Alp niższych. Od rana błądził bez przewodnika i nie natrafił na żadne pomieszkanie.

Za nadejściem nocy, zatrzymał się wycieńczony utrudzeniem i głodem, bez nadziei, gotowy na śmierć. Nagle zebrał resztę sił, wstał i iśdź zaczął. Po godzinie drogi, podczas któréj byłby kilkanaście razy wpadł w przepaść, gdyby cudem prawie nie schwytał za gałęzie krzaków, postradał te sztuczną energią i umierający położył się na skale. O szczęście! daleki dźwięk dzwonka dochodzi do jego ucha, zbliża się, powiększa! Pies nadbiega, a za nim idzie zakonnik. Opatrzność nie opuściła nieszczęśliwego. Zakonnik ocalił go od nieuchronnéj śmierci i zaprowadził do klasztoru. Wieczerza i dobry ogień powróciły mu zdrowie; zapomniał o swoich niebezpieczeństwach i zaczął rozmawiać z pustelnikami; dziwił się że że w takiém miejscu znajduje się klasztor, gdzie nawet nie byłoby można spodziewać się chatki.—Zakonnicy bojąc się aby ich gość nie dostał gorączki, przyrzekli mu iż nazajutrz uczynią zadosyć jego ciekawości i zaprowadzili go do wygodnéj celi na spoczynek. Nazajutrz gdy nasz emigrant obudził się i odetchnął czystém i świeżém powietrzem Alp; zachwycający obraz rozwinął się przed jego oczyma. Słońce weszło i rzucało światłość swoją na kilka domów w kształcie włoskim zbudowanych, które, białe i wdzięczne, odbijały się od ogromnych skał wapiennych.

Pomiędzy skałami w niezmiernéj rozpadlinie, widać było małe drzwi i kamienne schody prowadzące do klasztoru; dwa wierzchołki panowały nad tém widokiem, połączone żelaznym łańcuchem, długim na 250 stóp, w środku którego wisiała gwiazda z pięciu punktów złożona. Cudzoziemiec ciekawie przypatrywał się temu łańcuchowi, gdy przyszedł do niego zakonnik, który mu dnia wczorajszego życie ocalił. —»To miejsce rzekł, uprzedzając zapytanie, nazywa Moustier; gwiazda zawieszona w pośród łańcucha, jest to herb domu Blakas. W r. 1215, hrabia Błakas wzięty do niewoli w Palestynie podczas Krucyaty, ślubował, że jeśli wydostanie się z rąk niewiernych, poświęci wtedy patronce swojéj, najświętszéj pannie z Beausses, łańcuch złoty, na pamiątkę swego pobytu w mocy niewiernych. Wróciwszy do Europy, chciał zadosyć uczynić temu ślubowi, lecz zakonnicy przełożyli mu, że tak bogata ofiara, umieszczona w nieprzystępném miejscu, mogłaby stać się zgubną dla wielu z ludzi, którychby chciwość podniecała i że lepiéj uczyni, jeśli na dobre uczynki, to jest na wybudowanie szpitala, obróci cenę ślubu swego. Zacny rycerz usłuchał téj rady, a na pamiątkę, kazał na górach łańcuch złoty zawiesić.»

Zakonnik mówił jeszcze, kiedy cudzoziemiec ukląkł, i modlił się gorąco.

Tajemnicze zrządzenie Opatrzności! Potomek hrabiego Blacas, znalazł schronienie w domu przytułku, założonym przez swojego naddziada. (*)

---

## PARLAMENT ANGIELSKI.

Gdy w nocy z 16go na 17sty Października, okropny pożar zagroził zupełném zniszczeniem pałacowi Westminster, zniszczył izbę wyższą, izbę niższą i kilka sal pomniejszych, Anglicy uważali ten wypadek, jako powszechną klęskę. Westminster nie tylko jest jednym z pięknych utworów ich architektury, ale zarazem miejscem uświęconém pamiętnemi wypadkami ich dziejów, miejscem uroczystości publicznych, Pantheonem ich monarchów i wielkich ludzi, składem archiwum królestwa, świątynią ich prawodawstwa. Opactwo Westminsteru, sala Westminsteru, Izba wyższa, Izba niższa, i Izba malowana, są to najsławniejsze części tych obszernych gmachów, wznoszących się na lewym brzegu Tamizy, w owém starożytném mieście Westminster, które Londyn od dawna pochłonął i zamienił w jeden ze swoich okręgów.

Opactwo Westminster, nie jest dziełem jednéj epoki i prawem do chwały dla jednego monarchy. Tysiąc dwieście lat składało się na jego budowę, i każda linia monarchów połączyła z nim imie swoje. Założył je w r. 604 Sebert, król Saxonów wschodnich. Kolejno upiękniali je, powiększali, naprawia-

(*) Hrabia Blacas, przyjaciel nieodstępny Karola Xgo dzielił wszystkie jego losy, i teraz znajduje się z nim razem w Pradze.

http://rcin.org.pl

li, rozmaici królowie. Między niemi wspomnieć należy Edwarda spowiednika, (XI. wiek) Henryka IIgo, (XIII. wiek) Edwarda II, Edwarda III, Ryszarda II, (XIV. wiek) Ryszarda IIIgo, (XV. wiek) Henryka VII, Henryka VIIIgo, (XVI. wiek) Jerzego Igo, Jerzego IIgo, (XVIII. wiek) i nareście Jerzego IVgo, (XIX wiek). To powszechne przykładanie się, tém droższym uczyniło ten pomnik, a nie zaszkodziło bynajmniéj piękności architektury. Każdy bowiem wiek przejmował się myślą upłynionych wieków, i prace swoje stosował do prac poprzedników.

Może nie dostaje wspaniałości zewnętrznéj postaci opactwa Westminsteru, uważając ją w ogóle; wieże może nie są dość wysokie, ale wdzięk i delikatność najczystszego smaku gotyckiego, okazuje się w szczegółowych ozdobach. Zbudowane w kształt krzyża, jak większa część katedralnych kościołów, wnętrze przedstawia nawę o dwóch skrzydłach; sklepienie utrzymują dwa rzędy arkad spoczywających na pękach słupów, złożonych z jednéj wielkiéj kolumny i ze czterech mniejszych kolumn. Siła, lekkość i składność proporcyi, tworzyłyby najpiękniejszy widok, gdyby podobna było że tak powiem zwrócić na nie uwagę. Lecz skoro tylko wnijdziemy w ten gmach uroczysty, spojrzenia nasze oderwać się nie mogą od licznych pomników grobowych i wszystkie władze pochłania religijne wzruszenie, na widok tylu dostojnych pamiątek. W tych to chlubnych katakumbach, spoczywają ci wszyscy, którzy słynęli piastowaniem władzy, zasługami, geniuszem, talentami, monarchowie, statyści, wojownicy, pisarze, uczeni, artyści, dziedzice wielkich imion, posiadacze niezmiernych dostatków.

Zwiedzający to miejsce, ledwie rzucić może roztargnione oko na mozaikową posadzkę choru, cudowne dzieło, gdzie odrobinki jaspisu, alabastru, porfiru, marmuru, kształcą z drobiazgową cierpliwością te dziwaczne postaci, które tworzył dziwaczny smak trzynastego wieku: na te szyby różne kolorne, a nareście na kaplicę Henryka VII. którąby nazwać można niezrównaném arcydziełem architektury gotyckiéj.

Chociaż sala Westminsteru nie jest tak starożytna jak opactwo, jednakże zasięga ośmiu wieków. Odbudowana w r. 1337, za Ryszarda IIgo; jest największą w całéj Europie, ma 74 stóp szerokości, 270 długości, 90 długości. Posowa zrobiona z kasztanowego drzewa, jest rzadkim i ciekawym zabytkiem sztuki rzeźbiarskiej. Szczególniéj zwracają uwagę, postaci aniołów, utrzymujących tarcze herbowne Ryszarda Igo, i Edwarda spowiednika, których obrazy i pamiątki, wyryte są we wszystkich częściach teraźniejszego pałacu Westminsterskiego, zbudowanego na zwaliskach ich zamku. To drzewo pochodzące z Irlandyi, posiada podług zdania wielu podróżnych tę własność, iż pająki nie przyczepiają do niego swéj pajęczyny. A przynajmniéj, mówi jeden podróżny, nie postrzegłem żadnego ich śladu. Westminsterska sala, zbudowana za Wilhelma rudego, aby służyła za miejsce do uczt monarszych, nie była nigdy użyta na inny przedmiot. Jest ona także miejscem uroczystości koronacyjnych, i po obrzędzie religijnym odbytym w chórze opactwa, królowie i królowe zasiadają tam do uczty, podczas któréj rycerz królewski uzbrojony od stóp do głowy, wjeżdża na koniu, a rzucając rękawicę, wyzywa każdego, ktoby jego monarsze śmiał zaprzeczyć prawa do korony. Mnóstwo sławnych biesiad odbyło się w sali Westminsterskiéj; między innemi w nowszych czasach biesiada koronacyjna Jerzego IVgo, o któréj warto uczynić wzmiankę. Wyszło na nią, mówi pewien historyk, 7442 funtów wołowiny, 7,133 funty cielęciny, 2,474 fun: baraniny, 912 fun: masła, 3,000 sztuk drobiu, 900 jaj, 1,200 butelek szampańskiego wina, 2,400 wina Burgundzkiego, 2,400 wina Bordeaux, 800 kwart zimnego ponczu, 100 baryłek porteru, półmisków było 6,794, nie licząc 1,407 zup i 1,499 półmisków z wetami. Posępne jednakże myśli i obrazy, nasuwają się pośród tych uroczystości. Iluż to smutnych katastrof była miejscem ta sala! Szlachta angielska od dawna miała udział w sprawach krajowych, wprzódy nim karta wielka nadała jéj wpływowi stałą organizacyą; lecz gdy miasta i gminy zaczęły także wysyłać swoich pełnomocników, w ostatniéj połowie XIII wieku, urządził się parlament, w kształcie w jakim jest dotąd, i zajął dwie sale gmachu Westminsterskiego. Sala izby wyższéj, miała zewnątrz starą wystawę, ozdobioną kolumnadą gotycką, która łączyła dwa wnijścia; jedno przeznaczone wyłącznie dla monarchy w dniach uroczystych, drugie dla lordów. Wnętrze podłużnego kształtu, ozdobione zostało w późniejszych czasach piękną galeryą, ale ta praca, mimo zalet roboty i ozdób, nie tyle zwracała uwagi, ile stare obicie zawieszone na murach. Obicie to składało się z dwóch sztuk, wyobrażających, pierwsze, urodzenie królowéj Elżbiety, drugie, wypadek najszczęśliwszy w dziejach Anglii, zniszczenie floty hiszpańskiéj, znanej pod nazwiskiem *niezwyciężona Armada*, i przeznaczonéj na opanowanie Anglii, która wtedy ledwie zebrać mogła pięćdziesiąt okrętów. Burze tak mocno skołatały flotę hiszpańską, iż Anglicy łatwo pokonali jéj smutne szczątki i ledwie pięćdziesiąt statków z téj niezwyciężonéj Armady, powróciło do Hiszpanii. Obicie rozdzielone na kilka części ramami drewnianemi, wystawiało roz-



IZBA WYŻSZA.

maite sceny tego zniszczenia, o którym wiadomość te tylko słowa wyrwała z ust stoickiego Filipa IIgo. »Nie wyprawiłem mojej flotty, aby walczyła z wiatrami.» Portrety admirałów, którzy w owéj ważnéj okoliczności, dowodzili eskadrą angielską, wisiały nad tém obiciem.

Na środku wyższego końca sali, stał tron na którym zasiadał monarcha w ubiorze królewskim i z koroną na głowie, gdy w rzadkich i uroczystych zdarzeniach, ogłaszał najwyższą wolą swoją względem praw uchwalonych przez Izby. Dwie kolumny bogato złocone, ozdobione żołędziami i liściami dębowemi, utrzymywały po nad tronem niezmierną oponę z karmazynowego axamitu, nad którą była korona królewska. Trójzęby, godła tak drogie Anglikom, wyobrażone były na podstawie kolumn. Niżéj przed tronem, stało krzesło niezmiernie ciekawe i zajmujące swoją prostotą: sławny wór wełniany przeznaczony dla lorda kanclerza, z urzędu prezydującego w izbie parów. Ten wór miał przypominać, że wełna była jedném z głównych źrodeł potęgi i pomyślności Anglików, i że nie należy wnosić żadnego prawa, żadnego rozporządzenia, któreby mogło przynieść uszczerbek temu źrzódłu krajowego bogactwa. I ażeby o tym obowiązku pamiętał nie tylko minister ale i prawodawca; siedzenia lordów były także z worków wypchanych wełną i pokrytych suknem czerwoném.

Nie daleko izby lordów, była druga sala: *Sala malowana*, którą parowie posiadali wspólnie z izbą niższą. Mówią że ta sala malowana, była sypialnią króla Edwarda Spowiednika. Szacowna starożytnością i architekturą gotycką, słynęła także z ozdób swoich, nad któremi pracowali najznamienitsi artyści Anglii. W niéj odbywały się narady między Izbą parów a Izbą niższą.

Kolumnada z cegieł, pokryta gipsem, w stylu gotyckim, łączyła obie izby. W szesnastym wieku, Edward VIsty przeznaczył *Kaplicę Sgo Stefana*, na posiedzenia Izby niższéj, i aż do ostatniego pożaru ciągle zajmowała to miejsce. Ciekawi dziwili się nie mało, gdy wszedłszy do tego gmachu, z tą myślą, że wszystko powinno w niéj odpowiadać wielkości jéj powołania, zupełnie zawodzili się w téj nadziei. Zbudowana w wieku XIIstym, kaplica ta była pięknym pomnikiem architektury gotyckiej, gdy Edward VI. przeznaczył ją dla Izby niższej, ale trzeba było zastosować ją do nowego jéj



IZBA NIŻSZA.

przeznaczenia. Potrzebne w tym celu prace ukończono za panowania Elżbiety. Drewnianą podłogę położono na flizach, drewnianą posowę zawieszono pod sklepieniem, trzy ściany kaplicy także wyłożono lamperyą drewnianą, a sala zrobiła się podobna do klatki otwartej z jednego boku. Trzy galerye oparte na małych żelaznych kolumnach, ze złoconemi kapitelami koryntckiemi, wielkie krzesło mówcy wyzłocone, nad którém były herby królewskie, stół przy którém siedzieli sekretarze, pięć rzędów ławek opatrzonych poręczami i poduszkami z zielonego safianu, takie były biedne sprzęty i ozdoby téj sali.

Strój i postaci członków Izby niższéj, wydawać się będą jeszcze dziwaczniejsze tym, którzyby chcieli między niemi szukać jakichsiś oznak powagi i reprezentacyi. Członkowie mogą przychodzić do izby w ubiorach chociażby najbardziéj zaniedbanych i najdziwaczniejszych, w kurtkach myśliwskich, z prętem albo szpicrutą w ręku; rozmawiają głośno z sąsiadami, albo śpią oparci na ich ramionach, i tak mało dbają o etykietę, jak gdyby sami znajdowali się w własnym domu. Ta poufałość zgromadzenia, tém bardziéj uderza, iż przez dziwną sprzeczność, mówca odziany w urzędową togę, w niezmiernéj białéj peruce, prezyduje z teatralną powagą. Członkowie siedzą w kapeluszach, a zabierający głos, na chwilę tylko odkrywa głowę. Z tém wszystkiem, mimo uszanowania jakie mają Anglicy do starożytnych zwyczajów, narzekano od dawna na niewygodę i niestósowność sali Izby niższéj i czyniono wnioski, ażeby Izba gdzie indziej się przeniosła, ale zawsze spotykały mocny opor, i gdyby nie ostatni pożar, izba niższa byłaby długi czas jeszcze zamknięta w swojéj klatce. Dla tego też na widok płomieni, odezwał się ktoś, czyniąc zastósowanie do ciągłych wniosków przeciw téj sali: *Otóż tedy wniosek Pana Hume, przeszedł od razu i bez podziału.*

Skreśliwszy tę historyczną wiadomość o gmachach parlamentu angielskiego, wypada namienić w krótkości o pożarze, który je zniszczył. Dnia 16go Października roku zeszłego, między szóstą a siodmą wieczorem, wybuchnął ogień w izbie wyższéj. Nie można było ocalić żadnych sprzętów. Ztamtąd ogarnął bibliotekę Lordów, piękny tegoczesny pomnik. Szczęśliwym trafem, przed kilkoma dniami przeniesiono z niéj, z powodu rozpoczętéj naprawy, szacowny zbiór xiążek do innéj sali, która ocalała. Izba niższa, przyległe sale i biblioteka, stały się w krótkim przeciągu czasu pastwą płomieni; część tylko xiążek uratowano. Gdy opadły płomienie, na miejscu lamperyi na obnażonych murach, które pożar rozpalił tylko; ale ich wywrócić nie zdołał, ujrzano niezliczone mnóstwo rzeźb i ozdob z kamienia, najrzadszą i najciekawszą pracą wyrabianych. Stara i nędzna sala zamieniła się w

http://rcin.org.pl

przepyszny pomnik gotycki. Była to stara kaplica Sgo Stefana, o której wspomnieliśmy powyżéj. Lękano się bardzo o wielką salę Westminsterską, ale przecież zdołano ją uratować. Niewiadomo dokładnie, jaka jest przyczyna tego pożaru. Powszechnie przypisują go nieprzezornemu paleniu starych papierów, w gmachu dotykającym do izby wyższéj.

## KRONIKA LITERATURY I WIADOMOŚCI NAUKOWYCH.

*O Wyrozumowanéj uprawie kartofli, z szczególném zastanowieniem kiedy i w jakim stosunku do innych płodów roślina ta z korzyścią na wódkę uprawiana bydź może, a kiedy chodowana na ten cel, upadek gospodarstwa zrządza. Z dodaniem krótkiéj nauki: O wypalaniu wódki z kartofli, warzeniu z nich piwa, wyrabianiu mączki i robieniu syropu; celem urozmaicenia użycia téj błogiej rośliny. — Przez Jana Nepomucena Kurowskiego, z godłem:* (Kartofle najwięcéj się przyczyniają do wzrostu i dobrego mienia ludów, a następnie do potęgi i znaczenia krajów. *Adam Szmidt.*) *i z jedną tabl.cą rycin. Warszawa, nakładem Aug: Emm: Glücksberga, przy ulicy Miodowéj Nr. 417 pod filarami.* — 1835. *Cena złp.* 10.

Wymieniamy znaczniejsze przedmioty w tém dziele zawarte.

Ogólna wiadomość o kartoflach. — Części składowe kartofli i ich stosunkowa wartość, do innych pokarmów ludzkich i zwierzęcych. — Najprzyzwoitszy czas sadzenia kartofli. — Jakie kartofle najpewniej sadzić: wielkie czy małe, całe lub przekrawane. — Grunt i nawóz pod kartofle. — Uprawa kartofli w rozmaitym gatunku roku. — Sposób sadzenia kartofli o połowę nawozu oszczędzający. — O zbieraniu nasienia kartoflanego, i sadzeniu flanców kartoflanych. — O przechowywaniu kartofli. — O użyciu naci kartoflanéj — W jakim stosunku do innych płodów kartofle na paszę uprawiać należy. — O karmieniu i tuczeniu zwierząt domowych kartoflami. — Kiedy i w jakim stosunku do innych płodów kartofle na wódkę z korzyścią uprawiane bydź mogą; a kiedy uprawa ich na ten cel, stratę przynosi. — Przyczyny wypłonienia roli przez uprawę kartofli na wódkę. — Środki przez które zapobiedz można wypłonianiu się roli przez uprawę kartofli na wódkę. — W jakich przypadkach uprawa kartofli na wódkę miejsca mieć nie może. — Ogólne uwagi nad kartoflami na wódkę użyć się mającemi. — O sposobie palenia wódki z kartofli.

Pożądaném było dzieło, któreby podało zbiór potrzebnych wiadomości o uprawie i użyciu kartofli. Pan Kurowski zajmując się jego wydaniem, uczynił ziomkom istotną przysługę. Przysługa ta byłaby tém większą, gdyby przedsiębierca wydający to dzieło własnym nakładem, naznaczył na nie cenę cokolwiek umiarkowańszą.

---

*Siostra Anna, romans obyczajowy Pawła de Kock, przełożony przez W. O. cztery tomy, Warszawa, 1835. — Nakładem Hugues xięgarza. Cena złp. 18ście.*

Kilka romansów Koka mamy już w przekładzie polskim. Ten autor, obfituje w piękne położenia, trafnie kreśli charaktery, wesołe obrazy łączy z rozrzewniającemi scenami familijnego życia, nie można mu zaprzeczyć moralnego dążenia; lecz obok tego zamieszcza obrazy dość płoche, iż dzieła jego w języku francuzkim, nie mogą bydź w ręku wszystkich czytelników, grzeszy nawet brakiem dobrego tonu. Tłomacz Brata Jakóba, Cyrulika Paryzkiego i Sabaudczyka, przyjął sobie za zasadę opuścić te wszystkie miejsca, które może podobają się niektórym, ale w oczach ogółu przynoszą skazę talentowi i gustowi autora i mogą się przekonać czytelnicy, zwłaszcza w przekładzie Sabaudczyka, że ich zajęcie nic na tém nie szkodowało. W przekładzie Siostry Anny, lubo także poczyniono konieczne oczyszczenia, jednakże dzieło więcéj zachowało ton i barwę oryginału.

Co się tycze przekładu Siostry Anny, nie sądzimy za rzecz potrzebną czynić nad nim uwagi, sąd o nim zostawiając czytelnikowi.

## POGRZEBY U SŁOWIAN.

(Ciąg dalszy.)

Wiele z tych zwyczajów dostrzedz możemy u Morlachów pokolenia Słowiańskiego, które dotąd tyle zachowało znamion charakterystycznych pochodzenia swojego.

»Tkliwe są (mówi Fortis) obrzędy pogrzebowe u Morlachów. Póki ciało umarłego jeszcze jest w domu, słychać ciągle żale rodziny, które się powiększają, gdy kapłan po nie przychodzi. W téj chwili smutku, Morlacy mówią do umarłego, i dają mu istotnie polecenia na tamten świat. Po czém okrywają zwłoki białem odzieniem, niosą je do kościoła, gdzie znowu zaczynają się narzekania, a krewni i zobowiązane płaczennice śpiewają zmarłemu pieśni żałobne. Po pogrzebie, udają się wszyscy do domu zmarłego, gdzie modły łącząc z piciem godują do zbytku. Mężczyźni na znak żałoby zapuszczają brody przez czas niejaki. Czapka błękitna, czyli fioletowa, jest także oznaką żałoby. Kobiety osłaniają głowy, chustką niebieską lub czarną, i zakrywają czarną zasłoną wszystko, co mają czerwonego na sukni. W pierwszym roku po pogrzebie krewnego, kobiety Morlackie, idą przynajmniej co święto, śpiewać żałobnie

nad grobem zmarłego, rzucając kwiaty i zioła woniące. Jeżeli przez brak czasu nie są w stanie temu obowiązkowi zadosyć uczynić, tłomaczą się umarłemu mówiąc jakby do żyjącego i zdają mu sprawę z przyczyn dla których zwyczajna cześć w ten dzień oddaną mu bydź nie mogła. Pytają się go o nowiny z tamtego świata i zadają często najśmieszniejsze pytania. Wszystko to śpiewają tonem żałosnym.»

---

Jak wszyscy Słowianie, tak i narody Litewskie, Żmudzkie i Pruskie, wierzyły w nieśmiertelność duszy. Wyobraźnia ich żywo uderzona stratą bolesną, poddawała się rozlicznym złudzeniom, w przekonaniu, że Bogowie nie mogą bydź tak nielitościwi, aby zabierając człowieka z łona przyjaciół i krewnych, nie dozwalali mu w pewnych czasach powracać na ziemię (1). Poznawali także, że życie jego wśród Bogów, na rozkosznych górach i dolinach nieskończenie trwałem bydź musi, lecz to wyobrażenie wieczności, nie inny każdemu stan przeznaczało, jak tylko ten, w jakim go na ziemi umieścili Bogowie. Ztąd wierzyli iż jako kto był szlachcicem, albo chłopem, bogatym, albo ubogim, wielmożnym albo chudym pachołkiem, tak też i po zmartwychwstaniu, w przyszłym żywocie tenże stan zachowa. Dla tego z xiążęty, z pany i z szlachtą zmarłemi, sługi, służebnice, szaty, klejnoty, konie, charty, ogary, łuk z sajdakiem, szablę, włócznią, zbroje, i inne rzeczy w których się zmarły najwięcéj kochał palili, równie jak z rzemieślnikami i sielanami, te naczynia któremi zarabiali na życie, i co ku ich stanowi należało, palili także, sądząc, iż z tém wszystkiem mieli zmartwychwstać, a jako na tym świecie, tak i w przyszłém życiu tém się cieszyć i używać ku potrzebom swoim mieli. Rysie i niedźwiedzie paznokcie, palono z umarłemi, wierząc iż przyjdzie dzień, w którym zmarli znowu do żywota przywróceni będą, a jeden Bóg jakiś, (którego nie znali, tylko wierzyli), wszechmocny i nad wszystkie Bogi największy, miał wszystkich ludzi dobre i złe sprawy sądzić, siedząc na górze wysokiej i przykrej, na którą, aby tém snadniej, i bezpieczniej wleźli, paznokciami rysiemi i niedźwiedziemi myśleli sobie pomagać.

U Litwinów i Żmudzinów, gdy który czuł się już śmiertelnym, zdobywał się według możności na beczkę albo na dwie piwa, kazał uprosić przyjaciół i wszystkich, co w tejże wsi wspólnie z niem mieszkali.

Skoro się zgromadzili zaproszeni, chory przepraszał ich i żegnał się z niemi. Gdy umarł, ciało jego w łaźni czysto wymywszy i ubrawszy w białą koszulę długą, jak był obyczaj; posadzili go na stołku, i pili do niego przyjaciele temi słowy smętnemi, i żałobnemi mówiąc:

»Ja do ciebie piję miły przyjacielu; i »czemuś umarł? a wszak masz swoją miłą »małżonkę, dziatki, bydło, przyjaciół, i »wszystkiego dostatek.»

Potém do niego drugi raz pili na dobranoc, i prosili go, ażeby raczył na tamtym świecie pozdrowić ich ojce, matki, braci, siostry, krewnych i przyjaciół; aby tam z niemi, łaskawie i sąsiedzko się obchodził, jako tu oni z nim się obchodzili za żywota. Ubierali go potym w szaty, przypasywali mu kord albo siekierę, obwiązywali ręcznik około szyi, w której mu kilka groszy, według możności kładli, na strawę zaś chleba z solą i konew piwa w grób stawiali. Jeżeli to była niewiasta której pogrzeb obchodzili, dawali jej nici i igłę, ażeby sobie zaszyła, jeżeli się jéj co zedrze na tamtym świecie, a kiedy ją wieźli do grobu, wtenczas przyjaciele (mówi Stryjkowski) wszyscy idą processyą, szermują nożami w górę, wielkim głosem wołając:

»Geigeite, begaite Pikole.» (2)

To jest: »Uciekajcie, biegajcie precz od ciała tego wy Diabli.»

Dziś się to jeszcze znajduje, (pisze dalej Stryjkowski) w jednym kącie Liflandskiéj ziemi, za Moizą Solkową, i com sam widział przy pogrzebie umarłych, w trąby grają, śpiewając.

»Idź niebożę z tego nędznego świata, rozmaitych ucisków, na wieczne wesele.»

Pamiątkę umarłych ojców, matek i krewnych swoich obchodzili w miesiącu Październiku, a czasem na każde święto, na mogiłach lamentliwie śpiewając, wynurzają żale, zwłaszcza żony, wyliczając dzielność, cnoty, i gospodarstwo mężów swoich. W kurladskiej zaś, i Samlandskiej ziemicy i w Prusiech, kiedy czynią umarłym pamiątkę, tedy z kościoła, prosto do karczmy albo do wybranego na to domu idą, gdzie się na war piwa zsypują; żony przynoszą za niemi w koszałkach ryb pieczonych i warzonych na zimno. Tam biesiadują bez nożów, a żony im posługują. Każdy co umarłemu krewnemu życzy, każdéj potrawy sztukę pod stół rzuca, i kufel piwa na ziemię wylewa. W Litwie zaś i Żmudzi, chłopi także na upomi-

(1) To przesądne mniemanie dotychczas jest zakorzenione między ludem Polskim. Naznaczają oni dzień zaduszny czyli Zaduszki, za tę chwilę, w której dusze mogą z tamtego świata zstępować, i bawić czas niejaki na ziemi. Ztąd trwa wiara upowszechniona, że w dzień ten po kościołach, umarli nabożeństwo odprawiają pod przewodnictwem Kapłana, podobnież zeszłego z tego świata.

(2) Pikollo, Pikoł, albo Poklus, bóg piekielny, a jak go Stryjkowski na stron. 148 nazywa Diabeł.

http://rcin.org.pl

nanie przyjacioł, z wielkim dostatkiem obiady sprawują, a kiedy już mają zaczynać jeść, najstarszy gospodarz weźmie łyżkę wielką mąki, rozmaitego zboża, soli i kadzidła, a zakurzywszy mówi: »A za wissumos Prialelos musu: etc.» potém jedzą i piją, aż na nogach stać nie mogą, starodawne wyśpiewując pieśni.

Drugie święto w Żmudzi podług podania pogańskiego zachowują, które Iłgi zowią, a poczynają to święto prawie o Wszystkich Swiętych na które najuboższy, musi mieć piwo w domu, i tak piją przez kilka niedziel, wspominając umarłych.— Przytoczone wiadomości dotąd, są wyjęte z kroniki Stryjkowskiego, które tém więcéj zasługują na wiarę, iż pracowity ten badacz, ( a mniej jak zasłużył znany i ceniony) jako naoczny świadek opisywał i postrzegał obyczaje wieśniaków za swoich czasów, nie tak jak inni, co z dosłyszenia tylko, często bajki pisali.

Meleciusz, de Religione veterum Prussorum, tak opisuje obrzędy pogrzebowe Prusaków i Żmudzinów.

»Do grobu z trupem rzucali pieniądze, chleb i flaszę miodu lub piwa u głów stawiali (1) aby dusza nie była głodną, ani uczuła pragnienia. Zona nad grobem małżonka o wschodzie lub o zachodzie słońca siedząc na mogile, lub leżąc, opłakiwała go przez dni trzydzieści: krewni zaś dnia trzeciego, szóstego, dziewiątego i czterdziestego po pogrzebie, dawali uczty, na które zapraszali duszę zmarłego modląc się przededrzwiami. Na ucztach takowych siedzieli za stołem w milczeniu, jakoby niemi, nie używając nożów. Posługiwały zaś do stołu dwie kobiety. Każdéj potrawy rzucali cokolwiek pod stół, i wylewali napoje, mniemając że tém się dusze żywią. Jeżeli cokolwiek spadło, nie podejmowali, lecz zostawiali to dla dusz opuszczonych, nie mających żadnych krewnych, ani przyjacioł żyjących, od którychby mogły bydź na ucztę zaproszone. Po skończonym obiedzie, wstaje ofiarnik od stołu, i zamiatając izbę godową, wymawia te słowa: »Jeli, pili, duszyce, nu wen» to jest: »Jadłyście, piłyście, duszyczki teraz precz.»

Poczém biesiadujący zaczynali między sobą rozmawiać, i kubkami pełnemi trunku zabawiać się. Mężczyźni przepijali do kobiet, a te do nich nawzajem, całując jedni drugich. Tak się odprawowała ta pobożna uroczystość świętego upominku zmarłych.»

Swięto Iłgi o którém wyżéj pisze Stryjkowski, przypadało na dzień 2gi Listopada. W dniu tym jak pisze Jan Łasicki, Żmudzini mieli zwyczaj umarłych z grobowców do łaźni i na biesiady zapraszać; a wielu z nich który zaprosił, tyle stołków i koszul, w miejscu osobném na to przygotowaném, stoły zastawiwszy jadłem, różnemi trunkami, sami zaś powróciwszy do swych domów, trzydniowe pijackie biesiady odprawywać mieli zwyczaj, po których wszystko co dla umarłych przygotowali, zlawszy ich grobowce trunkami, na mogiłach zostawiali.

Zabytek tego obchodu teraz jeszcze trwającego nazywa się »Dziady.» Dziady teraźniejsze, jak samo nazwisko wyjaśnia, jest uroczystość obchodzona dotąd między pospólstwem, w wielu powiatach Litwy, Pruss, i Kurlandyi na pamiątkę dziadów, czyli w ogólności zmarłych przodków. Początkiem swoim zasięga wyżéj opisanych uroczystości za pogaństwa, i zwała się niegdyś »Ucztą kozła» na któréj przewodniczył Koźlarz Huslar, Guslarz razem kapłan i poeta, (gęslarz). W teraźniejszych czasach ponieważ światłe duchowieństwo, i właściciele ziem, usiłowali wykorzenić zwyczaj połączony z zabobonością i zbytkiem częstokroć nagannym, pospólstwo więc święci dziady tajemnie, w kaplicach, lub pustych domach, nie daleko cmentarza. Zastawia się tam uczta z rozmaitego jadła, trunków, owoców, i wywołują się dusze nieboszczyków. Obchód ten, tę ma szczególność w sobie iż obrzędy pogańskie pomieszano z wyobrażeniami Religii Chrześciańskiej, zwłaszcza, iż dzień zaduszny przypada około czasu téj uroczystości, którą lud święcąc rozumie, iż potrawami, napojem i śpiewami, przynosi ulgę duszom czyscowym.

(Dokończenie nastąpi.)

(1) Na Rusi Czerwonéj zamiast chowania chleba w grobie ze zmarłym, kładą dwa bochenki chleba na trumnie, które zabiera kapłan. Obchodząc pamiątkę zmarłych, jeżeli za mężczyznę zeszłego, niosą do cerkwi miskę, łyżkę i kieliszek, gdy za kobietę, dają kapłanowi, „Prymitkę" czyli rańtuch, od mężczyzny koszulę.

CENA PRENUMERATY

MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, W KANTORZE GŁÓWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie zlp. 18. półrocznie zlp 10

Na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych za granicą rocznie zł 24, półrocznie zlp 13.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.



Mandaryn Chiński jadący przeciw swojéj narzeczonéj.

http://rcin.org.pl

W Chinach, ponieważ kobiety nigdy nie ukazują się mężczyznom, małżeństwa zawierają się jedynie za pomocą świadectwa rodziców i wstawieniem się starych niewiast, wyłącznie tém się trudniących. Familie zniewalają je podarkami, aby wystawiły pochlebny obraz piękności, dowcipu i talentów ich córki; ale mężczyźni bynajmniej nie dowierzają ich doniesieniom, a gdy zbyt przesadzą, surową za to karę odnoszą.

Dnia oznaczonego do ślubu, pan młody wsiada do powozu ciągnionego przez wołu, i wyjeżdża na przeciw oblubienicy, w towarzystwie muzykantek, najłagodniejsze wygrywających melodye. Jeśli pan młody jest mandarynem lub osobą wielkiego znaczenia, orszak dziwną odznacza się wspaniałością.

Oblubienica w tymże czasie wsiada do lektyki przepysznie ozdobionéj, a za nią postępuje wyprawa, składająca się u pospólstwa ze sprzętów, które ojciec jéj daje wraz ze ślubną szatą starannie w skrzyni zamkniętą; u bogatych, ze wspaniałych ubiorów i klejnotów. Najęty orszak towarzyszy jéj z pochodniami w ręku, nawet w południe; przed lektyką idą muzykanci grający na fletach, szałamajach i bębenkach, a za nią krewni i przyjaciele domowi. Powierny sługa ma klucz od lektyki, i oddaje go panu młodemu, któren oczekuje w połowie drogi. Skoro orszak się zbliży, odbiera klucz z rąk służącego i z upragnieniem otwierając lektykę, przekonywa się jak mu szczęście posłużyło. Zdarza się że oblubieniec nie kontent ze swego losu, zamyka natychmiast lektykę i odsyła narzeczoną z całym orszakiem, woląc raczéj stracić zaliczoną kwotę, niżeli targu dotrzymać; lecz z powodu przedsiębranych ostrożności środków, wypadki podobne bardzo rzadko się zdarzają. Skoro dziewica wyjdzie ze swojéj lektyki, oblubieniec stawa obok niéj; wchodzą oboje do sali zgromadzenia i czynią cztery pokłony; panna młoda kłania się po czterykroć rodzicom męża; potém ją oddają w ręce kobiet zaproszonych na ślubny obrzęd, z niemi dzień cały na zabawach przepędza, gdy tém czasem pan młody częstuje mężczyzn w innych pokojach.

Navarette wzmiankuje o kilku powodach do rozwodu, których nie przyjęłyby wcale nasze trybunały: 1. Kobieta gadatliwa, stająca się przez tę wadę natrętną, może bydź oddaloną, chociażby już od dawna była zamężna, i miała nawet kilkoro dzieci; 2gie kobieta która uchybia uszanowania dla teścia i teściny, 3cie która ukradnie rzecz jaką mężowi; 4te trąd jest także powodem do rozwodu; 5te zazdrość.

Wieczorem prowadzą oblubienicę do pokoju małżonka, gdzie zastaje na stoliku nożyczki, nici, bawełnę, i tém podobne przygotowania do roboty, aby poznała że ma polubić pracę, a strzedz się próżniactwa.

Od owego dnia, nigdy teść nie widzi oblicza żony swojego syna. Chociaż mieszka w tymże samym domu nigdy nie wchodzi do jéj pokoju. Ukrywa się gdy ona wychodzi. Przyjaciele i krewni nie mogą rozmawiać z nią bez świadków. Wolność ta dozwolona jest braciom męża, dopóki są jeszcze bardzo młodzi; starsi nigdy podobnéj nie dostępują łaski. Wolno jest kobietom wychodzić kilka razy do roku i odwiedzić krewnych. Na tém ograniczają się ich zabawy i przyjemności.

## HUMBOLDT.



Gdy kto przez waleczność, wspaniałomyślność lub talenta, znakomite przysługi wyświadczył swojemu krajowi, staje się sławnym, rodacy ze czcią wspominają jego imie, ale chociaż przez to zasłużył na podziwienie obcych, nie ma jednak prawa do ich wdzięczności. Lecz jeśli poświęcił życie swoje na usługi ludzkości, jeśli geniusz jego uczynił jedno z owych odkryć, rozprzestrzeniających granice pojęcia ludzkiego, jeśli stał, się użytecznym wszystkim krajom, wówczas rozszerza się sława jego, i nie tylko do kraju, lecz do całego świata należy.

Jeśli Humboldt nie wyświadczył tak znacznych przysług naukom jak Newton, Delaplace, Leibnitz i Descartes, nie mniéj talenta jego zasługują na podziwienie. Sławny jest nadewszystko przez śmiałe podróże, lub raczéj dalekie i niebezpieczne wyprawy, przedsięwzięte w celu wyjaśnienia

dawnych odkryć i wykrycia tajników natury. Jeśli Newton odkrył siłę przyciągającą, ową duszę świata, *myśląc o niej nieustannie*, można powiedzieć że Humboldt zbogacił nauki *nieustannie się poświęcając*. Jest to bowiem poświęcenie, bez straży i żadnych środków obrony, zapuszczać się w krainy nieznane, pomiędzy dzikie ludy, aby zmierzyć wysokość góry, lub głębię przepaści, uważać jakie zjawiska natury, lub biegi gwiazd wyśledzić. Potrzeba mocnego postanowienia i wielkiego zamiłowania nauk, aby tak się narażać jedynie dla wyjaśnienia jakowej niepewności, lub stanowczego oznaczenia jakowego punktu na powierzchni ziemi.

Fryderyk Henryk Alexander Humboldt, urodził się 14go Września 1769 r. w Berlinie. Odbył nauki w Getyndze i Frankforcie. W młodych latach odprawił podróże do krajów nadreńskich, do Holandyi i Anglii, w r. 1791, uczył się górnictwa w Frejberskiej górniczej akademii. Zamiłowanie w naukach, łagodność i dobroczynność, zjednała mu serca wszystkich. Czynił potem ważne doświadczenia z galwanizmem.) Udał się do Włoch, a ztamtąd do Paryża, gdzie zapoznał się z uczonym Bonpland. W 1799, otrzymał pozwolenie od dworu swojego, odbyć naukową podróż do Ameryki Hiszpańskiej.

Gdy Humboldt postanowił odprawić wielką swoją podróż, życzył sobie mieć i przyjął za współpracownika pana Aimé Bonplan, również wytrwałego i podobnie jak on obszerne posiadającego wiadomości, i oba w Lipcu 1799 r. wyruszyli z Corogne. Dwa lata strawili na zwiedzaniu nowéj Andaluzyi, Gujany hiszpańskiéj i wyspy Kuba. Oswoiwszy się tym sposobem z klimatem i nowemi zwyczajami, odważyli się przeniknąć w głąb kraju i zwiedzić wulkan Tungaragno i wierzchołek Chimborazo. Po całym miesiącu usiłowań i trudów niesłychanych, zdołali wedrzeć się na wschodnią krawędź téj olbrzymiéj góry. Postrzegli niezmiernie wysoką skałę porfirową, wybiegającą po nad szczyty wiecznym śniegiem okryte; tam to, prawie w obłoki zanieśli narzędzia fizyczne i astronomiczne, któremi zaopatrzyli się wyjeżdżając z Europy, i poczynili owe sławne postrzeżenia tak ważne i szacowne dla nauk.

Byli wówczas wzniesieni o 19,500 stóp nad poziom morza, a 3,485 stóp wyżéj, niżeli uczony La Condamine dostał się półwieku temu. Skały, góry i przepaści, wiedzieli tylko pod sobą; płaszczyzny ginęły we mgłach, a po nad ich głowami, daleko po za chmury, ostatni szczyt Chimborazu, wybiegał jeszcze na 2,140 stóp! Na porfirowéj skale, gdzie wędrowne swoje założyli obserwatoryum, już nie podobna było prawie oddychać; z tą dusznością nieznośną, połączała się jeszcze boleść przenikliwego zimna. Krew wydobywa się im przez oczy, usta, nos i uszy. Niezachwiani jednakże w postanowieniu, wykonali z najściślejszą dokładnością swoje rachuby trygonometryczne.

Ukończywszy te ważne prace i uniknąwszy niebezpieczeństw wznawiających się co chwila, udali się do Peru, przebiegli całą nową Hiszpanią, przepędzili tam rok cały i przybyli do Mexyku w kwietniu 1803 r: po roku niepojętych trudów i znojów.

Humboldt wiele jeszcze odbył wycieczek, zwiedził Stany Zjednoczone i po sześcioletniem oddaleniu, wrócił do Francyi. Nie oddał się spoczynkowi, którego tak bardzo potrzebował i zajął się natychmiast uporządkowaniem obszernego zbioru swych materyałów. Wydał następnie mnóstwo dzieł, zasługujących na niezatartą wdzięczność publiczności. Rzucił nowe światło na wszystkie trzy królestwa natury i na historyą zwierząt zaludniających lasy tych krain obszernych. Zebrał i przywiózł ze sobą przeszło 4,000 gatunków rozmaitych roślin świata nowego, i znaczną liczbę kruszczowych próbek. Sprostował położenie najważniejszych punktów jeograficznych, w krajach przez siebie zwiedzonych, i śmiało można wyrzec na jego sławę, że massa wiadomości i odkryć które przydał do nauk, znacznie przewyższa to wszystko, co inni podróżnicy dla nich uczynili.

Za długo byłoby wymieniać tytuły wszystkich dzieł jego, które liczba tomów, mnóstwo najpiękniej wypracowanych rycin, czynią najwspanialszym pomnikiem wzniesionym dla nauk. Szkoda tylko że nie ma tańszych wydań, który każdy z łatwością mógłby nabyć; tego jedynie brakuje do upowszechnienia dzieł Humboldta.

Opuszczając Mexyk, zostawił tam Humboldt Bonplana, godnego współpracownika swojego, również uczonego, również śmiałego jak on, który przedsięwziął nową wyprawę i postanowił posunąć ją aż do Paragwai. Wykonał w istocie swój zamiar, lecz zaledwie tam przybył, schwytany na rozkaz Dyktatora Francia, osadzony został w więzieniu.

Rok przeszło upłynął, nim wieść o tym samowolnym czynie doszła do Europy. Wiadomość ta, obudziła ze wszech stron głośne zajęcie dla sławnego podróżnika, którego dzieła właśnie w téj chwili jak najchciwiéj czytano. Lecz jakże pośpieszyć na pomoc zatrzymanemu w krainie powstającéj dopiero cywilizacyi, a z którą związki tak są rzadkie i tak trudne?

Nakoniec, dwa lata dopiero temu, Dyktator Francia ulegając groźnym naleganiom nadsyłanym z Europy, lub poznawszy niepotrzebność przedłużania surowości równie niesprawiedliwéj jak bezużytecznéj, dozwolił panu Bonplan opuścić Paragwaj. Zwiastują bliski jego powrót do Europy, którem

http://rcin.org.pl

odznaczy się zapewnie wydaniem nowych dzieł i udzieleniem świeżych odkryć.

Powróciwszy do kraju, Humboldt ciągle zajmuje się naukowemi pracami. Podał projekt odbycia naukowéj podróży do Indyi Wschodniej i Tybetu, na co rząd pruski wyznaczył 12,000 talarów rocznej pensyi i potrzebne astronomiczne narzędzia. Ale podróż ta nie przyszła do skutku. W r: 1829 odbył podróż do gór Uralskich.

---

## BAWOŁ.

»Większy daleko przedział zdaje się zachodzić pomiędzy wołem, a bawołem: mówi Buffon: niżeli między koniem a osłem. Z natury nawet mają odrazę ku sobie. Upewniają że krowy nie chcą karmić bawoląt, a bawolice odmawiają swego mleka cielętom. Bawół jest uporczywszy i bardziéj niepochamowany od wołu; trudniéj nakłonić go do posłuszeństwa; gwałtowniejszy, podlega częstszym, niespodziańszym kaprysom; obejście ma prostackie. Fizyonomia jego jest odrażająca, spojrzenie głupowato-dzikie; wyciąga niezgrabnie szyję i głowę prawie zawsze ku ziemi pochyla. Głos jego jest rykiem przerażającym, donośniejszym, bardziéj ponurym od ryku wołu. Wychudły, z nagim ogonem, czarną sierścią i skórą; cała jego powierzchowność nosi piętno nikczemności. Różni się szczególniéj od wołu czarnością skóry, która przez rzadką sierść przebija. Jest grubszy i krótszy niżeli wół, nogi ma wyższe, głowę w proporcyi daleko mniejszą, nie tak zaokrągloną, rogi czarne spłaszczone, z pomiędzy których spływa mu na czoło kupka kędzierzawych kudłów. Skórę ma grubszą i twardszą; mięso czarne i żylaste, nie tylko nieprzyjemne jest w smaku, lecz odraża powonienie, a mleko bawolicy nie tak jest smaczne jak krowie.» Chcąc ustanowić tę różnicę pomiędzy wołem i bawołem, Buffon stwierdza raczéj stosunki istniejące pomiędzy niemi, a dowodzenia jego dążą do przeciwnego rozwiązania niżeli sobie zamierza: to jest, że bawół jest tylko wołem nie zupełnie oswojonym. To zdanie tém bardziéj zdaje się bydź ugruntowane, iż liczne bawołów gatunki różnią się pomiędzy sobą, względnie do większéj lub mniejszéj wolności, jaka im jest zostawiona. I tak, bawół żyjący w lasach przylądka Dobrej-Nadziei, lub na Malabarskich wybrzeżach, bardziéj jeszcze oddala się od bawołu krającego skiby we Włoszech, niżeli ten od wołu którego powołanie dzieli. Jeśli więc rysy bawołu są mocniéj skreślone, przywyknienia jego dziksze, charakter bardziéj nieugięty, to jedynie dla tego, że przyrodzenie jego wychowaniem niezmienione, więcéj mocy i oryginalności dochowało.

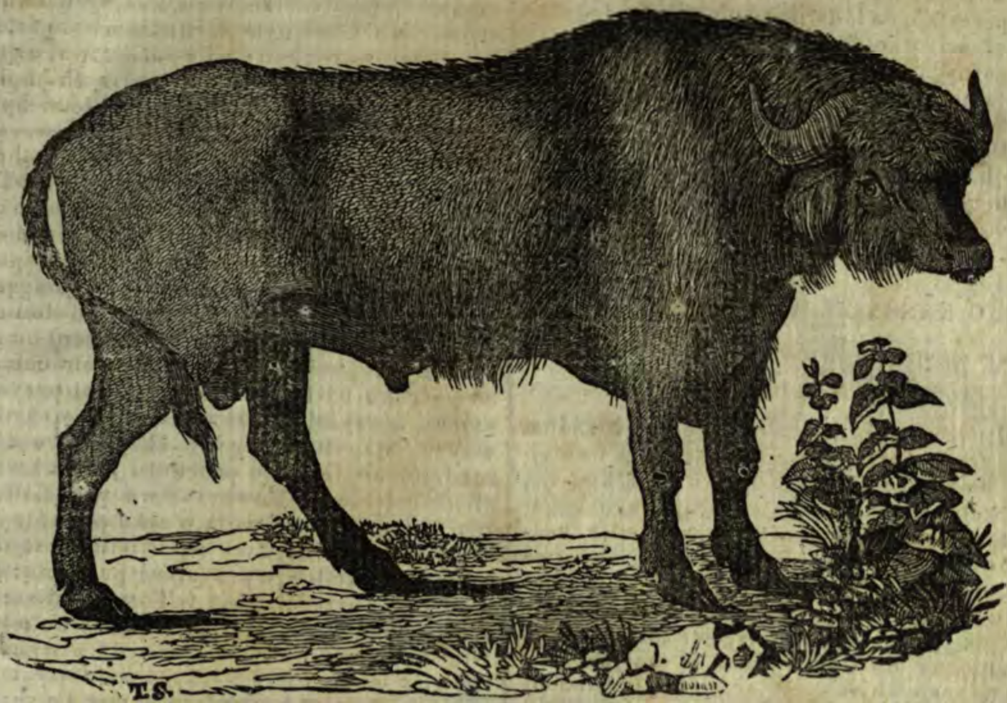
Rozproszony po całéj kuli ziemskiéj, bawół wszędzie przynosi tenże sam użytek co i wół. W wielu okolicach Europy, Azyi, Afryki, zastępuje i przewyższa nawet konia, w pracach rolniczych. Układ karku i głowy powiększa jego siłę; pochylając je ciągle ku ziemi, pcha całym ciężarem ogromnego ciała, a działanie jego jest pośpieszne i dzielne. Powodują nim, prócz bodźca, za pomocą żelaznego kółka, przewleczonego przez nozdrza, które służy zamiast uździenicy. Trzeba obalić i skrępować bawołu, chcąc aby uległ téj operacyi: skoro mu wrócą wolność, zrywa się rozjuszony, ryczy, uderza łbem w ziemię i o drzewa, aby się pozbyć jarzma. Gdy jednakże, po długich wysługach, kółko przedrze nozdrza ciągłem ciśnieniem i wypadnie, poskromiony nawyknieniem, ani postrzega nawet, że przewodnik jego utracił jedno z narzędzi władzy swojéj.

Jeśli potrzeba użyć gwałtu aby wprządz bawołu do pługa, niemniéj podstępem tylko można wydrzéć bawolicy mleko. Ponieważ swojemu tylko bawolęciu pozwala zbliżyć się do wymienia, chcąc ją doić trzeba go miéć przy sobie, a jeśli zdechnie, okryć jego skórą innego bawolika, aby oszukać czułość matki znaną jéj wonią. Mleko bawole, z powodu mocnego zapachu piżma, nie tak jest przyjemne jak krowie, daje masło wyśmienite. Mięso, chociaż zupełnie pośledniejsze od wołowego, jest jednakże ważnym zasiłkiem dla ludu we Włoszech. Skóra nie tak ścisła, chociaż grubsza jak u wołu, nie używa się na obuwie, bo jest za ciężka i woda przez nią zbyt łatwo przesiąka; szacowna jest jednak dla swéj giętkości i ciągłości; w Europie robią z niéj zaprzęgi, tłomoki, kufry, a w Malabarze rozmaite naczynia. Przed wynalezieniem prochu, kaftan ze skóry bawolej uchodził za zbroję zdolną wytrzymać najostrzejsze cięcia; teraz jeszcze używają jéj na pasy do szabel i ładownic. Rogi bawole, dłuższe i większe od wołowych, bardzo cenią grzebieniarze.

Materyalne własności bawołu, jak się okazuje, czynią go bardzo pożytecznym; usposobienie moralne, zręcznie podniecone, posłużyć może za narzędzie rozrywki. Dzikszy, dumniejszy i silniejszy od byka, łatwiejszy do rozdrażnienia, bawół staje się szermierzem pierwszego rzędu, w walkach barbarzyńskich ulubionych od ludu hiszpańskiego. Gdy go podniecą okrzyki tłumu, zachęcą wyzywania, gdy się przed nim rozwinie sztandar purpurowy, którego blask iskrzący razi delikatny wzrok jego, wówczas unosi się zapędem wściekłości, na który bez zadrżenia patrzéć niepodobna.

Jakkolwiek wielką siłę, śmiałość i gwałtowność rozwija bawół w tych amfiteatralnych igrzyskach, nie można z nich o nim zupełnego powziąść wyobrażenia. Już po części u-

http://rcin.org.pl



BAWOŁ.

skromiono jego dzielność, pohamowano dzikość, a tę widownią wybrał i urządził człowiek, któren naprzód zapewnił sobie korzystne powodzenie walki. Na obszernych to płaszczyznach Ameryki, w lasach Indyjskich przylądka Dobréj-Nadziei, szukać potrzeba bawołu, aby go ujrzéć w pełni straszliwéj jego potęgi. Wysoki na stóp pięć, długi na ośm, w ogromne uzbrojony rogi, okryty sierścią czerwono-brunatną, bawół Przylądka, gdy starość zmusza go szukać samotności, wybiera sobie schronienie w głębi lasów. Biada ludziom i zwierzętom, którzy na odgłos jego stąpań nie uciekają jak najśpieszniéj z drożyny którą utorował sobie przez lasy. Nie podóbnym jest opór, strzały nie zdołają zadrasnąć skóry wiekiem zatwardziałéj, kule zwyczajnéj strzelby odbijają się od niéj, a bawół zraniony tém niebezpieczniejszy się staje. Ucieczka nie mniéj jest wątpliwą przed nieprzyjacielem również jak koń szybkim, którego ni ogień, ni woda zatrzymać nie zdołają, którego nic nie zastrasza. Jedynym środkiem ocalenia, jest wdrapanie się na drzewo, lecz żywość bawołu nie zawsze i do tego czas pozostawia. Rozbija wypukłém czołem, tratuje nogami wszystko co napotka, i wtedy dopiero się oddala, gdy wąhając i długo przewracając trupa, przekona się że już dokonał zwycięztwa. Słoń tylko może bezkarnie zakłócić samotnię starego bawołu: przewyższająca jego siła i kły straszliwe, kończą wkrótce walkę, w którą niekiedy bawół wdać się ośmiela.

Bawoły Europejskie, w wątpliwém położeniu pomiędzy swobodą a domownictwem, nie mogą rozwinąć przed oczami badacza, pierwotnéj i dzikiéj swojéj natury, ani przedstawić owych scen wielkich jak w pustyniach Ameryki, gdy nieprzeliczone tworząc zastępy, wędrują z krainy do krainy, bez innego przewodnika, prócz instynktu wodzów które sobie wybrały. W bagnach Pontyúskich jednakże i w Maremmie Toskańskiéj, zachowały jeszcze poetyczne ślady. Nie można widzieć bez zajęcia, tysiące tych dzikich zwierząt, drżących przed władzą kilku ludzi, którzy na wiatro-nogich koniach, z włócznią w ręku, krążą na około stada, ścieśniając je w kole zakreśloném szybkim obiegiem. Dziwno widziéć, w chwili gdy szranki otwarte, gdy zwierzęca siła już ma przemódz pojęcie ludzkie, jak bawoły utracają nagle dzikość, skoro wolne tony miarowéj pieśni obiją się o ich ucho, i jeden po drugim składają hołd posłuszeństwa, wychodząc z szeregów na imienne nawoływanie, zanucone głosem przewodnika.

Bawół również rozmnaża się pod niebem północy jak południa, nie lubi jednak zimnego klimatu, a strefa umiarkowana, zdaje się najprzyzwoitszą dla niego. Podobnież jak inne zwierzęta, zdolne obejść się bez opieki

http://rcin.org.pl

człowieka, bawół umiarkowany i wytrwały, przestaje na lada pożywieniu, ma jednakże właściwe sobie upodobania. Szuka miejsc wilgotnych i błotnistych, żyzną i miękką wydających paszę i gdzie przewalając się, może w bagnistéj wodzie odwilżyć ostrą i suchą skórę. Życzyć należy, ażeby hodowanie bawołów upowszechniło się w Europie; rolnicy zyskaliby przez to użytecznego pomocnika, a krajowidoki nową ozdobę.

## O KASSACH OSZCZĘDNOSCI.

*a mianowicie o Towarzystwie Oszczędności istniejącym w Warszawie.*

Oszczędność, zaleta tak często głoszona, tak rzadko wykonywana, jest najgłówniejszą podstawą dobrego bytu i majątku, tak prywatnych osób, jakotéż krajowego bogactwa. Podać sposobność oszczędzenia, usunąć drobne kwoty od użycia ich na mnóstwo niepotrzebnych przedmiotów, do których ciągnie nas wrodzona lekkość i nawyknienie, zrządzić, aby tę kwotę nagromadzaną zwolna, można odebrać w każdym czasie i użyć jéj na zaspokojenie naglącéj potrzeby, na odwrócenie nieszczęścia, albo na korzystne przemysłowe przedsięwzięcia, jest to wyświadczyć ludziom jak największą przysługę. Zaprowadzenie kass oszczędności, jest jednym z najpiękniejszych owoców cywilizacyi i wzrostu przemysłowego ducha. Jakie korzyści przynosi, ile wpływa na powiększenie dobrego bytu w kraju, a mianowicie w klassach niższych, ile przyczynia się do poprawy obyczajów, przez zamiłowanie ducha rządności i gospodarstwa, ilu zdrożnościom, a nawet i występkom zapowiada, zbyteczną byłoby rzeczą rozwodzić się nad tém w niniejszym artykule. Każdy światły czytelnik ocenić to potrafi, a klassa mniéj oświecona, potrzebuje, nie pisanych rozpraw, ale żywych przykładów, zachęty i napomnień.

W Niemczech, we Francyi i w Anglii, wszędzie zaprowadzono kassy oszczędności, wszędzie błogosławią ich zbawienne skutki. W kraju naszym, instytucya ta powstała w roku 1827 w miesiącu Wrześniu i czyniła wielkie postępy aż do roku 1830. Pomijając instytucye zagraniczne, zamierzam sobie wystawić koleje i stan obecny Towarzystwa oszczędności w kraju naszym.

Towarzystwo oszczędności założone zostało za zezwoleniem rządu, który jego ustawy zatwierdził, a dla czuwania nad jego postępowaniem, wyznaczył Komissarza królewskiego. Pomysł jego i urządzenie, jest dziełem JWgo Henryka Łubieńskiego, Wice Prezesa Banku, pod którego kierunkiem dotąd zostaje. Towarzystwo w ustawach swoich zatwierdzonych przez rząd, usiłowało dać wszelkie rękojmie jakich tylko żądać można i przewidzieć w zwyczajnych okolicznościach. Głównym warunkiem było to, że pieniądze wnoszone do Towarzystwa, użyte będą na zakupienie najpewniejszych papierów publicznych krajowych, a takiemi były wówczas i są dotąd listy zastawne Towarzystwa Kredytowego. Wszelkich innych obrotów wnoszonych pieniędzy, wyrzekło się Towarzystwo, nie chcąc i nie mogąc narażać powierzonych sobie kapitałów, na przedsięwzięcia handlowe, na pożyczki, a następnie na processa i straty ztąd wyniknąć mogące. Towarzystwo nie jest bankiem, ani domem handlowym, ale depozytem. Procent od zakupionych listów zastawnych, zamieniany co półroku na listy znowu procent przynoszące, korzyści z losowania listów zastawnych, wspólnie między akcyonaryuszów rozdzielane, liczenie procentu już od kwoty zł. dziesięciu do Towarzystwa wniesionéj, gdy tymczasem ta kwota w ręku prywatnych zostająca, nie mogłaby z powodu szczupłości swojéj, żadnego przynieść procentu: oto były i są korzyści jakie w Towarzystwie Oszczędności znajdowali ci, którzy do niego wnosili swoje fundusze. Każdy z wnoszących, a mianowicie większe kapitały, miał sobie udzielony exemplarz ustaw Towarzystwa oszczędności i w nich mógł najwyraźniéj wyczytać, że Towarzystwo na nic innego nie obraca jego pieniędzy, jak na zakupienie listów zastawnych po kursie jaki jest w chwili, gdy on swoje pieniądze wnosi; że fundusze wnoszącego, na listy zastawne obrachuje i w nich rachunek prowadzić będzie; że zatém kapitał jego w Towarzystwie znajdujący się, uledz może powiększeniu się albo zmniejszeniu, stósownie do wzrostu lub zniżenia ceny listów zastawnych w chwili, gdy akcyonaryusz z Towarzystwa występować będzie. Bezpieczeństwo i wzmagający się kredyt i kurs listów zastawnych królestwa, nie wzbudzał bynajmniéj obawy, żeby wnoszący do Towarzystwa fundusze, mogli bydź narażeni na stratę części kapitału swojego. Gdy listy zastawne doszły z początkiem roku 1830 do kursu jaki teraz mają, narost coroczny od akcyi Towarzystwa oszczędności, nie mógł bydź już tak wielkim, jak w pierwszych latach po założeniu. Gdy bowiem listy stały 95 za sto, wnoszący naprzykład wówczas zł: 100, posiadał w listach zastawnych zł. 105. gr: 1. od czego procent roczny, korzyści z losowania, ledwie zł. 4. gr: 15ście przyniosły; tak iż końcem roku posiadał z 109 gr: 16 w listach zastawnych. Ale zamiarem Towarzystwa oszczędności nie jest i nie może bydź, nastręczanie akcyonaryuszom, sposobności do znacznych zarobków. Nie mogą one nawet wyrównywać procentowi handlowemu jaki Bank pobiera, gdyż kapitał Towa-

rzystwa oszczędności, nie jest obracany jak to już powiedziano na żadną spekulacyą i pożyczkę.— Głównym i jedynym celem tej instytucyi, było podać sposobność umieszczania kwot drobnych, a mianowicie miesięcznych i tygodniowych składek, a których właściciele, usunąwszy je z przed oczu swoich, nie byliby narażeni na pokusę zmarnotrawienia swoich pieniędzy, ale przeciwnie coraz to nowemi składkami pomnażaliby swój zapas.

Dla tego to w krajach obcych ograniczono wysokość składek i summ na raz wnoszonych. Składający co tydzień, nie może wnieść mniéj jak frank jeden, a więcéj nad 300 fr. Posiadający kwotę 5,000 franków w kassie oszczędności, odebrać ją musi; już bowiem tak jest znaczna, że właściciel może i powinien użyć jéj sam, na korzystne przedsięwzięcia albo też wypożyczyć na procent.

Założyciele Towarzystwa Oszczędności w kraju naszym, wiedzieli o téj zasadzie; ale obok niéj były przeważające względy które skłoniły do tego, aby nie ograniczać wcale wysokości kapitałów do Towarzystwa wnoszonych. Wiemy na jak niskim stopniu jest oświata klass uboższych w kraju naszym; wiemy że nic nie czytają; jedynie tylko przykład panów, fabrykantów, naczelników przedsiębierstw, mógłby skłonić służących i czeladź rzemieślniczą do wnoszenia cząstki zarobków swoich do kassy oszczędności, zamiast trwonienia jéj na szaloną i bez ustanku zawodną nadzieję wygranéj. Oprócz tego, Towarzystwo Oszczędności samemu sobie zostawione, miało niezbędne wydatki, jako to druk świadectw, kwitaryuszów, wynadgrodzenie rachmistrza. Źródłem opędzenia tych wydatków była opłata wnoszona przy wchodzeniu i wychodzeniu z towarzystwa, zastósowana do wysokości wnoszonéj kwoty. Nie można więc było, ograniczając wysokość tę, pozbawiać się wpływu, bez którego obejśdź się nie podobna. Z resztą, każdemu wchodzącemu do T. O. udzielano ustawy, i wyjaśniano gdy dostawał swoją akcyą, że summa jego zamieniona jest po kursie na listy zastawne i w nich rachowana będzie.

Przy założeniu T. O. listy zastawne stały około 75 za sto; w ciągu roku pierwszego wzniosły się przeszło o 12 od sta; w drugim roku podobnież. Ci zatém, którzy w 1827 i 1828 wnieśli pieniądze do T: O: mieli narostu w początku roku 1830, dwadzieścia pięć od sta na samym wzroście listów zastawnych, przeszło dwanaście od sta procentu dwuletniego i korzyści z losowania. Na publiczném posiedzeniu T: O: odbytém w dniu 30 Stycznia 1830 roku. Członek Deputacyi zdający sprawę z tak pomyślnego stanu funduszów, oświadczył wyraźnie, że przy ówczasowym już wysokim kursie listów zastawnych, T. O. nie może na przyszłość czynić nadziei podobnego zysku, i że ten mało co nad zwyczajne cztery od sta procentu od listów zastawnych wynosić będzie. To zdanie sprawy umieszczone było w pismach publicznych, a mianowicie w Dzienniku powszechnym z dnia 2go Lutego 1830 r.

Składanie funduszów w T. O. ciągle się powiększało. Były osoby wnoszące po 50, 100; 200, 500, a nawet po 1,000 zł. miesięcznie, albo też kilkanaście tysięcy razem, ale obok tego z radością widziała Deputacya Towarzystwa Oszczędności, powiększającą się liczbę osób wnoszących po 10 zł: miesięcznie, albo też szczuplejsze nawet kwoty i cieszyła się tą nadzieją, że przykład idący z góry, upowszechni się między uboższemi klassami, i że tym sposobem główny cel, jakim było zaprowadzenie między służącemi i czeladzią rzemieślniczą ducha porządku i oszczędności, osiągniętym zostanie.

W dniu 30 Stycznia 1830 r: następujący był stan funduszów Towarz: Osz: w Warszawie.

Było Akcyonaryuszów 922. Z tych urzędników 214, — Wojskowych 94, — Obywateli 91, — kobiet 142, — służących 84, — rzemieślników 41 — kupców 20. — dzieci za których rodzice składali 127, — doktorów 5, duchownych 4, — uczniów 21, — Instytutów 5, — artystów 7, Niewiadomych 52, — starozakonnych 15. — W porównaniu z rokiem 1828, liczba urzędników i obywateli, pomnożyła się o jedną trzecią część; służących było dwa razy tyle jak w roku 1828, rzemieślników trzy razy tyle. Akcya zł. 100 ryczałtowa, wniesiona w Styczniu 1829 r: wynosiła z końcem Grudnia 122 złp: narost ten składał się z 14 od sta podwyższonego kursu listów zastawnych, z 8 od sta procentu złożonego i korzyści losowania. Kto składał po złp: 10 przez r: 1829, ten miał z końcem Grudnia złp: 136. Ogół funduszów wynosił 2,205,000 złp: w li: zas: W ostatnich dniach Listopada tegoż roku, dochodził do trzech milionów.

Miesiąc Grudzień r: 1830 i początek roku 1831, zadały niezmierny cios Towarzystwu Oszczędności. Listy zastawne spadły nagle na 68 za sto, a w tym właśnie czasie wszyscy rzucili się do odbierania funduszów swoich. Obawa, nieufność i potrzeba, zmusiła do spieniężania listów zastawnych. Największa część funduszów była wniesiona wówczas, gdy listy zastawne stały, biorąc w przecięciu, po 95 do 99 za sto. Akcyonaryusze Towarzystwa, wychodząc z niego, odbierali swój kapitał w listach zastawnych, na które był zamieniony w chwili ich wnijścia do towarzystwa, razem z narosłym procentem i zyskiem losowania. Ale ten narosły procent, nie mógł równoważyć straty jaką ponieśli przedając swoje listy po 68

http://rcin.org.pl

lub 70 za sto. Zamiast spodziewanych zysków, ponieśli stratę i bardzo znaczną. Ludzie rozsądni i znający ducha T: O: wiedzieli, że gdyby pieniądze swoje także w listach zastawnych w domu trzymali, a musieli je sprzedać w tak krytycznéj epoce, podobnąż stratę byliby ponieśli, nie winili więc T. O: ale nieszczęsny stan kraju.— Wtedy to znaczna liczba osób, nawet z oświeceńszych klass, nie zastanowiwszy się poprzednio nad duchem instytucyi, któréj kapitały swoje powierzyła, rozpostarła żale przeciw Tow: O: winiąc je o doznaną stratę. Sam słyszałem nieraz mówiących: »Gdybym był wie»dział że T: O: kupi listy zastawne za moje »pieniądze, to byłbym sam potrafił to zro»bić, albo też wypożyczył komu, a tak nie »poniosłbym straty, jakiéj doznałem prze»dając moje listy w r. 1831 po 70 za sto.»— Jakże łatwa odpowiedź na ten zarzut! Najprzód, każdy musiał był wiedzieć, że T: O nic innego nie zrobi z pieniędzmi tylko za nie kupi listy zastawne; boć przecie znać trzeba zasady instytucyi, do któréj kto wchodzi. Jeżeli nie potrzebował tych pieniędzy w r. 1831, mógł zaczekać z listami, a za parę lat doszły były do dawniejszego kursu. Jeźli zas potrzebował, to równą byłby poniósł stratę, zachowując listy zastawne w własném schowaniu. Teraźniejszy kurs listów zastawnych, najlepszym jest dowodem, że założyciele T: O: dobrze wyrachowali i że listy zastawne są najbezpieczniejszą lokacyą kapitałów, jakiéj bądź instytucyi, a mianowicie T: O:

Oświadczyć jeszcze wypada, że komissarz królewski przy T: O: którym jest JW. Wyczechowski Prezes Sądu Apellacyjnego Kró: Pols: i dwaj cenzorowie przez akcyonaryuszów wybrani, sprawdzają rachunki, iż rejestra utrzymane są w zupełném porządku i że każdy może przekonać się czyli jego należytość słusznie obrachowaną została. Każdy zatém, ktoby miał w tym względzie jaką wątpliwość, może zgłosić się do deputacyi T: O: odbywającéj posiedzenia swoje co środa w pałacu dawniéj Łubieńskich przy ulicy Królewskiéj, w biórze Dyrekcyi szczegółowéj Wdztwa Mazowieckiego.

Naszą publiczność to tylko uderza i bawi, co jest nowością. Liczba akcyonaryuszów T: O: zmiejszyła się do stu kilkudziesięciu, a fundusz ogólny 350,000 zł: w list: zast: nie przechodzi. Ledwie kiedy niekiedy nowy akcyonaryusz przybędzie. Nie można było odbyć ogólnego zebrania od roku 1830, gdyż mimo kilkokrotnego ogłoszenia w pismach publicznych, żaden z akcyonaryuszów na nie nie przyszedł. Takiż sam los spotkał publiczne posiedzenie ogłoszone na dzień 15sty Kwietnia r: b: na którym członkowie deputacyi zdać mieli sprawę z czynności swojéj, akcyonaryusze zaś wybrać powinni byli nową deputacyą, która już od lat sześciu nie odnowiona, urzędowanie swoje pełnić musi.

Trzeba dopiero pewnego przeciągu czasu, aby zbawienne skutki jakiéj instytucyi wyszła na jaw. Kto bez przerwy od założenia T: O: przez lat siedem i miesięcy trzy, wnosił szczupłą kwotę zł. 10 na miesiąc, ten wniósł ogółem kapitału 870 zł: Za tę kwotę posiada teraz w list: zastaw: przeszło zł: 1,200. Któż nie przyzna że tak szczupła kwota zł: 10. oszczędzona co miesiąc od mniéj potrzebnych wydatków, złożona bez najmniejszego uszczerbku w zwyczajnych wygodach, utworzyła już kapitalik, który w nieszczęściu, chorobie, starości, całą rodzinę ocalić może? Iluż to pożałuje zapewne, że mogąc korzystać z instytucyi T: O: zaniedbało tego uczynić. Niechaj więc niniejsza historyczna wiadomość, rozproszy uprzedzenia, przypomni publiczności że jest instytucya wszelkie rękojmie bezpieczeństwa posiadająca, w któréj drobne kwoty nagromadzać się i wzrastać mogą i ożywi zakład jeden z najpożyteczniejszych, jakie w kraju dobrze urządzonym znajdować się powinny.


CENA PRENUMERATY

MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, W KANTORZE GŁOWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10

Na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych i za granicą, rocznie zł 24, półrocznie złp 13.

Można także prenumerować na Urzędach Pocztowych oraz u następujących xięgarzy.

w Kaliszu u Jabnischa.
w Radomiu w xięgarni tamtejszéj
w Lublinie u Streibla.
w Poznaniu u T Scherka
w Krakowie u Friedlejna i Czecha.
w Wilnie u Zawadzkiego.
tamże u T. Glückberga
w Winnicy na Podolu i w Kamieńcu Podolskim } w xięgarniach braci Lechów

Osoby prywatne na prowincyi zamieszkałe, któreby raczyły dopomódz upowszechnieniu pożytecznych nauk, przez zatrudnienie się zbieraniem prenumeraty, otrzymają na 10 exemplarzach 11sty gratis.



WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.


http://rcin.org.pl



## PAŁAC SCHOENBRUNN.

Gdy wyjdziemy ze stolicy państwa Austryackiego, przedmieściem Mariahilf, wzdłuż doliny utworzonéj przez małą rzeczkę Wiedenka, od któréj stolica tegoczesnych Cezarów wzięła nazwisko, nic z razu nie zwiastuje bliskości ulubionego pałacu potężnego Monarchy. Zwolna, okolica przybiera pozór uroczystości i dobrego mienia, które pomieszkania królów, szczególniéj w Niemczech na około siebie rozpościerają, i wkrótce, długa aleja zwraca oczy wędrownika ku pałacowi Schoenbrunn, wznoszącemu się w głębi doliny.

W siedemnastym wieku, Schoenbrunn było tylko miejscem wytchnienia pod czas łowów cesarskiéj rodziny; Cesarze polubiwszy je późniéj, obszerne poczynili plantacye, a roku 1683, Turcy podstąpiwszy pod Wiedeń, zniszczyli zwierzyniec Schoenbrunn. Cesarz Leopold I. naprawiwszy szkody zdziałane przez barbarzyńców, zbudował tam pałac przeznaczony dla syna swego, arcyxięcia Józefa. Zaczęty r. 1690, podług planów biegłego architekta Fischer, i pod jego dozorem wzniesiony, zamek Schoenbrunn ukończony został r. 1700 i poświęcony przez świetne uroczystości i wspaniałe turnieje. Roku 1705, zostawszy Cesarzem po śmierci ojca, Józef Iszy którego gust do wystawności aż nadto okazywał się przez utrzymywanie na dworze swoim czterystu piętnastu szambelanów, jako król Rzymski i Cesarz Austryjacki, zajął się przyozdabianiem zamku Shoenbrunn; jednakże dopiero pod panowaniem Maryi-Teressy, pałac ten powiększył się i doszedł do najwyższego stopnia swojej świetności. Marya-Teressa przenosiła go nad wszystkie domy wiejskie i obrała go prawie wyłącznie na letnie mieszkanie. Znaczna część nieprzeliczonych robotników, których używała na wykopywanie portów i kanałów, przebijanie nowych dróg, tworzenie rękodzielni, wznoszenie wspaniałych przybytków naukom i sztukom, nie przestawała od r. 1744 do 1750, pracować pod jéj okiem około pałacu Schoenbrunn. Szczędząc jednakże skarbów ku dobru publicznemu przeznaczonych, Cesarzowa nadewszystko zalecała oszczędność swojemu architektowi Paccasi. Nie mogąc więc podług własnych działać pomysłów, musiał zachować dzieło poprzednika swego Fischera, i poprzestać na niektórych zmianach, rozprzestrzenieniu i przyozdobieniu. Stary zamek pozostał głównym korpusem nowéj budowy, która odtąd małym tylko odmianom uległa. Będąc więc skutkiem dwóch myśli i dwóch epok, gmach musiał koniecznie przedstawiać rozmaitość stylu i nieregularność szczegółów; lecz te cząstkowe wady, nie przeszkadzają bynajmniéj ogólnemu wrażeniu jakie sprawia całość, i nie ujmują majestatycznéj

http://rcin.org.pl

jego wielkości. Schoenbrunn zwany jest Wersalem Maryi-Teressy.

Urządzone i przyozdobione z tąż samą oszczędnością, wnętrze zamku bogate jest bez wspaniałości, piękne bez przysady. Kobierce, porcelany chińskie, lustra, piękne wyroby sławnych rękodzielni Czeskich, są główną ozdobą pokojów, których rozkład i proporcya, niczém się nie odznaczają. Malowidła, miernego pomysłu i wykonania, są po większéj części dziełem Guglelminiego, któren odmalował kopułę wielkiéj sali Wiedeńskiego uniwersytetu, Rosa, dyrektora galeryi Belwederskiéj i Szweda Marcina Mejtena. Obrazy tego ostatniego, wystawiające zaślubienie Cesarza Józefa IIgo z xiężniczką Parmy, turnieje i rozdawanie orderu Swiętego Szczepana, ręką Maryi-Teressy, jedynie dla tego są zajmujące, że wszystkie prawie twarze, są portretami osób historycznych.

Wśród małéj liczby rzeźbiarskich utworów zdobiących wnętrze Schoenbrunnu, odznaczają się alabastrowe popiersia Franciszka Igo, po którym Marya Teressa przez lat piętnaście nosiła żałobę. Piękny kominek alabastrowy, któren Papież Pius VIty ofiarował Józefowi II, przypomina pobyt Ojca Swiętego w Schoenbrunn.

Pałac Schoenbrunn, wznosi się pomiędzy dziedzińcem a ogrodem. Dziedziniec dosyć skromny, przyozdobiony jest jedynie gruppami, wyobrażającemi Dunaj, Inn i Ens, rzeki użyźniające Austryą, i dwoma fontannami w kształcie obelisków; lecz ogród, jeden z najbogatszych w Europie, wsławia Schoenbrunn. Ponieważ upodobanie botaniki, dziedzicznem jest prawie w rodzinie Cesarskiéj, zwierzyniec Schoenbruński, bardziéj niżeli sam pałac nawet, był celem ciągłej pieczołowitości. Marya-Teressa zaleciła go szczególniéj Paccascemu, a ten architekt-ogrodnik gustownie i wytwornie go urządził. Zwierzyniec ten bardziéj jeszcze się upięknił i zbogacił za staraniem następców monarchini i stał się nakoniec w ręku nie dawno zeszłego Cesarza, jednym z cudów Austryi, szczególniéj zasługującym na podziwienie. Wielkość tego ogrodu, rozkład jego, obfitość zagranicznych roślin, wspaniałe szklarnie, wszystko to są dzieła Cesarza Franciszka, któren nie raz sam brał do rąk nóż ogrodniczy i rydel. »Wszedłszy, mówi pewien podróżny, do owych szklarni, największych ze wszystkich, jakie się znajdować mogą, można mniemać że jesteśmy przeniesieni w pośród lasów Amerykańskich, tak roślinność w nich jest piękna i wspaniała. Tém zupełniejszém jest złudzenie, że pośród bambusów, palm i trzcin cukrowych, unoszą się gromady ptaków równikowych, które także otoczone drzewami na których tysiąckrotnie spoczywały, myślą zapewne że nie opuściły ziemi rodzinnéj.»

Prócz tych szklarni, ogród posiada jeszcze piękną menażeryą, sadzawkę ozdobioną posągami Neptuna i Tetydy, z całym orszakiem Trytonów, Nerejd, koni i potworów morskich; liczne posągi zgromadzone w gruppy lub odosobnione; łuk tryumfalny uszkodzony, z pompatycznem nazwaniem *Zwaliska*; obelisk mianowany Egipskim, spoczywający na czterech złoconych żółwiach, obsiany hieroglifami, na wierzchu którego wznosi się orzeł z rozpostartemi skrzydły; nakoniec na wzgórzu pawilon, zwany *la Gloriette*. To miano tchnące całą lekkością francuzką, dziwnie odbija z ciężkiemi kształty i niezgrabną massą noszącego je pomnika. Lecz obszerne panorama rozwijające się z wierzchołka tego belwederu, nieporównanéj jest wspaniałości. Oko przebiegłszy Wiedeń i mnogie jego gmachy, wyspy Dunaju i dzielną roślinność okrywającą jego wybrzeża, gubi się w obszernych płaszczyznach Węgier i spoczywa w dali na łańcuchu gór, których szczyty piętrząc się jedne po nad drugiemi, tworzą ramę obrazu.

Uroczyste wspomnienia, przywiązane są do pałacu Schoenbrunn. Podobnie jak Ludwik XVI na Wersal, Marya-Teressa rzuca nań jeszcze cały blask wielkiego imienia. Nie bez wzruszenia i poszanowania, wchodzimy do zielonéj altanki, z któréj uczyniła swoją pracownię, przyglądamy się ławce, na któréj siedząc z powiernikiem swoim, xięciem Kaunitz, ważyła losy Europy. Inne imie które przypomina Schoenbrunn, również potężnie uderza wyobraźnię. Po dwakroć (1805 i 1809), człowiek którego zwycięztwo umieściło na tronie Francuzkim, ukazał się i rozkazywał na chwilę w zamku Cesarzów Niemieckich. Napoleon pierwszy raz ujrzał w Schoenbrunn, Maryą Ludwikę.

## POGRZEBY U SŁOWIAN.

(Dokończenie.)

Dawszy poprzednio krótką wiadomość o dawnych pogrzebach, przystępujemy do opisu podobnych obchodów pomiędzy wieśniakami, zamieszkałemi w Województwie Podlaskiém, jako najwięcéj zbliżonemi do obrzędów Słowiańskich. Zabytki starożytności dochowane dotąd, łatwo dostrzedz można, przejrzawszy opisy któreśmy umieścili powyżéj w dwóch artykułach.

Skoro wieśniak umrze, natychmiast jego rodzina sprasza krewnych i przyjaciół dla pomocy do pogrzebu. Jedni z nich więc około ciała zmarłego zatrudniają się, drudzy z prostych desek trumnę robią, w którą kładą zmarłego ubrawszy go w białą koszulę. Jeżeli tojest gospodarz, dają mu w ręce ka-

http://rcin.org.pl

wałek płótna z zawiązanemi dwoma lub trzema groszami, to wyobrażenie przywiązując do tego, ażeby co miał ofiarować ubogim na tamtym świecie. Nadto do trumny kładą święcone ziele, najpospoliciej Bylicę (Artemisia vulgaris) i piołun. Przed kilkunastu laty był zwyczaj powszechny, iż stawiano w trumnie flaszę z wódką; teraz miejscami tylko zachowany. W roku 1826, wykopane kilka trumien w Obwodach Bialskim i Radzyńskim, którem oglądał, okazały tego dowód oczywisty. Ciała w nich nie były jeszcze zupełnie zepsute, można nawet było spotrzedz ostatki koszuli, w których umarłych ubierano: flasze z wódką stały w głowach; przy czem znalazłem kilka groszy z r. 1806, 1813, i sześciogroszówkę z roku 1792.

Skoro już jest przygotowanym ciało zmarłego, wzywają kapłana, który po odmówieniu modlitw i odśpiewaniu pieśni żałobnych, daje znak do wynoszenia trumny. Niosący ją gospodarze, na wóz przygotowany, uderzają w każdy próg domu, na znak pożegnania się zmarłego ze swojém mieszkaniem. Na trumnie kładą kawał płótna, a w niektórych powiatach chleb, co dla kapłana jest przeznaczoném. Nie ma teraz w użyciu najemnych Płaczek, ten zwyczaj wszakże niezbyt dawno ustał. W dobrach Sutnie (*) i innych w około Mielnika, był zwyczaj przed kilkunasty laty najmowania Płaczki. Takowa idąc przed trumną, głośno płacząc, wyliczała w śpiewie żałobnym zasługi i cnoty zmarłego.

Tak przy chowaniu młodéj dziewczyny, płaczka nuciła smutnym głosem.

»O moja siostrunku, jakże ty mene pokinuła,
»Jak ty ze mnoju w koledze była,
»Jakże my z soboju dobre żyli.»

Lecz w najważniejszemi, i najgodniejszemi uwagi, są uczty i modlitwy poświęcone pamięci zmarłych przodków, przyjaciół, i krewnych. Takowe sprawiają cztery razy do roku: to jest w Wigilią zielonych Świątek, w Zapusty przed wielkim postem, na Wszystkich Świętych i w Wielkanocną Sobotę, która w ich dyalekcie nazywa się: »Upominalna Sobota.»

Na Wszystkie Święte, niosą rozmaitego gatunku jadła i te na cmentarzu ubogim rozdają: z miską zaś w któréj znajduje się pirog pszenny, żytny, po trochu rozmaitej strawy, a najwięcéj kaszy jaglanéj, lub jęczmiennéj gotowanéj i jeszcze gorącéj, wchodzą kobiety do cerkwi, i stawiają to na ołtarzu. Gdy kapłan tę ofiarę błogosławi i odprawia nabożeństwo zwane w ich dyalekcie: »Parastat» kobieta przystępując do misy, mięsza łyżką gorącą kaszę, aby z niej para wznosząca się, zasilała te dusze, dla których poświęconą jest ta ofiara.

W Powiatach Łosickim, Bialskim i Włodawskim, w Upominalną Sobotę i w Wigilią zielonych Świątek, przyrządzają ucztę poświęconą zmarłym przodkom. Gospodyni skoro ją urządzi, przed czasem nawet przeznaczonym do biesiadowania, nakrywa stół i stawia potrawy, dla tego, ażeby dusze przez ten czas pożywać mogły. Skoro gospodarz z rodziną i czeladzią ma zasiąść do obiadu, wzywa dusze w te słowa.

»Prijdy duszeczko do teho obida ubohoho.»

Po czem odmówiwszy pacierze, każdego napoju, piwa i wódki zlewa, na stół po trochu, również jak i z każdéj potrawy cząstkę, rzucając pod stół, składa w ofierze dla dusz zmarłych. Przed wstaniem od uczty, gospodarz z przytomnemi odmawia pacierze, a to co dla dusz zostawił, zmiatają ze stołu na ziemię: po czem czysto gospodyni izbę biesiadniczą wymiata miotłą.

Zwyczaj starożytnéj Słowiańszczyzny, iż na tych miejscach gdzie pogrzebionemi byli umarli, przechodnie mieli rzucać kije i gałęzie (patrz wyżéj) sam w Województwie Podlaskiem, w Obwodzie Bialskim widziałem. W ogromnym lesie pod miastem Białą, na zbiegu kilku drożyn, zabito jak świadczy napis na krzyżu drewnianym w r: 1756 dziada, co chodził o żebranym chlebie i na miejscu morderstwa pochowano, odtąd każdy z wieśniaków przechodzących, rzuca gałęzie lub kije, z przejeżdżających zaś w braku tychże, garść słomy lub siana. Takowe dary nazywają jałmużną dla zabitego, i formują ogromne stosy, które z czasem palą. Lecz że ciągle ofiary podobne każdy z przechodniów składa, mniej więcéj można zobaczyć w każdym czasie podobne stosy. W temże Województwie w Powiecie Łukowskim, znajduje się takaż mogiła i ofiary przechodniów składane.

Opiszę tu jeden z obchodów pogrzebowych na Podlasiu, któremu sam byłem przytomny. W jednéj wsi w obwodzie Bialskim, umarł starzec: skoro się o tém dowiedziałem, ciekawy obrzędów wszedłem do chaty nieboszczyka. Ciało jego leżało w trumnie z prostych desek: przybrane w białą koszulę. W ręku złożonych trzymał kawał płótna z kilką groszami. Mnóstwo przyjaciół, krewnych i rodziny, napełniało małą izbę, rzewnie płacząc i głośno wyrzekając. W pośród téj wrzawy, zaledwie można było usłyszeć śpiew, czyli więcéj wrzask Diaka, to jest posługacza Cerkiewnego. Po skończoném nabożeństwie nad ciałem zmarłego, kapłan dał znak, że już czas wynieść trumnę. Wrzawa, płacz i łkania, powiększyły się w téj chwili. Natychmiast wystąpiło kilku gospodarzy, wzięło trumnę, a przechodząc

(*) Dobra Sutnie, leżą w dawnych granicach Województwa Podlaskiego, przed tem dziedzictwo JW Niemirów, znakomitych obywateli w dzisiejszém Podlasiu.

http://rcin.org.pl

od izby do przysionku, uderzyli nią w każdy próg domu, na znak pożegnania się zmarłego z tą chatą rodzinną, z którą raz pierwszy a ostatni, rozdzielał się na zawsze. Złożono ciało na prostym wozie, o jednym koniu. W około szły osierocone dzieci, pozostała żona, krewni i przyjaciele, którym przewodniczył kapłan, nucąc śpiew żałobny. Płacz i żal szczery rodziny i zgromadzonych, do żywego poruszał. — Skoro całą wieś przeszli, zatrzymali się przy krzyżu, na rozstajnych drogach (bo ztąd już dalej xiądz nie odprowadza) kapłan zaczął odmawiać modlitwy; wszyscy przytomni padli na kolana i gorące westchnienia wznosili do przedwiecznego. — Skoro wóz z ciałem miał postępować do odległego cmentarza, gospodarz wiozący trumnę, w imieniu zmarłego, wkrótkich słowach przeprosił za złe czyny, pożegnał pozostałych, i prosił o pamięć:

»Oto (mówił) idzie dusza na tamten świat »i przeprasza przez moje usta żonę, dzieci, »krewnych i przyjaciół, ażeby nie byli za»gniewani, a pamiętali o niém.»

Tu wzniósł się okrzyk żalu i pożegnania ostatniego, który łzy z oczu moich wycisnął. Żona wraz z dziećmi, rzuciły się raz jeszcze do trumny, a okrywając ją pocałowaniem i uściskami, gorzko wyrzekały na sieroctwo swoje. Kobiety przytomne głośno płakały, mężczyźni w cichości ocierali łzy obficie płynące.—Kilku gospodarzy udało się za ciałem zmarłego; reszta zgromadzonych przyjaciół, krewnych, żona i dzieci, powrócili z kapłanem do domu na ucztę żałobną.

Już zastaliśmy stół okryty białem płótnem, na nim stało kilka flasz wódki i piwa. Reszta uczty z nie bardzo smacznych potraw była złożona. Na małych talerzach drewnianych krajana okrągło surowa cebula, dalej surowe również leżały ogórki; ser i chleb razowy kończył te przysmaki.

Zgromadzeni wśród płaczu i częstych wspomnień zmarłego, obficie wychylali piwo i wódkę. Trwała blisko dwie godzin ta uczta, po skończeniu któréj kapłan z rodziną udał się na cmentarz dla złożenia w ziemi ciała. Tak się zakończył ten obrzęd pogrzebowy.

Z opisów przytoczonych o pogrzebach, obchodzonych przez wieśniaków w Województwie Podlaskiém, łatwo dostrzedz możemy, iż jak wiele zachowano z obrzędów Słowiańskich, tak też i przejęto z narodów Litewskich, Żmudzkich i Pruskich. To nas powodowało do umieszczenia pokrótce wiadomości w dwóch artykułach poprzednich, ażeby unikając częstych powtarzań, widzieć i dostrzedz łatwiej można zabytki odległych starożytności, dochowanych dzisiaj.

K. W.

## DZIESIĘĆ TYSIĘCY FRANKÓW DOCHODU.

Gdy miałem lat osiemnaście, co niedziela w pięknéj porze roku chodziłem do Wersalu gdzie wtenczas moja matka mieszkała.

Pewien byłem że wychodząc za rogatki spotkam żebraka, który piskliwym głosem wołał: *Wspomóż biednego Wielmożny panie!* J on także pewien był że dostanie odemnie miedziany pieniądz.

Raz, gdym opłacał Antoniemu zwyczajną daninę (tak się nazywał ten żebrak) przeszedł koło nas mały jegomość chudy i wypudrowany. Antoni odezwał się jak za zwyczaj: *Wspomóż biednego Wielmożny Panie.*



*Żebrak Antoni.*

Przechodzący zatrzymał się, a spojrzawszy na ubogiego rzekł: »Jesteś jak mi się zdaje czerstwym i możesz pracować. Dla czego trudnisz się tak brzydkiem rzemiosłem? Wyprowadzę cię z tak smutnego stanu i dam ci dziesięć tysięcy franków dochodu? Antoni śmiać się zaczął i ja także. —»Smiej się jak ci się podoba, odpowiedział upudrowany jegomość, ale usłuchaj mojéj rady, a otrzymasz to com ci przyrzekł. Niechaj mój przykład będzie dla ciebie nauką. Byłem tak ubogim jak ty, ale zamiast żebrania zrobiłem sobie koszyk i kobiałkę, chodziłem po wioskach i miasteczkach, prosząc nie o jałmużnę, ale o stare szmaty; dawano mi je darmo, a ja

http://rcin.org.pl

przedawałem je papiernikom za dobre pieniądze. Po roku jużem nie prosił o szmaty, leczem je kupował; miałem prócz tego wózek i osła.

»W pięć lat po tém, posiadałem trzydzieści tysięcy i ożeniłem się z córką fabrykanta, który przyjął mię za wspólnika do swego domu handlowego, wprawdzie nie bardzo znacznego, ale byłem jeszcze młody, a przytém oszczędny i czynny. Teraz jestem właścicielem dwóch domów w Paryżu; ustąpiłem synowi moją papiernią i zawczasu wpoiłem w niego zamiłowanie w pracy i wytrwałość. Zrób mój przyjacielu toż samo co ja, a będziesz tak bogatym jak ja.»

To rzekłszy stary jegomość odszedł, a żebrak Antoni tak się zamyślił, że dwie damy przeszły koło niego a on nie poprosił ich o jałmużnę.

W 1815 znajdując się w Bruxelli, wszedłem do pewnéj xięgarni. Wysoki i otyły jegomość przechadzał się w sklepie i wydawał rozkazy kilku komissantom. Spojrzeliśmy jeden na drugiego, jak ludzie którzy się nie mogą poznać, a przecież przypominają sobie iż się gdzieś widzieli. Mości panie, nareście rzekł do mnie xięgarz: czyli przed dwudziestu pięciu laty nie chodziłeś co niedziela do Wersalu? — Co! Antoni? to ty jesteś! zawołałem.— »Panie, odpowiedział, widzisz że stary jegomość prawdę mówił; poszedłem za jego radą i przykładem: on to mi dał dziesięć tysięcy franków dochodu.

## INDYGO.

Naturaliści rozróżniają mnostwo gatunków indygotu: niektóre z nich dostarczają ów piękny kolor błękitny, znany w handlu pod imieniem indygo, tak użyteczny dla sztuk i przemysłu.

Pomiędzy gatunkami tego rodzaju, najbardziéj zajmującym jest *indygot szczery*, mały krzew od dwóch do trzech stóp wysokości, któren ma łodygę prostą, pokrytą krótkiém i leżącém włosiem, kwiatki małe, zielono-czerwonawe lub purpurowe, ułożone w kształcie gronek. Owoc jest wątłym strączkiem, długim na osiem do dziesięciu linii. Krzew ten rośnie w Indyach Wschodnich; chodują go na Antyllach, i w niektórych okolicach Ameryki południowéj: z niego to najlepsze zbiera się indygo.

W Ameryce uprawa indygotu walczy o pierwszeństwo z cukrem i kawą, chociaż nie tak jest korzystna. Ponieważ dla przyśpieszenia jego wzrostu, trzeba chronić go od wielkich wiatrów, bądź naturalnym, bądź sztucznym sposobem, zasiewają go zwykle na krawędzi lasów, w dolinach, a gdy tego uczynić nie można, otaczają płotem ze trzcin, lub innych szybko rosnących roślin. Indygot zarówno boi się suszy jak nawalnych lub długo trwających deszczów, które przyczyniają się wprawdzie do wzrostu rośliny, lecz przeszkadzają tworzeniu się materyi farbierskiéj.

Skoro pierwsze kwiatki zaczynają się pokazywać, co zwykle następuje w ciągu trzeciego miesiąca po zasianiu, czas jest zrzynać indygo. Drugie ścinanie następuje w sześć lub siedm tygodni późniéj, potem trzecie, a czasem i więcéj, względnie do natury gruntu. W Egipcie, gdzie uprawa indygo nie tylu podlega przypadkom jak w San-Domingo naprzykład, gdzie lepiéj się na niéj znają, można otrzymywać poczwórny zbiór; dwa zbiory przed, a dwa po wylewie Nilu.



Sposób wydobywania z liści i łodyg osadu indygowego, nie jest wszędzie ten sam. W San-Domingo, fabryka indygo składa się z trzech kadzi, pomiernéj wielkości i małego naczynia. Kadzie te wznoszą się jedna po nad drugą, tak iż woda zawarta w jednéj, przelaną bydź może do drugiéj: a potém do trzeciej. Naczynie umieszczone jest pomiędzy dwoma ostatniemi kadziami, w celu przyjmowania wypływającego z nich osadu.

Liście i łodygi indygo, kładą się do najwyższéj kadzi; a gdy zostaną pokryte trzema lub czterema calami wody, przyciskają je deskami, aby indygo nie wypadło w skutku fermentacyi. Skoro fermentacya doszła do przyzwoitego stopnia przygotowania o-

http://rcin.org.pl

sadu, przepuszcza się wszystka woda pierwszéj kadzi do drugiéj, wstrząsając nią przez dwie lub trzy godziny, po upływie których opada osad, i zostawia tylko czystą wodę, pięknego bursztynowego koloru. Woda wypływa rurkami na ten koniec przysposobionemi, a indygo w kształcie czarnego płynnego osadu, zbiera się w małe naczynie, o którém wspomnieliśmy wyżéj.

Osad ten wystawia się na działanie powietrza i słońca, potém pakuje się w baryłki gdzie powtórnéj ulega fermentacyi i znowu bywa wystawiony na wolne powietrze, aby doszedł do stanu twardości i łupkowatości, w jakim zwykle widziemy indygo. Wtedy to zmieniony w massę zsiadłą, lekką, kruchą, ciemno lazurową, nie podlegającą zepsuciu, wchodzi do handlu. Indygo z Gwatimala, jest najbardziéj cenione, z San-Domingo drugie zajmuje miejsce.

W wielu okolicach Indyi, oddzielają liście od łodyg, i tylko pierwsze kładą do kadzi, aby piękniejszy osad otrzymać. Chińczycy zażywają wapna do przyśpieszenia fermentacyi. Na zachodnich wybrzeżach Afryki preparują indygo podobnie jak pastele we Francyi: tłuką liście i łodygi, kształtują z nich kulki, i suszą w cieniu. Sposób zażywany w Egipcie jest najprostszy, najpewniejszy i najbardziéj oszczędny. Wrzucają liście i łodygi do wielkich kotłów napełnionych wodą i gotują przez trzy godziny; po czém przepuszczają wodę do innych zupełnie naczyń, biją szerokiemi łopatkami, dopóki się osad nie zsiądzie; potém zlewają ostrożnie wodę i suszą massę. Bicie tenże sam sprawia skutek co fermentacya, nie narażając uprawiacza na stratę zbioru, jak to często wydarza się w Ameryce, gdy fermentacya do przyzwoitego stopnia doprowadzoną nie zostanie.

Użytek Indygo tak jest upowszechniony, tak szacowny, cena jego tak się podwyższa, skoro stosunki handlowe przerwane zostaną, iż przed kilkoma laty postanowiono sprobować, czyliby go nie można chodować w południowych prowincyach Francyi. Nie udały się próby, bądź dla małéj ilości gruntów sprzyjających téj krzewinie, bądź dla stosunku ich wartości, która nie dozwoliłaby sprzedawać produktu po cenie osadniczéj. Lecz od owego czasu Francya zdobyła Algier i można się spodziewać że to zwycięztwo inne jeszcze przyniesie korzyści, prócz zniszczenia schronień korsarzy zakłócających morze środziemne. Klima i grunt Algierski, doskonale są odpowiednie wielu uprawom stanowiącym bogactwo osady, i wszystko zwiastuje że indygot należy do rzędu krzewów, których przeniesienie na afrykańską ziemię, znaczną korzyść przyniesie.

---

## KRONIKA LITERATURY I WIADOMOŚCI NAUKOWYCH.

*Historya prawodawstw Słowiańskich przez Wacława Alexandra Maciejowskiego; Dra prawa i professora, sędziego Trybunału Cywilnego I instacyi Województwa Mazowieckiego. T:* 3, *obejmuje: wstęp do okresu* 24. *Prawo polityczne, historyą oświaty i prawodawstw Słowiańskich aż do wieku VIII. — w Warszawie i Lipsku* 1835 *r: str:* 518.

Dzieło to, którego dwa tomy wyszłe dawniéj, już są tłómaczone na obce języki, możemy za najważniejszą ozdobę literatury naszéj policzyć. — Po wydaniu dwóch pierwszych części, autor odbył podróż w celu zwiedzenia bibliotek Szlązkich, Czeskich i Morawskich: zebrany bogaty zapas materyałów, postawił go w możności wykończenia całego dzieła i wydania trzeciego i czwartego tomu: ostatni wkrótce także opuści prassę drukarską.

Dotychczas nikt nie zabrał się do rozbioru tak ważnego dzieła, i czy to z obojętności, czy z braku zdolności; czytamy tylko proste doniesienia o wyjściu każdego tomu oddzielnie.

Dziełu temu autor piętnaście lat pracy szczeréj poświęcił; wykrył pomniki odwieczne, rozebrał krytycznie i wskazał wszystkim Słowianom prawo ich własne, prawo ich ojców, nie przyswojone od Rzymian, nie pożyczone od Niemców. Dzieło to nie tylko zajmie prawnika: historyk, badacz starożytności, poeta, pisarz romansu historycznego, powinien z nim się obeznać dokładnie; tu każdy nie tylko znajdzie naukę, ale obznajmi się z charakterem pokoleń Słowiańskich, pozna dzieje i obyczaje.

Dzieła podobnego, literatura nasza nie posiadała dotychczas. Rozrzucone pokolenia wielkiéj rodziny Słowian, rozdzielone obrządkiem wiary i dyalektów, zebrał P. Maciejowski w jedno grono; wybadał każdéj charakter, skreślił dzieje i ukazał prawodawstwo własne, w którém się ojcowie rządzili, nie przesiąkłe *cudzem*; prawodawstwo oparte na obyczajach rodziny Słowiańskiéj, którego dotąd nikt nie znał, nie pojmował, o którém to jako o przychodniu z Niemiec rozprawiano, to z północy od Skandynawów, to wreszcie że się wywinęło ze starego Rzymu!

P. Maciejowski pierwszy poznał właściwą rodowitość prawodawstwa Słowiańskiego, umiał ocenić ten skarbiec wielki, obfity, bogaty, a wsparty wielką krytyką i wyższym talentem, rozwiązał zagadnienie godne pracy lat tylu, i tylu trudów. Przywrócił Słowianom prawodawstwo ich własne, pokazał że to co uwielbiali, okryte wdziękiem obcego cudzoziemskiego rozumu, było ich

http://rcin.org.pl

własnym rozumem, i że nie my od obcych, ale obcy od nas pożyczali.

Zarys wydanych dotąd tomów i wyszczególnienie przedmiotów, wraz niektóremi wyjątkami, będą przedmiotem osobnego artykułu.

## BITWA MORSKA.

Jeżeli bitwa na lądzie przerażający obraz przedstawia, daleko okropniejszą jest bitwa na morzu. Tam zbierają się wszystkie sposoby zniszczenia które człowiek wynalazł przeciw podobnym sobie istotom. Mieszkając daleko od brzegów morskich, nie możemy sobie uczynić dokładnego wyobrażenia o okrętach, a cóż dopiero o bitwie na morzu? Nie będzie zatém obojętną dla czytelników, rycina wystawiająca bitwę morską pod La Hogue, jedną z najsławniejszych w historyi.

Gdy w roku 1688, Jakób IIgi z domu Sztuartów, przymuszony był opuścić Anglią, a tron jego ogarnął Wilhelm xiąże Oranii, Ludwik XIV udzielił nieszczęśliwemu monarsze jak najwspanialszéj gościnności i czynił kilkakrotne usiłowania, żeby go przywrócić na tron naddziadów. Nie powiodła się pierwsza wyprawa Jakóba do Irlandyi. Bitwa pod Boyne zmusiła go do powrotu do Francyi; nie odstraszyło to Ludwika XIV i umyślił stanowcze uczynić wysilenie. W r. 1692 zgromadzono wojska między Cherbourg i la Hogue, a trzysta przewozowych statków z wszelkiego rodzaju zapasami, zebrano na brzegach cieśniny La Manche. Król Jakób udał się do la Hogue, oczekując sposobnéj pory do uskutecznienia przeprawy. W tymże czasie uzbrojono dwie eskadry, jednę w Brest pod dowództwem vice-admirała Tourville, drugą w Tulonie. Na nieszczęście, przy wyjściu z cieśniny Gibraltarskiéj, tak mocna burza spotkała eskadrę Tulońską, iż dwa statki rozbiły się przy brzegach, reszta rozproszyła się i na czas nie mogła przybyć do Brestu.

Jednakże, ruchy które się odbywały w portach francuzkich i obozy założone nad brzegami, wznieciły obawę Anglii: rozkazano admirałowi Russel, aby jak najśpieszniéj wypłynął ze swoją flottą. Zgromadził wszystkie siły, złączyła się z nim holenderska eskadra i z pomyślnym wiatrem popłynął ku brzegom Francyi, na czele 99 okrętów liniowych, oprócz wielu fregat i statków palnych.

Też same wiatry zatrzymywały w Breście admirała Tourville. Nareście Ludwik XIV, dowiedziawszy się o wypłynieniu Anglików, rozkazał mu natychmiast wyjśdź przeciw nim i uderzyć na nich, czy będą mocni, czy słabi. Jakób IIgi wzbudził nadzieję, że znaczna część flotty angielskiej, przejdzie na jego stronę. Stosownie do tych instrukcyi, Tourville wypłynął z Brestu i stanął pod La Hogue z 44 okrętami, to jest z flottą o połowę mniejszą od nieprzyjacielskiéj. Admirał przełożył królowi ten stan rzeczy, że nie dowierza nadziejom Jakóba, tylokrotnie zawiedzionym; wszystko było daremném, a gdy w ostatniéj chwili, Ludwik XIV rozmyśliwszy się, rozkazał mu wstrzymać walkę, już było za późno.

Dwie flotty stanęły na przeciw siebie 29 Maja 1692, Tourville mógłbył uniknąć walki, ale mając wyraźne rozkazy królewskie, pokazał je radzie i wypłynął przeciw nieprzyjacielowi. Admirał znajdował się w samym środku linii na okręcie o 106 działach zwanym *Słońce Królewskie*. Flotta angielska i Holenderska, czekała na nią, i francuzi zbliżyli się na wystrzał z pistoletu. O dziesiątéj rano wszczęła się walka bezprzykładna dotąd; każdy z okrętów francuzkich musiał wytrzymać uderzenie dwóch, a nawet trzech okrętów nieprzyjacielskich. Nic nie można porównać z wściekłością z którą Anglicy uderzyli na okręt admiralski; ale odpowiedział im tak dzielnie, iż dwa razy odpędził trzy okręty o stu armatach każden, które uderzyły na niego; jeden z nich zatonął, a drugi wyleciał na powietrze. Walka przerwana przez czas niejaki pod czas gęstéj mgły, rozpoczęła się znowu przy świetle xiężyca. Pośród okropnego huku armat, dwa główne okręty Tourvilla, musiały chronić się pięciu statków palnych przeciw nim wypuszczonych. Znużone wreście tak dzielnym oporem, okręty Angielskie odstąpiły napadu, przechodząc pomiędzy okrętami francuzkiemi, ale drogo przypłaciły tę zuchwałość; obsypano je kulami, skoro tylko okazały się z boku. Strata w ludziach prawie równa była z obojéj strony i okręty równą szkodę poniosły.

Pozostawało tylko admirałowi francuzkiemu uskutecznienie odwrotu; ale okręty nie mogły płynąć razem i nazbyt oddalone były od obronnych portów. tak dalece, że ta walka zaszczytna wprawdzie dla marynarki francuzkiéj, pociągnęła za sobą jak najsmutniejsze skutki. Admirał angielski spalił trzynaście okrętów w portach La Hogue i Cherbourg, a jego wice-admirał sześć zniszczył w innych miejscach. Sława admirała Tourville, nic na tém nie ucierpiała. Ludwik XIVty oddał mu sprawiedliwość. Dowiadując się o téj klęsce, zapytał się przedewszystkiém: »A Tourville czy ocalał? Można znaleźć okręty, ale nie łatwo znaleźć takiego oficera jak on był.» W rok potém, w Czerwcu 1693, świetném zwycięztwem powetował klęskę pod La Hogue.

http://rcin.org.pl



http://rcin.org.pl



LIRA. (*)

W lasach starego świata, nie znajduje się ten piękny ptak, którego tu wyobrażenie umieszczamy. W głębi nieznanych pustyń, gdzie jeszcze stopa ludzka nie postała; natura kryje w sobie najosobliwsze cuda, i może jeszcze umiejętność nie poznała jéj utworów najbardziéj zasługujących na podziwienie. W miarę jak człowiek zapuszcza

się w nieznane krainy, pokazują mu się istoty nie należące do żadnego z tych rodzajów i gromad, które utworzyli uczeni; trzeba dla nich ustanowić nową klassę, nowe nazwisko.

Ptak Lira, z którego powodu uczyniliśmy powyższe uwagi, mieszka w najmniéj znajomych częściach świata, w Nowej Holandyi. Buffon jeszcze go był nie znał. Żyjąc w głębi lasów pomiędzy górami, Lira nie dawno zajęła miejsce w Ornitologii. Dotąd jeszcze nie oznaczono ją dokładnie, nie uczyniono dostatecznych uwag nad jéj sposobem życia. Lira, mówi jeden z naturalistów, jest wielkości bażanta, i dla tego nazwana jest bażantem górnym, przebywa na drzewach i tylko dla szukania żywności z nich zstępuje. Jego postawa jest kształtna jak bażanta, a poważna i wspaniała jak pawia. Pierze czerwonawe, ciemno-szare i popielate, nie odznaczają się bogactwem; ale natura rozwinęła cały swój przepych w układzie i barwie piór jéj ogona.

Składa się on u samca z szesnastu steruwek troistego kształtu; a naprzód z dwunastu steruwek bardzo długich z chorągiewkami bardzo szerokiemi, rzadkiemi i tak strzępiastemi, że każdy włos ich chorągiewki ma kształt osobnego wązkiego piórka; powtore z dwóch cokolwiek krótszych, na boki słabo łukowato wywinionych z chorągiewkami, gęstemi tylko po jednéj stronie, na koniec z dwóch drugiém równych, esowato wygiętych, mających po jednéj stronie chorągiewkę wązką gęstą, a po drugiéj chorągiewkę szeroką miejscami symetrycznie gęstszą i rzadszą, niby powystrzyganą, w poprzek różno-barwno pręgowaną. Te cztery sterunki naśladując postać lutni, wydają się w ogonie rozwinionym jak cztery wstążki na tle gazowym. W czasie pogodnym samiec wznosi ogon w górę, rozwija go, i obraca się tyłem do słońca. Promienie słoneczne spadają na niego przez rzadkie chorągiewki ogona, podobnie jak przez zasłonę gazową.

Samica jego ma ogon długi, klinowaty z piór zwyczajnego kształtu, bez wszystkich tych ozdób. Lira żywi się owadami i robakami, tudzież owocami i nasionami roślin. O ich sposobie życia, nic więcéj pewnego dotąd nie mamy.

(*) W Zoologii Jarockiego zwany Dziwogon, po łacinie Menura: zostawiliśmy temu ptakowi jego nazwisko francuzkie, jako przyjemniejsze i bardziej poetyczne.

## KRONIKA LITERATURY I WIADOMOŚCI NAUKOWYCH.

*Wyprawa Igora na Połowców, poemat Sławiański wydany przez Augustyna Bielowskiego. Lwów, nakładem Fr. Pillera* 1833.

W przedmowie naprzód wydawca opisuje wynalezienie tego starożytnego pomnika i daje o nim swoje zdanie.

»W roku 1795 (mówi) zakupił Alexy hrabia Mussin-Puszkin po Archimandrycie Kijowskim znaczny zbiór rękopismów, między któremi znalazł się jeden z napisem: »*Słowo o płku Igorewie.*« Była to pieśń bohaterska w języku staro-ruskim, opiewająca wyprawę Igora na Połowców, zaszłą w roku 1185, wkrótce po téjże wyprawie, to jest w wieku XII. jeszcze napisana, jak się o tém z samego textu łatwo przekonać można. Po ocenieniu jéj wartości, ogłosił ją tenże Mussin-Puszkin po raz pierwszy w Moskwie 1800 r. wraz z przekładem na język rossyjski. Wice-Admirał Szyszków wydał ją na nowo w r. 1805 w Petersburgu, z objaśnieniami i przekładem powtórnym. Odtąd pokazywały się liczne jéj tłómaczenia, wiązaną i nie wiązaną mową na język rossyjski, niemiecki, francuzki, czeski i polski.

»Co do języka téj pieśni, jest on odmienny nieco od tego jaki w zabytkach piśmiennych rusko-słowiańskich z X, XI. i XII. wieku, a mianowicie w traktatach xiążęcia Olga i Igora z cesarzami greckiemi, w Prawdzie-Ruskiéj, w traktacie Mścisława xięcia Smoleńskiego, wreście w kronikach owego czasu napotykamy. Okoliczność ta zwróciła w samym początku uwagę badaczów starożytności sławiańskich.

Uczony Szlecer wahał się długo uznać autentyczność téj pieśni, uznał ją nareście. Dziś o téj autentyczności nikt nie wątpi. Główna przyczyna różnicy języka téj pieśni z innemi zabytkami z tamtych czasów, jest w samymże przedmiocie: nie mamy żadnych zabytków poetyckich z owych czasów, z któremibyśmy pieśń tę porównać mogli. Spiewak ludu, a takiemi byli pod ówczas wszyscy śpiewacy, złączony ściśle ze wszystkiém cokolwiek składało jego narodowość, z wyobrażeniami i przesądami ludu, jak w malowidłach i twierdzeniach swoich, różnił się od chińskiego prawodawcy i klasztornego mnicha, tak też i pod względem języka, obszerniejsze miał pole wyjawić nieznane zwroty, a razem jędrność i dosadność jego w całéj świetności. Pieśń o wyprawie Igora w ostatnich latach XII. wieku napisana, jest prawie całkiem pogańska, jakkolwiek Ruś za Włodzimierza Wielkiego ochrzczona, blisko od półtrzecia wieku zostawała już w chrześciaństwie. Przydać należy i to, że Ruś ówczesna składająca się po większéj części z różnych sławiańskich ludów, musiała mieć już podówczas w języku swoim rozmaite narzecza (dyalekty). Dla tego to niektórzy tłómacze posądzają twórcę téj pieśni o spolszczenie wielu wyrazów: a Jakób

http://rcin.org.pl

Gożarski tłómacz jéj na język rossyjski, trafnie uważa, że klucza do zrozumienia języka téj pieśni, szukać potrzeba w dawnéj Polszcze, w narzeczu gminném około Kijowa, w którém to miejscu podług wszelkiego podobieństwa pieśń niniejsza tworzona była.

»Zachodzi niejaka wątpliwość, czy pieśń ta pierwotnie mową wiązaną czy niewiązaną śpiewana była, zwłaszcza, że jedyny jéj rękopism, który rzecz tę nie mało mógł wyjaśnić, złożony w bibliotece moskiewskiéj, podczas spalenia Moskwy w roku 1812 zaginął: wszelako biorąc pieśń tę w tym kształcie w jakim do nas doszła pod rozwagę, wnieść można z niejaką pewnością z poprzecinanych okresów i rozkładu myśli, że była napisana mową wiązaną, rytmem właściwym wiekowi, podobnie jak pieśni *rękopismu Króledworskiego*, z któremi tak pod względem ducha, jako też i języka wiele ma spólnego.

»Przejęty pięknościami téj pieśni, starałem się przełożyć ją na język ojczysty, w przekonaniu, iż myśl sławiańskiego śpiewaka wynurzona przed sześcioset laty, w dzisiejszéj naszéj mowie tęgość i dosadność znajdzie; nie troszcząc się o to czyli użyta przezemnie śmiałość zwrotów i przenośni urojonym prawidłom smaku odpowie.»

W końcu dodany jest wierny przekład całego poematu prozą.

Przekład ten A. Bielowskiego, do ozdób literatury należy: ktokolwiek czytał jego przekłady pieśni serbskich w *Haliczaninie* i *Czasopismie Ossolińskiego*, dumy i dumki z ruskiego w Noworoczniku *Ziewonija*, każdy się przekona, że włada po mistrzowsku językiem i równego sobie w tym względzie nie ma i nie prędko znajdzie. Oznajmiony dokładnie ze wszystkiemi dyalektami ludów sławiańskich, przyswoił nam najpiękniejsze pomniki prawdziwie poezyi narodowéj Ruskiéj, Serbskiéj i Czeskiéj.

Przytaczamy tu z pieśni Igora wyjątek:

Takie to niegdy ścierały się mocy!
Lecz takiéj wojny nie słyszano jeszcze:
Od rannych świtów do nocy, od nocy
Do świtu, gęste strzał się leją deszcze;
Słychać grzmot szabel, śród trzasku oszczepów
W dalekiéj ziemi połowieckich stepów.
A czarny obszar końskiemi kopyty,
Zorany, kośćmi zasiany—krwią zmyty.
Co za szum rano? co za dźwięk przez pole?
Igor zwraca pułki, żal go bodzie
Za tobą miły bracie Wsewołodzie!
I dzień i drugi, trwa bój zajadły,
W trzecim sztandary wojsk Igora padły;
Tu się brat z bratem nad bystrą *Kajałą*
Żegna — krwawego wina im nie stało.
Żałosna trawa ziemię liść rozściela,
I drzewo tęschne przekłania konary,
Bo wstały czasy, nie czasy wesela:
Pustynia całe zaległa obszary! —

## ŻAL JAROSŁAWNY.

(*Małżonki Igora, a córki Jarosława Włodzimierowicza xięcia Halickiego.*)

Głos Jarosławny słychać (rankiem w Maju
Kukułka takiém kukaniem się żali:)
»Polecę (mówi) ku brzegom Dunaju,
»Bobrowy rękaw umoczę w Kajali,
»Otrę krew xięciu i rany niedawne
»Na skrzepłém ciele.»
Słychać Jarosławnę;
Z wieżyc Putywla, tak płacze zaraniem.
»O wietrze! wietrze! czemu silném wianiem
»Chanowi w pomoc idą skrzydła twoje?
»Czém miotasz strzały na lube mi woje?
»Małoż ci jeszcze, po gór bujać szczycie,
»I chwiać korable po morza błękicie?
»Czemuż wesele rozwiałeś mi dawne?»
Z wieżyc Putywla słychać Jarosławnę:
»O! Dnieprze, sławą, ciekący po ziemi!
»Skały'ś Połowców przedarł prądy swemi.
»Tyś *Światosława* korablów gromadę
»Niósł na *Kobiaka* (1) wróć mi mego *Ładę*. (2)
Z Putywla wieżyc płacze Jarosławna:
»O! słońce! trzykroć promienne i ciepłe,
»Ożywiasz żywe, budzisz twory skrzepłe!
»Za cóż z twych szlaków po podniebnym sklepie
»Na lube woje ciskasz żar nie czuły?»

## O NURKACH I ŻEGLUDZE PODWODNEJ.

Znajdują się chociaż bardzo rzadko, ludzie tak ukształtowani od natury iż mogą długi czas zostawać pod wodą. Anatomia wyjaśnia to zjawisko, właściwe w ogólności wszystkim zwierzętom ziemio-wodnym.

(1) Kobiak xiąże połowiecki, którego wielki xiąże Światosław w roku 1184 niedaleko rzeki Orły poraził i samego wraz z dwoma synami i 7000 wojska wziął w niewolę.

(2) Łado sławiańskie bóstwo miłości, harmonii i porządku, wspominane i dziś w pieśniach ludu. Jarosławna nazywa tém mianem swego męża, co oznacza razem ładnego i kochanego.

http://rcin.org.pl

Prócz tych wyjątków, nie podobna jest człowiekowi bez zaduszenia się, zostawać pod wodą dłużéj jak dwie minuty.

Trzeba więc było szukać sposobów; aby przedłużyć jego pobyt na dnie morza lub rzeki, dla uskuteczniania poszukiwań i prac, których bez tego byłoby niepodobna wykonać. Starożytni mieli nurków. Z tego powodu Pliniusz opowiada następującą okoliczność.

»Antoniusz i Kleopatra czasem bawili się łowieniem ryb na wędkę i wódz rzymski gniewał się mocno kiedy nic schwytać nie mógł. Pewnego dnia rozkazał tajemnie nurkom swoim aby do jego wędki przyczepiali ryby, które z sobą przyniosą. Udało się to podejście, ale Kleopatra poznała się na niem. Kazała zawołać jeszcze zręczniejszego nurka i poleciła mu, aby przyczepił do wędki Antoniusza rybę soloną. Antoniusz poczuł że wędka już jest obciążona i wyciągnął ją z pośpiechem. Można sobie wyobrazić jak się zmieszał widząc zdobycz swoją.»

Wiadomo że od niepamiętnych czasów, połów pereł odbywa się za pomocą nurków, nazwyczajonych od dzieciństwa do téj pracy. Chociaż nie mogą zostawać w wodzie dłużéj nad dwie minuty, przez ten czas zbiorą jednak znaczną ilość muszli perłowych. Łowią perły w morzu Sródziemném, przy brzegach Szkocyi, Norwegii, ale najdoskonalsze znajdują się przy wyspie Cejlan.

Na kilka dni przed połowem, nurki przysposabiają się do téj pracy, kilkakrotnie smarując ciało oliwą. Biorą posilniejszą żywność i wykonywają zabobonne obrzędy, które podług ich zdania ochronią ich od napaści potworów morskich. Nurki narażają się na wielkie niebezpieczeństwa; jedni kaleczą się o skały, drugich pożerają ludojady.

Od dawna doradzano dla zmniejszenia tych niebezpieczeństw, rozmaite wynalazki mniéj lub więcéj trafne. Te wynalazki zasięgają najdawniejszéj starożytności.

Arystoteles mówi że za jego czasów używano dzwonu nurkowego.— W dziełach ojca Marsenne drukowanych w 1634, znajduje się opisanie aparatów używanych w tém celu. Cóżkolwiek bądź, dopiero od lat kilku liczne ulepszenia przyprowadziły te machiny do tego stopnia doskonałości, iż się stały rzeczywiście użytecznemi.

Pomiędzy tegoczesnemi machinami, zwraca uwagę *Spencer* wynalazek pewnego anglika i Triton przez pana Frederyka Deberry. Machiny te dozwalają wolnego ruchu nurkom i za ich pomocą mogą zostawać w wodzie tak długo jak im się podoba. Tryton, którego wyobrażenie załączamy składa się z aparatu do oddychania, złożonego z dwóch mieszków. Te mieszki zamknięte są w pudełku, przez które woda nie przesiąknie i przymocowane na plecach nurka. Powietrze rurkami prowadzone do pudełka, dochodzi do płuc za pomocą mieszków poruszanych lekkiem kołysaniem głowy; powietrze zużyte wychodzi inną rurką.



*Tryton.*

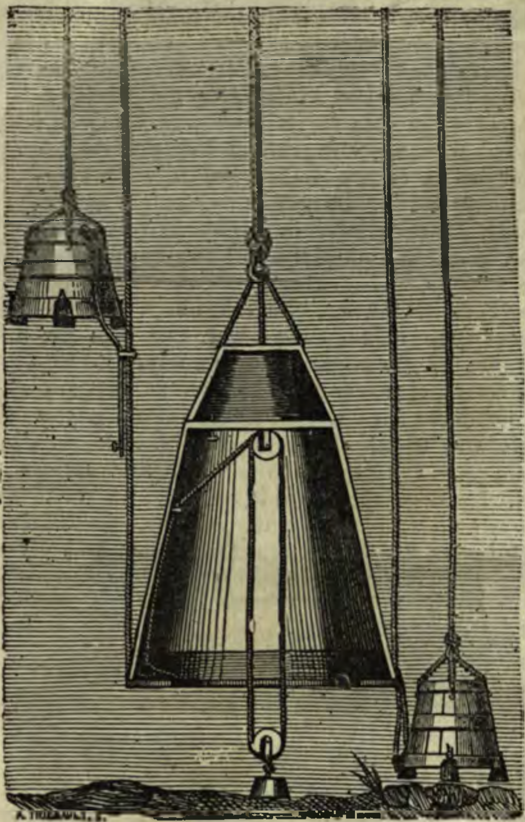
Te wynalazki są jeszcze bardzo niedokładne i trudne do użycia i dla tego przenosimy nad nie dzwon nurkowy mimo jego niezmiernéj ceny.

Ta machina od lat kilku ważnym zmianom uległa. Karól Dupin tak opisuje tę, któréj używali Anglicy podczas jego bytności w W. Brytanii.

»Dzwon jest z żelaza, ulany od razu i podobny do wierzchołka czworobocznéj piramidy; dolna jego podstawa ma dwa metry długości a metr i ćwierć szerokości, wysokość wewnętrzna wynosi półtora metra. Dwanaście dziur okrągłych znajduje się w jego wyższéj powierzchni, w dziurach tych osadzone są szkła wypukłe. Za ich pomocą, o osiem metrów pod wodą można tyle widzieć ile potrzeba dla uskutecznienia prac wymagających pewnéj dokładności. Są wewnątrz dzwona 1mo dwie ławki, na których siadają robotnicy, 2re pierścienie przez które przewleczone są sznury od narzędzi potrzebnych do robo-

http://rcin.org.pl

ty, 3cie sznury przywiązane do dwóch pierścieni będących na zewnętrznej powierzchni dzwonu, dla przywiązywania ciężarów które chcą wyciągnąć z wody.



*Dzwon.*

Dzwon urządzony tym sposobem, można zawiesić u rufy statku, który go przenosi tam gdzie jest potrzebny. Spuszczają go zwolna za pomocą klubów, a powietrze które się w nim nie znajduje, nie dopuszcza wody. Robotnicy mogą zatem siedzieć pod nim tak długo, dopóki nie zużyją wewnętrznego powietrza, coby wkrótce nastąpić mogło, gdyby za pomocą pompy naciskającej, poruszonej na powierzchni wody, rurka przyśrubowana do wyższej części dzwona bez ustannie nie odmieniała powietrza. Budując tę machinę poczyniono nowe ulepszenia i tak naprzykład, pompę cisnącą i rury do prowadzenia powietrza, zastąpiono mniejszemi dzwonami zupełnie podobnemi do pierwszego które spuszczają się z nim razem i służą za rozerwóar powietrza. Gdy robotnik potrzebuje powietrza, wciąga je z tego dzwonu za pomocą bardzo krótkiej rurki a powietrze zużyte wierzchem dzwonu wypuszcza. Tym samym sposobem mogą przysyłać robotnikowi potrzebne materyały. Za pomocą takiej machiny, postawiono na rzece Gironde, mimo bardzo mocnego pędu wody filary przepysznego mostu w Bordeaux.

Po odkryciu Ameryki, Montezuma cesarz Mexyku, wrzucił w jezioro wszystkie swoje skarby i naczynia złote i srebrne, aby ich nie dostali chciwi Hiszpanie. Miało się utworzyć w Anglii towarzystwo, które za pomocą dzwonu nurkowego, szukać będzie tych skarbów na dnie mexykańskiego jeziora. Nie wiemy czyli ten zamysł przyszedł do skutku, ale nie dawno dzwon nurkowy posłużył do wydobycia z morza ładunku fregaty angielskiej Thetys, która się rozbiła przy brzegach Brazylii i znajdowało się na niej kilkanaście milionów piastrów. Prawie całą tę kwotę wydostano, chociaż rozproszone szczątki zagrzebane były prawie o trzydzieści stóp głębokości.

Użyto takiego samego dzwonu w porcie Cherbourg, do rozmaitych budowli pod-wodnych, a nawet wysadzono prochem skały ukryte pod wodą i niebezpieczne dla żeglugi, ale te wynalazki są niczem w porównaniu tych, które mają na celu żeglugę pod wodą. Pierwsze doświadczenia czynione w tym względzie, zasięgają bardzo dawnego czasu. Przytoczymy tylko prace ojca Marsenne, który w 1634 radził używać miedzi do budowania okrętów zanurzających się w wodzie. Wymyślił także armaty i inne machiny wojenne, dla rozbijania okrętów nieprzyjacielskich.

Jego pomysły i innych autorów, którzy po nim nastąpili, nie przyniosły żadnego skutku. W owym czasie Fulton amerykanin który czynił w tym względzie rozmaite doświadczenia, zbudował za rozkazem pierwszego konsula, okręt podwodny, który poddał pod roztrząsanie kommissyi i uczynił pomyślne doświadczenia w portach Havre i Brest. Opowiadają, że płynąc od jednego portu do drugiego, Fulton dawał znak trwogi nadbrzeżnym warowniom i zwodził statki kanonierskie, zanurzając się nagle, aby znowu pokazał się w innym kierunku. Jednakże jego statek potrzebował bardzo wiele ulepszeń. Ale rząd odmówił mu funduszów do czynienia dalszych doświadczeń i było to wielką pomyłką. Napoleon z początku przyjął plany Fultona ale po tem nazwał go szarlatanem i oszustem. Mimo takiej niesprawiedliwości, Fulton nie zaniechał prac swoich. On pierwszy zbudował statki parowe powszechnie teraz przyjęte, czynił nowe doświadczenia względem żeglugi pod-wodnej i dokazał tego, iż zanurzywszy się na jednym ze swoich statków, zahaczył do dna wielu starych okrętów petardy, których zapalenie uskuteczniało się za pomocą machiny zegarowej i zamku jak u pistoletu.

http://rcin.org.pl

Smierć zaskoczyła go w r. 1815, pracował w tedy nad budową okrętu zwanego *Niemy*, który miał zanurzyć się równo z powierzchnią wody. Człowiek jeden wychylając głowę nad pokład, byłby wskazywał drogę. Można było w cichości zbliżać się do okrętow nieprzyjacielskich i roztrzaskać je za pomocą kolombiad, podwodnych krótkich armat, których kula waży sto funtów. Nigdy nie doświadczano tego wynalazku ojca Marsenne. W 1814 Fulton sprobował go i skruszył pod wodą w odległości dwunastu do dziesięciu stóp sztukę drzewa tak grubą jak ściana największego okrętu.

Od owego czasu kapitan Johnson powtórzył w Anglii kosztem admiralicyi doświadczenia Fultona i udało mu się doskonale. Pewnego dnia zanurzył się pod wodę Tamizy, aby przyczepić petardę do dna starego i nieużytecznego okrętu. Nie mógł oddalić się od niego. kotwica jego statku zaplątała się z liną okrętu wystawionego na te doświadczenia. Johnson rzekł spokojnie do człowieka, który mu towarzyszył. »Mamy tylko dwie minut do śmierci, jeźli się nie zdołamy odplątać. Ten człowiek nie dawno ożeniony, łkał i rozpaczał; ale Johnson rzekł do niego: »Zdejm twój kaftan i zatkaj nim dziurę przez którą lina przechodzi. Wtedy porwawszy topór, odciął linę, zostawił swoją kotwicę i odpłynął. Natychmiast potém petarda wybuchła i stary statek roztrzaskał się na tysiące kawałów.

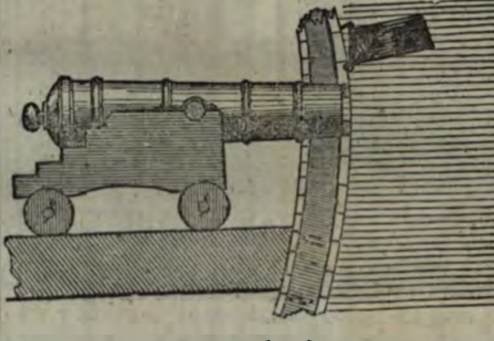
Rozmaite próby czynione dotąd, ograniczały się na budowaniu małych statków zanurzających się, które nie mogły odbywać długiéj podróży i zanurzały się tylko równo z powierzchnią wody.

Ale otóż pan Montgery, kapitan fregaty z marynarki francuzkiéj podaje projekt wybudowania nowego podwodnego okrętu, któren nazywa *niewidzialnym*, ponieważ może zupełnie zniknąć w obecności nieprzyjaciela. Taki okręt zniszczyłby jakie bądź okręty. Wynalazek swój następującym sposobem opisuje ten oficer. Długość statku wynosi osiemdziesiąt sześć stóp, szerokość dwadzieścia trzy, głębokość czternaście, część wyższa, podobna do téj części okrętów zwyczajnych, która jest zanurzona w wodzie, opatrzona jest szkłami wypukłemi; na tyle są dwa maszty, na przodzie maszt wielki i maszt leżący na sztabie. Ten maszt wciągany jest wewnątrz okrętu, a maszty prostopadłe są na zawiasach i kładą się w rowie na środku pokładu.

Wnętrze statku rozdziela horyzontalna posadzka. W dolnéj części są przedziały, jedne do umieszczenia zapasów, drugie do przyjmowania wody albo powietrza, gdy chcą zanurzyć się albo wypłynąć na wierzch. Koła podobne do tych jakie są przy statkach parowych i dwa wiosła, służą do nadawania kierunku okrętowi.

Cztery kolombiady, pompa naciskająca ze sto rac pod morskich, tyleż petard pękających w wodzie składać mają broń zaczepną tego okrętu.

Dwie rury żelazne stoją prostopadle na pokładzie i tylko o kilka stóp go przewyższają, wysuwają się tak jak perspektywa i są zakończone sferycznym kapturkiem, w którym są cztery dziury, wielkie na kwadratową stopę. Dziury te zamknięte są klapami, które otwierają się skoro tylko woda nie naciska na nie; niżéj znajdują się inne dziury, przez które człowiek może patrzyć na widokrąg, chociaż okręt jest zanurzonym: te rury wystają jeźli tego potrzeba, aż do pięciu stóp na pokład. Rezerwoary zgęszczonego powietrza zastępują miejsce rur, w tym przypadku, gdyby obie nie zdolne były do użycia.



*Armata podwodna.*

Kolombiady stoją na przeciw dziury czyli strzelnicy mającéj zamkniętą klapę, która nie przepuszcza wody. Przypuśćmy teraz, że kolombiada nabita będzie prochem i kulą, na wierzch którego kładą zatyczkę ciasną i dobrze stłuszczoną. Wprowadzają paszczę armaty w strzelnicę, tak aby ją zupełnie zatkać, a w chwili wystrzelenia wznoszą klapę, która po cofnięciu się armaty natychmiast opada tak, iż bardzo mała ilość wody wpaśdź może do okrętu, zkąd wypompuje się naciskającą pompą. Chcąc zanurzyć okręt, wpuszczają dostateczną ilość wody na dno okrętu: chcąc wypłynąć wyrzucają wodę pompami a wpuszczają powietrze.

W rezerwoarze znajduje się tyle powietrza iż okręt może przez piętnaście godzin zostawać pod wodą.

Anglik Johnson, kapitan podług niektórych dzienników, podług innych kontrabandzista, o którym wspomnieliśmy wyżéj, umyślił uwieść Napoleona z wyspy S. Heleny za pomocą okrętu pod-wodnego. Johnson zamierzył sobie nad wieczorem przy-

http://rcin.org.pl

płynąć do wyspy, zanurzyć okręt i tak zbliżyć się aż do brzegu. Wtedy byłby dał znać więźniowi. Jego odwaga i zimna krew której przytoczyliśmy dowody, zapewniały mu pomyślny skutek przedsięwzięcia. Niezmierną nagrodę przyrzeczono jeźli mu się uda zupełnie. Oprócz tego miał dostać 40,000 f: sr: skoro tylko okręt jego będzie gotów. Ale tego dnia gdy spód okrętu obijano miedzią, przyszła wiadomość o śmierci Napoleona.

## KAŁMUCY.

Kałmucy należą do liczby koczujących ludów, które zostają pod władzą państwa Rossyjskiego, i mieszczą się w jego obrębie. — W zimie błąkają się w stepach przy ujściu Wołgi do morza Kaspijskiego. Brzegi tego morza, dostarczają im trzciny do opału; a że mało śniegu pada w tych okolicach, mogą przeto znaleźć dostateczną paszę dla trzód swoich. W pierwszych dniach wiosny, idą w stepy ku północy, a gdy Wołga wróci do do swego łożyska, znajdują doskonałe pastwiska nad jéj brzegami. Obfitość źrzódeł, jest ważnym powodem wpływającym na wybór koczowiska Kałmuków. Wielbłądy są dla nich bardzo użyteczne; gdy przenoszą się z miejsca na miejsce, ładują na nie swoje przedmioty i wszystkie sprzęty gospodarskie. Mężczyźni, kobiety, dzieci, śpiewają podczas téj wędrówki. Lud ten przestaje na swoim losie; a chociaż podług naszych wyobrażeń, ich pożywienie i żywność są niezdrowe; jednakże wielu z nich dochodzi bardzo późnego wieku, i doskonałym cieszy się zdrowiem.

Kałmucy mają węch bardzo delikatny, słuch mocny i wzrok bardzo bystry. Te przymioty są dla nich dogodne do wyszukania żywności, albo uniknienia napadu nieprzyjacielskiej hordy. Nie wszyscy mają fizyonomią pełną; podróżny pewien który długi czas między niemi przepędził, zapewnia, że widział znaczną liczbę tak mężczyzn jak kobiet, mających zupełnie europejskie rysy.

W ogólności, znamienne rysy kałmuków są, małe oczy, ukośnie schodzące ku nosowi, czarne brwi rzadkim włosem pokryte, nos spłaszczony, wystające kości policzków, okrągła twarz i głowa. Mają także zrzenicę bardzo ciemną, grube usta, krótki podbrodek, białe zęby, które dochowują zdrowe i piękne aż do późnéj starości. Wszyscy mają oczy niezmierne i odstające od głowy; noszą gęstą brodę, a małe bardzo wąsy. Starcy tylko i kapłani zachowują brodę i wąsy. Oprócz tego starannie golą całe ciało, kobiety przeciwnie starannie utrzymują swoje włosy.

Ich pomieszkania są to namioty z materyi tkanéj, z sierści zwierząt, podobnie jak u wszystkich koczujących ludów. Są bardzo zręcznie zbudowane, i zasługują na szczegółowy opis, którego dopełnieniem będzie nasza rycina, wyobrażając zewnętrzną i wewnętrzną postać namiotu. Ściany składają się z plecionek koszy, wysokich przynajmniéj na sześć stóp; każda sztuka połączona jest z drugą grubemi żerdziami z wierzbiny, i podnieść ją można jak sieć. Stawiają plecionki w koło okręgu, jaki mieć będzie chata, zostawiają przestworne osadzenie drzwi pojedynczych albo podwójnych. Długi pas włosiany otacza namiot; aby go umocnić i dać mu kształt okrągły. Dach zrobiony jest z korony drewnianéj, składającéj się z dwóch obręczy, utrzymywanéj w niejakiéj odległości na trzech długich wierzbowych żerdziach. Wielka liczba żerdzi wychodzi ze ściany plecionéj, wchodzi w tę obręcz i przymocowana jest sznurami. Dach ten pokrywają potém wielką sztuką burki, którą przywiązują przeplatanemi sznurami. Boki są zawsze otworem w lecie, w zimowéj porze zamykają się innemi sztukami burki. Przededrzwiami wisi firanka z burki: dym wychodzi wierzchem, ale w potrzebie zamykają otwór, aby uchronić się od wiatru, albo dymem ogrzać namiot.

W środku stoi wielki trójnog żelazny, pod którym zawsze pali się ogień. Na nim gotują jedzenie. Ich wszystkie sprzety kuchenne składają się z naczyń żelaznych płaskich, kilku kubków i talerzy drewnianych, z kilku naczyń skórzanych i wielkiéj herbatniczki. Łóżko jest] w drugim kącie namiotu, na przeciw drzwi.

Gospodarstwem trudnią się kobiety. Mężczyźni budują i naprawiają namioty, polują, pasą trzody, albo też są w pogotowiu do obrony rodzin swoich i majątków, przeciw napaści hord nieprzyjacielskich.

Bogactwo Kałmuków zasadza się na ich trzodach. Mleko stanowi podstawę ich pożywienia. Więcéj mają koni niżeli bydła rogatego. Wolą mleko klaczy nad wszelkie inne, ponieważ zakwaszone w czystych naczyniach, fermentuje i przybiera smak winny bardzo przyjemny: w takim stanie zowią go *kumis*. Napój ten jest dosyć mocny; kilka szklanek może upoić człowieka. Z mleka klacz pędzą także wódkę; kto się nią upije, przez dwa dni jest prawie szalonym, i dopiero w kilkanaście dni przychodzi do rozumu.

W lecie polowanie i trzody, dostarczają kałmukom mięsa potrzebnego do ich wyżywienia. Rzadko zdarza się aby zabijali swoje bydlęta, bogaci czynią to wyprawiając wielką biesiadę. Lubią jeść jażwce, bobaki i bobry. Jedzą także konie, kozy dzikie; zbywające mięso od codziennéj potrzeby, krają na cienkie paski i suszą na słońcu albo też wędzą.

http://rcin.org.pl



KAŁMUCY.

Włócznia, strzały i łuk, są bronią Kałmuków. Są to strzały z drzewcem bardzo krótkim, z końcem zagiętym w haczyk i te służą do zabijania małych zwierząt i ptaków. Inne strzały bywają opatrzone lekkiem żelazem w kształcie nożyczek, inne nareście przeznaczone do wojny, kończą się dużym zaostrzonem żelazem; każdy gatunek strzał trzymają w osobnym kołczanie. Kałmucy bogaci mają broń palną; kałmuk dobrze uzbrojony, nosi kirys złożony z pierścieni żelaznych i stalowych w kształcie sieci zwyczajem ludów wschodnich. Ma prócz tego szyszak okrągły, okryty siecią z żelaznych pierścieni, spadającą aż do brwi i okrywającą szyję i ramiona; nosi na ciele pancerz. Kałmucy sami robią te różne części uzbrojenia swojego i wszystkie domowe naczynia żelazne.

Lud ten posiada zbiór praw napisany po mongolsku, a który mógłby służyć za przykład wielu wykształconym narodom. Te prawa chociaż bardzo starożytne, nie mają sobie za nic życia ludzi; oznaczają kary na wszystkie zbrodnie, ale w żadnym przypadku nie naznaczają kary śmierci. Wiele przepisów zasługuje na uwagę: i tak, bezczynni widzowie prywatnej kłótni, muszą dać konia za karę, jeżeli jeden z walczących pozostanie na placu. Zabójca musi wziąść do siebie i żywić żonę i dzieci zabitego. Jeżli szło o razy albo rany, winowajca odpłaci karę stosownie do stanu pokrzywdzonego, podług większej lub mniejszej gwałtowności; a podobnie jak u Franków prawo oznacza karę pieniężną, którą złożyć trzeba za wybity ząb, za ucięty lub skaleczony palec, oko, lub ucho; kary są także naznaczone za zniewagi. Największą zniewagą jaką wyrządzić można człowiekowi, jest pociągnąć go za brodę, urwać kutas od jego czapki, napluć mu na twarz, albo rzucić mu na twarz piasek lub co innego. Kradzież najsurowiej karzą, jakikolwiek jest stopień złodzieja.

Zdaje nam się, że te prawa powinny dać lepsze wyobrażenie o Kałmukach, nad te, jakie z wielu dzieł powziąśćby można, i w rzeczy samej jest to lud uprzejmy, gościnny, towarzyski; lubią czynić przysługi i są zawsze weseli. Największą ich wadą jest niechędóstwo i chytrość. Ludy koczujące, w ogólności lubią nieczynność; ale Kałmucy są pracowici i niezmordowani. Chociaż późno idą na spoczynek, a wstają przed świtem, jednakże za wstyd poczytują spać we dnie, chyba że kto jest pijanym. Prędko unoszą się gniewem, dopuszczają się zabójstw przez nieprzyjaźń i zemstę, jednakże daleko zgodniej żyją, aniżeli możnaby się spodziewać, po ludziach, nie ulegających żadnej zwierzchności.



## BOA DUSICIEL.

Zwierzęta niebezpieczne, które natura przeznacza niejako na wyniszczanie innych, odebrały też od niéj najstosowniejsze sposoby do spełnienia swojego powołania. Jedne tak szybkie są w biegu, że zawsze łup swój dościgną, chociażby najpośpieszniejszą

http://rcin.org.pl

była jego ucieczka; inne uzbrojone są straszliwemi zęby, którym nic oprzéć się nie zdoła; te ostremi szarpią szpony, te druzgocą potężnemi kopyty; owe straszą groźnemi rogi, tamte kłami na kilka stóp długiemi. W powietrzu, ptaki drapieżne, również potężną uposażone są bronią, i prócz tego dostały w udziale władzę szybkiego i milczącego lotu; jak piorun niespodzianie spadają na ofiary swoje, a jeden rzut dostateczny, jest zwykle do ich zgromienia. W głębiach morza kryją się także ryby drapieżne; nakoniec na powierzchni rzek i jezior, znajdują się zwierzęta, ni ryby, ni czworonogi, lecz w dwójnasób za to niebezpieczniejsze.

Gdy ziemia, powietrze, i wody, są w ten sposób owładnięte przez dzikie zwierzęta, zdaje się że nie powinnoby już pozostać miejsca dla innych; lecz niewyczerpana natura, rozrzuciła pomiędzy wszystkie inne rodzaj wyłączny, wszystkim nieprzyjaźny, do żadnego z nich niepodobny, z żadnym wspólnictwa nie mający, i od wszystkich może niebezpieczniejszy, to jest węże.

Nie mają skrzydeł do przebycia przestrzeni powietrznych, ani skrzeli do krajania wodnych bałwanów, ani nóg do przebiegania obszarów ziemi; muszą czołgać się; lecz mają za sobą jady i przestrach któren wrażają. U niektórych jad ten, tak jest czynny, że kilka sekund wystarcza, aby śmiertelny sprawił skutek; a przerażenie które sam ich widok obudza, tak jest powszechne i niepowściągnione, że go doznają wszystkie żyjące istoty, gdy żadne nawet nie grozi niebezpieczeństwo. Dziwne to jest uczucie, ten instynkt nie znany, który nas do ucieczki powoduje przed temi czołgającemi płazy, o głupowatém i krwawém oku, lodowém dotknięciu, zębach zawsze gotowych na ukąszenia, rażącém złowróżbem świstaniu.

Ze wszystkich jednakże zwierząt, odrażające te istoty najmocniéj działały na wyobraźnię ludzką. Przestrach wznosił im ołtarze, i we wszystkich prawie dawnych wiarach, podobnie jak w starożytnéj mitologii, węże wielką grały rolę. Obraz ich znajduje się na pomnikach najdawniejszych starego lądu, podobnież jak na rzadkich starożytności zabytkach w Mexyku. Poeci przyswoili sobie wszystkie znane zwyczaje tych potwornych płazów, i przyodziawszy je całym urokiem świetnéj wyobraźni, poczynili wnioski, które chociaż fałszywe, przyjęto przecie, gdyż były dowcipne.

I tak, ponieważ ruch jego jest powolny i milczący, zrobili węża godłem roztropności; lecz że ruch ten jest zawiły, dodali że to jest roztropność chytrości i podstępu. Dla tego że węże długi czas obejść się mogą bez jadła i nie piją nigdy, wystawili je jako wzór wstrzemięźliwości. Że świetne ich barwy pieszczą oczy, chociaż jad śmierć zadaje, rzekli: iż węże są najdoskonalszém wyobrażeniem wymowy gotującéj zdradę. Wzięto je nakoniec za godło sztuki lekarskiéj, dla wskazania zapewne jakich ostrożności wymaga kunszt ten tak dobroczynny, tak trudny, tak niebezpieczny.

Przechodząc od wężów poetycznego wymysłu, do tych które utworzyła natura, od złudzeń do rzeczywistości, inny zupełnie postrzegamy porządek rzeczy. Przestajemy się dziwić, drżymy, gdyż historya płazów również jest przerażająca, jak widok ich straszliwy. Poezya jednakże zdołała się wcisnąć i do historyi naturalnéj, i ubarwiła ją ułudnemi błędy: tak naprzykład, wielu uczonych utrzymywało, że węże w samém już spojrzenin mają jakowąś magnetyczną władzę omamiania i rażenia nieruchomością, łupu któren zdobyć pragną. Twierdzili nawet że widziano ptaki, wiewiórki, zające, rażone osłupiałością na widok węża, rzucające się dobrowolnie w jego paszczę, jak gdyby niewstrzymanym popchnione urokiem. Jest to najbłędniejsze mniemanie; o tyle tylko prawdziwe, że strach i pomięszanie ogarniające zwierzęta, które wąż ściga, pozbawiają je władz i siły, a nawet przyrodzonego instynktu.

Węże potrzebują ciepła; a jednakże znajdują się we wszystkich krajach i wszystkich klimatach; lecz za to przez zimę śpią odrętwiałe i budzą się dopiero ożywione łagodném tchnieniem wiosny. Wówczas krociami wychodzą z jam w które się schroniły, pełzają po dolinach, przebiegają lasy; lecz nim wrócą do zupełnego ruchu, którego tak długo były pozbawione, przedstawiają zjawisko szczególniejsze i corocznie powtarzane. Odmieniają skórę. Łatwo można pojąć, że gęstemi okryta łuski, skóra ta nie może bydź tak elastyczną jak u innych zwierząt; płaz jest w niéj uwięziony i nie może jéj rozkurczyć, porzuca ją, gdyż pod nią utworzyła się ciąglejsza i obszerniejsza; i ztąd można wnosić iż węże, które przez cały rok jednakowéj były wielkości, wtedy tylko podrastają, gdy zmieniają skórę.

Wszystko każe mniemać iż węże w wielkiéj niegdyś ilości rozrzucone były po całéj kuli ziemskiéj; lecz plemie ich niknęło w miarę, jak się rozprzestrzeniała jéj uprawa: znajdują się jednakże w wielkiéj jeszcze liczbie pod pałającém niebem pustyń Afrykańskich, lub po wilgotnych i ciepłych lasach nowego lądu. Gdy się podłoży ogień pod chrósty, w téj krainie trawistych stepów i dziewiczych lasów, wychodzą z nich całe zastępy tych płazów, rozpierzchają się na wszystkie strony w ściśnionych szeregach, pędząc przed sobą uciekające tłumy innych zwierząt. Lecz w zimnych i umiarkowanych okolicach Europy, węże stały się

http://rcin.org.pl

prawie rzadkie, jedna tylko żmija jest pospolita i niebezpieczna.

Pomiędzy znanemi gatunkami, jadowite szóstą część zajmują; pomiędzy zaś temi które pozbawione są téj straszliwéj potęgi, jeden gatunek nadewszystko odznacza się mocą i pięknością; jest to Boa, którego wystawiamy w dołączonéj rycinie.

Jest on największy ze znanych węży. Widziano długie na pięćdziesiąt do sześćdziesięciu stóp, a łokieć blisko mające obwodu. Płaz ten znajduje się szczególniej w Indyach; znany był w najodleglejszéj starożytności; dawni bowiem pisarze wzmiankują o zjawieniu węży długości nadzwyczajnéj, co zapewne dało powód bajce o Laokoonie. Gdy płaz ten ogromny sunie się przez zeschłe trawy i chrósty, zgina je w przechodzie, i pozostawia ślad długiego słupa wleczonego z ciężkością. Postępuje zwolna z podniesioną głową. Zaczaja się czasem po nad brzegami rzek zwinięty wirowato, i z pośrodka gęstych pierścieni, kiedy niekiedy wychyla głowę, baczne w około rzucając spojrzenia.

Boa jest prawie zawsze w stanie odrętwiałości, wychodzi z niego, skoro głód mu dokuczy. Wówczas owija się o pień drzewa, najczęściéj przy źrzódle, do którego niechybnie zwierzęta przyjdą gasić pragnienie: z daleka głowę jego zwieszoną pomiędzy liściem wziąźćby można za gałąź. Skoro tylko zwierze w pobliskości przechodzi, rozwija się jak sprężyna, ciska się na swój łup, mnogiemi sploty owija, zadusza nie tylko potężnem ściśnięciem, lecz zarazem i ciężarem swego ciała, i podwajając usiłowania, spłaszcza go na miazgę, i niejako gniecie o pień drzewa. Wówczas łup swój upuszcza na ziemię, nawodzi go lepką śliną, i ogromną rozdziawiając paszczę, zaczyna połykać zwierze większéj daleko od siebie objętości. Trawienie jego jest tak długie i tak trudne, iż wpada w otrętwiałość, i w tym stanie, wszelkich władz pozbawionego, łatwo bardzo ubić. Pomimo téj żarłoczności, może podobnież jak inne węże długi czas obejść się bez jedzenia. Boa nie tylko napastuje kozy, daniele, nawet konie i bawoły, widziano go rzucającego się na ludzi; podobne to zdarzenie wystawia nasza rycina, które świeżo przybyły z Kalkutty podróżny w te opowiada słowa:

»Kilka lat przed podróżą naszą do Kal»kutty, kapitan statku który zawinął do téj »wyspy indyjskiéj, przebywając cieśninę »Sunderland, wysłał czółn na zakupienie »żywności, od mieszkańców sąsiedniéj zato»ki. Majtkowie wszyscy Indyanie wyciągnę»li czółn na piasek. i zostawili go pod stra»żą jednego ze swoich towarzyszy: ten nie »mógł się oprzéć duszącemu gorącu i za»snął. Wyobrazić sobie jego przestrach za »przebudzeniem. Ogromny boa owinął się »w około niego i chciał go zadusić. Szczę»ściem, nadchodzący majtkowie na czas po»strzegli niebezpieczeństwo towarzysza, »wpadli na węża, ucięli mu ogon, i przecie »go zabili.

»Wąż ten zmierzony po śmierci, trzymał »sześćdziesiąt stóp angielskich i kilka cali.

---

## MONTYON.



Czytając gazety francuzkie, natrafiamy nieraz na wiadomość o nagrodach z zapisów Pana Montyon wyznaczonych; nagrody te jedne są za postępowanie cnotliwe, inne za dzieła i użyteczne wynalazki.

Pan Montyon uważany jest we Francyi za jednego z największych przyjaciół ludzkości; akademia francuzka odbywa coroczne posiedzenia, na których rozdając przysądzone nagrody, składa cześć jego pamięci; umieszczamy następującą wiadomość o jego życiu.

Pan Montyon urodził się w Paryżu w r: 1733, był synem urzędnika najwyższéj izby obrachunkowéj; poświęcił się nauce prawa i w dwudziestym drugim roku życia został prokuratorem królewskim przy sądzie kryminalnym. Zaraz od młodu odznaczył się szlachetną bezinteressownością zasad. Wszedł potém do Rady Stanu, a następnie został Intendentem Auwernii. Głód nieprzewidziany, otworzył pole jego dobroczynności; wtenczas to Pan Montyon dał poznać jak gorliwie starał się ratować nieszczęśliwych, i zasłużył na imie przyjaciela cierpiącéj ludzkości. Nie zgiętość jego umysłu, zjednała mu wielu nieprzyjaciół, i popadł w niełaskę.

Oddalił się z kraju na początku rewolucyi, i wrócił dopiero do Francyi 1814. Nieszczęśliwi przez kilka lat jeszcze go posia-

http://rcin.org.pl

dali. Zgasł spokojnie r: 1820; zgon jego podobnie jak mądrego La Fontaine, był schyłkiem dnia pięknego.

Możnaby opisać szczegółowo materyalne życie Pana Montyon; lecz nie ośmieliiny się opisać moralnego jego życia, rozpaczając wydać w całej zupełności ową litość czynną, niespracowaną, przemyślną, delikatną, nieśmiałą, a jednakże ciągle czujną, ciągle baczną, na to; aby wyśledzić boleść, zachwycić skargę. Powiemy tylko że działała przez lat pięćdziesiąt z całą obszernością jakiej dozwala ogromny majątek, zupełnie jej rozrządzeniu zostawiony; powiemy tylko, że ilekroć pomoc niespodziana zadziwiła i wsparła wstydliwą nędzę, a dobroczynna ręka pozostała w ukryciu, wdzięczność mogła na pewne wymienić Pana Montyon. Wspomnimy tylko o jednym z jego zakładów filantropicznych. Jeśli w dwunastu cyrkułach Paryża, biedni złożeni chorobą już nie wychodzą ze szpitalów po wyzdrowieniu, dla tego tylko aby umrzeć z nędzy, i otrzymują teraz wsparcie za pomocą którego utrzymać się mogą, dopóki nie nabędą nowych sił do pracy, pamięć pana Montyon winni za to błogosławić. On to przez bogate nadanie; stał się na zawsze opiekuńczym geniuszem tej klassy wyłącznie nieszczęśliwej pomiędzy biednymi.

Przez inne jeszcze zakłady zjednał sobie Pan Montyon szacunek publiczny. Uwieńczony po kilkakrotnie przez Akademią, ten przyjaciel literatury, nauk i sztuk pięknych, przekonany że z ich rozwinięciem łączy się udoskonalenie, a zatém i szczęśliwość towarzystw, naznaczył nagrody przeznaczone dla tych, których dzieła lub odkrycia pożytek przyniosą dla ludzkości. Bardziej niż komu innemu przystało Panu Montyon naznaczać nagrody cnocie, ponieważ całe życie jego jest wzorem dla tych, którzy go naśladować pragną.

---

## WYJĄTKI Z DZIENNIKA PODRÓŻY PO ZACHODNIEJ CZĘŚCI GALICYI.

(Wyciąg drugi).

Od Zakliczyna po pod klasztor Bernardynów, zwraca się droga na wieś Paleśnicę, między wysokie wzgórza. Trudno o nieznośniejszą przeprawę. Głęboki wąwóz koryto Paleśnicy, które się przejeżdża sześćdziesiąt kilka razy, góry dość jednostajne wszystkie lasem porosłe, i wieś wielka nieporządna, oto są przedmioty, jednomilowej podróży; jest to prawdziwa droga do kraju błogosławionych: skoro też bowiem porzuci się Paleśnicę, wnet gościniec bity między pięknym jodłowym lasem wyprowadza nas na szczyt wyniosłej Posadowej; z tąd ogarniony widok który z lichwą nagradza najprzykrzejszą podróż; ztąd szlak szeroki, wygodny, zapuszcza się w najrozmaitszy dziki ogród; mało jest okolic któreby częściej i chętniej widzieć się chciało. Rozległe lasy, drzewami rozlicznego rodzaju zagęszczone, gdzie niegdzie wyzierające z lasów skały, wzgórza czasem położyste i splecione wzajemnie; czasem wznoszące się osobno i ostro jak piramidy, towarzyszą podróżnym aż na obszerne pola, przy których wita go znowu Dunajec. Ulubione to dziecie Tatrów już nie prędko spuści nas z oka. Mijamy wkrótce miasteczko Zbyszyce; jeszcze para długich przykrych gór, i mamy pod nogami rozległą czarowną dolinę Sandecką. Trzy rzeki przeplata bogate jej pola: Dunajec, Poprad, i Kamienica; pośrodku doliny, Nowy Sącz błyszczy niemi jakby wieniec z rozpuszczonemi wstęgami; a ja chciałem opisywać dolinę Sandecką? niepodobna; takie przedsięwzięcie kończy się zawsze na próżném tylko usiłowaniu. Nie podobna wyliczyć wiosek co ją zaludniają; nie podobna ująć w słowa uroczego; tysiąc kształtnego poplecenia się dolin, gór, lasów, które składają czarodziejskie jej koło. Od południa, mianowicie majestatyczną budowę utworzyły wzgórza. Rosną one stopniami do kilku piąter, każde krocie stóp liczy; a każde piętro, każdy parów, zdaje się wabić do siebie: macie tu drabinę z pol i lasów, tu macie niskie tajemne uliczki, po téj drabinie, temi uliczkami do nich! oni tak wzywają, a Tatry szczyt ich szczytów, zastawują się chmurami, i odstawiają, jak w dawnych wiekach czarodziejki, igrające ze dwoimi kochankami. W takich myślach przebiegłem dolinę, i Nowego Sącza doścignąłem. To miasto, stolica dzisiaj cyrkułu tegoż nazwiska leży na wysokim brzegu Dunajca, oblane z drugiéj strony Kamienicą. Dawniej, otoczone było murem i okopem. Ślady murów i dziś jeszcze gdzie niegdzie trwają. Zamek od Szwedów nadburzony, wali się częściami podrywający jego posadę Dunajec. Nowy Sącz można liczyć jeśli nie nie do największych, to do najporządniejszych miast w Galicyi. O milę ztąd leży Stary Sącz, starem miastem tu zwany; droga między niemi równa i wyborna; na ścianach lazaretu wojskowego, który stoi blisko Popradu, oznaczono wysokość do jakiéj sławna niepojęta powódź 1813 roku zalewała tę dolinę. Stare miasto słynie klasztorem panien Franciszkanek, założonym od żony Bolesława Wstydliwego Stej Konegundy; w jego murach przepędziła ta królowa ostatnie lata swojego życia, i z nich do nieba się przeniosła. Stary Sącz pamiętny także następną historyą Kasperka. Kasperek był jednym z tutejszych mieszczan i kupców. Pewnego razu kupił na Węgrach wino, ale Węgier między beczkami wino, wydał mu

http://rcin.org.pl

przez omyłkę beczkę z pieniędzmi. Poznawszy omyłkę, żądał od Kasperka zwrotu téj beczki: Kasperek się zaparł. Węgier zrobił mu proces i pociągnął do przysięgi. Kasperek przysiągł w téj rocie: jeżelim zamiast beczki wina wziął beczkę pieniędzy; niech mię, ani ogień, ani woda, ani ziemia, ani piekło, ani niebo po śmierci nie przyjmą: i wkrótce jakoś umarł; ale pogrzebać go nie było sposobu; zakopany w ziemię nazajutrz na wierzchu leżał, wrzucony w ogień nie gorzał, utopiony wypływał na brzeg, a tém czasem włóczył się przez całe nocy na białym koniu po ulicach miasta, nikomu nic złego nie robiąc; był nawet tak grzeczny, że przez okno zazierał, jeżeli go zawołano po imieniu, tyle tylko że wiecznie milczał. Dopięro jakiejś czarownicy udało się go zwabić i zaspokoić nowego sposobu rodzajem, bo go na włosku powiesiła; w téj więc postawie usechłszy i prochem się rozleciawszy zakończył swoją nocną jazdę.

Dobrą jeszcze milę za Starym Sączem jedzie się doliną Sandecką między niemieckiemi osadami i drogą wygodną; tam dopiero przeprawa przez Dunajec rozdziela nas z żyznemi Sandeckiemi polami i widokami równin, a wieś Jazowsk jest już jednym z punktów téj linii, która odkreśla siedziby goralów; mieszkańcy za Jazowskim zowią nawet krainę aż po tę linię Polską; i w rzeczy samej od Jazowska wszystko się już zmienia; inny tam już lud zobaczysz pod każdym względem, inną postać ziemi. Dolina zwęża się w kręty ciasny wąwóz, wzgórza coraz wyższe i przykrzejsze; bukowe lasy przemagają, owies najgłówniejszy przedmiot rolnika; ów Dunajec tak jasny, tak poważny dotąd, zaczyna się pienić, szumi po dnie płytkim i kamienistem; jest ciągłym wodospadem tém bystrzejszym, im bardziéj ku jego się źródłom zbliżamy; ogromne krągłe kamienie, które coroczna powódź nanosi i wyrzuca, zalegają jego brzegi; droga też nie bardzo wygodna, jakkolwiek nie żałują starań około dobrego jéj utrzymania; od samego Jazowska idzie wciąż nad Dunajcem, to zbiegając ku niemu, to pnąc się wyżéj i coraz wyżéj, wzdłuż prostopadłych niemal boków góry, które tu *obłazami* zowią; jeszcze w Łącku odpoczywa podróżny na miłém ustępie obszernéj dosyć równiny, ale tam przygotować się potrzeba do trzechmilowéj podróży po górach i głębiach na przemian, którą możnaby porównać z kołysaniem się okrętu na wzburzonem morzu: z tém wszystkiem miłośnik przyrody nie może tu doznać nudów, i mimowolnie zapomni przykrości niewygodnéj jazdy; wieczny szum bielącego się w zielonym korycie Dunajca, podniebne z każdéj strony wzgórza, rozpuszczające aż do nóg samych, płaszcze z lasów po największéj części brzozowych i bukowych, przepaściste ich szpary skąd głośne biją potoki; nagie ogromy głazów, wychylające się z zieleni polan i drzew, albo tuż przy drodze z pochylonemi nad nią głowami siedzące siedziby góralów, to długim rzędem pilnujące rodzinnéj wody, to pojedynczo ukryte i ledwo dojrzane w gęstym lesie pod wytoczoną górą; na swojéj dolinie, przy swoim potoku; wiążą się co krok, co skręt drogi dla urozmaicenia podróży: przydajmy powiewające górskie powietrze, rozproszone do koła trzody; głośne ich dzwonki, śpiewanie i flety pasterskie; górala snującego się lekko po miejscach ledwie przystępnych i dojrzanych, w jego krótkiéj guni, w kapelusiku okrągłym ze świeżą gałązką, a doznane wrażenie będzie snem przepowiedniem uczuć, które niebawnie w całéj zupełności się rozwiną. W takiéj okolicy leżą Kamienica, Ochotnica, i Tylmanowa, wsie osadzone góralami białemi, tak zwanemi dla różnicy od góralów czarnych, którzy zamieszkają głębsze góry.

Dzień pogodny dopiekał, ale między górami przeciągał wiatr mocny; śniegi nocne leżały na wznioślejszych szczytach, dolna połowa zieleniła się trawą i pękającemi drzewy, wyższą rumieniły obumarłe jeszcze buki; nagle ukazało się Krościenko; mała dolinka jak żeby góry umyślnie się rozeszły dla przyjęcia téj osady, rozwija się przed nią. Olbrzymie Pieniny ze skał poprzerastałych lasami, nagle się podniosły, a ściśnione domy miasteczka i kościołek jego o czerwonem dachu, przyparte do Pienin wydawały się jak dzieło malarskiego pędzla na zieloném tle lasów. Dunajec ukazuje się tu od południa i obmywa wschodnią stronę Pienin i Krościenka. Pasmo nagich wzgórzów po tamtej stronie Dunajca, obfituje w kwaśne mineralne źródła. Szczawnice, mila ztąd odległe, z dawna już słyną: źródło wody Krościńskiej zaczyna bydź dopiero uczęszczane. Do przeciwnéj strony Pienin, przytyka granica Węgierska, łożem Dunajca określona. Pieniny najwyższe w paśmie Tatrańskich przedgórzów mają wdzięk historyczny. Pamiętne są mianowicie zamkiem, w gruzy dziś zamienionym, gdzie Bolesław Wstydliwy ze Stą Konegundą kryli się przed Tatarami. W skałach są pieczary do 200 stóp długości, i miały służyć za podziemny przechód w razie niebezpiecznym. Z Krościenka skręca się droga na zachód: do Czorstyna tylko mila, a Czorstyn strzeże wstępu do Nowotarskiej doliny; kto zbliżał się kiedy do stron, do istot najmilszych sobie, ten pojmie mój słodki niepokój, moją radość: że niebawnie ujrzę cel podróży: ale co nieprzyjemności przytém; droga jak na złość najgorsza w świecie, połową kamienistém korytem potoku, zupełnie jak przez Paleśnicę, drugie pół wciąż pod górę;

http://rcin.org.pl

nie wytrzymałem, zasnąłem. Trącenie towarzysza budzi mię ze snu; podnoszę rozdrzymane oczy, patrzę za jego palcem, na lewej ręce las świerkowy; czy widzisz Tatry? oneż to zawołałem: Nie zapomnę nigdy pierwszego ich ujrzenia; nigdy już później nie widziałem ich takiemi. Rażąca białość śniegu pokratowana w rozliczne wzory ciemnemi pręgami opok, pokrywała gmach cały; nadzachodnie słońce cieniowało go blado rumianém światłem; nie śmiem kończyć obrazu: mogę tylko powiedzieć że w olbrzymiem, potwórnem nie obejrzanem widzeniu, objawiły mi się Tatry, za drżącą siarką bengalskiego ognia, żem zajrzał w zwierciadło najczystszego nieba; tak uroczy był błękit uśnieżonych Tatrów, taki był ich widok przez cienie świerkowego lasu. I nie cały jeszcze ogrom widziałem; zasłaniały go leżące na drodze oka węgierskie przedgórza. W pierwszém uniesieniu zapomniałem o reszcie okolicy; powóz tymczasem szybko się toczył; las gęstniał, droga się zniżała; okrążyła z uszanowaniem górę poświęconą gruzami Czorstyna, i skręciła się przy Dunajcu na zachód; wstąpiłem więc na Nowotarską dolinę. Gór jeszcze nie widać. Wapienne skały które obmurowały przeciwny brzeg Dunajca, przy wszystkich swoich wdziękach były mi nieznośną przeszkodą, pragnąłem je minąć jak najprędzéj; minąłem wreszcie ale cóż? grube chmury przewalając się z wyższéj Tatr połowy, w krótce zabrały całkiem mojemu oku nadzieję zobaczenia ich dzisiaj.

Widziałem tedy Tatry w całéj okazałości; żaden obłoczek nie błąkał się po nich; wyglądały jakby eterem oblane; deszcz też nocny znacznie opłukał śniegi. Stanowisko z którego patrzałem, jest może jedyne w całéj dolinie do takiego widoku. Pomimo przedgórzów opasujących Tatry, przebiegałem swobodnie cały łańcuch od góry podpierającéj ogrom Łomnickiego szczytu, aż gdzie się zniża nad Wagiem. Skacząc okiem po tych kilkuset szczytach to wyżéj, to niżéj, to ostrzej, to okrąglej ząbkujących widokres, tocząc myśl po tych niby wzgórzach, co są grzbietami gór, których wielkości w marzeniach nawet nie mieliśmy wyobrażenia, po tych niby rozpadlinach co milami zalegają wnętrze gmachu i rozgałęziają się w tysiące dolin, wąwozów, przepaści niedojrzanych, niepoliczonych, wyobraziłem sobie wśród świata ziemi, świat osobny, świat śniegów i zgrozy, świat piękności tajemniczych, obwiedzionych kołem przestrachu i śmierci, przez które tylko miłość przyrody i odwaga przekroczyć potrafią; a temczasem w téj porze najśmielszy, najzapaleńszy kochanek niczby nie dokazał; pierwszy krok pchnąłby go w przepaść śniegów bez ratunku: długo jeszcze wolno mi tylko się zdala przypatrywać. Dręczące uczucie! do koła najświeższa wiosna; ciepło, pogoda, zieloność, kwiaty, swobodne wody rozlewają zewsząd życie u samego nawet podnóża lodowców, zbiegły się góry umajone puszczami świerków, one tylko, prawdziwy tyran zimy, naległy wszystko niedźwignioną massą lodów, i wszystkiemu odrętwieniem śmierci grożą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## BERLIN.

Założenie Berlina, przypisują powszechnie Albertowi z przydomkiem Niedźwiedz, margrabi Brandeburskiemu z domu Anhalt. Następcy jego przyczynili się do wzrostu i obwarowania tego miasta. Najdawniejsze kościoły i gmachy Berlina, zasięgają końca wieku XIIIgo. W wieku XIVstym XVstym, szesnastym i siedemnastym, Berlin ucierpiał wiele z powodu wojen. Elektor Brandeburgski Fryderyk W. nazwany wielkim elektorem, wstąpił na tron w r: 1640, i od jego czasów zaczęła się era pomyślności i wzrostu miasta. W owym czasie Berlin tak już był podupadł, że zaledwie 6,000 mieszkańców liczył. Pod jego rządem wkrótce wzrosła ta liczba do 20,000. Całe miasto zostało obwarowane. Tenże elektor zbogacił miasto ważnemi zakładami i dobrze je urządził. Jego następca przybrawszy tytuł króla Pruskiego, również opiekował się Berlinem. Pierwiastkowo Berlin, składał się z dwóch oddzielnych miast: to jest właściwego Berlina kolonii nad Spreją, do których z czasem przybywały inne okręgi; za króla Fryderyka Igo Berlin i kolonia połączyły się i jedną utworzyły całość. Następca jego Fryderyk Wilhelm Iszy i Fryderyk W. gorliwie naśladowali poprzednika swego. Fryderyk W. zwłaszcza nadał zupełnie nową postać miastu, kazał zburzyć dawne warownie i ustanowił znaczną liczbę szerokich ulic. Najważniejsze upięknienia które uczyniły Berlin jednym z najznakomitszych miast w Europie, są dziełem teraźniejszego monarchy.

Tak skreśliwszy w krótkości historyą wzrostu stolicy państwa Pruskiego, przystąpimy do opisania jéj obecnego stanu.

Miasto Berlin położone po obudwu brzegach Sprei o 127 stóp nad poziomem morza, liczy 240,000 mieszkańców; a między temi 4,000 katolików i 5,000 żydów. Jest w nim czternaście bram rogatkowych, a między temi pierwsze miejsce zajmuje Brama Brandeburska zbudowana na wzór propylium ateńskiego i ozdobiona posągiem zwycięztwa; 280 ulic, między temi główne *Friedrichstrasse* długa na 4,250 kroków, przecinająca miasto od bramy Halskiej, aż do Brandeburgskiej; przechadzka *pod Lipami* długa na 2088 stóp, a 170 szeroka; zasadzona czterema rzę-

http://rcin.org.pl

dami topolów i kasztanów; ulica Wilhelma znamienita wielką liczbą pięknych budynków i pałaców zajętych przez xiążąt albo rozmaite władze. Między placami których liczą dwadzieścia głównych i ogrodami; szczególniéj zwraca uwagę *Lust-garten*, gdzie znajduje się nowe muzeum, prawdziwa świątynia sztuk, giełda, zamek królewski i piękna fontanna ozdobiona muszlą z wygładzonego granitu; na *placu Wilhelma* stoją posągi znakomitych wodzów pruskich: na placu arsenału stoi arsenał, pałac królewski, pałace gwardyi i dowódzcy miasta; plac *Opery* ozdobiony jest posągiem Bluchera; mostów jest 41, na *Langen brucke* stoi kolosalny posąg Fryderyka W. *Schloss Brucke* ozdabiają granitowe flizy, a Koenigs-Brucke piękna kolumnada. Oprócz 27 kościołów, dwóch kaplic, synagogi, i wielkiéj liczby gmachów publicznych, Berlin liczy 10,000 domów. Najznamienitsze kościoły są: kościół katedralny, Panny Maryi, Swiętego Mikołaja, Swiętéj Zofii, Swiętego Jerzego, i kościół katolicki. Po większéj części, ozdobione są pięknemi obrazami i starożytném malowaniem na szkle, którego sztuka zaginęła. Najznamienitsze gmachy są: zamek królewski długi na 460 stóp wystawę mający, a na 101 wysoką. Zaczął go budować w r. 1448 Fryderyk IIgi z domu Hohenzollern, a dokończył Fryderyk Wilhelm Iszy drugi król Pruski; arsenał, giełda i zamek *Mon bijou* zawierający w sobie kosztowny zbiór przedmiotów sztuk, pięknym otoczony ogrodem; uniwersytet, dawniéj pałac xięcia Henryka, zbudowany na wzór Pantheonu rzymskiego, Akademia śpiewu, Biblioteka, Akademia umiejętności i Obserwatoryum; teatr Koenigstadt, dwa ratusze miast Berlina i Kolonii wielka liczba koszar, rękodzielni, broni. Dom Inwalidów leżący za miastem i obszerne budynki młyna prochowego, szkoła wojenna, artyleryi i inżynieryi, i wielka liczba szpitalów, między któremi na wspomnienie zasługują szpitale Miłosierdzia i macierzyństwa.

Berlin obfituje w instytuta naukowe wszelkiego rodzaju. Między niemi wspomniem o szkole lekarskiej założonéj przez Fryderyka Wilhelma, o Muzeum anatomiczném i zoologiczném; ogród botaniczny znajdujący się w wiosce Schoeneberg; uniwersytet założony przez teraźniejszego króla Fryderyka Wilhelma IIgo, którego nazwisko nosi. Uniwersytet ten odznacza się doskonałemi instytucyami do nauki medycyny, filozofii, teologii i innych nauk, oraz sławą professorów, między któremi są najuczensi mężowie w Niemczech. Sześć gimnazyów Berlińskich są także jak najlepiéj urządzone. Jest oprócz tego wielka liczba szkół specyalnych, między któremi postrzegamy szkołę dla polecenia niższych urzędników i handlujących; szkoły dla ubogich zostające pod opieką władz miejskich są także liczne. Berlin posiada także wiele szkółek prywatnych dla chłopców i dziewcząt, i wielką liczbę zgromadzeń naukowych, pracujących nad postępem nauk, sztuk i umiejętności, między któremi wspomnieć należy towarzystwo lekarskie, historyi naturalnéj i geografii, literatury zagranicznéj, a przedewszystkiem akademią umiejętności, towarzystwo professorów, ogrodnictwa i języka niemieckiego: oprócz tego akademią sztuk mechanicznych i nauk matematyki, dwie szkoły normalne, w których kształcą się nauczyciele do miast i wiosek, i szkołę weterynaryi, akademią sztuk i Muzeum. Lust-garten szczególniéj ma na celu wydoskonalenie sztuk rzeźby i malarstwa. To nowe muzeum, zbogacone jest tém wszystkiém, co tylko znajduje się najszacowniejszego w sztukach dawnych i tegoczesnych i muzeum egipskiem. Ten olbrzymi gmach, świetny pomnik zamiłowania monarchy w sztukach pięknych i jego usiłowań o postęp architektury, leży na jednéj odnodze Sprei, zbudowany jest na palach i kosztował 800,000 talarów. Wspaniałe sale téj świątyni sztuk, otwarte są dla publiczności bez różnicy stanów dwa razy na tydzień, a dla cudzoziemców codziennie. W pałacu królewskim, znajduje się także wiele kosztownych starożytności, i gabinet medalów. — Zamiłowanie w muzyce, posunięte jest w Berlinie do najwyższego stopnia, a prócz akademii śpiewu i doskonałego wykonywania oper, którym przewodniczy sławny Sponteni, utworzyło się wiele towarzystw muzykalnych. Obok tych wszystkich instytucyi mających na celu postęp wyższéj cywilizacyi, Berlin posiada wielką liczbę doskonale urządzonych instytutów dobroczynnych; liczą tam siedemnaście szpitalów, prócz lazaretu wojskowego, instytuta dla ślepych i głuchoniemych, wiele szpitalów dla sierot i podrzutków. Zarząd tych wszystkich zakładów, oraz czuwanie nad potrzebami klass uboższych powierzono głównie *Armen Dyrektorius* i szlachetni przyjaciele ludzkości łączą usiłowania swoje aby przyjśdź w pomoc klassom potrzebnym, zwłaszcza w przykrej porze roku. Instytut mający na celu wsparcie mieszkańców miasta, zostającym w przykrém położeniu pieniężném zasługuje także na szczególną wzmiankę. Najszanowniejsi urzędnicy i obywatele Berlina, są na czele tego zakładu, który już wydał zbawienne skutki. Nie należy także zapominać o użytecznych zakładach zabezpieczenia od pożaru i zarządu oświecenia ulic Berlińskich, które już od wielu lat są oświecone gazem. Handel Berlina ogranicza się na interessach wewnątrz kraju. Jednakże bankierowie miasta prowadzą ważne interessa z głównemi krajami E-

http://rcin.org.pl



BERLIN.

uropy, i w tym względzie możemy przytoczyć zakład handlu morskiego i królewskiego banku. Oprócz wielkiego jarmarku na Boże Narodzenie, który trwa cztery niedziele i jarmarku na wełnę; odbywa się w Berlinie kilkanaście mniejszych jarmarków, po tygodniu trwających. Przemysł rękodzielniczy jest w stanie kwitnącym. Przypisać to należy po większej części instytutowi rzemiosł, który ma wiele podobieństwa ze szkołą politechniczną w Paryżu. Między znaczniejszemi fabrykami Berlina, wspomnieć należy o fabrykach królewskich lanego żelaza i porcelany, wielu prywatnych warsztatach, materacy bawełnianych i wełnianych, wielkiej liczbie warsztatów sukiennych, papierniach, fabrykach kobierców, wstążek, bronzów, cukru, mydła i t. d. Administracya poczt w Berlinie, może służyć za wzór wszystkim krajom; kuryery i dyliżanse, wyjeżdżają co dzień, prawie co godzina we wszystkie strony państwa. Jedna z przyczyn które czynią ten zakład tak pomocnym do rozwinięcia przemysłu i handlu jest troskliwość o bezpieczeństwo i wygodę podróżnych. Jeźli teraz zwrócimy nasze spojrzenia na okolice królestwa, postrzegamy najprzód ogród Menażeryi. Tam starzy i młodzi, bogaci i ubodzy, znajdują spoczynek po pracach. W stronie północnéj tego ogrodu, jest plac broni i cyrk na którym zwykle dają konne widowiska. Oprócz tego jest na około miasta mnóstwo domów wiejskich i ogrodów.

CENA PRENUMERATY

MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, W KANTORZE GŁOWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.

Na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych i za granicą, rocznie zł. 21, półrocznie złp. 11.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

http://rcin.org.pl



## MARABUT.

Między rozmaitemi piórami których moda używa do stroju, najznamienitsze są pióra Marabuta. Ulotne, białe, tak lekkie że najlżejsza z głów nie mogłaby rozróżnić ich ciężaru, pióra Marabuta pochodzą przecież od najcięższego najbardziéj upośledzonego ptaka. Jest to gatunek Bociana z *długim dziobem i długą szyją*, chodzącego na długich nogach jak czapla Lafontena. Ptak ten nie ma żadnéj ozdoby z piór swoich, które podwyższają piękność kobiet, natura bowiem ukrywa te pióra tak bardzo poszukiwane, na końcu ciała właśnie pod ogonem. Ale skądże pochodzi to nazwisko Marabuta? Czyliż pierwszy przemyślny człowiek który wyszukał tę ozdobę pod nieczystym ogonem brzydkiego ptaka, upatrzył w niepoczesnéj minie tego stworzenia, jakieś podobieństwo do miny wieszczbiarzy, kuglarzy, czarowników i oszustów, którzy łudzą łatwowiernych mieszkańców Afryki i zowią się także Marabutami?

Bocian ten któremu handel i ubiór kobiecy winien jest pióra zwane Marabutami, znajduje się na wielu brzegach Afryki i Azyi, mianowicie w Senegalu i w całym Bengalu, gdzie się nazywa *Arghill*, *Argula* albo *Argala*. To ostatnie nazwisko przeważyło w języku naturalistów, i nazwali go *Ciconia-Argala*. Te ptaki można widzieć żywe w ogrodzie botanicznym paryzkim, w okręgu strusiów. Ich żarłoczność i dziwaczna postawa, zwraca spojrzenia ciekawych. Rycina umieszczona na czele tego artykułu, da o nich dostateczne wyobrażenie.

Argala, czyli Marabut, używając pospolitego wyrażenia, jest największy ze wszystkich znanych bocianów; wysoki na pięć stóp do sześciu, gdy się wyprostuje, nogi ma długie, korpus ciała większy niż u jędyka, głowę łysą, uzbrojoną ogromnym dziobem białawym, bardzo ostro zakończonym. Dziób ten jest przynajmniéj na stopę długi i ma dziesięć calów obwodu przy podstawie. Szyja niezmiernie długa i gruba, nie jest pokryta pierzem; kilka włosów czarniawych i rozrzuconych tu i owdzie, daje widzieć pomarszczoną czerwonawą jéj skórę. Pochwa w kształcie pęcherza albo kiełbasy, wisi pod gardłem i jeszcze pomnaża niekształtność tego ptaka. Wszyscy naturaliści wspomnieli o téj osobliwéj pochwie, ale żaden nie opisał jéj wewnętrznego kształtu i nie powiedział na co przydać się może. Zdaje się nawet wstydzić się jéj sam Marabut; za zwyczaj bowiem ukrywa nagość tych części między pierzem grzbietu i piersi, w których tak dobrze chowa szyję, iż głowa i dziób wychodzą jakoby z pośrodka ciała. W zwyczajnéj postawie tego ptaka jest coś fantastycznego. Gdyby był znany starożytnym, nie omieszkaliby zapewne uczynić go ptakiem piekielnych krain i zaludnić nim nadbrzeża Kocytu.

http://rcin.org.pl

Ptak ten niezmiernie jest żarłoczny; potrzebuje wielkiéj ilości pożywienia, chwyta ryby, ślimaki, małe zwierzęta ssące i gady, których wielkie mnóstwo wyniszcza; dla tego to szanują miejsce jego pomieszkania i nic mu złego nie czynią. Łatwo spoufali się z ludźmi i żyje w stanie domownictwa; wtedy wyrywają mu pióra, które wkrótce odrastają i tym sposobem znaczne zyski przynoszą. Powiadają że w Chandernagor żołnierze załogi rzucają dla zabawki resztki swego posiłku i obrzynki od rąbania mięsa pozostałe, gromadom Marabutów, które stojąc w linii jak piechota w szyku bojowym, czekają na ten podział. Marabuty kruszą i połykają najtwardsze kości. Widziano takie co sobie wybrały pana i wszędzie chodziły za nim; ale nie mogąc oprzéć się nienasyconéj żarłoczności, kradły zawsze część obiadu i to tak zręcznie, że półmiski były sprzątnięte wprzódy jeszcze, nim postrzeżono że znikły. Pewien podróżny opowiada, iż miał Marabuta, który tak prędko połknął pieczoną kurę, iż byłoby nie podobna odgadnąć gdzie się podziała, gdyby ta gorąca pigułka nie oparzyła kiszek złodzieja i nie przymusiła go iż w kilka chwil potem, wyrzucił ją całą i kurzącą się jeszcze,

---

## WYCIĄGI Z PAMIĘTNIKOW XŻNEJ D'ABRANTES.

### POBYT W PORTUGALII.

(Wypis drugi; patrz zeszyt 9ty)

Plac handlu jest dziełem Pombala. Bulwar znajdujący się po jednej jego stronie, gmachy które go otaczają, wszystko nosi cechę największéj wspaniałości, wszystko jest dziełem tego ministra. Twórca takich cudów zasłużył na wdzięczność współziomków.

Plac Handlu długi na 610 stóp, szeroki na 550 i przyległe jemu ulice, tworzą najpiękniejszą część Lizbony. Są to trzy ulice zbudowane od czasu trzęsienia ziemi. Tę jedną mają wadę, że są zbyt wązkie. Środkowa nazywa się ulicą Augusta. Tam mieszkają jubilerowie, złotnicy i inni wyrabiacze kruszczów, a ponieważ ich warsztaty są na dole, panuje więc nieustanny hałas. Piętra są za niskie, okna za wązkie, ale mimo tych wad są to trzy piękne ulice.

Nie ma w Lizbonie pałacu królewskiego. Król mieszkał dawniéj w Belem, ale od czasu jak ten zamek spłonął, familia królewska mieszka w Queluz i ztamtąd wyjeżdża tylko do Mafra, klasztoru królewskiego na kształt Eskuryalu. Pod czas mojéj bytności w Belem, budowano nowy zamek, i mówiłem pewnego dnia że xiąże mieć będzie piękną rezydencyą; ale osoba która mi pokazywała rozpoczęte prace, rzekła do mnie, że mury te są w tym stanie już *od lat dwunastu* i że zapewne przez cały wiek pozostaną niedokończone! A robotnicy umierali z głodu! a w skarbie leżały skrzynie pełne nie obrobionych kamieni drogich.

Belem jest przedmieściem Lizbony, ale uważam je jako należące do miasta, podobnie jak Junqueira, Ajuda i Alcantara. Od czasu mojej bytności w Lizbonie w r: 1805, stolica znacznie się powiększyła i te przedmieścia zupełnie połączyły się z miastem. W Belem znajduje się klasztor Hieronimitów, założony przez Don Manuela, tak dziwacznéj architektury, iż nigdzie nie widziałam nic podobnego. Wszystkie filary kościoła i klasztoru są odmiennego kształtu. Zdaje się z razu że to jest widziadło senne; takie wrażenie uczynił na mnie, gdym go pierwszy raz zobaczył. Obok niego jest kościół gotycki bardzo piękny. W Belem są groby królów Portugalii. Przy *Nasso senhora de Ajuda*, jest ogród botaniczny, gabinet historyi naturalnéj. Często był on celem mojéj przechadzki. Tuż obok znajduje się ogród królewski zwany *Quinta de Raynho*; w nim są najpiękniejsze i najrzadsze ptaki, kilka dużych zwierząt, kilka starych brzydkich wężów, wielkich i tłustych które tam gnuśnie zasypiają. Za Belem ciągnie się zwierzyniec xiążęcia; jest to niezmierna przestrzeń zasadzona oliwnemi drzewami i dębami... Tam xiąże zwykł polować.

W okolicach Lizbony, znajduje się jeden tylko ogród zasługujący na wzmiankę. W Paryżu byłby natychmiast przekształcony albo wycięty; ale w Portugalii jest prawdziwą ozdobą, pośród tych nieuprawnych przestrzeni otoczonych płotem aloesowym, a które zowią ogrodami. Była to własność margrabiego Abrantes, w Bemfica, wiosce łączącéj się prawie z Lizboną. Pomarańcze które z takim zachodem pielęgnować trzeba w zimniejszych krajach, rosły tam w ziemi, bez żadnéj uprawy. Nie wspominam o drzewach laurowych, wysokich na dwadzieścia pięć stóp, pomarańczowych, cytrynowych, ale o palmach i bananach, u gałęzi których wisiało mnóstwo daktylów, i pięknych fig bananasowych. Pisang, mangolie, najrzadsze u nas geranie, rosną u stóp tych drzew tak pięknych i udają się same bez hodowania. Pewnego dnia poszłam na przechadzkę do tego ogrodu i z roskoszą oddychałam wonnem powietrzem w alei przepysznych *mangolia-glauca*, kwitnących wówczas. Ogrodnik margrabiego d'Abrantes, bardzo dla mnie uprzejmy, zrobił ogromny bukiet z tych wszystkich prześlicznych kwiatów i umieścił w nim cztery albo pięć róż magnolia i gałązkę kwiatu cytrynowego, którego fioletowa bar-

http://rcin.org.pl

wa jeszcze milszą jest dla oka, niżeli kwiaty pomarańczowe. Wyjechałam z Bemfica, zabrawszy mój bukiet i przez drogę doznałam najrozkoszniejszego wrażenia. Było to podczas pięknego wieczora w miesiącu Czerwcu; xiężyc był w pełni, a jego światło miało piękniejszy srebrny blask, niżeli w naszéj pochmurnéj Francyi. Doznawałam upajającego wrażenia. W takim stanie przybyłam do Lizbony; nie porzuciłam bukietu, pomiędzy nim a mną, czarodziejski związek zachodził.

Mąż mój uważał że jestem drzymiąca; ja także czułam potrzebę spoczynku, i nie dziwiłam się temu, przypisując to utrudzeniu. Poszłam spać, ale wprzódy włożyłam bukiet w naczynie porcelanowe i postawiłam go na komodzie, aby razem cieszyć się jego widokiem i wonią. Zawsze namiętnie lubiłam kwiaty, a teraz stało się zadosyć mojemu upodobaniu.

Gdym już była w łóżku, sen który mię ogarniał, ustąpił na chwilę; krew moja krążyła bardzo gwałtownie, puls bił jak w gorączce, otwierałam oczy bardziéj niżeli było potrzeba dla przypatrzenia się bukietowi. Kochałam ten bukiet, spoglądałam na niego jak na przedmiot mojéj miłości... jego woń była dla mnie jakoby czarodziejskim napojem... Nareście wstałam, wzięłam naczynie z bukietem i postawiłam je na stoliku przy łóżku, tuż przy lampie. Spoglądałam na niego, a tysiące obłędnych myśli, ale miłych i wesołych, przesuwało się przed memi oczyma, pomiędzy mną i kwiatami. Częstokroć zamykały się ociężałe moje powieki, potém drżałam; budząc się z tego drzymania, wyciągałam ręce uśmiechając się do kwiatów i potém zasypiałam znowu. Ten stan trwał jednę lub dwie godziny. Nareście usnęłam zupełnie... W owym czasie miałam zwyczaj wstawać bardzo wcześnie. Moja garderobiana przyszła do drzwi mego pokoju o dziewiątéj, ale nie słysząc żadnego odgłosu, nie śmiała wnijść. Ponieważ wieczorem byłam niezmiernie utrudzona, Junot nie kazał mię budzić, ale gdy aż do jedenastéj spałam ciągle, wszedł do pokoju i otworzył okiennice. Józefina pięła się na łóżko aby mię uściskać. Ale skoro tylko dzień oświecił pokój, biedne dziecko krzyknęło przeraźliwie. Byłam bez przytomności. Woń kwiatów uczyniła na mnie skutek czadu węglowego. Ledwie mogli mię uratować.

---

## WYJĄTKI Z DZIENNIKA PODRÓŻY PO ZACHODNIEJ CZĘŚCI GALICYI.

Tatry jeszcze bieleją śniegiem, który téj nocy spadł na górach; nawet przedgórza zasłaniające Nowotarską dolinę od północy, na wyższych szczytach śnieg mają, ale dzień nadzwyczaj jasny i ciepły. Z wielkiéj góry nad Łopuszną, widziałem oderwaną od Karpat cząstkę gór lodowych zwanych Tatry; leżą one nad Wagiem. Z rana byłem na lisowéj skale, która do Węgier już należy. Jéj położenie między wsiami Nową-Białą i Gronkowem, wznosi się samotnie wśród pól płaskich jak piramida. Dziwna rzecz że podobne skały znajdują się przed całém pasmem Tatrów w równoległéj prawie od nich linii i niezbyt od siebie daleko. Skały te są wapienne i znacznéj wysokości. Zdaje mi się, że autor dzieła o Ziemorodztwie Karpatów, zastanawia się także nad niemi. Dochodząc do Lisowéj skały, miałem widok który tylko w górach mieć można. Na śpiczastym jéj szczycie, kilkunastu pastuszków śpiewało i tańczyło. Ich ruchy tak były ulotne, jak guńki krótkie z rękawów spuszczone i małe kapelusiki, tak odpowiadały lekkim ruchom tańca, że widząc to wszystko w świetle podnoszącego się słońca jak ja widziałem, mimowolnie wyobrażamy sobie fantastyczne grupy jakichś napowietrznych tancerzy.

Okazałe są Tatry, patrzącemu na nie z doliny, ale nierównie wspanialej się wydają z miejsc wyższych. Im bardziéj stanowisko się podnosi, tem bardziéj zmieniają się ich przedgórza, a same Tatry, jakby chciały groźniejszą przybrać postawę, rosną i zbliżają się. Doświadczyłem tego z jednéj góry Łopuszańskiéj, którą Groniem zowią. Stanąwszy na jéj szczycie ażem się zdumiał tak niespodzianém zjawiskiem. Zdało mi się, że owe góry pomiędzy któremi najbliższe o mil pięć leżą, są tuż przedemną. W pierwszym rzucie oka, o małobym nie przyrzekł policzyć ich drzewa, powiedzieć kwadratową przestrzeń każdego płatka śniegu: owa szerokość ogromna Nowotarskiéj doliny, zwinęła się w głęboki wązki rozdół, owe lasy zmieniły się w ciemną plamkę na dnie jego, a Dunajec w cienką nitkę blasku. Złudzenie to powiększa się, im wyżéj, jak powiedziałem, wychodziemy. Co za kraina, gdzie tylko zmiana punktu widzenia, stawi nam przedmiot pod tysiącem kształtów, a zawsze pięknych, porywających!

Mając przeszkodę w ciągłéj niepogodzie i śniegu głębie gór zawalającym, rozrywam niezaspokojane żądze przypatrywaniem się im zewnątrz i zbieraniem ustnych powieści, jakie tylko względem ich szczegółów usłyszeć mi się zdarzy. Z tego co słyszę, co sam widzę, taki jest ogólny obraz Tatrów. Są one częścią Karpat, najwyższą i najpiękniejszą. Leżą w cyrkule Sandeckim na samém południowém pograniczu Galicyi z Węgrami, tak, że graniczna linia prowadzona rzeką Bialską, idzie aż do jéj wypływu z

Morskiego Oka, okrąża to jezioro szczytami skał, przecina je przez mil kilka, kierując się ku zachodowi, zwraca się potém na północ do Babiéj góry, i téj wierzch przebiegłszy strąca się znowu na zachód. Przez to ograniczenie, okolica pod-tatrańska jest niejako odnogą Galicyi ze trzech stron Węgrami otoczoną. Linia Tatrów ciągnie się od wschodu na zachód z małém od południa nachyleniem. (Potrzeba pamiętać że właściwemi Tatrami jest tylko pasmo gór nagich i śnieżystych) Długość téj linii nie jest mi dobrze wiadoma, ale zdaje się że około piętnastu mil wyniesie, jéj szerokość mniéj więcéj od sześciu do trzech mil. Góry składające bok wschodni aż do doliny Kościeliskiej, są najwyższe i najdziksze; góruje nad innemi szczyt Łomnicki ośm tysięcy stóp wysoki, i Krywań o tysiąc stóp niższy od niego; dla Galicyi widziane tylko z jednéj wsi Ząb suchy zwanéj, niedalekiéj Kościeliska. Cudowny widok całego ich ogromu, można mieć jedynie z okolic Kezmarku na Węgrzech, gdzie się z płaszczyzny prawie, bez żadnych przedgórzów podnoszą. Północny bok Tatrów czyli Galicyjski, jakkolwiek nagi, okryty śniegami, i zdumiewający śmiałością swojego wzrostu, zasłania jednak najdziwniejsze cuda przyrody Tatrów. Za jego to ścianą dopiero, osłonione ramionami Łomnickiego szczytu i Krywania, spoczywają niedostępne prawie dziedziny wiecznéj zimy i wiecznego mroku. Tam jeziora nie odmarzające nigdy, doliny skamieniałym już ze starości lodem usłane, lasy nieprzebudzoną niczém ciemność kołyszące; tam nad potokami mosty z lodów; tam cisza odpowiadająca z przestrachu echem na plusk każdéj kropelki ogrzanego czasem śniegu; tam właściwie poczynają się, rosną i dojrzewają olbrzymie lodowce (gleczery) do wysokości przenoszącéj wszystkie góry północnéj strony; tam żywe wyobrażenie zniszczenia i grób skośniały w śmiertelném łamaniu się przyrody. Gewont dzielący Zakopane od Kościeliska, jest ostatnią z owych gór najwyższych, i punktem granicznym od którego zaczyna się pasmo zachodnie, zniżające się stopniami szczytów aż do rzeki Wagu.

Jeszcze i tutaj przebijają się nagie i śnieżne wierzchołki, ale tłem całości jest wdzięk i barwa życia. Zaokrąglenie gór łagodniejsze, wszędzie świeże lasy, lub trawy bujne, przestronniejsze doliny, cichsze wody, umiarkowańsze powietrze. Tatry z tych dwóch połów złożone, możnaby nazwać małżeńską parą, jedna z nich obdarzona przymiotami dzikiego mężczyzny, okazałością i niszczącą mocą, druga wyobraża kobietę urodną z całą jéj łagodnością i nęcącym wdziękiem.

Ze wszystkich dolin które dotąd opisałem, ze wszystkich które dotąd widziałem, żadna nie może iść w porównanie z Nowotarską. Może są piękniejsze od niéj (chociaż i o to nie łatwo) ale dziwniejszéj, ale tak zajmującéj pod setnym względem, trudno w mojém przekonaniu znaleźć. Wszystko tu się zbiega dla jéj ozdoby; rozległość, mieszkańcy, widoki wewnątrz i zewnątrz, życie ludu, pomniki dziejów, poezya gminu, wszystko to tworzy świat nowy, różny od wszystkiego cośmy dotąd widzieli; świat w całém znaczeniu samodzielny, a przeto godzien widzenia i cześci miłośnika przyrody. Z tysiąca stanowisk widziéć ją można, i na każdym złożyć nowy z jéj wdzięków obraz; ja z gruzów Czorsztyna rzucę jéj zarys na jaki dobyć się mogę.

Nie miałem sposobności dowiedziéć się o liczbie kwadratowych mil jéj przestrzeni; nie potrafię nawet wymienić granic Nowotarskiej doliny; można przecie skąd inąd mieć wyobrażenie jéj rozległości: dosyć że 100,000 z górą mieszkańców mieści w sobie, że oprócz Galicyjskiej części, wchodzą do niéj całe niemal stolice Spiska i Orawska. Za granice doliny można uważać granice Oka. Na południu odcina ją od Węgier pasmo Tatrów; na zachodzie widzisz naprzód szczyty śnieżne gór Tatrami zwanych; daléj ku północy Żywiec i nareście jak olbrzymi kopiec kątny, jedyną w swoim kształcie, samotną piramidalną Babią górę; z północy i ze wschodu obwarowana jest przedgórzami, w których paśmie niepospolitéj wysokości, podnoszą się szczyty i garby, jako kluczki szczyt Maniowski i Pieniny. Kształt doliny podłużny; najwęższy od Czorsztyna, szerszy coraz, im bardziéj oddala się od niego: kierunek jej z północo-wschodu na południo-zachód. Między znaczniejszemi wodami które Tatry poczynają i oddają że tak powiem na wypiastowanie Nowotarskiej dolinie, są czarny i biały Dunajec, Białka i Wag, który chociaż do Węgier odpływa, z téj strony jednak ma swoje źródło; mniejsze potoki wyliczyć za trudnoby było. Powierzchnia doliny, w ogólności nie jest płaska i gładka, u podnóża Tatrow pogarbiona ogromnemi wzgórzami, spuszcza się z nich nieznaczną potoczystością aż do Dunajca, którego łoże jest właściwie ostatnią głębią dna doliny. Dzisiejszy mój widok z Czorsztyna, mało ma podobnych sobie, nie przeniósłbym tego aby o nim zamilczéć. Słońce spuszcza się z południa; niebo wpół wypogodzone; Babiej góry wierzchołek dymi jak przygasły Wulkan słupem obłoków, rozpływających się nad nią jak pióra bujnéj kity; powódź chmur waląc się od zachodu, pnie się jak do szturmu po niższych stopniach Tatrańskich ku najwyższym; jedne znikają w białawych, olbrzymich kłębach; drugie zalane wybijają się na wierzch; spływają podarte chmury po nagich bokach

http://rcin.org.pl

skały, ale nadchodzą posiłki, a zwycięzcy jednych toną w nawale drugich; wkrótce rozwinięta chmurna chorągiew, powionęła na najwyższych schodach gmachu, zniknęły wszystkie szczyty w powodzi, a tryumfująca niepogoda obległa obozem cały plac boju i na najniższych lasach rozbiła swoje namioty. Cała dolina tymczasem przypatrywała się obliczem pokoju téj walce; chyba cień przelotnéj chmury przeniknął się po jasnych jéj polach; mrok rozrzuconych tu i owdzie borów podnosił zieloność polan i złotawą barwę pól dojrzałem zbożem okrytych. Snuły się prostém gościńcem, przy chatkach po zagonach, grupy pracujących, spokojne skrzętném zatrudnieniem chociaż pod okiem grożącéj niepogody; ale nad wszystkie uroki obrazu, uroczniejsze były wody; nic nie potrafi wyobrazić tego blasku co gwałtowną Białkę sprowadzał z góry do Dunajca przez ciągłą pochyłość, więcéj niż milową. Jak zazdrościłem wtedy tym górom, tym lasom co z wyżyny swojéj ogarniają w każdéj chwili dolinę, dla których żadne jéj zjawisko nie jest straszne, jak szczerze życzyłem sobie zmienić się w istotę trwałą jak one. Zazdrościłem drzewom, skałom, a dla gruzów Czorsztyna tém większe uszanowanie powziąłem. W natchnieniu musiał bydź ów człowiek co pierwszy na tych skałach posadę jego zakreślił; wzniosłe musiały bydź dusze, co go zamieszkiwały przed laty! bo dzisiaj!.. jakże się ustrzegę aby oddalić śmieszność od zwrotu moich myśli? ale mówmy jak jest; pomysł, nie wiem jakim go nazwać, dziedzica tych gruzów, osadził je drewnianemi niedźwiedziami: do tych słów nie ma co więcéj przydać.

Mówiąc o Nowotarskiéj dolinie, nie mogę zamilczéć podania o niéj. Lud twierdzi że przed wieki całą tę przestrzeń zalewała woda, która się zwała Karpackie morze; ale że jakiś bardzo dawny król Polski, kazał przeciąć Pieniny w tém miejscu, gdzie dzisiaj Dunajec przepływa i w rzeczy saméj łożem tak ciasném pomiędzy prostopadłemi skałami, że za dzieło ludzkie wziąśćby je można; a tym sposobem spuścił wodę teraźniejszym korytem Dunajca i dolinę osuszył. Geolog mógłby z tego powodu na liczne wpaść domysły; ja z mojéj strony religijnie wierzę podaniu, które pamięcią swoją przedwiecznych czasów sięga, a więc i owych kiedy nie jedno przeludnione dzisiaj miejsce, sami mieszkańce wód posiadali. Bądź co bądź, przyjemnie wierzyć w podobne rzeczy, choćby dla saméj poetyczności pomysłu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

---

## NEPENTHES.



Telemak niespokojny że nie ma wiadomości o swoim ojcu, udał się do Nestora, który także nic mu powiedziéć nie mógł. Z tamtąd puściwszy się w dalszą podróż, udał się do Menelaja gdzie piękna Helena przyjęła go jak najgościnniéj. Wzruszona litością na widok zmartwienia tego młodzieńca, wmieszała do wina zastawionego przed nim, roślinę która osuszała łzy, uspokajała gniew i rozpraszała wszelki smutek, skoro jéj tylko pokosztowano. Tę cudowną roślinę dostała od Polidamny żony Theonisa króla Egiptu. Wszyscy goście Heleny napili się tak przyprawionego trunku i natychmiast doświadczyli jego skutków. Homer opowiadając to w czwartej xięgdze Odyssei, nazywa tę roślinę *Nepenthes*. Nazwisko to wyraża dosłownie jéj przymioty; składa się bowiem z dwóch wyrazów greckich; jeden jest przysłówkiem przeczącym, a drugi znaczy *boleść, smutek, zmartwienie.*

Wielu starożytnych autorów pracowało nad wybadaniem jaka to bydź mogła roślina *nepenthes*. Pliniusz i Teofrast, mówią o niéj jako o roślinie pochodzącéj z Egiptu, któréj przymioty powiększył Homer w poetycznym opisie. Diodor opowiada, że za jego czasów, to jest za panowania Augusta, kobiety z Tebów w Egipcie, chlubiły się że posiadają tajemnicę Heleny, rozpraszania smutku, i że jéj używały skutecznie. Z drugiéj strony Plutarch, Ateneusz i Filostrat, utrzymuje, że Nepenthes oznacza tylko po-

http://rcin.org.pl

wab rozmowy Heleny, że goście słuchając jéj zabawnych opowiadań, zapominali o smutkach. Wielu uczonych z późniejszych czasów, zajmowało się temże samym wybadywaniem i nie można sobie wystawić jak dalece zapuściła się ich wyobraźnia chcąc odkryć tajemnicę małżonki Menelaja. Najrozsądniejsi utrzymywali, że Nepenthes Homera, jest to opium narodów wschodnich.

Jednakże, nie można było wybrać stosowniejszego nazwiska dla kwiatu którego umieszczamy rycinę i który jest jedną z osobliwości Indyi. Urna znajdująca się na końcu jego liści, mieści się w rzędzie pięknych fenomenów roślinności, i dla tego też zawsze jest przedmiotem uwielbienia podróżnych. Ta urna zwykle jest napełniona wodą czystą i słodką. Na wierzchu urny znajduje się pokrywa. We dnie pokrywa ta podnosi się i woda zmniejsza się do połowy, ale ta strata wynadgrodzona bywa przez noc, tak iż nazajutrz rano, urna znowu jest zamknięta i pełna. Wiele małych robaczków pływa, żyje i umiera w téj wodzie.

Indyanie mają dziwaczne i zabobonne wyobrażenia o téj roślinie, mniemają że gdy kto zetnie te urny i z nich wyleje wodę, deszcz padać będzie przez cały dzień. Nie omieszkają przeto chwytać się tego środka pod czas suszy. Korzeń téj rośliny ma posiadać własności ściągające; jéj liście chłodzą i odwilżają. Dystylują z nich ciecz, któréj używają wewnątrz w gorączkach, zewnątrz zaś na wyrzuty i wszystkie zapalenia skóry.

---

## OBRAZY STOŁECZNEGO MIASTA.

### STANCYE DO NAJĘCIA, ODŹWIERNY PARYZKI.

Kiedy nie masz nic do czynienia, kiedy przechadzasz się bez celu, kiedy chcesz się rozerwać a sam nie wiesz jakim sposobem, wskażę ci rozrywkę nie kosztowną, nie utrudzającą i którą bardzo łatwo znaleźć można. Oglądaj pomieszkania do najęcia: nie ujdziesz trzydziestu kroków bez znalezienia kart wywieszonych na bramie. Niektóre z nich są bardzo śmiesznie ułożone: nie wspominam o pisowni: na takie fraszki nie zważają przy pisaniu szyldów. Malarze liter nie wiele dbają o to, że cudzoziemcy powezmą o nas jak najgorsze wyobrażenie; ci panowie zowią się artystami, umieją kreślić gotyckie albo cieniowane litery, ale nie są bardzo biegli w grammatyce. Szczęśliwy ten, komu nie namalują po dwie albo trzy litery, zamiast jednéj, dla powiększenia rachunku.

Wróćmy się do stancyi do najęcia. Powiecie, może iż bynajmniéj nie myślicie przeprowadzać się. Cóż to znaczy? i ja toż samo... Nie chcę zmieniać pomieszkania, ale mimo tego mogę oglądać stancye do najęcia. Tyle rzeczy zobaczymy tam, oglądając tylko pomieszkania, obrazy domowego pożycia, sceny familijne, damy w negliżu, jegomości który gniewa się że mu przerwano pracę: jejmość która się jeszcze bardziéj gniewa, gdyż rozumiała że mąż powraca; kucharka mruczy że musi odejść od komina; stara kapitalistka boi się czyli oglądający nie są oszustami, i idzie za niemi nie spuszczając ich z oka, a gdy wyjdą, patrzy jeszcze czyli zegarek leży na murku; wstydliwi ubodzy obywają się na obiad jedną potrawą i jedzą cynowemi łyżkami. O! wtedy żałujesz żeś ich zastał przy stole, nie spoglądasz na ich nakrycie i przechodzisz nie zważając na kartofle które jedzą z pośpiechem, wołając głośno: »Kurczę jeszcze się nie dopiekło... kurczę zaraz przyniosą.»

Widzicie więc ile to rzeczy obiecuje wywieszona karta. Jeszcze wam nie przytoczyłem ani setnéj części. Nie dawno mówiłem o tém do młodego człowieka, który się nudził w Paryżu i powtarzałem: »Nie umiesz bawić się przyjacielu. A ponieważ chciałem przekonać go że dla rozerwania się nie zawsze potrzeba wydawać pieniądze, zacząłem patrzéć po domach: byliśmy wtedy na ulicy Montmartre.

Jużem wyczytał na karcie: *Piękna stancya kawalerska i piwnica, ozdobiona zwierciadłami*, a na drugiéj: *Wielkie pomieszkanie, stajnie i wozownie świeżo ozdobione*; zatrzymałem się przed domem dosyć porządnym, starym i czarnym jak wszystkie przy ulicy Montmartre; ale sień była porządna, a podwórze prawie widne, co jest rzeczą bardzo rzadką w ludnych częściach Paryża.

Wszedłszy w bramę wjezdną po lewéj stronie, postrzegliśmy izdebkę odźwiernego. Pukam w szybę, nie odpowiedziano mi, ale dano znak abym otworzył okienko. Uczyniłem to i zajrzałem, ale natychmiast cofnąłem się gdyż zadusiła mię woń kapusty, czosnku i skóry. Było tam dwoje dzieci tarzających się po ziemi, kobieta która karmiła trzecie, zbierając szumowiny z kociołka i człowiek małego wzrostu, który naprawiał obuwie.

Jednakże odważyłem się odetchnąć powietrzem téj izdebki, pytając samego siebie, jak mogą znajdować się ludzie tak silni, iż zdołają wyżyć w takiéj atmosferze i rzekłem: »Cóż jest do najęcia w tym domu?

—»Ach panie! mamy kilka lokalów wielkich i średnich... To zależy od woli pana... żono! uważaj na małego... wleci w kociołek.

—»Czy można zobaczyć pokoje?

—»Przepraszam pana, można je zobaczyć każdego czasu. Zaprowadzę pana; właściciel żąda abyśmy sami oprowadzili oglądających... i okazywali im zalety lokalu.... Zważaj na małego... bawi się z moim chłopcem od butów.

http://rcin.org.pl

Odźwierny kładzie but, przeciska się pomiędzy dzieciakami, i nareście wychodzi z komórki.

Ten pan przyszedł razem z panem? rzekł patrząc na mojego przyjaciela. —»Tak jest. —»A dobrze, więc pójdzie razem z panem? —»Oczywiście. —»A dobrze... żono uważaj na maleńkiego.... Czy pan chce gospodarskiego pomieszkania? —»Bydź może; ja chcę zobaczyć wielkie, a mój przyjaciel małe. —»A dobrze!... Czy masz pan dzieci?.. bo właściciel nie lubi dzieci; powiada że psują pomieszkania.—»A przecie masz ich Wac pan kilkoro.—»Tak, to prawda, ale też nigdy nie wychodzą z izdebki, a siedzą tam jak w zamknięciu, na krok nie ruszą się, już są nazwyczajone do tego.

Biedne dzieciska przesiąkną kapustą jak króliki w karczmie: pomyślałem sobie idąc za odźwiernym, który nareście wyrusza na schody, jeszcze raz zawoławszy na żonę... »Zważaj na małego.»

Przychodzimy na pierwsze piętro.—»Czy tutaj? rzekłem do naszego przewodnika.

— »O nie! widzisz pan tę blachę na drzwiach: tu mieszka notaryusz, tu jest kancelarya... pisarze którzy pracują jak konie, jak powiada moja żona... Ale pan notaryusz nigdy ich nie spuszcza z oka. Muszą pracować; notaryusz chce dorobić się majątku. Uwziął się na to. Jeszcze jest młody człowiek, ożenił się i kupił swoją posadę za posag żony. Jest to maleńka kobiecina nie bardzo piękna. Słyszę nieraz jak wrzeszczy na kucharkę... A!.. otóż znowu hałas, zbiera się na burzę... Śmieszna to rzecz!. pan notaryusz jéj mąż także nie jest wesoły; mówią ludzie że nie wiele zarabia. Kiedy był najstarszym dependentem, śpiewał ciągle, mówią nawet że pisał wodewile! ale teraz już nie śpiewa. Ale to wszystko jedno... Siedzi teraz w krześle z poręczami i ma szlafrok materyalny, jak powiada moja żona.»

Odźwierny zatrzymał się na korytarzu pierwszego piętra, rozpowiadając nam to wszystko; zdaje mi się nawet iż byłby i dłużéj gadał, gdyby się nie otworzyły drzwi kancellaryi. Młody człowiek wyszedł z pliką papierów pod pachą, a nasz przewodnik woła uśmiechając się do niego.

—»Panie Felixie! siedzę nad piętą WPana; już tylko mam wbić w nią kilka gwoździ.—»To bardzo dobrze panie Bluet, pamiętaj żeś mi je przyrzekł na jutro rano.—»Tak jest panie Felixie, będziesz je miał na jutrzejsze bieganie.

Weszliśmy na drugie piętro. Odźwierny zatrzymuje się przede-drzwiami i chce dzwonić, gdy w tém obraca się do mnie, mówiąc: —»Ale, ale, czy pan masz psów?—»Nie. —»A!.. to dobrze. Właściciel także nie lubi psów, utrzymując że robią nieprzyjemne rzeczy na schodach.—»Jak widać, właściciel wasz ma wiele dziwactw?—»O tém ani gadać! zbogacił się przedając drwa i dziwaczy bardziéj aniżeli szlachcic staréj daty, ale cóż robić; wszyscy jesteśmy śmiertelni! Zadzwonię!..—»Zaraz, zaraz. Jakież to jest pomieszkanie?—»To piękne, wielkie... sześć pokojów i kuchnia... pokoje obejść można w koło; są dwa wyjścia. Tysiąc dwieście franków i sold od każdego franka; za oświecenie schodów płaci się osobno.—»Czy kto mieszka w tym lokalu?—»Tak jest, ludzie porządni. Mąż, żona, kucharka i młodsza. Mąż gra na giełdzie jak mi powiedziano.

Przychodzimy na trzecie piętro. Odźwierny wskazuje na drzwi, mówiąc.—»Na tém piętrze lokale są podzielone. Tu mieszka urzędnik z ratusza i jego żona; ludzie w średnim wieku. Mąż wychodzi co rano o dziewiątéj, powraca o wpół do piątéj. Od trzech lat jak mieszka w tym domu, uważałem że ani minuty nie chybił. To człowiek porządny! Wieczorem bawi się w kawiarni aż do dziewiątéj, w niedzielę siedzi do dziesiątéj. Żona jest wiernym obrazem męża. Co dzień wychodzi za sprawunkami o jedenastéj, wraca o dwunastéj, a potém ani się ruszy, choćby nie wiedzieć co działo się na ulicy. O! to są ludzie bardzo szanowni.

—»Czy to już wszystkie lokale?

—»Tak jest, chyba że chcecie panowie zobaczyć kawalerską izdebkę pod strychem.

—»Zobaczmy, kiedy już jesteśmy tak wysoko. Może się przyda naszemu przyjacielowi; prosił mię abym zobaczył jaką stancyą dla niego.

Idziemy więc na czwarte i ostatnie piętro. Jest troje drzwi, a nasz przewodnik rozpowiada o wszystkich.

Tu mieszka czeladnik krawiecki, który bez ustanku gra na fletrowersie. To szczęście, że cały dzień siedzi w warsztacie i wraca dosyć późno. Tutaj artysta, malarz.—»W jakim rodzaju?—»We wszystkich jak mi się zdaje; maluje portrety olejno, szyldy, parawany, co kto chce... Jest to człowiek z talentem; wymalował portret mego najmłodszego dziecka, wiszącego u piersi matki; ażem się rozpłakał. Ale otóż jest stancya do najęcia.—»Któż tu mieszka?—»Nic osobliwego, Owerniak chodzący za posyłkami. Nie mówię nic złego o nim... może bydź uczciwy, ale nie płaci komornego... już dwie raty zaległ, a jak mówi właściciel, wszyscy jesteśmy śmiertelni. Zapukam bo nie ma dzwonka.

Odźwierny zapukał. Chłopczyk mający lat siedem do ośmiu otwiera i bojaźliwie spogląda na nas, a potém staje przy posłaniu na którem leży człowiek młody jeszcze, ale obarczony zmartwieniem i chorobą.

W izbie mało jest sprzętów, stół, stara komoda, garczek do masła, kilka stołków i łóżko. Ale to wszystko jest porządne i czyste, można wnijść i nic zawadzić.

http://rcin.org.pl




—»Ci panowie chcą obaczyć izbę, rzekł odźwierny tonem protektorskim. —»Pokażcie ją panie Bluet... Przepraszam panów; nie mogę wstać.

—»O!. nie chcemy panu przeszkadzać: rzekłem do Owerniaka, który dziwi się widząc moją grzeczność i spojrzeniem dziękuje mi za nią.

Pan Bluet mówi dalej, siadając na krześle.

»Jesteście więc zawsze chorzy Hieronimie? —»Tak jest panie... nie mogę przyjśdź do siebie. —»Do licha, to źle... kto nie pracuje ten nie zarabia i nie płaci tego co jest winien.

Chciałem dać kułaka panu Bluet, alem się wstrzymał.

—»Czy ten mały nie mógłby wam dopomódz? rzekł odźwierny.

—»O chętnie! zawołał chłopczyk: jużem powiedział papie, że pójdę wycierać kominy; ale papa nie pozwala.

—»Mój kochanku, jesteś za słaby do takiéj pracy, rzekł ojciec. Jesteś delikatnym... sadze zaszkodziłyby tobie. —»O, nie papo! mógłbym ci pomagać... Proszę cię pozwól mi wycierać kominy! Wieczorem tak będę szczęśliwy gdy ci przyniosę mój zarobek.

Hieronim przyciska syna do łona swego, łzy stanęły mu w oczach; usiłował je ukryć. Ścisnęło się serce moje i mego przyjaciela. Ten nieznośny odźwierny powtarza ciągle. —»Ba! ba! sadze! dzieciom Owerniaka sadze nie szkodzą.

Wyjdźmy rzekłem i popycham odźwiernego przed sobą. Skinąłem na chłopczyka aby wyszedł za mną do sieni. Pan Bluet schodzi; mój przyjaciel odgadł myśl moją. —»Wiele masz pieniędzy? —»Trzydzieści dwa franki? —»A ja dwadzieścia cztery... Złóżmy to razem... Weź maleńki, zanieś to ojcu i doglądaj go w chorobie.

Dziecię bierze pieniądze, patrzy na nas z podziwieniem, nie może zdobyć się na podziękowanie i wyrażenie swojéj radości, a tymczasem zchodzimy na dół. Pan Bluet wyciąga do nas rękę, ale nic nie włożyliśmy w nią i zapewne powiedział: »Ci panowie nie są nic osobliwego.

—»A cóż! rzekłem do mego przyjaciela: widzisz że nie zawsze na próżno oglądamy stancye do najęcia.

PAWEŁ DE KOCK.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

http://rcin.org.pl



PRZEJŚCIE PRZEZ GORĘ Sgo GOTHARDA.

http://rcin.org.pl

Z pomiędzy wspaniałych krajobrazów, w które obfituje Szwajcarya, przejście przez górę Sgo Gotharda, jest jednym z najznamienitszych. Piękność jego natchnęła Xżnę Devonschire, angielkę. Opiewała je w poemacie, które Delil przełożył na język francuzki. Umieszczamy opis przejścia przez górę Stego Gotharda, wyjęty z zajmującego dzieła pana Lantier pod tytułem:[1] *Podróżujący po Szwajcaryi.*

»Zabierając się do przebycia góry Stego Gotharda, przybyliśmy nad wieczorem do domu przytułku znajdującego się w dolinie Urserin. Jakże nam przyjemny był spoczynek po całodziennych trudach podróży!

Dolina Urserin, ma trzy mile długości, pół mili szerokości; cała składa się z pastwisk. Na całą przestrzeń jeden jest tylko las, służy za obronę przeciw lawinom i pod karą śmierci nie wolno ścinać w nim ani kawałka drzewa. Dwie rzeki przecinają tę dolinę, łączą się niżej domu przytułku, a przepłynąwszy pod *Diablim mostem* wpadają w jezioro Altorp. Góry są obnażone, bez roślinności, wiosna nigdy się tam nie uśmiecha, jesień przybiera postać zimy, a lato trwa tylko trzy miesiące. A jednakże w tém dzikiem miejscu, znajduje się znaczna ludność i cieszy się dosyć dobrem bytem. Utrzymują że ta płaszczyzna jest najwyższym punktem na którym ludzie żyć mogą; wyniesiona jest na 4611 stóp nad powierzchnią morza. Górale jéj mieszkańcy są wspaniałomyślni i ludzcy; ich obyczaje są czyste. Kobiety miłe i ładne; gościnność jest opiekuńczém bóstwem tego kraju; ubodzy znajdują tam przytułek i wsparcie. Odpocząwszy przez dwa dni, puściliśmy się w dalszą podróż. Rzeka Reuss była po lewéj ręce drogi, stromo w górę idącej. Wkrótce doszliśmy do przejścia ściśniętego między skałami i rzeką, szumiącą po oderwanych głazach. Lecz w tém ujrzeliśmy na środku drogi skałę z jednéj sztuki granitu na osiemdziesiąt stóp szeroką, wysoką na tysiąc; schody wykute w skale służą do dalszéj podróży. Przejęci byliśmy podziwieniem i bojaźnią: rzeka w tém wązkiem przejściu pieni się, spada ze skał na skałę, z przepaści w przepaść. Skorośmy tylko przebyli to miejsce, obszerny krajobraz rozwinął się przed oczyma naszemi; jest to najwznioślejszy punkt w przejściu Sgo Gotharda. Płaszczyzna szeroka i długa na pół mili, przecięta jest siedmioma jeziorami, a nad nią panują niezmierzone wierzchołki wiecznemi lodami okryte. Rzeka Reuss wypływa z jeziora Lucendro, które przez dziewięć miesięcy w roku jest zamarzłe; ryby żyć tam nie mogą. Woda odbija wierzchołki tych gór wysokich, a brzegi jeziora ozdabia zieloność. Aby dostać się do klasztoru Kapucynów, przejechaliśmy pomiędzy sześcioma jeziorami, z których rzeka Tessin wypływa: tak więc szczyt Petiny (tak nazywają tę górę) daje początek rzekom Ren, Rodan i Po. Odpoczęliśmy w domu przytułku, przeznaczonym, dla podróżnych, a który zostaje pod dozorem dwóch kapucynów. Przybywszy tam prosiliśmy aby rozpalono ogień, chociaż bowiem słońce było w konstellacyi Psa, zimno wskroś nas przejęło. Zima założyła panowanie swoje na tych górach; nic tam żyć nie może, żadna roślina się nie utrzyma. Biedni kapucyni są zagrzebani w śniegu przed dziewięć miesięcy w roku. Szczyt góry Stego Gotharda jest płasko ścięty i zupełnie nagi. Na wschód zaczynają się góry bardzo wzniosłe, znane pod nazwiskiem gór Adula. Ich przerwy zapełnione są lodami; człowiek nie może się tam dostać; nawet giemzy uciekają od nich; promienie słońca nie dochodzą do tych miejsc straszliwych. Zycie pasterzy tego kantonu, podobne jest do życia zwierząt. Nie raz przez kilkanaście tygodni mieszkać muszą w jaskiniach zawalonych lodami. Zyją gotowanym mięsem bez chleba i soli. A jednakże przestają na swoim losie i niechętnie opuszczają góry aby zbliżyć się do ludzi. Namiętnie lubią polowanie, ostrzegają podróżnych o grożącém niebezpieczeństwie i śpieszą z pomocą. Wydobywanie kryształu górnego, przynosi im znaczne korzyści.

Któżby uwierzył, że ta dzika przestrzeń nazywa się rajem? To starożytne miano wskazywałoby że ten kraj w dawnych czasach był uprawianym i żyznym; tak utrzymują jego mieszkańcy i twierdzą że dopiero od kilku wieków lody zajęły ich siedzibę.

Góra Stego Gotarda wysoka jest na 1378 sążni nad powierzchnią morza Środziemnego; a szpital Kapucynów stoi na wysokości 1061 sążni. Prrzez tę górę odbywa się handel między wschodnią Szwajcaryą i Włochami; 1200 koni lub mułów corocznie użytych bywa do przewozu towarów.

## ŻYCIE CZŁOWIEKA.

Z przed wiecznego wyroku
Jak są cztery pory w roku,
Tak w człowieku
Cztery pory jego wieku.

**1.**

W wiośnie:

Śmiało i radośnie
Błyszczącą młodością świecim
Ptasząt bierzemy naturę
Śpiewamy, bujamy, lecim,
Co raz wyżéj... wyżej w górę.
Wśród tych rozkosznych zapędów,

http://rcin.org.pl

Rozpuszczamy wartkie skrzydła,
Śmiejąc się z ojcowskich błędów,
W też same wpadamy sidła;
Bo na młodość pełno siatek
Pełno ponęt, pełno klatek.

2.

Jeszcze wesoło i w l e c i e;
Bo przecudnie
W pełnym rozwinięte kwiecie,
Świeci nam nasze południe.
Więc bujamy,
I latamy.
Lecz już pomału,
W czasie upału,
Zaczynamy szukać cienia,
Pod którym wiek doświadczenia.

3.

W j e s i e n i
Coraz się mniéj nam zieleni,
Liść żółknie, pada, więdnieje,
Więdną i nasze nadzieje.
Już mniéj bujamy i skaczem
Niekiedy nawet zapłaczem.
Późniéj, chociaż słońce błyska
I czasem jego promienie,
Wypuszczą łagodne tchnienie,
Przypominając nam wiosnę,
Nie są to już dni radosne;
Bo ta pamięć nas uciska,
Że do niéj nigdy nie wrócim.
Więc nie latamy, nie skaczem,
Tylko się dręczym lub smucim
I coraz częściéj zapłaczem.
Ale nawet i ta pora
Częstokroć przyjemną bywa;
Jest to pogadanka tkliwa,
W pośród szarego wieczora,
Z doświadczonym przyjacielem,
O tém, co serc naszych celem.

4.

Nakoniec, nadchodzi z i m a,
Co naturę w więzach trzyma,
Co przeszłości kwiaty niszczy,
Kiedy po białéj murawie,
Jakby dzieciom ku zabawie,
Dyamentami zabłyszczy.
Wtedy już nas nic nie mami,
Bo z Wiosny, z Lata, z Jesieni,
Nic się nam już nie zieleni....
A śmierć przed nami.
Już się na obecność żalim,
Zbiegłe tylko czasy chwalim,
Tylko gwarzem,
Tylko marzem;
Zaledwie wiemy, że czujem,
Chwile liczem na godziny
I jak pająk z pajęczyny,
Z tego wiotkiego przędziwa,
Które lada wietrzyk zrywa,
Pociechy snujem.
Istniem tylko przez tę trwogę,
Że nie wiemy, że nie znamy
W jaką się drogę
Puszczamy;
Gdzie żyć będziem...? co nas czeka?
Tak z przedwiecznego wyroku,
Kończy się pobyt człowieka,
W czwartéj części jego roku.
Ach! biada! komu w podróży,
W kraje szczęścia wiekuiste,
Za przewodnika nie służy,
Sumienie czyste.

## NAUKA ZDROWIA.

Towarzystwo, które we Franzyi założyło Dziennik użytecznych wiadomości i przyłożyło się do upowszechnienia kass oszczędności w tym kraju, ofiarowało w miesiącu Wrześniu 1832 nagrodę pięciuset franków autorowi, któryby w krótkiem piśmie kilkunastu stronnic nieprzechodzących, zdołał zebrać z najlepszych rozpraw o Nauce zdrowia, przepisy użyteczne do codziennego użytku i łatwe do wykonania dla osób trudniących się rolnictwem, dla osób zajętych po miastach niezdrowemi rzemiosłami, i nareście dla osób posiadających dobry byt i czas do zajęcia się pielęgnowaniem zdrowia swego.

Nagrodę 500 franków otrzymał P. Izydor Bourdon członek Akademii lekarskiéj, autor wielu dzieł w przedmiocie fizyologii. Pracę jego umieszczać będziemy częściami w piśmie naszém.

*Ogólne prawidła, wyjęte z Nauki zdrowia lekarskiéj i moralnéj.*

Nie marnuj nigdy, dopóki ci zdrowie sprzyja, tego co byłoby dla ciebie środkiem ocalenia w chorobie.

http://rcin.org.pl

Nie przechodź nagle z jednej ostateczności do drugiej: ze zbytków do niezmiernej wstrzemięźliwości, z bezczynności do trudów, z pobytu na wsi do ciągłego pobytu w mieście. Potrzeba we wszystkiem wolnego przejścia, roztropnego stopniowania. Początki niebezpieczne są w każdéj rzeczy. Lepiéj nawet jest zatrzymać dawny zły nałóg, aniżeli zbyt nagle go zmieniać.

— Zdrowie nie potrzebuje aby się nim zajmować z usilną i drobiazgową troskliwością: ten dopomaga zdrowia kto mu nie szkodzi. Jednakże aby nic nie puszczać na los, trzeba rządzić się roztropnością.

Oto są główne przeszkody upowszechnienia przepisów nauki zdrowia: ciemnota ubogich, niedbałość młodych, lekkość bogatych zakorzenione nałogi starych, przesądy wielkiéj liczby ludzi, namiętności i zmysłowość wszystkich. Sami tylko ludzie bogaci mogą ściśle wykonywać przepisy hygieny i to jeszcze potrzeba do tego wielkiéj roztropności. — Nadużycia są może niebezpieczniejsze dla bogatych, niżeli nędza dla biednych. Bogatym więcéj użyć muszą mądrość, aby poskromić zmysłowość, aniżeli ubogim potrzeba zabiegów aby się oprzeć niedostatkowi.

Kto żyje podług natury, ten rzadko jest ubogim; ale żyjąc podług opinii, podług wymysłu, nigdy nie mamy dosyć. Wymysły są nienasycone i zmienne, lecz natura nie jest ani rozrzutna ani dumna. Ogranicza się na tém co jest prawdziwie potrzebnym.

Ubogi często jest chorym przez brak rzeczy koniecznie potrzebnych, bogaty choruje przez nadużycie w zbytkach.

Lekarstwa bez użyteczne, te które nazywają lekarstwami ostrożności, częstokroć są niebezpieczniejsze od choroby.

Prawdziwy lekarz celuje w zapobieganiu chorobom; częstokroć nie zdoła ich zwalczyć. Łatwiej jest odwrócić chorobę, niżeli przeszkodzić jéj postępowi.

Krwi puszczenie i lekarstwa czyszczące brane bez potrzeby, nie tyle szkodzą gnuśnemu mieszkańcowi miast, chociażby słabym był i chorowitym, aniżeli najsilniejszemu wieśniakowi. Gnuśnie żyjący, ma zawsze więcéj krwi, niżeli jego gnusność znieść jéj może.

Lepiéj jest upuścić zbyteczną krew, anili rozproszyć ją nieporządném życiem, mniéj to szkodzi siłom i zdrowiu.

— Potrzeba podniecać temperamenta limfatyczne, miarkować krwiste, tak skłonne do wszelkiego rodzaju nadużyć, uspokajać drażliwe bez ich osłabiania, ochładzać żółciowe, pocieszać i rozrywać melancholiczne.

— Są choroby których uleczenie może bydź szkodliwém; jako to powszechne liszaje napastujące słabe i delikatne ciało, stare wrzody u otyłego, i siedzeniem bawiącego się starca, obfite hemoroidy istniejące od lat wielu i tym podobne.

— Nikt nie prowadzi gorszego życia jak ci którzy oświadczają jawnie że chcą aby było *krótkie a dobre*. To życie zbytków wszelkiego rodzaju, zawsze *krótkie*; w rzeczy saméj zdaje się bydź jeszcze za długiem dla społeczności i familii. Niekiedy ukraca go cierpienie, nieodstępny towarzysz długiéj choroby i smutna puścizna występków.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## BAZYLISZEK.



Starożytni pod tém imieniem opisali zwierzę, którą obdarzyli taką potęgą szkodzenia, że jeden tylko wąż grzechotnik może iśdź z niem w porównanie. Podług nich, bazyliszek był to gatunek smoka, którego ukąszenie niezawodną śmierć zadawało, a który straszliwszy jeszcze błyskawicą oka, niżeli jadem żądła, zabijał jedném spojrzeniem. Podróżny, który spostrzeżony został od potworu wprzódy, niżeli sam go zobaczył, uczuwał nagły wewnętrzny ogień. Jeśli przeciwnie pierwszy go zoczył, nie miał się niczego obawiać. Strzelcy używali zwierciadła na chwytanie bazyliszka, w którem

http://rcin.org.pl

skoro się przejrzał, skutek własnéj trucizny na niegoż samego działał. Zwierze tak cudowne, musiało koniecznie mieć dziwaczny początek i nadzwyczajną postać. Wierzono w istocie że pochodził z jaj starych kogutów, i wystawiano go o ośmiu nogach, zbrojnego w dziób zakrzywiony i z koroną na głowie. To jeszcze nie wszystko; Pliniusz upewnia że miał głos tak straszliwy, iż wszystkie przerażał zwierzęta, i że je tym sposobem wypędzał z miejsc przez siebie zamieszkanych, aby panować w nich wszechwładnie.

Dzisiaj przestano wierzyć w bazyliszki łatwowiernéj starożytności; lecz dziwaczne kształty, i bajeczne własności które im przypisywano, zbyt głośném uczyniły ich imie, aby go nie miano nadać innemu zupełnie rodzajowi, co też i nastąpiło. Naturalista Seba wystawił pod tem nazwaniem gatunek jaszczurki, któréj głowę i grzbiet cały aż do ogona, uwieńcza czub grzebikowaty, za pomocą którego autor ów mniemał że zwierze to może latać Wymienia go pod imieniem bazyliszka, czyli smoka Amerykańskiego, latającego wodno - ziemnego zwierza. I owe to zwierzę odtąd opisywane we wszystkich dziełach pod mianem bazyliszka, znajduje się w Muzeum historyi naturalnéj w Paryżu. Rodzajowi temu, takowe charakterystyczne nadają cechy: Ciało okryte drobną łuską; ogon długi i spłaszczony po bokach; czub ciągnący się od karku aż do ogona, w kształcie pletwy; język krótki, szeroki, nieciągły. Z resztą nie ma nic pewnego o tém zwierzęciu; nie wiadomo nawet z jakiego kraju pochodził bazyliszek opisany przez Seba, chociaż tenże Amerykę naznaczył mu za ojczyznę. Jedyny znany dotąd w Europie, jest koloru szaro-popielatego, nakrapiany bielszemi centki.

Pewniejsze mamy opisanie drugiego gatunku, zwanego bazyliszkiem Ambojny. Tego wyobraża nasza rycina. Płaz ten jest koloru zielonawego w pręgi czarne, pod brzuchem białawy. Czub daleko jest wyższy u samców niżeli u samic. Widziano długie przeszło na cztery stopy, których ogon trzy części zabierał. Znajdują się w Azyi po nad brzegami rzek. Pną się na drzewa i żywią owocami. Polują na nich w Ambojnie i Jawie, gdzie mieszkańcy żywią się ich mięsem, które jak mówią ma bydź wyśmienite i podobne w smaku do sarniny.

Bardzo mało znane są obyczaje bazyliszków. Kształt ich ogonów dostatecznie wskazuje, że żyją po nad wodami, i że go używają do pływania. Są to z resztą bardzo niewinne stworzenia, które w niczém nie przypominają bazyliszków starożytnych, chyba nadzwyczajnym kształtem i gatunkiem kapturka kończastego, który mają na głowie, a który zdawał się może bydź koroną starożytnym co go opisywali. Najpewniejsza jest rzecz, że żywią się w ogólności robakami i ślimakami, jak wszystkie prawie jaszczurki.

---

## FENELON.



Fenelon należał do liczby tych rzadkich ludzi, którzy zaszczyt przynoszą swemu krajowi, których pamięci ni czas ni wypadki zatrzeć nie zdołają. Urodzony r: 1651, od najpierwszych lat zwiastował czém kiedyś być może. Wyprzedził wszystkich rówienników i zawsze prawie zadziwiał nauczycieli. Pochodzącemu ze starodawnéj i znakomitéj rodziny, nie mogło zbywać na protektorach. Już w piętnastym roku życia, wsławił się kazaniem w obec znacznego zgromadzenia. Margrabia Fenelon, stryj jego, lękając się aby blask tak przedwczesnéj sławy nie natchnął go próżnością, umieścił synowca w seminaryum Swiętego Sulpicyusza. Tam Fenelon przebywał aż do wykonania ślubów zakonnych.

Dusza tak ognista nie mogła zagrzebać się na zawsze w seminaryum lub na probostwie; postanowił poświęcić się na dalekie i niebezpieczne missye Kanadyjskie. Obawa rodziny i słabość zdrowia, odwiodły go od tego zamiaru; przez całe dziesięć lat trudnił się nauczaniem nowonawróconych katoliczek. Temu to długiemu Apostolskiemu zawodowi, winni jesteśmy *Traktat o wychowaniu dziewcząt,* arcydzieło delikatności i rozsądku. Niezadługo potém, Ludwik XIVty polecił mu missyę w Poitou. Fenelon odmówił pomocy siły zbrojnéj, któréj nie raz w podobnych przypadkach użyć musiano; umiał

http://rcin.org.pl

nawracać nie prześladując, i dać ukochać wiarę której był apostołem. Wynagradzając tak użyteczne prace, wielki monarcha powierzył mu wychowanie xięcia Burgundyi, swojego wnuka. Szlachetne to jest powołanie wychowywać następcę tronu a Fenelon godzień był je dopełniać. Poświęcił mu wszystek swój czas i wszystkie zdolności; gdyż widział szczęście swojego kraju w przyszłości młodego xiążęcia powierzonego jego staraniom. Cała Francya uznała z jak zadziwiającą sztuką umiał wyniszczać niebezpieczne zarody, które przedwczesne uczucie władzy w młodzieńczém zaszczepiło sercu, i w miejsce wad nieugiętego na pozór charakteru, najpiękniejsze cnoty zaszczepić. Usiłowaniom to jakich Fenelon nie szczędził ku wychowaniu królewskiego młodziana, winna Francya najpiękniejsze dzieło w jéj języku napisane.

Zadna nagroda nie podniecila jego próżności; lecz Ludwik XIV, który umiał czcić jeniusz i ocucać zasługi, mianował go arcybiskupem Kambrezyjskiem, 1694 roku. Była to najświetniejsza epoka w życiu Fenelona; gdyż od téj chwili utracił względy dworu, i nie odzyskał ich więcéj. Wydanie zbyt głośnéj książki, pod tytułem *Maxymy Swiętych*, poróżniło go ze sławnym Bossuetem, z którym dotąd ścisłą połączony był przyjaźnią, a który go oskarżył jako heretyka. To poróżnienie dwóch ludzi jenialnych zmieniło się w czynną kłótnię, i rozdzieliło wszystkie umysły w Europie. Fenelon odwołał się do stolicy Apostolskiéj, a ta wydała wyrok przeciw niemu. Uległ i schronił się do Cambrai. W owym to czasie, niewierny sługa podał do druku rękopism *Telemaka*. Dzieło to, zrazu wzbronione we Francyi, rozmnożyły drukarnie Holenderskie i po całéj rozszerzyły Europie. Ludwik XIVty, który sobie wyobrażał że Fenelon wystawił uszczypliwą krytykę jego panowania, uważał go jako nieprzyjaciela swojéj sławy, i na zawsze odsunął od dworu. Wielki ów człowiek pocieszał się w niełasce, poświęcając się zupełnie naukom i ludzkości.

Pozostawił mnóstwo dzieł, a czyny ludzkości i cnoty dostatecznie by go już wsławiły. Cała jego dusza maluje się w tych wyrazach, w których zawierał wszystkie swoje uczucia i powinności: »Bardziéj kocham moją rodzinę niżeli siebie samego; ojczyznę bardziéj niżeli rodzinę, a rodzaj ludzki jeszcze więcéj kocham niżeli ojczyznę.« Był dobroczyńcą swojéj rodziny, sławą kraju, i wzorem dla rodzaju ludzkiego.

---

## WYJĄTKI Z DZIENNIKA PODRÓŻY PO ZACHODNIEJ CZĘŚCI GALICYI.

(Dalszy ciąg.)

Pomiędzy osadami górali Tatrańskich, najcelniejsze jest miasto Nowytarg; zowie się też stolicą Podhalanów, i daje swoje nazwisko dolinie na któréj stoi. Położenie jego pod każdém względem bardzo korzystne, i dziwić się potrzeba, że dotąd nie zakwitło bardziéj jak kwitnie. Oprócz niezmiernéj ludności jego okolic i ducha przemysłu piętnującego górali, przecina go bity kupiecki gościniec z Węgier do Krakowa, z którym się łączy w Nowymtargu drugi gościniec Węgierski, Tręczyński. Pełno jest mniejszych dróg, ułatwiających mu przenikanie we wszystkie punkta Galicyi. Posada jego na rozległéj płaszczyźnie, zejście się Dunajców białego i czarnego, nakoniec bliskość miejsca takiego jakiem są Tatry, to wszystko sprzyja podniesieniu się miasta; ostatni artykuł i liczne pobliskie kąpiele tak w Galicyi jak na Węgrach, sprowadzając tysiące podróżnych w lecie do Nowegotargu, wymagają nawet przemysłu, któryby uprzedzał potrzeby jadących i koniecznych dostarczał im wygód, a za to miasto bogacił. Ale rzecz dziwna, jak podobne myśli śpią u nas dotąd, gdziekolwiek zajrzemy. Czasu założenia Nowegotargu nie wiem, ale według wzmianek latopiskich, byt jego zasięga najdawniejszych prawie czasów Królestwa Polskiego. Między ciekawszemi szczegółami miasta, jest kościołek Stej Anny niezmiernie dawny, w północnéj stronie za miastem. Powiadają że go zbójcy postawili, a obraz wielkiego ołtarza z Węgier ukradli. Na zachód Nowegotargu, o pół mili przy brzegach Czarnego Dunajca, leży wieś Ludzimierz a daléj trochę Krauszów; podanie o nich między góralami takie: że na tych polach miała bydź bitwa z Tatarami, w któréj Polaków na głowę porażono. Tatarzy po zwycięztwie obrzynali zwyciężonym uszy, i napełnili niemi dziewięć worów; otóż w miejscu gdzie obrzynali uszy, stanęła wieś Krauszów, a Ludzimierz gdzie je mierzyli worami. Wzmiankę Ludzimierza znajduję w Bielskim pod rokiem 1234: pisze on w téj osnowie: »Teodor herbu Gryff Wojewoda Krakowski, klasztor Cystercieńskich mnichów w Ludzimierzu wsi swojéj, nie daleko Nowegotargu fundował; lecz iż od zbiegów często tam przenagabanie miewali Mniszy, i przeto na Szczerzyce się ztamtąd przenieśli.« Gruzy klasztoru Cystersów pokazują dotąd w Ludzimierzu, a spomniony klasztór Szczyrzycki należy i teraz do Cystersów; słynie on archiwem bardzo ważnym dla dziejów Podgórskiéj okolicy, ale zazdrosne mnichy bronią do niego wstępu. W ogólności wsie około Nowegotargu są bardzo dawne.

http://rcin.org.pl

Szaflary naprzykład, mila na południe Nowegotargu, założone są w roku 1200, czego dowód znajduje się w papierach jeszcze zowego czasu dochowanych. Zakopane, przy samych Tatrach położone, osadziła jakaś Staróścina Wielopolska, rozbitkami ze zniesionéj tu hordy Tatarskiéj, bawiącemi się długi czas łotrowstwem w górach: i dziś jeszcze połowa prawie rodzin téj wsi zowie się Tatarami, i zachowuje fizyonomiczne cechy swojego narodu. Tu jest miejsce zwiastować moim rodakom dzieło, które im da wyobrażenie o Tatrach i całéj téj okolicy, lepsze, niż je dotąd skądkolwiek miećby mogli. Pracuje nad niem człowiek miłujący te strony, znający je doskonale i mający pod ręką wszystko czego potrzebuje, aby swój zamiar do pożądanego skutku doprowadził. Prawdziwą napełnił mię rozkoszą, przypuszczając do tajemnicy swojego zatrudnienia. Skromny to mąż i bez żadnych do autorstwa pretensyi, jedynie jasne widzenie rzeczy i pokochanie kraju obudziło w nim ten zamysł; na nim właśnie mocny mam dowód, co może gorliwość prywatna; jego chciałbym za przykład innym postawić, gdybym się nie zobowiązał chować do czasu tajemnicę jego nazwiska.

Przedgórza Tatrom przyległe, są rajem, począwszy od pierwszych dni Czerwca, do ostatnich Sierpnia. Co tylko ma cudów roślinne państwo pod rządem wiosny; co ma uroku pasterskie życie, to wszystko we wspomnionym czasie rozlewa się na te strony. Z końcem dopiero Maja nastaje tu prawdziwa wiosna; ale wegetacya długą zimą przytłumiona, rozwija się tém silniéj; ledwie można dostrzedz przechodu wiosny do lata. Z końcem Maja, górale blizsi nagich Tatrów, opuszczają swoje chaty i z trzodami w przedgórza się przenoszą. Ta wędrówka ma nie wypowiedziany wdzięk życia. Widzisz jak całe karawany owiec, krów, koni, wozów naładowanych domowém i pasterskiem naczyniem, otoczone góralami różnéj płci i wieku, ciągną ku dolinie i rozsypują się w setne gór wąwozy; wkrótce widzisz góry, lasy, polany, zaludnione trzodami wszelkiego rodzaju; z każdéj strony słyszysz dzwonki, flety, skrzypce, śpiewy i hukanie pasterzy. Kto raz poznał góry w téj porze, ten zawsze tęsknić do nich musi. Nie będą bez zajęcia kilka szczegółów o pasterstwie w górach. Dłuższa zima, rzadsze pastwiska w Tatrach zmuszają mieszkańców szukać wyżywienia trzód w oddaleńszych cokolwiek miejscach. Właściciel więc trzody, godzi się z dziedzicem jakiéj wioski, i mocą umowy wolno mu paść po wszystkich jego lasach i łąkach; dziedzic jednak ma prawo oznaczać mu miejsce na koszary, a przeto nawozem stojącéj trzody uprawia sobie grunt do zasiewu. Pasterze w ogólności zowią się Juhasami; gospodarz kilku pasterzy Baca; mieszkanie jego w czasie pasterskiego koczowania bacówka: jest to najczęściéj porządnie postawiony z dobrego drzewa budynek, o jednéj lub dwu izbach; mający jedne drzwi, żadnego okna, pośrodku wielki kamień na którym roznieca się ognisko; pod ścianami łóżka ze mchu; naczynia do nabiału i z nabiałem, sery i inne rzeczy umieszczone są lub na półkach, lub rozwieszone po ścianach: przez całe lato nie znają innego pożywienia nad nabiał i rzętyce, rodzaj owczéj serwatki bardzo smacznéj i posilnéj, a nawet leczącéj i tucznéj: psy pasterskie tém tylko żyją. Można sobie łatwo wystawić, że spólne życie pasterzy i pasterek w takich miesiącach, ciągle pod niebem i śród czarującéj przyrody, musi bydź bardzo swobodne, przyjemne i zdrowe. Czasami przypominają sobie wiejskie zabawy; muzyka ze skrzypców, basu, gęsli i fletu, taniec i wódka, urozmaicają ich dni patryarchalne. W początkach Września ustaje koczowanie i pasterze do własnych zagród wracają.

Już też długo błąkałem się przy Tatrach jak przy zaklętym gmachu; nadeszła wreście pora i że moje oczy przypuszczone będą do tajemnic, które z daleka tylko zgadywałem, między które myślami się tylko unosiłem; w tych dniach właśnie doniesiono nam że śniegi od dwóch tygodni zginęły, przynajmniéj w miejscach łatwiéj dostępnych; czekaliśmy więc ustalenia pogody, aby się w głębią gór zapuścić. Chociaż niebo się chmurzyło, ale że barometer szedł w górę, towarzystwo moje z kilku osób złożone, postanowiło dziś jeszcze rozpocząć podróż. O 4téj 12 Sierpnia 18... po południu ruszyliśmy konno, i drogą idącą przez Nową, Białą, Białkę i Bukowinę, stanęliśmy w leśniczowstwie téj ostatniéj, około ósméj wieczorem. Zrobiliśmy dwie mile drogi; miejsca które chcieliśmy widzieć o mil trzy i więcéj były; a na Polanach śród gór jakkolwiek miły nocleg, dla ścian niepokoszonych trudno byłoby dostać koniom paszy, woleliśmy więc u leśniczego przenocować; zwłaszcza że poczciwy ten człowiek sam się zobowiązał naszym bydź przewodnikiem; jako przez swój urząd i kilkoletni w tych stronach pobyt, najświadomszy Tatrów. I tak wszakże dzisiejszy wieczór nie był mi stracony: bo ustalająca się pogoda spędziwszy z nieba i gór do najmniejszéj chmurki, i rozpaliwszy pełny xiężyc całym jego blaskiem, postawiła przedemną Tatry w takiéj bliskości, w jakiéj dotąd nie widziałem ich jeszcze. Samo nawet położenie leśniczostwa, na grzbiecie pasma wzgórzów najbliższych nagim Tatrom, otoczone węzłami dolin i wyżyn, lasami i łąkami, mogło unieść kilka godzin miłem upojeniem: ale przy Tatrach obojętnie patrzało się na to wszystko!

http://rcin.org.pl

Ze wschodem słońca ruszyliśmy dalej. Droga bita kosztem właściciela tych okolic Homolacza, od Nowegotargu, przez Biały Dunajec, Poronin, leśniczostwo Bukowińskie aż do morskiego oka, utrzymana tak dobrze jak tylko bydź może w miejscach, gdzie jedna ulewa kamienne dzieła rozburzy. Śliczny poranek spełnił przepowiednie wczorajszego wieczora, pogoda na cały dzień pewna; olbrzymia gromada nagich szczytów, wydawała się jak skąpana w świetle i świeżości; tylko groźniejsze od innych lodowce błszczały wiecznym śniegiem. Ach! kto choć raz w życiu nie oddychał góralskiem powietrzem, kto go nie skosztował orzeźwionego porankiem, ten nigdy nie pojmie téj tajemniczéj błogosławionéj władzy, jaką na wszystkie zmysły, na wszystkie uczucia, na całą istotę ludzką wywiera: zdaje się, że przyroda we własnych wdziękach rozkochana, weselsza tu niż gdzie indziej, swego szczęścia udziela temu co równie z nią czuć potrafi. Jechałem w ciągłem zachwyceniu: zawsze prawie świerkowemi lasami. Niekiedy uchylały się one; a wtedy widzieliśmy po bokach jakąś rozkoszną dolinę, jakąś górę od stóp jéj aż do głowy, czasem Białkę grającą wiecznym szumem głuchym jak z przepaści. Minęliśmy tak Niebieską dolinę, Polany, Głodową i Klinówkę. Droga wciąż prawie szła do dołu. Razem ujrzeliśmy się na Polanie zwanéj Łysa, przy wodzie Białki u stóp Wołoszyna. Rzuciłem okiem do koła; — do koła jeżyły się Tatry; od spodu świerkami ocieniane, wyżéj przykryte płączącym się kozodrzewem, a daléj nagie. Wstąpiłem tedy do gmachu, do którego przez sen oddalenia tak długo tęskniłem! Nagi Wołoszyn zaledwo nędzną murawą i mchem przystrojony, z głową przypruszoną śniegami, stał tu jak odźwierny. Pojrzałem do koła; setne wąwozy rozbiegały się w różnych kierunkach, pomiędzy góry rozmaitego składu, rozmaitéj postaci i wysokości; z każdego wybiegł potok i zapraszał do siebie; obiecywał przewodniczyć do tajemnic których znajomość on sam tylko posiada. Ach! lat potrzeba żeby wszystko obejrzeć; lata bym poświęcił, przebłąkał między wami, gdyby moja wola odemnie zależała. Od Łysej Polany droga zwracała się nieznacznie ku zachodowi; wciąż nad Białką, wciąż po pod skałami i lasami, gdzie jeszcze przed laty kilką, było gniazdo zbójców. Przeszliśmy dolinę i potok Wołoszyn, który jest jedynym z wód zwanych cieplicami, że w czasie najtęższej zimy nie zamarza: Około godziny dziesiątéj zatrzymaliśmy się dla posiłku. Kto się wybiera w góry, nie powinien zaniedbywać dobrego zapasu żywności; trudno uwierzyć jak powietrze górskie i woda tamtejsza dzielnie trawią i budzą łaknienie. Miejsce gdzieśmy popasali, była to małą równinka; za Białką leżała na uboczu góry Polana Białawoda; na południe szła droga ku morskiemu oku; na zachód dolina Rostok z potokiem tegoż nazwiska, który płynął od pięciostawów i przy naszych nogach do Białki wpadał: on właśnie miał nas prowadzić do swoich źródeł. Żadnéj drogi; dolina wązka i głęboka na kilkaset sążni; jéj boki spadziste aż do samego potoku; dno podnoszące się za każdém krokiem: ścieszka z początku zwłaszcza nadzwyczajnie przykra; bo aniśmy spostrzegli że się znajdujemy na wysokości, na jakiéj dotąd nie byłem, przy granicy która dzieli państwo świerków od państwa kozodrzewi, w strefie wiecznych zjawisk, najokropniejszéj letnéj i zimowéj burzy. Około półgodziny drapaliśmy się pod górę wydającą się pagórkiem kilkunastu kroków przy ogromie mass do koła siedzących; cała jéj powierzchnia nasterczona kamieniami, okryta grubą mchów powłoką; która żywi gęste krzewy borówek i pięknych jak tylko bydź mogą to polnych truskawek, to poziomek; między szczelinami kamieni przyjmowały się dosyć gęste świerki. Z czystego grzbietu góry na którąśmy wyszli, pokazano nam w niezmiernéj wysokości dwie dzikie kozy: gołemu oku wydawały się na tle nagich głazów jak dwie czerwonawe plamki: użyliśmy perspektywy i poznaliśmy że się jedna pasła, a druga leżała. Nasz przewodnik opowiadał nam polowanie na tego zwierza, w tém naprzykład miejscu któreśmy przed oczyma mieli. Strzelcy rozstawiają się po wiadomych przesmykach u podnóża gór, lub na bokach, jeden idzie grzbietami, i spuszcza ciągle kamienie; kamień niczem nie zatrzymany dla nadzwyczajnéj gór spadzistości toczy się aż do dołu i płoszy kozy; tak spłoszone uciekają i trafiają na strzelców. Patrząc na te góry ledwo wierzyć można żeby je kiedy ludzka stopa zwiedziła; strzelcy jednak jak po równinie chodzą po nich; a to może dać wyobrażenie o nadzwyczajnéj zręczności i odwadze górali. Jest jeszcze inny rodzaj polowania na kozy pojedynczo. Strzelec zaopatrzony na dni kilka w skromną żywność, udaje się w góry, upatruje stanowisko zazwyczaj w jakim miejscu niedostępném, przyczaja się w skałach i czeka zwierzyny. Wiadomy miejsc i zwierza najczęściéj prędko go ujrzy. Zdarza się że upragniona zdobycz gdzieś tam w przepaści pod nogami, wtedy kładzie się na kamieniu i połową ciała wychylony nad przepaści daje ognia do kozy. Do takich strzałów kul tylko używają. Najprzykrzejsze położenie strzelca kiedy go w górach mgła zaskoczy; a mgły, szczególniéj na Krywaniu są tak gęste, że nóg własnych widzieć nie można i trwają czasem kilkadziesiąt godzin.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

http://rcin.org.pl



## WESELE U GREKÓW.

Wesela i pogrzeby, te dwie główne uroczystości rodzinne, są obrzędami, na których najlepiéj może rozwija się charakter każdego ludu i dla tego nieskończenie są różne. Nawet u wykształconych ludów europejskich, gdzie cywilizacya zaciera wszystkie odrębne cechy, wesele wiejskie jest jeszcze oryginalném i poetyczném. Ale mianowicie w okolicach dzikiemi nazywanych, obrzędy weselne zachowują miejscową fizyonomią i szczególny charakter i wolne są od wszelkiego naśladownictwa obcych zwyczajów. Ogólny i porównawczy obraz tych obrzędów u rozmitych ludów, byłby więc zajmującym i wiele światła rzuciłby na historyą rodu ludzkiego. Umieściliśmy w pierwszych zeszytach naszego pisma, opis wesela u Serbów, teraz dajemy opis wesela greckiego z załączoną do niego ryciną.

»Byłem, mówi autor, u rodziców narzeczonéj; orszak miał wyruszyć do pomieszkania narzeczonego. Dom chociaż nie wytworny, oznaczał przecież byt dobry. Goście zapełniali schody kamienne zewnątrz domu będące, które prowadziły na pierwsze piętro. Dźwięk cymbałów i bębenków mieszał się z okrzykami. Ledwie mogłem przecisnąć się do sali, gdzie ujrzałem pannę młodą siedzącą na środku, pośród grona swoich przyjaciółek. Mamka dokończała jéj ubrania na głowie; radość jaśniała w oczach téj kobiety, za każdą ozdobą, którą przydawała do dziwacznego stroju; czasem

http://rcin.org.pl

padała na kolana przed swoją panią i zabawném uniesieniem błagała o pochwały obecnych.

Postać młodéj osoby jeszcze była śmieśniejsza. Miała lat osiemnaście, rysy regularne ale bez wyrazu, i fizyonomią zadumaną. Oczy miała maleńkie, ale usiłowano powiększyć je, przedłużając kąty powiek za pomocą czarnéj linii namalowanéj. Jéj wrodzona cera znikła pod warstwami bielidła i różu. Ubranie na głowie składało się z amfiteatru kwiatów, pozłacanych papierków, nawleczonych cekinów i t. d. Pomysł tego stroju był dosyć trafnym, chociaż wykonanym dziwacznie; ubranie wznosiło się w kształcie domu, aby wskazać pannie młodéj że będzie podstawą małżeńskiego domu. Gdy się już ubranie skończyło, zbierano na półmisku dary od gości. O zachodzie słońca orszak wyruszył. Skoro tylko panna młoda ledwie mogąc udźwignąć ogromne rusztowanie na głowie, wspierana przez dwie druchny, weszła na schody, zanucono epitalamium. Przed panną młodą szło dziecię trzymające zwierciadło, aby się mogła przejrzeć w całéj świetności. Rzucano kwiaty po drodze, a życzenia i okrzyki mieszały się z dźwiękiem narzędzi muzycznych. Orszak poprzedzony pochodniami, przybył po długiém okrążeniu do domu pana młodego.

Samowładztwo domowe starożytnych Greków, dotrwało do ich potomków; nie ułagodziła go wcale religia chrześciańska. Wszedłszy do domu przyszłego męża, zdziwiłem się znalazłszy zamiast radości i powinszowań obojętność i powolność, któréjbym nawet u Niemców albo u zgrzybiałych filozofów nie spotkał. Pan młody z ogorzałą twarzą i już dosyć podeszły, siedział pod drzewem i golił się wtedy, a jego przyjaciele uwielbiali grzeczność golibrody tureckiego. Potém oblano go różaną wodą i między obecnemi zebrano składkę. Wszystko odbyło się z lodowatą powagą i nie postrzegłem najmniejszego śladu uśmiechu na twarzy drużbów i młodzieży. Panna młoda tymczasem stała na boku, razem ze swemi towarzyszkami, okazując przykładną cierpliwość i rezygnacyą, nareście gdy jéj pan i małżonek już był gotów na jéj przyjęcie, zbliżyła się ku małżeńskiemu domowi. Nie uczyniło to żadnego na nim wrażenia, nie raczył nawet przywitać jéj, a gdy kobiety przestąpiły już prog domu, odłączył się od swego orszaku i wszedł utkwiwszy nóż we drzwiach.

Gdym wszedł do sali z resztą towarzystwa, zgorszyłem się bardzo, widząc że panna młoda niżéj siedzi niżeli jéj małżonek. Krewni i przyjaciele zasiedli obok nich i przez kilka minut milczeli wszyscy. Mąż puszył się, żona miała pokorną i zadowoloną postawę. Ale na jéj twarzy nie malował się wyraz szczęścia i radości. Miano zacząć obrzęd religijny, a widząc że inni goście wychodzą i ja toż samo uczyniłem i zmięszałem się z tłumem, który przed domem radosne wydawał okrzyki.

Do tego obrazu przydać należy następujące szczegóły. Trzy dni przeznaczone są na obchód weselny. W pierwszym dniu zachowują jak największą powagę, drugi dzień już jest weselszy a w trzecim panuje pijaństwo i wrzawa, któréj ani opisać ani znieść nie podobna.

---

## HNATOWE BERDO (*).

### POWIEŚĆ

(Z podań powiatu Sanockiego).

Koń mój drżącemi stąpa kopyty,
Noc ziemię zasuwa cieniem,
I tylko Berda szare go szczyty,
Gasnącym błyszczą promieniem.

Psy gdzieś niedźwiedzia daléj pognały,
Zgubiłem ślad towarzyszy;
Pojdę zatrąbić na wierzchu skały,
Może mnie który usłyszy.

Tam na kamiennym góry grzebieniu,
Gdzie króla ptaków siedlisko,
Po całodziennem spocznę strudzeniu,
Do wioski jeszcze nie blisko.

Trudno dziś będzie nocować w chacie.
W koło jary i potoki.
Cóżto za starzec w śnieżystéj szacie,
Siedzi na wierzchu opoki?

—»Powiedz mi ojcze, którą tu drogą
Można zjechać do Wetliny?
I czyś nie widział z myśliwych kogo,
Wśród obszarów Połoniny?

—»Ani widziałem myśliwcze młody,
Anim nie słyszał nikogo.
Dzik tylko przemknął, lecz koło wody
Uboczą, po nad tą drogą.

Oto Wetlina, kędy na dole,
Ta rzeczka spada niziną,
Po pod Hnatowe-berdo, na pole
Tamtą wyjedziesz buczyną.

—»Muszę tu spocząć; góra wysoka,
A koń zmęczony od rana;
Powiedz tymczasem, czemu opoka,
Hnatowym-berdem nazwana? —

(*) Jgnacego Skała po polsku.

http://rcin.org.pl

—»Patrzaj myśliwcze, gdzie ta dolina,
Pomiędzy dwiema górami
Tam była niegdyś dawna Wetlina,
Dzisiaj zarosła lasami.

Hnat, od kolebki osierociały,
Ruskich rycerzy potomek,
Żartki jak jeleń, jak orzeł śmiały,
Skromny w téj wiosce miał domek.

Miał on gdzie indziéj zamki i dwory,
Stosowne do swego stanu,
Ale przekładał Beskidu bory,
Nad żyzne równiny Sanu.

Codzień na koniu w myśliwych gronie
Zbiegał parowy i lasy,
Nieraz z niedźwiedziem chodził w zapasy,
W silne chwyciwszy go dłonie.

Nieraz ze skały, kiedy ogary,
Scigały dzika po błoniu,
Wraz z kamieniami, w głębokie jary
Na pewnym zsuwał się koniu.

Tak otoczony przyjaciół kołem,
Pędził dnie zimą i latem,
Koń mu był skarbem, łowy żywiołem,
Góry mieszkaniem i światem.

Patrz, jak ten xiężyc bez mgły, bez chmury,
Płynie po czystym błękicie,
Tak jemu błogie płynęło życie,
Nie ćmił go smutek ponury.

Lecz kędy Dniester przerzyna pola,
Zawarty w kamienne ściany;
Poznał i kochał, wzajem kochany,
Piękną dziewicę Podola.

Poszedł do ojca, pełen miłości,
Do zamku na góry szczycie:
—»Ród mój szlachetny, obszerne włości,
Córkę twą kocham nad życie.»

Daremnie błagał dary i słowy,
Daremnie córka błagała,
Nie chciał zezwolić ojciec surowy,
Matka zezwolić nie chciała.

Starzec w uporze trwał niezbłagany,
Spełzły starania, ofiary,
Hnat w greckiej wierze był wychowany,
On niechciał zięcia téj wiary.

W tém wieść okropna gruchnęła wszędzie,
Że wódz Mengli-Gierej-chana,
Wszystko w zwycięzkim niszczy zapędzie,
Że ziemia już krwią zalana.

Nie mogły nasze oprzéć się wodze,
Zbyt wielka Tatarów siła,
Wtedy Monarcha w powszechnéj trwodze,
Podwójne wici rozsyła.

Zewsząd się bitna gromadzi rzesza,
Odwaga w piersiach goreje,
Hnat z przyjaciołmi porzuca knieje,
Niewiernych gromić pośpiesza.

Gdzie strzał tatarskich chmury świszczące,
Pięknemi czyny się wsławiał;
Nieraz rozpędzał wrogów tysiące,
Tysiące swoich wybawiał.

Raz kiedy jechał wśród towarzyszy,
Zmordowany, w zamyśleniu,
Okropną wrzawę zdala usłyszy
I widzi klasztor w płomieniu.

Gwałt się rozlega, biją we dzwony,
Hnat wpada z towarzyszami.
Wieś zrabowana, klasztor spalony,
Tatarzyn uszedł z jeńcami.—

—Nie ujdzie! krzyknął Hnat zapalczywy,
Wiara! za mną, daléj w konia!
Ku brzegom Dniestru pędzi przez błonia,
Pędzi jak strzała z cięciwy.

Już ich dopada, już nie daleko,
Tatarzyn nie szuka łodzi,
Jeńców i zdobycz rzuca nad rzeką
I wpław przez rzekę uchodzi.

Cóż to z nich jeden przed sobą trzyma?
Ach! to jest jakaś dziewica!
Blade ku swoim podnosi lica,
Pomocy wzywa oczyma.

Oczyma tylko, bo miękkie dłonie
Okrutne wiązanie ściska;
Rycerz na koniu skoczył z urwiska,
W bezdenne rzucił się tonie.

Poganin przebył Dniestru połowę,
Ale Hnat za nim dopływa,
Jedną mu ręką rozwala głowę,
Drugą dziewicę wyrywa.

W tém koń mu ustał w środku głębiny,
Lecz Boża wsparła go wola;
Wyszedł i spojrzał na twarz dziewczyny.
Ach! to dziewica Podola.

—»Tyżeś to luba! w takiéj niedoli?
Lecz nieba będą łaskawsze.
Pójdźmy do ojca, ojciec zezwoli,
Musisz bydź moją na zawsze.

Jeżeli nie chcesz widzieć mnie w grobie,
Pójdź piękna, pójdź do kościoła,
Tam wieczną miłość przysięgniem sobie
Śmierć tylko zerwać ją zdoła.

http://rcin.org.pl

Wziął ją za rękę, idą oboje,
Miłość śmiałemi ich czyni,
Kapłan sędziwy stał przy świątyni,
Otwarte były podwoje.

—»Kochankę moją, droższą nad życie,
Ocalić byłem szczęśliwy,
Wy nas kapłanie w Cerkwi złączycie
Świętemi ślubu ogniwy.

Przed krzyżem pańskim, gdzie lampa płonie
Xiądz boskie odczytał xięgi,
Stułą powiązał kochanków dłonie
I wyrzekł słowa przysięgi.

A kiedy święte kończył wyrazy
Błysło się, okna zabrzękły
Grom tuż za gromem runął trzy razy,
Wzdrygnął się kapłan przelękły.

Rycerz zemdloną wywiódł dziewicę.
Wywiódł za cerkiewne mury
I aby lepiéj skryć tajemnicę,
Powrócił w ojczyste góry.

Znowu otoczon myśliwych kołem
Pędził dnie zimą i latem,
Koń mu był skarbem, łowy żywiołem,
Góry mieszkaniem i światem.

Nieraz gdy w lesie bawi wieczorem
Chociaż wyjechał od rana,
Czeka go smutna w polu za dworem
Małżonka jego stroskana.

»Gdy cię nie widzę, mężu mój drogi,
W tęsknocie czas mi upływa
Przy tobie nie znam smutku ni trwogi,
Przy tobie jestem szczęśliwa.

Ale bez ciebie!.... o wielki Boże!
Ty jesteś moją obroną,
Ty nieszczęśliwą i opuszczoną,
Prowadź przez życia bezdroże.

Ach mężu! nie raz tu z zagranicy,
Wpadają dzikie Madziary,
I prawie codzień w téj okolicy,
Zbójeckie błyszczą pożary.

Lękam się stromych skał w téj ustroni,
Dzikiego lękam się zwierza;
Pewności konia i własnéj dłoni
Nadto twe serce zawierza.»

—»O luba! próżne obawy twoje,
Nie bój się skał i niedźwiedzi,
Tu żyć bezpiecznie możem oboje
Hnata poznali sąsiedzi.

I znowu skoro zabłysło zorze
Trąby myśliwskie zabrzmiały,
I dzika zabił w sąsiedzkim borze
I tędy wracał przez skały.

Hnat jechał naprzód, z wolna do góry
Za nim myśliwska drużyna.
—»Co to jest? patrzcie —co za przyczyna,
Skądże czerwoność téj chmury?» —

—Nie wiatr to panie, czerwone chmury,
Lub słońca światłość odbita.
Lecz jakiś człowiek biegnie tu z góry,
Podobno stary Mikita.

Przypadł Mikita, blady jak chusta
Oczy mu z biegu nabrzmiały,
Dech mu się zatchnął, sine miał usta-
Jak listek w burzy drżał cały

—»Zbójcy! zawołał; nic nie zostało,
Ani kamień na kamieniu.
Mnie tylko z życiem ujść się udało»
—»Gdzież moja żona? — »w płomieniu.»

Skoczył Hnat pędem, i w jednéj chwili,
Piorun tak prędko nie błyska;
Wprzód nim myśliwi na wierzch zdążyli
Już był na brzegu urwiska.

Harapem konia wyciął dwa razy
I z koniem runął ze skały,
A oderwane od szczytu głazy
Pod górą las zgruchotały.

Oto Wetlina, kędy na dole
Ta rzeczka płynie niziną
Po pod Hnatowe Berdo na pole
Tamtą wyjedziesz buczyną.

J. K. P.

## CAPO d'ISTRA.

Jan Antoni hrabia Capo d'Jstria, urodził się w Korfu 1776 z familii szlachetnego rodu, która już od XI wieku posiadała znaczenie na wyspach Jońskich. Przeznaczony do cywilnego zawodu jako syn młodszy, udał się do Włoch, dla wydoskonalenia swojéj edukacyi i uczył się medycyny w Padwie i Wenecyi. Wrócił do kraju mając lat 22, w téj właśnie epoce gdy Francya rozciągnęła panowanie swoje do wysp Jońskich. Gdy w 1799 Anglicy zajęli znowu te wyspy, Capo d'Jstria użyty był do urządzenia wysp Cefalonii, Jtaki i Swiętego Maura, co uskutecznił z powszechném zadowoleniem. Od tego czasu aż do roku 1807 należał do składu rządu wysp Jońskich. Pokój Tylżycki poddał znowu te wyspy pod zwierzchnictwo Francyi, wówczas Capo d'Jstria opuścił kraj i udawszy się do Petersburga wszedł w służbę pań-

http://rcin.org.pl

stwa Rossyjskiego. Zyskawszy zaufanie Cesarza Alexandra używany był do najważniejszych negocyacyj i w 1815 podpisał traktat paryzki. Za jego to wpływem przywrócono znowu rzeczpospolitą wysp Jońskich.

Od roku 1816 aż do 1822, był ministrem spraw zewnętrznych państwa rossyjskiego i ciągle sprzyjał podźwignieniu Grecyi. Złożywszy swój urząd, osiadł w Szwajcaryi, tam wspólnie z panem Eynard przesyłał Grekom posiłki pieniężne i zajmował się wychowaniem młodych Greków, którzy uszli byli do Niemiec i Szwajcaryi, ale nie mieszał się bezpośrednio do interessów Grecyi.



W roku 1827, Grecy obrali go prezydentem rejencyi swego kraju; co się stało szczególniéj za wpływem lorda Cochrane i jenerała Church. Capo d'Jstrias przybywszy do tego kraju na początku roku 1824 zajmował się urządzeniem i podźwignieniem Grecyi. Żyć przestał dnia 9 Października 1831. Ciało jego pochowano z wielką wspaniałością i pośród żalu i łez całego ludu. Brat zmarłego, Augustyn Capo d'Jstrias kazał zwłoki jego przenieść do Korfu a z tamtąd do Petersburga.

## LITERATURA.

### NOWE DZIEŁO.

Autor angielski E. L. Bulwer wsławiony wielu romansami i dziełami politycznemi, i zajmujący teraz jedno z pierwszych miejsc w literaturze W. Brytanii, wydał niedawno romans pod tytułem: *Ostatni dzień miasta Pompei*. W roku zeszłym zwiedziwszy Włochy, oglądał odkopywania w Pompejanum; a wydobyte z tamtąd pomniki i zabytki, posłużyły mu do ułożenia osnowy dzieła. Oschłe pospolicie badania starożytności, ożywił działaniem i intrygą romansu; wskrzesił świat i obyczaje zapomniane od wieków i wystawił je w zajmującym obrazie. Z tego dzieła umieścimy opis walk gladjatorów w cyrku, obraz wybuchu wulkanu i zagłady Pompei.

Glauk, młody i bogaty Ateńczyk osiadły w Pompei, pokochał się w Jonie także z rodu Greckiego pochodzącéj. — Arbaces możny Egipcyanin oddający się tajemniczym umiejętnościom, dawny znajomy rodziców Jony, był jego rywalem. Brata Jony przypuścił do tajemnic bogini Izys, a gdy tenże nawrócony na szerzącą się wtedy wiarę chrześciańską, chciał wyjawić obłudę i fałsz obrzędów Izydy, Arbaces zabił go, a korzystając ze zbiegu okoliczności, oskarżył Glauka o to morderstwo. — Jona poruczoną mu została w opiekę przez zwierzchność miasta, jako najdawniejszemu przyjacielowi jéj ojca. Glauk skazany był na walkę ze lwem w amfiteatrze Pompei. Tejże saméj karze uległ chrześcianin Olinth, przekonany iż powstawał przeciw bogom pogańskim:

»Na stopniach najwyższych, i oddzielone od mężczyzn, siedziały kobiety, a różno-barwe ich szaty wydawały się jak kwietnik. Nie potrzebuje dodać iż tworzyły najhałaśniejszą część zgromadzenia, i że spojrzenia młodzieży, która także oddzielne miała miejsce pomiędzy widzami, bez ustannie ku téj stronie się zwracały. Na siedzeniach najniższych, przy samych szrankach, zasiadły osoby najznakomitsze bogactwem i rodem, urzędnicy, senatorowie. Przejścia czyli korytarze, w prawo i lewo, któremi wchodziło się na te miejsca, po obu końcach eliptycznego cyrku, służyły także za wejście walczącym.

Mocne palisady wzniesione w tych przejściach, nie dozwalały przystępu zwierzętom, i zmuszały je do przestawania na przeznaczonym dla nich łupie. W około szranek, tam gdzie zaczynały się stopnie, były napisy i malowidła, stosownie do gatunku igrzysk jakim miejsce to było poświęcone. Całą budowę przebiegały ukryte rury, za pomocą których, w miarę jak upał się zwiększał, deszcz woniejący ochładzał widzów. Posługacze amfiteatralni zajęci jeszcze byli rozciąganiem obszernych zasłon, zwanych *velaria*, które cały gmach ocieniały. Utkane były z najcieńszéj Apulskiéj wełny i szkarłatnemi ozdobne pasami; lecz bądź niezręczność robotników, bądź jakoweś uszkodzenie, dnia tego zasłony nie tak zręcznie zostały rozciągnione jak zwykle. Była to

wprawdzie zawsze bardzo trudna robota, zważając jak obszerny był amfiteatr; a kiedy było wietrzno nieośmielano się nawet jéj przedsiębrać. Lecz tym razem powietrze było tak ciche, iż widzowie nie mogli wybaczyć téj niezręczności posługaczom i głośne powstało szemranie, gdy postrzeżono szeroki otwór, który zostawiły zasłony nie chcące szczelnie przypaść do siebie.

Nagle ustał hałas; robotnicy poprzestali daremnych usiłowań, milczenie osiadło tłumy, gdyż trąby oznajmiły przybycie gladiatorów, którzy w bojowym szyku weszli w szranki. Zwolna i poważnie obeszli cyrk w około, aby podać widzom sposobność dziwienia się pogodzie rozlanéj na ich twarzach, silnym ich członkom i rozlicznéj broni, jako też poczynienia rozmaitych zakładów.

—»Ach! zawołała wdowa Fulwia, obracając się do żony Edyla i wychylając się z wyniosłéj swojéj ławy, czy widzisz tego olbrzymiego gladiatora? Jakże osobliwsze ma ubranie?

—»Tak jest, odpowiedziała żona Edyla, z uprzejmém w saméj sobie zaufaniem: gdyż wiedziała imie i zalety każdego gladiatora: tak jest, jest to *retiarius* czyli walczący ze siatką; jak widzisz uzbrojony jest tylko trójkończatym dzirytem w kształcie trójzęba, i siatką; nie nosi zbroi, ma tylko prostą tunikę i sieć na głowie. Jest to człowiek niezmiernie silny; ma walczyć przeciwko Sporusowi, temu ogromnemu zapaśnikowi, co ma puklerz okrągły i miecz goły, a który także jest bez zbroi. Zdjął hełm, aby pokazać twarz swoją; jakże ma śmiałą postawę! Potém będzie walczyć ze spuszczoną przyłbicą.

—»Siatka i dziryt są bardzo słabą bronią przeciw mieczowi i tarczy.

—»Ta uwaga okazuje jak jeszcze jesteś nieświadomą, kochana Fulwio; *retiarius* jest prawie zawsze zwycięzcą.

—»Co to za młody i piękny zapaśnik, prawie do połowy obnażony... Czy ci się to nie zdaje bardzo nieprzyzwoicie? Na Wenerę! jakże kształtny!..

—»Jest to Lydon, młodzieniec który pierwszy raz występuje. Ośmiela się walczyć z tym drugim gladiatorem, który podobnież jak on jest ubrany, lub raczéj rozebrany... przeciw Tetraidesowi. Będą się bić najprzód po grecku, w *cest*, potém się uzbroją i sprobują miecza i puklerza.

—»Ten Lydon przystojny jest mężczyzna; pewna jestem że wszystkie kobiety będą za nim.

—»Doświadczeni zakładnicy inaczéj myślą, Klodiusz ofiaruje trzy przeciwko jednemu za jego przeciwnikiem.

—»O Jowiszu! jakże to pięknie! zawołała wdowa, ujrzawszy dwóch gladiatorów, od stóp do głów uzbrojonych, objeżdżających szranki na lekkich rumakach. Bardzo byli podobni do rycerzy walczących na turniejach w średnich wiekach; mieli włócznie i okrągłe puklerze, bardzo gustownie wysadzane. Zbroje ich sztucznie były udziałane z żelaznych pasów, lecz okrywały im tylko uda i prawe ramie; krótkie płaszcze, spadające zaledwie po siodło, malowniczy i powabny pozór nadawały ich ubraniu; nogi mieli bose.

—»Jakże piękni! powtórzyła wdowa; kto oni są?

—»Jeden z nich nazywa się Berbis; dwanaście już odniósł zwycięztw; drugi przybrał dumne nazwisko Nobilora. Oba są Gallowie.»

Podczas téj rozmowy, ukończono pierwsze obrzędy igrzysk; po nich nastąpiła udana bitwa drewnianemi szablami, którą rozmaici zapastnicy po dwóch toczyli. W téj przedwstępnéj próbie dziwiono się szczególniéj zręczności dwóch rzymskich gladiatorów, najętych na tę uroczystość. Z innych walczących, Lydon najwięcéj okazał wdzięku.

Udana ta walka nie trwała dłużéj nad godzinę, i obudziła jedynie zajęcie w prawdziwych znawcach igrzysk, którzy sztukę przenosili nad mocne wzruszenia. Massa widzów ucieszyła się gdy ją zakończono, a zajęcie ustąpiło miejsca przerażeniu. Walczący postawali wówczas w pary, obejrzano bronie, i straszliwe igrzyska dnia tego, rozpoczęły się pośród najgłębszego milczenia, które przerywały jedynie trąby, lub odgłosy wojennéj muzyki.

»Często miano zwyczaj rozpoczynać igrzyska, najokrutniejszém ze wszystkich. Jakowy *bestiarius*, czyli gladiator zwierzętom przeznaczony, zabijany był najpierwéj, jako przedwstępna ofiara; lecz w teraźniejszém zdarzeniu zdało się Edylowi, iż lepiéj będzie gdy zajęcie krwawego dramatu będzie się zwiększać zamiast coby się osłabić miało; pożarcie Olintha i Glauka zachowano więc na sam koniec. Postanowiono aby dwaj szermierze galiccy wystąpili najpierwéj, po nich mieli dopiero walczyć piesi zapastnicy; potém Glaukus miał się ukazać na scenie ze lwem, a tygrys i Nazarejczyk mieli zakończyć igrzysko. Czytelnik obeznany z historyą Rzymską, raczy położyć tamę swéj wyobraźni; niechaj się nie spodziewa znaleźć w widowisku Pompejańskim, owych obszernych i wspaniałych scen rzezi, któremi Neron lub Kaligula uraczali mieszkańców cesarskiéj stolicy. Rzymskie igrzyska, które chłonęły najsławniejszych gladiatorów, i większą część dzikich zwierząt, były przyczyną, że w pomniejszych miastach widowiska amfiteatralne były rzadsze i nie tak krwawe, a pod tym względem, podobnież jak i we wszystkiem innem, Pompeja przedstawiała tylko w miniaturze obraz Rzymu. A-

le nie mniej okropny i wspaniały przedstawiał widok, któremu na szczęście teraźniejsze wieki nie mogą stawić w porównanie, ten obszerny amfiteatr, którego stopnie wznosząc się jedne po nad drugiemu do pięciuset stóp wysokości, zapełnione były piętnastu do ośmnastu tysiącami żyjących istot, przypatrujących się, nie urojonym nieszczęściom, trajedyi odgrywanej przez aktorów, lecz rzeczywistemu zwycięztwu i porażce, tryumfującemu życiu lub okropnéj śmierci zapastników.

Dwaj rycerze stali na końcach cyrku, i na znak dany przez Edyla, poskoczyli wzajem ku sobie, każdy nadstawiał puklerz okrągły, każdy potrząsał lekkim lecz mocnym dzirytem; ale o trzy kroki od przeciwnika, koń Berbixa zatrzymał się nagle i cofnął, a Nobilor, który nie przestawał zbliżać się z szybkością, dostał raz, który stałby się dla niego niebezpiecznym, gdyby pośpiesznie i zręcznie nie nadstawił puklerza.

—»Wyśmienicie, Nobilorze! zawołał pretor dając pierwsze hasło entuzyazmowi pospólstwa.

—»Dobrze ugodziłeś mój Berbixie! rzekł Klodiusz.

A przygłuszony szmer, zwiększony nie jednym oklaskiem, przebiegł amfiteatr od jednego końca do drugiego.

Przyłbice obu walczących szczelnie były zamknięte, jak w późniejszych wiekach szyszaki rycerzy; głowa była jednakże głównym celem napaści, a Nobilor, zwracając konia, równie zręcznie jak jego napastnik, wymierzył włócznią wprost w hełm nieprzyjaciela. Berbix podniósł tarcz aby się zasłonić, a tamten z szybkością błyskawicy, zniżył broń i przeszył mu piersi. Berbix zachwiał się i upadł.

—»Nobilor! Nobilor! wrzasnęło pospólstwo.

—»Straciłem dziesięć wielkich sestersów, pomruknął Klodiusz z cicha!

—»*Habet*! rzekł obojętnie Edil.

Pospólstwo jeszcze nie rozjuszone widokiem krwi, dało znak miłosierdzia, lecz posługacze szranek zbliżywszy się poznali że za późném było to ułaskawienie. Gaul miał serce przeszyte. Krew czarna płynąca na piasek, unosiła ze sobą jego życie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## ALBATROS.

Albatros ptak morski, jest jednym z największych ptaków wodnych, i z tego powodu nazwanego baranem przylądka. Ocean aż do nowéj Austraiii, jest głównym jego mieszkaniem; znajdują się w wielkiéj ilości, od 50 stopnia szerokości północnéj. Ptak ten szczególniéj odznacza się kształ-



tem dzioba, przy którego końcu są owalne i otwarte nozdrza. Język nie przechodzi połowy dzioba, nogi ma krótkie, bez piór, palce u nóg połączone skórą, ciało długie o trzy stopy.

Albatros nie jest ptakiem napastniczym, żywi się rybami, jajami i zoofitami, z początku trudno mu się wbić się w górę; ale podczas niepogody wzbija swój lot i z wiatrem przebywa wielkie przestrzenie. Głos ma podobny do głosu Pelikana. Albatrosy przybywające na ląd Azyi z dalekich krajów, niezmiernie są obżarte, tak dalece, iż nawet w skutku obżarstwa nie mogą uciekać. Rozmaite są gatunki tego ptastwa, różniące się kolorem pierza.

## OBYCZAJE INDOSTANU.

### POLOWANIE W GHAZIPUR.

Gdym zakupił potrzebny mi zapas essencyi różowéj (alta-goul) kupiec, młody muzułman zaprosił mię na wieczerzę, a potém na łowy. —»Ciekawy byłeś zobaczyć nasze pola różami pokryte; pośród nich wesoło będziesz ścigał naszą antylopę. Na koń! ruszajmy!

Wkrótce Ghazipur znikło za nami i ujrzałem się pośród pól różami pokrytych. Kosztowna essencya różowa, tak sławna w całym świecie, jako jedna z najcelniejszych płodów Indyi; robiona jest z róż rosnących w niezmiernéj obfitości w koło miasta Ghazipur. Czytelnicy może będą wyobrażać sobie raj kwiatów napełniony wonią, w którym gaiki z róż łączą swoje kwiaty rozwinięte z purpurowemi pączkami. Bynajmniéj,

http://rcin.org.pl



*Panthera dusząca Antylopę.*

uprawa róż jest tam prostą spekulacyą handlową. Te obszerne pola różami zasadzone, tworzą obraz pospolity bez żadnéj poetyczności. Hindowie bynajmniej nie starają się ulepszać gatunki róż i uprzyjemniać kształty ich krzaków; korzystają z takich jakie wydaje natura, i rozwinione róże troskliwie codzień zrywają. Gdy pora zbioru nadejdzie, nie zobaczym tam grona młodzieży wesoło zbierających te kwiaty i wieńczących niemi włosy swoje; biedni wyrobnicy dzienni, jak najprozaiczniej uskuteczniają tę pracę. Użycie essencyi różanéj niezmiernie jest upowszechnione w Indostanie. Poczytują ją za powszechne lekarstwo na wszystkie cierpienia wewnętrzne.

Okolice Ghazipur są niezmiernie malownicze, zasadzóne pięknemi drzewy leśnemi, a słowiki wiją gniazda na krzakach różowych; znajduje się tam mnóstwo ptaków wszelkiego rodzaju.

Siedząc na na koniu kształtnym i rączym, przebiegałem z moim gospodarzem płaszczyzny Ghazipuru; w tém nagle zawołali myśliwi: »Antilopa! antilopa! I jedna z tych kóz szybko zbiegła z góry. Natychmiast puściliśmy się za nią i nie podobna sobie wystawić jak piękny obraz tworzyły te rącze konie z wyciągnioną szyją, z zapienionym pyskiem, walczące o szybkość z antylopą. Nareście znużyło się biedne zwierze, zwolniał bieg jego, nogi zadrżały pod niem, i już miała upadać, gdy oswojona pantera poskoczyła z za myśliwca który ją wiózł na koniu za sobą, rzuciła się na głowę antylopy, przyczepiła się do zwierza i powaliła go wkrótce przy radosnych okrzykach moich towarzyszów.

---

CENA PRENUMERATY
MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, W KANTORZE GŁOWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.

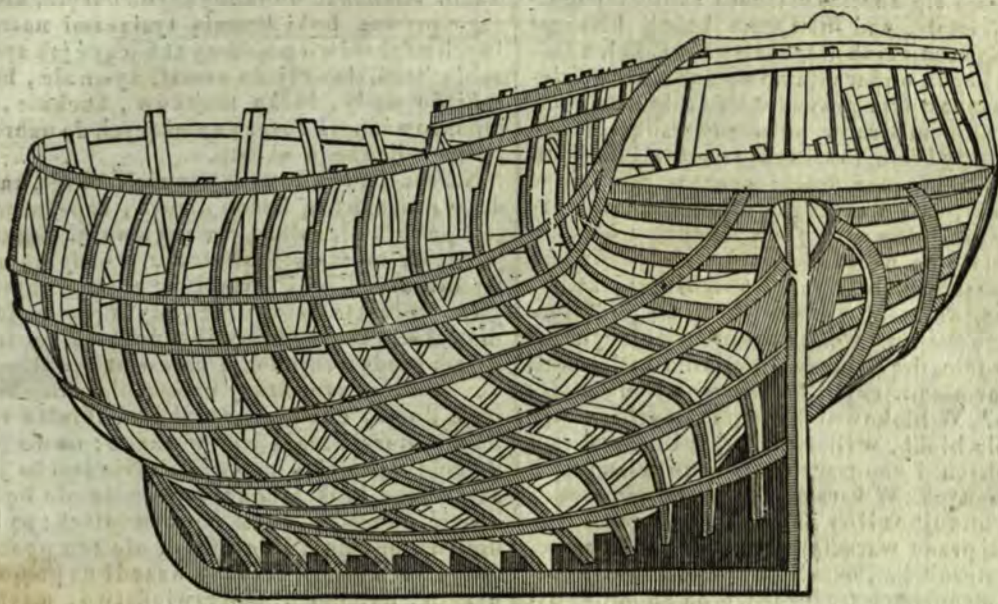
Na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych i za granicą, rocznie zł 21, półrocznie złp. 11.

Można także prenumerować na Urzędach Pocztowych oraz u następujących xięgarzy.

w Kaliszu u Jähnischa.
w Radomiu w xięg. rni tamtejszéj
w Lublinie u Streibla.
w Poznaniu u T Scherka.
w Krakowie u Friedlejna i Czecha.
w Wilnie u Zawadzkiego.
tamże u T. Glücksberga
w Winnicy na Podolu i w Kamieńcu Podolskim. } w xięgarniach braci Lechów

Osoby prywatne na prowincyi zamieszkałe, któreby raczyły dopomódz upowszechnieniu pożytecznych nauk. przez zatrudnienie się zbieraniem prenumeraty, otrzymają na 10 exemplarzach 11sty gratis.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.



*Szkielet Okrętu.*

## TRZY WIEKI OKRĘTU.

Skład okrętu, nauka żeglarska, budownictwo morskie, są to dla nas najmniej znajome przedmioty. Nie mamy nawet większéj części potrzebnych wyrazów technicznych w téj gałęzi umiejętności i powołania ludzi, a przecież ileż to zajmujących obrazów ile scen wzniosłych i okropnych podaje nam żegluga i bitwy morskie. Romanse Koopera, *Sternik i Korsarz czerwony*; Romans niewiadomego autora, *Chłopiec okrętowy*, podróże Halla, dzieła pana Sue i Jaj pomnożyły bogactwo literatury angielskiej i francuzkiéj. Większa część z tych dzieł już byłaby przełożona na język polski, gdyby trudność a nawet niepodobieństwo oddania zwrotów i wyrazów z marynarki, nie wstrzymała tłomaczów. Francuzkie Muzeum rodzinne poświęciło cały zeszyt na wystawienie sposobem malowniczym i drammatycznym okrętu i działań jego osady, od pierwszego zbudowania, aż do zupełnego zniszczenia. Ten artykuł umieszczamy w Muzeum polskiem, spodziewając się że tak żywe zajęcie wzbudzi w czytelnikach jakie wzbudził w tłomaczu.

### WARSZTAT, SPUSZCZENIE NA WODĘ, UZBROJENIE.

Żywioły budowy i uzbrojenia okrętu, już są oddawna przygotowane w arsenale; trzeba tylko zebrać je w jedną całość.. Niechaj znak dadzą, niechaj telegraf albo goniec, przyniesie rozkaz dokończenia budowy; niechaj minister powie: »Spieszcie się, okoliczności naglą nas» a zobaczycie jak szybko się rozwiną wszystkie siły warsztatu.

Obejrzano wszystkie okręty stojące w portach; zdatne, już są uzbrojone; stare, odzyskały dawną siłę i życie, przez zupełne udychtowanie; ale nie dosyć na tém, flottę trzeba pomnożyć nowemi okrętami. Nie idzie tu o wolne budowanie okrętu co rok o jedną dwudziestą czwartą część; trzeba kończyć niezwłocznie. W zwyczajnych czasach okręt stałby lat dziesięć albo osiem pod przykryciem, albo na otwartym warsztacie wzrastałby zwolna.

Przyszedł rozkaz aby zbudować okręt liniowy, ministeryum marynarki wskazało jego siłę, wielkość i stopień; wyznaczono Inżeniera do kierowania ogółem budowy; każdy wydział zajmuje się szczegółami do niego należącemi; wszystkie warsztaty są w ruchu; godziny pracy przedłużają nocami przepędzonemi w kuźniach, żaglowni i innych sekcyach. Stępka (la guille) ten drewniany fundament pływającego gmachu, położona jest na pochylonéj płaszczyźnie, z któréj wkrótce zsunie się do morza. Tymczasem sadzają te wielkie wygięte belki zwane członkami okrętu i które tak przyczepione do stępki jak żebra zwierząt do kości pacierzowych tworzą jego szkielet. Zwierzchnie futrowanie, wygięte ławy, wszystko nareście co powinno okryć utrzymywać i umocnić ten pierwotny szkielet; jest wyciosane, zestosowane, wykształcone. Topor i wszelkie narzędzia ciesielskie, nie próżnują ani na chwilę. Dąb przybiera wszelkie posta-

http://rcin.org.pl

ci; staje się kością, ciałem i skórą téj morskiéj istoty, nad utworem któréj kilkaset ludzi pracuje, jak niegdyś owe wróżki, z których każda obdarzała nowo narodzone dziecię szacownym przymiotem i talentem. Sosna albo modrzew północny zaokrągla się w maszty i reje, rozcina się na deski do ścian izbedek i komor prochowych; wyrabia się w ozdoby, rufy i sztaby. Wiąz staje się żerdzią piki albo rękojeścią topora, z którym wpadają na okręt nieprzyjacielski. Zelazo nie przeliczone kształty przybiera: jest kotwicą, która przywiąże okręt do pod-morskiego gruntu, gwoździem utrzymującym futrowanie, drągiem do dźwigania i kierowania armatą... czyliż można wymienić wszystko? W blokowni dowcipna machina wyżłabia bloki, w linowni kręcą liny z uprzędzionych i napuszczonych smołą sznurów konopnych. W warsztacie pomniejszych statków budują czółna i szalupy. Na grobli portowéj przed warsztatem masztów, dwa rzędy galerników, ustawionych po prawéj i lewéj stronie masztu leżącego na ziemi; dźwiga długie lewary żelaza, i razem uderza na obręcz, aby się wbiła w koło sosnowych belek z których składa się maszt bezpośrednio do okrętu przymocowany.

Nie mniemajcie bowiem, że ten maszt który wszystkie inne dźwigać będzie a z niemi razem, wszystkie reje i liny; maszt mający dziesięć stóp obwodu jest z jednéj sztuki. Składa się on ze czterech sekcyi cylindra, przymocowanych do czworobocznéj belki środkowéj, zwanéj knotem, i tworzących z nią razem wielki drewniany cylinder. To połączenie potrzebuje silnego umocowania. Do tego służą obręcze żelazne które galernicy wbijają kierując się miarą po wolnéj i smutnéj pieśni, któréj każden takt jest oznaczony uderzeniem. Po obręczach żelaznych, wbijają obręcze z lin. A ten pęk tak doskonale zrobiony, tak ścisły tak mocny, który jak się zdaje mógłby wszelkim oprzéć się wysileniom; to drzewo które przemysł ludzki utworzył, walcząc z naturą aby zastąpiło dąb zbyt krótki i nie dosyć gruby: jeden zakręt wiatru, złamać może jak pręcik.

Ale odgłos młotu dychtowników, ostrzega nas że już dokończono łupinę okrętu (*) Dychtownicy wpychają pomiędzy bale zewnętrznego futrowania, massy pakuł, które wkrótce pokryją massą smoły, a to zabezpieczać będzie od przesiąkania wody i za jéj pomocą ściany okrętu będą nieprzystępne deszczowi i morzu, jak gdyby je ze skały wykuto. Praca ta szybko postępuje, dychtownicy nadzwyczajną wagę przywiązują do niéj i przez szyderstwo nazywani są złotnikami. Jednakże oddalmy się od okrętu, którego próżne boki brzmią tysiącami natrętnych odgłosów i pójdźmy zobaczyć jak sposobią broń, lawety do armat, żywność, beczki do wody, łóżka majtków, kuchnie, i mnóstwo innych rzeczy należących do uzbrojenia wojennego okrętu.

Nareszcie dychtownicy opuścili okręt, każda w nim szpara, każda dziura, zapełniona jest pakułami, zalana wrzącą smołą. Ruszaj teraz na morze. Na morze i ozdobią go wieńcami z liści i kwiatów, zatkną chorągwie. O jest to dzień uroczysty w porcie, jak dla szlachetnéj rodziny jest uroczystym ten dzień; kiedy przychodzi na świat syn długo oczekiwany, syn, który uwieczni chwalebne imie domu, chwałę przodków. Wielka rodzina morska cała jest w ruchu; nowe jéj dziecię wychodzi na świat. Nie jest to jeszcze jego krok pierwszy; jeszcze nie będą sądzić o jego wdzięku i przymiotach; są to dopiero nadzieje i domysły, ale ten początek już zajmuje. Kapłan wszedł na pomost okrętu, dał mu błogosławieństwo, a tymczasem na tamach portowych, na dachach najbliższych domów, na wszystkich miejscach zkąd dojrzeć można okręt, zanoszą gorące modły za jego przyszłość. Jak gdyby modlili się nad kolebką nowonarodzonego dziecięcia rodzice, polecając Bogu ukochanego potomka, przyszłą chlubę swego rodu. Żeglarze polecają podobnież statek, który ma uczcić ich kraj i marynarkę. Zabrzmiała muzyka wojenna. Gdy kapłan celebrujący pokropił statek święconą wodą; znowu się odezwała. Prefekt morski dał znak, a robotnicy śpiesznie odejmują podpory po bokach okrętu; jedynie opiera się jeszcze na krótkich szczudłach tak zwanéj kolebki, która go dopiero w morzu odstąpi. Tylną stroną ma spuścić się do wody. Ostatni hamulec którym go utrzymują na płaszczyźnie drewnianéj wysmarowanéj łojem, już odcięto; wszystkich spojrzenia wlepione są w statek; powszechne następuje milczenie. W téj chwili niepewności, gdy okręt żądają wahać, czy spuści się z warsztatu, każdy zatrzymuje oddech, jak gdyby z obawy, żeby go nieroztropném nie obalić tchnieniem Porusza się wreszcie, posuwa, biegnie na pochyłéj płaszczyźnie i w całéj długości przebędzie ją w kilka sekund. Idzie dobrze, waha się trochę, ale nie lękajcie się, nie upadnie... Wystawiacie sobie jakiby to był upadek okrętu z warsztatu?.. Dotyka się wody, rozdziela, odpycha, wyrzuca w zapienionych massach, podnosi w długich bałwanach, zanurza się i wypływa jak łabędź który się puścił w nurt rzeki; jego chorągwie uderzają powietrze i klaszczą silnie: tak szybkim jest ruch tego wielkiego ciała, porwanego własnym ciężarem. Wtedy zewsząd wzbijają się krzyki i oklaski; wszyscy wołają: »*Nach*

(*) Ten wyraz dosłownie z francuzkiego przełożony, znaczy korpus okrętu jeszcze bez masztów, żagli, pokładów, dział i żadnego rynsztunku.

http://rcin.org.pl




*Okręt na warsztacie.*

*żyje!* Muzyka gra, grzmią działa, wszystkie okręty stojące na kotwicy nie daleko miejsca, gdzie okręt zstąpił z warsztatu, witają nowego brata, w przyśpieszoném kołysaniu które zrządziło gwałtowne usunięcie pokładów wody w chwili nagłego i przyśpieszonego zanurzenia ciała okrętu (*carene*).

Skończyła się uroczystość i zaczyna się czynne życie liniowego statku. Jeszcze nie zwiędły wieńce i bukiety, któremi go przystrojono, a już wchodzi do *doku* (1) gdzie go miedzią podbiją. Czerwone blachy kruszczu przybite będą od stępki aż do miejsca, po które zanurza się w wodzie, kirys ten nie obroni go przeciw uderzeniu o skałę lub o syrtę, ale ochroni od toczenia robaków niszczących drzewo, i zwanych *tarel:* tego to niewidzialnego a największego nieprzyjaciela statku i ułatwi ruchy okrętu strzegąc go od zbyt licznych przyczepów, roślin morskich, i materyi wapiennych, które niekiedy grubemi pokładami ciężą u boków i dna okrętu.

Ukończono miedziane pobicie i wpuszczają do doku wodę, którą pompy wyrzuciły z niego gdy weń okręt wpuszczono. Już pływa, dopóki jakie ciężkie uszkodzenie i potrzeba nowego dychtowania, znowu go nie wprowadzi w to miejsce.

(1) Dok, po angielsku, bassin, po francuzku rodzaj stawu, że tak powiem, gdzie okręt staje do naprawy jego dna i podbicia go miedzią, a z którego można wodę zupełnie wypompować i znowu ją napuścić.

Z doku, wiodą go prosto pod machinę do masztowania, która osadza w nim cztery maszty; wielki środkowy, tylny, przedni i maszt sztabowy umieszczony pochyło. Wtedy osada okrętowa bierze go w posiadłość; kapitan zaczyna wywierać władzę swoją, wydaje rozkazy, gorliwie i pojętnie wykonywane pod kierunkiem porucznika, oficerów, elewów i starszych majtków. Czyliż przechodzić będziemy całe uzbrojenie okrętu? czyliż wam opiszę jak zaciągają reje, żagle liny, jak przybiera to doskonałe urządzenie które zabezpieczy jego siłę, szybkość, ruch, równowagę, rzeczywiste istnienie nareście. Znużylibyście się chodząc za mną z najwyższych gniazd bocianich (2) aż do głębi pokładów, komor prochowych i dna okrętowego; wdrapując się po linach albo po schodach i drabinkach z pokładu do pokładu prowadzących; ani oczy wasze, ani nogi, nie wystarczyłyby na to. Patrzcie zdała jak zaciągają te liny żaglowe krzyżujące się we wszystkich kierunkach. Jedne z nich utrzymują maszty, drugie należą do rejów i żagli, zatrwożyłbym was długością i dziwacznością ich nazwisk. Patrzcie jak ciągną po deskach służących za most, między groblą portową i okrętem, owe mnóstwo rozmaitych przedmiotów, z których każde już ma wskazane dla siebie miejsce; a gdy już ochło-

(2) Miejsca w różnych wysokościach masztów, gdzie majtkowie mogą stanąć dla naciągania i spuszczania żagli.

http://rcin.org.pl



*Baterya.*

dniecie z podziwienia które w was wznieci ten widok, pójdźcie ze mną do bateryi okrętowych. Już są uzbrojone i gotowe na wasze przybycie.

Piękna to jest rzecz baterya liniowego okrętu. Patrzcie z jakim porządkiem, jak regularnie, jak wspaniale stoją te dwa rzędy armat ogromnego kalibru; z nagromadzonemi przy nich kulami. Jakaż tam czystość panuje. Wszystkie te działa z lanego żelaza są pomalowane czarno, i świecą się jak gdyby je pokryto wernixem. Wszystkie narzędzia i zapasy potrzebne, już leżą na swoich miejscach; niczego nie brakuje prócz zapalonego lontu i ludzi. Niechaj was Bóg zachowa, abyście byli w tej bateryi kiedy lont dymić się zacznie, kiedy kanonierowie stać będą przy działach, i kiedy o pół wystrzału armatniego będzie przed wami okręt nieprzyjacielski.

(Dokończenie w następującym zeszycie.)

## LITERATURA.

### NOWE DZIEŁO.

(Dalszy ciąg.)

Teraz sześciu walczących wystąpiło razem: Niger z siatką, w obec Sporusa z tarczą i szablą; Lydon i Tetraides, prawie nadzy, prócz pasa owijającego im biodra, i bez innéj broni prócz greckiego *cestu*; nakoniec dwóch Rzymskich gladiatorów, całych stalą okrytych z ogromnemi puklerzami i kończatymi mieczami.

Pasowanie się Lydona z Tetraidem, nie tak było śmiertelne jak spotkanie innych zapaśników; zaledwie wystąpili na środek szranków, współubiegacze, jak gdyby za potajemną zgodą, oddalili się aby ujrzyć jak się ukończy ta pierwsza walka, czekając nim straszliwsze oręże, *cest* zastąpią, ażeby wtedy dopiero bój rozpocząć. Stali oparci na broniach, zdala jeden od drugiego, mając oczy wlepione w igrzysko które nie dosyć było krwawe aby podobać się mogło pospólstwu, a jednak go zajmowało, gdyż pochodziło z Grecyi.

Na pierwszy rzut oka, dwaj przeciwnicy bynajmniéj nie zdawali się bydź zdolni pasować się ze sobą. Tetraides, chociaż nie wyższy od Lydona, cięższym był od niego. Wielkość jego muszkułów, wydawała się bydź jeszcze w oczach tłumu zwiększona massą ciała; gdyż powszechnie mniemano że otyłość była szczególniéj korzystną do walki *cestu*. Tetraides miał barki szerokie i grube członki, owe kształty które ujmując piękności dodają siły. Lydon, chociaż tak smagły iż prawie wydawał się chudym, miał postać piękną i delikatną, i przypatrzywszy się

łatwo było poznać iż muszkuły jego, chociaż nie tak rozciągłe jak u przeciwnika, były mocniejsze, ścisłe, jak gdyby żelazne. Zbywało mu na tuszy, i wadę tę musiał czynnością nagradzać; a uśmiech pełen dumy który malował się na śmiałem jego obliczu, stawiając sprzeczność z głupowatą ociężałością przeciwnika, wzbudzał zaufanie w patrzących, i niejakie nadzieje łączył z litością którą w nich wzbudzał. Zatém mimo uderzającéj różnicy ich sił, prawie tyle było pomiędzy tłumem okrzyków za Lydonem, co i za Tetraidesem.

Ktokolwiek widział tegoczesne szermierstwo, i wie jak straszliwe razy zadać może pięść ludzka, gdy jest dobrze wymierzona, łatwo pojmie jak szczęśliwa ta łatwość musi bydź zwiększoną pasem rzemiennym owijającym się w około ręki aż po łokieć, i utwierdzonym w zgięciu palców blachą żelazną, a niekiedy kawałem ołowiu.

—»Miéj się na baczności! ryknął Tetraides, coraz bardziéj przybliżając się do przeciwnika, który raczéj krążył w około niego niżeli się cofał.

Lydon odpowiedział tylko pogardném spojrzeniem czujnego i pośpiesznego oka. Uderzył Tetraides... był to raz, jaki kowal wymierza o kowadło; Lydon ugiął się na jedno kolano, raz przeleciał mu po nad głową. Wzajemnie oddany nie był tak mylnym; zerwał się szybko, i ugodził szerokim swoim *cestem* w sam środek piersi przeciwnika. Zachwiał się Tetraides; lud przyklasnął.

—»Jesteś dzisiaj nieszczęśliwym, rzekł Lepidus do Klodiusza, jużeś przegrał jeden zakład, przegrasz i drugi.

Na Bogi! jeśli tak się stanie, bronzy moje przejdą w ręce taxatora; stawiłem pięćdziesiąt wielkich *Sestersów* za Tetraidesem. (*) O! o! patrzaj; nabiera odwagi; co za dzielne uderzenie; aż krew wytrysnęła z ramienia Lydona. Mój Tetraides! mój Tetraides!

—»Lecz Lydon nie ustrasza się bynajmniéj. Na Polluxa! nie traci przytomności. Patrzaj jak zręcznie uchyla się przed temi rękoma podobnemi do młotów, zmieniając co chwila miejsce, i krążąc w około... Ach! biedny Lydon, znowu mu się dostało.

—»Zakładam się jeszcze, trzy przeciw jednemu za Tetraidesem!.. Jakże ci się zdaje, Lepidus?

—»Chętnie; dziewięć sestersów przeciwko trzem. Jakto! zawsze Lydon. Zatrzymuję się.... chce nabrać tchu. Przez bogi, otóż i na ziemi!.. Nie... Czy znowu nie powstał? Dzielny Lydon!.. śmieje się głośno... rzuca się na niego.

—»Szalony! powodzenie go zaślepia... powinienby bydź roztropnym... Oko Lydona jest jak oko ostrowidza! pomruknął z cicha Klodiusz.

—»Ha! Klodiuszu, czy widzisz? twój Tetraides się chwieje!.. Jeszcze jedno uderzenie... upada... upada!

—»Ziemia więc go pokrzepia? Znowu stoi, lecz krew leje się z jego twarzy.

—»Przez gromowładzcę! Lydon jest zwycięzcą. Patrzaj jak nań naciera. To uderzenie w skroń zwaliłoby wołu; powaliło Tetraidesa. Znowu upada... nie może się ruszyć... *Habet... habet!*

—»*Habet!* powtórzył Edyl, wyprowadźcie ich i dajcie im zbroje i miecze.

— »Szlachetny Edylu, rzekli posługacze cyrkowi, lękamy się że Tetraides nie odzyska na czas zmysłów; sprobujemy jednak.

Po chwili powrócili posługacze smutni i pomieszani; lękali się o jego życie. »Zupełnie jest niezdolny wejść znowu w szranki.

—»W takowym razie, rzekł Edyl, zachowajcie Lydona na *subditusa* (zastępcę) zajmie miejsce pierwszego zwalczonego zapaśnika.

Przyklasnęło pospólstwo na ten wyrok, i znowu do pierwszego powróciło milczenia.

Podczas gdy walka rozpoczęła się w ten sposób, w amfiteatrze znajdował się na najwyższych stopniach widz, dla którego straszliwe przedstawiała zajęcie. Stary ojciec Lydona, pomimo chrześciańskiéj zgrozy ku temu widowisku, tak okropnéj doświadczał obawy o syna, iż nie mógł się oprzéć chęci znajdowania się na niém.

W pośród tłumu osób zupełnie dla niego obcych, a które należały do najniższéj klassy pospólstwa, starzec nie widział, nie czuł nic, prócz obecności mężnego syna. Żaden głos nie wydobył się z ust jego, gdy po dwakroć widział go padającego na ziemię; zbladł tylko, i dreszcz członki jego przebiegł; lecz widząc go zwycięzcą, słaby krzyk wydał, nie wiedząc, niestety! że to zwycięztwo było tylko wstępem do straszliwszéj daleko walki.

—»Dzielny mój chłopiec! zawołał obcierając oczy.

—»Czy to twój syn? spytał człowiek siedzący przy Nazarejczyku który skrycie wyznawał wiarę chrześciańską, dzielnie walczył; zobaczymy jak mu się potém uda? Czy słyszałeś? ma walczyć z pierwszym zwycięzcą. Teraz starcze błagaj Bogów aby tem zwycięzcą nie był żaden z obu Rzymian, a po nich olbrzym Niger.

Starzec usiadł znowu i twarz sobie zasłonił. Walka następna obojętną była dla niego; Lydon do niéj nie należał. A jednakże, jednakże... myśl ta nagle mu przyszła... ta walka przeciwnie najstraszliwsze miała dla niego zajęcie... pierwszy co polegnie, ustąpić ma Lydonowi. Powstał, wychylił się na

(*) Blisko 150,000 złotych.

przód, oczy mając roztwarte, ręce złożone, aby przypatrzyć się szermierstwu.

Oczy widzów zwróciły się najprzód na walkę Nigera ze Sporusem; gdyż ten rodzaj pasowania się, który zawsze prawie smutnie się kończył i wielkiéj wymagał umiejętności po obu współzawodnikach, był szczególniejszém zrzodłem przyjemności dla patrzących.

Stali oba w dość znacznéj od siebie odległości. Dziwny hełm Sporusa z zapuszczoną przyłbicą twarz mu zasłaniał; lecz rysy Nigera przerażającą i powszechną zwracały uwagę, oddychając przytłumioną i błędną dzikością. Tak stali czas niejaki pozierając jeden na drugiego, aż Sporus zaczął posuwać się zwolna i z wielką ostrożnością, trzymając ostrze miecza wymierzone w piers nieprzyjaciela. Niger cofał się w miarę jak napastnik się zbliżał, ściągając siatkę prawą ręką, i ani na chwilę małego iskrzącego oka nie spuszczał z poruszeń jego. Nagle gdy tenże był tylko o długość ramienia oddalony, *retiarius* skoczył naprzód i zarzucił siatkę. Szybkie pochylenie ciała uchroniło gladiatora od zgubnych sideł; wydał ostry krzyk radości i wściekłości i rzucił się na Nigera. Lecz Niger zesunął już siatkę, którą przerzucił przez ramie, i zaczął obiegać szranki z szybkością, którą *secutor* (*) nadaremnie prześcignąć usiłował.

Lud śmiał się i głośno przyklaskiwał, widząc daremne usiłowania barczystego gladiatora w doścignięciu uciekającego olbrzyma; lecz w téjże chwili cała uwaga zwrócona została na obu rzymskich wojowników.

Stanęli zrazu w obec siebie, w takiéj odległości jak dzisiaj staje się do pojedynku; lecz nadzwyczajna przezorność jaką z początku okazywali, pozostawiła widzom wolny czas zajęcia się bitwą Sporusa i Nigera. Teraz rozjątrzeni Rzymianie z całą walczyli wściekłością; popychali się, obracali, nacierali jeden na drugiego, cofali się, z drobiazgową a jednak niedojrzaną ostrożnością która cechuje ludzi doświadczonych i jednakie prawie mających siły. W téj chwili jednakże Eumolpus, starszy z zapastników odwrotnym razem, uważanym w szrankach jako nieuchronny, zranił w bok Nepienusa. Lud wydał oklaski; Lepidus zbladł.

—»Och! rzekł Klodiusz, igrzysko prawie już ukończone; jeśli teraz Eumolpus będzie walczył rozważnie, wytoczy wszystką krew z przeciwnika.

—»Lecz dzięki bogom, nie powściąga się. Patrz jak naciska Nepienusa!.. Na Marsa! Nepienus go ugodził! znowu hełm jego zaszczęknął!.. Klodiuszu, wygram.

—»Sporus! Sporus! zawołała tłuszcza, widząc że Nigier, który się nagle zatrzymał, znowu bezskutecznie siatkę zarzucił. Tym razem nie uciekał tak pośpiesznie, a miecz Sporusa szeroką zadał mu ranę w lewą nogę. Niezdolny do ucieczki przyparty został od współzawodnika. Wzrost wysoki i długie ręce znaczną jednak dawały mu jeszcze przewagę, i silnie trzymając trójząb, przez kilka chwil korzystnie odpierał Nigera. Sporus probował szybkim niezmiernie zwrotem okrążyć przeciwnika, którego poruszenia były zwykle ociężałe i powolne. Lecz zapomniał zwyczajnéj roztropności; zbliżył się za bardzo do olbrzyma, podniósł ramie chcąc ugodzić, a tymczasem wszystkie trzy końce trójzębu w piersi mu uwięzły! Ugiął się na kolano; i w téjże chwili śmiertelną siatką został okryty; na próżno silił się wydobyć, nieszczęsny trójząb zadawał mu powtarzane razy; krew płynęła przez oka siatki i farbowała piasek! Schylił rękę na znak przegranéj.

Zwycięzki *retiarius* zdjął siatkę, i wsparty na dzirydzie spojrzał po widzach badając wyroku. Zwolna także w téjże chwili umierający gladiator potoczył osłabione i rozpaczne oczy w około amfiteatru. Ze wszystkich stopni ujrzał zwrócone na siebie spojrzenia bez litości i miłosierdzia.

Szmer ustał; okropne było milczenie i nie wyrażało bynajmniéj współczucia. Żadna ręka, ręka nawet kobiety, nie raczyła dać znaku litości i życia. Sporus nigdy nie był lubiony, a całe zajęcie zwróciło się przy końcu na rannego Nigera. Udane walki nie miały powabu dla pospólstwa.

Zapastnik uczuł, że wypadł wyrok na niego; nie dał usłyszyć ani prośby, ani jęku... Z poddaniem pełném razem cierpienia i uporu, pochylił głowę aby odebrać raz nieszczęsny. Ale że trójząb *retiariusa* nie był bronią którąby mogła zadać śmierć pewną i jednochwilną, ujrzano wchodzącą w szranki przerażającą i posępną postać, wywijającą krótkim i wyostrzonym mieczem, a któréj twarz zakrywała zupełnie spuszczona przyłbica. Wolnym i miarowym krokiem groźny ten wykonawca zbliżył się do klęczącego jeszcze gladiatora, lewą rękę oparł na wilgotném jego czole, przyłożył ostrze miecza do jego szyi, i raz jeszcze poprowadził okiem po zgromadzeniu, aby się zapewnić czy żadna zgryzota nie ogarnęła je w téj ostatecznéj chwili: straszliwy znak ten sam pozostał. Miecz zabłysnął w powietrzu, spadł, a gladiator potoczył się na piasek; konwulsyjnie zadrżały jego członki, potém pozostał bez ruchu. Sporus już był trupem.

Wyniesiono jego ciało drzwiami zwanemi bramą śmierci, i wrzucono w smutną jamę, któréj techniczne miano było *spolarium*. Jeszcze nie przybył na miejsce przeznacze-

(*) Tak zwano ten rodzaj gladiatora, gdyż ścigał przeciwnika, aby pochwycić porę w któréj ten zarzucił siatkę, i ugodzić go, nimby ją znowu przygotował.

nia, gdy spór między drugiemi dwoma walczącemi także się rozstrzygnął. Miecz Eumolpa śmiertelną zadał ranę niedoświadczonemu przeciwnikowi, i jedna ofiara więcéj zaniesioną została do zachowu zabitych.

Powszechne poruszenie dało się wówczas widzieć w tém wielkiém zgromadzeniu; lud swobodniéj oddychał, i każdy wygodniéj zasiadł na ławie. Eumolpus zdjął szyszak i otarł czoło; kędzierżawe jego włosy, broda krótka, szlachetne rzymskie rysy, oko czarne i błyszczące, ogólną zwróciły na siebie uwagę. Był świeży, nienaruszony, i bynajmniéj nie zdawał się bydź utrudzonym.

Edyl oswiadczył w głos, że Lydon miał zastąpić zabitego Nepienusa, i walczyć z Eumolpem.

—»Jednakże Lydonie, dodał, jeżli chcesz odmówić walki z tak walecznym i doświadczonym człowiekiem, wolno ci. Eumolpus nie jest przeciwnikiem który ci był zrazu przeznaczony. Lepiéj wiesz niżeli kto inny, czy jesteś w stanie z nim się spotkać; jeźli polegniesz, zginiesz chlubnym zgonem; jeśli zwyciężysz, z własnego worka podwoję naznaczoną nagrodę.

Lud przyklasnął. Lydon stał w szrankach spojrzał w około siebie; wysoko, postrzegł twarz bladą, obłąkane oczy ojca. Odwrócił się z wahaniem na chwilę. Nie! zwycięztwo *cestowe* nie było dostatecznem... nie pozyskał jeszcze nagrody... ojciec jego zawsze był niewolnikiem! A on walczył jedynie dla tego aby złożyć jego okup i spokoj na starość zapewnić.

—»Szlachetny Edylu, rzekł niezachwianym głosem, nie cofam się przed tym bojem. Dla zaszczytu Pompei pragnę aby uczeń jéj sławnego *Lanisty* walczył z Rzymianinem. Lud wydał w głośniejsze jak pierwéj oklaski.

—»Cztery przeciw jednemu za Lydonem! rzekł Klodiusz do Lepidusa.

—»Nie przyjąłbym dwudziestu przeciw jednemu; Eumolpus prawdziwym jest atletą, a ten biedny chłopak zaledwie uczniem.

Eumolpus bacznie spojrzał w twarz Lydona, i uśmiechnął się; po tym jednakże uśmiechu nastąpiło słabe niedosłyszane prawie westchnienie... wzruszenie litości zatłumione przywyknieniem, skoro tylko serce uczuwać go zaczynało.

Zupełną okryci zbroją, z gołym mieczem, spuszczoną przyłbicą, dwaj ostatni szermierze, po których ludzie mieli tylko mieć za przeciwników zwierzęta, stanęli w obec siebie.

W tejże właśnie chwili jeden z posługaczy oddał list Pretorowi; zdarł pokrycie, rzucił nań oczyma, a twarz jego wyraziła zadziwienie i pomięszanie. Jeszcze raz list odczytał, potém sobie pomyślał.

—»Gdzie tam, to niepodobieństwo!.. Musiał się upić, chociaż jeszcze tak rano, kiedy może roić takie szaleństwa.»

Potém niedbale rzucił list na stronę, i znowu całą baczność zwrócił na igrzyska.

Zajęcie publiczności doszło do najwyższego stopnia. Eumolpus cieszył się dotąd zupełną jéj przychylnością; lecz odwaga jaką okazał Lydon, i szczęśliwa wzmianka którą uczynił na cześć Pompejańskiego Lanisty, zjednały mu teraz pierwszeństwo.

—»No starcze! rzekł sąsiad Medona; syn twój ma groźnego zawodnika; lecz nie lękaj się niczego; Edyl nie dozwoli aby go zabito; nie, zbyt wielkie męztwo okazał. Ach! to mi dzielny raz, jakże zręcznie odbił!.. Na Polluxa! Uderz znowu na niego Lydonie!.. Zatrzymują się aby odetchnąć!... Co tam szepczesz starcze?

—»Pacierze, odpowiedział Medon spokojniéj i z większą ufnością jak dotąd okazywał.

Konwulsyjny dreszcz przebiegł całe zgromadzenie; straszliwy cios Eumolpa, zadany w sam środek hełmu, na kolana powalił Lydona.

—»*Habet!* zawołał piskliwy głos kobiecy... *Vivat!*

—»Milcz dziewcze! rzekła dumnie żona Edyla; *non habet*; nie jest nawet zraniony!

Tym czasem Lydon, który bronił się z wielką zręcznością i odwagą, zaczynał cofać się przed dzielnem nacieraniem doświadczonego Rzymianina; ramie jego się strudziło, zaciemniło oko; oddech stawał się trudnym. I znowu walczący stanęli aby wypocząć.

—»Młodzieńcze, rzekł Eumolpus cichym głosem; zaniechaj walki; zadam ci lekką ranę, pochylisz rękę; znalazłeś łaskę u Edila i z zaszczytem ocalejesz!

—»A ojciec mój pozostanie bez okupu! rzekł do siebie Lydon. Nie; jego uwolnienie lub śmierć!

Na tę myśl, i widząc że siły jego nie wyrównają wytrwałości Rzymianina, że wszystko zależało od nagłego i rozpacznego wysilenia z wściekłością rzucił się na Eumolpa; Rzymianin cofnął się roztropnie; Lydon jeszcze jeden sztych zadał; Eumolpus się zwinął; miecz ślizgnął się po zbroi. Piersi Lydona były narażone; Rzymianin zagrążył miecz w uszkodzony pancerz, nie mając jednakże zamiaru zadać głębokiéj rany. Lydon słaby i wyniszczony, pochylił się na przód, i padł na sam koniec oręża który na wskróś go przebódł. Eumolpus wyciągnął głownię miecza, Lydon ostatnie jeszcze uczynił wysilenie aby odzyskać równowagę; miecz mu wypadł z dłoni; machinalnie uderzył gladiatora gołą ręką i legł rozciągniony na bojowisku. Edyl i zgromadzenie jednogłośnie dali hasło miłosierdzia; przystąpili posłu-

gacze amfiteatralni; zdjęli szyszak zwyciężonemu. Jeszcze oddychał; dziko potoczył oczyma; czoło cieniem śmierci już omroczone, wyrażało srogość, którą natchnął go stan jego. Potém ze drżeniem i konwulsyjnym jękiem podniósł w górę wejrzenie. Wejrzenie to nie spoczęło ani na Edylu, ani na litościwych sędziach. Nie widział ich; zdawało się że dla niego cała obszerna ta przestrzeń była pustą; jednę tylko twarz pośród niéj rozpoznawał, twarz rozpacz wyrażającą. Jedyny krzyk wydarty z rozdartego serca, obił się o jego ucho w pośród tysiącznych oklasków pospólstwa. Zniknęła srogość z jego czoła; łagodny i czuły wyraz świętobliwéj miłości synowskiéj, ale wszelkiéj pozbawionéj nadziei, rozlał się po jego rysach: lecz tylko na chwilę. Wkrótce twarz jego do pierwszéj wróciła dzikości. Padł na ziemię.

—»Mieć o nim staranie, rzekł Edyl; wypełnił swój obowiązek.

Posługacze zawlekli go do *spolarium*.

Znowu drogiemi woniami skropiono amfiteatr; posługacze wysypali szranki świeżym piaskiem.

—»Niechaj wprowadzą Lwa i Ateńczyka Glaukusa, rzekł Edyl.

Głębokie milczenie, wzbudzone zbytkiem zajęcia i zgrozy, owładło zgromadzenie jak sen wielki i straszliwy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## NAUKA ZDROWIA.

PRZEZ DOKTORA BOURDON.

(Dalszy ciąg.)

Ojcowie powinni żyć rozsądnie, chociażby przez wzgląd na swoje dzieci, one bowiem dziedziczą po nich wiele chorób mnóstwo wad moralnych i dolegliwości fizycznych.

Z niedostatku rodzi się ciemnota, niechędóztwo, przesądy i liczne choroby, ale zbytek i nieczynność pochodzące z dostatków, mają także złe skutki. Wprawdzie za dobrym bytem następuje większa oświata i grzeczność, ale także więcéj namiętności i nudów. Choroby wtedy nie tak mocne i liczne, ale za to więcéj powikłane; trudniéj odgadnąć je i wyleczyć.

— W młodości trzeba nazwyczajać się znosić wszystko; dobre, złe, niedostatek, trudy, deszcze, upały, ciepło i zimno, nawet i zbytkowanie. Jednakże nie należy nabywać żadnych stałych nawyknień: kto nawyknie do wszystkiego, ten ochroni się od wszelkiego nazwyczajenia.

Cywilizacya nieznacznie odwróciła człowieka od pierwotnego celu; umysł jego zajął powoli miejsce siły fizycznéj. — Dziś nie idzie o to aby bydź mocniejszym, lecz aby bydź oświeceńszym i zręczniejszym. Ta wyższość umysłu sprzyja bezczynności ciała, osłabia je, szkodzi zdrowiu, a przez wzajemne oddziałania, umysł słabnie nareszcie, dla tego że zbytecznie brał górę.

Większa część ludzi pewniejsza jest życia gdy ma lat pięćdziesiąt niżeli gdy ma lat dwadzieścia. W młodości grożą wszelkie niebezpieczeństwa, drogi są przykre i zawalone, grożą przepaści. W pięćdziesięciu latach pozostaje tylko droga piękna i prosta.

### PRZEPISY DOTYCZĄCE SIĘ RUCHU CIAŁA.

Nic bardziéj nie służy człowiekowi jak ruch ciała; praca podnieca apetyt, ułatwia i polepsza trawienie: sprowadza sen spokojny i głęboki. Nieczynność rodzi nudy, sytość, bezsenność i słabość.

Człowiek stworzony na to aby pracą rąk wydobywał z ziemi pożywienie swoje; wogólności nie dopełnia celu tego.

Jednakże wszystko w nas zdaje się bydź usposobione do ruchu, i każdy czyn życia go potrzebuje. Bądźcie więc czynni, a żyć będziecie długo bez cierpień i słabości. Ale trzeba urozmaicać wasze czynności.

Ale niechaj roztropne umiarkowanie przewodniczy waszym pracom. Pamiętajcie że pośpieszne działanie więcéj utrudzi, aniżeli działanie długie i bez przesady.

Dla młodzieży potrzeba wiele ruchu, ale bez trudów i przeszkód. Ludzie ubodzy wyglądają jak starcy przy końcu swojéj młodości, a to z powodu trudów przedwcześnie podejmowanych.

To prawda że częste ćwiczenie jednego organu w człowieku, powiększa jego siłę i wielkość, ale i to jest prawda, że trudy powoli niszczą moc duszy i skracają życie. Umiarkowane tylko i rozmaite działanie wzmacnia prawdziwie.

### O NATURZE ŻYWNOŚCI.

*Potrzebnéj człowiekowi stosownie do klimatu w którym mieszka.*

Człowiek jeść może wszystkie rodzaje pożywienia. Stwórca dał mu ten przymiot aby mógł mieszkać na całéj przestrzeni kuli ziemskiéj. Mimo téj własności, ulega pod tym względem wpływowi klimatu tak dalece iż pożywienie bardzo stosowne w jednym kraju, nie jest stosowne w innym i w ogólności, im bardziéj zbliżamy się ku północy, tem bardziéj potrzebujemy pożywienia zwierzęcego,

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

http://rcin.org.pl



## WILK Z GEVAUDAN.

Nieraz przychodziło nam na myśl, dla czego nie zebrano histōryi sławnych wilków, jak to uczyniono ze psami. Pomiędzy wilkami zdarzały się niektóre nadzwyczajną odznaczające się srogością i spustoszeniem. *Dziennik Paryzki* wspomina, że pod Karólem VI i VII; wilki niezmiernie się rozmnożyły, a ich srogość pomnożyła klęski owéj epoki. Te żarłoczne zwierzęta nazwyczajone do żywienia się trupami, których wszędzie było mnóstwo pośród ówczasowych morderstw i wojen; rozmnożyły się w okolicach Paryża i przedewszystkiem uderzały na ludzi, nie lękały się nawet wpadać w środek miasta, dla chwytania upragnionéj zdobyczy. W owym czasie wilki tak lubiły żywić się mięsem ludzkiem, że w ostatnim tygodniu miesiąca Września 1437 r: pożarły czternaście osób dorosłych i dzieci, między Montmartre i bramą Sgo Antoniego, w winnicah i bagniskach. Jeżeli napotkały gromadę bydła, rzucały się na pastucha, a zostawiały bydło. Toż samo dzieło wspomina o potwornym wilku, najstraszliwszym ze wszystkich, zwanym *Courtaud*, ponieważ nie miał ogona. Rozpościerał wszędy przestrach i śmierć. Wychodzącym w pole mówiono: »Strzeżcie się wilka Courtaud.» Nareszcie zabito go; a ciało jego oprowadzano po mieście jako przedmiot godzien podziwienia i ciekawości.

Ten Courtaud chociaż był groźny, nie może przecież wytrzymać porównania z tym wilkiem z Gevaudan, którego straszliwa pamiątka, dotrwała we Francyi aż do naszych czasów. Ciekawy rękopism znajdujący się

http://rcin.org.pl

w bibliotece królewskiej w Paryżu, dochował o nim następujące szczegóły.

W Czerwcu 1764 r: dzikie, to zwierze rozpoczęło swoje rozboje w lesie Mercoire, i w okolicach miasteczka Langogne, okręgu Gevaudan. Przebywało tam trzy lub cztery miesiące, pożerało dzieci, przebiegało potém wiele sąsiednich parafij, gdzie także zadusiło nie mało osób, a potém przeniosło się do parafii St-Alban. Strach którego ten wilk był powodem, wzrosł do takiego stopnia, iż wkrótce opowiadano o nim najdziwaczniejsze wieści. Ludzie którzy go mieli widzieć z bliska, albo u których strach miał niezmiernie wielkie oczy, opisywali go jako nadzwyczajną potworę: przypisywali mu prócz tego szczególny ryk, różny zupełnie od ryku wilka; a ich opis tak był obok tego niezgodny ze zwyczajną postacią wilka, iż wielu rozsądnych ludzi mniemało, że to jest Hyena która uciekła z menażeryi króla Sardynii, albo z jarmarku Baucaire; inni utrzymywali, że to jest potwór pochodzący z niedźwiedzia i lwicy. Imaginacya pospólstwa, tworzyła o nim nieskończone bajki. Już kilkakrotnie zrobiono obławę przeciw temu zwierzęciu, lecz nadaremnie; uszło przed pogonią pięćdziesięciu dragonów, którym towarzyszyło 1200 wieśniaków. Oprócz tego zapewniano że w pięciu lub sześciu spotkaniach, strzelono do niego o kilka kroków, a nie zadano mu żadnéj rany. Okoliczność ta prawdziwa czy też zmyślona, przekonała wieśniaków, że zwierze to było czarownikiem: niektórzy nawet utrzymywali, iż słyszeli, że mówiło głosem ludzkim.

Z tém wszystkiem coraz to nowe ofiary, wskazywały obecność i srogość tego potworu, który przebiegał teraz Owernią i Rouerque. W Listopadzie tegoż roku ogłoszono nagrodę 200 frankow temu, któryby uwolnił kraj; a wkrótce potém Stany Langwedocyi uchwaliły 2,000 fr: za tenże sam przedmiot. Rząd uczuł, iż trzeba podniecić osłabioną odwagę wieśniaków. Przerażenie doszło było do najwyższego stopnia. Nikt nie chciał podjąć się wypędzania trzód na pastwiska; wieśniacy nie śmieli wychodzić inaczéj, tylko gromadami; targi i jarmarki były puste, a stosunki handlowe ustały prawie z powodu bojaźni kupców.

Zuchwałe napady tego okrutnego zwierza, stały się powodem wielu przykładów odwagi i przytomności umysłu. Jeden z nich przytoczymy, mianowicie z przyczyny młodego wieku tych, którzy byli jego sprawcami. Pięciu chłopczyków z wioski Villaret z których trzej najstarsi mieli dopiero po dwanaście lat, a dwaj młodsi osiem albo dziewięć, i dwie dziewczynki tegoż samego wieku, pasło gromadę bydła na wierzchołku góry. Każde z nich miało długi kij opatrzony żelazem, ostro zakończonem, długiem na cztery cale. Dziki zwierz podszedł ich znienacka. Postrzegłszy go wtedy dopiero, gdy był tuż przy nich, zebrali się czémprędzéj aby mu dać odpór. Wilk obiegł trzy lub cztery razy w koło nich, i nareście rzucił się na jednego z chłopczyków. Natychmiast trzej najstarsi uderzyli na niego i ukłóli go kilkakrotnie, ale nie mogli przebić mu skóry. Jednakże napastowany bez ustanku, puścił swoją zdobycz, cofnął się o kilka kroków, wydarłszy kawał twarzy chłopczykowi, i zaczął pożerać w ich oczach to zakrwawione mięso. Wkrótce, z takąż samą wściekłością rzucił się na dzieci, porwał najmłodszego za rękę i uniósł go w paszczy. Jeden z chłopców zawołał: »uciekajmy» ale najstarszy krzyknął, że trzeba uratować towarzysza, albo zginąć z nim razem. Puścili się więc w pogoń za wilkiem i zapędzili go w bagna tak miętkie, że zwierz grzązł aż po brzuch, co opóźniło bieg jego i dało czas chłopcom, iż go doścignąć mogli. Usiłowali zranić go w głowę, a zwłaszcza w oczy; ukłóli go kilkakrotnie w paszczę, którą ciągle trzymał otwartą; ale nie mogli ugodzić go w oczy. Pod czas téj walki zwierz trzymał ofiarę swoją pod nogą, ale jéj nie gryzł; musiał bowiem bronić się przeciwnikom. Nareszcie znużony ich odwagą i natarczywością, puścił chłopca który odniósł tylko lekką ranę w twarz i w rękę. Zdarzenie to głośne było po całéj Francyi: król kazał dać wynadgrodzenie odważnym dzieciom; dzienniki owczesne wychwalały ich postępek, a nawet pewien poeta napisał poema na ich pochwałę.

Od téj chwili o niczém nie mówiono tylko o wilku z Gevaudan, o osobach które codziennie zabijał lub ranił, a król przerażony trwogą mieszkańców, przydał 6,000 franków nagrody do 2,400. dawniéj przyrzeczonéj temu, ktoby zabił to zwierze. Postanowiono zatém uczynić nadzwyczajne wysilenie; 73. parafie z Gevaudan, z Owernii, i Rouerque, tworzące korpus 20,000 strzelców, pod dowództwem konsulów i znakomitszych mieszkańców miast, wyruszyli przeciw temu wilkowi. Wytropiono go i ścigano przez czas długi, ale tylko zraniono, jeszcze raz zdołał ratować się ucieczką. Drugie powszechne polowanie, gdy również było bez skutku, rząd wyprawił do Owernii szlachcica, który osiwiał polując na wilki i powiadano że w Normandyi i w okolicznych prowincyach, wytępił przeszło tysiąc dwieście tych zwierząt.

W tymże czasie nowa nagroda królewska, nadzieja wsławienia się, zguba potworu głośnego w całéj Europie; a przy tém szlachetniejsze ludzkości pobudki, ściągnęły do prowincyi Gevaudan, mnóstwo myśliwych z Langwedocyi, Delfinatu, Prowancyi, hrabstwa Awinione i innych prowincyj. Przy-

bycie szlachcica normandzkiego i wieść o jego sławie jeszcze pomnożyła ich liczbę. Podobnież, mówi autor naszego rękopismu, w bohaterskich czasach Grecyi zebrali się wszyscy wodzowie dla wytępienia odyńca Erymontu.

Cóżkolwiek bądź, wszystkie łowy i obławy nie uwolniły kraju od tak straszliwego nieprzyjaciela. Kilkakrotnie był zraniony, lecz uszedł zawsze. Powzięta nadzieja iż zdechnie z ran odebranych, nie sprawdziła się wcale; a że wkrótce nowe zrządzał klęski, wyobrażano sobie, iż kilka podobnych jemu potworów znajdowało się w okolicy. Również bez żadnego skutku pozostał środek zatruwania ciał zaduszonych przez niego ludzi, w tém mniemaniu że powróci dokonać pożarcia swojéj zdobyczy. Łatwo wyobrazić smutne położenie mieszkańców wiosek. Po czterdziestu ogólnych łowach do których należało 10, 20, 30, 40, a czasem i sto parafij, uskuteczniany od sześciu miesięcy, po mnóstwie pojedynczych wypraw, które mimo gorliwości i doświadczenia myśliwych, pozostały bez skutku, kres nieszczęść téj prowincyi jeszcze bardziéj wydawał się oddalonym jak wprzódy. Tyle daremnych usiłowań i trudów, znużyło cierpliwość wszystkich. Myśliwi okolicznych prowincyj, zaniechali obławy i powrócili do domów.

W takim to stanie rzeczy, król nie chcąc zostawić prowincyi na łup tego zwierza, posłał tam pana Antoine, kawalera orderu Sgo Ludwika, naczelnego łowczego dworu z oddziałem wybranym ze Straży łowieckiéj w Wersalu i Saint-Germain. Xiążęta Orleanu, Penthiore i Condé, dopomagając zamiarom króla, przyłączyli wybór swoich myśliwych do królewskiego oddziału.

Ten nowy orszak myśliwych, przybył do Gevaudan w połowie czerwca 1765 r. Ludzie najdoświadczeńsi poczynili jak najzręczniejsze rozporządzenia: obławy zaczęły się z tą zgodnością, którą wzbudzała nadzieja że obtoczą nareście knieję, w któréj się ten zwierz ukrywa. Jednakże uchodził jeszcze przez kilka miesięcy przed ich pogonią i rzucał się jak zwykle na kobiety i dzieci. Jedna z kobiet obroniła mu się pchnąwszy go bagnetem przywiązanym do kija. W tym przeciągu czasu zabito kilkunastu wilkow, które zapewne przyłożyły się do klęski na rachunek jednego zwierza kładzionych. Nareszcie nadszedł kres na tego co był najdzikszy i najstraszliwszy z nich wszystkich.

Łowczy królewski, uwiadomiony że wilki pustoszą w lasach opactwa królewskiego w Chazes, w Owernii; posłał tam dwóch strzelców z psami, a gdy mu donieśli że postrzeżono bardzo dużego wilka, oraz wilczycę i spore wilczki, udał się tam 20 Września z całym swoim ludem i czterdziestoma strzelcami z sąsiednich parafii; kazał otoczyć las, a tymczasem służba myśliwcza, wieśniacy i psy, przebiegały go zewsząd. Stanąwszy na przesmyku, zobaczył idącego ścieżką tego wielkiego zwierza, który obrócony był do niego prawym bokiem i obracał głowę patrząc na myśliwca. Natychmiast dał do niego ognia z gwintowego muszkietu, nabitego pięcią nabojami prochu, trzydziestą pięcią lotkami i kulą kalibrową. Targnienie cofnęło go o dwa kroki; zwierz ugodzony był w bok prawy; padł, ale natychmiast zerwał się i biegł na Łowczego, nie dając mu czasu nabić broni. Łowczy zawołał o pomoc: myśliwy xięcia Orleanu przybiegł, wystrzelił z karabinu do wilka, i zranił go w udo; po czem zwierz postąpiwszy jeszcze kilka kroków, padł bez życia.

Wielu wieśniaków z okolicy na których się był rzucał, poznali że to jest toż samo zwierze, które od tak dawna cały kraj napełniało przestrachem. Oprócz tego znaleziono na nim bliznę od pchnięcia bagnetem, o czem wspomnieliśmy wyżéj. Tak więc, już nie można było wątpić o jego tożsamości i o uwolnieniu prowincyi. Zwierz ten był wysoki na 32 cale, miał 3 stopy obwodu, a 5 stóp i siedem cali długości od końca paszczy do końca ogona. Ważył 150 funtów. W paszczy naliczono 40 zębów: 18 na górze, 22 na dole. Strzelcy uznali iż musiał mieć lat osiem. Był to krótko mówiąc, wilk ścierwożerny, ogromnéj wielkości i straszliwéj postaci, jak można o tém przekonać się z ryciny, umieszczonéj na czele tego artykułu.

Nie dopełnilibyśmy naszego opisu bez dokładnego oznaczenia liczby tych, których pożarło to zajadłe zwierze, okazało się, że odrzuciwszy wszelkie przesądy zwyczajne w takim razie, liczba ofiar wynosi 50 do 55 osób. Do tych przydać trzeba około 25ciu którzy ratowani zawczasu, otrzymali tylko rany lżejsze lub cięższe. W téj ogólnéj liczbie, znajdują się same tylko kobiety i dzieci nie dochodzące lat piętnastu.

---

## TRZY WIEKI OKRĘTU.

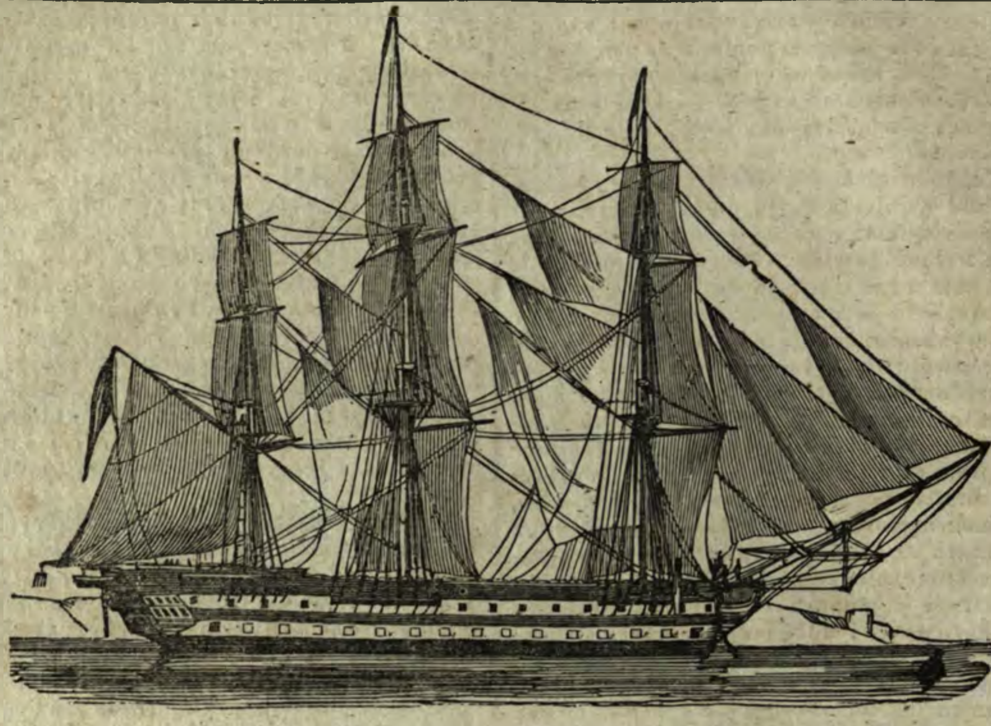
(Dokończenie.)

### § II. PRZYSTAŃ, — MORZE.

Już więc nic nie brakuje okrętowi! Widzicie go młodym i silnym, wkrótce będziemy widzieli czyli jest czynnym, szybkim, czy słuchać będzie wszystkich rozkazów kapitana. Zaprowadzą go do przystani (1).

(1) Przystań, jest miejsce gdzie okręty stawają na kotwicy, a które z tego powodu musi bydź otoczone brzegami zasłaniającemi je od wiatru. Przystanie nie przystępne niebezpiecznym wiatrom są najlepsze, wpływa się do nich kanałem zwanym szyja.

http://rcin.org.pl



*Odpłynienie.*

Szalupy warowni ciągną go linami, ale za chwilę wyłamie się z téj opieki; zerwie swoje paski dziecinne i sam iśdź będzie. Patrzcie rozwijają żagle, porzucają ciągnienie, okręt płynąć zaczyna. Wiatr od lądu słabo powiewa, idzie więc jak gdyby doświadczał pierwszych kroków; bojaźliwy i sam o sobie wątpiący. Jest to pierwszy krok jego; ale niech tylko wiatr się wzmoże, niechaj wzdęte fale zechcą mu zastawiać tamę, zobaczycie czyli go zatrzyma jaka przeszkoda, zobaczycie czyli nie zdoła wedrzeć się na strome bałwany chociażby tak wysokie były jak ta *góra wodna*, do któréj olbrzymiego wyobrażenia nazwyczaiła was Fedra Rassyna. Jeszcze nie przyszła pora; czas jest spokojny, wiatr słaby, morze gładkie, okręt posuwa się lekko pochylony na stronę i staje w porcie.

Patrzcie jak pięknie stoi na kotwicy, patrzcie jak dobrze stroją go wysokie maszty, jak dokładnie zawieszone są jego reje i żagle. Zdaje się iż ustrojony jest na jaką uroczystość, albo że jak młody żołnierz włożył najpiękniejszy mundur, wyczyścił broń, i zatknął pióro na wierzchu kaszkieta, aby wystąpić przed swoim pułkownikiem lub kochanką.

Tam wszystko czego mu jeszcze było potrzeba do jego uzbrojenia, przywiozą mu szalupy z arsenału, albo jego własne. Przez dwa dni które ma pozostać w przystani, otaczać go będzie nieustannie mnóstwo czółen, statków przewozowych, z wodą, węglami i innemi zapasami.

Ale telegraf oznajmił prefektowi morskiemu, że ministeryum nakazuje aby okręt jak najśpieszniej wypłynął na morze. Wiatr jest pomyślny, śpieszcie się! Flaga odjazdu zatknęła się na maszcie przednim; kto tylko należy do osady, niechaj czémprędzéj wraca do okrętu. Przerwijcie wasze pożegnania biedni młodzieńcy, którzy rozstajecie się z matkami waszemi po raz ostatni może. Miejcie odwagę przy pożegnaniu młode małżonki, które powinność rozłącza od mężów; młode kochanki, którym okręt wydziera kochanków; starcy, którzy ściskacie waszych synów, lękając się że ich już więcéj nie zobaczycie. Wystrzał armatni ostrzega was, że okręt niecierpliwie pragnie porzucić tę podwójną linę co go jeszcze zatrzymuje. Powierzcie mu z zaufaniem przedmioty waszego przywiązania; powróci je za kilka miesięcy, powróci okrytych chwałą i jeszcze godniejszych waszéj miłości. Czółno które czeka na opóźnionych, już się ma oddalić od grobli przy któréj trzyma się jeszcze hakiem długiego bosaka. Jeżli nie pośpieszysz się majtku, co tam po cichu rozmawiasz z zapłakaną dziewczyną, która nie chce cię puścić; nie przybędziesz na czas, bo ten wyraz: »odepchnij» już wyrzeczono i czółno puszcza się na morze. Stało się! spóźniłeś się. Oby łzy twojéj dziewczyny nie ściągnęły na ciebie okropnéj kary. Jeżeli okręt rozwinie żagle wprzódy, nim go dościgniesz, ukarzą cię

jako zbiega; jako zbiega podczas wojny, kiedy nieprzyjaciel krąży po morzu przed szyją portową i czyha na nowy okręt jako na upragnioną zdobycz. Czy wiesz ile jest ochydy i nieszczęścia w wyroku, któryby ciebie spotkał? galery! ponieważ nie stawiłeś się na odzew.

Statek rozwinął swój szeroki żagiel, zabiera majtka, który stojąc na ławie powiewa chustką, ostatni raz żegnając tę, od któréj zaledwie się odłączył, ale ona już się nim nie zajmuje. Siedzi na wywróconéj armacie, zwyczajném siedzeniu starców, którzy co wieczór przechadzają się w porcie, i na bawełnianym fartuszku przelicza pieniądze z których ogołociła łatwowiernego majtka.

Okręt odpływa szukać niebezpiecznych przygod. Sprzyja mu wiatr. Nic nie stoi na przeszkodzie temu odpłynieniu, które porusza całe miasto i ściąga nad brzeg kanału, gdzie okręt przechodzić będzie, wszystkich krewnych i przyjacioł osady okrętowéj, wszystkich spojrzenia ścigają go tak daleko jak tylko można. Statki portowe które otaczały okręt odstępują aby nie przeszkadzać jego ruchom, ale nie oddalają się jeszcze!... Stoją z podniesionemi żaglami, nie wzruszone na powierzchni wody, podobne do ptaków które unoszą się w powietrzu, czekając nakoniec wypadku, odbywającego się na płaszczyźnie. Popęd już dano: statek puszcza się i wszystko zdala za sobą zostawia. Żagle ustawione troskliwie wzdymają się i lekko pochylają go na bok. Ale cóż się stało? Urządza żagle tak, aby się zatrzymał na miejscu, jak je poddaje wiatrowi w dwóch przeciwnych kierunkach, z którego jeden go posuwa, drugi cofa; widać że jeszcze na coś oczekuje. Jakoż w rzeczy saméj łódź przypływa do niego jak tylko bydź może najprędzéj, oficer jest na niéj i przywozi rozkazy dowódzcy okrętu. Łódź dobija, oficer wchodzi na okręt i prawie natychmiast zstępuje. Znowu poddano żagle wiatrowi, przyszły naglące rozkazy; musi połączyć się z eskadrą, któréj siły pomnożyć winien. Okręt nie traci ani cząstki wiatru; chce jak najprędzéj stanąć na wskazaném miejscu. Przebył szyję portową... Niech mu Bóg sprzyja!... Ileż to życzeń wznosi się do nieba, za ocalenie okrętu, za jego szczęśliwy powrót, za zwycięztwo jeźli się spotka z nieprzyjacielem. Wkrótce stracą go z oczu. Wielkość jego widocznie się zmniejsza, okrywa go lekki pomrok wieczoru i zaciera jego kształty, które przed chwilą mocno odbijały się od błękitu nieba; już prawie nie widać korpusu; wkrótce znikną maszty bielące się od żagli jak góra śniegiem okryta. Tysiące oczu jeszcze go ściga; tysiące nadziei i żalów dąży za nim. Tyle rozmaitych interesów unosi. Dla matek, dla małżonek dla siostr, kochanek, przyjacioł; jest to drogi i święty przedmiot, którego Ocean dochować im powinien. Dla marynarzy statek nowy, jest to młodzieniec, który powinien wzrosnąć wśród niebezpieczeństw. Jeżeli uniknie najpierwszych, stanie się ożywionem ciałem, stanie się rycerzem, który będzie bronił sławy swego imienia i kraju.

Czyliż teraz powinienem wystawić okręt pośród wszystkich jego kolei. Jakaż długa powieść, ale jakże byłaby zajmująca! nie zawarłbym jéj w kilku kartach, trzeba na to małego tomu; a miejsca jest tak szczupło. Pójdźcie ze mną na okręt wojenny, który nie zatrzyma się za nami, bo zdaleka słychać wystrzały armatnie. W rzeczy saméj rozlegają się odgłosy dział. Ocean drży pod każdym z nich. Niechaj śpieszy się lekka łódź nasza! niechaj nam sprzyja wiatr i morze... Zbliżamy się, ale i okręt ucieka, wzdyma żagle. Spieszmy się także!... rozpuśćmy ostatnie żagle które wzieliśmy na przypadek ostrożności... Dobrze!.. nie płyniem ale raczéj lecim... Noc zapada, widać żagiel na morzu, ale go rozpoznać nie można; to szczęście że noc krótka jest w téj porze roku; jutro zobaczymy jak sobie postąpić. Okręt dąży na wskazane stanowisko; przedewszystkiem trzeba wypełnić odebrane rozkazy: kapitan nie może sądzić o planie który go na to lub inne miejsce wysyła.

Już się rozwidniło. To ten sam okręt który postrzegliśmy wczoraj. Bogu dzięki, dążmy do niego... Zaczyna się walka, każdy biegnie na swoje stanowisko; działa są w pogotowiu, muszkieterowie trzymają broń w ręku chirurgowie założyli błękitne fartuchy, wyznaczono oddziały które mają wpaśdź na okręt nieprzyjacielski. Ach! otóż i tamten zatknął flagę wojenną i wyzwał nas wystrzałem armatnim.

Krzyżuje się ogień dobrze utrzymywany, morderczy, straszliwy. Co za okropna wrzawa, krzyki radości, *wiwat! hura!* przekleństwa, jęki rannych, dźwięki dzwonu, huk bębnów, gwizdania dowódzców, rozkazy wydawane przez tubę; jakiż zamęt!.. Krew przesącza się przez pokłady, maszty trzeszczą uderzone armatniemi kulami, żagle są porozdzierane. Trzeba wedrzeć się na okręt nieprzyjacielski, ale on unika téj walki, oddala się z placu bitwy, ciężko zraniony; opatrzy swoje rany, porzuca nas aby wkrótce znowu się spotkać. Jak mu się podoba!

Naprawmy szkody nasze; wrzućmy w morze poległych i umyjmy pokład oślizgły od krwi. Pracują z zapałem, jutro nie będzie ani śladu walki.

Ale wiatr powstaje, wzdyma się morze. Po walce może i rozbicie okrętu. Po bitwie pod Trafalgar także nastąpiła burza. Niechaj nas Bóg strzeże. Tak, to jest uragan i z całą wściekłością. Już spadła część wyższa masztu, teraz kolej na przedpiersia.

http://rcin.org.pl

Część ich już jest rozdarta, porwana. Łamią się reje, okręt ledwie się może kierować. Jego ster uszkodzony pod czas bitwy, łamie się do reszty; jesteśmy tak blisko brzegów! Gdzież znaleźć schronienie! jakim sposobem wpłynąć do przystani? Sprobujmy! Burza ustaje trochę, ale otaczają nas skały. Płyńmy jak możemy.

Ale cóż znaczy ten hałas, to drženie całego okrętu? Szczątki wypływają na powierzchnią morza, złamała się nasza stępka okrętowa. Statek przeszedł przez mielizny, mógł był utkwić na niéj. Do pomp, do pomp wszyscy, ogromny zrobił się otwór, dno okrętu wodą zapełnia się widocznie. Pompujmy; to szczęście że jesteśmy blisko przystani i dopomoże nam przystęp morza. Za kilka godzin będziemy w porcie, i wnijść musimy do doku. Znaki nasze już uwiadomiły prefekta morskiego o położeniu w jakiem się znajdujemy. Już przysposabiają dok, gdzie naprawi się okręt. Miejmy cierpliwość i pompujmy wodę.



*Okręt uszkodzony.*

Okręt był wypłynął radośny, smutny powraca, a starzy majtkowie widząc jak płynie ciężko bez masztów i wyrzuca potoki wody: mówią do siebie: »Zle zaczął biada mu, zła to wróżba!«

Za osiem dni już naprawiono wszelkie uszkodzenia; wkrótce nastąpił powszechny pokój i okręt przeżył wiek średni żeglownych machin, to jest lat dwanaście. Liczy lat dwadzieścia; już jest starym, cóż się z nim stanie!

## § III. PORT, ZGRZYBIAŁOŚĆ, ŚMIERĆ.

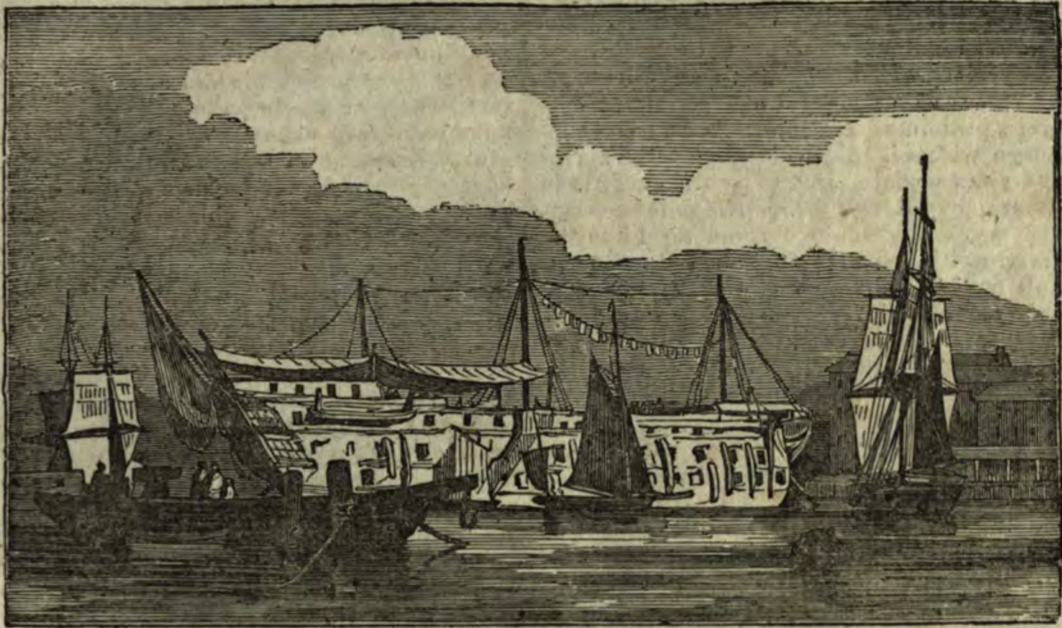
Staje się statkiem służebnym. Odarto go z wytwornych masztów, ze świetnego pomalowania, które zdobiło jego dwie baterye; odarto go z ozdób zewnętrznych, z wojennéj postawy, z którą mu tak było do twarzy. Jest pontonem, trzymany czterema linami, postawiony w głębi portu, użyty do poniżającéj służby. Jedno mu tylko pozostało prawo, ze wszystkich które posiadał; może jeszcze nosić flagę krajową. Jest zupełnym inwalidą. Gdzież się podział czas jego dzielności i chwały? gdzież jest jego męzka zalotność jego krzepka młodość? Stoi teraz pochylony, ciężko oparty na wodzie, na któréj się z takim wdziękiem unosił. Jego korpus wybity czerwoną miedzią odbijał promienie słońca, gdy okręt płynął lekko pochylony pod ciężarem żagli; teraz zeszpecony grubym pokładem porostu morskiego. Zamiast wzniosłych i silnych masztów, stoją tu i owdzie drągi do wieszania bielizny. Nie ma armat w strzelnicach, nie ma broni, chyba w straży galerników. Strzelnice zamieniły się w okna; zamiast kul, nieczystości same wyrzucają z tego pływającego więzienia. Niegdyś piękny namiot ocieniał tylny pokład na którym przechadzali się oficerowie, i zwijano i zdejmowano ten namiot, gdy okręt musiał pozbywać się wszystkiego, coby jego ruchom zaszkodzić mogło; dziś już nie ma namiotu, dach który go poniża do rzędu pospolitych domów, okryty dachówką, ciąży na nim, gniecie go i zupełnie okrywa. Rzecby można widząc go w tym stanie, że to jest starzec, zagrzebany pod obszernym parasolem.

Może też, żeby mu aż do zgonu zostawić obowiązek wojenny, uczynią go *admiralskim okrętem* w porcie; ulżą mu ciężaru, czyli racziéj zdejmą jedno jego piętro, i będzie więzieniem morskiem dla oficerów, skazanych na kilkodniowy areszt; będzie miejscem morskich sądów wojennych. Umalują go i oczyszczą zewnątrz; mieć będzie wysoki maszt z flagą, na znak jego władzy; mieć będzie jeden rej, bez żagla, na końcu którego windować będą majtka skazanego na karę. Będzie nareście tém, czém jest fregata *Muiron* którą z uszanowaniem zachowują w porcie Tulońskim dla tego, że na niej Bonaparte wrócił z Egiptu. Ocaliło ją to wspomnienie, biedną starą fregatę. Bez niego jużby oddawna była rozebrana.

Ale okręt doszedł już do ostatniéj zgrzybiałości, naprawiano go z dziesięć razy, nowe drzewo już nie chce łączyć się ze starém. Nie ma Medei któraby zdołała odmłodzić tego Ezona morskiego; każą go więc rozebrać. Godzina jego śmierci wybiła. Cóż wydostaną z tego trupa. Trochę desek, zardzewiałego żelaza i miedzi. Ale historya, troskliwie zachowa imie okrętu pięknemi wsławionego dziełami.

W ciągu długiego życia, okręt wielu widział i zmienił mieszkańców; jeden nie opuścił go nigdy; jest to szczur, który ukrył się na dnie, wtedy jeszcze, gdy okręt stał na warsztacie. Ale dzisiaj musi opuścić to mie-

http://rcin.org.pl



*Ponton.*

szkanie, woda zalewa go zewsząd. Szczur już się nie waha, powoli wpław przebywa port i swoje *Penaty* *) zakłada w nowym statku, który dnia wczorajszego zaczęto.

*A. J. L. historyograf marynarki fran:*

*) Bożki.

## WYJĄTKI Z DZIENNIKA PODRÓŻY PO ZACHODNIEJ CZĘŚCI GALICYI.

(Dalszy ciąg.)

Odpocząwszy, spuściliśmy się znowu z góry, ku wodom Rostoka, i już odtąd wciąż pilnowaliśmy jego tysiącznych wodospadów, to większych, to mniejszych; coraz, coraz się wyżéj podnosząc. Drogę tu mieliśmy cokolwiek wygodniejszą: chociaż głazy i drzewa postrącane od wiatrów, deszczów, i lawin, toż głębokie łoża potoków, suche dzisiaj i zawalone niezmiernemi głazami, ale za pierwszą ulewą, pełne i groźne jak potop, stawiały nam częste przeszkody. Za te kilkaset sążniowe skaliste ściany, obwieszane kozodrzewiem, liczne wody snujące się po całéj ich wysokości, opoki oblane wilgocią, błyszczące ku słońcu jak kryształ, i tysiąc innych obrazów, co krok rozmaitych; samą dzikością, śladami samego zniszczenia porywających, wynagradzały nam wszelkie trudy. Z miejsca gdzieśmy wkraczali do krainy kozodrzewia, ujrzeliśmy nakoniec Siklawę wodę; ów spadek zdumiewający przez swoją gwałtowność i wysokość, a tak mało komu znany. O godzinę jeszcze drogi byliśmy od niego, a już nas głuchy szum doleciał, i porwał oczy długi kipiący bałwan, jak śnieg biały. Im bliżéj byliśmy tém szybcéj chęci nasze leciały naprzód, ale nie nogi bo przeprawa tém trudniejsza. Przeszliśmy po głazach huczący i zapieniony Rostok, przedarliśmy się przez gęstwy kozodrzewia, odpoczywając po każdych kilkudziesięciu krokach; — tak przykro i wciąż droga szła pod górę; już się sądzimy u kresu; złudzenie! do spodu Siklawy wody nie podobna dostąpić: brzegi tam Rostoka utworzone ze szczerych prostopadłych opok: musimy piąć się wyżéj; krótka wprawdzie droga ale przykrzejszej dotąd nie było, po uboczach, to skalistych to umszonych a zawsze mokrych i ślizkich od wilgoci. Przebyliśmy wreszcie wszystko, dosięgliśmy śniegu wiekującego w cieniach skały, po któréj Siklawa woda szumi, zgrzani i wpół omdleni padliśmy nań dla ochłody. O sto kroków od nas przewalał się spadek Siklawy wody i rosił nas mgłami swojemi. Przekrojony od sterczącéj na wierzchu opoki, rzuca się on po skale prostopadłéj, dwoma kilkołokciowéj szerokości pasmami; jedno z nich w połowie pędu trafia na skałę, uderza w jéj wyżłobienie, i wytrysnąwszy z niego fontanną, z temże pędem leci daléj; rzut wody tak gwałtowny że spadający z nią kamień w to wyżłobienie, wylatuje z niego do góry jak kropla na kilkanaście łokci wysoko. Od spodu do wierzchu wodospadu można liczyć przynajmniej 50 sążni. Lecąca

woda, połamana, pokłębiona, wrząca zdaje się bydź pianą i brylantami, wieczny się deszczyk z niéj rodzi; i zlewa pobliższe miejsca. W niektórych położeniach słońca, zachwycający widok mają tu tworzyć, tysiączne tęcze; nam będącym około godziny drugiéj z południa, nie zdarzyło się cóś podobnego widziéć. Dziwniejsze jeszcze zjawisko zima wydaje. Jest to przysionek z lodu otaczający Siklawę wodę. Niepodobna, słyszę wyobrazić sobie ogromu téj budowy, śmiałości kolumn i sklepień, piękności ozdob z lodu rozsianych pod tysiącznemi kształtami; i zapewne że dzieło mgły, niedojrzanéj prawie, musi bydź nadzwyczajne. Czas naglił, musieliśmy dziś jeszcze przy morskiem być oku; musiałem więc gwałt zadać oczom i pożegnać Siklawę wodę. Pięciostawy były teraz celem naszéj podróży, taż sama woda prowadziła mię i daléj drogą równie trudzącą po głazach i kozodrzewiu. Sto kilkadziesiąt sążni przestrzeni pochyłéj, a raczéj boku góry i to przykrego, po którym wśród zwaliska głazów szumi i huczy potok, który właściwie jest także wodospadem, wolniejszym nieco, i dwoma trzeciemi częściami spadku Siklawy wody, postawiły mię w okolicy zupełnie dotąd moim oczom i mojéj wyobraźni obcej; pustynia skał w całém znaczeniu tego wyrazu. Policzyć mogę przedmioty, które składały przestrzeń mil kilku. Pięć stawów, nad jednêm z nich stałem, gdzie niegdzie nad wodą zarośla kozodrzewiu, kępy darni, kilka kwiatów jaskru, pliszka, i pan tego wszystkiego, kamień. Gdybym jednak był olbrzymem i chciał pustelnicze życie prowadzić, to miejsce byłoby moją pieczarą; tyle ma uroku przy swojéj najdzikszej samotności. Łańcuch gór podniebnych, gładkich, bez kosmyka trawy, w ogromne koło zatoczony; dno jego we trzy piętra; najniższe, zalane okrągłem jeziorem, zkąd płynie potok tworzący Siklawę wodę; brzegi jeziora uzielenione gdzie niegdzie kozodrzewiem i trawą; po lewéj ręce patrząc w południe, dwa mniejsze stawy jeden za drugim, po prawéj trzeci nie wielki także, na znaczném podniesieniu, a wyższy od tego czwarty, wszystkie zaś połączone wązkiemi strumykami ze środkowym najobszerniejszym; kamienny szałas nad jeziorem najwyższém; cisza grobowa doliny, echo Siklawy wody, krążące nieprzerwanym szumem po szczytach; oto obraz téj okolicy. — Upał i nadzwyczajna czystość wody, zachęciły mię do kąpieli, chciałem też ochrzcić się jako przypuszczony do tajemnic Tatrów; kąpiel moja skończyła się bardzo prędko dla nadzwyczajnie zimnéj wody. Zjadłszy obiad przy pięciu stawach, zwróciliśmy się cokolwiek na wschód ku morskiemu oku. Była 4ta z południa. Najbliższą drogę mieliśmy przez górę Mnich zwaną, przy któréj podnóżu po drugiéj stronie morskie oko leży; ale taka przeprawa nie dla nas; samo wejrzenie na owe nagie podniebne skały, już nam odbierało ochotę doświadczyć naszéj głowy i zręczności nóg; musieliśmy więc je okrążyć; wszakże nie bez trudu i niebezpieczeństw. Z początku doliną pięciostawów szło nam jako tako; nie było tam innych zawad, jak ogromne doły zawalone kamieniami, które najpewniéj były kiedyś równie jak pięciostawy napełnione wodą, ale zupełnie suche; dopiero stanąwszy na uboczu gór wiszących nad Rostokiem, poznaliśmy co jest przechadzka po górach i zawrót głowy: można to jakkolwiek pojąć wyobraziwszy sobie górę tak wysoką, że dolina Rostok półtory mili przynajmniéj długa, zdawała się nie mieć jak kilkaset sążni, górę, gładką, prostopadłą niemal i ścieszkę równoległą do przepaści po śliskich trawach, zaledwie poznaczoną śladami strzelców i kóz. Jest to jedno z owych miejsc które mniej śmieli przebywają tym tylko sposobem: że im zawięzują oczy, a dwóch górali jeden z przodu drugi z tyłu idzie. Wreszcie ze grzbietu Swistowéj góry ujrzeliśmy w ogromnéj pod nogami głębi morskie oko; poznaliśmy wtedy jak znacznie wyżéj leżą Pięciostawy. Około 6téj wieczorem stanęliśmy nad morskiem okiem. To miejsce dla swojéj przystępności jedyne jest w Tatrach które każdy odwiedza, podziwia, a nie jeden opisuje: jakkolwiek piękne i uderzające, nie zrobiło na mnie spodziewanego wrażenia, bom już pięciostawy widział; z tém wszystkiem godne trudu podróży. Jest to okrągłe jezioro liczące w swojéj powierzchni 70 jak mówią morgów, a przynajmniéj tak wielkie że człowieka stojącego na drugim brzegu dojrzeć nie można czemu trudno na pierwszy rzut oka uwierzyć tak się zdaje małe dla nadzwyczajnéj wysokości skał, które je ze trzech stron otaczają. I my byliśmy ofiarą tego ułudzenia, ale dwie próby wyprowadziły nas z niego. W nadziei że się prędko dostaniemy do brzegu, usiedliśmy na prom miejscowy, i w pięć wioseł silnie go pędzić poczęli; w półgodziny pokazało się z oddalenia brzegów żeśmy jeszcze w połowie nie byli; strzelaliśmy potém kulami, ale te nie dosięgały nigdy, przy swoich wszystkich podskokach, połowy jeziora. Głębia wody nadzwyczajna, co jest zasadą twierdzenia że się łączy z morzem, a bardziéj że z morza tu przychodzi; bądź co bądź, dotąd jeszcze nie udało się nikomu ołowiankami dna dostać.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorski Nro 476 Lit. D.



WYSCIGI KONNE.

Koń jest najpiękniejszą zdobyczą człowieka, mówi Buffon. Jest to szlachetne i bystre zwierze, które podziela z nim trudy wojny i chwałę bitew, tak nieustraszony, jak pan jego, koń widzi niebezpieczeństwo i rzuca się na nie; nazwyczaja się do odgłosu broni; lubi go, szuka i ożywia się tymże samym zapałem. Podziela także jego uciechy na polowaniu, na turniejach, wyścigach. Te wymowne wyrazy, któremi Buffon zaczyna wspaniały opis konia, każdemu przychodzą na myśl, kto widzi sławne wyścigi konne we Włoszech, na których konie samym sobie zostawione, ubiegają się do mety. Jakoż w rzeczy samej koń nigdy nie jest potężniej ożywiony temi wzniosłemi namiętnościami, które wyłącznie prawie przypisują rodzajowi ludzkiemu; nigdy nie rozwija z większym zapałem i świetnością, uczucia współubiegania się tak wolnego od wszelkich materyalnych wpływów. Nie podniecony fizycznemi wrażeniami głodem i karą, tam okazuje największą dzielność.

Te wyścigi konne bez jeźdźców, są jedną z najbardziej zajmujących rozrywek karnawału rzymskiego. Ulica przeznaczona za szranki do ich wyścigów, sławna *Corso*, która nawet od nich wzięła nazwisko, otoczona pałacami sklepami, starożytnym brukiem z bazaltu wyłożona, opatrzona wysokiemi chodnikami, które zabezpieczają ułomki dawnych kolumn. Szeroka ulica *Corso* ciągnie się 850 sążni od placu ludu zkąd wybiegają konie, aż do placu Wenecyi, gdzie się zatrzymują. Na długi czas przed rozpoczęciem wyścigów, cała ludność Rzymu zwraca się do *Corso*, gdzie bogate ekwipaże i powozy obciążone zamaskowanemi osobami, jadąc jedne za drugiemi, przedstawiają ten sam widok, jaki znaleźć można w tłusty Wtorek na bulwarach ulicy Sgo Honoryusza w Paryżu. Na dany znak wystrzałem armatnim, powozy i konie usuwają się w poboczne ulice, a nieprzeliczony tłum ciekawych, stawa w oknach domów, na rusztowaniach przyczepionych do sklepów, na chodnikach, na kolumnach, na obeliskach. A jednakże środek ulicy niemniej zawalony jest zuchwałym tłumem, który poruszy się dopiero za nadbiegnieniem koni i po obu stronach ulicy, utworzy dwie żyjące ściany. Szczególniej też na placu Ludu, amatorowie tłoczą się aby ujrzeć chwilę wyruszenia i wszystkie przygotowania do wyścigów.

Za zaporą stoją przegrody, w każdej z nich umieszczają jednego z tych małych koni Barbaryjskich z cienkiemi nogami które jak mówią mieszkańcy krain wschodnich podobne są do nóg gazelli i tak długo zachowują swój zapał, iż pewien znawca anglik powiedział o nich: »Umierają lecz nie starzeją się nigdy.« Bez wędzidła, bez siodła, z rozpuszczoną grzywą albo też zręcznie ozdobioną wplecionemi w nią wstążkami, pokryte tylko świetnym czaprakiem, przychodzą prowadzone przez masztalerzy, którzy także ubrali się w najbogatszą liberyą. Na widok zapory, jak gdyby przeczuwały zwycięztwo w wyścigach które odbyć mają, konie spinają się, rżą, zapala się ich oko i ledwie pięciu lub sześciu ludzi zdoła każdego z nich utrzymać. Jednakże używają sztucznych sposobów dla podniecenia ich wrodzonego zapału, na krzyżu mają przypięte blaszki miedziane z ostremi kolcami, a wzdłuż ich boków powiewają pręty zakończone kulkami z metalu i najeżone kolcami. Tym sposobem podniecana niecierpliwość koni wzrasta co chwila i prawie aż do wściekłości dochodzi, gdy z poczynionych przygotowań wnoszą, że zbliża się chwila wyścigów i dźwięk trąby już ma dać hasło. Nareszcie zapora uchyla się i współubiegający wypadają w szranki. Zdarza się jednak iż nie każdy koń czuje tę żądzę chwały. Podobnież jak pomiędzy ludźmi, znajdują się między końmi gnuśne i obojętne, a wtedy z gniewem i wstydem ich panowie uciekają się do środków gwałtowności. Ale te wyjątki są bardzo rzadkie, i masztalerze prawie zawsze odzywają się do swoich szermierzy głosem powinszowania i zachęty, i długo ścigają ich oczyma.

Dopiero w ostatniej chwili, gdy już spada zapora: tłum zgromadzony na środku ulicy, ustępuje miejsca rumakom, i z pośpiechem rzuca się na prawo i na lewo; czasem już bywa za późno, a nieroztropni pod kopytami końskiemi odbierają karę za ich zbyteczną ciekawość. Tylko co konie przebiegły, tłum rozsunięty na chwilę zamyka się i leci za końmi wydając pomieszane krzyki, którym odpowiadają odgłosy pochodzące z okien, trotoarów i rusztowań. Uniesione wrodzonym zapałem, podżegane burzliwém wzruszeniem, które uderza ich oczy i krzykami tłumów, rozjątrzone kolcami, które w pędzie uderzają ich boki, konie biegną z przerażającą szybkością. Wówczas to w różnych kolejach wyścigów, w gniewie gdy są wyprzedzone w usiłowaniach i podejściach, aby odzyskać pierwszeństwo, konie te, okazują prawie ludzkie uczucia. »Są one, mówi pani Stael, tak zazdrośne jak ludzie; dziwić się trzeba widząc, że się osobistemi ożywiają namiętnościami: zdaje się że to jest myśl ludzka pod postacią tego zwierza ukryta.«

Kąsają się, potrącają wzajem, rzucają jedne przed drugich, używają już to gwałtowności, już podejścia. Nareszcie, ich namiętności są tak mocno podniecane, iż nie raz zwalczone gwałtownością ich wzruszeń i zbytecznem wzburzeniem krwi, padały bez życia w chwili, gdy dobiegły do wyciągnię-

tej liny, która kończy szranki, i gdy wystrzał z armaty, ogłaszał skutek wyścigów. Jednakże w téj stanowczéj chwili, serca właścicieli tak silnie biją jak współubiegających: masztalerze przechodząc kolejno przez wszystkie udręczenia wątpliwości i głośno wołając, aby im ustąpiono się z miejsca; przybiegają i z zabawną energią objawia się ich rozpacz lub radość. Najmocniejszemi obelgi i przekleństwy, obsypują zwyciężone konie, zwycięzcy zaś dziękują z największém wynurzeniem wdzięczności. Nagrodą wyścigów jest sztuka materyi, którą dostawiają żydzi rzymscy. Gdy zachodzi najmniejsza wątpliwość, sztukę materyi odsyłają do kościoła Sgo Antoniego.

Te wyścigi zwane *Barberi*, ponieważ prawie zawsze odbywały się między barbaryjskiemi końmi, ustanowił w r. 1465 papież Paweł IIgi. Z Rzymu upowszechniły się w innych miastach włoskich. Swiadek którego przytaczamy, widział je we Florencyi. Nagrodę otrzymał wówczas koń angielski przezwany *Wielkim Diabłem*, który od lat kilkunastu ciągle ją odnosił w Rzymie; ta zabawa wiele postradała świetności, ale jeszcze tak dalece podbudza ciekawość, iż znajduje się o niéj wzmianka we wszystkich opisach podróżników.

## HANDEL LODEM W NEAPOLU.

W Neapolu wszyscy i do wszystkiego prawie używają lodu: po prywatnych domach nie obejdzie się obiad bez lodu; w kawiarniach i cukierniach, używają go do sorbetów, limoniady, soków, owoców, ciast, pod tysiącem kształtów. Prócz tego chodzący przekupnie, przedają zamrożone owoce, zamrożone syropy; a *Aquajoli* (sprzedawacze wody) chłodzą lodem także prosty napój, którym traktują przechodzących na każdym zakręcie ulicy.

Przy stole zastawiają lód, nie tylko w blaszannych wiaderkach, dla ochłodzenia wina, ale nawet na odkrytych miseczkach, i kładą go po kawałku do napoju. Dobry ton wymaga, aby położyć ów kawałek lodu na wierzchu kieliszka i zwolna przez niego wypić wino, dozwalając mu po kropli tylko rozpuszczać się.

Po wszystkich kawiarniach, tak licznych w Neapolu, sprzedają lody w lecie. Jednakże od ósméj z rana aż do piątéj po obiedzie, piją tam tylko powszechnie sorbety i limoniadę. Lecz od piątéj, do północy, następuje niesłychana konsumacya wszelkich zamrożonych chłodników. Mieszczanie wchodzą zwykle wewnątrz kawiarni, bogatsza szlachta zatrzymuje się przededrzwiami i każe do powozu najwyszukańsze przynosić sobie lody. Potrzeba wyznać że Neapolitańczykowie i Sycylianie, posiadają w najwyższym stopniu sztukę zamrażania; Cukiernicy Paryzcy drugie po nich zajmują miejsce, a Angielscy zaledwie mogą ubiegać się o trzecie.

Podczas gdy cukiernicy użyczają ochłody bogaczom, wędrowni przekupnie gaszą pragnienie najbiedniejszych nawet. Wzdłuż grobli, po nad brzegiem przystani, słowem po wszystkich miejscach, gdzie pospólstwo zwykle się gromadzi wesoło w letniéj porze, zajmują się handlem swoim. Jeżli towar ich nie jest wyśmienity, jest za to tańszy, a również chłodzący. Za najmniejszy pieniążek, majtkowie, ztrudzeni wyrobnicy, i tłum rozmaitych wyrobników, kupują sobie coś słodkiego i zimnego. W niedzielę i święta, napotyka się w mieście, po przedmieściach, za miastem nawet, roje owych sprzedawaczy zamrożonych przysmaczków, którzy zagłuszają swoją hałaśną wymową, zmięszaną z krzykiem współubiegaczy sprzedających arbuzy.

Lecz w ogólności największa i najpożyteczniejsza konsumacya lodu odbywa się u *Aquajolów*.

Nic dziwniejszego, nic bardziéj malowniczego, jak kramy owych sprzedawaczy wody. Stół lub wysoka ława wzdłuż je zajmuje; na każdym końcu wznoszą się dwie drewniane kolumny, u których na żelaznym trójkącie wiszą dwie bujające baryłki pełne wody; kolumny uwieńcza gzyms, a fantastycznego kształtu fronton dokończa kramowéj wystawy. Kramy te zwykle pięć stóp długie, cztery szerokie, a dwanaście wysokie, przyczepiane bywają do muru na zakręcie ulicy. Gdyby nie pstre malowidła i ozdoby, możnaby je wziąć za kazalnice, lecz tak przystrojone wyglądają jak małe chińskie świątynie. Odznaczają się zdaleka żywością barw, któremi są pomalowane. Ozdobione są zwykle grubą rzeźbą, a wystające części prawie zawsze bywają złocone. Szczyt ich zdobią powiewne chorągiewki i pióra pawie, a wystawa i obiedwie kolumny najeżone są szklankami rozmaitéj wielkości. Na stole porozrzucane są w cudownym nieładzie butelki, szklanki, karafki, pomarańcze, cytryny. Po za niemi, na wysokim stołku siedzi wspaniale *Aquajola*, w białéj lub czerwonéj czapce na głowie, przepasany czerwonym wełnianym pasem, z gołą szyją, rękami obnażonemi po za łokcie, trzymając w prawéj ręce ogromne cęgi żelazne, co mu nadaje pozór jarmarcznego wyrywacza zębów, a których zażywa na wyciskanie soku z pomarańcz i cytryn w szklanki spragnionych przechodniów.

Każda z zawieszonych baryłek ma szeroki otwór czopem zatkany, przez który wrzucają do niéj kawały lodu, a mały kurek u dołu służy do nalewania wody w

szklanki. *Aquajola* dopóty porusza swe baryłki, dopóki lód nie stopi się w wodzie; szklanka téj wody roskosznie chłodnéj kosztuje zaledwie szeląg; za podwójną cenę *Aquajola* wciska sok cytryny lub pomarańczy i wlewa kilka kropel *sambucco*. Jest to sok z kwiatów bzowych, mlecznego koloru i dziwnego smaku, który zmięszany z wodą, bardzo jest jednak przyjemny. *Aquajola* nie sprzedaje araku, ani wódki, ani żadnego likworu: handluje tylko wodą.

Podróżni dziwią się, widząc Neapolitańczyków, o najgorętszéj dnia porze, oblanych potem z pracy lub upału, zatrzymujących się przed kramem *Aquajoli*, wychylających duszkiem bez żadnéj obawy niebezpieczeństwa, ogromne szklanki wody. Lecz gdy ciż sami podróżni dłużéj pobędą w Neapolu, wkrótce naśladują krajowców, i również jak oni po kilkakrotnie na dzień odwiedzają *Aquajolów*.

W Palermie, w całéj Sycylii zgoła, pełno jest *Aquajolów*, podobnie jak w Neapolu. Neapolitańczykowie zaopatrują się w lód we Włoszech; lecz w Sycylii i Malcie, góra Etna jedynie go dostarcza; jéj szczyty i załomy przedstawiają niewyczerpaną minę dostawiaczom, biorącym na to od rządu monopolium, pod surowém zastrzeżeniem, aby nigdy nie zbywało na lodzie, gdyż brak jego, szczególnie podczas kanikuły najokropniejsze mogłby sprawić skutki.

## ANTYLOPA KONDOMA.



Uczeni naturaliści przez długi czas posiadali tylko kości z głowy tego pięknego zwierza, i jego rogi. Aby odkryć do jakiego rodzaju należały; trzeba było domniemywać się za pomocą zbliżenia i analogii, jak z zagubionemi zwierzętami. Buffon zajął się tą pracą i jego trafne domysły bardzo zbliżyły go do prawdy jak się potém przekonano, gdy o Kondomie dokładniejsze powzięto wiadomości.

Po Kanna, którego wysokość i wielkość przewyższa zwyczajnego konia. Kondoma jest największe zwierze z rodzaju antylopów i odznacza się kształtną postawą i piękną siercią. Z powierzchowności dosyć podobne jest do jelenia, długie na pięć do sześciu

stóp, wysokie na cztery, do czterech i pół. Kibić jego jest wysmukła i cienka, jak wszystkich zwierząt rączych w biegu. Nogi trochę wyższe na przodzie są żylaste i mocne. Głowa średniéj wielkości, ozdobiona jest rogami osobliwszego kształtu. Wysokie są na trzy stopy i podwójnie zagięte; u spodu ledwie o dwa cale oddalone od siebie, przy końcu odległe są o dwie stopy. Cały róg jest wewnątrz wydrążony cienkiej grubości, i zdaje się służyć za powłokę substancyi kostnéj, dochodzącéj prawie aż do samego końca. Oczy są czarne, kształtne, razem łagodne i żywe, jak u wszystkich gatunków jeleni i antylopów.

Kolor sierci tego zwierza, jest bardzo przyjemny dla oka. Sierć płowa, pokrywa nogi, część ciała i uszy, przedłuża się na szyi i przybiera kolor brunatny. Od wierzchołka głowy rośnie grzywa podobna do końskiej. Biała pręga idzie przez grzbiet, od niéj wzdłuż żeber idą także białe pręgi na cal szerokie, i podobne nieco do pręgów Zebry. Koniec paszczy jest nagi, czarniawą skórą okryty; obie wargi obrosłe białym włosem.

Obyczaje tego zwierza, nie są jeszcze opisane dokładnie. Znajduje się w lasach przylądka Dobrej Nadziei. Sposóbem życia zbliża się do innych antylopów, i mimo swojéj siły i wielkości jest pierzchliwe, ratuje się ucieczką i tylko w ostateczności używa swoich groźnych rogów. To prawda że szybkość biegu i nadzwyczajna zwinność mogą je dostatecznie ochronić. Pewien podróżny utrzymuje iż widział jak Kondoma przeskoczył kratę na dziesięć stóp wysoką, chociaż wcale nie było miejsca do rozpędzenia się. Zwierz ten żywi się trawą, ale podobnie jak jelenie woli młode liście i gałązki drzew. Kondoma tém się różni od innych antylopów, iż nie podziela ich ducha towarzyskiego i żyje samotnie; antylopy zaś ciągną gromadami i to w takiem mnóstwie że ostatnie szeregi chudną z głodu, całą bowiem paszę zjadają te, które są na czele. Ta skłonność do samotnego życia, zdaje się nie zgadzać z łatwością, z jaką się ułaskawia i przywiązuje do ludzi. Ponieważ piękność jego postaci i sierci, czyniła go ozdobą menażeryi. Holendrzy pod czas gdy jeszcze posiadali przylądek Dobrej Nadziei, usiłowali żywcem schwytać i oswoić to zwierze. Dokazali tego i jedno przysłali do Amsterdamu. Pan Allamand naturalista holenderski, z niezmiernem uniesieniem wspomina o przywiezieniu tego zwierza i wylicza jego dobre przymioty. »Nasza Kondoma, mówi on, była niezmiernie łagodna, żyła w zgodzie ze zwierzętami, które się z nią razem pasły w zwierzyńcu, a skoro kto zbliżył się do kraty, przybiegała po chleb który jéj podawano. Żywiono ją ryżem, owsem, trawą, sianem i t. d. Chociaż często ją widywałem, nie słyszałem nigdy jéj głosu, ale pan Klaekner powiada, że głos jego podobny jest do ryku osła.

Mięso Kondomy przyjemnego smaku, bardzo lubią Hottentoci. Skura gruba i ścisła mogłaby przydać się na podeszwy. Dzicy używają jéj rogów zamiast fajek.

---

## OSTATNI DZIEŃ MIASTA POMPEI.

(Dalszy ciąg.)

### JESZCZE AMFITEATR.

Glaukus i Olint, umieszczeni zostali razem w smutnéj i ciasnéj celi, gdzie winowajcy skazani na śmierć, ostatniéj i straszliwéj czekają walki. Przy słabem światełku, bladość powlekająca ich lica, jeszcze bardziéj wydawała się siną i grobową. Czoła ich jednakże pozostały niezachwiane i odważne; nie drżały ich członki; usta były przycięte i nieruchome. Wiara jednego, duma drugiego, przekonanie o swojéj niewinności, a może zachęcenie jakowe, wspólność nieszczęścia w nich obudzało, wszystko łączyło się aby ofiary te w bohaterów zamienić.

—»Zważaj! czy słyszysz te krzyki? Przyklaskują widząc płynącą krew ludzką! rzekł Olint.

—»Słyszę! serce mi truchleje, lecz bogowie mocy mi dodają.

—»Bogowie! o nierozważny młodzieńcze! w téj ostatecznéj godzinie poznaj jedynego Boga. Czyliżem cię nie nauczał w więzieniu? nie płakałżem nad tobą, nie modliłżem się z tobą? Uniesiony gorliwością czyliż w cierpieniach moich nie więcéj myślałem o twojém zbawieniu, aniżeli o mojém.

—»Odważny przyjacielu! odpowiedział uroczyście Glaukus, słuchałem cię z uszanowaniem, podziwieniem i tajemną chęcią nawrócenia się. Gdyby życie nasze było się przedłużyło, może byłbym zwolna porzucił dawną wiarę a zbliżył się do twojéj; lecz w ostatecznéj godzinie byłoby podłością uczynić dla chwilowego przestrachu, co powinno bydź skutkiem długiego rozważania. Nie Olincie! Myślmy wzajemnie o sobie z równąż miłością bliźniego, ja czcząc twoją otwartość; ty litując się nad mojém zaślepieniem. Nagroda moja będzie stosowną do moich czynów, a Najwyższa Istność nie będzie surowo sądzić błędów ludzkich, skoro się łączą z szczerością serca. Nie mówmy więc o tém. Czy nie słyszysz jak wloką ciężkie ciało podziemném przejściem?.. Ciała nasze wkrótce do niego będą podobne.

—»O Niebo! o Zbawicielu! już was widzę! zawołał uniesiony Olint; nie drżę, cieszę się, że wkrótce otworzą się drzwi mojego więzienia!»

Glaukus w milczeniu spuścił głowę; uczuł jaka była różnica pomiędzy jego odwagą a odwagą współtowarzysza niedoli. Poganin nie drżał, chrześcianin tryumfował. Drzwi ze skrzypiącym otworzyły się łoskotem... włocznie zabłysły wokoło ściany.

—»Ateńczyku Glaukusie, twoja godzina nadeszła, rzekł głos dźwięczny i donośny; lew na ciebie czeka.

—»Jestem gotów, odrzekł Ateńczyk. Bracie i towarzyszu ostatnie uściśnienie! Pobłogosław mię... żegnam cię!

Chrześcianin przycisnął młodego poganina do serca; ucałował go w czoło i policzki, łkał; łzy jego pałającym potokiem spływały po licach przyjaciela.

—»O! gdybym cię był nawrócił! nie płakałbym. Ach! czemuż ci powiedzieć nie mogę. »Będziemy wieczerzać dzisiaj razem w raju». —

—»To się jeszcze stać może,|odpowiedział Grek drżącym głosem. Ci których śmierć nie rozłączyła, spotkają się może po za ciemnościami. Na ziemi, na téj ziemi tak pięknéj, tak lubej... żegnam cię na zawsze!... Posłanniku, jestem gotów.

Glauk wydarł się z uściśnień Olinta, a gdy wyszedł na wolne powietrze, jeszcze nie zupełnie wyleczony ze skutków śmiertelnego napoju, pomimowolnie doznał drżenia. Wsparły go straże szr..nkowe.

—»Śmiało, rzekł jeden z nich; jesteś młody, zręczny, silny. Dadzą ci broń; nie rozpaczaj, jeszcze możesz zwyciężyć.»

»Nie« odpowiedział Glauk; lecz wstydząc się swojéj słabości, uczynił konwulsyjne wysilenie. Namaszczono mu ciało, przepasano biodra, i dawszy mu sztylet, broń zbyt wątłą; wprowadzono go w szranki.

W chwili gdy Grek ujrzał oczy tylu tysięcy widzów zwrócone na siebie, zdało mu się że nic nie ma w sobie śmiertelnego; najmniejszy wyraz obawy, sama nawet obawa zniknęły. Piękność, giętkość jego członków i popiersia, baczne lecz pogodne czoło, dumna pogarda i nieugiętość duszy, jego nakoniec usta, oczy, wszystko w nim przedstawiało uosobiony obraz męztwa jego krainy i czczonego w niéj bóstwa; był zarazem bohaterem i bożkiem!

Szmer nienawiści i zgrozy, który powstał na jego przybycie, znikł w milczeniu mimowolnego podziwienia, i uszanowania połączonego z litością. Z pośpiesznem i konwulsyjnem westchnieniem, które zdawało się razem wychodzić z całéj téj massy istot żyjących, jak gdyby tylko jedno miała ciało, spojrzenia widzów odwróciły się od Ateńczyka, i wlepiły w posępny i niekształtny przedmiot zajmujący głębię szranek. Była to zakratowana klatka lwa.

Lew był głodzony od dwudziestu czterech godzin, i przez cały ranek zwierz okazywał dziwną niespokojność, którą strażnik przypisywał wygłodzeniu. Ułożenie jego, jednakże podobniejsze było do przestrachu, aniżeli gniewu; ryk jego był ciężki i stłumiony; pochylał głowę, wietrzył powietrze przez kratę, potém się kładł, zrywał się nagle i znowu dzikim odzywał się okrzykiem rozlegającym się szeroko. Teraz leżał w klatce nieruchomy i cichy, z rozwartém nozdrzem, silnie do kraty przyparty, mocnym tchem rozwiewającym piasek szrankowy.

Zadrżały wargi Edyla i pobladły mu lica; z niespokojnością wokoło siebie spoglądał; wahał się, czekał. Tłumy zaczynały się niecierpliwić. Dał nakoniec znak, strażnik stojący po za klatką, ostrożnie odemknął kratę, i lew wyszedł wydawszy wielki ryk radości że się przecie ujrzał uwolnionym. Strażnik co prędzej usunął się i zostawił władzcę lasów... sam na sam z jego ofiarą.

Głauk zwinął swe członki tak aby najsilniéj mógł oprzeć się pierwszemu natarciu zwierza, i trzymał wzniesioną broń swoją małą i błyszczącą; w téj słabéj nadziei że raz jeden dobrze zadany, gdyż wiedział że tylko ten jeden będzie mógł zadać; przeniknie przez oko do mózgu dzikiego przeciwnika.

Lecz z niewymowném wszystkich podziwieniem, zwierz nie zdawał się nawet domyślać przytomności przestępcy. W pierwszéj chwili oswobodzenia, zatrzymał się w pośród szranek, wspiął się na tylne łapy, wciągał powietrze; potém rzucił się nagle!, lecz nie na Ateńczyka. Obiegł kilkakrotnie obwód szranek, zwracając szeroką głowę w tę i ową stronę z niespokojném i pomieszanem wejrzeniem, jak gdyby chciał uciekać; po kilkakrotnie chciał przeskoczyć zaporę oddzielającą go od widzów, a gdy mu się nie udało, zawył raczéj aniżeli dał usłyszeć swój ryk wspaniały. Nie okazywał żadnego znaku gniewu ani głodu; ogon wlókł po piasku, zamiast uderzać nim o szerokie boki, a oko jego chociaż kiedy niekiedy potoczyło się w stronę gdzie stał Glaukus, odwracało się natychmiast nie zatrzymując się na nim. Nakoniec jak gdyby strudzony próżnemi usiłowaniami ucieczki, z jękiem powrócił do klatki, i układł się jak na spoczynek.

Podziw który zrazu uczuło zgromadzenie na oziębłość lwa, zamienił się w gniew na jego tchórzostwo, a litość którą pospólstwo okazało dla Glauka, w zajadłość, że tak zawiedziono jego oczekiwanie.

Edyl przywołał strażnika.

—»Co to ma znaczyć? Weź bodziec; wypędź go, a potém zamknij klatkę.»

Gdy strażnik z niejakąś obawą, lecz większém jeszcze zadziwieniem, gotował się wykonać ten rozkaz, krzyk wielki powstał przy wnijściu do szranek; lecz odpowiedź,

milczenie nakazała. Wszystkie spojrzenia zdziwione tą przerwą, zwróciły się w tę stronę, tłum się rozstąpił i nagle Salustiusz ukazał się na ławach Senatorskich, z włosem w nieładzie, dyszący, zgrzany, upadający z utrudzenia. Rzucił pośpieszne spojrzenie wokoło szranek.

—»Usuńcie Ateńczyka, zawołał; śpieszcie się, on jest niewinny! Pochwyćcie Arbacesa Egipcyanina... *on* to jest zabójcą Apecidesa.

—»Czyś szalony Salustiuszu! rzekł Pretor powstając z krzesła. Co znaczy ta mowa?

—»Usuńcie Ateńczyka! mówię, prędko lub krew jego na wasze głowy spadnie! Pretorze! jeźli się będziesz wahał, życiem odpowiesz za to przed Cesarzem! Przyprowadzam ze sobą naocznego świadka śmierci kapłana Apecidesa. Miejsce!.. rozsuńcie się!.. oddalcie!... Ludu Pompejański, zwróć oczy na Arbacesa... Oto siedzi pomiędzy wami! Ustąpcie się! ustąpcie... kapłanowi Kalenusowi.»

Blady, obłąkany, zaledwie wydarty głodowi i śmierci, z osłupiałém obliczem, zagasłemi oczami jak u sępa, opasłem niegdyś ciałem wychudłym jak szkielet, Kalenus zaniesiony został aż na ławę na któréj siedział Arbaces. Oswobodziciele mało udzielali mu pokarmu,lecż nadzieja zemsty wzmagała osłabionego.

—»Kapłan Kalenus!.. Kalenus! wołał lud; czy to doprawdy on?.. Nie... to umarły!

—»Jest to doprawdy kapłan Kalenus, rzekł poważnie Pretor. Co masz powiedzieć?

—»Arbaces z Egiptu, jest zabójcą Apecidesa, rzekł kapłan Izydy; te oczy widziały jak cios zadał. Z głębi to lochu do którego mnie wtrącił, z łona grobowca i śmierci głodowéj, przywołali mnie Bogowie ażebym zbrodnię jego obwieścił! Uwolnijcie Ateńczyka... on jest niewinny!

—»Dla tego to więc lew go oszczędził!.. Cud! cud! zawołał Edyl.

—»Cud! cud! krzyknęło pospólstwo; usuńcie Ateńczyka... *Arbaces lwu*!

A krzyk ten rozległ się z gór w doliny, z nadbrzeży na morskie fale... *Arbaces lwu*!

—»Straże, usuńcie oskarżonego Glauka, usuńcie, lecz pilnujcie go, rzekł Pretor. Bogowie hojni dzisiaj w cuda.

Gdy Pretor wydał rozkaz oswobodzenia, krzyk dał się słyszeć, krzyk kobiety, dziecięcia; był to krzyk radośny! Z elektryczną mocą rozległ się w całém zgromadzeniu; rozczulający, święty był głos tego dziecięcia! A lud odpowiedział nań okrzykiem współczucia i powinszowania.

—»Ciszéj! zawołał poważny Pretor, któż to?

—»Młoda niewidząca Nidia, odpowiedział Salustiusz: jéj to ręka wyrwała Kalena z grobu, i Glauka od lwa oswobodziła.

—»Nie tak śpiesznie, rzekł Pretor. Kalenie, kapłanie Izydy, więc oskarżasz Arbacesa o zabójstwo Apecidesa?

—»Tak jest.

—»Widziałeś popełniony występek?

—»Pretorze!.. na własne oczy...

—»Dosyć na tém! Szczegóły powinny bydź zachowane na miejsce i czas przyzwoitszy. Arbacesie z Egiptu, słyszałeś zaskarżenie zaniesione przeciwko tobie?.. Nic nie rzekłeś dotąd; cóż masz na to odpowiedzieć?

Oczy zgromadzenia od dawna zwrócone były na Arbacesa. Na krzyk: »*Arbaces lwu*» zadrżał wprawdzie, a bronzowa barwa jego cery bledszy odcień przybrała; lecz wkrótce odzyskał wrodzoną dumę i moc nad sobą. Spojrzeniem pełném pogardy odpowiedział na rozjątrzone spojrzenia mnóstwa co go otaczało; a obracając się ku pretorowi, rzekł tym głosem tak spokojnym i wrażającym który go cechował:

—»Pretorze, to oskarżenie tak jest niedorzeczne, iż nie zasługuje prawie na odpowiedź. Moim pierwszym oskarzycielem jest szlachetny Salustiusz, najwierniejszy przyjaciel Glauka; drugim jest kapłan... Szanuję jego szatę i powołanie... lecz ludu Pompejański, znany ci aż nadto charakter Kalena... Zamiłowanie jego w bogactwach, jego chciwość weszły w przysłowie... Świadectwo podobnych ludzi może bydź kupione. Pretorze... jestem niewinny!

—»Salustiuszu! rzekł urzędnik, gdzie znalazłeś Kalena?

—»W więzieniach Arbacesa.

—»Egipcyaninie, odezwał się Pretor brwi marszcząc; ośmieliłeś się więc więzić kapłana bogów!.. A za co?

—»Posłuchaj mnie, odpowiedział Arbaces wstając spokojnie, niejakieś jednak pomieszanie malowało się na jego rysach. Człowiek ten przybył do mnie grożąc, że wniesie to oskarżenie, jeśli nie zechce okupić jego milczenia połową moich dostatków.... Czyniłem mu przełożenia, lecz na próżno. Ciszéj!... Nie dozwalaj ażeby mi kapłan przerywał!... Szlachetny pretorze! i ty o ludu!.. Byłem cudzoziemcem w tym kraju.. wiedziałem że jestem niewinny téj zbrodni... lecz świadectwo kapłana mogło mnie zgubić. Nie wiedząc co przedsięwziąć, wciągnąłem go do lochu zkąd go dobyto. Chciałem go zatrzymać tylko do chwili, aż się spełni przeznaczenie prawdziwego zbrodniarza, a groźby jego zaszkodzić mi już nie będą mogły. Nie miałem bynajmniéj innego zamiaru; zbłądziłem, lecz któż z was nie przyzna że najpierwszém prawem jest osobista obrona? Jeźli jestem winny, dla czegóż ten kapłan przez ciąg całéj sprawy zachowywał milczenie? Wszakżem go w ów-

czas ani uwięził ani schował. Dla czegóż nie obwieścił mojéj zbrodni, kiedym ja zbrodnie Glauka obwieścił? Pretorze, na to nie ma żadnéj odpowiedzi. Z resztą poddaję się waszym prawom, wzywam ich opieki. Oddalcie oskarżonego i oskarżyciela; niczego więcéj nie pragnę jak oddać się pod wyrok prawego sądu. Nie tu przyzwoite miejsce do rozstrzygnięcia podobnéj sprawy.

—»Ma słuszność, odpowiedział Pretor; hola straże! wyprowadzić Arbacesa, zatrzymać Kalena w bezpiecznem miejscu. Salustiuszu, będziesz odpowiadać za twe oskarżenie. Niechaj się rozpoczną na nowo igrzyska.

—»Jako! zawołał Kalenus obracając się ku ludowi, do tegoż stopnia bogini Izys ma iśdź w pogardę? Krew Apecidesa jeszczeż będzie wołać o zemstę? Maż bydź lew pozbawiony prawnie należącego mu łupu? Bóstwo!.. Bóstwo! czuję że bóstwo przemawia do was przez moje usta! *Lwu... lwu Arbacesa!»*

Tu sił mu zabrakło; padł miotany straszliwemi konwulsyami; pianą pokryły się usta. Kalenus był rzeczywiście nadprzyrodzoną owładnięty potęgą; lud patrzał na niego i drżał.

—»Bóstwo prawdziwie natchnęło kapłana... *Lwu! Egipcyanina.*

I z tym okrzykiem tysiące ludzi powstało; zesunęli się jak potok z wysokości cyrku, a potok ten dążył ku Egipcyaninowi. Na próżno Edyl chciał wydać rozkazy, na próżno Pretor podniósł głos w imieniu prawa. Na głos Pretora straże stanęły wzdłuż niższych stopni na których znakomitsi siedzieli widzowie, oddzieleni od gminu; lecz słabą tylko stawili zaporę temu żyjącemu potokowi, który, zdawało się iż dla tego tylko zatrzymał się na chwilę, aby Arbaces mógł wyrachować moment swéj śmierci. Przejęty zarazem rozpaczą i przestrachem upokorzającym jego pychę, Arbaces rzucił spojrzenie na tłuszczę, która pośpiesznemi tłoczyła się falami, gdy nagle przez obszerną szramę, którą opona pozostawiła po nad amfiteatrem, dziwny i straszliwy postrzegł widok... postrzegł, a przebiegły umysł jego, powrócił mu odwagę.

Podniósł rękę ku niebu, a czoło jego przybrało majestat, wyraz władzy i uroczystości niewymownéj.

—»Patrzcie! zawołał piorunnym głosem nakazującym milczenie wyciom tłumu, patrzcie! jak bogowie opiekują się niewinnością! Ognie mściwego Orka, wybuchają przeciwko fałszywemu świadectwu mego oskarżyciela.

Oczy tłumu obróciły się za giestem Egipcyanina, i ujrzano z niewymowną zgrozą ogromną chmurę wznoszącą się ze szczytu Wezuwiusza, w postaci olbrzymiej sosny. Pień był zupełnie czarny, gałęzie ogniste, których barwa zmieniała się i urozmaicała co chwila, to przerażającą błyszcząc jasnością, to przybierając posępno-czerwony odcień, który znowu za chwilę takim roziskrzał się blaskiem, iż oczy wytrzymać go nie zdołały.

Nastąpiła wówczas głęboka i okropna cisza, którą przerwał nagle ryk lwa, odpowiedziały mu ostrzejsze i dziksze wycia tygrysów więzionych w amfiteatrze. Były one złą wróżbą, przepowiednią ciężkości powietrza, i zwiastowaniem gniewu niebios.

Wówczas ze wszystkich stron rozległy się krzyki niewiast; mężczyźni z podziwieniem na siebie poglądali, lecz milczeli. W téj chwili uczuli trzęsienie ziemi pod stopy; zachwiały się mury amfiteatru, a zdala usłyszeli łoskot zapadających się dachów. Po chwili, chmura Wezuwiuszowa zdała się toczyć ku nim, ponura i szybka jak potok; i wyrzuciła zarazem ze swego łona deszcz popiołów zmięszanych ze szczątami rozpalonych kamieni. Deszcz ten straszliwy spadł na winnice i potłukł je, na ulice puste, na amfiteatr, a nawet i w morze, gdzie sycząc połączył się ze wzburzonemi bałwany.

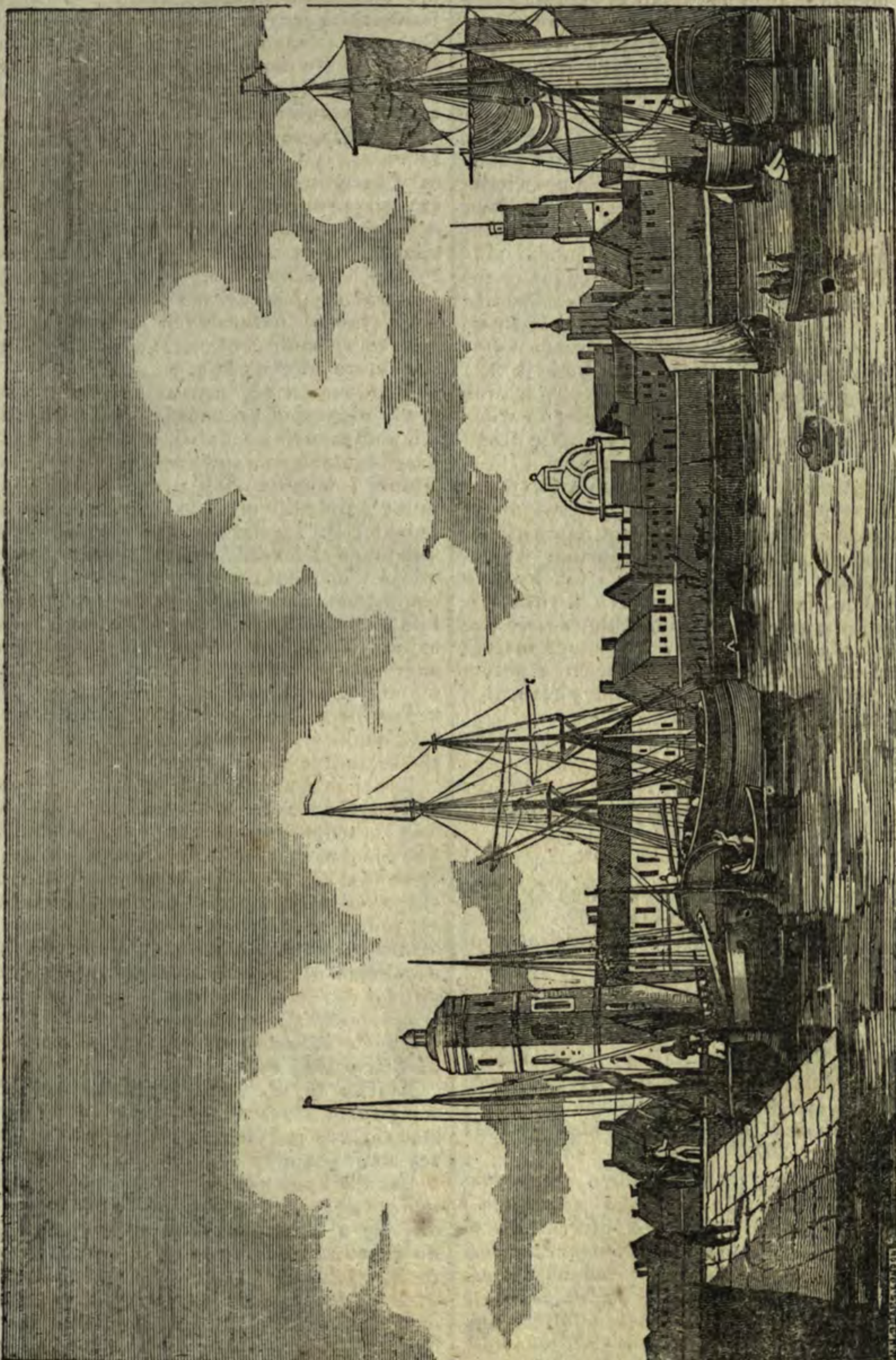
Lud w téj chwili zapomniał i o sprawiedliwości, i o Arbacesie; własnem tylko ocaleniem zajęty. Każdy zaczął uciekać; popychano się, ciśniono, druzgotano tratując nogami tych co byli tak nieszczęśliwi że upadli, wśród jęków, przekleństw, modlitw i krzyków. Tłum ten ogromny wylał się przez liczne wyjścia amfiteatru. Ale w którąż stronę uciekać? Jedni przewidując powtórne trzęsieni ziemi, biegli do domów aby się obładować najkosztowniejszemi sprzęty i schronić, dopóki czas był jeszcze, inni lękając się popiołowego deszczu, który nie przestawał potokami spadać na ulice, szukali uchrony pod dachami najbliższych domostw, lub świątyń.

Lecz chmura rozciągająca się po nad ich głowy, stawała się coraz posępniejsza, obszerna, nieprzejrzana. Była to nagła noc, ciemności straszniejsze jeszcze od nocy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

http://rcin.org.pl



DUNKIERKA.

Dunkierka miasto francuzkie w departamencie Flandryi leżące, zasięga bardzo odległej starożytności. Podług podania gminnego Swięty Eloi, wystawił był kościół nad jednym ze wzgórzow piaszczystych po nad brzegami morza Flandryi, i to dało począ-

tek miastu. Jego nazwisko zgadza się z tém podaniem: *Dun* znaczy w języku Celtów wzgórze, *Kerk* piasek.—Kościół bywa zwykle początkiem miasta; przy kościele staje kilka domów, u spodu wzgórza, wioska, miasteczko, a potém wielkie miasto. Dunkierka tym samym sposobem wzrosła. Najprzód, była to osada zamieszkana przez ubogich i pobożnych rybaków, którzy w kościele poświęcali swoje łodzie, sieci i dzieci, prosili Boga o obfity połów i spokojną żeglugę. Potém dogodny port ściągnął do siebie handel nadbrzeżny i powstało miasto, które już w roku 950 było znacznem i posiadało rozmaite przywileje. Dunkierka doznawała rozmaitych przemian losu; koleją zostawała w mocy Francyi, Anglii, Hiszpanii. Ludwik XI. okupił ją od Anglików w r. 1662, obwarował miasto i port wykopał; była to chwila wielkości i szczęścia dla Dunkierki. Nie długo trwała: traktat zawarty w Utrechcie 1713 r. zniewolił Francyą do zniszczenia fortyfikacyi i zasypania portu; później podźwigniono niektóre części warowni i port naprawiono. Dzisiaj Dunkierka nie jest portem wojennym, lecz tylko handlowym i tak kwitnie handlem, jak za Ludwika XIV kwitła wyprawami swoich korsarzy, a mianowicie sławnego Jana Bart, który z prostego majtka zostawszy korsarzem, armatorem, a potém dowódzcą eskadry, wsławił flagę Francyi, i był postrachem Anglii.

---

## KRONIKA LITERATURY I WIADOMOŚCI NAUKOWYCH.

W tych dniach nadeszły z Wilna do Warszawy trzy zeszyty Wizerunków Naukowych, to jest, 5ty, 6ty i 7my. Nie jeden wyjątek zamierzamy z nich uczynić, tém bardziej, że pismo to mimo rzeczywistéj wartości swojéj zbyt mało jest u nas upowszechnione, a na prowincyi nie znane wcale. Tym czasem dajemy wiadomość o nowém dziele: *Opisanie statystyczne miasta Wilna, przez Michała Balińskiego. — Wilno. Józef Zawadzki własnym nakładem.* — 1835 in 8vo. str. 207.

Pierwsza ta, pod względem statystycznym, o Wilnie xiążka, jako przyjemna i pożądana nowość każdego przyjaciela oświaty ucieszyć powinna: bo wtenczas prawdziwego zaczynamy nabywać ukształcenia, kiedy nam przychodzi ochota poznania siebie samych i tego co nas najbliżéj otacza. *Mihi nunquam satis eruditi videntur, quibus nostra ignota sunt*, powiedział mędrzec tuskulański. Do tego zatém celu, otworzył zawód P. Michał *Baliński*, dla swoich współziomków Litwinów ogłaszając statystykę miasta, która pierwéj we francuzkim języku, na żądanie Naczelnika Gubernii ułożona była; teraz zaś pomnożona i wedle możności uzupełniona, na widok się publiczny okazuje. Składa się ona z dwóch części:

Pierwsza, zawiera w sobie opisanie położenia, czyli jeografią miasta Wilna, która w każdym znającym miejscowość tutejszą przypomnienia miłe obudza. Bo któż oglądając romantyczne okolice naszego miasta, zwłaszcza w pięknéj porze roku był najich widok obojętnym? P. *Baliński* postarał się jeszcze o zebranie plonu dla umiejętności naturalnych z tych okolic. Jest to spisanie botaniczne rzadszych roślin które one wydają.

Wiadomości téj uczonéj udzielił autorowi, niepospolitéj nauki i rzadkiéj bystrości połączonéj z zadziwiającą pamięcią, w przedmiotach mianowicie umiejętności roślinnéj i wogóle nauk przyrodzonych, Adjunkt Akademii medyko-chirurgicznéj wileńskiéj P. Stanisław *Gorski*, który skarby wiadomości i kollekcyą szacowną przedmiotów do nauki swojéj należących statecznie pomnaża. Odbył już on w tym celu kilka korzystnych, w rozmaite części kraju exkursyi. A badawczym umysłem plony nagromadzone rozważa i postrzeżenia nad niemi do dojrzałości doprowadza. Po jego usposobieniach i przykładnéj pracowitości, nauki przyrodzone, u nas, wiele dla siebie tuszyć mogą.

Część druga obejmuje w sobie opisanie statystyczne miasta Wilna; ta rozmaitością przedmiotów, ciągnąc ku sobie ciekawość, naucza o wielu rzeczach, które bystrego się nawet postrzegacza oku nie raz wymknęły. Po niéj następują dwie noty: jedna zawiera w sobie wiadomość o kościele katedralnym wileńskim, z akt dyecezalnych wileńskich spisaną, drugą składa *Ustawa dla szlachetnego pensyonu przy drugiem wileńskiem gimnazyum, zatwierdzona przez P. Ministra narodowego oświecenia*, 27 *Lipca* 1834 *roku.*

Xiążka ta P. Michała *Balińskiego* dla wszystkich klass mieszkańców Litwy może stać się arcy pożyteczną. Właściciele ziemscy znajdą w niéj dostateczne wiadomości o handlu i pewnych drogach wybycia swoich rolniczych płodów, duchowni dowiedzą się o wielu rzeczach ściągających się do zaprowadzeń i ustanowień religijnych, fundacyj bogobojnych, ustanowień tchnących miłością bliźniego, i t. p., uczeni badacze starożytności litewskich, mają tu sobie wskazane przedmioty nad któremi pożytecznie pracować mogą. Słowem, stan każdy czytającéj publiczności, czegoś tu zdatnego dla siebie zasięgnąć potrafi.

Dziwić się sprawiedliwie należy, jak P.

Baliński przy dosyć ograniczonych środkach nagromadzenia do swojéj pracy potrzebnych materyałów, tyle ich wszakże i ważnych uzbierał.

---

## BUFFON.



Ze wszystkich pisarzy, którzy wsławili literaturę francuzką, żadnego imie nie jest tak głośném i tak europejskiém jak imie Buffona. Sławę tę pozyskał znakomitym talentem i niezmiernemi pracami, podjętemi dla wyjaśnienia nauk przyrodzonych. Przed nim Francya i Europa nie posiadała żadnego dzieła o historyi naturalnéj, któreby przyjemność wykładu z naukowością połączały, albo też tak były przepełnione fałszywemi wiadomościami, iż na żadną wiarę nie zasługiwały. Buffon najpierszy powziął pomysł, połączenia w jedną całość wiadomości rozrzuconych w rozmaitych dziełach, i zamiar ten wykonał z powszechném zadowoleniem. Długi jego zawód nie zakłóciły żadne przykrości; Ludwik XV chcąc uczcić jego talenta, ozdobił go tytułem hrabiego. Buffon, urodził się w roku 1709. ojciec jego nazwiskiem Beniamin Leclerc, był radcą parlamentowym; a posiadając piękny majątek, dał dzieciom swoim jak najlepsze wychowanie. Buffon skoro tylko ukończył szkoły, zapoznał się z młodym człowiekiem którego urodzenie powoływało do wysokiego zawodu. Był to młody xiąże Kingston, z nim razem odbył podróże Buffon do Włoch i Anglii, a potém zajął się naukami. Czynił doświadczenia chcąc wynaleźć zagubione zwierciadło Archimedesa, za pomocą którego można było zapalać ciała w bardzo wielkiéj odległości (*) zwrócił także uwagę powszechną, przez poszukiwania nad sposobami, przez które powiększyćby można siłę drzewa, przeznaczonego do sztuk mechanicznych, do budowy okrętów i domów.

Dufay, intendent botanicznego ogrodu królewskiego, powziął przyjaźń do Buffona, i w roku 1737 umierając, wskazał go jako swojego następcę; minister uszanował ostatnią wolę uczonego człowieka i Buffon ledwie mając lat 30 otrzymał tę znakomitą posadę. Od téj chwili zupełnie poświęcił się historyi naturalnéj, ale niedowierzając własnym siłom, przybrał sobie do pomocy ludzi z wyższym talentem, a między innemi sławnego Daubenton. Razem z tym uczonym napisał pierwsze swoje dzieła; wyszła wtedy *Teorya ziemi*, tomy traktujące o naturze zwierząt, o historyi człowieka i czworonogów. Potém zaś, po długich latach, niezmordowanéj pracy, wyszła historya naturalna ptaków, kruszczów i Epoki natury.

Te niezmierne prace, zajęły pięćdziesiąt lat życia Buffona, gdyż cieszył się długim zawodem. Umarł w 1788 r.

Jednozgodny jest sąd o Buffonie uważając go jako pisarza. Wzniosłość stanowiska na którym się umieszcza, uczony i mocny postęp wyobrażeń, wspaniałość obrazów, szlachetna powaga wysłowienia, wywyższa go nad wszystkich pisarzy. Za czasów Buffona, historya naturalna w wielu szczegółach była jeszcze nie dokładna; brak ten zastępował Buffon bardzo dowcipnemi domysłami, a które nie zawsze sprawdziły się faktami. Tak więc w jego dziełach wielkie prawdy pomieszane są z wielką liczbą błędów, które choeiaż wystawione w świetnéj postaci, są zawsze błędami i tém bardziéj wystrzegać się ich należy. Dzieła Buffona, wydał godny jego następca i uczeń Pan Lacepede.

(*) O tém zwierciedle umieściliśmy wiadomość w Numerze 3cim Muzeum Domowego.

---

## WIEŻA ŚWIĘTEJ GENOWEFY.

Wieża Stéj Genowefy należy do najdawniejszych pomników Paryża, była częścią kościoła, który już teraz jest rozebrany, a który w roku 511 wybudował Klodoweusz i Klotylda, wkrótce po swojém nawróceniu. Odbudowano go w wieku XII. i XIII. a za czasów Napoleona rozrzuco-



WIEŻA SWIĘTÉJ GENOWEFY.

no, aby odsłonić widok Pantheonu. Architektura téj wieży różni się od innych; każde piętro nosi znamię innego wieku, podstawa jest bez żadnych ozdób, wyższe zaś piętra odznaczają się delikatną rzeźbą. Wewnętrzna cębrowina, odznacza się mocą i ogromem, a dzwony zawieszone u niéj, wzywają teraz do nauki i zabawy uczniów kollegium Henryka IV. które wznosi się po części na gruzach dawnego kościoła, i do którego ta wieża teraz przytyka.

## OSTATNI DZIEŃ MIASTA POMPEI.

(Dalszy ciąg.)

Odurzony otrzymaną zwłoką, wątpiąc czy to się dzieje na jawie, Glauk zaprowadzony został przez szrankowych posługaczy do maleńkiéj celi, zrobionéj w murze cyrkowym. Przyoblekli go w szatę i zbiegli się tłumnie składać mu powinszowania. Niewidoma Nydia, rzuciła się do nóg Glauka. »Ja to ciebie ocaliłam, rzekła łkając, teraz mogę już umrzeć. Jgrzysko tymczasem przerwała scena którąśmy wyżéj opisali.

—»Góra! trzęsienie ziemi! wołano ze wszystkich stron. Odbiegli przelękli posługacze, dozwalając Glaukowi schronić się jak będzie mógł. Wyszedł razem z wybawicielką swoją.

Widząc grożące niebezpieczeństwo, szlachetne serce Ateńczyka zwróciło się ku Olintowi. Ręka samychże bogow i jemu także zsyłała zwłokę. Miałże go w pobliskiéj zostawić celi, aby ginął śmiercią również okropną jak ta którąby mu zadał tygrys! Glauk spiesznie przebiegł korytarze i wszedł

http://rcin.org.pl

do więzienia Nazarejczyka. Olinth modlił się na klęczkach.

»Wstawaj! wstawaj, przyjacielu! zawołał; ratuj się, uciekaj! Patrz, natura staje się dla ciebie straszliwą oswobodzicielką.»

Wyprowadził zdziwionego chrześcianina z więzienia, pokazał mu chmurę która zbliżała się czerniejąc i wyrzucając bezprzestannie nowe potoki popiołów i lawy.

—»Słyszysz, rzekł, krzyki i stąpania rozpierzchnionego tłumu?

—»To dzieło prawicy Najwyższego!.. Niechaj pochwalony będzie odwieczny! rzekł pobożnie Olinth.

—»Uciekaj! poszukaj twoich braci, schrońcie się razem. Żegnam cię!»

Olinth nic nie odpowiedział; nie zważał nawet że przyjaciel odszedł. Dusza jego pogrążona była we wzniosłych i uroczystych myślach, i w uniesieniu serca cieszył się raczéj z miłosierdzia Boga, niżeli drżał na to świadectwo jego potęgi.

Oderwał się nakoniec od tych rozmyślań, i zaczął biedz sam nie wiedząc w którą stronę.

Nagle ujrzał przed sobą otwarte drzwi posępnego i smutnego lochu. Z łona ciemności migała słabo jedyna lampa, a przy nie pewném jéj świetle dostrzegł trzy ciała nagie i martwe, rozciągnione na ziemi. Zatrzymał się nagle, gdyż pośród zgrozy tego smutnego miejsca (było to *spolarium* cyrkowe) posłyszał słaby głos wymawiający święte imie Jezusa Chrystusa.

Nie mógł się nie zatrzymać na to imie, wszedł do lochu, a nogi jego poślizgnęły się na krwi broczącéj piasek.

—»Kto! rzekł Nazarejczyk, wzywa imienia syna Bożego?»

Żadnéj nie otrzymał odpowiedzi, lecz obróciwszy się rozpoznał przy świetle lampy, biało-włosego starca, siedzącego na ziemi, trzymającego na kolanach głowę człowieka, który tylko co skonał. Rysy zmarłego przedstawiały nieruchomość ostatecznego snu, lecz na ustach jego ulatywał jeszcze srogi uśmiech; nie był to uśmiech natchniony nadzieją chrześcianina, lecz posępny uśmiech nienawiści i groźby. A jednak twarz ta przedstawiała jeszcze powabną świeżość pierwszéj młodości. Włosy gęste i świetne spływały na gładkie czoło, lekki meszek ocieniał zaledwie marmur zbladłych jego policzków. Lecz nad tą młodzieńczą twarzą, chyliła się twarz wyrażająca tyle smutku, miłości i rozpaczy! Z oczu starca pałające łzy spływały, lecz nie czuł ich; a choć usta jego otwierały się powtarzając machinalnie modlitwę wiary, poddania się i nadziei, ni serce jego, ni rozum, nie odpowiadały wyrazom; był to mimowolny popęd przywyknienia, wśród letargu duszy. Syn jego umarł, i umarł dla niego!.. Rozdarło się serce starca.

—»Medonie, rzekł Olinth litośnie, wstawaj i uciekaj! Pan się ukazał na skrzydłach żywiołów! Nowa Gomora skazana jest na zniszczenie! Uciekaj nim cię pochłoną płomienie!

—»Zawsze tak pełen był życia!... nie podobna żeby umarł! Przybliż się... połóż rękę na jego sercu!.. a co? wszak jeszcze bije?

—»Bracie, dusza już uleciała!.. będziemy jéj wzywać w naszych modlitwach! Nie zdołasz powrócić życia martwéj bryle. Pójdź, pójdź! Czy słyszysz, ja mówię że tu walą się mury!.. Nie mamy chwili do stracenia!... pójdź!

—»Ja nic nie słyszę, rzekł Medon, potrząsając siwym włosem; biedny mój Lydon! padł ofiarą miłości synowskiej!

—»Pójdź, pójdź!... Wybacz że przyjaźń gwałt ci zadaje.

Jako! któżby to śmiał ojca ze synem rozłączać? rzekł Medon silnie rękoma przyciskając ciało, i najczulszemi okrywając go pocałowaniami. Idź! rzekł podnosząc na chwilę głowę; idź!.. trzeba żebyśmy sami pozostali.

—»Niestety! rzekł litościwy Nazarejczyk, śmierć już was rozłączyła.

Starzec uśmiechnął się jak najspokojniéj.

—»Nie, nie, nie! poszepnął, a głos jego niknął za każdym wyrazem, — śmierć miała więcéj litości.

Po tych słowach, głowa starca opadła na piersi syna, ramiona przestały go ściskać. Olinth wziął go za rękę; puls jego już nie bił! Ostatnie wyrazy ojca były: »*Śmierć okazała więcéj litości.*

Tymczasem Glauk i Nydia szybko przebiegli ulicę i dostali się do domu Arbacesa, gdzie jeszcze znajdowała się Jona. Niewolnicy i słudzy już byli uciekli. Popioły padały do otwartego przysionka; chwiały się kolumny. Glauk szedł w głąb domu wołając Jony, aż nareście usłyszał jéj głos... Wyłamać drzwi jéj więzienia, unieść Jonę, było to dzieło jednéj chwili.

## POSTĘP ZNISZCZENIA.

Chmura co tak gęstą zasłoną przyćmiła światłość dzienną, zmieniła się zwolna w nieprzenikliwą i zsiadłą massę; mniéj była podobną do cieniów nocy jak raczéj do ciemności która panuje w szczupłéj i zamkniętéj komnacie (1), lecz w miarę im czarniejszą się stawała, błyskawice wypadające z Wezuwiusza tém były żywsze, tém blask ich był ognistszy. Straszliwa ich piękność przedstawiała nie sam tylko zwyczajny odcień płomienia: nigdy tęcza nie jaśniała tak urozmaiconą i świetną barwą? Już były jasno-lazurowe jak najpiękniejsze południowe niebo, niekiedy sino-zielone

jak wężowa skóra i naśladowały kręte sploty ogromnego płazu; czasem zaiskrzyły się pałającą czerwonością trudną do wytrzymania dla oka, która przebijając obszerne kłęby dymu, całe oświecała miasto, a słabnąc potém stopniami, w śmiertelną zamieniała się bladość, przedstawiając tylko widmo własnego istnienia.

W przerwach nawalnéj ulewy, słychać było łoskot rozdzierający wnętrzności ziemi, lub jęczące bałwany wzburzonego morza, albo téż chwilowy szmer, który najżywsza tylko trwoga zdolna była zachwycić, był to świst gazu wydobywającego się przez szczeliny odległéj góry. Niekiedy zsiadła massa obłoku rozkruszać się zdawała, przedstawiając przy połysku błyskawic dziwaczne kształty ludzi i potworów ścigających się w ciemności, które tłocząc się jedne na drugie, nikły razem w otchłani cieniów, tak, iż dla oka i wyobraźni przelękłych widzów błahe te wyziewy zdawały się bydź rzeczywistemi olbrzymy, posłannikami przerażenia i śmierci (2).

Już w niektórych miejscach popioły dochodziły do wysokości kolan, a wrzący deszcz, który wybuchał z Wulkanu, przenikał do domów, wszędzie ze sobą roznosząc duszące wyziewy. W niektórych miejscach, zarzucał ulicę stósami pomięszanych zwalisk, dodając jeszcze nowe zawady do tych któremi droga aż nazbyt już była obsiana. Wzmagało się trzęsienie; ziemia zdawała się uchylać pod krokami, ani powozy, ani lektyki nie zdołały zachować równowagi, na gruncie najrówniejszym nawet.

Niekiedy największe głazów odłamy uderzały w spadku o siebie, rozkruszały się w nieprzeliczone szczęty, sypiąc rzęsiste iskry, które wzniecały pożar wśród miasta. I wówczas rozpraszała się ciemność, lecz jakże strasztiwym sposobem! Płomienie ogarnęły kilka domów i winnic, i groźnie wznosiły się z pośrodka zgęszczonéj ciemności. Aby zwiększyć cząstkową tę światłość, mieszkańcy Pompei poustawiali w pierwszéj od siebie odległości, po rynkach, przysionkach świątyń i drogach wiodących do forum, rzędy pochodni, lecz te nie paliły się długo. Deszcz i wiatr je zgasił, a grubsza ciemność, która następowała po ich blasku, tém była straszliwszą, iż jawnie okazywała niemożność usiłowań ludzkich i samą tylko pozostawiała rozpacz.

Często przy połysku przelotnym owych pochodni, spotykały się tłumy uciekających; jedni biegli ku morzu, drudzy wracali od morza w głąb lądu: Ocean bowiem wystąpił z brzegów swoich; głęboka ciemność pokrywała jego łono, na wzburzone i ryczące bałwany spadały potoki popiołów i kamieni, i nie podobna było na nim znaleść téj nawet uchrony, którą ulice i domy przedstawiały na lądzie. Odurzone, zbłąkane, przelękłe tłumy spotykały się, nie mając czasu przemówić do siebie, naradzić się, zastanowić, gdyż ulewa często chociaż nie ciągle spadająca, gasiła pochodnie, za pomocą których jedynie rozpoznać się mogli; prócz tego każdy śpieszył do jak najbliższéj uchrony. Wszystkie żywioły cywilizacyi zginęły: złodziej przechodził obok poważnego praw strażnika, obładowany łupem i ciesząc się myślą niespodziewanéj korzyści. Jeźli w ciemnościach żona rozdzieliła się z mężem, ojciec z dziecięciem, napróżno tuszyli sobie znaleść się znowu. Każdy biegł na oślep i bez ładu; z całego zawikłanego mechanizmu towarzyskiego bytu, pozostało tylko to, co co sobie z życia dzikiego przyswoił: pierwotne prawo osobistéj całości.

W pośród téj to straszliwéj sceny, młody Ateńczyk torował sobie drogę, w towarzystwie Jony i młodéj niewidoméj. Nagle kilkaset osób spieszących ku morzu, przeszło obok nich. Nidya rozłączona została od Glauka i Jony; a gdy tłum oddalił się, już Nidyi przy nich nie było. Wołał jéj Glauk, lecz żadnéj nie otrzymał odpowiedzi; wrócili się, lecz na próżno; nigdzie jéj znaleść nie mogli; potok tłumu w inną uniósł ją stronę. Stracili więc przyjaciołkę, oswobodzicielkę; gdyż dotąd Nidya służyła im za przewodnika: *ślepota oswoiła ją z miejscowością.* Przyzwyczajona przebiegać ciągle miasto śród wiecznéj nocy, prowadziła ich nie omylnie nad brzeg morski, gdzie, jeśli podobna, schronić się umyślili. W którąż stronę obrócić się mają? Znajdują się w nieprzebytym labiryncie. Zmordowani, rozpaczający, obłąkani, nie przestawali iśdź mimo popiołów spadających na ich głowy i kamieni, które roztrzaskując się, iskry sypały pod ich krokami.

—»Niestety! niestety! z cicha odezwała się Jona, już daléj iść nie mogę; nogi moje grzęzną w pałających popiołach. Uciekaj, ukochany, uciekaj, pozostaw mię mojemu przeznaczeniu!

—»Ach! moja oblubienico, moja żono; śmierć obok ciebie jest milszą, niżeli bez ciebie życie! Ależ wielcy bogowie, gdzie zwrócić kroki śród téj ciemności? Zdaje mi się że kołem krążymy i żeśmy powrócili w to samo miejsce, z którego wyszliśmy przed godziną.

—»O nieba! skała rozkruszyła dach przed nami. Na pewną śmierć narażamy się przebiegając ulice.

—»Błogosławiona błyskawico! Pójdź

(1) Zobacz Pliniusza.
(2) Dion Kassiusz.

http://rcin.org.pl

Jono, pójdź! Przysionek świątyni Fortuny jest przed nami. Stańmy pod nim; on nas uchroni.

I to mówiąc wziął kochankę na ręce i z trudnością dostał się do świątyni. Poniósł ją w najdalszy zakąt przysionka i pochylił się nad nią, aby z własnego ciała zrobić jéj zasłonę przeciwko deszczowi kamieni i wrzącéj wody. Urok i poświęcenie miłości, mogą uświęcić nawet tak okropną chwilę.

—»Kto tam? rzekł drżącym i stłumionym głosem ktoś, co ich poprzedził w to miejsce schronienia; ale mniejsza o to kto jesteście, kiedy się świat wali, nie ma przyjaciół ani nieprzyjaciół.

Na ten głos obejrzała się Jona, potém ze słabym krzykiem ukryła twarz na łonie Glauka. Tenże zwróciwszy spojrzenie w stronę z któréj głos pochodził, poznał przyczynę jéj strachu. Iskrzące oczy błyszczyły się w ciemności; błyskawica mignęła wprost kościoła i ze drżeniem postrzegł lwa, któremu na pożarcie był skazany, leżącego między kolumnami, a tuż obok zwierzęcia, rozciągnięte było olbrzymie ciało Nigera.

Błyskawica ta ukazała człowiekowi i zwierzęciu wzajemne oblicze; lecz instynkt obydwu był przytłumiony. Lew zbliżył się nawet do gladiatora, jak gdyby czując potrzebę obecności człowieka, a gladiator ani się cofnął ani zadrżał. Wzburzenie natury zniszczyło obawę.

Tym czasem tłum mężczyzn i niewiast, niosących pochodnie, przechodził obok świątyni: byli to Nazarejczycy. Szczytne uczucie, które nic ziemskiego w sobie nie miało, odjęło im nawet pozór obawy. Podzielając mniemanie wielu pierwonych chrześcian, byli pewni że zbliża się koniec świata: myśleli w téj chwili że już nadszedł.

»Biada! biada! wołał ostrym i przenikliwym głosem, starszy postępujący na ich czele; oto pan sądzić nas przybywa! Spuszcza ogień niebios na synów człowieczych! biada wam co nosicie pęki i purpury! Biada wam bałwochwalcy i czciciele bałwanów! Biada wam co krew świętych przelewacie i karmicie się widokiem śmiertelnych męczarni dzieci prawego Boga! Biada nierządnicy morza!... biada! biada!

I cała tłuszcza w chór powtórzyła głosem posępnym:

—»Biada nierządnicy morza!... biada! biada!»

Nazarejczykowie zwolna szli daléj swoją drogą; pochodnie ich rozrzucały w śród cieni migające światło, a głosy ich powtarzały groźby i uroczyste napomnienia, dopóki nie znikły w zakrętach ulic i ciemności powietrzokręgu; i znowu milczenie śmierci osiadło pod niebem.

Nastąpiła przerwa dość częsta popiołowego deszczu, a Glauk znowu zaczął zachęcać Jonę, aby się w dalszą puściła drogę. Gdy stali jeszcze nie pewni na ostatnim stopniu schodów, starzec przechodził przed niemi; niósł worek w ręku i szedł z trudnością, oparty na młodzieńcu. Poznał ich Glaukus: był to ojciec z rozrzutnym synem.

—»Ojcze! rzekł młodzieniec, jeźli nie możesz iść prędzéj, muszę cię porzucić, lub obadwa zginiemy!

—»Więc uciekaj synu i zostaw ojca.

—»Ale nie mogę przecię uciekać aby umrzeć z głodu; daj mi twój worek ze złotem.

I to mówiąc, młodzieniec chwytał już za worek.

—»Nędzniku! chciałbyś więc obedrzeć ojca?

—»Czemu nie! któż mnie wyda w podobnéj chwili? Skąpcze, umieraj!

Młodzieniec obalił starca, wydarł worek z osłabionych rąk jego i uciekł z przenikliwym krzykiem.

—»Wielcy bogowie! zawołał Glauk, nie widzicież wśród téj ciemności? Takie zbrodnie wciągną niewinnych wraz z występnemi w wspólną zagładę! Pójdźmy, pójdźmy, Jono!

---

Nie przestając postępować omackiem jak więźnie co się z lochu wydobydź pragną, Jona z kochankiem szli daléj niepewną drogą. Chwilami, gdy błyskawice wulkaniczne szeroko oświecały ulice, mogli przy téj straszliwéj światłości z większą pewnością kierować swe kroki; widok jednakże, który się ich oczom przedstawiał, nic nie miał w sobie zachęcającego. W miejscach gdzie popioły były suche i nie pomięszane z potokami które wyrzucała chwilami dziwaczna góra, powierzchnia ziemi przedstawiała siną białość trądu; gdzieindziéj żużle i skały nagromadzone były w stosy, z pośrodka których na wpół wydobywały się rozdruzgotane członki uciekających. Jęki umierających przerywały krzyk niewiast i rozlegając się w téj głębokiéj ciemności, tém przykrzejsze sprawiały uczucie, że niepodobna było pospieszyć na ratunek tych nieszczęśliwych.

Lecz głośniejszym nad wszystko był huk wychodzący z wulkanu, jego nawałnice, potoki, a kiedy niekiedy nowy wybuch. Ile razy wiatr zadął po ulicach tylekroć przynosił ze sobą pył pałający i tak zabójcze wyziewy, iż nagle odbierały oddech i przytomność.

—»O Glauku! mój ulubiony... mój mężu, obejmij mię w twoje ramiona!... jeden tylko uścisk! Przyciśnij mię do twego serca, niechaj umieram na twém łonie!...

—»Przez miłość dla mnie... jeszcze nieco odwagi, droga Jono... Pomnij, że że życie moje nie rozdzielne jest od twojego; patrzaj... pochodnie... idą ku nam! Jakże się wiatrom opierają... burza zagasić ich nie może! są to zapewne uciekający do brzegu morza!.. Złączmy się z niemi.«

I jak gdyby kochankom niosąc zachętę, nagła nastąpiła cisza; powietrze uspokoiło się zupełnie; góra zdawała się wypoczywać, nabierając może sił do bliskiego wybuchu.

—»Zbliżamy się do morza, rzekła spokojnym głosem osoba idąca na czele. Uwolnienie i bogactwo każdemu niewolnikowi, który dzień dzisiejszy przeżyje. Powtarzam, że bogowie uwiadomili mnie, iż się wyratujemy. Idźcie.

Czerwona światłość pochodni oblała Glauka i Jonę, która drżąca i bezsilna na ręku jego spoczywała. Mnóstwo niewolników niosło kosze i szkatuły ciężko naładowane; na ich czele, z gołym mieczem w ręku, ukazywała się wzniosła postać Arbacesa.

—»Na cienie ojców moich! zawołał Egipcyanin, los uśmiecha mi się nawet wśród tylu okropności i pośród straszliwego widoku nieszczęścia i śmierci, obiecuje mi jeszcze szczęście i miłość. Ustąp Greku! mnie prawem należy się Jona!

—»Zdrajco i zabójco! zawołał Glauk wlepiając ogniste oczy w nieprzyjaciela; sama Nemezys cię tu przywiodła, abym sprawiedliwą uczynił z ciebie ofiarę cieniom piekieł, które wyuzdały się na ziemię. Zbliż się i dotknij tylko Jony, a broń twoja jak trzcina się skruszy. Po jednemu członki twoje rozedrę.«

Gdy to mówił, światłość żywa i czerwona, oświeciła miejsce na którém się zatrzymali. Swietna i olbrzymia, w łonie otaczającéj ją ciemności, jak gdyby mur piekielny, wznosiła się góra, obszerna massa ognia! Szczyt jéj zdawał się na dwoje rozpadnięty, lub raczéj nad jéj powierzchnią okazywały się dwie potworne postacie, w obec jedna drugiéj, jak gdyby dwa duchy nienawistne walczące o panowanie nad światem. Cały powietrzokrąg krwistéj był barwy; poniżéj, ściany góry były posępne i omglone, wyjąwszy w trzech miejscach, gdzie jak ogniste węże, wiły się trzy rzeki roztopionéj lawy. Ciemnoczerwone,toczyły się zwolna ku miastu skazanemu na zagładę. Po nad najszerszą z trzech, zdawała się bydź zarzuconą ogromna i nieregularna arkada, z któréj nowy ten Flegeton wypadał jak z paszczy piekielnéj. A w powietrzu słychać było łoskot skalistych odłamów, toczących się jedne na drugie, które wyrzucone kataraktą ognia, zaciemniały na chwilę miejsce, gdzie spadły, a zaraz potém przybierały ognistą barwę potoku po którym płynęły.

Niewolnicy krzyczeli i ze strachu zasłaniali sobie twarze; sam Egipcyanin stanął nieruchomy na miejscu, a odblask ognia oświecał poważne jego rysy i szaty drogiemi obsiane kamieniami. Za nim wznosiła się wysoka kolumna ze spiżowym posągiem Augusta, a obraz Cezara wydawał się, jakoby ulany z ognia!

Glauk lewą ręką obejmując kibić Jony, prawą groźno podnosił trzymając sztylet, który mu dano do obrony w szrankach, a który szczęściem miał jeszcze przy sobie. Zmarszczywszy brwi, z na pół rozwartemi usty, z najstraszliwszym namiętności wyrazem na obliczu, stawiał opór Egipcyaninowi.

Pomruknąwszy kilka słów do siebie, Arbaces odwrócił oczy od góry; spoczęły na Glauku. Wahał się chwilę, potém rzekł do siebie:

—»I dla czegóż miałbym się wahać? nie przepowiedziałyż mi gwiazdy jedyne gwałtowne niebezpieczeństwo, na które byłem narażony? Czyliż nie minęło to niebezpieczeństwo?.. Dusza! dodał głośno, może urągać zburzeniu świata! Przez tę duszę chcę zwyciężać aż do końca! Zbliżcie się, niewolnicy!.. Ateńczyku, jeźli mi stawisz opór, niechaj krew twoja spadnie na twoją własną głowę! Odbieram ci Jonę!«

I postąpił na krok... Był to ostatni krok jego na ziemi! Ziemia konwulsyinie zadrżała, obalając wszystko co było na jéj powierzchni; całe miasto jedno-głośnym rozległo się hukiem padających dachów i kolumn! Błyskawica, jak gdyby kruszcem przyciągnięta, zatrzymała się chwilę nad cesarskim posągiem, a potém w tysiączne części rozkruszyła spiż i podstawę! Padła kolumna, a upadek jej rozległ się i bruk rozgruchotał.

Ten łoskot, ten upadek, na chwilę ogłuszył Ateńczyka; lecz gdy przyszedł do siebie, taż sama światłość oświecała jeszcze to widowisko, ziemia drżała jeszcze! Jona leżała bez przytomności; lecz jéj nie postrzegł, oczy jego pozostały wlepione w twarz grobową, która wystawała bez ciała i członków z pod odłamu rozkruszonéj kolumny. Twarz ta przedstawiała wyrazboleści, skonu, rozpaczy, nie podobnych do opisania. Oczy otwierały i zamykały się, jak gdyby zmysły nie przestały jeszcze działać; usta drżały i ściągały się z konwulsyjnym uśmiechem; potém nagła nieruchomość ogarnęła te posępne rysy, a wyraz ich zachował straszliwy pozór, którego nie podobna było zapomnieć.

Tak zginął Mag uczony, wielki Arbaces, ostatni potomek królów Egipskich.

(Dokończenie w następującym zeszycie.)



Rycina umieszczona na czele dzisiejszego zeszytu, zrobioną została w Warszawie. P: Fryderyk Dietrich, wydawca rycin do Podróży Malowniczéj, znany z wielu prac w sztukach pięknych, nie szczędził usiłowań aby sposób robienia rycin drukujących się razem z textem xiążki, do kraju naszego zaprowadzić, i abyśmy nie zazdrościli obcym, w tym rodzaju sztuki, tak bardzo przyczyniającym się do ozdobienia wydań, a mianowicie do uczynienia ich tańszemi i przystępnemi daleko większéj liczbie czytelników. Kilka miesięcy wytrwałej pracy poświęcił na to pan Dietrich, bez żadnéj skazówki i wzoru, odgadnął sposób którym we Francyi i Anglii robią takie ryciny. Pierwsze jego dzieło wyobrażające *Zamek Jazłowiecki*, umieszczamy na czele dzisiejszego zeszytu. Przekonać się można że nie ustępuje bynajmniéj rycinom z zagranicy sprowadzanym; a jeżeli je porównamy z pierwiastkowemi rycinami Mozaiki francuzkiej, nieskończenie od nich jest wyższém. Miło jest wydawcy, że tą pierwszą próbą, po któréj inne nastąpią, może ozdobić Muzeum Domowe.

## ZAMEK JAZŁOWIECKI.

Zamek ten leży w Galicyi na Rusi Czerwonéj znamienity jest pięknością położenia, ogromem zwalisk i podaniami okolicznych mieszkańców.

W drugiéj połowie trzynastego wieku, za panowania Lwa Daniłowicza, Ormianie wyparci z własnych siedzib przez Tamerlana, zaszli na Ruś Czerwoną, długiemi wypłenioną najazdy. Lud ten przemyślny, wspierający się na wzajem, wkrótce zaludnił i podźwignął tę krainę. Za ich przybyciem żyzne niwy pokryły się zbożem, a miasta: Śniatyń, Kołomyja, Bohorodczany, Łysice, Stanisławów, Tyśmienica, Kutów, Jazłowiec, Chocimierz, Tłumacz, Buczacz, Brzeżany, zapełniły się ludem i były składem mnogich towarów. Mianowicie prowadzili handel wyziną, zbożem i końmi; sprowadzali płody wschodnich krain, i te aż do krańców zachodniéj Europy przesyłali. Ich zwierzchnikiem był Biskup, on umawiał się z rządem o ich przywileje, on nad niemi wywierał władzę duchowną i świecką. Warowny gród Jazłowca, udzielił im dostatecznéj ochrony od napaści Wołochów, tam więc osiadł ich Biskup, tam była stolica ich wiary, handlu i przemysłu. Bogactwa Ormianów podnieciły łakomstwo dziedzica Jazłowca. Bezsilny i rozprzężony rząd ówczesny, nie udzielał obrony mie-

http://rcin.org.pl

szkańcom, przeciw samowolności pojedynczych panów. Cała ludność Ormiańska porzuciła Jazłowiec i przeniosła się do Lwowa. Od téj chwili już się nie podźwignęło to miasto. Nieurodzaj, głód, morowa zaraza spadła na Jazłowieckich; szczęście obumarło im w koło. W rozległych bazarach niepłoszone gnieździły się sowy i wtórowały nocą dziennym krakaniom kruków snujących się dla ścierwa. Xiężyc krwawo wschodził, a miesiąc za miesiącem upływał z dostatkiem Jazłowieckich. Podróżni z przestrachem zwracali od Jazłowca drogę, a sąsiedzi okopali się zbrojno od powietrza. Czuł pan na Jazłowcu położenie swoje i gorycz winem uśmierzał. Nareście nędznie zginął; a Iazłowiec spalił się od ognia piorunowego.— Tam od owego czasu, z gór na wiosnę i jesień, woda zatapia pola, a latem upał zboże wysusza. —Takie jest podanie wiejskiego ludu o zwaliskach Jazłowca, zachowano je w piosnkach i obrzędach tchnących poezyą, które w pierwszéj pełni za powrotem wiosny obchodzą. I mniemają wieśniacy, że w chwilach gdy słońce kona, promień jego kształci czasami w obłokach, naprzód złotą przepaskę, potém złoto-włose dziecię, na głowie mające wianek, w prawéj krzyż, a w lewéj kwiaty. Jest to za wcześnie zgasły ostatni potomek domu Iazłowieckich: wówczas dziewczęta śpiewają:

Złote dziecię na obłokach,
A na głowie w kłosach;
Wróży ludziom żniwo polu,
Nam barwinek w włosach.

* *
*

Krzyż pokuta, krzyż zbawienie,
Czart krzyża się boi;
Ach! to dziecię Boża łaska,
Wierzcie ludzie moi.

* *
*

Boża łaska, przebaczenie,
Choć nieszczęście gniecie;
Choć Bóg w gniewie twarz odwrócił,
Pamięta o świecie.

Krajobraz zwalisk Jazłowca jest jednym z najpiękniejszych.

Na zachód ku wodom Dniestrzańskim wyrzyna się ogromny ząb góry spadzistéj, któréj korzeń rozwija się ku północy, i kształci przepaść, przechodzącą może trzykroć wysokość wieży Swięto-Krzyskiéj w Warszawie. W téj przepaści obustronnie stygną chatki Jazłowieckie, bo tylko południowe letnie słońce je ogrzewa. Nad przepaścią na górze, duma czarny zamek, czem był Jazłowiec dawniej, a czém teraz.

Jeden ze znakomitych poetów naszych trzymając się wiernie podania o Jazłowcu, ułożył dumę, którą zamieszczamy jako dopełnienie tego artykułu.

## D U M A.

Minęła burza, deszcz gęsty ustawał,
Jak słaby odgłos kończącéj się bitwy,
Grzmot się mdlejącym hukiem słyszeć dawał;
Ciemne obłoki, lotnemi gonitwy
Znikły, a słońca wieczornego siły,
Ognistym ponsem horyzont okryły.
Właśnie się zbliżał pod zamek wyniosły,
Na szczycie przykréj skały postawiony,
Gęste go bluszcze, w około obrosły,
Strzaskane baszty i mur wyszczerbiony.
Mostu i bramy łańcuchów żelaznych
Już tylko szczątki w znakach nie wyraźnych.
Gdym sobie dumał z żałosném przejęciem,
Postrzegłem starca sędziwéj urody,
Klęczał na głazie, wietrzyk lekkiém wzdęciem,
Kędziory siwéj podnosił mu brody.
W ręku paciorki, z czołém nachyloném
Modlił się Bogu głosem przytłumionym.
Gdy wstał, ja rzekłem: »Ojcze mój sędziwy!
Jakież w tych miejscach okropne zburzenie!
On na to, długie przerwawszy milczenie,
»Wszystko to sprawił, gniew Boga straszliwy.
Powiemć, com słyszał od mojego dziada,
Co dziad mój słyszał od swego pradziada.
Nie jeden temu wiek pewnie ominął,
Jak w tym tu zamku, gdzie te sterczą ściany,
Za Władysława co pod Warną zginął,
Zył Jazłowiecki rycerz zawołany;
Nikt mu nie sprostał, z bułatem skrwawioném,
Pędził Tatary, za Dniestrem i Donem.
Bodajby nigdy Jazłowiecki śmiały
Nie znał był innych gonitw i zabawy,
Lecz młody, dumny, rozwięzły, zuchwały,
Boskie i ludzkie pogwałcił ustawy,
Z zapędem ślepym i nie powściągnionym,
Rozpuścił wodze swym chuciom szalonym.
Nigdy tu słodkie nie postały cisze,
Brzmiała muzyka po ogromnéj sali,
Rozwięźli rozkosz jego towarzysze,
Ogromne wina puchary spełniali,
W wieczór tysiączne światła gorejące
I znów biesiady i bluźnierstw tysiące.
Z zranionem sercem, biedna jego żona,
Podnosi w niebo żałosne zrzenice,

http://rcin.org.pl

Ciężką swą rozpacz tuli w głębi łona,
Łza cicha spada na śnieżne jéj lice;
Odchodzi smętna i z oczu mu ginie
Jak cień, kiedy się w światłości rozpłynie.
Wszystko się czarną okryło żałobą,
Od winowajcy świat cały unika,
Postrzegł człek dumny gniew Boski nad sobą.
A gdy go żałość już późna przenika,
Rzuca Jazłowiec, idzie na pustynie,
I tam w zgryzotach, i rozpaczy ginie.
Nie dosyć na tém, zostawił po sobie,
Małego synka, nadzieję jedynę.
Z tym kiedy niańka w nadwieczornéj dobie,
Idzie na wieżą piastując dziecinę,
Nieznaną siłą czuje się trąconą
I puszcza dziecię w przepaść niezgłębioną.
I sama z żalu rzuca się w pieczary
Ani ich potém ujrzano popiołów...
Lecz Bóg, przestępnym chcąc dać przykład (kary
Przyjął dziecinę w liczbę swych aniołów,
Jawić się ludziom dał mu udział boski,
Strzedz ich w przygodach i pocieszać troski.
Jakož dotychczas ten gród opuszczony,
Luba dziecina odwiedzać przychodzi,
Czy burza niszczyć ma rolnika plony,
Czy trwoga padnie okropnéj powodzi,
Maleńka dusza wraz się ukazuje,
Daje przestrogi, pomaga, ratuje,
Nie raz gdy matce zasłabieje dziécię,
Mały aniołek natychmiast przybywa,
Woń słodka jego oznajmia przybycie,
A jasne światło skronie mu okrywa;
Słodkiém nuceniem przerywając ciszę,
Białą swą rączką dziecinę kołysze.
A jeżli Boskie zrządzają wyroki,
By się dni dziecka zbyt wcześnie przerwały,
Widziano nie raz jak ów anioł mały
Niosąc je z sobą wzbijał się w obłoki,
Z schyloném czołem przed Wszechmocnym sta- (wał,
I dziecię w poczet Cherubów oddawał.
Tak zbrodnie ojca, syn błogosławiony
Swojém u niebios nagradza wstawieniem.
Tu skończył starzec głęboko wzruszony;
Ja com com go słuchał z tkliwém rozrzewnie- (niem,
Jak rzecz w ojczystéj wydarzoną ziemi,
Skreśliłem starca wyrazy własnemi.

---

## ULICA W ALGIERZE.

Miasto Algier niegdyś stolica groźnych korsarzy, którym hołd opłacać musiały pomniejsze państwa Europy, i gdzie tyle tysięcy chrześcian jęczało w więzach, dostało się nareście w moc Francuzów w roku 1830. Zwycięztwo to i uskromienie zuchwalstwa barbarzyńców, uświetniło panowanie Karóla X i oręż marszałka Bourmont. Algier zbudowany jest na pochyłości góry, w kształcie amfiteatru; ulice jego są ciasne i kręte, jak we wszystkich miastach Azyatyckich. Jedna tylko ulica Babazun, którą wyobraża nasza rycina, jest tak szeroka, iż czterech ludzi może iśdź obok siebie; ona była siedliskiem handlu całego Algieru. Tam pośród dymu tytuniu, w ciemnych i cuchnących sklepach, załatwiano najważniejsze interessa; tam wyrabiano drogie materye ze złota i z jedwabiu; wyprawiano ładunki do Europy; tam obok sklepu kupca szalów, był sklep Kadego: gdyż i Kady sklep trzymał podobnie jak kupiec i rzemieślnik; tam mieszkali także fabrykanci obuwia i najzręczniejsi tkacze materyi i czapraków. Już od samego świtu, ulica Babazun zapełniona była tłumem ludzi. Niegdyś widziano tam niewolników chrześciańskich, doznających jak najsroższego obejścia.

Najznamienitsze kawiarnie znajdują się na ulicy Babazun; są one niezbędne dla gnuśnych mieszkańców Wschodu. Ale daremnie szukalibyśmy w nich świetnego przybrania, jakie odznacza nasze znamienitsze kawiarnie. Sala niska, ciemna i zadymiona, przy któréj ścianach stoją ławki grubą matą okryte, w kącie ognisko do gotowania herbaty, oto są wszystkie sprzęty kawiarni w Algierze. Nie jest to miejsce rozmów, lecz milczącego dumania, świątynia bezczynności. Częstokroć tę gnuśną szczęśliwość przerywa niespodziane przybycie człowieka, który jak szalony wpada do kawiarni. Trzyma w ręku stary pałasz, odzież, sprzęt domowy, fajkę, lub co podobnego. Jest to obwoływacz sprzedaży przez licytacyą, który od jednego rogu ulicy do drugiego, szuka kupujących; przesuwa ci szybko przed oczyma przedmiot który chce sprzedać; chciwe spojrzenie wlepia w każdego i chrapliwym głosem powtarza ostatnią cenę, aby wyższą otrzymał.

Ci obwoływacze znajdują się w znacznéj liczbie, i niezmiernie są natrętni. Do miejsc wypoczynku, prócz kawiarni i łazienek, należą także golarnie. W kraju, gdzie liczba znaczna mieszkańców każę sobie codzień golić głowę i część brody, golarze mają bardzo wiele do czynienia. W ich sklepach jest mnóstwo gości, którzy codzień przepędzają tam kilka godzin i siedząc na sofach, palą tytuń i piją kawę. Balwierze Algierscy są

http://rcin.org.pl



najzręczniejsi na całym świecie. Częste bywały przypadki, że balwierz Deja wyniesiony był na stopień znamienity.

Taka była ulica Babazun, wprzódy nim Francuzi zajęli Algier.

http://rcin.org.pl

## OSTATNI DZIEŃ MIASTA POMPEI.

(Dokończenie.)

Glauk odwrócił się, przejęty radością, z przerażeniem pomięszaną; porwał Jonę na ręce i zaczął uciekać wzdłuż oświeconéj jeszcze ulicy. Gęsta ciemność nagle pokryła powietrze. Mimowolném poruszeniem podniósł oczy ku górze: o dziwy! jeden z olbrzymich szczytów jéj wierzchołka chwiał się z prawéj na lewą; potém, z łoskotem którego okropności żaden język ludzki wydać nie zdoła, oderwał się od pałającéj swojéj podstawy, i jak ognista lawina runął z wierzchołka góry. W téjże chwili czarna massa dymu wzniosła się i rozwinęła swe kłęby po powietrzu, wodach i ziemi.

Nowy deszcz popiołów, i drugi, i jeszcze trzeci, daleko obfitsze niż te co je poprzedziły, znowu zniszczenie rozniosły po ulicach. Ciemność znowu ich otoczyła jak gdyby zasłoną, i Glauk dotąd niezłomny, poddał się wreście rozpaczy, usiadł pod zachroną arkady, a przytulając Jonę do serca, czekał śmierci.

Tymczasem Nidya rozdzielona przez tłumy od Glauka i Jony, nadaremnie starała się połączyć z niemi. Na próżno wydawała ów krzyk jękliwy, właściwy niewidomym; krzyk ten ginął wśród tysiąca innych, które zgroza lub samolubstwo wyciskały. Kilka razy powracała na miejsce gdzie byli rozdzieleni; czepiała się każdego uciekającego, pytając o Glauka; odpychano ją z niecierpliwością rozpaczy. I któż miał wtedy czas zajmować się innym jak sobą? W tych chwilach powszechnéj zgrozy, najstraszliwszém może jest nieludzkie samolubstwo. W końcu, pomyślała Nidya, że ponieważ postanowili szukać ucieczki po nad brzegiem morza, kierując się ku téj stronie najpewniéj znajdzie przyjacioł. Oparta więc na kiju, który zawsze ze sobą miała, nie przestaje z niepodobną do uwierzenia zręcznością unikać stosów rozwalin zapełniających drogę, rozpoznawać rozmaite ulice, i dzięki wiecznéj ciemnocie wzroku, tak zasmucającéj w zwyczajnym ciągu życia, dostaje się nad brzeg morski, jak najkrótszą ścieszką.

Biedne dziewcze! jakże piękną była jéj odwaga! Los zdawał się bydź przychylnym istocie pozbawionéj wszelkiéj opieki. Płomieniste potoki nie tykały jéj; ogromne szczęty żużli druzgotały bruk przed nią i obok niéj, oszczędzając wątłe jéj członki; gdy drobne popioły spadały na nią, wstrząsnieniem ich się pozbywała (*) i bez bojaźni szła w dalszą drogę.

(*) Gęsty deszcz popiołów padał na nas, co chwila musieliśmy otrząsać się, aby ich ogrom nie zgniótł nas i nie zagrzebał.

*Pliniusz.*

Słaba, na wszystko narażona, a jednak nieulękła, jedyną żądzą utrzymywana, godłem była Psyszy... nadziei przebiegającéj miasto cieni, godłem duszy saméj, lecz spokojnéj, śród niebezpieczeństw i sideł życia!

Bieg jéj jednakże utrudzały tłumy, które już to posuwały się w ciemności, już to korzystając z błyskawicy podwajały kroku. Nakoniec gromada osób niosących pochodnie, potrąciła ją gwałtownie i obaliła na ziemię.

—»Co! zawołał któś z téj gromady, czy to odważna niewidoma? Na Jowisza, nie dozwólmy jéj tu umierać! Wstawaj Tessalko! Czyś zraniona? Nie: pójdź więc z nami; idziemy nad brzeg morski!

—»Salustyuszu! to twój głos! Niechaj bogowie pochwaleni będą! Glauk! Glauk! czy widziałeś go?

—»Nie; musiał już pewnie wyjśdź z miasta; bogowie co go wyrwali z paszczy lwa, potrafią go uchronić przed płomienistą górą.»

Epikurejczyk temi słowy starał się uspokoić Nidyę, i ciągnął ją ku morzu, nie zważając na rzewliwe jéj prożby, aby zaczekać chwilę i poszukać Glauka; ona jednakże nie przestawała z rozpaczą powtarzać to imie ukochane, które wśród ryku wzburzonych żywiołów, było jakoby łagodną muzyką dla jéj serca.

Nagłe oświecenie, wielki wybuch potoków lawy i trzęsienie ziemi któreśmy wyżéj opisali, nastąpiło właśnie w chwili, gdy Salustyusz i jego towarzysze przyszli na ścieszkę wiodącą prosto z miasta do przystani. Zatrzymały ich w tém miejscu nieprzeliczone tłumy, składające się prawie z połowy ludności. Tysiące osób rozpraszało się na polach po za miastem, nie wiedząc w którą stronę uciekać. Morze bardzo daleko wystąpiło ze zwyczajnych granic, a ci którzy ku niemu śpieszyli, tak byli przerażeni wzburzeniem żywiołów, tą nadprzyrodzoną jego ucieczką, dziwacznemi kształty przedmiotów które bałwany składały na piasku, łoskotem który kamienie wyrzucone z góry czyniły wpadając w wodę, iż się cofnęli, mniéj lękając się ziemi aniżeli morza. I tak, dwa te potoki ludzi, z których jeden dążył ku morzu, a drugi od niego uciekał, spotkawszy się pełne rozpaczy i niepewności, pocieszały się smutnie tą myślą, jak wielka ich była liczba.

—»Swiat ma bydź zniszczony ogniem, rzekł starzec przybrany w długą pływającą szatę; był to filozof ze szkoły stoików. Nauka Zenona i Epikura zgadza się w tym punkcie, i godzina przyszła.

—»Tak jest! godzina przyszła! rzekł głos uroczysty, nie wyrażający jednak żadnéj trwogi. Przytomni obejrzeli się ze strachem. Głos ten rozległ się po nad niemi; był to

http://rcin.org.pl

głos Olintha, który otoczony chrześcianami, zajmował spadzisty wzgórek, gdzie starożytni Grecy wznieśli świątynię Appolinowi, na wpół teraz walącą się w gruzy.

Gdy mówił, mignęła nagła błyskawica, która poprzedziła śmierć Arbacesa, a gdy złowróżbe światło rozlało się na tę obszerną tłuszczę, przelękłą, czołgającą się, oddychającą zaledwie, nigdy twarze ludzkie nie okazały się tak zbłąkane, nigdy zgromadzenie śmiertelnych nie przedstawiło do tego stopnia posunionego wyrazu zgrozy i przestrachu, nigdy, dopóki trąba ostateczna nie zabrzmi, nie ukaże się widok podobny! A po nad wszystkiemi wznosiła się postać Olintha, z ręką wyciągnioną i proroczym czołem uwieńczoném płomieniami. Wówczas tłum rozpoznał rysy tego, którego wydał na pożarcie tygrysowi, człowieka który był niegdyś jego ofiarą, teraz jego prorokiem. W pośród milczenia, głos jego raz jeszcze się rozległ.

—»Godzina nadeszła!»

Chrześcianie okrzyk ten powtórzyli, a za niemi lud cały; na wszystkie strony, niewiasty, mężowie, dzieci, starcy, wszyscy smutnym i głuchym zawołali głosem.

—»Godzina nadeszła!»

W téj chwili dzikie wycie rozdarło powietrze. Straszliwy tygrys pustyń Afryki, pragnąc tylko uciekać, sam nie wiedząc w którą stronę, rzucił się pomiędzy tłumy i zaczął biegać wśród fal jego rozdzielonych. W tém ziemia się zatrzęsła, a potém ciemności powlokły wszystko.

Tymczasem nowi uciekający przybyli. Niewolnicy Arbacesa, przywłaszczając sobie skarby, o które ich pan nie mógł się już dopominać, połączyli się z nagromadzonym tłumem. Jedna tylko z ich pochodni paliła się jeszcze; niósł ją Sozya, a gdy światłość padła na twarz Nidyi, poznał Tessalkę.

—»Na cóż ci się teraz przyda wolność? spytał niewolnik.

—»Kto ty jesteś?.. Nie możesz mi dać jakiéj wieści o Glauku?

—»Widziałem go przed chwilą.

—»Błogosławieństwo na twoją głowę! A gdzieżeś go widział?

—»Leżącego pod arkadą w forum... umarłego lub też umierającego!... Poszedł złączyć się z Arbacesem, który także nie żyje!»

Nidya ani słowa nie rzekła. Zwolna oddaliła się od Salustyusza; w milczeniu przeszła przez tłumy i wróciła do miasta. Przybyła do forum; do arkady; schyliła się, szukała w około siebie ręką, wymówiła imie Glauka. Słaby głos jéj odpowiedział:

—»Kto mnie woła? czy to głos jakiego ducha? Jestem gotów.

—»Wstawaj! idź za mną! weź mnie za rękę! Glauku będziesz wybawiony!»

Pełen podziwienia i niespodzianéj nadziei, powstał Glauk.

—»Zawsze Nidya! Toś więc ocalała?»

Czułość i radość przebijające w tych wyrazach, przeszyły serce biednéj Tessalki, i pobłogosławiła mu że o niéj pomyślał.

Na wpół wlokąc, na wpół niosąc Jonę, Glauk szedł za swoją przewodniczką. Nidya z zadziwiającą przezornością ominęła ścieszkę wiodącą wśród tłumu i inną drogą udała się nad brzeg morski.

Zatrzymawszy się po kilkakrotnie, przy pomocy niepodobnéj do uwierzenia wytrwałości, przybyli nakoniec nad morskie wybrzeże i połączyli się z gromadą osób, śmielszych od innych, które na wszystko wolały się raczéj odważyć, niżeli pozostać wśród takiego zniszczenia. Wsiedli na statek pośród ciemności; Jona wycieńczona utrudzeniem zasnęła na łonie Glauka, a Nydya siedziała przy jego nogach. Deszcz popiołów padał na wodę i łódź okrywał. Niesiony wiatrami, deszcz ten zaleciał do najdalszych krain, zadziwił czarnego Afrykanina i w kłębach toczył się po starożytnéj ziemi Syryi i Egiptu.

---

Piękna, miła, pogodna, pokazała się przecież jutrzenka na drżącéj wód przestrzeni. Wiatry cichły, piana gasła na błękicie rozkosznego morza. Na wschodzie, lekkie wyziewy, odbijały coraz to bardziéj różowy brzask poranny; światło miało odzyskać władzę swoją. Jednakże pokazywały się jeszcze w oddaleniu nieruchome i ciemne odłamy niszczącéj góry, a czerwone pasmo, ale coraz to słabnące, wskazywało że jeszcze płonie. Już nie było świetnych kolumn i murów, zdobiących to czarowne wybrzeże. Smutną, grobową postać, przybrała okolica gdzie niegdyś były miasta Herkulanum i Pompei; te miasta ukochane dzieci morza, wydarte zostały z jego objęć. Przez długie pasmo wieków daremnie wyciągać będzie swoje błękitne ramiona, już ich nie znajdzie, jęcząc na grobie zatraconych dzieci!

Majtkowie nie wydali krzyku radości na widok zorzy; za bardzo znużeni byli: ale po tak długiéj i okropnéj nocy, pocichu wyrzekli dziękczynne modły, z uśmiechem spojrzeli po sobie, odzyskali odwagę i uczuli znowu że jest świat w około nich i Bóg na niebie! Przekonani, iż największe niebezpieczeństwo już przeminęło, ci, którzy najbardziéj byli utrudzeni, wpadli w sen łagodny; z dniem odradzała się cisza i okręt spokojnie płynął do miejsca swego przeznaczenia. Gdy wszystko spało w około nich, Nidya wstała po cichu, pochyliła się nad

http://rcin.org.pl

twarzą Glauka, szukała jego ręki... ta ręka ściskała rękę Jony. Nidya westchnęła głęboko i zachmurzyło się jéj czoło.

»Niechaj cię Bogi błogosławią, Ateńczyku: rzekła cicho. Obyś szczęśliwym był z kochanką twoją! obyś niekiedy przypomniał sobie Nidyą! Niestety! już się ona na nic nie przyda na ziemi.» To rzekłszy, odeszła na drugi koniec statku; tam pochyliła się nad wodą; świeża piana obmyła jéj pałające czoło. Wonne powietrze wzruszało pływające sploty jéj włosów, odgarnęła je, a wznosząc oczy tak tkliwe, chociaż pozbawione światła, ku niebu, którego błękitu nie widziała nigdy: »Nie, nie, rzekła zamyślona, nie zdołam znieść tego stanu, miłość zazdrosna wzburza moją duszę i pozbawia mię rozumu! Ocaliłam go... dwa razy... słodka i szczęśliwa myśli!... Dla czegóż nie mam umrzeć szczęśliwie!... O morze święte! głos twój miłym jest twojéj boleści. Spoczynek! spoczynek! nic ma innego Elizu dla mego serca.»

Majtek drzymiący na pokładzie usłyszał lekki odgłos na kształt ciała spadającego w wodę, na pół otworzył oczy i zdało mu się, że widzi za łodzią szybko płynącą, jakąś postać białą, która wkrótce znikła w głębinie... odwrócił się i widział we śnie dom swój i dzieci.

Gdy się obudzili kochankowie, pierwsza ich myśl była o sobie, druga o Nidyi. Nigdzie jéj nie znaleziono! Glauk i Jona odgadli jéj los i zbliżywszy się do siebie: gdyż jedno dla drugiego starczyło za świat cały: zapomnieli o swojém oswobodzeniu, i płakali straty Nidyi, jak siostry.

## WANILIA.

Ze wszystkich korzeni, wanilia jest może najprzyjemniejszą i najbardziéj poszukiwaną; a przecież mało kto ma o niéj dokładniejszą wiadomość. Pod słońcem równika, tam gdzie życie najczynniéj krąży w organicznéj naturze, gdzie skrzydła ptaków zdobią się najpiękniejszą barwą, gdzie kwiaty tchną najmocniejszą wonią, gdzie najsłodsze rosną owoce, w środkowych okolicach Ameryki, znajduje się wanilia. Tam wybiera miejsca niskie, nadmorskie i ciągłą opatrzone wilgocią. Jest to roślina wijąca się, ale wkrótce dosięga wierzchołków najwyższych drzew i z niemi razem tworzy zielone sklepienie lasu. Główne łodygi są zielone, grubości małego palca, wewnątrz napełnione kleistym sokiem, przecinane węzłami. Przy każdym z tych węzłów wyrasta liść długi na kilka calów. Kwiaty waniliowe nie mają żadnéj woni. Owoc długi do sześciu lub siedmiu calów, grubości małego palca, lekko w łuk zgięty, mięsisty; dzieli się na dwie pochewki napełnione mnóstwem czarnych ziarnek nie wydających woni; każda roślina waniliowa, wydaje za zwyczaj pięćdziesiąt takich owoców.



Uprawa rośliny waniliowej rosnącéj saméj z siebie, nie potrzebuje żadnego zachodu, ale za to przygotowanie jéj owocu wymaga drobiazgowéj pracy. W Gujanie, mówi pewien naturalista, nawlekają jak paciórki, po kilkanaście owoców waniliowych tuż przy ogonku; zanurzają je na chwilę w wrzącéj wodzie, aby zbielały. Potém przez kilka godzin suszą je na słońcu. Nazajutrz za pomocą pióra, napuszczają ją oliwą, aby zwolna wysychały i zawsze zachowały wilgoć; okręcają je potém nitką bawełnianą umaczaną w oliwie. Gdy tak schną zawieszone, wycieka znich ciecz tłusta, i lekko je ściskają, aby prędzéj wyciekła. Potém nabywają koloru ciemnego; są na pół uschłe i tracą trzy czwarte części grubości. W takim stanie pakują się w słoje i już wchodzą do handlu.—Odróżniają w handlu trzy gatunki wanilii, które są odmianami tegoż samego owocu, podług mniejszej lub większéj ich aromatyczności.

Wanilia obficie rośnie w St Domingo, w Kajennie, na brzegach Caraque, Kartageny, na międzymorzu Panama. Dziwić się trze-

http://rcin.org.pl

ba że w osadach leżących pod tąż samą strefą nie upowszechniono wanilii, tém bardziej że przyjmuje się bardzo łatwo i bez żadnego hodowania. Latorośl porzucona pod drzewem sama puszcza korzenie, po trzech latach daje owoce i nie przestaje wydawać ich przez lat czterdzieści.

## ORLEŃ albo ORZEŁ MORSKI.



W Zoologii Jarockiego znajdujemy opisanie ryby, któréj załączamy rycinę.

»Głowa duża, aż poza oczy przed nasadę pletw piersiowych wysuniona. Oczy wielkie, wypukłe, na bokach głowy przy nasadzie pletew piersiowych. Otwory słuchowe długie zaraz za oczami. Zęby w paszczy duże, płaskie i tępe. Ciało bardzo szerokie, czworokątne, pospolicie gładką skórą pokryte. Pletwy piersiowe w tył ścięte, rozwinionym skrzydłom orła podobne, przy oczach zaczynające się. Ogon bardzo długi i bardzo szczupły, bez pletwy na końcu. Na spodzie ogona, potężny, długi, z dwóch stron piłowato zębaty kolec. Pletwa grzbietowa mała, na wierzchu ogona bliżéj jego nasady niż kolec. Pletwy brzuchowe mierne.»

Ryba ta dochodzi do bardzo znacznéj wielkości, a mianowicie w morzach podzwrotnikowych, tak, iż waży niekiedy 500, a nawet 800 funtów, znajduje się tylko w strefie gorącéj i umiarkowanéj, w miejscach głęboko mułem pokrytych; żywi się małemi rybkami. Kolec który ta ryba ma przy ogonie, bywa czasem długi na cztery lub pięć cali, wycięty w zęby jak piłka; ukłócie jego jest niebezpieczne, i ryba ta zabija nim zwierzęta, któremi się żywi. Starożytni pisarze lubiący przesadę, jakoto: Oppien, Pliniusz i Ellien, zapełnili pisma swoje opowiadaniem zgubnych skutków trucizny, którą kolec téj ryby, mieścił w sobie podług ich zdania. Przekonano się późniéj, iż mylili się co do trucizny, jednakże ukłócie przez ten kolec zadane, jest bolesne i częstokroć niebezpieczne. Mięso téj ryby jest nieprzyjemne i niestrawne, sama tylko wątroba wydaje wiele tłuszczu i przyda się do jedzenia.

---

Z 26 zeszytem kończy się półroczna prenumerata na Muzeum Domowe. Uprasza się prenumeratorów półrocznych o wczesne odnowienie zapisu.

CENA PRENUMERATY

MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, W KANTORZE GŁÓWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.

Na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych i za granicą, rocznie zł 21, półrocznie złp. 11.

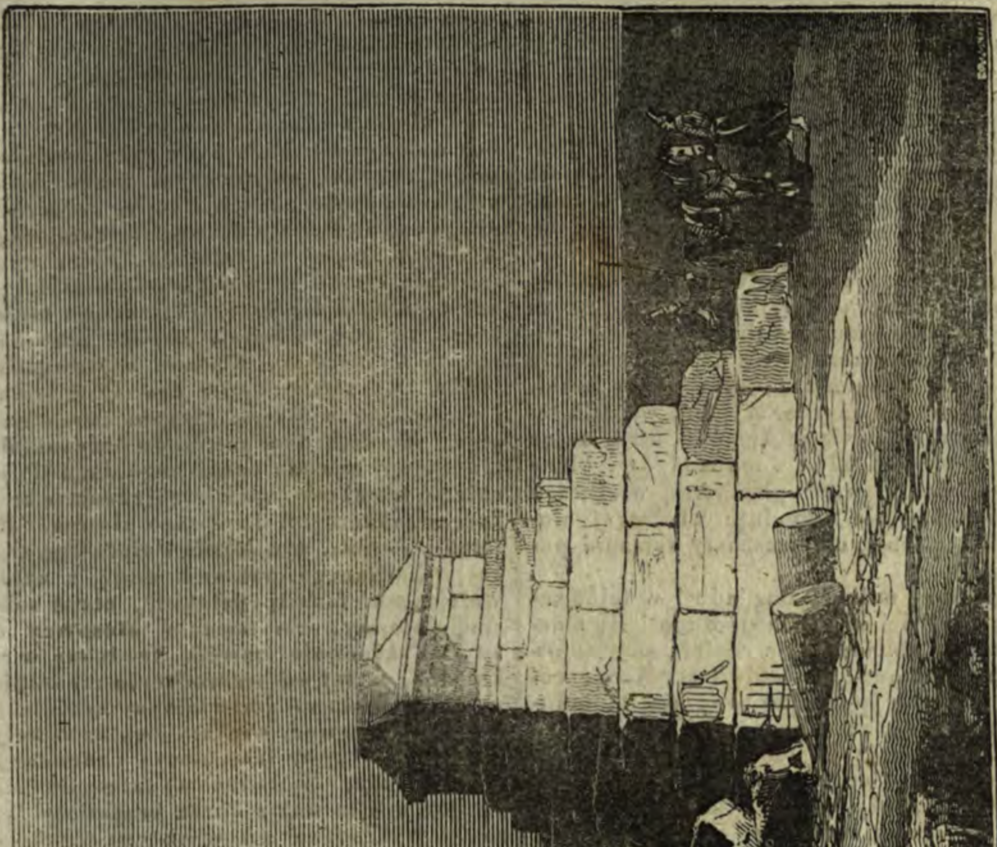
Można także prenumerować na Urzędach Pocztowych oraz u następujących xięgarzy.

w Kaliszu u Jahnischa.
w Radomiu w xięgarni tamtejszéj.
w Lublinie u Streibla.
w Poznaniu u T. Scherka.
w Krakowie u Friedlejna i Czecha.
w Wilnie u Zawadzkiego.
tamże u T. Glücksberga
w Winnicy na Podolu i) w xięgarniach braci Lechów
w Kamieńcu Podolskim.)

Osoby prywatne na prowincyi zamieszkałe, któreby raczyły dopomódz upowszechnieniu pożytecznych nauk przez zatrudnienie się zbieraniem prenumeraty, otrzymają na 10 exemplarzach 11sty gratis.

---

http://rcin.org.pl



## CO POZOSTAŁO Z BABILONU?

Izaiasz prorok przepowiedział zupełne zniszczenie Babilonu, wyrzekł że nigdy więcej zamieszkanem nie będzie; że się nie odbuduje aż do końca wieków, że Arabowie nie rozbiją tam namiotów, pasterze nie przyjdą tam na spoczynek.

Ziściły się te proroctwa. Babylon w rzeczy samej zniknął z powierzchni ziemi. Dro-

http://rcin.org.pl

gi któremi do niego napływały bogactwa świata, zatarły się z pamięci ludzkiéj, a wielkie miasto zagubione zejszczętem, jest tylko przedmiotem sporów pomiędzy uczonemi. Jedni biorąje za jedno z miastem Suza i Niniwą, drudzy z Seleucyą, inni nareście z Bagdadem. Pliniusz i Strabon przypisują upadek Babilonu wzrostowi Seleucyi; Strabon, oznacza położenie Bagdadu o trzysta stacyów od Babilonu. Tak więc te trzy miasta tworzą trójkąt, w którego cyplu stał Babilon, i teraz w tém tylko miejscu podróżni i uczeni szukają zatartych jego śladów. W braku innych zabytków, przyjęto za szczątki Babilonu. Zwaliska których wyobrażenie umieszczamy, a które pospolicie zowią wieżą Nemroda, albo wieżą Babel. Lecz Arabowie zaprzeczają tak wspaniałego nazwiska i zowią je Agarcuf, utrzymując że je zbudował jeden z ich wodzów, który zatykał na téj wieży pochodnią w czasach wojennych. Nie wchodząc w rozstrzygnięcie tych sporów, umieszczamy opisanie pomnika.

O półtory mili od Bagdadu i w tejże samej odległości od Eufratu, wznosi się massa mocno zbudowana z cegieł, piramidalna, uszkodzona po obudwu stronach; cegły z których ją zbudowano, nie są palone, lecz tylko suszone na słońcu, leżą na płask i trzymają się jedne drugich tąż samą ziemią z któréj je robiono. Na warstwie tych cegieł, leży warstwa ziemi, a potém warstwa słomy i sitowia, na krzyż ułożone. Za nią znowu idzie pokład cegły i tak daléj aż do wierzchołka. Budowa ta nie ma wydrążenia wewnątrz; o czém przekonano się rozwalając jéj część dla szukania skarbów, które jak mniemano znajdują się we wszystkich dawnych gmachach. W niejakiéj odległości leżą odłamy murów z cegły palonéj, które wziąźby można za szczątki pałacu. Jakiż mógł bydź użytek téj wieży? nie można jéj uważać za świątynie i warownię. Możnaby ją poczytać za dostrzegalnią, gdyby nosiła jakie ślady schodów. W teraźniejszym stanie ma około sto stóp wysokości. Cóżkolwiekbądź, ten stos ziemi i głazów jest jedynym zabytkiem miasta, słynącego niegdyś potęgą i przepychem.

---

## ŻYCIE JANA POTOCKIEGO.

*Wyjęte z Nru* 6go *Wizerunków naukowego w Wilnie.*

Do pierwszego rzędu uczonych ludzi osiemnastego wieku w Europie, należy bez żadnéj wątpliwości Jan Hrabia *Potocki.* Liczne jego dzieła podróżom i badaniom historycznym poświęcone, noszą cechę sumiennéj dokładności, tak w relacyach wędrowniczych, jak i w poszukiwaniach dziejopisarskich, a przytém wytrwałości w pracy niczém niezmordowanéj. Cokolwiek weźmiemy z płodów tego oryginalnego geniuszu, wszędzie znajdziemy to namiętne przywiązanie do nauk, które się podoba czytelnikowi i niejako zobowiązuje go dla pisarza, a bez którego nie może bydź ani prawdziwie uczonym, ani pożytecznym przez pisma swoje dla społeczności. Pamięć Jana *Potockiego* odnowił teraz dla świata czytającego, *Klaproth*, znany Orjentalista, przez nowe wydanie w roku 1829 w Paryżu, dwóch jego ważnych pism dla historyi i trzeciego mniejszego, to jest: *Podróży w Stepach Astrachańskich* i *Kaukazkich*, *Historyi pierwiastkowéj ludów, które zamieszkiwały dawniéj te krainy*, i *Pamiętnika o Nowym Peryplu morza czarnego.* To daje nam powód do przypomnienia całego zawodu naukowego Jana Potockiego, ziomkom jego i przebieżenia w krótkości znakomitych dzieł tego pisarza. Jan Hrabia *Potocki,* syn Józefa Potockiego krajczego koronnego, potomek jednéj z najdawniejszych familij polskich, obrał sobie spokojniejszy, ale bardziéj stosowny do swoich skłonności zawód. Urodzony w roku 1761, wziął od przyrodzenia nieocenione dary, i skąpo śmiertelnym udzielane: bo wielką pamięć, większy jeszcze dowcip, niezmiernie żywą imaginacyą i zamiłowanie w pracy. Staranne wychowanie rozwinęło w nim wszystkie te przymioty, ale nauki wykładane mu w obcych językach, podług ówczesnego zwyczaju w możnych domach w Polsce, i wreście dla łatwości w sprowadzaniu cudzoziemskich nauczycieli, pozbawiły *Potockiego* przyjemności ogłaszania owoców swojéj pracy w rodowitym języku. Pisał bowiem po francuzku, co mu łatwiéj przychodziło i co byłoby prędzéj rozszerzyło tak pożyteczne wiadomości, które ogłaszał, jak zarazem i sławę jego, gdyby przez szczególniejszą oryginalność, nie drukował wszystkich prawie dzieł swoich w liczbie tylko sta exemplarzy. Ztąd najważniejsze pisma Jana Potckiego, tak są dziś rzadkie, że zaledwo w pierwszych bibliotekach znaleźć je można. Wyćwiczony w wielu nowych i starożytnych językach, do których zawsze okazywał wielką łatwość, oddał się zaraz z młodości czytaniu klassyków i pisarzy średnich wieków, a między niemi najchciwiéj wartował dziejopisów. Zgłębiając z największą uwagą różne pomniki historyczne, od Greków i Rzymian nam zostawione, i niektóre pisma wędrowników i jeografów pomniejszych, wpadł na myśl pilniejszego śledzenia początków Sławiańskich, wielkiéj gałęzi rodu ludzkiego, do któréj sam należał. Zdaje się, że wyjaśnienie pierwiastków tego plemienia, za-

http://rcin.org.pl

łożył za cel wszelkich swoich usiłowań i pracy w ciągu całego życia; ale gdy prawie niepodobna jest, jako powiada Klaproth w przemowie do wyżéj wymienionych dzieł *Potockiego*, śledząc początku jednego wielkiego pokolenia ludów Jafetycznych lub Indo-Germańskich, nie objąć razem innych gałęzi tego szczepu, rozszerzone badania wciągnęły go w daleko większe prace etnograficzne i historyczne. Nie przestając na tém, rozumiał Potocki, że do gruntownego pojęcia i objaśnienia starożytnych pisarzy, potrzeba poznać miejsca, w których zaszły wypadki, jakie oni opisali. Tą wielką prawdą przejęty, dogadzając razem wrodzonéj chęci wędrowania, gdy mu znaczna fortuna wszelką do tego łatwość podawała, udał się naprzód na zwiedzenie wszystkich brzegów morza śródziemnego. W roku 1778 i 1779 objechał Włochy, Sycyliją i Hiszpanią. Te pierwsze podróże, chociaż w bardzo młodym wieku odbyte, przygotowały go jednak korzystnie do dalszych i tak dalece zajęły umysł chciwy coraz większego światła i coraz nowszych wiadomości, że kilka lat następnych, z małą przerwą, strawił na odległém i pełném trudów wędrowaniu. W roku 1784 zwiedził, Turcyą i Egipt, a w roku 1787, po powrocie do Europy, przypatrywał się bliżéj Hollandyi, podczas jéj rewolucyi. Potém, po krótkim pobycie w Paryżu, wróciwszy w roku 1788 do Polski, osiadł w Warszawie i cały się oddał wydawaniu dzieł, które pisał bez przerwy w ciągu dalekich swoich podróży i w Paryżu. Pierwszą z początku była: *Podróż do Turcyi i Egiptu*, odbyta w roku 1784, in 12mo w Warszawie 1788; ale zaraz potém urządziwszy drukarnią w swoim domu w Warszawie, zrobił drugie wydanie poprawne téjże saméj podróży, z dodatkiem podróży do Hollandyi w roku 1787, w Warszawie, na krajowym papierze, 1789, in 8vo. W ciągu tegoż samego roku 1789, wyszło z téjże drukarni inne dzieło *Potockiego*: *Uwagi nad historyą powszechną i badania o Sarmacyi*; we czterech tomach, 8vo, do którego przyłączone są trzy mappy. Jedna z nich wystawia kraj zamieszkany od Pieczyngów (Patzinacae) i Sabartoasfalów, w dziewiątym wieku ery chrześciańskiéj: druga jest kartą cyklograficzną Pomeranii w téj saméj epoce, ułożoną podług księgi zwanéj *Hormesta Orosii*, tłómaczonéj przez króla Alfreda; a trzecia podobnąż kartą Sarmacyi na rok 900 po Chrystusie. Wszystkie rytowane przez B. Folino, w Warszawie 1789.

Wśród tak pracowityeh zatrudnień, przepędziwszy w Warszawie cały rok 1788 i część 1789, wyjechał na nowo z kraju *Potocki* i wsiadłszy na okręt w Chersonie, popłynął drugi raz do Konstantynopola, zkąd po całorocznym pobycie, w Czerwcu następnego roku udał się dla obejrzenia niektórych wysp Archipelagu. Wylądował potém w Egipcie, zwiedził Kair i znajdował się u stóp olbrzymich piramid w Gizeh. Zkąd nakoniec przejechawszy Tunis i dalsze Barbaresków pobrzeża, dostał się do Maroko i wielką część tego Cesarstwa zwiedził w roku 1791. Jeszcze przed zaczęciem następnego, Warszawa ujrzała młodego wędrownika w murach swoich.

Wkrótce potém zajął się *Potocki* ogromną pracą na jednego człowieka, któréj sam pomysł nawet, jedna mu nie małą chwałę. Aby ułatwić obeznanie się z źródłami historyi Sławiańskiéj, postanowił zebrać i wytłómaczyć na język francuzki wszystkie wyjątki z dawnych kronik, pamiętników i innych pism, stostosując się do dziejów którychkolwiek ludów Sławiańskich. Ten nowy świat historyczny, jak go nazywa autor, miał się zaczynać od wyprawy Daryusza do Scytyi, a kończyć w dziesiątym wieku po Chrystusie. Sześćdziesiąt dziewięć ksiąg w ogóle, miało zawierać dzieje Sławiańskie przez ciąg piętnastu wieków. Potocki opierając się na téj zasadzie, żeby od rzeczy dobrze znanych postępować do nieznanych, a poczytując słusznie dzieje średnich wieków za najpewniejsze, chociaż niedostatecznie zgłębiane, postanowił od nich zacząć swój zbiór Pamiętników, i obeznawszy czytelników z kronikami średnich wieków, tyczącemi się Sławian, iśdź w górę do dziejów piątego wieku przed Chrystusem, a potém ciągnąć swe prace aż do dziesiątego wieku po Chrystusie. Jakoż pierwszy tom tego zbioru ukazał się w Warszawie roku 1793, stanowiący księgę XVII, na dwie części podzieloną, *Kronik, Pamiętników i Badań, do historyi wszystkich ludów Sławiańskich służących, obejmującą koniec dziewiątego wieku ery chrześciańskiéj*: z przyłączeniem téj saméj karty cyklograficznéj, która użytą była do wyżéj wymienionego dzieła tegoż autora o Sarmacyi. Są tu wyjątki z dziejopisów polskich, Bogufała, Długosza, Galla i Stryjkowskiego, po kilka rozdziałów z kronik: Czeskiéj Kozmasa Praskiego, Sławiańskiéj Helmolda, z kroniki Turyngskiéj, podróż Wulfstana, Mitologia Pruska z kroniki Dusburga, historya królów i Cesarzów Lujtpranda. Są także wyciagi z dziejów Kroatów, Serbów i Bulgarów z roczników Fuldeńskich z Nestora i t. d. Wszędzie obok textów łacińskich, polskiego, sławiańskiego, anglo-saxońskiego, przekład francuzki i objaśnienia w tymże języku. Tak ważna jednak praca *Potockiego*, nie była dalej posuniętą. Ciągłe podróże i inne zatrudnienia, oderwały go zapewne

od tego wielkiego przedsięwzięcia, że szkodą dla miłośników sławiańszczyzny.

Po kilku latach pobytu swego w Warszawie, zajęty ciągle jedną myślą badania dziejów rodu sławiańskiego, udał się znowu *Potocki* do Niemiec i tam w lecie roku 1794, jeżdżąc po Xięztwach Meklemburskich i Pomorzu, aż do Hamburga i Lubeki, śledził pilnie starożytności sławiańskie pomiędzy Wendami, którzy będąc gałęzią Sławian, dotąd w krajach tych mieszkają. Następnego roku wyszedł w Hamburgu Dziennik téj podróży pod tytułem: *Podróż do niektorych okolic Niższej Saxonii, dla wyszukania starożytności Sławiańskich i Wendów. In 4to, z wielką liczbą tablic.* Celem tego Dziennika, powiada sam *Potocki*, jest rozszerzenie znajomości zabytków Sławiańskich i zachęcenie do wyszukania ich. Rozprawa napisana w téj materyi więcéjby się zapewne podobała uczonym, ale rozprawa nie byłaby może czytaną od publiczności, cel zatém autora byłby chybiony; dla tego więc noty codzienne swojéj podróży wydał *Potocki*, nie przybierając ich w żadne inne formy. Szczupłe to pismo rzuca jednak wielkie bardzo światło na systemat religijny dawnych Sławian, który mało był znany uczonym Europejskim.

Podróż Jana *Potockiego* po Niemczech przeciągnęła się od następnego roku 1796, i nie była także bez pożytku dla nauk, bo w tymże roku w Brunświku wyszło nowe jego dzieło pod tytułem: *Ułamki historyczne i Jeograficzne o Scytyi, Sarmacyi i Sławianach, zebrane i objaśnione przez Hrabiego Jana Potockiego.* Nie mając pod ręką tego dzieła powtórzymy tylko zdanie o nim Klaprota, który powiada że to jest zbiór historyczny w rodzaju dzieła *Strittera Memoriae populorum.* Przeznaczył go autor dla uczonych swojego narodu, którzyby sobie życzyli poświęcać się badaniom historycznym w krajach zamieszkałych od ludów Słowiańskich. Jest to xiążka bardzo użyteczna, jako ogólny rzut oka na dzieje starożytne i średnich wieków i na to co już jest wiadomém o tych narodach.

Od roku 1797, zaczął się nowy zawód dla Jana Potockiego. Zostawszy poddanym rossyjskim, zamierzył sobie poznać krainy podległe państwu, do którego należał. Wabił go najwięcéj Kaukaz, owa sławna kolebka ludów rozsiedlonych po Europie: i dla tego, wierny raz położonéj od siebie zasadzie, przedsięwziął wyśledzić i na miejscu sprawdzić powieści Herodota i innych starożytnych autorów, o Scytyi i ludach w niéj zamieszkałych. Podróż Jana *Potockiego* na wiosnę roku 1797 zaczęta, a w téj samej porze roku 1798 skończona, przyniosła prowdziwe korzyści dla historyi. Długo dziennik téj podróży znany tylko był w rękopiśmie, którego, oryginał znajdował się w bibliotece *towarzystwa filozoficznego w Filadelfii*; liczne jednak kopije rozchodziły się po ręku i właśnie podług jednéj z nich, wydrukowano w roku 1828 w *Archiwum północném* cały początek téj podróży, która potém z rossyjskiego na język polski przełożona, ukazała się w Dzienniku wileńskim tegoż samego roku. Istotnie nie więc pierwszéj Klaproth, jakeśmy już wyżéj mówili, dał poznać światu tę podróż *Potockiego* do Kaukazu. Sam będąc celniejszym autorem kilku dzieł ważnych, tyczących się Azyi, zwiedziwszy też same kraje Kaukazu, najstosowniéj mógł się zająć wydaniem pism swego poprzednika w jednymże zawodzie, czego też i dokonał, prostując niektóre błędy autora i dopełniając sam text wielą ważnemi objaśnieniami. W takiéj postaci ogłoszona podróż Jana Potockiego, należy do małéj liczby dokładnych i bardzo zajmujących pism, jakie ma Europa o Kaukazie.

Dziennik podróży zaczyna się od opisania jéj z Moskwy do *Sarepty*, osady Hernhutów w guberni Saratowskiéj, a ztamtąd do Astrachana nad Wołgą. Teatrem jéj jest przestrzeń Azyi między czarném a Kaspiejskiém morzem wzdłuż północnéj strony pasma gór Kaukazkich. Po krótkim pobycie w Astrachanie, udał się *Potocki* o siedem wiorst wyżéj, na pewny brzeg Wołgi do *Kałmuckiego-Bazaru.* W tém miejscu, które jest punktem zetknięcia się różnych koczujących ludów z mieszkańcami miasta, przez ciągłą zamianę płodów, zręcznie mu było przypatrzyć się bliżéj obyczajom wszystkich tych plemion azyatyckich. Wszędzie je maluje autor sposobem bardzo zajmującym czytelnika, któremu zawsze stara się odkryć to, co najwięcéj bije w oczy Europejczyków. Opis drogi przez stepy od Astrachania aż do Kizlaru, wystawia obraz przestrzeni bez granic, tak równéj jak morze, na któréj rozhukane wichry, często wyrywają całe kępy zielska, niosąc je po całéj pustyni w postaci zwiększonych mass przez złudzenie optyczne. To osobliwsze zjawisko, nietylko zadziwia każdego wędrownika, ale i konie przestrasza. Pierwsze drzewo widzieć się daje na téj drodze o mil kilka od Kizlaru; nic nie przerywa widoku téj nieścignionéj okiem równiny, prócz jeziór słonych, tu i owdzie ukazujących się, i prócz kurchanów czyli mogił, które gdzieniegdzie stercząc między sitowiem, przypominają wędrówki w tych stronach starożytnych ludów. Stacye pocztowe są po większéj części szałasami, zamieszkanemi od kilku tatarów Astrachańskich. Mnóstwo dzikich gęsi i łabędzi zalega brze-

gi jezior, a trzódy wielbłądów pasą się swobodnie, bez zakresu granic ich pastwiskom.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## JEŻOZWIERZ (Hystryx).



Rodzaj ten liczy pięć do sześciu gatunków, z których prawie każda część świata ma sobie właściwe. Wszystkie niemal są zwierzętami nocnemi. Mieszkają w obszernych norach podziemnych, które sobie same grzebią. Żywią się roślinami, a szczególniéj lubią soczyste korzenie roślin ogrodowych. Wszystkie prawie mają na wierzchu ciała kolce; lecz te u jednych są bardzo długie, u drugich między siercią ukryte: u wszystkich zaś są one walcowate, ostrokończaste. Niektóre mają ogony chwytne, te więc łażą po drzewach i zjadają owoce. Inne mają u tylnych nóg pazury bardzo grube. Liczba palców jest u nich różna w różnych gatunkach. Jedne mają u wszystkich nóg po cztery palce; drugie po pięć; inne mają u przednich cztery a u tylnych pięć, albo po cztery i sęczek zamiast palca wielkiego. Wszystkie mają języki szorstkie, czyli najeżone brodawkami kończystemi. Większéj liczby mięso jest jadalne. Niektóre z nich miewają w worku żółciowym (cystis fellea) pewny gatunek brył stwardniałych, które nazywają *kamieniami Jeżozwierzów* (*Lapide, vel piedra del porco.*) Dawni lekarze szukając w wszystkich nadzwyczajnych ciałach środków do leczenia ludzi, przypisywali tym kamieniom osobliwsze skutki lekarskie, lecz teraz straciły one bardzo wiele w opinii. Na widok nieprzyjaciela, Jeżozwierze z krótkiemi kolcami zwijają się w kłęby; te zaś, których kolce są długie, przyciskają bezbronny brzuch do ziemi, a kolce na grzbiecie najeżają, zwracając je przeciw nieprzyjacielowi: przy czém zdarza się, że się im czasem jeden lub więcéj kolców odłamie. To przypadkowe odłamanie się czasem kolca, dało powód do pociesznéj bajki, że te zwierzęta kolcami swemi do nieprzyjacioł strzelają (!). Jeżozwierze mają głos chrapliwy, czyli rechczący: od tego więc dostały w niektórych językach nazwisko *Świń kolczastych. (Zoologia Jarockiego).*

Najbardziéj znany gatunek Jeżozwierza, znajduje się we Włoszech i w Hiszpanii; inne jego odmiany są w Ameryce i na wyspie Jawa.

---

## ZAMEK VINCENNES POD PARYŻEM.

Kiedy mam czas wolny, kiedy się pozbyłem interessów które nie są nigdy zabawą, wstaję wraz ze słońcem i przebiegam Paryż; na nic niespoglądam, śpieszę do któréj z rogatek i ledwom się za nią dostał, szczera radość mnie ogarnia, jak ucznia pod czas wakacyi, i odtąd biegam aż do samego wieczora po łąkach, albo też błądzę po gajach, spoczywam nad brzegiem strumyków z mém ulubioném marzeniem, pod ciemno zielonym dachem wierzb, które zdają się opłakiwać moją tajemną tęsknotę; cała ta bowiem radość jest to błyskawica na pochmurném niebie, jest to kwiatek wyhaftowany na tle czarném, kilka osób na ziemi, kilka innych pod ziemią... Myśl o tém, czytelniku, kiedy nie masz wielkiego zmartwienia, albo raczéj nie myśl wcale, a jeżeli ci się to uda, najserdeczniéj ci winszuję; jesteś tak szczęśliwym jak ostryga, co jest niepospolitą rzeczą. Jakkolwiek bądź puściłem się na wędrówkę; ruszam nie zatrzymując się przez pola, zawarłszy rozejm z nudami i potrzebami życia i świata, ale pewny jestem że jutro znowu z niemi walczyć będę. Lecz nie sądź abym wychodził przez każdą rogatkę bez różnicy. Ja wybieram tylko te, gdzie pola zaraz się zaczynają za celną komorą. Nienawidzę tych długich i brudnych przedmieść zewnętrznych, tych wiosek przylepionych do wspaniałego Paryża, jak rączka z nieforemnego drzewa do srebrnéj tacy.

Lubię błąkać się po pięknych pagórkach, po chłodnych gaikach, szukając starożytnych pomników historycznie znanych, trzymając się przed nędzą słomą pokrytych chatek, gdzieby wszystko przemawiało do mojéj duszy o potrzebach którym nie zdołam zaradzić, ani przed zbytkiem miejskim naszych domków letnich, gdzie nic nie przemawia do mojéj wyobraźni. Mojém szczęściem jest przechodzić nagle od okazałości przyrodzenia zawsze nowego, do wspaniałości dawnéj sztuki, to jest błądzić od krzewiny do krzewiny, z jednych ruin do drugich.

Dla tego też właśnie wybrawszy się przez ludne przedmieście Sgo Antoniego, mijałem dwa grube słupy rogatki Tronu, tak na-

zwanéj że dawniéj zagraniczni posłowie przez nią wjeżdżali do miasta, udając się na królewskie posłuchanie. A widząc uciekające drzewa na prawo i na lewo pięknéj alei St Mandé, rozmawiałem sam z sobą w braku przyjemniejszego towarzysza, kiedy tylko pomyślimy że za czasów naszych ojców, znajdowały się nawet po polach groźne bastylie i żołdacy uzbrojeni którzy po grubijańsku tamowali nawet wejście do lasów! a dziś każdy mieszkaniec może wszędzie swobodnie przechadzać się, i nikt go nie zaczepi. »Nie zbliżaj się! krzyknął mu głos piorunujący prawie w same prawe ucho. Obróciłem głowę i zobaczyłem żołnierza, który nadstawiał przeciw mnie swoją broń; spostrzegłem wówczas zamek Vincennes i jego wały najeżone działami; gdyż moje marzenia zaprowadziły mnie prosto aż pod mury téj warowni, i byłbym o nie rozbił sobie głowę, gdyby nie przestroga cokolwiek niegrzeczna szylwacha.

Kiedym się oddalał, spostrzegłem człowieka który z postawy i powierzchowności wydawał się cudzoziemcem, zbliżył się do mnie i rzekł: »Jestem pułkownikiem w wojsku Pruskim, i chciałbym wewnątrz widzieć zamek; powiadają mi że trzeba mieć do tego pozwolenie, może pan będziesz łaskaw wyjednać je dla mnie? —»Mogę przynajmniéj panu do twierdzy towarzyszyć, odpowiedziałem, gdyż znam jego dowódzcę. —»Nie wchodźmy jeszcze, odpowiedział, obejdźmy twierdzę na około, a tymczasem przywiedźmy sobie na pamięć początki i wspomnienia nadające życie kamieniom.

Złączyliśmy więc naszą erudycyą i postrzegłem żem korzystną zawarł umowę. Miałem do czynienia z jednym z tych ludzi, którzy są dykcyonarzami encyklopedyi, z jednym z tych uczonych od których wiele można się dowiedzieć. Dla tego też w treści naszéj rozmowy którą wyłożę, bardziéj jego niż mnie czytelnik słyszyć będzie.

»Dzieje lasu de Vincennes, sięgają około tysiąca lat; w najdawniejszych pismach jest o nim wzmianka pod imieniem Vilcennes, z którego późniéj zrobiono Vilcenne, potém Vicenne, potém Vincienne, a nakoniec Vincennes. Niewiadomo w którym roku i pod którym królem zbudowano pierwszy zamek Vincennes; ale to jest niezawodném że Ludwik VII założył w nim w r: 1164 klasztor dla zakonników z Grandmont, których późniéj zastąpili Franciszkanie; że Filip August w r: 1180 kazał opasać murem las, aby miał rozrywkę polować na jelenie, daniele i sarny; o czém dowiedziawszy się Henryk król Angielski, przysłał mu rzeką Sekwaną, podostatkiem tych dzikich zwierząt z Xięztw Normandyi i Akwitanii; mały podarunek, który wszelako nie na długi czas utrzymał dobrą przyjaźń między dwoma monarchami. Wiadomo także iż około r: 1274 Filip śmiały rozprzestrzenił zwierzyniec, sprowadził wodę do kanałów i zajął się naprawą i upiększeniem zamku. Wszelako zamek Vincennes, w następnym wieku znajdował się w bardzo złym stanie, gdyż Filip Valeziusz w r. 1337, musiał kazać go rozrucić, a założył pierwszy kamień tego który dziś jeszcze jest znanym pod imieniem baszty. Jan IIgi zwany dobry, i Karól Vty zwany mądry, dokończyli dzieła ojca i dziada i przydali ośm wież kwadratowych na czterech frontach wałów. Ostatni ten król wybudował także kaplicę w drugim dziedzińcu, przepyszne i wzorowe dzieło gotyckiego budownictwa. Nakoniec Ludwik XIII rozkazał postawić dwa piękne pawilony które otaczają od strony zwierzyńca główny dziedziniec. Odtąd, prócz niektórych budowli wewnętrznych, jakoto strażnic i warsztatów dla artyleryi, królowie i rządy jakiekolwiekbądź, nie zajmowały się bynajmniéj tym zamkiem.

Zwierzyniec czyli lasek Vincennes, w pośród którego leży zamek, ma 1460 sążni powierzchni. Są to wysokopienne drzewa, wiązy, graby i dęby, z których wszakże najstarsze nie sięgają daléj jak 1731 roku; w owéj bowiem epoce dawne drzewa wyrwano z korzeniem, aby zasadzić te, które dotąd istnieją, jakto świadczą napisy wyryte na obelisku, znajdującym się w miejscu, gdzie schodzi się dziewięć rozmaitych gościńców.

Zbliżając się ku Nogent nad Marną, napotykamy prześliczny wzgórek z którego oko odkrywa obszerny widnokrąg; krzaki dzikiéj róży i leszczyna, mieszają się z drzewami lasu. Nieco na prawo, wielka gromada kamieni, i kilka skruszonych kolumn, sterczą pomiędzy bujną trawą i kwiatami polnemi. Był to niegdyś ulubiony pobyt Agnieszki Sorel.

Ale grzmią działa od strony południowéj zamku, na rozległym stoku gdzie jest poligon szkoły artyleryi.

Wieleby ten musiał wiedzieć szczegółów z naszéj dawnéj historyi, ktoby znał to wszystko, co ukryły starożytne mury zamku Vincennes. Tu przebywali Filip August, Ludwik święty, Karólowie V i VII, Ludwik XI i XII, Franciszek I. Henrykowie II i IV, Ludwik VII i XIV; tam także mieszkały: Izabella de Hainaut, Blanka Kastylijska, Marya brabancka, Blanka Nawarska, Anna Austryacka, Agnieszka Sorel, Diana z Poitiers, Gabriella d'Estrée, panna Lafayette, pani de la Valiere i tyle innych piękności.

W zamku Vincennes zmarł Ludwik swarliwy, Karól piękny, i nieszczęśliwy Karól IXty którego nocy ostatniéj nawiedziło ty-

siące mar i widmów; ani straże, ani grube mury fortecy nie mogły wejścia wzbronić tym utworom jego wyobraźni. Vincennes był grobem Henryka angielskiego, który śmiał ogłosić się królem Francuzkim, nim jeszcze Dziewica Orleańska rozkazała Anglikom pozostawić całe królestwo prawemu panu Karólowi VII. Tu świat ten opuściły, Joanna francuzka małżonka Filipa pięknego i Izabella bawarska, którą musiano pochować w nocy i bez obrzędu, a później jeszcze i kardynał Mazarin.

S. Ludwik jest jednym z tych xiążąt, któremu się najbardziéj podobał pobyt w zamku Vincennes tak dalece, że zwykł był osobiście odprawiać sądy w lasku, siedząc pod dębem, jak każdy ówczasowy lenny dziedzic w swoich majętnościach.

W tym zamku, tenże król za swojém przybyciem z Sens w r: 1250 złożył cierniową koronę, którą później w towarzystwie swych braci, idąc bosemi nogami przeniósł do kościoła Boga Rodzicy w Paryżu; przed wyprawą zamorską, zatrzymał się w Vincennes, i pożegnał się ze swoją małżonką Małgorzatą z Prowancyi.

W tém miejscu równie pod czas oblężenia Paryża przez Burgundów, zjechali się na umowę Ludwik XII z Karolem zuchwałym, nim później zawarli przymierze podpisane w Conflans.

Zamek Vincennes służył królom za przybytek zabawy i rozrywki aż do panowania Ludwika XI. ale od 1472 ten xiąże obrócił go na więzienie stanu. Bywali tu jeszcze niekiedy królowie, ale zamek przestał bydź mieszkaniem królewskiem, a ich przemijająca obecność w nowych pawilonach, nie zmieniła bynajmniéj przeznaczenia środkowéj baszty.

Od 1780 baszta zamku Vincennes nie była zamieszkałą, kiedy 28 Lutego 1791 tłuszcza paryzka rzuciła się tłumem ażeby ją zburzyć, ale gwardya narodowa a nadewszystko niewzruszona trwałość budowy, sprzeciwiły się uskutecznieniu tych zamiarów.

Nie mogliśmy dosyć wydziwić się zewnętrznéj obronie téj twierdzy. Mój towarzysz zapewnił mnie, że to była najregularniejsza i najobszerniejsza forteca średnich wieków, jaką się widzieć zdarzyło. Ogromny prostokąt, otaczają głębokie i szerokie rowy, grube mury i wysokie wieże czworoboczne (tak przynajmniéj było przed rokiem 1812) nad któremi panuje jak ponury olbrzym, sławną baszta zaokrąglona w wieżyczki na czterech węgłach. W odstępach tych poważnych gmachów, pięknie się wydają oku wątłe jak koronki ząbkowate, ozdoby kaplicy, któréj widok równie duszę jak wzrok pociesza. Twierdza ma dwa wejścia: jedno ze strony północnéj na wieś Vincennes; składa się one z ogromnego gmachu, mieszczącego w sobie zwodzone mosty, spuszczane kraty, strzelnice, ganki i t. d: drugie od południa, na stoku od strony lasu: jest to brama na pół gotycka, na pół teguczesna, któréj wnętrze ozdobił pędzel Lebeau podług rysunków Rafaela. Weszliśmy tą bramą; pierwszy dziedziniec zwany królewskim otaczają na prawo i lewo dwa pawilony z kolumnami doryckiemi, wzniesionemi za panowania Ludwika XIII. Na dwóch zaś przeciwległych stronach, ciągną się kształtne galerye w arkady. W gmachu, na prawo, w pawilonie zwanym królowej, idzie się do góry po przepysznych schodach; część jego jest przeznaczoną na mieszkanie gubernatora fortecy; ale wielkie pokoje których okna wychodzą na las, przyozdobione kosztowną pozłotą i pięknemi malowidłami, są teraz zupełnie opuszczone. Gmach przeciwległy, noszący nazwisko pawilonu króla, przeistoczono na piękne koszary, mające widok na Paryż. Przeszliśmy do drugiego dziedzińca, pomiędzy ciągłemi szeregami niezliczonych dział, moździerzów, wozów prochowych i piramid armatnich kul, zgoła wszystkiem tém, co składa arsenał artyleryi.

W tym to dziedzińcu na lewo, wznosi się dumnie baszta, która zanurza fundamenta w rowach na czterdzieści stóp głębokich; wchodzi się do niéj przez dwa zwodzone mosty, potém następują trzy bramy i prowadzą do dziedzińca wewnętrznego, powód którego stoi baszta. Inne znowu trzy bramy zamykają wejście. Dwadzieścia ogromnych dział oblężniczych, broni ją od strony Paryża. Ta baszta z czterema wieżyczkami na węgłach, jest podzielona na pięć piątr, z których każde składa się z wielkiéj sali czworobocznéj, podpartéj grubym w środku filarem, i ze czterech gabinetów w węgłach, gdzie się znajdują wzmiankowane wyżéj wieżyczki narożnikowe. Schody z twardego kamienia śmiało zbudowane w ślimaka, prowadzą aż do szczytu zakończonego pięknym tarasem, z którego widać wspaniałe panorama.

Dolna sala nazywała się salą tortur. Stołki, kółka żelazne, łoża drewniane gdzie spoczywały nieszczęsne ofiary po wycierpianych mękach; wszystko to jeszcze znajdowało się tam w r: 1790. Dziś w téj sali robią ładunki, bomby, i t. d. a składy niezmierne prochu, rozciągają się w ogromnych pieczarach, aż do połowy drogi do St Manhé. Jedna iskra.... a cała okolica o milę na około wyleciałaby w powietrze.

Wychodząc z baszty, przeszliśmy przez dziedziniec: w rzeczy samej potrzebowaliśmy tego. Budowa wewnętrzna téj kaplicy w stylu czystym gotyckim jest prosta i na-

http://rcin.org.pl



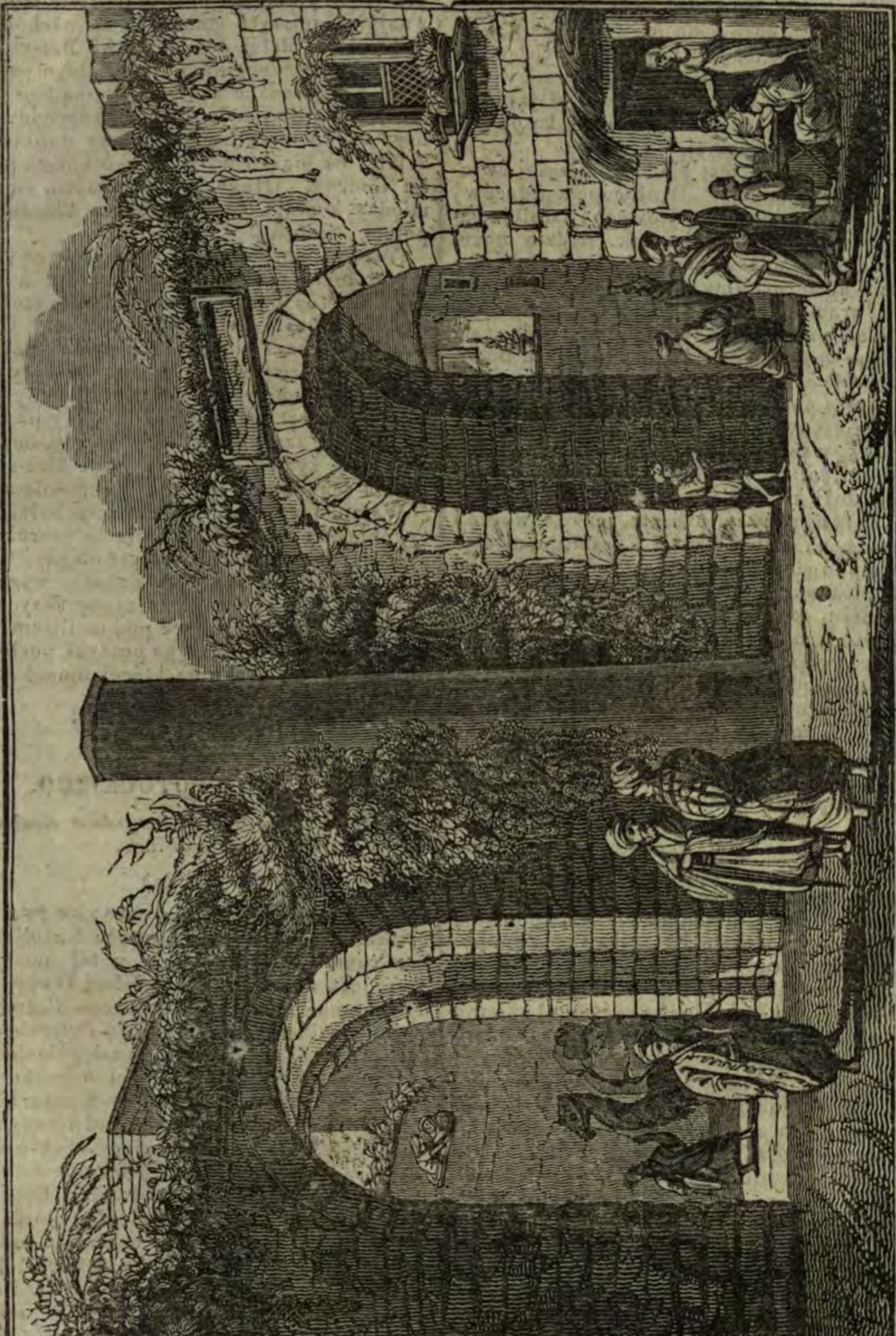
ZAMEK VINCENNES POD PARYŻEM.

turalna: Zwracają uwagę przepyszne szyby malowane przez Jana Cousin. Daje się tam widzieć pomnik wzniesiony na uczczenie pamiątki xiążęcia d'Enghien: dłuto rzeźbiarza Deseine, oddało w całéj mocy okropność i smętność tego nieszczęsnego wypadku.

Za kaplicą znajduje się zbrojownia w wielkim nowym gmachu: jedna z najznaczniejszych i najlepiéj urządzonych jaką tylko widzieć można. Nic, podług mnie, nie jest tak malowniczo wspaniałem, jak te ściany karabinów, strzelby rozmaitéj i szturmaków, te ogromne filary z dział i armat, te sklepienia z pałaszów, krzywych szabel, i wszelkiéj siecznéj broni; a potem te wszystkie znaki zwycięzkie, te cyfry, owe figury symboliczne ułożone z oręża żelaznego tak kształtnie jakby z kwiatów... Jest to urok zupełny.

Zaczęło się zmierzchać: trębacze artyleryi odegrali capstrzyk, wypadało także i nam pomyśleć o powrocie. Puściliśmy się przez plac broni zajęty wojskiem składającém załogę tego ważnego zamku; wszyscy żołnierze stali jak martwe posągi: karność i jednostajność mają zawsze w sobie coś nader poważnego. Przeszedłszy obok kilku ładnych ogródków oficerskich, które niegdyś były własnością kanoników kapituły Vincennes, gdyż ta forteca jest jakby jakie miasto; wyszliśmy przez most zwodzony, główną bramą wychodzącą na wioskę. Wszystkie ognie pogasły, hałas ustał, xiężyc wszedł szeroki i okrągły; wówczas żałowałem więcéj niż kiedykolwiek zburzonych ośmiu wież, które przy jego srebrném świetle odbijały dawniéj czarne i olbrzymie cienie na drodze i polu.

http://rcin.org.pl



KOLUMNA JEZUSA CHRYSTUSA W JEROZOLIMIE.

http://rcin.org.pl

Jeruzalem najmilsze obudza we mnie wspomnienia. Szczytne były przeznaczenia tego miasta, dało znak najważniejszéj przemiany w świecie: jest to miasto wybrane od Boga, które po wypełnieniu tylu cudów spoczęło w grobie, a jego dzieje zapełniają przerwę dzielącą starożytność chaldejską od starożytności rzymskiéj.

Mało bardzo jest śladów ubiegłej świetności tego miasta. Ogołocone z pałaców, świątyń, kolumn porfirowych, istnieje samemi tylko wspomnieniami. Nigdzie może, mocniéj nie uderza nas urok imion. Wszedłem do Jerozolimy wązką i na pół rozwaloną bramą; ale jest to brama Betleemska! — Widać o kilka kroków stamtąd, walącą się porysowaną wieżę; ale jest to wieża Dawida, króla śpiewaka, który pisał psalmy, Króla, który pośród chwały i potęgi, wyznawał nicość człowieka. Nieco daléj na ulicy spadzistéj, wązkiéj, źle brukowanéj, ledwie nie potrąciłem się o rozbity kapitel, ale ten kapitel leży na miejscu, gdzie Święta Weronika, ta litościwa niewiasta, rozlała wonie i kwiaty na głowę Jezusa Chrystusa, dyszącego pod ciężarem krzyża, który dźwigał na górę Kalwaryi. Kolumna należąca do tego kapitelu, stoi jeszcze w rogu dwóch bram; o kilka kroków stała ta, do któréj Syn Boży przywiązany był jak winowajca, gdy ciało swoje oddał na biczowanie.

Znajdowałem się wówczas na Drodze Bolesnéj między wierzchołkiem Golgotha gdzie się spełniła ofiara, gdzie aż do dna wychylony został kielich goryczy i doliną Józefata, gdzie sprawiedliwość wymierzona będzie.

Postępujmy daléj. Przechodzę drugą bramę, przy któréj widać żebraka i kobietę w starożytnym ubiorze niosącą na głowie naczynie gliniane, podobne do tego, jakie niegdyś Rebeka podała Eleazarowi gdy go spotkała przy studni Siloan.

Po prawéj ręce był dom złego bogacza, po lewéj dom Łazarza; przedemną, galerya na któréj wyrzeczono *ecce homo;* spoczywa na arkadzie zarzuconéj nad ulicą i prowadzi z domu Piłata do dawnych więzień Jerozolimy, gdzie Jezus Chrystus był zamknięty, a które są teraz stosem zwalisk.

Dom Piłata jest jeszcze mieszkaniem rządzcy Jerozolimy. Postradał główne tylko schody któremi zstąpił Zbawiciel na miejsce męczarni, a które przeniesiono do Rzymu i umieszczono w kaplicy kościoła Świętego Jana Lateraneńskiego.

Mimo dozoru Janczarów, wcisnąłem się do ustronnéj izby, zkąd mogłem ujrzeć meczet, wzniesiony tam, gdzie stał niegdyś kościół Salomona i gdzie nikomu wchodzić nie wolno, kto nie jest muzułmanem. Ten wytworny meczet, malowany kolorem zielonym i złotym, otoczony białym murem i przecięty pięknemi arkadami, jest jednym z najpiękniejszych gmachów na wschodzie.

Szedłem daléj do sadzawki Betsebach, sławnéj uzdrowieniem dotkniętego paraliżem, a wychodząc z miasta bramą Sgo Stefana, zstąpiłem aż do Oliwnego ogrodu zwanego ogrodem Jethsemanie przy dolinie Józefata, na piasku wysuszonego koryta potoku Cedron. Długo przechadzałem się pomiędzy studnią Noemi, grobem Absalona i polem *Alcedama.*

Wstąpiłem potém na górę Oliwną, zatrzymałem się na skale, z wierzchołka któréj Chrystus oznajmił zagładę Jerozolimy i gdzie zebrało się wojsko Tytusa. Gród Dawida okazał się przed oczyma mojemi z całém zniszczeniem swojém. Okryty był mgłą jak grobowém całunem. Rzecby można, że to jest szkielet pozbawiony pogrzebu. Dolinę zasypały grobowe głazy, smutne grobowce żydów, którzy ze wszystkich stron świata schodzą się umrzeć w Jeruzalem.

Wstąpiwszy nareście na wierzchołek góry, objąłem spojrzeniem miasto proroków, płaszczyznę na któréj walczył niegdyś Godfred z Bouillon, skały S. Sabatu, wzgórza kredowe otaczające płaszczyznę Jerycho i Morze Martwe jaśniejące pod mglistem niebem, a daléj na widokręgu pustyni, pochylony szczyt góry Nebo na któréj umarł Mojżesz.

(*Wspomnienia Wschodu.*)

---

## ŻYCIE JANA POTOCKIEGO.

*Wyjęte z Nru 6go Wizerunków naukowych w Wilnie.*

(Dalszy ciąg.)

Kałmucy i Turkomani posuwając swe koczowiska aż do brzegów morza Kaspijskiego, sami tylko mieszkają w téj pustyni. Taki jest obraz krainy dzielcéj Wołgę od ujścia rzeki Terek pod Kizlarem. Całomiesięczny w Październiku pobyt *Potockiego* w tém mieście, dał mu porę zasięgnienia różnych ciekawych wiadomości o języku i obyczajach rozmaitych ludów Kaukazkich. Zastanawiał go szczególniéj lud zwany *Kubicze* czyli *Kubasze*, mieszkający w dość znacnéj osadzie na wschodniéj stronie Kaukazu, który początek swój bierze z Europy. Gotyckie świątynie, przemienione teraz na mieszkania, świadczą o wyznaniu religii chrześciańskiéj, którą potém zamienili Kubiczowie na obrządek mahometański. Rząd ich jest patryarchalny; trudnią się wyrabianiem zbroi i najwięcéj mają światła między wszystkiemi ludami Kaukazkiemi. Autor nie mogąc zwiedzić osobiście Georgii i innych krain między łańcuchami Kauka-

http://rcin.org.pl

zu położonych, usiłował wszelkiemi sposobami zabierać znajomość z xiążętami i podróżnemi tych narodów i z długich rozmów z nimi dowiadywać się wszelkich szczegółów o tych niepodległych i trudnych do poznania narodach. Czytelnik znajdzie w dziewiątym rozdziale ciekawe szczegóły o *Inguszach*, którzy są czcicielami skał poświęconych, zwanych *Jerda*, o *Czeczeńcach*, dzikiém i walecznêm pokoleniu, o *Awarach* i *Turkomanach*. Nie można wreście i tego opuścić, że *Potocki* mieszkając w Kizlarze, dawno już pomyślaną wielką kartę jeograficzną Scytyi, podług czwartéj księgi Herodota ułożył i odrysował, oznaczając nazwiska miejsc po grecku i po francuzku.

W Listopadzie wyjechał *Potocki* z tego miasta do Mozdoku. »Dziś 8 Listopada, pi»sze on, pierwszy raz ujrzałem wierzchoł»ki niegościnnnego Kaukazu, a wiersze Ho»racego przywiodły mi na pamięć, żem da»wniéj podobnież przebiegał spiekłe pusty»nie Afryki. Dziewiętnaście lat już minęło »od téj pierwszéj wędrówki. Czas ten da»leko już jest odemnie, ale też same zamiary »wiodą mię i utrzymują. Ludzie namiętnie »do nauk przywiązani, podobni są do Geo»metry Syrakuzańskiego, którego żołnierz »Metella mógł zabić, ale nie zdołał oderwać »od rozmyślania.»

Po drodze nigdy nie opuszczał nasz wędrownik żadnéj zręczności poznania się z Xiążętami Czeczeńców, mieszkającymi z prawéj strony rzeki Terek, wzdłuż któréj ciągnie się gościniec z Kizlaru do Mozdoku. Uprzejmość dowódzców wojskowych w tamtych stronach dostarczyła mu potrzebnéj straży do zwiedzenia znajomych książąt, mających swoje osady pod górami. W ich domach i w rozmowach z nimi, poznał *Potocki* obyczaje tego bitnego i nieugłaskanego pokolenia, którego najmilszém zatrudnieniem są rozboje. Niewygodny wprawdzie, ale pewny sposób uprowadzania jeńców, jakiego Czeczeńcy używają, przytoczony od *Potockiego*, wart jest wspomnienia. »Czeczeńcy ukryci w zasadzce, skoro postrzegą zbliżający się powóz, zaczynają strzelać naprzód do koni i woźnicy, potém wpadają na podróżnego i zasadzają mu klin w gębę, który jest końcem batoga zarzuconego około szyi. Jeżeli podróżny nie chce iśdź dobrowolnie, wiążą mu ręce i nogi i niosą na brzeg rzeki Terek. W tenczas dają pęcherze pod pachę, a na szyję pętlę. Po takiem przygotowaniu wszyscy się rzucają do wody, i podróżny musi całą siłą trzymać powróz, żeby sam siebie nie zadusił. Dwaj pływacze ciągną go za ten powróz aż do przeciwnego brzegu, którego dosięgnąwszy, znowu wskakują na koń, i uprowadzając jeńców, nikną między górami. Takim to sposobem Czeczeńcy posunęli taktykę porywania do najwyższéj doskonałości, do jakiéj dojśdź może. Bardzo się rzadko zdarza, żeby zabijali samego podróżnego, za którego mają nadzieję wziąć dobry okup; ale za to służących i pocztarzy nie oszczędzają.»

Zimę roku 1798 przepędzał *Potocki* w Georgiewsku, dokąd się udał z Mozdoku przez Ekaterinogrod: i chociaż obrał sobie Georgiewsk za miejsce odpoczynku po ośmiomiesięcznéj wędrówce w stepach i górach; nie obeszło się jednak bez wielu częściowych podróży w okolice tego miasta. *Potocki* zwiedziwszy różne kolonie Rossyjskie i winnice nad brzegami Kumy pozakładane, zapuścił się w stepy dla poznania koczowisk Turkomanów i Ułusów Nogajskich, z któremi czas niejaki zabawił dla poznania bliżéj ich wędrownego życia; nakoniec zwróciwszy się znowu na gościniec Mozdocki, stanął poraz drugi w Gieorgiewsku w miesiącu Kwietniu. Lecz tam już go nic nie zatrzymywało, udał się więc natychmiast w drogę do Ekaterynodaru i zwiedził dolinę zamieszkaną przez Abazów, krainy Nadkubańskie, dawne siedliska kozaków *Niekrassowcami* zwanych nad rzeką Labą, przy jéj ujściu do Kubanu, oraz kraj kozaków Czarnomorskich, dawniéj znanych pod imieniem *Zaporożców*. Jednak przy ostatniém pożegnaniu Azyi, kilka dni jeszcze poświęcił polski wędrownik rozpoznaniu klassycznych brzegów dwóch morz Azowskiego i Czarnego, tam, gdzie kilką korytami starożytny Kuban wylewa do nich swe wody. Z Strabonem w ręku szukał *Potocki* na wyspie Taman i po nad Limanem Temruk śladów dawnéj potęgi Mitrydata. Zatarte odległemi wiekami posady starożytnych miast *Aspurgium*, *Petraeus*, *Fanagoryi* i *Corocondamites*, odkrył i oznaczył z wielkiém podobieństwem do prawdy; i to było jego ostatnie dzieło na polu badań archeologicznych któremi zbogacił literaturę Europejską, opuszczając dzikie krainy Azyi. Dwudziestego siódmego Kwietnia 1798 przebył Bosfor, po całorocznéj prawie niebytności w Europie.

Lecz nie ten jeden tylko dziennik podróży, do którego Klaproth przydał w swojém wydaniu inną podróż do Czerkiesów w roku 1818 przez P. Taitbout de Marigny Wice-Konsula Niderlandzkiego w Teodozyi, odbytą, owocem był niezmordowanéj pracy Jana *Potockiego*. Jego *Historya pierwiastkowa ludów Rossyjskich*, jest głównym rezultatem wędrówki. Można ją uważać niejako za drugą część podróży autora i dla tego słusznie wydawca umieścił ją zaraz w drugim tomie. Mało nawet powiedzieliśmy, bo sam autor oświadcza że jego dzieło jest wypadkiem dwudziestoletnich badań i po-

http://rcin.org.pl

dróży, a dopełnieniem wszystkich tych pism historycznych, które wprzód wydał pod różnemi tytułami. Osiadłszy Jan *Potocki* w Petersburgu, ogłosił tę ważną pracę swoją po raz pierwszy w tejże stolicy roku 1802, we stu exemplarzach tylko podług swego zwyczaju. Z tak małéj nawet liczby ledwo połowa dostała się do wiadomości publicznéj; gruba i niesprawiedliwa krytyka tego dzieła przez *Szlecera* ogłoszona w piśmie peryodycznem Gettyngskiem, tak dalece zniechęciła *Potockiego*, że się wstrzymał z rozdaniem reszty exemplarzy.

Przystąpmyż teraz do samego dzieła i choć ogólnie przebieżmy te karty napełnione wielką erudycyą i głębokiemi nieraz domysłami o początku wielu narodów Europy i Azyi. Po wstępie, w którym są wyłożone pokrótce ogólne zasady sztuki badań historycznych, autor w pierwszym rozdziale zaczyna od wyliczenia wszystkich pokoleń znajdujących się dotąd w Europie i Azyi, które dzieli na 18 klass podług podobieństwa jakie zachodzi między nazwaniami pierwszych dziesięciu liczb w ich językach. Odmiany jakie w téj klassyfikacyi zajść mogły od czasów *Potockiego*, starał się Klaproth wymienić i objaśnić w przypisach. W drugim rozdziale autor wywodzi początki narodu Sławiańskiego i komentując Strabona, Pliniusza, Tacyta i innych dziejopisów, mianowicie Herodota, okazuje 1.) że Sławianie zwani *Ryfat* w xięgach rodzaju pisma świętego, a od Greków Paflagonami, są jedną z gałęzi Celtyckiego rodu; 2.) Że jedni Sławianie z Paflagonii posunęli się aż ku brzegom morza Baltyckiego, a inni osiedli nad Adryatyckiem pod imieniem Wenetów. Dla poparcia wywodu Sławian od Celtów, przytacza Jan *Potocki* mały Słownik z kilkuset wyrazów Celtyckich i Sławiańskich bez wyboru wziętych, złożony, których zgodność w brzmieniu i jednoznaczność jest uderzająca. Trzeci rozdział poświęcony jest początkom Celto-Scytijskiego plemienia; w czwartym wywodzi pochodzenie Getów czyli Wołochów, a w piątym Sarmatów. Ta ostatnia rozprawa jest bardzo ważna i zajmująca, tak ze względu głębokich uwag nad wielu ludami Kaukazkiemi, jak z powodu ciekawych wiadomości o Amazonkach, które podług wszelkiego podobieństwa do prawdy i z porównania tego co Herodot mówi o nich, z świadectwem różnych wędrowników, nic innego nie były tylko żony wojowników zbrojno towarzyszące swoim mężom na wojnach, podług zwyczaju przyjętego u niektórych pokoleń Kaukazkich. Szósty rozdział zawiera wiadomości o Scytach-Czudach czyli Finnach, i o szczególniejszym języku którym mówią w Suzdalu, napełnionym mieszaniną słów greckich sławiańskich i nieznanych dziś już wyrazów. Najobszerniejszy z całego dzieła jest Rozdział VII, gdzie autor zastanawia się nad Scytami Skolotami. Poprzedza go wstęp wydawcy Klaprotha, w którym on roztrząsa epokę przybycia pokoleń Tureckich do Europy i zbija hypotezę *Potockiego* i wielu innych badaczów historyi, co twierdzili, że lud ten był już w Europie za czasów Herodota i innych starożytnych pisarzy, o czém już wyżéj wspomnieliśmy. Po czém następuje obszerny komentarz do textu xięgi IV. Herodota, w którym szczegóły wyprawy Daryusza do Scytyi, oraz granice i położenie tego kraju przez Herodota opisane, objaśnia autor z wielką starannością. W ósmym rozdziale mowa jest o Narodach Kaukazkich, a w następnych aż do jedenastego włącznie, wyłuszczone są początki pokoleń: Iberyjskiego, Frygijskiego i Armeńskiego. Dwunasty i ostatni rozdział poświęcony rozbiorowi dziesiątego rozdziału xięgi Rodzaju (Genesis), okazuje zgodność historyi świeckiéj z świętą, co do podziału pokoleń rodu ludzkiego i wystawia *Genesis* jako najważniejszą i najprawdziwszą xięgę historyczną. Nakoniec rozprawę tę zamyka szereg pewnych wniosków, wspólnie z Pallasem w Krymie przez Jana *Potockiego* wyciągniętych, przez długie obserwacye i badania o wszystkich potopach czyli wielkich zalewach ziemi, o jakich dzieje starożytne świadczą, u Chińczyków, Chaldeów, Egipcyan, Greków i Hebrajczyków. Zamykają to dzieło Jana *Potockiego* trzy tablice: pierwsza chronologiczna do historyi Sławiańskiej, druga okazująca nadużywanie między pisarzami historyi Getów, Scytów, Sarmatów i Alanów, a trzecia tycząca się dziejów Azyi mniejszéj. Do tego wszystkiego sam wydawca Klaproth przydał jeszcze dwie ważne noty: w pierwszéj z nich pokazał, że *Ossetowie* (lud Kaukazki) toż samo znaczą co Alanie, a w drugiéj dowiódł pierwszy, że Bucharowie nie są pokoleniem Tureckiém, jak Adelung, Pallas i Georgi dotąd mniemali, ale szczepem narodu Perskiego. Ważne to odkrycie Klaprotha oparte na porównaniu języków, i świadectwie samychże Bucharów, zmienia zupełnie dawny systemat etnograficzny Azyi mniejszéj.

Po ogłoszeniu tego dzieła, zamiłowany w podróżach które stały się już potrzebą jego życia, wyjechał *Potocki* za granicę i znaczną część roku 1803 przepędził we Włoszech. Niespracowany umysł tego człowieka, nie mógł bydź nieczynnym wtenczas nawet, kiedy ta podróż była tylko przejażdżką w celu rozrywki i poprawy zdrowia. Tegoż samego roku we Florencyi wydał nowe dzieło, w którém objaśnia *Dynastye Królów Egipskich opisane w drugiéj xiędze Ma-*

http://rcin.org.pl

*netona*: z dedykacyą do Kardynała Borgia. Chciał autor w tém piśmie dowieśdź, że pierwiastkowy text Manetona można oddzielić od fałszywych wykładów Flawiana, i że tak oczyszczony zawiera w sobie wiadomości prawdziwe i dokładne. Po powrocie swoim do stolicy Rossyjskiéj przedsięwziął pisać dzieje szczególnych prowincyi składających państwo Rossyjskie i jako pierwszą część téj nowéj pracy ogłosił roku 1804 w Petersburgu: *Dawne dzieje Gubernii Chersońskiéj* w jednym tomie in 4to.

Wśród tych głębokich rozmyślań nad starożytnemi dziejami rodu ludzkiego, gotował się dla Jana *Potockiego* nowy zawód, który miał jego sławę bardzo wysoko posunąć, a nieznane i niezliczone korzyści dla nauk przynieść. Tegoż samego roku 1805, ułożone od dawna wielkie poselstwo do Chin, pod naczelnictwem Hrabi Gołowkina, wezwało do składu swego Jana *Potockiego*, którego mianowano zwierzchnikiem oddziału uczonych, stanowiących główną część téj ważnéj legacyi. Czegóż się nie można było spodziewać po człowieku tak rozległych wiadomości, tak biegłym w wielu językach wschodnich, po tym wreście, który cały oddany naukom, nie znał granic swojéj gorliwości dla ich postępu, umiał cenić ludzi uczonych i wspierać ich w każdym razie? Ale wszystkie najpochlebniejsze nadzieje o téj wyprawie, niestety z wielką stratą dla nauk, zawiedzione zostały. *Potocki* równie z innymi przestać musiał na podróży do Kiachty.

W latach 1808 i 1809 przebywał najczęściéj *Potocki* w dobrach swoich na Podolu, a częściéj jeszcze w Tulczynie; zimę zaś przepędzał w Krzemieńcu. Pamiętają dotychczas, jak Jan *Potocki* wielką część dnia przesiadywał w Bibliotece Krzemienieckiéj. Około roku 1810 znowu przeniósł się na mieszkanie do Petersburga, i tam ulubionym sobie poszukiwaniom w dziejach starożytnych oddany, nie długo czekał z ogłoszeniem nowych dzieł, ważnych i pracowitych. Już Akademia St. Petersburska nauk, Towarzystwo przyjacioł nauk w Warszawie i uczone Towarzystwo w Moskwie, oddając sprawiedliwość znakomitym zasługom w zawodzie naukowym Jana *Potockiego*, przyjęły go do swego grona: już prace tego męża zaczęły bydź właściwiej cenione w kraju i za granicą, kiedy się ukazało w Petersburgu jedno z najpracowitszych dzieł tego autora: *Zasady Chronologii do czasów poprzedzających Olimpiady*. Celem autora było wywieśdź pewne prawidła Chronologii, nie tylko z rozumowań i demonstracyi matematycznych, ale z porównania i zgody najdawniejszych pisarzy historycznych. Rok 1810 niezmiernie był czynnym w życiu Jana *Potockiego*: bo prócz tylu pism już w ciągu jego wydrukowanych, przy końcu wyszedł jeszcze w Petersburgu *Atlas Archeologiczny Rossyi Europejskiej*, zawierający sześć kart starannie wydanych. Po wojnie 1812 roku Jan Potocki przeniósł się na wieś, i odtąd ciągle prawie przebywał na Podolu, Wołyniu i Ukrainie aż do zgonu.

(Dokończenie w następującym zeszycie.)

## ODWIEDZINY DZIKICH CHARRUAS.




Dzicy Charruas nie zrobili tyle wrażenia w Paryżu co Osagowie; ciekawość publiczna względem dzikich ludzi już się trochę zużyła. A przecież Charruasowie war-

http://rcin.org.pl

ci byli lepszego przyjęcia. Piękniejsi od Osagów więcéj znaczący pod względem historycznym, są ostatnim szczątkiem pierwotnych ludów Ameryki. Skoro tylko przybyli do Paryża, pośpieszyłem do nich. W podróży z Hawru do téj stolicy nie mało użyli trudów. Jedna Paryżanka, modniarka może, nie spodziewała się wcale, że najmując miejsce w dyliżansie, będzie siedzieć w towarzystwie czterech dzikich, trącących jak zwierzęta w menażeryi, z chrapliwym głosem, z wykałaną twarzą, z ogromnemi pazurami; wyrzekła się towarzystwa, które byłoby uszczęśliwiło Humboldta lub Klaprotha i usiadła na wierzchu powozu. Konduktor nie chciał jéj zwrócić różnicy w cenie miejsca, utrzymując, że to zdarzenie nie jest objęte regulaminem pocztowym.—Charruasowie użalali się że im nie dostarczano wódki. Nie mogli wytłomaczyć się bez pomocy swego przewodnika. Wynaleźli więc inny sposób. Wysoka topola, rosnąca przy murze, który rozdziela ich pomieszkanie od warsztatu pewnego płatnerza, posłużyła im przewybornie. Młody Charruas, wdrapał się na wierzchołek topoli, a z tamtąd rzucił kilka soldów rzemieślnikom, którzy rozumiejąc przez instynkt czego od nich żąda, rzucili mu za to flaszkę z gorzałką. Cywilizacya i dzikość zrozumiały się za pomocą powszechnego języka, a tym jest wódka.

Podczas mojéj bytności u tych dzikich, przyszło dwunastu uczonych wysłanych od czterech akademii francuzkich, czynić postrzeżenia swoje nad niemi. W liczbie tych uczonych akademików, znajdował się pan Virej, pan Geoffroy-Saint-Hilaire i pan Lemercier. Pomyślałem sobie, że pan Virej wywiedzie pochodzenie rodu Charruas, pan Geoffroy opisze ich stan normalny, a pan Lemercier oznaczy charakter poezyi tego ludu. Wpuszczono nas do nich. Weszliśmy na dziedziniec, w środku którego siedzieli w szopie słomianéj trzéj dzicy; czwarty umierał z odniesionéj rany. Mięso końskie grzało się na słońcu i rozpościerało woń ojczystą, w około sztucznéj chaty dzikich. Była to ich obiadowa pora. Przybycie nasze nie uczyniło na nich żadnego wrażenia; spojrzeli na uczonych akademików, a napiwszy się wódki, położyli się od niechcenia. Akademicy przypatrywali się ciągle. Pan Virej jadł sobie ciastka, pan Geoffroy kołysał się na jednéj nodze, pan Lemercier laską potrącał kamyczki. A gdym pospolitemi wyrazami kreślił wrażenia moje, gdym miedzianą cerę Charruasow przyrównywał do cery Kreolów w Buyenos-Ayres, gdym nie uważał żadnéj różnicy pomiędzy niemi a nami co do objętości czaszki, systematu muskułów i kierunku oczów, gdy młody Charruas rzucając lasso, okazywał moc swoich muszkułów, pan Virej zapisywał sobie, że Charruasowie *mają twarz szeroką, wydatne kości policzków, oczy położone ukośnie, muszkuły bardzo słabe.* Zdaje się że panowie akademicy przedwcześnie utworzyli sobie wyobrażenie tych dzikich i w żaden sposób nie chcieli od niego odstąpić. W ciągu naszych odwiedzin przytrafiła się zabawna okoliczność. Od godziny panowie akademicy przypatrywali się dzikim, myśląc Bóg wie o czem, gdy w tém jeden z Charruasów zwany Vaimaca Peru, znudzony tém oglądaniem, wydał kilka dźwięków gardłowych. Musiało to bydź zapytanie, sądząc po jego spojrzeniu. Dwunastu uczonych ucieszyło się, usłyszawszy dźwięk głosu dzikich. Ciekawy byłem jakim językiem odezwał się, spodziewałem się bowiem iż go doskonale zrozumieli akademicy. Lecz gdy dziki powtórzył swoje pytające się wyrazy, musiałem wnieść, że jeźli akademicy znają język Charruasów, jednakże nie umieją nim mówić.

W tém jeden z obecnych, który podobnie jak ja, wcisnął się pomiędzy tę naukową deputacyą, rzekł do mnie, ale po cichu: »Charruas mówił po hiszpańsku i to bardzo gramatykalnie. Czy wiesz pan o tém? rzekł: »Czego chcą ci ludzie? *Que quieren esos hombres.*

»Ba! rzekłem, Charruas mówił po hiszpańsku i mniemasz że akademicy nie zrozumieli by języka hiszpańskiego? że ani jeden z dwunastu nie umie po hiszpańsku? że wszyscy mylą się tak dalece iż ten język mieszają z językiem Guaranis? Przestraszasz mię pan; czy umiesz po hiszpańsku, abyś tak zuchwale sądził o nich?

»Niestety! umiem, a jeźli tego pragniesz, odpowiem tym dzikim za tych dwunastu akademików. W rzeczy saméj, młody ten człowiek zaczął rozmawiać po hiszpańsku z Vaimaca-Peru, który ucieszył się iż przecie może z kimsiś mówić. Uczeni nie mogli pojąć co się to znaczy; chętnie byliby napisali zdanie sprawy o młodym człowieku, umiejącym po Charruasku; ale przecież po kilku minutach przekonali się iż to po hiszpańsku rozmawiał się nieumiejętny z dzikim, a wtedy niezmieszani wcale, zadali mnóstwo ważnych zapytań: na przykład, czy Charruasowie lubią kury, czy ich kobiety są ładne, czy są ludożercami? Charruasowie odpowiedzieli skromnie, że lubią kury, że ich kobiety są ładne i że nie są ludożercami.

Nazwyczajeni do twarzy akademików, Charruasowie odpowiadali swojemu tłomaczowi, a gdy Vaimaca-Peru zapewniał go, że tańczą niekiedy, że śpiewają bardzo

http://rcin.org.pl

rzadko, że czczą jednego Boga, pod imieniem Balthazara, że wierzą w nagrody i kary w przyszłém życiu, że mają wodzów i dawne zwyczaje, które im służą zamiast praw, pan Virej zanotował ołówkiem następujące zapiski, aby posłużyły do jego rapportu.

»Charruas zawsze brudny i śmierdzący, »nie zna ani zabaw, ani tańców, ani pieśni, »ani muzyki, ani towarzystwa; nie ma wy»obrażenia o bóstwie i żadnéj czci mu nie »oddaje; nie ma ani praw, ani zwyczajów »obowiązujących, ani kar, ani nagród.»

Ci dzicy ludzie dostali się byli do niewoli w Brazylii; zaprowadzono ich do Rio-Janeiro, skąd jako osobliwość wyprawiono do Europy. Między niemi była jedna młoda kobieta. Zmiana klimatu i sposobu życia, przyprawiła o śmierć dwóch starszych. Młoda Charruanka powiła córkę; będzie to ładna brunetka. Tacoualu ten młody wojownik, który na rycinie wyobrażony jest stojący z lasso w ręku, zaczyna uczyć się po francuzku, a gdy już będzie należycie posiadał ten język, napisze zapewne rapport o uczonych akademikach, którzy jego współziomków tak *wiernie i naukowo* opisali.

## TYCYAN.

Jeźli nie jest zupełnie dziecinną rzeczą porównywanie dwóch sztuk tak różnych jakiemi jest malarstwo i muzyka, jeźli nie bez powodu przyrównywano Rafaela do Cymarozy, Behowena do Tintoreta, najsprawiedliwiéj możnaby Tycyana przyrównać do Hejdna. Jak Hejdn, Tycyan głównie miał na względzie harmonią całości; bardziéj zważali na nią obydwa, niżeli na szczegóły; obydwa bogaci byli w wynalezieniu przedmiotów; obydwa zręcznie korzystali ze wszystkich motywów i rozwijali pomysły, któreby w ręku innych artystów zostały pospolitemi; obydwa uroczyści, szlachetni, poważni, wytworni w stylu swoim, nie wznieśli się do wyrażenia prawdziwego i rozdzierającego smutku. Tycyan i Hajdn przypuszczeni do poufałości monarchów pozostali wierni sztuce swojéj i całe jéj życie poświęcili. Hajdn siedział jeszcze przy fortepianie, gdy po pięćdziesięciu latach nieprzerwanéj pracy, zgasł mając blisko lat osiemdziesiąt. Tycyan, od najpierwszéj młodości oddawał się malarstwu i umarł w 89 roku życia z pędzlem w ręku. Ale na tém kończy się porównanie tych dwóch geniuszów. Skromny i bojaźliwy, wolny od wszelkiéj ambicyi, nawet od ambicyi prawéj chwały, Hajdn za szczęśliwego się poczytał, gdy otrzymał 2000 zł. pensyi od xięcia Esterhazy. Tycyan od młodości żył po pańsku obsypany zaszczytami i bogactwy. Z resztą zawód jego był spokojny oddany saméj tylko sztuce.

Titiano Vecelli urodził się w Cadore roku 1477; pracował najprzód w warsztatach Sebastyana Zucato, mozajkarza, potém u jednego z braci Belen, który rozgniewany że go naśladować nie chce, zapowiedział mu że będzie nędznym bazgraczem. Wtedy udał się do pracowni malarza Giorgion. Florencya, Rzym, Parma, Medyolan, ozdobiły się dziełmi Perugina, Vinci, Korredzia, Montegna. Wenecya, dzięki pracom Tycyana i Georgion, stała się nową stolicą malarstwa. W sali wielkiéj rady w Wenecyi, Tycyan wymalował, będąc jeszcze bardzo młodym, wiele znamienitych obrazów. Senat mianował go pierwszym malarzem rzeczypospolitéj; najważniejszym przywilejem tego świetnego miejsca było, iż ten kto je posiadał, malował portret każdego nowego Doży, za niezmienną cenę ośmiu talarów.

W Ferrarze, Tycyan wymalował Tryumf Miłości i sławne Bachanalie, które Augustyn Carrache ogłaszał jako najpierwszy obraz w świecie; w 1529 pojechał do Bolonii aby wymalować portret Karola V., który mu największe względy okazywał, a nawet ustępował mu zawsze prawéj ręki. Dopiero w 1545 przybył do Rzymu i bardzo żałować trzeba iż nie przejął się arcydziełami szkoły Rafaela. Michał Anioł uwielbiając jego koloryt, nie byłby powiedział: »Co za szkoda, że w Wenecyi przedewszystkiém nie uczą się rysować!»

W 1550 zaczął na rozkaz Karola Vgo apoteozę familii cesarskiéj; ten obraz ukończył dopiero w pięć lat potém, gdy już Karol V. złożył koronę. W klasztorze Sgo Justa okazano go cesarzowi, a w 1558 obraz ten i zwłoki monarchy przeniesiono do Eskuryalu. Od tego czasu Tycyan wyłącznie pracował dla Filipa IIgo i tym sposobem Hiszpania posiada jego najpiękniejsze dzieła, po większéj części nie przesztychowane i mogące zginąć na zawsze bez żadnego wspomnienia.

Miał przeszło lat osiemdziesiąt, gdy wymalował męczeństwo S. Wawrzyńca, Biczowanie Jezusa Chrystusa, Magdalenę i Wieczerzę Pańską, obrazy nie ustępujące bynajmniéj tym, które przed pięćdziesięcioma laty ugruntowały jego sławę. Mając lat 88 zrobił Zwiastowanie, które bardzo słabo przypominało piękności jego dzieł poprzedzających; rozgniewany że nie chcą wierzyć aby to bydź mogło jego dziełło, podpisał na dole: *Titianus fecit, fecit, fecit.* Potrójne to twierdzenie nie mogło wynagrodzić straty jego świetnych talentów, które i tak zachował dłużéj niżeli

http://rcin.org.pl



TYCYAN.

którykolwiek z malarzy; pracował jeszcze gdy go dotknęła zaraza morowa.

W młodości odepchnięty przez Belena, Tycyan nie zachęcał młodych artystów; a nawet prześladował niektórych. Poświęcał się wszelkim przedmiotom, celował w krajobrazach, portretach i rodzaju historycznym, kilkakrotnie sam siebie malował i z jednego z tych portretów umieszczamy jego rycinę. W Muzeum Paryzkiém znajduje się 22 obrazów Tycyana; najsławniejsze są: Pielgrzymi z Emmaus, Jezus Chrystus w grobie, Jowisz i Antyopa, Ukoronowanie cierniami.

## MUZEUM DOMOWE.

Z dzisiejszym zeszytem skończyło się pierwsze półrocze Muzeum Domowego. Dwadzieścia sześć zeszytów, dozwoliły po części rozwinąć plan tego pisma. Wydawca uważając sprowadzane z zagranicy ryciny, i artykuły z niemi związek mające, więcéj za ozdobę niżeli za główny przedmiot, poświęcał Muzeum artykułom o dawnych zwyczajach i zabytkach Słowiańszczyzny, wiadomościom i wyciągom z nowych dzieł polskich i zagranicznych, usiłował przy tém uprzyjemnić ten zbiór poezyą i nadobną literaturą. Muzeum Domowe też same przedmioty i na dal mieścić będzie. Kilkanaście rycin pracy pana Dietrich, wystawiać będą widoki miast i okolic Polski, Galicyi, gubernii litewskich i podolskich i t. p. oraz obrazy ludzi nauką i zasługami znamienitych. Wydawca nie szczędząc usiłowań i nakładów, spodziewa się że znajdzie pomoc i zachętę ze strony czytelników.

F. S. DMOCHOWSKI.

http://rcin.org.pl



## ROZWALINY KLASZTORU W KAŁUSKACH, W CYRKULE STANISŁAWOWSKIM W GALICYI.

Miłośnik pięknych widoków natury, nie koniecznie potrzebuje odbywać daleką podróż do gór Szwajcaryi, niechaj zwiedzi najprzód okolice Krakowa, niechaj ztamtąd zapuści się w Galicyą, dążąc ku granicom gubernii Podolskiéj, a znajdzie krajobrazy, których wdzięk, wspaniałość i ogrom działać będzie na jego wyobraźnią. Korzystając z pięknéj pory pogodnego lata, wykonałem tę radę, któréj innym udzielam; — Nie żałuję mojéj podróży. Jeden z niéj wyjątek, jeden krajobraz umieszczam.

Podróżując w cyrkule Stanisławowskim, dojechałem nad wieczorem do rozwalin Kałuskiego klasztoru. Na wyniosłem wzgórzu stały jeszcze dwie wieże na pół obalone; wprost za jedną zachodzące słońce rozrzucało złote promienie. Swierki i jodły posępną zielonością okryły okoliczne wąwozy a w dalekości góra krzakami porosła, przebijając się między drzewami, zamykała widokrąg. Gruzy i odłamy rozbitych murów klasztornych, zaległy pochyłość wzgórza i daleko potoczyły się na dolinę. Nikogo nie widziałem w około siebie, ktoby ciekawość moją zaspokoił. Przewodnik którego o kilka mil ztamtąd wziąłem, wiedział tylko że to są zwaliska klasztoru, zniszczonego niegdyś pod czas najazdu Tatarów. Oddalając się z tamtąd, aby poszukać jakiej wiejskiéj zagrody, gdziebym mógł przenocować i o świcie zapuścić się w przyległe góry, postrzegłem dróżynę prowadzącą do lasku. Poszedłem nią, a za zasłoną drzew, ujrzałem nie wielką ale bardzo porządną osadę. Skromny i czysto utrzymany domek wiejski, z obszernym owocowym ogrodem, kilka chat wieśniaczych, dobre zabudowania gospodarskie, łąka przerznięta strumieniem, przedstawiły mi ustronie, o którym nie raz marzę jako o pożądanym przytułku na resztę dni moich. Właściciel téj osady, w téj właśnie chwili wracał z pola; powitał mię uprzejmie i zaprosił do swego domu. Wnętrze tego domku, odpowiadało powierzchowności. Porządek, ochędóstwo, chętna skrzętność gospodyni, skromność i dobre wychowanie dziatek, przedstawiały w rzeczywistości ten wzór idealny, który nam skreślił Krasicki w swoim nieśmiertelnym Podstolim. Ludzie szczerego i otwartego serca, prędko zabiorą znajomość. Za godzinę jużeśmy byli jak starzy przyjaciele.

»Co za szkoda! rzekłem, gdyśmy po wieczerzy usiedli na ławce przed domem: że o tych wspaniałych zwaliskach przyległego klasztoru, żadnéj nie zebrałem wiadomości, żadnéj pamiątki któraby się z niemi łączyła.

Uśmiechnął się na to mój gospodarz i odpowiedział: —»Szanowny gościu! jeśli takie jest życzenie wasze, pomyślny traf zaprowadził cię do mojéj zagrody. Może zadosyć uczynię twoim chęciom. Już od pół

http://rcin.org.pl

trzecia wieku, ojcowie moi dzierżą tę posiadłość, a przygody mego naddziada, ściśle łączą się z historyą tych zwalisk. Jeśli zechcesz dzień jutrzejszy u mnie zabawić i nie pogardzić gościnnością ubogiego szlachcica, przeczytasz naszą starę xięgę rodzinną, którą od dwóchset przeszło lat zachowujemy jako najświętszą pamiątkę. W niéj zapisano prostemi słowy urodzenie każdego dziecięcia naszéj rodziny, jego los dalszy małżeństwa i zgon; a na jéj czele zapisana jest na wieczną pamiątkę, przygoda naszego naddziada, pierwszego dziedzica téj wioseczki. Spodziewam się, że chociaż po prostu, po staroświecku skreślona, zająć was potrafi.

Przyjąłem tak miłe zaprosiny, a nazajutrz wynotowałem z xięgi dziedzica następujące zdarzenie, które powtarzam nieco odświeżoną polszczyzną.

---

Na cześć i chwałę Stwórcy i pana naszego, dla wiecznéj pamiątki moich dziatek, Ja Bożywoj Ostoja, zapisuję w téj xiędze krótką treść przygód moich i oczywistego dowodu Opatrzności Bożéj nademną; polecam zarazem wszystkim moim następcom, aby tę xięgę chowali wiernie i w niéj zapisywali pokrótce to wszystko, co im się ważnego w życiu przytrafi.

Byłem młodym chłopakiem i szóstym synem nie bogatéj rodziny. Mój dobry ojciec nauczył mię czytać, pisać, rachować; wpoił we mnie bojaźń Boga, uszanowanie i posłuszeństwo dla starszych; a gdym już rok dwudziesty skończył, dał mi konia, kilka talarów, jakie takie oporządzenie, błogosławieństwo na drogę, i wyprawił mię do dworu xięcia Wiśniowieckiego, abym zasługując się temu możnemu panu, wyszedł na człowieka i na starość miał kawał chleba. Podobałem się xięciu, byłem zwinny, usłużny, pilny i niespełna we cztery lata zostałem Rotmistrzem jednéj z chorągwi pancernych, które xiąże Jegomość utrzymywał własnym kosztem. Częste wtedy miewaliśmy rozprawy z Tatarami, którzy zagony swoje zapuszczali aż pod sam Lwów i daléj jeszcze. Zdarzyło się przecie, że blisko przez rok było jako tako spokojnie, wtedy chorągiew nasza stanęła na zimowisko w obszernych włościach xięcia. Niedaleko ztamtąd w dziedzicznych dobrach Zasławice, mieszkał pan Cześnik ziemi Sanockiéj. Ludzki, wesoły, chętnie przyjmował gości w domu swoim i nieraz ochocza młodzież szlachecka z chorągwi naszéj, kuligiem zajeżdżała do niego. Kilkoro miał dzieci; z nich druga córka na imie Hanna, od młodości saméj wolą rodzicielską do stanu zakonnego przeznaczona. Gdy inne dziewczęta wesoło tańczyły, Hanna w skromném i ciemném ubraniu siedziała przy matce i czasem tylko nieśmiało spojrzała na ochoczą młodzież. Czyli takie było zrządzenie Boże, czyli, że zakazany owoc najlepiéj podoba się człowiekowi, nadobna Hanna, najbardziéj przypadła mi do serca. »Co za szkoda« myślałem sobie nieraz że jestem dotąd ubogim rotmistrzem na łasce xięcia Wiśniowieckiego, bo nie omieszkanie padłbym do nóg rodziców i prosił o rękę ich córki. Ale cóż? ani myśléć o tém, a tém bardziéj nie godziło się zaprzątać głowy dziewczynie, i odrywać od świętego powołania; nasza uczciwość i prostota, którą daj Boże, abyście moje dziatki i wnuki na długie lata zachowali, kazała mi głęboko ukrywać to com czuł w sercu. Widziałem tylko, że biedna Hanna płoniła się, ilekroć spotkały się nasze spojrzenia, że wzdychała niekiedy. Nie wiem czyli byłbym dotrwał w postanowieniu, gdybym nie musiał wyruszyć z moją rotą pod Lwów, gdzie nasz xiąże pan na czele świetnego orszaku miał powitać króla Zygmunta, który to miasto odwiedzić umyślił. W pięć miesięcy po tém, niespodziany napad Tatarów, rozpostarł trwogę po całéj Rusi Czerwonéj. Sam xiąże Wiśniowiecki ruszył przeciw nim na czele nadwornych żołnierzy swoich. Spieszyliśmy przecie odwrot bezbożnéj tłuszczy i pędzonych w Jassyr brańców odzyskać. Gdyśmy już byli nie daleko klasztoru Kałuskiego, postrzegamy okropną łunę; zbiegli wieśniacy uwiadamiają nas że odział Tatarów wracający z ziemi Sanockiéj téj nocy napadł na klasztor. Xiąże puszcza się w pogoń, dopędza napastników. Na czele chorągwi mojéj rzucam się na nieprzyjaciela; zdaje się iż ręka Boża prowadziła moje kroki. Uderzam na Tatarzyna, który na rumaku unosił omdlałą dziewicę; ścinę go trupem u nóg moich; podnoszę tę, którą zachowałem od niewoli i sromoty, sroższéj nad śmierć samą. O Boże! była to Hanna z Zasławic. Natenczas widząc w tym wypadku sprawdzające się te słowa, że co Bóg złączyć postanowił, tego ludzie nie rozłączą: padłem do nóg xięcia pana; wyznałem moją miłość, prosiłem o wstawienie się i wsparcia. Hanna jeszcze była wolną od ślubów zakonnych, porwano ją z domu Rodzicielskiego.

Państwo Zasławiccy przychylili się do życzeń xięcia. Dostałem od niego obszerną lecz spustoszoną włość na dziedzictwo. Zabudowałem ją i podźwignąłem. Od tego czasu żyłem szczęśliwie z moją wierną i dobrą Hanną; a kończąc tę historyą młodości mojéj, życzę wam kochane dziatki, abyście doznawali zawsze takiéj nad wami opieki Opatrzności, jakiéj ja doznałem.

---

http://rcin.org.pl

Dziad mój: rzekł do mnie: mój gospodarz gdym mu oddawał jego rodzinną xięgę: dzieląc się z braćmi ojczystym majątkiem, zbudował tę osadę, w której teraz mieszkamy; tém ona milsza jest dla nas, że leży prawie pod samemi murami tego klasztoru, niemal w tém samém miejscu, gdzie przed wiekami nasz naddziad, uratował swoją ulubioną Hannę.

## ŻYCIE JANA POTOCKIEGO.

*Wyjęte z Nru 6go Wizerunków naukowych w Wilnie.*

(Dokończenie.)

Z tego wszystkiego, cośmy dotąd powiedzieli o Janie *Potockim*, trudno byłoby wnosić, żeby człowiek zajęty przez całe swoje życie tak mozolnemi pracami, jakiemi są jego wszystkie badania historyczne, mógł mieć dosyć czasu i swobodnej myśli do pisania romansów. Ale przyrodzenie obdarzyło *Potockiego* dziwnie bogatą imaginacyą. Długie i oddalone podróże w różnych klimatach i i wróżnych częściach świata, a mianowicie na wschodzie, rozwinęły tę władzę jego umysłu; a obcowanie z ludźmi wszystkich klass społeczności, w różnych zdarzeniach życia, przyczyniło się w nim potężnie do nabycia gruntownéj znajomości serca ludzkiego. Do tych dwóch przymiotów łączył *Potocki* wielki dowcip, łatwy i słodki charakter, uprzejmość towarzyską w wysokim stopniu, a talent opowiadania i pisania niepospolity. Ztąd nie brakło mu na zdolności do pisania w każdym rodzaju. Głębokie zaciekania się w tajniki najodleglejszéj starożytności, stały się celem i zawodem całego życia, ćwiczenie żywéj wyobraźni, rozrywką. — Jan *Potocki* pisał romans dziwnie ułożony i tak obszerny, że niektóre części jego albo raczéj ustępy, mogą się uważać za oddzielne zupełnie powieści. Przedmiotem romansu są przygody szlachcica hiszpańskiego, potomka familii Gomelez, wiodącéj ród swój od Maurów. Obyczaje Hiszpanów, Muzułmanów i Sycylijczyków, z rzadką znajomością i z wielkim talentem mają bydź w nim malowane, charaktery prawdziwe i uderzające, a sama osnowa powieści i opowiadanie nieskończenie powabne i zajmujące. Długo ten osobliwszy płód imaginacyi *Potockiego*, znajomy tylko niewielkiéj liczbie przyjaciół, leżał w ukryciu, na kilka kopij przepisany. Jedna z nich nawet posłana do Paryża, miała bydź wydrukowana, ale została dotąd w ręku pewnych osób mających ją przejrzeć, nimby poszła pod prassę. Niektóre wszakże ułamki wspomnionego romansu bezimiennie wyszły na widok publiczny, naprzód pod tytułem: *Rękopismu znalezionego w Saragosie*. Kiedy to wydanie wyszło zupełnie z handlu xięgarskiego, powieść ta podzielona została na dwa epizody, które w postaci osobnych powieści wyszły kolejno po sobie w Paryżu. Pierwszy *Awadoro powieść hiszpańska*, we czterech tomach, roku 1813 wydrukowana, jest osobliwszym romansem. Ciągłe epizody następują bez przerwy jedne po drugich, tak, że częstokroć gubi się główny interes. Zdaje się, że zrazu Cerwantes i Le Sage byli wzorem dla *Potockiego* co do samego toku powieści. Jakoż wielka znajomość kraju i obyczajów hiszpańskich, opowiadanie łatwe i naturalne a imaginacya nadzwyczaj żywa i bogata, stawią naszego ziomka w rzędzie pierwszych zwolenników dawnéj szkoły Romansistow. Ale zkądinąd powieści jego śmiało wytrzymałyby porównanie z wielą zachwalonemi tworami tegoczesnéj literatury tego rodzaju. Tak *Awadoro*, jako i drugi romans Jana *Potockiego*: *Dziesięć dni z życia Alfonsa Van-Worden*, wiele mają w sobie fantastycznéj dziwności, a niekiedy istoty nadprzyrodzone i wszystkie sprężyny czarodziejstwa, główną w nich rolę grają, jak np: w powieści xiężnéj *Monte-Palermo*, która jest ustępem romansu Awadoro, i we wszystkich częściach romansu Van-Worden. W obu imaginacya tak ognista i tak wybujała, że się zdaje, iż *Potocki* nabył albo raczéj zbogacił ją w długich swoich podróżach na wschodzie. Jest coś w tych dziwotwornych powieściach, co przypomina nienaśladowny talent Hoffmana, ale te powieści jego więcéj mają związku między sobą, i ciąg pewien stosujący się do całéj kompozycyi; gdy przeciwnie u Hoffmana są to szkice fantastyczne i oderwane zarysy. — Wszędzie język dobry, opowiadanie łatwe, naturalne i tak nagłe, że wszystkie tomy zdają się jednym pociągiem pióra pisane, a osnowa powieści jakkolwiek nieraz dziwaczna, tyle jest zajmująca, że się nie można oderwać od przeczytania za jednym razem całéj xiążki.

Chociaż uważaliśmy w tém piśmie pod względem tylko naukowym życie Jana *Potockiego*, nie podobna jest jednak zamilczéć o wpływie, jaki miał charakter i usposobienie towarzyskie tego znakomitego, uczonego, na jego sławę literacką. Teraz właśnie w przeciągu ostatnich lat dziesięciu, wkrótce po jego zejściu, wdzięczność Juliana Klaprotha wznosi coraz większe pomniki dla chwały naszego ziomka. Był Klaproth jednym z tych ludzi poświęconych naukom, którzy najwięcéj zbliżeni i podobnemi skłonnościami i jednostajnym rodzajem prac do Jana *Potockiego*, najprędzéj zdołali ocenić wielką naukę, i rzadkie jego przymioty. Ten sam Klaproth winien będąc istotnie podróż swoję do Kaukazu *Potockiemu*,

http://rcin.org.pl

który mu nawet układał instrukcye, obdarzony wielą kosztownemi xięgami i rękopismami wschodniemi, wsparty nieraz wpływem i majątkiem *Potockiego*, chciał uwiecznić pamięć swojego protektora. Wydając w roku 1824 *pamiętniki o Azyi*, *zawierające badania historyczne*, *jeograficzne i filozoficzne o narodach wschodnich*, przyłączył kartę zupełnie dotąd nieznanych Jeografom Europejskim wysp morza Żółtego, oddzielającego Koreę od Chin północnych. Mając sposobność rozpoznać dokładnie oryginalne mappy wszystkich części Cesarstwa Chińskiego, sporządzone w roku 1715 od Missyonarzy francuzkich na rozkaz sławnego Cesarza *Khang-hi*: dostrzegł że wspomniona gromada wysp, wskazana na Chińskiéj karcie, nie była odkrytą przez tych nawet Angielskich żeglarzy, co w 1816 roku zwiedzali morze Żółte, ani oznaczoną przez żadnych Europejskich Jeografów. Osądził zatém dość słusznie Klaproth, że się może uważać za pierwszego wynalazcę wysp nieznanych od świata cywilizowanego, chociaż odkrył je spokojnie pod dachem, siedząc nad xięgami i nie narażając się na niebezpieczną żeglugę burzliwych mórz, oblewających państwo Chińskie. Tę więc gromadę ośmnastu wysp, rozsypanych na żółtém morzu, pozabrzeżu prowincyi Chińskiéj *Liao-Toung*, leżących między 39 a 40 stopniem szerokości północnéj, i 120 121 długości wschodniéj paryzkiego południka, nazwał *Archipelagiem Jana Potockiego*. Jeżeli miły jest dla nas hołd osobistéj wdzięczności wsparty uwielbieniem głębokiéj nauki, który oddał publicznie cudzoziemiec naszemu rodakowi, jakże bylibyśmy niesłuszni, gdybyśmy choć téj skromnéj ofiary, jaką jest niniejsza wiadomość, nie złożyli cieniom Jana Potockiego!

Skończył życie mąż ten uczony, równie słodyczą charakteru, jak i rozległością nauki jaśniejący, dnia 12 Grudnia 1816 roku w Oładówce w 55 lat wieku swego, zostawiwszy dość liczne potomstwo z dwóch małżeństw, z Julią xiężniczką Lubomirską i Konstancyą hrabianką Potocką.

## ARYOST.

Druga połowa wieku piętnastego i początek wieku szesnastego, były najświetniejszą epoką dla nauk i sztuk pięknych we Włoszech. Jest to wiek Medyceuszów, wiek Rafaela, Tycyana, Michała Anioła, Tassa, Ariosta, i tylu innych wiekopomną sławą okrytych mężów. Pomiędzy niemi Ariost celuje niewyczerpaném bogactwem wynalezienia, twórczą mocą, rozmaitością stylu, bujnością wyobraźni. Jego poema Orland szalony, z czterdziestu sześciu pieśni, a blisko czterdziestu tysięcy wierszy składające się, jest epopeją romantyczną, obejmującą wszystkie rodzaje stylu, wszystkie skarby poezyi. Czém dla Greków było zburzenie Troi, tém dla nowożytnych ludów południowéj Europy, panowanie Karola Wielkiego i jego walki z Saracenami, którzy zagarnąwszy Hiszpanię, Sycylię, część Włoch południowych, grozili reszcie Europy. Jak niegdyś rapsodowie Greccy śpiewali rozmaite szczegóły wyprawy Trojańskiéj, tak gminni śpiewacy średnich wieków, sławili rycerzy Karola W. albo oswobodzenie świętego grobu i wyprawy do Palestyny. Rynald, Rogier, Orland, Astolf, chrześciańscy rycerze, Agraman, Sakrypant, Ferragus, Gradass, wojownicy muzułmańscy, byli przedmiotem pojedynczych pieśni, a nawet i obszernych romansów. Z nagromadzonych rapsodyi gre-



ckich, powstała Iliada i Odysseja, z pieśni trubadurów i trowerów, z romansowych kronik, Ariost stworzył Orlanda szalonego, Tasso Jerozolimę wyzwoloną. Tasso więcéj trzymał się prawideł greckiéj szkoły, i jego Jerozolima jest utworem porządną całość składającym, ale za to nie tak rozmaitym, bogatym i świetnym, jak Orland szalony Ariosta. Tysiące powikłanych wypadków, przerywa autor zumyślną że tak powiem psotą, w najciekawszém miejscu, przerzuca czytelnika do innych zdarzeń równie zajmujących i ciekawych, nie dozwala mu wytchnąć aż do końca dzieła; co więcéj, zmusza go aby je po dwakroć po trzykroć

odczytał, dla objęcia całości, dla nasycenia się pięknością stylu. Ten zaiste uczyniłby znamienitą dla literatury polskiej przysługę, ktoby gładkim i wiernym rymem przełożył na język polski poema o szalonym Orlandzie. Ale tego ani spodziewać się nie można! W wieku dziewiętnastym, pragniemy niezwłocznie cieszyć się owocem pracy naszéj, nic nie czyniemy dla następnych lat, dla potomków naszych. W ogrodach sadzimy w klombach przeniesione z lasu, krzewiny dzikie; ulice wysadzamy topolami; bo za lat kilka nie cień ale jakąźkolwiek mieć będziemy z nich ozdobę. Ojcowie nasi zasadzali poważne lipy, ciesząc się tą myślą, że jeśli nie oni to ich dzieci i wnuki, pod ich cieniem usiędą i podobną starannością odpłacą się następcom. W literaturze i wsztukach pięknych jest toż samo, któż poświęci piętnaście lat pracy, aby przełożyć Orlanda; albo nie lepszy jest wodwill, dumka, powiastka, romans? jednodniową pracę i *jednodniową* głośność przynoszące za sobą.

Obok ryciny tak znakomitego poety umieszczamy krótki zarys jego życia i kilkanaście strof z pierwszéj pieśni poematu, których nam udzielił jeden z zasłużonych w literaturze tłomaczów.

---

Ludwik Ariosto, urodził się w Reggio 8go Września 1474 i pochodził z szlachetnego rodu. Był najstarszym z dziesięciorga dzieci. Od lat najmłodszych już układał tragedye i grywał je razem z braćmi. W szkołach w Ferrarze, odznaczył się pilnością i postępem. Ojciec przeznaczył go do prawnictwa, ale po latach pięciu poświęconych niemiłéj mu nauce, porzucił ten zawód i zupełnie zajął się poezyą. Grzegorz ze Spoleto był jego nauczycielem. Plaut i Terencyusz podali mu pomysł do dwóch komedyi Kassandra i *Supositti*. Poezye liryczne pisane po włosku i po łacinie, odznaczające się wytworem i lekkością, zwróciły na niego uwagę kardynała Hippolita d'Este, syna xięcia Herkulesa Igo. Hippolit przyjął go do swego dworu w 1503, używał go w sprawach bardzo ważnych i wziął go ze sobą pod czas podróży do Węgier. Po zgonie Herkulesa, Alfons brat kardynała wstąpił na tron i zupełne zaufanie położył w Arioście. Na tym to dworze, pośród wszelkiego rodzaju rozrywek, zaczął i ukończył w przeciągu lat jedenastu nieśmiertelne poema swoje o *Szalonym Orlandzie*, wyszłe z druku w r. 1516.

Gdy w 1517, nie chcąc towarzyszyć Kardynałowi d'Est, w powtórnéj podróży do Węgier, wymawiając się słabością zdrowia, stracił ze wszystkiem jego łaskę, a nawet ściągnął na siebie jego nienawiść. Xiąże Alfons nie przestał go cenić, ale wynadgradzał go niezmiernie skąpo. Polecił mu w roku 1521. — 22 uspokojenie zamieszek które powstały w górach Garfagnana; było to raczéj karą niżeli nagrodą. W trzy lata ukończył to przedsięwzięcie i powrócił do Ferrary. Umarł 6 Czerwca 1533, mając lat pięćdziesiąt osiem.

Ariost połączał z przystojną postacią charakter łagodny, grzeczność i uprzejmość. Był bogatym, lubił zbytek; a musiał jednakże wystawić sobie mały tylko lécz wygodny domek. Oprócz wielkiéj epopei, Ariost pozostawił kilka komedyi, sonety, satyry i poezye łacińskie. — Oto są wyjątki z przekładu pieśni pierwszéj Orlanda.

Rycerzów i płeć piękną i miłość i boje
I męztwo i zaloty śpiewam na przemiany,
Gdy od morza wkroczywszy Maurytańskie roje,
Ziemi Franków zadały tak bolesne rany:
Młody król ich Agraman powiódł w ślady swoje,
A zażegłszy w umysłach gniew nieubłagany
Biegł Cesarza Karola i Rzymskiego pana
Ukarać za śmierć ojca swojego Trojana.

Pragnę też o Rolandzie, w kolei śpiewania
Nócić rzeczy nietknięte i w prozie i w rymie,
Jak on, z próżnej miłości dostał pomieszania
A miał przedtem z rozsądku tak poważne (imie,
Jeśli mnie też zdrowego nie pomiesza zdania,
Ta, dla któréj mój rozum jak pijany drzymie,
Pragnę, kiedy się mojéj spodoba dziewicy,
Dopełnić uroczyście danéj obietnicy.

Ty przeto, Herkulesa potomku wspaniały!
Ty! coś wieku naszego świetną jest ozdobą,
Hippolicie, racz przyjąć ten podarek mały,
Jaki dziś wierny sługa śmie składać przed (tobą;
Niech te słowa, co z mego pióra wypływały,
Będą słabą wdzięczności, ale szczerą próbą,
Wielem ci winien, przecież niech mię nikt nie (łaje,
Że ci mało, bo wszystko, co mogę dać, daję.

Usłyszysz wśród pięknego bohaterów szyku,
Którym cześć oddać pragnę pochwałą ry-(mową,
Usłyszysz w moich dumach o mężnym Rodryku,
Co był twoich naddziadów starożytną głową;
Opowiem dzielność jego i cnoty bez liku,
Jeśli ci ucha długą nie strudzę osnową;

http://rcin.org.pl

Byleś ważne na chwilę zawiesiwszy sprawy,
Raczył posłuch tym pieśniom udzielić łaska-
(wy.

Od niejakiego czasu Roland zakochany,
Dla pięknéj Angieliki dał dowody męztwa,
Zdziwił Medy, Araby, zdziwił Baktryany;
A wiekopomne słupy zatknąwszy zwycięz-
(twa,
Powrócił z nią na zachód, kędy lud zebrany
Z krain Włoskich, Francuzkich, i Saskiego
(xięztwa,
Przy górach Pirenejskich pod rzędem namio-
(tów
Leżał, skinień Karóla oczekując gotów.

Aby sobie Agraman, a z nim król Marsyli
Za ten płochy postępek wytargali brody,
Że obadwa do boju próżno uzbroili,
Ten z Iberu, a tamten z Afryki narody;
Myśląc hardzie, że cesarz kark przed niemi schyli
Że bez trudu francuzkie łupić będą grody.
W sam czas przybył więc Roland; lecz o dolo
(sroga!
Oby tam jego raczéj nie postała noga.

Odjęto mu albowiem kochaną dziewoję;
(Patrzcie! jak często mądrość pobłądzi czło-
wiecza).
Ta, za którą po świecie krwawe toczy boje,
Któréj sobie żelazem wdzięki zabezpiecza,
Wydarta mu, gdy w koło miał przyjacioł roje,
W jego ziemi ojczystéj, bez dobycia miecza.
Mądry Cesarz, chcąc pożar przytłumić
w iskierce,
Zabrał ją i Rolanda srodze zranił serce.

Nieco pierwéj w obozie powstał spór zacięty;
Ze stryjecznym Rynaldem zwaśnił się nasz
(hrabia,
Na dziewicze obadwa łakomi ponęty,
Obu świeża uroda pokusą przywabia.
Karól nie cierpiał fraszek pomiędzy xiążęty;
A znając, że podwika duch męzki osłabia,
Ładne dziewczę, co było przyczyną tych swa-
(rów
Porwawszy, oddał w ręce xiążęcia Bawarów.

I ten wyrok po wszystkich szeregach objawił,
Że w pięknéj Angielice czekać ma nagrodę
Tego, ktoby się w bitwie najwaleczniéj sprawił,
Kto mu więcéj łbów ściętych do rachunku
(poda.
Ale Bóg dobrym chęciom niepobłogosławił;
Uciekła bowiem z placu chrześciańska trzo-
(da,
Bawar dostał się z wielą w pogańskie kajdany,
A namiot jego mężne wzięły Maurytany.

*Angielika wówczas ratowała się ucieczką, ściga za nią Rynald rycerz zakochany w niéj, lecz nie kochany wzajem.*

Tu przez puszczę zamierzchłą ucieka nieboga
Gdzie odwiecznemi dęby step zarasta dziki,
I kędy ludzka dotąd nie postała noga.
Byle zachwiał wiatr liściem brzozy lub osiki,
Na lada szmer okropna przeraża ją trwoga,
I zapędza w bezdroże i ciemne przesmyki.
Wszędzie się na cień góry lub wąwozu wzdry-
(ga
Mniemając, że już Rynald z bliska ją dościga.

Jako młody jelonek, lub sarneczka mała,
Która w gaju rodzinnym i w krzaków osłonie
Okropne matki swojéj konanie widziała,
Gdy ryś dławił jéj garło i kłem rył po łonie.
Unikając mordercy, ze strachu drży cała,
Obiega las i żadnéj nie zaufa stronie.
Niech się dotknie gałązki, a już ledwie żywa,
Sądzi, że ją w paszczękę srogi zwierz porywa.

Dzień i noc i dzień jeszcze drugi do połowy
Błąka dziewczę nie wiedząc gdzie ją koń u-
(wodzi,
Aż w ostatku zabiega do pięknéj dąbrowy,
Gdzie się świeżym wietrzykiem skwar nieba
(łagodzi,
Strumyk zaś po dolinie płynąc kryształowy
Wonne ziołka i kwiaty coraz nowe rodzi;
A po drobnych kamykach sącząc nurt spienio-
(ny,
Lekkim szmerem przyjemne śle do ucha tony.

Tam jakby już uciekła za świata granicę,
Bezpieczna i Rynalda nie mając w obawie,
Gdy ją długi bieg zmęczył, a znój rosi lice,
Pragnie w cieniu cokolwiek spocząć na mu-
(rawie.
Zsiada więc, i koniowi zdjąwszy uzdzienicę
Dla popasu do woli puszcza go po trawie.

http://rcin.org.pl

A ten w smugu zielonym obchodząc do koła,
Pije z czystego zdroju, i świeże rwie zioła.

Ona zaś piękną krzewin kępę napotyka.
Bieli się to od głogów, a od róż rumieni,
I odbita w zwierciadle jasnego strumyka,
Kryje się w starych dębach od słońca pro-(mieni.
Pod nią jakby altana z ręki ogrodnika,
Ustroń rozkoszna z chłodu i głębokich cieni;
Gęsty liść tak ją zewsząd oplata dokładnie,
Że się tam wzrok, a nawet i słońce nie wkra-(dnie.

Ze mchu i drobnéj trawki jest wewnątrz usłanie,
Które właśnie przechodnia do spoczynku (wzywa,
Wchodzi więc Angielika i kładzie się na nie,
A sen miękkiem ją skrzydłem natychmiast (okrywa.
Lecz nie długo spokojna potrwała w tym stanie,
Bo słysząc szelest jakiś, budzi się i zrywa,
I widzi nie daleko zbrojnego rycerza,
Który krokiem powolnym wprost ku rzece (zmierza.

Czy to wróg, czy przyjaciel z razu nie docieka,
To bojaźń, to nadzieja serce jéj nakłoni,
Końca tylko przygody z wątpliwością czeka,
A milcząc i westchnienia na wiatr nie uroni.
Ow zaś rycerz, gdzie brzegi ma wysokie rzeka,
Zbliża się, mając głowę opartą na dłoni.
I stanął pochłonięty w głębi zamyślenia,
Niewzruszony, nieczuły, jak posąg z kamienia.

Tak przez całą godzinę, mąż ów zadumiały,
Stał nad brzegiem strumienia z obliczem (schylonem:
Potém się żale jego i skargi ozwały.
Z jękiem tak przenikliwym, tak żałosnym (tonem,
Iżby same z litości rozpękły się skały,
I łzy krokodyl wylać mógł z Chameleonem.
Tak on jęczał i płakał przez godzinę drugą,
Że się pierś jego Etną, twarz wydała strugą.

Żalu! rzekł, coś tak srogo serce moje przeszył,
I dotąd jeszcze ranę rozdzierasz tajemną:
Cóż mam czynić? winienem, żem się nie pośpie-(szył,
Kto inny umiał zerwać ten owoc przedemną.
Jam się karmił słowami i wejrzeniem cieszył
A on chwycił szczęśliwy tę zdobycz przyje-(mną
Lecz gdy nie jest już dla mnie, ni owoc ni kwia-(tek,
Mam-że za to truć sobie dni moich ostatek?

Dziewica jest jak róża, ta kwiatów królowa,
Co na krzewie rodzinnym kwitła wśród o-(grodu,
Póki barwę i wonią bezpieczna zachowa
Ni się trzód, ni pasterza obawia przechodu.
Karmi ją pulchna ziemia, poi rosa zdrowa,
Grzeje słońce; a wietrzyk udziela jéj chłodu.
Radzi hoży młodzianie i tkliwe dziewczęta,
Że ich stroi do piersi lub skroni przypięta.

Lecz niech się z macierzystéj krzewiny oddzieli,
Gdy ją chciwa dłoń w samym oderwie roz-(kwicie;
Co wzięła z daru Niebios, czém ludzi weseli,
Traci na krasnéj cerze i wonnym zaszczycie.
Tak o swój kwiat dziewica więcéj dbać, niżeli
O piękną twarz powinna, lub o miłe życie:
Gdy go zerwać da komu, wdzięk, sławę, zalety,
Wszystko w oczach kochanków utraca, nie-(stety!

## KĄPIELE ARABÓW W MIEŚCIE GIRONE W HISZPANII.

Arabowie najechawszy Hiszpanią, za pierwszym popędem doszli aż do Pireneów, a nawet i daléj: lecz zaledwie przez chwilę posiadali prowincye północne, zaczeli cofać się, a tracąc powoli kraje podbite, wyparci zostali do południowych części półwyspu, a wkońcu aż do Afryki. Katalonia przeto, najprzód uwolniła się z pod ich władzy, tylko siedemdziesiąt lat dzierżyli miasto Girone, gdy Francuzi zmusili ich do ustąpienia. Jednakże w tym przeciągu czasu wznieśli tam liczne pomniki cywilizacyi. Girona winna im jest piękny pomnik którego rycinę umieszczamy.

Budowla ta należąca od szesnastego wieku do klasztoru zakonnic, przeznaczona była pierwiastkowo na kąpiele, czego dowodem jest nie tylko jéj postać, ale jeszcze i stara umowa, datowana pierwszego wieku po podbiciu tego kraju przez Arabów; dom ten oznaczono w niéj z nazwiskiem *domu kąpieli*. Najznaczniejszą częścią tego gmachu będącego zupełnym czworobokiem, jest budowa umieszczona na środku, która niegdyś

http://rcin.org.pl

obejmowała wodozbiór. Ten utwor architektoniczny, odznacza się wytwornym smakiem i składa się z ośmio-bocznéj podstawy, na któréj wznosi się osiem kolumn. Chociaż plan tego pawilonu jest cokolwiek nieregularnym, szczegółowe ozdoby wypracowano z jak największą sztuką Mianowicie kapitele kolumn, odznaczają się rozmaitością i wytworem ozdób. Jedne zaokrąglają się w liście palmowe, wśród których widać owoce drzewa chlebowego: inne zachowały klassyczne liście akantu; lecz sztukmistrz arabski ułożył je nowym sposobem; w innych wyrabiania na kamieniu, przedstawiają fantazyjne postaci. Sala kąpieli odznaczająca się mocą i kształtnością, jest niezmiernie prosta. Kąpiele arabskie w Gironie, oprócz wartości swojéj jakie mieć mogą pod względem architektury, są przez to jeszcze bardziéj zajmującemi, iż porównywając je z teraźniejszemi kąpielami w Azyi mniejszéj, znajdziemy zupełne podobieństwo tak w ogóle, jak szczegółach. Miasto Girona zasięga dalekiéj starożytności. Karól wielki był dobroczyńcą tego miasta i przez długi czas uroczystem nabożeństwem obchodzono dzień jego święta. Ludność tego miasta Katalonii, dochodzi do 14,000.

## DRZEWKO PIEPRZOWE.

W najgorętszych krajach Indyi Wschodnich znajduje się krzaczek giętki jak macica winna i podobnież potrzebujący podpory; podobnież pną się po gałęziach drzew i w małych gronkach wiszą jego owoce. Ta niepozorna krzewina, stała się w ręku ludzi płodem niezmiernie ważnym i przedmiotem niezmiernego handlu; jest to drzewko pieprzowe.

Ten produkt korzenny znany był starożytnym; Horacyusz wspomina o nim, Portugalczykowie najpierwsi prowadzili nim handel z Europą, pewien Francuz zwany Poivre przeniósł tę roślinę do osad Ameryki leżących pod równikiem.—Roślina pieprzowa rozmnaża się z niezmierną łatwością; trzeba tylko odciętą latorośl wsadzić ukośnie w ziemię i dobrze ją opsypać, a zczasem dać podpory. Uprawa ta potrzebuje tak mało pracy, że jeden człowiek wystarczy na tysiąc krzaczków. Owoc powstaje w małych gronach, które dojrzewając przybierają kolor czerwony. Łatwo je zbierać, ponieważ słabo trzymają się łodygi. Układają je na ubitéj ziemi i suszą na słońcu. Grona te nie razem dojrzewają i im są niedojrzalsze tém się bardziéj marszczą na słońcu, im więc gładsze są ziarka pieprzu, tém są lepsze.

W gorących krajach najwięcéj używają pieprzu; zdaje się że mieszkańcy osłabieni upałem potrzebują tak mocnéj i podniecającéj



przyprawy. Może ten aromat niszczy osłabiające działanie pożywienia, złożonego z samych owoców. W Europie w umiarkowanym klimacie, pieprz służy osobom zimnego temperamentu i skłonnym do otyłości; jakoteż starcom i ludziom źle trawiącym; lecz zabójczym jest dla ludzi słabych na piersi, krwistych i skłonnych do zapalenia.

Nie rzetelni kupcy poważają się mieszać rozmaite proszki i z nich robić pieprz fałszywy, używają do tego mąki z musztardy i pigmentu prowanckiego.

CENA PRENUMERATY
MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, W KANTORZE GŁOWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.

Na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych i za granicą, rocznie zł. 21, półrocznie złp. 11.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

http://rcin.org.pl



KĄPIELE ARABÓW W GIRONIE.

(Artykuł należący do tej ryciny, znajduje się w Numerze przeszłym.)

## WIECZÓR W DOMU PRZY ULICY PIWNÉJ.

Ostatniéj zimy, widać było mocne światło w czterech oknach drugiego piętra w domu przy ulicy Piwnéj w Warszawie; nie był to ów przepych i świetność jakie uderzają nas w salonach Senatorskiéj i Miodowéj ulicy; ale te cztery okna mocno oświecone, oznajmiały jakąś uroczystość, a skromni i pracowici mieszkańcy ulicy Piwnéj, myśleli sobie: »Zapewne dziś wieczorem jest jakieś nadzwyczajne zgromadzenie u pana Tokajewicza.

Pan Tokajewicz jest to zacny kupiec, który dopiero od lat kilku przestał trudnić się handlem. Przez lat trzydzieści, przedawał cukier, kawę, korzenie. Nie sprowadzał hurtem, z drugiéj ręki otrzymywał swój towar, musiał więc przestawać na mniejszym zysku; ale nigdy nie potrzebował kredytu, dla zadosyć uczynienia przyjętym zobowiązaniom. Przez pracę i oszczędność zebrał sobie sześć tysięcy złotych procentu, a wówczas przedał handel, kapitał umieścił w listach zastawnych i postanowił resztę życia spokojnie i bez zachodów przepędzić, razem ze swoją połowicą panią Antoniną Tokajewiczową, kobietą rządną, pracowitą, ale która umiała tylko dopilnować gospodarstwa, pogadać z sąsiadkami o tém, kto się ożenił, umarł, lub urodził się w obrębie Starego Miasta, i któréj cała literatura ograniczała się na pierwszéj stronnicy Kuryera, to jest na *nowinkach Warszawskich.* Tak skromny zawód nie przeszkodził jéj do uszczęśliwienia męża, (a może nawet i dopomógł do tego) i do obdarzenia go córką i synem.

Córka była starsza; skończyła rok siedemnasty, a pan Tokajewicz który niczego nie szczędził na jéj wychowanie, pochlebiał sobie, że ją wyda za mąż, za jakiego wyższego urzędnika, lub za obywatela tytułem Jaśnie Wielmożności obdarzonego. Tak to zawsze ludzie pragną wywyższyć nad swój zakres, jeźli nie siebie to przynajmniéj dzieci swoje, i nieraz gorzkie owoce zbierają z téj niebacznéj dumy. Oprócz tego panna

Kornelia Tokajewicz, nie miała ochoty do handlu i rozumiała że ma stanowcze powołanie do sztuk pięknych i literatury, od czasu jak czerwoną kredą wyrysowała portret papy, i z pamięci potrafiła wygrać i zaśpiewać aryą Rossyniego: *Co za radość, co za los.*

Pan Tokajewicz chlubił się talentami córki; wyższa była o cal jeden od swojego papy, trzymała się prosto jak żołnierz, miała długi nos orli, usta w tymże samym guście, oczy tak figlarne, tak małe, że je nie łatwo można było znaleźć.

Mały Tokajewicz miał dopiero lat siedem. Wybaczano mu wszystko z powodu że tak jeszcze jest młody, a pan Hiacynt korzystając z téj wyrozumiałości, dokazywał od rana do wieczora. Papa tak go kochał iż go nie mógł łajać, a mama lubiła przedewszystkiem spokojność i nie mogła się gniewać.

Otóż więc pewnego rana, pan Tokajewicz rzekł do siebie: »Mam ładny mająteczek, piękną rodzinę, żonę która się nigdy nie gniewa; lecz to nie wystarcza w tym świecie, aby mnie zapraszano, poszukiwano, aby nareście mówiono o mnie. Od czasu jakem sprzedał mój handel, nikt nie bywa u mnie prócz dwóch lub trzech moich kolegów i kilku starych znajomych, którzy od lat dwudziestu przychodzili do mojego sklepu na szklaneczkę wina po obiedzie, a teraz przychodzą co wieczór na loteryjkę. Pragnę zapoznać się z kimsiś lepszém; moja córka nie powinna żyć w tak poziomem towarzystwie; moja córka okazuje wielkie powołanie do sztuk i nauk pięknych; powinienem przyjmować ludzi światłych, utalentowanych; powinienem dawać wieczory, herbaty, kolacye nawet jeźli tego potrzeba; grać będą u mnie w wiska i w bostona, bo moja córka nienawidzi loteryjki; krótko mówiąc chcę ażeby w Warszawie mówiono o moich wieczorach, i żeby Kornelia znalazła stosowną dla siebie partyę.

Takie uczyniwszy postanowienie, poszedł do żony, która siedziała w wielkiém krześle z poręczami, i rzekł do niéj.

—»Moja droga Antosiu, zamyślam dawać wieczory, przyjmować gości. Żyjemy w zbyt szczupłej sferze, nasza córka oddaje się sztukom pięknym, a nasz Hijacyntek wyjdzie na człowieka.

Pani Tokajewicz odpowiedziała na to: —»I cóż mi to szkodzi; alboż ci zabraniam przyjmować gości? Bylebym tylko nie miała z niemi kłopotu!.. a przedewszystkiem nie rachuj na mnie, gdyż ja ci nie będę pomagać. —»Nie będziesz nic robić moja Antosiu, przyjmiesz tylko gości i poprosisz ich aby zajęli swoje miejsca...—»Będę musiała wstawać i kłaniać się co chwila? —»Czynisz to z takim wdziękiem! ja wszystko urządzę; Kornelia mi dopomoże.

Panna Kornelia ucieszona zamiarem ojca, uściskała go, wołając: Ach! mój ojcze, zaproś wiele gości; nauczę się nowych kontradansów i dokończę mego Belizaryusza; każesz go oprawić w ramę na ten wieczór.

A Hijacyntek już skakał po pokoju, wołając: »Będę pił herbatę, będę jadł ciastka, będę jadł wszystko.

Pan Tokajewicz poszedł na miasto, odwiedził przyjaciół swoich i przyjaciół ludzi których nie znał prawie; zaprosił ich prosząc przy tém aby przyprowadzili swoich znajomych. W handlu pana Tokajewicza bywał dawniéj pewien fortepianista i malarz portretów; poszedł do tych znajomych wzywając ich aby swoją obecnością zaszczycili jego wieczór. Nareście pan Tokajewicz tyle poczynił zabiegów dla wyszukania gości, że w przeciągu czterech dni, nabawił się mocnego kataru, i wydał dwadzieścia złotych na dorożki. Kto daje wieczór, nie mało podjąć musi zachodu.

Nadszedł wreście ten dzień uroczysty. Zapalono wszystkie kinkiety, pożyczono ich nawet od sąsiadów... Kornelia bowiem powiedziała, że trzy kinkiety nie oświecą dostatecznie bawialnego pokoju i sypialnéj izby, z któréj powynosiwszy łóżka, zrobiono gabinet do grania w wista i ekarté. Po raz pierwszy w życiu, pan Tokajewicz pożyczał czegoś od sąsiadów, ale też po raz pierwszy wyprawiał tak wielki wieczór.

Od rana zatrudniał się przygotowaniami, obstalował ciasta, zrobić kazał gąsior limoniady i orszady, kupił karty, wyczyścił sukno zielone u stolików, poprawił firanki, a jego połowica siedziała spokojnie w krześle i powtarzała: »Boję się aby ten wieczór niezmiernie mię nie utrudził.»

Panna Kornelia dokończyła Belizaryusza, który podobny był raczéj do jakiegoś Rabina, oprawiła go w ramy i na widoku zawiesiła w bawialnym pokoju. Wystroiła się bardzo pięknie, wzięła różową suknię z organtyny, a to wszystko powinno było uczynić wielkie wrażenie na całém towarzystwie.

Hijacyntek miał nowy szpencerek, a mimo tego bezustanku przewracał koziołki, właził na krzesła, brał karty, otwierał szafki i obłamywał placki.

Czasami zabrakło cierpliwości panu Tokajewiczowi i wołał na żonę: »Jejmość skarć że tego chłopaka!» Ale jejmość odpowiadała nie ruszając się z miejsca. »Skarć go sam, wszakże to do ciebie należy.

Już było w pół do ósméj, a nikt jeszcze nie przyszedł. Panna Kornelia spoglądała na ojca, pan Tokajewicz spoglądał na żonę, a żona na ulubionego kotka.... Gospodarz domu pomrukiwał niekiedy. »Czyliż przez

http://rcin.org.pl

cały wieczór z sobą tylko bawić się będziemy?

I stroskane spojrzenia rzucał na kinkiety, na stoliki i na wszystkie przygotowania. Panna Kornelia wzdychała, spoglądała na swoje ubranie i przeglądała się w zwierciedle. Pani Tokajewicz powtarzała ze zwyczajną obojętnością: »Wartoż było wszystko przewracać do gory nogami!

Hijacyntek skakał po pokoju wołając: »Jeźli nikt nie przyjdzie, sami pozjadamy wszystkie ciastka.»

Przecież zadzwoniono u drzwi od sieni: goście zaczęli przybywać. Pan Tokajewicz nie zna większéj połowy tych osób, wprowadzonych przez ludzi, których zna ledwie z nazwiska. Lecz jest uradowany, zachwycony; powiedziano mu pokazując mu młodego i przystojnego człowieka: »Oto jest młody obywatel z Lubelskiego, dla własnéj nauki pracuje bezpłatnie w jednym z wydziałów rządowych, a przy tém jest zapalonym miłośnikiem muzyki i wybornie gra na fortepianie. Za nim wszedł śpiewak salonowy, syn jednego z bogatych właścicieli domów w Warszawie: człowiek którego wydzierają sobie wszędzie, który chociaż mocno zakatarzony, zechce obdarzyć towarzyswo jednym zę swoich ostatnich utworów. Ten trzeci jest amatorem malarstwa, tamten nareście poetą romantycznym, który nasze Rozmaitości i Magazyny balladami i sonetami zasila. Ze wszystkich stron postrzega pan Tokajewicz w swoim salonie ludzi najlepszego towarzystwa; odurzony, zachwycony, nie zdoła wyrazić ile cieszy się że raczyli odwiedzić jego domek, a dla tych panów nowo przybyłych, nie zważa na starych znajomych, uchybia im, ledwie słowo do nich wyrzecze; zdaje się iż obce osoby które widzi pierwszy raz i ostatni może, zasługują wyłącznie na jego grzeczność i uwagę.

Pani Tokajewicz znużyła się ustawicznem oddawaniem ukłonów... Ale jéj córka jest najszczęśliwsza, pan Tokajewicz chodzi z salonu do gabinetu i zaciera ręce jak gdyby całą Warszawę zatargował, a Hijacyntek bezustanku zajada ciastka.

Nie dosyć na tém, aby naspraszać gości, trzeba jeszcze umieć ich zabawić, a mało osób posiada tę sztukę nawet pomiędzy temi, którzy częste dają wieczory. U jednych nudzą się i poziewają z przyczyny wielkich ceremonii i muszą ograniczać się na rozmowie która nie jest ani przyjacielska ani szczera, ani wesoła. U innych trzeba aż do znudzenia słuchać gospodyni domu, która jeźli jest amatorką muzyki, nie wstanie od fortepianu bojąc się aby kto inny nie zabrał jéj miejsca. Inni lubją grać w karty i przyjmują gości dla tego tylko, żeby mieli swoją partyą wista. Wist jest dla nich głównym celem wieczora, skoro tylko zasiądą przy stoliku, nie dbają wcale czy inni goście bawią się lub nudzą: niechaj myślą o sobie jak mogą. Ach! jakże mało jest domów gdzieby umiano wybrać, przyjąć i zabawić gości. Potrzeba na to taktu, dowcipu, niepamięci o własnéj zabawie, co nie jest rzeczą tak pospolitą jak by kto mógł mniemać.

Pan Tokajewicz przechadzał się z gabinetu do salonu, z salonu do gabinetu, uśmiechał się witał gości i zacierał ręce, ale goście którzy nie po to przyszli żeby patrzeć na niego jak się uśmiecha i ręce zaciera, mówić zaczęli, dosyć głośno nawet: »Cóż to! czyliż cały wieczór będziemy patrzeć jedni na drugich... To byłoby zabawną rzeczą!

Gospodarz chciał zacząć rozmowę z jegomością, który nosi okulary i z napuszoną miną przypatruje się towarzystwu: powiedziano mu że ten pan jest poetą i może będzie łaskaw przeczytać wiersze swojéj roboty.

Były kupiec pokasłuje trzy razy nim do niego przystąpi i rzecze nareście:

Bardzo jestem szczęśliwy, że na mój wieczór przybydź raczył taki literat, taki....

—»A! to pan jesteś gospodarzem domu?

—»Tak śmiem pochlebiać sobie, razem z moją żoną, która tam siedzi przy oknie... Oto jest moja córka.. ta wysoka panienka.. ona rysuje i gra na fortepianie.. Mam także syna, małego psotnika, dopiero co przesunął się koło nóg moich. O! co to za figlarz...

—»Ach panie! rzecze poeta: jak pan możesz mieszkać na Piwnéj ulicy, taka ciasna tak ciemna! tu nie można powziąść żadnego poetycznego natchnienia. Co za błoto! nawet pod czas największych upałów.

—»A jednakże od lat trzydziestu jak mieszkam na niéj, dosyć jestem zdrów z łaski bożéj, odpowiada pan Tokajewicz.

—»Ach! panie, jabym tu do tego czasu umarł trzydzieści razy...

Pan Tokajewicz obrażony tą pogardą swojéj rodzinnéj ulicy, przestaje uśmiechać się i zacierać ręce. Oddala się od pana literata i przystępuje do kilku z młodzieży przypatrujących się sławnemu Belizarowi, pracy panny Kornelii.

—»Uwielbiają robotę mojéj córki: rzecze do siebie: wysłuchajmy niby od niechcenia jakie też uwagi czynią ci artyści.

Młodzi ludzie w rzeczy saméj czynili po cichu swoje uwagi i mieszali je z dotkliwemi szyderstwami.

—»Czy zgadujesz co ma znaczyć ta głowa? Dalibóg że nic śmieszniejszego nie widziałem w życiu. —»To jest Belizaryusz,



WIECZÓR WDOMU PRZY ULICY PIWNÉJ.

czy nie widzisz podpisu. —»Ha! ha! ha! żeby nie podpis, niktby w świecie nie domyślił się tego. —»Spojrzyj na ten nos, na tę gębę, na tę brodę! —»Nie godzi się osadzać za szkłem taką bazgraninę. Trzeba nie mieć żadnego smaku, żadnego wyobrażenia. To jeszcze jest niezgrabniejsze i brzydsze niż te wyroby z litografii żydowskiéj, które wiszą u antykwaryuszów na franciszkańskiéj ulicy.

Pan Tokajewicz nasłuchał się dosyć, odchodzi nie pisnąwszy ani słówka, schyla głowę i przemyka się do fortepianu.

Młody wirtuoz, który opuscił wielki koncert dla téj wieczornéj zabawy, usiadł właśnie przy fortepianie. Przebiegł rękoma po klawiszach i mruczał:

—»Ach! co za grat! co za szpinet. Jakże można grać na takim niegodziwym instrumencie!.. Nie podobna! Ach! to *re*! Ach! to *fa*!.. To podobne do szałamai.. i jeszcze rozstrojone.

A mimo tego, wirtuoz siedział przy fortepianie, grał ciągle, ale uderzał z całéj siły i co chwila zrywał struny, jakby naumyślnie.

—»Pan Tokajewicz zaczerwienił się cały i miał ochotę powiedzieć sławnemu amatorowi:» Nie po to zaprosiłem pana na mój wieczór, żebyś pozrywał wszystkie struny u mojego fortepianu; wstań od niego jeźli ci się nie podoba, ale nie przeszkadzaj aby kto inny grał na nim.»

Jednakże dobry pan Tokajewicz nie śmiał powiedzieć tego i z bólem serca słuchał jak się zrywała struna za struną.

Panna Kornelia zbliża się do ojca, zmartwiona takim zniszczeniem fortepianu; nie będzie mogła grać swoich waryacyi, lecz spodziewa się iż powetuje tę szkodę śpiewając aryą ze Sroki, a stary sąsiad oświadczył, iż gotów będzie towarzyszyć jéj na gitarze.

Nie łatwo pan Tokajewicz wyjednał chociaż trochę milczenia i uwagi dla swojéj córki. Na widok starego sąsiada i jego gitary, przytłumiony śmiech ogarnął całe towarzystwo; to prawda, że stary sąsiad podobny jest do wędrownego trubadura, a jego gitara ma kształt niezmiernie staroświecki. Wszyscy są ciekawi, jak się też popisze na tym instrumencie. Zaczyna, wybijając takt nogą i głową, przez co podobny jest do Chińczyka z porcelany, stojącego na murku.

http://rcin.org.pl

Panna Kornelia zaczyna aryą, ale nie może trafić na takt starego sąsiada, który zamiast towarzyszyć śpiewaczce, gra po swojemu. Panna Kornelia miesza się, sama nie wie co śpiewa, a zamiast oklasków, pan Tokajewicz słyszy przytłumione szeptania: »Nawet harfiarka z garkuchni pod Konikiem nie śpiewałaby gorzéj.«

Przerażony papa, każe czémprędzéj przynosić herbatę i ciasta, aby rozerwać tak uszczypliwe przygany; ale służąca nie nawykła do takiego mnóstwa gości, sama nie wie co robi i tłucze filiżanki z pośpiechu.

—»Basiu, czy przyrządziłaś wszystko do herbaty? pyta się pan Tokajewicz.—»Placki, ciasto wszystko jest gotowe i pokrajane. —»A to o czem ci mówiłem, te putersznitki? —»Putersznitki? alboż to do herbaty panie? —»Wytłómaczyłem ci Basiu, że to jest najnowsza moda angielska. Na najpierwszych balach obnoszą teraz putersznitki zrobione z cienkich kawałków chleba z masłem i z szynki albo zwierzyny we środku. —»Ach! mój Boże, zapomniałam na śmierć. —»Spiesz się więc i nakraj, a tym czasem lokaj, którego na dzisiaj nająłem, obniesie herbatę i ciasta.

Służąca biegnie do kuchni, przeklinając angielskie przysmaczki i czémprędzéj kraje i smaruje chleb z masłem. Lecz nie kupiła szynki; już było późno bieżyć do rzeźnika na Senatorską ulicę; nie wie co począć, w tém postrzega kawał sztuki mięsa z obiadu i mówi sobie: »Dalibóg, pokraję na plasterki sztukę mięsa i przykryję chlebem z masłem... posolone dobrze, ujdzie za szynkę... Człowiek aż w głowę zachodzi!..

Czém prędzéj uskutecznia ten mądry zamiar i wchodzi do salonu z putersznitkami swego wynalazku.

Każdy bierze modną potrawę. Ale wkrótce powstaje szmer powszechny, wszyscy kładą swoje putersznitki gdzie mogą, mówiąc jedni do drugich: »Cóż nam dano u licha? przesolone do nie wytrzymania! nie podobna przełknąć... Dalibóg, to są resztki sztuki mięsa... Co za nieznośny wieczór... Herbata przydymiona. A te ciasta poobgryzane do połowy... Chcą nas otruć.

Pan Tokajewicz jest w rozpaczy, wszędzie szuka służącéj i zbiera resztki putersznitków.

Pani Tokajewicz nic nie mówi, ale jest w jak najgorszym humorze, kupiła sobie nowy czepek i rozumiała że go wychwalać będą, lecz jedna z młodych dam rzekła do niéj: »Ach pani! gdzieżeś kupiła ten czepek? dawno wyszedł już z mody. —»A jednakże kupiłam go w magazynie przy ulicy Freta. —»Chyba z umysłu chciano pozbyć się przestarzałego towaru, odpowiedziała jéj na to: trzeba pójść do magazynów na Krakowskiem Przedmieściu lub na Miodowéj ulicy, tam znajdziesz pani najświeższe mody. Wierzaj mi, porzuć ten czepek, tak ci w nim nie do twarzy.

Jegomość w okularach co tak narzekał na Piwną ulicę, nie chce przecież próżnować na tym wieczorze; usiadł w krześle na środku salonu i oświadcza, że nie mogąc się opierać dłużéj *usilnym proźbom* towarzystwa, przeczyta swoje ostatnie dzieło.

Towarzystwo nie wiedziało wcale o tych usilnych proźbach i nie bardzo cieszy się z zapowiedzenia; jednakże wszyscy stają w koło dla słuchania poety. Wieszcz pokasłuje, chrzącha, nos uciera, zażywa tabakę, kicha, każe objaśnić lampy, zamknąć drzwi, prosi o szklankę wody z cukrem i odgarnia sobie włosy.

Po tych wszystkich ceregielach zaczyna wreście. Drżą szyby od jego deklamacyi, ledwie z pięćdziesiąt wierszy przeczytał, a już prześliczny obraz zbrodni, śmierci, rusztowania, podraźnił uszy towarzystwa, gdy w tém nadzwyczajny hałas powstał w pobliskim pokoju.

Hijacyntek wspinając się do baby postawionéj na stosie talerzy, wywrócił na siebie i talerze i babę.

Pan Tokajewicz biegnie, posłyszawszy płacz i krzyk syna; całe towarzystwo śpieszy za ojcem, uradowane że nie będzie słuchać nadętego poety, ten zaś pozostawszy bez słuchaczów, zrywa się rozjuszony, bierze kapelusz i wychodzi mówiąc: »Dobrze mi tak żem był tak słabym że przystałem na deklamowanie wierszy moich w domu przy ulicy Piwnéj.

Odprowadzają Hijacyntka który płacze, ponieważ dwa talerze rozbiły się na jego nosie, a że już nie bawią się ni muzyką ni deklamacyą, siadają do kart, bo przecież potrzeba coś robić.

Zebrano dwa stoliki ekarte, dwa stoliki wista, do trzeciego brak czwartéj osoby. Wołają gospodarza domu. Pan Tokajewicz gra ale bardzo słabo, a do tego nigdy nie grał wyżéj jak po pięć groszy punkt, ale jakże się wymówić! Obowiązkiem gospodarza jest bawić gości, siada zatem. —»Po czemuż gramy? zapytuje się jeden z grających. —» Po naszemu, odpowiada drugi, punkt po cztery złote, osiem punktów szlem wielki i korona, cztery punkta szlem mały, z pięciu honorami i z resztą« Na te słowa dreszcz przeszedł pana Tokajewicza. Mieni mu się w oczach, nie widzi kart, gra jak najgorzéj, płaci szlemy, korony i przegrywa w trzech robrach, trzydzieści i osiem punktów, czyli sto pięćdziesiąt sześć złotych.

Nareście porozchodzili się goście, biedny gospodarz z upragnieniem wyglądał téj chwili. Cały ten piękny świat oddalił się, nie pożegnawszy nawet gospodarstwa, które tyle podjęło trudów dla ich przyjęcia. Rodzina państwa Tokajewiczów pozostała sama; Jejmość znużona i rozgniewana przyganą kapelusza; Kornelia ma łzy w oczach, ponieważ wyszydzono jéj śpiew i rysunek; Hijacyntek że spuchłym nosem narzeka na żołądek, gdyż się obiadł ciastek, Pan Tokajewicz z przerażeniem oblicza swoją stratę. »Wieczór kosztował mię przeszło sto pięćdziesiąt złotych, przegrałem sto pięćdziesiąt dwa... O! niedalekobym zajechał, gdybym często dawał takie wieczory. Nic z tego nie będzie; wolę grać w loteryjkę, a ty moja Kornelciu, pójdziesz za którego z moich kolegów, za rządnego i uczciwego człowieka. Dajmy pokój wielkim wieczorom.

## KAPLICA CZASZEK W MADERZE.

Drugiego Września o świcie, majtek stojący na czatach zawołał: »Ziemia!« Wyspa Madera okazała się na końcu widokręgu szarą otoczona zasłoną. Z daleka, ta ciemna i ciężka zasłona wzrastała i rozciągała się jak chmury wstępujące na widokrąg. Wiadomo jest, że skutkiem lękliwości, godnéj zabobonów piętnastego wieku, żeglarz Gonzales zarzuciwszy kotwicę przy wyspie Porto, o szesnaście mil francuzkich od Madery, przez trzy lata nie śmiał zbliżyć się do tych wyziewów: jego osada okrętowa, poczytała je za wyziewy wydobywające się z otworu piekła. Promienie słońca przenikając przez te chmury, oświecały jedne po drugich, zarysy bardzo urozmaiconego obrazu; zatoka rozszerza się w półkole, przylądki malują się coraz to wydatniéj na błękicie nieba. Przy podstawie skał bazaltowych, których płaskie ścięcia piętrzą się coraz wyżéj i zapełniają się kościołami, wiejskiemi domy, i klasztorami otoczonemi zielonością, rozkoszne miasto Funchal roztacza swoje białe domy; jest to niższy szczebel długiego pasma krajobrazów. Pochyłości gór są osypane wioskami, a wspaniały klasztor N. Panny, otoczony kasztanami, których wierzchołki giną w obłokach, zdaje się uwieńczać całość; główny bowiem ogrom wyspy ginie we mgle. Najdaléj posuniona straż tego stanowiska morskiego, skała Ilheo, głaz lawy broniony bateryami, posuwa się pośród zatoki i strzeże okrętów stojących na kotwicy i tysiąca łodzi krążących przy wnijściu do portu. Mimo nadzwyczajnéj piękności tego widoku, zatoka Funchal jest bardzo niebezpieczną; kotwica bowiem nie chce chwycić się w skalistym gruncie morza, a pod czas wiosennego i jesiennego porównania dnia z nocą, wiatry południowe gwałtownie pędzą morze do lądu. I nasze wylądowanie nie odbyło się bez szkody.

Czarodziejstwo krajowidoku znikło, gdym wszedł do miasta. Może nudom towarzyszącym długiéj żegludze przypisać trzeba ten entuzyazm, którego doznaje podróżny na widok lądu. Rzecz niezawodna, że natychmiast po wylądowaniu nagłéj doświadcza reakcyi. Domy po większéj części o jednem tylko piętrze, zbudowane są z drzewa, wytynkowane gipsem, zamiast dachów mają belwedery, ale nie widać w nich tego gustu i téj regularności, która nadaje tak wielką wartość najdrobniejszym nawet szczegółom. Musiałem przechodzić uliczki ciemne, kręte, ostremi kamieniami wybrukowane i niezmiernie nużące. Te wązkie korytarze domów, których świeże pobielanie ledwie ukryć zdołała ich zgrzybiałość, przecięte są w zyg-zag wodami płynącemi ku morzu, między złemi groblami z wypróchniałych desek i piasku. Wody te idące ze zrzódeł, miały przykładać się do oczyszczenia ulic; ale przemysł gospodyń odwraca je do potrzeb życia domowego i zamienia je w cuchnące bagna. W tych to strumieniach, służące po większéj części bardzo brzydkie, stoją do pół ciała w głębi staréj beczki bezedna; mydlą i klepią bieliznę, śmiejąc się ze wszystkich nowo przybyłych, a dzieciaki nagie jak ich Pan Bóg stworzył, pluskają się pośród gromady wieprzów, któreby można poczytać za główne figury tego miasta. Te individua (mówię o wieprzach) są bardzo otyłe i zuchwałe; nikomu nie ustąpią się z drogi, a kto je zechce spędzić, ten nieraz pożałuje swego zuchwalstwa. Mało jest w mieście wytwornych pomieszkań, a te należą do zagranicznych kupców, handlujących winami téj wyspy. Wskazano mi pałac gubernatora, i dobrze uczyniono; nie daleko z tamtąd widziałem piękną przechadzkę między szpitalem który nigdy się nie wypróżnia, a teatrem który się bardzo rzadko otwiera. Los mi sprzyjał. Tego samego dnia było wystawienie. Niegodziwi aktorowie francuzcy, w ubiorach z czasów Ludwika XV. grali tragedyą o wzięciu Troi: Achilles i Hektor dzielnie strzelali do siebie z pistoletu, a Grecy po zwycięztwie syna Tetydy, weszli do miasta Pryama przy odgłosie dzwonów i bębnów, z dobytym bagnetem. Agamemnon miał ogromną ufryzowaną perukę, Ulisess okropnie mówił przez nos, matka młodego Astyanaxa, była przy nadziei; o czém historycy nie wspominają ani słowa. Widzowie odeszli bardzo zadowoleni, a ja byłem bardzo zadowolony że odejśdź mogłem.

Mój gospodarz Anglik nazwiskiem, Hadington, zaprowadził mię do kościołów. Nie ma w nich nic osobliwego, chybą że chcemy za osobliwość poczytać dach i wieżę kościoła katedralnego, o której powiadają że jest zbudowana z jednego drzewa cedrowego. Opuściłem Maderę przekonany o bajce téj powieści. W szybkim przeglądzie téj wyspy, przekonałem się że pokład ziemi roślinnéj zbyt jest szczupły, aby na niéj mogły rosnąć te gęste pierwotne lasy, których pożar, jak mówią historycy, trwał przez lat siedem. Mniemane cedry, były to zapewne cyprysy; lecz niechaj naturaliści rozstrzygną tę wątpliwość.

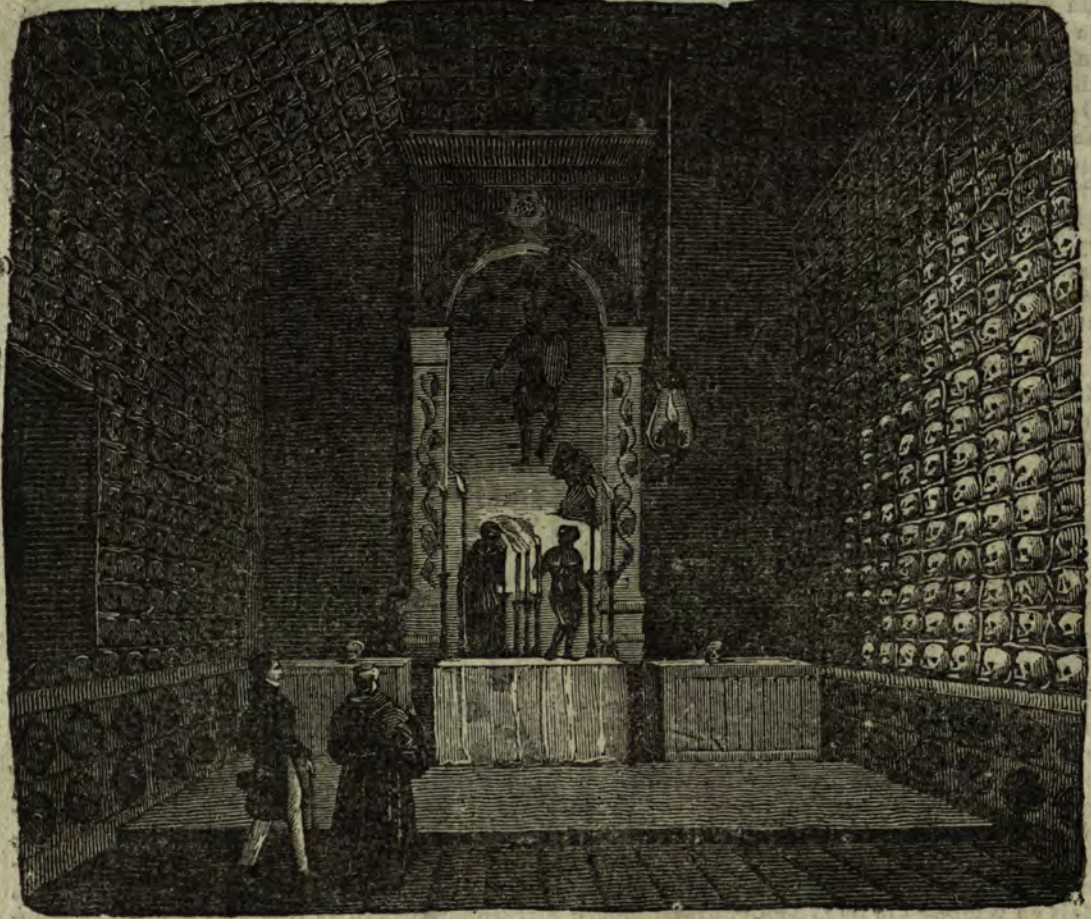
Kaplica czaszek zasługuje na wzmiankę, znajduje się w klasztorze Franciszkanów i nie godzi się pomijać téj osobliwości. Przy bladém świetle lampy, wszedłem do tego grobowego buduaru, gdzie przeszło trzy tysiące głów trupich, oczyszczonych i gładkich, umieszczonych na podstawie z piszczeli w kształcie krzyża, zasłania wszystkie sklepienia i ściany. Wszystko to jest okurzone i czyste; nie ma porządniejszego miejsca na całéj wyspie.

Gdyśmy wyszli z klasztoru Franciszkanów na miejsce przechadzki, w tym dniu zapełnionéj tłumem, uderzyła mię bladość i chorobliwa cera większéj części mieszkańców. Nie wpływał bynajmniéj na to ogorzały kolor rodu portugalskiego. Nie trzeba przypisywać klimatowi, wychudłości i wynędznieniu tych wszystkich twarzy: jest bowiem doskonały, i doktór Adams wprowadził go w modę dla bogatych chorych Anglików: ale niegodziwemu gatunkowi pożywienia, zbytecznemu używaniu trunków, a mianowicie zaniedbaniu wszelkich starań o utrzymanie zdrowia. Ludzie trudniący się handlem albo rzemiosłem, odznaczają się od gminu kapeluszem i obuwiem: co jest przedmiotem zbytku po wsiach Madery. Są dumni jak Dyogenes, który chlubił się z dziur swego płaszcza. Gmin składa się z właścicieli łodzi, rybaków i kontrabandzistów. Wieśniacy przedają wiązki do opału, albo trudnią się uprawą wina, i tworzą klassę zdrową, oryginalną i czerstwą. O świcie widzieć można ich kobiety, bose, w krótkiéj spódnicy, z obwiązaną głową, niosące pęki rozmaitych roślin i krzewów na opał dla miasta. W południe pod czas wielkiego upału, zobaczysz je, siedzące przede-drzwiami pod cieniem bluszczowych gałązek, ozdabiających wszystkie chaty. Z kilkoma podróżnemi, którzy chcieli także zwiedzić wnętrze wyspy, nająłem muły i mulników, i jechaliśmy jeden za drugim, ścieszką idącą nad wąwozami. Piękność krajobrazów ginie w miarę zbliżania się do nich; ich ozdoby głównie polegają na winnicach. Winne grona dojrzewają spokojnie na łodygach; roślina pnie się w górę do bardzo znacznéj wysokości; widziałem drzewa, których gałęzie rozciągnięte w szpalery, utrzymywały silne latorośle winne, za pomocą podpor z bambusu. Na południowéj stronie, podmurowania nie daleko jedne od drugich, utrzymują ziemię roślinną na znacznéj pochyłości góry. Jaszczurki były poprzybijane do murów; mocno bowiem szkodzą winnicom i mieszkańcy chwytają je w polewane garki, z których te płazy wydostać się nie mogą. Przełożony rządowy i delegowany ze strony duchowieństwa, obecni są przy winobraniu i każdy z nich zabiera część dziesiątą. Reszta dzieli się między dzierżawcę i właściciela; każdy bez ceremonii zabiera część swoją w torbach ze skóry koziej. Winobrańcy schodzą gromadami ku miastu Funchal, niosąc swoje torby na drogę. Czarne włosy, twarz koścista, i przenikające spojrzenie, odbijały się od niebieskiéj czapki, koszuli płóciennéj i pstrych pantalonów. Ich obejście się było w ogólności uprzejme i życzliwe.

Doskonałe przyjęcie czekało na nas w Porto de Machimo. To miasto powzięło miano swoje od przygody Szkota Roberta Machaim i pięknéj Anny Alfiet, którzy oboje uciekając przed nieprzyjaciołmi ich miłostek, przypadkiem odkryli wyspę Maderę jeszcze pod Gonzalesem. Mulnicy opowiadali nam dziwne szczegóły tego romantycznego podania, bardziéj zajmującego niżeli to, które posłużyło za text Danielowi Foe; ponieważ znajduje się w niém kobieta, a Robinson w ciągu długiéj samotności pracował tylko dla siebie samego.

Dobry i pożądany obiad w guście francuzkim, zakończył naszą wycieczkę. W licznem towarzystwie zasiedliśmy do stołu. Ubior dam portugalskich, więcéj jest zbytkowym niżeli gustownym; ale każde ich poruszenie jest pełne wyrazu; a jeżeli Włoszki i Francuzki celują pięknością, nic nie może bydź ponętniejszém od tych pieszczonych figur, noszących razem cechę skromności i oddania się. Studenci którzy nie dawno wyszli z Koimbry, rozprawiali o statystyce; zakonnicy ostrożni, grzeczni, udzielili mi wielu szczegółów o płodach i handlu Madery. Obficie zastawiono konfitury i pomarańcze. Wieczorem salon obszerny zapełnił się miłośnikami tańca. Narzędzia muzyczne połączyły się ze śpiewem: przez grzeczność kłamałem przyklaskując spiewaczkom. Nareście zgrabne dzieci wykonały wesołą sarabandę. Gdym odszedł przedzierając się przez tłum służących murzyńskich, mulnicy naszéj ka-

http://rcin.org.pl



KAPLICA CZASZEK W MADERZE.

rawany przegrywali zapłatę którą nazajutrz mieli otrzymać, popijając nadkwaszone wino.

---


CENA PRENUMERATY

MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, W KANTORZE GŁOWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.

Na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych i za granicą, rocznie zł. 21, półrocznie złp. 11.

Można także prenumerować na Urzędach Pocztowych oraz u następujących xięgarzy.

w Kaliszu u Jahnischa.

w Radomiu w xięgarni tamtejszéj

w Lublinie u Streibla.

w Poznaniu u T Scherka.

w Krakowie u Friedlejna i Czecha.

w Wilnie u Zawadzkiego.

tamże u T. Glücksberga.

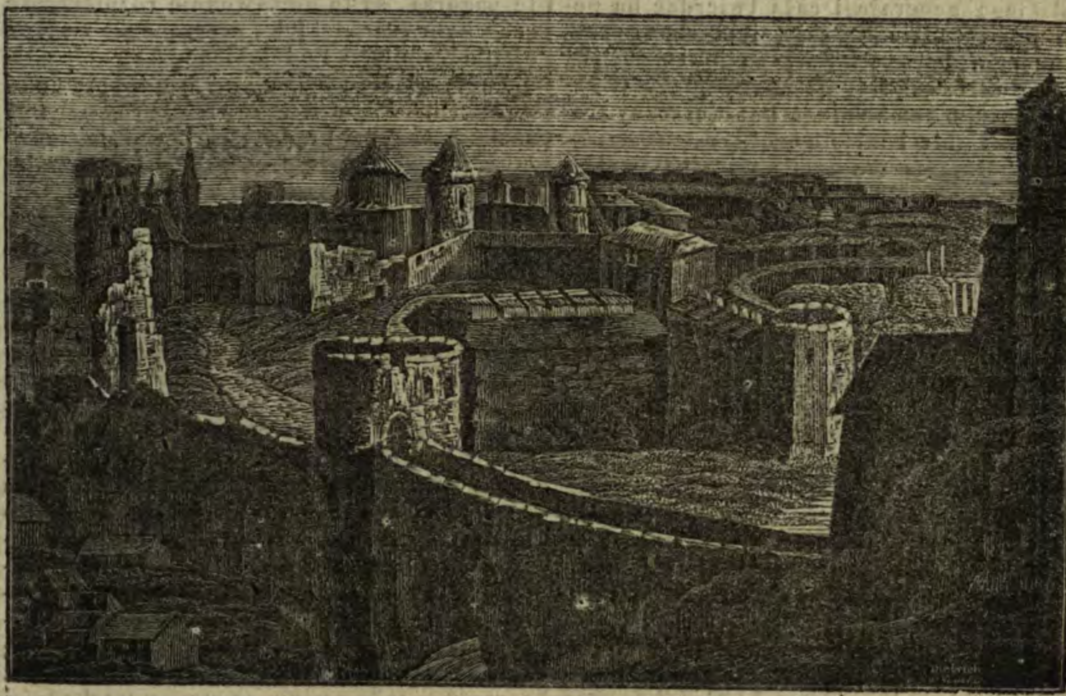
w Winnicy na Podolu i / w Kamieńcu Podolskim. } w xięgarniach braci Lechów

Osoby prywatne na prowincyi zamieszkałe, któreby raczyły dopomódz upowszechnieniu pożytecznych nauk przez zatrudnienie się zbieraniem prenumeraty, otrzymają na 10 exemplarzach 11sty gratis.


---


WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.


http://rcin.org.pl



## ZAMEK KAMIEŃCA PODOLSKIEGO.

( Rycina robiona w Warszawie p: F. Dietrich. )

Dopóki Cesarstwo Rossyjskie nie położyło ostatecznéj tamy najazdom Turków i Tatarów, Kamieniec Podolski był przedmurzem nie tylko Polski, ale i całéj środkowéj Europy. To miasto leży teraz w Gubernii Podolskiéj. O jego dawniejszym stanie i dziejach, Swięcki w dziele swojém następującą daje wiadomość.

»Kamieniec Podolski, oblany rzeką Smotrycz, na skale miasto i twierdza; urwiska prostopadłe skał zagradzają wszelki do niego przystęp, zamek zwany ziemny, zasłania od zachodu; szczyt skały na któréj zbudowano Kamieniec, zajmuje rynek porządnie zbudowany; wielość murowanych domów, ulice brukowane, kościoły piękne, jakoto: Katedra Biskupa Łacińskiego, klasztory Karmelitów bosych, Trynitarzów, Jezuitów, Panien Dominikanek, oraz kilka cerkwi Ruskich i kościół Ormianów zdobią miasto. Nad gmachami twierdzy wznosi się meczet, zabytek ostatni panowania Turków. Gdy za czasów Augusta II. przez traktat Karłowicki, wracali Turcy Kamieniec Polakom, warowano, iżby miesiąca z meczetu nie zrzócać; pobożny wynalazek dogodził ich żądaniu, stawiając na xiężycu wyrobiony z miedzi Obraz Najświętszej Panny. Kojałowicz i Stryjkowski świadczą, że około roku 1331 po zawojowaniu Podola pod Tatarami przez Olgierda Wielkiego Xięcia Litewskiego przez Xiążąt Koryatowiczów, rząd sobie tego kraju powierzony mających, Kamieniec i jego twierdza zbudowane zostały. Roku 1633 Kozacy i Tatarzy naszli Podole i oblegli Kamieniec a przez Koniecpolskiego Hetmana wypędzeni i porażeni zostali; roku 1656 Kamieniec Podolski od 120 tysięcy Kozaków oblężony został, lecz od niego odstąpić musieli. Roku 1672 dnia 18 Sierpnia obległ Wielki Wezyr Turecki to miasto, a dnia 29 tegoż miesiąca, Komendant Generał Podolskich Ziem, nie przyjąwszy załogi od Jana Sobieskiego, poddał to miasto Turkom, gdy przez jego nieostrożność magazyn prochowy na powietrze wyleciał, a szlachcie schronionéj z żonami i dziećmi, bombardowanie Tureckie sprzykrzyło się. Garnizon wolne otrzymał wyjście, a szlachta oddalenie się z twierdzy. L'Abbe Coyer w tomie I. na karcie 362 mówi iż Machomet IV. odprawił wjazd na koniu do Kościoła katedralnego w Kamieńcu, tak jak Machomet II. do kościoła Stej Zofii po zdobyciu Konstantynopola. Jan Kazimierz król, spokojnie w Francyi po abdykacyi mieszkający, dowiedziawszy się o wzięciu Kamieńca Podolskiego, dotknięty smutkiem skończył życie. Od téj epoki Kamieniec zostawał pod panowaniem Turków aż do roku 1699, w którém, gdy na mocy traktatu Karłowickiego, komendant Turecki oddawał go Marcinowi Kątskiemu Generałowi artyleryi, okazując prochy w lochach podziemnych, już zapalił lont i chciał

http://rcin.org.pl

polskiego generała i całą twierdzę na powietrze wysadzić, Kątski z niesłychaną przytomnością uchwycił ręką za lont, zagasił go, osłupił Muzułmana pogrążonego w zadziwieniu, a zamach jego bezskuteczny zrobiwszy, siebie i miasto ocalił.»

Uzupełniamy ten opis Kamieńca, wyjątkiem z dzieła Xdza Marczyńskiego: *Statystyczne, topograficzne i historyczne opisanie gubernii Podolskiéj.*

»Nie wiadomo, mówi ten autor, jakie miasto było w dawnych czasach stolicą Podola, mówią że gdy ten kraj dostał się pod panowanie xiążąt Litewskich, Koryat xiąże, jeden ze synów Olgierda, założył miasto Smotrycz, nad rzeką tegoż nazwiska Smotryczem, dotąd trwające; na północ od miasta Kamieńca na mil trzy położone. Polując w lasach, nad tąż samą rzeką ku południowi, napadł przypadkiem na miejsce gdzie dziś jest Kamieniec; z osobliwości tego miejsca i jakby z przyrodzenia na twierdzę usposobionego, zajął się założeniem Kamieńca.

»Rzeka Smotrycz, zaczynając się wyżéj około miasta Felsztyna, idzie od północy ku zachodowi, około miasteczka Gródka, stąd prostopadle płynie na południe w różne zakręty ku Dniestrowi. W miejscu tém, rzeka ta ku wschodowi zrobiła zakręt znaczny. Fossa wielka głęboka i szeroka, wązkie zostawuje do przejścia miejsce, połączone z resztą ziemi. To miejsce miało nazwisko z początku, podług starej Jeografii, Klepidawa i Petrydawa. Klepidawą mogli go nazywać Grecy, niekiedy odwiedzający te kraje, bo te zarosłe niegdyś lasami, a z jednéj tylko strony i to z trudnością przystępne, mogły bydź schronieniem złych i szkodliwych ludzi, od słowa greckiego *kleptis*, co po polsku znaczy złodziej. Petrydawą zaś mogli nazwać wygnańcy Rzymscy, obywatele Wołoszczyzny i Multan za Dniestrem, od słowa łacińskiego petra, co znaczy po polsku opoka, skała: ponieważ uważając go na około, zdaje się, iż ten cały okrąg jest sztuką skalistą, gdy tymczasem wyjąwszy brzegi na kilka sążni szerokie i skaliste, ma ziemię wszędzie czystą na pięć lub sześć sążni głęboką: czego dowodzi studnia wśród rynku do połowy z ziemi wykopana, a reszta w skale wykuta. Podług noty czterdziestéj przy historyi Polskiéj Naruszewicza, jest u Długosza, iż Kamieniec dawniejszych jeszcze czasów zasięga, i że Kamieńczan Xiążęta Czerniechowscy z Połowcami zniszczyli. Okrąg miasta basztami i rądelami forteczne-mi, na których są baterye, opatrzony. Od strony północnéj i wschodniéj koło samego Kamieńca, są góry przewyższające miasto, na których widać ślady, że były ziemnemi wałami i bateryami szańcowane. Wyniosłe te pagórki, są to niezawodnie rozpierzchłe części gór Karpackich, szerzące się wzdłuż okolic Kamieńca Podolskiego ku stronie północnéj, aż do pasma gór Miodoborskiemi zwanych. Pagórki takowe, nie równéj wysokości, okryte są w części laskami ciągnącemi się ku stronie wsi Huminiec i Kołubajewiec; Laski Pudłowiecki, Zwarnicki, Kubaczowiecki i inne otaczają to miasto ze strony zachodniéj, południowéj i wschodniéj. Niektóre z nich, prócz powabnego widoku mieszkańców, są oraz miejscem wesołych latem rozrywek. Obchodząc dołem miasto po nad rzeką, nie podobna nie czuć wzruszenia duszy i nie zastanowić się na chwilę nad tworzeniem się przed wieki owych skał, już wyniosłych i urwistych, już zniżonych pochyło, już uczepiających się ogromnemi bryłami. Gruzy nakoniec lub bliskie upadku baszty, na wysokości skał będące, wzruszają umysł człowieka. Do tak czarującego położenia, nic sztuka nie dodała, i lubo w przepaści skał na brzegach rzeki Smotrycza zabudowane są w obrębie miasta proste wiejskie chaty, tu jednak z miejsca, na któréj się miasto znajduje, patrzącemu miły widok sprawują, mianowicie ze strony wschodniéj gdzie jest ogród Witowski, czyniący w lecie miłą przechadzkę, a ze strony zachodniéj wysadzone drzewami wały, od mnóstwa ludu zwiedzane bywają.

»Od zachodu koło śrzedniéj drogi, po lewéj stronie idąc z Kamieńca, jest zamek mostem długim i wązkim rozdzielony nazywający się podziemny, z basztami, wałami i bateryami, z których miała bydź obrona gór, opasujących Kamieniec. Jechać trzeba do tego zamku wązką murowaną dosyć wysoką drogą, częścią od Polaków, częścią od Turków zbudowaną, na przestrzeni łączącéj ziemię pod miastem z resztą okolicy, pod którą jest zrobiony otwór nie wielki i puszczona część wody z rzeki Smotrycza, na młyny od strony wschodowéj na przedmieściu Karwasar. (zobacz rycinę.)

Gwagnin wspomina, że Kamieniec miasto przy Multańskiéj granicy prawie boską ręką między twardemi i opoczystemi skałami jest zbudowane. Bramy tylko dwie ma, zamek też na miejscu, nad podziw obronny, skałą zewsząd okrążony, który we spół z miastem rzeka Smotrycz opływa i wał bardzo głęboki z natury wyrobiony otacza. Zamek sam murem, strzelbą, basztami, dobrze opatrzony, a miasto skała kamienna nie dostępne i niedobyte czyni: która ją tak okrąża że domy choć są dosyć wysokie przecie jednak ledwie ich wierzchy przed nią widać. Częstokroć od tego miejsca Turcy, Tatarowie i Wołochowie z wielką porażką i sromotą nazad odciągać musieli.

http://rcin.org.pl

To miasto i okolica jego, nietylko pod historycznym lecz i pod geologicznym względem zasługuje na uwagę. Widać tam działanie wody, odwieczne skutki powszechnego potopu. Łomy skał stanowią fundament pokryty ziemią czarną, pomięszaną z marglem a przez to niezmiernie zyzną. Koryto rzeki Smotrycz, która w koło oblewa Kamieniec i sama wyspa na której się miasto wznosi, są zbiorem stwardniałej gliny i kamienia wapiennego, który łamie się płytami i służy do bruku i do budowy domów, tak dalece, że wszystkie domy w mieście są z niego budowane; miejscami natrafić można na alabaster, na rozmaite petryfikacye i na kamień ciosowy.

Kamieniec, od dawnych królów, mianowicie od Kazimierza Jagielończyka, Zygmunta Starego, Zygmunta Augusta, Stefana Batorego i Zygmunta IIIgo wiele otrzymał przywilejów. Archiwum miejskie zasięga roku 1521. W teraźniejszym stanie tego miasta szczególniej zasługuje na uwagę kościół katedralny architektury gotyckiej, kościoły Dominikanów, Karmelitów i Ormiańska Cerkiew Sgo Jana, która za czasów panowania Turków była meczetem wielkiego Wezyra.

Kamieniec jest miejscem mieszkania Biskupa rzymsko-katolickiego i Arcy-biskupa grecko-rossyjskiego, pierwszych urzędników gubernii, władz duchownych i cywilnych.

Kilka napisów dochowuje pamięć rozmaitych kolei tego miasta, jeden na pamiątkę odnowienia zamku przez Stanisława Augusta, drugi na pamiątkę odzyskania Kamieńca od Turków. Domów jest przeszło sześćset, mieszkańców chrześciańskich 8000, żydów prawie taż sama liczba. Miasto jest murowane, osobliwie w rynku kwadratowym, wesołym i czystym; struktura budowy po większéj części azyatycka. Ulice ma proste, jasne i brukowane, a z natury gruntu i położenia, zawsze wolne od błota.

Aż do roku 1812 Kamieniec był twierdzą, ale w owym czasie N. CESARZ ALEXANDER, uznał ją za niepotrzebną przy rozszerzeniu granic państwa i warownię rozebrać kazał. Tenże Monarcha zaszczycił bytnością swoją Kamieniec Podolski w dniu 24 Kwietnia 1818go.

## NEWTON.

Nieraz uważano w życiu wielkich ludzi, że jedno niespodziewane zdarzenie, lub przypadkowa okoliczność, nagle rozwija w nich nowe zdolności a które im samym objawia całą ich siłę i potęgę. Można nawet powiedzieć że dopiero wychodząc z młodocianego wieku, zaczęły się w nich okazywać nadzieje, czem kiedyś bydź mogą. To jest rzecz pewna, że gdy człowiek stanie się sławnym, wszyscy usiłują upatrzeć, w jego przeszłym życiu, okoliczności, zapowiadające jego wielkie zdolności, ale przecież te wszystkie okoliczności później odkryto i łatwo mniemać, że je z umysłu wynaleziono. Dzieci wiele obiecujące w szkołach, częstokroć potém są ludźmi miernych zdolności, a częstokroć ten, który najmniej obiecywał, wywyższy się nagle nad wszystkich innych. Napoleon nie odznaczał się w szkołach, nie słychać żeby Chateaubriand odbierał wielkie nagrody, a Lamartine nie myślał że wyjdzie na wielkiego poetę. Lecz jeśli geniusz nie objawia się w dziecińswie, natomiast skłonności się wykrywają, a częstokroć te skłonności są tak stanowcze, że wskazują istotne powołanie: Newton jest tego szczególniejszym przykładem.

Powiadają, że w dziecinnym wieku, zaniedbywał swoje obowiązki, że był opieszałym uczniem, a zajmował się, jak mówili jego nauczyciele, samemi *bzdurstwami i dziecińs̄twami*. Te dziecińs̄twa były to różne małe mechaniczne roboty, które zdawały się bydź zabawkami, ale może i samo dziecię nie wiedziało o tém że to już był dla niego głęboki przedmiot zastanawiania się. Wkrótce stał się tak zręcznym że zrobił młyn, podług wzoru, którego mechanizm uchwycił lub odgadł; nadewszystko pamiętają że zrobił zegar, który za pomocą wody wskazywał godziny. Jeśli w chwilach wolnych od nauk, podzielał zabawy swoich towarzyszów, latawiec najwięcéj go zajmował. Wtenczas, gdy radośne dziecinne okrzyki witały wznoszącą się wątłą machinę, on, rozważny dostrzegacz, w milczeniu zastanawiał się nad tym fenomenem, którego nie mógł sobie wytłomaczyć. Nie można jednak wnosić z tego nadzwyczajnego zajęcia się mechaniką, że umysł Newtona nie był usposobiony do innych nauk. Chlubnie dowiódł później, że umysł jego zdołał wszystko ogarnąć, że w młodocianym wieku nieraz dostrzegł, że go przeszli w naukach jego towarzysze, a wtenczas kilko-tygodniowa usilność wynadgrodziła dawne opóźnienie.

Miał dopiero lat szesnaście, gdy go matka do siebie wezwała, żeby doglądał małego gospodarstwa, lecz on czytał zamiast zatrudniać się żniwami, a poczciwa matka poznając że był *za głupi* na gospodarza, przekonała się że tylko przyda się na *uczonego*, i nie sprzeciwiała się dłużéj, żeby obrał sobie ten zawód wówczas tak ograniczony i niewdzięczny. Wszedł do uniwersytetu w Cambridge, i tam zaczęły się rozwijać jego wielkie zdolności. Zapał do nauki, szybkie postępy, wytrwałość w pracy, wkrótce zwró-

ciły na niego uwagę professorów, którzy nie zadługo potém stali się jego uczniami.

Pracował w milczeniu i ukryciu, nikomu nie udzielał skutku swych dumań, bądź to że ich wielkość jego samego zadziwiała, bądź to iż uczuł że nie nadeszła jeszcze stosowna pora, albo też że dopiero postrzegał pierwsze promienie które miał rozpostrzeć w umiejętnościach.



NEWTON.

Wówczasowy wykład systematu świata, nie był mądrzejszy od tego jaki dziś jest jeszcze w Chinach albo w Turcyi; największe umysły błądziły i mimo wszystkich usiłowań, nie zdołały przeniknąć tajemnicy ruchu tych niezmiernych ciał niebieskich, krążących w przestrzeni. Newton odkrył je samą siłą pojęcia swego. Wiele mówiono o spadnięciu jabłka, jak gdyby spadające jabłko mogło odkryć jednę z tajemnic Boga; sądzimy za rzecz potrzebną objaśnić to zdarzenie, które zamieniono w wielki wypadek, jak gdyby chcąc trafowi przypisać odkrycie, będące skutkiem potęgi geniuszu.

Newton już się był przekonał że wszystkie aż dotąd systemata uczonych były fałszywe; ale nie mógł jeszcze odkryć głównéj zasady prawa, które jest kluczem prawdziwego systematu ciał niebieskich. Długi szereg postrzeżeń i rozmyślań, bez wątpienia naprowadzał go na prawdę, ale jeszcze otoczoną tak wielkiemi ciemnościami, że nikomu nie wspominał o nich, lękając się ażeby nie była jednym z tych świetnych błędów, które tylu znamienitych ludzi poczytało za prawdę; rozmyślał przeto bez ustanku, badając niebo, przypatrując się zjawiskom przyrodzenia, zważając ruch planet w przestrzeni, i całemi dniami przypatrując się najprostszym i najpospolitszym fenomenom. Pewnego dnia leżał pod jabłonką, pogrążony w zwyczajnych dumaniach; jabłko spadło mu na głowę; zapytał sam siebie dla czego ten owoc spadł właśnie na niego i postrzegł że spadł w prostopadłym kierunku. Zastanawiając nad tą własnością, iż wszystkie ciała zostawione samym sobie, spadają na ziemię, zapytał sam siebie: »Dla czego to prawo natury, nie miałoby się rozciągać za atmosferę ziemi, i dla czegoby xiężyc i inne planety, nie miałyby mu bydź posłuszne? Od téj chwili, geniusz Newtona trafił na właściwą drogę, rozwiązał zagadnienie. Przypadek więc nie wypłynął bynajmniéj na to odkrycie, a to jabłko jest rzeczą najobojętniejszą w świecie; każdy bowiem inny przypadek, byłby naprowadził Newtona na toż samo rozumowanie i na też same wnioski.

Newton nie poprzestał na tém żem odgadnął tajemnicę budowy świata, chciał je zastosować, i przez nowe prace wynalazł narzędzia któremi mógł ścigać ich ruchy, obliczać ich prędkość, oznaczać objętość, mierzyć ich ciężkość; te badania doprowadziły go iż rozebrał promień słoneczny i wskazał iż się z siedmiu promieni składa, z których każdy ma odmienny kolor. Pozyskawszy chwałę tak piękną jak chwała Krysztofa Kolumba, Newton podobnież postradał spokojność. Powszechne uwielbienie które jego odkrycia wznieciły w Europie, obudziło także zazdrość i wciągnęło go w długie i przykre spory, już to dla obrony pierwszeństwa w odkryciach, już to dowodzenia ich rzeczywistości. Dla tego też mówiąc o chwale swojéj, powtarzał. »Żałowałem często żem opuścił spokojność moją, dla ubiegania się za cieniem.

Akademia umiejętności w Paryżu, jednozgodnym okrzykiem przybrała go za członka; był przez lat 20 prezydentem Towarzystwa Królewskiego w Londynie, a król Angielski mianował go dyrektorem mennicy. Umarł w roku 1727 mając lat 85. Był średniego wzrostu, jego cera przez długi czas zachowała świeżość młodości i jeden tylko ząb był postradał; gęste włosy białe jako śnieg, zacieniały jego szanowne czoło. Jednakże, mówią jego biografowie, nie widać było w jego fizyonomii i obejściu się téj nadzwyczajnéj bystrości umysłu, któréj dał dowody w dziełach swoich, a nawet w jego

spojrzeniu i postawie, było coś niepewnego i wątłego, co nie dawało o nim za pierwszym rzutem oka wielkiego wyobrażenia. Zasługuje na uwagę, że ten wielki człowiek był Chrześcianinem w najobszerniejszém znaczeniu tego wyrazu i ostatnie lata poświęcił na wykazanie prawdziwości Objawienia i Pisma świętego. Że tak wielki geniusz który umiał czytać w niebiosach, okazał mocną i szczerą wiarę, jest to zwycięzka odpowiedź tym mniemanym filozofom, którzy chlubią się z niedowiarstwa, a z których żaden nie byłby odkrył zasady atrakcyi.

Anglia wspaniale uczciła pamięć Newtona, a jego zwłoki spoczywają w kościele Westminsterskim.

## WYJĄTKI Z DZIENNIKA PODRÓŻY PO ZACHODNIEJ CZĘŚCI GALICYI.

(Dalszy ciąg.)

Na środku morskiego oka jest wir wielki. Ryby dają się tu widzieć, a czasem nieznanego rodzaju; o jednéj powiadał mi wiarogodny człowiek, na co miał świadków, że w roku zeszłym nie daleko brzegu ukazała się im ryba z głową nad wodę podniesioną, bardzo do kociej podobną. Wieść góralska niesie, że przed laty kilkunastą, jakaś także ryba nieznana im, porywała pijące owce, szczególniéj czarne; pasterze zasadzali się ze strzelbą, dali do niéj ognia skoro się pokazała, i odtąd już jéj nie widzieli. Przezroczystość wody tak wielka, że dno w kilkosążniowej głębi jak za szkłem widać. Dwa przedmioty w okolicy morskiego oka głównie słyną. Na wschód jego, wyżéj o sto może sążni jest półokrągły ustęp w skałach, zalany wodą, która nosi nazwisko czarnego stawu: na południe zaś skała Mnich zwana; ma ona w samej rzeczy postawę siedzącego zakonnika, z odrzuconym kapturem; wpatrzywszy się, można dokładnie rozpoznać twarz, brodę, i inne części ludzkiego ciała. Nie wiele jest wód, któreby zewnątrz wpływały do morskiego oka; oprócz wodospadu z Czarnego stawu i potoku, który się spuszcza po przepaścistéj skale, w stronie zachodniéj innych nie dostrzegłem. Zdaje się więc, że źródła tego jeziora na dnie jego bydź muszą, gdyż odchód wody tworzący Białkę, każe się domyślać obfitego jéj przybywania. Rzeczą tu nie mało także zajmującą, jest echo, zwłaszcza wystrzału; trwa ono minut kilka, jak największy grzmot, razy kilka głuchnąc i podnosząc się, a coraz w innéj stronie. Gasnący dzień nakazywał pożegnanie rozkosznych okolic; słoneczna łuna błąkała się jeszcze po szczytach, ale przy morskiem oku zmrok coraz mocniéj szarzał, dawszy więc kilka wystrzałów i zamieniwszy przez echa rzewne odjezdne pozdrowienie, wsiedliśmy na konie, czekające nas przy morskiem oku i wróciliśmy do leśniczostwa tą samą drogą co nas aż do Rostoku przyprowadziła. Taka podróż raz odbyta, nie może zaspokoić; rozdraźni ona tylko, przez pół odsłoni przyrodę gór; gorzałem aby ją powtórzyć, losy inaczéj chciały; musiałem przestać na 12stym Sierpnia.

Jeszcze w Maju puściłem się na zwiedzenie Kościeliska; zdawało się że w tém przynajmniéj miejscu, jako leżącém śród gór niższych i dostępniejszych, będę mógł ułagodzić niecierpliwość dostania się do wnętrza Tatrów; ale mój zamiar nie miał powodzenia; śnieg deszcz i mgła, witały mię na przemian w Kościeliskach, ledwo pamiątkę niższéj części doliny i kilka szczytów błyskających na przemian między chmurami, uniosłem wtedy: a tymczasem to miejsce uchodzi za najpiękniejsze w Tatrach, na co i ja się zgodziłem, o ile z pierwszego i krótkiego widzenia sądzić mogłem; postanowiłem przeto powtórną zrobić wyprawę. Droga z Nowego Targu do Kościeliska idzie przez Szaflary, Biały Dunajec, Poronin, wieś Zakopane, zawsze po nad wodą białego Dunajca: późniéj rzuca się pod same góry w bardzo wdzięczne świerkowe lasy i styka się z Czarnym Dunajcem, przy samym jego wypływie z doliny Kościeliskiéj. Droga ta, trzechmilowa z górą, ubarwiona jest miłą rozmaitością, szczególniéj od Poronina. Dunajec szumiał nam wciąż po ogromnych płytach co mu dno uścielały; góry po obu stronach i łąki rozdołu którędy idzie droga, jaśniały świeżą zielonością, jakby śród wiosny; po lasach gwizdała wilga i drozd uczył się pieśni słowika: jednem słowem, bez najmniejszéj nudy, przebyliśmy tę drogę. Razem gościniec zbiegł na odkrytą dolinę i zakręcił się ku południowi: pojrzeliśmy przed siebie: na tę i na tę stronę pasma wysokich gór świerkami okrytych, tylko w jednem miejscu przerwa aż do dna doliny, na kilka sążni szeroka; po jednéj i po drugiéj stronie dwie ogromne skały, jak dwie kolumny w bramie; z pomiędzy skał czarny Dunajec wypadał: to wjazd na dolinę Kościeliską! — Minąwszy wspomnioną bramę, ujrzeliśmy się na rozkosznéj płaskiéj dolinie, owalnego kształtu; pokrywa ją kobierzec najświeższéj darni, ocieniają do koła góry i lasy uderzające takim wdziękiem, że się zdawały ulubieńszém nad inne dziełem przyrody, po prawéj ręce szumiał pod górami Dunajec, gdzieniegdzie z pomiędzy gór lesistych wytykały nagie szczyty, jak wieże nad okazałym grodem; droga prosta wysadzona drzewami, szła środkiem płaszczyzny i niknęła w wąwozie, którego tło składały dalsze góry; ta mała dolina, to przysionek Ko-

ścieliska. — Gdzie ona zwęża się, tam się zaczyna właściwe Kościelisko. — Hamernia i budowy należące do niej, zapełniają początek doliny. Jest tu także oprócz murowanej oberży, kilka domków, które gościnny tego miejsca właściciel, zmarły przed laty kilką Homolacz, przeznaczył jedynie dla ciekawych podróżujących. Wieczorem 21 Sierpnia przyjechaliśmy do Kościeliska, dla tego zwiedzenie jego rozpoczęliśmy dopiero nazajutrz. Nim przystąpię do ważniejszych szczegółów, powinienem dać wyobrażenie całej doliny. Długość jéj ma wynosić półtory mili: dno tak wązkie, zwłaszcza w niższéj części, że między wodami które tu zewsząd płyną, a górami, ledwo się przeciska droga. Góry tworzące Kościelisko są jedyne w swoim składzie; całe Tatry nic podobnego nie mają. Najznaczniejsze między niemi po lewéj ręce, idąc z północy na południe, Gewont, który oddziela Kościelisko od Zakopanego, i niższe szczyty, mogące się uważać za rodzinę Gewontu, Miętuska, Upłaz i t. d. po prawéj Tomanowo, Smytnia i inne. Ormak lub Pyszna, ze śniegami na wierzchu, zamyka półkolistemi piersiami Kościeliską dolinę od południa i odcina ją od Węgier; z resztą każdy tu szczyt najmniejszy, jak i w całych Tatrach ma swoje nazwisko, ale tych i dowiedzieć się i wyliczyć trudno. Boki gór po większéj części bardzo przykre, w niższéj strefie mają wiele rozmaitości; tu pięknym lasem porosłe, tam z prostopadłych skał nagich obwieszone drzewami to rosnącemi, to powalonemi przez coroczne ulewy i wichry w rozmaitych położeniach; daléj usłane kozodrzewiem, a najwyżéj nagie. Ciekawy jest początek nazwiska téj doliny. Podczas jakichściś wojen, wojska nieprzyjacielskie dotarły aż w te strony. Górale udali że się cofają przed większą liczbą i tym obrotem wprowadzili ich pomiędzy góry, dopiero tędy przeciąwszy im w ciasnych miejscach odwrót głazami i drzewami spuszczanemi ze szczytów, do jednego ich znieśli; od wielkiego mnóstwa nieprzyjacielskich kości ta dolina przezwała się Kościelisko; chociaż właściwie owa porażka miała bydź w dolinie leżącej pod Gewontem przy drodze z Kościeliska do Zakopanego, zwanéj dziś biały potok; co zdają się potwierdzać rozrzucone po niéj ludzkie kości do niezliczenia. Tę klęskę według innych mieli ponieść Szwedzi, według innych Tatarzy.

Nazajutrz przy pięknéj pogodzie, z zapasem żywności i wina, puściliśmy się na całodniową przechadzkę po dolinie. Pierwsze zaraz kroki wstrzymują się nie daleko hamerni przy źródłach czarnego Dunajca. Jedno z nich leży na maleńkiéj płaszczyźnie pod Upłazem, rozlane jak okrągłe zwierciadło i tak wygładzone; miły i dziwny widok tego źrodła, powierzchnia spokojna i nieruchoma jak szkło, chociaż na dwie strony woda rozlewa się nadzwyczaj obficie i gwałtownie. O kilkaset bije drugie źródło większe i sławniejsze już to przez położenie swoje, już przez podania przywiązane do niego. Późniéj wypadnie mi z jego powodu wiele mówić, całą więc rzecz o nim nadal odkładam.

W południowéj ścianie Upłazu, znajduje się pieczara zbójców; aby dostać się do niéj potrzeba okrążyć tę górę od północy, przebydź jéj grzbiet, i dopiero spuścić się cokolwiek na dół: cała droga idzie gęstym lasem, i tylko znaki siekiery po drzewach są przewodnikiem; pieczara wykuta ręką ludzką w kształcie długiego korytarza, ma okna w skale, wewnątrz kamienne ławki, a w samém końcu źródło; przed laty kilką znaleziono przy tém źrodle kości ludzkie wielkie do podziwienia; według powieści górałów; były to szczątki sławnego przed laty węgierskiego zbójcy Janoszyka. (*) Przystęp do otworu pieczary bardzo przykry i osłoniony drzewami, ale widok z niéj na całą dolinę i wszystkie góry południowe. Daléj doliną idąc nad potokiem Pysznéj, stoi ogromna skała, którą lud zowie Sową od podobieństwa głazu z tym ptakiem; za nią masz nad lasami wyraźny ze skał zamek, opatrzony prawie wszystkiemi częściami tworzącemi warowne miejsce. Późniéj dolina zmienia postawę, podnosi się i rozszerza, góry stoją rozłożyściej, parowy łagodniéj wyżłobione, i pokrewne pasma na boki puszczają; w tém już położeniu na wysokim stopniu Pysznéj leży Smerczynsław. Ładne to miejsce. Jezioro dosyć rozległe; wysoko i samotnie leży: otacza go żyjąca przyroda; ale wycięty w koło niego las i pnie zrębu ujmują mu wiele powabu, sama też woda nieczysta, a brzegi bagniste utrudniają do niéj przystęp. Urozmaicają drogę, górnicze banie, czyli miejsca zkąd rudę żelazną biorą, dzisiaj zarzucone, że się znalazły obfitsze; trafiliśmy także na kopalnią srebra, którą przed kilkunastą laty, czy trochę dawniéj woda zalała; piękne bardzo machiny mają się dotąd znajdować w głębi wody. Jakkolwiek zajmujące są piękności drobiazgowe, każdą jednak porzucę dla rozkoszy wdra-

(*) W drużbakach (Rauschenbach) na Węgrzech widziałem obraz nędznie sztychowany przedstawiający ucztę owego Janoszyka ze czterema towarzyszami; jeden z nich gra na kobzie, jeden wyprawuje powietrzne skoki z siekierką; Janoszyk z dwoma innemi jé i pije; malarz wyobraził ich tam we właściwych im góralskich strojach i uzbrojeniem zbójców, wymienił także nazwisko każdego; żal byłoby gdyby taka pamiątka zginęła, bo malowidło wisi w sieniach oberży, która jest przy kąpielach i w niewielkiem poszanowaniu.

http://rcin.org.pl

pania się na szczyt olbrzymiéj góry. Tam dopiero panując nad przestrzenią, ogarniając ją jednym rzutem oka, czuję w sobie całą duszę, czuję bujanie jéj po najmilszym dla niéj żywiole wzniosłości. Do wierzchołka więc Ormaku dążyłem, pomijając zarówno i przeszkody i piękności. Wyszedłem na Ormak w tém miejscu gdzie się schodzą korzenie dwóch jego szczytów, zachodniego i wschodniego, na które dostać się dzisiaj nie miałem nadziei; lubo nie zdawały się bydź bardzo wysokie, ale ja wiedziałem z doświadczenia, jak ten pozór zawsze w górach omyla, i co kosztuje ta omyłka tak trudu jak czasu: tém bardziéj, że spomniony grzbiet góry, albo jak go tu zowią siodło, przedstawiał nam tyle do widzenia, żeśmy bez wielkiego żalu zaniechali dalszéj drapaniny. Południe już minęło; powietrze było jasne, ciche i skwarne; pragnienie paliło; ale musieliśmy wprzódy zaspokoić pierwsze potrzeby ciała i duszy, położyć się dla spoczynku i rozpatrzyć okolicę. Zajmujący to punkt gdzieśmy spoczywali: tędy właśnie przechodzi graniczna linia między Galicyą i Węgrami, kilka kroków, rozdzielając dwa kraje, zdają się różne klima poczynać. Wyobraźmy sobie grzbiet góry, tak wązki, że między nachyleniem jego, ku północy z jednéj, ku południowi z drugiéj strony, ledwie się mieści kilka kroków płaszczyzny. Na północ idzie rozkoszna dolina Kościeliska, na południe dolina do Węgier już należąca, téj samej prawie długości i tegóż kształtu; ale żadnéj z tych rozmaitości, które pierwszą upiększają, ani owych skał dziwnych, ani wód obfitych, ani dolin mniejszych; jeden, długi, głęboki wąwóz, jednotonnym lasem zarosły. Kościelisko stroi najpiękniejsza wiosna; po Węgierskiéj dolinie ślady dogorywającego lata; po pierwszéj błękitnieją, żółcieją, rumienią się najpełniejsze, najwonniejsze kwiaty, na drugiéj gdzieniegdzie żółty jaskier; tam jaśnieje zieloność jak po ciągłych wiosennych deszczach, tu zwiędła trawa i mech islandzki płowieją. Sam widok na Galicyą rozmaitszy i ma więcéj życia; na Węgry może rozleglejszy, ale tyle lasów, tyle płaszczyzny nieludnéj, przedgórza tak oddalone, że tylko obszerność widoku zastępuje inne powaby. Z tém wszystkiem, byłem rad i z tego com widział; ochłodziliśmy się wodą z potoku Węgierskiego, podjedliśmy i zeszliśmy z góry.

Pod Ormakiem leży piękna polana z piękną bacówką; owce właśnie zeszły z gór na południowy spoczynek do koszar, widzieliśmy krzątających się koło bacówki kilku pasterzy; wstąpiliśmy więc do niéj napić się rzętycy i kupić sera. Rzętycą tu daleko lepsza niż w przedgórzach co są za Nowotarską doliną; przyczyna tego w balsamiczniejszéj paszy. Z półgodziny przepędziliśmy na rozmowie z pasterzami. Pod każdym względem trzeba kochać i podziwiać tych ludzi. Co to za uroda w budowie, co za zręczność w każdém ruszeniu; jaki otwarty rozum i przytomny dowcip w rozmowach. Ubiór następnie opisany, jest ogólnem strojem tutejszych pasterzy: koszula po pas, usmażona w maśle, jedna na całe lato; spodnie sukienne białe, ocisłe, z czerwonym szwem i wyszyciem na brzuchu z węgierska, ciżmy króciutkie przysznurowane do połowy łytek rzemieniami, szeroki pas skórzany, za pasem po lewéj stronie nóż duży, przez plecy ładna ze szpagatu torba w kolorowe zygzaki z ogromnemi od wierzchnéj części frenzlami; koszula spięta wielką mosiężną spinką, czasem w kształcie medalu, czasem obrazka, z licznemi spadającemi dosyć długo łańcuszkami; rękawy zfałdowane na ramionach, i fałdy utrzymuje w kształcie guzika jakaś robotka z różnobarwych paciorek, na głowie kapelusik z wązkiemi brzegami, okrągłym wierzchem, amarantową wstążką obwiązany i ozdobiony świeżą gałązką jakiego drzewa; w ręku siekierka na długiéj lasce, zwana u nich wałaszka lub ciupaga, a w ustach mosiężna fajeczka na kilkocalowym cybuszku. Mosiężne ozdoby, jakoto spinka, spomnione i fajki, wyrabiają we wsi Ząbsuche, niedaleko Kościeliska. Między innemi rzeczami gadali nam Juhasy o zbójcach. Zwykle na Węgrach oni się gnieżdżą, a tutaj tylko czasami przez góry dochodzą. Przed kilką właśnie dniami mieli u siebie odwiedzni czterech. Ci ludzie uzbrojeni są od stóp do głowy. Każdy prócz siekierki noża i pistoletów ma ze trzy rusznice. Juhasom nie robią nic złego; wybierą tylko kilka baranów, porzną, popieką, najedzą się, resztę zabiorą i przymówiwszy się do tego o sery, odchodzą spokojnie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

---

## GAZELLA.

Sarna tak żywa, tak kształtna i łagodna, ustąpić musi zajmującemu zwierzęciu, którego tu umieszczamy rysunek. Tego samego wzrostu co sarna, Gazella ma ciało wysmukłe, bardzo delikatne i kształtne nogi. Jéj głowa bardzo proporcyonalna, nosi rogi długie przeszło na stopę, średniéj grubości, czarniawego koloru, poznaczone pierścieniami. Oko czarne, jest razem łagodne i żywe. Sierść świetnéj białości pod spodem ciała, przybiera piękny kolor płowy na grzbiecie, szyi i udach. Pęk ciemnéj sierści wyrasta na każdém kolanie. Ogon krótki i dobrze obrosły, kończy się pękiem czarnych włosów. To zwierze tak jest piękne, że rysy

http://rcin.org.pl




GAZELLA.

gazelli służą za przedmiot porównania poetom wschodnim, gdy chcą odmalować piękność kobiety. Zawsze nie dostawałoby czegoś obrazowi bohatyrki powieści Arabskiej, gdyby nie miała spojrzenia gazelli. Nie tylko z powodu zgrabności postaci, lekkości poruszeń, ale jeszcze z powodu łagodności jéj obyczajów i trwożliwości charakteru, gazella jest celem pieśni poetów. Te zwierzęta żyją w licznych i spokojnych gromadach, lubią płaszczyzny Syryi i Arabii, gdzie obszerna przestrzeń otwiera się przed niemi, gdzie rzadkie i niskie krzaki nie zdołają wstrzymać ich trwożliwych spojrzeń, gdzie nieprzyjaciel nie uderzy na nich z nienacka. Gdy zatrzymują się dla spoczynku, na miejscu suchem i czystem, rozstawiają czaty na pobliskich wzgórzach, a ich krzyk ostrzega, skoro tylko człowiek lub pies zbliża się do nich, albo też ryk lwa daje się słyszeć w odległości. Niebezpieczeństwa, któremi są zewsząd otoczone, wymagają téj ostrożności i przykro jest pomyśleć, że piękna gazella jest najpospolitszym łupem dzikich zwierząt pustyni. Lwy, tygrysy, pantery, orły, sępy i inne pomniejsze drapieżne zwierzęta, ciągle ścigają za stadami gazellów; podróżują ich kosztem, i co wieczór gdy się zatrzyma ścigana trzoda, poprzedzają jéj szeregi. Szybkości nóg swoich ufają gazelle, ilekroć ujrzą zdaleka nieprzyjaciela; lecz niespodzianie napadnięte, mężnie stawią czoło niebezpieczeństwu; ściskają się, tworzą koło i ze wszystkich stron nastawiają ostre rogi. Te środki nie wstrzymują napastników; wkrótce zrobią wyłom w najgęstszym szeregu, a zastęp przełamany, ucieka na wszystkie strony. Te dzikie zwierzęta nie są jeszcze najniebezpieczniejszemi nieprzyjaciołmi gazelli; człowiek ściga ją bez wytchnienia dla swojéj zabawki i żywności. Persowie, Syryjczycy i Araby, śpiewają wiersze na jéj pochwałę a wydają gazelli niemiłosierną wojnę. To prawda, że jéj mięso jest doskonałe i że żadne inne polowanie nie jest tak powabném. Mała Pantera, sokoł i sama nawet gazella, używane są oprócz koni i psów gończych do tego polowania. Łowy których narzędziem są gazelle, odbywają się za pomocą oswojonych zwierząt; do ich rogów przywiązują pętlice i wpędzają je pomiędzy dzikie gromady. Ci zdradni przybysze, wkrótce zachaczą jednych za głowę, drugich za nogi. Tak schwytane gazelle, łatwo się oswoją: bo chociaż są lękliwe, jednakże ich łagodność i towarzyskość, czyni je czułemi na dobre obejście się, a tém samem łatwemi do życia w stanie domownictwa.

http://rcin.org.pl



KOSCIOŁ SWIĘTEGO PIOTRA W RZYMIE.

Zazwyczaj rozwodzą się z uwielbieniami, skoro tylko jest mowa o najwspanialszym kościele chrześciańsiwa, a każdy podróżny mniema, że na ten przedmiot powinien wyczerpać całą poetyczność swoją. Uczyniliśmy tę uwagę dla uchronienia się od powszechnego popędu; chcemy poprzestać na opowiadaniu nie tak deklamacyjnem, lecz dokładniejszym.

Kościół Sgo Piotra leży na końcu północno-zachodniej części Rzymu, za Tybrem, u spodu góry Watykan, w tych samych miejscach gdzie niegdyś były ogrody cesarza Nerona i Droga tryumfalna. To miejsce, na którem wytoczono krew męczenników, gdzie pogrzebano zwłoki Świętego Piotra, najstosowniejsze było dla chrześciańskiej świątyni; jakoż w początkach czwartego wieku,

http://rcin.org.pl

cesarz Konstantyn wybudował tam wielki kościół pod wezwaniem Świętego Piotra.

Na miejscu tego pierwszego kościoła, którego ostatnie szczątki rozebrano w r. 1606, na okolicznéj przestrzeni uświęconéj grobami męczenników, wznosi się teraźniejszy kościoł. Jest to owoc pracy przeszło lat dwustu, od połowy piętnastego do siedemnastego wieku, potęgi dwudziestu papieżów, między któremi liczą Juliusza II. Leona X. Syxtusa V. geniuszu wielu architektów, jakoto: Bramanta, Rafaela, Michała Anioła, Maderne, kawalera Bernini i kosztu 250 milionów fran: a jednakże na widok téj olbrzymiéj budowy, nie dziwimy się temu ogromowi środków, ale wielkości rezultatów.

Plac owalny, ozdobiony przysionkami z czterema rzędami kolumn (wspaniałe dzieło Berniniego) dwa obeliski egipskie i dwa piękne wodotryski, prowadzą do obszernego dziedzińca, którego głębię zajmuje wystawa kościoła, długa na 366 stóp, przedstawiająca dwa portyki wysokie na 157 stóp, i oparta na ośmiu kolumnach koryntckiego porządku. W połowie wysokości jest balkon, zwany *lożą błogosławieństw*, na którym odbywa się uroczyste koronowanie papieża po jego wyborze, i skąd pod czas wielkich uroczystości religijnych, daje błogosławieństwo miastu i światu. Szczyt wystawy otoczony jest balustradą, na któréj stoją olbrzymie posągi Chrystusa i dwunastu Apostołów. Wstąpiwszy po schodach marmurowych, będących szczątkami starożytnéj piramidy, zwanéj grobem Romulusa, wchodzimy do przysionka tak wspaniałego, że wielu z odwiedzających poczytało go za sam kościół. Posągi, między któremi najznaczniejsze Karóla W. i Konstantyna, płaskorzeźby, napisy, sławna mozaika malarza Giotto, zrobiona w 1298, wystawiająca łódź Sgo Piotra miotaną od burzy, ozdabiają ten przysionek, który sześcią bramami prowadzi do wnętrza kościoła. Najmniejsza z tych bram jest zamurowana; zowie się *Bramą Świętą*, ponieważ otwierana bywa tylko pod czas jubileuszu.

»Nic mię tyle nie zadziwiło, mówi pewien podróżny, jak to, że wszedłszy do tego gmachu, żadnego nie uczułem podziwu, że jego niezmierność natychmiast nie uczyniła na mnie wrażenia. Jakoż, wszystkie części kościoła Sgo Piotra tak doskonale zgadzają się z sobą, że nic się w nich nie wydaje olbrzymiem, chociaż wnętrze jego ma 575 stóp długości, a 142 wysokości pod sklepieniem. I dopiero rozrywając całość, że tak powiem, na części, zwracając uwagę na jeden punkt odrębny oderwany od reszty; pojąć można i zmierzyć ogrom budowy. I tak naprzykład, dzieci z marmuru białego, które trzymają kropielnicę ze starożytnego żółtego marmuru, wyrobioną w kształcie muszli, zdają się na pierwszy rzut oka mieć wzrost ich wiekowi właściwy, lecz wzrastają pomału, gdy się zbliżamy do nich, a mają sześć stóp gdy ich się dotkniem. Podobny w tym względzie do większéj części kościołów chrześciańskich, kościół Sgo Piotra ma kształt krzyża, a sławna jego kopuła opiera się na czterech filarach, w miejscu gdzie się przecinają ramiona tego krzyża. Cztery mniejsze kopuły, towarzyszą główněj. Sklepienie opiera się na olbrzymich filarach koryntckiego porządku, oprócz filarów kopuły i nawy; w ścianach znajduje się może za wiele okien, przez nie zstępują potoki światła, które odbijając się o złoto i marmur, tém są oblitsze i żywsze.

Kopuła tworzy sama w sobie gmach, oparty na drugim gmachu; jest to, jak powiedział Michał Anioł: »Panteon Rzymski wyniesiony w powietrze.» Samo tylko imie Michała Anioła pozostało przywiązane do tego arcydzieła śmiałości i potęgi architektury; jednakże pierwotną myśl powziął Bramante, a Michał Anioł podziela z dwunastu innemi chwałę wykonania. Zaczęta na początku osiemnastego wieku, kopuła ta ukończoną była dopiero przy końcu tegoż wieku. Zewnątrz wysoka na 408 stóp, wewnątrz wznosi się na 340 stóp, między sklepieniem a posadzką, średnica jéj wynosi 132 stopy. Na szczycie téj kopuły umieszczona jest kula, dźwigająca krzyż; szesnaście osób może się pomieścić w téj kuli. Wnętrze kopuły ozdabiają olbrzymie posągi, nisze, galerye i mozajki. Obszerne otwory przepuszczają tyle światła, że najdrobniejsze ozdoby można dojrzeć i bez wysilenia wyczytać te sławne słowa świętego textu wypisane olbrzymiemi literami na gzymsie kopuły. »*Tu es Petrus, et super hanc petram edificabo ecclesiam meam et tibi dabo claves regni coelorum.*

Nie będziemy silić się na na zdanie o tym cudownym gmachu; powtórzymy tylko słowa uniesienia, jednego z historyków téj kopuły, najbardziéj cenionych. »Przestańmy wychwalać najsławniejsze gmachy starożytnych lub tegoczesnych; wszystko jest niczém w obec kopuły Świętego Piotra. Michał Aniół, nieśmiertelny twórca tego zadziwiającego utworu, okazał nadludzki geniusz, i żadne dzieło człowieka nie można porównać z tym cudownym utworem. Wszyscy podróżni zgadzają się na to zdanie. »Ta kopuła, rzekła pani de Stael, wzbudza w nas uczucie przestrachu, nawet gdy na nią z dołu patrzymy; zdaje nam się że widzimy przepaści nad głową naszą zawieszone.»

Wprost kopuły wznosi się teraźniejszy wielki ołtarz, zwany *Spowiedź Świętego Piotra*; w tém samém miejscu gdzie się znajdo-

http://rcin.org.pl

wał w pierwotnym kościele Konstantyna. Grób gdzie leżą relikwie świętego Apostoła, jest podstawą tego ołtarza. W około grobu, zrobiona była sala, gdzie się zgromadzali pierwsi chrześcianie, pod salą drugie podziemie, właściwie zwane *Spowiedź* i przeznaczone do obrzędów nabożeństwa, a w nim zrobiony był otwór, przez które wierni łączyli się z grobem świętego; nareście w tej drugiéj kaplicy stał ołtarz ozdobiony bogatém tabernaculum utrzymującym się na czterech porfirowych kolumnach. Zachowano ten rozkład miejsc, uświęcony uwielbieniem wieków i najszanowniejszemi wspomnieniami. Schody marmurowe oświecone stoma lampami palącemi się bez przerwy, prowadzą jeszcze do sali *Spowiedzi*, a pod ołtarzem jest otwór łączący się z grobem Świętego Piotra. Po kopule, ołtarz spowiedzi jest najznamienitszą ozdobą kościoła Sgo Piotra, a baldachin jego jest największém dziełem z bronzu jakie się znajduje na świecie. Baldachin ten składa się ze czterech kolumn bronzowych na 48 stóp wysokości, osadzonych na marmurowych podstawach. Ozdobione wklęsłem wyrzynaniem aż do trzeciej części wysokości, wyżéj zaś najrozmaitszemi rzeźbami, kolumny te unoszą na szczycie cztery wielkie postaci aniołów, ołtarz stoi między dwoma pierwszemi kolumnami; papież celebruje przy nim pod czas świąt uroczystych. Baldachin, razem z krzyżem który stoi nad nim, wyższy jest o 24 stóp od kolumnady Luwru, a jednakże ginie pod ogromem kopuły i zdaje się bydź jednym z tych drobnych sprzętów salonowych, których się prawie nie dostrzega.

Po tych dwóch głównych cudach kościoła Sgo Piotra, zaledwie wspomnieć możemy o szczegółowych bogactwach, które ściągają uwielbienie zwiedzających, i jeszcze pominąć musimy to niezliczone mnóstwo papieżów, świętych, królów, wielkich ludzi chrześciaństwa, co żyjąc w porfirze, alabastrze, marmurze i bronzie, zaludniają sklepienia świątyni; i te wielkie tablice mozaikowe i płaskorzeźby, na których wystawione są najpamiętniejsze dzieje religii chrześciańskiéj. Wspomnimy tylko o kazalnicy Stego Piotra, obszernym pniu ze złoconego bronzu, umieszczonym na końcu kościoła i utrzymywanym przez olbrzymie postaci czterech doktorów Wiary, w którego wnętrzu zamknięta jest kazalnica drewniana naczelnika Apostołów i jego pierwszych następców; o posągu Świętego Piotra, z bronzu, olbrzymiéj wielkości; o kaplicach tak bogatych i wielkich jak katedralne świątynie, a między innemi kaplice Klementyńska, Gregoryańska, Syxtoska, i kaplica chrztu, w któréj są wyobrażone najsławniejsze obrzędy Chrztu; kamień na którym wielu męczeników śmierć poniosło; żelazo włoczni która przebiła bok Chrystusa; ułamki prawdziwego krzyża; a nareście śmiertelne zwłoki Świętego Szymona i Świętego Judy, Świętego Grzegorza z Nazyanzy, i Świętego Jana Złotoustego.

Drugi kościół podziemny, znany pod nazwiskiem grotty Świętego Piotra, rozciąga się pod pierwszym: za czasów Konstantyna był w równi z ziemią. Mnóstwo pomników grobowych, wznosi się pod jego sklepieniami, które sztuka rozrzutnie ozdobiła posągami, płaskorzeźbami i mozaikami. A gdy wierni, cisnący się bez ustanku do wyższego kościoła chodzą po nad grobami, nad ich głową żyje cała osada. Poddasza świątyni dźwigają całe miasto, ma ono swoje domy, warsztaty, targi, ulice; tam mieszka tłum rzemieślników bezustannie walczących z żywiołami zniszczenia, które zawiera w sobie taka massa zawieszona w powietrzu.

---

## WYJĄTKI Z DZIENNIKA PODRÓŻY PO ZACHODNIEJ CZĘŚCI GALICYI.

(Dokończenie.)

Około godziny piątéj, stanęliśmy z powrotem przy źródle czarnego Dunajca. Wybucha ono wielkiemi bałwanami z wielkim szumem, z otworu pieczary znajdującéj się w podnóżach Upłazu. Naga skalista ściana, podnosi się dosyć wysoko w około otworu. Jest ona gościnną xięgą dla zwiedzających Kościelisko. Miękki jéj kamień zakryty jest napisami rozmaitego kształtu, rozmaitéj mowy, rozmaitego znaczenia, imionami i nazwiskami osób wszelkiéj płci wieku, stanu i narodu. Ważne to są bez wątpienia rzeczy, ale mnie bardziéj zajmowało źródło i pieczara z któréj biło. Zaostrzały moją ciekawość rozliczne o nich wieści, jedni powiadali że zwiedzali ją z pochodniami; że po długiéj, trudnéj, i chłodnéj wędrówce doszli nareście do ogromnéj sali, ubranéj w kolumny i sztukaterye z kamienia tak jasnego, że przy blasku pochodni sala świeciła jakby dyamentowa, że pośrodku sali stoi małe jeziorko które jest właściwie źródłem Dunajca. Odtrąciwszy przydatki o podziemnych mostkach na podziemnym Dunajcu, wierzyłem w salę i zdobiące ją stalaktyty. Inni utrzymywali, że tę pieczarę ukuli kiedyś górnicy dobywający ztamtąd srebro; w tem nie widziałem poetycznéj mowy. Niektórzy twierdzili, że trzy dni i trzy nocy iść potrzeba aby dojśdź do źrodła, że nawet po téj wędrówce można się było obaczyć na wierzchołku jakiejś góry; na to bym się nie odważył; inni nakoniec zapewniali, że szperanie po pieczarze, oburzało mieszkającego tam ducha, który w gniewie spuszczał na do-

http://rcin.org.pl

linę chmury i ulewę. (*) To mi się podobało; chciałem bydź przyczyną burzy i postanowiłem w siedlisku ducha roznieść ziemskie światło; dzisiaj miałem to dopełnić.

Opatrzony w potrzebne materyały, jako to: świeczki woskowe, zapałki chemiczne, ołówek do zapisania się na ścianach tajemniczéj sali, wziąłem się natychmiast do dzieła. Zapaliłem świeczkę, i wszedłem w groźny bez przesady mówiąc otwór. Kształt jego z początku foremny; sklepienie okrągło-wklęsłe; wysokość rosłego mężczyzny; pod tym więc względem było mi wygodnie, ale niższa połowa ciała miała wiele do zniesienia. Woda nadzwyczajnie chłodna i gwałtowna, lubo z początku sięgała mało co wyżéj nad kolana, parła mię wciąż na powrot ku żyjącemu światu; dno tak nierówne i śliskie, że wciąż byłem w obawie upadku i całkowitego skąpania się; nie obeszło się bez zamoczenia się kilkokrotnego po same pachy prawie. Trzymałem się jak mogłem, chodziło mi najwięcéj o światło, bez którego czułem, żeby mi źle było w miejscu obcém, ciemném i wodą porywającą zalanym. Z takim trudem postępowałem szczęśliwie naprzód, szum wody coraz głuszéj rozbijał się w podziemiu; ale dotąd szedłem w prostéj linii i miałem jeszcze za towarzysza trochę dnia w otwór zazierającego; razem pośliznąłem się, upadłem, i świeca mi zgasła: chciałem korzystać z zapałek, na nic się nie przydały; powietrze w podziemiu przesiąkłe wilgocią, a nawet mały wietrzyk, zapewne od nadzwyczajnego pędu wody, zgasiły mi każdy siarniczek, że w końcu musiałem się wycofać. Zapaliwszy na nowo świecę przed otworem, puściłem się weń powtóre: ostrożniejszy już przez doświadczenie i pewniejszy drogi bom ją dwa razy przeszedł i poznał. Prędko dosiągłem kresu pierwszéj wyprawy; świecę zasłaniałem jak mogłem: dotrzymywała placu; jednak jéj światło coraz bardziéj mdlało; w zakręcie podziemia straciłem teraz jego otwór, grube ciemności w około mię otoczyły; bałwany wody za każdym krokiem silniéj uderzały i huczały głośniéj; stanąłem chwilę; huk podziemny, daleki, mocniejszy od szumu tłukącéj mię po nogach fali, harmonia z tysiąca najsprzeczniejszych tonów, muzyka dzika, przeraźliwa, jakiéj nic podobnego w życiu całém nie słyszałem, prawdziwe echo oddalonego piekła, ogłuszyły mię na prawdę. Mimowolnie uległem groźnemu wrażeniu; zdało mi się że w téj chwili musiały się otworzyć najciemniejsze tajniki duszy; postacie nieżywego świata zaczęły przelatywać się po myślach; spodziewałem się co chwila, że trup jakiś przepłynie koło mnie na falach; że jakaś poczwara nieznajoma dotąd światu, objawi mi się przy konającym blasku mojéj świeczki; uwierzyłem na chwilę w nietykalność miejsc podobnych i tajemnic podań: szedłem jednak; wkrótce pęd wody wolnieje; trafiam nogą na tram kilkołokciowy obrobiony ludzką ręką: co on tu robił nie potrawię wytłomaczyć; opierając się ręką o skały, napotkałem szkło potłuczone: przecię tu człowiek bydź musiał; i oto ujrzałem się w próżnéj przestrzeni mającéj kilkanaście kroków obwodu; ale tak nisko zasklepionéj że ledwie wyprostować się mogłem; główny nurt szedł bokiem tego wstępu, woda zaś co dno jego zalewała, była cichsza i płytsza, zboczyłem kilka kroków, wylazłem na kamień aby zdrętwiałe od chłodu nogi przyszły cokolwiek do siebie; ale świeca widoczniéj coraz groziła zgaśnieniem; nie zważając na to, wstępuję znowu na dawną drogę, pomykam się do korytarza zkąd ona pędzi; w tém dmuch niespodzianego wiatru gasi mi powtóre światło. Jedna była droga którą przyszedłem, łatwo więc choć omackiem trafiłem na nią, trzymając się fal najsilniejszych i wróciłem na świat z przedsięwzięciem ponowienia wyprawy nazajutrz. Tą razą puściłem się z latarnią; wrażenie podziemnéj zgrozy słabiéj już na mnie działało; większa świeca, szkłem dobrze osłoniona, przedstawiała mi podziemie jaśniéj; rozpatrywałem dłużéj sklepienie, gdzie wczoraj odpoczywałem; było to proste dzieło przyrody, ozdobione tylko kroplami zgęstniałéj wilgoci; nakoniec posunąłem się daléj; z początku zdało mi się że podziemie rozgałęzia się w kilka uliczek; obejrzałem każdą; niektóre kończyły się na kilkułokciach, inne obiegały tylko jakiś głaz i łączyły się z główną; z téj jednéj przeto obiecywałem sobie piękne rzeczy; cieszyłem się naprzód radością jakiéj doznam stanąwszy w owéj sali, ktora w miejscu podobném musiałaby osobliwy przedstawiać widok; tymczasem sklepienie w kąt wycięte, coraz się bardziéj zniżało i zwężało; chyliłem się ile możności, przysiadałem, i wkrótce poznałem że nikt daléj pójśdź nie potrafi; woda leciała wprawdzie obficie i gwałtownie, ale już tylko ze szczeliny tak ciasnéj, żeby się przez nią żaden człowiek nie przecisnął, choćby dla niskiego sklepienia od-

(*) W tém miejscu mam uciechę wesprzéć się powagą pisarza, po raz pierwszy może cytowanego, i zapewne po raz ostatni, pisarza nowych Aten, Xiędza Chmielowskiego; powiada ón między innemi Mirabilia: że w ziemi Sandeckiej wyższej, jest między górami źródło, które ma tę własność że jak kto z niego wody nabierze, to zaraz niebo zaczyna się chmurzyć i t. d. Nie mogę twierdzić czy te słowa odnoszą się do źródła Dunajca; pokazuje się z nich tylko, że podanie słyszane przeze-mnie, jest w duchu podań Góralskich, i bez wątpienia dawne. Do Kościeliska przynajmniéj może się to bardzo zastosować, dla niepogód nadzwyczajnie w tem miejscu częstych.

http://rcin.org.pl

ważyć się pod wodę nurkować. Tu zakończyłem podziemną podróż i zaspokoiłem moją ciekawość. Jakkolwiek nie trafiłem w niéj na przedmioty nadzwyczajne, chcę wierzyć że śmielszy czy wytrwalszy, czy szczęśliwszy odemnie, potrafi głębiéj się zapuścić i odkryć te dziwa o których podanie zapewnia: I z tego com dokonał i z chwili przepędzonéj w podziemiu źródła, pozostały mi tak przyjemne spomnienia, że jeszczebym chętnie powtórzył tę wyprawę, nawet z nadzieją moralnéj zdobyczy. W niezwyczajnym tylko położeniu rodzą się niepowszedne myśli.

Minęło rozkoszne lato. Góry w śnieg się odziewają; przedgórza w dzikszych coraz występują barwach. Spustoszały polany; ogłuchły echa pieśni; słońce z każdém dniem widocznie się nudzi; z każdym dniem wcześniéj na spoczynek odchodzi. Pogoda walczy jeszcze ze mgłami: rozdrażnia sny moje, krótkie jak sny rozkochanego. Budzę się w ciemnościach; gwiazdy iskrzą, lśni się obfita rosa: korzystam z ostatnich lata zabytków, chce sobie przypomnieć letni poranek, idę w góry. Zatrzymałem się na wielkiéj górze nad Łopuszną. Cała dolina cichym snem leżała pod nogami; xiężyc spuszczał się po bezchmurném niebie do zachodu; pogoda była tém uroczniejsza że się zdawała uśmiechem piękne sny marzącego, xiężyc tém miléj, tém tęschniej świecił, że dla mnie tylko świecić się zdawał. Tatry stały uroczyście, jak żeby milczącą modlitwę dumały. Ze szczytu Babiéj góry wybuchnął kłąb lekkiego tumanu; i stoczył się do jéj podnóża. Wschód mocniéj płonić się począł; jutrzenka uciekała w głębie nieba, na kilku białych szczytach rozlały się płatki różowego światła: a od zachodu mgły się podnoszą: z początku bieleją jak kilka chmurek błędnych; powoli idą ku sobie, łączą się, gęśnieją, postępują białym wałem cicho, uroczyście; coraz szerzej osłaniają dolinę, mijają moje stanowisko, już są pod Pieninami, już cała nizina zniknęła. Lasy i wody, wsie i pola, wzgórza i błonia, które xiężyc tak pięknie przed chwilą oświecał, zagasły pod mgły morzem. Burzone kłęby tumanu, jak poruszone fale; przewalają się po sobie; cała massa jednym ruchem zdaje się kołysać, cichnie, a jedna siwa barwa rozlewa się na powierzchni ogromu. Tatry, Pieniny, Babia góra, zostały teraz brzegami morza, z którego łona podnoszą się gdzie niegdzie jak ciemne wyspy, wyższe wzgórza, lasami porosłe. Wzmagający się blask świtu rozjaśnia coraz mocniéj wschodnią część mglistego morza; i rozściela po niéj pajęczynę z płomiennych igrających barw. Nakoniec pokazało się słońce. Jak ognisty, niezmierny słup jego rzucił się na mgły ku mojemu oku; jakiemi barwami po ruchomém tle igrał; jaki był uroczy ten most z tęczy między mną a słońcem; o tém nie zdołam dać wyobrażenia. Słońce się podnosiło, odblask jego stopniami zmniejszał się i ciemniał; wiatr zaburzył mgłami; podniósł niektóre do wysokości mojego stanowiska; widowisko skończone; zeszedłem na dół, ale w zachwyceniu i tém przekonaniu, że mi się objawiło morze, które przed wiekami zalewało Nowotarską dolinę.

Zakopane, zowie się wieś i dolina w Tatrach, równoległa do Kościeliskiéj, przedzielona od téj Gewontem. Nie jest tak piękna jak Kościeliska, ma jednak rzeczy godne widzenia. Z niéj wypływa biały Dunajec, w jéj łonie obfite żelazne rudy. Chociaż pora roku chłodna, obsypała już śniegiem góry, korzystałem jednak z pewnéj zręczności i pojechałem do Zakopanego. Jasny był poranek w którym wyszliśmy na zwiedzenie doliny: mróz nocny kilkonasto-stopniowy gwałtownie wolniał z podnoszącém się słońcem; ziemia przypruszona była płytkim śniegiem. Biały Dunajec obficiéj tu płynie i okazaléj niż czarny; z kamienia o kamień się rozbija; cała dolina mianowicie brzegi Dunajca zawalone głazami które woda ogładziła i powyrzucała; głazy te słyną z niedojrzanego prawie mchu amarantowego, który je czerwoną barwą powłoczy, a potarty żółty ślad zostawia; pachnie zaś, szczególniéj pod czas pięknych letnich poranków, jak fijołek. Słyszałem że tak umszony kamień w izbie nawet trzymany, bardzo długo ten zapach wydaje. Brzegiem Dunajcu szliśmy ku jego źródłu; na drodze mieliśmy piękną polanę Kułatówkę, otoczoną wysokiemi górami, daléj zajmujący gmach różno-kształtnych opok, który jak wieniec otacza wzniosłą górę i zwie się Zakopański zamek. Z podnóża jego posady wypływa biały Dunajec, czterosążniowéj wysokości wodospadem; w lecie uroczy ma przedstawiać widok ta woda gwałtownie lecąca po umszonych kamień, i bielsza od piany; w zimie cokolwiek niżéj wybucha.

O dwie godzin drogi od hamerni, biorą żelazną rudę w grzbiecie Magory. Prowadzi do bań droga szeroka, dobrze utrzymana, ale tak przykro obwinięta w koło góry; bo rudy pod samemi szczytami leżą; że wozom prowadzącym rudę do hamerni, zdejmują zadnie koła; i to jeszcze nie może przeszkodzić ażeby konie w całym pędzie aż na mniéj spadziste miejsce nie zlatywały. Wewnętrzny widok bań ma w sobie coś smutnie zajmującego. Ci ludzie z dziką wybladłą twarzą, albo snujący się po licznie rozgałęzionych podziemiach to z żelaznemi w rękach kagankami, to z taczkami skrzypiącemi, albo jak złośliwe istoty, pastwiący się ciężkiemi mło

tami nad łonem ziemi-matki; te mdłe gwiazdki kagańców płonące tu w prost, tam w górze o kilkadziesiąt sążni, tam na dole w takiejże głębokości, albo biegące z taczkami jak błędne ognie cmentarza: z resztą ciemność i cisza, przenoszą myśl w jakieś kraje dzikiéj fantazyi. Szesnastu ludzi pracuje w Magorze, od niedzieli do piątku. Podług przesądu górników, ktoby się odważył pracować w bani w sobotę, duch opiekujący się niemi, skarałby go wielkiém nieszczęściem, a nawet obaleniem się ziemi. Banie obfitują w źródła bardzo dobre. Górnicy mają szałas, gdzie się na noc schodzą; stoi on pod nawisłą górą i często wytrzymuje szturmy to lawin, to kamieni pękających z mrozu i toczących się na dół. Mają swego naczelnika, który surowo każe przestępstwa, łopatką umyślnie na to zrobioną. Uderzeniem téj łopatki poświęcają także zwiedzających pierwszy raz banie. Nie mieliśmy dosyć czasu wejść na okazały skalisty szczyt Magory, musieliśmy przestać na niższém jéj grzbiecie. Snieg spadły tam przed kilką tygodniami grubo leżał i w lód prawie stwardniał. Otaczał nas rozległy i piękny widok na północ, wschód i południe. Widziałem z tąd gąsienicowe stawy, niższe cokolwiek od pięciostawów; ale jeden z nich tak wielki jak morskie oko, i ma wyspę na środku: z niego także wypływa potok wpadający pod Poroninem do Dunajca. Miejsce to bliskie na pozór, leżało od nas około półtory mili między górami tak nagiemi jakie są góry w około pięciostawów. Powiadano mi że w lecie przylatują na Magorę ptaszki do kanarków bardzo podobne i ze śpiewem równie miłym; my dziś widzieliśmy tylko mech Islandzki, kozodrzew i śniegi.

---

## LITERATURA.

### *Teatr Alex: Hr: Fredra.*

Dziennik Powszechny z dnia 4go Września r. b: umieścił w skróceniu artykuł wyjęty z Kwartalnika naukowego Krakowskiego o komedyach Alexandra hrabiego Fredry. Sprawiedliwa jest uwaga umieszczona na czele tego artykułu, że w obecnéj epoce, daleko wyższe są dzieła sceniczne polskiego komimika, od mnóstwa nowych płodów francuzkich i niemieckich. Jakoż musi między niemi zachodzić ta różnica, jaka zachodzi między utworami człowieka z talentem, piszącego w swobodnéj chwili natchnienia, a fabrycznemi że tak powiem wyrobami autorów, piszących na żądanie dyrektorów teatru i ulegających dziwacznemu i wyrodzonemu smakowi publiczności. Co do samego artykułu pana W. P. umieszczonego w kwartalniku Krakowskim, dziwną jest rzeczą, iż tenże chcąc oceniać naszych autorów komicznych i pisać o postępie literatury dramatycznéj, zwrócił uwagę w rodzaju komicznym tylko na Bogusławskiego i Kamińskiego. Jaki stosunek zachodzi między jego sztuką Krakowiacy i Górale, a komedyami Fredra, trudno upatrzyć. Raczejbym sądził że sztuka Bogusławskiego, zbliża się do wiejskich dramatycznych sielanek, większa wesołość, a zwłaszcza zastosowania do epoki w któréj była napisaną, stały się powodem jéj wziętości.— Pan W. P. w kwartalniku Krakowskim, chcąc ogółowy sąd wydawać o naszéj literaturze dramatycznéj, zdaje się iż powinien był wspomnieć o wszystkich utworach, które poprzedziły teatr Fredra. Dla czegóż więc zamilczał o Zabłockim, Drozdowskim i kilku innych sztukach pojedynczych, jakoto: o Powrocie Posła, o Janie Kochanowskim? Nie godziło się zapominać o nich: bez tego zaś, nie wolno jest wydawać ogólnego sądu o całéj dramatyce polskiéj. Dzieła Zabłockiego wydane w roku 1830 w tomach szesciu w Warszawie, (niech nam to wolno będzie przypomnieć panu W. P.) oprócz pomniejszych sztuk i przekładów obejmują oryginalne komedye: Zabobonnik, Fircyk, Sarmatyzm, Mężowie poprawieni, Żółta szlafmyca i t: d. Wydawca dzieł Zabłockiego następujące uczynił nad niemi uwagi.

»W sztukach Zabłockiego znajdujemy wierny obraz obyczajów i wieku Stanisława Augusta, a wiek ten dogodne dla zdolności pisarza komicznego otwierał pole. — Jak Molier zakwitnął w pierwszéj epoce rządów Ludwika XIV, gdy Francya po wojnach Ligi, i niezgodach Frondy, doszła do najwyższego stopnia dworszczyzyny i przepychu, tak nasz Zabłocki pisał wtenczas, kiedy obyczaje za panowania Stanisława Augusta przechodziły z przesądów, rubaszności i pijatyki panującej za Sasów, do przyzwoitego tonu towarzystw wykształconych postępem oświaty. Epoka takowa, przesilenia w obyczajach, najkorzystniejsza jest dla pisarza komedyi. Powszechna ogłada jeszcze była nie zatarła wówczas wydatnych rysów, nie osuszyła źródła prawdziwéj śmieszności. — Dawne przesądy, nałogi, zabobony, źle zrozumiana cywilizacya, ów ton modny, który podług zdania owoczesnéj młodzieży tak trafnie w Fircyku skreślonéj, polegał na rozwiązłości obyczajów i pogardzie ważnych i świętych obowiązków, płochość i nierozwaga płci niewieściéj, obok tego zaś starożytna prawość i prostota, w licznych jeszcze objawiająca się wzorach, gruntowne wykształcenie umysłu bez uszczerbku serca i obyczajów, okazujące się w zdrowéj części narodu: są to żywioły do prawdziwéj komedyi, i takie to malowanie obyczajów znajdujemy w komedyach Zabłockiego,

http://rcin.org.pl

w Zabobonniku, Fircyku, Sarmatyzmie, Żółtej Szlafmycy i Mężach poprawionych. Sztuki te, razem z Satyrami Naruszewicza i Krasickiego, i komedyą Powrót Posła, będą najważniejszym źródłem do wybadania obyczajów i ducha wieku Stanisława Augusta. (1)

Społeczność cała, nie zaś wyłącznie salon, jak powiada w Kwartalniku pan W. P. jest przedmiotem autora komedyi. Nawet przy równym talencie, większa lub mniejsza komiczność od stanu społeczeństwa zależy. Uwagi przytoczone powyżéj nad Molierem i Zabłockim, potwierdzają to zdanie. We Francyi, następcy Moliera, więcéj mieli ogłady i gustu, ich sztuki zalecają się większém wypracowaniem planu i stylu, ale komiczność już nie jest tak żywa: przyjemne w czytaniu, nie są tak zabawne na scenie. Toż samo widzimy u nas w następcach Zabłockiego, mianowicie w Drozdowskim, którego *Bigos Hultajski* policzyć można do rzędu najlepszych komedyi naszych. Z postępem cywilizacyi, i za wpływem cudzoziemczyzny społeczność nasza inną barwę przybrała: Fredro jest wiernym jéj malarzem. Dzieła jego po dzień dzisiejszy ogłoszone drukiem, na trzy części podzielić można. W jednych maluje nam teraźniejszą społeczność, takim jest Geldhab, Mąż i żona, Cudzoziemczyzna; Przyjaciele, Pan Jowialski. Drugich podstawą jest poetyczna i filozoficzna myśl, którą w formy drammatyczne przyoblekłszy, umila wesołością, jakoto: Odludki i poeta, Sluby Panieńskie, a w tym względzie Fredro, ile nam się zdaje, nie tylko u nas, ale i u obcych nie miał wzoru, i twórcą nowego rodzaju nazwanym bydź może; trzecie nareście są płodem, a często nawet igraszką wesołéj myśli autora, przyjemne w czytaniu, bawiące na wystawieniu, nie sięgają wyższego celu. Najznamienitsza z tych jest komedya Damy i Huzary, opiera się na téj prawdzie doświadczonéj od wieków, że mężczyźni daremnie wyrzekają się towarzystwa kobiet, ich uśmiech każdemu zawróci głowę, a najbardziéj tym, którzy najsurowszych udawać chcieli; ale jakże jest pełną naturalnéj i serdecznéj komiczności, i chyba tylko płodom Moliera ustępuje w tym względzie. Po niéj idzie: Pierwsza lepsza, List, Gwałtu co się dzieje, Nowy Don-Kiszot i Nocleg w Apeninach. — Co się tycze zdania pana W. P. o naszych tragedyach, nie można pochwalić iż tak lekce waży prace Felińskiego. Kogo nie stać na świetny pałac gotycki i obszerny zwierzyniec, niechaj poprzestanie na skromnym domku i grzędzie zasadzonéj krajowemi kwiatkami; tak i my dopóki nam się nie zjawi polski Szekspir, Szyller i Goete, z przyjemnością i zajęciem przeczytamy i odczytamy Felińskiego, Kropińskiego, i Wężyka.

(1) Życie Zabłockiego w Tomie 6stym.

---

## NAUKA ZDROWIA.

### PRZEZ DOKTORA BOURDON.

(Dalszy ciąg.)

Potrzeba czekać apetytu, wzbudzać go niekiedy, zadowolniać starannie, lecz nigdy go nie uprzedzać. Apetyt jest pierwszym żywiołem dobrego trawienia.

Trzeba jednakże unikać głodu, gdyż jest szkodliwy. Wielkie trudy lub głód, są nie raz powodem słabości żołądkowych. Osłabiony żołądek, również jak reszta ciała, zbyteczną pracą i postem, czuje najgwałtowniejszą potrzebę jedzenia, a wtedy właśnie najmniéj zdoła znieść znaczną pożywienia ilość. Przymuszają go zwykle trawić jak najwięcéj pokarmów, gdy najmniéj posiada sprężystości. Ztąd wynika, iż osoby wystawione na największe trudy, najbardziéj podlegają słabościom żołądkowym, i doświadczają najgwałtowniejszéj potrzeby snu po jedzeniu.

Rzemieślnicy, rolnicy, wyrobnicy, powinni więc jadać trzy lub cztery razy na dzień: pożywienie ranne i wieczorne powinno bydź najobfitszém.

Można jeść co cztery godziny: dobre trawienie takiego właśnie czasu potrzebuje do odbycia się, gdyż na tém głównie zależy, aby powtórne pokarmy przychodziły po strawieniu pierwszych.

Wszyscy nie mniéj różnimy się żołądkiem jak rysami twarzy i charakterem: nie podobna więc oznaczyć gatunku pożywienia, jakiego każdy powinien używać. Co jednemu szkodzi, służy drugiemu. Trzeba się w tym względzie radzić wieku, płci i przywyknienia; trzeba z własnego doświadczenia korzystać. Każdy rozsądny człowiek, doszedłszy lat trzydziestu, jest najlepszym dla siebie doradzcą.

Trzeba się także radzić węchu i smaku, w wyborze pokarmów. Są to dwaj czujni stróże, oszukujący się bardzo rzadko: co się je z upodobaniem, to nigdy prawie nie obciąża żołądka.

Trzeba tu dodać, że substancye zwierzęce daleko prędzéj się trawią niżeli roślinne. Kości, łupiny owoców lub ziarn, nigdy nie mogą bydź strawione; żołądek wraca je prawie w tym samym stanie jak przyjął.

To samo dzieje się z niektóremi jarzynami: marchew i szpinak naprzykład, zaledwie zmieniają się w żołądku.

Mięso zwierząt które same żywią się innemi zwierzętami, nie jest zdolne stać się pokarmem, przynajmniéj dla człowieka: mięso zwierząt mięsożernych nigdy strawioném bydź nie może.

Również nie zaprzeczoną jest rzeczą, iż człowiek nie może trawić surowego mięsa. Cynik Dyogenes, pomimo wszelkich usiłowań i żelaznéj woli, nie mógł odnieść tego zwycięztwa sam nad sobą, lub raczéj nad naturą.

Jeśli trawienie mięsiwa jest prędsze niżeli trawienie roślin, wymaga za to większéj dzielności i sprawia więcej gorąca. Warzywa, z tego powodu daleko lepsze są w lecie, i w chorobach powolnych, którym zwykle towarzyszy gorączka.

Osobom słabym, powstającym z choroby, pracującym umysłowo, lepiéj daleko służą: mięso białe, świeże warzywa, owoce dojrzałe, mleko i jaja, niżeli twarde mięsiwa, a te zaś służą osobom utrudzającym swe członki.

Żywienie się owocami i mleczywem, tak korzystne dla słabowitego ciała i zatrudnionego umysłu, byłoby bardzo szkodliwe rozwinięciu sił, koniecznemu ludom rolniczym. Zaledwie przypadałoby narodom błędnym, pasterskim i próżnującym.

Zbytnia wstrzemięźliwość dobrą jest tylko dla nieczynnego mędrca, dla próżniaka zasypiającego bez utrudzenia, dla piękności lękającéj się zmarszczek. Wyniszczyłaby z czasem moc duszy.

Żołądek ludzki nie jest zbyt mocny: głównym jest warunkiem przepuszczać tylko do niego pokarmy dobrze pożute, rozłożone i zwilgocone. Wiśnia w całości, jagoda winna nie rozgryziona, wyszłyby z niego równie nienaruszone jak weszły.

Oto pokarmy najłatwiejsze do strawienia, w tym właśnie porządku jak je wymieniamy.

Cielęcina, baranina, kurcze, jaja kurze surowe lub ugotowane na miękko, mleko krowie, niektóre ryby gotowane w wodzie, i zaprawione tylko solą i pietruszką. Ryby smażone lub z sosem do którego wiele wchodzi przypraw, nie tak się dobrze trawią.

Rośliny nie obciążające żołądka i łatwe do strawienia.

Szpinak, selery, młode szparagi, karczochy, owoce pestkowe lub ziarnkowe gotowane, szczególniéj dobrze ocukrowane i przyprawione korzeniami; mączne ziarna roślin zbożowych, zboże, ryż, groch i t: p: chleb nazajutrz po upieczeniu, szczególniéj chleb solony, a najbardziéj bułki, rzepa, młode kartofle.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## ORZEŁ GUJANY.

Między gatunkami orłów zasługujących na opisanie, mieści się także ten którego różni autororowie nazywają orłem harpii, wielkim orłem Guany, orłem niszczycielem. Długi jest na trzy stopy i dwa cale. Dziób jego bardzo zagięty, jest koloru rogowego, zrzenica jasno-żółta. Wierzch i boki głowy są szare, a czarne pióra na wierzchu głowy, dłuższe od innych, tworzą czubek, podnoszący się gdy się ptak rozgniewa lub wzrusza. Pióra te są szare prócz jednego dłuższego od innych, które jest czarne. Szyja jest tegoż samego koloru. Wierzchnie pierze jest czarne, przecięte szaremi pasmami. Na piersiach i brzuchu ma pióra biało-szarego koloru.



Ptak ten znajduje się w Brazylii, w Nowéj Grenadzie, w Gujanie, gdzie zazwyczaj mieszka w lasach, w głębi krajów i w innych ciepłych i wilgotnych krajach Ameryki południowéj. Jest ptakiem właściwym tylko Nowemu światu, który przez to posiada największy i najsilniejszy gatunek orłów tak, jak stary świat jest ojczyzną najstraszliwszego z czworonogów. Podróżni zapewniają, że orzeł niszczyciel zazwyczaj żywi się Leniwcem i Łazęgą (Ai i Unau po francuzku) że często porywa młode sarny, i uderza na ptaki znacznéj wielkości.

http://rcin.org.pl



## GIEŁDA LONDYŃSKA.

Giełda Londyńska, nie znajduje się, jak w Paryżu, w jednej z najpiękniejszych części miasta, której świetność pomnaża wytworem i bogactwem Architektury. W Londynie chcąc dostać się do tej świątyni fortuny stolicy W. Brytanii, trzeba przebiedz w środku starego miasta labirynt wązkich i krętych ulic, które zaprowadzą na ulicę *Threadne edle-street*, gdzie zakopcone, ogromne i natłoczone gmachy, nie dozwalają promieniom słonecznym wysuszyć zabłoconego bruku. Tam stoi gmach żałobny, zgadzający się ze wszystkiem co go otacza; już pusty, już napełniony łakomym, brzęczącym i cisnącym się tłumem; już to cichy jak grób, już znowu pełen głuszących okrzyków; tam dzieją się najcudowniejsze przemiany; tam w przeciągu pięciu minut, milionowy bogacz przywiedziony do nędzy, oddala się w ponuréj rozpaczy i szuka w głębiach Tamizy lekarstwa na swoje nieszczęście, a biedny awanturnik zamienia swoje poddasze i wyszarzaną odzież, na skarby, pałac, ekwipaże i gromadę służących. Jest to, krótko mówiąc *Royal Exchange*, Giełda Londyńska, najobszerniejszy dom gry, upoważniony prawami.

Aż do połowy szesnastego wieku, Londyn nie miał właściwej Giełdy. W r: 1534, Ryszard Gresham widząc jakie korzyści odnosi Antwerpia z tego zakładu, doradził lordowi prezydentowi Londynu i radzie miejskiéj, aby zbudowano gmach podobny; lecz nie przyjęto jego wniosku. Lepiéj powiodło się jego synowi, W r: 1564 oświadczył, że własnym kosztem zbuduje gmach, jeżeli mu dadzą plac do budowy. Rada zezwoliła i 1go Czerwca 1566 założono fundamenta tego gmachu, ukończono go w Listopadzie roku następującego. Ta dawna giełda zbudowana z cegieł, zginęła w wielkim pożarze 1666; ale towarzystwo kupców bławatnych, którym założyciel powierzył straż tego gmachu, postanowiło zbudować nowy. Karól IIgi położył pierwszy jego kamień r: 1666, a 28 Września 1669 ukończono go i otwarto dla publiczności. Uczeń sławnego Wrenna, Mikołaj Hawkermoor był jego architektem, a budowa kosztowała 58,962 fun: szterlingów (2,250,000 zł: pol:). Jest to tera-

http://rcin.org.pl

źniejsza giełda, podobna do dawnéj, którą zbudowano na wzór giełdy Antwerpskiéj. Giełda ta jest obszernym czworobocznym gmachem mającym 203 stóp długości a 166 szerokości, otaczającym dziedziniec na 144 stóp długi, 117 szeroki. Jest z kamienia Portlandzkiego, w prostym i dosyć regularnym stylu; ma dwie główne wystawy, jedną na południe od ulicy Cornhill, drugą na północ od ulicy Threadne-edle, przed każdą z tych wystaw ciągnie się pokryta galerya, a w środku są wielkie sklepione wnijścia.

Po prawéj i po lewéj stronie wystawy południowéj, kolumny porządku Koryuckiego utrzymują fronton; między kolumnadą są nisze w których znajdują się posągi Karóla I. i Karóla IIgo w togach Rzymskich. Po każdéj stronie wnijścia, ciągną się okna rozdzielone pilastrami mieszanego porządku; szczyt gmachu uwieńcza balustrada. Nad portykiem wnijścia, wznosi się gatunek attyku, którego środek tworzy czworoboczną wieżę, na któréj stoi ośmioboczna wieża z zegarem; gmach zakończa wytworna latarnia pokryta kopułą, na któréj chorągiewka ze złoconéj miedzi, wyobraża szarańczę, godło herbów rodziny Greshamów.

W środku wewnętrznego dziedzińca, jest piękny posąg wyobrażający Karóla II w stroju rzymskim, stojący na postumencie, którego cztery boki ozdobione są płaskorzeźbami. Dziedziniec ten otaczają galerye, których ściany pokryte są wszelkiego rodzaju afiszami i ogłoszeniami. Nad arkadami tworzącemi te galerye, zrobiono dwadzieścia i cztery nisze, a w nich umieszczono królów Angielskich.

Wewnętrzne zabudowania Giełdy na pierwszem piętrze i galerye, z początku miały tworzyć obszerny bazar; było przeszło dwieście sklepów, lecz je skassowano, a teraz mieszczą się tam rozmaite bióra, jakoto: towarzystw zabezpieczenia, sławnéj kawiarni Lloyds i t d.

Architektura gmachu giełdy, nie jest jednostajna, jednakże przeważa w niéj porządek koryncki, i gmach byłby bardzo piękny, gdyby mu nie szkodziło zbyteczne nagromadzenie ozdób.

Giełda, otwarta jest publiczności od ósméj rano, aż do piątéj po południu; lecz między godziną pierwszą i trzecią, zbiera się w niéj największa liczba spekulantów. Pod arkadami dziedzińca zbierają się negocyanci tegoż samego kraju, albo tejże saméj gałęzi handlu: tak więc jak najłatwiéj znaleźć można osoby, do których mamy interess. W przechodzie około tych arkad, odbijających dwadzieścia rozmaitych języków, możesz poznać wszystkie narody świata. Tu stoją kupcy greccy i ormiańscy, tam holendrzy i duńczycy, nieco daléj hiszpanie i portugalczykowie; wszędzie zaś krążą anglicy, amerykanie, francuzi. Pokazują sobie zapiski, ustanawiają cenę towarów, czynią zamiany, targują się o ładunki okrętów. W mgnieniu oka odbywają się interessa na miliony, których zyski lub straty dadzą się uczuć w najodległejszych krajach.

Lecz najciekawszą jest rzeczą badać obyczaje, charakter i zabiegi spekulantów na papiery publiczne. Trzeba ich widzieć nazajutrz po dniu, kiedy jaka wielka i niespodziana wiadomość polityczna, rozejdzie się między publicznością. Przed dziesiątą już zapełniają dziedziniec i galerye, gromadki ludzi niespokojnych, wzruszonych. Jedni rozmawiają po cichu, drudzy bacznie czytają dzienniki, rozmyślają albo rachują. Od kilku minut, odźwierny stojąc na ławce, wpatruje się w zegar i czeka niecierpliwie naznaczonéj godziny. Wielki index tylko co dotknie się liczby X, grzechotka daje znak walki. Na wrzaskliwy odgłos instrumentu, odbity w sąsiednich salach, rozbiegają się wszystkie gromadki i każdy dąży do głównego punktu, do miejsca, gdzie słychać same tylko krzyki, ucinane słowa i wir ludzi, co się ścierają, tłoczą, i poruszają bez ustanku. Z téj zbitéj i burzliwéj massy, wypadają głuszące przekleństwa: »Kupuję, — przedaję.» Tym słowom tysiąc razy powtarzanym, towarzyszą fałszywe wiadomości, kłamstwa, szalone przypuszczenia. Idzie o ustanowienie pierwszéj ceny, co jest rzeczą bardzo ważną i wpływającą na cały kurs dnia tego.

Wiadomo, że dla wielkiéj części spekulantów, nie idzie o sprzedaż lub kupno rzeczywistych papierów, ale o podwyższenie lub zniżenie ceny tych papierów i obrócenie na korzyść swoją téj różnicy w kursie. Dwa zatém wojska stoją na przeciw siebie: graczów na podwyższenie kursu, a tych zowią *bykami* (bull) i graczy na zniżenie kursu, zwanych *niedźwiedziami* (bears); giełda bowiem ma swój właściwy język.

Jedenasta wybiła; pierwszy kurs ustanowiono; ten stracił, tamten się zbogacił. Czasami, ten człowiek którego widzicie wesołym, hałaśliwym, zuchwałym; stracił w godzinie dwakroć albo trzykroć sto tysięcy franków; obsypany grubemi żartami i docinkami, stawia czoło nieszczęściu. Inny nie ma téj zimnéj krwi, stoi z okiem wrytem i zagasłem, z opuszczonemi rękoma i patrzy jak się dokonywa jego upadek. Tamci bledzi, drżący, oblani potem, bez tchu, wychodzą jak szaleni z pośród tłumu, ale wkrótce uwiadomieni o pomyślnych lub niepomyślnych trafach, krzykami *byków i niedźwiedzi*, wracają wśród wrzawy, którą opuścili na chwilę.

Po téj zajadłéj i szalonéj walce chciwości z losem, następuje czasami dziwna scena,

http://rcin.org.pl

którą tak opisuje pewien angielski autor: »Jak gdyby natura ludzka, mówi on, nie mogła długo znosić tego rozdrażnienia gorączkowego, téj gwałtownéj koncentracyi wszystkich sił, gracze giełdowi wytrzymawszy tę dobrowolną męczarnię, po zakładach wygranych i przegranych na miliony, dają sobie chwilę rozrywki. Porywa ich paroxyzm wesołości. Jeden drugiemu zrzuca kapelusz, zawija na głowę poły od sukien, kulki papieru rzucają w górę, zasypują sobie piaskiem oczy, biją się na kułaki, skakają sobie na barki jak dzieci. Studenci wybiegłszy ze szkoły, nie czynią więcéj hałasu i niedorzeczności. Gdy już się zmordują szamotaniem i skokami, zaczynają śpiewać; tysiące niezgodnych głosów, nawykłych do ogłaszania wysokości kursu, usiłuje zgadzać się i śpiewają *God save the king*, albo *Black joke* (piosnkę gminną). Nikt nie wyłącza się z tego chóru. Ten co wygrał, w uniesieniu radości śmiało śpiewa wybraną piosnkę. Ten co przegrał, śpiewa ze smutkiem w duszy; boi się aby nie stracił ostatniéj nadziei ratunku, okazując swoją rozpacz i dając poznać że się nie podźwignie w upadku.

Ten szał melomanii, bywa niekiedy rodzajem kary. Jeżeli który z grających obraził innych jakimkolwiek bądź sposobem. otaczają go skoro tylko wnijdzie na giełdę, zuchwali chórzyści z niespracowanemi piersiami i zniewalają go do śpiewania z niemi razem. Zdarzało się, iż gracze nie mogli wytrzymać téj muzykalnéj męczarni i nie mogąc pozyskać przebaczenia, opuszczali Giełdę na zawsze.

Po tym paroxyzmie wesołości, wszystko wpada w ponure i burzliwe wzruszenie, które najciekawszy widok przedstawia, gdy mgła tak częsta w Londynie, zaciemni gmach giełdowy. Wówczas wśród dnia zapalają kinkety, i w łonie téj ciemności pomieszanéj z mglistem światłém, poruszają się te wszystkie niespokojne twarze. Takie są obyczaje i zatrudnienia graczy giełdowych.

---

## JAN SNIADECKI.

W liczbie współziomków, którzy przez naukę, pracę, charakter, gorliwość o dobro powszechne i położone zasługi, mają prawo do pamięci i wdzięczności naszéj, jedno z najznakomitszych miejsc zajmuje Jan Sniadecki. Lat pięć dochodzi jak ten mąż uczony żyć przestał. Wyglądamy dotąd wydania zupełnego zbioru pism jego, oraz obszernéj Biografiii połączonéj z krytycznym prac jego i zasług ocenieniem. Pisarze mieszkający w Wilnie, świadkowie ostatnich dwudziestu i kilku lat życia Sniadeckiego, powinni zająć się tą pracą. Nim to nastąpi, umieszczamy ogolną tylko i niedokładną może wiadomość o tym uczonym mężu, zostawiając jéj uzupełnienie tym, którzy to z położenia i stosunków swoich uczynić mogą.— Zrzodłem do niniejszego artykułu, były: Wspomnienie o Sniadeckim umieszczone w Noworoczniku Litewskim na rok 1831, wiadomości powzięte od osób które z nim żyły i nareście uwagi wyczerpane z czytania jego dzieł ogłoszonych drukiem.

Jan Sniadecki urodził się dnia 29 Sierpnia 1756, w Żninie, Województwie Gnieźnieńskiém.

O pierwszych latach jego młodości, tak pisze przytoczony powyżéj Noworocznik Wileński.

»Młodość Sniadeckiego była nieprzerwanym ciągiem najusilniejszéj pracy i przykładania się do nauk. Nadzwyczajna bystrość pojęcia, szczęśliwa pamięć i zapał szlachetny do celowania w postępkach i nauce, zdziałały to, że w ośmnastym już roku życia, w wieku, w którym gwałtowność passyi pospolicie porywa innych i czułego dozoru wymaga, Jan Sniadecki przewodniczył już drugim, zjednawszy dla siebie przychylność i zaufanie najpoważniejszych osób. Miłość pracy i doskonalenia się w naukach, zamieniła się u niego w niezwyciężoną, można mówić, namiętność. Przebywając w Gietyndze, dni trawił na publicznych lekcyach, oddany ćwiczeniu się w astronomii, w téj cudownéj nauce, która, jak sam powiedział, najwięcéj przynosi zaszczytu umysłowi ludzkiemu, i w pomocniczych jéj umiejętnościach. Nocy przepędzał na uczeniu się budownictwa wojskowego, języka i literatury niemieckiéj. Ale ta chciwość pracy, niszczyć zaczęła młode jego siły i wzrok nadzwyczajnie bystry z przyrodzenia, przytępiać. Uważając to, przyjaźny jemu a znamienity w owych czasach lekarz *Baldinger*, zaledwo mógł wyrwać zapalonego młodzieńca ze smutnego stanu zdrowia, w jakim się znajdował. On mu kazał zapakować książki i wyjechać natychmiast z Gietyngi, dla zwiedzenia innych krajów i przepędzenia kilku przynajmniéj miesięcy na rozrywce. Przekonany wreście o zupełném wyczerpaniu sił swoich, Sniadecki, wyjechał w Listopadzie 1779 roku, z Gietyngi do Lejdy sławnéj wówczas tylą uczonymi ludźmi, i tam główne założywszy siedlisko, kanałami różne odbywał wycieczki po całéj Hollandyi. Te małe podróże, wzmacniając nadwątlone zdrowie, przynosiły mu razem inne, a niemniéj ważne od samych xiążek korzyści. Jan Sniadecki zwiedzając obce kraje, nie przestawał na powierzchownem ich oglądaniu; szukał on znajomości i towarzystwa sławnych nauką i publicznemi cnotami ludzi, bez których każdy kraj, pozbawiony życia, mimo najcudowniejszych dzieł przemysłu

i geniuszu ludzkiego, martwém byłby tylko siedliskiem niemych pomników. W obcowaniu więc z najuczeńszymi mężami w Hollandyi, nową i powabną znajdował naukę, obszernych nabywał wiadomości. Jakoż, jednem z pierwszych prawideł życia jego było, że się wszędzie starał o przybliżenie do najznakomitszych ludzi, wszędzie i zawsze szukał związków z nimi. Takim sposobem nabył wkrótce młody wędrownik polski, między rówiennikami swoimi, wielkiej wziętości i znaczenia, a wrodzona uprzejmość, żywość i rzadki dar przekonywającej wymowy, garnęły do niego wszystkich, z któremi zabierał znajomość. To nawet było powodem natręctwa i szczególnych zdarzeń dla Jana Sniadeckiego. Sam raz opowiadał, jak podczas pobytu jego w Lejdzie, mieszkając w jednéj oberży, ścigany był ciągle od pewnego człowieka kolosalnéj postaci, który chodził za nim wszędzie jak cień jaki, i z chciwością przysłuchiwał się jego rozmowom. Obchodzenie się tego osobliwszego człowieka, uderzyło nakoniec Jana Sniadeckiego, tak, że go postanowił unikać. Ale dnia jednego, otwierają się drzwi: wchodzi ów olbrzymi cudzoziemiec i po krótkiém oświadczeniu przyjaźni i życzliwości, zapowiada, że jest bogatym Afrykaninem, i że umyślnie z przylądka Dobréj Nadziei przypłynął do Europy, uczyć się *logiki*, którą uważał za najpotrzebniejszą naukę na świecie. Opowiadał potém, jakich czyta pisarzy w tym przedmiocie i oświadczył, że ile miarkował z rozmów, którym się tak pilnie przysłuchiwał, Sniadecki musi dobrze znać logikę. Prosił go zatém, żeby się chciał podjąć wyłożyć mu zasady téj nauki w całéj obszerności, a on gotów jest, tak mu wynagrodzić za tę pracę, jak tylko sam zechce. Zdumiony tą szczególniejszą propozycą, Jan Sniadecki, zaczął przekładać koloniście, że oddany matematyce i astronomii, nie miał czasu wyłącznie myślić o logice, i że za żadne w świecie bogactwa nie rozstałby się z temi naukami. Chcąc jednak bliżéj poznać tego miłośnika logiki, wszedł z nim w obszerniejszą rozmowę o téj nauce, a w niéj wystawił mu, co rozumie przez logikę i że autorowie których czyta, prędzéj go zbałamucą, niż czegokolwiek nauczą. Oświadczył nakoniec żal swój, że mu w téj mierze użytecznym bydź nie może, zwłaszcza, że myśli wkrótce udać się do Paryża. Nie odstąpił jednak tak łatwo uporczywy Afrykanin od swojego zamiaru, i zapowiedział, że gotów jest z nim jechać do Paryża, a nawet tam gdzie zechce, byleby zadosyć uczynił jego żądaniu. Długo i wiele musiał pracować Jan Sniadecki, nim się pozbył nakoniec tego oryginalnego człowieka. Ale podobne przypadki nieraz się powtarzały późniéj: były one skutkiem głębokiéj nauki, pociągającego obcowania i téj wziętości, jaką sobie zjednać umiał zawsze między znakomitemi ludźmi.»

Naukowy zawód swój rozpoczął Sniadecki w Akademii Krakowskiéj, od czasu jéj urządzenia za Stanisława Augusta, i zostawał w niéj aż do początku roku 1806. W tym przeciągu czasu, odbył powtórną podróż za granicę w roku 1804 — 5tym. Pod czas pobytu swego w Akademii Krakowskiéj, wydał Algebrę jeszcze w r. 1783, a między 1802—5 Rozprawę o Koperniku i Jeografią Astronomiczną.

»Łączyła go ścisła przyjaźń z margrabstwem Wielopolskiem, z którymi zabrał znajomość w Paryżu. W tym świetnym domu, przez wszystkie lata swojego urzędowania w akademii Krakowskiej, czas wolny od zatrudnień pospolicie przepędzał. Ale ogrom pracy jaką bywał obarczony i wrodzony zapał, z którym się brał do niéj, podzieliły mu ten czas na dwie różne części. Jednę z nich, rok szkolny zawierającą, poświęcał nauce, obserwacyom asttronomicznym i ważnym obowiązkom sekretarza szkoły głównéj koronnéj; a wtenczas zamknięty w rozkosznem mieszkaniu swojém na *Wesołéj* za miastem, rzadko kogo odwiedzał. Ale za przyjściem kilkotygodniowych wakacyi, zmieniała się zupełnie postać rzeczy, w mieszkaniu astronoma krakowskiego. Powrócone do szaf na dawne miejsca xiążki, poukładane papiery, którémi zawalone dotąd były stoliki i bióra, oczyszczone strzelby i wszystkie narzędzia myśliwskie, dawały znać, że już nadeszła chwila spoczynku i rozrywek. Brzmiały całe lato pola pinczowskie, odgłosem trąb myśliwskich, a Jan Sniadecki, z równym jak do prac uczonych zapałem, oddawał się miłéj zabawie polowania, które wzmacniało zmęczone siły i hartowało na dalszy czas zdrowie. Zgromadzenia wieczorne u margrabiny Wielopolskiéj, świetne towarzystwa w *Łańcucie* (*) u xiężnéj marszałkowéj Lubomirskiéj, dokąd także wyjeżdżał nieraz z Krakowa, ożywiane były tą niewyczerpaną wesołością i tą ujmującą dwornością dla płci pięknéj, które nie przestały bydź nigdy znamieniem charakteru jego. Dotąd jeszcze w Krakowie i najdalszych okolicach tego miasta, trwa miła dla wszystkich pamięć, nię tylko sławy z nauk, ale cnot i uprzejmości Jana Sniadeckiego. Natura nie była skąpą, obsypując darami swemi tego rzadkiego człowieka. Siłą zdrowia i dzielności umysłu razem go uposażyła; tak, żegdy

(*) **Łańcut** piękny zamek w Galicyi: o mil trzydzieści od Krakowa, dziedzictwo wówczas i rezydencya xiężnej z Czartoryjskiej Lubomirskiej marszałkowej wielkiej koronnej, a dziś hrabiego A. Potockiego.

rcin.org.pl

już doszedł męzkiego wieku, mógł pracować z największém natężeniem umysłu i obok tego, bez zmordowania się temi trudami, przynosić wesołość myśli i całą żywość imaginacyi do towarzystwa, którego był najczęściéj duszą i ponętą; stało się to nieprzerwanym trybem życia, bez szkodliwego wpływu na zdrowie jego. Pobyt Jana Sniadeckiego w Krakowie, oznaczony był olbrzymiemi pracami, których wyliczać tu nie będziemy. Już publiczny współziomków szacunek, już sława po całym kraju rozszerzająca się, chlubną mu przynosiły nagrodę; gdy w r: 1802, ogłoszone zadanie o Koperniku, wszystkich oczy zwróciło na tego, który powszechnie był uznanym za wskrzesiciela nauk matematycznych na ziemi polskiej. Czuł to sam Jan Sniadecki i za świętą powinność sobie poczytał, ziścić słuszną nadzieję współziomków. Napisał więc znajomą wszystkim *Rozprawę o Koperniku*, która do pozyskanéj już sławy, nowy a trwalszy nad inne wieniec przydała. Na próżnobyśmy się silili opisać wrażenie, jakie to pismo uczyniło w całym kraju.»

»Odtąd codzień rosła wziętość i sława Sniadeckiego, na którą, bądź pięknemi płodami swojéj nauki i wymowy, bądź niezgiętą prawością i mądrém urzędowaniem, zasługiwać nie przestawał. Najpierwsze domy w kraju, pociągały go do swego towarzystwa i ofiarowały mu swoją przyjaźń; najznamienitsze osoby szukały z nim związków. Pamiętny dobrocią serca i ogromém wiadomości, xiąże Generał ziem podolskich, nigdy nie przestał bydź z najtkliwszém przywiązaniem dla Jana Sniadeckiego, do którego często pisywał, szacując w nim wielką naukę i rzadkie przymioty duszy.»

Z listów Sniadeckiego pisanych pod czas pobytu jego w Paryżu w r: 1804, do Dmochowskiego tłomacza Iliady, przytaczamy niektóre wyjątki, już to jako szacowną pamiątkę uczonego męża; już to jako ważny i nauczający jego sąd o kraju, którego stan nie zmienił się i nie polepszył do tego czasu, i o którym wielu może mylne tworzy sobie wyobrażenie.

*Z listu z dnia* 22 *Stycznia* 1804 *z Paryża.*

»Paryż teraz dla cudzoziemców jest nie»smaczny i nudny; zobaczywszy to co do nie»go przybyło, nie masz tu co robić. Gdy»bym był sam, zabawiwszy jeszcze ze dwa »miesiące, wróciłbym do kraju. Niezmier»ną znajduję różnicę między Paryżem prze»szłym a teraźniejszym. Drożyzna wielka, »oszustów pełno, w każdym kroku cudzo»ziemcowi trzeba się pilnować i prawie ni»komu nie wierzyć, co truje przyjemność »społeczeństwa. Obyczaje ludu są do naj»wyższego stopnia skażone, i długo musi »rząd pracować, chcąc to złe naprawić. Ale »widzę że go to mało obchodzi. Wyjąwszy »teatra, trzeba się albo uczyć, albo grać »w karty, żeby nudów uniknąć. Towarzy»stw domowych prawie nie masz, tylko szu»lerskie: inni cicho u siebie siedzą i mało »się cudzoziemcom udzielają. Chłopy na »wsiach i uczeni bardzo wiele na rewolucyi »zyskali. Ci ostatni, prawie najpierwsze »krajowe urzędy posiadają, ale też pochwał »i podchlebstwa ludzi i rządy psującego, nie »szczędzą. Kontent jednak jestem, żem ten »kraj tak się dobrze w perspektywie wyda»jący, widział bliżéj, bo powróciwszy miléj »mi będzie zostać w swojém.»

*Z listu* 18 *Marca t: r: w Paryżu.*

»Z tego, co się tu bliżéj widzi, trzeba się »przekonać że rząd przymuszony jest do »kroków i robot jakie przedsiębierze, żeby »spokojność wewnętrzną utrzymał. Jeszcze »może przejdzie więcéj jak jedna genera»cya ludzi, nim się uspokoją i złagodzą umy»sły, tak gwałtownie wzruszone i podzielo»ne na partye, i nim zaczną z upodobaniem »kosztować słodyczy porządku i spokojno»ści. Nic to jednak wszystko zabawom cu»dzoziemców, do niczego się nie mieszają»cych nie szkodzi.— Ja myślę za dwa mie»siące wyjechać do Niderlandów i Hollandyi, »i obiegłszy te prowincye wrócić za sześć »niedziel do Paryża; skąd na początku je»sieni ruszę do Francyi południowéj, a prze»pędziwszy zimę w Medyolanie, wybiorę się »do Polski przez Wiedeń. Miałem wojażo»wać dwa lata, a może ten przeciąg skrócę, »bo widząc wszędzie te same głupstwa lu»dzi pod rozmaitą postacią, wolę siedzieć »między swojemi ziomkami, xiążkę czytać, »bekasy strzelać i zająć się jaką pracą ba»wiącą mnie w naukach. Nie zazdroszczę »Francyi tylko wina Burgońskiego, o które »w krajach Cesarskich ciężko się doprosić.—

*Z listu* 22 *Maja* 1805 *w Wiedniu.*

»Włochy po Francyi bardzo się źle w mo»ich oczach wydały, i lubo ten kraj pięknie »zabudowany, stawiając nam przed oczy pa»miątki tylu wielkich rzeczy, nigdy dla re»flektującego człowieka, nie przestanie bydź »interessującym, wszelako ciężkoby mnie »było na powtórny tam wojaż namówić. Nie »zazdroszczę jego mieszkańcom tylko sa»mego klimatu łagodnego, który i tak nie »jest wyjęty od przykrych nieprzyzwoitosci, »w naszym śnieżnym i lodowatym kraju nie»znanych. Jadę teraz upatrywać sobie ką»cik cichy i spokojny, w którymbym resztę »życia pędząc, jeszcze mógł co przydatnego »dla inszych, a miłego dla mnie zrobić.»

Po powrocie z zagranicy, Sniadecki uległ usilnym naleganiom i przeniósł się do Wilna; o tym wypadku tak pisze w liście do Dmochowskiego, z d: 27 List: 1805 r: z Krakowa.

»Proponowano mi Rektoryą Akademii i »Dyrekcyą Obserwatoryi w sposób najgrze-

»czniejszy. Ponieważ ja przepisałem sobie »za prawidło życia, żeby nigdy ludźmi nie »rządzić a tym mniéj uczonemi, podziękowałem za ten urząd, przyłączywszy przy»czyny, które Xże znaleśdź powinien za słu»szne, ale obiecałem przyjąć Obserwatorium »Astronomiczne, byleby mi zapewniono ma»łe warunki bardzo sprawiedliwe, do któ»rych ułożenia z Xciem uprosiłem sobie »Starostę Nowogrodzkiego Czackiego. Nie »tylko dla tego, że przywykły od młodości »do pracy, nie mogłbym żyć bez zatrudnie»nia i że bez Astronomii żyćby mi było przy»kro, ale jeszcze żeby tak kosztowne i pię»kne ustanowienie Obserwacyi, nie zni»szczało po śmierci X. Poczobuta i żeby do»godzić sekaturom moich kollegów, astro»nomów zagranicznych, którzy mi po pi»smach swoich wyrzucają jako zbrodnią »przeciwko nauce, tak długie moje wahanie »się do tego placu, musiałem się odważyć »na porzucenie spokojnego życia. Jeżeli wy»padki nadzwyczajnéj wojny nie przeszko»dzą i mnie zdrowie posłuży, myślę wybrać »się z początkiem przyszłéj wiosny do Li»twy i może tę podróż przyjdzie mi robić »przez Warszawę, żebym się zobaczył z ła»skawemi memi tam przyjaciołmi, i odwie»dził zawsze i statecznie na mnie łaskawe»go P. Kanclerza Chreptowicza. Nieźmier»nie się cieszę dla dobra naszego i literatu»ry, że Pan pracujesz nad Enejdą i Odysseą. »Molski wydawszy prospekt i zebrawszy »subskrypcye, nie wiem co zrobił z swojém »tłomaczeniem, którego od tylu lat czeka»łem skwapliwie. Pewniejszy będę tego któ»re mi Pan zwiastujesz, i lubo nie mam ta»lentu poetyckiego, jeżeli jednak przez pro»sty rozsądek i czucie, znajdę co w wyjąt»kach Eneidy do przełożenia Panu, kiedy »mi czynisz ten honor ufności, zrobię to w »szczerej i przyjacielskiej otwartości. Czy»tałem Iliadę z wielkim smakiem i jeszcze »ją myślę odczytać, gdy już gdzie stale osię»dę i moje xiążki rozpakuję. Spodziewam »się z większym jeszcze weselem czytać E»neidę, jako najmilsze dla mnie poema. Tło»maczenie Delila, pięknie się wydawało »samo przez się, ale obok oryginału wydru»kowane w Paryżu i czytane z porównaniem, »w wielu miejscach słabe, a w niektórych »niewierne. Wolą dziś jego Georgiki jak »Eneidę. Ja już w saméj Astronomii myślę »się zagrzebać na resztę życia, chciałbym »jednak dokończyć zaczętego przezemnie »kursu matematyki, aby językowi naszemu »nie brakowało dzieła w matematyce wyż»széj i młodzi Polskiej sposobu doskona»lenia się w téj umiejętności.»

Sniadecki zostawszy rektorem Uniwersytetu Wileńskiego, piastował ten urząd aż do roku 1821. Szkoła ta, jemu winna była swoje zakwitnienie, i pod jego styrem ukształciła tylu nauczyciel i gruntownie oświeconych, tylu biegłych lekarzy i znamienitych autorów. — Nigdy nie odmawiał rady, zachęty, wsparcia uczniom, w których dostrzegał prawdziwy talent, pracowitość i dążenie do gruntownéj nauki.

»Dobroczynność była jedną z najpierwszych cnot Jana Sniadeckiego; ale skromna i ukryta, bo z serca pochodząca, nie odbijała tak głośnego echa jakie się roznosić zwykło, od tych miłosiernych datków, które są owocem próżności i rachunku. W ostatnich kilku latach życia, zdaje się, że ta cnota stała się w nim panującą. W wiejskiém ustroniu, hojną ręką rozdzielał na około siebie dary; ubogi wieśniak za najmniejszą przysługę umyślnie wskazaną sobie, odbierał sowitą nagrodę; nieszczęściem jakiém przywalony, lub podupadły, niechybne znajdował wsparcie. Co większa, każda pomoc, każdy dar Jana Sniadeckiego, połączony był z tą rzadką delikatnością, która nie upokarzając nikogo, tysiąc razy milszym go czyni, i saméj tylko wdzięczności uczucie zostawia. Wieleż to i dziś jest takich, co zapytawszy siebie, przypomną, jeżeli zapomniały, ilu ich samych, albo im znajomych doznało w różnym rodzaju pomocy, lub czułego wsparcia, od tego zacnego człowieka. Równie czas jak i majątek umiał on dzielić, w każdéj epoce życia swojego, mądrze i sprawiedliwie. Interes własny trzymał zawsze u niego ostatnie miejsce, los drugich i sprawa publiczna były na pierwszém: a prawość w każdém postępowaniu, od młodości, wiodła go zawsze drogą prostą, najgodniejszą człowieka i najbezpieczniejszą dla każdego. Jakże mało jest takich ludzi! jakże pamięć ich powinna bydź święta, a wspomnienia drogie!»

Dnia 21 Listopada roku 1830 skończył życie Jan Sniadecki w Jaszunach w powiecie Wileńskim, i tam spoczywają jego zwłoki. Dnia tego, zdawał się bydź zdrowym i jak zwykle usiadł do stołu. Przy końcu obiadu, głowę oparł na ręce; rozumiano że zasypia. Wszyscy wyszli w cichości, aby nie przebudzić snu starca... Niestety! był to sen śmierci. Zgon jego tak był lekki, spokojny, wolny od cierpienia, iż zdaje się że odpowiada użytecznemu życiu, nie zakłóconemu żadną burzą, ani ciężkiemi przygody.

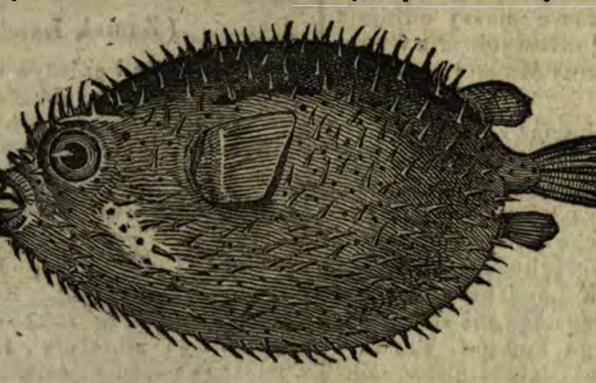
Pozostaje nam jeszcze wspomnieć o pismach Sniadeckiego. Oprócz dwóch jego dzieł naukowych, Algebry i Trygonometryi, pisma Sniadeckiego dotąd ogłoszone drukiem, przystępne są dla każdego stanu i wieku. Obejmują one, Jeografią matematyczną, Żywoty naukowe Kopernika, Poczobuta, Kołłątaja, zagajenia akademickie, listy i rozprawy w naukach, rozprawy filozoficzne i fi-

lozofią ludzkiego umysłu.—Wszystkie te pisma cechuje jasność wykładu, czysta wzorowa polszczyzna i nieprzerwany wzgląd na rzeczywisty pożytek,na stan naukowy współziomków swoich. W Jeografii Astronomicznéj, znajdujemy wykład prawd przez Kopernika i Newtona odkrytych i tłomaczenie najważniejszych fenomenów natury, a to sposobem tak jasnym, tak łatwym do pojęcia każdego, tak wzbudzającym zamiłowanie do nauki, że dzieło to nie tylko u nas, ale i między dziełami najbardziéj posuniętych narodów, znamienite miejsce zająć powinno.

Sniadecki nie był przyjacielem spekulacyjnéj filozofii niemieckiej, i w pismach swoich przeciw niéj powstawał. Literatura romantyczna także nie była zgodna z jego sposobem pojmowania i czucia. Szkołę angielską Dugald-Stewarta w filozofii, przenosił nad inne i téj się trzymał w dziełach swoich. Zdaje się, że Jana Sniadeckiego możemy uważać jako wzór tego praktycznego rozumu i zastósowania się do potrzeb kraju, którym odznaczały się prace i dążenie współczesnych jemu uczonych, jakoto Piramowicza, Kopczyńskiego, Dmochowskiego tłomacza Iliady, Potockiego, Karpińskiego i t. d. Może późniejsze pokolenie daléj posunęło wyobrażenia swoje, co do pojmowania poezyi, ale nigdy nie przewyższy tych mężów, w zasługach położonych dla języka i oświaty.

## RYBOJEŻ

Ta ryba odznaczająca się kształtem i sposobem życia, ma ciało długie na dziesięć do piętnastu cali, grzbiet zaokrąglony i szeroki; boki lekko spłaszczone, ogon bardzo krótki, a pletwy małe. Skóra, koloru ciemnego w częściach wyższych, niebieskawa na bokach a biała pod brzuchem, posiana jest mnóstwem małych plamek czarnych. Rybojeż żywi się mułem, drobnemi rybami, ślimakami i t: d, nie ma zaczepnej broni, chociaż jego szczęki tak są mocne iż może niemi



kruszyć wapienne pokrycie, pod którém ukrywa się zdobycz: lecz za to posiada groźne środki obrony; nikt nie może go zaczepić bez narażenia się na niebezpieczeństwo. Jego ciało opatrzone jest wszędzie ostremi kolcami. »Uważamy go, mówi pan Lacępede, jako odpowiedni jeżowi i jeżozwierzowi, można także przyrownywać go do robaka, zwanego niedźwiadkiem, i uważać jako ogniwo łączące klassy czworonogów ssących, z klassą ryb i robaków.»

Kolce Rybojeża są bardzo długie, bardzo mocne, gęste, i podobne do kolców Jeżozwierza. Rybojeże tém zręczniéj i skuteczniéj używają tego środka obrony, iż obdarzone są nadzwyczajną własnością. Wzdłuż ich brzucha, znajduje się pewien rodzaj kieszeni lub pochwy, bardzo znacznéj objętości, która się może rozciągać. Rybojeż zdoła dowoli napełniać ten balon wielką ilością powietrza, którą wciąga w siebie. Wydęcie to podnosi kolce tak dalece, że ryba przedstawia ze wszystkich stron massę najeżoną kolcami, któréjby nawet sam ludojad uchwycić nie zdołał. Czasem, wydąwszy się zbytnie, Rybojeż wypływa nad powierzchnią wody i przewrócony brzuchem do góry unosi się na niéj. Ale chociaż w tym stanie jest prawie bezwładny, kolce jego są tém lepiéj wytężone i żadna ryba nie zdoła go zaczepić. Powoli nabrzmienie się zmniejsza i Rybojeż spuszcza się w głąb wody. Ryba ta, posiada wielki instynkt zachowania życia swego. Nie wiele gatunków ryb, ma ten przymiot. Z wielką ostrożnością przypatruje się wędzce. Przez długi czas krąży w koło niéj, a gdy się czasem złapie, czyni jak największe wysilenie, aby się zdołała uwolnić. Rzuca się na wszystkie strony zanurza się, najeża kolce, nadyma się, a gdy widzi że to nic nie pomaga, spuszcza kolce i udaje nieżywą. Przez długi czas potém, gdy ją wyciągną z wody, trudno jest do niéj przystą-

http://rcin.org.pl

pić. Schwytanie téj ryby, nastręcza rybakowi bezowocną tylko zabawkę. Mięso jéj jest twarde i niesmaczne, a do tego i niebezpieczne, jeźli dobrze oczyszczonem nie będzie. Żółć Rybojeża, jak utrzymują naturaliści zasługujący na wiarę, jest trucizną i śmierć zadaje tym, którzy jedzą mięso dokładnie z niéj nie obmyte; zmysły mdleją od niéj, ciało drętwieje, pot śmiertelny występuje na ciało.

Rybojeże znajdują się w morzach Indyi, Ameryki, Afryki, a zwłaszcza koło przylądka Dobrej Nadziei. Nie oddalają się od brzegów, wzdłuż których mogą znaleźć małe rybki, i muszle.

---

## ZAMEK LANDSBERG.

Nie raz była mowa w rozmaitych pismach i powieściach, o tych licznych zwaliskach feodalnych zamków, które rozsiane po wzgórzach Niemiec i zachodniej Francyi, a zwłaszcza po obudwu brzegach Renu, ozdabiają okolice, i tak już upięknione ręką przyrodzenia. Dziś umieszczamy jeden z najwspanialszych pomników tego rodzaiu.

Dolina Munster w dawnéj Alzacyi, a teraz w departamencie wyższego Renu, ciągnie się pośród pasma gór Vosges. Prawie wszystkie szczyty tych gór, uwieńczone są gotyckiemi zwaliskami, których szare massy odbijają się od zieloności lasów jodłowych. Na wierzchołku najbliższym doliny Munster, stoi zamek Landsberg.

Mury tego zamku, chociaż zupełnie spustoszone, uważane z głębi doliny noszą jeszcze cechę mocy i wspaniałości, widziane z innego punktu, tracą na wielkości, ale przybierają postać jeszcze bardziéj malowniczą, mieszając się z wierzchołkami drzew i massami skał. Zamek Landsberg tak jest spustoszony, że nie pozostało ani śladu rozrządzenia wewnętrznego komnat. Trawa i krzaki zajęły miejsce sal i dziedzińców, zamkniętych potrójnym obrębem. Tu i owdzie wznoszą się stosy gruzów, porastające wijącemi się roślinami, i jak gdyby dla tém większéj sprzeczności, pośród tych zwalisk wytryskuje zawsze czyste i obfite zrzódło, w którém tyle pokoleń rycerzy, gasiło pragnienie, które może było powodem, iż w tem miejscu wybudowano zamek. Same tylko mury zewnętrzne pozostały niewzruszone. One są jedynemi śladami wspaniałości i wielkości téj warowni, ale miejsce które obejmują, ich przerażająca wysokość, ich nadzwyczajna grubość, (grubość taka że



(Zamek Landsberg).

się w niéj sale i galerye mieszczą) ich groźne wieże, dają wyobrażenie o całości zamku. Jakoż Landsberg był w rzeczy samej jednym z najpotężniejszych zamków feodalnych.

Założony przy końcu XIIgo wieku; mieszkali w nim prewotowie miasta Kolmar, nie raz był oblegany pod czas wojen, albo zaburzeń krajowych. Nareście Tureniusz zdobywszy go za czasów Ludwika XIV. zburzył go zupełnie, tak jak to uczynił z większą częścią warowni Alzacyi. Stary ten zamek, jest teraz własnością kilku spekulantów izraelskich, którzy go nabyli jako stos cegieł i kamienia ciosowego.

---

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

http://rcin.org.pl



## ZURICH.

Gdyby Szwajcarya posiadała stałe miasto stołeczne, Zurich najbardziej zasłużyłoby na ten zaszczyt. Z wielu bardzo względów miałoby prawo do tego odznaczenia, które tylko potwierdziłoby jego rzeczywiste pierwszeństwo nad innemi miastami związku Szwajcarskiego. Ale stosownie do zasad federacyi, Zurich ma tylko jedną trzecią część tego zaszczytu. Miasto Bern i Lucerna, wyznaczone zostały z nim razem, aby z kolei co dwa lata były stolicą związku helweckiego.

Miasto Zurich, już znane przed Juliuszem Cezarem pod imieniem Thuricum, jako jedno z miejsc pobytu walecznych Tigurynów, wzrosło za panowania cesarza Wespazyana, i tak już było znaczne w wieku piątym, że Allemanowie ułakomili się na jego bogactwa, napadli na nie i ze szczętem zburzyli. Podźwignęło się z tych klęsk, a skoro tylko zaczęły tworzyć się między krajami związki handlowe, zbierało plony szczęśliwego położenia swojego między Włochami, Niemcami i Galią. W wieku IX. było w stanie najbardziej kwitnącym. Karól Wielki mieszkał w niém przez czas niejaki. Jego mieszkańcy trudnili się wówczas naukami i sztukami, z tém zamiłowaniem i talentem, które w późniejszych czasach uczyniło ich miasto Atenami Szwajcaryi. Zurich w średnich już wiekach, miało przydomek uczonego; przezwisko *wojennego* takżeby mu przystało, gdyż odznaczyło się we wszystkich wojnach Szwajcaryi. W tymże czasie, pozyskało pierwszeństwo nad innemi miastami Helwecyi, przez swoje przedsięwzięcia handlowe, czynność przemysłową i rolniczą, i naukowe zakłady. Gesner, Lawater, Pestalozzi, zrodzeni w tém mieście, dowodzą że nie straciło dawnéj świetności.

Widok miasta Zurich, jeszcze przypomina wszystkie zdarzenia, składające jego historyą. Zbudowane w malowniczém położeniu na pochyłości dwóch wzgórzów, między którémi płyną czyste wody rzeki Limmat, wypadającéj z jeziora Zurich, to miamiasto otoczone jest mocnemi murami. Tu i owdzie widać, pośród tegoczesnych budowli, stare domy gotyckie z wązkiemi oknami opatrzonemi w kraty; na środku rzeki stoi groźna wieża, która dawniéj była więzieniem jeńców wojennych, lub więźniów stanu. Kościół katedralny, zasięga siódmego wieku, a sławne opactwo Frauen-Munster założone było przez wnuczkę Karóla W. Biblioteka znajduje się w dawnym kościele Zwycięztwa, zbudowanym z dobrowolnych składek na pamiątkę klęski Karóla Zuchwałego Xcia Burgundyi; ma zawierać kosztowne manuskrypta i czterdzieści tomów dzieł

rozmaitych. Szwajcarscy artyści ozdobili ratusz, a znaczniejsze zdarzenia historyi Szwajcaryi, wystawione są w obrazach i rzeźbie. Szpitale, towarzystwa uczone, handlowe i przemysłowe, są dowodem wysokiéj cywilizacyi i świetnéj pomyślności tego miasta.

Góry Kantonu Zurich, nie tak wysokie jak innych, nie przedstawiają tych olbrzymich widoków, jakie znajdują się w innych częściach Szwajcaryi, ale brzegi jego prześlicznego jeziora, obfitują w krajobrazy nieporównanéj piękności, a zwaliska starych feodalnych zamków, łączą ciekawe podania z pięknościami natury.

## NAUKA ZDROWIA.

### PRZEZ DOKTORA BOURDON.

(Dalszy ciąg.)

Pokarmy trudniejsze do strawienia:

Mięso wieprzowe, lub z dzika; jaja gotowane na twardo, lub rozmaitym sposobem przyprawiane; wszelkie sałaty surowe, kapusta, kardy, buraki, cebula, chrzan, chleb gorący, figi, ciasta, wszelkie przyprawy octem i oliwą.

Oto spis najniestrawniejszych pokarmów:

Części żyłowate i chrząstkowate; substancye tłuste lub olejowate; twarde białka od jaj, grzyby, trufle, ziarna oleiste; orzechy, migdały, pistacye, pestki, oliwki, kakao, rozmaite gatunki oliwy, rodzenki, wszelkie ziarna w całości, które tak mało zmieniają się w żołądku, iż mogą jeszcze rosnąć wyszedłszy z niego.

Rolnicy i wyrobnicy powinni przekładać pokarmy opierające się nieco działaniu żołądka; najprzyzwoitsze są dla nich twarde mięsiwa, warzywa mączne, chleb razowy.

Wieśniak powinien daleko więcéj jeść niżeli mieszkaniec miasta: najprzód, że daleko więcéj pracuje; powtóre, że pokarmy jego są prostsze, i nie tak posilne. Ma dobry apetyt od samego rana, łatwą strawność, nie wymyślne podniebienie. Nie powinien pracować na czczo. Musi dobrze jeść, nie tylko aby naprawić uszczerbek sił, lecz jeszcze na zapas mocy, któréj potrzebuje na wytrzymanie czekających go trudów.

Próżniacy daleko mniejszéj ilości pokarmów potrzebują, niż ta do któréj przyzwyczaja ich łakomstwo. Cornaro żył nie chorując nigdy, od czterdziestu aż do stu lat, pożywając tylko codziennie 12ście łutów pokarmów stałych, odwilżonych 13stu łutami płynu.

Ludzie z żywą wyobraźnią, a szczególniéj waryaci, pożerającego doświadczają głodu, i trawienie u nich nadzwyczajnie jest szybkie; chłoną niezmierną moc pokarmów. Toż samo dzieje się z niedołężnemi od urodzenia. Prócz tego, że rozsądek i nauka uczą nas wstrzemięźliwości, nic tak nie uśmierza głodu, prócz snu, który go całkiem niszczy, jak ciągłe zajęcie myśli.

Trzeba jednak dodać, iż człowiek więcéj pokarmów potrzebuje, niżeli ich wymaga sama tylko potrzeba utrzymania życia; potrzebuje ich na ożywienie władz swoich, i właśnie ten zbytek potrzebny jest do utrzymania życia w całéj pełności.

Lepiéj jeść trochę za wiele, niżeli zbyt mało na zaspokojenie istotnych potrzeb.

Człowiek utworzony jest aby wszystkich rodzajów pokarmów używał zarazem, nie na próżno ma zęby przednie, jak zwierzęta żywiące się owocami, kły, jak te co się karmią mięsem, a zęby trzonowe, jak zwierzęta żyjące trawą i ziarnami. Wstrzymanie się od jednéj z tych rzeczy, wkrótce stałoby się szkodliwém i z sił by go wycieńczyło.

Post, zmniejsza tuszę osób ściśle go obchodzących. Dorat, przed stą laty przekonał się iż utracił po wielkim poście 8 funtów i 5 łutów ze swojéj tuszy, strata niesłychana, którą w dziesięć dni po Wielkiéj nocy uzupełnił używaniem mięsa i wina.

Samo wstrzymanie się od napojów, wina, a nawet i wody, zrządziłoby osłabienie i znaczne schudnięcie. Marek Aureliusz, nie piwszy przez sześćdziesiąt dni ani wina, ani wody, utracił półszósta funta swojéj zwyczajnéj ciężkości, (ważył 120 funtów). Zacząwszy znowu używać napojów, po sześciu dniach odzyskał stracone pół-szósta funta, i prócz tego funt jeden więcéj jeszcze zyskał.

Pokarmy roślinne wymagają najwięcéj napoju. Mięso mniéj wzbudza pragnienie. Zbyteczne używanie napojów, przeszkadza tyciu.

Osoby żywiące się mięsiwem, łatwiéj mogą wstrzymać się od pokarmów; lecz są daleko chudsze, bardziej rumiane i silniejsze: to samo postrzegamy i w zwierzętach.

Młodzież osobliwie powinna się strzedz głodu. Podczas nieurodzajów i drożyzny, dzieci najwięcéj cierpią i najprędzéj umierają.

Ciemność i wilgoć, połączone ze spoczynkiem, osłabiają działanie głodu. W takich to przypadkach widziano ludzi silnych, żyjących po piętnaście i siedemnaście dni, bez pokarmu i napoju.

Starcy łatwiéj znoszą głód, niżeli ludzie młodzi.

Herbata i gorące napoje, przyśpieszają trawienie, lecz przeszkadzają doskonałemu jego dokonaniu.

Nie podobna znaleźć stu-letnich, pomiędzy temi, którzy używają do zbytku herbaty, podobnie jak pomiędzy pijakami.

http://rcin.org.pl

Trunki pędzone uspokajają głód. Zażywane do zbytku, odejmują apetyt. Kto pije, już je obiad.

Kawa ściąga żołądek; przedłuża trawienie. Nie służy osobom szczupłym: powinny się jéj wystrzegać osoby drażliwe, i te co źle sypiają.

Korzenie, czosnek, pieprz, wódka, kawa, zdrowsze są w krajach gorących, niżeli zimnych.

Zmięszana z wodą, a szczególniéj osłodzoną, wódka uśmierza transpiracyą i ugasza natychmiast pragnienie. Użyta na czczo zrządza rozmaite choroby żołądkowe.

Rośliny przyzwoite są ludziom krwistym; kwasy i dojrzałe owoce, mającym zbyt wiele żółci; lymfatykom czarne mięsiwa; drażliwym mięsiwa białe.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## SZARAŃCZA.

Szarańczę która chmurami przybywa do Europy z krain wschodnich i okropne zrządza spustoszenia, rozróżnić trzeba od podobnych do niéj rodzajów owadów wietkopokrywych skaczących, jakiemi są: Skokun(Fetrix), Pasikonik, (Locusta) i t. d. Szarańcza wędrowna po łacinie Acrydium, po francuzku Criquet zwana, jest około półtrzecia cała długa, błękitnawo-zielona, pod spodem bledsza i cokolwiek w cieliste na piersiach przebijająca: ma szczęki czarne: pokrywy szarawo-blado-brunatne, ciemno brunatnemi lub czarnemi nie jednakiemi plamkami bez ładu upstrzone. Skrzydła bez plam blade, szarawe, przy ciele żółtawo zielonawe. Gorset bez poprzecznych przedziałów gładki, ostro daszkowaty. Piersi bez kolca. Na różowych piszczelach nóg tylnych kolce blade. O niéj tak pisze nasz uczony naturalista Jarocki.

»Właściwą ojczyzną tego gatunku jest zachodnia część Azyi i stepy wschodnio-południowych krajów Europy. Zkąd zwykle w miesiącu Sierpniu w czasie lat gorących, wzniosłszy się na powietrze przylatuje z wiatrem do krajów daléj ku zachodowi położonych. Siadająe codziennie dla spoczynku i żerowania, na parę godzin przed zachodem słońca, puszcza się nazajutrz w dalszą podróż po obeschnięciu rosy. Zaskoczona deszczem, koczuje na jedném miejscu, lub posuwa się piechotą w miarę potrzeby żywności. Lata tylko w dni pogodne i to w godzinach największego upału. Pielgrzymki te odbywa tak wielkiemi gromadami, iż lecąc nakształt chmury słońce sobą zasłania, a gdy siądzie na ziemi całe łany na kilka a czasem i na kilkanaście całów grubo pokrywa. Chociaż, Bogu dzięki! rzadko nas odwiedza, lecz przynosząc zawsze okropną klęskę całym okolicom, słusznym jest postrachem dla ludu. Gdzie spocznie, pożera liście drzew, zboża wszelkiego rodzaju i trawy, a zniszczywszy czasem w jednéj nocy całoroczne zabiegi tysiąca rolników, zostawia po odlocie tylko gołą, bobkowatym gnojem przysypaną i mnóztwem jaj swoich zarażoną ziemię. Każda samica znosi od 150 do 200 jaj. Odgrzebawszy cokolwiek ziemi, składa je w płytkim dołku przy łodygach niedojedzonych roślin, i oblewa gęstą brudną żółtawą flegmą, która zawierając jaja w jednę bryłę, wkrótce na powietrzu tężeje, skórkowatą pow włokę około nich tworzy, i od przystępu n ilgoci zabezpiecza. Po złożeniu jaj zaczyają stare zdychać, i przed nadejściem zimy giną wszystkie.»

»Jeżeli po jéj bytności zima następująca jest sucha i łagodna, a wiosna ciepła, nowe nieszczęście czeka tę okolicę; bo z tych jaj wylęga się mnóstwo Szarańczy, która zaraz z wiosny zasiewy i trawy niweczy, a która w młodości nie mając skrzydeł *Piechotą* lub *Szarańczą piechotną* od pospólstwa bywa nazywaną. Lubo nasz klimat jest znacznie zimniejszy od jéj rodzinnego, mimo to raz zagnieżdżona, potrafi się przez wiele lat utrzymać. Najlepszym dowodem tego są okolice Kalisza, gdzie się od kilkunastu lat (i podobno od ostatniego przelotu przez Polskę w 1811 roku) ciągle rozmnaża. Jakoż w 1818 roku bawiąc w Kaliszu, znajdowałem ją w okolicach jego już jako miejscową, i przysłano mi ztamtąd znaczną ich liczbę obok gatunku *Szarańczy czerwonéj*. Co zaś tém bardziéj zdanie moje potwierdza, jest to, że się między przysłanemi znajdują tak poczwarki czyli jeszcze skrzydeł niemające, jako też dojrzałe czyli skrzydlate. Dojrzałe zaś są mniejsze cokolwiek od tych, które czasem z właściwéj ojczyzny swojéj wprost do nas przylatują. Podobnież między przysłaną *Szarańczą czerwoną* z okolic Łęczycy, Wielunia i z obwodu Bialskiego (lubo w mniejszéj liczbie) znajdują się jednak poczwarki *Szarańczy wędrownéj*, które równie za wylęgłe w tychże okolicach uważać muszę; bo nie mając skrzydeł, nie mogły z stepów wschodnich przylecić. Wreszcie na przybycie jéj z miejsc rodzinnych byłoby za wczas; gdyż to zdarza się zwykle dopiero w miesiącach Lipcu i Sierpniu.»

To szczęście że te niszczące owady: mówi Magazyn powszechny francuzki: mają mnóstwo nieprzyjaciół: ptaki, jaszczurki, świnie, lisy, a nawet i żaby, pożerają znaczną ich ilość. — Pożerają także jedne drugie; a nagła zmiana atmosfery, deszcz zimny, burza, wyniszcza miliony w jednéj chwili. W krainach Azyi, ludzie jedzą z upodobaniem ten owad; ususzywszy go i zmeł-

szy robią z niego chleb, który w niedostatku zboża jest bardzo użyteczny. W Bagdadzie, szarańcza wędrowna przedaje się jak inna żywność; utrzymują że ma smak gołębia; człowiek zjeść ich może dwieście na raz jeden. Kucharze na Wschodzie umieją rozmaicie przyprawiać te owady. Zdaje się że najczęściej gotują je w wodzie, a potém smażą w maśle.

---

## POEZYA.

Pan Jan Nep: Kamiński, autor drugiéj części krakowiaków i wielu poezyi, tłomacz Szyllera i jednéj z sztuk Kalderona, p: t: Lekarz swego honoru, wydał nowszy zbiór swoich p: t: *Halczanka*. (Cena zł. 4). Znajduje się w nim poema: Lunatyk czyli Sześć wieczorów Kasztelana i inne ulotne poezye, między niemi trzy w humorystycznym rodzaju napisane, odznaczają się wesołością. Umieszczamy z nich następującą:

### SKUTKI PRZESTRACHU.
#### POWIASTKA.

Hałas, tartas, klekot w domu,
Coś pytluje, jakby w młynie;
Choć się zdarzy zajrzéć komu,
Krzyżyk zrobi, dom ominie,
I ucieka, i ucieka,
Choć go wołaj, nie zaczeka.

Tfu, do czarta, czy nikomu
Rzec nie wolno co w tym domu
Przez dzień Boży od poranku
Tak terkoce bez ustanku?
Może — Panie! odpuść grzechy,
Sypie z woru bies orzechy?

Nie, panowie! mylne zdanie.
Niech pozwolą piękne panie,
Ja wykryję dziw tajony:
Jestto język — swarnéj żony.

Onto, jakby blacharz w sklepie,
Takim taktem zawsze klepie,
Nawet wtedy w gębie myka,
Kiedy zaśnie dobrodzika.
Przymiot rzadki i nie lada!
Domem idzie po kądzieli.
Różnie temu radzić chcieli,
Rozumiejąc że to wada.
Ot waryaty, poszaleli!
Imość sama to powiada
Że dla tego tylko gada
Że gadała jéj matunia
I prababka i ciotunia
I siostrzyce i kuzyny —
Gadał cały szczep rodziny.

Niech mąż w uszach świerszcze wierci,
Niech tam sługom puchną uszy;
Imość lubi gadać z duszy,
Gadać będzie aż do śmierci.
Ba, co mówię! może w grobie
Będzie jeszcze gadać sobie;
Niechże gada, przyjm ją Panie!
Bo przyśpieszy zmartwychwstanie.

Ale komuż niebo dało
Nie podlegać żadnéj zmianie!
Los psikusów ma nie mało,
Płata szkody niespodzianie.
Posłuchajcie piękne panie,
Co się żonie późniéj stało:
Raz, gdy ciągle gada, gada,
I nagadać się nie może;
Mąż zgłuszony, w zapał wpada,
I porywa broń ze ściany. —
By ją zabić? nie, broń Boże!
Chciał nieborak zmordowany,
Dla wytrwania w cierpliwości,
Choć wystrzelić do zająca,
Kiedy nie mógł do imości;
Lecz niebaczny w kurek trąca!
Huk się rozległ w całym gmachu,
Imość padła konająca:
Że zabita, wszyscy w strachu!
Wielkie wprawdzie z huku licho,
Lecz, raz pierwszy w domu cicho!

Imość leży jak nieżywa, —
Niechże z Bogiem odpoczywa!
Tego wszyscy życzą szczerze.
Mąż zmówiwszy trzy pacierze,
Już się do pogrzebu bierze —
Lecz... o chwilo nieszczęśliwa!
Trup się podniósł, imość żywa.

I choć wątła, i choć blada,
Chce nagrodzić chwilę przerwy,
Chce zagadać —, ale biada!
Gębą miele, a nie gada:
Strach w języku skurczył nerwy!

http://rcin.org.pl

O zdarzenie dziwu pełne!
Słudzy ciągną z usz bawełnę,
Mąż z radości w głos wykrzyka:
»Żono droga! bez języka!» —

Gdy co padnie, wilk wie w lesie:
Już lekarza licho niesie!
I choć nie był zaproszony,
Bieży badać słabość żony!
I wybadał! »*Jak ja wróżę,*
»*Co strach odjął, wrócić może.*»
Tak rzekł w ucho lekarz mądry.
Mąż nieborak zbladł jak ściana;
Prorokowi pcha kubana,
Cała kieska idzie w plądry,
By zamilczał swe *arcana*.....

Wyszedł lekarz; imość w migi,
Jak telegraf kroi znaki;
Idą zygzy, idą figi,
Idą pięści, i kułaki,
Imość giestem gadać umie;
Lecz się śmieje jaki taki,
I powiada: »*nie rozumię.*»

Imość ledwie się nie zdusi,
Że choć nie chce, milczéć musi!
A mąż sługom wydał hasło:
»Aby w domu nic nie trzasło,
Ani hukło, chowaj Boże!
Bo się imość wzdrygnąć może! — »

Już upływa rok i drugi,
Jak się wszystko cicho ślizga;
Jak na palcach chodzą sługi,
Jak się migiem mąż umizga;
Kiedy oto niespodzianie
Diabeł znowu — odpuść Panie!

Mąż wyjechał raz na łowy,
I był właśnie spodziewany;
Kucharz, zawsze pianéj głowy,
Przysposabiał marcypany.
Smażąc biszkokt w złéj godzinie,
Coraz więcéj masła wali;
Buchnął płomień po kominie,
A wrzask powstał: że się pali!

Choćto była szkoda mała,
*Ale imość zagadała*!
Zagadawszy w dłonie klasła,
Podskoczyła na dwa łokcie.
O przeklętym bądź biszkokcie,
Co tu licha wyszło z masła!..
Mąż wracając wesoł z łowu,
Ani myśli co go czeka! —
»Ciesz się mężu, gadam znowu!»
Wrzasła imość w głos zdaleka.
Taki głosik, czegóż trzeba?
Był to jasny piorun z nieba!
I uderzył w samę głowę:
Mąż z przestrachu stracił mowę.

## ZA DYAMENT.

Najczęściéj, te osoby które przebywszy pierwszą część życia, doszły już do téj epoki, w któréj zwykle wyczerpuje się do ostatka ilość uczuć dozwolona człowiekowi, przypominają sobie z goryczą swoje złudzenia, zawody i mniemają że im wolno wyszydzać tych, co wierzą w ziszczenie swoich omamień.

Na wstępie życia, biegniem po drodze niewstrzymanéj spadzistości, lecz miłéj, lecz ocienionéj powabną zielonością; w powietrzu rozlewa się woń kwiatów rozesłanych po trawnikach, ptaszki śpiewają w nadbrzeżnéj krzewinie. — Ci którzy nas poprzedzili, których straciliśmy już z oczu, mają tylko po brzegach zwiędłą i zżółkłą trawę, wody stojące i trzęsawiska. Mająż dla tego krzyczéć pogrobowym głosem: »Nie poddawajcie się rozkoszy znęcającéj wasze zmysły, jest ona tylko fantasmagoryą. Będziecie do końca chcieli oddychać wonią kwiatów, słuchać śpiewu ptasząt; kwiaty i ptaki znikną na zawsze.»

Nie, nie powinni tego czynić; gdyż nie wybrzeże jak mniemają, zmieniło się; ptak nie umilkł, kwiat nie uwiądł; lecz oni sami daléj się zapuścili. — Woń kwiatów, śpiew ptaków, wszystko pozostało za niemi; nadchodzą inni ludzie, którzy znowu popieszczą się niemi przez chwilę, przejdą i żałować ich będą.

Ktożby z przyjemnością widział przedwczesny wiatr otrząsający kwiaty migdałowe, pod pozorem że prędzéj owoc dojrzeje? Czyliż kiedy dobrym jest owoc przedwczesny?

—»I co nam po *bogactwach*? mówił z zapałem Teodor; cóż *złoto* zdołałoby przydać do naszéj szczęśliwości? Brak tego *podłego kruszczu*, mógłżeby przeszkodzić naszemu szczęściu? Czyliż miłość nasza nie zastąpi miejsca wszystkiego? Byłbym z moją Anną daleko szczęśliwszy w *chacie*, niżeli w *złoci-*

*stych pokojach*; chleb, owoc pracy mojéj będzie dla niéj niebieską ambrozyą.»

Anna odpowiedziała tkliwém spojrzeniem; Teodor był tak wymownym; powtórzył głośno to, co serce pięknéj dziewczyny stokroć z cicha szeptało.

Trzecia osoba odwróciła się aby ukryć uśmiech; był to człowiek sześćdziesięcio-letni, łagodnéj i ujmującéj twarzy. »Moje dzieci, rzekł, mógłbym wiele rzeczy powiedzieć, które na toby się tylko przydały, abyście je za dwadzieścia lat waszym powtórzyli dzieciom, gdyż wtedy dopiero zdołacie pojąć je, i w nie uwierzyć. Teraz tylko wiecie że nadewszystko kocham moją Annę. Teodor powinien także mieć nie jeden powód wierzyć w moją przyjaźń; otóż nie dam Teodorowi mojéj Anny, aż za powrotem z handlowéj podróży, w którą pryncypał jego wysłać go zamyśla.»

I właśnie podróż ta, dała Teodorowi powód do objawienia swojéj *pogardy* ku *bogactwom*.

Ojciec Anny pozostał nieubłaganym. Kochankowie musieli uledz starcowi i Teodor popłynął.

—»Bywaj zdrów, mój Teodorze! rzekła Anna. Ciągle będę się modlić za ciebie, nie żebyś powrócił bogaty, lecz stały»

Pod czas długiéj przeprawy, Teodor myślał tylko o miejscach zupełnie dla niego nowych, które miał ujrzéć nie zadługo: Wschód! Zdala już widział ów zbytek orientalny, o którym tyle mu nagadano. Zdawało mu się że dosyć było wejśdź do Konstantynopola aby zostać bogatym; że bruk jego, przemieni dotykające się go buty, w meszty iskrzące od drogich kamieni; że samo powietrze przeistoczy w złoto-głów najprostsze sukno; że każden szal stanie się kaszmirem, gdy nań padnie promień orientalnego słońca. Każdy koń, którego kopyto wstąpi na piaski Arabii, zmieni się w rumaka ognistego, szlachetnego, pełnego zapału i życia, gotowego wykrzyknąć: *Ruszajmy*! Marzył tylko o miękkich jedwabnych sofach, upajających woniach... Żywa wyobraźnia przedstawiała mu nadewszystko owe tajemnicze haremy, gdzie pod strażą czarnych rzezańców, żyją piękne Czerkaski i Georgianki.

Niezawodnie jedna z nich idąc do meczetu, postrzeże Teodora, i przypadkiem upuszczając zasłonę, dozwoli mu postrzedz wdzięki nieznane światu.

A nazajutrz poczciwa starka przyjdzie do niego, i tysiącznemi zakręty wprowadzi go do haremu; tam marzenie ukazywało mu zbiór zachwycających istot, najwytworniejsze napoje, najmocniéj upajające wonie, czarodziejskie ustronia, zachwycającą muzykę: tańce jeniuszów, bogate malowidła, agatowe posadzki, kolumny jaspisowe, na szyjach niewiast naszyjniki z ogromnych pereł, bransoletki z potwornych szmaragdów, dyademy z iskrzących brylantów, szale, które można przeciągnąć przez uszko od igły; a on będzie pieszczony, wystrojony, uwieńczony mirtem i różami.

Jakkolwiek daleko idziemy, musimy nareście kiedyś przybydź. — Teodor przybył do Konstantynopola.

Biedny Teodor!

Ujrzał na samym wstępie, miasto brudne, ciasne, źle zabudowane, błotniste. Po ulicach, szkapy z postronkiem zamiast cugli, ludzi na wpół nagich. Zamiast bogactw, stare poobrzynane pieniądze, niemieckie, holenderskie, hiszpańskie; za przysmaki, a jest to przysmak ulubiony, przysmak najwyśmienitszy, ryż przyprawiony pieprzem, i aż śliski od masła; był to pilaw. Cały talent kucharza zasadza się na tém aby ziarnka ryżu nie popękały i były ufarbowane na żółto szafranem, lub na różowo sokiem granatowym.

Ujrzał meczety bez ozdób, gdyż koran zabrania umieszczać w nich obrazy, posągi, złoto i srebro.

A co najgorsza żadnéj kobiety nie spotkał w meczetach; żadna zasłona nie spadła na jego widok; żadna tajemnica staruszka nie przyszła go odwiedzić.

Zawiedziony Teodor, postanowił myśléć tylko o Annie, o swoim powrocie, przyrzeczeniach, szczęściu; kupiec obiecał mu że za powrotem sowicie wynagrodzi poniesione trudy. Ojciec Anny, już nie będzie się mógł dłużéj sprzeciwiać. Ze Stambułu pojechał daléj na Wschód.

Gdy pewnego wieczora rachował zyski jakie mu przyniesie przychylność kupca, i gdy oparłszy się łokciami na stole myślał nad urządzaniem swojego nowego gospodarstwa, gdy się głęboko zastanawiał ilu służących ma przyjąć, jakie wybrać pomieszkanie, wyobraźnia jego tak się zapaliła, iż mu się zdało że już nadeszła chwila spełnienia najgorętszych żądz jego. Zajmował się najdrobniejszemi szczegółami, tak starannie jak gdyby jutro ziścić się miały. — Przemyśliwał nad ślubnym ubiorem Anny; musi mieć włosy gładko ułożone i zaczesane na wierzchu głowy, bo to najlepiéj odsłania powabne jéj czoło.

Noc zaskoczyła go w tém zatrudnieniu, ani pomyślał zapalić świecę. Nagle zapukano do drzwi: otworzył; człowiek jakiś posłuchawszy pierwéj czy kto za nim nie idzie, wszedł nagle, zamknął drzwi, posłuchał jeszcze, potém rzekł: »Mości panie, dziesięć tylko mamy minut na zrobienie interessu, w którym idzie o moje życie a zbogacenie ciebie. Jestem niewolnik, używany do ko-

http://rcin.org.pl

pania min; ukradłem dyament, kazałem się tu przenieść pod pozorem choroby. Król chyba jaki zdoła opłacić dyament o którym mówię. Żaden tak pięknego nie posiada; lecz dla mnie jest to skarb stracony, nie będę go mógł sprzedać, bo nie posiadając pieniędzy, ani mogę myśleć o ucieczce. Możesz przyłożyć się do mego szczęścia: żądam od pana, w zamian za ten skarb nieoceniony, tyle tylko ile mi potrzeba do ucieczki. Tym sposobem będę wolny; dostanę się do mego kraju, zobaczę znowu dzieci i żonę.»

Gdy Teodor stał odurzony tą propozycyą, niewolnik oglądał ogromny dyament, obracając go na wszystkie strony. »Nie ma w nim ani jednego pyłku, najmniejszéj plamki; na moje nieszczęście, miałem ich zbyt wiele w ręku, a nigdym nie widział tak pięknego i doskonałego. Przepysznie ozdobiłby rękojeść jataganu sułtańskiego... Mości panie, jesteś cudzoziemiec, łatwo ci będzie uciec. Skoro tylko będziesz chciał, za kilka dukatów jesteś milionowym, a ja szczęśliwym.»

Niewolnik niecierpliwił się, chciał uciekać. Teodor dał mu ile żądał, potém sam pomyślał o ucieczce. Pożyczył pieniędzy od swojego pryncypała i wyjechał w nocy.

Nie będziemy wchodzić w szczegóły jego podróży. Aby go nie złapano, (gdyż niewolnik nie ukrywał przed nim że go będą ścigać) dwa razy téż samą odbył drogę, najsamotniejszemi, najbardziéj utrudzającemi drożynami. Pewnego dnia, napadli go rozbójnicy Arabscy. Czy masz pan przy sobie pieniądze? spytał go przewodnik. — Mam tylko tyle, ile mi potrzeba na odbycie podróży, odpowiedział Teodor.

—»No, to nie czyń oporu; zostawią ci cokolwiek na dokończenie podróży; będzie to może za skąpo, ale co robić.

—»Nic z tego nie będzie! rzekł Teodor, i przyjął wystrzałem z pistoletu pierwszego Araba, co się ku nim zbliżył. Dobyto szabel. Przewodnik został zabity; zraniony Teodor dostał się w niewolę.

Przetrząśnięto go i pomimo oporu zabrano mu dyament. Rozpacz jego wprawiła Arabów w mniemanie że to jest amulet; jedna z niewiast dała go za cacko swojemu dziecięciu.

Dowódzca polubił Teodora, i oświadczył mu że będzie się mógł oddalić z tém wszystkiém co mu zabrano, skoro tylko zdrowie odzyska. Matka dziecięcia, biorąca dyament za talizman, rzuciła mu się do nóg, błagając aby go zostawił jéj synowi; ofiarowała mu nawet za niego największą kwotę, jaką tylko dać mogła. Bogactwo zatwardza serce; odmówił. Obrażona niewiasta żadnym sposobem oddać go nie chciała. W nocy, Teodor włożył knebel w usta dziecięcia, i umknął ze swoim skarbem. Dwa dni i dwie nocy ukrywał się w jaskini, nie jedząc, nie pijąc; potém spotkawszy karawanę, w dalszą puścił się drogę. Ciągle niespokojny, nieufny, odpychał z gniewem uprzedzającą grzeczność; gotów był przebić podróżnego, którego spojrzenie zatrzymało się przypadkiem na miejscu gdzie miał dyament ukryty; żądał w gospodach najlichszéj izbedki, aby nikt nie dorozumiał się że jest bogatym.

Napisał do ojca Anny: list jego od tych słów się zaczynał. »Jestem bogaty, niezmiernie bogaty.» Ta wiadomość, oświadczona z góry, pierwéj nim do innych *ważniejszych* przystąpił, bardzo nie podobała się Annie. Pomyślała jednak, że Teodor dla niéj tylko chciał zostać bogatym i pocieszyła się nieco. Z tém wszystkiém, myśl o wielkim majątku Teodora, zatruła radość młodéj panienki. Gdy przybył, ojciec dziewczyny, przez uczucie delikatności może za daleko posunione, nie chciał pokazać się tak uprzedzającym jak zwykle. Teodor uczuł iż się role zmieniły; że on co nie dawno błagał o łaskę, sam teraz łaskę czyni. Aby ukryć tę myśl, która mimowolnie mu się nasuwała, udawał przyjacielskie i poufałe obejście się. Lecz jak każda rzecz wymuszona, poszło mu to dość niezgrabnie, i bardziéj jeszcze zwiększyło obojętność ojca i córki. Ta obojętność obraziła znowu Teodora. Słowem, chociaż wszystkie trzy osoby téj powieści, nie zmieniły bynajmniéj chęci swoich, rozeszły się jednak po tém pierwszem widzeniu bardzo z siebie nieukontentowane. W kilka dni jednak, nastąpiło pomiędzy kochankami wynurzenie.

—»Sama nie wiem dla czego, rzekła Anna, lecz ów wielki majątek który nam zapowiedziałeś, przeraża mnie; zamiary nasze tak były piękne! teraz wszystko to znikło. Trzeba się pożegnać z maleńkim domkiem, z którego taki ładny widok na morze; a teraz właśnie jest do najęcia.

—»Piękna moja Anno, odpowiedział Teodor, pójdziemy do Paryża, będziemy mieszkać w pałacu, przy najpiękniejszéj ulicy.

—»Mój Teodorze, jednakże nie przestanę żałować małego domku; drzewa na około niego tak są zielone, powietrze tak czyste; wczoraj wyszedłszy na przechadzkę, zaszłam aż do niego; z zachwyceniem przyglądałam mu się: mówiłam: »tu będziemy żyć, tu będziemy razem szczęśliwi» i już w myśli czyniłam rozkład pomieszkania. Przed oknami jest trawnik miękki jak axamit; zdawało mi się że już po nim maleńkie tarzają się dzieciaczki.»

Teodor pojechał do Paryża. Gdy przybył, jubiler nadworny, do którego jedynie radzono mu udać się z dyamentem, wyjechał na kilka dni. Teodor korzystał z tego czasu, aby obrać mieszkanie i meble, sprobo-

http://rcin.org.pl



wać koni i kocza; dowiadywał się o wszystko co tylko było najpiękniejszego, o kobierce, porcelany, koronki. Tymczasem nadskakiwał mu i pieścił go tłum przyjaciół i krewnych, których nigdy pierwéj nie znał. Gdy wchodził do salonu, mówiono głośno: to jest P. Teodor N**, — a cicho: »przywiózł ogromny majątek ze wschodu.« Wszystkie uprzedzające grzeczności, wszystkie spojrzenia były dla niego; matki przedstawiały mu swoje córki; córki uważały że jest bardzo przystojny, że ma znakomite ułożenie.

Niestety! niestety! otóż Teodor stoi na bardzo spadzistéj drodze, i kto wie czy nie zapomni o biednéj Annie.

I jabym tak myślał, a jednakże przed dwoma laty widziałem Teodora; mieszkał ze swoją Anną w małym domku nad morzem, a na miękkim trawniku, bawiło się piękne dziecię.

Czy to było skutkiem wspaniałomyślności Teodora? chciałbym to powiedzieć. Lecz Teodor małą miał posadę przynoszącą mu 1,800 franków. I tak się to stało, szczęściem dla niego.

Gdy przyszedł do nadwornego jubilera, ten dobrze przypatrzywszy się dyamentowi, rzekł mu: »Jest to prawdziwie rzadka sztuka; ja się takiemi rzeczami nie trudnię; lecz możesz pan dostać wszędzie za niego 10 franków, gdyż jest doskonale naśladowany.

Za owe dziesięć franków, wrócił piechotą do Hawru.

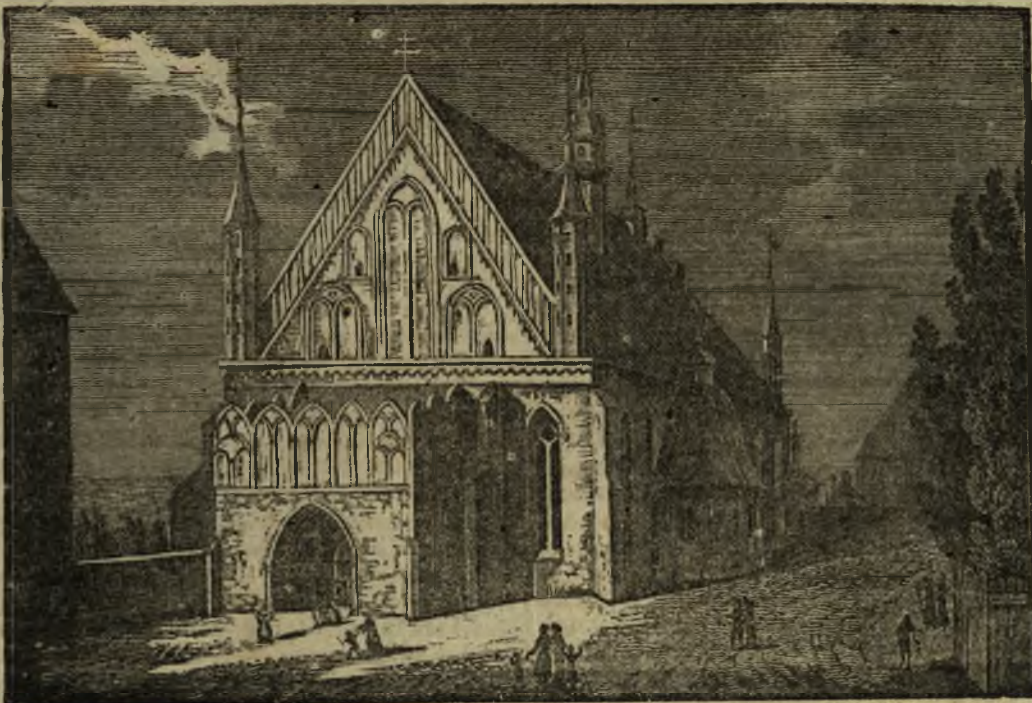
ALFONS KARR.

---

Księgarnia F. S. Dmochows iego przy ulicy Nowo-Senatorskiej pod Nr. 476 znajdująca się, uwiadamia miłośników czytania, że w niej abonować można dzieła Polskie i Francuzkie za opłatą zł. 4 na miesiąc od dzieł polskich, zł. od francuzkich. Czytelnia ta pomnażana jest ciągle najnowszemi dziełami w tych obu językach. Tamże znajdują się do sprzedania książki szkolne i wszelkie inne w języku polskim.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiej Nro 476 Lit. D.

http://rcin.org.pl



KOSCIOŁ KATEDRALNY W FRAUENBURGU.
W PRUSACH WSCHODNICH.
Rycina robiona przez P. Dietrich w Warszawie.

## PAMIĄTKI KOPERNIKA.

Umieściwszy w zaprzeszłym zeszycie zarys życia uczonego męża, który jeżeli nie wielkością odkryć, to wykładem praw przez Kopernika odkrytych i historyą jego żywota, wznowił nam pamięć Kopernika, dajemy teraz rycinę wyobrażającą kościół katedralny tego miasta, gdzie Kopernik był kanonikiem i gdzie jego zwłoki spoczywają; a przy tém zebrane wspomnienia o tym wielkim człowieku, przez dwóch naszych pisarzy w ich podróżach do Pruss wschodnich.

W 1802, Tadeusz Czacki wybrawszy się razem z Marcinem Molskim do Królewca, odwiedzili Frauenburg, i tak wyrażają się w liście do Jana Sniadeckiego.

»W drodze naszej, szukaliśmy także Kopernika pomników. Odkrycia nasze choć małe, składamy przed tym, który łącząc rozbiór dzieł jego z opisem życia, w prawdziwéj stawia postaci te wielkie prawdy, z których Kopernik największe dowiódł, a innych dojście przepowiedział.

»Mikołaj Kopernik był kanonikiem Warmińskim i administratorem dóbr kapitularnych *Alleinsztein*, dzieląc w obu miejscach swoje bawienie, w jedném i drugiém miejscu miał swe gwiazdouważnie, czyli *Observatoria*. W mieszkaniu, które teraz Pasterz gminy wyznania luterskiego zajmuje, były nad kominem przylepione, a na pargaminie ręką jego pisane wiersze nabożne. Piętnaście minęło lat, jak odeszły z tego miejsca pasterz, tę pamiątkę ręki Kopernika z sobą uwiozł. Na szkle w oknie miał bydź jego herb kolorowy wyryty. Równie jest lat kilkanaście, jak trwającą od półtrzecia wieku pamiątkę przez niedbałość utracono. Pokazują nadedrzwiami wykutą dawniéj dziurę, przez którą promienie słoneczne zbierane były do jednego środka w drugiéj izbie, lecz sześć lat dopiero, jak teraźniejszy mieszkaniec kilkunastą cegłami to próżne założył miejsce. Wieża bliska, na którą Kopernik chodził i tam nocy trawił, jest źle utrzymana, a na dole więźnie osadzeni kajdanami brzęczą. Stanęliśmy w *Frauenburgu*. Idąc do swiątyni, gdzie Kopernika spoczywają zwłoki, powtarzaliśmy imie jego. Starzy i młodzi, przywykli od pieluch człowieka tego wspominać z czułością, wielkość nauki jego zostawując poszanowaniu uczonych, sami okazują to, co ich uwagę bliżéj ściąga. *Frauenburg* na górze, gdzie jest kościół, nie miał wody, a cała okolica miejska młyna. Kopernik, o pół mili rzekę *Baude* piętnastu i pół łokciową śluzą pochyłą podnosi, krętą pochyłością prowadzi, młyn stawia, obok niego wielkie koło: to podnosi wodę na szczyt wieży, i rurami na górę wytryskującą pędzi wodę. Każdy kanonik na swoim dziedzińcu miał jéj dostatek. Popsuta machina, została ograniczona w 1772 roku w dochodach kapituły: teraz mają nie wielkim ko-

s tem tę machinę i rury naprawić. Podanie jest między uczeńszemi w tém miejscu, że wzoru téj machiny żądano dla Ludwika XIV. Na próżno przechodzień w miejscach zamieszkanych przez *Newtona* i *Descarta*, o ich imiona pytać się będzie pospolitego gminu. Kalendarzowe zgadywania przez *Keplera* pomieszają litość z uszanowaniem dla jego pamięci. Nasz Kopernik i całemu światu, i téj okolicy, gdzie żył, stał się użytecznym.

»Weszliśmy do kościoła. Przy ołtarzu do jego kanonii przywiązanym, leżał grobowy kamień, w części zakryty marmurowym gankiem, otaczającym środkowy ołtarz kościoła. Sfery niezgrabnie wyryte i litery Nicol. okazywały miejsce spoczynku szanownych szczątków. Pozwoliła zacna kapituła, w któréj składzie równa jest uprzejmość jak gorliwość o sławę tego męża, usunąć przeszkody. Po wymyciu kamienia, znaleźliśmy te litery: NICOL. COP US. w drugim wierszu: OBIIT ANN. Inne litery były wytarte. Zdjąwszy tedy kamień, byliśmy przytomni kopaniu, (bo w téj katedrze kanonicy przed 18stym wiekiem grobów nie mieli). Znaleźliśmy tylko nadgniłych kości kawałki. Złożyła ich część u siebie kapituła, a pięć cząstek nam dając, wydała razem i uroczyste na nie, przez podpisy pierwszych prałatów świadectwa. Zapewne jednę z tych cząstek mieć będziesz zacny mężu. Mówiąc o człowieku wszystkich wieków, o twórcy geniuszów, którzy idąc wskazaną od niego drogą, stali się jeszcze wielkiemi, masz prawo mieć tę pamiątkę, na którą z rozrzewniającém wspomnieniem ziomek patrzéć winien. Szukaliśmy pism tego człowieka, Są jego podpisy na urzędownych kapituły czynnościach. Znaleźliśmy późniéj listy jego: w jednym z tych wyraża, że tylko patrzy w niebo, a myśli o swojéj xięgdze. Inne, pieczętowane zawsze Apollinem, nie wiele ważnych zawierają szczegółów. Miło jest widzieć w aktach kapituły, że ta nie żałowała wydatków na podróż jego do Włoch, gdzie on podobno usposabiał dojrzałe późniéj systema. Szukaliśmy pisanych dzieł jego: los zawistny musiał je unieść; a pismo o rzeczy menniczném, do któréj urządzenia, tak jako *Newton*, był wezwany, podobno w jedném Prus dawniéj Polskich zostaje mieście.

»Byliśmy w jego domu. Nie wielką na wyższém piętrze zawiera izbę, z któréj jest galerya, do jego dawnéj Gwiazdouważni, i wschody z dołu można jeszcze w ułomkach widzieć. Na trzy strony miał w widoku przesmyk morski, a na czwartéj równinę, którą późniéj stawiona wieża zasłoniła.»

W nowszym opisie podróży do Pruss Wschodnich, znajdujemy następujące szczegóły.

»Rzuciwszy okiem na starożytności Torunia, pobiegłem do domu Kopernika. Nie raz pamięć tego wielkiego człowieka i zagranicą obecną mi była; on jest jednym ze sławnych ludzi naszych, którego obcy prawie najlepiéj znają. W Anglii powszechnie go *Mędrcem Polskim* mianują, ale we Francyi, gdzie często bez przekonania o rzeczach sądzą i w Niemczech, wielu go jeszcze nam zaprzecza.

»Zastałem dom szczupły, a choć o dwóch piętrach, na dolném tylko zamieszkały; musiał on zawsze do miernych budowli Torunia należéć. Po małych schodkach, weszedłem do sieni; właściciel bodaj jeszcze od domu uboższy, wyszedł na przeciwko mnie. »Chcę tylko dawną odnowić znajomość, powiedziałem, i zajrzeć na chwilę do pokoju, w którym się urodził nieśmiertelny Kopernik.» Otworzył mi drzwi uprzejmie; obaczyłem na ścianie ten sam com dawniéj był widział wizerunek; ale malowanie nie tak mi się podobało; powiedział mi właściciel, że jest bardzo starożytny, znaczne summy mu za niego ofiarowano, lecz on odstąpić go nie chciał. Co więcéj, teraz panujący Kró lPruski powziął myśl założenia na miejscu tego mizernego domku, szkołę matematycznych nauk; chciano w korzystne dla właściciela wejść układy; on pyszny tą własnością, pomimo ubóstwa swego odrzucił wszystko; uporem tym przeszkodził pięknemu zamiarowi, ale przecież mimowolnie uściskałem go serdecznie, gdy mi to w prostocie swojéj opowiadał. — Nie wyszedłem z domu, pókim się nie przypatrzył rzeźbie w drzewie, znajdującéj się w sieni wysoko pod sufitem, a która ma bydź pracą rąk własnych Kopernika. Nie wiem, czy czas zatarł ślady? czyli też wyobraźnia moja nie tak obfita? ale dawniéj nierównie więcéj widziałem w téj rzeźbie i figur i rzeczy; teraz nie mogłem prawie w niéj upatrzyć żadnego pewnego przedmiotu. — Jużem chciał odejść, kiedy właściciel mnie prosił żebym się wrócił i spojrzał na szereg wszystkich jego poprzedników. W rzeczy saméj, każdy właściciel tego domu, zacząwszy od Mikołaja, ojca Kopernika, do ostatniego przed dzisiejszym posiadacza, kazał się malować, i widziałem że i tego gorącém było życzeniem, zostawić na płótnie twarz swoją i imie potomności. O! jakiż to blask wielkich ludzi otacza, kiedy przy nich i mali uświetnić się mogą! Z tamtąd ruszyłem do Kościoła S. Jana, który jest najdawniejszy w całym Toruniu; założył go *Hermann Balk*; pierwszy Mistrz Krzyżacki w Prusiech, wizerunek jego wisi nad zakrystyą. W tym kościele jest Chrzcielnica z napisem gockim, którego dotąd nikt nie przeczytał. Pytałem się Zakrystyana, czy w czasie niebytności mojéj nie

http://rcin.org.pl

zdarzył się ktoś tak uczony? powiedział że nie. Nie bawiąc nad nim, na próżno wolałem się przypatrzyć darowi czułości Xięcia Józefa Jabłonowskiego, Wdy Nowogrodzkiego; jest to pomnik z marmuru śniadobiałego, przy jednym filarze Kopernikowi wystawiony; szczupły w prawdzie, ale zawsze uwielbienia godny. Załowałem w tej chwili żem nie bogaty; wyniosłbym Kopernikowi pomnik wspaniały w Toruniu; tam właśnie gdzie za Xięztwa Warszawskiego już założono fundament. Teraz na tém miejscu na nowo zrównanem, i brukiem założoném, przekupki jarzyny przedają i ani wiedzą jaki to geniusz, półczwarta wieku temu, powstał w ich mieście. Jednak i one słyszéć o nim mogły, bo przed domem, gdzie się rodził, stoi na cześć jego kolumna z kamienia; z niej wychodzi u wierzchu ręka trzymająca kulę ziemską, na około której wyrażony bieg godzin, Rzymską liczbą w złocie.

»Pośpieszałem przez okolice wdzięczne nawet choć w niewdzięcznej porze, przez wzgórza, doliny, lasy, wsie zamożne, aż w końcu wjechałem na piaski do *Frauenburga*. Podobne były koło Torunia, gdzie się wielki Kopernik urodził, między takiemiż spoczywają zwłoki jego. Uderzony tém podobieństwem, jak niegdyś *Horacy*, znalazłszy na brzegu Matyńskim zwłoki *Archity* Matematyka z morza wyrzucone, dumał nad niemi; tak i ja toż samo jego marzenie, myśląc o Koperniku, przywiodłem sobie na pamięć, przytaczam je tłomaczone przez Naruszewicza:

Tyżto, coś dawniéj dziełem cudnéj łaski,
Bystry Ocean (któżby temu wierzył?)
I ziemny okrąg, i niezliczne piaski,
Dowcipny gwiazdarz, Archito pomierzył?
Dziś, nędzny topień, a wiatrom igrzysko,
W troszę lichego masz prochu łożysko?
Małoć pomoże, widzę gdy umierać
Znikoma dola biednym ludziom każe,
Wartkiem się w Niebo aż umysłem wdzierać;
A jednym biegi, drugim czujne straże
Gwiazdom rysując, mieć na swe skinienie,
Co tak wysoko wzniosło Przyrodzenie.

Niezaprzeczona prawda! bo jakaż nauka, jaka wielkość, człowieka od śmierci ochronić potrafi? Ci nawet co z zachowania życia i zdrowia wyłączne sobie zatrudnienie uczynili, umierają zarówno z tymi, którzy się na téj sztuce bynajmniéj nie znają.... Nic nas śmierci wydrzéć nie może; w mocy jest tylko człowieka, cnotą i sławą duchowi i imieniu nieśmiertelność zapewnić; tak uczynił Kopernik, a ja to sobie wspomniawszy, już bez smutku na grobowe jego miasto patrzyłem. Frauenburg ciągnie się nad Fryszhafem, pod górą wysoką, na któréj stoi Kościół; widać go zdaleka, z nim stykają się albo raczéj opasują go dawne pomieszkania duchowieństwa. Wchodząc w ich obręb, przechodziłem przez bramę, nad którą stała wieża. Do téj wieży prowadził z mieszkania tego wielkiego męża ganek na cztery sążnie długi, lecz już zrzucony. — Miejsce to gdzie Kopernik tyle nocy strawił, i z Niebem tak bliskie miał stosunki, bardzo źle utrzymane. Z téj wieży widok wspaniały, daleki; ziemia i morze jakby na dłoni; niebo nawet podwójne, jedno u góry, drugie odbijające się na dnie spokojnego Fryszhafu. Mógł się go napatrzyć Kopernik, i rzeczywiście i w powtórzeniu, jak twarzy ukochanéj osoby, którą choć żyjącą widziemy, przecież lubiemy powtórzyć jéj rysy na płótnie lub kości. — W owym kościele na górze po prawéj stronie wielkiego Ołtarza, złożone są zwłoki Kopernika, tymże obrzadkiem co innych kanoników. Prosty kamień na płask położony, jest mu nagrobkiem, zakryty w części marmurowym gankiem; napis na nim zatarty, nieczytelny. Miał bydź w ścianie drugi, który Kromer Biskup Warmiński w r: 1581 położył, ale nie wiadomo co się z nim stało. Dziś gdyby nie wizerunek Kopernika nad jego grobem na filarze zawieszony, niby go w tym kościele nie przedstawiało. Kościół ten jest wspaniały; widziałem w nim wizerunki rycerzy zbrojnych w kamieniu wykutych, widziałem w niektórych ołtarzach piękne obrazy roboty włoskich malarzy; była tam i udatna kaplica, miejsce czyjegoś grobu, ale mój umysł tak się znowu zajął Kopernikiem, żem na nic innego pilnie uważać nie mógł. Jego pamięcią przejęty, wyszedłem z kościoła, rzuciłem jeszcze raz okiem na tę wyborną budowę; wzrok mój zatrzymał się na kompasie; powiedziano mi że był dziełem Kopernika. Słońce świeciło jasno, pokazywał na godzinę trzecią po południu; nastawiłem podług niego mój zegarek; szedł tak przez dwa tygodnie..

## WYJĄTEK
### Z IV PIEŚNI CHILD HAROLDA.

*Przekład Stanisława Rossołowskiego.*

Miłości! ludziom nieznany Aniele!
Mieszkańcem tego ty nie jesteś świata;
Choć gorejący twych ponęt czciciele,
W bólach męczeńskich młode trawią lata.

Lecz żaden dotąd nie widział cię z ludzi,
I żaden nigdy taką nie zobaczy,
Jaką we własnéj wyobraźni wzbudzi,
I na cel swoich hołdów ją przeznaczy.

Ten kształt i obraz, w jaki myśl przybiera,
I w którym więzi serce swe i wolę,
Spiekłém pragnieniem dręczy i pożera,
Serce znużone przez namiętne bóle.

http://rcin.org.pl

Dusza wrodzonéj piękności nie syta,
Swych ideałów pomnożyła twory;
Gdzież piękność dłótem rzeźbiarza wyryta,
Czerpać zdołała swoich kształtów wzory?

Mogłoż mu wskazać samo przyrodzenie,
W dzięki tak rzadkie, twór tak doskonały,
Które młodości zrodziło natchnienie,
I za któremi goni wiek dojrzały?

O Raju! myśli, mistrzów i nauki,
Co się tak rzadko śmiertelnym objawiasz!
Ty nieraz w trudnych wysileniach sztuki,
W rozpacz i pióra i dłóta ich wprawiasz!

Młodość gorączką, szaleństwem kochanie,
Z którego człowiek nie prędko się leczy,
Aż wreszcie pozna swoje obłąkanie,
I ślepem serca zapałom złorzeczy.

Każdy dzień zmniejsza miłości podniety,
Bóstw idealnych nie widzi w naturze,
Które ustroił w piękność i zalety,
I silnych uczuć miotają nim burze.

I jak Alchemik w swéj uparty dumie,
Co się nad skarbu odkryciem mozoli;
Serce bogatszém wtenczas się rozumie,
Kiedy najbliższe jest swojéj niedoli.

Unosząc z sobą nie zgojoną ranę,
Więdniejem wszyscy wraz od urodzenia;
Ale leczące środki są nieznane,
Nie możem swego nasycić pragnienia.

Widmo, któreśmy w młodości gonili,
Często na schyłku dni naszych nam błyska,
Ale niestety! zapóźno w téj chwili,
Gdy brzemie nieszczęść i lat nas uciska.

Miłość i chwała, duma i chęć zbiorów,
Wszystko nas trawi, jakby ogniem właśnie,
I blaskiem płonnych mami meteorów,
Aż nim przy grobie płomień ich zagaśnie.

Niektórzy tylko.... co mówię? nikt z ludzi,
Nie znalazł tego, co sam szczerze kocha;
Próżno potrzeba do miłości budzi,
I zda się skłonność połączać nas płocha.

Później nakoniec przez czas i rozwagę.
Gdy mus krępuje i jątrzyć poczyna,
Poznajem sercu zrządzoną zniewagę,
Które nie łatwo krzywd swych zapomina.

W odartéj prawdzie z uroków przepaski,
Błąd i ślepota odkrywa się nasza,
Która jak tknięciem czarnoxiężkiéj laski,
W marny proch wszystkie złudzenia rozpra-
(sza.



K A Z O A R.

Liczony do rodzaju strusiów, podobnież latać nie może. Wielkością wyrównywa strusiowi. Na głowie ma narość rogową. Znajduje się w części wschodniéj południowéj Azyi, na wyspach Jawa i Sumatra. Jest żarłoczny i połyka wszystko co napotka, najbardziéj lubi owoce, korzonki roślin i jaja. Odmiany tego ptaka znaleziono w Nowéj Hollandyi.

## NOWE DZIEŁA.

*Prawidła pisowni polskiej i przecinkowania, podane przez Deputacyą Ortograficzną w* 1830 *roku, z dołączeniem prawideł przecinkowania i Słownika Ortograficznego: w Warszawie, w drukarni Gałęzowskiego, nakładem wydawcy*, 1835. — *Cena zł:* 1 *gr.* 15.

Pan Stanisław Janicki Dr: Filozofii, wyciągnął w krótkości prawidła pisowni polskiéj i przecinkowania z dwóch obszernych dzieł, wydanych w r: 1830, to jest z dzieła: Rozprawy i wnioski o Ortografii polskiéj przez Dep: od Tow: Prz: Nauk wyznaczoną, i z dzieła Felixa Bentkowskiego o znakach przecinkowych w piśmie.— Uczynił przez to rzecz bardzo pożądaną i użyteczną, a która przyłoży się do ustalenia dotąd jeszcze rozdwojonéj pisowni naszéj. Prawidła te zebrane są porządnie, krótko, jasno; powinny

http://rcin.org.pl

ajdować się w ręku każdego, a szczupła cena xiążeczki tém bardziéj ku temu dopomoże.

*Prawdziwa przyjaciołka; dzieło dla młodych panien, zawierające wzór postępowania moralnego, w krótkich przestrogach i stosownych powieściach, przełożone z francuzkiego P. Cartier Vinchon; Warszawa, nakładem Aug. Emm: Glucksberga*, 1836. — *Cena zł*: 6.

Dzieło to składa się z trzech części: w pierwszéj znajdują się ogólne zasady postępowania dla młodéj panny wchodzącéj w świat. w *drugiéj* wyciągi moralne z dzieł pani de Maintenon; w *trzeciéj* powieści. Jest to dzieło bardzo stósowne dla młodych panien, połącza użytek z przyjemnością i zaleca się przy tém dobrą polszczyzną.

## ŻEBRACY.

Chociaż we wszystkiem naśladujemy stolice Francyi i Anglii, jednakże w bardzo wielu rzeczach jeszcze dalecy od nich jesteśmy, a to po większéj części na dobro nasze. Zepsucie, egoizm, pogarda najświętszych obowiązków, nie chodzi u nas z tak śmiałem czołem, jak to widzimy w obrazach społeczeństwa Paryzkiego, kreślonych piórem teraźniejszych pisarzy francuzkich najbardziéj wziętych. Żebracy nasi są natrętni, znikczemnieni trunkiem i próżniactwem, to prawda, ale rzemiosła swego nie posunęli do tego stopnia wydoskonalenia, na jakiem zostaje w Paryżu. Oto są zarysy żebraków paryzkich, które nam dadzą poznać ich obyczaje i sposób jakim wyłudzają jałmużnę, która się prawdziwemu ubóstwu należy.

W Paryżu, żebractwo pokazuje się pod fałszywą barwą pracy i przemysłowości. Ubogi proszący o jałmużnę, zawsze coś ofiaruje w zamianę za nią i nie jest to jego wina, jeźli za parę groszy które mu dają, nie wezmą od niego pęczka zapałek, bukietu z kwiatów, albo starych wypłowiałych wstążek, które chowa w koszyczku. Muzykus na pozytywce, bez miłosierdzia powtarza pod oknami, nowe arye z opery komicznéj. Sabaudczyk każe tańczyć bobakowi, albo sam tańcuje. Oprócz tego, żebractwo paryzkie obfituje w wynalazki i coraz inną postać przybiera. Wspomnijmy najprzód o jego wyższéj klassie. Są to *nieszczęśliwi artyści* którzy wdzierają się wszędzie, mimo najsurowszego zakazu. Są ubrani porządnie, po przyjacielsku ściskają za rękę i wiedzą nazwisko osoby, któréj niespodziane oddają odwiedziny. Niekiedy nawet nazywają po imieniu: »Jak się masz mój dobry Karólu! mój kochany Pawle, mój przyjacielu Fryderyku!» Siadają, a gdy z podziwieniem spoglądasz na nich, mówią o tém lub owém. Gdy nareście odważysz zapytać się o nazwisko, wtedy cichym i pokornym głosem żebraka, wynurzają swoje nieprzewidziane nieszczęścia, smutny stan żony i dzieci i. t: i t. d. Odmawiasz? nalegają i chętnie czy nie chętnie wyciągną ci z kieszeni pięć franków, a wychodząc mruczą na tak szczupłą jałmużnę. Ci ludzie są malarzami u malarzy, literatami u literatów, byłemi kupcami u kupców. Stosują się do każdego stanu i wieku.

Żebracy gminni nie ustępują tamtym w docipie. — Już to spotykasz małe sieroty których matka czuwa o dziesięć kroków, śpiące na chodnikach bulwaru, z kartą która je poleca litościwéj publiczności. Tu znowu Sabaudczyk płacze nad zdechłą małpą, która mu zarabiała na chleb: a na to rzemiosło, zdechłą małpę najmuje za trzy franki dziennie. Inny z koszykiem kwiatów na piersiach, rozpowiada swoje przygody. Był żołnierzem, komissantem, aktorem, podróżnikim, a teraz swoją poczciwą fizyonomią wyciąga jałmużnę, za którą upija się wieczorem. Tamten, zamiata ulicę po deszczu, aby piechotni wygodnie przejśdź mogli; takiemu nie żal dać jałmużnę; inny nareście pobudza do dobroczynności, wesołemi słowami, albo komplementami.

Żebranina w Paryżu ma swoje przepisy i przywileje. Ubogi nigdy nie zajmie miejsca któremu ze swoich towarzyszów, a są takie miejsca na których dwadzieścia franków dziennie uzbierać może.

Wielu z żebraków ogarnia żądza nagromadzania, któréj wytłomaczyć sobie nie można. Jakże wielu zostawia po zgonie swoim znaczne summy, zaszyte w łachmanach! Cierpieli jak największy niedostatek, mieszkali w dziurach pod strychem albo w piwnicach, obywali się bez światła, ognia i lekarstwa, jeżeli zachorowali. Pod ręką mieli za co leczyć się i przedłużyć swoje życie. Lecz to nie mogło ich skłonić do naruszenia skarbu, tak powoli i pracowicie zebranego. Smierć nadeszła; czekali na nią, leżąc na na kilkudziesięciu tysiącach franków w złocie.

W gazetach z roku 1818, umieszczona była wiadomość o Jakóbie Permanon, żebraku, który w kościele Panny Maryi w Paryżu podawał wodę święconą. Był to mały garbusek, karzeł. Siedząc na wysokim stołku, gdyż inaczéj byłby go nikt nie dostrzegł, odmawiał modlitwy czystą łaciną, zręcznie kłaniał się ogromną głową swoją i był zawsze ubrany porządnie w obszerny surdut zielony, przez co wyglądał jak głowa postawiona na stole pokrytym zieloném suknem. Między osobami które dawały jałmużnę Jakóbowi Permanon, była pensya pani F** od któréj dowiedziałem się następujących szczegółów o Jakóbie Permanon.

Między jéj pensyonarkami, była młoda Angielka, blada, blondyna, sierota, od któréj już od lat piętnastu nieznajoma osoba płaciła znaczną kwotę. Panienka ta przykładała się do muzyki i doskonale grała na fortepianie.

Muzyka zupełnie zajęła tę młodą i czułą duszę i Jenny zapominała przy fortepianie, że nigdy matka nie rzekła do niéj: »Moja córko.«

Opłacając to co się należało ochmistrzyni, dołączano zawsze małą kwotę dla niéj, a Jakób Permanon, którego młoda dziewczyna wybrała za swego ulubieńca, otrzymywał znaczną część téj kwoty. Nie mając nikogo, nikogo w świecie, do któregoby się przywiązać mogła, przywiązała się do téj nędznéj istoty, prawie tak opuszczonéj jak ona. I oprócz dziesięciu soldów co niedziela, Jakób Permanon dostawał od młodéj dziewczyny, koszule, chustki i tysiące drobnych robotek kobiecych. Na pierwszéj stronnicy jego xiążki od nabożeństwa, napisane były te słowa: *Dana 15 Kwietnia 1814 przez Jenny R*** Jakóbowi Permanon.*

Nie podobna wysłowić, ile Jakób Permanon kochał młodą angielkę, to co czuł dla niéj, było więcéj niżeli wdzięczność i czułość, była to cześć i uwielbienie: Gdy się zbliżała godzina, o któréj pensyonarki pani F*** przychodziły do kościoła, bledniał i wyciągał głowę aby je zdaleka postrzedz; na jego twarzy najmocniejsze malowało się wzruszenie; a gdy młoda Jenny przechodziła koło niego, gdy otrzymywał jéj podarunki, gdy słodkim głosem mówiła mu dzień dobry, o! wtedy serce ledwie mu nie wyskoczyło z piersi.

Pewnego dnia, przyszła Jenny, z oczyma nabrzmiałemi od płaczu, i obarczona wielką boleścią.

—»Jakóbie, rzekła, nic ci dać nie mogę, gdyż jestem uboższa od ciebie. Od roku, pani R*** nie miała wiadomości od moich nieznanych dobroczyńców. Ukrywała to przedemną, lecz przypadkiem dowiedziałam się wczoraj. Jestem biedną dziewczyną, żywioną z miłosierdzia, musiałam przestać uczyć się muzyki.

To rzekłszy, przeszła i uklękła przed ołtarzem, obok swoich towarzyszek. Nazajutrz, trzy tysiące franków złożono u odźwiernéj pani F***; nie wiadomo kto je przyniósł. Na worku był napis: *Dla panny Jenny R**** Tak było przez cztery lata, a Jenny znowu spokojna i nietroskliwa o przyszłość, doskonaliła się w muzyce i nie omieszkała dawać co niedziela Jakóbowi Permanon dziesięć soldów i różne małe podarunki.

Przy końcu tego czasu, Jakób Permanon zachorował i już nie bywał w kościele. Jenny tak mocno cierpiała że go nie widuje! Uprosiła pani *** aby jéj wolno było odwiedzić go z pod-ochmistrzynią.

Z trudnością wypytawszy się o pomieszkanie Jakóba, weszła na poddasze do izby brudnéj i nieopatrzonéj, gdzie znalazła żebraka leżącego na biednym sienniku.

Jakób ujrzawszy ją, doznał tak mocnego wzruszenia, iż ledwie nie skonał.

—»Moje dziecię, rzekł, Jezus i Matka Boża przysyłają cię do mnie, abym miał śmierć szczęśliwszą i łagodną. Bez tego byłbym umarł z rozpaczą w sercu, a teraz błogosławię Boga i jego dobroć nieskończoną.

Wyjął z pod głowy papier troskliwie opieczętowany, oddał go młodéj dziewczynie i musiała mu przyrzec że dopiero po jego śmierci przeczyta to pismo. »Jest to moje ostatnie rozporządzenie, a jeżeli nie ty, któżby chciał zadosyć uczynić ostatniéj woli żebraka?» Jenny przyrzekła. Nazajutrz gdy przyszła do niego, już skonał.

Z rozżaloném sercem i zapłakanemi oczyma, po stracie swego kochanego Jakóba, Jenny rozpieczętowała tajemnicze pismo. Były w niém następujące słowa.

»Pójdź z panią F*** do notaryusza M***, przy ulicy Montmartre, on okaże ci ważne pismo.

Jakób Permanon.

Był to zapis dla Jenny R*** stu tysięcy franków w złocie i biletach bankowych, które Jakób Permanon, na piętnaście dni przed śmiercią, gdy czuł że jest mocno chory, zanieść kazał do notaryusza.

Żebrak paryzki jest grzeczny, towarzyski, lubi wesołość i biesiady, przekonywa o tém następujący wyjątek z gazet paryzkich z roku 1823, napisany przez naocznego świadka.

Poszedłem odwiedzić mego znajomego, pana N*** który jest muzykantem; potrzebowałem dwóch muzykantów na wieczór i umawiałem się z nim, gdy w tém weszło z pokorą dwóch żebraków w łachmanach, jeden bez nogi, drugi jednooki i bez ręki. Zdziwiony temi odwiedzinami, muzykant zaczął się gniewać że go nawet aż w domu ścigają; ale się porozumiano.

Ubodzy potrzebowali czterech muzykantów na bal, który dają nazajutrz. Pan N*** zażądał sześćdziesiąt franków; przyjęli bez targu, dali dwadzieścia franków zadatku, naznaczywszy miejsce schadzki u porządnego restauratora przy ulicy Gobelins. — Dla zaspokojenia mojéj ciekawości, pan N** wziął mię z sobą za drugiego skrzypka. Nazajutrz przyszliśmy o godzinie szóstéj i ujrzeliśmy przygotowania do sutéj biesiady. Traktyer zaprowadził nas do pokoju, gdzie się ubierają mężczyźni.

http://rcin.org.pl

Przeszedłszy przez salę gdzie jaśniało stodwadzieścia nakryć, i całe srebro domowe, weszliśmy do miejsca tajemniczego zgromadzenia żebraków. Na długim szeregu stalug, wisiały ubrania zupełne i bardzo porządne, a dozorca téj sali powiedział mi że jest tandeciarzem zgromadzenia żebraków i że od dziada pradziada, dostarcza panom ubogim, ubiorów na wesela, uczty, biesiady; ofiarował i nam swoją usługę.

Dla zabrania czasu, poszliśmy na chwilę do pobliskiéj kawiarni i patrzaliśmy na zbierających się gości. Wkrótce przyjechały fiakry z temi nędznikami, już to płci męzkiéj, już niewieściéj; starzy i młodzi, wszyscy w łachmanach żebrackich i z oznakami swego kalectwa, które jest podstawą ich życia i uciech. Poznałem wielu z nich i przyrzekłem sobie że na przyszłość lepiéj ich poznam. Od pół godziny byliśmy na naszém stanowisku; już nie zajeżdżały powozy i zaczynaliśmy się nudzić żeśmy tak prędko przyszli: myśleliśmy bowiem że ludzie którzy nie mają zwyczaju jeść obiadu przy stole, nie prędko od niego wstaną: gdy w tém zbliżył się do nas z miną uprzejmą i ceremonialną, jegomość mający około pięćdziesięciu lat, w czarnym fraku i pantalonach, w białych rękawiczkach, z bukietem przy boku. Oznajmił nam że wszystko było gotowe, i że tylko czekano na muzykę. Podziękował dobranemi wyrazami panu N*** za jego regularność, i bardzo zdziwiliśmy się, widząc że to ten był jednooki i bez ręki, który nas wczoraj zamówił. Wszedłszy do sali, którą słusznie salą cudownych przemian nazwaćby można, ujrzeliśmy wystrojone zgromadzenie. Wszyscy stali, czekając na wnijście głównéj osoby, dla któréj wyprawiano tę ucztę. Oznajmiono ją: weszła ustrojona we wstążki, perły i kwiaty; na jéj widok zagraliśmy pieśń. »*Jakież wdzięki, jakaż świetność*! Zasiedli, a że sztuki są bracią, musieliśmy należéć do biesiady. Byli weseli przystojnie, pili z umiarkowaniem, śpiewali dosyć zgodnie. Solenizantka biesiady odegrała swoją rolę z przynależną powagą; a gdyby jéj prawa ręka nie była przykrótka, a prawe ramie nie tak wystające, niczegoby jéj nie brakowało: lecz te dwie wady były zrzódłem jéj majątku. Przy desserze, jeden z biesiadników powstawszy na jednéj nodze, poprosił o milczenie. Był to ojciec młodzieńca świeżego jak róża, a którego cerę podwyższała jeszcze axamitna przepaska pokrywająca mu oko: i w imieniu ukochanego synka, prosił o rękę solenizantki, która zapłoniła się z radości. Matka oblubienicy przychyliła się do tego żądania, a pisarz tego bractwa, dobył kałamarza i natychmiast napisano i zastrzeżono, że Łazarz Julian D... daje synowi swemu kropielnicę kościoła Stego Eustachiego (to jest miejsce do żebrania przy niéj) a Franciszka C... odstępuje swojéj córce stopnie schodów kościoła Sgo Rocha. Przyklaskiwano téj umowie; żebracy pili, a nareście zaczęli tańcować i chociaż skoki nie były zupełne dla braku potrzebnéj liczby rąk i nóg, tancerze wykręcali się jak mogli; nareście pożegnali się, zdjęli porządną odzież, wdzieli zwyczajne łachmany i odeszli zapłaciwszy po 27 franków od osoby.

---

## PIESEK NINONY.

Ninon de l'Enclos, sławna za czasów Ludwika XIV, z piękności, zalotów, talentów i dowcipu, miała pieska, który wypchany znajduje się dotąd w gabinecie historyi naturalnéj w Paryżu. Nazywał się Raton. Gdy zaproszono na obiad tę sławną kobietę, zawsze brała z sobą tego pieska jéj nieodstępnego towarzysza i stawiała go w koszyczku tuż przy talerzu. Był on stróżem jéj zdrowia i surowo przestrzegał dyety swojéj pani, która aż do stu lat cieszyła się zdrowiem i wesołym humorem, ponieważ nie używała kawy, korzennych potraw i likworów.

Raton nic nie mówił na rosół, sztukę mięsa i pieczyste; ale skoro tylko jego pani udawała że chce jeść inne potrawy, warczał, wpatrywał się w nią i nie pozwalał jeśdź. Była to rozmowa żywa, sentymentalna, w któréj po wielu upomnieniach, Raton zawsze otrzymywał zwycięztwo.

Nasz uważny lekarz, patrzał siedząc w koszyczku, jak zastawiano i zdejmowano potrawy; nie żądał nic dla siebie, nawet kostki od kurczęcia, ale gdy przyniesiono wety, wyskakiwał na stół, biegał tu i owdzie i dostawał biszkopciki, z których parę było dosyć dla niego.

Pozwalał jeść cukry i owoce ile się podobało, lecz na samą wzmiankę o kawie, warczyć zaczynał. Gdy przyniesiono butelkę z likierem anyżowym, Raton przytulał się do swojéj pani jak w chwili największego niebezpieczeństwa, brał w zęby kieliszek, chował go do koszyczka i wszyscy śmieli się, widząc że tak wielki gniew hippokratyczny mieści się w tak drobném ciele.

—»Doktorze, mówiła Ninona, pozwolisz mi wypić szklankę wody. Na te słowa ułagadzał się, ruszał ogonem, już się nie gniewał i skakał z radości widząc że obiad nie przyniósł uszczerbku zdrowiu jego nieodłącznéj przyjaciołki.

Pewnego razu, Ninona wyjechała na tydzień i nie wzięła go z sobą. Raton wszędzie szukał swojéj pani, a potym położył się



PIESEK NINONY. (Rysunek naturalnej wielkości.)

przy krześle na którym zwykle siadywała i zdechł po trzech dniach oczekiwania.

CENA PRENUMERATY

MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, W KANTORZE GŁÓWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.

Na Prowincyi. W Urzędach Pocztowych i za granicą, rocznie zł. 21, półrocznie złp. 11.

Można także prenumerować na Urzędach Pocztowych oraz u następujących xięgarzy.

w Kaliszu u Jahnischa.

w Radomiu w xięgarni tamtejszéj.
w Lublinie u Streibla.
w Poznaniu u T. Scherka.
w Krakowie u Friedlejna i Czecha.
w Wilnie u Zawadzkiego.
tamże u T. Glücksberga

w Winnicy na Podolu i) w xięgarniach braci Lechów
w Kamieńcu Podolskim.)

Osoby prywatne na prowincyi zamieszkałe, któreby raczyły dopomódz upowszechnieniu pożytecznych nauk przez zatrudnienie się zbieraniem prenumeraty, otrzymają na 10 exemplarzach 11sty gratis.

http://rcin.org.pl



## GROTA SWIĘTEJ MAGDALENY.

W okręgu miasta Marsylii, wznosi się wysoka góra; u jéj stóp leży wioseczka Nous. Z tego to miejsca, rozciąga się olbrzymia skała Saint-Beaume.

Pobrózdowana rozpadlinami, wznosi się prostopadle aż pod chmury. W ścianie téj skały, znajduje się szeroka i głęboka jaskinia, słońce oświeca ją rzadko bardzo i późno; jaskinia ta przez sześć miesięcy otoczona jest mgłą gęstą i ciągle skrapiana wodą z deszczów i śniegów. Starożytny napis umieszczony w niéj, wyrażał, że Swięta Magdalena po w Niebowstąpieniu Jezusa Chrystusa, wsiadła na słabą łódź, ze swoim bratem Łazarzem i ze swoją siostrą Martą. Ręka Zbawiciela poprowadziła tę łódź przez wzburzone fale morza aż do Marsylii, gdzie Swięta opowiadała wiarę prawdziwego Boga, a po niejakim czasie zamknęła się w jaskini Sainte-Baume, i tam przez lat trzydzieści trzy, najsurowszą wykonywała pokutę.

Pobożność wiernych, uczciła to miejsce, uświęcone odwiecznem podaniem. W jaskini stoi statua S. Magdaleny, a w niższéj grocie znajduje się wyobrażenie Swiętego Grobu. Znamienici Monarchowie i xiążęta, odbyli pielgrzymkę do tego miejsca, wznieśli obok niego klasztor i zostawili ślady pobożności i wspaniałomyślności swojéj.

---

## ŁOWY NA WILKA.

Dawniejszemi czasy, kilkunastu myśliwych, dobrze uzbrojonych, zwykle wybierało się na wilki z prosięciem na wabika. W ogromnych saniach przyrządzonych po temu umyślnie, cała drużyna strzelców na ławkach siadała; z tyłu sani stał jeden który gniótł prosiaka, ażeby kwikiem swoim przywabić wilka; tym czasem na długim sznurku wiązka grochowin przywiązana i włóczona po ziemi, wyobrażała ciągnione prosie. — Jak podobne łowy są groźne w naszym kraju, dowiedzie wypadek prawdziwy, zdarzony przed kilkunasty laty.

W Sandomierskiém, Czesław młody ziemianin, sprosił sąsiadów i strzelców, w liczbie 18stu, którzy na tak przygotowane sanie, zaprzężone czterma końmi, wsiadłszy, wyruszyli na łowy. Każdy oprócz dubeltówki, opatrzony był w parę pistoletów; kilka sztuk broni nabitéj, na zapas, za poradą starego strzelca, wzięto na sanie. Z wesołym okrzykiem i z szczęśliwą wróżbą, ruszyła ochocza drużyna myśliwych, wypiwszy niemało wina na pożegnanie i za zdrowie gospodyni domu. Żwawo ruszyły konie, a chrzęst śniegu gniecionego kutemi i ciężkiemi saniami i kwik przerywany prosięcia, ogłaszały przejazd téj zbrojnéj, radosnéj czeredy, bo im bliżéj dojeżdżano lasu, ustawała

http://rcin.org.pl

gwarna z początku rozmowa, a jéj miejsce zajmowała ciekawość ujrzenia dzikiego zwierza. Mieszało się może nieco i obawy, bo stary strzelec i doświadczony, opowiadał smutne powieści, które wszystkich czoła zachmurzyły. Treścią ich właśnie była śmierć odważnych myśliwych, którzy z podobnym jak oni wabikiem, wybrali się na wilki.

»Będzie temu (mówił) z lat dziesięć, podobnie jak teraz wybraliśmy się na wilki; pięć dzielnych koni zaprzężono; wsiadło nas dwudziestu na sanie. Ale jak się pokazały ćmy wilków nieprzeliczone, bez wystrzału nawet ledwie uciekliśmy.»

—»Tchórzu! zawołał młody Czesław, stojący blisko starego strzelca: we dwudziestu i obawiać się jeszcze.

Strzelec nagniótł silnie prosiaka, który głośno zakwiczał; po chwili się odezwał.

—»Zła wróżba mój panie odważny; prosię *długim głosem* zakwiczało.

—»I cóż z tego? zapytało kilku z uśmiechem.

—»Bo tak było, mówił daléj stary strzelec, kiedy szesnastu myśliwych wilcy zjedli, a ja jeden zaledwie uciekłem.

Na te słowa, czy wiatr zimniejszy powstał, czy może i trwoga tajemna, ale wszystkich mróz przeszył.

—»Pleciesz brednie stary, odpowiedział Czesław, trzebaby na to z tysiąc wilków.

—»Było ich więcéj, odrzekł spokojnie, a dzięki gniadéj klaczy, że mnie żywo uniosła, chociaż jéj ogona mało wilcy nie wyrwali. — Tak! tak! śmiejcie się panowie zdrowi, ale to szczera prawda, jak to że żyw stoję. Będzie temu z 15 lub ze 20 roków, bo już nie pomnę, z takim jechaliśmy prosiakiem. Wesoły bo młody, pierwszy raz wybrawszy się na takie łowy, myślałem że i samego diabła lękać się nie trzeba, kiedy nas tylu razem! Przecież wszystkich kości wilcy roznieśli po świecie, zmarli bez pogrzebu, a wiele wdów zostało i drobnych sierot.»

Zaśnieżyło się niebo; wesołość znikła w tym gronie. ...m Czesław popił z torby, bo wspomniał na młodą żonę i dwoje jak aniołów dziatek. Wszyscy zwrócili oczy na starego strzelca i mimowolnie poczuli jego wyższość.

—»Jakże to było? zapytało wielu razem.

Strzelec nie rzekł słowa, podniósł się z ławy, spojrzał w około. Śnieg drobny a gęsty, nie dozwalał daleko dojrzeć, nagle odwrócił się jakby odpowiadając na pytanie. »Jak było tak będzie» rzekł ponuro i wskazał palcem.

Wśród śnieżnéj zawiei, z początku nic myśliwi dojrzeć nie mogli. »Co ci się przywidziało! ot śnieg na polu rozstajał; to czerni się ziemia» rzekł Czesław wpatrując się pilnie.

—»Widzicie to pole, mówił z cicha strzelec, a to nie pole, ale taka ćma wilków; stado jak pole długie i szerokie. Już nas poczuli. W konie! w konie! bo inaczej zginiemy wszyscy.

—»Strzelać! odezwali się niektórzy: przecież tyle ludzi i broni!

—»Cicho! zawołał z gniewem strzelec: usiąść na ławach, broń mieć w pogotowiu, ale nie strzelać. Strzelać! strzelać! wołacie; a cóż będzie z tego? zabijesz pięciu albo dwudziestu, a sto się rzuci i pozrze!

A wszyscy na groźne starego myśliwca słowa, posiadali na ławach; konie jakby poczuły i w chyżym biegu zaledwie dotykały ziemi.

Jeżeli dostaniem się prędzéj na utarty gościniec, ocalemy się zdrowo. — Rachujcie teraz panowie wilków, co to się wam strzelać zachciało.

Czesław spojrzał! Co zdawało się z daleka wśród zamieci śnieżnéj kawałem pola, była to gromada wilków; szli w gęstéj massie, kilku tylko wybiegło na przód. Przy zmroku coraz większym, błyskały ogniem oczy zajadłych i zgłodniałych wilków. Czesław usiadł na jednéj ze strzelcem ławie, a ten z cicha rzekł do niego.

—»Tego wilka co najbliżéj widzicie, zabić nie trudno; ale ten chyba strzeli, kto chce by kości jego święta ziemia nie przykryła, ale żeby je zeszczerbiły zęby wilcze, a dzioby kruków szpik wyssały.

—»Czemu? zapyta Czesław.

—»To wilczyca! Tu przestał jakby dokładnie wszystko objaśnić; nagle odwrócił głowę do sfornicy, widać było na jego twarzy bladość, usta zsiniały. W konie! na rany Chrystusowe! w konie! zawołał.

Dobył kordelasa, ścisnął mocno ryj prosięcia i przebił do razu: nie było słychać najmniejszego kwiku. — Uniósł się z ławy, spojrzał w około, a widząc że już blisko szeroka droga do wsi prowadząca wysadzona lipami, których jeno suche konary sterczały, przeżegnał się, porwał za nogi skrwawione prosie i z zamachem wyrzucił z sanek.

Wilczyca najbliżéj pędząca zatrzymała się w biegu, porwała zdobycz i poczęła szarpać; przyskoczyło więcéj wików, ale śnieżyca nie dozwalała rozpoznać jak się dzielili tak drobnym dla nich kąskiem.

Wszyscy przeziębli od mrozu i wiatru, które powiększał przestrach i śmierć niechybna; wlepili oczy w twarz starego strzelca, chcąc z niéj wyczytać ocalenie lub zgubę. Woźnica z cicha rzekł: »Już widać we wsi dzwonnicę.»

Strzelec wtedy stanął, obejrzał dubeltówkę. —»No! panowie! jeszcze dla nas o-

http://rcin.org.pl

statnia nie wybiła godzina: lecz trzymajcie się mocno, bo kto wypadnie z sanek, tego zostawim na strawę wilkom, choćby to był mój brat rodzony! A teraz Macieju! zawołał na woźnicę, co koń wyskoczy! — I woźnica trzasnął silnie biczem, a dzielne bieguny, wyciągnęły się, prawie brzuchami dotykały ziemi; lecieli jak na sokolich skrzydłach. Wiatr donosił szczekanie psów ze wsi; świeciły ognie przez małe okna z chatek: wystraszeni łowcy wzięli je za iskrzące oczy wściekłych wilków. Strzelec stał trzymając się krzepko w saniach, odwiódł zamki u dubeltówki i zawołał głośno: »Panowie! który może do mnie się niechaj obróci, i ognia razem.» — Zadrżała ziemia od huku strzałów, po nich usłyszano głuche wycie wilków: —»Ognia znowu! krzyknął strzelec, i tak raz po razu, rozlegały się strzały, których echem było okropne wycie wściekłych wilków.

Już blisko byli opłotków, a stado goniących wilków, ani się na chwilę nie wstrzymało; psy ze wsi całej jedne na dachach chlewów i obór, drugie skryte po izbach, żałośnie wyły: zuchwalsze które przed domem się pokazały, w oczach myśliwych rozszarpane bez znaku. Leciały sanie przez wieś... już są na dziedzińcu dworu, zkąd tak wesoło i radośnie wyjeżdżali. Zaledwo wpadli do domu, i drzwi zatarasowali, stado wściekłe napełniło dziedziniec. Ogromne kundle, wyżły, gończe, charty, przeszło dwadzieścia psów w jednej chwili, wilcy rozszarpali. Strzelcy i domownicy rozstawiwszy się w oknach i na ganku, ciągłym ogniem razili. Blisko dwie godziny grzmiały strzały: — Xiężyc zmrok rozjaśnił, a z nim znowu spokój wrócił do tego domostwa. Wtedy dopiero Czesław uścisnął strwożoną małżonkę, i płaczące zbudzone ze snu dziatki. Zastawiono wieczerzę; przywołano strzelca, któremu winni byli ocalenie. Czesław wypiwszy za jego zdrowie, zażądał wtedy wyjaśnienia, dla czego tak go zastraszył by do wilczycy nie strzelać.

—»O! bo natenczas Panie wilcy wpadają w większą wściekłość. Wtedy kiedym się sam jeden z siedemnastu myśliwych tylko uratował, młody panicz nie słuchając rady doświadczonego strzelca, zabił naprzód wilczycę, i to było powodem że już uciec nie można było. Bronili się wprawdzie mężnie ale krótko. Lecąc na koniu ścigany, dwa razy koło wywróconych bieżałem sani. Już z koni bieliły się kości, a myśliwcy bronili się jeszcze, kiedy musiała klacz się zawrócić. Leżała broń tylko, nie ujrzałem już z ludzi ani kości nawet. Zamknąłem oczy, uchwyciłem oburącz grzywę mojej gniadoszki; słyszałem wycie okropne rozjadłych wilków, i parskanie mojego bieguna... Kiedym otworzył oczy, byłem już we wsi, a wilcy nie śmieli gonić dalej!

—»Jakże dostałeś wtedy tej klaczy, która cię jednego tylko uniosła?

—»Klacz to była mego pana u któregom służył; szła osiodłana przy koniach. Kiedy wiele się wilków poczęło ukazywać, strzelec siwy doradził, by kto wsiadł na nią i dał znać do wsi i do dworu o ratunek: wiedział bowiem co się święci. Ale nikt nie chciał, każdy był pewniejszy w saniach: wtedy ja dosiadłem. Każdy miał mnie za zgubionego. Ale zaledwie ujechałem kilka stajów drogi, gdy klacz ujrzawszy gromadę wilków wróciła się do koni: alić mocny Boże, konie zaplątały się w głębokim dole, przewróciły sanie!— Zginęło wszystko! Dwa razy patrzałem na śmierć okropną tylu ludzi: nieraz ich we śnie widzę! Szukaliśmy choć kości by je uczcić pogrzebem ziemi świętej.. Gdzie tam! ani śladu nie zostało nawet. Smutno było patrzeć, jak dwanaście wdów młodych, opłakiwało w jednym kościele, śmierć mężów i ojców swoich dzieci.

K. Wł. W.

---

## WYNALAZCA MACHIN PAROWYCH.

Anglia szczyci się wynalezieniem machin parowych, tem odkryciem, które niezmierny popęd dało przemysłowi i handlowi, a którego wszystkich korzyści jeszcze obrachować nie można. Podług dowodów niedawno znalezionych, Francuzi byliby mogli cieszyć się tą chwałą i korzyściami, a pozostał im tylko żal i wstyd, że nie umieli ocenić geniuszu wynalazcy i najokropniej się z nim obeszli. — List znanej Marion Delorme, kochanki Henryka d'Effiat, który w roku przeszłym ogłosiły dzienniki francuzkie, rzecz tę wyjaśnia. »Kochany d'Effiat, pisze ona, gdy ty zapominasz o mnie i w Narbonnie oddajesz się uciechom dworu, ja stosownie do twojego życzenia, okazuję osobliwości Paryża margrabiemu Worcester. Wybiera on najpoważniejsze i najsmutniejsze przedmioty. Mało mówi, słucha z wielką uwagą i zdaje się przenikać głąb myśli tych w których się wpatruje. Zresztą, nigdy nie poprzestaje na wyjaśnieniach jakie mu dają i zupełnie z innej strony zapatruje się na przedmioty. Dowodem tego jest bytność nasza w Bicetre, gdzie jak utrzymuje, znalazł w obłąkanym człowieka z geniuszem. Gdyby ten obłąkany nie był szalonym i niebezpiecznym, zdaje mi się iżby margrabia poprosił, aby go mógł zawieźć do Londynu i głupstw jego słuchać od rana do wieczora. Gdyśmy przechodzili przez podwórze obłąkanych, a ja na pół umarła z przestrachu, przyciskałam się do mego towarzysza, jakaś brzydka twarz

http://rcin.org.pl



SALOMON DE CAUS.

pokazuje się za kratami i krzyczy ochrzypiałym głosem: »Nie jestem obłąkanym, u»czyniłem odkrycie które zbogaci kraj, co je »zechce przywieśdź do skutku.» —»Cóż to jest za odkrycie? zapytałam się tego który nas oprowadzał. —»O! rzekł ruszając ramionami, coś bardzo prostego; nigdybyś pani nie zgadła; jest to użycie pary wody wrzącej. Zaczęłam śmiać się. —»Ten człowiek, mówił daléj dozorca, nazywa się Salomon de Caus. Przybył z Normandyi przed cztérema laty i podał rządowi notę o cudownych skutkach swego wynalazku. Utrzymywał, że parą można obracać młyny, poruszać powozy i Bóg wie jakie cuda robić. Kardynał Richelieu, nie chciał słuchać szaleńca. Salomon de Caus nie odstręczając się, wszędzie ścigał za nim i naprzykrzał się bez ustanku. Kardynał zniecierpliwiony jego głupstwami, kazał go zamknąć w Bicetre. Siedzi tu od półczwarta roku i powtarza każdemu, że nie jest szaleńcem i że cudowne zrobił odkrycie. Napisał nawet o tém xiążkę którą posiadam.»— Milord Worcester zamyślił się, poprosił o xiążkę, a przeczytawszy kilka kart rzekł: —»Ten człowiek nie jest szalonym. W moim kraju, zamiast zamknięcia go, byliby go obsypali bogactwami. Zaprowadźcie mię do niego, chcę z nim pomówić. Uczyniono zadosyć jego woli, ale powrócił smutny i zamyślony.-»Teraz jest obłąkanym, rzekł; obejście się z nim na zawsze zniszczyło jego rozum. Sami uczyniliście go obłąkanym; ale gdyście go wtrącili do więzienia, wtrąciliście największy geniusz naszego wieku.» Odeszliśmy, i od tego czasu, mówi tylko o Salomonie de Caus. »Bądź zdrów mój Henryku, wracaj prędko, kochaj mię choć cokolwiek.

Marion Delorme.

Xiążka Salomona de Caus ma tytuł: *Przyczyny sił poruszających rozmaite machiny, tak użyteczne jak zabawne.* Wydana była w 1615.

Milord Worcester, uważany przez Anglików jako wynalazca machin parowych, przywłaszczył sobie odkrycie Salomona de Ca-

http://rcin.org.pl

us, i zamieścił je w dziełku p: t: *Century of inventions (sto odkryć)* wydanem w r. 1663.

## NOWE DZIEŁA.

*Encyklopedya powszechna, Zbiór wiadomości najpotrzebniejszych dla wszystkich stanów, Tom I. Zeszyt I. (A do CC.) Warszawa i Wilno, nakładem Aug. Emm. Glucksberga, Księgarza, przy ulicy Miodowéj Nr. 497, pod filarami; i Teofila Glucksberga Księgarza i Typografa Akademii Medyko - Chirurgicznéj w Wilnie.* 1 *Październ:* 1835.— *Cena prenumeraty w Warszawie rocznie dwa Tomy bez rycin zł.* 32, *z rycinami zł.* 46; *półrocznie zł.* 16 *bez rycin, zł.* 25 *z rycinami, — na prowincyi rocznie zł.* 40 *bez rycin*, 54 *z rycinami, półrocznie zł.* 22 *bez rycin, zł.* 29 *z rycinami.*

W teraźniejszym stanie nauk i społeczności, każdy wykształcony człowiek, oddając się jednemu przedmiotowi, który z jego zawodem jest w najściślejszym związku, musi mieć ogólne wyobrażenie o wszystkich rodzajach nauk i umiętności tak, aby żadna z nich nie była dla niego obcą zupełnie. Potrzeba ta, zrodziła zbiory encyklopedyczne, gdzie każdy znajdzie krótką zbiorową wiadomość, o przedmiocie o którym chce się dowiedzieć. Niemcy wyprzedziły w tym względzie inne narody. Ich Słownik Encyklopedyczny, pozostanie wzorem takich przedsięwzięć, z powodu dokładności wypracowania i jasności stylu. Francuzi przed dwoma laty rozpoczęli też samą pracę; wychodzi u nich Encyklopedya p: t. *Dykcyonarz rozmowy i czytania*, dzieło odznaczające się temiż samemi zaletami co i *Conversations Lexicon* niemiecki, lecz daleko obszerniejsze, już bowiem czterdzieści zeszytów wydano, każdy po dwieście przeszło stronnic, a nie jest to jeszcze ani piąta część dzieła. W Rossyi wychodzi podobna encyklopedya. U nas ogłoszony został na nią prospekt w r: 1830 przez właścicieli drukarni Stereotypowéj, umyślnie w tym celu założonéj. Liczne znalazły się zapisy, ale przedsięwzięcie to razem z zakładem Stereotypowym upadło, i prócz prospektu ani jeden zeszyt nie wyszedł.

Pan Emmanuel Glucksberg w Warszawie, i Teofil Glucksberg w Wilnie, xięgarze, połączonemi siłami umyślili wydać w języku polskim Encyklopedyą powszechną. Wkrótce po ogłoszeniu prospektu, przywodząc do skutku przedsięwzięcie swoje, wydali zeszyt pierwszy, nie czekając bynajmniéj na zgłoszenie się prenumeratorów. To postępowanie, jest już rękojmią że przedsięwzięcie to dojdzie do skutku: we wszystkich bowiem wydaniach xięgarskich, trzeba wprzódy na siebie, potém na prenumeratę rachować, a w takim razie nie zawiodą się rachuby wydawców. Co do przedmiotów nauk i umiejętności, oraz rzeczy dotyczących się krajów obcych, mają wydawcy jak najbogatsze źrzódła, już to w Encyklopedyi niemieckiéj i francuzkiéj, już w licznych dziełach każdemu przystępnych. Co do przedmiotów krajowych, wiadomo nam, że nie szczędzą zachodów, aby ile możności były jak najzupełniéj opisane. Żaden z uczonych i literatów naszych, nie odmówi im gorliwego współdziałania. Z prawdziwą przyjemnością przeczytaliśmy pierwszy zeszyt tego dzieła, wydany przed kilkoma dniami. Wydanie jest zarazem piękne, czyste i oszczędne, papier dobry i mocny, druk ścisły a czytelny. Przedmioty wypracowane jak należy. Dzieło to jest przy tém bardzo tanie. Za dwadzieścia cztery zeszyty obejmujące dwa tomy, każden po 800 stronnic, płaci się prenumeraty zł. 32. Zwyczajna cena tomu od 250 do 300 stronnic mającego, drukiem nie tak ścisłym, nie w tak wielkim formacie i nie na tak dobrym papierze, jest osiem złotych, podług tego zatém, 1600 stronnic kosztowałoby zł. 48, a przez wzgląd na druk i papier zł. 60. Jest zatém prawie o połowę tańsze. Wydawcy zastósowali cenę tego dzieła do ceny wychodzących teraz Magazynów Encyklopedycznych, w których także 52 arkusze rycinami ozdobione, zł. 18ście kosztują. — Spodziewać się trzeba, że publiczność przyjdzie w pomoc usiłowaniom wydawców Encyklopedyi. Zwracamy na to uwagę każdego miłośnika xiążek, że nie trzeba opóźniać się z zapisem prenumeraty; łatwiéj jest co rok płacić zł. 32, albo po zł. 18ście co pół roku, niżeli razem złotych kilkadziesiąt. Z powiększającą się kwotą, zmniejsza się możność i chęć kupienia.

## PODRÓŻE WYGNAŃCA.

Baron d'Haussez jeden z ministrów Karóla X, którzy podpisali owe znane postanowienia Lipcowe, zdołał po dniach 28, 29 i 30 Lipca 1830, schronić się do Anglii i tym sposobem uniknął smutnego losu, któren spotkał jego współtowarzyszów w urzędzie, Pejroneta, Poliniaka, i pana Chanteleuse. Tęsknotę swoją, osładza literaturą. Przez kilka lat bawiąc w Anglii, wydał dzieło p. t: *Anglia w roku* 1833, a w roku bieżącym drugie, pod tytułem: »*Podróże wygnańca* z Londynu do Neapolu i Sycylii, jadąc przez Holandyą, Związek niemiecki, Tyrol i Włochy.» (dwa Tomy 1835). Z tego dzieła umieszczać będziemy wyjątki w Muzeum Domowém.

## HOLANDYA.

### § I. OGÓLNY WIDOK.

Podróżny przypływając do brzegów Holandyi, odgaduje ziemię, z odbijającéj się

http://rcin.org.pl

piany morskich bałwanów, o piasek którego nieznaczna spadzistość ciągnie się w górę aż do brzegu bardziéj wywyższonego: za tym brzegiem już nic nie widać. Przybliżywszy się, postrzega groble, lecz ani kawałka ziemi którą zasłaniają. Dopiero wówczas gdy już wyląduje, zobaczy domy. Nieco daléj ciągną się bagna, z których usiłują zrobić łąki za pomocą szerokich rowów, przeznaczonych do ich osuszenia. Ziemia wydobyta z tych rowów, służy do budowy grobel, a na wierzchu tych grobel zrobione są drogi, szerokie na stóp dwanaście, wybrukowane małemi cegiełkami bardzo twardemi i pokrytemi piaskiem. Część ziemi nie potrzebna do budowy grobli, służy do podwyższenia gruntu.

Najwięcéj trudnią się uprawą łąk, potém następuje uprawa zboża i roślin oleistych.

Folwarki po większéj części stoją odosobnione, na gruntach najmniéj niskich. Budynki folwarczne łączą się z pomieszkaniem ludzi, ale dzięki porządkowi i niezmiernemu ochędóstwu; nie czuć niedogodności jakieby z tego zbliżenia wyniknąć powinny. — Domy zbudowane są z cegieł albo z drzewa. Wioski obszerną przestrzenią gruntów rozdzielone jedne od drugich, otoczone są drzewami, które zakrywając domy, dozwalają tylko widzieć dzwonnice kościołów. Wiatraki służące do wylewania wody, mielenia zboża, wyciskania oliwy i tarcia drzewa, są istotną ozdobą okolic Holandyi; z powodu nadzwyczajnéj wysokości i osobliwszéj budowy, nadają temu krajowi cechę jakiéj żaden inny nie posiada.

Widok Holandyi odznacza się także ruchem wewnętrznéj żeglugi. Przez wioski, łąki i miasta, płyną kanałami największe okręty, i różnobarwne żagle swoje łączą z barwą świetnéj wegetacyi.

Wewnętrzna żegluga wynikła z téj konieczności, w jakiéj znajdują się Holendrzy iż muszą zalać połowę swego kraju, aby mogli osuszyć i użyteczną uczynić drugą. Nim pomyśleli o handlu, musieli zająć się produkcyą, a pomysł osuszenia poprzedził zapewne pomysł żeglugi, lecz ona wkrótce nastąpiła po niém i korzyści tak się połączyły, że kanały zbudowano zarazem dla rolnictwa i dla handlu.

Potrzeba opału, w kraju wilgotnym, pozbawionym lasów i węgli kamiennych, zmusiła do używania torfu. Aby go dostać, było trzeba kopać bardzo głęboko, szacowne grunta zamieniać na zawsze na bezużyteczne bagniska, i powiększyć zbytek wody i tak już uczuwać się dający. Nie można przewidzieć jak daleko posunie się to złe, które się stało potrzebą i które bez nadziei powetowania téj straty, niszczy ziemię Holandyi. Rasy bydląt nie są tak doskonałe jakby spodziewać się można w kraju tak obfitującym w pastwiska. Nadaremnie upatrujemy na obszernych łąkach, zwierząt z rodzajů tych, które służyły za wzór Potterowi albo Vander-Meulenowi. Zaniedbano starać się o ulepszenie bydląt i koni.

## § II.

### GROBLE.

Holendrzy budują groble swoje z tym rozumem i oszczędnością, którym się odznaczają wszystkie ich prace. Nie mając kamieni, ich brak zastępują pękami faszyny, grubemi na stopę, i ułożonemi tak, że jedna warstwa idzie równo-odlegle, a druga prostopadle do pędu wody. Między faszyny sypią piasek, a wszystko utwierdzają kołami. Szczupła ilość kamieni które sprowadzają z Norwegii, służy do umocnienia dzieła, przez swój ciężar i do budowy dróg na wyższéj części grobel.

Groble w Holandyi są zadziwiającą rzeczą; ale straszliwy obraz przedstawia morze walczące całym ciężarem i wściekłością swoją, przeciw tym stosom gałęzi pokrytych piaskiem i grożące zalewem ludności dwu milionów, która w obec tego niebezpieczeństwa żyje tak spokojnie, jak gdyby mieszkała na szczycie góry Mont-Blanc, lub Kordylierów. Obsunięcie się faszyny, niedostrzeżony otwór wielkości nóru kreta, dostatecznym jest do zrządzenia téj klęski. Holendrzy myślą o niéj dla tego tylko, żeby się jéj ustrzedz; nie zaś żeby się lękać. O dziesięć stóp niżéj od powierzchni morza, cała ludność krąży, je, pije, handluje, zbiera pieniądze, śmieje się czasem, zawsze pali tytuń i nie dba o bałwany morskie które mogą pochłonąć skarby i zgasić fajki. Tacy są ludzie! Jest to szczęściem dla nich.

## § III.

### KANAŁY I DROGI.

Przewóz towarów uskutecznia się kanałami. Większa część podróżnych tym samym sposobem odbywa podróż. Statki przeznaczone do tego celu, pomieścić mogą sześćdziesiąt osób i są ciągnione końmi. Ujśdź mogą dwie mile francuzkie na godzinę. Cena miejsc nie jest wielka.

Kanały służą także do wylewu wód, które bez tego zalałyby całą powierzchnią kraju. Gdzie nie ma naturalnego ujścia, tam zastępuje one użycie wiatraków, które poruszają pompy, i tym sposobem podnoszą wodę aż do wyższych kanałów, któremi odpływa do morza. Zupełna poziomość kraju, niepotrzebném czyni budowanie szluz, które tam tylko stawiają, gdzie żegluga między dwoma kanałami odmiennéj wysokości, koniecznie tego wymaga. — Dro-

http://rcin.org.pl

gi w Holandyi nie są przeznaczone do przewozu ciężarów, jak w innych krajach, i chociaż wybrukowane cegłami, znieść mogą ciśnienie lekkich powozów i stąpanie koni. Zazwyczaj idą na szczycie grobli albo nad brzegiem kanału; roztropność koni jest jedyną obroną przeciw niebezpieczeństwu wynikającemu z takiego położenia. Ich poziom często przerywany bywa nadzwyczajną wypukłością mostów, budowanych tak aby statki mogły przechodzić pod niemi. Na wielkich kanałach mosty są zwodzone. Niedaleko od miast, przy drogach i kanałach, stoją domy, odznaczające się bardziéj oryginalnością budowy i troskliwém utrzymywaniem, niżeli gustem i ozdobą. Ogrody znajdujące się przy nich, są szczupłe, źle ułożone, lecz obfitują w rzadkie i kosztowne kwiaty i krzewy.

## § IV.

### MIASTA.

Podług mnie, za bardzo wychwalają miasta Holandyi, ulice, domy, kanały i ochędóstwo, którém się odznaczają. Pochwały te, po części są prawdziwe, po części też przesadzone. Użyteczność spotykamy wszędzie; piękności i wygody nigdzie. Ulice nie są proste, po większéj części wązkie i źle brukowane. Przed domami, miejsce na trzy lub cztery stopy zamknięte łańcuchami i przeznaczone nie wiedzieć dla kogo, zwęża ulicę bez żadnéj korzyści dla mieszkańców domu. Co krok otwierają się na chodnikach drzwi od piwnic, niczém niezabezpieczone. Nazwiska ulic nie są wypisane na rogach.

Ulice rozdzielone kanałami, zasępione są raczéj, niżeli zacienione drzewami, których gałęzie zakrywają przedział rozdzielający dwie strony ulicy. Częste wypukłe mosty, psują poziomość ulic.

Srodek ulicy brukowany jest małemi kamyczkami, chodniki są z cegieł. Nie wiem co może bydź powodem głuszącego łoskotu powozów i tententu koni. Szczęściem dla spokojności mieszkańców, większa część wozów ciągniona bywa na saniach, nie na kołach. Furman idzie obok konia. Kanały znajdujące się wewnątrz miast, z których Holendrzy tak się chlubią, mogą bardzo dopomagać przemysłowi; lecz nie tylko że nie pomnażają piękności miast, ale pobyt w nich czynią bardzo przykrym. Woda znajdująca się w tych kanałach, jest brudna, śmierdząca i nigdy się nie odnawia. Przepływ statków porusza i wydobywa z nich duszące wyziewy, którym, przez zamiłowanie w tém wszystkiém co jest krajowe, przypisują ochronę a nawet leczenie słabości piersiowych. Nie zaprzeczam użyteczności i potrzeby kanałów w Holandyi, ale po cóż wystawiać je jako środek upiększenia albo zdrowia?

Niektóre domy umeblowane są z wielkim przepychem i mieszczą w sobie kosztowne zbiory obrazów. Największa część odznacza się mnóstwem ozdób marmurowych.

Szczotka i miotła bezustanku w ruchu będące, utrzymują ochędóstwo bardziéj czynne niżeli trafne, a którego skutki nie wyrównywają skutkom ochędóstwa angielskiego.

Rotterdam i Harlem, stanowią wyjątek co do niektórych postrzeżeń naszych, wyrażonych poprzednio, ale możemy je zupełnie zastosować do Dordrechtu, Lejdy, Hagi i Amsterdamu.

## § V.

### HAGA, LEJDA I. T. D.

Z któréjkolwiek strony przyjeżdżamy do Hagi, postrzegamy sam tylko obszerny las, tak wysokie i gęste drzewa, otaczają to miasto. Haga posiada rozkoszne przechadzki, place wysadzone drzewami, zbiór nieregularnych domów, które przez długi czas były mieszkaniem panujących, a gdzie teraz odbywają się posiedzenia Izb, dom raczej niżeli pałac królewski i muzeum, w którém zbiór osobliwości japońskich zwraca uwagę.

Ponieważ we wszystkich miastach Holandyi, położenie i budowa jest ta sama, wszystkie więc są niezmiernie do siebie podobne. Węższe lub szersze ulice, więcéj lub mniéj ruchu, odróżniają jedne od drugich. *Rotterdam* i *Amsterdam*, są wielkie miasta; piękne, jeżeli do tego wyrazu przywiązujemy wyobrażenie obszernych ulic i kanałów; smutne, jeżli je oceniać będziemy podług widoku domów, podług poważnéj i zamyślonéj miny mieszkańców; ciekawe, z powodu ruchu, jaki im nadaje żegluga, mieszająca się do wszystkich czynności życia. Muzea i prywatne zbiory, mieszczące wielką liczbę znakomitych obrazów, nastręczają przyjemną rozrywkę miłośnikom sztuki, którzy potrafią sobie wstęp do nich wyjednać.

W *Lejdzie*, osoby trudniące się naukami, znajdą uniwersytet opatrzony we wszystko co do niego należy, jakoto, ogród botaniczny, muzeum starożytnosci egipskich, drugie muzeum osobliwości japońskich i historyi naturalnéj, najzupełniejszy zbiór osteologiczny, mianowicie czaszek, a do tego wszystkiego, professorów uprzejmych i uczonych.

*Harlem* zdaje się bydź miastem zamieszkałém przez ludzi nie mających nic do czynienia, a którzy dla okazania że są zatrudnieni, naznaczają idealną i bardzo wysoką cenę tulipanom i goździkom. Widok tego miasta jest weselszy niżeli innych miast Holandyi; kanały nie są nieuchronnym przy-

http://rcin.org.pl

datkiem do ulic i zdaje się że w domach tego miasta, swobodniéj żyć można niżeli w innych. Oprócz tego, ogrody utworzone na piaskach rozdzielających wielkie morze, od morza zwanego *Jeziorem Harlemu*; są tak dobrze utrzymane, ich drzewa są tak piękne, pawilony gdzie zbierają się na herbatę i dla przypatrywania się przejeżdżającym, są tak wytworne, iż to wszystko zachęca do zatrzymania się w tém mieście, przynajmniéj przez lato. W zimie pokusa nie jest tak wielka, chyba że kto namiętnie lubi polowanie na kaczki, albo ślizganie się: jedyne zabawy krajowców w porze zimowéj, niezmiernie przykréj.

Z Harlem do Amsterdamu, droga ciągnie się wzdłuż wspaniałego kanału w prostéj linii i obfituje w rozmaite krajobrazy. Przedmieścia Amsterdamu, nie zwiastują wielkiéj stolicy. Wnętrze tego miasta także nie odpowiada wyobrażeniu, jakie mogliśmy powziąźć z opisów zbyt pochlebnych. Wszystko tam nosi cechę niezmiernego handlu. Z saméj postaci mieszkańców, wyczytać można, że są zajęci i bardzo zajęci interesami. W salonach, najbardziéj lubią rozmawiać o interessach. Na ulicach widać ludzi śpieszących się; przystępują jedni do drugich bez powitania, tak nawet oszczędzają czasu, iż nie mówią sobie dzień dobry. W porcie, w magazynach, na kanałach, na groblach, na giełdzie, wszystko odznacza się czynnością, nie znajdziesz podobnéj chyba w starem mieście w Londynie.

Utrecht jest jednem z najznaczniejszych miast Holandyi. Nie ma tam za wiele kanałów, mostów i grobel; znajdują się piękne gmachy, a między niemi dzwonnica wysoka na trzysta sześćdziesiąt stóp, z któréj szczytu wzrok gubi się w płaszczyźnie bez końca, nie mogąc dosięgnąć ani jednego wzgórza. Morze, piaski, kanały, łąki, odosobnione folwarki, wioski otoczone topolami, miasta, cała niezmierzoność i jednostajność krajobrazu Holandyi, okazują się oku. Z razu doznajem podziwu z uwielbieniem połączonego; wkrótce nuży się nasze oko i schodzimy uradowani żeśmy widzieli, ale nie pragniem drugi raz ujrzeć tegoż samego obrazu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## DRZEWO CHLEBOWE.

Drzewo to, znajdujące się w Indyach wschodnich, na brzegach Malabaru, na wyspach Moluckich, a mianowicie na wyspie Taiti, przeniesione zostało do Ile de France i do Ameryki, i tam się jak najlepiéj udało.

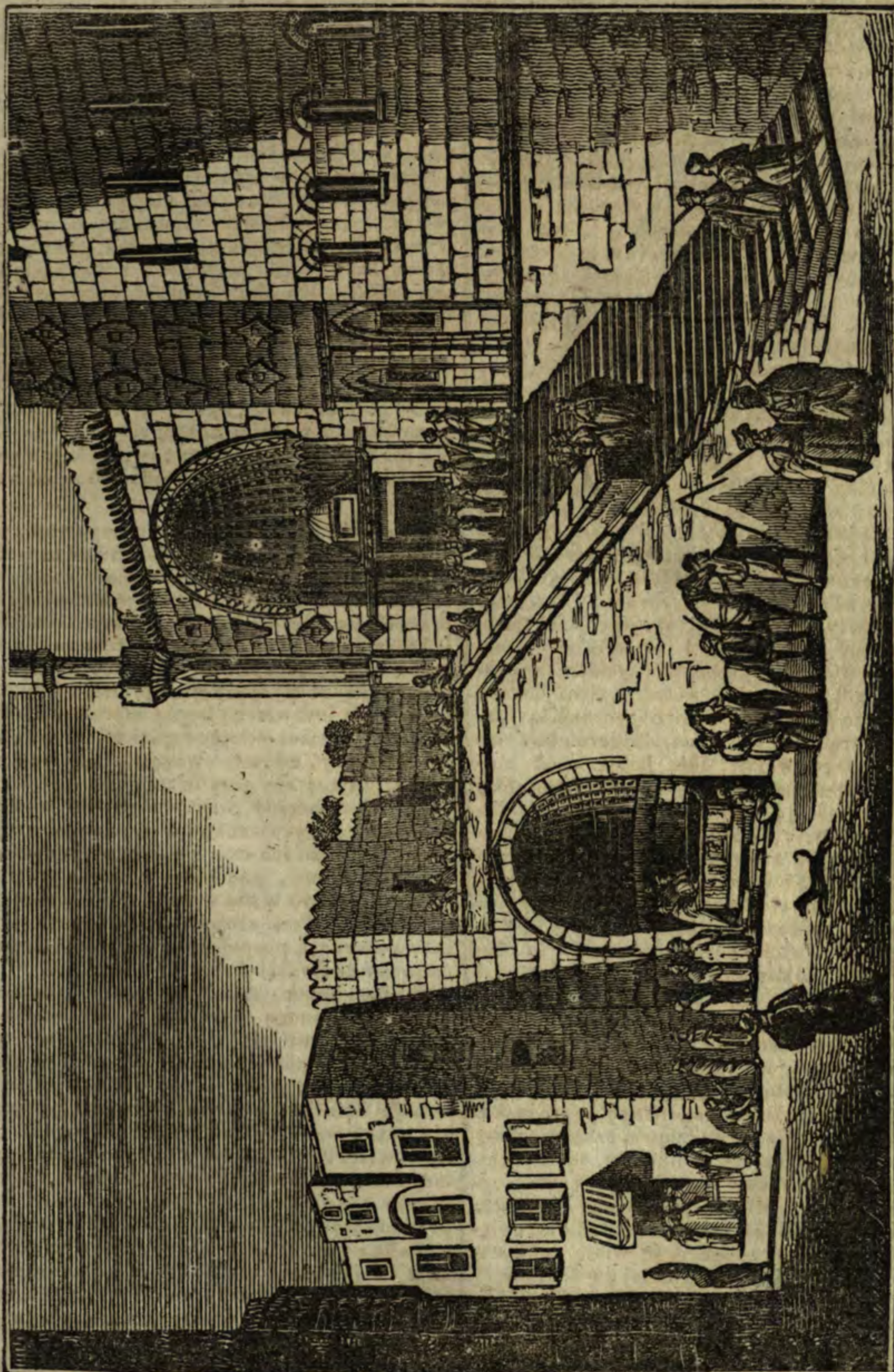


Mnogie użytki, które z niego ciągną, przyczyniły się do jego upowszechnienia. Kora tego drzewa jest szarawa, popękana, wysokość jego dochodzi do czterdziestu stóp, słój jest lekki, miękki, żółtawego koloru. Liście pięknéj zieloności, podłużne, długie są na półtoréj stopy, szerokie na osiem do dziesięciu calów. Owoc prawie kulisty, zielonawy, jest tak duży jak głowa ludzka. Pod grubą skórą znajduje się mięsitość, zrazu bardzo biała, trochę włókniasta i mączna; gdy dojrzeje staje się żółtawą, soczystą galaretową. Do użycia biorą owoce jeszcze niezupełnie dojrzałe, pieką je na węglach; a tak upieczone, mają smak chleba pszennego.

Drzewo chlebowe jest głównem pożywieniem wyspiarzy Taiti. Mają świeże owoce przez osiem miesięcy, na resztę zaś roku robią z tych owoców ciasto kwaskowate, z którego chleb pieką. Cook w podróżach swoich przyznaje jak największe zalety temu owocowi; mówią, że niektóre owoce ważą 80 aż do stu funtów.— Ze spodniéj kory tego drzewa, mieszkańcy robią suknie; z drzewa budują domy albo łodzie; w liście obwijają żywność; a z gummy robią lep do łapania ptaków.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

http://rcin.org.pl



http://rcin.org.pl

## FONTANNA KOCHANKÓW W KAIRZE.

Kair, stołeczne miasto Egiptu, leży na piaszczystéj płaszczyźnie, o 400 sążni od prawego brzegu Nilu; u spodu góry Moqattam. Ulice ma wązkie i niebrukowane, a niektóre tak ciasne, że balkony przeciwległych domów dotykają się. Wiele z nich pokryte są u góry dla ochrony od promieni słońca; bywa to najczęściéj na ulicach gdzie się odbywają targi. Miasto dzieli się na 53 okręgów. W niektórych mieszkają wyłącznie ludzie jednego narodu, i tak, jest okrąg *Koptów*, okrąg Greków, Żydów, Franków czyli Europejczyków. Cztery place odznaczają się obszernością, plac *Qarameyden*, *Ramelech*, *Birket-el-fili*, *El-Ezbekyech*: te dwa ostatnie zalane są podczas wezbrania Nilu. Plac *El-Ezbekyech* prześliczny widok przedstawia, gdy mnóstwo oświeconych łodzi krąży po nim w miesiącu Wrześniu podczas zalewu.

Domy są z cegieł albo z ziemi i, jak wszystkie w Egipcie, są źle zbudowane. Okna wychodzą tylko na wewnętrzne dziedzińce, od ulicy zatém wyglądają jak więzienia. Pałace bejów, szejków, agów i innych urzędników, odznaczają się większym wytworem i obszernością; kawiarni jest przeszło 1200. Sklepy nie są bogato przybrane. Mnóstwo wspaniałych meczetów, okrytych bardzo gustownemi arabeskami i ozdobionych minaretami, wytwornéj arabskiéj architektury, upięknia i urozmaica widok Kairu. Cztery odznacza się między niemi obszernością i architekturą. Meczet *Tulun*, obszerna budowa dziewiątego wieku, lecz już na pół zniszczony, meczet *El-Hakym* także znamienity starożytnością, ogromem i ozdobami, *El-Azchar* sławny wspaniałą kopułą i gmachami w których mieszczą się pielgrzymi idący do Mekki i najznamienitszem kollegium w całym Egipcie; nareście meczet *Sultana Hassana*, najznamienitszy wzniosłością kopuły, wysokością dwóch minaretów i ozdobami wyrobionemi z kamienia, drzewa, i bronzu. Wspomnieć także należy 31 głównych kąpieli, piękne wodozbiory, przy których są szkółki dla ludu, niektóre bramy miasta, wodociąg prowadzący wodę z Nilu do cytadelli. Ogrody i obszerne cmentarze zasługują na uwagę podróżnika. W ogrodach Kairu daremnie szukalibyśmy alejów, przechadzek i murawy, są to tylko gęste gaiki z drzew pomarańczowych i cytrynowych, i altanek z latorośli winnych. Teraźniejszy Wice-król, Mohamed Aly, upięknił to miasto i zbogacił je wielą zakładami. Ludność Kairu dochodzi do 330,000.

Ze wszystkich okręgów Kairu, najdawniejszym i najnędzniejszym jest okręg Tulun; tam się mieści ludność najuboższa i najbardziéj natłoczona. Mieszkańcy téj części miasta odznaczają się niezmierną nędzą i nietolerancyą. Przed wyprawą francuzką, żaden prawie z kupców Europejskich nie śmiał się tam pokazywać. Jeden z uczonych Instytutu Egipskiego, ledwie nie padł ich ofiarą. Uczeni francuzcy, zwiedzali bez przeszkody najświętsze miejsca, przepisywali napisy, przeglądali manuskrypta, rysowali kolumny, kopuły i rozmaite pomniki. Zaufany w to pobłażanie, pan Jomard ośmielił się wejść pewnego dnia do meczetu El-Gury w okręgu Tulun. Oglądał go spokojnie, gdy w tém gwałtowne szemrania powstają w kościele, zbierają się groźne gromady, słowa wściekłości wychodzą z ust i większa część woła aby zanurzyć niewiernego w zdroju przyległym meczetowi. Pan Jomard, strwożony, upatruje powody téj wrzawy: poznał ją wkrótce; wszedł do meczetu nie zdjąwszy obuwia. Szczęściem, stary szejk wziął go pod swoją opiekę i wyprowadził go z meczetu wołając z całéj siły: »Nie czyńcie nic złego temu Francuzowi, żałuje swojego błędu; innym razem wejdzie bosemi nogami.»

Ten dziki fanatyzm pochodzi zapewne z odosobnienia mieszkańców Tulunu od innych części miasta, z niezadawania się z cudzoziemcami, a może też ze srogości którą im przelały razem ze krwią, milicye tureckie i Tatarskie, zaprowadzone w tém miejscu przez założyciela Kairu. Cóżkolwiek bądź, mieszkańcy szczycą się szczególniéj z tego, że ich meczet jest wierną kopią meczetu Mekki. Drugi meczet w tejże części miasta, zwany El-Goury, zwraca uwagę sławną fontanną znajdującą się przy nim.

Szerokie schody przytykające do wystawy meczetu, prowadzą do głównego wnijścia. Wyższa ich część opiera się na arkadzie sklepionéj, pod którą cienkim wytryskiem spływała woda w wspaniały sarkofag granitowy. Ten słaby wytrysk wsławiła łatwowierność pospólstwa, pod nazwiskiem *fontanny kochanków*.

Tysiące bajek wspierało sławę téj fontanny u zabobonnego ludu; każdy mieszkaniec okręgu Tulunu wiedział mniéj lub więcéj niedorzeczną powięść o dziwnéj mocy téj cudownéj wody, mocy osobliwszéj w rzeczy saméj: działała bowiem nie przez pociąg, ale przez wstręt, i zamiast miłości rodziła nienawiść. Kilka kropel wypitych z tegóż samego naczynia, w téjże saméj chwili, dostateczne było do wzbudzenia nienawiści ku przedmiotowi najbardziéj ulubionemu. Długa i silna namiętność, która przezwyciężyła czas i najcięższe przeszkody, zgasła tam nagle; woda téj fontanny popychała aż do zamordowania osoby, wprzódy ukochanéj najczuléj.

Wszystkie te powieści zasięgały bardzo odległych czasów; przodkowie widzieli

http://rcin.org.pl

te przykłady. Jaki był początek tego cudu, dla czego i kiedy ustał? nie wiadomo. Dwie tylko rzeczy miano za niezawodne; nadzwyczajne skutki fontanny istniały, a teraz już nie istnieją. Najzazdrośniejszy muzułman posyłał do téj fontanny po wodę dla swojego haremu. Konie, wielbłądy i osły, poiły się tam, a ich panowie nie lękali się o spokojność stajni, o bezpieczeństwo pak i podróżnych.

Z resztą, *fontanna kochanków* posiadała szacowniejsze i rzeczywistsze zalety. Sarkofag w którem woda ściekała, był celem zazdrości wszystkich starożytników europejskich. Pustosząca zajadłość Arabów i Turków, chciwość archeologów europejskich, rzadko bardzo wydarła tak piękny szczątek, z bogatych i licznych pomników dawnego Egiptu.

Sarkofag ten zrobiony z jednéj sztuki granitu, jest wycięty w czworobok z jednéj strony, okrągły zaś z drugiéj. Niektórzy autorowie poczytali za dzieło artystów greckich, piękne rzeźby któremi ozdobiony jest ze wszech stron. Nie utrzymało się to mniemanie; dziś jednozgodnie utrzymują uczeni, że hieroglify te są dziełem rzeźbiarzy starożytnego Egiptu.

Francuzi zajęli Egipt i sarkofag wzięli z miejsca gdzie się znajdował. Jako łup zwycięzki, miał zajmować znamienite miejsce w Muzeum paryzkiém. Ale gdy generał Menu podpisał kapitulacyą i opuścił Egipt, pomnik ten dostał się w moc Anglików. Przewieziono go do Londynu i dziś jest jedną z głównych ozdob angielskiego Muzeum.

Zabór ten, zgubny miał wpływ na fontannę kochanków; ustała pielgrzymka cudzoziemców, lud już nie zwraca na nią uwagi, starzy tylko mieszkańcy wspominają o niéj czasem, i wkrótce zupełnie zaginie podanie o cudownéj mocy téj wody.

---

## PPZEJAŻDŻKA NA WIEŚ.

### OBRAZ TOWARZYSTWA.

W miesiącu Sierpniu roku bieżącego, czas bez przerwy pogodny i ciepły, zachęcał mieszkańców stolicy do wyjeżdżania na wieś. Bogaci właściciele dóbr, już od dawna opuścili stolicę, żony kupców, notaryuszów, ajentów banku, mieszkały w domkach wiejskich za rogatkami. A ci których interessa zniewalają do ciągłego pobytu w mieście, przynajmniéj co niedziela dorożką dojeżdżali do rogatek, a z tamtąd ruszali na wieś. Uszedłszy pół mili, w upał, z melonem i pasztetem pod pachą, uznojeni szukali jakiej takiéj oberży, gdzieby wolne było miejsce w altanie, (gdyż mieszkańcy Paryża nie po to idą na wieś aby obiadowali w izbie). Nareście naczekawszy się ze dwie godziny, zjedli lichy obiad, nasprzeczali się z oberżystą i wrócili do domu piechotą, znużeni, lecz ucieszeni, że cały dzień przepędzili na wsi.

Spiesznie szedłem przez bulwary, gdy w tém pewien młody człowiek schwytał mię za rękę, wołając; »Przecież spotykam cię... pojedziesz ze mną, tyle razy przyrzekłeś, teraz się nie wykręcisz.—»A gdzież pojedziemy kochany Auguście? —»Na wieś do mojéj ciotki, natychmiast, za godzinę. Uwolniłem się na pięć dni. Wrócimy w sobotę... Jedziesz ze mną... Zaręczam ci iż się bardzo dobrze zabawisz; będzie to przewyborna przejażdżka. —»Ale nie mam zaszczytu znać twojéj ciotki? —»Bardzo jéj będzie miło że cię pozna. Kilkakrotnie wspominałem jéj o tobie. Znajdziesz dobrane towarzystwo... Stary adwokat, człowiek bardzo uczony, znający dokładnie historyą całéj okolicy od dziesięciu wieków przeszło, żyjące in folio; przy tém, sąsiad wesoły, przyjemny, wielki miłośnik polowania i rybołostwa. O! u mojéj ciotki zawsze jest kilku gości. Zaręczam ci że się będziesz bawić jak najlepiéj, a przy tém na wsi jak wiesz, zupełna swoboda. Za godzinę przyjadę po ciebie.»

Nie podobna było wymówić się. Nieraz przyrzekamy nieuważnie, a potém dotrzymać musimy obietnicy, albo przez całe życie uciekać przed temi, którym ją uczyniliśmy. Tak to trzeba niekiedy przyjąć *obiadek domowy*, słuchać *koncertu amatorow*, albo wierszy *młodego człowieka*, posiadającego *zdolność* do poezyi.

Zezwalam. Na twarzy Augusta maluje się radość. Myślę sobie że zapewne zabawię się dobrze; ten młody człowiek jest wesół i nie bywałby tak często u swojéj ciotki, gdyby się nudził w jéj domu.

Przyjechał za godzinę. Siadamy. Była godzina pierwsza po południu. —»Ale, ale, rzekłem, a gdzież jedziemy? —»Do Verberie! —»Tak daleko! o Boże, czternaście mil! (francuzkich). —»Przejedziemy w pięć godzin. Staniemy na obiad.»— Nie bardzo mię to cieszy żem pojechał tak daleko, bo jeżli się znudzę, nie będę mógł powrócić do Paryża jak z Vincennes albo z Neuilly... Ale już się stało. Jeszcze wypytuję się mojego przyjaciela.

—»Jakże się to stało mój Auguście, że ty co tak lubisz teatr i uciechy Paryża, bywasz tak często na wsi u twojéj ciotki? —»Oto zmieniły się moje gusta, teraz bardzo lubię wieś... A przy tém zapomniałem powiedzieć, że moja ciotka ma siostrzenicę bardzo ładną, panienkę osiemnastoletnią... Adelina!.. O zobaczysz jak ma piękne oczy moja kuzynka. —»Rozumiem teraz dla czego lubisz wieś... dla pięknych oczu twojéj kuzynki. —»Tak jest, wyznam ci tajemnie że kocham się w Adelinie, a jeżli mię kocha, spodziewam się

http://rcin.org.pl

otrzymać jéj rękę... Ale nie trzeba nic mówić... bo moja ciotka tak jest surowa, iż nie spuszcza z niéj oka, a gdyby wiedziała że kocham Adelinę, możeby mi nie pozwoliła rozmawiać z nią w salonie. —»Przyrzekam iż cię nie wydam. —»Ale, wszakże umiesz grać w rewersi? —»Tak jest... niekiedy...—»Dla czego? —»Bo moja ciotka bardzo lubi tę grę.—»To dobrze, ale ja nie po to jadę na wieś abym z nią grał w karty.—»O! czynić będziesz co ci się podoba.

August zacina konia; pędzimy jak wiatr. Przyjeżdżamy do Verberie o kwadrans na siódmą. Dom pani G*** jest przy samém wjeździe do wioski. Jest to porządny budynek. Wchodzimy na dziedziniec brukowany, duży pies rzuca się na mnie, ale odźwierny odbronił mię przecież.

—»Czy już siedzą przy stole? zapytał się August. —»Tak jest panie... Od kwadransa; punkt o godzinie szóstéj. Wiadomo panu że taki jest zwyczaj.—»O! do licha, to źle.»

I sam nie wiedząc co robić, zatrzymał się na dziedzińcu.

—»To dobrze, że są przy stole, rzekłem; nie jedliśmy jeszcze, a zapewniam cię że mam bardzo dobry apetyt. —»O! bez wątpienia i ja toż samo... ale... —»A więc wejdźmy czémprędzéj, aby dogonić biesiadników. —»Jakóbie, czy jest kto na obiedzie u mojéj ciotki? —»Jak zazwyczaj, pani, panna, pan Grandville i sąsiad Dubuisson. O! jest także ta dama co to nie dosłyszy, pani Bonvieux.

Przez ten czas, gdy odźwierny czyni to wyliczenie, popycham Augusta ku drzwiom sieni. Lecz zamiast coby miał wejśdź, bierze mię za za rękę, ciągnie i wyprowadza za bramę, wołając na odźwiernego: »Jakóbie! wyprzęż mi konia, zaprowadź go do stajni, ale nie oznajmiaj naszego przybycia; wkrótce wrócimy.» To rzekłszy wyszedł. Idę za nim, mówiąc: »Cóż to ma znaczyć? odchodzimy zamiast usiąśdź do stołu, wytłómacz się proszę. —»Natychmiast. Muszę ci powiedzieć, że moja ciotka chociaż bardzo dobra osoba... gdyż to jest doskonała osoba.. ma swoje przywidzenia. I tak naprzykład, gdy kazała zrobić obiad na pięć osób, nie lubi żeby ich było sześć a zwłaszcza siedem, wyobraża sobie że nie wystarczy jedzenia, że gdy nakryto na pięć osób tylko, będzie za ciasno na siedem. I cóż z tém robić? osoba w jéj wieku już się nie pozbędzie takich wyobrażeń, a do tego nie lubi ażeby jéj przerywano obiad. Nasze przybycie w téj chwili, byłoby zepsuło jéj humor. Sądzę więc, że lepiéj będzie jeźli przyjdziemy gdy już wstanie od stołu. Ale nie troszcz się, są doskonałe oberże w Verberie... Pójdź! pódź! ze mną.

Zaczęcie to nie wróży nic dobrego. Powiedział mi że u jego ciotki panuje jak największa swoboda, a nie śmiemy wnijśdź dla tego że jest przy stole. O! gdybym znalazł sposobność, odjechałbym natychmiast. Lecz miejmy cierpliwość.

August prowadzi mię do najlepszéj oberży, gdzie dano nam najniegodziwszy obiad. Przez cały czas rozmawia ze mną o swojéj kuzynce; tak jest szczęśliwy że ją wkrótce zobaczy. Spogląda na zegarek i mniema że już ciotka musiała wstać od stołu i że wnijśdź możem.

Wracamy do pani G** Pies znowu skacze do mnie; odźwierny uwalnia mię z paszczy tego smoka. August rzecze do niego:—»Czy już po obiedzie? —»Tak jest panie... zdaje mi się że piją kawę. —»Kawę piją! mruczy mój przyjaciel zatrzymując się, tak się boi rozgniewać ciotkę. —»Niech piją co chcą, rzekłem, nie przyjechałem tu po to abym się psu opędzał, wchodzę. August odważa się; w sieni spotykamy służącą z filiżankami od kawy. August oddycha, wypili kawę.

Weszliśmy do pokojów ciemnych i smutnych. Postrzegam trzy damy i dwóch panów, siedzących w półkole. August przedstawia mię swojéj ciotce: jest to wysoka, chuda, żółta i poważna kobieta. Przywitała mię dosyć grzecznie, usiadłem na przeciw panny Adeliny: jest to piękna osoba, ma powierzchowność bardzo skromną i trzyma się tak prosto jak ciotka. Przywitała kuzyna, nie śmiejąc podnieść oczu na niego.

Stary jegomość upudrowany, przypatruje mi się jak gdyby miał wyrzec o moim losie; po prawéj ręce jest dama w podeszłym wieku, z daszkiem zielonym nad oczami, a w ręku trzyma trąbkę blaszaną. Nieco daléj, siedzi jegomość ubrany trochę po myśliwsku. Jego fizyonomia trzyma środek między głupstwem a impertynencyą. Ciągle kołysze głowę, nogę i krzesło, tak iż się ćmi w oczach, gdy za długo nań spoglądam. Mniemam, że to bydź musi ów sąsiad bardzo wesoły, o którym wspominał August. Gdym przypatrzył się temu towarzystwu, i gdym pomyślał że tu przez pięć dni będę musiał siedzieć, dreszcz mię przeniknął, o mało żem się nie zerwał i nie uciekł. Lecz przeminęła ta chwila rozpaczy. Uspokoiłem się i pomyślałem: »Cierpliwość, może też będę bawić się dobrze.»

Gdyby nie było tak późno, rzekła pani de G** zaprowadziłabym pana do mego ogrodu, ale już się zmierzcha, a przy tém się zanosi na burzę. Nie prawdaż panie Granville. —»Tak jest, odpowiada stary adwokat. —»Nie prawdaż że będzie burza, pyta się pani G** staréj sąsiadki, a ta zapewne nie przyłożywszy dość wcześnie trąbki do ucha, odpowiada: »Była dosyć słodka, dosyć słodka! »Jegomość który się bezustanku ko-

łysze, rzecze: »Co się tycze burzy, nigdy »nie zobaczycie tego co ja widziałem: By- »łem w Szwajcaryi, polowałem na giemzy. »Giemza jest to zwierze bardzo rącze i lek- »kie, wdziera się na skały niezmiernie spa- »dziste. W Szwajcaryi, są nadzwyczajnie »wysokie skały, i rzecz niepojęta; na tych »skałach są domki bardzo ładne, a mieszkań- »cy żywią się samym tylko serem, (ten ser »robi się z ziół...».




## DOMEK SZWAJCARSKI.

Czy pan grasz w rewersi? rzekła do mnie pani G** nie troszcząc się jakim sposobem jej sąsiad wróci do owéj burzy. Albo też sądzi że mu tem przerwaniem istotną przysługę uczyniła.

Gdym odpowiedział że gram, pani G** skinęła na siostrzenicę. Adelina wstała i zadzwoniła; służący wszedł, przyniósł swiece i rozłożył stolik do kart. Tymczasem ciotka rzekła do mnie: »August gra nie uważnie, zastąpisz go pan. »Rozumiem teraz po co przywiózł mię z sobą mój przyjaciel. Zdrajca! ułożył sobie że zastąpię go przy kartach, gdy on będzie rozmawiał z kuzynką. Co za niegodziwe podejście! Nie mogę wykręcić się od kart dzisiejszego wieczora, ale nie będę grał w rewersi przez pięć dni w miesiącu Sierpniu. Nie zasłużyłem na tak surową karę. Miałem jeszcze nadzieję że mię zastąpi stara jejmość z zielonym daszkiem, pytam się czy będzie grać; odpowiada bardzo grzecznie: »Tak jest lubię pieski, a mianowicie wyżełki.» Musiałem wziąć karty. Dla tém większéj zabawy, grają tak tanio, iż byłoby trzeba wielkiego nieszczęścia, aby przegrać dwadzieścia pięć soldów.

Adelina zaczęła haftować. August usiadł przy niéj. Głucha jejmość pyta się bez ustanku, co mówią? a jegomość w ubiorze myśliwskim, rozpowiada o wszystkiém co mu przyjdzie do głowy. Zamyśliwszy się nad smutném położeniem mojém, omyliłem się i byłem przyczyną że pani de G** przegrała. Pan Desbuisson postrzegłszy to, odzywa się. »Byłem świadkiem podobnego zdarzenia. U wód w Bagneres, grałem z młodym cudzoziemcem, który przyjechał do wód... cudzoziemiec ten cierpiał mocny ból głowy... przypuszczano że to pochodzi z urodzenia; bo jego matka będąc z nim przy nadziei, przepaliła głowę... z przepalenia głowy dziwne skutki wynikają. W Hiszpanii taki jest upał...»

http://rcin.org.pl

—»Zmiłuj się panie Desbuissons, źle grasz, nie uważasz co robisz.

Przez ten czas, unikając nudów i sprzeczek, spoglądałem machinalnie na trzy ryciny wiszące na ścianie: jedna wyobrażała portret Cooka żeglarza; dwie zaś konie Werneta. Pan Desbuissons postrzegłszy to, zawołał: »Kapitan Cook, dzielny żeglarz, na nieszczęście zabili go dzicy. Są to ludzie bardzo srodzy. Kapitan Cook znajdował się wtedy....

—»Zmiłuj się panie Desbuissons! zawołała ciotka...—»A przy tém nie patrzałem na portret kapitana Cook, ale na te konie i rzekłem. Konie rysowane przez Karóla Vernet! Jest to wielki artysta... Syn jego także... Horacy Vernet. Jeden jest synem, a drugi jest wnukiem sławnego Józefa Vernet, który podczas burzy kazał przywiązać się do masztu okrętu i....

»Już nie podobna wytrzymać! rzekła pani G** podnosząc się z krzesła.

Sąsiad umilkł. Grają daléj, pani de G** narzeka i zaklina się, że przez cały tydzień grać nie będzie. Aby ją utwierdzić w tak chwalebném przedsięwzięciu, popełniam kilkanaście błędów, które ją przekonały że gram jeszcze gorzéj od Augusta.

Wstajemy od kart i idziemy na spoczynek. August jest w jak najlepszym humorze; cały wieczór rozmawiał ze swoją piękną kuzynką, i rozumie że się bawię w domu jego ciotki.

Nazajutrz wstałem zawczasu. Na wsi, miło jest użyć porannéj przechadzki. Wychodzę do sieni, lecz wszystkie drzwi są zamknięte; nie podobna wyjśdź do ogrodu ani nawet na podwórze. Cóż to ma znaczyć? Jestżem więc więźniem w tym domu? Pukam lekko, rozumiejąc że przyjdzie odźwierny; ale nie słychać nikogo. Muszę siedzieć w pokoju aż do godziny dziewiątéj, przeklinając swobodę któréj używać można w domu ciotki Augusta.

Nareście budzą się, wstają. Spotykam służącą i pytam się dla czego drzwi od sieni są zamknięte? —»Pani tak rozkazała; przez ostrożność. Pani tak się boi złodziejów, że nie uśnie dopóki nie przyniosą do niéj kluczów od domu. —»To rzecz bardzo przyjemnna. A teraz czy mogę iśdź na przechadzkę? —»I owszem; ale za pół godziny dadzą śniadanie: a jeźli się pan spóźni, nic dla pana nie zostawią. Tak pani rozporządziła aby jéj goście pilnowali się godziny.

—»W tym domu wiejskim żyć trzeba jak w fortecy.

Wyszedłem na chwilę do ogrodu. Spotkałem tam Augusta.

—»Jakże ci się zdaje? moja ciotka starannie utrzymuje swój ogród?—»Tak jest może nawet za bardzo. —» Widzisz ten trawnik? jak jest gęsty i zielony!—»Usiądźmy na nim. Lubię położyć się na murawie.

August zatrzymuje mię wołając: —»Co chcesz robić! nie można chodzić po trawniku. —»Jakto? a to czemu? —»Moja ciotka gniewałaby się. —»I nie siadają na nim? —»Moja ciotka powiada że zwiędłaby murawa —»Ach! rozumiem, to jest ogród dla oka. —»To prawda, że moja ciotka byłaby w rozpaczy, gdyby urwano chociaż jeden kwiatek; nie chce także aby zrywano owoce, ale z resztą... —»Rozumiem, z resztą zupełna swoboda, byleby tylko niczego nie ruszać, chodzić ścieszką wysypaną piaskiem, wstawać dopiero o dziewiątéj i ani minuty nie spóźnić się na śniadanie i obiad. Twoja ciotka jest niezmiernie miła osoba.»— Zadzwoniono na śniadanie, August ciągnie mię, tak się boi aby się nie spóźnił. Znajdujemy te same osoby co i wczoraj. Zaczęto mówić o okolicy. Pan adwokat Granville głos zabrał, a pani domu słucha go z uszanowaniem i nie ośmiela się przerywać mu, podobnie jak swemu sąsiadowi, myśliwemu. Zmierzywszy mię od stóp do głowy, zapewne dla przekonania się czy jestem ten sam którego wczoraj poznał, stary prawnik raczył do mnie zwrócić mowę.

Czy znasz pan tę okolicę? —»Bardzo mało. —»Jest ciekawa, bardzo ciekawa. Początek Verberie, zasięga bardzo odległéj starożytności. To miejsce zwało się najprzód *Vernbria* i *Verbria*, w późniejszych dokumentach znajdujemy *Vermeria, Wurembria et Verberiacum.*

»Pani dobrodziko, upraszam o kawałek tego kapłona: rzekłem do pani G**. Przestraszyło mię to zaczęcie, i rozumiem że trzeba sił nabrać. Podano mi, a stary adwokat mówi daléj. »Miasto Verberie leżało pierwotnie na górze zwanéj Brunchaul, po tamtéj stronie traktu Verberie: rozciągało się aż do Faj i na dolinę; domy stały wzdłuż góry od Rhujs aż do Saintines. Po uporczywéj wojnie z Saracenami, Karól Martel umarł w pałacu Verberie.»

I takiemi to cytacyami o miasteczku które bardzo mało znaczy w historyi francuzkiéj, nielitościwy adwokat przyczępiwszy się do mnie jak pijawka, nudził mię przez dzień cały. Ciocia i jéj towarzystwo, słuchało go z wielkiém uszanowaniem, a że deszcz padał aż do wieczora, nie podobna było uciec od natrętnego opowiadacza. Zdrajca August przez ten czas swobodnie rozmawiał po cichu ze swoją kuzynką. Dla niego, stary adwokat był nieocenionym człowiekiem.

Nazajutrz nie ma ani jednéj chmury na niebie, wszystko zapowiada prześliczną pogodę. Nie będę musiał słuchać kursu starożytności. Przyrzeczono mi że zobaczę pię-

http://rcin.org.pl

kne okolice, poprzestaję więc aż do obiadu na przechadzce w ogrodzie, gdzie niczego nie dotykam się i tam tylko chodzę gdzie mi pozwalają; ale co chwila ogrodnik woła: »Panie! tędy iść nie można; tutaj gracuję. Ani tamtędy!.... Będę tam sadził!..

Nareście ubrały się damy; wychodzimy zawczasu; cieszę się tą myślą że będę swobodnie biegał po polach. Ale pani de G** czyni mi ten zaszczyt iż mi podaje rękę, a zawsze chodzi tak powoli jak za processyą. Przechadzamy się przez pięć godzin, a zawsze tak poważnie iż nie mogę schylić się nawet dla zerwania kwiatku.

—»Co za rozkoszna przechadzka! rzekł August za powrotem, gdyż łotr przez cały czas prowadził swoją kuzynkę. Nic nie odpowiadam, ale postanawiam sobie że wyjdę sam nazajutrz.

Był to ostatni dzień zamierzonego pobytu w domu pani G**. Chcę nachodzić się do woli i zobaczyć okolice: wczoraj bowiem przez pięć godzin nie uszliśmy i ćwierci mili. Wychodzę, skoro tylko otworzono drzwi od sieni; lecz zaledwie dziesięć kroków uszedłem, spotykam się z panem Desbuissons, który mówi do mnie:

—»Szedłem po pana. —»Po mnie! a to dla czego? —»Od wczorajszego dnia wolno polować... Lubisz pan polowanie? —»I bardzo. —»Jeśli pan chcesz, mam dwie strzelby, możesz polować ze mną, znają mię strzelcy. —»Jak najchętniéj! Dziś przynajmniéj zabawię się swobodną przechadzką i polowaniem.

Biorę fuzyą i idę z panem Desbuissons, który jak utrzymuje, wie gdzie upatrzyć można zwierzynę.

—»Panie, rzekł, jest tutaj podostatkiem kuropatew. —»Jakże to bydź może, iż pan amator polowania, nie wziąłeś psa z sobą? —»Mój pies jest trochę słaby od dnia wczorajszego... Polowałem wczoraj i nie wiem jakim sposobem ten biedny Medor postrzelony został śrótem. Jakiś niezgrabny strzelec musiał go zranić... Lecz z resztą można obejśdź się bez psa... Tyle razy przewybornie udało mi się... W Ardennach polowałem z jednym jegomością, który był kulawy.... Stracił nogę pod Dreznem, czy też gdzieindziej... a mimo tego miał prześliczną żonę... która doskonale grała na fortepianie... była uczennicą Herca, tego który komponuje tak trudne waryacye...

W ten moment zerwał się zając; porzucam pana Desbuissons niechaj gada sam do siebie. Jesteśmy w miejscu gdzie trzeba bez ustanku iśdź pod górę i na dół. Krzaki przecinają i zasłaniają pole, zgubiłem ślad zająca i chcę wrócić do mego towarzysza, w tém słyszę wystrzał i czuję żem jest postrzelony śrutem w nogę.

Pan Desbuissons przybiega do mnie wołając: »Czy zabity! czy zabity?

—»Nie wiem czyliś pan zabił co; ale czuję żeś mię zranił w nogę. —»O Boże! to niepodobna. —»Zobacz pan, cztery ziarka śrótu. —»Co za nieszczęście!.. Pana pantalony są téj saméj barwy co zając, albo też musiał przelecieć panu między nogami. —»Ja zgaduję teraz kto zranił pańskiego Medora. —»Czy pana boli? —»Tyle iż nie mogę dłużéj polować i ledwie zdołam zajśdź do Verberie.

Damy przelękły się bardzo, widząc że powracam zraniony. Posłano po doktora, lecz robił konfitury i przyszedł wieczorem dopiero. Wyjął mi śrót, rana jest lekka, lecz zalecił spoczynek.

—»Zabawisz się parę tygodni w naszym domu, rzecze pani de G**.

Parę tygodni w tak nudnym domu! Wołałbym zostać kulawym na całe życie. Dziękuję ciotce Augusta, ale oświadczam że interessa zniewalają mię nazajutrz wrócić do Paryża.

Jakoż nazajutrz odjeżdżam z Augustem, mimo wszelkich nalegań gospodyni domu. A przez całą drogę mój towarzysz nie przestaje powtarzać. »Nie prawdaż że się dobrze bawią u mojéj ciotki, że jéj dom jest bardzo przyjemny?»

Cóż odpowiedzieć na to? Ten młodzieniec jest zakochany; nie można wyprowadzić go ze złudzenia... Ja zaś długo będę pamiętał ową przejażdżkę.

Paweł de Kock.

## PODROŻE WYGNAŃCA.

(Barona d'Haussés.)

### HOLANDYA. (Dalszy ciąg.)

W *Utrechcie* zasługuje na uwagę szpital dobrze utrzymany, ratusz nowoczesnéj i wytwornéj budowy, obszerne koszary, lecz przedewszystkiem obejrzeć potrzeba rozkoszną przechadzkę założoną około miasta, w miejscu dawnych warowni: nic podobnego nie zobaczymy gdzie indziéj. Zachowano rowy, które otaczały miasto. Czysta ich woda ozdabia ogród z jak największém smakiem założony. W podróżach moich nie widziałem piękniejszego. Umysł znajduje także swój żywioł w Utrechcie, pośród xiążek i przedmiotów sztuki zbogacających biblioteki i muzea, i w towarzystwie uczonych uniwersytetu. Piękne drogi wysadzone drzewami, ciągną się pośród pasma zwierzyńców i osad wiejskich, których zabudowania, nieskończenie rozmaite, tworzą malowniczy widok, murawa, kwiaty i drze-

http://rcin.org.pl

wa, są jak najtroskliwiéj utrzymane: wody posiadają zachwycającą przejrzystość. Co krok, nowy obraz podnieca zajęcie i ciekawość.

A jednakże natura mało przyłożyła się do tego, nic bowiem nie dostarczyła prócz niezmiernéj i piaszczystéj równiny. Przemysł rolniczy stworzył tam uprawę i drzewa. Porządek, ale ten któremu równego nigdzie nie ma, dokonał dzieła i zachwycającą utworzył całość.

## § VI.

### SZPITALE.

Pierwszy raz w życiu przejechałem kraj wolny od żebraków (*). Cześć instytucyom przynoszącym takie skutki, cześć urzędnikom, którzy ich przestrzegać umieją, cześć także sumieniowi, a może nawet miłości własnéj sekt tak licznych w Holandyi, a które nie cierpią, aby ich współwyznawcy natracali się litości publicznéj i zaopatrują wszelkie potrzeby ubogich, wprzódy nim się na na ulicach objawią! Lecz i miłosierne instytuta, bogato uposażone ofiarami prywatnych, wiele się do tego przykładają. Zarząd tych instytutów odbywa się z tą troskliwością, porządkiem i roztropnością, która jest szczególnym przymiotem Holendrów. Są szpitale dla wszelkich stanów i słabości. Tu głuchoniemi, tam ślepi znajdują przytułek, bez względu na ich wyznanie.

Prawie we wszystkich miastach znajdują się domy dla sierot, w których sposobią dzieci na użytecznych i pracowitych ludzi. Utrzymanie szpitalów holenderskich, zasługuje na pochwałę. Troskliwie pielęgnują chorych; jednakże możnaby jeszcze znaczne ulepszenia zaprowadzić co do łóżek, pościeli i obszerności miejsca.

(*) Z tego że nie widać żebraków w Holandyi, nie trzeba wnosić że nie ma nędzy. Wiarogodne osoby zapewniały mię, że w Amsterdamie jest mnóstwo miejsc przytułku, gdzie za sold jeden (dwa grosze polskie), ubogi dostanie jedzenie i nocleg. Ale jakież jedzenie! jaki nocleg! Szczątki pogardzone na najuboższych stołach, zebrane i ugotowane w obszernych kotłach i oszczędnie rozdawane ludziom tak wygłodniałym, że czuć niej mogą obmierzenia i wstrętu; zamiast posłania, sznury przywiązane do posowy między któremi nędzarze zawieszają znużone ciało swoje, a zbytek utrudzenia zamyka ich powieki: takiemi to sposobami ci nieszczęśliwi przedłużają smutne istnienie swoje!

## § VII.

### PIĘKNE SZTUKI.

*Architektura.* Długo trzeba mówić chcąc wytłomaczyć po francuzku wyraz który w języku holenderskim odpowiada wyrazowi *architektura*. Jest to rzemiosło nagromadzania cegieł i murowania z nich domów, których wązka strona czyli szczyt wychodzi na ulicę. W wystawie domów, zwykle mającéj trzy okien i wysokich na kilka piątr, regularność nie jest koniecznym warunkiem. Ozdoby oznaczają wielkie wyszukanie i brak gustu. Z pośród herbownéj tarczy wystaje belka do któréj przyczepiona jest winda do wciągania towarów na wyższe piętra. Jedyną osobliwością téj architektury, jest pochyła budowa szczytów. Ujrzawszy pierwszy raz dom holenderski, mniemaćby można iż się zawali na głowę naszą. Zdaje się że architekci wzięli za wzór pochyloną wieżę w Pizie. Nikt nie mógł mi wytłomaczyć powodu tego dziwactwa i musiałem poprzestać na odpowiedzi, przez którą w każdym kraju tłomaczą zastarzałą niedorzeczność. »Taki jest zwyczaj.

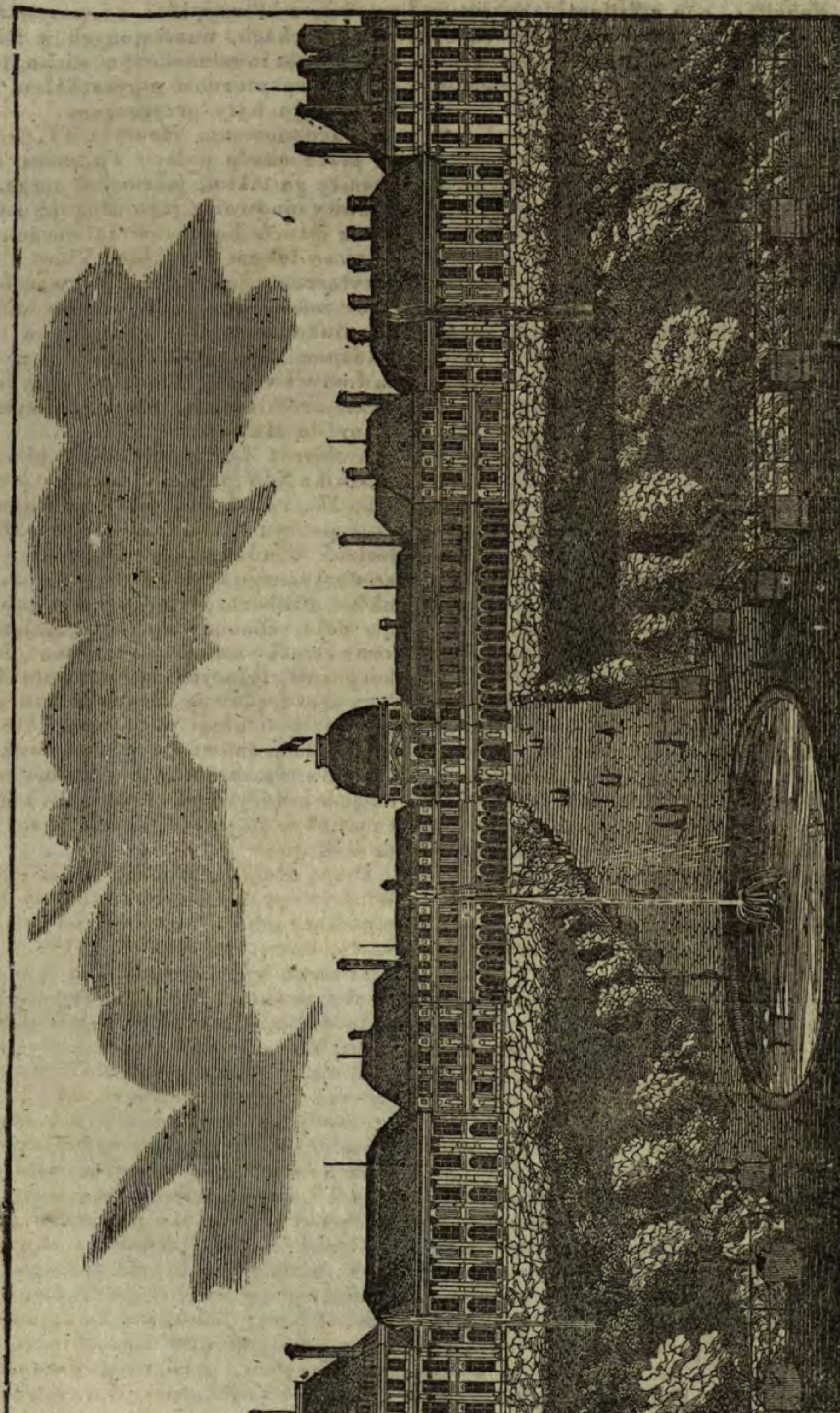
W miastach postrzegamy kilka pięknych gmachów, mniéj przecież niżeli w innych krajach. Między niemi, ratusze zajmują pierwsze miejsce. Ratusz Amsterdamski, zamieniony na pałac królewski, zasługuje na szczególną wzmiankę.

Nie widziałem w Holandyi ani jednego kościoła, któryby był prawdziwie piękny. Kościoły katedralne w Rotterdamie, Lejdzie i Amsterdamie; są to wielkie gmachy bez zewnętrznéj cechy, bez stylu architektonicznego, a ich sklepienia zrobione z desek, opierają się na kolumnach bez proporcyi i porządku, zakończonych dziwacznemi rzeźbami, które ledwie można rozróżnić pod warstwami wapna, odnawianemi troskliwie skoro czernieć zaczynają. W braku pięknych kościołów, Holendrzy chlubią się najdoskonalszemi organami. I więcéj wysławiają swoje organy w Harlem, niżeli Anglicy bazylikę Westminsteru, Yorku i Canterbury.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

http://rcin.org.pl



PAŁAC TUILERIES W PARYŻU.

Na początku szesnastego wieku, Mikołaj de Neuville, pan z Villeroi, sekretarz skarbu, posiadał za obrębem Paryża, w miejscu zwanem la Sabloniere podług akt dawnych, dosyć obszerny dom z dziedzińcami, ogrodami i przyległościami. Ponieważ założono tam fabrykę dachówek, nazwisko la Sabloniere, zamieniono wkrótce na *Tuileries* (*Tuile* dachówka). Drugie to imie, już było używane w pierwszych latach piętnastego wieku.

W 1518 Franciszek I. kupił od pana z Villeroi, jego dom Tuilleries i darował go swojej matce Ludwice z Sabaudyi: gdyż użalała się na niezdrowe powietrze jej pałacu des Tournelles, stojącego na miejscu, które teraz plac królewski zajmuje. Matka króla Franciszka I. nie przeniosła się do Tuileries i odstąpiła użytek z niego Janowi Tiercelin marszałkowi domu Delfina. W trzydzieści lat potém, Katarzyna de Medicis za szczupło mieszkając w Luwrze: gdzie także mieszkał jej syn Karol IX i dwór cały: a nie mogąc zamieszkać pałac Tournelle, bo już go kazano rozbierać, wybrała Tuileries za miejsce swego pomieszkania. Takie to były nieznane koleje, któremi przyszłe pomieszkanie królów Francyi doszło do swojej świetności.

Katarzyna de Medicis przedawszy grunta i materyały należące do pałaców Tournelles i Angouleme, zaokrągliła obwód Tuileries, przez zakupienie sąsiednich domów i ogrodów, i kazała zrobić plany dwom najsławniejszym podówczas architektom, Filibertowi Delorme i Janowi Bullant. Pałac, którego zarys skreślili, byłby obszerniejszy jeszcze od tego jaki jest dzisiaj, lecz Katarzyna de Medicis przyjęła część tylko ich planów; fundamenta gmachu założono w 1564.

Ten pierwszy pałac Tuilleries, nie doznał żadnych przemian aż do panowania Henryka IV; miał tylko 86 sążni długości, składał się z dużego środkowego pawilonu, dwóch skrzydeł i dwóch czworobocznych pawilonów, które je kończą. Pawilon środkowy miał okrągławą kopułę. Dwa budynki poboczne miały od strony ogrodu dwie odkryte galerye, albo raczej dwa tarasy, oparte na dwunastu arkadach, od strony zaś dziedzińca nie mając ani galeryi ani arkad, przedstawiały tylko trzy rzędy okien. Dół po obydwóch stronach ozdobiony był filarami i kolumnami jońskiego porządku, marmurem i wytworną rzeźbą, ale zbyt mnogą i drobiazgową. Ta lekkość i delikatność niższych części budowy, sprzecznie odbijała się od ogromnych szczytów po dziś dzień istniejących, które je obciążają i zdają się grozić ich zgnieceniem. Te ciężkie dachy, powzięte z architektury feodalnych czasów, a które widać na wszystkich prawie gmachach, wzniesionych w Paryżu w szesnastym i siedemnastym wieku, tworzyły dziwną sprzeczność z porządkiem greckim do którego były przyłączone.

Za panowania Henryka IV. rozpoczęto prace około pałacu Tuileries, które uczyniły go takim, jakim jest teraz. Nowe budowy podwoiły jego długość i składały się z dwóch korpusów zakończonych każdy pawilonem (pawilony Flory i Marsan) przyłączono je do dwóch czworobocznych pawilonów, o których jużeśmy wspomnieli. Budowy zaczęte za Henryka IV, prowadzone za Ludwika XIII, a ukończone za Ludwika XIV, odznaczają się odmienną wcale architekturą, niżeli Tuileries Katarzyny de Medicis.

Architekt Levau, nie tylko ukończył za Ludwika XIV, powiększenia zaczęte za Henryka IV. i Ludwika XIII, ale nawet znaczne poczynił zmiany w starym pałacu Tuileries. Środkowy pawilon podwyższono i ze sferycznego zrobiono go czworobocznym, układ Filiberta Delorme utrzymano tylko na dole. Zachowano dwie galerye tarasowe i trochę zmieniono tylko ozdoby dwóch korpusów, leżących za temi tarasami. Od tego czasu, główny korpus pałacu Tuileries nie wielkim uległ odmianom, ale w ostatnich latach znowu poczyniono ważne zmiany. Na nieszczęście, padły one na części najszacowniejsze z powodu ich dawności i rysunku, to jest na reszty pracy Filiberta Delorme.

Przez długi czas, pałac Tuileries nie miał właściwego dziedzińca. Grunta tworzące plac Karuzelu, tak zwanego na pamiątkę zabawy, którą tam Ludwik XIV. wyprawił, zasadzone były drzewami, a w szesnastym wieku zawalone domami i cegielniami. Napoleon kazał zrobić tę obszerną ulicę łączącą Tuileries z Luwrem, wystawił łuk tryumfalny, przy pawilonie Marsan, zaczął galeryą równolegle idącą od galeryi nadrzecznej. Dotąd jeszcze nie dokończono tej pracy, ale prędzej czy później przyjdzie do skutku, a wówczas pałace Tuileries i Luwru, połączone z sobą, tworzyć będą najwspanialszy pomnik w świecie.

Ogród Tuileries aż do czasów Ludwika XIV, oddzielony był od pałacu ulicą, która ciągnąc się wzdłuż gmachów, wychodziła nad brzeg Sekwany. Te ogrody otoczone rowami, murami i bastyonem, mieściły w sobie staw, ptasiarnią, oranżeryą, menażeryą i królikarnią. Le Notre, tak sławny w sztuce zakładania ogrodów, zajął się w 1665 wykształceniem tego niekształtnego zbioru. Ogród zrobiony podług jego planu, długi na 376 sążni, a szeroki na

1000 przeszło stóp, dochował się prawie nie uszkodzony aż do naszych czasów, co się tycze ogólnego planu, lecz każdą z jego części różnie poprawiano, zwłaszcza za czasów Dyrektoryatu i Cesarstwa. Aleję środkową rozszerzono wycięciem po jednem rzędzie drzew z każdej strony, aby lepiej łączyła się z piękną aleją prowadzącą do Neuilly; parter zasiano murawą i zasadzono kwiatami i kląbami, w miejscu posępnych cisów i drzew wycinanych w rozmaite postaci. Nareście ogród otoczono kratą żelazną, zamiast murów walących się i porosłych zielskiem. Te upiększenia zrządziły, że to mieszkanie królewskie jest jednem z najświetniejszych w Europie.

Ważne zdarzenia historyczne łączą się z pałacem Tuileries. Aż do ostatnich lat panowania Ludwika XVI, Królowie Francyi nie mieszkali w tym gmachu. Luwr przed Ludwikiem XIV, a potém Wersal, były rezydencyą monarszą. Katarzyna de Medicis krótko bardzo mieszkała w nowo zbudowanym pałacu. Dziwna pobudka skłoniła ją do opuszczenia go. Astrolog przepowiedział jej, że umrze w miejscu zwanem Saint Germain. »Od tego czasu, mówi Mezeraj, unikała zabobonnie wszystkich miejsc i kościołów noszących to imie. Nie postała w Saint Germain w Laye; że zaś pałac Tuileries leży w parafii Saint Germain d'Auxerrois, porzuciła go i kazała wybudować inny.« Xiążęta i xiężniczki krwi królewskiej, mieszkały czasami w Tuileries przez dwa następne wieki, lecz królowie rzadko bardzo tam przebywali. Ludwik XVI. zniewolony wypadkami roku 1789, przeniósł się z Wersalu do pałacu Tuileries. Potém Bonaparte wyniosłszy się na godność pierwszego konsula, zajął go w 1800 i ozdobił wewnątrz z jak największym przepychem. Ludwik XVIII. wróciwszy na tron naddziadów, w tymże pałacu ustanowił na zawsze rezydencyą królów francuzkich.

---

## KAIMAN (*Alligator*).

Od dawna nie zgadzali się naturaliści, wiele jest gatunków w rodzaju Krokodyla, jedni przypuszczali cztery, tamci trzy, inni nareście jeden tylko. Cuvier rozdzielił je na trzy gatunki. Jedne nazwał *Dzioboszczękami* (gavials), drugie Krokodylami, trzecie Kajmanami. Tego ostatniego gatunku umieszczając wyobrażenie, nim się zajmować będziemy. Cuvier opisuje go następującym sposobem.

»Głowa Kajmana nie jest tak podłużna jak Krokodyla, zwykle o jedną trzecią część dłuższa niżeli szersza. Zęby są nie równe, liczą ich dziewiętnaście, a czasem dwadzieścia dwa po każdej stronie na dole; dziewiętnaście przynajmniej, a czasem dwadzieścia u góry. Wszystkie zęby chowają się w dołkach przeciwnej szczęki. Kajmany mają prócz tego zaokrąglone nogi przednie i tylne, palce u nóg tylnych wszystkie cztery do połowy błoną spięte.« Pan Cuvier liczy cztery odmiany tego rodzaju Krokodylów: to jest: 1) Kaiman z kościstą powieką. 2) Kaiman najeżony. 3) Kaiman z paszczą szczupaka. 4) Kaiman z okularami, ten ostatni wystawiony jest na rycinie.

Kaiman z okularami jest koloru ciemno-zielonego, z wierzchu ma nieregularne plamy jasno-zielone, jest żółto-zielony pod spodem. To zwierze jest bardzo pospolite w Kajennie i w całej Gujanie. W wielkich rzekach Surynamu, dochodzi do dwudziestu a nawet do dwudziestu i czterech stóp długości. Negrowie jedzą czasem jego mięso, chociaż ma woń przykrą i piżmową. Pewien autor zapewnia, że nie napastują człowieka, dopóki tenże porusza się w wodzie. Rzadko zdarza się, aby go napastowały na lądzie, chyba że się zbliży do ich jaj, a wówczas bronią się mężnie.

Liczba tych jaj dochodzi do sześćdziesiąt, składają je w piasku, gdzie je słońce wylęga; przykrywają liściami lub słomą.

Kaimany noc przepędzają w wodzie a dzień na słońcu, spiąc na piasku; na widok psa lub człowieka zanurzają się w wodzie. Pewien pisarz mówi, że mieszkańcy Paragaju używają strzał tak zrobionych, że gdy je wypuszczą, zostaje się w ciele część opatrzona żelazem, druga zaś połączona z nią długim sznurkiem, pływa na powierzchni wody i wskazuje gdzie się zwierz schronił; a w tedy zabijają go włoczniami.

Na niskiej wyspie Marojo czyli Johannes, przy ujściu rzeki Amazonek, takie jest mnóstwo Kajmanów podczas lata w bagnach, iż prawie nie widać trochy wody, która tam pozostaje; zdaje się że wielkie zjadają wówczas małych. Nie mogą płynąć w górę rzeki, gdyż wyspa otoczona jest wodą słoną. W Gujanie niekiedy zostawać muszą zupełnie na suchém miejscu, i w téj chwili są najniebezpieczniejsze.

Kajman z paszczą szczupaka, tak jest zwany z powodu nadzwyczajnego podobieństwa jego paszczy, z paszczęką téj ryby. Ma otwory nozdrzów rozdzielone chrząstką, co się nigdy nie zdarza w innych gatunkach. Na czaszce ma dwa rowy owalne, nie bardzo głębokie, a w ich głębi widać małe dziurki. Grzbiet jego jest koloru ciemno-zielonego, a brzuch biało-zielonawy.

Ten gatunek mieszka w Ameryce północnej. Pewien naturalista powiada, że w Karolinie te płazy chowają się w miejscach



KAIMAN (*Alligator*).

błotnistych, ztamtąd rzucają się na zwierzęta domowe i wciągają je w głąb wody.

Kaimany z Luzyany przebywają w bagnach i podczas zimy zasypiają snem letargicznym.

Kaiman z paszczą szczupaka, nie jada w wodzie; najprzód utopi swoją zdobycz a potem ją pożera na powierzchni wody. Ryk jego podobny jest do ryku byka, a śmiałość wyrównywa sile; nie lęka się bowiem uderzać na gromadę ludzi uzbrojonych. Skóra jego jest tak twarda, że przestrzelić jej nie można, i trzeba mierzyć pod brzuch albo w oczy.

Strzelec jeżli chce doświadczyć karabina, mierzy w oko Kaimana, a jeźli dobrze wymierzył, zwierz już nie żyje, nim jeszcze ustanie odgłos wystrzału. Jeźli kula ugodzi go o cal od oka, zraniony potwór zanurza się natychmiast, rzuca się z gwałtownością, uderza ogonem, przestrasza inne Kaimany i taki przestrach rozpościera między wszystkiemi mieszkańcami wody, że aby uniknąć razów tego ogona, który nakształt maczugi kruszy wszystko co tylko napotka, ryby wyskakują z wody i błyszczą w powietrzu jak sztuki gładkiego kruszcu. Następnej nocy wszystkie Kajmany porzucają miejsce zbroczone krwią ich towarzysza i cały tydzień upłynie nim odważą się powrócić.

## JAMES WATT.

Wspomnieliśmy w zaprzeszłym numerze tego pisma, o znalezionych poszlakach, że pierwszy pomysł machin parowych, był dziełem człowieka, który zamiast nagrody i chwały najsmutniejszym sposobem skończył dni swoje. Dajemy teraz wizerunek i wiadomość biograficzną o tym, który takie udoskonalenia zaprowadził w parowych machinach, iż prawie ich wynalazcą nazwany bydź może.

James Watt urodził się w 1736 w Greenock, jego ojciec był tam kupcem i gorliwym popieraczem wielu użytecznych przedsięwzięć. W dzieciństwie, mimo słabego zdrowia, James Watt bardzo był pracowitym i pilnym i ten przymiot dochował aż do kresu życia. Mając lat osiemnaście, udał się do Londynu i pracował u sławnego fabrykanta matematycznych narzędzi, ale po roku musiał wrócić do domu z powodu słabości zdrowia. Nigdzie więcéj nie uczył się i dalsze wykształcenie winien był własnéj pilności i geniuszowi. Jego talenta rozwinęły się tak wcześnie, że w dwudziestym roku życia, uniwersytet w Glasgowie poruczył mu wyrabianie matematycznych instrumentów. Już w r: 1764 zaprowadził ulepszenia w machinach parowych i na nie patent otrzymał. Aż do 1774 r. żył w Glasgowie jako budowniczy i do wielu kanałów i innych prac, plany poczynił. Mając sobie poruczoną przez uniwersytet naprawę wzoru parowéj machiny Newkomena; padł na tę myśl, że można ją uczynić prostszą i silniejszą. Dokazał swego celu i oszczędził dwie trzecie części pary, któréj potrzebowano podług wynalazku Newkomena. Nie dosyć na tém; aż do jego czasów używano machiny parowéj tylko do podnoszenia wody, która potém zwyczajnym trybem uskuteczniała swoje działanie. Watt najpierwszy zastosował działanie pary wprost do poruszania machin, a ten pomysł rozwinięty i udoskonalony późniéj, tak przez niego samego jak przez jego naśladowców, zrządził, że teraz para zastępuje w saméj Anglii



JAMES WATT.

trzy miliony ludzi i uskutecznia prace, któreby żadnym innym sposobem wykonać się nie dały.

Oprócz tego najważniejszego wynalazku, Watt skreślił plan sławnego kanału kaledońskiego. Uczony teoretyk, biegły inżynier i mechanik, Watt, wydoskonalił teoryą wiatraków i innych machin z kołami, wprowadził do Anglii sposób bielenia gazem, wynaleziony we Francyi przez Bertolleta i kierował wielką liczbą przedsięwzięć publicznych. Pośród tych poszukiwań naukowych i świetnych wynalazków, doznał losu jaki bardzo często spotyka ludzi z geniuszem, stających się ofiarą i narzędziem intrygantów i oszustów. Czyliż nie ze smutkiem wspomnieć o tém musimy, że ten wielki fizyk stracił część swoich sił umysłowych i kilka lat życia tak potrzebnego do postępu umiejętności, na obronę swoich patentów, na walczenie z zuchwałemi współubiegaczami, którzy z jego wynalazków chcieli sami korzystać?.

W roku 1800, przestał trudnić się interessami, ale zawsze udzielał zachęty i rady, tym którzy się przykładali do postępu umiejętności i przemysłu.

Dzięki umiarkowanemu życiu; doszedł późnego wieku, mimo słabowitéj konstytucyi swojéj. Umarł 25 Sierpnia 1819, mając lat osiemdziesiąt cztery.

Cała Anglia uczuła tę wielką stratę; każdy chciał oddać jego pamięci hołd, należny dobroczyńcom ludzkości i należeć do składek na jego pomnik. Wzniesiono mu posąg w Birmingham, a drugi pomnik w Handsworth.

## PODRÓŻ PO UKRAINIE.

(Z Pamiętnika naukowego Krakowskiego.)

Wyjeżdżając z *Kijowa*, zatrzymałem się chwil kilka na najwyższym szczycie starych okopów, opasujących część przedmieścia *starym Kijowem* zwanego. Zachwycający ztąd widok. Właśnie wschód lipcowego słońca zapalał pozłacane szczyty mnóstwa cerkwi, które wśród różnobarwnych domów i drzew zieloności, jak czarodziejskie kolumny ku niebu strzelały. Druga część miasta zachodnia (padoł), na poły jeszcze mgłą pokryta, coraz wyraźniej słonecznym zapalała się światłem. Tam u podnóża srebrzył się *Dniepr* wspaniały, szerokie jego łożysko wielu przystrojone wyspami, jak zwierciadlana ściana różnokrzewne wazony piastować się zdało. Z przeciwnéj strony, płaszczyzna lekkiemi napiętrzona wzgórkami, ma stanowić kilkomilowy obwód potężnego niegdyś *Kijowa*. O kilkadziesiąt kroków od szczytu na którym stałem, gościniec prowadzący do miasta, przedziela okopy. W miejscu tém, myśl z rozkoszą w upły-

nionych gubiła się wiekach! Coraz głośniejszy gwar przebudzonego miasta, dziwna harmonija mnóstwa dzwonów, śpiew przeciągającego pułku rossyjskiéj piechoty, przerwały moje dumanie.. Rzuciłem raz jeszcze okiem po okolicy; martwe karty historyi, pomyślałem, przechować mają cały ten ocean minionego życia.. Jechałem dalej szerokim cessarskim gościńcem; dwie mile przed Kijowem, przerzyna go znacznéj jeszcze wysokości wał.. Ztąd zmierzałem do wału zwanego *Żmii*, i o dwie mile zbaczając z gościńca na prawo od wioski *Motyżyna*, napotkałem go (*). *Wał Żmii*, poczyna się z téj strony Dniepru przed Kijowem, ciągnie się nieprzerwanie mil kilkanaście i ginie na wstępie do stepów Ukrainy. Śledziłem wał ten mil kilka; raz w większéj, drugi raz w mniejszéj wyniosłości; tu w orne obrócone niwy, tam lasem pokryty, w rozmaitym bez przerwy ciągnie się kierunku. Badałem mieszkańców okolic co o nim wiedzą i myślą. Lud go zowie wałem żmii. Lecz żmija w dosłownem wzięta znaczeniu, jest smok, potwór. Mówią zatém, że niegdyś przed laty, straszny potwor, żmija ziejąca ogniem, w swoim tędy przechodzie wał ten wyorała.. Zaiste, nie małe klęski nawiedzić musiały te okolice, kiedy w takiéj przestrzeni, długiemi okopy obwarowywać się musiała. Podania wieśniaków mają niewątpliwie grunt prawdziwy; piśmienne dzieje nic wcale o tém nie mówią. Mimo łożonego starania, w żadnéj powieści i pieśni nic nie słyszałem o żmii, a tém mniéj słyszéć mogłem, jak Czacki twierdzi w prawach litewskich i polskich: o porównaniu Żmii z Chmielnickim.. Wszakże zabytek tak odległéj starożytności, domyślać się każe, że ziemia ta bywała przed piśmienną powieścią jeszcze, widownią krwawych wypadków i kolebką niepospolitych wojowników..

W kierunku wspomnionego wału, małą, zaledwie znaną drożyną, dalszą odbywałem podróż. Okolica niska, w całéj niemal przestrzeni sosnowemi porosła borami; gęsto jednakże w ludne obfituje sioła. W przestrzeni mil kilku, żadna pamiątka podróżującego nie zatrzyma; wszystko zdaje się świeżo wykłówać z powicia dzikości.

Wioski i miasteczka drewniane, domy nawet zamożnéj szlachty dorywczo z drzewa poklecone. Lasy tu swoją grają muzykę, zwierz stadami pląsze się po drodze. Z gęstych wyrzynając się zarośli, stanąłem w nędznéj mieścinie *Makarów*. Mieszkanie dzierżawcy na wzgórzu wodą otoczone, panuje nad miastem. Most niegdyś zwodzony, prowadzi do niego; z obydwu stron mostu sterczą ostre pale, na które hajdamacy ukraińscy swoje spychali ofiary. Miejscowi żydzi, przywodzili z grozą owe zdarzenia na pamięć, wieśniacy zaś prawią o wielkich skarbach, które w tych okolicach hajdamacy ukryli. W istocie, widziałem za miastem miejsc wiele, w różne przekopanych kształty, w celu szukania tych skarbów. Mówiono mi o pustelniku, który o milę od miasta w lesie mieszka i szczególnym wiedziony instynktem, obfite skarby wynajduje, lecz przy tém ubogich mieszkańców okolicy, hojnie w każdéj wspiera potrzebie.. Lud go zwie *Wosiem*, i tyle dziwnych rzeczy o nim nagadał, że umyśliłem odwiedzić pustelnika, który jest podziwem okolicy, i któremu lud błogosławi..

Po lewéj stronie gościńca, nieprzerwane sosnowe zielenią się bory; po prawéj znaczne polanki zbożem przyodziane i niepodal zaokrąglona knieja, z pośród któréj kilkanaście starych dębów, rozłożystemi konary nad gęstą wznoszą się leszczyną. W środku téj kniei mieszka Pustelnik. Wszedłem do wnętrza małéj drewnianéj chaty. W szczupłéj izbedce, siedział nad xiążką człowiek w wieśniaczym stroju, twarz włosem porosła, czerstwa jednakże, oko tęskne lecz żywe, czoło wyniosłe na którém sześć dziesiątków wyrytych widzieć mi się zdało. Sprzęty proste drewniane, kilka xiążek na pułce, kula ziemska (globus) na stoliku, kilka sztuk ognistéj broni, stanowiły całe izbedki ubranie. Z uprzejmą twarzą podał mi rękę pustelnik; pozdrowił po bratersku, wskazał siedzenie na ławie i zostawił samego. Rzuciłem się do xiążek, były historyczne, matematyczne, lekarskie, w polskim i łacińskim języku. Po chwili wrócił gospodarz, postawił misę z plastrami miodu, chléb i gorzałkę.. »Bracie, rzekł do mnie, niosęć co dom ma; jeżeliś poczciwy, biesiaduj ze mną, życie jest krótkie a goryczy pełno.« To mówiąc począł jeść, skosztował gorzałki, podobnie i ja uczyniłem. Pośród biesiady, rozmowa coraz szła żywiéj. Wynurzyłem mu powód mojéj podróży, moich odwiedzin.. Po czém wyprowadził mnie z cha-

(*) Różne są powieści ustne o początku wału Żmii. Niektórzy sądzą, że Żmija był jednym z pierwszych i najsławniejszych wodzów Zaporoża.. Idąc za tém podaniem, Juliusz Słowacki, napisał romans poetyczny pod tytułem Żmija. Inne podanie niesie, że szatan pod postacią Żmii, niósł tędy wielki kamień, chcąc nim kościół jakiś przywalić i w przejściu tę drogę wyorał. Mówią także, że święty Jerzy pokonawszy diabła w postaci żmii, zaprzągł ją do pługa i odwalił wzdłuż Ukrainy skibę, którą dziś dla tego wałem żmii nazywają; przy tém opowiadaniu dodają jeszcze, że około roboty tego pługu, wielka liczba dziesiątków diabłów pracować musiała i t. d..

http://rcin.org.pl

ty o kilkanaście kroków; ujrzałem się na łące, w koło której liczne pnie pszczół rozstawione były. »Oto są skarby, rzekł, któremi niebo mnie darzy; z nich ja i ludzie żyją.» Próżne były moje nalegania o jego przeszłość. »Lat dwadzieścia żyję w téj chacie, byłem kiedyś na świecie, znałem Napoleona, odegrałem moją rolę, teraz zdaleka na teatr patrzę, żyję z sobą szczęśliwie i staram się ludziom czynić dobrze.» To jest wszystko co mi o sobie powiedział. Sąd jego o wielu rzeczach wytrawny, wydawał doświadczonego i myślącego człowieka. W okolicy dowiedziałem się, że człowiek ten bogaty niegdyś, zmierziwszy sobie zwyczaje świata, wielkim zwanego, do których nawyknąć nie chciał, a odmienić ich nie mógł, rozdał majątek między ubogich, kupił sobie chatę z pasieką, i już od lat wielu jest poradą, pociechą i przykładem okolicznych mieszkańców.

W wstecznym ztąd kierunku zmierzałem na gościniec Ukraiński, parę razy jeszcze przejechałem wał *Żmii*, a zostawiając sosnowe bory za sobą, stanąłem w *Chwastowie*. Licha teraz mieścina przez żydów zamieszkała, była niegdyś własnością biskupów Kijowskich.

Z warowni dawnego zamku, tu i owdzie rozsypane szczątki okopów widzieć jeszcze można. W kozackiéj wojnie, doznał *Chwastów* smutnego losu tylu innych miast w całéj Rusi przestrzeni. Chmielnicki wyparty ztąd roku 1651, dogorywające domy i spustoszałe zamku mury, zwycięzcom zostawił. W dawnem województwie Kijowskim, *Chwastów* był granicznym punktem między Polesiem a Ukrainą. Dotąd jeszcze przestrzeń od Kijowa do Chwastowa, zowią *Polesiem*, jakoż widoczna ztąd poczyna się różnica ziemi, płodów, okolicy i charakteru mieszkańców. Tu się kończy niewdzięczna piaszczysta gleba; zamiast mnogich bagien i borów sosnowych wita cię żyzna równina, w krzepkie dębowe przyodziana gaje; zamiast dzikiego zwierza, widzisz hasające stada koni, po niezmierzonych pastwiskach; przytem rozsypane w różnych stronach mogiły, rzadkie a rozległe sioła, tęskny głos niesłychanego dotąd tonu dumki, wszystko to domyślać się każe, że jesteś na wstępie do bogatéj Ukrainy. Tu spotykasz gęste karawany kupieckich wypraw, tam odeskiemi towary obciążoną kibitkę; wesoły kozak tuczne popędza woły; śmiały stepów mieszkaniec ciągnie od morza, rozwozi sól ubogim Polesia mieszkańcom, a wracając wiezie drogi podarek, na stepach nieznany, kilka zielonych konarów sośniny. Podróżny spotyka ludzi pogodnego czoła i śmiałego wejrzenia; miasto uniżonego czapkowania, pospolitego na Czerwonéj Rusi, lekki pohoniec nie nachyla karku, ale z powagą odkrywszy głowę, swojém *sława Bohu*, wędrowca pozdrawia. Ku wieczorowi, wszystkie te oddziały w niewielkiéj od siebie odległości, koczują na stepach. Wtedy palą się ogniska, słychać tęskną i wesołą nutę, a przyległe mogiły, odpowiadają echem, wznowionym w pieśni pamiątkom. Pośród scen takich, w coraz rozleglejszych równinach, parę tylko minąwszy wiosek, stanąłem w *Białocerkwi*.

*Białocerkiew* warowne dawniéj miasto, ważnym teraz jest punktem pod względem handlu. Rzeka *Roś*, oblewa miasto po prawéj stronie, wązkie jéj koryto bystre toczy nurty, a wzniesione brzegi granitową najeżone skałą, wylewom rzeki silny stawią opor. Na próżno szukałem śladu dawnéj warowni, do okoła równina bujnym zieleni się plonem. Tuż pod miastem sterczą trzy mogiły, znaczny ich obwód i wysokość domyślać się każe, że są z rzędu tych, które na cześć wojowników sypano. Mogiły pobojowiska są mniejsze, te zaś które przechodnim narodom za skazówkę ich drogi służyć miały, są gęściejsze, nie wiele od siebie odległe, i mniéj więcéj w prostym sypane kierunku. Mogiłom tym w różnych miejscach różne lud nadaje nazwy; z tych częstokroć wiedzie nić w odległą starożytność, alboli też w pamiętne z nieszczęść epoki. Nieraz w tych podaniach różnych słuchałem powiastek: tu zabytek mitologii greckiéj z epizodami litewskich bożyszczów, tam bóstwa sławiańskie z obrzędami Tatarów: to wszystko powiązane z treścią ewangelii, w różnych grupach występowało na scenę. Lud ma swój język, swoją historyę, swoją poezyą i życie; ktokolwiek zgłębić go zdoła, częstokroć pod maską potwornéj fizyonomii odsłonią mu się zarysy wielkiéj treści i świeżego kolorytu obrazy. Tu po raz pierwszy słyszałem sławną dumę o Chmielnickim, którego wieśniacy zowią swym chwatem.

O wiorstę od miasta, bujne zielenią się drzewa, z ich łona wyglądają czerwone dachy letnich pałaców, za niemi, płaczące brzozy, w półkole gęsty tworzą gaik. Jest to głośny w téj okolicy ogród Alexandryą zwany. Zwiedzałem obszerne to miejsce; przepych i sztuka siliły się na ozdobę jego; natura wszakże nie odpowiedziała łożonemu staraniu: równina bowiem jednostajna, nie zdoła zapełnić czczości, która po kilkogodzinném błąkaniu koniecznie uczuć się musi.

Opuszczając Białocerkiew, w coraz rozleglejsze zapuszczałem się równiny. Wioski coraz rzadsze; minąwszy kilka lichych karczemek, oko dowolnie buja po niezmiernéj uprawnych pól przestrzeni. Wśród stepu łagodny czasem wietrzyk powionie ochłodą znużonemu upałem wędrownika czoła;

http://rcin.org.pl

czasem po za mgłą wznieconego kurzu przesuwają się tu owdzie okrągłe mogiły; czasem zdala majaczeją gmachy; zbliżasz się do grodu, a to ogromne sterty zboża w polu ułożone, którym się oko po raz pierwszy wędrującego ułudza przychodnia. Zboczyłem z drogi chcąc odwiedzić miasteczko *Stawiski.* Nie ma na Ukrainie gęstych rozwalin, i wiekami brzemiennych gruzów, na których dusza tęsknie dumać lubi; ale są miejsca, które wyobraźnia z równą rozkoszą ożywić pragnie. Takiemi dla mnie były *Stawiski*, małe miasteczko na wzgórzu, w rozkosznéj okolicy. Po lewéj stronie miasteczka, wznoszą się niewielkie wzgórza, na ich szczycie płaczące brzozy w dziwnie piękne porastają gruppy; u podnóża mała zieleni się dolina, na niéj cichy strumyk wije się w cieniu drzew przyległych i kwiecistéj dolinie świeżych zawsze użycza soków. Miejsce to jakby wydarte ślicznym okolicom Podola, lub Czerwonéj Rusi, przychodnia nieodpartym przynęca powabem. Sledziłem okiem, zaledwie widzialne jeszcze ślady dawnych miasta okopów. Wszystko tu teraz w cichéj spoczywa zadumie; nie tak bywało przed dwoma prawie wiekami; inna tu brzmiała muzyka.

Zmierzałem do *Humania.* Tu już niéjako środek przeddnieprskiéj Ukrainy, rozwija w całéj obszerności właściwość téj ziemi. Jechałem mil parę morzem niezmierzonego stepu; gleba od dawna odłogiem leżąca, w bujne porosła bodiaki, które za wiatru powiewem w kształcie morskich kołyszą się bałwanów. Próżno tu wyglądasz drzewka, któreby cię od skwaru słońca ochronić mogło; w około przestrzeń zda się bez końca, bez uchrony i przytułku. Zbliżając się do wiosek, odmienia się scena, ujrzysz gęste lasy pszenicy, stada tucznych wołów i baranów, i całe łany porosłe w melony i kawony, i liczne szeregi barczystych ulów, i obszerne sadzawki ryb pełne, słowem ujrzysz obfitość *mlekiem i miodem płynącéj ziemi.*— *Humań* rozległe miasteczko, stolica Ukrainy, warowne niegdyś, zachowało dosyć jeszcze wyraźne ślady dawnych okopów. Klasztor Bazylianów obszerny, liczna szkoła pod ich przewodem, powiększa znacznie ludność miasta. Sławne jest teraz zjazdem okolicznych obywateli, którzy się tu gromadzą około S. Piotra, już to w celu słuchania rocznych popisów swych synów, już dla zwiedzenia ślicznéj *Zofijowki*, która w téj porze w całym swych powabów jaśnieje blasku. Rzeź humańska nie wygasła z pamięci już drugiego pokolenia. Opowiadano mi zdarzenia zgrozy i trwogi jakby niedawno odbyte, pokazywano studnię zatarasowaną dziećmi różnéj płci i wieku. Dotąd jeszcze sączy się z niéj woda, a ludzie starzy długo po téj okropności jęki w półumarłych dzieci słyszeli. Spotykałem starców w okolicy, którzy jak mówią towarzyszyli Goncie. Rozgrzani trunkiem opowiadają swoich wypraw zdarzenia.

W bliskości miasta jest wąwóz, zewsząd otoczony wzgórzami. Miejsce to pełne skał granitowych i dzikie z natury, wolą jednéj kobiety w najpiękniejszy i jedyny w swoim rodzaju przeistoczyło się ogród. Trudno się od razu pojąć i nasycić różno-wzorową pięknością Zofijówki. Niedaleko od wnijścia, z pośród zarośli cienistéj ulicy, odsłania się widok zachwycający. U podnóża chwieją się wierzchołki drzew kolczystych, daléj obszerny stawek w dolinie, z którego środka wytryska woda w kształcie płaczącéj brzozy, na kilka sążni wysoko; zaokrąglone szpalery złocą się wodą tego wodotrysku. Po lewéj stronie rozkoszna murawa, brzegi jéj bieleją się pianą wodospadu, który z wierzchołka olbrzymiéj skały, w kształcie ogromnego zwierciadła z wielkim spada łoskotem. Miejscami z pośród drzew i kwiatów, wyglądają łyse lub brunatne skał szczyty, najpiękniejsze grupy różnego gatunku drzew i krzewiów, jak gdyby saméj natury ułożone ręką, zaokrąglają ten widok. Płynąłem kilkadziesiąt kroków podziemnym kanałem; z portu prowadzi ścieszka na pola elizejskie; miejsce godne tego nazwiska. Tu wsparty na odłamie staréj piramidy, patrzyłem długo w cichy strumyk, który z rozkosznéj doliny w skaliste sączy się bezdroża. W téj słodkiéj zaciszy, któżby nie dumał ochoczo?

Długo błądziłem po rozkosznem miejscu; wszędzie tu coś nowego, zachwycającego, a zawsze w innym obrazie z każdéj pojawia się strony. Trudno opisać rozkosz jaką się czuje w tym cichym i pełnym piękności przybytku. Zofijowka godna jest widzenia; sztuka i przyroda w harmonijny zlały się tu oddźwięk, jakoż całe to miejsce, jakby czarownéj muzyki wrażeniem przychodnia uderza.

Ukraińcy zachowali niezatarte rysy swego pochodzenia i dziwną zgodność z klimatem i ziemią, którą zamieszkali. Jak te stepy pełne bujnego zarodu, tu na poły dzikie, tam najobfitszym przyodziane plonem, nieograniczone gór i lasów zaporą, z całą przyrody rozwijają się swobodą, tak podobnie Ukrainiec w różnych tych odcieniach śledzącemu pojawia się oku. Kto chce poznać lud ukraiński, niech go uważa przy ustach i obrzędach; tam zostawiony niejako samemu sobie, rozwodzi pienia treściwéj przeszłości. Wesoła natura szumem wichru pieśń jego poczyna, melancholijne dźwięki kończą śpiew wesoły. W tonie ukraińskich dumek, maluje się cała historya tego kraju, nie ma zapewne pod słońcem, treściwszego śpiewu.

http://rcin.org.pl

# WALENCYA.



GIEŁDA W WALENCYI.

Królestwo Walencyi, podobnież jak większą część innych prowincyi Hiszpańskich zajmowali koleją, Kartagińczykowie, Rzymianie za czasu Scypionów, Gotowie od Vgo do VIII wieku; a nareście Maurowie których wypędzili Hiszpanie w połowie wieku trzynastego za Jana Wojowniczego króla Aragonii. Już przed owem ostatecznem zajęciem, przerwał panowanie Maurów od r: 1092 do 1099, Cyd, ten sławny Roderyk z Bivaru, unieśmiertelniony w dumach hiszpańskich i w tragedyi Korneja. Tam podobnież jak i w innych prowincyach, Maurowie ze wszystkich zdobywców najzbawienniejszy wpływ wywarli na pomyślność kraju. Jeźli ich świetna cywilizacya nie wzniosła w Królestwie Walencyi tych wspaniałych i pięknych gmachów, któremi ozdobili inne części Hiszpanii, zaprowadzili za to instytucye przemysłu i rolnictwa, które aż do naszych czasów dotrwały. Chociaż Walencya była stolicą osobnego królestwa, Maurowie nie zbudowali w niéj meczetu jak w Kordubie ani pałacu królów jak w Grenadzie; ale na jéj polach, niezliczone kanały do skrapiania gruntów, rozdzieliły na wszystkie strony wody rzek Guadalaviar i Jucar, usposobiły niepłodne ziemie do uprawy ryżu; wprowadzenie zagranicznych roślin, zaszczepiło tam bogactwa innych klimatów, a nakoniec ustanowiono mądre prawa dla wspierania tych nowych zrzódeł pomyślności i uczynienia ich przystępnemi dla wszystkich. Jeżeli drzewa pomarańczowe, cytrynowe, palmowe, trzcina cukrowa, indygo, drzewko bawełniane, plantacye ryżu, bogacą i upiękniają płaszczyzny Walencyi, jeźli dobre prawodawstwo czuwa nad zachowaniem tych płodów, jeźli mnogie rękodzielnie pomnażają ich wartość, jeźli naprzykład sam jedwab przynosi corocznie czterdzieści do czterdziestu pięciu milionów, wdzięczni mieszkańcy Walencyi, powinni zasięgać myślą aż do Maurów; oni to byli pierwszemi sprawcami tych dobrodziejstw, gdyż nawet to czego nie stworzyli sami, zrobiono, naśladując wzory przez nich zostawione. Tenże sam popęd nadany od Maurów, skłaniający Walencyan do przemysłu i handlu, podnieca ich także do trudnienia się umiejętnościami, naukami i sztukami. Walencya w każdéj epoce wydała znamienitych uczonych i artystów; jéj uniwersytet jest jednym z najsławniejszych w Hiszpanii; jéj akademia sztuk pięknych, liczne kolegia i szkółki elementarne, zakłady naukowe, biblioteki i drukarnie bez przerwy zajęte, dowodzą że nie upadła w obecnym czasie.

Slady tak dalekiego wpływu, okazują się nie tylko w obyczajach zwyczajów i umysłowem rozwinięciu ludu Walencyi, który jest uprzejmym, wytwornym, grzecznym i żywym, jak każda ludność miłująca pracę, posiadająca dostatki i oświatę, ale znajdujemy go w ogólnym widoku miasta, Walencya zachowała jakąś cechę wschodu w budowie swojéj. Przeszłość nie jest tam wyobrażona w wyłącznych i odrębnych pomnikach, a przez to samo obcych już dla teraźniejszego pokolenia i nie wiążących się z tegoczesnemi budowlami; ale charakter maurytański jest nacechowany i panuje w całym ogóle ich fizyonomii. Żaden gmach, prócz niektórych szczątków, nie jest wyłącznie w stylu arabskim, ale styl ten przebija się we wszystkich. Leżąca nad brzegami Środziemnego morza, na rozkosznéj płaszczyźnie, w najprzyjemniejszym klimacie, Walencya, z płaskiemi dachami domów, nad któremi szczyty drzew panują, z licznemi wieżyczkami strzelającemi w górę jak minarety, wydaje się oku patrzącemu na nią z daleka, jak rozkoszne azyatyckie miasto, i złudzenie nasze wówczas dopiero znika, gdy w obręb jego wejdziemy piękną przechadzką *Alameda*, ozdobioną ławkami z marmuru i ocienioną drzewami wschodu i południa. Domy prywatne i publiczne gmachy, mają kształt maurytańskiéj architektury, a Hiszpanie uznali za swoich mistrzów w sztuce budowania, lud któren zwalczyli. Gmach którego rycinę umieszczamy na czele tego artykułu, la Lonza czyli Giełda, jest jednym z najznamienitszych utworów tego naśladownictwa.

Giełda Walencyi, zbudowana została na początku XVI wieku, za panowania Ferdynanda katolickiego. Jéj facyata zwrócona na plac targowy i uwieńczona blankami, tworzy jednostajną massę, z bramą i dwoma oknami gotyckiemi, ozdobionemi wytworną rzeźbą. Obok wznosi się czworoboczna wieża, któréj wystawa także ozdobiona jest niszą delikatnie wypracowaną i kilką oknami zaokrąglonemi w sklepienie. Ta część gmachu, wewnątrz urządzona na kaplicę, odosobnia się od innych części przez swoje wystąpienie i wysokość. Było to zwyczajem przy budowie wielu starożytnych gmachów, że część przeznaczona na religijny użytek, nie mieszała się, nawet powierzchownością swoją, z częściami do światowego celu przeznaczonemi. Po drugiéj stronie, wznosi się budowa późniejsza i w wytworniejszym stylu. Komnaty które w sobie zawiera, wychodzą na ogrody niedawno zasadzone. Jedyna część wewnętrzna tego obszernego gmachu, odznaczająca się rodzajem architektury, jest ta, którą wystawia nasza rycina. Ta sala a właściwie mówiąc giełda, ma 110 stóp długości, siedemdziesiąt szerokości, a pięćdziesiąt wysokości. Podzielona jest na trzy równe nawy, opierające się na ośmiu kolumnach oddzielnych, a na szesnastu przymurowanych do ścian. Rysunek kolumn oddzielnych, szczególniéj zasługuje na uwagę. Oparte są na ośmiobocznych podstawach, z których wychodzi wyżłobienie wijące się wzdłuż kolumny i otaczające ją jak powoj obwija drzewa; każde z nich kończy się tam, gdzie się zaczynają łuki sklepienia. Symetryczność z którą te linie prowadzone są bez przerwy, od dołu kolumny, aż do jéj szczytu, dokładność z którą się łączą z łukami tak, iż jedne zdają się bydź dalszym ciągiem drugich, tworzy dziwny widok, jednakże nie bez wdzięku i wytworności. Mała liczba okien oświecających tę salę i czworo drzwi prowadzących do niej, są w guście maurytańskim dosyć czystym i dosyć starannie wyrobionym.

Oprócz śladów architektury maurytańskiej, są także w Walencyi budowy noszące znamie architektury rzymskiej, a mianowicie bramy i mosty na rzecze Guadalaviar. Francuzi pod czas krótkiego pobytu w Walencyi, urządzili i ozdobili plac San-Domingo.

## NOWE DZIEŁO.

*Nowy Kalendarz powszechny na rok przestępny* 1836 *mający dni* 366. *Na wzór najsławniejszych Almanachów zagranicznych*, *a mianowicie wydawanego w Paryżu przez Towarzystwo uczonych*, *pod opieką i wpływem* 127 *Członków z Izby Parów i Deputowanych*, *tudzież* 150,000 *Korrespondentów;— zawierający: Pożyteczne wiadomości, wypracowane przez znakomitych Rodaków*, *z zastósowaniem do powszechnego użytku i głównych potrzeb kraju naszego*, *a w szczególności*: *wszelkiego powołania Gospodarzy*, *Urzędników*, *Kupców*, *Artystów*, *Przedsiębierców rękodzielń*, *Rzemieślników*, *zgoła dla każdego stanu*, *płci i wieku* (*ozdobiony rycinami*), *wydany przez Kajetana Lubicz Niezabitowskiego Czł. Tow. N. K. z U. J. p. M. O. P.* — *Warszawa*, *Cena Exemplarza złp.* 4 *na papierze pięknym; zł.* 3 *na papierze ordynaryjnym.*

Z postępem zdrowéj oświaty, zwrócono w kraju naszym uwagę na wszystkie drogi któremi ją upowszechnić można. Kalendarze, jako jeden z najważniejszych środków upowszechnienia pożytecznych wiadomości, nie uszły uwagi pisarzy rozsądnych i gorliwych o pożytek kraju. Jeźli porównamy teraźniejsze kalendarze, a mianowicie Nowy Kalendarz Powszechny i Kalendarz Gałęzowskiego, z dawnemi wyrobami Mechwalda, Puksztyj i t. p. powinszować sobie możemy uczynionego postępu, i życzyć aby

w innych rodzajach piśmiennictwa, podobny mógł nastąpić. Niegdyś, niedorzeczne przepowiednie o deszczu i pogodzie, jałowe koncepta, (skąd przysłowie, koncept z kalendarza) stare anegdoty, liche wiersze, powieści, których dalszy ciąg na drugi rok odkładany bywał, i byle jakie recepty gospodarskie bez braku nagromadzone, składały treść gospodarskiego kalendarza. W kalendarzach wyżej wspomnianych, każdy artykuł nosi cechę wytrawienia, rozwagi i względu na rzeczywisty pożytek. Takiemi zaletami odznaczał się na rok bieżący Nowy Kalendarz Powszechny, wydany przez P. Kajetana Niezabitowskiego; a mnogość materyałów, znaczna objętość i tanność w porównaniu z innemi kalendarzami, nadały mu niezaprzeczone nad niemi pierwszeństwo. Zachęcony sprawiedliwem pracy swojej ocenieniem, wydając tenże sam Kalendarz na rok drugi 1836, jeszcze więcej go ulepszył. Druk dał obszerniejszy, aby słabym i znużonym oczom dogodzić, a za to jeszcze o kilka arkuszy objętość kalendarza powiększył. Liczne ryciny, wzory machin i aparatów, z niemałym kosztem dołączone, służą do objaśnienia artykułów. Rozmaite stany, znajdą w tym kalendarzu stosowne dla siebie przedmioty. Gospodarzom, zalecamy obraz zatrudnień i korzyści gospodarowania wiejskiego; użycie chlorku do wygubienia gąsienic w ogrodach przyśpieszania wzrostu słabych roślin, i oczyszczenia stajni i obor; wiadomości potrzebne dla trudniących się hodowaniem bydła rogatego, w których wykazane są powody tak często panującej w kraju naszym zarazy na bydło; o użyciu liści drzew na karm dla owiec; o sposobach na wilki; wiadomości tyczące się rybołostwa; o położeniu budowli wiejskich, i t. d. Dla osób trudniących się przemysłem i handlem, ważny jest cały artykuł o chlorze i chlorkach; o wagach i sposobie bardzo prostym ważenia dokładnie bez żadnej pomyłki, nawet na wadze niedokładnej; o miarach i wagach państw Europy, a szczególniej polskich. Osoby lubiące zastanawiać się nad rzeczami krajowemi, znajdą w tym Kalendarzu wyjątek z dzieła *Historya prawodawstw Sławiańskich* przez W. A. Maciejowskiego, o handlu i przemyśle Sławian, a w szczególności w Polsce i Litwie i wyjątek z rękopismu *Badania starożytności Polskich i Ruskich* przez Kazimierza Wojcickiego, o zwyczajach i przesądnych podaniach ludu. Troskliwe matki niech się przejmą prawdami zawartemi w artykule *o pierwiastkowém wychowaniu dzieci*, przez Xawerego Rakowskiego Doktora M. i C. Dla wszystkich zaś stanów ważnym jest, zajmującym i użytecznym, *Upominek czyli poradnik w gospodarstwie domowém.*

Tak w ogólności skreśliwszy zarys przedmiotów zawartych w Nowym Powszechnym Kalendarzu na rok 1836, nie wahamy się wróżyć mu toż same powodzenie, jakiego doznał w pierwszym roku istnienia swego i wyrazić, że tak wydawca jakoteż współpracownicy, położyli zasługę dla oświaty krajowej przez użyteczny dobór przedmiotów, a dla literatury i języka przez czystą i przyjemną polszczyznę.

## OSTYAKOWIE.

Ostyakowie są ludem dzikim jeszcze, podlegającym berłu Rossyi. Chociaż liczba ich znacznie zmniejszyła się przez choroby dawniej im nieznane, a mianowicie przez ospę, jednakże tworzą najznaczniejsze pokolenie ze wszystkich mieszkających w okolicy Berezowa, w Gubernii Tobolskiej.

Ostyacy są po większej części średniego wzrostu, nie bardzo krzepcy, cerę mają bladą, twarz nieprzyjemną. Włosy pospolicie czerwonawe, czynią ich brzydszemi jeszcze, a zwłaszcza mężczyzn. Ubraniem tak mężczyzn jak kobiet, są kożuchy. Bogatsi tylko, noszą koszule.

Kobiety lubią sobie wykałać wierzch ręki i nogi. Mężczyźni wykałają sobie znak, którym są oznaczeni w xięgach, gdzie ich zapisują do opłaty daniny. Tenże sam znak służy za podpis tym, którzy nie umieją pisać. W chorobie każą sobie wykałać rozmaite figury na ramionach i innych częściach ciała i tyle mocy przypisują temu lekarstwu, ile Europejczycy bańkom.

Ostyaków uważać można jako lud rybaków, rybołostwo bowiem jest ich głównem zatrudnieniem tak w lecie jak w zimie, a ryby główną żywnością. Rybołostwo zniewala ich do prowadzenia koczującego życia. W lecie przenoszą się na miejsce obfitujące w ryby, lecz na zimę mają stałe mieszkania. W tym celu obierają w pobliskości rzek suche i wyniesione miejsca. Stawiają z belek czworoboczne chaty, zakopane do połowy w ziemi i zamiast dachu ziemią nakryte. Trzy lub cztery familie mieszkają razem. Pośrodku chaty palą ogień, przy którym gotują żywność, pieką i suszą ryby. Nie podobna wystawić sobie jak wielkie niechędóstwo panuje w tych chatach. W lecie jedzą surowe ryby. W ówczas, ich usta i suknie, wydają woń niezmiernie obrzydliwą. Nigdy nie krają ryby wzdłuż, ale w poprzek, sądząc iżby to nieszczęśliwy połów ściągnęło.

W zimie, Ostyakowie podobnież jak wielu innych ludów północnych, używają łyżew zrobionych z długich desek sosnowych, za ich pomocą biegną tak nadzwyczajnie szybko, że nie ma zwierza, któregoby do-

gonić nie mogli, zwłaszcza gdy śnieg tak stwardnieje że ich unieść może. Te deski, mają półtory stopy szerokości, a czasem aż do sześciu stóp długości, zagięte są u końców jak to widać na rycinie, wśrodku przeciągnięty jest rzemień który utrzymuje nogę. Człowiek opatrzony takiemi łyżwami, trzyma w ręku długi kij, zakończony u dołu albo okrągłą deską, albo też kołkiem z kilkoma promieniami, aby w śniegu nie wiązł. Odpycha się tym kijem, kieruje się, utrzymuje w biegu, i zatrzymuje się do woli. Tąż samą bronią myśliwi przebijają zwierze za którym pędzą; ale wtedy ma ostre żelazo na drugim końcu.



Jeźli nie łatwo wyobrazić sobie z jaką szybkością ślizgają się na tych wielkich łyżwach drewnianych; nie podobna także pojąć jak mogą utrzymać równowagę, zstępując z gór niezmiernie spadzistych i jak mogą na nie wstępować. Czynią to przecież ,ze zręcznością przechodzącą wszelkie wyobrażenie i tak im właściwą, że nawet kobiety i dzieci również umieją ślizgać się na tych łyżwach jak ludzie dorośli. Odwiedzają krewnych swoich, i tym sposobem odbywają najdłuższe i najtrudniejsze podróże.

Tytuń jest wielkim zasiłkiem dla Ostyaków na łowach w porze zimowej, pod czas których wystawieni są na najgwałtowniejsze zimno, na wszystkie dolegliwości, a nawet na głód. Palą go, a najczęściej zażywają utarty na proszek. Ponieważ nigdy nie jest dla nich dosyć mocny, mieszają go z popiołami alkalicznemi.

Jak wszystkie ludy nieoświecone, Ostyakowie niezmiernie są zabobonni. Kichanie w wilią łowów, jest u nich znakiem pomyślnym; kichanie w dzień łowów, jest przeciwnie tak złą przepowiednią, że większa część woli w tym dniu wstrzymać się od polowania. Ostyakowie są jeszcze bałwochwalcami.

---

Nie tylko dzicy Ostyakowie używają łyżew do prześlizgiwania się z miejsca na miejsce. W Norwegii urządzono regiment łyżwiarzów, o którym taką znajdujemy wiadomość.

## *Regiment łyżwiarzy w Norwegii.*

Nie możemy udzielić naszym czytelnikom interessowniejszéj i rzadszej wiadomości, jak dając opis jednego oddziału wojska norwegskiego, *Skielober-Corpset* zwanego. Na północy nawet niedokładne mają o nim wyobrażenie. Jest to korpus jedyny może na okręgu ziemskim, o którym dotąd nie miano dokładnéj wiadomości, lubo ze wszech miar na nią zasługuje. Artykuł ten wyszedł z ręki jednego zacnego oficera, który ze wszech miar wiary jest godzien.

Nazwisko *Skielober*, Łyżwiarz, pochodzi od wyrazu *Skie*, co znaczy deskę długą, wązką i cienką, która się uwiązuje do nóg, dla ślizgania się po śniegu.

Wiadomo; że Norwegiia przez cztery lab pięć miesięcy w roku okryta jest śniegiem, który w odległości kilku mil od brzegów morskich, tak obficie spada, że jest rzeczą niepodobną zejść z gościńca bitego, czy to konno czyli pieszo; sam nawet gościniec potrzeba natychmiast torować, skoro nowy śnieg spadnie: używają na ten koniec narzędzia postaci pługa, na przodzie zwężonego, a coraz bardziéj rozchodzącego się ku tyłowi. Narzędzie to ciągnione od koni, kruszy i ubija śnieg, torując tym sposobem drogę.

Pomimo te wszystkie trudności; myśliwstwo było zawsze najpospolitszą rozrywką mieszkańców tego kraju, niegdyś obfitującego w zwierzęta drapieżne, a do tych czas mającego podostatkiem jeleni, sarn, danielów i drobnéj zwierzyny: prócz tego, zatrudnienie takowe, zdaje się niejako bydź koniecznem przy tak krótkich dniach, a długiéj zimie. Bez wątpienia, od dawnego czasu musieli Norwegiianie myśleć jakimby sposobem mogli z chat swoich wychodzić i przebiegać lasy z łatwością i prędkością. Sposob ten podały *Skier* czyli łyżwy. Wy-

staw sobie dwie deszczułki szerokości dłoni, grube na mały palec, spodem cokolwiek wydrążone, aby stojący na nich człowiek, nie chwiał się, i mógł niemi wprost kierować. Deszczułka przywiązana pod nogę lewą, ma dziesięć stóp długości, a sześć stóp pod prawą, obiedwie w końcach są zakrzywione w górę, bardziéj jednak wyniesione z przodu, niżeli z tyłu. Przywięzują się do nóg dwiema rzemieniami przez ich środek przechodzącemi: przeto też deszczułki w miejscu, gdzie jest rzemień, są cokolwiek grubsze. Łyżwa nogi prawéj jest częstokroć powleczona skórą rena, albo przynajmniej skórą psa morskiego: tym sposobem posuwają na przemian w linii prostéj nogi uzbrojone łyżwami, skóra dla sierci bardzo śliska, opiera się jednak, i daje mocniejszy pęd, kiedy się człowiek nogą w przeciwną stronę oprze, tym sposobem sierć się należy.

Jest rzeczą niezawodną, że należycie wprawny łyżwiarz, byle tylko śnieg miał cokolwiek tęgości, prędzéj i dłużéj po równinie bieżeć może, niżeli dzielny koń idąc truchtem po najlepszéj drodze. Jeżeli mu przyjdzie zbieżeć z góry, czyni to z taką szybkością, iż musi cokolwiek wstrzymywać bieg swój aby tchu nie utracił. Pod górę idzie wolniej i z niejaką trudnością, gdyż musi iśdź w zygzag: jednakże stanąć może na wierzchołku w tymże czasie, w którym człowiek pieszy: wreście, byle śnieg miał cokolwiek tęgości, nogi nie zapadają.

Gdy się z doświadczenia okazało, że pomimo przeszkod z srogości zimy wynikających, Norwegiia była często w téj porze roku od nieprzyjaciół napadana; naturalnie trzeba było pomyśleć o uformowaniu milicyi Łyżwiarzów, gdy zwłaszcza takowy biegania sposób był powszechnie używany.

Oddział ten wojska 960 głów zamykający składa się z dwóch batalionów; jeden na Norwegią północną, drugi na południową, mundur i oręż jest następujący: kamizelka zielona, surdut szary z kołnierzem żółtym, pantalony szare, czapka skórzana czarna, karabin rzemieniem zawieszony na ramieniu, szeroki kordelas i kij długi na półczwarta łokcia, a przeszło na cal gruby, którego koniec zaostrzony żelazcem. Niedaleko od końca otacza go sztuka żelaza w formie pierścienia; służy on do wstrzymywania się bieżąc z góry; łyżwiarz kładzie wtenczas kij między nogi, i ciągnie go z sobą: albo się nim popycha na przód, kiedy idzie pod górę; wreście używa go, jak potrzeba i okoliczności wymagają. Tenże kij służy prócz tego za podporę do karabinu, kiedy łyżwiarz chce wystrzelić.

Korpus łyżwiarzów zatrudnia się zwyczajnie polowaniem, lecz ma bydź uważany jako część milicyi lekkiej, któréj wszystkie powinności odbywa, i tém się tylko od niéj różni, że używa łyżew, w czém ma przed innemi wielką korzyść. Łyżwiarze szybko bieżący, bezpieczni od ścigania tak piechoty jako i jazdy, byle tylko śniegu było podostatkiem, mogą ścigać kolumnę nieprzyjacielską w marszu i napastować ją ustawicznie z obu stron drogi, bez narażenia się na jakiekolwiek niebezpieczeństwo. Wystrzał nawet z armat nie uczyniłby żadnego skutku na łyżwiarzach rozproszonych, w odległości dwóch set lub trzech set kroków, i którzy prócz tego tak szybko biegają, że jak błyskawica ukazują się i nikną.

---

## PODROŻE WYGNAŃCA.

(Barona d'Hausses.)

### HOLANDYA. (Dalszy ciąg.)

*Malarstwo.* Dawno już przeminęły te czasy, kiedy Holandya obfitowała w wielkich malarzy. Flandrya bardziéj nie zaś miściwa Holandya posiadała najznamienitszych artystów. Upodobanie w sztukach rzadko gnieździ się tam, gdzie przeważa namiętność zysku. W miastach handlowych i portowych nie rodzą się wielcy malarze, i kompozytorowie muzyczni. Tam oddają się sztukom pięknym tacy tylko ludzie, którzyby nie zdołali wnieść się aż do talentu robienia majątku. Zbogaceni spekulanci wypłacają dług sztukom pięknym, kupowaniem obrazów, zwoływaniem muzykantów, ale to jest jedyna zachęta, jakiéj udzielają sztukom pięknym.

Widziałem w Holandyi bardzo kosztowne zbiory obrazów. Wszystkie składały się z dzieł dawnych mistrzów. Nie wiele utworów tegoczesnych, chyba dla wykazania wyższości dawnych, znajduje się między niemi. Teraźniejsza szkoła: jeżeli można dać to imie artystom, którzy płotno powlekają kolorami bez jedności systematu, środków i celu, bez umówionego planu, bez człowieka z geniuszem, któryby dał sztuce jakiśkolwiek popęd: wydaje tylko małe krajobrazy, albo sceny morskie. Jedynie zachowała koloryt i dokładność rysów, właściwe dawnym mistrzom.

*Muzyka.* Muzyka w Holandyi polega na wygrywaniu, poprawnem ale bez zapału i czucia, utworów muzycznych innych krajów; są to po większéj części arye i kompozycye francuzkie. Uważałem przy tém, że dla szczęścia jakiego ludu nie potrzeba koniecznie aby posiadał doskonałą organizacyą muzykalną; nie istnie ona bez zbytniéj drażliwości, niebezpiecznéj, gdy zwróci się do innych wyobrażeń i myśli. Wdzięczne arye francuzkie źle śpiewają w Holandyi lecz wesoło.

*Sztuka teatralna.* Holandya, posiada jak mi powiadano, bardzo piękne tragedye i komedye. Nie mogę o tém sądzić nie znając języka holenderskiego, a mimo wszelkich usiłowań, nie mogłem dostać ich przekładu. Bywałem jednakże w teatrach i z wielkiem podziwieniem mojém, rozumiałem prawie wszystko, gdyż widziałem same tylko tłómaczenia sztuk francuzkich. Szczególniéj z repertoaru melodrammów paryzkich i wodewilów, *pracownicy* holenderscy biorą nie tylko przedmioty, ale i wszystkie szczegóły i dowcip, a często i niedorzeczności sztuk swoich. Uważałem prawdziwy talent mimiki i wyrazu twarzy niektórych aktorów, a zwłaszcza w rolach wystawiających obyczaje niższéj klassy ludu. Te obyczaje schwycone były zręcznie i wystawione wiernie. W rodzaju patetycznym, widziałem aktora i aktorkę, którzyby grać mogli na najpierwszych teatrach Francyi.

## §. VIII.

### WOJSKO, MARYNARKA.

Rząd holenderski, zmuszony okolicznościami, utrzymywać wojsko większe nad możność i ludność kraju, czynił co tylko było w jego mocy, aby ten ciężar ulżyć. Nie zaniedbano żadnego rodzaju oszczędności, a przecież organizacyą wojska urządzono w ten sposób, że mu nadano siłę i potęgę do jakiéj tylko zdolném bydź może.

Zaciąg do wojska uskutecznia się przez konskrypcyą. Wiek popisowy zaczyna się z dziewiętnastym rokiem życia. Czas służby trwa lat pięć; tak więc żołnierz holenderski opuszcza szeregi wtedy właśnie, kiedy wprawa i zupełne rozwinięcie sił fizycznych czyniło go najzdolniejszym. Jest to ważna niedogodność.

Dwanaście okrętów liniowych, ze dwadzieścia frgeat i wielką liczba mniejszych statków, których kształt i uzbrojenie są takie aby raczéj do obrony, nie zaś do wojny zaczepnéj służyły, tworzą silną flottę. Marynarkę także będzie można zmniejszyć znacznie, skoro tylko ustaną okoliczności które pociągnęły za sobą to nadzwyczajne rozwinięcie siły. Okręty są jak najlepiéj utrzymane, a marynarze okazali dowody biegłości w służbie i odwagi.

## §. IX.

### DUCH PUBLICZNY.

Powolny charakter Holendrów nie mało przykłada się do utrzymania porządku i spokojności w kraju. Holendrzy nie lubią spekulacyjnych wyobrażeń, szukają tego co im przynosi rzeczywisty pożytek i nie wdają się w awanturnicze nowości. Zawód publiczny nie doprowadza tam do zrobienia majątku, nie ma więc ludzi, którzy jak we Francyi i Anglii, dla tego stanowią opozycyą przeciw rządowi, aby sami zajęli stopnie swoich przeciwników. W kraju tym, gdzie majątek jest wszystkiém, a świetność niczém, nie wielu porzuca jeden zawód aby się chwytać drugiego. Prowadzą przeto interesa kraju jak swoje własne, ile możności jak najłagodniéj, bez wstrząśnienia, spokojnie, roztropnie, nie pytają kto je prowadzi i pod jakim kształtem, byleby tylko szły dobrze. Nie ma zatém téj sztucznéj niechęci przeciw ministrom i ich systematowi. Zupełna zgodność panuje między dworem królewskim, wolnym od przepychu, a izbami nie zbyt licznemi; administracya kraju tak cicho i zwolna idzie jak jéj statki po kanałach, które kraj przecinają. Nic nie idzie z pośpiechem, ale wszystko stawa u celu. Holandya jest jeszcze tém czém była przed dwoma wiekami, poprzestaje na swojém położeniu i mądrze czyni nie chcąc go zmieniać.

## §. X.

### OBYCZAJE I ZWYCZAJE.

Holendrzy odróżniają się od innych ludów przez to, że u nich ciągle na jednym stopniu pozostaje cywilizacya, obyczaje i instytucye. Wyłączywszy pierwsze klassy towarzystwa, wszędzie znajdziemy też same kobiety które służyły za wzory sławnym malarzom holenderskim wieku szesnastego, bądź to w miastach, bądź na wsiach, w salonach, za oknami, gdzie za pomocą zwierciadeł przypatrują się ludziom przechodzącym przez ulice. Są to te same stroje na głowę, tenże sam krój sukien. Znajdziemy nawet ten sam wyraz twarzy i ciekawość, która przywiązując się do wszystkiego, zastępuje działanie imaginacyi nie zdolnéj nic utworzyć.

Piękność kobiet holenderskich polega szczególnie na wielkiéj białości i delikatności skóry, ich rysy są regularne, lecz bez wyrazu i bez życia. Kobiety klass majętniejszych umieją po angielsku, francuzku i niemiecku, i znają literaturę tych narodów. Skłonne są do przyjmowania grzeczności cudzoziemców, zapewne dla tego, aby zachęcić swoich współziomków do podobnychże względów. Lecz dotąd daremne były ich usiłowania i nie zdołały zmienić obyczajów, na które użalają się słusznie.

Wychowanie ludu urządzone jest w ten sposób, iż od każdéj klassy usuwa żądzę i środki gwałtownego wyniesienia się, któ-

eby mogło zakłócić towarzyski porządek. Każdy robotnik umie czytać, pisać i rachować. Nabycie tych wiadomości zajmuje dzieci, dopóki nie zaczną uczyć się rzemiosła.

W Holandyi wszystko jest spokojne, wszystko wzywa do spokojności. Ziemia płaska, rzeki powolnie płynące, jednostajność krajobrazów, wszystko to wpływa na charakter narodowy. Wpływ ten okazuje się wszędzie. Bądź to w mowie bądź to w działaniu, widać powolność, cierpliwość i obojętność na mnóstwo wrażeń, któreby w każdém innym kraju, mocne wzruszenie zrobiły. U Holendrów interes jest bardzo mocną namiętnością, a przecież postępują z rozwagą i bez pośpiechu. Co tracą na pośpiechu zyskują na wytrwałości. Dążą do celu nie tracąc drobnych szczątków, które gdzie indziej trwonią bez uwagi. Więcéj rachuią na mały a pewny zarobek, niżeli na wielkie zyski podległe przypadkowi. Mało wydawać, jest dla Holendrów zasadą rachuby.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

---

## CZERWONAK.

Ten ptak należy podług Zoologii Jarockiego, do pokrewieństwa ptaków brodzących (Hygrobatae). Tenże naturalista tak o nim pisze.

»Dziób dłuższy niż głowa, gruby, wyższy niż szerszy, kolankowato czyli złamano zgięty. Szczęka wierzchnia szczuplejsza niż spodnia, przy osadzie trójgraniasta, a po zgięciu na wierzchu płaska, z podniebieniem ostro wystającém. Brzegi (mianowicie szczęki wierzchniéj) ostro karbowane. Policzki i podbrodek nagie. Nogi soszkowate, bardzo wysokie. Palce przednie przykrótkie, prawie całe błoną spięte. Palec tylny bardzo mały. Pazury grube, krótkie, n. p. Phoenicopterus ruber.

»Dotąd znamy dwa gatunki *Czerwonaków*. Z tych gatunek za przykład podany, znajduje się w czterech dawniéj znanych częściach ziemi, i w czasie upałów lata posuwa się w Europie czasem daléj niż do czterdziestego stopnia szerokości jeograficznéj. Dowodem tego jest piękny exemplarz w *Zbiorze Zoologicznym w Warszawie*, który zastrzelono 1811 r: w okolicy Strasburga. Gatunek drugi żyje wyłącznie w Azyi południowéj.

»*Czerwonaki* rosną do trzeciego roku; a w piątym dopiero dostają najpiękniejszą ponsową barwę. Zmieniają więc kilka razy w życiu, maści ubarwienia w ten sposób: w pierwszéj młodości są niemal zupełnie białe z słabo różowemi skrzydłami; późniéj stają się blado różowe z ponsowemi skrzydłami: daléj przybierając po każdém wypierzeniu coraz czerwieńsze pióra, stają się nakoniec całe ponsowe. W ostatniém ubarwieniu są bardzo rzadkie.

»*Czerwonaki* żywią się robakami, owadami, tudzież drobnemi gadami, płazami i rybkami, które z głębi wód wydobywają. Niektórzy pisarze twierdzą, że *Czerwonak* chcąc połknąć jaką zdobycz, musi dziob do góry brodą przekręcić. O kształcie ich gniazd i o sposobie wysiadywania jaj, czytamy wiele zadziwiających podań, które podług wszelkiego podobieństwa są zbytnie przesadzone, a tém samém potrzebują potwierdzenia.»

Szczegóły nie objęte w Zoologii Jarockiego, przytaczamy z Mozaiki francuzkiej.

Czerwonaki chodzą zawsze gromadami i stawają rzędem nad wodą dla chwytania ryb; ten zwyczaj zachowują i wtedy gdy spoczywają na brzegu. Rozstawiają także czaty, bądź to pod czas połowu ryb, bądź to pod czas spoczynku. Na widok niebezpieczeństwa, Czerwonak stojący na czatach, wydaje krzyk dosyć podobny do dźwięku trąby. Wtedy zrywa się cała gromada i odlatuje w tym samym porządku jak żórawie. Mimo téj ostrożności Czerwonaków, podróżni powiadają, że jeźli kto je zejdzie niespodzianie, z przestrachu stoją nieporuszone i osłupione tak, iż myśliwy może pozabijać jedne po drugich.

Ptak ten składa jaja na niskich i bagnistych miejscach. Buduje gniazdo nad wodą, używając do tego mchu i gliny, i wynosi je na dwadzieścia calów w kształcie ostrokręgu, ściętego u góry. Wierzch jest wklęsły i tam składają dwa lub trzy jaja białe, wielkości jaj gęsich i tylko nieco podłużne. Ponieważ Czerwonaki nie mogą składać pod siebie długich nóg swoich, siadają więc dla wylęženia jaj na tym wzgórku co go sobie usypały, a nogi wiszą po jego obu stronach. Młode nie mogą latać dopóki nie urosną zupełnie, to jest dopiero po dziesięciu lub jedenastu miesiącach; jednakże biegają szybko w kilka dni po wykluciu.

Schwytane w gnieździe Czerwonaki, prędko się oswoją, bo chociaż są bardzo dzikie w stanie swobody, jednakże w stanie domownictwa przywiązują się do ludzi. Pewien podróżny, który widział w Ameryce, oswojone Czerwonaki, utrzymuje, że jedzą częściéj w nocy niż w dzień, chleb który im dają moczą w wodzie, są bardzo dotkliwe na zimno i zbliżają się do ognia tak, iż nieraz poparzą sobie nogi, mało spią i spoczywają tylko na jednéj nodze, a tymczasem drugą podnoszą do góry, nareście gdy stracą władzę w jednéj nodze, skaczą na drugiéj, podpierając się dziobem. Czerwonaki oswo-

http://rcin.org.pl



CZERWONAK.

jone, nie długo żyją w naszym klimacie i nie chcą się mnożyć.

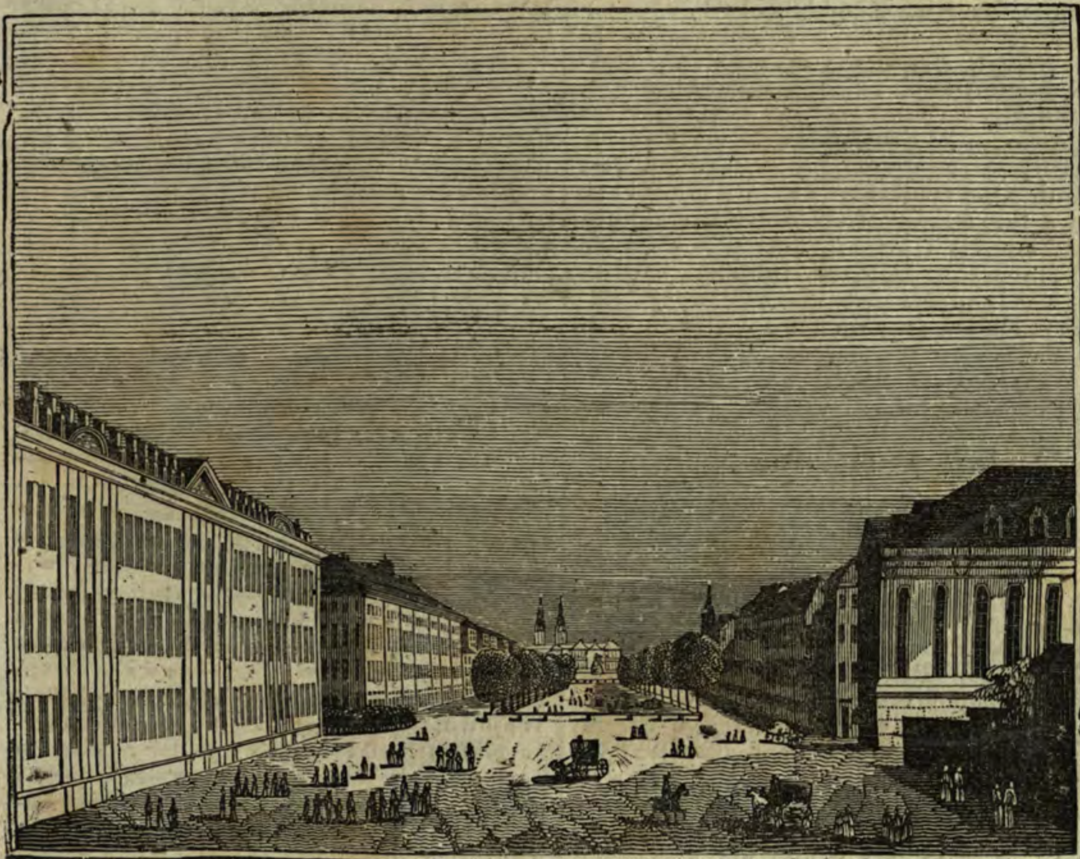
Starożytni mówili o mięsie Czerwonaka jako o wybornéj zwierzynie. Juwenalis między przykładami nadzwyczajnego zbytku, przytacza szaleństwo tych, którzy na stołach swoich zastawiają rzadkie ptaki ze Scytyi i przepyszne Czerwonaki. Najsławniejszy gastronom starożytności, Apicyusz, odkrył że język tego ptaka posiada smak wyborny. Między zbytkami Heliogabala, przytaczają i tę że na stole swoim kazał zastawić potrawę zrobioną z samych języków Czerwonaków. Marcyalis w epigrammatach swoich powiada, że piękne pierze tego ptaka, zajęło wzrok Rzymian, a jego język stał się łupem żarłoków, jak gdyby zdołał podrażnić ich smak zepsuty, podobnież jak harmonijny język słowika, druga ofiara żarłoczności Rzymian.

Niektórzy tegocześni podróżni, chwalą także mięso Czerwonaka; lecz inni, a tych jest większa liczba, przyznają że jest oleiste i nieprzyjemnie trąci bagnem. Pan Geofroj de Saint-Hilaire powiada, że tak znaczną liczbę tych ptaków zabijają w Egipcie, iż niemi zapełniają statki; przedają je bez języków, z nich bowiem wyciskają tłuszcz który służy do przyprawy rozmaitych potraw.

Powszechnie zgadzają się co do ceny i użyteczności puchu Czerwonaka, który służy do tegoż samego użytku co i puch łabędzia. Indyanie robią z jego piór naszyjniki, czapki, pasy i inne ozdoby.

http://rcin.org.pl

# DREZNO.



ULICA NA NOWÉM MIEŚCIE W DREZNIE.

Francuzkie Muzeum i Mozaika, umieściły każde z nich po jednym widoku miasta Drezna. Muzeum poprzestało na téj wzmiance, że *Drezno jest stolicą Saxonii i leży nad Elbą*?!! W Mozaice jest cokolwiek obszerniejszy, ale również bardzo niedokładny artykuł. Drezno daleko więcéj może zajmować nas, niżeli Francuzów, z resztą, redakcya przyjęła tę zasadę, aby ile możności dawać zupełny opis przedmiotu którego ryciny załącza; z tego powodu poświęca większą część dzisiejszego zeszytu opisowi Drezna, czerpanemu z rozmaitych najnowszych źródeł.

W ciągu wieków dzisiejsze Saxońskie krainy przez różne przechodziły ręce. Ta właśnie okolica, w któréj jest Drezno, i cały kraj między Elbą i Salą, długo jeszcze po n. C. od Sorabów czyli Serbów, ludu sławiańskiego, były zamieszkałe; a zanim religia chrześciańska prawdą i pięknością swoją do ich serc trafiła, równie na brzegach czystéj Elby, jak nad szerokiéj Wisły nurtami wzywany był bóg światła *Swantewit*, *Jutrebóg* bóg jutrzenki, *Bilbóg* biały bóg, początek wszelkiego dobra, *Czernbóg* źrzódło złego i inne Sławian bożyszcza; i dziś jeszcze niektóre saxońskie miasta i wioski, a zwłaszcza rzeki, jako to: Ostra, Sala, Elstra, Biela, sławiańskie zachowały nazwy; a co więcéj, w jednéj części wyższéj Luzacyi, w okolicach miasta Bautzen, mieszka jeszcze do 34,000 Wendów, potomków owych Serbów, którym język i obyczaje sławiańskie dotąd jeszcze zostały; w sąsiedniém zaś xięztwie Altenburgskiém, wieśniacy strój nawet sławiański zachowali.

Pierwsze państwo teraźniejszych krain saxońskich, którego xiążęta głośnymi się stali, była Miśnia. Jéj stolica Meisseu, dziś sławna fabryką porcelany, istnieje dotąd o dwie mile od Drezna i rachowania jest do najdawniejszych miast niemieckich. Xiążąt Miśnii zwano margrabiami.

W przeciągu lat Miśnia w xięztwo saskie przeszła; xiążęta tego rodu lubo nie tak już potężni jak dawniejsi, jeszcze znaczne posiadali dzierżawy, jakoto Turyngią i inne pomniejsze krainy; te wszystkie odziedziczył, w początkach piętnastego wieku, Fryderyk, wojownikiem przezwany, założyciel uniwersytetu w Lipsku; a cesarz niemiecki

Zygmunt zawdzięczając mu dzielną pomoc, jakiéj od niego w wojnie religijnéj z Hussytami w Czechach doznał, wszystkie te posiadłości wyniósł do godności elektoratu (Churstaat), Fryderyka zaś roku 1426 elektorem czyli kurfirsztem saskim mianował.

Po nim nastąpił podział krain saskich na dwie linie, Ernestowską i Albertyńską. Dzisiejszy dom panujący w Saxonii, jest z linii Albertyńskiéj. Tak dla miasta jak dla całego kraju, wiele uczynili elektorowie Maurycy i August, bracia, w połowie XVIgo wieku panujący. Od początku wieku XVIIIgo niszczyły Saxonię wojny Karola XII. z Augustem II. a następnie wojny Fryderyka Wielkiego.

Wszystkie te klęski, a za czasów bliższych jeszcze, skutki ostatnich wojen Napoleona, zagoił elektor, późniéj król Saski, Fryderyk August. Pamięć jego cnot publicznych i domowych, dobrodziejstw zlanych na kraj cały, w późne wieki przetrwa w sercach wdzięcznych Saxonów.

Fryderyk August od pierwszéj młodości objawiał te wysokie i czyste cnoty, które późniéj w czasach głębokiéj i przewrotnéj polityki miały mu pozyskać przydomek sprawiedliwego. Prawdziwie pobożny i moralny, na cnotach domowych założył podstawę cnót publicznych i monarszych. Stryja, Xawerego do śmierci kochał, szanował jak ojca, i zawsze powtarzał, że mu wszystko winien. Dnia 17 Maja 1769 pojął za żonę xiężniczkę Dwu Mostów, Maryą Amelią Augustę, z którą żył więcéj niż pół wieku w niczém niezachwianéj miłości i zgodzie; 21 Czerwca 1782. powiła mu córkę Maryą Augustę; więcéj dzieci nie mieli, ale cały naród saski był dla nich własném i ukochaném dziecięciem. Otoczeni zacnymi stryjami, braćmi, w najzupełniejszéj żyjąc z nimi zgodzie, kosztując słodyczy pięknéj natury i niewinnych jéj uciech, dwór, a raczéj rodzina Fryderyka Augusta, była obrazem prostych cnot domowych i pospolitego szczęścia. Przykład ten zbawienny miał wpływ na obyczaje i moralność Sasów; każdy w domu swoim starał się zgodą, porządkiem, oszczędnością, cnotami dobrego syna, męża ojca, brata, zamiłowaniem natury, skromnością uciech, dopełnieniem obowiązków, monarchę swego naśladować, wpływ ten trwa dotąd i wiele zapewne się przyczynił do ukształcenia Sasów na jeden z najmoralniejszych ludów na ziemi.

Nie masz żadnéj wątpliwości, że nadobna okolica, w któréj Drezno rozłożone, od niepamiętnych czasów zamieszkaną była, lubo nie tak są dawne tych mieszkań ślady. Wiadomo jednak, że w tém samém miejscu Serbowie mieli znaczne osady swoje, które wraz z rzeczkami, tu do Elby wpadającemi, zwali Ostra, Wizrica i t. p., a wcześnie przez te strony szła droga publiczna, gościniec. Kiedy te osady w jednę większą się złączyły? kiedy i z jakiego powodu Droznem ją nazwano? O tém nikt nic pewnego nie wyrzekł. Są atoli ślady, że w roku 1206 już to miejsce tak zwano i już miastem, a nawet poniekąd grodem było. Należące naprzód do biskupstwa Miśnii, późniéj margrabiom się dostało. Otto bogaty, wystawił tu pierwszy zamek, którego dziś już znaku nie ma, a Henryk od roku 1270, jak wiemy z historyi, stale mieszkać zaczął. Odtąd miasto rość zaczęło w domostwa i sławę; bo wabił lud pobożny, cudowny z wosku matki Zbawiciela obraz w jéj kościele będący i ułamek drzewa krzyża świętego w drugim domu Bożym przechowywany. Od dawna oba brzegi Elby zamieszkałe były, jednak pierwéj i więcéj lewy, gdzie i dziś znakomitsza jest część miasta. Ale Drezno dopiero prawdziwie wzrastać zaczęło i w piękne zdobić się gmachy, kiedy po przypadłym w roku 1484 krajów saskich podziale, wyniesione zostało na godność stolicy jednéj ich połowy i na stałe mieszkanie xiążąt z albertyńskiéj linii. — Jerzy Brodaty w roku 1520 założył pierwsze porządne wały obronne, i wystawił zamek, który dotąd stoi. Wojownik Maurycy, wałom i bramom starego miasta nadał kształt i postać, jakie do nowych zachowały czasów. — Bratu jego i następcy Augustowi, podobnie jak cała Saxonia tak i Drezno winno najwięcéj; on dawne ulice uporządkował, wytknął nowe, wzniósł, jak wiemy, wiele pożytecznych gmachów. Każdy z elektorów coś dodał do ozdoby i pożytków Drezna, każdy zbiory rozpoczęte przez Augusta pomnażał. W czasie trzydziestoletniéj wojny, część miasta, na prawym brzegu Elby będąca, także obwarowaną została; po przywróconym pokoju, elektor Jan Jerzy II. znacznie miasto całe rozszerzył i upięknił. Lecz co do wydatnych gmachów, zbytkowych, w oko wpadających zakładów, co do drzewnych ulic swoich, ta stolica najwięcéj dziękować winna ostatnim trzem Augustom. Oni uczynili, iż należy, jeśli nie do największych, to przynajmniéj do najpowabniejszych miast niemieckich. Za panowania Augusta II pożar wielki zniszczył w roku 1724 prawie wszystkie domy na prawym brzegu Elby będące; powstały nowe z popiołów w lat kilkanaście, powstał piękny tak zwany pałac japoński i odtąd téj części nazwisko nowego miasta dano, a przy tamtéj został przydomek starego. Tenże August w roku 1724 nakreślił plan trzeciéj części miasta i od pierwszego imienia swego ją nazwał; lecz planu tego w połowie tylko dokonano.

Zdaniem powszechném dzisiejsze Drezno

http://rcin.org.pl

zarobiło nawet wiele na spustoszeniu dawniejszego w wojnie 1813. Wały i mury w około starego i nowego miasta będące, zmieniono na miejsca przechadzki; zrzucone bramy otworzyły widoki; przybyło wiele ślicznych letnich mieszkań, niezliczone mnóstwo ogródków. Te dodatki, złączone z tém, co natura dla téj stolicy uczyniła, postawiły ją w rzędzie prawdziwie pięknych miast drugiego rzędu; bo należy wiedzieć, iż położenie Drezna jest bardzo nadobne i chwalą je nawet ci, którzy większe stolice widzieli.

Drezno wydaje się najpiękniéj wjeżdżającemu od Szląska. Nie widząc go jeszcze, już więcéj o milę uprzedzają dobrze podróżnego kształtne i uprawne góry, lasy starannie utrzymane, domy letnie z ogrodami, kamienne mosty i ogrodzenia; gdy się ukaże, dotrzymuje wszystkiego, co okolice obiecywały.

Nie jest wielkie, w wieże i w starożytne budowle ubogie, ale massy wysokich domów murowanych, most kamienny na arkadach z krzyżem Zbawiciela w środku, czysta i wspaniała Elba, zawsze napełniająca swe zielone brzegi, po obudwóch jéj stronach góry różnéj wysokości i barwy, bliskie i dalekie, które zdają się okrążać całe miasto i trzymać je jakby w opiece, drzew bez liczby, wszystko to razem widok Drezna prawie zachwycającym na pierwszy rzut oka czyni. Wyznać też należy, iż zręczny układ sprawia, że przyjeżdżającemu, ukazuje się z kolei prawie to wszystko co ta stolica ma najpiękniejszego; mieszkania i pałacyki letnie z ogrodami, potrójna szeroka i bardzo ludna ulica drzewami wysadzana, udatne i wielkie rządowe zabudowania, posąg Augusta II., poważna, napełniająca zielone swe brzegi Elba, płynące po niéj statki z żaglami, most, a za nim pyszny kościół katolicki, zamek królów, kopuła z koroną Zwingeru, wieża święto-krzyzka, taras Bruhla z wspaniałemi schodami, kościół Panny Maryi, najcelniejsza Drezna ozdoba, wszystko to razem oczy wędrowca uderza i zająć go musi.

Drezno ma, przeszło 60,000 mieszkańców, do sta ulic, blisko dwadzieścia kościołow, sześć bóżnic, prawie trzy tysiące domów. Dzieli się na trzy główne części: stare miasto *Altstadt* z trzema przedmieściami; *Friedrichstadt* oddzielone od starego rzeczką Wizricą, złączone nowym kamiennym mostem i *Neustadt* nowe miasto, na prawym brzegu Elby. — Stare miasto jest częścią najznakomitszą i właściwie miasto stanowi; w niéj zamek, najpiękniejsze kościoły, teatr, sklepy, składy, zbiory, resursa, poczta, bióra, xiążęce i pańskie pałace, wyższych urzędników i posłów zagranicznych mieszkania, najznakomitsze domy zajezdne, jako to: *Stadt Berlin*, *Hotel de Saxe*, *Hotel de Pologne*, *Złoty anioł* i inne. Przestrzeń, gdzie to wszystko właściwie się zamyka, jest tak szczupła, że mieszkając tu w zimie, dziwić się przychodzi iż tak do wszystkiego i do wszystkich blisko i to stanowi wielką przyjemność pobytu w tém mieście w złéj porze. Dopiero jak wiosna nadejdzie i każdy szuka na wolniejszém powietrzu mieszkania, nie uważając już w któréj części miasta, Drezno okazuje się większe, ale już nie tyle towarzyskie. Stare miasto, a jakby je także nazwać można, zimowe, będąc nie dawno jeszcze fortecą, ma domostwa bardzo ścieśnione i wysokie, a ulice wązkie i nie długie. Domy stawiane jeden około drugiego, mają często po sześć i siedem piątr; mieszkać na trzeciém, jest rzecz bardzo pospolita nawet dla majętnych osób. — Dzięki jednak ochędóstwu Niemców, wszędzie w najciaśniejszym zakątku zawsze jest czysto i zawsze sucho. Do téj korzyści przyczynia się także szczęśliwe położenie miasta i dobre od początku urządzenie. Z pobliskich gór wychodzą rzeki, z których wody zbierane w trzy wielkie składy i prowadzone rurami, każdy prawie dom opatrują; ztąd ułatwiona czystość. Prócz tego, tak zwanych *rynsztoków* wcale nie ma; porobione ścieki między wybornemi chodnikami z gładkiego kamienia,jedynie prędsze osuszenie na celu mają; kanały są podziemne, idą pod całém miastem środkiem ulic; co kilkanaście kroków jest otwór dla częstego ich przeczyszczenia, przykryty szczelnym mostkiem. Do tych kanałów, otworami najczęściéj w podwórzach lub w sieniach domów będącemi, wchodzą wszystkie nieczystości, nie rażąc niczyich oczów. Trudno też zapewne czystszego widzieć miasta jak Drezno i to o każdéj porze, tak w jesieni jak na wiosnę. W zimie śnieg jak najstaranniéj bywa zmiatany, a troskliwość o wygodę mieszkańców taka, że w czasie ślizgawicy, ścieszki wysypują piaskiem lub trocinami. Ztąd pochodzi, że mało kto jeździ powozem i w całém mieście niezmierna spokojność panuie. Nie zobaczysz nędzarza w łachmanach,brudnego żyda, rozczuchranych dziewcząt, obszarpanych kobiet, wszyscy porządnie, chędogo, niemal jednostajnie ubrani. Nie razi oko przyjaciela ludzkości widok tych żyjących śmierci, téj obrzydliwéj nędzy, która taki wstręt wzbudza. Na całą ludność drezdeńską jest tylko osiemset żydów, a tych jeszcze rozpoznać trudno, bo zupełnie tak ubrani jak chrześcianie. Owocem pracowitości i porządku mieszkańców, wielu zakładów do-

broczynnych i téj trudności jaka jest w każdym Niemcu do wydania choćby szeląga, żebraków z rzemiosła zdaje się, że wcale nie ma. Choć zdarzy się, że cię kto o jałmużnę poprosi, to dla tego ochędożnie ubrany i bardzo dobrém wyrachowaniem: łachmany i odrażająca powierzchowność, nie zostały tu uznane jako środki do serc rozczulenia.

Równie jak mało ubóstwa, tak i zbytku mało. Prócz dworskich karet, powozów zagranicznych posłów i krajowych ministrów, ekwipażów nie widać wiele. Sasi nie mówią głośno, nie kłócą się; robocze i piwowarskie wozy zastąpione prawie zupełnie taczkami, albo małemi wózkami, które cichuteńko psy ciągną; dorożek takich jak u nas właściwie nie ma. W kilku miejscach stoi po kilka porządnych koczów do najęcia, ale na godzinę wziąźć je trzeba i bardzo się drożą; najwięcéj zatém używane do przejażdżek za miasto, a w mieście niemal wszyscy chodzą piechotą. W złą porę damy każą się nosić w lektykach; i ten sposób niezmiernie wygodny, ale już mało gdzie widziany, dowodzi najlepiéj jaka spokojność i cichość w Dreznie panuje. Lektykarze ze swoją karetką na drążkach i zamkniętą w niej jak w klatce damą, idą sobie środkiem rynku i najznakomitszych ulic, a nie słychać o żadnym przypadku. Prawda, że z powodu kanałów podziemnych, zakazaném jest oddawna jeździć prędko w Dreznie, ale też zdaje się że tu nie tylko ludzie ale konie rozsądne i powolne; zbiegania ich się, wywrotu powozu, roztrącenia idącego pieszo, nie wiem czy mają wyobrażenie; raz przez jednę z znaczniejszych ulic przejechał pędem żołnierz na koniu — natychmiast mnóstwo głów ciekawych pokazało się w oknach, chłopcy biedz za nim zaczęli, przechodzący stawali na chodnikach, patrzyli za nim i już dawno przejechał, a oni jeszcze dziwili się nad tém zjawiskiem.

Domy w całém starém mieście, tak na rynku, na znakomitszych jak na najciaśniejszych uliczkach, są wszystkie murowane i wysokie. Nie ma zwyczaju bielenia ich częstego ani malowania, co daje całemu miastu poważną postać. Starożytnéj barwy jednak nie ma. Wszystkie prawie domy są w kształcie kamienic, wszystkie kościoły nowoczesne, żadnéj gotyckiéj budowli. Są jednak, zwłaszcza na zamkowéj ulicy, domy, których napisy i rzeźby świadczą że od kilku wieków stoją. Te dawne domy i wiele innych późniejszych, odznaczają się rodzajem wystawek, które tu zowią *Erker*; jest to jakby ganek umieszczony w środku domu lub na rogu, wypukły, czasem tak duży jak pokoik i użyteczny w każdéj porze roku, bo ma dach swój i okna; nie można powiedzieć żeby te wystawki kształtne były, ale są bardzo wygodne i jakąś oryginalność mają. Wreście zwykle ozdobione albo kwiatami, albo wpadającemi w oko towarami, rozweselają posępne często ulice. Bo tu w ogóle daleko więcéj dbają niźli gdzieindziéj o bawienie i zwabienie przechodnia, lubo zapewne nie tyle co w innych dalszych stolicach. Na starym rynku, na kilku ulicach, mianowicie na zamkowéj, trudno przejść i nie zatrzymać się dla przypatrzenia się gustownym i modnym kobiecym ubiorom i ozdobom, kosztownościom srebrnym i złotym, rycinom i malowaniom — a w całém mieście, w każdéj wystawce, w każdém prawie oknie, zastanawia i ujmuje mnóstwo najpiękniejszych kwiatów, które zdają się bydź rozstawione więcéj jeszcze dla obcych, niżeli dla domowych. Już to bowiem po wielu rzeczach widzieć można, że Drezdeńczycy bardzo dbają, aby ich miasto dobrze się wydało; i tak naprzykład, godną jest zastanowienia troskliwość, z jaką rynki swoje przynajmniéj na dnie świąteczne oczyszczają. W sobotę wieczór jeszcze zastawione budami, kramami, straganami, tak że przejść trudno — budzisz się w niedzielę i widzisz je tak puste i czyste jak dłoń; z początku zdaje ci się że to czary, późniéj przekonywasz się, że to dzieło niezmęczonéj cierpliwości i głębokiego zamiłowania porządku, które także cudów dokazać mogą.

Zgoła, postać zewnętrzna Drezna jest bardzo ujmująca; nie zadziwia, nie wprowadza w żaden odmęt, nie rozrywa tak, aby do pracy czasu nie zostawiała, ale podoba się i zaspokaja; i tak na pierwszy rzut oka, jak po długim pobycie, rodzi myśl, że to jest miasto dla uczciwéj, cichéj i pracowitéj skromności — wszystko wszystkim, tanie; w niém i potrzeby życia i uciechy jakie mieć może, łatwe do zaspokojenia i że tak powiem dla każdego dostępne.

Lubo w Saxonii całéj, jak wiadomo, od czasów elektora Henryka, religia reformowana panuje, lubo kraj ten uważać należy jakby kolebkę reformy, przecież katolicka religia, jako wyznanie królewskiéj rodziny bardzo do niéj przywiązanéj, i przeszło pięciu tysięcy mieszkańców, zwłaszcza od roku 1806, w zupełném jest w Dreznie używaniu; obchód wszystkich jéj uroczystości dokładny i poważny, duchowieństwo liczne, kościół jeden z najpiękniejszych, osobnych kaplic kilka. Kościół katolicki ukończony w r: 1754 zbudowany jest w nowym stylu, w kształcie podłużnego czworoboku. Stoi tuż przy wstępie na most, w miejscu okazałém, tak, że go



PAŁAC MINISTERSTWA SKARBU W DREZNIE.

wokoło obejść można. Cały z kamienia ciosowego z wysoką wieżą na przodzie, z wielką, może nawet zbyteczną liczbą ozdób; tak jest przytem lekki i smakowny, iż zdaje się jakby z kości słoniowej był wyrobiony; ostawiony jest w koło sześćdziesiąt czterema kamiennemi posągami różnych świętych, które wszystkie z rysunków Torellego, dłutem Matiella wyrobione, piękne są i właściwej miary.

Zamek mieszkanie dawnych elektorów a dziś królów, nie jest bardzo wydatne i wspaniałe, i raczej ma starą niźli starożytną postać. Zaszkodził mu wiele kościół katolicki, który go tak zasłonił, że trudno kształt cały objąć i z żadnej strony dobrze i całkowicie się nie ukazuje. Najlepiej wygląda wewnątrz murów i oba dziedzińce gładkim kamieniem wyłożone, z wieżyczkami na rogach, z gankami kamiennemi w słupy, wystawiają dawne i rycerskie czasy.

Zamek ten postawił w 1534 roku elektor Jerzy, następcy rozszerzali go i zdobili. Jan Jerzy drugi, wzniósł wieżę, która jest najwyższą w całem mieście; August drugi całe nowe skrzydło dołączył i pokoje bardzo ozdobił; a już w roku 1828, przez zrzucenie różnych niepotrzebnych murów, zostało otwarte wygodne dla publiczności przejście, przez tak zwaną *Jerzego bramę*, które od mostu wprost na zamkową ulicę prowadzi.

Jednak, lubo ten zamek nie ma okazałej postawy, pokojów wewnątrz jest bardzo wiele, i dziwić się nawet przychodzi zwiedzając go, jakim sposobem tyle w sobie zawierać może. Zajazd i wejście główne jest od ulicy zamkowej; schody porządne. Pokazują naprzód *pokoje króla Fryderyka Augusta*, w których, przez uszanowanie, nic od śmierci jego nie zmieniono. Najprzód są trzy wielkie sale, przybrane jeszcze przez Augusta drugiego w gobelinowe obicia różnej treści; te sale są i dziś do obchodów dworskich użyte; w jednej zbierają się osoby mające prawo bywać u dworu, kiedy są dnie po temu; w drugiej król ich przyjmuje i rozmawia z niemi, chodząc po sali według zwyczaju; trzecia jest tylko przechodnią.

Dalej jest pokój sypialny Fryderyka Augusta; w nim umarł i ten nie tknięty od dnia tego. Lubo prosty, nie wyszukanemi sprzęty zastawiony, przejmuje uszanowaniem. Ozdobiony jest ten pokój wizerunkami rodzinnemi i kilkoma świętemi obrazy. Jest także portret w całej postawie papieża Piusa VII, który szczególniej pobożnego króla szacował. Ze sprzętów największą mają cenę dwa klawikorty, jeden bardzo dawny, drugi trochę nowszy; na obudwóch Fryderyk August do końca życia grywał, bo nie tylko lubił muzykę, ale był w niej bardzo biegły; śpiewy do mszy jego układu, dotychczas są wykonywane. Od

http://rcin.org.pl

Augusta trzeciego, który namiętnie muzykę lubił, weszło niemal w obowiązek xiążąt i xiężniczek saskich trudnić się tym kunsztem, i bydź, a przynajmniéj chcieć bydź w niéj mistrzami; niektórym, jak mówią znawcy, szczęśliwie się to udaje.

Z pokojem sypialnym króla łączą się dwa jeszcze, jeden z włoskiemi i muzycznemi dziełmi, zabytek po Auguście trzecim i z bilarem w środku; drugi z całym warsztatem tokarskim; Fryderyk August bowiem biegły był w tém rzemiośle.

Z gabinetu tokarskiego są schodki prowadzące do pokojów królowéj także niezamieszkałych, ale nie równie wspanialszych. Pierwszy pięknem obiciem zielonem okryty, zastawiony jest od sufitu do dołu porcelanowemi figurkami, dar niegdyś króla pruskiego. Na stole między oknami stoi bukiet takiż z kwiatów, w fabryce Maissen zrobiony, ogromny i wcale piękny. Drugi pokój także zielony i duży, był ulubionym Maryi Amelii; w nim sypiała i siadywała najwięcéj; jest też w nim wszystko, co jéj uczucia, zatrudnienia i gusta przypomina; obrazów pobożnych kilka, portrety męża i córki, krośna, stoliczek do roboty, a nawet rózga na pieski. W tym pokoju najmilsza jéj posada była w oknie, gdzie dotąd krzesło wygodne i taboret stoi; z tamtąd patrzyła na most drezdeński, Elbę, nowe miasto, góry, widok, nad który w jéj oczach piękniejszego na całéj ziemi nie było.

Z pokojów królowéj prowadzą małe schodki do najcelniejszéj zamku ozdoby, do téj części, która zachowała zupełnie starożytny krój i postać. Jest to tak zwana *Riesensaal*, olbrzymia sala, a słuszniéj jeszcze *Gewehrgallerie*, galerya broni; pierwsze nazwisko usprawiedliwia niejako portret głowy olbrzyma nade drzwiami wiszący, drugie, zbiór broni rozmaitéj, bardzo szacowny, ustawiony w wielkich szafach. Ta galerya, równie dawna jak zamek, jest długa ale wązka; ma okna po obudwóch stronach. Portrety odwieczne na jéj ścianach wiszące, wystawiają wszystkich xiążąt, królów, elektorów saskich, jacy tylko od narodzenia Chrystusa byli, lub bydź mieli w różnych dziedzinach swoich; są naddziady Witykinda, a szereg tych wizerunków dochodzi do Augusta drugiego. Pod każdym jest napis szumny i obszerny; odczytanie wszystkich mogłoby służyć za treść bajecznéj i prawdziwéj historyi saskiéj.

W téj sali dawniéj odbywały się wielkie i wspaniałe uczty, strzelania do tarczy, wyścigi piesze. Tu August drugi często przebywał i różne są zabaw jego i dowodów siły pomniki. W późniejszych czasach stała się tylko celem ciekawości obcych i miejscem przechadzki dla rodziny królewskiéj, zwłaszcza w dnie niepogodne. Tu Napoleon, gość kilkokrotny w zamku drezdeńskim i to w różnych przygodnego życia kolejach, przechadzał się nie raz, to sam, to z Fryderykiem Augustem, z którym bardzo rozmawiać lubił. Zajmujące byłyby te rozmowy między dwoma monarchami tak odmiennego wychowania i jeniuszu, gdyby nam je kto dosłownie mógł oddać; musiał bydź jednak punkt pewny, w którym się zgadzali, kiedy ich przyjaźń świętym węzłem złączyła.

*Pokoje Augusta II.* tak zupełnie zachowane, jak były za jego czasów, są nieco wspanialsze od reszty; gobelinów, zwierciadeł, zegarów, porcelan rozmaitych w nich dosyć. W sali koncertową zwanéj, dziś jeszcze rodzina królewska koncertów słucha; a w wielkiéj sali balowéj, w czasie zapust, co tydzień bywają bale, którym, kto chce, przypatrywać się może. Przy téj sali jest pokój do gry w karty; porozstawiane w nim stoliki, a królewski pod baldachinem. Wszystkie sprzęty bardzo dalekie od świeżości i elegancyi. Obok jest siedm innych pokojów, należących do tegoż apartamentu, ale których wcale nie używają, chyba na przyjęcie wielkich monarchów; są to właściwie pokoje, gdzie August II. przemieszkiwał dwie pierwsze sale wcale piękne; ścienne malowania pędzla *Sylwestra*, wystawiają przedmioty mitologicznéj treści z przemian Owidyusza wyjęte; wzorów piękności, z rozkazu monarchy, szukał malarz w żyjących osobach i postacie bogiń mają mieć zupełne podobieństwo do głośnych urodą kobiet, które wtedy słynny świetnością w całéj Europie dwór zalotnego elektora zdobiły.

Z liczby rozmaitych gmachów tak publicznych jak prywatnych, wspomnieć należy teatr, pałac Bruhla, ulubionego ministra Augusta III, ratusz, arsenał i ministeryum skarbu, którego rycinę zamieściliśmy w tym zeszycie.

Most drezdeński jest jednem z miejsc najpiękniejszych i najwięcéj ożywionych; budowa jego kształtna i gruntowna, przejście łatwe, gdyż żadnéj nie wymagają opłaty, raczéj najznakomitszą Drezna ulicą, niżeli *mostem* go czyni. Od niepamiętnych czasów w tém miejscu Elba ujarzmioną została; ale jak podanie niesie, pierwsze te mosty były drewniane, kosztem bogatych margrabiów *Dohna* stawiane i utrzymywane, którzy też od przechodzących pobierali myto. W późniejszych czasach musiały nastąpić między niemi i panującemi xiążęty układy, bo już w roku 1288 z rozkazu Henryka wystawiono most kamien-

http://rcin.org.pl

ny, który jednak szkody od kry doznawał. W następnych wiekach po kilka razy był poprawiany i niemal budowany na nowo, aż nareszcie budowniczy *Pepelmann*, za panowania Augusta II, dał mu kształt dzisiejszy. Spoczywa na siedmnastu wielkich arkadach z kamienia wiązanego żelazem; zdaje się, że wieki trwać będzie; ile arkad, tyleż ma po obudwóch stronach jakby zaokrąglonych ganków, które obstawione są kamiennemi ławkami dla wygody przechodzących. Dwa powozy minąć się łatwo mogą na brukowanéj małemi kamieniami drodze, chodniki ułożone z wielkich płaskich kamieni, a most cały opasany kształtną i mocną kratą żelazną, i oświecony latarniami z gazem. Na piątéj arkadzie od starego miasta, jako w miejscu gdzie most najwyższy, w udaną skałę utkwiony jest ulany ze śpiżu wielki krzyż, na którym wizerunek Zbawiciela pozłacany. U spodu wyryty następujący napis: *Joan. Georg. II. Elect. Aere Fudit. August. Rex ornavit et lapide substruxit.* Na przeciw krzyża są wyrobione herby z kamienia. W r. 1813 poniósł ten most wielką szkodę. Marszałek francuzki *Davoust*, w widokach obrony, kazał czwartą arkadę od nowego miasta, prochem w powietrze wysadzić; przez rok cały ta przerwa pokładem drewnianym była zapełniona, późniéj jednak do dawnego stanu most przywróconym został, i dziś ta arkada niczém od innych się nie różni.

W pomniki Drezno nie obfituje; jest ich wszystkiego dwa. Posąg Augusta II. i pamiątka dla wojownika Maurycego. *Posąg Augusta* ze śpiżu ulany i grubo złocony, stoi na kamiennéj podstawie niedaleko mostu na nowém mieście; nie jest zupełnie piękny, ale wydatny i kosztowny. Król ubrany po rzymsku, a mimo tego w peruce, z buławą w ręku, siedzi na podskakującym rumaku; postawa jego znacząca, twarz i kształt cały zadziwiającego, jak mówią, podobieństwa; koń nawet ulany na wzór ulubionego konia królewskiego; równowaga całego posągu spoczywa w ogonie. August III. wystawił ten pomnik ojcu w r. 1736; dziełem jest Ludwika Widemana. Szkoda, że napis żaden nie oznajmia tych szczegółów.

*Pomnik Maurycego*, innego zupełnie smaku, jest w starém mieście na rogu botanicznego ogrodu. Postawił go niegdyś dobry August, wśród wałów fortecy, na bastyonie *Marsa* zwanym.

Drezno ma wiele ogrodów publicznych i miejsc przechadzek; samo położenie, a nadewszystko gust mieszkańców, z każdego zakątka wolnego, już ogród i miejsce przechadzki czyni. Takie jest ogólne zamiłowanie natury, świeżego powietrza, że zdaje się, iż Niemcom przechadzka równie potrzebna do życia, jak jadło i napój; ogrody i drzewami sadzone ulice, można śmiało drugiemi ich domostwami nazwać. Pewno nie ma nikogo w wyższym i najniższym stanie, któryby w pięknéj porze, w dni powszednie, choć godziny przechadzki nie użył, a połowy każdego święta na wolném powietrzu nie spędził. Skoro wiosna nadejdzie, nawet i w zimie skoro pogoda służy, sądzićby można, że dzieci życie na dworze pędzą, tyle ich widać wszędzie, od kilkotygodniowych do kilkoletnich. Stósownie też do tego zamiłowania, które Fryderyk August przykładem swoim jeszcze upowszechnił, całe Drezno wydaje się jak w ogrodzie; i, prócz kilku dawnych ulic, obudwóch rynków i bliskich okolic zamku, wszędzie drzew pełno. A i w tych miejscach zieloności pozbawionych, umieją mieszkańcy stwarzać sobie przenośne ogródki; w oknach, w wystawach, na gankach, poddaszach, wszędzie ujrzysz mnóstwo doniczek z kwiatami; im ulica węższa, tém ich więcéj, jakby nagradzać sobie chcieli to pozbawienie widoku piękności natury. Kazdy właściciel domu, jeśli tylko ma kawałek gruntu, woli obchodzić się bez podwórza, a mieć ogródek; ten ogródek choduje i pieści, jakby ukochane dziecię; najczęściéj sam go uprawia, zasadza i czyści, i nie mieści go, jak u nas zwyczaj, w tyłach domu, ale przed oknami, przy główném wejściu, tak, żeby i on mógł zawsze na niego patrzyć i wszyscy go widzieli. We wszystkiém oszczędny, w tém jedném już mniéj na wydatek uważa, i zwyczajnie co tylko zmieścić się w téj posiadłości może, w to wszystko ją zdobi. — Widzieć można ogródki, nie obejmujące więcéj, jak sto kwadratowych łokci, w których znajdziesz wszystko: drzewa owocowe, altany, winnice, wodotryski, trawniki, ścieszki zwirem wysypane, ławki kamienne, krzewy i kwiaty rzadkie. Co do tych dwóch najcelniejszych ozdób ogrodowych, zupełne jest przesadzanie się i chęć wyścigu między mieszkańcami Drezna. Zacząwszy też od pierwszych dni Marca, od wczesnych *krokusów* i *primawer*, można już ciągle napatrzyć się z kolei wszystkich kwiatów, nie wychodząc z obrębu starego miasta. Z wielu roślin, jak z lewkonii zimowych, z laków, z róż miesięcznych, zaraz na wiosnę klomby sadzą, i tym sposobem, po okwitnieniu cebulkowych kwiatów, mają w tém samém miejscu innych podostatkiem. Zdaje się, że tu każdy posiada w pewnym stopniu wiadomości ogrodnicze, i wie, jak się obchodzić z każdą rośliną.

Nie kończą się jednak te zachody na czczém używaniu oczów, przynoszą one i

http://rcin.org.pl

zyski wielkie; ogrodnicy drezdeńscy wielki handel drzew, roślin i nasion prowadzą, i nie mało za to ściągają z różnych krajów pieniędzy.

To zamiłowanie także sprawia, że tu owoców mnóstwo; przez całą zimę do Maja, można dostać jabłek w najlepszych gatunkach i to nie drogo; od pół Czerwca zaczynają się wiśnie w różnych gatunkach, a najwięcéj czereśnie, które wszyscy jedzą, gdyż niezmiernie tanie, a zdaje się, że przejeść nie potrafią. Toż samo późniéj jest z innemi owocami, zwłaszcza z winogradem; bo góry na prawym brzegu Elby, o kilka mil od Drezna, okryte są winnicami; przynoszą one niektórym właścicielom po parę tysięcy talarów dochodu, skarbowi blisko sto tysięcy, a razem umniejszają wychód pieniędzy z kraju, gdyż wielu ze smakiem pije tutejsze wino, pod nazwą *Landwein* znane; czy białe, czy czerwone, wcale jest smaczne, do lekkiego reńskiego i do *petit Bordoaux* podobne, a dla krajowców bardzo miłe, bo swoje i tanie.

Bruhla pałac, na Augusta ulicy położony, i zabudowania jego których okna na Elbę wychodzą, miały zawsze długi a wązki ogród, a raczéj *taras* lipami wysadzany; resztę miejsca do saméj rzeki, zajmowały celniejsze wały miasta; z tego wszystkiego, urządzoną została jak najpiękniejsza miejska przechadzka, która jest ulubioną Drezdeńczyków i cudzoziemców zawsze wabi i zadziwia; jakoż wszystko się łączy, żeby ją przyjemną uczynić; wejście wspaniałe po kilkudziesiąt kamiennych schodach, chodniki wygodne, cień lip, mnóstwo ludzi, zwłaszcza w dni niektóre, a nad to wszystko widok czarujący.

Nadobna Elba, jedna z najpiękniejszych rzek, bo zawsze napełnia zielone brzegi i czyste ma wody, mnóstwo płynących po niéj statków handlowych z rozpuszczonemi żaglami, a więcéj jeszcze małych gondol do przejażdżek z uciechy przeznaczonych, budowle nowego miasta, piękne pałacyki letnie, wprost kościół katolicki, most napełniony ludźmi, ten krzyż jego czarny, tak dobrze przy zieloności gór, przy błękicie nieba odbijający,—wszystko to tworzyło jak najpiękniejsze panorama.

W około starego miasta, w miejscach, gdzie były warowne wały, porobione są jak najpiękniejsze ulice, drzewami w kilka rzędów sadzone, z trawnikami i ławkami; zdobią je często po obudwóch stronach domy ładne i ładniejsze jeszcze ogródki, a zwykle napełnione są ludźmi różnego stanu, zwłaszcza dziećmi. Nie raz widzieć można, jak przyjdzie matka albo piastunka z całą ich gromadką, jedno, jeśli nie dwoje w wózku przywiezie, zabawek im naznosi, sama siądzie w cieniu na ławce, czyta xiążkę lub pończoszkę robi i czasami spogląda na dziatki, które, jakby w domu się bawią. Te ulice *promenadami*, *boulevarami* i *Anlagen* zwane, niezmiernie ożywiają Drezno.

Niedaleko starego miasta jest królewski ogród, *wielkim* zwany i słusznie, bo niemiecką milę ma obwodu. Jest to rodzaj *parku* starannie utrzymywanego, gdzie są drzewa odwieczne i świeżo sadzone kwiaty i krzewy; ulice proste i kręte ścieszki; łąki, zboża i sztuczne trawniki; strumyki i wodotryski; lasy i posągi, pałac wspaniały, domki małe, kawiarnie, altany; zgoła, jestto miejsce, gdzie można według upodobania albo koncert huczny słyszeć, albo też przysłuchiwać się dzikim ptaszkom, bydź w tłumie ludzi, widzieć, bydź widzianym, lub przechadzać się się w najgłębszéj samotności i ciszy. Dla téj lubéj rozmaitości, *Grossgarten* jest przechadzką bardzo uczęszczaną, w gusta każdego trafia; a umiarkowaném oddaleniem od miasta i rozciągłością swoją, równie słabym jak mocnym piechotnikom dogadza, i równie bydź może celem przejażdżki jak przechadzki.

---

## NOWE DZIEŁO AGRONOMICZNE.

Nakładem xięgarni S. H. Merzbach wychodzi od dawna pożądane dzieło: *Gospodarstwo wiejskie obejmujące w sobie wszystkie gałęzie przemysłu rolniczego*, teoretyczno-praktycznie wyłożone, przez Michała Oczapowskiego. Z powodu znacznéj obszerności wydawane jest zeszytami, a prenumerata na nie rozłożona jest na części; 8 zeszytów kosztuje zł. 18 w Warsz. zł. 20 na prow.; 16 zeszytów zł. 33 w Warsz. zł. 36 na prowincyi.

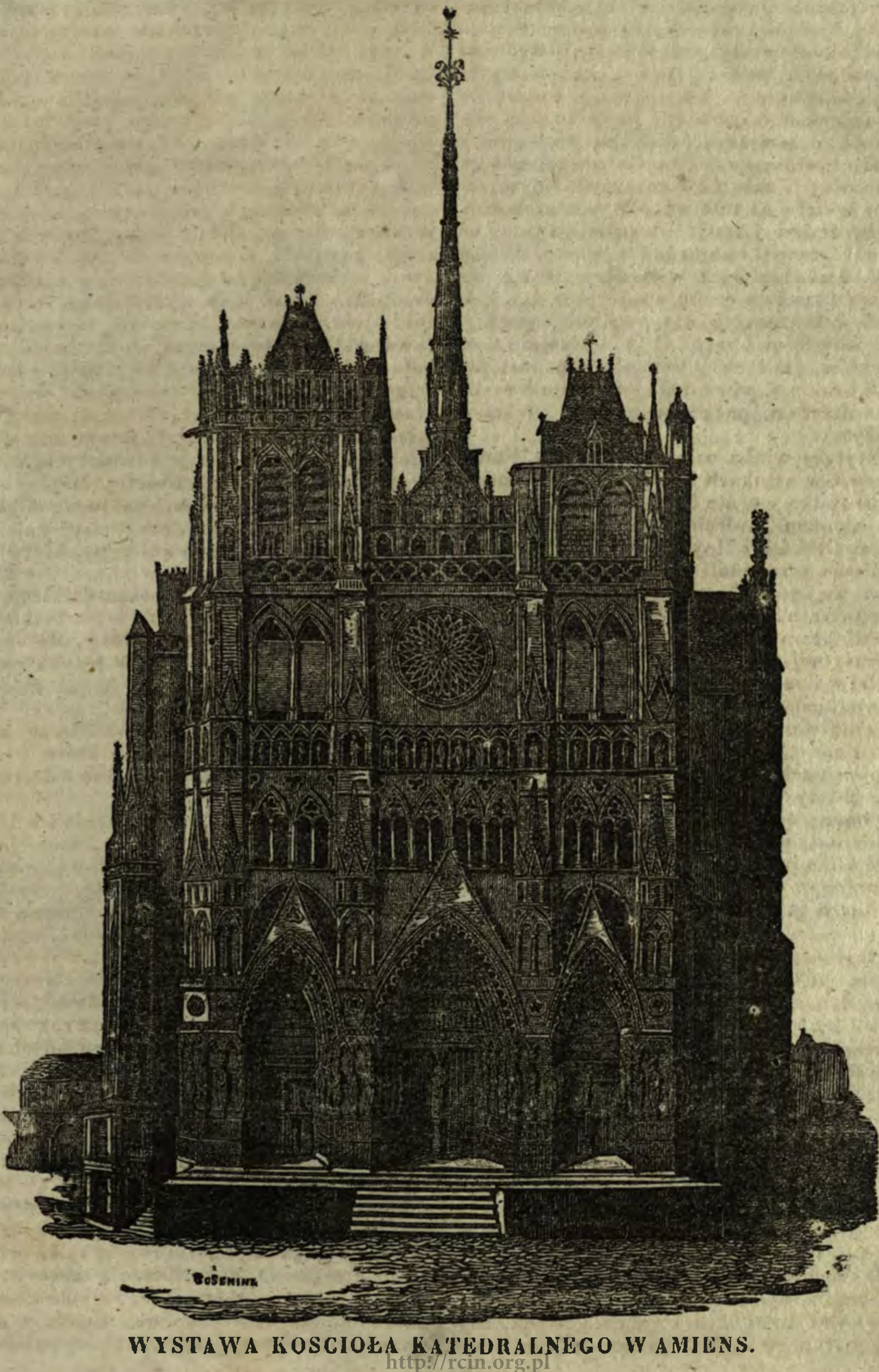
Dotąd wyszło 4 zeszyty, obejmujące naukę o gruntach i naukę o nawozach, całe zaś dzieło dzieli się na 4 główne części. W 1széj rzecz będzie wyłożona o roli, jéj uprawie i użyznieniu; w 2éj o produkcyi roślinnéj; w 3éj o produkcyi zwierzęcéj; w 4éj nauka rządu gospodarskiego.—Autor, były professor agronomii w uniwersytecie wileńskim, znany z wielu dzieł o gospodarstwie, jako to: O roli—Nauka gospodarstwa Burgera—O gospodarowaniu w klimacie północnym, i t. d.; jest jednym z pierwszych, którzy w kraju naszym upowszechnili wyobrażenia teoretyczne agronomów niemieckich i najdzielniéj wpłynęli na przekonanie rolników naszych o téj prawdzie, że gospodarz wiejski powinien stósowne do powołania swego posiadać wiadomości i to nie tylko w praktyce ale i w teoryi; że xiążka o gospodarstwie, nie jest *próżném* jak dawniéj mówiono *bałamuctwem*.

Wydawca nie szczędzi nakładów, aby dzieło to obok niezawodnych zalet wewnętrznych, odznaczało się pięknością druku i papieru.

---

http://rcin.org.pl

# ARCHITEKTURA GOTYCKA.



WYSTAWA KOSCIOŁA KATEDRALNEGO W AMIENS.

http://rcin.org.pl

Wiek osiemnasty chlubiąc się z oświaty, pogardzał tém wszystkiém co się z jego wyobrażeniami nie zgadzało. Wieki średnie, tę epokę odrodzenia społeczeństwa działaniem wiary prawdziwej i wędrówką narodów, ogłosił jako wieki barbarzyństwa i ciemnoty. Ich obyczaje, literatura, sztuki, pomniki, instytucye społeczne, stały się celem szyderstwa, a następnie z rozkiełznaniem namiętności gminu, tysiące szacownych zabytków rozsypało się w gruzy i zginęło na zawsze. W ostatnich czasach, uczeni i statyści zwrócili uwagę na tę okrzyczaną i pogardzoną epokę. Wskazali, że każdy wiek w społeczeństwie ma swoją właściwą cechę, swoje pomniki, których lekce ważyć nie powinni następcy, ale i owszem korzystać z mądrości naddziadów, jeźli chcą bezpiecznym postępować krokiem, a instytucyom swoim i wszelkim dziełom, nadać świetność, piękność i użytek.

Krytycy wieku osiemnastego, w literaturze i w sztukach pięknych, za nic mieli to wszystko co nie było wiernem chociażby zimném i drobiazgowém naśladowaniem Greków i Rzymian.

Teraz przekonali się wszyscy, że literatura ze średnich wieków wypływająca i romantycznéj nazwiskiem odznaczona, że architektura gotycką zwana, od klassycznéj starożytnéj różna zupełnie, zasługuje na podziw i na głębokie badanie. Odtąd we wszystkich narodach obudziła się dążność wyszukiwania pomników gotyckiéj budowy i zabytków poezyi, które w pieśniach i podaniach ludu przetrwały. Wszystkie zbiory encyklopedyczne, napełnione są wizerunkami dawnych gmachów. W piśmie naszém, zamierzywszy także umieścić kilka podobnego rodzaju rycin, poprzedzimy je wiadomością ogólną o architekturze gotyckiéj.

Starożytne piękne gmachy, upadły w gruzach, podczas najazdu Gotów, Wandalów i innych barbarzyńców w Hiszpanii, Grecyi, Azyi i Afryce, a na to co zostało jeszcze po tém spustoszeniu, bynajmniéj nie zwracano uwagi. Teodoryk król Ostrogotów, miłośnik sztuk pięknych, kazał troskliwie naprawić i podźwignąć dawne pomniki. Zbudował nowe, których szczątki znajdują się jeszcze w Weronie i Rawennie. Epokę tę uważać można jako punkt przedziału, między starożytną a średnich wieków architekturą: jakoż razem z podbojami Gotów okazała się we Włoszech, Francyi, Hiszpanii i Portugalii, w części Niemiec, a nawet i w Anglii, gdzie nigdy nie postali Gotowie. Ta nowa architektura gotycką zwana, czyliż jest z germańskiego rodu? rzecz nie roztrzygniona dotąd. Niewłaściwie dano to imie architekturze Longobardów, od czasu ich panowania we Włoszech (od roku 568) i wszystkim gmachom wzniesionym w owéj epoce za staraniem mnichów. Później, poznawszy ten błąd, nazwano ją dawną architekturą gotycką, odróżniając ją od prawdziwéj, którą z tego powodu nowo-gotycką nazwano. Zdaniem najznakomitszych sędziów, nowo-gotycka architektura, któréj liczne pomniki dziwią nas ogromem, świetnością, lekkością, a razem niezliczoném mnóstwem szczegółowych ozdób, powstała z połączenia się architektów saraceńskich z greckiemi, w wiekach średnich. Przez nich wykształceni architekci chrześciańscy, założyli tajemnicze towarzystwo, które szczególniéj miało na celu budowę kościołów. W jednejże prawie epoce, pobożność wiernych wzniosła te gmachy w Anglii, Francyi, Belgii, Niemczech i Hiszpanii. Historya nie dochowała nam nazwiska budowniczych; zdaje się że je zatajali na umyślnie. Między różnemi domysłami zkąd architektura gotycka wziąść mogła początek, przytoczyć należy przedewszystkiém duch réligijny, który w wiekach średnich serca ożywiał, nie zbyt dawne przejście narodów ze stanu dzikiego, i z wędrownego życia, do form towarzyskich, z odwiecznych i posępnych lasów, do osad i grodów. Szacowny autor w języku polskim dzieła o architekturze, Xiądz Sierakowski, tak się wyraża:

»Może architektura gotycka bierze początek z naśladowania lasów, które były pierwszemi świątyniami wszystkich dzikich narodów.

»Żeby poznać z jakim kunsztem i z jaką korzyścią wykonano ten zamiar, dosyć jest wystawić sobie jaką ulicę ogrodową, w niéj dobrze urządzone drzewa, piękne, wyrosłe, które splatają w górze swoje gałęzie: a zaraz się postrzeże podobieństwo gmachu gotyckiego. Niech każdy przyzna, któremu zdarzyło się podobne gmachy w Niemczech, w Francyi, Hiszpanii i u nas widzieć, jeżeli na pierwsze wnijście, uważając z rozwagą, z owych cienkich słupów zakrzywionych ku sklepieniu i pasów tegoż różnie powikłanych, nie postrzegł podobieństwa ulicy z drzew, któréj się gałęzie u góry schodzą, i między sobą splatają, i to jest właściwie charakterem gotyzmu, który, że ma za wzór naturę, podobać się może.

»Podoba się rzecz nieznającemu jéj początku, tém bardziéj temu, który dochodząc przyczyny tego układu, nie może tylko przyznać przyjemne naśladowanie natury, i w niém sobie podobać. Z tego wyobrażenia dobrze pojętego, architektura Gocka w nowym i nadzwyczajnym gatunku się pokazu-

http://rcin.org.pl

je. Nikną wtenczas wszystkie nieregularności, wszystkie przestępstwa przeciwko sztuce popełnione, i to co się zdaje obrażać naturalność, wszystko zdaje się mieć swoją przyczynę. Każda rzecz zdaje się bydź w swym rzędzie, a ztąd powstaje całość zgodna, dobrze wymyślonego przystósowania środków właściwych i stósownych do celu.

»To budownictwo nieznane w Grecyi i w Rzymie, było zupełnie nowym dowcipu wynalazkiem, wydobyte z przyrodzenia uważanego w swéj wielkości, w swéj prawdziwie żywéj piękności i wspaniałości, przystósowanéj szczególniéj do najszlachetniejszego budowania, na jakie się mogli ludzie zdobyć w stawianiu kościołów. Robi więc największą sławę dowcipowi ludzkiemu, i kunsztmistrze owych dzikich wieków, w jego wynalazku mieli wyobrażenia zupełniejsze i bardziéj męzkie, niż dzisiejsi nikczemni mają o wspaniałości Greckiego i Rzymskiego budownictwa. Najgorętsi dziwiciele *Wignioli* i *Paladyusza* nie zaprzeczą, że gotyzm ma swoję zaletę. Znajdują się wszędzie liczne pamiątki tego budownictwa, między któremi najsławniejsze katedry w *Sewilli*, *w Salamance*, *w Paryżu*, *w Amiens*, *w Reims*, *w Strazburgu*, *w Westminster*, *w Lichiefeld*, *w Pizie*, *Lyonie*, *Bononii*, *w Medyolanie*, *w Gnieznie*, *w Krakowie*, *w Gdańsku*, *w Toruniu*.»

Swiatło-cień panujący w tych gmachach, działa na duszę, odrywa ją od roztargnień ziemskich i wznosi razem ze świątynią ku niebu. Ozdoby nie są próżnym strojem w starożytnych świątyniach, tworzą jak gdyby nowe pismo pełne religijnych obrazów. Każdy uwielbia i szanuje w tych pomnikach głęboką zgodność celu, z planem dobrze pojętym i śmiały rozkład. Ogrom i wspaniałość mass zewnątrz, a wewnątrz powaga, obudza w duszy najżywsze uczucia pobożności.

Od tych ogólnych wyobrażeń, przejdźmy teraz do gmachu, którego wystawę i wnętrze, mają przed oczyma czytelnicy.

W miejscu gdzie pochowane zostały zwłoki Swiętego Firmina męczennika, pierwszego biskupa miasta Amiens we Francyi, zbudowano kościół katedralny. Budowa ta prosta i z drzewa uskuteczniona, odpowiadała z początku stanowi miasta, ale w sześćset lat potem, gdy się wzmogło w bogactwa i w ludność, a piorun w 1218 spalił dawny kościół, mieszkańcy postanowili, że nowy gmach katedralny odpowiadać będzie wielkości miasta i sławie świętego patrona. Zebrano hojne składki, a Biskup wezwał Roberta z Luzarches, jednego z najsławniejszych architektów ery gotyckiéj, do ułożenia planu budowy. Artysta, którego geniuszowi wolny zostawiono polot, skreślił plan szlachetnego gmachu, którego rycinę umieszczamy przed oczyma czytelników naszych, i będącego jedną z najcelniejszych ozdób Francyi średnich wieków Chwała tego dzieła, należy się wyłącznie Robertowi z Luzarches, chociaż przy nim pierwsze dopiero fundamenta założono; jego następcy, Tomasz i Regnault de Cormon, byli tylko wykonawcami jego myśli. Zaczęty w roku 1220, gmach ten ukończony został dopiero w 1288. Nie raz w tém przeciągu czasu zabrakło funduszów i musiano zbierać nowe składki, ale Pikardczykowie nigdy nie odmówili przyjśdź w pomoc tak pięknemu i wielkiemu przedsięwzięciu.

Kościół długi jest na 450 stóp, szeroki wewnątrz na 98, stoi na wzgórku w tem samém miejscu gdzie była dawna katedra. Pośród dwóch wież różniących się między sobą wysokością i ozdobami, i odbijających się od reszty gmachu nowszym nieco stylem, stoi bogata wystawa, przed którą występują trzy przysionki; każdy z tych przysionków ozdabiają liczne posągi, płaskorzeźby, wyobrażające rozmaite przedmioty. Srodkowy, zwany bramą Zbawiciela, przedstawia obraz ostatecznego sądu, który znajduje się w rzeźbach wystawy wszystkich prawie kościołów gotyckich. Przedmiot ten wykonany jest z zupełnem rozwinięciem i z najdrobniejszemi szczegółami. Te karty starego i nowego testamentu, wypisane tym sposobem na kamieniu, na szybach, na lamperyach kościelnych, są dla nas tylko przedmiotem sztuki i mniemamy, że artysta nie miał innéj myśli prócz ozdoby swego dzieła; ale w średnich wiekach, przed wynalazkiem drukarni, te rzeźby i malowania, miały cel poważniejszy, zastępowały brak xiążek, były malowniczém katechizmem ludu, mocno uderzały jego wyobraźnią i wzbudzały w nim religijne uczucia. Cnoty i występki pod allegorycznemi postaciami, dziewice rozsądne i dziewice niebaczne, objawienie z Apokalipsy i inne obrazy z Pisma Swiętego, wyobrażają historyą Matki Boskiéj i główne zdarzenia z Xięgi Rodzaju. Płaskorzeźby po prawéj stronie, wystawiają legendę o świętym Firminie męczenniku. W przerwach między temi rzeźbami, stoją posągi wielkich ludzi chrześciaństwa i najznamienitszych świętych. Tak więc, wystawa kościoła katedralnego w Amiens, przedstawiała oczom wiernych, zasady religii chrześciańskiéj i główne czyny historyi świętéj we Francyi. Oprócz tych rzeźb, znajduje się jeszcze mnóstwo ozdób, jako to wieżyczek, małych kolumn, arkad. Najznaczniejszemi z tych ozdób światowych, są olbrzymie posągi 22 królów Francyi, sto-

http://rcin.org.pl



WNĘTRZE KOSCIOŁA.

jące między kolumnami galeryi ciągnącej się w szerz wystawy. Strona południowa kościoła, również obfituje w piękne i ciekawe rzeźby. Strzała wznosząca się na 400 stóp pomiędzy dwoma wieżami, wzbudza także uwielbienie ciekawych. Gdy w roku 1527 piorun zrócił dawną strzałę, której plan skreślony był przez Roberta de Luzarches, biskup ówczesny Halluin, ogłosił konkurs na jéj odbudowanie; rozmaici architekci podali plany swoje. Prosty cieśla, Ludwik Cordon zyskał pierwszeństwo. W środku sali znajdującéj się w wieżyczce, przy podstawie téj dzwonnicy, jest stół okrągły, przy którym jadł śniadanie Henryk IV. tego dnia gdy odzyskał miasto Amiens, a wojsko hiszpańskie oddalało się w głębi horyzontu przed jego oczyma.

Chociaż widok zewnętrzny kościoła już przygotowywa umysł, nie można wstrzymać się od podziwienia, gdy przestąpimy jego bramę. »Wnętrze téj świątyni, mówi jeden z autorów, wzbudza wysokością i śmiałością swoich sklepień, delikatnością arkad i okien, a mianowicie przez zgodność panującą w jego ogóle, wzbudza mówię u-

wielbienie przenikające czcią religijną.» Kościół katedralny w Amiens, mówi inny światły wielbiciel, tém jest między innemi gotyckiemi kościołami, czém kościół Sgo Piotra w Rzymie, między kościołami tegoczesnemi. Śmiałość téj wewnętrznéj budowy, tém bardziéj jeszcze uderza, gdy pomyślimy że się łączy z nadzwyczajną mocą i gruntownością. Od sześciu wieków, jedna tylko kolumna, zachwiała się pod niezmiernym ciężarem, który dźwigać musi, a prócz jéj naprawy, w roku 1497 uskutecznionéj, żadnego udziału nie miały późniejsze pokolenia, w tém arcydziele wieków średnich.

---

## KLECHDY.

(*Starożytne podania i powieści ludu polskiego i ruskiego.*)

Taki ma napis dzieło przygotowane w rękopiśmie, obejmujące powieści i podania ludu, z którego daliśmy poprzednio w Muzeum Domowem wyjątki (*) i teraz dwie przytaczamy powieści.

### I.

### PISZCZAŁKA.

Było trzy siostry, wszystkie rosłe i gładkie, ale najmłodsza celowała urodą starsze. Przyjechał panicz z dalekiej Ukrainy (**) spotkał siostry na łące jak rwały kwiaty i zioła na wieniec: ładna była najstarsza, lecz on upodobał najmłodszą sobie i chciał ją pojąć za żonę; w dni kilka poszły siostry do lasu zbierać jagody; najstarsza rozmiłowana w paniczu, zabiła najmłodszą; próżno ją średnia obronić chciała. Wykopała dół głęboki, tam zwłoki martwe przysypała mogiłą, przed rodzicami udając, że siostrę wilcy porwali. Nadjechał panicz, pyta o narzeczoną, wszyscy ze łzami opowiadają o zgonie okropnym! Gorzko i żałobliwie śmierć jéj opłakał. Ale czas ukoił jego żale, a zabójczyni pocieszając panicza, tyle zjednała sobie serce jego, że prosił o jéj rękę i dzień ślubu naznaczonym został.

A na mogile zabitéj siostry wierzba wyrosła: szedł pasterz, wykręcił z gałązki téj wierzby piszczałkę i zadął, lecz jakże się zdziwił, gdy nie dobył z niéj zwykłego tonu, jeno zawsze śpiewała piosneczkę żałobliwym głosem:

Graj! pasterzu graj!
Bóg ci pomagaj!
Starsza siostra mnie zabiła,
Młodsza siostra mnie broniła.
Graj! pasterzu graj!
Bóg ci pomagaj!

Poszedł do matki i ojca zabitéj, a piszczałka wciąż jednemi odzywała się słowy. Gdy matka zadęła, usłyszała piosnkę:

Graj! matulu graj!
Bóg ci pomagaj!
Starsza siostra mnie zabiła,
Młodsza siostra mnie broniła.
Graj! matulu graj!
Bóg ci pomagaj.

Bierze ojciec do ręku i toż samo słyszy:

Graj! tatulu graj!
Bóg ci pomagaj.

Zapłakana średnia siostra, bierze piszczałkę od ojca, zawsze jedna piosnka:

Graj! siostrzyczko graj!
Bóg ci pomagaj!
Starsza siostra mnie zabiła,
Tyś to siostro mnie broniła.
Graj! siostrzyczko graj!
Bóg ci pomagaj!

Słysząc te pieśni, zbladła zbójczyni, wtedy ojciec i matka podali jéj piszczałkę: zaledwie dotknęła usty, krew zamordowanéj siostry oblała jéj lica, a piszczałka ostatni raz zaśpiewała piosenkę.

Graj! siostrzyczko graj!
Boże cię skaraj!
Tyś to siostro mnie zabiła,
Młodsza siostra mnie broniła.
Tyś to siostro mnie zabiła,
Boś mi szczęścia zazdrościła!
A w dołku-ś mnie pochowała,
Czarną ziemią przysypała.
Wyrosły ci tam wierzbeczki,
Co będą śpiewać piosneczki.
Graj siostrzyczko graj!
Boże cię karaj.

Poznano wtedy zbrodnią, przywiązano za ręce i nogi do dzikich koni, i rozszarpano żywcem, a panicz nie żałując zbójczyni, pojął za żonę pozostałą siostrę.

Że Klechda ta jest rodzinną sławiańską, dosyć dla porównania przytoczyć pieśń Sławaków ze zbioru uczonego Szafarzyka,

(*) Jako to: powieści: » Pieczary w Czarnéj górze.«

(**) Wyrażenie to poszło w przysłowie, dla pokazania odległości miejsca: Piotr Kochanowski tłómacz Jerozolimy wyzwolonéj Tassa, chcąc dosadnie wydać, jak daleko pędzono brańców chrześciańskich, mówi »Drugich pędzili aż na Ukrainę.«

(Pisne swetské Lidu Slawenského w Uhrach 1827 wszeszcie T. 2.)

Szła Anna po wodę na łąkę zieloną, nie mogła wody zaczerpać; matka ją przeklęła, a córka zdrewniała zielonym jaworem.

I szli dwaj młodzieńcy,
Obaž byli grajki;
»Ach! braciszku miły,
»Dużośmy świata przeszli.
»Jeszcześmy takiego,
»Jawora nie naszli.
»Utnijmy że sobie,
»Po jednych skrzypeczkach,
»A po drugich smyczkach.«
I po częli rąbać,
Krew z jawora tryśnie;
Wnet się polękali,
Na ziemię popadali.
»Ona przemówiła,
Nic się nie lękajcie;
Lecz sobie utnijcie,
Po jednych skrzypeczkach,
A po drugich smyczkach.
Idźcie, wygrywajcie,
Żałośnie śpiewajcie,
Przed méj matki wroty.
»To to jest ta panna,
»W jawora zaklęta.
I szli ci młodzieńcy,
Żałośnie grający;
Gdy matka słyszała,
Do okna bieżała.
Ach! młodzieńcy moi,
Nie róbcie mi żalu,
Wszak że ja go dosyć mam,
Gdy Anusi méj nie mam.

## II.

### SZKLANNA GÓRA.

Na wysokiéj szklannéj górze, stał zamek cały złoty, przed zamkiem była jabłoń, na jabłoni złote jabłka. Ktoby złote jabłko urwał, ten wszedłby do złotego zamku, a w srebrnéj jednéj komnacie ukryta była królewna zaklęta dziwnéj urody. A miała skarby niezrachowane, piwnice pełne drogich kamieni, i w izbach zamku skrzynie ze złotem. Wielu się zbiegało rycerzy od dawna, lecz próżno siłowali, by się wedrzeć na górę. Na koniu ostro podkutym, niejeden darł się na próżno, a chociaż wdarł się do połowy, z ciężkim szwankiem spadał z góry! Łamali ręce, nogi i karki!

Piękna królewna z jednego okna patrzała z żalem, jak próżno tacy rycerze dorodni, na dzielnych koniach darli się w górę; widok królewny zagrzewał serca; rozpalał duszę, podnosił zapał! Zbiegali się zewsząd, ze czterech stron świata, a biedna dziewica już lat siedem daremnie wyglądała zbawcy.

Nie mało leżało trupów rycerzy i koni w około szklannéj góry, wielu konających z połamanemi żebrami, boleśnie stękało: był to cmentarz prawdziwy. — Już rok siódmy za trzy doby miał się skończyć: gdy we złotéj zbroi rycerz, nadjechał pod stromą górę. Rozpędził konia, wdarł się w pół góry z podziwem wszystkich którzy patrzali, i nazad wrócił szczęśliwie. Nazajutrz równo ze świtem znowu, gdy mu się pierwsza udała próba, rozpędza swego rumaka: stąpa po górze jako po ziemi, iskry z podkowy błyskają, patrzą zdziwieni wszyscy rycerze, już blisko wierzchołka góry; niedługo spojrzą znowu, aż on stoi pod jabłonią. W tym się wielki zrywa Sckoł, zaszumiał skrzydłem szerokiem, i uderzy konia w oczy. Rumak parska, nozdrza wzdyma, najeża gęstą grzywę, stanął dęba wystraszony, nogi mu się oslizgają, spadł z rycerzem ze szklannéj góry, a z rumaka i z rycerza, nie zostały tylko kości, co brzęczały w zbitéj zbroi, jako suchy groch w pęcherzu.

Siódmy rok się jutro kończył: a że nadchodzi żak (*po dawnemu młodzieniec oddający się naukom*) urodny, młody, silny i wysoki. Patrzy jak rycerzy wielu, łamią karki daremnie, więc podchodzi pod górę, i bez konia się gramoli. —Już od roku jeszcze, słyszał w domu będąc, o królewnie co zaklęta w zamku siedzi, na wierzchołku szklannéj góry. Poszedł przeto do lasu, zabił rysia, i pazury ostre, długie, przyprawił sobie na ręce, i do dwóch nóg umocował. — Taką bronią opatrzony, darł się śmiało na garb szklanny: słońce było w zachodzie, żak w połowie góry ustał, zmęczony ledwie oddycha, pragnienie spiekło mu wargi: czarna chmura nadpłynęła, próżno błaga i prosi, by choć kroplę uroniła. — Pokaleczył krwawo nogi, rękoma się jeno trzyma: Słońce zaszło, spogląda w górę, lecz, aby dojrzał jéj wierzchołka, musiał tak zadzierać głowy, że mu barania czapka spadła. Spojrzy na dół, jaka przepaść! Tam śmierć pewna, i niechybna! Z przegniłych trupów, smrodliwe ścierwy zaduszały oddech czysty: były to szczątki zuchwałéj młodzi, co się darli jak on tutaj.

Już zmrok ciemny, gwiazdy blado oświecały szklanną górę, a żak młody jak przykuty, na skrwawionych ręku wisi. Wyżéj drżeć się nie może, bo wyczerpał wszystkie siły: sam nie wiedząc co począć, wyciągniony czeka śmierci. Nagle sen mu skleił oczy, zapomina kędy leży; strudzony smacznie usnął; lecz choć we śnie, ostre

http://rcin.org.pl

szpony tak głęboko w szkło wpoił, że przespał do północy, nie zleciawszy z onéj góry.

Złotéj jabłonki pilnował sokoł, co zrzucił z koniem rycerza: zawsze w nocy, jak czujny strażnik oblatał górę w około. Zaledwie miesiąc wyszedł z za chmury, unisł się z jabłoni i krążąc w powietrzu, zobaczył żaka. Łakomy ścierwu, pewny że trup świeży, spuszcza się nagle i siada: lecz żak już nie spał, dojrzał sokoła i postanowił z jego pomocą, uratować się z téj góry. — Sokoł zapuścił szpony ostre w ciało: wytrzymał ból mężnie i uchwycił za nogi ptaka; ten przestraszony uniósł go wysoko nad zamek, i począł krążyć w około wysokiéj wieży. Żak krzepko się trzymał, przecie widząc że blisko leci jabłoni, dobył z zapasa *kozika* (*) i obiedwie mu odciął nogi. Sokoł z bólu zerwał się wyżéj, i znikł w obłokach, a młodzieniec usiadł na szerokiej gałęzi jabłoni. Wtedy dobył szpony sokole ugrzęzłe wraz z nogami w ciele, a skórkę złotego przyłożywszy jabłka, do ran okaleczałych, wnet wygoił wszystkie. Narwawszy pełne kieszenie złotych jabłek, wchodzi do zamku: przy bramie zatrzymuje go smok wielki, lecz zaledwie rzucił mu jabłko, smok wskoczył w fossę i utonął.

Zaraz się wielka otworzyła brama, zobaczył podwórzec pełen kwiatów i drzew ślicznych: a na wysokim ganku siedziała zaklęta piękna królewna wraz z dworem swoim. Ujrzawszy dorodnego młodzieńca, zbiegła ku niemu witając w nim rada, pana i męża. Wszystkie mu skarby oddała, a żak młody został wielkim i bogatym panem: na ziemię wszakże już nie powrócił, bo wielki sokoł co był strażnikiem, i zamku tego i saméj królewnéj, mógł tylko zamek i skarby na skrzydłach swoich do ziemi przenieść: lecz kiedy nogi postradał, w pobliskim lesie na szklannéj górze, znaleziono jego zwłoki.

Gdy raz z królewną, a żoną swoją, chodził po ogrodzie zamku, spojrzy na dół, i widzi z podziwem że się mnóstwo ludzi zbiera. Świsnął więc w piszczałkę srebrną, a jaskółka co służyła za posłańca w złotym zamku, nadleciała.

—»Idz się dowiedz co nowego! rzekł do małego ptaszyny.

I jaskółka szybko leci, wkrótce wraca i powiada.

»Krew z sokoła ożywiła martwych zwło»ki, wszyscy którzy polegli pod tą górą, »wdzierając się na nią, wstali dziś jakby »ze snu, dosiadają rzeźwe konie, a lud »z podziwem patrzy na cud niesłychany.

Tak, czego nie dokazała moc i odwaga, to zdziałała nauka.

---

Może nie jeden z czytelników, wyłącznie miłośnik salonowéj literatury, pomyśli sobie, było też po co takie drobiazgi zbierać i umieszczać? Odpowiemy mu na to, że pieśni, podania i powieści ludu, są najważniejszém źródłem do wybadania obyczajów ludu, odgadnienia zatartych już pamiątek i wyjaśnienia zaćmionéj historycznéj prawdy. Są mianowicie podstawą samorodnéj poezyi. Najuczeńsi mężowie nie gardzą niemi i wyszukują troskliwie. Szkoda tylko, że wszędzie, a zwłaszcza też u nas, za późno wzięto się do ich zbierania, kiedy już najważniejsze i całą Sławiańszczyznę obchodzące podania i pieśni zaginęły.

K. Wł. W.

## O NAJDAWNIEJSZYCH BAJKACH POLSKICH.

Niemał równo z drukiem zjawiły się u nas i bajki: już w dziełach M. Reja z Nagłowic (*) znajdzie ich nie mało, lecz na szczególną uwagę zasługuje xięga Bartosa Paprockiego od napisem:

»Koło rycerskie, w którym rozmaite stwo»rzenia rozmowy swe mają, z kąd człowiek »może przykład wziąść, jako sam ma żyć, in»sze uczyć i czego się wystrzegać. 1576 r.

Całe to dzieło z samych bajek i powieści złożone, zastósowanych do zwyczajów i wieku współczesnego. Dla poznania téj rzadkiéj xięgi, wielce zasłużonego pisarza w literaturze naszéj, ograniczamy się na teraz na przytoczeniu jednego wyjątku, nim obszerniejszą podamy wiadomość.

### I.

#### BOŻE DRZEWKO I ZAJĄC.

Boże drzewko ma ten dar, od Boga nadany,
Wypadnie tarń, gdy go kto przyłoży do rany:
A przetoż jeden zając przyszedłszy do niego,
Prosi aby wyjęło drzazgę z nogi jego.
Mówiąc: »O! dusz lekarzu i ciała ludzkiego,
»Proszę poratuj też mnie zwierzka zbolałego,
»Wyjmij drzazgę z méj nogi,« Drzewko się przymknęło,
Zmiłowawszy się nad nim, on mu tarń wyjęło.
Zając zarazem zdrowy i wesoły się stał,

(*) Kozik rodzaj małego noża składanego, który lud nasz zawsze przy pasie na rzemyku nosi.

(*) Patrzyć dzieła jego. Zwierciadło i zwierzyniec stanów szlacheckich 1562 r. wydane in 4to.

http://rcin.org.pl

A drzewko to życzliwie nagrodzić obiecał.
Nie zapomniał obietnic, zawsze rano wstawszy,
Na swą wełnę czyściuchnéj wody z rzek nabrawszy,
Biegł do onego krzaczka, pokrapiał zwiędłego,
A tym zawsze odmładzał, słabe rószczki jego.
Mówiąc, że się to godzi zawsze cnotliwemu,
Nagradzać dobrodziejstwo uczynione jemu.

K. Wł. W.

## MASSYLLON.



Ludzie obdarzeni geniuszem, od pierwszéj młodości czują w sobie powołanie do zawodu, który ich unieśmiertelni. Massyllon, zrodził się na wielkiego kaznodzieję. W bardzo młodym bardzo wieku, wszedłszy do kolegium miasta Hieres w Prowancyi, głęboką uwagę zwrócił na kazania niedzielne. Z oczyma wlepionemi w kaznodzieję, niewzruszony, milczący, zdawało się że zostaje pod wpływem czarodziejskiego uroku, a nazajutrz stanąwszy na ławce, powtarzał współtowarzyszom miejsca, które najbardziéj go zajęły. Tym sposobem wprawiał się do kaznodziejskiéj wymowy, podobnie jak w sto lat po tém uczeń szkoły wojskowéj w Brienne, rozpoznawał taktykę ustawiając kamyki w szyku bojowym. Przełożeni kolegium, postrzegłszy zdolność ucznia, skłonili jego ojca, który był znakomitym obywatelem miasta, iż pozwolił synowi wejśdź do stanu duchownego. Massyllon odbył kurs teologii i w 1689 otrrzymał święcenie kapłańskie.

Nie od razu śmiał wstąpić na kazalnicę, na któréj taką sławą miał się uwieńczyć. Z początku żył w ukryciu, bądź to iż lękał puszczać się w zawód, w którym tak słynęli w owéj epoce Bosuet i Bourdaloue, bądź to, że powziąwszy śmiały zamiar walczyć z temi wielkiemi ludźmi, przysposabiał się w milczeniu, rozmyślaniem i nauką. Dopiero 1696, w siedem lat po wyświęceniu się, przybył do Paryża.

Konferencye duchowne, które wtedy napisał, dosyć zaczęły bydź głośne; ale dopiero wtedy zwrócił na siebie uwagę powszechną, gdy mu polecono mieć kazania w Montpelier podczas postu. Zyskał w tém mieście tak wielką sławę, a kazania jego ściągały takie tłumy słuchaczy, iż się w kościołach pomieścić nie mogli. Następnego roku powołano go do Paryża. Tam podobnież jak w Montpelier, odniósł zupełny tryumf i sława jego rozszerzyła się po całéj Francyi. Sławny Bourdaloue przyszedł na jego kazanie i oświadczył że znalazł się jego następca. Ze wszystkich pochwał najbardziéj pochlebiła Massyllonowi pochwała tego wielkiego człowieka.

W następnym roku powołano go do kazania w obec monarchy i dworu: »Mój »ojcze, rzekł do niego Ludwik XIV: sły»szałem wielu znamienitych mówców i by»łem z nich kontent, lecz ile razy ciebie »słyszę, zawsze jestem nie kontent sam z sie»bie.» Wkrótce wezwany został do powiedzenia mowy pogrzebowéj, po zgonie tego monarchy, który nadał imie swoje wiekowi tak obfitującemu u tylu sławnych ludzi.

W roku 1717 został biskupem w Clermont i wówczas napisał zbiór kazań pod nazwiskiem *Małego Postu*, jest to jego najznamienitsze dzieło i uważane powszechnie jako niezrównany wzór wymowy.

Masyllon mjeszkał w swojéj dyecezyi aż do zgonu i tylko dwa razy ją opuścił, raz, gdy go przyjmowała za członka swojego Akademia francuzka, drugi raz, gdy wypełniał powinność drogą i bolesną dla serca: to jest, miał pogrzebową mowę po zgonie xiężnéj Orleańskiéj, która zawsze okazywała mu jak największą przychylność. Przez lat dwadzieścia pięć mieszkał w Clermont, bez ustanku zajęty zarządem dyecezyi swojéj. Swiadczył dobrodziejstwa bez przepychu, unikał również zbytku jak skąpstwa. Umarł w 1742 mając lat 79. Najznamienitsze kazania Massyllona zebrane są w trzech oddziałach, jeden pod tytułem *Adwentu*, czyli kazań adwentowych, drugi wielkiego postu, trzeci małego postu.— Wielki post i mały post Massyllona znajdują się przełożone na język polski:

http://rcin.org.pl

# ARCHITEKTURA GOTYCKA.



KOSCIOŁ W MIESCIE THANN W ALZACYI.

Alzacya jest jedną z prowincyi Francuzkich, gdzie najwięcej dochowało się fantastycznych podań średnich wieków. Każde jéj wzgórze, każda dolina, posiada malownicze zwaliska zamków feodalnych i cudowną o nich legendę. Zą miasteczkiem Cernaj, ciągnie się piaszczysta dolina, dotąd zwana *Polem kłamstwa*, na pamiątkę zdrady, któréj dopuścili się występni synowie przeciw ojcu własnemu Ludwikowi Dobrodusznemu. W niezmiernych podziemiach, które się pod nią rozciągać mają, liczne wojska śpią zaczarowanym snem tysiąca nocy i czekają godziny na ich zbudzenie przeznaczonéj. Na końcu téj płaszczyzny, wsławionéj podwójnie przez historyą i bajkę, leży miasteczko Thann, którego pierwotna kronika nie mniéj jest zajmująca.

W środku XII wieku, w mieście Spoleto we Włoszech, był biskupem Swięty Theobald, tak dobroczynny dla ubogich, iż nawet nie pozostało mu pieniędzy na opłatę myta swego służącego, rodem Niemca, który u niego przez długi czas zostawał. Czując że już się zbliża godzina śmierci, biskup, pozwolił słudze swojemu, wziąźć, jak tylko zamknie powieki, pierścień złoty którен nosił na wielkim palcu. Skoro więc tylko skonał S. Theobald; sługa chciał zdjąć pierścień; ale za pierwszym pociągiem palec oderwał się razem z pierścieniem od ręki biskupa. Uderzony tym czynem jako cudowną

http://rcin.org.pl

okolicznością, sługa wybierając się z powrotem do Niemiec, wydrążyć kazał gałkę swojéj laski i tam schował palec i pierścień, uważając je za obronę od wszelkich niebezpieczeństw w podróży.

Przebywszy bez przygody Włochy, Alpy i Szwajcaryą, przybył 16 Czerwca 1161 r. w dolinę Thur, niedaleko wioski dziś zwanéj *Starym Thannem*. Jodłowe lasy pokrywały w owym czasie całą Alzacyą, a pośród nich wznosiły się warowne zamki szlachty. Gród Engelburga, wysadzony potém na powietrze na rozkaz Tureniusza, stał wówczas dumnie na szczycie wzgórza, u spodu którego zatrzymał się podróżny i znużony upałem, zasnął. Obudziwszy się, chciał wziąść swój kij opiekuńczy, który był oparł o jodłę, ale jak pierścień przyrosł do palca, podobnież laska przyrosła do drzewa. Gdy usiłowania kilku wieśniaków nie mogły jéj oderwać, wówczas lud ze wszystkich stron zebrany, a któremu sługa opowiedział całe zdarzenie, nie pozwolił ponawiać tych świętokradzkich szamotań. Wzniesiono w tém miejscu kaplicę na część Swiętego Theobalda, i taki był początek miasta Thann. W 1411 otoczono je murami i zbudowano bramę, którą wyobraża nasza rycina. Ta brama umieszczona między dwiema ciężkiemi wieżami, opatrzona blankami, ozdobiona herbami i lekką rzeźbą, ma piękną cechę architektury gotyckiej i ozdabia miasto, które mimo wzrostu przemysłu i handlu w teraźniejszych czasach, nie straciło cechy wieków średnich. Wzmagając się w bogactwa, Thann uzyskało liczne przywile od monarchów niemieckich, a między innemi przywilej bicia monety. Jego późniejsze dzieje, prócz wojen o religią w Niemczech i wojen Ludwika XIV. mało nas mogą obchodzić i tylko stawiają nowe przykłady łatwowierności mieszkańców. Od r: 1572 do 1620 spalono tam 152 czarownic, a w 1608 gdy ostra zima wymroziła winnice, przypisano to nieszczęście czarownicom; kilkanaście starych kobiet oddano na męki, jedna z nich wyznała pośród męczarni, że zaczarowała winnice.

Uboga kaplica Swiętego Teobalda, za czasem zamieniła się w kościół. W r. 1275, mieszkańcy Thann prosili sławnego budowniczego kościoła katedralnego w Strazburgu o plan do nowego kościoła. Jednakże w długi czas potém rozpoczęto budowę i przeszło dwa wieki upłynęły od czasu, jak Erwin de Steinbach skreślił rysunek gmachu, a Henrych Walch dokończył go, wyprowadzając w górę tę śmiałą dzwonnicę, która chce się zrównać prawie ze szczytami sąsiednich wzgórzów. Ale ponieważ budownicy trzymali się wiernie planów sławnego architekta, gmach zachował cechę jedynéj myśli i epoki, chociaż gust każdego wieku okazuje się w szczegółowych ozdobach. Kronika miejska obejmująca wszystkie szczegóły budowy gmachu który jest chlubą miasta, powiada, że gdy w 1431 gorliwie pracowano nad budową kościoła, wino tak się obrodziło w Alzacyi, iż umyślili używać go zamiast wody do wapna, a robotnicy, pisze kronikarz z niejakiém podziwieniem, znaczną liczbę beczek spotrzebowali. Może też wapno nie wypiło wszystkich beczek podanych w rachunku.

Gdyby nie było koscioła katedralnego w Strasburgu, Kościół w Thann byłby najwytworniejszym gmachem w Alzacyi, ku czci religijnéj przeznaczonym, a niektóre jego części mogą się równać z najpiękniejszemi pomnikami architektury gotyckiéj. Wystawa, w śród któréj znajduje się główne wnijście, ozdobiona jest z największą sztuką i rozmaitością. Każden kamień wyrobiony jest w postać; wszędzie artysta poumieszczał płasko-rzeźby i posągi. Przejrzysta balustrada i lekka wieżyczka utrzymująca się na sześciu cienkich kolumnach zakończa tę wystawę. Druga brama w ścianie bocznéj, ubiega się o piękność z pierwszą i zachowując znamię gotyckiego stylu, ma rozmaite ozdoby z różnych czasów. Balustrada uwieńcza ścianę całego gmachu, posągi świętych stojące na każdym filarze zewnętrznym i pokrywające tę wadę kościołów gotyckich, potwory, którym z rozwartych paszczy wypadają deszczowe wody, są także ozdobą tego gmachu; lęcz najznamienitszą jego częścią jest wieża, czworościenna, aż do miejsca gdzie dzwonnica opiera się na niéj z niewypowiedzianą lekkością; ta wieża jest jednym z najszczęśliwszych płodów rzeźby, w których architektura gotycka złączyć umiała delikatność, wdzięk i siłę. Boki tak są przecięte oknami przez które wskróś przejrzeć można, iż dziwić się trzeba że znieść zdołają jéj wierzchołek, chociaż tenże jest przejrzystą piramidą mogącą jak się zdaje ulecieć za pierwszém tchnieniem wiatru. Widziana z niejakiéj odległości, ta ośmioboczna dzwonnica, wysoka na trzysta stóp, tworzy zaledwie znak lekki na błękicie nieba, tak dalece powietrze i światło wskróś ją przenika. Nie wiele pomników posiada przyjemniejszą zewnętrzną postać, ale wnętrze gmachu nie odpowiada bynajmniéj zewnętrznéj wspaniałości opisanych części.

Jużeśmy wspomnieli opowiadając cudowny początek tego kościoła, o wiosce nazwanéj potém starym Thannem. Uboga ta osada kilkakrotnie zniszczona podczas wojen XV. wieku posiada w biednym swoim kościele piękne dzieło rzeźbiarskie godne najwspanialszéj świątyni. Jest to wyobra-

http://rcin.org.pl

żenie grobu Jezusa Chrystusa, którego rycinę zamieszczamy na następnéj stronnicy.

## WĘGRY. SŁAWAKI.

*(Wyjątek z dziennika podróży* 1829 i 1830.)

Opuściwszy starożytny Kraków, przebywszy Karpaty i Tatry, pierwszem miasteczkiem w granicach węgierskich było Czacza, położone nad rzeką Kyszycą, nie wielkie z murowanym kościołem. Daléj Turzówka, z jednym także kościołem; przy samém mieście na górze wzniesiona szubienica, nie bardzo przyjemny sprawiała widok. Dojeżdżając do miasta Bicza, ukazały się nagie, wysokie, prawie nie dojrzane okiem skały, na kształt ruin starodawnych. Pomiędzy Turzówką a Biczem, jest karczma zwana *Iwar*, w któréj jeden z Polaków w r. 1828 jadąc do wód Trenczyńskich, napadnięty został. Żyd karczmarz opowiadał nam całe to zdarzenie ze wszelkiemi szczegółami. Kilkunastu wieśniaków ze wsi poblizkiéj, zmówiwszy się, przedsięwzięli ten napad. Że mieszkanie gościnne jest osobne a stajnia oddzielna, najprzód więc wpadli do niéj i związali furmana; sami wyważywszy drzwi domu i zagroziwszy śmiercią żydowi, zaczęli gwałtownie wybijać do drzwi podróżnego. Zbudzony ze snu, pyta kto tam? »Otwórz! odpowiedziało kilkanaście głosów, lub inaczéj drzwi wysadzim.

»Mam broń! a śmierć każdemu co się pierwszy zbliży!« zawołał podróżny: nie widział bowiem sposobu ratunku, gdyż okno żelaznemi opatrzone było kratami. Nieustraszeni opryszki, drzwi wybijają; na widok tego tłumu, nie śmiał się bronić i strzelba wypada mu z drżących ręku. Obdarto go ze wszystkiego i zbito: szczęściem wymknął się z rąk morderczych, i pod mostem w pobliżu znalazł bezpieczną uchronę. Tym czasem, niespodziewany wypadek rozproszył bandę. Nasz podróżny miał strzelbę z pistonami: oglądając ją śmieli się że z niéj chciał strzelić, gdy nie ma skałki: jeden z nich probując, wystrzelił niechcący i ranił towarzysza śmiertelnie: przerażeni tak niespodzianem zdarzeniem, sądząc że to czary, zbiegli unosząc rannego.

Miasto Bicz nad rzeką Wagą, z dwoma kościołami i zamkiem, w urodzajnych położone niwach; w środku samego rynku przy słupie kamiennym, są *Kuny*, to jest żelazne obroże, w których winnych za szyję zamykają. Było to dawniéj zwyczajem i u nas: z kąd w polskim języku przysłowie:

»Siedzieć jak w Kunie.«

Chcąc określić miejsce niewygodne i ciasne. Teraz zniesiono u nas ten rodzaj haniebnéj kary, który wszelako powszechnym jest w Węgrzech; dotąd albowiem w miastach i po wsiach widzieć można kuny.

W gospodzie ściągnął uwagę naszą obraz, lubo najgorszego rysunku, jednak tak upowszechniony, że w każdéj karczmie w miastach i po wsiach widzieć go można. Wyobraża on rozbójników i ich dowódzcę, sławnego przed kilkudziesiąt laty bandytę w górach, *Januszko* zwanego, w chwili gdy powróciwszy z łupieży, oddają się wesołości. Jeden z Opryszków przygrywa na gajdach (Duda) drudzy skaczą i strzelają na znak radości, a Januszko wsparty na strzelbie, stoi przy kotle pełnym złota. Inne obrazy wystawiają tegoż rozbójnika, jak woły zdobyte zapędza w swoje kryjówki. Imie jego jest tu znane powszechnie w przysłowiu Słowaków i naszych górali: »Nie bról Januszko! bo będziesz wisiał.« Miał to bydź nadzwyczajnie silny i zręczny człowiek: długo rozbijał, w ostatku schwytany i szubienicą ukarany został. Pokazywano mi w starych bramach miast Bystrycy (Neusohl) i Zwolenia (Altsohl) drewniane pałki które należały do jego towarzyszów: grubość ich i waga wzbudzają zadziwienie nad siłą ludzi którzy niemi władali. W starożytnym zamku miasta Zwolenia, po węgiersku Zalyom zwanego, pałka drewniana samego Januszka, jest osobno zachowana, tak cięzka że ją z trudnością podźwignąć można.

Pod Biczem trzeba się było przeprawić przez Wagę, a właśnie rzeka ta szeroko rozlała. Urządzono jednakże nie długo przewóz, a przydany nam pachołek wszystko ułatwił. Pachołkowie tutejsi zastępują zupełnie policyą. Zwyczajnie po węgiersku są ubrani, z tą różnicą, że zamiast czapek noszą kaszkiety wojskowe jak piechota. Broni nie używają żadnéj, kij tylko czyli laska i groźna mina, są znamionami ich powagi. Przyznać im potrzeba wielkie zalety: w kraju tak górzystym jak Węgry, zbiegłych zbójców i złodziei, a ukrywających się w niedostępnych tajnikach, zawsze wyśledzą i nigdy zbrodniarze nie ujdą miecza sprawiedliwości. Zdaje się to niepodobieństwem, patrząc na te ogromne góry, nie przejrzane lasy i liczne bezdroża, co wszelako codzienne stwierdza doświadczenie. Po dopełnionéj kradzieży lub rabunku, pachołki w dni kilkanaście wynajdą sprawców; a ci w miesiąc już odbierają zasłużoną karę. Przebywszy Wagę, przybyliśmy do małego miasteczka Przedmir, które tylko zdobi jeden kościół murowany. Tu pierwszy raz w Węgrzech widzieliśmy tyle wsławionych huzarów węgierskich: ubior mieli piękny, lecz konie biedne. W i-



GRÓB JEZUSA CHRYSTUSA.

stocie, konie węgierskie są nędznéj rassy, z kąd też Węgrzy ubiegają się za końmi polskiemi i przepłacają je nawet. Ciągle po nad Wagą wyborną jadąc drogą, patrzyliśmy na lotne tratwy goralskie, które w zawody idąc z wiatrem, pędziły po wzburzonym żywiole. Kobiety siedząc na nich, nóciły śpiewki słowiańskie, a szum rzeki i uderzenia wioseł harmonijnie im wtorowały. Za Predmirem okazały się na wyniosłéj i skalistéj górze ruiny zamku Podradi; u stóp téj góry wznosi się pałac w nowym guście stawiany, z którego zachwycający na wszystkie strony otwiera się widok. Pominąwszy małe miasteczka Bystrycę i Iławę, obróciliśmy drogę na sławne kąpiele, po tutejszemu zwane Cieplicą Trenczyńską. Jest to wieś spora położona między wzniosłemi górami, ozdobna kilką murowanemi domami. Chociaż dopiero było w połowie Maja, już wiele zastaliśmy gości, używających tych wód dobroczynnych. Ubior sielan okolic tutejszych, niczém się nie różni od goralskiego, jedno tylko kapeluszami, których skrzydła były daleko obszerniejsze, ozdobne powszechnie wstążkami i kwiatami. Szczególniejsze lud ten ma upodobanie w kwiatach równie jak i sami Węgrzy. Mężczyzni zawsze stroją niemi kapelusze, niewiasty czepki, a dziewki włosy; nadto do kościoła nie wychodzi żadna, by nie miała w ręku małéj wiązki kwiatów. Kobiety wiejskie w ogóle są brzydkie; na kilka tysięcy niewiast, które miałem sposobność widzieć, nie znalazłem ani jednéj, któraby nie tylko piękną ale i przystojną nazwać można. Lud rosły, piękny, składny i silny, a pułki z niego utworzone odznaczały się w wielu bitwach wytrwałością, męztwem i odwagą.

Od miasta Banowice, gdzie wznosi się kościół ozdobny, zaczynają się pola więcéj urodzajne i równiny między górami coraz więcéj daje się to widzieć wyra

śniéj, a niedalekie miasteczko Topolczany, już w żyznych i płonnych położone niwach. Jak te strony przypominiały nam nasze Sandomierskie, tak jeszcze więcéj złudził i ubiór sielan: noszą bowiem sandomierskie sukmany białe, z tą tylko różnicą, że zdobią je trójkątne kołnierze spadające z tyłu i że do tego ubioru goralskich używają kapeluszów.

Zbliżyliśmy się do największego z wymienionych dotąd miasta Nitra (Neutra) stołecznego komitetu, (po naszemu województwa). Miasto możne w wiele domów murowanych, z wspaniałym a ogromnym pałacem biskupim i starożytnym zamkiem, wzniesionym na górze. Za miastem rozciągają się winnice: były to pierwsze któreśmy w Węgrzech oglądali. Pomiędzy winnicami są domy porządne, na mieszkanie letnie dla dziedziców i panów węgierskich, które zajmują szczególniéj podczas winobrania.

Pominąwszy miasteczka *Morawce, Benedyk,* gdzie kościół starożytny jak podanie niesie od 1000 lat wzniesiony, Koenigsberg, po słowacku Bania, przybyliśmy do miasta Żarnowce, położonego w romantycznéj okolicy. Największą osobliwością, a zarazem ozdobą, jest pałac wybudowany na wysokiéj i nagiéj skale, w któréj wykute schody, prowadzą z pałacu do miasta: u spodu jest wiele pieczar, wykutych w tejże skale, które za altany i uchronę przed skwarem słońca służyć mogą; są w nich ławki, a wnijścia zdobi winna latorośl.

Ostatniém miastem przed kąpielami Sleacz dokąd śpieszyliśmy, było miasto Swiaty-Kryż (Swięty Krzyż) z ogromnym pałacem i ogrodem biskupim, gdzie jest i samego rezydencya. Pałac ozdobny, z przepychem nawet, bo dotąd, tak jako i u nas dawniéj, duchowni wielkie podają beneficya.

Nim przystąpię do opisu kąpieli w *Sleacz* na sam przód powiem o Węgrzech. Obywatele téj krainy są szczerzy, otwarci, gościnni i mężni. Od młodu każdy z nich oswojony z szablą, umie dzielnie nią władać. Huzary węgierskie zyskały europejską sławę.

Szlachta węgierska od Słowaków Ziemianami zwana, po wsiach osiadła, mieszka w ozdobnych domach; domy te mają nazwisko *Kasztelów*, (z łacińskiego wyrazu zamek) i są prawie zawsze na jeden kształt budowane; fronton nic nie ma szczególnego w sobie; ze czterech tylko boków domu, wznoszą się małe wieżyczki, które gotycyzm przypominają. Przy każdym takim kasztelu, znajduje się ogród obszerny i ozdobny, w którym mnóstwo rozmaitego rodzaju kwiatów znaleźć można. Węgrzy albowiem, a szczególniéj Węgierki nadzwyczaj są zakochane w kwiatach. Mężczyzni noszą je za kapeluszami; przy stole nawet zawsze, ile widziałem, kwiaty w puharze, albo w wazonie na środku stały. Węgierce ofiarować bukiet kwiatów, jest to dar dla niéj najprzyjemniejszy uczynić. Zdaje się że takowe upodobanie od pobratymców naszych Słowaków przejęli. Oprócz kwiatów, w ogrodach wiele jest drzew owocowych, sławne węgierskie śliwki, drzewa morelowe i figowe. Gust angielszczyzny zakładania dzikich przechadzek, jest tu w modzie także: winnice są zwykle osobne i oddzielne od ogrodów. Znajomość kilku języków jest między Węgrami upowszechniona: pospolicie mężczyzni mówią po łacinie, a nie tylko szlachta, obywatele, ale i wielu pomiędzy rzemieślnikami używają tego języka. Łacina ta, może bydź określoną dokładnie technicznym wyrażeniem: »*że jest łaciną kuchenną.*« Któryś z dawniejszych pisarzy opisując sen swój, wystawił w nim że ujrzał Cycerona, do którego jeden z zawołanych filologów naszych czasów zaczął mowę okrzyczaną pomiędzy nami, że była napisana łaciną Cycerońską. Na pierwsze wyrazy, Cycero zadziwiony, ciekawie nastawiał ucha, ale nic zrozumieć nie mógł. Tém pewniéj, aniby zrozumiał Rzymianin nawet z ostatnich czasów, języka swego, który jest w pospolitém użyciu między Węgrami. Oprócz łacińskiego, niemiecki jest tu powszechnym, a wpływ tego języka, do tego wzniósł się stopnia, że o języku własnym madziarskim prawie zapomniano. Dotąd wiele pomiędzy kobietami znajdzie, co wcale nie umieją po węgiersku. Oprócz wspomnionych języków, wielu mówi płynnie po francuzku i włosku, wielu zna i nasz polski, a Sławaków dyalektem pisują i listy zwyczajne nawet.

Gościnni aż do zbytku, otwarci, uprzejmi, z szczerém sercem przyjmują w swoim domu obcego. Kogo z cudzoziemców uznają za godnego ich przyjaźni i szacunku, tych nie zmienią nigdy; w przeciwnym razie, pogardy swojéj nie umieją grzecznością polityczną okrywać.

Ubior Węgrów jest podobny do stroju znanych huzarów. Jazdę tę początkowo jedynie krajowo-węgierską, naśladowano we wszystkich niemal krajach europejskich.

Na zgromadzenia obywatelskie (congregato) na zabawy publiczne, w dnie uroczyste, na powitanie Cesarza, Palatyna, lub znakomitych osób, szlachta węgierska występuje zawsze w dawnym swoim stroju. Ubior ten bywa dwojaki, pierwszy składa

http://rcin.org.pl

się z czapki wysokiéj sobolowéj lub innego futra, z pośrodka któréj spada worek aksamitny naprzód; z dwóch *dołmanów* na kształt naszych kurtek, bogato wyszywanych srebrem lub złotem, z tych jeden na rękawy wdziany, a drugi z lewego ramienia spada; chustka na szyi grubo zawiązana, któréj końce frendzlami ozdobne; spodnie obcisłe w buty zachodzące, równie bogato jak dołmany wyszywane sznurkami w rozmaite wzory: do tego buty podobne w kroju dawnym rycerskim, od wierzchu szeroką frendzlą, po bokach guzikami złotemi lub srebrnemi ozdobne, z dwiema ostrogami, szabla bogato osadzona; kobiecy strój prawdziwie madziarski.

Drugi rodzaj ubioru, w tém się tylko różni, że zamiast dołmanów, używają długich czamar, równie bogato wyszywanych: reszta składa się z tych samych części co i poprzedni: ten strój Węgrzy sami uważają za najdawniejszy.

Jak inne narody, tak i Węgrzy mają swój taniec: My uważamy, a nawet nazywamy u nas tańcem węgierskim, gdy trzymając się za ręce mężczyzna z kobietą w takt hołubca uderzają. Wszakże nie jest to bynajmniéj ich taniec, który sami Węgrzy nazywają *ruskim kadrylem* (Rusiche kadrill.)

Taniec właściwy węgierski składa się z dwóch części oddzielnych: pierwsza, któréj muzyka wolna jak naszego poloneza, nazywa się *Werbunck*, druga, któréj takt jest najszybszego walca, nosi nazwę *Friszko*. Taniec ten jest zupełnie oryginalny, w którym mało się może odznaczyć kobieta, gdy mężczyzna okazuje w nim siłę i zręczność. W pierwszéj części, czyli Werbunku, występuje dwóch, czterech, lub i więcéj do pary tancerzy, a każda para z osobna naprzeciw siebie stanąwszy, w przeciwnym kierunku zwolna się posuwa. Mężczyzna trzymając się pod boki, z rycerską miną, któréj powagi wiele sam ubiór dodaje: kobieta z złożonemi w tył rękoma, spuszczonym wzrokiem, jakby branka wojownika. W tém uderza muzyka w takt szybkiego *Friszko*: wolny taniec zmienia się w bieg prawie wiatru. Wtedy to Węgier występuje z całą siłą i zręcznością. Nadziwić się dosyć nie można tym trudnym a szparkim obrotom nóg, które mają wiele podobieństwa do *Matelota* (modnego i u nas dawniéj) z tą różnicą, że takt daleko jest prędszy. Kończy się ten taniec lotny, gdy mężczyzna razem ze swoją tancerką, podobnie jak w obertasie wykręci się kilka razy w dwie przeciwne strony.

Taniec wspomniony, w którym tylko sam mężczyzna zręcznością i siłą może się odznaczyć, pozbawiony gracyi i wdzięku, jest niezmiernie trudnym w wykonaniu, dla tego pomiędzy samemi Węgrami mało jest dobrych tancerzy. Węgierki hoże przenoszą nad swój krajowy taniec walc niemiecki, a szczególniéj nasz mazur. Wiele tak dobrze tańczy mazura, jak rodowite piękne polki: mężczyznę nie zobaczy by umiał mazura, a lubo go tańczą, tyle przydają skoków dzikich i dziwacznych poruszeń, że trudno nawet śladu dojrzeć naszego mazura.

Jak ubiór, taniec mają własny, tak i pieśni i muzykę. Wiele dum właściwie Węgierskich, zbliża się smętnością swoją do ukraińskich, które tyle rzewnością zajmują. Z pomiędzy nich najsławniejszą jest i powszechnie znaną dumka *Rakoczego* (według podania) przez samego wojownika ułożona: ma ona wdzięk szczególny, tém więcéj u samych Węgrów, wyciska im nawet łzy z oczu. Banda cyganów, w czasie obiadu, przyszła pod drzwi moje i zabrzmiała tę dumę. Nie znałem jéj wcale i żadnéj ceny ztąd przywiązywać nie mogłem, ale tony rzewne, serdeczne, przejmują tak silnie, że bez wzruszenia słyszeć jéj nie można. K. Wł. W.

## O HANDLU XIĘGARSKIM.

*a mianowicie w Królestwie Polskiém.*

W ciągu bieżącego roku, niezwykłym sposobem pomnożyły się przedsięwzięcia xięgarskie. Znaczne wydania rozpoczęto. Encyklopedya Powszechna, Żywoty Świętych, Dzieło gospodarskie P. Oczapowskiego, wymagają i znacznego przeciągu czasu i wielkich bardzo nakładów. Dodajmy do tego Magazyn Powszechny, Muzeum Domowe, Podróż malowniczą, Magazyn mód, Magazyn dla dzieci, Tygodnik Rolniczo-Technologiczny, Gabinet Powieści i Romansów, Kalendarze walczące z sobą o tanność i obszerność, rozmaite dzieła pojedynczo wydane, a przyznamy że nigdy jeszcze nie było takiego ruchu w xięgarstwie naszém. Jestże to skutek pomnażającéj się liczby czytelników i upodobania w czytaniu, albolitéż naśladownictwa obcych, pozornych a częstokroć zawodzących nadziei i rachub? Okaże się to w krótkim przeciągu czasu. W ostatnich latach, przedsiębiercy xięgarscy w Niemczech i Francyi, całe prawie xięgarstwo zamienili na Magazyny z rycinami, na rozmaite zbiory zeszytami wychodzące i opłacane częściowo. O każdym prawie kraju jest podróż malownicza; każda nauka ma swój Magazyn. Z jednéj strony wydawanie takie znaczne przedstawiając ułatwienia, ściągnęło większą liczbę nabywców, z drugiéj ma ważną niedogodność, z powodu zbyt

http://rcin.org.pl

lekkiego częstokroć traktowania rzeczy i niestałości właściwéj ludziom, a która najbardziéj objawia się przy prenumeracie xiążek. Zapytajmy się przedsiębierców pism zeszytowych, ile mają defektów, ile prenumeratorów porzuca na pół ukończone dzieło? Jak tylko xiążka wychodzić musi tym sposobem trzy lub cztery lata, wydawca może bydź pewnym że połowa dzieła pójdzie w defekta. Pierwsze że tak powiem pokolenie prenumeratorów, ginie już to przez niestałość, już to przez niemożność składania dalszéj prenumeraty, przez zagubienie kilku lub kilkunastu zeszytów, znudzenie się i tym podobne przyczyny; a gdy potém trzeba dwuletnią lub trzyletnią zapłatę składać, jakże mało znajdzie się osób, którzyby ten wydatek ponieść chcieli. — Toż samo powiedzieć można i o innych dziełach na raz wydanych.

Jeżeli dzieło nie zawiera w sobie bezpośredniego użytku, jeżeli nie jest gospodarskiem, popularno-lekarskiem, xiążką do nabożeństwa, słowniczkiem, albo też xiążką szkolną elementarną, słowém, jeźli ma na celu piękną literaturę, zabawę, a tém bardziéj jaką gałęź nauki i umiejętności; jakiż jest jego odbyt? Liczba mieszkańców rozmaitych prowincyi, mówiących językiem polskim, jest bardzo znaczna, a średni nakład dzieła które nie zaleca się powabem osobliwości, albo nadzwyczajną głośnością, nie przechodzi 1000 exemplarzy; z tych jeszcze po sprzedaniu 600 lub 700, reszta leży w składzie i czasem i po dwudziestu latach zupełnie wyprzedaną nie będzie. Porównajmy ten stan z handlem xiążek w Niemczech, z mnóstwem dzieł tamże wychodzących, a podobno musimy przyznać się że jesteśmy bardzo mało czytającym narodem.

A przecież prawie każdy powie że lubi czytać; bydź może, ale nie lubi na czytanie wydawać; kupno xiążek nie wchodzi u nas do wydatków stale obliczonych. Zbyt mała liczba osób zbiera i zachowuje zakupione xiążki. Przyjdzie komu na myśl kupić lub zaprenumerować dzieło; pożyczy go, zdefektuje, potém zaniecha: i taka to jest kolej przynajmniéj ¾ części exemplarzy. Na mały odbyt xiążek w kraju naszém, wpływa także drogość dzieła i cena jego przewyższająca możność mieszkańców, którzy xiążki w języku polskim czytać lubią. Doświadczenie przekonywa, że xiążka droższa 6 do 7 złotych, z trudnością znajduje odbyt, jeżeli konieczna potrzeba do jéj nabycia nie zniewala. A przecież cena dzieł poetycznych, literackich, podróży, romansów i t. p. rzadko jest niższą od zł. 12stu. Przyczyna tego polega na zbytecznym rabacie, któren wszedł w zwyczaj w naszym handlu xięgarskim. Wydawca musi odstępować xięgarzowi, a zwłaszcza też przybywające mu z gubernii Cesarstwa, połowę ceny katalogowéj: bez tego odstąpienia, nie sprzeda xiążki; a że znaczna część edycyi przechodzi w ich ręce, musi przeto cenę katalogową podwyższać, ze szkodą publiczności miejscowéj. Co się tycze handlu xięgarskiego wewnątrz kraju, stoi mu na przeszkodzie brak xięgarń i składów prowincyonalnych, brak rozwozicieli xiążek po miasteczkach i domach obywatelskich; nieregularne odbieranie xiążek na prowincyi: gdyż mimo wszelkich starań wydawców, prenumeratorowie po większéj części odbierają pisma posmolone, zużyte, podefektowane, przez co odstręczają się od dalszéj prenumeraty. Trudno zaradzić tylu niedogodnościom, żeby jednak podnieść xięgarstwo, wypadałoby:

1mo Starać się o pomnożenie składów komissowych po miastach, tak aby przynajmniéj w każdém wojewódzkiem i obwodowém mieście był skład xiążek.

2do Xiążki drukować tak ściśle ile tylko dozwala wzgląd na czystość i czytelność druku.

3tio: Ustanowić trojaką cenę xiążek; jednę dla Warszawy, drugą na prowincyi, trzecią za obrębem granic. Od ceny warszawskiej, nigdy większy nad 20 od sta rabat dany bydź nie powinien. Co xięgarze warszawscy stracą na wysokości rabatu, to odzyskają na powiększeniu sprzedaży. W takim razie dziełko dziś naprzykład 4 Tomy około 34 arkuszy druku obejmujące, w formacie in 12mo, zmieścićby można w jednym tomie z 20 arkuszy in octavo, na porządnym białym papierze; a zamiast 12stu a czasem i 16stu złotych ceny, sprzedawać je w Warszawie za zł. 6 gr. 20; na prowincyi za 8 złotych, a za 10 za obrębem granic kraju.

Autor niniejszych uwag, przekonany jest że xiążki wszelkie powinny bydź jak najtaniej wydawane, że tylko dzieła szczególny przedmiot na celu mające, mogą bydź droższe, bo służą dla pewnéj klassy czytelników, a jeźli to może się nie zgadzać z interessem xięgarza, w takim razie wzgląd na pożytek publiczny, ma pierwszeństwo nad osobistą spekulacyą. Już co się tycze dzieł zeszytami wychodzących, wydawcy uczuli rzeczywistość téj zasady. Spodziewać się trzeba że ją uznają co do dzieł innych, a wtedy za zniżeniem ceny, powiększy się liczba czytelników; nabywcy nie tyle nagleni o pożyczanie xiążek, zaczną z nich tworzyć małe biblioteczki i xięgarstwo nasze wyjdzie przecież z tego wątłego stanu, w którym dotąd mimo wszelkich usiłowań i coraz to nowych przedsiębierstw zostaje.

http://rcin.org.pl

## JAN POTOCKI.



(*Rycina F. Dietrich.*)

W zeszytach 25tym 26tym i 27mym Muzeum Domowego, umieściliśmy wiadomość o życiu Jana Potockiego sławnego podróżnika i badacza dziejów, z Wizerunków Naukowych wyjęte. Znalazłszy u Wżnego L. A. Dmuszewskiego wydawcy Kuryera, wyobrażenie tego męża, w gipsie odciśnięte, umieszczamy przekopiowaną z niego rycinę.

## LITERATURA.

### *Pisma czasowe naukowe, wychodzące w Krakowie.*

W kończącym się roku, uczeni i literaci krakowscy, odznaczyli się czynnością jakiéj jeszcze nie widziano w Krakowie. Jednocześnie powstały tam trzy pisma czasowe. Kwartalnik, Powszechny Pamiętnik, Pomniki historyi i literatury polskiéj. Kwartalnik głównie obrał sobie za cel naukowość, wszędzie przebija się w nim duch filozofii niemieckiéj. Powszechny Pamiętnik jest więcéj popularnym, a tym samym nie sami tylko miłośnicy głębokich nauk czytać go będą. Sam tytuł trzeciego pisma wskazuje, jaki jest zamiar wydawcy. Tak Kwartalnik jak i Pamiętnik Powszechny, ze szczególną starannością wyszukują to wszystko, co tylko jest słowiańskiem, co do poznania obyczajów, zabytków i ducha wszystkich pokoleń sławiańskich posłużyć może; mają ten chwalebny i pożądany cel, aby nasza poezya i filozofia opierała się na dobrze zrozumianym duchu sławiańszczyzny; są ożywieni tém przekonaniem, że dopóty mieć nie będziem własnéj literatury mogącéj mierzyć się z zagranicznemi, nie zaś naśladować ich niewolniczo, dopóki ich nie oprzemy na téj podstawie. — W trzech zeszytach Kwartalnika wydanych dotąd, znajdują się następujące przedmioty: *Do filozofii*: O teoretycznéj i praktycznéj oświacie. — Myśli i uwagi. — Zasada logiki. — Zasada filozofii natury. — Filozofia i przysłowia ludu w Polszce. *Do umiejętności prawa*: O stanie kmiecym i poddanych u Sławian, od połowy XVIgo do końca XVIIgo wieku. — O różnicy nieważności umowy obustronnéj a nieważności aktu z podpisem prywatnym, tęż umowę w sobie zawierającego. — O lennictwie i feudalności u Sławian od połowy XIV. wieku. — Rys systemu umiejętności prawa ze względem na tegoczesne wykłady części jego w uniwersytetach. — O powołaniu prawników. O systemacie karnym poprawczym i więzieniach stósownych do niego. — *Do dziejów*: Przydatek do historyi bezkrólewia po śmierci Jana III. w Polszce. — O grzywnach za czasów Kazimierza W. — O kronice ruskiéj. — Nad Prucie. — *Do literatury*. Uwagi nad słownikiem Lindego. — Obraz języka polskiego. — Dawna literatura polska. — Teatr i Alexander Fredro. — Filozoficzne pojęcie historyi literatury ojczystéj. — Badania w przedmiocie fizyologii mowy ludzkiéj. — Ważniejsze nowe dzieła w obcych językach o polskim.

Wszystkie te artykuły cechuje wypracowanie, naukowość i samodzielność myśli, nie są one przekładem z obcych języków, ale dziełem naszych uczonych, co dla nas tém milszą i pożądańszą jest rzeczą. Ale niestety! czyliż prace wydawców Kwartalnika, wpłyną na oświatę krajową? Mimo kilkokrotnych ogłoszeń w pismach publicznych, nie licząc tych prenumeratorów, którym gorliwi korrespondenci redaktora, xiążkę tę że tak powiem gwałtem wsunęli, wszystkich co z własnego popędu zaprenumerowali Kwartalnik jest dotąd w całém kraju.... zgadnijcie wielu.... oto OŚMIU!.. Jakże piękna nagroda dla wydawcy za łożone usiłowania! jaka zachęta na przyszłość!..

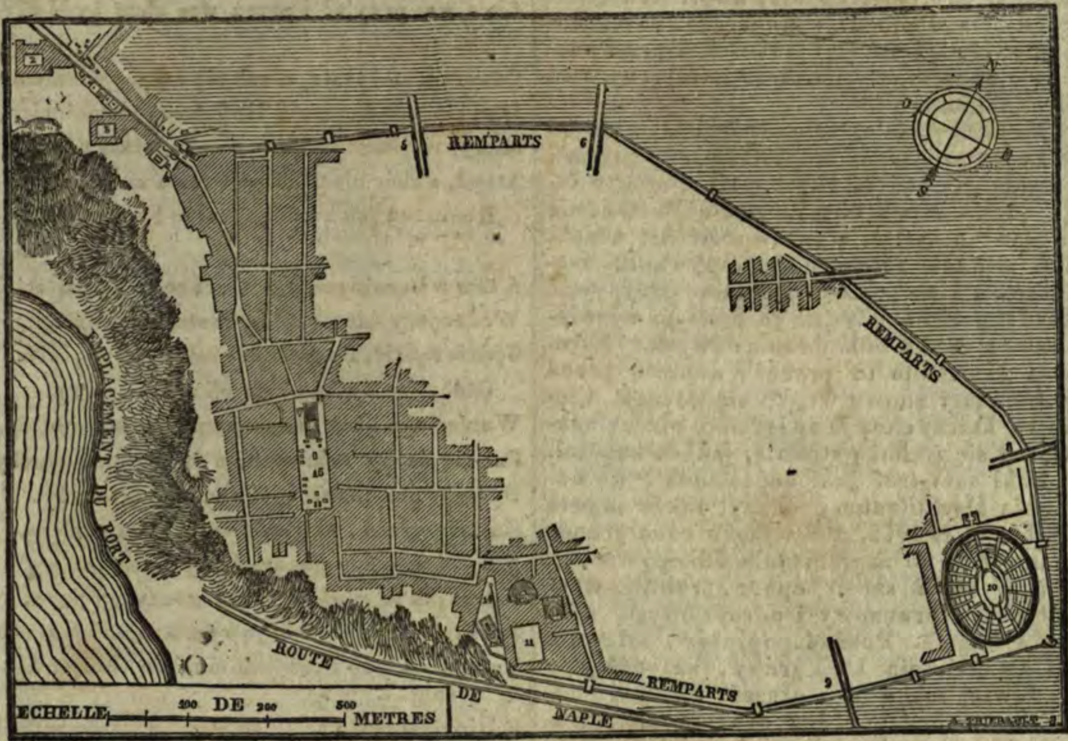
## DONIESIENIE.

Muzeum Domowe wychodzić będzie w roku następnym 1836. 1 zeszyt wyjdzie 1go Stycznia r. p. Cena prenumeraty taż sama, zł. 18 w Warszawie, zł. 24 na prowincyi.

*F. S. Dmochowski.*

http://rcin.org.pl

# MIASTO ZASUTE ŁAWĄ.




PLAN MIASTA POMPEI.

Znamienity pisarz angielski Bulwer, skreślił w zajmującym romansie, obraz ostatnich dni Pompei i jego zniszczenia przez wybuch Wezuwiusza. Wywołał z odwiecznych grobów, obyczaje i zwyczaje Rzymian; uczynił nas świadkami ich biesiad, zalotów, igrzysk. Czytelnicy Muzeum domowego, mają zapewne w świeżej jeszcze pamięci, najbardziej zajmujące wyjątki z tego dzieła, umieszczone w zeszytach 19tym 20, 22, 24, 25tym; mniemamy zatém, że historya odkrycia miast Heerkulanum i Pompei, plan tego miasta, ryciny wyobrażające rozmaite sprzęty i ozdoby starożytne, tem bardziej zaspokoić zdołają ich ciekawość.

---

Starożytni zostawili po sobie w trzech częściach dawnego lądu, nie przeliczone pomniki swojego przepychu i stopnia doskonałości, do jakiego doszły u nich piękne sztuki; ale czas zniszczył albo uszkodził te szacowne szczęty; zbyt mała liczba doszła do nas w całości, i to jeszcze, kosztowne płaskorzeźby, posągi, malowidła, mozaiki, bronzy, wydarte zostały z miejsca swojego, a przez to większą część piękności straciły. Czyliż można było pochlebiać sobie że poznamy całą starożytność?

W prawdzie pisarze zachowali nam szczegółowe opisy, lecz najobszerniejsze nawet opowiadanie, zupełnego dać nie może wyobrażenia i bardzo nie dokładnie zastępuje widok samychże przedmiotów. Niespodziane odkrycie zapełniło tę przerwę i świat uczony uwielbieniem i zapałem przejęło: mówimy tu o odkryciu miast Herkulanum i Pompei.

Przez lat 1630 te miasta leżały zagrzebane lawą i popiołami Wezuwiusza, ich nawet nazwiska poszły w zapomnienie. Dopiero w 1713, xiąże d'Elbeuf chcąc budować dom wiejski w okolicach Portici, kazał zgromadzać materyały: dowiedział się że pewien wieśniak kopiąc studnią, znalazł ułomki marmuru, nabył więc od niego prawo czynienia odkopywań. To miejsce leżało właśnie nad teatrem. Wydobyto najprzód statuę Herkulesa, potém statuę Kleopatry. Xiąże d'Elbeuf zachęcony tym pomyślnym wypadkiem, z zapałem kazał pracować dalej, Siedem posągów Greckich, wyobrażających kobiety, posłano do Francyi, ojczyzny xięcia.

Niedługo potém, odkryto okrągłą świątynię, otoczoną dwudziestu czterema kolumnami i takąż samą liczbą posągów.

Tyle bogactw, zwróciło nareście uwagę

http://rcin.org.pl

rządu i zabronił odkopywania. Zaniechano go aż do czasów don Karlosa, który zostawszy królem Neapolu, kupił ten grunt od xięcia d'Elbeuf. Monarcha kazał kopać aż do 84 stóp głębokości i przekonano się wreście, ze znalezioo miasto: było to Herkulanum.

Na nieszczęście, zalane' jest lawą na 80 a nawet miejscami aż do 100 stóp grubą i twardą jak skała. Oprócz tego, miasto leży zupełnie pod teraźniejszém Portici, nie można go więc wyprowadzić na widok. Poprzestano zatem na odkopywaniu częściowém i to jeszcze musiano zasypywać każdy pomnik gdy już go odkryto i ogołocono, a to dla odkrywania nowych. Nareście zarzucono te prace i dopiero przed trzema laty znowu wzięto się do nich. Ciekawi, którzy chcą je zwiedzieć, muszą spuszczać się głęboką studnią, jak do kopalni.

Taki sam traf jaki doprowadził do odkrycia Herkulanum, odkrył także miasto Stabia w r. 1755, ale wysoka cena gruntu zniewoliła do zaprzestania odkopywań.

W téjże samej epoce, rolnik wyorał posąg bronzowy i odrodziło się miasto Pompeja. Pokład popiołów, zaledwie na dwadzieścia stóp gruby, zasypał jego budowle, tak więc z czasem zupełnie odkopaném będzie. Już okazują się nieuszkodzone wcale, ulice, amfiteatra, świątynie. Nię sam widok obnażonych murów uderza oko; wszystkie domy, wszystkie ściany, pokryte są wewnątrz i zewnątrz malowidłami, które całą świetność zachowały; każdy sprzęt, każden mebel, nietknięty pozostał na miejscu. Jest to jakoby noc długa na siedemnaście wieków, po których przespaniu znajduje się rano rzecz każda w takim stanie, w jakim ją zostawiono wczorajszego wieczora. Zdumione oko, mimowolnie szuka pana który powinien mieszkać w tym domu ozdobionym tak świeżo te świątynie, te teatra, jaśnieją malowaniem i bogactwy; sam tylko człowiek zniknął, znikomszy od wszystkiego na świecie. Ledwie tylko rozrzucone tu i owdzie kości, zasmucają wzrok i przypominają podróżnemu, że znajduje się pośród miasta spustoszałego od tylu wieków.

Wielki poeta niemiecki Szyller, skreślił wrażenie, które na nim uczynił widok Pompei, umieszczamy je w pięknym przekładzie J. D. Minasowicza.

Co za dziwy! O napój źródlany proszona,
Ziemio! cóż to z twojego ślesz nam dzisiaj łona?
Czy i otchłanie żyją? noweż niedostrzegłe
Mięszka plemię pod lawą, czy powraca zbiegłe?
Do mnie Grecy, Rzymianie! zgubion bez nadziei
Znalazł się gród Herkula i wstaje Pompei.
Szczyt się wznosi przy szczycie, już Portyk przestrony
Chce was przyjąć i przez was chce bydź ożywiony.
Otworem stoi teatr, niech się z upragnieniem
Jego siedmią bramami tłum toczy strumieniem!
Mimy, wyjdźcie! gotową niech spełnia ofiarę
Atryd, a chór niech ściga Oresta za karę.

Komu ten łuk zwycięztwa? to Forum czy znacie?
A tam w kurulnych krzesłach co to za postacie?
Weź topory Liktorze! tu Pretor zasiędzie,
Będzie sądził, i powód i świadek przybędzie.

Otóż droga w chędogą ulicę się szerzy,
Wzniesiony bruk chodnika pod domami bieży,
Pną się dachy ochronne, a dziedziniec głuchy
Opasały przyjazne zdobnych izb łańcuchy.
Ruszcie drzwi i okiennic co je gruz zapiera,
Niechaj w tę noc ponurą jasny dzień poziera!
Patrz! jak tu gładkie ławki otoczyły ścianę,
Jak się świecą posadzki pstrym kamieniem słane.
Tu ogniem farb wesołych mur nie tknięty błysnął....
Gdzież jest malarz? nie widzisz? właśnie pędzel cisnął;
Źrzałym natknion owocem i wdzięcznemi kwiaty,
Cudne obrazy feston uwieńczył bogaty;
Tutaj Amor kosz pełny przekrada ochoczo,
Tam skrzętne Gieniusze wonny szkarłat tłoczą,
Skocznie pląsa Bahantka, tu drzymiąc spoczywa,
A Faun ją czatujący oczyma porywa;
Ta z Centaurem na jednéj nodze się kręcąca,
Że nie dość skory dla niéj, tyrsem go potrąca.

Żwawo chłopcy! do sprzętów! dla każdego stanie.
A wy dziewki czerpajcie w etruryjskim dzbanie!
Wszak to trójnóg na skrzydła stawiony Sfinxowe?
Sługi, wznieććie zarzewie! niech będzie gotowe!
Kupujcie, oto pieniądz potężnego Tyta;
Jest szala, są ciężary, o co kto zapyta.
Niechaj świeca na zgrabnym lichtarzu goreje,
W lampę lśniąca oliwa niech się z górą leje!

A ta skrzynka co chowa? W niéj śle upominki
Dziewczę, twój oblubieniec: klejnoty zapinki;
Idź do wonnéj kąpieli, tu twe maści leżą,
Tu rznięty kryształ zamknął barwę lica świeżą.

Ale gdzież się mężowie, gdzie podzieli starzy?

http://rcin.org.pl

Drogim dzieł rzadkich skarbem Muzeum was darzy,
Jest rylec do pisania, tablica woskowa,
Nic nie brak, wszystko ziemia wiernie dla was chowa.
Penaty się znalazły, wraca Bogów rzesza,
Ale czemuż to kapłan z niemi nie pośpiesza?
I Hermes smukłonogi z kaducejem goni,
I bogini Wiktorya ulatuje z dłoni,
Stoją jeszcze ołtarze: o! zapalcie, spieszcie!
Bóg długo pragnął ofiar, zapalcież nareście.

---

Wprzódy nim przytoczymy niektóre szczegóły o odkryciach uskutecznionych w Herkulanum i Pompei, publiczność bez wątpienia czytać będzie z zajęciem krótką historyą wybuchów Wezuwiusza, które zagrzebały kilka miast i po całych Włoszech przestrach rozpostarły.

Przed 16 Lutego roku 63 po N. J. C. w całéj starożytności nie ma wzmianki o wybuchu Wezuwiusza, lecz uważano tę górę jako wulkaniczną i utrzymywało się podanie, że wyrzucała ogień, jak Etna. Zjawisko to musiało zdarzyć się w odległéj bardzo starożytności, gdyż Homer wcale nie wzmiankuje o niém. Opisuje tylko z religijnym przestrachem całą tę okolicę, zaludnia ją Lestrygonami, którzy się żywią mięsem ludzkiem, i syrenami, które pożerają żeglarzy.

16go Lutego 63 roku po N. J. C. trzęsienie ziemi dało się uczuć w całéj Kampanii. Herkulanum i inne miasta wiele ucierpiały. Gromada 600 owiec zaduszona została, a mnóstwo nieszczęśliwych postradało rozum z przestrachu. Następnego roku było powtórne wstrząśnienie, podczas gdy Neron śpiewał w Neapolu na teatrze, który zawalił się za chwilę dopiero po jego wyjściu. Ale te wstrząśnienia były tylko przepowiednią wielkiego wybuchu, który nastąpił w dniu 23 Sierpnia roku 79 i pochłonął Herkulanum, Stabią i Pompeję.

Ta okropna katastrofa w całych Włoszech przestrach wznieciła. Pliniusz młody wymownie i szczegółowo ją opisuje, a zarazem opowiada śmierć swego stryja, który padł ofiarą ciekawości i zapału do nauki. Za panowania cesarza Sewera w r. 200 ponowił się ten wybuch; drugi gwałtowniejszy jeszcze objawił się za cesarza Leona w r. 411 i 2ch następnych latach. Popioły wulkanu zaniesione były z wiatrem w dalekie Europy krainy. Pewnego dnia, ten deszcz popielny tak wielki przestrach zrządził w Konstantynopolu, że cesarz opuścił stolicę. Wybuch roku 1138, trwający przez dni czterdzieści, wyczerpał wulkan i przez pięć wieków było dosyć spokojnie. W 1631 nowy zdarzył się wybuch, straszliwszy niż wszystkie poprzedzające: od tego czasu rzadko bywało, aby wulkan przez lat dziesięć bez przerwy nie wybuchał.

W 1794 zasypał miasteczko Torre del Greco; wszystko uległo zniszczeniu, jednakże mieszkańcy uciekli, prócz piętnastu.

W 1828 Wezuwiusz znowu się obudził i przez piętnaście dni wyrzucał ogień, ale nie zrządził wielkiéj szkody. Od tego czasu, prawie bez ustanku wyrzuca kłęby dymu, zagrażające téj krainie nowemi klęskami. Tak więc, część krolestwa Neapolitańskiego zawsze wystawiona jest na straszliwą plagę, która ją od tylu wieków pustoszy. Te miasta dochowane jak gdyby dla nas w popiołach wulkanu, może znowu zagrzebane zostaną, nim wyjdą z grobu w którym się kryją. Spieszmy się więc zbogacić sztuki i nauki, tylą szacownemi skarby, bo taż sama klęska może nam wydrzeć je powtórnie.

Gdy pomyślimy, że Pompeja, któréj cały obwód jest nam wiadomy, rozciąga się tylko na 2700 stóp długości, biorąc ją od amfiteatru aż do przeciwnego końca, szerokości zaś ledwie 1500 stóp liczyć może, wyobrazimy sobie, iż kilka lat pracy wystarczyłoby na oczyszczenie z popiołów któremi jest zasuta, a przecież zaledwie piątą część miasta odkopano i tylko dwudziestu ludzi koło tego pracuje. Nie śpieszmy się przecież z obwinianiem rządu o niedbałość o tę kopalnią, tak płodną dla sztuk pięknych. Ileż to środków ostrożności użyć musiano, aby nie uszkodzić domów i budowli pokrytych malowaniami, mozaiką i rzeźbą! Z jakąż uwagą dozierać trzeba rąk, którym powierzają te prace! W pierwszych latach po odkryciu, niecierpliwość i niebaczność zrządziła szkody, których strzegą się teraz. Prace posuwały się szybciéj, to prawda, lecz ileż to szacownych przedmiotów zginęło przez ten pośpiech! Doświadczenie wskazało, iż trzeba śpieszyć się powoli i że to był jedyny środek ochronienia tych skarbów.

Z początku rzucano gruzy i ziemię na miejsca już odkryte, ale później za rządów Murata, inny plan powzięto i umyślono odkopać miasto tak, jak było przed zasypaniem. Francuzi podali tę szczęśliwą myśl: przed niemi już odkryto dwa teatra, kościół Izydy, Eskulapiusza i inną świątynię grecką, wielką bramę zewnętrzną i kilka grobowców, za ich zaś panowania odkryto największą część ulicy Grobów, Forum i bazylikę, rozpoczęto odkopywanie amfiteatru i murów tworzących okrąg miasta.

http://rcin.org.pl



PRÓBA DRAMMATYCZNA.

(Szkic zdjęty z mozaiki znalezionéj w Pompei.)

W 1812 i 1813 odkryto część drogi idącéj przed świątynią Izydy, a która powinna w całéj długości przecinać miasto. Na jéj środku znaleziono kościotrup starca. Nieszczęśliwy, mimo tak naglącego niebezpieczeństwa chciał ocalić skarb swój, do którego nadewszystko był przywiązany; trzymał troskliwie zawinięte w kawałku płótna, 410 sztuk monety, 8 złotych, 360 srebrnych a 42 bronzowych.

Przy bramie zwanéj Herkulańską, szkielet żołnierza trzymał jeszcze włocznię w ręku. Nie ruszył się z miejsca i wolał zginąć niżeli opuścić stanowisko swoje. Rozdzierająca scena zdarzyła się w jednym wiejskim domu. Zebrało się tam dziewiętnaście osób. Mężczyźni stracili czas na zbieraniu kosztownych sprzętów. Dwa szkielety znaleziono przy drzwiach ogrodu; jeden trzymał worek pełen pieniędzy, drugi otoczony był naczyniami ze srebra i bronzu. Kobiéty w towarzystwie niewolnic, uciekły do piwnic, gdzie nagromadziły zapasy, spodziewając się że późniéj wyjdą z tego schronienia. Lecz wkrótce dało się uczuć duszące ciepło; wszyscy rzucili się do drzwi... już było zapóźno.

Wiele takich scen podobnych, musiało zdarzyć się w innych częściach miasta. Zrazu znaleziono bardzo mało kości, mniemano więc że mieszkańcy zdołali się uratować, ale późniéj przekonano się o mylności tego zdania. We wszystkich prawie domach znajdujemy szczęty ludzkie; już naliczono 170 kościotrupów, a dopiero piątą część miasta odkopano, co dowodzi, jak nagle nastąpiła katastrofa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## O WIĘZIENIACH ZASTOSOWANYCH DO KARNEGO POPRAWCZEGO SYSTEMATU.

*Z naukowego Kwartalnika krakowskiego* (1).

Nie wiele jest w życiu ludzkiém wrażeń, silniéj na umysł nasz działających, nad te

(1) Uważaliśmy, że przedmiot ten całą ludz-

http://rcin.org.pl

które wypływają z kar używanych na powściągnięcie zbrodni. Jeżeli zaś dziś jeszcze, cierpienia więźniów pobudzają nas do litości i mimowolnie nastręczają myśl ulżenia ich niedoli, jeżeli dziś mimo zaprowadzonéj z wzrastającą cywilizacyą poprawy więzień, patrząc na nie, doznajemy wzruszenia, o ileż nie bylibyśmy dotknięci ich widokiem w wiekach upłynionych? Wówczas, kiedy starano się jedynie o zabezpieczenie osoby winnego, kiedy mniemano że zamknięcie go między wiecznemi i niedobytemi murami, będzie najlepszą bezpieczeństwa rękojmią, nie myślano wcale o tém, że człowiek, który popełnił zbrodnię, ma jeszcze pewne względy, których mu zaprzeczyć nie można, i że z głównym celem kary powinna bydź połączona moralna więźnia poprawa.

W drugiéj dopiero połowie zeszłego wieku, znalazł się mąż (2), który swoją wymową ocucił uśpione umysły, wystawił cel kary, srogość dotąd używanych środków w postępowaniu karném, zgoła zwrócił uwagę spółczesnych na tę najważniejszą prawodawstwa gałęź. Zaczęto pisać co raz więcéj w tym przedmiocie, zmieniać ustawy karne i łagodzić kary. W tym także czasie, okropny stan więzień w całéj Europie i nędza więzionych, tknęły czułą duszę nieśmiertelnego *Jana Howarda*. Ów przyjaciel ludzkości, zbyt wczesna poświęcenia swego ofiara, światłem Ewangelii i rozumu rzucił nie zaginione nasienie poprawy więzień. Od czasów *Howarda* spostrzeżono się, chociaż może zbyt późno, że w zakładach więziennych nie dość jest na samém tylko bezpieczeństwie, lecz nadto starać się należy o stan zdrowia, zatrudnienie i podział więźniów.

Atoli poprawy więzień przy zmianie ustaw karnych poczynione, lubo znacznie polepszyły los więźniów, nie przyczyniły się jednak do zmniejszenia liczby występnych. Źródło złego wypływało z saméj zasady prawa karnego, wynikło z celu jaki sobie prawodawcy przez karę więzienia osiągnąć zamierzyli. Zapobiegać występkom przez zagrożenie i obawę kary, było i jest zasadą ogólną prawa karnego we wszystkich prawie krajach dzisiejszéj Europy. Lecz teorya ta polega na fałszywém pojęciu natury człowieka. Instytucye więzienne na niéj oparte, nie poprawiają więźniów, ale raczéj ich psują; a wszelkie dotąd czynione poprawy nie zapobiegają złemu, bo zostawują pierwiastkowe błędy, których główną przyczyną było, bądź zaniedbanie, bądź złe użycie środków do poprawy moralnéj więźnia dążących. Zaradzić tym błędom jest staraniem naszego wieku.

Nie ulega wątpliwości, że społeczność ma prawo pozbawiać wolności człowieka, który jéj nadużywa; a to w dwojakim celu: już to dla ukarania występku, już dla pozbawienia występcy na niejaki czas możności popełnienia nowego zgwałcenia prawa. Lecz samo zamknięcie winnego, byłoby jedynie karą dręczącą, która zbyt rzadko pociąga za sobą poprawę występnego, a nierównie częściéj, większe jego zepsucie sprowadza. Należy raczéj sprostować wolę więźnia, odjąć mu chęć popełnienia występku, i naprowadzić go na drogę moralnego życia. Po odbytych szczęśliwie próbach, przekonano się, że można otrzymać pomyślne skutki, przez połączenie dwóch celów kary, to jest odstraszenia i poprawy więźnia. Do tego zaś uznano za najlepszy środek, *rozłączenie więźniów* i wskazanie ich na *milczenie przy ciągłéj pracy*. Przestawanie bowiem zbrodniarzy z sobą, jest najzgubniejsze, a zamknięcie samotne czyni nadzieję, iż nawet zakamieniały zbrodniarz zastanowi się się sam nad sobą, i że obudzi się w sumieniu jego iskra nie zupełnie przytłumionego czucia. Praca ciągła, która samotność i milczenie jego rozrywa, może go zachęci do pilności, i przekona, że tylko na téj drodze człowiek postępować winien. Z połączenia więc tych środków, nie płonnie obiecywano sobie otrzymać następujące korzyści: 1mo Niemożność zepsucia się więźniów. 2do Prawdo-podobieństwo odzwyczajenia ich od złych nałogów, tudzież skłonienia do posłuszeństwa i pracy. 3tio Możność poprawy moralnéj więźniow, i że ci po wypełnionéj karze, lepsi i użyteczniejsi do towarzystwa powrócą. System na tych zasadach oparty, zowie się *poprawczym*, albo właściwiéj *pokutnym* (*the penitentiary System, System penitentiare, Besserungs-System.*). Sciągnął on dzisiaj uwagę na siebie polityków, prawników i filantropów, a upowszechniony przez Benthama, Livingstona, Libbera, Lucasa, Beaumonta, Tocquevilla, Juliusa Mittermajera, Cunighama, Dumonta i innych, nie powinien bydź dla nikogo obojętnym.

Odłączenie więźnia nie tylko chroni go od zepsucia, jakie ze złych rozmów wyniknąć może, ale nadto zmuszając go do milczenia, prowadzi do zastanawiania się nad upłynioném życiem, przypomina mu rodzinne stosunki, obudza w nim uczucia religijne, którym instrukcya moralna siły dodaje; a tak więźniowie tacy, jak to liczne zwierdzają przykłady, łagodniejszemi się

kość obchodzący, na któren i u nas zwrócona jest uwaga gorliwych mężów, zasługuje na powtórzenie i jak największą głośność.

(2) Beccaria.

http://rcin.org.pl

stają (a). Oprócz tego, w nowych więzieniach poprawczych zaprowadzono moralną i religijną instrukcyę. Więźnie uczą się czytać. A lubo ich do czytania nie zmuszają, jednakże prawie wszyscy garną się do szkoły, która dla nich co święto jest otwarta. Każdy umiejący czytać, w chwilach wolnych od pracy z ukontentowaniem czyta biblię, do sprzętów jego celi należącą. Z resztą, duchowny przywiązany do domu więziennego, miewa w dni świąteczne stósowne nauki i przed braniem pokarmów codziennie odmawia z więźniami modlitwy.

Osiągnienie zupełnéj poprawy moralnéj człowieka zepsutego, nie jest ani może bydź koniecznym wypadkiem nowego systematu. Doświadczenia w Ameryce otrzymane nauczają, iż tylko więźnie małoletni poprawieni bydź mogą; poprawa zaś więźniów dojrzałych zbyt rzadko się udaje (a). Ale mimo trudności naprowadzenia występnych na drogę moralnego życia, nowy system więzienny wywiera innego rodzaju poprawę, nie mniéj społeczeństwu użyteczną. Wiezień bowiem może nauczyć się jakiego rzemiosła, wzwyczaja się do pracy, porządku, a tak można jeszcze z niego zrobić użytecznego towarzystwu członka. A po wypełnionéj karze, chociaż nie zostanie poczciwszym ani wewnętrznie moralniejszym, może się usposobić do posłuszeństwa prawu i unikać występku, jeźli nie przez zamiłowanie prawości, to przynajmniéj przez obawę powtórnéj kary.

Nie mogło bydź łatwém zaprowadzenie zmian w systemacie więziennym kilkunastu wiekami ustalonym. Rząd angielski pierwszy w Europie zajął się obmyśleniem nowych popraw w więzieniach. W r. 1779 za staraniem Blackstona i Howarda zapadło pierwsze prawo założenia nowego poprawczego więzienia, którego cel sam wstęp pomienionego prawa objawia. »Występni, »opiewa to prawo, których dotąd odsyła»niem do osad karano, przez samotne zamknięcie, obok dobrze urządzonéj pracy i »instrukcyi religijnéj, przy pomocy Boskiéj »nie tylko drugich od popełnienia zbrodni »odstraszać, ale i sami poprawić się i do »pracy przyzwyczaić mogą.« Lecz założona nowa osada dla zbrodniarzy w nowéj południowéj Walii, prrerwała przywiedzenie do skutku tego projektu, i ledwo Howard przed śmiercią mógł widzieć pierwsze, chociaż słabe próby swego systematu w Anglii, w założeniu więzienia poprawczego w Glocester, z uchwały Parlamentu w r. 1785. Dopiero Bentham w r. 1791 pobudził rząd angielski do wskrzeszenia już uchwalonego dawniéj projektu, którego jednak wykonanie dla nowych przeszkód dopiero za staraniem Samuela Romilly w r. 1815 nastąpiło. Po tylu przerwach stanęło przecież w r. 1822 w zupełności więzienie w Milbank pod Londynem, jako jedyna w tym kraju próba nowego poprawczego systematu.

Więźniowie w Milbank nie są wskazani na milczenie, zbywa więc więzieniu temu na głównym warunku nowych domów poprawy w Ameryce. Ogromny gmach w Milbank podobniejszy do cytadeli niżeli do więzienia, zajmuje szesnaście morg gruntu, a budowa jego kosztowała 783,000 funt. szterl.

(Dokończenie nastąpi.)

(a) Ciekawa jest rozmowa PP. Beaumont i Tocqueville (w r. 1830 przez rząd francuzki dla zwiedzenia zakładów więziennych w Stanach Zjednoczonych Ameryki wysłanych), z więźniami w nowym domu poprawy w Filadelfii. Jeden z nich pytany, czyli z ukontentowaniem ogląda swych dozorców, odpowiedział: »Oglądam ich z radością. Lata tego, na mój podwórzec wszedł świercz; uważałem go za mego towarzysza, i ile razy motyl lub inne zwierzątko do méj dostanie się izby, nigdy mu przykrości nie robię.« Inni oświadczyli, iż praca dla nich jest prawdziwą pociechą, że sądzą, że bez niéj żyćby nie mogli, że w dawniejszych zakładach więziennych pracę uważali za karę, i starali się wszelkiemi od niéj uwolnić sposobami, w nowych zaś uważają za niezbędną do życia potrzebę. Tak jest wielka moc odosobnienia i przymuszonego milczenia! Zob. Beaumont i Tocqueville: *Du systéme pénitentiaire aux Etats Unis, et de son application en France.*« Paris, 1833. 8vo. Przypis IX.

## KALENDARZ GAŁĘZOWSKIEGO.

Kalendarz domowy Gałęzowskiego, od lat dziewięciu posiadający sprawiedliwie ugruntowaną wziętość i od którego właśnie zaczyna się ulepszenie kalendarzy w kraju naszym, wyszedł z druku na rok 1836. Przedmioty w nim znajdujące się, odpowiadają celowi swojemu, jakim jest pożytek powszechny; najważniejsze i zasługujące na powszechną wiadomość są: O żytniéj trawie służącéj do ustalenia ruchomych piasków i o jéj sadzeniu i zasiewaniu. — Rzecz o gorzelnictwie pod względem teoryi i praktyki. — O fabrykacyi cukru z buraków w celu pomnożenia dochodów rolniczych. — O testamentach podług praw dziś obowiązujących. — O zaćmieniach xiężyca, a w szczególności o zaćmieniach przypadających w 1836, z rycinami wyobraża-

jącemi wielkie zaćmienie słońca u nas widzialne: — Upominek dla gospodarzy i gospodyń, obejmujący rozmaite sposoby i wynalazki w gospodarstwie rolném i domowém. Kalendarz ten ozdobiony jest mappą województw Sandomierskiego i Krakowskiego, obejmuje 10 arkuszy ścisłego druku i kosztuje zł. 2.

## KOŚCIÓŁ PRZEDWIECZNÉJ MĄDROŚCI BOSKIÉJ. W KONSTANTYNOPOLU.

Gdy w czwartym wieku Chrześciaństwa, utworzono cesarstwo Wschodnie i stolicę jego założono w Konstantynopolu, cesarz Konstantyn wzniósł tam świątynie dla prawdziwéj wiary. Ten pierwszy kościół, pod imieniem Przedwiecznéj Mądrości Boskiéj, zbudowany z drzewa, obaliło trzęsienie ziemi wkrótce po założeniu. Cesarz Konstans kazał odbudować inny obszerniejszy i bogatszy. Nowe klęski czekały tę budowę; dwa razy zniszczona płomieniem w przeciągu lat piędziesięciu za cesarzów Arkadyusza i Teodozyusza, znowu spłonęła za panowania Justyniana, lecz gdy ją ten monarcha odbudował, w roku 537 dotrwała aż do naszych czasów, mimo wstrząśnień które tak często od téj epoki miotały stolicą wschodniego państwa.

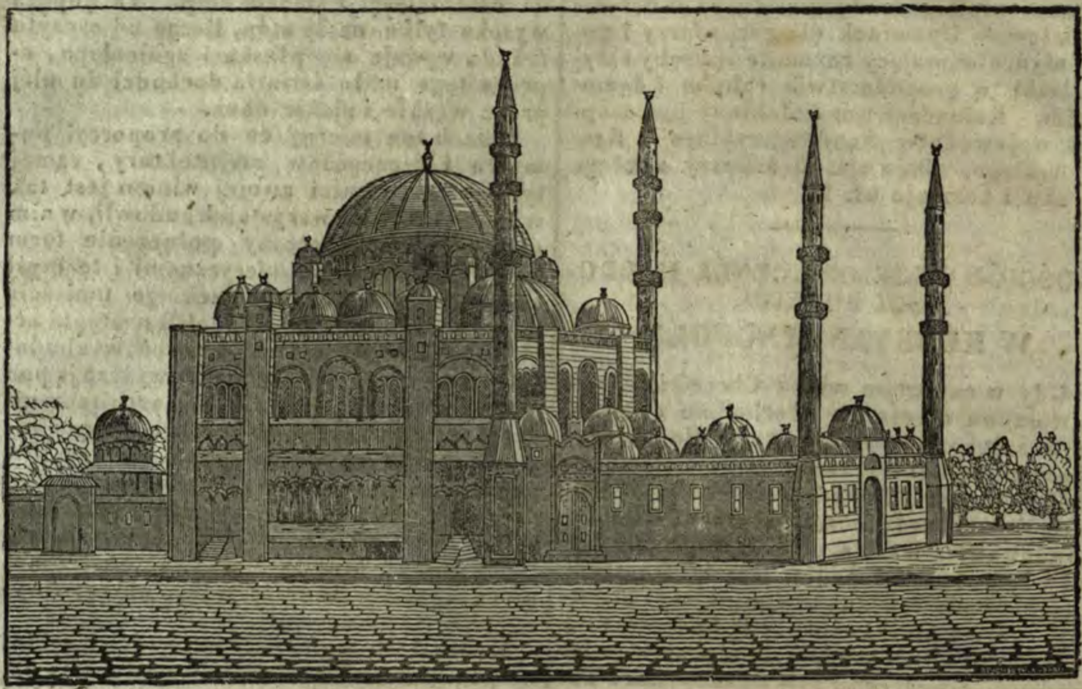
Justynian, bez względu na zubożenie kraju, lubił wznosić wspaniałe budowle i hojnie sypał złoto, pragnąc ażeby nowy ten kościół, był arcydziełem wspaniałości i przepychu. Gmach ukończony w przeciągu lat pięciu (od 532 do 537) pod kierunkiem architektów Arhemiusza z Tralles i Izydora z Miletu, zewnątrz tworzy zupełnie czworoboczną figurę: długość jéj wynosi bowiem 270 stóp, a szerokość 240. Wystawa składa się z dwóch portyków stojących jeden na drugim; jednym z nich wchodzi się do świątyni, a drugim do jéj wyższych galeryi. Cała zewnętrzna postać niezgrabnie wykonana, nie miała innéj ozdoby prócz kopuły wysokiej na 180 stóp i czterech podpornych filarów, które ją utrzymywały; zdaje się że architekci wysilili się z przepychem, na ozdobienie wnętrza świątyni.

Wchodzi się najprzód czterema bramami ze złoconego bronzu, pod pierwszy portyk zajmujący dolną długość wystawy i szeroki na trzydzieści dwie stóp; ztamtąd siedem bram bronzowych, prowadzi do drugiego portyku, a nareście dziewięć innych bram do samego wnętrza świątyni. Ogólny rozkład tego wnętrza, tworzy krzyż grecki. W środku wznosi się kopuła umieszczona na czterech arkadach, opartych na czterech odosobnionych pilastrach średniéj wielkości, szerokich na czterdzieści i siedem stóp. Ta kopuła wysoka tylko na 38 stóp, licząc od szczytu arkad, wydaje się płaska i zgnieciona, oprócz tego mało światła dochodzi do niéj przez wązkie i niskie okna.

Gmach ten mierny co do proporcyi pomysłu i szczegółów architektury, saméj tylko starożytności swojéj winien jest tak wielką sławę. Ze wszystkich budowli, w nim najpierwéj postrzegamy połączenie form czworobocznych ze sferycznemi i tę myśl aby w środku krzyża greckiego umieścić kopułę. Myśl tę wydoskonalili następni architekci i większa część kościołów zbudowana na wzór téj świątyni, przewyższa ją pod wszystkiemi względami sztuki architektonicznéj; jednakże gmach ten nie mający równego sobie co do bogactwa materyałów użytych do jego budowy i ozdób, usprawiedliwiać może przesadzony entuzyazm historyków greckich, i to wykrzyknienie zadowolonéj dumy, którym się ozwał Justynian, pierwszy raz wszedłszy w jego okrąg: *Zwyciężyłem cię Sabumonie!*

Z szerokich tablic marmurowych, zrobiono pokrycie dachu i nie użyto wcale drzewa, dla zupełnéj ochrony od pożarów tak częstych i tak straszliwych w Konstantynopolu. Kopuły są z białéj cegły, pięć razy lżejszéj od zwyczajnéj i z wielkim kosztem wyrabianéj na wyspie Rhodus. Roztopiony ołów użyto zamiast wapna do wiązania cegieł i kamieni, przez co nadano budowie moc nadzwyczajną. Najrzadsze marmury uważane były jako najpospolitszy materyał i prawie pogardzany co do budowy kolumn, używano go tylko do posadzki. Wszędzie jaśnieje jaspis, porfir i granit Egipski. Stoi jeszcze osiem kolumn z porfiru, które pewna wdowa rzymska imieniem Marcya ofiarowała Justynianowi. Ujęto je obręczami żelaznemi, aby nie pękły podczas trzęsienia ziemi. Mury przeciążone były ozdobami z macicy perłowéj, z agatu, z kornaliny, serpentyny i innych drogich kamieni; sklepienia nareście, znikły pod mozaikami i malowidłami ze złota i najświetniejszych kolorów.

Zdobycie Konstantynopola przez Muzułmanów 29 Maja 1453 roku, nie pociągnęło za sobą zagłady tego kościoła; stał się on pierwszym meczetem Turków, a zwycięzca Mahomet II. złożył dzięki niebu w tych samych miejscach, gdzie dnia wczorajszego był się modlił Konstantyn Drakozes, ostatni cesarz chrześciański. Mało zmian uczyniono w bazylice Justyniana, zastosowując ją do obrzędów wiary mahometańskiéj. Zewnątrz, zamiast niszczenia, przydano cztery wieżyczki, które ozdobiły nagość gmachu; lekkie, delikatne, wzniosłe, ozdobne balkonami idącemi w



## KOŚCIOŁ PRZEDWIECZNEJ MĄDROŚCI BOSKIEJ W KONSTANTYNOPOLU.

okrąg i złoconemi kopułami, piękny tworzą widok. Z wierzchołka tych minaretów, Muezzinowie zwołują wiernych na modlitwę. Wewnątrz kościoła zniszczono część szczegółowych ozdób. Turcy nie cierpiąc obrazów, zatarli je albo pokryli warstwą wapna, a przez to zniszczyli albo uszkodzili kosztowne wyrobienie sklepień. Ułomki obrazów i części figur ocalały przecie, ich szczęty wzbudzają jak najmocniejsze zajęcie. I tak, widać jeszcze w zagięciu sklepienia pod którém stał był ołtarz, obraz Matki Boskiéj siedzącej na tronie i trzymającéj na kolanach dziecię Jezus; po obudwu stronach stoją aniołowie zakryci skrzydłami, a szczyt sklepienia pokryty jest głowami świętych i serafinów. Pozostała także postać Chrystusa błogosławiącego cesarzowi, klęczącemu u nóg jego.

Można także liczyć między szczątkami chrześciańskiego obrzędu, urny marmurowe, stojące jako kropielnice przy wnijsciu do kościoła, w których Grecy czerpali wodę dla przemywania oczu: obrzęd allegoryczny, przypominający że potrzeba oczyścić się przed wnijściem do świątyni pańskiej: nad niemi wyczytać jeszcze można napis w języku greckim złoconemi literami: *Oczyść twoje grzechy a nie same tylko twoje oczy.* Turcy, mówi pewien podróżny, zachowali te urny, ponieważ piją z nich, gdy bezustanne nachylania, padania na kolana i powtarzanie Ałłach, Ałłach, wzbudzą w nich pragnienie. Muzułmanie, nietylko wyrzucili przedmioty używane do obrzędów naszéj wiary, lecz je zastąpili innemi. Przy miejscu gdzie stał niegdyś wielki ołtarz, zrobili niszę zwróconą ku stronie Mekki, tam złożona jest xięga Koranu, a przy nim stoją dwa lichtarze. W ścianie zatknięta jest chorągiew święta z napisami i wyjątkami z alkoranu. Nareście, piękne dywany pokrywają posadzkę i to jest jedyna ozdoba, którą Turcy wprowadzili do swojéj zdobyczy.

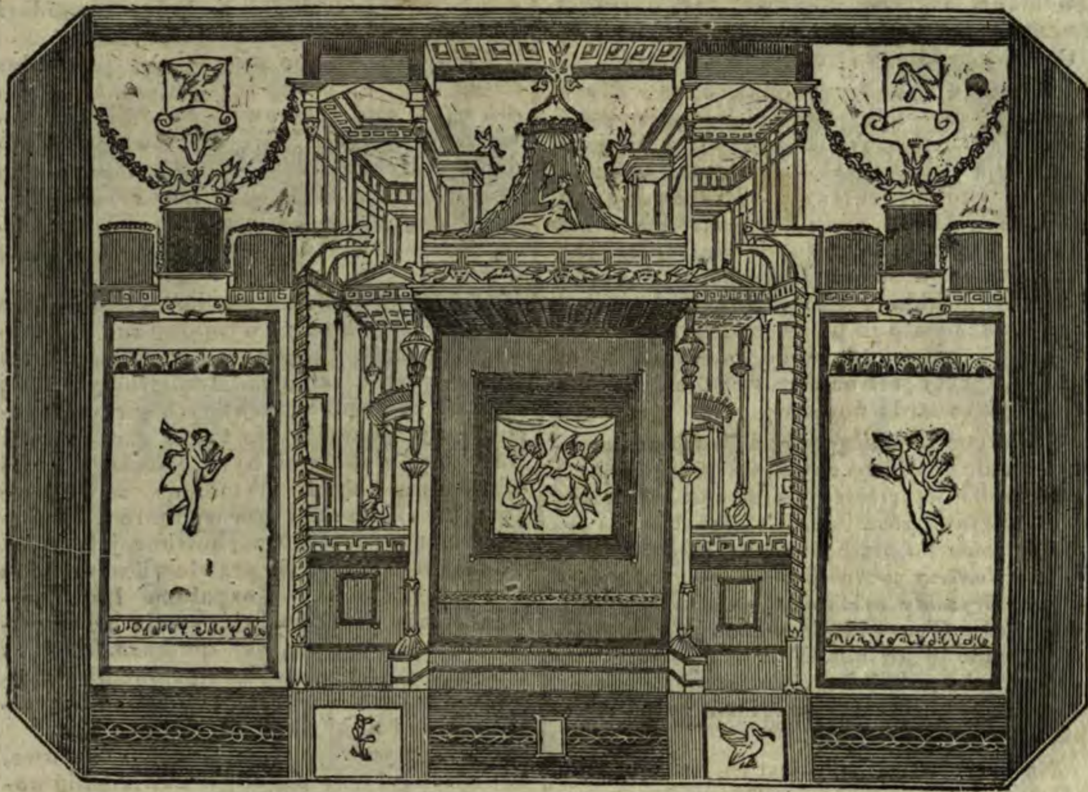
Kościół Przedwiecznéj Mądrości Boskiéj jest teraz meczetem cesarkim, jak to wskazuje trybuna wyrobiona w grubości muru i przeznaczona dla sułtana, który do niéj przychodzi przez skryte schody.

Przed portykiem wystawy, zbudowano kilkanaście małych kaplic zakończonych w sklepienie, są to groby młodych xiążąt rodziny cesarskiéj. Oprócz tych grobów, meczet posiada szpitale, fontanny i kąpiele zależące od niego.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

http://rcin.org.pl

## MIASTO ZASUTE LAWĄ. (Dokończenie).



OZDOBA APARTAMENTU W POMPEI.

Nim wejdziemy wewnątrz miasta, wspomnimy najprzód o warowniach, któremi było otoczone i które dotąd stoją. Zasięgają bardzo odległéj starożytności; mieszkańcy utrzymywali że je zbudował Herkules albo Egipcyanie. To rzecz pewna, że należą do budowli etruskich i składają się z dużych głazów długich na cztery albo pięć stóp, doskonale połączonych ze sobą, prawie bez wapna. Czworoboczne wieże wznoszą się w nierównéj odległości, i łączą się z sobą fortami do wycieczek. Pięć bram już odkopano. Najznakomitsza między niemi jest brama Nolska i brama Herkulańska, zbudowana w późniejszym czasie niżeli mury i nosząca znamiona budowy rzymskiej. Szczupła liczba obrońców którzy mogliby się pomieścić w tak małém mieście, nie zdołałaby oprzeć się licznemu wojsku; lecz przez długi czas Włochy dzieliły się na małe rzeczpospolite i najmniejsze nawet miasteczka musiały bronić się od napaści podobnych sobie rywalów. Tak więc, nawet za panowania Nerona, w Pompejanum, pod czas widodowiska walk szermierzy, na którym znajdowali się Nuceryanie, odwieczni przeciwnicy Pompejan, wszczęła się krwawa walka między mieszkańcami miast obu. Pompejanie wypędzili rywalów, lecz za to odjął im Neron na lat dziesięć prawo wyprawiania igrzysk, a głównych sprawców rozruchu skarał wygnaniem. Podczas wojen Sylli i Maryusza, Sylla obozował pod murami tego miasta: i dla tego tylko uniknęło jego srogości, któréj doznały inne miasta Kampanii, że ważniejsze starania powołały go w inne strony. Aż do panowania Augusta, miasto Pompeja miało prawo obierania swoich urzędników i dopiero wówczas zamienione zostało w osadę rzymską.

Niepodobna jest nam umieścić całego i dokładnego opisu Pompei; poprzestaniemy zatém na udzieleniu wyobrażenia, jakim sposobem jego mieszkańcy urządzali i ozdabiali domy swoje.

Domy Pompei są bardzo małe; okazuje się z tego że starożytni cały czas przepędzali na miejscach publicznych, i że portyk, kąpiele i Forum, były ich zwyczajnem mieszkaniem. Lecz domy te, nawet najuboższe, ozdobione są wewnątrz i zewnątrz malowidłami i mozaiką, wyobrażającą po większéj części wszelkiego rodzaju sprzęty, kosztowne meble, delikatne potrawy, rzadkie xiążki, które w malowidle tylko mógł posiadać nie dość zamożny gospodarz, nareście tysiąc rozmaitych przedmiotów, wskazujących częstokroć upodobanie i stan właściciela. Ta-

kim to sposobem poznano *dom tragicznego poety.* W jego wnętrze wprowadzimy czytelników naszych, ponieważ jest najzupełniejszym ze wszystkich które dotąd odkryto i najbardziéj zasługuje na uwagę.

Zajmuje tylko trzydzieści metrów długości, a piętnaście szerokości (metr, dwie stopy i parę calów. W tak szczupłém miejscu, znajduje się przecież dziewiętnaście sztuk, licząc w to atrium czyli podwórze, przysionek czyli drugie podwórze, ogródek i inne przyległości. W progu domu, wielki pies przywiązany na bronzowym łańcuchu pokazuje się oku. Zrobiony jest z mozaiki i tak trafiony, że ten kto go pierwszy raz widzi, cofnie się i za prawdziwego poczyta. Obok niego wyryty jest napis *cave canem*, *strzeż się psa,* był to stróż domowy.

Z korytarza służącego za wnijście, przechodzi się do *atriam* czyli pierwszego odkrytego podwórza; cztery strony ozdobione są malowidłami powziętemi z Iliady: jest to *Tetys prowadzona przez Irydę na górę Ida, aby błagać Jowisza za Achillesem. Syn Peleja oddający Bryzeidę woźnym Agamemnona*; *odjazd Chryzeidy*, *Wenus* i inne malowidła uzupełniają ozdobę atrium. Ten dziedziniec otaczają małe pokoiki przeznaczone dla gości. Zwracają tam uwagę walki amazonek i postać Bachantki.

Na przeciw wnijścia jest *tablinium*, czyli salon do przyjęcia gości. Główne malowanie wyobraża tragicznego poetę, siedzącego na taborecie ze zwojem rękopisma, deklamującego wiersze wobec dwóch osób także siedzących. Inne ozdoby tego salonu, zgadzające się z głównym przedmiotem, wyobrażają geniusze i zwycięztwo.

Lecz posadzka mozaikowa, przedstawia najbardziéj zajmujący obraz: jest to próba dramatyczna. Na scenie ozdobionéj siedmiu kolumnami, występuje siedem osób. *Chorege,* czyli dyrektor, a przy nim flecista towarzyszący jego śpiewowi, siedzi między niemi; zdaje się że deklamuje i uczy aktorów, którzy słuchają go w rozmaitych postawach; jeden z nich okazując radość i zapał, przywdziewa swój ubior za pomocą jednego z towarzyszów. Rycinę tę umieściliśmy w poprzedzającym zeszycie. Z salonu wchodzi się do przysionku czyli drugiego odkrytego podwórza, w którém mieści się ogródek otoczony portykiem z siedmiu kolumn doryckich. W głębi wznosi się *lararium* czyli kaplica domowa, ozdobiona piękną głową Pana z bronzu, po lewéj jest gabinet wypoczynku, widać w nim *Opuszczoną Aryadnę, Narcyssa przypatrującego się własnemu obrazowi i Amorka łowiącego ryby na wędkę.* Z téjże samej strony, jest drugi pokoik ozdobiony krajobrazami; na głównéj ścianie wymalowany jest Papyrus z greckiemi literami: są to tytuły ulubionych dzieł, które gospodarz domu posiadał tylko w malowidle.

Na przeciwko, po prawéj ręce, jest jeden najpiękniejszy pokój tego mieszkania, *exedra* czyli sala rozmowy, ozdobiona malowidłami tancerek, owoców i zwierząt. Widać tam *Ledę pokazującą małżonkowi swemu jaja i dzieci z niego wyklute. Tezeusza porzucającego Aryadnę*, a przy wnijściu, *ofiarę Ifigenii.* Piękna lampa wisiała jeszcze u sufitu.

Tuż przy tém pokoju jest kuchnia, na któréj ścianach także wymalowane są wszystkie sprzęty kuchenne i łączy się z *triclinium* czyli z salką jadalną. Domyśleć się można, że prócz malowanych sprzętów ruchomych, znalazły się także rzeczywiste. Nad temi pokojami było *gyneceum*, czyli mieszkanie kobiet. Wiadomo, że u starożytnych zajmowały górne piętro: na nieszczęście nie jest tak zachowane jak dolne. Toż samo zdarzyło się prawie we wszystkich domach Pompei. Rozpalona lawa wywarła całą gwałtowność swoją na przedmioty, które najpierwéj spotkała. Między rozmaitemi sprzętami znalezionemi w Herkulanum i Pompei, wspomnimy o najciekawszych i najwytworniejszych.

Ner 1 wyobraża kandelabry bronzowe, które służyły do ozdoby i oświecenia pokojów. Starożytność zostawiła nam wielką ich liczbę; naśladowali je późniejsi artyści.

Nr 2. Jest stół bronzowy ozdobiony dwoma głowami zwierząt i dwoma popiersiami.

Nr 3. Antaba z głową bardzo pięknie wyrobioną.

Nr 4. Naczynie z rękojeścią, służące do ofiar.

Nr 5. Lampa bardzo wytwornéj roboty; na jéj wierzchu jest Amorek grający z ptaszkiem.

Te lampy często składano w grobach i jest ich niezmierne mnóstwo z bronzu lub z gliny, każda ozdobiona postaciami ludzi, kwiatów lub zwierząt. Lecz mało z pomiędzy nich wyrównywa w piękności téj, któréj umieszczamy rysunek.

Nr 6, Przezmian podobny do tych jakie używamy dotąd, z tą różnicą, że zamiast haczyka jest szalka. Do ustanowienia równowagi, służy popiersie Minerwy uzbrojonéj szyszakiem i kirysem z głową Meduzy. Haczyk zawieszony na małym łańcuszku, służył zapewne do przyczepiania przedmiotów, które się na szalce pomieścić nie mogły.

Nr 7. Scrinium (pewien rodzaj naczynia).

Nr 8. Tablica do pisania.

Nr 9. Volumen czyli manuskrypt na pół

rozwinięty, podobny do tych, których zwoje zapełniają skrzyneczkę pod nr. 10.

Nr 11. Fajerka czyli ognisko używane do domowego użycia, zazwyczaj bywało z palonéj gliny, lecz to jest z bronzu wyrobione



*Meble Rzymskie.*

ne bardzo delikatnie, co wskazuje, iż należało do bogatych ludzi. Ozdabiają je dwie maski. W środku wyryty jest lew rozdzierający byka.

Nr 12, 13, 14, wyobrażają naczynia używane do ofiar.

Tablica na stronnicy 332 umieszczona, wystawia szyszak z przodu i z boku widziany, ozdobiony bardzo piękną rzeźbą. Obok są dwie włocznie i krótka szpada, poniżej kremida, czyli uzbrojenie na wyższą część nóg. Homer często wspomina o téj zbroi

Przedarliśmy się do najskrytszych zakątków mieszkańców Pompei, teraz odprowadzimy ich do ostatniego pomieszkania. Wiadomo że starożytni z takim zbytkiem wznosili groby swoje jak pomieszkania, że lubili stawiać na mogiłach *te pyszne kolumny wznoszące aż pod niebiosa świadectwo o nicości naszéj*, jak mówi Bossuet. Za dowód możnaby przytoczyć piramidy egipskie i grób cesarza Adryana w Rzymie, zwany teraz zamkiem S. Anioła, w którym Belizaryusz zwycięzko wytrzymał oblężenie Gotów. Prości obywatele, z nie małym także zbytkiem budowali swój ostatni przytułek. Każda rodzina miała grób własny, ozdobiony napisami wierszem i prozą, płaskorzeźbą i obrazami zastosowanemi pospolicie do nieszczęsnéj przeprawy. Czytelnicy nasi powezmą dokładne wyobrażenie o tych pomnikach, z opisu grobu odkrytego w Pompei, przy ulicy zwanéj Grobową. Tyche wznieść go kazał, jak to poświadcza napis, dla swoich wyzwoleńców płci obojéj i dla wyzwoleńców Munacyusza Fausta, kapłana Augusta i zarządzcy wiejskiego okręgu. Nad napisem jest wyobrażenie założyciela, pod nim zaś płaskorzeźba wyobrażająca z jednéj strony rodzinę, z drugiéj urzędników municypalnych. Na jednéj stronie wyryta jest łódź Charona. Przy grobie znajduje się *triclinium*, to jest sala gdzie wyprawiano ucztę grobową i gdzie częstokroć boleść rzeczywista lub zmyślona, ustępowała miejsca wesołości i rozpu-



*Naczynia Rzymskie.*

ście, tak dziwną tworzącéj sprzeczność z miejscem żałoby. Łoża na których kładą się biesiadnicy, były z cegły powleczonéj wygładzonym gipsem: pokrywano je materacami i oponą. Te sale bardzo często składały część samychże grobów.

W Pompei znaleziono także mnóstwo ozdób kobiecych, i przekonano się, że klejnoty dam rzymskich, bardzo są podobne do teraźniejszych, że artyści tegocześni powinni w tym rodzaju sztuki i we wszystkim co się łączy z rysunkiem i rzeźbą, brać za wzór starożytnych. Wspomnimy o zwyczaju, któregosmy nie naśladowali. Zamiast rzniętych kamieni, zbogacających starożytne naszyjniki i zausznice, znajdują bardzo często pieniądze złote oprawne w małe ramki tegoż samego kruszcu. Częstokroć nawet zawieszano je po prostu na szyi albo przy uszach, i między starożytnemi medalami wiele znajdujemy przebitych i przewleczonych pierścionkiem. Zwyczaj ten zachował się na wschodzie, u nas zaś pozostał tylko u żydówek, a mianowicie w Polszcze i w Niemczech.



*Uzbrojenie Rzymskie.*

Musiało bydź niezmiernie wiele artystów w starożytności i płody ich przedawały się prawie za nic, kiedy najubożsi obywatele ozdabiać mogli domy swoje takim mnóstwem malowideł i płaskorzeźb, któreby najbieglejszym malarzom i snycerzom naszym zaszczyt przyniosły. I tak, znaleziono w Pompejanum, w bardzo małym domku, gdzie wszystko oznajmia ubóstwo właściciela, malowanie wystawiające Wenerę łowiącą ryby na wędkę. Obnażona jest aż do pasa i siedzi na skale. Na przeciw niéj, siedzi Amorek trzymający w lewym ręku koszyk, zapewne do kładzenia ryb przeznaczony, oczy wlepił w matkę, a prawą rękę wyciągniętą trzymając, zdaje się wskazywać miejsce, gdzie będzie mogła swoją zdobycz pochwycić.

Narcys zachwycony sam sobą i wpatrujący się w wodę, służy za przydatek odpowiedni temu obrazowi: ile mogłem ocenić z prostego zarysu, który miałem przed oczyma; są to dwa prześliczne utwory.

Znaleziono w Herkulanum bardzo ciekawy kalendarz; opiszemy go: jest z marmuru, ma postać czworoboczną; na każdéj stronnicy wyobrażone są trzy miesiące; na czele wyryty jest znak zodyaku; potém nazwisko miesiąca, dzień nonów, liczbę godzin, dnie i nocy, nazwiska bóstwa, któremu ten miesiąc jest poświęcony. Nareście wyryte są także zasiewy i zbiory, które następują w téj epoce i starania jakie podejmować trzeba około trzody. Naprzykład, na miesiąc Kwiecień, *Dies XXX* dni trzydzieści, *Nonae quinta.* Nony przypadają dnia piątego, *Dies hor:* XIIII; godzin dnia czternaście. *Nox hor: X,* dziesięć godzin nocy. *Sol ariete,* słońce jest pod znakiem barana. *Tutela Weneris,* miesiąc jest pod opieką Wenery. *Oves lustrantur,* Owce myją się w tém miesiącu. *Sacrum phariae,* Ofiary bogini Pharisis, *item Serapiae* i Serapisowi.

Na czele téj drugiéj części artykułu, zamieściliśmy rysunek jednego z tak licznych malowideł, ozdabiających prawie wszystkie domy w Pompei, przedstawiający jeden z tych wzorów fantastycznéj architektury, którą nagania Witruwiusz, ale któréj wdzięk i wytworność uwielbiać musimy. Na szczycie wyobrażona jest Wenus pod wspaniałym baldachinem. W środku i po bokach są wymalowane małe skrzydlate amorki, ptaki,

http://rcin.org.pl

kwiaty, girlandy, ozdoby wszelkiego rodzaju zręcznie rozłożone, bawiące wzrok, a chociażby Witruwiusze naszych czasów obwiniali nas o zły smak, miłoby nam znaleźć takie ozdoby w tegoczesnych mieszkaniach.

Wszystkie te odkrycia są bardzo szacowne, ale spodziewano się jeszcze ważniejszych. Mniemano, że wynajdą się te arcydzieła umysłu ludzkiego, których strata takim żalem napełnia świat uczony; lecz zawiodła nas ta nadzieja. Ani jednego rękopismu nie odkryto w Pompei. W Herkulanum lepiéj się powiodło; dostano się do domu miłośnika xiążek. Była tam wielka liczba woluminów, na nieszczęście tak dalece uszkodzonych przez gorejącą lawę, że mimo jak największych środków ostrożności i najdowcipniejszych sposobów, wydobyto z nich same tylko ułomki bez ustanku przerywane. To tylko umniejsza naszą żałość, iż wszystkie xiążki których tytuł było można wyczytać, są dziełem nieznanych autorów i traktują o muzyce, albo o filozoficznych sporach. Cztery rękopisma przysłano z Neapolu do Instytutu francuzkiego. Dwaj nasi najznakomitsi uczeni, pan Boissonade i Raoul-Rochette, zajęli się ich wyczytaniem, ale nie mogli tego dokazać. Te manuskrypta widzieć jeszcze można w pałacu Instytutu.

Gdy pomyślimy nad tém, że tak małe miasteczko jakiem jest Pompeja, zawiera w sobie tyle pomników, rzeźb, mozaiki, czujemy niejakie upokorzenie i gotowi jesteśmy wyrzucać naszym sztukom i cywilizacyi, że nie mogą starożytnych doścignąć; lecz posiadamy za to dwie niezmiernie wielkie korzyści, przewyższające to wszystko czego tylko dawnym moglibyśmy zazdrościć wynalazek druku i jednakową opiekę rządów nad wszystkiemi stanami społeczeństwa.

Gdyby jakiem cudownem zdarzeniem, jedno z naszych prowincyonalnych miasteczek, zagrzebane przez kilkanaście wieków, niespodzianie odrodziło się jak Pompeja, zaledwie znalezionoby w niem ubogi kościołek, teatrzyk bez rzeźby i posągów; ale w każdym domu chociażby najuboższym, znalezionoby szacowne i użyteczne xiążki.

Teraz, słudzy nie mogliby nigdy wydani bydź na okropne męczarnie, jak dawni niewolnicy, na skinienie ich pana. Nowy Pollion nie mógłby bezkarnie żywić swoich pstrągów mięsem swego niewolnika, którego skazał na śmierć tak okrutną, za stłuczenie kryształowego naczynia. W tym samym czasie, kiedy lawy Wezuwiusza zagrzebywały Pompeję, brała początek nieznana dotąd moralność; a świat powołany został do szlachetniejszych przeznaczeń. Ubodzy i prześladowani chrześcianie, ukrywający się w katakumbach Rzymu, ogłaszali prawa Jezusa Chrystusa. Sztuki ucierpiały na chwilę z powodu nastania nowéj wiary; lecz nowe drogi otworzyły się dla nich i zwiastowały epokę Rafaela i Michała Anioła.

---

Oto jest, nie opis, ale tylko ogółowe wyobrażenie o Pompei. Potrzeba całkowitych tomów na zupełne rozpoznanie tego miasta, podobnego do mumii egipskiej, a z którego po większéj części jeszcze nie zdjęto jego opasków i pokryć.

Za każdym razem, ilekroć oderwać zdołają jednę z tych grubych zasłon, jednę z tych szerokich opasków, utworzonych przez lawę i popioły, niespodziewane znajdują się osobliwości i z podziwem pytamy samych siebie, jaki bydź musiał zbytek i potęga Rzymian, kiedy tak maleńkie miasto tyle miało świetności i przepychu?

Przebiegając te zwaliska i słuchając opowiadań podróżnych którzy je zwiedzili, czujemy niewymowny smutek, a nawet i przestrach podobny do tego, jaki przejmował Bohaterów *Tysiąca Nocy*, gdy wstępowali w obręb zaklętego miasta. Puste ulice, echa ze wszech stron powtarzające oddźwięk kroków, ślady i oznaki prac i zachodów domowych, jak gdyby przed chwilą przerwanych, a w istocie przerwanych od siedemnastu wieków, zasłona lawy pokrywająca jeszcze znaczną część gmachów, pomników i świątyń, drżeniem wszystkie członki przenika. Mimo żywiołów które zewsząd napotyka ciekawość, mimo nowości przedmiotów powstających za każdym krokiem, kilka godzin upłynąć musi, za nim się zatrze tak uroczyste wrażenie. A potém, gdy pomyślimy o Neapolu, o tém mieście które jeden wybuch Wezuwiusza może zniszczyć tak jak zniszczył Pompeję, gdy zastanowim się nad niedbałą wesołością jego mieszkańców, gdy sami także zaśniemy spokojnie pod parném niebem téj pięknéj i rozkosznéj krainy, z uśmiechem na myśl nam przyjdą te słowa filozofa Montaigne: że nawyknienie do niebezpieczeństwa tępi jego bodźce i że Damokles byłby po trzech dniach jadł z jak najlepszym apetytem, mimo żelaza które nad głową jego na końskim włosku wisiało.

Nie dziwiłbym się zatém, gdyby przed upływem wieku, ludzie zamieszkali znowu, zamarłe miasto Pompeję, nie pomnąc na to, że jedna godzina może znowu zamienić je w miasto lawami zasute.

---

## O WIĘZIENIACH ZASTÓSOWANYCH DO KARNEGO POPRAWCZEGO SYSTEMATU.

(Dokończenie.)

Założenie więzienia Milbank, nie zmieniło systematu więziennego w Anglii. By-

ła to jedyna próba nowego poprawczego systematu, bez dalszego w kraju upowszechnienia. Nie w ojczyźnie więc *Howarda*! ale na obcéj ziemi, w nowéj części świata, pomiędzy kwakrami Pensylwanii, miały się rozwinąć przez niego przedstawione więzień poprawy. Kara deportacyi i galer, zdawała się mniéj czynić ważną dla Anglików reformę więzień. Z samych więc pobudek moralnych poprzestali na poprawie dawniéj zaprowadzonego systematu. Przeciwnie zaś, rządy północnéj Ameryki, skłoniła do odmian nie tylko pobudka materyalna wynikająca z ogromnego kraju, z braku galer i przyczyny ludności tak różnéj i pomięszanéj, ale nadto i pobudki religijne. Bo jak z jednéj strony wyznanie kwakrów sprzeciwia się okrutnym prawom angielskim w 125 przypadkach karę śmierci przypisującym, tak z drugiéj, liczba szerzących się zbrodni, zniewoliła rządy do użycia nowych środków, zmierzających nie tylko do zabezpieczenia się od zbrodniarzy, ale i odstraszenia od nowego popełnienia występku przy moralnéj ich poprawie. Nie masz bowiem kraju, w którymby tyle było występnych, ile ich można widzieć w Ameryce, pomimo że tam nigdy nie postępuje się zaocznie; i jak u nas postępowanie odbywa się przeciwko zbrodni, tak tam zawsze przeciw zbrodniarzowi. Już w r. 1786 ograniczono w Stanach Zjednoczonych Ameryki karę śmierci do kilku tylko przypadków, w jéj zaś miejsce zaczęto używać kary zamknięcia zbrodniarza w pojedynczych celach i tym końcem wystawiono więzienie poprawcze w Filadelfiii, Nowym Yorku i innych miastach. W jednych trzymano więźniów podług klass i tych tylko samotnie zamykano, którzy przez sądy na odosobnienie wskazani byli; w drugich pojedyncze zamknięcie do wszystkich rozciągano więźniów. Lecz tak w pierwszych połączenie ich, jak i w drugich samotność bez zatrudnienia pracą, okazały się bezskuteczne, a nawet szkodliwe. Przypisywano z początku niepomyślne skutki złéj budowie więzień. Założono więc w r. 1816 w Auburn nowe poprawcze więzienie, w którém podzielono więźniów na klassy i po dwie osoby w celach w zamknięciu trzymano. W krótce przekonano się, że lepiéj jest trzymać więźniów w połączeniu kilkunastu razem, niżeli parami. Przystawiono zatém w roku 1821 do więzienia w Auburn nowe skrzydło z 80 pojedynczemi celami. Ale i ta poprawa nie na wiele się przydała. Zamknięcie bowiem samotne bez zatrudnienia, stało się powodem, że wielu więźniów wpadło w chorobę; wielu pomarło, wielu musiano ułaskwić, resztę zaś razem połączyć i zezwolić pracować i przechadzać się. Co większa, więzienie w Auburn pokazało się szkodliwém; z 26 bowiem ułaskawionych, wkrótce 12 do więzienia wróciło.

Przekonano się nareście, że lepiéj zamykać więźniów pojedynczo na noc, we dnie zaś dozwolić im pracować w spólnych salach, przestrzegając ściśle milczenia. Końcem poprawienia więzienia w Auburn roku 1824, Stany prowincyi Nowego Yorku wyznaczyły Kommissyę do ułożenia nowéj instrukcyi więziennéj, na powyższéj zasadzie. Wkrótce, za staraniem szczególniéj PP. *Lynds* i *Powers*, poprawiono więzienie w Auburn o 550 celach i założono drugie w Singsing o 1000 celach.

Tak więc utworzyły się dwa systemata nowych więzień poprawczych; jeden zasadzał się na zamknięciu samotném więźniów w pojedynczych celach, bez zatrudnienia ich pracą; drugi na zamknięciu samotném na noc, a w połączeniu przy pracy we dnie, przestrzegając ściśle milczenia.

Szkodliwe skutki pierwszego systematu, nie odwiodły Stanów Pensylwanii od założenia na jego zasadach w r. 1827 więzienia w Pittsburg. Ale jak pierwéj, tak i teraz uznano zaraz potrzebę nowéj reformy. Zgromadzenie prawodawcze Pensylwanii, wyznaczyło komitet w celu zgłębienia, który z dwóch wyżéj przytoczonych systematów jest lepszy. Komitet oświadczył się za systematem drugim, przyjętém w Auburn. Mimo tego jednak, *Robert Vaux* Pensylwańczyk i znany z pism swoich w zawodzie prawa karnego *Eduard Livingston* obstawali za sytematem dawniejszym, świeżo przyjętym w Pittsburg. Z jednéj strony, powaga tych pisarzy i łatwość utrzymania karności i milczenia, z drugiéj pomyślne skutki dopięte w więzieniu Auburn, skłoniły rząd Pensylwani do ujęcia środka pomiędzy dwoma powyższemi systematami, zostawiając więźniów samotnie w pojedynczych celach we dnie i w nocy, z przydaniem im pracy. Ztąd powstało trzecie pośrednie systema, według którego poprawiono więzienie w Pittsburg i założono nowe w Filadelfii, 1832 roku. Zniknął więc w Stanach Ziednoczonych pierwszy system więzienny i dziś więzienia jedynie według drugiego lub trzeciego są urządzone. Według tamtego znajdują się więzienia w Waschington i Singsing, w prowincyi Nowego Yorku, w Wethersfield w Kunehtikut, w Boston w Massachuseth, w Baltimore w Maryland; według zaś ostatniego więzienia w Pensylwanii w Pittsburg i Filadelfii. Założono jeszcze i w innych prowincyach Ameryki północnéj, więzienia poprawcze, które przy zachowaniu w czę-

ści dawnych urządzeń, mniéj więcéj do wyżéj wymienionych są podobne.

W więzieniach Amerykańskich, wszystko odbywa się w największéj cichości. Ciszę przerywa jedynie stąpanje i ruch pracujących. Milczenie i praca, jako dwa konieczne warunki nowych zakładów więziennych, są bardzo ściśle przestrzegane. Każde w téj mierze uchybienie więźnia, karane bywa chłostą. Wieczorem robota ustaje, i więźnie porządkiem do swoich cel wracają. Fabryki i rękodzielnie więzienne są tak różne, jak różne mogą bydź potrzeby miejscowe i spekulacye przedsiębierców, którzy płacąc pewną kwotę dziennie, w zamian odbierają wyroby więźniów z materyałów im oddanych. Kontrakty zawierają się na czas krótki, do każdego rękodzielnictwa z odmiennemi przedsiębiercami, a to w tym celu, aby Administracya mogła więcéj z przemysłu więźniów korzystać. Samotne zamknięcie i milczenie pomnaża pracę więźniów, ta bowiem tylko ich samotność rozrywa i czas im zajmuje. Często sama pogróżka odebrania więźniowi roboty, jest dla niego surową karą. Dla tego to pośpiech i czynność więźniów, mianowicie w Filadelfii są zadziwiające. Więzień całą swą pracę i przemysł winien społeczności, dla pokrycia kosztów jego zamknięcia. Tam więźnie nie mają żadnego prawa do tantiemy, to jest do części zarobku; nic im się nie rachuje z przychodu po uwolnieniu z więzienia. Dostają tylko tytułem darowizny na raz jeden małą, kwotę wystarczającą do udania się na miejsce swego przeznaczenia. Więzienie w Baltimore czyni w tym względzie wyjątek. Tu bowiem każdy więzień ma wyznaczoną dziennie do wyrobienia pewną ilość; po ukończeniu téjże winien pracować dla siebie, i zarobek z téj pracy stanowi jego część zarobkową, którą jednak nie pierwéj, jak po wypełnionéj karze odbiera.

Nowy system więzienny zaprowadzony w Ameryce, znalazł dość wcześnie naśladowców w Europie. Prawie w jednym roku (1822) Zgromadzenia Reprezentantów w Kantonach Genewskim i de Vaud, uchwaliły założenie nowego więzienia poprawczego na wzór amerykańskich w Genewie i Lozannie. Na tém też kończą się jedyne próby na stałym lądzie Europy nowego Ameryki systematu; dziwić się nie należy, iż tak w jednym jak i drugim względzie, zaszły uchybienia w Genewie i Lozannie, skoro zważymy, że szacowna gorliwość Zgromadzenia Reprezentantów, zajęła się wprowadzeniem nowego więziennego systematu wtedy, kiedy ten system jeszcze ani w Ameryce ustalonym, ani w Europie pod względem teoryi upowszechnionym nie był.

Więzienie w Lozannie, leży w rozkoszném miejscu nad jeziorem Genewskiém; powierzchowność jego nadaje mu raczéj podobieństwo do domu schronienia, i nie uprzedza wcale zwiedzającego, że w niém ma oglądać największych zbrodniarzy. Nie widać tam szyldwachów ani słychać brzęku kajdan; wszystko odbywa się w największéj cichości. Budowa tego więzienia, rozpoczęta r. 1822, została ukończona w roku 1826. Kształt jego równoległo-ścienny ma 280 stóp długości a 70 szerokości. Na dole są izby do pracy, magazyny i mieszkania officyalistów. Pierwsze piętro zajmuje 104 pojedynczych cel, kaplicę, salę dla chorych i bióro nadzorcy. Każda cela obejmuje to wszystko, co tylko do czystości jest potrzebne, biblię i parę xiążek do nabożeństwa. Więzienie to jest przeznaczone dla mężczyzn i kobiet, podzielonych na więźniów pełniących karę kryminalną i poprawczą. Strój i sposób żywienia stanowi między niemi różnicę. W czasie mego pobytu było uwięzionych 63. Za zgłoszeniem się do Nadzorcy czyli Dyrektora więzienia, i oświadczeniem mu o celu przybycia, ten otwiera kolejno cztery zasuwane okna, z których widzieć można z za cienkiej kraty, spólnie pracujących więźniów w obszernych salach. Praca odbywa się w największém milczeniu, które jest głównym warunkiem karności więźniów. Urządzenie powyższe okien ułatwia Dyrektorowi ściślejsze dozorowanie i przestrzeganie porządku, bez potrzeby wchodzenia na salę.

Przytaczamy na uzupełnienie wyciągów z tego artykułu poczynionych, zarys urządzeń wewnętrznych więzienia Genewskiego.— Dwa są więzienia, inkwizycyjne i poprawcze. Administracya więzień należy do Rady Stanu i wykonywana jest przez trzech inspektorów do składu rady należących. Wizytatorami honorowemi są sędziowie i 12 członków rady genewskiéj. Więzień zostaje w nocy w celi pojedynczéj. Milczenie ściśle przestrzegane. Zabronione są trunki, gra w karty i pożyczka pieniężna. Podczas pracy panuje ciągłe milczenie. Czwarta część przychodu pracy zostawiona więźniowi tytułem zachęty do pracy, jedna czwarta stanowi fundusz który odbiera przy wyjściu z więzienia. Połowa idzie do skarbu. Kary są: zamknięcie w izbie ciemnéj, post o chlebie i wodzie, zmniejszenie porcyi. Dobre sprawowanie się więźnia, służyć może do skrócenia kary, o czém stanowi osobny trybunał rekursu. Więźniowie dzielą się na cztery oddziały, stósownie do rodzaju przestępstwa i stopnia zatwardziałości w występku. Małoletni i skazani pierwszy raz na karę, są jak najściśléj odłączeni.

W postępowaniu z więźniami zachowa-

http://rcin.org.pl

no jak największy wzgląd na to wszystko, co na ich umysł i serce działać może. Dopiero od lat siedmiu, więźniowie w Genewie zostają pod tym zarządem, nie można przeto wiedzieć jeszcze, jak dalece nowa metoda wpływa na ich poprawę.

---

## LITERATURA.

Powszechny Pamiętnik krakowski, którego 4ry zeszyty mieliśmy w ręku, jest dotąd rzeczywistym Fenixem w Warszawie, ile nam bowiem wiadomo, sprowadzono 5 exemplarzy, a z tych 2 są w ręku publiczności. W 4ch pierwszych zeszytach zawierają się następujące główniejsze artykuły: Rozprawa o poezyi w ogólności, a w szczególności o polskiéj.— O Bojach najstarożytniejszym w ziemi czeskiéj narodzie.— Podróż do Tatrów (taż sama która jednocześnie z drugiego odpisu umieszczona była w Muzeum Domowém pod napisem: *Podróż po Galicyi.*) O starodawnym pobycie Sławian w Europie.—O oknach różnobarwnych w kościele Panny Maryi w Krakowie.—Charakter historycznego romansu w XIX wieku.—Sławianie w Węgrzech. — Podróż po Ukrainie.— Sławianie w Niemczech.— Opis starożytnych miast, zamków i wszelkich budowli w ziemi Olkuskiéj.—Podróż po Czechach. Dodajmy do tego artykuły przemysł i wynalazki na celu mające, kronikę literacką obejmującą krótki rozbiór dzieł nowo wyszłych: polskich wszystkich prawie, a znaczniejszych zagranicznych: rozmaitości naukowe, literackie, historyczne, statystyczne i przemysłowe, a mieć będziemy wykaz przedmiotów w Pamiętniku Powszechnym znajdujących się.

W ogólności, chwalebna jest dążność tego pisma, polszczyzna czysta i piękna, artykuły wybrane ze smakiem i uwagą na pożytek czytelników. Głównym artykułem w tym Pamiętniku jest rozprawa o poezyi. We wstępie, skreśliwszy wymownem piórem wyobrażenie o poezyi i natchnieniu poetycznem, przebiega koleje jakiemi przechodziły u nas wyobrażenia o poezyi, ocenia w krótkości dawniejszych poetów, obszerniéj zastanawia się nad późniejszemi. Rozważa jaki wpływ miało na poezyą naszą naśladownictwo Francuzów, potem Niemców i Anglików, a nareście u niektórych najnowszych pisarzy naśladownictwo poezyi wschodniéj. Surowo ocenia naśladowców wzorów zagranicznych, a bez żadnéj litości gromi tych, którzy stali się naśladowcami naśladowców, jako to: Odyńca, Gosławskiego, Wytwickiego, i t. d. Aż dotąd nie mam nic do powiedzenia przeciw zdaniom autora rozprawy, ale odwołuję się do sądu i upodobania czytelników, którzy zapewne zgodzą się ze mną, że poezye biblijne i sielskie, w roku 1830 wydane w Warszawie, że bajki i pieśni Goreckiego w pismach peryodycznych od 1815 do 1830 umieszczane, że powieści i bajki Massalskiego, że poema Koźmiana Ziemiaństwo, o ile je znamy w wyjątkach, a zwłaszcza też komedye Al. Hr. Fredry, są i będą ozdobą literatury naszéj. A przecież autor rozprawy, rozszerzył swój zły humor aż do powyżej wzmiankowanych płodów. Na wszystko bez braku rzucił wyrok potępienia. U niego Rzeki Jaxy Marcinkowskiego i Ziemiaństwo Koźmiana, mają jedną wartość. Gorecki i Massalski są nieznośnemi nudziarzami. Nie odróżnia poezyi Sielskich i Biblijnych, od miernych ballad, których sam autor wstydził się potém, a Fredro, nasz ulubiony Fredro, jest podług jego wyrażenia, szczęśliwym ale nie zasłużonym pisarzem i nie ma żadnego prawa do pozyskanéj wziętości; jego komedye są karykaturami, wiersz jak woda, bez jędrności, niedołężne cieniowanie charakterów i t. d. i t. d. Zgoła to wszystko, co tylko najbardziéj upośledzającego o pisarzu powiedzieć można.

Nie myślę wdawać się w zbijanie takich twierdzeń, najlepszą odpowiedzią na nie, jest uczucie czytelnika lub słuchacza. Chociażby krytyk zbrojny wszelkiemi cytacyami najsławniejszych estetyków, dowodził, że moje zajęcie i uwielbienie jest niesprawiedliwém i nierozsądném, to przecież, jeźli mię wiersz jaki rozrzewni, wzruszy, zapali, nie jego rozpraw ale własnego uczucia słuchać będę i wszystkim toż samo radzę uczynić. Autor rozprawy, w ocenianiu pisarzy naszych, a zwłaszcza tych, którym istotną niesprawiedliwość wyrządził, postąpił sobie tak jak ten, któryby chciał utrzymywać, że wszystko co pod względem architektury nie wyrównywa kościołowi Sgo Piotra w Rzymie, jest tylko szałasem, nie więcéj zasługującym na uwagę jak chaty dzikich Indyan. A przecież, między tym ideałem jaki sobie autor rozprawy o poezyi utworzył, ideałem, do którego nie upatrzył dotąd nic takiego coby się przybliżyć mogło, a płodami na milczenie i pogardę zasługującemi, ileż to jest stopniowań, iluż to pisarzy może zasłużyć na mniéj lub więcéj świetne wieńce, a przynajmniéj na wdzięczne i zaszczytne wspomnienie! Taki sposób sądzenia o poetach, jaki przybrał autor rozprawy, bynajmniéj nie przyłoży się do wzrostu literatury. Oddając sprawiedliwość pięknie wyłożonym ogólnym teryom, żałować trzeba że na nich samych nie poprzestał.

---

http://rcin.org.pl



# KOLBERT.

W liczbie rzadkich geniuszów, poetów, artystów, mowców, pisarzy, wodzów, którzy uświetnili wiek Ludwika XIV, piękne miejsce zajmuje minister, który przez mądrość swego zarządu, upodobanie w sztukach i naukach, przez opiekę nad niemi, nie mało przyłożył się do zrządzenia tych cudów. Ten minister był to Jan Chrzciciel Kolbert.

Urodził się w Reims 23 Sierpnia 1619 i i chlubił się że pochodzi od królów Szkockich. Cóżkolwiek bądź, ojciec jego który jak utrzymują był kupcem sukna, został nareście panem włości de Vaudiere, gubernatorem Fimes i marszałkiem stołu królewskiego.

Kolbert od samej młodości okazywał zamiłowanie w naukach i myślał nad sposobami podźwignienia handlu; pracował od roku 1648 u Michała Letelier, wówczas sekretarza stanu, a późniéj kanclerza Francyi. Kardynał Mazarini poznawszy Kolberta, użył jego talentów i gorliwości na dobro kraju, a zawdzięczając jego zasługi, tak hojnie go wynagrodził, że w liście pisanym dnia 9 Kwietnia 1655, Kolbert wyraża iż musi opierać się szczodrobliwości kardynała.

Czując się bliskim zgonu, Mazarini przekazał Kolberta Ludwikowi XIV tak, jak gdyby nie mogąc dłużéj korzystać z nieporządku panującego w skarbie, chciał wynadgrodzić swoje zdzierstwa, dając Francyi człowieka, który sam jeden tylko zdolny był powściągnąć te nadużycia. Kolbert doniósł królowi o zdzierstwach naczelnego intendenta Fouqueta i tym sposobem stał się głównym sprawcą jego niełaski. Przykra jest rzecz, że w téj całéj sprawie, postępowaniem jego nie powodował sam tylko

http://rcin.org.pl

wzgląd na dobro Francyi, ale zarazem i chęć pozbycia się nieprzyjaciela; zaledwie można zapomnieć o tym postępku, zważając na geniusz i zasługi Kolberta.

Od czasu jak Kolbert objął zarząd skarbu we Francyi, zaczął się nowy porządek, ustały nadużycia, ukarano tych, którzy przywłaszczali sobie grosz publiczny i zmuszono ich do zwrotu pieniędzy. Podatki gruntowe zmniejszono o trzy miliony. Kolbert zaprowadził porządek w administracyi, ustanowił jak najściślejszą rachunkowść i zmniejszył dług publiczny. Te skutki zasługują na tém większe uwielbienie, że Kolbert zarazem kierował ministerstwem skarbu i marynarki, że zdołał wystarczyć tak mnogim pracom i że Ludwik XIV lubił uciechy, zbytki, wojny, pałace, ogrody, a to wszystko pociągało za sobą wielkie wydatki.

Nie dosyć na tém że skarb podźwignął, Kolbert utworzył we Francyi handel i przemysł. Sully chciał aby ludy wyłącznie zatrudniały się rolnictwem. Pastwiska i role, mówił, są to dwie karmicielki kraju. Do tego pierwotnego zrzódła potęgi i bogactw, Kolbert przydał drugie, założył rękodzieła, wspierał ich zakłady przez udzielanie znacznych bez procentowych pożyczek, przez wyłączenia od opłat i ciężarów, przez dyplomata szlachectwa i szczególne zaszczyty. Nowe drogi zbudowano i naprawiono dawne. Ożywił się handel ze Wschodem, rozpoczął się z Północą i osadami.

Pośród tych wielkich dzieł, użyczał czynnéj i użytecznéj opieki sztukom pięknym: założyciel rękodzielni Gobelinów i zwierciadeł, był także założycielem wielu akademii, Obserwatoryum, Biblioteki i Muzeum. Aż dotąd, szacunek publiczny jedyną był nagrodą uczonych: dzięki Kolbertowi, otrzymali udział w dobrodziejstwach monarchy.

Kolbert, był obok tego wielkim prawodawcą; piękne postanowienia XVII wieku, o wszystkich częściach administracyi, ułożone są pod jego oczyma. Powziął razem ze swoim wujem, radzcą parlamentu, zamysł reformy sądownictwa i postanowienie z roku 1667 było po większéj części jego dziełem. Postanowienia o marynarce, kodex handlowy i kodex osadniczy, są pomnikiem jego gorliwości i ministerstwa. Postanowienie o marynarce uważają za arcy dzieło, kodex handlowy obejmuje wszystko co się dotycze handlu, a kodex osadniczy umniejszył okropności handlu murzynami.!

Jednakże, mimo tak licznych i celujących zasług, ani monarcha, ani zdanie narodu, nie oddało mu należnéj sprawiedliwości. Od 1670 ciągle zmniejszał się wpływ jego. Gdy nareście Ludwik XIV. oznajmił mu, że przenosi nad niego Louvois, niełaska monarchy przeraziła go tak dalece, że wkrótce żyć przestał 6 Września 1683.

Kolbert, szczerze pobożny, ale wolny od zagorzałości, opierał się ile tylko mógł, odwołaniu edyktu Nanteńskiego. Po jego śmierci zwyciężył Louvois i pani Maintenon, odwołano edykt, a tysiące przemyślnych i pracowitych rodzin opuściło Francyą. Razem z Kolbertem ustały zrzódła pomyślności publiczności i skarb Francyi znowu wpadł w stan opłakany: Tak więc wszystko dobre które uczynił i wszystko złe, które uczyniono po jego śmierci, pomnaża chwałę i zasługi Kolberta.

## DRZEWO DAKTYLOWE.



Natura upodobała sobie rozwinąć całą wspaniałość swoją w krainach wschodu, jak gdyby nadać chciała tym pięknym krajom, kolebce poezyi i religii, szczególne piętno wielkości i bogactwa. Tam znajdują się groźne i drapieżne zwierzęta, tam cedr Libanu rozpościera niezmierne konary, wonny aloes co sto lat kwitnie i natychmiast potém umiera, a palma dumnie kołysze swój piękny wierzchołek. Pośród

http://rcin.org.pl

téj roślinności Wschodu, tak bogatéj tak malowniczéj, drzewo daktylowe zaleca się pięknością postaci i smakiem owoców.

To wspaniałe drzewo umieszczone na granicach pustyń, jak gdyby dla powetowania ich spiekłości, odróżnia się od wszystkich płodów przyrodzenia i na szczególną zasługuje uwagę.

Gdy jego pestka przyjmie się i kieł wypuści, widać najprzód gruby pączek owalnego kształtu, z którego powoli wyrastają długie liście, a po kilku miesiącach zieloności, żółkną i opadają; inne liście liczniejsze i mocniejsze następują po nich; pączek, który im służy za podstawę, co raz jest większy, aż dopóki nie dojdzie do grubości jaką mieć powinno drzewo i wtedy dopiero wyrasta nad ziemię. W tym względzie drzewo to odznacza się tym szczególnym przymiotem, że tylko rośnie nie zaś grubieje z czasem: i gdy inne drzewa, cienkie i słabe, są igrzyskiem wiatrów, drzewo daktylowe mające dźwigać niezmierny wierzchołek, od razu nabywa siły do oparcia się burzy.

Co rok opadają liście i pień rośnie jednakowo. Niższa część liści opadłych, tworzy wypukłości tak regularne, że cały pień wygląda jak kolumna na pierścienie podzielona i uwieńczona pękiem długich wiszących liści, w pięknie zaokrąglonych festonach.

Trzonek liścia ma od dziesięciu do dwunastu stóp długości, osadzony piórkami trzcinowatemi na dwa cale szerokiemi, w środku zfałdowanemi; kwiat wyrasta znacznemi krzakami z kątów trzonków liściowych. Po nich następują owoce, ściśnięte jakby ziarka niezmiernego grona. W wydawaniu tych owoców, zachodzi jeden z nadzwyczajnych fenomenów natury.

Wiedzą wszyscy, że aby kwiat zamienił się w owoc, trzeba żeby pyłek kwiatów męzkich, padł na kwiaty żeńskie. Drzewo daktylowe dzieli się na dwa rodzaje: jeden tak zwany męzki, drugi żeński; samo tylko drzewo żeńskie wydaje owoce, których jako znanych powszechnie, nie będziemy opisywać.

Drzewo daktylowe lubi grunta piaszczyste, cokolwiek wilgotne; rośnie dziko w Barbaryi i na całym wschodzie. Znajdują się tamże całe lasy daktylowe, na kilkanaście mil rozległe i przedstawiające zdziwionym oczom podróżnego, coś nakształt sceny z czarodziejskiéj powieści. Wszystkie wierzchołki łącząc się z sobą, tworzą sklepienie zieloności oparte na tysiącu lekkich kolumn. Grono szarawe odbija się od ciemno-zielonego koloru sklepienia, a miła woń aromatyczna napełnia powietrze. A przecież nie w owych to czarownych lasach znajdują się najpiękniejsze owoce: ręka człowieka i hodowanie ulepsza ich smak i gatunek.

Arabowie sieją pestki albo zasadzają odziemki, które odejmują ostrożnie bądź od korzeni, bądź od trzonków liści, skrapiają je często, dopóki się latorośl nie przyjmie. Uprawa latorośli tę ma korzyść, iż drzewo w piątym lub szóstym roku wydaje owoc, z pestki zaś trzeba czekać lat dwadzieścia. Z sadzenia pestek także ta niedogodność wynika, że przez długi czas nie można wiedzieć jakiego rodzaju jest drzewo: zasadzając zaś latorośle, biorą je z drzew żeńskich. Aby sobie zabezpieczyć wydawanie owoców, potrzeba drzewka męzkie zasadzić pomiędzy żeńskiemi. Z tego powodu, przytaczają nadzwyczajny i ciekawy wypadek. Od dawna rosło w Otranto, w królestwie Neapolitańskiém, bardzo piękne drzewo daktylowe żeńskie. Co rok było na niém mnóstwo kwiatów, lecz nie wydawało żadnego owocu. Jednego roku, zdziwili się niezmiernie, ujrzawszy że jest okryte mnóstwem owoców, które doszły do zupełnéj dojrzałości. Podziwienie to wzmogło się jeszcze, gdy usłyszano że inne drzewo daktylowe zasadzone w Brindes, o piętnaście mil ztamtąd, zakwitło po raz pierwszy i że to były kwiaty męzkie. Od tego czasu, drzewo w Otrante, wydaje piękne owoce. Pyłek z kwiatu drzewa w Brindes, rozpraszając się w powietrzu, zdołał przebyć osiem mil odległości... Tak to są nie przeniknione i nie wyczerpane działania przyrodzenia!

Każde drzewo daktylowe żeńskie, gdy jest zupełnie zdrowe, wydaje od 200 do 300 funtów daktylów. Owoce te zebrane świeżo, mają roskoszną woń i smak, są przejęte cukrem, zdrowe, posilne; dla zachowania suszą je na słońcu i w tym stanie przychodzą do nas, postradawszy cały prawie smak swój oprócz słodyczy; są bardzo dobrém lekarstwem na kaszel, katar i słabości piersiowe.

Arabowie robią mąkę daktylową, chowają ją w małych woreczkach, a podczas długiéj podróży przez pustynie, parę szczyptów rozpuszczają w wodzie. To ciasto wystarczy na utrzymanie ich siły.

Zbieranie daktylów odbywa się z nie małą trudnością. Trzeba zrywać je z wierzchołka wysokiego drzewa, którego pień żadnych nie ma odnóg i gałęzi. Arabowie wdzierają się bardzo zręcznie po naroślach które zostały po opadnieniu liści. Ale nie jest to jedyna przeszkoda. Owoce otoczone są kolczatemi liściami i bardzo ostrożnie zrywać je trzeba. W Europie wyna-

http://rcin.org.pl

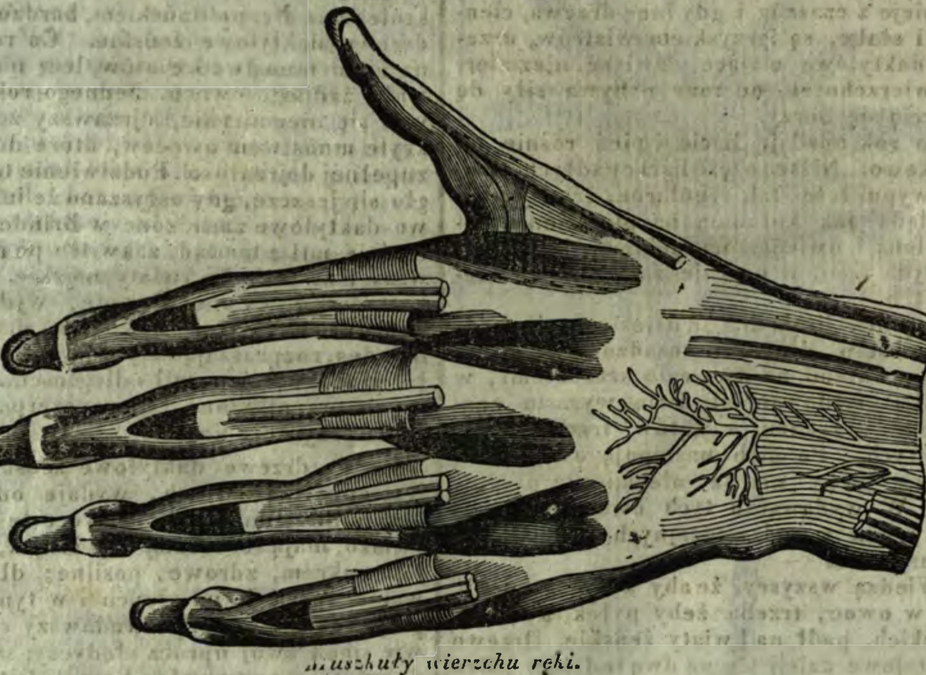
leziono by machiny ułatwiające ten zbiór, w Arabii, narażają życie za grono daktylów.

Wyjąwszy pestki, Arabowie robią z owocu gatunek syropu dosyć smacznego, lecz tak jest gęsty i kleisty, iż go nie można używać jako trunek, służy tylko do przyrządzania ryżu i ciast. Kilku dawnych autorów wspomina o winie daktylowém, które robiono dozwalając fermentować daktylom w wodzie. Dzisiaj zaprzestano używać tego trunku i nazywają winem palmowém, sok wyciągnięty z pnia daktylowego. Arabowie czynią to sposobem bardzo prostym; ucinają wszystkie liście, w koło pod wierzchołkiem narzynają drzewo, a potém robią głęboką prostopadłą brózdę aż do spodu i tam stawiają naczynie do zbierania cieczy obficie płynącej z tego narznięcia, a gdy słońce przypieka gwałtownie, zasłaniają te rynienki matami z liści. Ciecz ta białawego koloru, jest łagodna i smaczna, lecz prędko kwaśnieje; trudno jéj dostać, a że przez to wycieńcza się drzewo, wydobywają onę z samych tylko daktylów męzkich, których małą liczbę hodują.

Człowiek umie ciągnąć korzyści z najdrobniejszych cząstek tego szacownego drzewa. Żywi się jego owocem i orzeźwia jego sokiem. Z liści robi maty, liny z kory; twardy i długo trwały pień, służy do budowy domow, a Chińczycy używają palonych pestek do tuszu.

---

## ZMYSŁ DOTYKANIA.



Muszkuły wierzchu ręki.

»Zmysły, mówi Buffon, są narzędziami »których używania uczyć się trzeba. Zmysł »wzroku najgodniejszy podziwienia między »wszystkiemi, jest także najniepewniejszym »i najbardziéj zawodnym; jego wrażenia »zwodziłyby nas co chwila, gdyby ich nie »prostował zmysł dotykania. On to jest »zmysłem gruntownym, probierczym kamie»niem i miarą innych zmysłów, nie dla te»go jak utrzymywano że końce palców są »obdarzone większą czułością niżeli reszta »ciała, ale że układ i giętkość palców, czy»ni ich zdolnemi do dotknięcia się w jednej»że chwili rozmaitych części ciała, które »człowiek chce rozpoznać za ich pomocą.» Dla tego też zwierzęta które mają przednie nogi najpodobniejsze do rąk, największą okazują pojętność, jako to małpy. Inne zwierzęta pozbawione tych organów, muszą bardzo niezupełnego doznawać wrażenia, dotykając się przedmiotu. Zmysł dotykania głównie znajduje się u nich w końcu paszczy, nim one obracają przedmioty aż je schwycą zębami. Lecz jakeśmy to już wspomnieli, nie mogą należycie ocenić kształtu i wielkości. I dla tego to, nie raz widzimy iż lękają się przedmiotów, któreby jak najlepiéj znać powinny.

Wszystkie organa zmysłów, składają się z nerwu podzielonego na włókna, ciągnące się na powierzchni albo wewnątrz tkaniny muskularnéj i od bezpośredniego zetknięcia

http://rcin.org.pl

się z ciałami, ochronione cieczą, albo stalszą materyą, jakoto skórą zwierzchnią. Tym sposobem miarkuje się wrażenie, któreby na nerwach zewnętrzne przedmioty uczynić mogły. Łatwo pojąć, że pośrednie substancye, których natura odmienna jest w każdym człowieku, przejmują część wrażenia i niezmiernie wpływają na delikatność zmysłów. I tak, ręce zatwardziałe od pracy, bardzo wiele tracą czułości. Kobiety zaś mają delikatniejsze dotykanie.

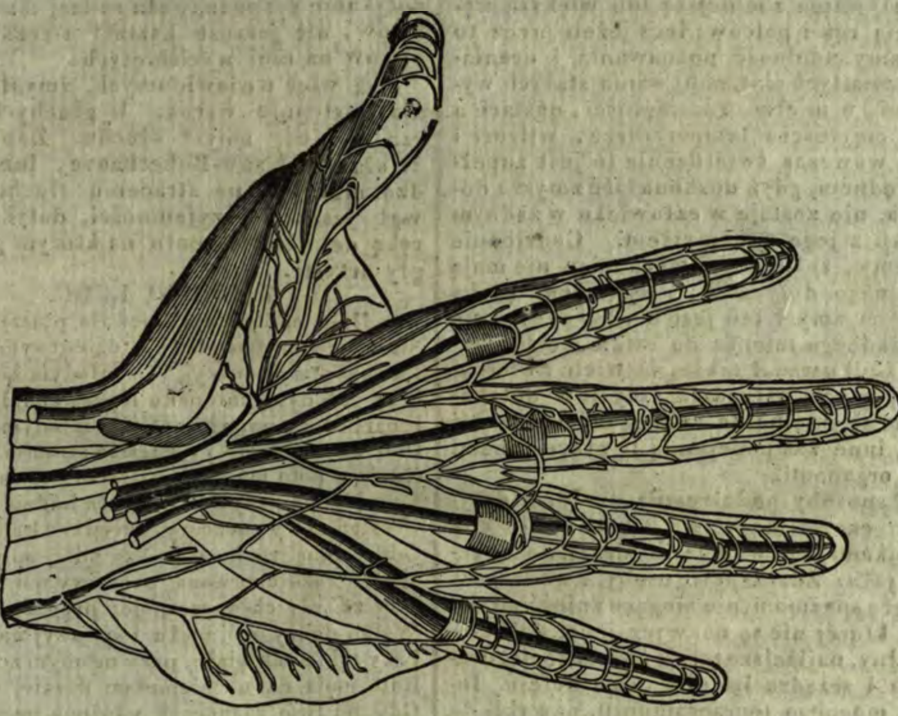
Ręka u człowieka jest głównym organem dotykania i rozpoznawania ciał. Jéj to winniśmy naszą zręczność w sztukach i wyższość nad wszystkiemi zwierzętami, gdyż żadne zwierze nie jest tak dobrze opatrzone w tym względzie, a małpa, która sama ze wszystkich zwierząt ma ręce, nie ma ich tak doskonałych jak nasze. A najprzód, chociaż małpa jest palczasta, to jest że ręce i nogi ma zakończone palcami, jednakże ponieważ chodzi na czworakach, grubieje u niéj skóra na palcach, a przez to ginie delikatność dotykania. Z drugiéj strony, wielki palec tego zwierza jest zbyt mały, aby mógł dopomagać innym palcom, które także nie poruszają się z łatwością. U człowieka przeciwnie, jakąż doskonałość i delikatność uwielbiać trzeba w budowie téj części ciała!

Nie potrzebujemy opisywać kształtu ręki, ale idąc za śladem anatomisty Ryszarda, opiszemy z czego się składa.

Ręka dzieli się na trzy części, nie zależne jedne od drugich. Pierwsza zwana przegubiem (carpe) łączy się z kością łokciową, następuje po niéj śród-ręcze (metacarpe) i tworzy dłoń ręki. Nareście palce są ruchomemi końcami ręki.

Część wierzchnia ręki jest wypukława. Przez skórę która ją okrywa, przebijają się niektóre żyły i wystają ściągacze łączące się z palcami, dla ich ruchu przeznaczone. Skóra jest mniéj lub więcéj ruchoma, spodnia zaś strona zwana dłonią ręki, ma skórę przystającą ściśle do rozmaitych wypukłości, które na niéj napotykamy, przez co tém lepiéj przystaje do ciał, które człowiek chce rozpoznać przez dotykanie.

Wielka liczba części i tkanin wchodzi w skład ręki. Składa się ona z dwudziestu siedmiu kości, to jest ośmiu w przegubiu, pięciu w śród-ręczu, dwóch w palcu wielkim, a dwunastu w czterech innych. Chrząstki pokrywają powierzchnią stawów. Liczne wiązadła ciągną się od kości do kości dla zapobieżenia wywichnięciu.



*Ręka po zdjęciu skóry.*

Dziewiętnaście muszkułów i mnóstwo ściągaczy idących od muszkułów łokcia, służą do rozmaitych poruszeń ręki. Żyły krwiste i nerwy, rozdzielone są na wszystkie strony. Tém są liczniejsze, że ręka jest organem, który czucie posiadać winien.

W śród-ręczu znajduje się dziewiętnaście muszkułów należących do składu ręki, słu-

http://rcin.org.pl

żą one do zginania lub roztwierania palców. Nerwy ręki są bardzo liczne i dzielą się na bardzo delikatne włókna rozpostarte po tym organie, a zwłaszcza na jego spodniéj części, jako też na brzuszczach palców, jak to widać na drugiéj rycinie do tego artykułu należącéj i wystawiającéj dłoń i palce ręki po zdjęciu skóry.

Skóra, co ją okrywa, jest takaż sama jak i w innych częściach ciała, a jéj większa czułość wynika z zętknięcia się z nerwami ręki.

Mówiono, że nazwyczajenie wydoskonala niezmiernie zmysł dotykania, a za przykład stawiano zręczność tych co się zajmują mechanicznemi sztukami. Jest to prawda, jeżli przez dotykanie rozumiemy tylko zdolność używania z mniejszą lub większą zręcznością rąk i palców; lecz jeżeli przez to wyrażamy zdolność poznawania i oceniania rozmaitych ciał, nabywania stałych wyobrażeń, o mierze, rozciągłości, postaci a nawet ciągłości i temperaturze, wilgoci i suszy, wówczas twierdzenie to jest zupełnie błędném, gdyż doskonałość zmysłu dotykania, nie zostaje w człowieku w żadnym związku z jego przemysłem. Codziennie widziemy, że najlepsi mechanicy nie mają delikatnego dotykania, i nawzajem osoby u których zmysł ten jest bardzo czuły, nie mają żadnego talentu do sztuk mechanicznych. Gall uważał także, iż wiele zwierząt posiadających narzędzia zmysłów dotykania, nie są zdolne do żadnéj mechanicznéj pracy, inne zaś podejmują te prace innemi wcale organami.

Są sposoby podniecenia czułości dotykania; częste kąpiele, smarowanie ciała olejkami, powiększają drażliwość tego zmysłu. Zdarzają się osoby, a zwłaszcza podległe spazmom, nie mogące znieść odzieży, do któréj nie są nazwyczajone; dotknięcie wełny, najlżejsze tarcie lub ukłócie, drażni ich i zrządza im nieznośną boleść. Inni zaś, mocnego temperamentu, nawykli do ciężkiéj pracy, a zwłaszcza gdy z powodu zatrudnień swoich muszą chodzić na pół nadzy, albo źle odziani, prawie zupełnie tracą delikatność zmysłu dotykania i są nieczuli na najprzykrzejsze wrażenia.

W niektórych słabościach chronicznych, dotykanie nabiera niezmiernéj delikatności. Wiemy jak się wydoskonala u ślepych. U nich zmysł ten często zastępuje czynności oczu. Można powiedzieć, że ślepi czytają palcami, czynią to bowiem za pomocą liter wypukło drukowanych, po których przebiegają ręką jak muzykant przebiega strony instrumentu. Wielka liczba z pomiędzy nich, rozróżnia karty zwyczajne przez dotknięcie się wypukłości figur.

Powiadają, że starożytnik Sanderson, pozbawiony wzroku, zdołał jeszcze rozróżnić prawdziwy medal od fałszywego. Rzeźbiarz Ganiwazyusz, chociaż niewidomy, sądził jeszcze o pięknościach swojéj sztuki. Pewien organista w Holandyi, ociemniawszy, doskonale wykonywał swoje rzemiosło. Co więcéj, zdołał rozpoznać przez dotykanie; rozmaite gatunki monet, a nawet i kolory kart do grania nie uszły delikatności jego palców i stał się przez to niebezpiecznym graczem, gdyż przy rozdawaniu kart rozpoznawał te, które szły do inych graczy.

Znałem na prowincyi młodą panienkę, która w 22 roku życia wzrok postradała. Mimo tego nieszczęścia, sama wybierała materye na swoje suknie. Nie tylko przez dotykanie rozpoznawała rodzaj tkanki i kolorów, ale jeszcze kształt i rozkład bukietów na niéj wyciśniętych.

Tak więc u niewidomych, zmysł dotykania zastępuje wzrok. U głuchych wyręcza niekiedy zmysł słuchu. Zapewniają, że sławny Kaaw-Boherhaave, lubiąc bardzo muzykę, po straceniu słuchu doznawał jeszcze przyjemności, dotykając się ręką deki instrumentu na którym grał biegły artysta.

## Z PIEŚNI LUDU.

Usiadłszy na drzewie śpiewała ptaszyna,
Ślubując staremu płakała dziewczyna.
Umrzyj stary umrzyj, ja z młodym żyć wolę,
Przy młodym chłopaku lepszą znajdę dolę.
Umarł stary umarł, potém z młodym żyła!»
Doli nie znalazła i szczęście straciła.
Gdzie w polu mogiła z wiatrem gada sobie,
Tam biedna przychodzi starca budzić w grobie.
»Wstań stary poczciwy, czerwona kalino,
Gdy z tobą rozmawiam łzy miléj mi płyną.
Wstań różo czerwona poczciwy mój stary,
A ty zaś zły chłopcze pójdź prędzéj na mary.
Wstań dobry mój mężu i spojrzyj na ciało,
Przy tobie tak białe, przy młodym zczerniało.
Ruto moja ruto, załamałam dłonie,
Gdy mi twój wianeczek włożono na skronie.
O ruto zielona, dziś gdy cierpię tyle,
Dla czegóż mi nie dasz odpocząć w mogile?»

## P O E Z Y A.

W rozprawie o poezyi wzmiankowanéj w przeszłym zeszycie a umieszczonéj w czterech numerach Powszechnego Pamiętnika Naukowego, autor pięknem i wymownem piórem, skreśla wyobrażenie swoje o poezyi, o jéj początku, duchu i powołaniu. Cały ten wstęp zalecający się pięknością myśli i świeżością obrazów, umieszczamy.

Między licznemi podziałami moralnéj całości zwanéj literaturą, między władzami przez które objawia się i rozwija życie ludu, poezya nie poślednie zabiera miejsce. I nie dziś dopiero postrzegliśmy to zjawisko. Własne jéj pomniki świadczą o przed.

http://rcin.org.pl

wiecznem jéj życiu w życiu ludzi pojedynczych. Czémże jest poezya? To pytanie roztrzygną nam dzieje ludzkiego plemienia. Najpierwsza piastunka i nauczycielka narodów, mądrość z natchnienia, filozofia filozofii, towarzysząca prostemi jak przyroda pieśniami, bytowi człowieka, od rozwinienia mu życia w kolebce, aż do ukołysania śmiercią w grobie; przeczucie zaziemskiego bytu; piętno duchowe na doczesnych przedmiotach, dla upiększenia i razem dla okazania znikoméj ich wartości; miłość najczystsza, język wiary, duch niewidomy prorokujący o Bóstwie; najwznioślejsza, najrzeczywistsza prawda, odziana tajemniczością i urokiem niebieskiego początku, dotykalna prawie, a przytém niepojęta, oto jest drobna cząstka z szeregu tych postaci, pod któremi poezya objawia się światu, w których przeznaczono myśli ludzkiéj, wiecznie ją zgadywać i nigdy nie pojąć. Poezya jest strefą niewidzialną pomiędzy materyą a duchem, w któréj spływa się i łączy ze sobą wszystko, co tylko w duszy ludzkiéj może bydź zmysłowego, a w zmysłowych przedmiotach istotnego i czystego jak dusza; Poezya jest żywioł istoty anielskiéj, rozlany we wszystkiém, cokolwiek wyszło z rąk Twórcy, na znak przymierza między nim a stworzeniem. Ale jeżeli wszyscy czują poezyą, nie każdy jest usposobiony postrzedz jéj żywioł tak wyraźnie, ująć tak silnie, aby go innym mógł objawić; twórcza mądrość obmyśliła przewodników, moralnemu płynowi poezyi, równie jak płynom ognia, elektryczności i magnetyzmu; stworzyła poetów. W Poetę przeto spływają się niejako myśli wszelkich istot tak organicznych jak nieorganicznych, jedném słowem; myśli całego stworzenia, albo inaczéj mówiąc: dusza poety porozumiewa się bezpośrednio z ich duszami, o których reszta ludzi domyśla się tylko przez pewną niepojętą sympatyę, póki ich pośrednictwo poety wyraźniéj uczuć nie da.

Siłę, za pomocą któréj poeta wydobywa z łona przyrody poezyą i zmysłowie ją objawia, zowiemy natchnieniem. Zbadać i określić istotę natchnienia, byłoby równie nad możność ludzką, jak zbadać i określić istotę poezyi; nie marnując więc myśli, obróćmy je raczéj na roztrząśnienie, jaka konieczność przyprowadza poetę, aby kupiący się w swéj duszy żywioł poezyi wylewał na zewnątrz. Rozmaite w tym względzie potworzono, mniéj więcéj logiczne systemata; zamknąwszy oczy na wszystkie, wszakże bez roszczeń prawa do chwały utworzenia oddzielnego, powiem tylko co mi moja nastręczyła rozwaga.

Byt człowieka składa się z dwóch połów, różnych od siebie co do istoty, to jest: fizycznéj i moralnéj: jest więc i chęć zachowania podwójnego bytu, są i środków dwa rodzaje. — Z porządku mówić będę o stronie człowieka fizycznéj, czyli materyalnéj. Sen, pokarm i tym podobne potrzeby ludzkie są jéj piastunami doczesnemi, do chwili skonania: ta chwila przenosi człowieka w świat moralny, na takiéj chwili, na takim punkcie zniszczenia jednego bytu, a poczęcia się drugiego, człowiek grób stawia. Grób możnaby uważać za szczyt ziemskiéj poezyi, za najdobitniejsze jéj objawienie się w postaci materyalnéj. Nie znam pieśni rzewniejszéj i uroczystszéj nad pogrzebowy obrzęd, choć tak prosty i powszedni. Te grudki ziemi lecące na trunę z rąk stojących nad nią, to pożegnanie z łez rodziny, miłości lub przyjaźni, ta nakoniec mogiła usypana śród oznak boleści, są to dotykalne dźwięki, zlewające się w pieśń niezgłębionych myśli, nadziemskich uczuć, nie rozjaśnionego nigdy znaczenia, w pieśń nazwaną grobem. Grób ma służyć odtąd za pomnik zniszczonego jednego bytu, na przekor czasowi, który go zniszczył; za upominek pozostałych na ziemi, dany przenoszącemu się od nich w krainę nie ziemską; za umówione niby miejsce wspólnego kiedyś połączenia się. Tak ja mniemam, tak mniema wiara milionów gminu, utrzymując, że się na grobach zmarli pokazują. Przejdźmy teraz do świata istnącego wewnątrz człowieka, wewnątrz poety. Mieszkańcami jego duszy są myśli i uczucia. Przedewszystkiém musimy przyznać, że co używamy to tracimy. Przekonamy się o tém wszystkiém z lekkiego zastanowienia się, nad użyciem darów materyalnych, życia naprzykład, które przez używanie w śmierć się zamienia. Ta prawda da się zastosować do darów moralnych, z tą tylko różnicą, jaka zachodzi między materyą a duchem. Używamy uczuć, zwracając je ku zewnętrznym względem duszy przedmiotom i raz tak wylanych, już nie jesteśmy w stanie odzyskać; czujemy to, bolejemy nad doczesnością naszą, pragniemy ją w nieśmiertelność przedłużyć, uwiecznić widomie jak ludzie drogich sobie ludzi, chwytamy ulatujące duchownego życia płomyki i obwijamy je w kamienie, barwy, dźwięki i wyrazy. Tym sposobem powstają snycerze, malarze, muzycy i poeci, a ich utwory, rzeźby, malowidła, muzyka, rymy, nie są niczém inném, tylko pomnikami, grobowcami ich myśli i ich uczuć. A przeto w pieśniach poetów, widzę nie już chęć naśladowania dźwięków lub obrazów zmysłowéj przyrody, nie potrzebę chwilowego wynurzenia, chwilowych wrażeń i uczuć, ale konieczność daleko nie prze-

http://rcin.org.pl

partszą, dążność daleko szlachetniejszą, a obie wypływają z istoty człowieka, uważanego jako dziecię boskie i cząstka nieśmiertelności; obie zgodniejsze są z jego całém życiem, z jego chęciami, nadzieją i i wiarą; to jest w krótszych słowach: widzę konieczność i dążność przetworzenia w nieśmiertelność wszystkiego, co go napełnia i otacza; a tak więc; popęd zachowania bytu w najszlachetniejszéj cząstce człowieka, na drodze najszlachetniéjszéj, w myślach na drodze myśli, tworzy objawienie poezyi czyli Poetów.

Ale zkąd powstaje ów interes, z jakim ludzkość przyjmuje podobnych dusz utwory? Niektórzy utrzymują, że to jest prosta rozrywka powszedniéj ciekawości, drudzy że zbytkowa potrzeba, inni inne tym podobne naznaczają przyczyny; moje zdanie oparte na powyższych nad poezyą uwagach, przechyla się do tych, którzy twierdzą, że to jest potrzeba życia, szlachetniejsza o tyle od innych potrzeb zmysłowych, o ile dusza szlachetniejsza jest od ciała. Najlżejszy to będzie ciężar, który na szalę tego mniemania nawiasem rzucę. Zastanówmy się tylko nad wiekową arcydzieł sztuki trwałością i odpowiedzmy sami sobie na zapytania; czy bawidełka zmysłów potrafiłyby utrzymać się tak długo, na tronie takiéj cześci człowieczéj? Czy potafiłyby wyjść nienaruszone z tego umysłowego tyłu wieków zamętu? czy nie zginęłyby całkiem w tym trącym kołowrocie oświaty? Ale nie bawiąc się podsuwaniem widocznéj odpowiedzi, sprobujmy raczéj wejśdź w głąb rzeczy i ztamtąd prawdę wydobyć.

Wyobraźmy sobie życie duszy jak życie ciała: (co nie jest żadném przypuszczeniem, bardziéj pewnością opartą na całéj przeszłości ludzkiego plemienia). Jedno i drugie potrzebuje do swojego utrzymania i postępu, posiłku czyli karmu, a każde odpowiedniego swojéj przyrodzie: cielesnego, życie ciała; duchownego, życie ducha. Źródłem pierwszego jest ziemia, źródłem drugiego owa kraina, któréj myślami tylko dosięgamy, którą wiara niebem nazywa. Ziemia zasila cielesność płodami swojemi bezpośrednio, jak naprzykład zwierzętami, i pośrednio, jak na przykład kruszcami; szczyt świata duchowego czyli niebo zlewa ten posiłek dla duszy w myślach, uczuciach, równie bezpośrednie są te, które się rodzą w każdym człowieku, wszystkim zarówno są dostępne i pojętne, pośrednie zaś spływają na ludzkość przez pewne tylko wybrane z jéj łona indywidua, przez ludzi, którym przyznajemy wyższą, niż jest zwyczajna, moralną potęgę, a nie nabytą, powszechnie natchnieniem zwaną, jednem słowem przez geniusze. Zastosujmy teraz to wszystko do poezyi, a będziemy mieli wynikłość: że poezya objawiona czyli udzielona światu w dziełach geniuszów, jest to jak gdyby kopalnia kruszców. Jednéj i drugiéj przeznaczono zgromadzać do swojego łona stósowne materyały, przysposabiać je do użycia i nakoniec opatrywać niemi potrzeby swoich światów. Uszlachetniając wyrażeniem com dopiero powiedział do zwyczajnego pojęcia, twierdzę: że utwory poetów nie są indywidualném uświęceniem indywidualnych uczuć, ale wcieleniami boskich prawd, których mąż natchniony jest składem i częstokroć ślepém narzędziem; że są najgodniejszemi ludzkiego pomysłu pomnikami, olbrzymiemi runami naywyższéj mądrości, posuwającéj ludzkość nieznacznie, zwolna ale wciąż do celów jéj bytu, do najwyższego udoskonalenia, dotykalnemi ogniwami łańcucha oświaty, przedłużającego się z postępem czasu, skazówką drogi ubieżanéj po przeszłości i jéj kierunku w przyszłość; że poezya zatém konieczna jest w życiu ludzkości, a interes dla niéj, nie jest chwilowe współczucie indywidualnych wrażeń, ale widzeniem w zachwyceniu owego światła, które ku bóstwu prowadzi; że nakoniec krzywe jéj pojęcie, wypływa z tych samych przyczyn, które w religiach tworzą bałwochwalstwo: kiedyś bowiem ukaże odziana tak uroczą postacią, mniéj gruntowne umysły olśnąwszy od zewnętrznéj piękności, nie mają dosyć czasu czy chęci, wniknąć wewnątrz i z duszą się zapoznać, tylko z materyalnéj powłoki robią bożyszcze i stosowną wielbią je cześcią, a tak, co z przeznaczenia swojego ma bydź rozkoszą utrzymującą życie duszy, nie zostaje niczém więcéj, jak przedmiotem zmysłowych zabiegów.

---


## UWIADOMIENIE.

Muzeum Domowe wychodzić będzie w r. 1836. I zeszyt wyjdzie 1 Stycznia 1836 r. Prenumerować można: w Warszawie, W KANTORZE GŁOWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.

Na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych i po xięgarniach, rocznie zł. 24, półrocznie złp. 13.


---

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

http://rcin.org.pl

# ZAMEK VENDOME.



## WYCIECZKA DO STAROŻYTNYCH ZWALISK.

Nie wspominajcie mnie podróżnemu o tych żyznych i bogatych równinach: są bardzo przyjemne dla właścicieli, ale cóż może bydź nieznośniejszego dla człowieka, który chce oglądać piękności natury i dawne zabytki, jak ten trakt bity, na którym za cały widok znajduje wioski i pola? Zboże i zboże, słoma na pniu, słoma pożęta, pasterze w kapeluszach słomianych... Ale jaką to słoma!.. jacy pasterze! Dalibóg, możnaby znienawidzieć Cererę i Hezyoda, który ją wynalazł. Patrzmy jak dalece natura żyjąca zgadza się zawsze z naturą obumarłą, jak dalece ludzie stosują się do krajobrazu. Gdy gorale są zręczni, odważni, porywczy, jak ich potoki, kozy dzikie i powietrze ich gór; gdy ludzie mieszkający nad brzegiem morza są poważni, melancholiczni i namiętni jak morze; wieśniacy mieszkający na płaszczyźnie, są ociężali na ciele i umyśle, i w ich postaci widać te nudy, podobne do jednostajności ich widokręgu. Z tąd wynika, że trzeba mieć intratne folwarki na płaszczyźnie, aby ich dochód tracić w górach Alpejskich, albo nad brzegami Srodziemnego morza.

To mówiłem, wyjeżdzając z miasta Chartres, i jadąc acztą, z przyjemną żoną mego starego kuzyna, który dziewięćdziesiąt dziewięć setnych części kocza zapełniał swoim dużym brzuchem i śmiał się z moich romantycznych wyobrażeń, a przy tém

bardzo mię lubił. Jego syn, dwunastoletni student, drzymał w kącie powozu. Odwoziliśmy go do kolegium Vendome.

Po mojéj pięknéj przemowie, zadrzymaliśmy wszyscy. W tém trącono mię lekko w ramię; przebudziłem się i ujrzałem piękne oczy mojéj kuzynki, walczące o piękność z promieniami xiężyca. Rzekła do mnie: »Spojrzyj i zobacz czy ten widok nie jest więcéj wart od twego drzymania:» a gdym na nią nie przestał patrzeć, wskazała mi punkt na widokręgu. Usłuchałem jéj i postrzegłem, z daleka, ale bardzo wyraźnie, zwaliska na wysokiéj górze, odbijające się na przejrzystéj nocy posianéj gwiazdami. Wysiadłem z powozu, bo nie mogę siedząc nasycać się widokiem pięknéj natury. Szedłem z odkrytą głową, upojony świeżością powietrza, promieniami xiężyca i urokiem tych zwalisk, które co chwila stawały się widoczniejszemi i temi boskiemi myślami, które obudza wielki obraz natury, gdy jesteśmy z nią sam na sam. »Ach! mój Boże! cóż ci to jest? zawołał nagle znany głos mego otyłego kuzyna: czemużeś mi nie powiedział? byłbym ci dotrzymał towarzystwa. Czyli ci nie dobrze? —»Tak jest, od tej właśnie chwili: mogłem był odpowiedzieć. Ten kochany kuzyn zawsze się lęka, żebym się nie znudził. Od lat piętnastu, ilekroć wieczorem zapuszczę się z marzeniami mojemi w jaką samotną aleję, czém prędzéj przybiegali prawi o niczém, idąc przy mnie. Jego troskliwość jest dla mnie tak nieznośna. Nie mamy ani jednéj wspólnéj myśli i uczucia, i cała nasza rozmowa składa się z najobojętniejszych słów, jakie tylko znajdować się mogą w mowie ludzkiéj. Jesteśmy krewni, on mówi do mnie *ty*, i ja toż samo, i to cała nasza zażyłość.

Taki to jest dobry krewny, doskonały gospodarz, który nagle przerwał moje marzenia i zrzucił mię z obłoków na bruk bitego traktu. Jednakże nie bardzo mię odurzył mój upadek i czém prędzéj zapytałem się o zwaliska zamku. Zna niezgorzéj statystykę swego departamentu; odpowiedział za tém:

»Nasze starożytne miasto Vendôme, było z razu tym tylko warownym zamkiem. Zbudowali go Rzymianie i nazwali *Vendocinium*, w wielu dawnych aktach zowią go *Ventorum Domum*, zamek wiatrów, z kąd powstać mogło nazwisko francuzkie *Vendome*. Zamek ten stoi na stroméj górze, z kąd o szesnaście mil francuzkich widać w około i narażony jest na całą gwałtowność wiatrów.«

»Z téj wysokości panuje nad spokojnym biegiem Loary. Pozostały z niego same tylko szczątki. Niegdyś był otoczony wysokiemi murami, głęboką fossą i miał sześć wież. Po tym groźnym widoku, nastąpił miły obraz pięknych domów i ogrodów.«

Wyrecytowawszy jak z xiążki, mój kuzyn chciał żartować sobie z mego upodobania w zwaliskach i xiężycu, mniemałem przeto, że czém prędzéj potrzeba wsiąśdź do kocza; dla przerwania rozmowy udałem żem zasnął i postanowiłem odwiedzieć nazajutrz te szanowne zwaliska.

Nazajutrz więc, gdy mały studencik już odesłany został do kolegium, a mój kuzyn poszedł do swoich dzierżawców i notaryusza, ja pobiegłem ku zamkowi razem z moją kuzynką, która także szukała ucieczki w pamiątkach przeszłości, przed nudami domowego pożycia. Niewymownego doznajemy powabu, ucząc się albo zwiedzając okolice w towarzystwie kobiety, która jednozgodnie czuje z nami. Przy niéj algebra straciłaby swoją oschłość, a Greczyzna swój pedantyzm. Przybywszy na szczyt góry, stanęliśmy oniemiali i niewzruszeni z podziwienia, spoglądając na tę obszerną i wesołą okolicę, rozciągającą się przed oczyma naszemi, podobną do ziemi obiecanéj, a tuż przy nas na ogromny szkielet z głazu, z którego pozostały same tylko zaczernione kości, olbrzymie boki, co dzień rozsypujące się w gruzy. Ale klęski ręką czasu zrządzone, jeszcze posiadają powab i szlachetność. Kamienie padają tam gdzie upaśdź powinny, aby zwaliskom nadać malowniczy widok. Za każdą zawałą, odwieczny olbrzym zmienia swoją postawę. Wczoraj przechylał się nad przepaścią. Dziś wygląda jak stary mnich wznoszący ręce ku niebu; jutro, gdy się jeszcze bardziéj osunie, podobny będzie do przyklękłéj matki czuwającéj nad uśpionem dziecięciem. Rozwaliny ręką człowieka zdziałane nie stworzą takich piękności.

Jeszcze dumałem nad tém, gdy już moja kuzynka wdarła się jak koza, z kamienia na kamień, aż na szczyt zwalisk. W Paryżu, ledwie może wnijśdź na schody pierwszego piętra. Ale wszystko zależy od usposobienia umysłu. Z niemałym trudem wdarłem się za jéj śladami i usiedliśmy oboje na ostatnich blankach dawnych posiadaczy zamku Vendome, którzy już to czuwali z wysokości zamku jego nad dobrem swoich lenników, już to napastowali podróżnych i kupców. W tém lekki szmer zwrócił naszą uwagę i ujrzeliśmy o kilka krokow pośród zwalisk, młodego człowieka otoczonego staremi xiążkami i rękopismami. Nieznajomy przywitał nas bardzo grzecznie. Zaczęła się rozmowa, i po kilku słowach poznałem że to jest człowiek bardzo dowcipny a zarazem uczony. Rozmawialiśmy o zamku Vendome i powiedział nam całą jego historyą, łą-

cząc przyjemność opowiadania z dokładnością faktów.

Po Rzymianach, zamek Vendome należał do królów Orleanu, dopóki cesarstwo Galii zostawało w mocy potomków Karola W. Potém przeszedł w ręce Normanów, a za czasów Ludwika Świętego dostał się jako lenność pierwszym hrabiom Vendome pochodzącym z krwi Burbonów i w 1314 pozyskał tytuł xięztwa. Wytrzymał wiele oblężeń, a Henryk IV. zdobył go w 1589 na stronnikach ligi. Gdy nareście dwór francuzki zaćmił z czasem potęgę i świetność prowincyonalnych xiążąt i panów, wszystkie gmachy i instytucye feudalne razem upadły, a zwaliska zamku Vendome już od dwóch wieków są tylko zatartą pamiątką czasów rycerskich.

Dawny poeta francuzki, zapomniany, a nawet pogardzony przez wytwornych klassyków, Ronsard, urodził się w mieście Vendome. Teraz zaczynają go lepiéj oceniać. Nasz nieznajomy deklamował z pamięci niektóre jego poezye, gdy w tem zawołano na nas z dołu. »A cóż tam robicie u licha? Już od dwóch godzin czekam na was.» Był to mój kuzynek, któremu głód dokuczał. Podziękowaliśmy nieznajomemu za jego uprzejmość i pobiegliśmy do kuzynka, który przez cały obiad śmiał się z nas, z Ronsarda i zamku Vendome.

## PODRÓŻE WYGNAŃCA.

(Barona d'Hausses.)

### HOLANDYA. (Dokończenie.)

Holendrzy do wszystkiego stosują dobrze zrozumiane wyrachowanie: tak do rządu, jak do interessów handlowych i gospodarstwa domowego.

Holendrzy okazują czasami zbytek, ale ten zbytek zwracają głównie do upiększenia domów wiejskich. Są tam weselsi i bardziéj uprzejmi aniżeli w miastach. Podróżny częstokroć zobaczyć może liczne zgromadzenia osób, w altanach, ozdabiających brzegi dróg i kanałów; szukają one z upragnieniem rozrywek, jeśli o tém sądzić mamy z ciekawości, z którą zapatrują się na wszystko, co im podpada pod oczy.

W tych domach, drobiazgowo pilnują porządku wszystkich szczegółów. Tam geniusz fraszek założyć musiał panowanie swoje; wkradnie się wszędzie i wszędzie swoje piętno wyciśnie; wszystkie sprzęty są tam wygładzone, wytarte, umyte, wywoskowane. Wyszedłszy z tego domu, ledwie że nie z upragnieniem spoglądamy na nieporządek i błoto.

Holendrzy w niczem więc nie zmienili obyczajów swoich, mowy i sposobu myślenia. Nazwyczajeni nie tracić czasu na rozumowaniu o faktach, a tém mniéj na rozumowaniu przeciw faktom, poprzestają na dobrym bycie, którym się cieszą i nie chcą go zmieniać. I dla tego, skoro tylko jest mowa o zmianie ich położenia, tracą zwyczajną krew zimną i okazują niepospolitą moc duszy. Ale ich odwaga, jeszcze wynika z rozwagi; nie posuwa się za obręb możności, używa środków jakie są w jéj mocy, broni się i czeka napaści. Charakter Holendrów wykazał się przy obronie Antwerpii, w oporze domaganiom się Francyi i Anglii co do spraw Belgii, w zgodności uczuć, usiłowań i ofiar. Żaden naród nie okazał większego przywiązania do monarchy, jak Holendrzy w owéj epoce.

We wszystkich okolicznościach, Holendrzy dowiedli że umieją cierpieć odważnie. W ostatnich latach, Holandya pośród niezmiernych kosztów wojennych, nie przestała prowadzić daléj prac kosztownych, które zazwyczaj wykonywają się tylko w latach pomyślnych i przy kwitnącym handlu. Gdy z jéj warsztatów spuszczano statki wojenne, zbudowane w przeciągu kilku tygodni, budowano zarazem niezmierne groble, dla ochrony Amsterdamu i zabezpieczenia jego portu. Inne podobnego rodzaju prace, wykonywano na wszystkich punktach kraju i żadna gałęź służby publicznéj nie cierpiała bynajmniéj.

Gorliwość o dobro powszechne, nie jest i nie była nigdy wolna od uczucia osobistéj miłości własnéj. Objawia się ona w obrazach wystawujących burmistrzów i ławników, a nawet dowódzców halabardzistów każdego miasta. Dopóki Wandyk, Rubens i Rembrand, malowali te mieszczańskie twarze, dawano oklask manii tworzącéj arcy-dzieła. Nowożytne obrazy takie, pobudzają do śmiechu, bo wyrodzona sztuka malarska, wydaje płody, ledwie mogące służyć za szyldy szynkownych domów.

Rozpatrzywszy się w Holandyi, nie można żądać od jéj mieszkańców, téj łatwości, téj uprzejmości w stosunkach towarzyskich, tego delikatnego upodobania w sztukach pięknych, tego wytworu cywilizacyi, którą znajdujemy w innych krajach. Holendrzy wolą przeciwny sposób życia. Szczęśliwi są przez to, a nie przekraczając nigdy możności swojéj, zawsze cieszą się dobrym bytem. W dosłownem znaczeniu, nie znają bynajmniéj tego wyrażenia, tak często powtarzanego w innych krajach, »Pan N. stracił majątek, przejadł wszystko.« Jeźli w Holandyi nie zdarzają się przykłady nadzwyczajnie prędkiego zbogacenia, jeźli nie objawiają się zbytki, jednakże są ludzie bogaci, a gdy się zdarzy okoliczność, zwłaszcza w razie klęski krajo-

http://rcin.org.pl

wéj, każdy wówczas okazuje swoje bogactwo. Wtedy to spór wiodą o wspaniałomyślność, powiedziałbym o rozrzutność, gdyby to słowo w zaszczytném znaczeniu wziąźć można.

Jeźli kto zechce oceniać Holandyą podług wyobrażeń o Francyi i Anglii, jeżeli przeniesiemy Holendra z jego kantoru do salonu paryzkiego albo do giełdy londyńskiéj i tam porównywać zechcemy jego obejście się i sposób prowadzenia interessów, niezmiernie śmiesznym wyda nam się i kraj ten i jego mieszkańcy. Oboje wcale dbać o to nie będą. Stworzeni jedno dla drugiego, nazwyczajeni do siebie, są tém czém bydź powinni.

Ale, rzecze kto, czyliżby Holandya zginęła, czyliż jéj groble przestały ją ochraniać, gdyby w dyliżansach, przechadzkach, a nawet i salonach, Holendrzy zaniechali otaczać się atmosferą dymu tytuniowego, gdyby więcéj okazywali grzeczności i uprzejmości? Zdaje się że nie, a możeby tak się stało. Któż wie, czyli ten wstręt od zwyczajów innych ludów, nie ochrania Holandyą od klęsk, które tamte niszczą? Któż wie, czyli przerywając łańcuch, nie unika elektrycznego wzruszenia, które bez ustanku wytrąca te kraje z położenia, w jakim się znajdują? Odosobniona od towarzyskiego świata, zachowująca tylko związki ze światem handlowym, Holandya bardzo roztropnie postępuje, trzymając się raz przyjętego systematu.

## SQUATINA.



Ryba któréj dziwaczną postać wyobraża ta rycina, należy pod wielu względami do pokrewieństwa Ludojadów, *Squali*; ale ponieważ pod wielu względami różni się od nich, oznaczono ją pod szczególnym rodzajem zwanym u naturalistów *Squatina.*

Piersiowe pletwy téj ryby są nadzwyczaj wielkie; ich zwierzchnia strona jest biała z brunatną obwódką, samo zaś ciało jest szaro błękitne. Wielkość, kształt i kolor tych pletew, odbijają się od massy ciała i nadają im niejakie podobieństwo do skrzydeł. Głowę ma wielką, płaską, wraz z pyskiem kolisto krążkowatą i znacznie szerszą niż ciało. Otwór paszczy umieszczony jest na końcu nie zaś pod spodem pyska, jak u innych rodzajów ryb żarłocznych; a nozdrza są pokryte skórą, które rozdzielone tworzą w przedłużeniu dwa wąsy. Squatina nie będąc tak sroga i żarłoczna jak ludojad, chociaż jej szczęki są opatrzone zębami, poprzestaje na chwytaniu małych rybek. Aby je schwytać, chowa się w mule i nim przykrywa się ze wszystkiém, a potém rusza wąsami. Rybki widząc to, biorą je za małe robaczki i wpadają w paszczę zaczajonego nieprzyjaciela. Może też, podobnie jak raja, ogonem uzbrojonym kolcami uderza rybę, która koło niéj przepływa. O podejściach squatiny tak dalece przekonali się naturaliści, że Arystoteles mniema, iż ona jest zdolną dopuszczać się wszelkiego rodzaju postępów i przypisuje jéj władzę przybierania podług woli, barwy téj ryby na którą czyha.

Podobnież jak inne żarłoczne ryby, squatiny nie są ani żyworodne ani jajorodne. Jaja rozwijają się i wykłuwają wewnątrz matki, skutkiem jéj ciepła i w chwili gdy się ryba ma urodzić, mają tę nadzwyczajną postać, z powodu któréj naturaliści poczytali je za organizowane zwierzęta. Squatina daje życie najwięcéj dwunastu młodym na raz; jaja dochodzą znacznéj wielkości.

Wspomnieliśmy że ryba ta nie jest żarłoczna jak ludojad, różni się także od niego

http://rcin.org.pl

tem iż żyje gromadnie, a na najmniejsze niebezpieczeństwo, małe szukają schronienia w paszczy starych. Długość jéj dochodzi do stóp dwunastu. Mięso jest niesmaczne i twarde; ale skóra chociaż nie tak poszukiwana jak skóra psa morskiego, służy do tegoż samego użytku, to jest do gładzenia ciał twardych i do wybijania kufrów i futerałów.

Z powodu nadzwyczajnéj wielkości pletew squatiny i podobieństwa ich do skrzydeł, pospólstwo nazwało ją aniołem morskim; imie to zachowali nawet niektórzy naturaliści.

## LEON X.



Od dawnego czasu przeczuwano, że nowa Europa wylęga się z zamętu średnich wieków. Okazała się na jawie w szesnastym wieku, pośród zamieszań, wstrząśnień i wypadków, które nacechowały tę epokę nadzwyczajną wielkością. Cztery zdarzenia dopełnione przy końcu wieku piętnastego, wynalazek druku, zdobycie Konstantynopola przez Turków, odkrycie Ameryki i drogi do Indyi Wschodnich przez przylądek Dobréj Nadziei, przygotowały to odrodzenie. Grecy wypędzeni z Konstantynopola, zapalili we Włoszech pochodnię sztuk, nauk i umiejętności, a wynalazek druku rozszerzył je we wszystkich krajach, we wszystkich stanach. Wówczas, naukowe skarby Grecyi i Rzymu, objawiły się Włochom i umysł ludzki podnieciły do stworzenia nowéj literatury. Niepohamowana żądza awanturniczych przygód i dalekich podróży, popchnęła europejczyków za śladami Kolumba i Vasco de Gama, uzupełnili ich dzieło i zmienili wszystkie handlowe stosunki. I nie dosyć na tém, że te zdarzenia nastąpiły tak niespodzianie, że stanowczy wpływ miały na przeznaczenie rodu ludzkiego: mężowie także, którzy wystąpili wówczas na scenę świata, zostawili po sobie nie zatarty ślad w historyi, przez swoje czyny, sławę i wielkie zmiany, które zaszły pod ich panowaniem.

W Konstantynopolu, cesarz Selim przydał Syryą i Egipt do podbojów swoich poprzedników, a po nim syn jego, sławny Soliman, podstąpił aż pod mury Wiednia, podbił Bagdad, posiadł koronę Persyi i przestrachem napełnił Europę i Azyą. W Hiszpanii, Niemczech i Włoszech, Karol V. dążył do przywrócenia powszechnéj monarchii Karola W. We Francyi, wspaniałomyślny i waleczny Franciszek I. ubiegał się z Karolem V. o panowanie nad Europą, kształcić zaczął obyczaje swego królestwa i ożywił je świętym ogniem sztuk pięknych. W Anglii nareście, dziki Henryk VIII. nie pospolite zajął miejsce w rzędzie monarchów. O to jest w kilku ogółowych rysach ten wiek szesnasty, któremu nadano imie wieku Leona X.

Jan de Medicis, który po Juliuszu II. został papieżem, był prawnukiem wielkiego Kozmy Medyceusza, prostego negocyanta i założyciela chwały swego domu. Zrodzony we Florencyi 11go Grudnia 1475 i powierzony staraniu i pieczy najoświeceńszych ludzi owego czasu, obdarzony pięknemi przymiotami umysłu, młody Medicis otrzymał wychowanie odpowiednie bogactwu i świetności swego rodu. Miał dopiero lat trzynaście, gdy papież Innocenty VIII. mianował go kardynałem. Pobyt w Rzymie, gdzie znalazł wielbicieli, przyjaciół i nowe nauki, nieszczęścia jego domu, podróże do Niemiec, Flandryi i Francyi; zaufanie Juliusza II, upodobanie w umiejętnościach, naukach i sztukach pięknych, których nigdy nie porzucał, nawet pośród najważniejszych zatrudnień, wszystko to usposobiło Jana de Medicis do wysokich przeznaczeń i zwróciło nań uwagę świętego kollegium kardynałów, a 11 Marca 1513 w kilka dni po śmierci Juliusza II. został obrany papieżem pod imieniem Leona X.

Wspaniała koronacya, dowody łaskawości, przemowy których wdzięk i wymowa zachwyciły Rzymian, łaski zlane na uczonych, wybranie na sekretarzów stanu, kardynałów Bembo i Sadolet, były to szczęśliwe przepowiednie jego panowania; poświęcił je sprawom państwa, religii i sztukom pięknym. Przebiegniemy je, uważając koleją w Leonie X. doczesnego monarchę, papieża, i wspaniałomyślnego opiekuna nauk.

Dziedzic politycznych widoków Juliusza

IIgó, Leon X, chciał także uwolnić Włochy od przewagi Niemców, Francuzów i Hiszpanów, a przez to ugruntować potęgę papieżów i wielkość swojego domu. Jego poprzednik osobiście dowodził wojskami. Leon X. nie posiadając tak wojennego ducha, wolał umawiać się niżeli walczyć, a stawiając zręczność przeciw sile, zręcznie prowadzonemi negocyacyami usunął z Włoch obce wojska, nabył xięztwo Modeny, przywrócił we Florencyi władzę Medyceuszów; poskromił rozboje. Najwięcéj zaszczyca Leona X. ciągła jego troskliwość o Europę, zagrożoną wówczas wzrastającą potęgą Turków. Pragnął skłonić wszystkich xiążąt do związku przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi. Ale przystali tylko na związek odporny i nadali Leonowi X. czczy tytuł naczelnika przymierza. Za jego czasów, zaczęła się reforma Lutra; wzmiankujemy tylko o tym wypadku, który przechodzi zakres i przedmiot pisma naszego, a przechodzimy do zasług, które Leon X położył dla sztuk i nauk, i blaskiem ich panowanie swoje ozdobił.

Leon X. łączył najdelikatniejszy smak i największą wspaniałość. Zachęcał wielkie geniusze dobrodziejstwami i uprzejmém przyjęciem. I dla tego znakomitych ludzi zgromadził w koło siebie i z nich utworzył świetny orszak, pośród którego miał dojść do nieśmiertelności. Opiekował się wszystkiemi naukami, zachęcał je, uposażał. Rękopisma autorów greckich i łacińskich za wielką cenę zakupiono, wydrukowano i rozesłano po całéj Europie, dzięki jego światłym staraniom i niewyczerpanéj hojności. W téj to epoce pisał Guichardini i Machiawel; wówczas Michał Anioł Buonarotti wzniósł na kościele Sgo Piotra tę zadziwiającą kopułę, któréj śmiałość i smak zachwyca oko widza; wówczas, ten wiekopomny artysta, razem architekt, rzeźbiarz i malarz, budował wspaniałe świątynie, ozdabiał kosztowne pałace, tworzył czarodziejskie ogrody, w marmur wlewał życie; wówczas to nareście, Rafael malował galerye Watykanu, a szkołę rzymską posuwał do najwyższego stopnia doskonałości, ucząc poprawności rysunku, bogactwa i układu, trafności w wyrażeniu i wzniosłości wyobrażeń.

Musieliśmy ograniczyć się na skreśleniu ogólnego zarysu tylu ważnych przedsięwzięć powziętych i ukończonych w krótkim przeciągu rządów Leona X. Gdyż tylko przez lat dziewięć zasiadał na stolicy apostalskiéj i umarł 1 Grudnia 1521. Potomność umieszczając tego papieża na równi z Peryklesem, Augustem i Ludwikiem XIV. policzyła wiek jego do rzędu wieków najsławniejszych naukami.

---

## POEZYA.

(*Nowe Dzi ło.*)

Pan K. W. Wojcicki wkrótce ogłosi drukiem zbiór pieśni śpiewanych przez nasz lud wiejski. Mając sobie udzielony wyjątek z przedmowy do tego dzieła i parę pieśni, udzielamy je czytelnikom, oczekując wydania całego zbioru.

### §. I.

Rossya, Serby, Ruś, Czechy i Sławacy, oddawna posiadają zbiory pieśni ludu, oceniają ich ważność i korzystają z tych bogatych skarbów staréj sławiańszczyzny. U nas pierwszy zbiór wydał Wacław z Oleska w 1833 (a) chociaż nie pierwszy o nich pomyślał. Przed 20 laty, Zoryan Dołęga Chodakowski, z torbą na plecach obchodził stare siedziby ojców naszych, zbierał pieśni i podania ludu, ale śmierć przedwczesna wydarła go naukom, a bogate materyały w obcych zaginęły ręku.

Przed trzynastu laty, zacząłem zbierać pieśni ludu; rzecz to nie tak łatwa jak się komu wydawać może: z kosturem w ręku, trzeba było każdą wieś odwiedzić, zniżyć się pod dymiącą rolnika strzechę, badać i wymuszać niemal prożbami i datkiem pieśń każdą, bo lud polski i ruski, ma wstręt wyraźny udzielać takowych *cudzemu* jako zowią człowiekowi. Lat cztery zgromadzałem zbiór niniejszy, i od dawna już był gotowy, bo jeszcze w 1828 roku. Piszę dla tego, ażebym nie był pomówiony, że z zbioru Wacława z Oleska nieco korzystałem. W istocie znalazłem kilkanaście pieśni, które i w wzmiankowanym znajdują się zbiorze, lecz tych nie wymazałem, bo są w wielu i znaczne odmiany i oznaczone gniazda, gdzie jeszcze znaleźć je można.

Winienem zwrócić uwagę na błędne wielu, a nawet uczonych mniemanie, jakoby lud narzecza polskiego, oprócz krakowiaków czyli piosnek właściwych Biało-Chrobatom, z resztą był w inne pieśni ubogi. Usłuchali téj nieprawdy i pobratymczych Sławian pisarze. Fr. Czelakowski chcąc dać do poznania Czechom *coś* z narzecza polskiego, po przełożeniu jednéj z sielanek Szymanowicza, podaje jakby za pieśni ludu krakowiaki Brodzińskiego i innych.

Zbiór niniejszy, najlepiéj potrafi zbić fałsz tak gruby, za długo rozgłaszany: a czas już przecie wrócić do rozwagi i prawdy.

### §. II.

Nie dla powiększenia bynajmniéj własnego zbioru, przytaczam w ustępach du-

http://rcin.org.pl

my Ruskie, Czeskie, Słowackie i Serbskie, też same które w polskim narzeczu znalazłem; ale dla pokazania jednorodnego ducha, co ożywia całą sławiańszczyznę, najszczególniéj pieśni ludu.

Nie raz mi jedna i taż sama duma brzmiała na piaskach Mazowsza, pszennéj Sandomierskiéj ziemi, na wzgórzach Biało-Chrobatów, nad brzegami Wisły i Narwy, starego Bugu, Dniestru i Prutu; taż sama towarzyszyła w Karpatach i Tatrach śniegiem ubielonych, taż sama przylegała do wiosła tratwy, gdym bystry Wah, Gran i Dunaj przepływał, odbiła się jeszcze w ustach flisa Nogatu i o brzegi bursztynowe morza Baltyckiego. Był to Stróż Anioł, co w odmiennym jeno stroju, przemawiał do mnie jednakiemi słowy, i śpiewał jedną sławiańską narodową nutą.

Zdaje się, jakby pieśni rozlane w powietrzu, do oddechu Sławiańskiego należały, bo nie masz pokolenia z tak mnogiego szczepu, by nie lubiła pieśni, któremi całe osładza życie. Z tąd też Słowackie przysłowie:

»Gdi je Slavenka, to je pesna.« (a)

Nie na próżno: bo czy z sierpem w ręku, czy na łące z trzodą, czy przy połysku łuczywa wśród zamieci śnieżnych, pieśń zawsze w ustach, choć praca i trudy ciężkie, gorzki pot wyciskają.

## §. III.

»*Co wieś to insza pieśń*« mówi przysłowie: i w istocie, ktokolwiek sam, nie za stolikiem, lecz pomiędzy ludem zbierał pieśni, z własnego doświadczenia przyznać musi, że liczba ich jest mnoga, i w każdéj wsi niemal znajdzie nowe, lub o wiele od już zasłyszanych różne. I ztąd ta rozmaitość, brak związku szczególniéj w przydłuższych dumach. Zdarzyło się mnie samemu, że mając już pieśń całą, cząstki jéj rozdrobnione i przekrzywione, o mil 30 i 60 od własnego zasłyszałem gniazda. Ztąd i wielka dla zbieracza trudność; przeto ktokolwiek podejmuje w tym rodzaju pracę, winien bydź dokładnie oznajomionym, nie tylko z pieśniami i obyczajami ludu, ale i z samym językiem. Znawca jedynie, co długo żył z ludem, i bacznie go postrzegał, może najlepszym zbiorem pieśni zbogacić literaturę krajową. Nieraz, wyrażenie szczególne, wyrazy pojedyncze, wielkie rzucają światło i podnoszą wartość samejże pieśni: tém więcéj na to zwracać uwagę powinniśmy, kiedy tak mało zbiorów pieśni policzamy aż dotąd.

(a) Szafarzyk w przemowie do drugiego tomu, pieśni ludu Sławackiego w Węgrzech.

## §. IV.

Zbiór niniejszy pieśni, jak przed pięciu laty wydane »Przysłowia« w 3ch tomach, są to moje materyały, któremi przysposabiał do dzieła: »Badania starożytności Polskich i Ruskich« nad któremi obecnie pracuję (*). Zajmę się późniéj ogłoszeniem i innych pomocniczych mi zrzódeł do starożytności.

## WESELE.

*(z Mazowsza)*

Za historyczną może bydź uważana duma poniższa. Opiewa ona wypadek zdarzony pomiędzy naszą szlachtą, lubo niewiadomo z któréj epoki. Wspomniony tu Starosta Mielżyński, w innych okolicach występuje pod imieniem Melsztyńskiego, lub Męźyńskiego.

I.

Służył Jasio u pana,
Za starszego dworzana.
Wysłużył Kasieńkę,
W siódmym roku dzieweńkę.

Król na wojnę rozkazuje,
Jasio w drogę się gotuje,
»Matuleńku bądź mi zdrowa!
»Chowajże mi Kasię doma.

»Do roczeńku do siódmego,
»Do przyjazdu, do mojego.«
Juże siódmy roczek schodzi,
Jasio z wojny nie przychodzi.

2.

W karty grają,
Psy szczekają.

*Kasia.*

Wyjdźże służko, cóż tam mają?—
Wyjrzyj służko za nowy dwór,
Czy nie jedzie Jasio mój?

*Służka.*

Jedzie Jasio uznojony,
A pod nim koniczek wrony.
Przyjechał na przeciw doma,
»Wyjdźże Kasiu! serce woła.

*Służka.*

Twoja Kasia nic dobrego,
Teraz idzie za inszego.

(*) Obszerniejszą wiadomość o tém dziele, znajdzie czytelnik w 3cim tomie: *Historyi prawodawstw Sławiańskich* W. A. Maciejowskiego.

http://rcin.org.pl

*Jaś.*

I za kogo? za takiego?

*Służka.*

Za starostę Mielżyńskiego.

*Jaś.*

Podaj mi służko skrzypeczki,
Pójdę grać na wesele,
Dla nadobnéj Kasienieczki
I szklenicą się podzielę.
Stanę sobie w rogu stoła,
Niech zobaczy Kasia moja.»
Skoro Kasia zobaczyła,
Przez trzy stoły przeskoczyła.
»Ty Jasieńku! ty mój pierwszy
»Ty starosto, szukaj inszéj.

*(Starosta do swoich dworzan.)*

Porąbajcie! posiekajcie.
A Kasi mojéj nie dajcie!
Kto odbiera mi kochanie,
Niechaj straszne ma skonanie!
Wszyscy się tam pasowali,
I szablami wywijali.
I Jasio dobył pałasza,
Nikogo się nieustrasza.
Kasia w środku stanęła,
Za rękę Jasia wzięła,
Wszystkich wraz rozbroniła,
I do starosty mówiła.
»Starosto! kłaniam tobie,
»Bo ja biorę Jasia sobie.
»Jedź! choć z sercem rozgniewanem
»Mnie zostaw z Jasiem kochaném:
I starosta rozgniewany,
Odjechał Kasi kochanéj.

---

## GRÓB.

*(pieśń z Podlasia)*

Zaczęcie téj dumy, takież same jak w poprzedniéj, zasługuje na uwagę z tego względu, że jest wiernym przykładem wyobraźni ludu naszego.

Służył Jasio u pana,
Za wielkiego dworzana,
Wysłużył Kasienkę,
W siódmym roku dzieweńkę.

Na wojaczkę pojechał,
W siódmym roku powracał:
W niedzielę po miedzie, (a)
Jasio do domu jedzie.

Wyjechał na drogę,
Złamał koniczek nogę,

»Ach! dla Boga! co się dzieje,
»Mój koniczek bardzo mgleje:
»Boleść serce rozdziera,
»Czy Kasienka umiera.«

Zajechał przed pokoje,
»Wyjdź do mnie serce moje.«

Wyszło, wyszło, siostrów sześć,
Prosiły go z konia zsieść:
»Już Kasieńka nie żyje,
»Mokra ziemia ją kryje.
»Nad jéj grobem kamienie.«

*Jaś.*

Żebym wiedział gdzie jéj grób,
Pojechałbym widzi Bóg!

Trzy razy kościół objechał,
Zaczem na jéj grób najechał.
Klęknął konik na grobie.

*Jaś.*

Kasiu! moja Kasieńko!
Przemów do mnie słóweńko.

*Głos z grobu.*

Nie jeden ja Jasiu kwiat,
Jest ci tego pełny świat,
Jest ci tego nie tysiąc.

*Jaś.*

Tobiem jednéj chciał przysiądz!
Kasiu moja! Kasieńko!
Przemów do mnie słóweńko!

*Głos z grobu.*

Ledwiem Boga uprosiła,
Com te słówka przemówiła!

*Jaś.*

Zadzwońcie jéj w wielki dzwon,
Mojéj Kasi wieczny dom!
Zagrajcie jej organy,
Mojéj Kasi kochanéj!

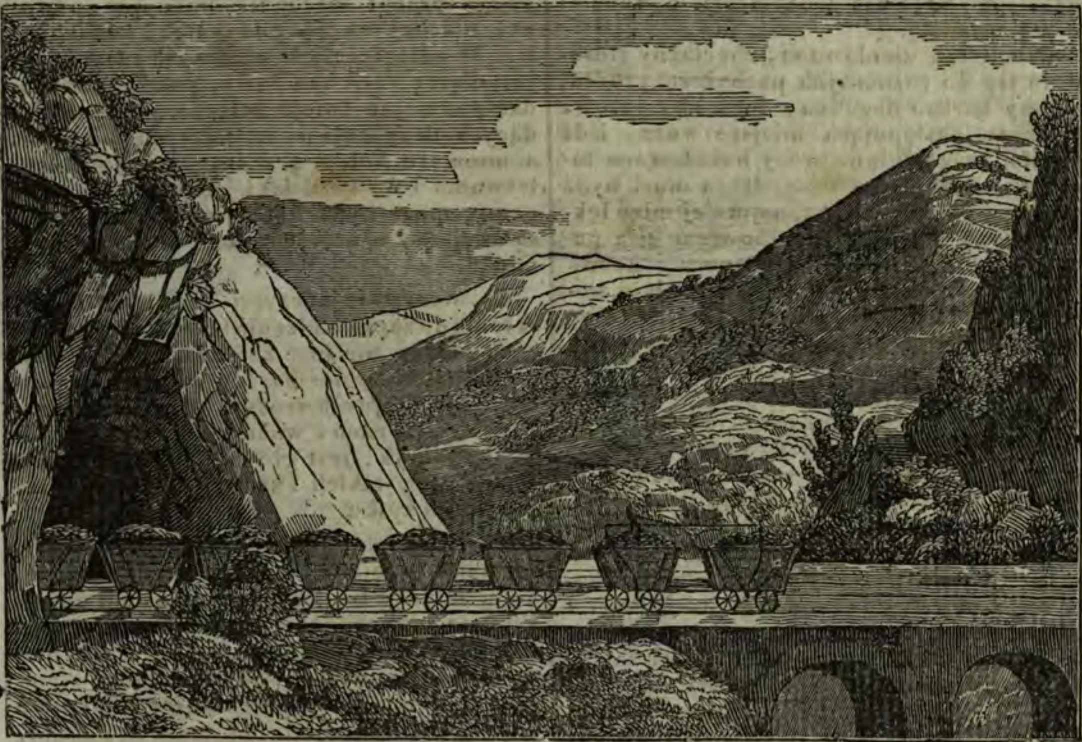
Wyjechał na drogę,
Złamał koniczek nogę,
»Niech koniczek marnie ginie,
»Kiedy Kasieńka nie żyje.«

---

(a) Miód.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

# KOLEJE ŻELAZNE I WOZY PAROWE.



## ŻELAZNA KOLĖJ DO SAINT-ETIENNE.

Umieściliśmy już krótką wiadomość o życiu człowieka, który wydoskonalił parowe machiny, (*) z porządku przystępujemy do jednego z najużyteczniejszych zastosowań tychże machin, jakiem jest zaprowadzenie kolei żelaznych i wozów parowych, które po nich się toczą.

Nie zbyt odległe są te czasy: mówi autor francuzki tego artykułu: a dla nas zaś jeszcze na wszystkich drogach oprócz szossy ponawiające się co chwila, kiedy ciężki powóz, mimo częstego przeprzęgu koni, potrzebował dwóch dni dla ujechania dwudziestu mil drogi. Jeźli porównamy te niewygodne machiny z wytwornemi powozami co je zastąpiły, uznamy, że uczyniono wielki postęp i ulepszenie. Podróżni którzy zwiedzili Anglią, albo też przebiegli drogę z Lugdunu do Saint-Etienne i widzieli jakie mnóstwo wozów z towarami z przerażającą szybkością ciągnie jedna machina parowa, ci wiedzą, ile to przynieść może korzyści dla handlu, a nawet i dla rolnictwa: płody bowiem rolnicze rzadko wywożone bywają dalėj jak o mil dziesięć; a na kolejach żelaznych mogą szybko i małym kosztem przebiegać bardzo wielką odległość.

(*) James Watt.

Wiedzą wszyscy, ile kamieni, dołów, wybojów zdarza się na zwyczajnych drogach, o ile przez to słabnie pęd powozu. Doświadczenie przekonało, że koń który nawet na naszym bitym trakcie z ciężkością ciągnął przez kilka mil dosyć mierny ładunek, mógłby znaczne bardzo ciężary ciągnąć na drodze zupełnie poziomėj i tak gładkiėj, aby się w niėj żadne nie znajdowały zawady i wyboje. Doświadczenia te, podały myśl zbudowania dróg z twardych ociosanych głazów, tworzących zupełnie gładką powierzchnią. Wkrótce zastąpiono ten kosztowny sposób przez dębowe bale gruntownie przymocowane; następnie położono na nich sztaby żelazne, a nareście w roku 1768, koleje z lanego żelaza zastąpiły miejsce drewnianych. Te wszystkie udoskonalenia, czyniono w Anglii, gdzie przemysł i handel rozwinął się i wzrosł prędzėj niżeli u innych narodów. Początkowo, konie ciągnęły wóz, którego koła wpadały w wyżłobioną kolej żelazną. Późniėj, za naszych już czasów, machina parowa zastąpiła siłę zwierzęcia i ten sposób przewozu doszedł do wysokiego stopnia doskonałości.

Dwie zatém równoległe linie sztab żelaznych, tworzą drogę czyli tak zwaną ko-

http://rcin.org.pl

lej żelazną. Z początku była wyżłobiona, teraz uznano że jest daleko lepiéj aby była wystająca, koła zaś z wklęsłemi dzwonami w nią wpadają.

Droga tak zbudowana, chociażby stosowała się do rozmaitych pochyłości gruntu, byłaby bardzo dogodna, lecz aby parowa machina, zastępująca miejsce wozu, iśdź po niéj mogła i inne wozy naładowane towarem, ciągnęła za sobą, droga musi bydź zupełnie pozioma, a przynajmniéj mieć lekką bardzo pochyłość; albowiem siła pary, nie zdołałaby zwalczyć oporu. Łatwo zatém wyobrazimy sobie, jak wielkie koszta pociąga za sobą zaprowadzenie dróg takich, w kraju nie z samych tylko płaszczyzn składającym się i jak wielkich prac potrzeba do jéj zniwellowania. Tu trzeba rozkopać górę, tam przebydź dolinę za pomocą olbrzymich arkad, przywodzących na pamięć budowle rzymskie; nieco daléj przebyć bagniska, a oprócz tego jeszcze budować mosty, które służą do prowadzenia dróg przecinających kolej żelazną, mosty tak wzniosłe aby pod niemi i machina i wozy przez nią ciągnione mogły przejechać. I zdarza się bardzo często, że niepodobna jest między dwoma końcami takiéj drogi zaprowadzić poziomą linią. W tedy rozdzielają drogę na kilka części i przeciągają wozy z części niższéj do wyższéj, po płaszczyznie pochyłej, za pomocą machiny parowej, umyślnie w tém miejscu zbudowanéj. Najstosowniéj zatém zakładać można koleje żelazne w kraju równym, wzdłuż rzek, gdzie ich budowa nie pociągnie za sobą zbytecznych kosztów. — Po zniwellowaniu ziemi i ustanowieniu linii, przez którą iśdź ma kolej żelazna, potrzeba położyć ją na podmurowaniu kamiennem, zabezpieczyć ją od usunięcia się i skrzywienia, oraz od przedłużania się i skracania z powodu zmiany temperatury. Dwie po sobie idące sztaby, nie powinny stykać się tylko pod czas wielkich upałów letnich. W innéj porze roku, jest między niemi mała przerwa, będąca skutkiem skrócenia się każdéj z nich przez oziębienie powietrza. Summa tych wszystkich odmian stałaby się dosyć znaczna na linii ciągnącej się przez mil kilkanaście i zrządziłaby skrzywienie kolei, czego unikać trzeba jak najtroskliwiéj. Budowa tych dróg, wymaga jak najściślejszéj dokładności w rozmiarze. Przeznaczone są do kierowania pędu bardzo znacznych ciężarów, a których uderzenie zniszczyłoby to wszystko co się ich sile sprzeciwia. Wyrachowano, że na kolei żelaznej, jeden koń może uciągnąć 1,500 kilogrammów (to jest 300 cetnarów). W teraźniejszym stanie tych kolei, szybkość zbiegu posunąć można aż do ostateczności, a przez to bynajmniéj nie powiększą się koszta utrzymania i nie zepsuje się droga. Inżynier już ukończył swoją pracę; mechanik budujący powozy, niechaj swoją podobnież udoskonali. W odległościach większych i tam gdzie jest ciągły ruch handlowy, potrzeba zakładać podwójne koleje żelazne; jedne dla jadących, drugie dla powracających powozów; a mniejsze koleje przeznaczone do zaopatrywania i wywozu jakiéj fabryki albo kopalni, mogą bydź pojedyncze i porobione są miejsca, w których wozy mogą się wyminąć.

Te wszystkie korzyści żelaznych kolei, skłonią do zaprowadzenia ich wszędzie, gdzie cena żelaza nie jest zbyt wielka, a koszt na ich budowę nie bardzo przewyższy budowę zwyczajnych szosse. Wzgląd na miejscowość, na ruch i ważność handlu, na potrzeby fabryk, jest główną pobudką budowania dróg takich i zasadą do obliczenia kosztów i zysku.

Podług tych prawideł, założone zostały rozmaite koleje żelazne, a między innemi kolej między Lugdunem a miastem Saint-Etienne, któréj część wyobraża załączona rycina. Czytelnicy mogą zobaczyć na niej rzęd wozów naładowanych węglem ziemnym. Miasto Saint-Etienne (*) zamknięte między górami, zdala od spławnéj rzeki, czuło potrzebę założenia kolei żelaznych, po którychby spuszczać mogło do Loary swoje węgle kamienne. Droga ta służyć mająca tylko do wywozu, zbudowana została na gruncie pochyłym, tak, iż wozy własnym ciężarem toczą się z coraz większą szybkością i że przewodnik musi hamować koła pierwszych wozów, dla wstrzymania pędu. Szereg wozów wychodzi właśnie z jednego tych podziemiów, które musiano wykopać pod górami, przejeżdża przez olbrzymie mosty zwane *viaducs*, po których w wielu miejscach ciągnie się droga nad doliną Gier: założono ją bowiem wzdłuż jéj spadzistych i malowniczych brzegów.

Tak więc nie ma żadnych kosztów przewozu, ale z powrotem do Saint Etienne, potrzeba zaprzęgać konie. Jednakże pochyłość umiarkowano tak dobrze, iż jeden koń

(*) Saint-Etienne, największe miasto w departamencie Loary i jedno z najbardziéj kwitnących we Francyi. Słynie pięknemi fabrykami broni, wyrobów bawełnianych i wstążek jedwabnych. Przemysł tego miasta zatrudnia 47,510 rąk; a wartość wyrobów na miejscu oceniona jest na 72,600,000 franków. Kolej żelazna, sławna w całéj Francyi, idzie od tego miasta z jednéj strony do Andrezieux nad Loarą, a z drugiéj do Lugdunu.

http://rcin.org.pl

może uciągnąć długi szereg wozów próżnych.

Takimże sposobem podróżni jadą z Saint Etienne do Givors. Na téj linii znajduje się piętnaście podziemnych galeryi, już to zupełnie zasklepionych, już to wykutych w skale.

Przeciwnie zaś, między Givors i Lugdunem, drogę prawie wszędzie wyniesiono nad powierzchnią ziemi, i w tym celu zbudowano groblę tak wzniosłą, że nie dosięgają do niéj zalewy, na które ta okolica jest narażona. Na téj linii machina parowa ciągnie wozy.

Droga od Lugdunu do Saint Etienne, w całéj przestrzeni ma podwójne koleje, prócz trzech galeryi podziemnych, gdzie ich zaprowadzenie, byłoby za wielkie koszta pociągnęło. Galerye te zrobione są tak szczupło, iż zaledwie wóz z ciężarem może przez nie przejechać. Liczne już były przykłady, o których donosiły pisma publiczne, że ludzie chcący przejśdź tamtędy dla skrócenia sobie drogi, zgnieceni zostali od wozu, który w gwałtownem pędzie nadjechał.

Wspomnimy teraz o drugiém olbrzymiém dziele, wykonaném w Anglii, jakiem jest kolej żelazna idąca od Liverpool do Manchester. Dwa te miasta, z których pierwsze jest portowém i do jego portu zawija największa część okrętów naładowanych bawełną, drugie zaś posiada 300 machin parowych i 30,000 warsztatów do wyrabiania materyi bawełnianych, zostają w ciągłych stosunkach i dla ich ułatwienia zbudowano *drogę żelazną*, najwspanialszą ze wszystkich, jakie się dotąd znajdują w Europie.

Przed kilkoma miesiącami, odbyłem podróż do Anglii, mówi autor tego artykułu w Muzeum francuzkiem. Zabrałem znajomość z pewnym anglikiem, który także umyślił przebiedz drogę żelazną, prowadzącą z Liverpoolu do Manchester. Razem odbyliśmy tę podróż. Obejrzeliśmy najprzód Liverpool, jego wspaniały port i osiem doks czyli kanałów łączących się z portem, gdzie tysiąc statków zmieścić się może, piękne dwa kościoły Ŝgo Pawła i Ŝgo Jerzego, giełdę, ratusz, teatr i wszystko co zasługuje na uwagę. Wsiedliśmy potém do powozu idącego po kolei żelaznéj, w miejscu zwaném Wapping.

»Przyprowadziłem cię na to miejsce, rzekł mój przewodnik, abyśmy przejechali wielki Tunnel, czyli galeryę podziemną, która przechodzi pod znaczną częścią miasta Liverpool.»

Na widok téj niezmiernéj jaskini oświeconéj gazem, uczułem podziw i uwielbienie, a zwłaszcza gdy mój przewodnik powiedział mi, jak wielkie trudności musiano zwalczyć, zanim to dzieło przywiedziono do skutku.

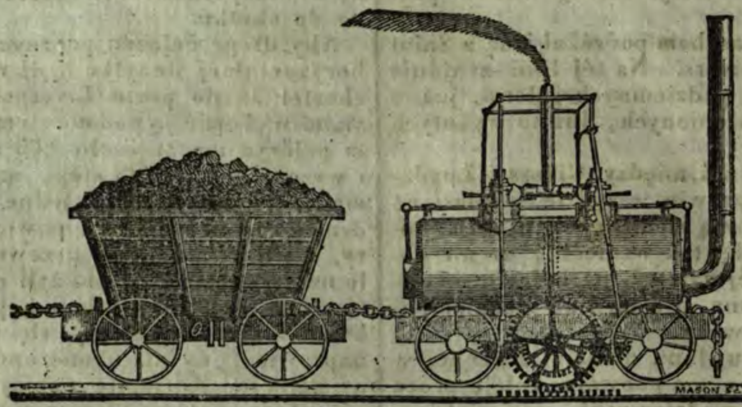
Aby drogę żelazną poprowadzić po linii horyzontalnéj ile tylko bydź może, z Manchester aż do portu Liverpolskiego, musiano wykopać ją pod miastem. Podziemna ta galerya ma przeszło 800 stóp długości i wysoka jest na 22 stóp, szeroka na 16; ma podwójne koleje, jedne dla idących, drugie dla wracających powozów. »Minierzy, rzekł do mnie mój przewodnik, w wielu miejscach tak się zbliżyli do fundamentów domów, pod któremi kopano, iż niektóre z nich zrysowały się i musiano je naprawiać, gdy już ukończono i zasklepiono galeryą. Rozmaite napisy na ścianach niezmiernego sklepienia znajdujące się, dały mi poznać, że przejeżdżamy pod głównemi ulicami miasta, i dla tego to, ciągle słyszałem nad głową moją huk przytłumiony. Przebiegłszy 800 stóp drogi, dojechaliśmy do pochyłéj płaszczyzny prowadzącéj na drogę idącą już pod otwartém niebem. Powozy wyciągane są do góry za pomocą lin, założonych do machin parowych, które umyślnie zbudowano w tym celu, na stacyi Edge-Hiel.

Z tamtąd powozy lecą z niezmiernem pędem po kolejach pochyło na dół idących, aż do rozkopania, które przeszło na pół mili długie i w bardzo znacznéj głębokości uskuteczniono. Z téj przepaści wjechaliśmy na groblę, w wielu miejscach na 30 stóp wysoką i przeciętą mostami, przez które przechodzą drogi poprzeczne. Znowu przejechaliśmy dwie pochyłości, jednę w Wiston, drugą w Sutton i przybyliśmy na piękną dolinę Sankej, przez którą idzie kolej żelazna po szossie, dochodzącéj do mostu o dziewięciu arkadach, z których każda ma 50 stóp otworu, a przeszło 70 wysokości. Ta olbrzymia budowa, przypomina największe dzieła Rzymian i służy do przepuszczenia kanału wykopanego w dolinie.

Nieco daléj jest druga grobla prowadząca do mostu na czterech arkadach. Pod jedną z tych arkad, przechodzi strumień, i tuż przy nich młyn obraca; pod drugą idzie droga prowadząca z Warington do Balton.

Przybyliśmy: rzekł do mnie mój towarzysz: na miejsce gdzie zginął pan Huskisson, sławny minister angielski. Otwarcie téj drogi, smutnym wypadkiem uwiecznione zostało. Gdy już była ukończona i pierwszy raz iśdź miały po niéj wozy ciągnione przez machinę parową, ministrowie angielscy i inne najznamienitsze osoby przyjechali zaszczycić ten obrzęd przytomnością swoją. Urządzono kilkanaście wspaniałych powozów. W jednym z nich znajdował się sir Robet Peel i pan Huskisson. Konwój prowadzony przez machinę parową, przyje-

http://rcin.org.pl



*Machina parowa ciągnaca wóz z węglami.*

chał w przeciągu 56 minut do Barside, o 17 mil ang: od Liverpoolu. Tam zatrzymano się dla nabrania wody do machiny. Pan Huskisson będąc słaby na nogę, wysiadł z powozu. Postrzegł machinę zbliżającą się po linii na której się znajdował; ale wiek jego i słabość, nie dozwoliły mu wsiąśdź spiesznie do powozu. Nadbiegła machina i obaliła go gdy stał jeszcze przy otwartych drzwiczkach. Zgruchotała mu nogi, i w kilka godzin umarł.

Po przebyciu wielkiego wąwozu, z umysłu wykopanego w Kenyon, dojechaliśmy do *Chat-Moos*, czyli bagna kociego, na którém z niezmiernym kosztem zbudować musiano groblę, na trzęsawiskach bezdennych. Nareście postrzegliśmy zdaleka wieże kościoła Sgo Michała w Manszester i wkrótce stanęliśmy w tém mieście, którego wzrost nadzwyczajny nie zasięga lat dwudziestu.

Gdy pomyślimy, ile przeszkod z natury samej wynikających, musiano zwalczyć przy budowie téj drogi, ile prywatnych interessów trzeba było załatwiać i wynadgradzać, ile drobnych namiętności sprzeciwiać się mogło wytknięciu linii prostéj i poziomej: naprzykład widzimi się, upodobanie i dziwactwo prywatnych właścicieli gruntów, przez które droga iśdź miała: ile zatém pieniędzy wyrzucono, aby te wszystkie przeciwieństwa usunąć, to przyznać musimy, że tylko w kraju tak obfitującym w kapitały, i tak handlowym jak Anglia, olbrzymią tę pracę można było przywieśdź do skutku.

## PLAUT.

Podług zwyczaju swego, piekarz Quintilianus wrócił wieczorem do domu, pijany trochę, a zwłaszcza bardzo rozgniewany. Skoro tylko wszedł, natychmiast łajać zaczął młodego człowieka, który obracał żarna mieląc zboże na mąkę.

— » O! próżniaku! rzekł do niego: na Cererę! cóżeś zrobił od czasu jakem wyszedł z domu? Jeszcze nie zmiełłeś worka żyta, od rana jak obracasz albo raczéj próżnujesz przy tych żarnach. (1).

Młodzieniec nic nie odpowiedział, obtarł czoło oblane potem i gorliwie pracował dalej. Jego milczenie i uległość, nie rozbroiły starca, lecz przeciwnie zapaliły go większym gniewem.

—»Cóżeś robił? powtórzył, tak jest, cóżeś robił Azyniuszu? od czasu jakem wyszedł z domu.

»Zapewne gawroniłeś się na przechodzących i słuchałeś ich rozmowy.. Zaprzyj się tego? Ileż to razy traciłeś czas na próżnowaniu! Ileż to razy zszedłem cię jakeś przyglądał się i szydził sobie z przechodzących! Wierz mi, pracuj, pracuj z całéj siły, albo cię ukarzę jak zwierza którego zastępujesz. Wygrzmocę cię kijem jak osła, bo nie zwiodą mię te wszystkie kłamstwa, które prawisz moim niewolnikom, że wkrótce wyjdziesz z nędzy i będziesz szanowany od wszystkich, że najznamienitsi mężowie, a nawet i konsulowie sami, przypuszczą cię do swojego towa-

(1) Rzecz dziwna, że starożytni biegli w sztukach pięknych, nie znali wcale prostych machin, ułatwiających zaopatrywanie piewszych potrzeb życia jak np: wiatraków, i z krwawym znojem w ręcznych żarnach mełli zboże.

http://rcin.org.pl



PLAUT OBRACAJĄCY ŻARNA.

rzystwa. Gdyby miano dać wiarę twojéj gadaninie, to chociaż jesteś synem niewolnika (nie możesz tego zataić, znałem bowiem twojego ojca), byłeś bogatym, ale zubożyły cię nieszczęśliwe spekulacye. Bogaty! szanowany! kto? ty! Obracaj twoje żarna, obracaj albo strzeż się kija.

»Ale, na boginię Cererę! cóż to ja widzę ukrytego między mojemi workami? Zwój papyrusu i stylus! Umiesz pisać nędzniku, a zamiast obracania żarn, piszesz! A cóż ty możesz pisać? Zaczekaj, rzucę w ogień te wszystkie bazgraniny. W ogień! w ogień! pisma Azyniusza.

—»Nie pal ich! nie pal! zawołał terminator piekarski, chwytając za swój manuskrypt. Nie pal go na Boga! piękną byś rzecz zrobił.

I wyrwał z rąk piekarza zwój, który tenże chciał spalić.

—»Płacę ci abyś mi był posłuszny, zaczął krzyczeć rozjuszony pijak: nie słuchasz mię; wychodź więc z mego sklepu i niechaj tu noga twoja nie postanie, jeźli nie chcesz abym ci kości połamał.

—»Niech tak będzie: odpowiedział młodzieniec. A otrząsnąwszy mąkę, która ubieliła krótką jego tunikę i włosy, wyszedł, nie wiedząc gdzie poniesie swe kroki.

Naradziwszy się przez chwilę ze sobą samym, poszedł ku domowi jednego z edylów.

Edyl nie chciał go przyjąć. Przecież: pomruknął młodzieniec: nie obejdę się bez jedzenia. O sen nie troszczę się bynajmniéj, gdyż zasnę gdzie mi się zdarzy. Jakże dziwaczne jest moje życie! Ileż to wypadków! Jakże mię prześladuje fortuna!

»I o cóż się mam troszczyć, mówił daléj z uśmiechem. Czyliż nie byłem szczęśliwym i bogatym? Dla czegóżby obecna moja nędza nie miała zmienić się w dostatki? Dla czegóż mam bluźnić przeciw Bogom, którzy dali mi trzy skarby, młodość, wesołość i poezyą? Dzięki raczéj powinienem im składać.

»Ale kogóż to cała młodzież otacza takiém uszanowaniem? Poznaję go po niebieskich oczach i rudych włosach. To Katon! Witam cię Katonie!

—»Witam cię niewolniku, odpowiedział Katon, chcąc iść dalej.

—»Nie jestem niewolnikiem, lecz synem wyzwoleńca i obywatelem Rzymu.

—»Witam cię więc synu wyzwoleńca

i obywatelu Rzymu: rzekł Katon nie zatrzymując się.

—»Głód cierpię Katonie, daj mi kawałek chleba.

—»Pracuj i zarabiaj na chleb.

—»Byłem w terminie u piekarza i wypędził mię.

—»Pójdź do drugiego.

—»Nudzi mię to rzemiosło.

—»Chwyć się innego.

—»Uprzedziłem twoją radę. Oto jest komedya, którą ukończyłem dziś rano.

—»Komedya! zawołał Katon mierząc od stóp do głowy nieznajomego, który zaledwie miał czém okryć nagość swoją.

—»Katon sądzi, jak mi się zdaje, z pozoru. A przecież smaczny jest owoc pomarańczy, chociaż pod gorzką powłoką, a pod smacznym owocem oliwy, kryje się twarda pestka.

Te słowa, tonem pogardliwym wyrzeczone, żywo dotknęły Katona.

—»Imie twoje? zapytał się rozwijając papirus.

—»Piekarz nazywał mię Azyniuszem (osłem.)

Głośny śmiech młodzieży idący za Katonem, przerwał terminatorowi, lecz mówił daléj niezmieszany.

—»A mój ojciec nazwał mię Markiem Akcyuszem Płautem (mającym płaskie nogi).

Można mniemać, że to drugie nazwisko, jeszcze głośniejszy śmiech wzbudziło.

Z twarzy Katona jednakże znikał pogardliwy uśmiech, który wyrażała od chwili przybycia nieznajomego.

Wierzę temu: Katon czytał pierwsze sceny arcy-dzieła Plauta, *Amfitryona*.

Po kilku chwilach czytania, zdjął z siebie płaszcz, okrył nim ramiona piekarczyka, powitał go i podał mu rękę.

—»Marku Akcyuszu Płaucie, rzekł, pójdź do mnie; przyjmę cię jak należy przyjąć wielkiego poetę. Obywatele! oddajcie ukłon autorowi *Bliźniąt* i *Aulularii*. Ukłońcie się temu który najstraszliwszą bronią śmieszności powstaje przeciw występkowi.

Na to słowo, młodzi ludzie otoczyli komicznego poetę i oświadczyli mu swoje uszanowanie.

Poszli potém za Plautem i Katonem, którzy trzymali się za ręce.

—»Geniusz i cnota idą razem, zawołał jeden z obecnych.

—»Tak jest, lecz geniusz przed godziną obracał żarna, aby zarobić na kawałek chleba.

—»A cnota, przydał Katon, może będzie żałować że ich nie obracała przez całe życie.

Plaut mógł się obejśdź wkrótce bez opieki Katona, bo wystawienie komedyi Amfitryon, stało się dla niego źródłem majątku i szczęścia.

Marek Akcyusz Plautus, łaciński komiczny poeta, urodził się w Sarcino, mieście Ombrii we Włoszech; mówią, że wdawszy się w interesa handlowe, postradał cały majątek i musiał dla kawałka chleba najmować się piekarzowi do obracania żarn. Pośród tak ciężkiéj pracy, wolne chwile poświęcał na pisanie komedyi, z których dwadzieścia doszło do nas; umarł na 184 lat przed narodzeniem Jezusa Chrystusa. Sztuki jego wielką miały wziętość u Rzymian, z powodu wesołości, układu i dowcipnych żartów. Cztery jego sztuki najbardziéj znane, są, Amfitryon, Aulularia, Bliźnięta i Mostellaria. Dwie pierwsze przerobił sławny Molier, pod tytułem Amfitryona i Skąpca, dwie drugie Regnard. Z innych sztuk jego korzystali rozmaici autorowie. Sławny krytyk niemiecki Szlegel, uważa, iż Plaut i Terencyusz są tylko naśladowcami komików greckich, którzy w ich ręku bardzo wiele stracili; Plautowi zarzuca rozwlekłość, a Terencyuszowi oschłość i brak komiczności.

---

## NAD-PRUCIE.

### WYJĄTEK Z OPISU POKUCIA.

Tak się nazywa okolica nad brzegiem rzeki Prut położona, a zacząwszy od miasteczka *Delatyna* w Karpatach, do *Czerniowiec* na Bukowinie, do 18stu mil rozciągnięta i samym tylko okolicom Krakowa ustępująca w piękności.

Całe Nad prucie, odciąwszy kawałek Bukowiny, nazywało się w starożytności *Pokucie*. Nasi Etymologowie, co nie znając ani ruskiego, ani pobratymczych pokoleń Sławiańskich języka, tłomaczyli nazwy miast i powiatów: wyprowadzali Pokucie od *pokuty*, dla tego że w okolicy górzystéj i samotnéj, łatwo grzesznikom było znaleźć miejsce do pustelniczego życia i żałowania za grzechy. Wszakże zupełnie bezzasadne jest to mniemanie i ani dzieje ani podania ludu, nic nam nie objaśniają w tym względzie. *Pokucie* jest wyraz ruski miejscowy: *kut* znaczy *kąt*, że zaś był to *kąt* czyli granica ostateczna od Bukowiny, słusznie go przeto nazwano *Pokut'ie*, czyli po naszemu *Pokącie, Pokucie*.

Dawniéj, lubo temu nie ma lat 30, kiedy nie znano swojego kraju, Pokucie uważano za cząstkę ziemi bardzo ciemną. Jeden z pisarzy naszych znakomitszych, między niepodobieństwami w świecie, że wpierw słoń-

http://rcin.org.pl

ce zagaśnie, xiężyc spadnie, a gwiazdy za świece na stołach zajaśnieją, wyraził przytém, iż »pierwéj oświata na Pokuciu błyśnie.»

Przecież kiedy to pisał, kraj ten więcéj niż teraz był szlachtą zasiedlony; a sądząc nie po młodém pokoleniu, ale po pozostałych żyjących pomnikach, przyznać musimy kłamstwo niegodne pióra szlachetnego autora.

Cała massa zamieszkująca Nad-prucie, składa się z Rusi, któréj narzecze (dyalekt) najwięcéj się do polskiego zbliża, Ormian, Żydów, a teraz i wielu Niemców. Panowie po dworach, i mała cząstka mieszczan po miasteczkach, są ludnością polską.

Ruś Pokucia, w obrzędach swoich i zwyczajach, w ogóle jak cała Ruś, ma powierzchowność jednakową; wpatrzywszy się wszakże uważnie, w małych i drobnych szczegółach ujrzymy różnice, które dawniéj o tak wiele cechowały pokolenia ruskie.

Wesele zaczyna się zawsze w Sobotę. Skoro zorza zaświta, przychodzą drużki, i splatając wianek śpiewają pieśni dawne, które z pokolenia do pokolenia wiernie przechodzą. Treść ich zastósowana do okoliczności. Wzywają w tych pieśniach, ażeby dziewczęta śpieszyły w dolinę po czerwoną kalinę, po krzewisty barwinek i po rutę. Skoro splotą wianek, ubierają weń pannę młodą, wychwalając pieśnią jéj krasę i wdzięki. Tegoż dnia przybywa narzeczony ze swemi drużbami, po podarunek, to jest po koszulę i wieniec.

Panna młoda zdejmuje mu czapkę i ozdabia wieńcem, czapkę zatrzymując dopóki jéj nie wykupi: podobnie czynią drużki drużbom. Ubrana panna młoda kłania się swemu ojcu i matce, i wychodzi zapraszać gości na wesele. Wracając nie przestąpi progu chaty, aż matka wyjdzie i pobłogosławi. W niedzielę odbiera podarunek od narzeczonego, rańtuch i żółte buty. Przybrana od drużek, z równemi obrzędami jak w Sobotę, wyjeżdża do cerkwi: wtedy Starosta z jéj tak zwanym bratem (drużbą), przedaje ją panu młodemu, czyli wydaje za mały podarunek.

Po ślubie, matka przed chatą podaje pannie młodéj kieliszek z wódką, który ona tylko kosztuje, a potém przez głowę na wszystkich wylewa; toż samo czyni i pan młody; co zowią *perepoj*.

Wśród pieśni rozpoczyna się uczta (obid): w końcu powstają drużbowie do tańca, ale drużki siedzą nieporuszone za stołem. Wtedy każdy chcący mieć parę, musi co z pieniędzy ofiarować wybranéj, i to nazywają *skuplenie*. Następują obrzędy uroczyste a odwieczne przy wnoszeniu *korowaja,* i podziale takowego. Na całéj Rusi nie masz wesela bez korowaja, jak u nas dawniéj do XVII wieku, bez kołacza obejść się nie mogły żadne zaślubiny. Przy pieczeniu nawet korowaja, zachowują szczególne obrzędy i nócą pieśni; a cała rodzina zebrana przystraja go w kalinę, hoinę i kwiaty, wedle staréj przedchrześciańskiéj dumki.

Między szczególnemi zwyczajami, znanemi na całéj Rusi, na Pokuciu, gdy drużbowie po korowaj idą, przywięzują pannę młodą do stołu. Wtedy młodzi parobcy, udając pana młodego i drużbów, obsiadają w koło niéj, i nie wypuszczą, dopóki się każdemu pocałunkiem nie wykupi.

Oczepiny w tém są szczególne, że po *wywodzie*, za cerkwią albo w domu, zdejmując wianek i wstążki, a zakładając czepiec alboli też rańtuch, odbywają ten obrzęd z panną młodą mołodice, która nie na dzieży, wedle zwyczaju Mazurów i znacznéj części Rusi, lecz na kolanach swego małżonka siedzi.

Za stolicę Nadprucia, a nawet dawnego Pokucia, uważać należy miasto dziś cyrkułowe Kołomyja: wzięło swoją nazwę od śpiewów i tańca *kołomyjek*, które tém są u Rusi, czém u nas *krakowiaki*. Jest to taniec ze śpiewem połączony, i nie tylko na dolinach znany, ale i u ruskich górali *Hucułów*.

Kołomyja głośna jest równie w kołomyjkach, jak Kraków w krakowiakach; a tę sławę nie winna ani swemu ogromowi, ani wspaniałości, tylko dawności i temu uprzedzeniu Rusi dolin i Rusi goralów, że nie masz jak Kołomyja. Kiedy wojska sprzymierzone weszły do Paryża, było i kilka pułków z rusi galicyjskiéj: ci zapytani jak się im podoba Paryż, odrzekli jednomyślnie: »lipsze u nas w Kołomyi.«

Że nie łatwo było tu znaleźć mówiących po francuzku, a wielu chcących i źle mówiących, powstało przysłowie wzgardliwe: »Francuz z Kołomyi.«

Miasteczko to, jeszcze żyją starzy ludzie co zapamiętają, kiedy lichą było osadą. Teraz zaczyna się wznosić dopiero. Ztąd dwanaście mil ciągle prowadzi murowana droga do Czerniowiec, nie o podal od Prutu, ale go często widzieć i spotykać można, jakby banderę niebieską wiatrem kołysaną. Te mil dwanaście, trzymając oko przy rzece, są ciągłym ogrodem: osada jedna drugiéj tak blisko; piękne dwory, czarnoziem rodzajny, nieprzerwanie się ciągną. Od Sniatynia dopiero małą zmianę postrzegamy: osady więcéj rzadkie, a miasto plennéj pszenicy i wzniosłego żyta, ciągną się obszary pastewne i kukurydzy: ona to albowiem stanowi główną żywność

http://rcin.org.pl

Rusi dolin i gorali. Chleb pieką i placki z kukurydzy; mąki z kukurydzy używają na *Mamałygę* (jest to samo co u nas kulesza, lemieszka, prażucha), krupy są z kukurydzy: jedzą gotowaną i pieczoną na węglach młodą kukurydzę i w istocie jest to pożywna i sytna potrawa. Nie raz w górach, dwoma lub trzema szulkami pieczonéj kukurydzy, zaspokajałem głód całodzienny. (a)

Nieurodzaj jéj, a to się często zdarza, jest ciężką klęską dla Gorali i Rusi dolin. Wówczas widzieć można, jak z tych gór śniegowych, tysiące fur zlata na doliny, wyszukiwać i skupować kukurydzę. Drogość jéj wtedy dochodzi do trzech czerwonych złotych za korzec. Spekulanci od razu przychodzą bezpiecznie do majątków, albowiem gatunek ten zboża, lat kilka przechowywać się daje: w urodzajnych przeto latach składają obfite plony kukurudzy w kosznice (1), a w czasie nieurodzaju sprzedają tysiącami korcy i tysiącami zbierają dukaty.

Do mieszkańców Nad-prucia policzyć jeszcze należy Ormian, który w równi ze szlachtą są dziedzicami dóbr i do najznamienitszych się liczą, bo nie zbytkują i nie marnotrawią jak szlachta, a zbierać i pracować umieją. Jest to jedno z najużyteczniejszych pokoleń, co z dalekiéj i obcéj ziemi, przyswoiło sobie kraje słowiańskie za ojczyznę i stało się godném ich obywatelstwa. Mimo to, lud prosty ich nie lubi i lubo rzetelność i prawość Ormian jest znaną, używa względem nich wzgardliwéj przypowieści. Szlachta mało z niemi żyje, a nosową wymowę nazywa ormiańską.

Handlujący Ormianie, mimo ich poczciwości, niezmiernie są ostrożni, a kiedy dawniéj w Karpatach więcéj się gnieździło rozbójników, których tu nazywają *Opryszkami*, nie raz zdarzało się, że jeden zuchwały Opryszek, na kilku kupców śmiele się mógł rzucać.

W tych tu okolicach, słynie szeroko pomiędzy Rusią imie sławnego rozbójnika *Dobosza*, co mając główne stanowisko na *Czorno-hora* (Czarnéj górze), wysyłał rozkazy, a mieszkańcy dolin posłuszni silnemu dowódzcy Opryszków, składali jako daninę wszystko cokolwiek zażądał.

Ostatnim nadgranicznem miastem Pokucia jest *Śniatyń*, twierdza dawna i główny punkt wojenny w czasie wypraw na Bukowinę i Wołoszczyznę.

K. W. W.

(a) Prócz tego, *szulkami* z omłoconéj kukurydzy palą w piecach i gotują przy nich, a łodygi lubi bydło, dopóty wszelako, dopóki nie przemarzną. Wtedy albowiem utracają słodycz a nabierają goryczy.

(1) *Kosznica* jest to wysoka a wązka szopa pleciona, długa, w której sypią szulkami nie młóconą kukurydzę. Takie kosznice nie raz całe otaczają gumna, jak na Bukowinie.

## NAUKA ZDROWIA.

PRZEZ DOKTORA BOURDON.

(Dalszy ciąg, patrz zeszyt 30.)

Człowiek z natury swojéj żywiący się wszelkiego rodzaju pożywieniem, potrzebuje urozmaicać je. Zbyt jednostajne pożywienie zaszkodziłoby jego zdrowiu. Oprócz chleba i wody, potrzeba więc zmieniać pożywienie, gdyż bez tego wkrótce nastąpiłaby słabość i wycieńczenie.

Żołądek ma podobieństwo do umysłu, jednostajność nuży go i czyni gnuśnym.

Woda z roztopionego śniegu i lodu, jest niebezpieczna i staje się przyczyną chorób skrofulicznych. Nim jéj kto użyje do picia, powinien poruszać ją na otwartém powietrzu; przez to utraca szkodliwość.

Nie każde pożywienie, którego człowiek używa, ma też samą własność, jedno działa na myśl, drugie na ciało i nerwy.

Chorzy skazani na ścisłą dyetę, np. na kuracyą głodową powinni leżeć w łóżku; mogą jeśdź leżąc, ale nie mogą pościć gdy już wstaną.

Przepisując choremu lekarstwa, napoje albo jedzenie, trzeba mieć uwagę na godziny, w których jadał będąc zdrów; w takiem stanie rzeczy, nałóg jest władzą, któréj pomocy zaniedbywać nie należy.

Ponieważ zimno wielki wpływ wywiera na żołądek i ułatwia trawienie, ztąd wynika, że więcéj jemy w zimie jak w lecie.

Obżartość pociąga za sobą otyłość, choroby gastryczne, a częstokroć i apoplexyą.

Pijaństwo naraża na puchlinę w piersiach, na rozdęcia żyły sercowéj na konwulsye i osłabienie władz umysłu. Dla tego to sławny Hufeland powiedział, żeśmy więcéj zabili dzikich Amerykanów gorzałką, niżeli prochem.

(Dokończenie nastąpi.)

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

http://rcin.org.pl

# SWIĘTA GENOWEFA.

## PATRONKA PARYŻA.



http://rcin.org.pl

Wyszło w Paryżu dzieło pod tytułem Nocznik religijny, czyli *Żywoty Świętych niewiast*. Znajdują się w niem żywoty N. Panny Maryi, Świętej Magdaleny, S. Cecylii, S. Katarzyny, S. Klotyldy, S. Elżbiety, S. Teressy, S. Genowefy i S. Urszuli i wiadomość o zakonach kobiecych. Na czele każdego żywotu, umieszczona jest rycina wyobrażająca postać świętej; po nim zaś rozmyślanie wierszem czyli hymn stosowny do przedmiotu. Z tego dzieła umieszczamy jedną rycinę, żywot i przekład hymnu.

Święta Genowefa patronka Paryża, urodziła się w Nanterre, w trzydzieści lat po pierwszém wkroczeniu Franków do Galli. W pierwszym zaraz dzieciństwie objawiło się jéj święte powołanie. Biskup z Auxerre, Święty German, przechodząc przez Nanterre, zobaczył małą dziecinę i przepowiedział jéj przyszłą świątobliwość. Wcześnie postradała rodziców i wówczas udała się do swojéj matki chrzestnéj mieszkającéj w Paryżu. Żyła w najściślejszéj pokucie, jadała dwa razy tylko w tydzień, w niedziele i czwartki; chleb jęczmienny, bób i woda, składały jéj posiłek.

Ciemni i przesądni owych czasów mieszkańcy, poczytali ją za czarnoxiężnicę i tak przez dwa lata narażona była na zniewagi i niebezpieczeństwa. Święty German drugi raz przybył do Paryża; wszyscy mieszkańcy wyszli na przeciw niego. Zapytał się o Genowefę; oskarżono ją przed nim; łatwo odkrył i zniszczył te niedorzeczne potwarze. Wezwawszy natychmiast najznamienitszych mieszkańców, zaprowadził ich do jéj mieszkania, pokazał im czarny chleb którym się żywiła i surowo zgromił ich potwarze.

Gdy Hunnowie pod dowództwem Attyli, ciągnęli ku Paryżowi, strwożeni mieszkańcy chcieli opuścić miasto. Genowefa wzywa ich do pokuty i przyrzeka pomoc nieba. Jéj słowa ożywiają nadzieję we wszystkich sercach. Lud biegnie do kościołów, a Genowefa zamyka się w kaplicy razem z pobożnemi niewiastami, i dnie i nocy przepędza na modlitwie. Mimo tego, Hunnowie zbliżają się coraz bardziéj rozjuszone pospólstwo oskarża Genowefę o zmowę z nieprzyjaciołmi, Włoką ją na plac, chcą ją zamordować... lecz w tém nadchodzi wiadomość że Hunnowie niespodzianie zwrócili się w inną stronę i na płaszczyźnie Chalons pobici zostali przez Franków. Ta zmiana uderzyła umysły, przypisano ją modłom Genowefy a powszechna cześć i uwielbienie nastąpiło po nienawiści.

Wkrótce potém Frankowie pod dowództwem Childeryka oblegli Paryż i miasto przez długi czas głód cierpiało. Genowefa, zawsze poświęcająca się dla swoich współziomków, sama stanęła na czele orszaku idącego po żywność. Dwanaście naładowanych statków weszło do miasta, mimo gwałtownéj fali na rzece. Jednakże czas nadszedł, w którym Bóg postanowił dać Frankom wielkie królestwo. Paryż otworzył bramy swoje Childerykowi, ale pobożność i świątobliwość Genowefy uderzyła pogańskiego wodza; na jéj prośbę darował życie wielkiéj liczbie jéj współziomków i odtąd ilekroć wstawiała się do niego, nigdy jéj nie odmawiał.

Mimo tak surowego sposobu życia, mimo ciągłéj pokuty i postu, Genowefa doczekała późnéj starości; umarła mając lat 89 dnia 3 Stycznia 511 roku i jeszcze przed śmiercią miała tę pociechę iż ujrzała nawrócenie się Kolodoweusza na prawdziwą wiarę.

Góra otoczona lasami, wznosiła się za miastem niedoleko od pomieszkania królów; na jéj wierzchołku budowano kościołek na cześć Sgo Piotra i Pawła: pochowano ją w tym kościołku.

Gdy szał rewolucyjny, przed czterdziesto laty niszczył wszystkie pamiątki przeszłości, relikwie Stéj Genowefy wydobyto z grobu i spalono. Kościół od wieków pod jéj imieniem poświęcony, przeznaczono na Panteon sławnych ludzi, a płochy naród Francuzów dotąd nie zgadza się kogo ma w nim umieścić i rzecz godna uwagi, że ta, która dwakroć ocaliła Paryż, nie ma teraz w tym przybytku żadnéj pamiątki i uczczenia.

## S. GENOWEFA.

### HYMN.

Ozwał się głos z niebiosów: »Idź dziewico młoda,
Rzuć sierp, na niedożętym niech leży zagonie;
Niechaj twoja na polu rozpierzchnie się trzoda,
Inną trzodę, Bóg twojéj powierza obronie;
Twéj pomocy wzywają ludzie zasmuceni,
A niebo żąda twych pieni.

http://rcin.org.pl

»Wyrównasz w blasku chwały, Judycie, Esterze!
Drobną ptaszynę, skrzydły Bóg darzy orlemi;
Wspomnij sobie z Dawidem zawarte przymierze,
Wspomnij cuda spełnione w Obiecanéj Ziemi.
Jak niegdyś Mojżeszowi, tak Bóg w swojéj łasce,
Równą nada potęgę twéj pasterskiéj lasce.

»Już odtąd nie powrócisz w wieśniacze ustronie.
Jak perła z Oceanu głębin wydobyta,
Ozdabia monarsze skronie,
Tak i ciebie przysyła strzecha słomą kryta,
Na patronkę mocarstwa, co przed znakiem Krzyża,
Dumne swe czoło uniża.

»Jak opiekunkę swoją, stolica Cię sławi,
I świetne na twym grobie ołtarze wystawi;
Tam przybiegną pielgrzymów niezliczone roje,
Złożą Tobie w ofierze i kwiaty i wonie.
Widziałem imie Twoje, w świętych dziewic gronie,
Tam miejsce widziałem Twoje!«

Gdy się ten głos proroczy objawił pasterce,
Natychmiast Boska siła przejęła jéj serce;
Już się z trzodą i sierpem na zawsze rozstała;
Ukorzył się przed słabą dziewicą lew wściekły,
Zgiął swą dumę, a chóry Aniołów wyrzekły;
»BOŻE! cześć Tobie i chwała!«

## ZAKONY RYCERSKIE.

Epoka pierwszych krucyat, odzyskania Jerozolimy i Grobu Sgo, była zarazem epoką założenia trzech rycerskich zakonów, Braci szpitalnych świętego Jana w Jerozolimie, Templaryuszów i braci Najświętszéj Panny Góry Syonu, późniéj Kawalerami Teutońskiemi, a u nas Krzyżakami zwanych. Pierwszy zakon, przybrawszy imie rycerzy Maltańskich, dotrwał aż do naszych czasów; drugi trwał zaledwie lat dwieście; trzeci przeniesiony w Prussy Wschodnie, stał się zarodem potężnego mocarstwa. O wszystkich trzech z kolei, umieścimy krótką historyczną wiadomość. Zaczynamy od Templaryuszów.

Podbicie Jerozolimy przez Krzyżowców, osady Chrześcian w Azyi na początku wieku XII. założone, powszechny zapał obudziły w Europie. Godfred, sprawca tak świetnych czynów, nie długo cieszył się ich owocem, śmierć wyrwała go towarzyszom i dalszym zamiarom. — Tymczasem tysiące Chrześcijan zapragnęły oglądać miejsce zroszone krwią Syna Człowieka, zlane późniéj krwią tylu Chrześciańskich rycerzów. Każdy przedsiębrał podróż do Grobu Świętego, wielu przebyło ją, inni zginęli nim doszli celu swych życzeń. Śmierć ich, nie tak była skutkiem długiéj i trudnéj podróży, jak raczéj niebezpieczeństw w przebywaniu pustyń Azyjskich. Wojska niewiernych rozproszone, mordowały nieszczęśliwych wędrowców, mszcząc się za zwycięztwa wodza Chrześcijan. Mnóstwo przytém włóczęgów, rozjątrzało przeciw Chrześcijanom tamecznych mieszkańców.

Nie ważono się nakoniec puszczać w podróż pojedynczo, ale połączonemi siłami odbywały się pobożne pielgrzymki.

Ta przecież słaba ostrożność bezbronnych, nie zasłoniła ich od miecza Saracenów i Greków.

Wtenczas to w roku 1118 Hugo de Payens i Godfred Uldemar, którzy do Jerozolimy z Gotfredem Bouillon przybyli, poświęcili się wraz z siedmiu rycerzami bronić go-

http://rcin.org.pl



*Templaryusz w ubiorze wojennym.* *Templaryusz w ubiorze domowym.*

ściców Palestyny przeciw gwałtom, jakich, podróżujący Chrześcijanie doznawali. Niewierny nie śmiejący się mierzyć z odwagą Chrześcijan, nie napadał podróżnych, którzy odtąd nietylko obrony ale i wszelkiéj doznawali pomocy.

Dla ściśnienia tych związków, nowi rycerze przyjęli religijną regułę i czynili śluby. Z początku żyli z jałmużny, ubodzy, nie wielu zwabili ochotników. Jeszcze w roku 1125 dziewięciu ich tylko było. Wzięli nazwisko swoje od mieszkania blisko kościoła Jerozolimskiego.

Ledwie się w Europie rozgłosiło ich poświęcenie, co raz więcéj rycerzów przybywało w ich szeregi, stanęło znakomite wojsko i chwałę osięgło. *Sobór w Troyes* i Papież Honoryusz IIgi, potwierdził ich związek uroczyście w roku 1128. S. Bernard protektor Templaryuszów, mąż nadzwyczajny, którego życie służyćby mogło za wzór wszystkim politykom i filozofom, nadał im przepisy podobne nieco do zakonu Benedyktynów. Ubiegano się w zachęceniu i nadgrodach dla mężów, równie powodzeniem wojenném jak poświęceniem się wsławionych. Wielu xiążąt i znakomitych osób weszło do zakonu, jako prości żołnierze, poddając się surowym przepisom.

»Żyli (mówi S. Bernard (1) ) nie mając »żadnéj własności, a nawet własnéj woli, »prosto odziani, pyłem zakurzeni, opaleni »słonecznym promieniem, zdawali się nie»śmiertelni jak wiara co ich ożywiała.»

Podlegli W. Mistrzowi, byli posłuszni, ojcem go zowiąc. W wielu okolicznościach wystawiali się za wodza, który zawsze jako prosty Templaryusz walczył, nie różnił on się tylko szukaniem niebezpieczeństw. — Jeżeli odwaga jego przywiodła którego z rycerzy o śmierć, każdy umierając polecał się niebu, mówiąc: »Dzięki ci Opatrzności! zachowałeś naszego ojca, naszego W. Mistrza.»

Z rozgłosem sławy rosła potęga zakonu, już nietylko liczna szlachta zaciągała się w jego szeregi, ale królowie i ludy ze wszech stron Europy nieśli mu ofiary. Około roku 1140 mieli Templaryusze wszędzie rozległe posiadłości i twierdze. Wkrótce potém odnieśli znaczne zwycięztwa nad Maurami w Portugalii i Hiszpanii; królowie oddawali im miejsca zdobyte. Około roku 1150 osiedli głównie w Paryżu.

Papież Eugeniusz który z królem Ludwikiem młodym zasiadał w roku 1147 na ich

(1) D Bernardi exhortatio ad milites templi.

http://rcin.org.pl



*Wielki Mistrz Maltański.*



*Kawaler Maltański.*

licznem zgromadzeniu, zaczął ich odtąd obdarzać przywilejami.

Dzieje Krzyżackie, zapełnione są czynami Templaryuszów. Oni to naywięcej się przyłożyli do utrzymania przez dwa wieki potęgi Europejskiéj na wschodzie. Wojenne ich zasady od założyciela nadane, utrzymywały ich na czele chrześcijańskiego rycerstwa. W czasach, gdy dzikość obyczajów i anarchia, czyniły wojsko rozwiązłém i nieposłusznem, jedna tylko religija mogła karność ustalić. Taka karność przepisana była Templaryuszom. Wojsko to zakonne wprowadziło pożyteczne odmiany w taktyce i uzbrojeniu. Oni pierwsi mniéj okrutne prowadzili wojny i wierni byli w układach z nieprzyjaciołmi ich wiary.

Dzielili się Templaryusze na klassy rycerzów, noszących broń i braci służących, do których późniéj duchowni w roku 1172 jako kapelani i pisarze przybyli. Nosili wszyscy pasy wełniane, wyobrażające poświęcenie się czystości; duchowni mieli białe, służący siwe lub czarne odzienie, rycerze prócz prostego rycerskiego uzbrojenia, nosili białe wełniane płaszcze z czerwonym krzyżem. Sztandar Templaryuszów nazywał się *Baucéant* na którym był napis: *Non nobis, Domine, non nobis, sed nomini tuo da gloriam.* Po skończonych nabożeństwach, szli do boju za sztandarem, pobożne pieśni śpiewając.

Ze stanu rycerskiego, do którego władza i posiadłości zakonu należały, wybierani byli w kapitułach urzędnicy zakonu. Wielki mistrz miał dostojność Xiążęcą i równał się panującym w Europie, albowiem zakon według przywilejów Papiezkich nie podlegał ani świeckim ani duchownym sądom. Takowa wolność połączona z siłą rycerską na lądzie i na morzu, korzyści wojenne i pobożne ofiary według ducha tego wieku czynione, rycerze z majętnych domów ze wszystkiem towarzystwu oddani, oddzieleni od wszelkich stosunków świata, wszystko to, wznosiło zakon Templaryuszów tak skromny w początkach swoich, do coraz silniejszéj potęgi, co też najważniejszą było jego zguby przyczyną.

Po zdobyciu Jerozolimy odnosili jeszcze Templaryusze zwycięztwa nad Sułtanem spólnie, z Francuzkiemi, Genueńskiemi i Weneckiemi roty. Tu godząc dumę i niezgody wojsk połączonych, niezmordowani, poświęcający się doszli do szczytu wprawy i chwały wojennéj, po długich przecież walkach osłabieni w siłach Templaryusze, odcięci na wyspie Arade, długo jeszcze byli postrachem nieprzyjacioł. W. Mistrz nie widząc pomocy i dalszéj nadziei, postanowił oddalić się na wyspę Cypru z wyborem

http://rcin.org.pl

rycerzy, gdzie przeciw Kaprom Saraceńskim pomniejsze toczyli boje.

W pięćdziesiąt lat po utworzeniu zakonu, nie było już nad niego żadnéj władzy zamożniejszéj w Europie, a dobra jego nie przestały się powiększać w wieku XIII. Dochody zakonu liczą Historycy do dwóch milionów, co wynosi więcéj nad 54 miliony teraźniejszéj monety francuzkiéj, dochód ogromny w czasach, gdy król pobierał tylko z dóbr swoich ośmdziesiąt tysięcy liwrów, wynoszących podług powyższego rachunku około dwóch milionów dwóchkroć sto tysięcy franków. Mateusz z Paryża, Historyk średniego wieku, liczy do dziewięciu tysięcy posiadłości Templaryuszów w państwach Chrześciańskich. Własność ruchoma wynosić miała drugie tyle co posiadłości. Zbytek też Templaryuszów był uderzający. Wspaniałość ich kościołów przechodziła wszystko. Trudno obliczyć ich zyski na morzu, dary od królów, możnych i ludów, wniesienia które każdy brat, a nawet służący czynić musiał, wstępując do zakonu. Nadto, skarb zakonu był kassą i bankiem całéj prawie Europy, bądź dla xiążąt, bądź dla prywatnych. Wysyłający żołnierzy do ziemi świętéj, albo pielgrzymi, tam składali summy, które im w równéj wartości wypłacane były w domach do tego przeznaczonych na wschodzie. Skarb ich miał długi u monarchów, Templaryusze wyposażyli siostrę Filipa pięknego. Nie mniejsze czynili Papieżowi przysługi.

Ale właśnie w epoce, gdy doszedł do najwyższego stopnia świetności, ciężka burza już wisiała nad tym zakonem.

W roku 1306, Filip piękny król Francyi, za zniesieniem się z papieżem Klemensem, kazał uwięzić wielkiego mistrza i wszystkich Templaryuszów, jacy się wówczas znajdowali we Francyi. Obwiniono ich o najcięższe zbrodnie, o kacerstwo, o wyrzeczenie się wiary, o czarodziejstwa. Mnóstwo Templaryuszów i sam mistrz wielki na stosie zakończyli życie. Bulla papiezka rozwiązała zakon. Pozostali Templaryusze wcielili się do zakonu S. Braci Szpitalnych Ś. Jana Jerozolimskiego, który także otrzymał część ich posiadłości i kościołów.

Nie zgadzają się historycy względem powodów zniesienia zakonu Templaryuszów i tak srogiéj kary, którą przeciw nim wymierzono. W ostatnich czasach, pisarze francuzcy, a zwłaszcza pan Raynouard, autor tragedyi Templaryusze, usiłowali wykazać ich niewinność. Zdaje się jednak, że jeźli powody polityczne wiele przyłożyły się do zniesienia zakonu, obok tego Templaryusze nie byli wolni od zarzutów i winy. Bogactwa i potęga sprowadziły za sobą zuchwałość i rozwiązłość. Zakon z razu ślubujący na ubóstwo i obronę Grobu Chrystusa, sprzymierzał się nie raz z nieprzyjaciołmi wiary i wdawał się w wojny nie mające na celu religii. Po udowodnieniu tych nadużyć, wydano wyrok potępienia na wszystkich.

Zakon braci szpitalnych, świętego Jana, wierniéj dotrzymał ślubów i powołania swego, i dla tego liczył długie pasmo zasług, świetności i potęgi.

Słabym i cichym był w początkach. Na kilka lat przed wyprawą Godfreda de Bouillon do Palestyny, kupcy z miasta Melphe w królestwie Neapolitańskiém, handlujący ze wschodniemi krajami, otrzymali pozwolenie od Kalify Egiptu, zbudować w Jerozolimie dom dla siebie i dla współziomków swoich, którzyby pielgrzymkę odprawiali do Ziemi Swiętéj i za to opłacali roczną daninę. Wkrótce potém, wybudowali tamże dwa klasztory, jeden dla mężczyzn drugi dla kobiet i z gorliwém miłosierdziem przyjmowali pielgrzymów. Inni pobożni ludzie chcieli podzielać ich dobre uczynki i założyli kościół na cześć Sgo Jana, a przy nim szpital dla przytułku i wsparcia pielgrzymów. Gerard z Martigues, był zarządzcą tego szpitala w roku 1099, kiedy Chrześcianie zdobyli Jerozolimę. Szczodrobliwość Godfreda de Bouillon zbogaciła ten zakład, którego użyteczność ocenił. Za staraniem Gerarda powstał wówczas osobny zakon pod nazwiskiem Braci Szpitalnych. Dano mu czarne suknie z krzyżem o ośmiu rogach, wykonali trzy śluby zakonne, a do nich przydano czwarty, obrony, przyjmowania i pielęgnowania pielgrzymów. Fundacya ta jest z r. 1104, za panowania Baldwina I. Obrona pielgrzymów pociągnęła za sobą czuwanie nad bezpieczeństwem dróg i odpieranie niewiernych. Trzeba było przypasać broń i stać się żołnierzami. Nowe to powołanie, ściągnęło do zakonu mnóstwo szlachty, a braci zakonnych zamieniło w rycerzy. Od tego czasu, cel ich zawsze był ten sam, toczenie nieubłaganéj wojny z nieprzyjaciołmi wiary. Gerard przepisał im ustawy, a Rajmond du Pui nastąpił po nim około roku 1118. Po stracie Jerozolimy, cofnęli się do miasta Akry i mężnie bronili je w r. 1290. Udali się potém do Cypru z Janem Luzynianem i tamże mieszkali do r. 1310. W tym roku zdobyli wyspę *Rhodus*, w dzień w Niebowstąpienia Matki Boskiéj, a następnego obronili ją od napaści Saracenów. Od téj wyspy nazwano ich kawalerami Rodyjskiemi. W 1480, Machomet drugi daremnie oblegał tę wyspę przez trzy miesiące. Późniéj Salomon II. zdobył ją w 1522; a mimo walecznéj obro-

http://rcin.org.pl

ny, wielki mistrz Filip de Villiener, nie mogąc dłużéj utrzymać się na wyspie, odpłynął ze swemi rycerzami i 4000 mieszkańców do Kandyi. Ztamtąd udał się do Sycylii, a w sześć lat potém w 1530 Karól V. dał mu posiadanie wyspę Maltę.

Kto chciał zostać kawalerem Maltańskim, wykonać musiał ślub czystości i dowieśdź czterech stopni szlachectwa, tak ze strony ojczystéj jak macierzyńskiéj. Kawalerowie nosili krzyż o czterech odnogach, tworzących osiem promieni. Dawny strój zakonu składał się z wielkiego płaszcza, na którém przyszyty był krzyż biały.

Prawo starszeństwa przysądzające cały majątek pierworodnemu synowi, zniewalało młodszych braci do czynienia ślubów zakonnych. Zakon Maltański, którego ustawy, z razu bardzo surowe, znacznie potém zwolniały, dozwalał rycerzom żyć w świecie i dla tego wielu z młodzieży szlachetnego rodu, zaciągało się do niego. Chociaż podług ustaw, nie wolno było przyjmować dzieci nie mających jeszcze lat szesnastu, upowszechniło się udzielanie dyspensy tak, iż w każdym bądź wieku można było zapisać się do zakonu. Jednakże małoletni nie wykonywali ślubów przed skończeniem lat dwudziestu pięciu, i zdarzało się, że nie jedni przed dojściem do tego wieku, wracali znowu do świata, bądź to z powodu śmierci starszych braci, bądź z innéj jakiéj przyczyny. Kawalerowie Maltańscy dzielili się na dwa rzędy. Ci którzy nie mogli dowieśdź oznaczonych stopni szlachectwa, mogli bydź tylko kapelanami albo kawalerami trzeciego rzędu.

Wielki mistrz był władzcą wyspy Malty i przyległości, mianował wielkich przeorów i komandorów. Zakon dzielił się na języki, było ich osiem: Prowancki, Owernii, Francyi, Włoch, Aragonii, Niemiec, Kastylii i Anglii. Każdy język miał swego naczelnika w Malcie. Naczelnik języka prowanckiego, który był uważany jako najpierwszy, bo założyciel zakonu był rodem z Prowancyi, miał tytuł wielkiego komandora. Naczelnik języka Owernii, był wielkim marszałkiem; francuzkiego, wielkim szpitalnym; włoskiego wielkim admirałem; aragońskiego wielkim zachowawcą, czyli jak dawniéj zwano *ubiorczym*; niemieckiego, wielkim starostą; kastylskiego wielkim kanclerzem; naczelnik języka Angielskiego który przestał istnieć z powodu oderwania się Anglii od kościoła katolickiego, miał tytuł generała piechoty; każdy język dzielił się na kilkanaście wielkich przeorstw, a te znowu na komandorye.

Sława i potęga kawalerów Maltańskich doszła do najwyższego stopnia w wieku szesnastym; utrzymywała się przez ciągłe walki na morzu z Turkami i rozbójnikami Barbaryjskiemi. W osiemnastym zaczęła upadać i od roku 1760 już tylko małe utarczki staczali, dopełniając ślubów swoich. W 1798 Bonaparte płynąc z wyprawą do Egiptu, opanował Maltę, to główne siedlisko zakonu. W dwa lata potém, posiedli ją Anglicy i odtąd pozostała w ich mocy. Zakon nie podźwignął się po tym ciosie. Pozbawiony znaczenia i dochodów, liczący małą liczbę członków, zachował tylko imie i próżne tytuły. Wielki Mistrz mieszka w Ferrarze.

## MALTA.

Jako dopełnienie powyższego artykułu, służyć będzie wiadomość o wyspie Malcie. Jéj dzieje od najdawniejszéj zasięgając starożytności, są ciągłém pasmem świetnych i zajmujących zdarzeń.

W epoce mitologicznéj, Malta była gniazdem Tytanów, inni zaś utrzymują, że jest owém królestwem bogini Calypso, którą Homer, a za czasów naszych Fenelon, uwiecznili w dziełach swoich. Późniéj zaludniła ją osada Fenicyanów i uczyniła miejscem zgromadzania się niezliczonych statków, które, ci Anglicy starożytnych wieków, wysyłali na wszystkie morza. Późniéj jeszcze, gdy już dzieje świata stają się co raz to pewniejsze, wyspę tę posiadali koleją Grecy, Kartagińczykowie i Rzymianie. Swięty Paweł Apostoł, wyrzucony burzą na jéj brzegi, zaprowadził tam wiarę chrześciańską. Potém zajęli ją Gotowie, nareście w średnich wiekach przeszła od Sycylijczyków do Arabów, od Arabów do Franko-Normanów, do królów Sycylii, do Francuzów i Hiszpanów. Malta posiadała więc, pod imieniem *Hyperyi*, *Ogigei* i *Melity*, dawną i świetną sławę, gdy Karól V jakeśmy to już wspomnieli, ustąpił ją kawalerom S. Jana z Jerozolimskiego, błąkającym się z kraju do kraju, od czasu jak ich wypędzono z wyspy Rhodus, z tego gniazda sępów, jak ją nazywali Turcy. Kawalerowie wskrzesili wkrótce chwalebny ten przydomek, a sępy Malty, czyli mówiąc nie tak poetycznym stylem, jéj korsarze, zadali tak ciężkie klęski flotom Solimana II, iż zaprzysiągł zniszczyć tych zuchwałych nieprzyjaciół i w 1565 przypłynął pod Maltę z olbrzymią siłą. Broniona przez kilkaset zakonnych rycerzy i odważną ludność, a zwłaszcza przez bohaterstwo wielkiego mistrza Jana Parisot de la Valette, wyspa stawiła zwycięzki opór. Po czteromiesięcznem oblężeniu, Turcy straciwszy 25,000 ludzi i wyrzuciwszy sześćdziesiąt tysięcy kul, odpłynęli ze wstydem. Mia-

http://rcin.org.pl

sto la Valette wzniesione na gruzach dawnego miasta, jest jeszcze pomnikiem tego tryumfu chrześciaństwa. Wówczas to, rycerze Sgo Jana Jerozolimy, łącząc swoją chwałę z chwałą wyspy, przybrali nazwisko kawalerów Maltańskich.

W ostatnich latach, zeszłego wieku już nie byli tém co dawniéj, gdy Bonaparte stał się panem ich wyspy. Francuzi wytrzymali potém dwuletnie oblężenie przez Anglików i znieśli cierpliwie ogień, żelazo, choroby i głód najprzykrzejszy, aż nareście wyczerpawszy zapasy i widząc że wszelka pomoc w żywności i ludziach nadsyłana z Francyi wpada w moc Anglików, oddali wyspę przez kapitulacyą.

Malta leży między Sycylią, a morzem Srodziemném, pod 33 stopniem długości, a 35 szerokości północnéj. Obwód jéj wynosi mil dwie, a ludność razem z wyspami Gazzo i Comino, które jak się zdaje wybuch wulkanu oderwał niegdyś od głównéj wyspy, nie przechodzi 160,000 mieszkańców.

Miasto la Valette jéj stolica, leży na stronie wschodniéj i składa się z pięciu części uważanych za tyleż miast i oddzielnych warowni, z których każda może się bronić osobno. Obejmują one dwa porty główne, podzielone na wiele innych, a wszystkie są wygodne i bezpieczne i mogą pomieścić całe eskadry. Anglicy założyli tam główne stanowisko swoje na morzu Srodziemném. Piękne groble, warsztaty, magazyny, lazarety, i inne użyteczne i wielkie gmachy stoją nad temi portami. Malta jest obok tego wolnym portem handlowym dla wszystkich narodów i przez to prowadzi bardzo kwitnący handel.

Z dawnych budowli, szczególniéj zasługuje na uwagę kościół Sgo Jana, dawna rezydencyą W. Mistrza, a dziś gubernatora angielskiego, wodociąg, a mianowicie groźne warownie wyciosane w skale i najpiękniejsze może na całym świecie. Oprócz tych pomników po zakonie maltańskim, znajdują się tam jeszcze liczne ślady rozmaitych ludów które tę wyspę dzierżyły. Najbardziéj zajmującym pomnikiem starożytności, jest dawna stolica Civita-Vechia, tam znajdują są pomieszane zabytki Fenicyanów, Greków, Rzymian, Arabów. Co krok starożytnik napotyka napisy, ułamki posągów i tak olbrzymie zwaliska, iż prawie mniemaćby można że je zbudowała ręka olbrzymów. Język Maltańczyków nareście, zawiera w sobie wyrazy greckie, rzymskie, arabskie, włoskie, zamieszczone że tak powiem w języku fenicyjski i nastręcza ważne badania filologom.

Nakoniec zamilczyć nie możemy o rozkosznym klimacie téj wyspy, o jéj pięknych płodach, jakiemi są pomarańcze i róże. Już tak sławne były w starożytności, że Cyceron chcąc wystawić wyuzdany zbytek Werresa, powiada iż na Maltańskich różach spoczywał.

---

## PIEŚNI WIEJSKIE.

*Wincentego Pohla.*

### I.

Trzech dziś u mnie chłopców było,
Każdy przyniósł dary.
Pierwszy miły, mówił miło,
I dał wstąg trzy miary.
Drugi szpetny, lecz pokusa,
Dał mi srebra dzbanek,
Ach! a trzeci dał całusa,
I różowy wianek.
W tym najpierwszym co dał wstęgi,
Brata miećbym rada.
A w tym drugim co dał dzięgi,
Teścia lub sąsiada.
Ach! a temu co dał róże,
I uścisk pasterce,
Oddałabym oczy duże,
I pieszczone serce.

### II.

A wychodź, wychodź, do nas panie miły,
I ty gosposio zadzwoń kluczykami,
I ty panienko wyjdź i baw się z nami,
Bośmy trzy wianki dla dworu uwiły.
Dla pana dajem ten wieniec dębowy,
By jak dąb późnéj doczekał starości;
Dla pani dajem ten wieniec zbożowy,
Niechaj w jéj domu, wiecznie hojność gości.
A dla panienki uwiły dziewczęta,
W porannéj dobie, splot rannego kwiatu;
By świeżą była jak rosa z bławatu,
A jak bławatki kwitły jéj oczęta.

---

## UWIADOMIENIE.

Muzeum Domowe wychodzić będzie w r. 1836. I zeszyt wyjdzie 1 Stycznia 1836 r. Prenumerować można: w Warszawie, W KANTORZE GŁÓWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.
Na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych i po xięgarniach, rocznie zł 24, półrocznie złp. 13.

---

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

http://rcin.org.pl

# MURZYNI.



Pod jakimkolwiek względem uważać będziemy murzynów, niepodobna zaprzeczyć że mają bardzo odmienne cechy od plemienia białego. Anatomia wyjaśniła i dowiodła te fakta. A właśnie trwałość znamiennych rysów, mimo przeciwnego wpływu klimatu, i innych zewnętrznych działaczy, odróżnia jedno plemie od drugiego, i takie to rysy posiadają murzyni.

Czarny kolor ich skóry, powszechnie przypisują wpływowi światła i ciepła pod strefą gorącą, jednakże oprócz tego wpływu, okazuje anatomia, że nietylko skóra jest czarna u murzynów, ale mózg, szpik i krew nawet zbliżają się do tegoż samego koloru. Zewnętrzna postać różni się także od postaci ludzi białych. Pomijając ich wełniaste włosy, okrągłe oczy, czoło w tył pochylone, nos spłaszczony, duże wargi, usta i podbrodek wysunięte na przód, nakształt paszczy zwierzęcej, zwrócimy uwagę na mózg i nerwy tego plemienia. Uczeni anatomiści niemieccy wykazali, że mózg negra jest daleko mniejszy aniżeli mózg białego i że nerwy z niego wychodzące są grubsze. Czaszka murzyna jest gruba i lepiej opiera się uderzeniom, niżeli czaszka Europejczyków, wszystko wykazuje w nim usposobjenie nadzwyczajne do wrażeń i podniet nerwowych. To postrzeżenie naprowadza na tę myśl, że im mniejszy jest mózg, a silniejsze i grubsze nerwy z niego wychodzące, tém bardziej tacy ludzie oddawać się będą cielesnym wrażeniom, gdy rzecz przeciwnie dzieje się u ludzi białych. Murzyni mają lepiej roz-

http://rcin.org.pl

winięte zmysły smaku i powonienia i więcéj skłonniejsi są do rozkoszy fizycznych niż umysłowych. U nas czoło wysuwa się naprzód, usta zmniejszają się, jak gdyby Stwórca wszech rzeczy przeznaczał nas bardziéj do myślenia, niżeli do jedzenia; u murzyna czoło w tył idzie, a gęba wystaje, jak gdyby stworzony był do przeciwnego celu. Taka zgodność budowy ciała z powołaniem istoty, daje się postrzegać i w zwierzętach. Ludzie oddający się uciechom obżarstwa, te ogromne żarłoki, którzy tylko dla jedzenia żyją, są głupowaci, a trawiąc bez ustanku, stają się prawie niezdolnemi do rozmyślania. Stary Katon mówił: »Na cóż przyda się człowiek, który od stóp do głowy jest żołądkiem?

Murzyni mają wzrok bardzo bystry, słuch czuły na muzykę, gwałtownie oddają się miłości; we wszystkich ćwiczeniach ciała, jako to w tańcu, szermierstwie, pływaniu, skokach na linie, przewyższają wszystkie inne plemiona; ale właśnie dla tego że wiele czują, mało więc myślą; oddani chwilowym wrażeniom, nie pamiętają ani o przeszłości ani o przyszłości; obawa najsroższéj kary, śmierć nawet sama nie może ich wstrzymać. Jednotonna piosneczka złożona z kilku wyrazów przypadkowo zebranych, bawi ich całemi dniami; bez ustanku ją powtarzają, przy niéj nie czują utrudzenia, mianowicie przy pracy przynosi im ulgę i nowych sił dodaje. Chwila uciechy wynagradza im cało-roczne troski. Ponieważ więcéj słuchają zmysłów swoich i wrażeń, niżeli duszy, wszelkie zatém uczucia posuwają do ostateczności. Gotowi poświęcić życie swoje za pana, którego kochają; w uniesieniu wściekłości zdolni są zabić własną żonę i dzieci. Dla takich ludzi, nie ma innego prawa prócz konieczności i siły. Jest to skutek ich budowy fizycznéj i klimatu.

Ponieważ słabość duszy towarzyszy takiéj budowie ciała, Murzyni są zatém bojaźliwi, skłonni do oszustwa i zdrady. Lubią także przepych, gry hazardowne, biesiady, świetne stroje a gdy zostaną wyzwoleni i dorobią się majątku, posuwają zbytek aż do szaleństwa. Te wady są zwykłym przymiotem Afrykanów. Są przytém niezmiernie zabobonni i nie mają żadnych wyższych pojęć religijnych. Boją się jak dzieci, złych duchów, czczą węże, krokodyle, ptaki i t. d. Za butelkę rumu, każdy mieszkaniec Senegalu przyjmie i porzuci jaką bądź religią; to tylko rozumieją, co ich bezpośrednio uderza.

Cywilizacya wiele zaiste wpływa na takie usposobienie umysłu; lecz z pomiędzy rozmaitych plemion, usposobienie to najbardziéj uderzającém jest w murzynach. Okręty prowadzące handel niewolnikami, mają zawsze kilku muzykantów, a skoro ci grać zaczną, murzyni zapominają o całéj okropności stanu swojego.

W ostatnich latach, obszernie roztrząsano stopień pojętności Murzynów.

Zdaje się, że jedni za bardzo go przesadzali, a drudzy za bardzo poniżyli. Przyjaciele Murzynów, powodowani uczuciem ludzkości, usiłowali podwyższyć geniusz Murzynów utrzymując że w niczém nie ustępują białym, że stan w którym się znajdują, jest wyłączną przyczyną słabego ich pojęcia. Umieśćcie, mówią oni, młodych negrów w naszych szkołach, a potém będziecie sądzić. Tym czasem, zebrali mnogie przykłady ich pojętności, zdolności do nauk matematycznych, mechaniki, sztuk pięknych i poezyi.

Nie zaprzeczając prawdy tym pojedynczym przykładom, zwrócimy uwagę naszą na historyą Murzynów i na ich stan od najdawniejszych czasów.

Gdy ludy Europy, Azyi, a nawet dawni mieszkańcy Mexyku i Peru w Ameryce, tak wielki postęp uczyniły w naukach, sztukach i instytucyach społecznych, murzynów widzimy ciągle na jednémże i prawie na najniższym szczeblu społeczeństwa.

Jakież są ich wyobrażenia religijne, będące najpewniejszą skalą ocenienia zdolności umysłowych? Jużeśmy o tém wspomnieli nieco wyżéj.

Nigdy nie wsławili się podbojami, nie wybudowali wielkich gmachów i miast wspaniałych, nie złączyli się w jedno obszerne państwo. Nawet dla ochrony od skwarów, nie wynaleźli tych lekkich materyi, jak to uczynili Indyanie; przestają na chatach i cieniu drzew palmowych. Nie znają ani sztuk ani wynalazków, któreby uprzyjemniały ich życie. Nie mają nawet tych dowcipnych powieści jak Arabowie, będących płodem bujnéj wyobraźni. Umieszczeni obok Maurów i Abissyńczyków, Murzyni pogardzeni są od nich jako głupowaci i do niczego nie zdolni. I dla tego Maurowie bez ustanku zwodzą ich w stosunkach handlowych, najeżdżają, biorą w niewolę, a Murzyni nigdy nie połączą się dla odparcia wspólnego nieprzyjaciela. Nie posiadają pisma, ani hieroglifów, nie zachowują żadnego historycznego podania. Przy tak doskonałych zmysłach, nie mają uwagi i zastanowienia, niezbędnie do ich użycia potrzebnéj.

Obok tych wad umysłu i ciała, powinniśmy także wymienić dobre przymioty Murzynów. Są między sobą wspaniałomyślni, gościnni, litościwi. Takież same uczucia okazują dla panów, którzy umieli pozyskać ich przywiązanie. Posiadają wszystkie cno-

http://rcin.org.pl

ty serc prostych i szczerych. Ileż to bohatyrskich przykładów ich poświęcenia się przytoczyć można! Nie pamiętni uraz, często oddali krew swoją i życie temu, który przed chwilą obszedł się z niemi jak najokrutniej.

Od najdawniejszych czasów, plemie murzyńskie było zaprzedawane i zniewolone do prac najcięższych. Znajdujemy tego ślady w Piśmie Swiętem i autorach Greckich. Kartagińczycy obrócili ich do kopania kruszców. Hannon sławny żeglarz kartagiński, który odkrył południowe brzegi Afryki, powiada, że murzyni byli tém samém w owéj epoce, czem są dzisiaj, nędznemi gromadami ludzi żyjących w stanie dzikości.

Podboje Greków i Rzymian w Afryce, wprowadziły do Europy złoto i niewolników murzyńskich. Negrowie czyli Ethyopowie, służyli w Rzymie i Konstantynopolu. Zdobycze Mahometanów w Afryce, jeszcze ich więcéj upowszechniły. W połowie piętnastego wieku, Portugalczycy odkrywszy kilka wysp przy brzegach Afryki, sprowadzili ztamtąd murzynów i obracali ich do uprawy roli na wyspach Kanaryjskich. W r. 1481, Portugalczykowie zbudowali warownię Elmena na brzegach Afryki; a w czterdzieści lat potém, Alonzo Gonzales zaprowadził tam handel murzynami, który aż do naszych czasów dotrwał. »W 1508 pierwszy raz sprowadzono murzynów na wyspę Saint-Domingo, mówi Anderson: tak więc, uprawa cukru i handel ludźmi, to co jest najsłodszego i najprzykrzejszego w świecie, zaczęło się razem. Założenie licznych osad w Ameryce, rozgałęziło te spekulacye, tém większą nadało im wagę i pomnożyło ich zyski, że Negrowie nazwyczajeni do gorącego klimatu, łatwiej znoszą pracę pod czas upału i niezdrowość klimatu Ameryki, niżeli Europejczykowie i sami nawet krajowcy.

My, którzy będąc krajem rolniczym, zdala od brzegów Oceanu, nie puszczamy się na dalekie podróże morskie, nie mamy i nie mieliśmy nigdy bezpośrednich stosunków z osadami Ameryki, prawie sobie wyobrazić nie możemy, do jakiego stopnia dzikości i okrucieństwa, żądza bogactw popchnęła Francuzów, Anglików, a zwłaszcza też Portugalczyków i Hiszpanów. Nie uważali oni biednych murzynów za ludzi, za istoty podobnież jak oni dziełem ręki Stwórcy będące i od wspólnego pochodzące rodzica. Mniemali, że bałwochwalstwo, ciemnota i nędzny stan murzynów w Afryce, upoważnia do handlowania niemi jak zwierzętami; że gdy te gromady bezustanne prowadząc wojny, zabijały jeńców, przeto Europejczykowie kupując ich i obracając do pracy w osadach amerykańskich, istotną wyświadczali im przysługę; że nareście stan ich w osadach, nie jest bynajmniéj gorszy od tego w jakim zostawali w Afryce. Pozorne te rozumowania, przywodzili obrońcy handlu murzynami. Lecz nie poprzestawano bynajmniej na zakupywaniu jeńców wojennych: byłaby to niedostarczająca liczba. Podniecano jedne gromady do walki przeciw drugim; szerzono między niemi niezgodę; podarkami zachęcano do napadania na spokojne wioski i do uprowadzania mieszkańców. Za najlichsze świecidełka i za kawałki jasnego sukna i blaszki, kupowano ludzi. Tak zakupionych, ładowano na okręty, bez najmniejszego względu jak się tam pomieszczą, jak wytrzymać zdołają dwumiesięczną żeglugę. Związani rzędem, leżeli na spodzie okrętu tak blisko jeden przy drugim, iż się ani ruszyć nie mogli. Po tysiąc pięćset ładowano na jeden okręt i tyle tylko udzielano im żywności, aby nie umarli z głodu. Ztąd powstawały tak zaraźliwe i zabijające choroby, iż dwie trzecie części wymierało w ciągu dosyć krótkiej żeglugi. Takiemu to obchodzeniu się z murzynami, lekarze przypisują początek żółtej febry i morskiego tyfusu, który pustoszy europejskie osady w Ameryce.

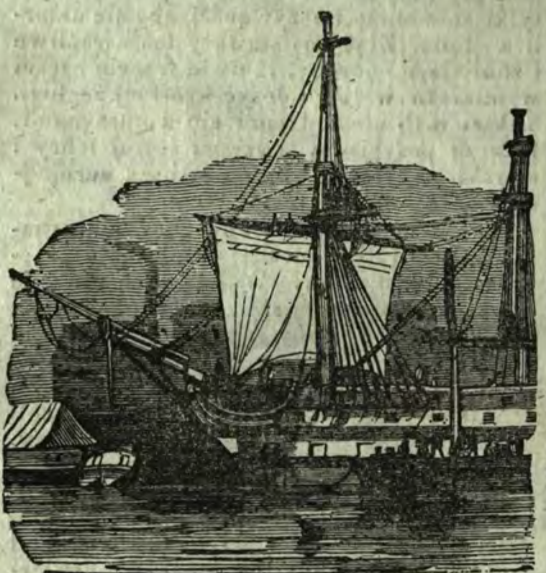
Z czasem postrzegli kupczący murzynami, jaką stratę ponoszą przez takie przeładowanie statków. Woleli więc nie tyle zabierać i łagodniej się z niemi obchodzić, ale jeszcze i to niby łagodne obchodzenie się, jakże jest przykre, jak nieludzkie!

Kwakrom należy się ten zaszczyt, że na początku zeszłego wieku, pierwsi zaczęli powstawać przeciw handlowi murzynami. Usiłowania przyjaciół ludzkości, dzieła wydawane w tym przedmiocie, wznieciły oburzenie i litość. Uchwała parlamentu angielskiego w 1807 i 1808, zniosła handel Murzynami, a traktatem r. 1815 potwierdziły ją i inne narody. Od tego czasu, Anglia i Francya surowo przestrzegają, aby z brzegów Afryki nie sprowadzano Murzynów do osad. Okręty wojenne krążą koło brzegów, chwytają i karzą tych wszystkich, którzyby sposobem przemycania tym rzemiosłem się trudnili. A jednakże tak potężna jest chciwość zysku, że dotąd handel ten zupełnie wykorzeniony nie został. Co więcej, biedni Murzyni których pod kontrabandą przewożą do osad, chowani są w przegrodach niskich i ciasnych, na umyślnie między pokładami zrobionych, aby ujść mogli przed poszukiwaniem. Nie raz się zdarza, że gdy taki kontrabandzista postrzeże z daleka nadpływający ku niemu okręt wojenny, pod banderą angielską lub francuzką, nieszczęśliwych negrów powrzuca w morze, aby z ich śmiercią ukrył ślad swojéj zbrodni. Okropny postępek, na który się wzdryga natura ludzka! opłakany

http://rcin.org.pl

dowód, do jakich zbrodni doprowadza chciwość, i brak moralności i religii!

Gdy okręt dopłynął do osad Ameryki prowadzono murzynów na targ i obnażano ich zupełnie, aby żadna wada w budowie ciała nie mogła bydź ukryta. Potem, naznaczono cenę stosownie do ich wieku, mocy i rodu: nie każde bowiem pokolenia negrów, jednakowo będą cenione. Jedne pokolenia są skłonne do pijaństwa i gnusności, inne do niechlujstwa, te mają instynkt kradzieży, tamtym nie dostaje pojęcia, inne są dzikie i nie można ich ułożyć do służby. Taki wybrakowany towar, nie znajdował nabywców, indiwidua zaś należące do pokoleń sławnych z ich fizycznych i moralnych przymiotów, bywały przepłacane na publicznej sprzedaży.



*Okręt handlujący Murzynami.*

Nowo nabytego murzyna, zostawiano z razu w spoczynku, a przez ten czas oswajano go i usiłowano poznać jego skłonności, potem wpuszczano go do gromady. Murzyni wykonywali te wszystkie prace, jakie w Europie wykonywają robotnicy i wieśniacy, ale prace te były przymuszone w całém znaczeniu tego wyrazu. Mając zapewnioną żywność, bez żadnego wynagrodzenia, bez żadnego celu usiłowań swoich, murzyni gnuśni z natury, ulegali tylko nieustannemu wpływowi siły materyalnéj. Trwała więc ciągła walka między obojętną gnusnością murzyna, a silną wolą pana co go podniecał. Pan, wiedziony chciwością, mniemał zawsze że nie dosyć pracuje, a murzyn wszelkie usiłowania obracał na to, aby się wyłamać od pracy. Możnaby sobie wyobrazić jak srogie nadużycia wynikały z takiego stanu rzeczy. Trzeba jednakże przyznać, że wiele znajduje się przesady w obrazach nędzy murzynów. Uczucia ludzkości nie były ze wszystkiém wytępione w sercach osadników, a wzgląd na ich własny interes, skłaniał ich do zaopatrywania potrzeb murzynów i szanowania ich siły. Wtedy więc tylko po większéj części wymierzali karę, gdy musieli (przynajmniéj tak się im zdawało) karać umyślne lenistwo, oraz inne występki i złe nałogi.

Kary te były rozmaitego rodzaju i po większéj części cielesne. Negrowie noszący nazwisko komandorów, dozierali roboty stojąc za gromadą pracujących, czuwali nad niemi i bezustanku trzaskali z bicza nad ich głowami. Jakkolwiek srogie były te kary, Negrowie nie tyle się ich lękali, ile pozbawienia spoczynku w dniach świątecznych i osadzenia w więzieniu.

Było to nędzne i smutne życie, jednakże Negrowie nazwyczajeni do niego, znosili je nie tylko cierpliwie, ale nawet z oznakami radości i szczęścia. Kojarzono zaraz między niemi małżeństwa, wyznaczano im chatę i kawałek pola, a ich osady większe okazywały oznaki pomyślności niżeli liczna znaczba Europejskich wiosek. Trzeba atoli przyznać, że wrodzona żyzność ziemi i bujna roślinność znacznie się do tego przyczyniała. Znajdowali się jednakże pomiędzy Murzynami i tacy, którzy nie mogli nawyknąć do swojego stanu. Ztąd wynikały częste pożary kwitnących plantacyi. Nie raz całe rodziny europejczyków, ich murzyni i bydło, ginęło od zadanéj trucizny. Inni nareście uciekali w góry i lasy i tam wiedli życie tułające się i dzikie, jak w puszczach Afryki.

Los Murzynów nieskończenie był rozmaitym, nie tylko stosownie do osobistego charakteru panów, ale jeszcze stosownie do części świata, w któréj znajdowała się osada i do narodu z jakiego pochodził osadnik.

Wiek dziewiętnasty położył tamę owym nadużyciom i zgwałceniu wszelkich praw Boskich i ludzkich. Po zniesieniu handlu niewolnikami, Anglia i Francya zajęły się obmyśleniem środków, przez które możnaby stopniami polepszyć los murzynów, oświecić ich i uczynić zdolnemi do korzystania z dobrodziejstwa prawa. Gdy dowóz murzynów coraz to był trudniejszy, osadnicy starali się zastępować ich przez najmowanie robotników z rodu metysów i mulatów. Wydano postanowienie, że każdy murzyn może się wykupić za oznaczoną kwotę. Wielu korzystało z téj sposobności. Nareście ostatnie postanowienie

http://rcin.org.pl



*Obchodzenie się z Murzynami.*

parlamentu angielskiego, zniosło niewolę w osadach. Francya dąży do tegoż samego celu. Wyprowadzenie murzynów na osadach ze stanu w jakiem się jeszcze znajdują, potrzebuje znacznego lat przeciągu i długiej wytrwałości. Nie jest jednakże niepodobieństwem i przyjaciele ludzkości cieszyć się mogą tą nadzieją, że murzyni chociaż nie wyrównywający plemionom białym co do rozwinięcia władz umysłowych, wykształcą się z czasem na pracowitych i rządnych mieszkańców, i w równi z innemi, będą mogli używać opieki rządu i dobrodziejstw oświaty.

Przy ukończeniu tego artykułu, jeszcze jedna nastręcza się uwaga. Usamowolnienie murzynów i zniesienie obmierzłego kupczenia ludźmi, nigdzie większego nie znajduje oporu, ile w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. Prowincye południowe tych Stanów, gdzie właściciele nie mogą uprawiać gruntów swoich bez użycia murzynów, stale sprzeciwiają się wszelkim zmianom, a nawet zagroziły oderwaniem się od związku, gdyby zniesienie handlu murzynów i usamowolnienie ich miało nastąpić. Tak to zazwyczaj, ludzie którzy mają w ustach ulubione swe zasady i teorye, zapominają o nich w praktyce, skoro tylko potrzeba część własnego interessu poświęcić, aby je przywieśdź do skutku.

## OPOWIADANIE NIEBOSZCZYKA.

*Fantazya.*

Umarłem! — Żal mi było świata i płakałem wraz z żoną i dziećmi nad własnemi zwłokami. Pomagałem śpiewać żałobne psalmy, ale głosu mego nikt nie słyszał: nadeszła chwila, włożono mię w cztery deski, zawieziono na cmentarz i pochowano. Zimno surowej ziemi przejęło do kości, sen skleił oczy, długo spałem. Jednej nocy, xiężyc był w pełni, promień blady przez szczelinę zaświecił, uderzył zziębłe moje ciało i wychyliłem głowę z mogiły.—»Jak pięknie

http://rcin.org.pl

na świecie! i kiedy napawałem się widokiem ślicznéj nocy, przyszła mi na myśl żona, co porabia, i dzieci jak się mają, czy nie zapomniały swojego ojca.

Obwinąłem się w prześcieradło moje, potarłem pięć palców o deskę trumny, zajaśniały mocném światłem,(*) wtedy pewny że nikt mnie nie zobaczy, ruszyłem w drogę. Serce biło gwałtownie; ujrzawszy światło w oknach mojego domu; wchodzę na schody, słyszę gwar w moim pokoju, gdziem spokojnie lat 30 pisał i czytał: gdzie stał niemały xięgozbiór w dużych szafach. — Otwieram drzwi zamknięte, i widzę jak żona moja, owa niegdyś tak przywiązana małżonka, wystrojona siedząc na bogatéj kanapie, przyjmowała oświadczenia miłosne wypiżmowanego młokosa. Żal serce ścisnął, a tem bardziéj widząc na ścianie mój portret w który wpatrywała się pilnie. Sądziłem, że moja pamięć, zostawione czworo dzieci, które nie chciały ojczyma, spowodują żonę do odrzucenia zalotów: niestety! przyjmowała je bardzo poufale: a ja zgrzytałem zębami na próżno; tupałem wilgotną stopą nadaremnie, bo nie słyszeli moich uniesień, nie widzieli osoby. Nieszczęsne palce, którem zapalił w grobie, niewidzialnym mnie zrobiły: a chciałem, chciałem wtedy, żeby wiarołomna żona, co przysięgała że umrze po mnie zaraz, zobaczyła oblicze wściekłe, męża co obwinięty płachtą zaczerniałą, z zapadłym iskrzącym wzrokiem, ścigał każde poruszenie, rachował słowa miłosne!

Drzwi skrzypnęły, wszedł jakiś mężczyzna i trzymał w ręku zwój papieru: z oświadczeniem że przyniósł różne plany do wyboru, dla wystawienia mi pomnika kamiennego. — Żona westchnęła boleśnie, usunął się nieco młokos na stronę, a ja zająłem jego miejsce. Zdawało mi się, że łzy płynęły z oczu mojéj niegdyś kochanéj żony. Rozrzewniony, podobnie jak ona chustką haftowaną, tak ja moją płachtą ocierałem blade lica. Gdy przybyły artysta, bo nie wiem co za jeden, rozwinął plany, upodobałem sobie jeden, gdzie na wysokiéj kolumnie duża xięga roztwarta zawierała spis dzieł którem wydał za życia, a tę xięgę geniusz nieśmiertelności unosił. Lecz się moja odezwała żona: »Nie chcę tego po»mnika: prawda że mój mąż nieboszczyk (tu otarła chustką oczy) bazgrał całe życie, »ale to wszystko na nic się nie zdało: le»piej byłby zrobił gdyby więcéj majątku »dzieciom zostawił: a dużo stracił mówiąc »między nami, na xiążki. Było ich szaf kil»ka, wyrzuciłam te graty.»

(*) Ręka trupa zapalona usypia wszystkich, a niosącego takową niewidzialnym czyni. Przesąd ten trwa dotąd w Polszcze i na Rusi.

Wtedy obejrzałem w około i dostrzegłem dopiero, że nie ma ani szczętu z zamożnéj biblioteki, co dla mnie była potrzebą i rozkoszą życia.

—»Ci ludzie, odezwał się młokos, poprawiając przed zwierciadłem czuba, zawsze głupstwa robią: i mąż pani, może był najuczciwszy człowiek, ale widać że pstro miał w głowie, że na co lepszego, naprzykład na uprzyjemnienie życia, tych pieniędzy nie obrócił, które zmarnował na xięgi.

—»Ale, rzekła żona, był dobrym ojcem, chociaż nudnym mężem: oto jego wizerunek, jak go pan widzisz że siedzi i pisze: tak całe ze mną spędził życie; prawie zawsze siedział i bazgrał: a ja tęskne godziny musiałam przepędzać i zatruwać wiosnę życia.

—»Za to, mówił z cicha, ściskając ją za rękę, nagrodziemy sobie: a widziałem jak zyskał uśmiech wesoły.

Odwróciłem oczy, aby na dalsze umizgi nie patrzeć i razem z planistą nagrobkowym, wyszedłem z domu, przeklinając świat obłudny i nietrwałość uczuć, a niestałość ludzi!

Chciałem odetchnąć swobodniej, poszedłem więc do mego xięgarza, co darmo brał odemnie rękopisma, a drukował i zyskiwał nie mało: chcąc wiedzieć co mówią o dziełach moich, nad któremi ślęcząc, styrałem zdrowie, osłabiłem oczy, dużo ponosiłem nakładu, a żadnego zysku: lecz ta myśl mię pocieszała zawsze, że pamięć moja przejdzie do potomności, i sława razem z ciałem nie zejdzie do grobu.

Wchodzę, i trafiam jak właśnie szydzą z dzieł moich, a xięgarz ubolewa że nie chcą kupować, bo już zapomniano o autorze. Uciekłem co prędzéj i wolałem leżeć w mojéj mogile.

## II.

Upłynęło lat dwanaście, gdy pobudzony chęcią zobaczenia dzieci moich, w pełni xiężyca wyszedłem za bladym promieniem z grobu. Już było mi cięźéj nieco, bo stał pomnik grobowy z kamienia, a na nim wyczytałem napis:

»NAJLEPSZEMU MĘŻOWI I OJCU, NIEUTULONA W ŻALU ŻONA, TEN POMNIK NA WIECZNĄ PAMIĘĆ WYSTAWIŁA.»

»Dobrze się pocieszać umiesz, (pomyślałem) w nieutulonym żalu, i prędko znalazłaś pocieszyciela!» Lecz zapomnijmy o żonie, jest to słabe i ułomne stworzenie, przebaczam jéj wszystko, a śpieszmy zobaczyć dzieci. Trzej chłopcy już wyrość musieli, a mojéj czteroletniéj Klary zapewne

http://rcin.org.pl

nie poznam. Ale gdzież ich szukać, zapewno nie ma ich w domu matki.»

I szedłem zasmucony w miasto: przeniesiony nagle z ciszy grobowéj do zgiełku i wrzawy, mało nie ogłuchłem: zboczyłem przeto na ustronną ulicę i niechcący stanąłem na przeciw własnego domu. — Karta z napisem *Kassyno*, zdziwiła mię mocno, słychać muzykę krzykliwą i krzyki wesołéj gawiedzi: a za życia mego w domu tym cichość panowała klasztorna. Zajrzałem w roztwarte podwoje i usłyszałem głośno wyrzeczone moje nazwisko. Sądziłem że drużyna hulacka spostrzegła moją postać, już chciałem cofnąć się nazad: gdy dostrzegłem na środku sali młodzieńca dorodnego, z butelką w ręku, jak częstuje wszystkich bez braku! Ach! był to mój syn najstarszy, wielce podobny do mnie!

»Pij synku i hulaj na nieszczęście! zawołałem z boleścią, lecz głos mój nie doszedł niczyich uszu! A mój Wacław rozmarzony trunkiem prowadząc rej przed wszystkimi, równie dobrze wysuszał butelki jak się zalecał hożym dziewczętom.

Patrzałem z rozkoszą na dorodne oblicze młodzieńca i wzrost topolowy; wspomniałem na lata mojéj wiosny i przebaczyłem mu wszystko!

Wspomniałem na moją Ludwikę, która mieszkała w tymże domu; będąc tak blisko, poszedłem do niéj. Dwanaście lat wyryło na jéj twarzy nie mało zmarszczek! Stara i pochylona, samotnie choć już późno siedziała nad robotą, w jednéi tylko izbie. Krótko z młokosem używała świata... a gdy stracił co miała, opuścił ją i zapomniał! Spojrzałem w około... mój portret wisiał nad jéj łóżkiem, a Ludwika często nań spoglądając rzewliwie płakała: »O ty! mój przyjacielu, rzekła z boleścią: przyjacielu, jedyny ojcze i mężu! Był czas że zapomniałam ciebie na chwilę, a dziś twoja pamięć jest mi jeszcze droższa. Zmarło dwóch synów, najstarszy hula po nocach i traci mienie i zdrowie: jedna Klara, podpora lat starych, żywi matkę i kocha ciebie zawsze, choć nie pamięta oblicza twojego.« Klaro! Klaro! wołała na córkę, a gdy nie odebrała odpowiedzi: musi bydź, mówiła z westchnieniem, przy grobie ojca, tam ona często modli się i płacze!

Wybiegłem z domu: patrzę... obok mego pomnika klęczy moja Klara. Uszczęśliwiony padłem w mogiłę, dziękowałem Bogu że zobaczyłem wszystko co mi drogie było i zapragnąłem wiecznego spoczynku. Bo i na cóż odżywiać się z grobu, gdy wszystko zniknie co miłe i drogie dla serca? Zamknąłem oczy, martwieją mi nogi i ręce, serce przestaje bić na zawsze, a jeszcze ze śpiewem słowika, co nóci wśród krzewów cmentarza, słyszę cichą modlitwę mojéj Klary, żywiącą łzami i sercem pamięć zmarłego ojca!

---

## NAUKA ZDROWIA.

PRZEZ DOKTORA BOURDON.

(Dokończenie.)

Oddychanie jest pierwszą potrzebą życia, człowiek oddycha 15 do 20 razy na minutę. Byłoby daleko niebezpieczniéj, nie oddychać przez dwie minuty, aniżeli pozostać przez dwa dni bez snu i pożywienia.

Przytaczają przykłady, że ludzie stracili życie nie zostawszy dłużéj jak minutę pod wodą. Co się zaś tycze przykładów, że ocucono ludzi, którzy kilka godzin byli zanurzeni w wodzie, pozorny ten wyjątek pochodzi ztąd, że zemdleli w chwili utonienia, a w omdleniu gdy serce bić przestanie, płuca mogą także nie oddychać.

Na szczęście nasze, oddychanie odbywa się samo bez udziału naszéj woli: instynkt życia zaopatruje sam tę bezustanną potrzebę. Ani nasze dziwactwa, ani lenistwo, ani roztargnienie, ani sen, ani nudy, ani namiętności, nie wpływają na oddychanie. Dopełnia się, chociażby nawet wola nasza chciała je przerwać.

Wiadomo, że powietrze którem oddychamy, składa się z gasu kwasorodnego i saletrorodnego, zmieszanego jak jeden do cztérech. Powietrze wychodzące z płuc naszych po odetchnięciu, ma nie tyle gazu kwasorodnego, a w to miejsce napełnia się gazem węglowym i wyziewami wodnemi i z tego powodu jest niezdatnem do oddychania. Podług doświadczenia pewnego chemika, kot silny, zamknięty pod wielkim dzwonem szklanym, przestał żyć po pięciu godzinach i 48 minutach, pośród niesłychanych cierpień.

Najszkodliwszą częścią w powietrzu wyszłym z płuc, jest gaz węglowy. Tam więc gdzie nie podobna odmienić powietrza, lepiéj jest użyć wody wapiennéj, która wciąga w siebie gaz węglowy, aniżeli pomnażać gaz kwasorodny, paląc saletrę i siarkę.

Nazwyczajenie nie działa bynajmniéj na gaz szkodliwy.

Zupełny brak albo zbytecznie krótki sen, jak najszkodliwiéj działa na zdrowie a nawet i na charakter.

Trudno jest bydź zdrowym, jeźli się nie śpi przynajmniéj sześć godzin w nocy.

Potrzeba 9 do 10 godzin snu dziecięciu i przychodzącemu do zdrowia, 8 młodéj kobiecie, 7 człowiekowi zatrudnionemu, 6 próżnującemu, a 5 starcowi.

http://rcin.org.pl

Cztery godzin snu w nocy, więcéj daje sił i zdolności do działania, niżeli sześć godzin snu we dnie.

Jednakże w krajach gorących, jakoteż pod czas letnich upałów w naszym klimacie, można około południa zasnąć na parę godzin.

Mało kawy zrządza bezsenność, jéj większe użycie prowadzi za sobą uśpienie, a czasem nawet obłąkanie. Toż samo czyni wino i likwory.

Sen odbiera apetyt; dla tejże saméj przyczyny dla któréj wraca siły. Bo wówczas nie tylko organa spoczywają sobie, ale jeszcze i pożywienie całodzienne rozdziela się po ciele.

Większa część ludzi śpi pochylona na prawą stronę ciała. Nałóg ten wynika z położenia wątroby i serca. Wielu z młodych ludzi daremnie usiłowałoby leżeć na bok lewy: mocne bicie serca, wkrótce by ich obudziło.

Ale kiedy w ciągu życia serce już jest spokojniejsze, potrzeba nazwyczajać się do sypiania raz na tę, drugi raz na drugą stronę. Kto zatém przez sen nie może się odwrócić, ten niechaj najprzód kładzie się na bok lewy, aby trawienie ukończyło się bez przeszkody, a potém niechaj położy się na bok prawy.

Pamiętać trzeba, że sen spokojny działa na humor i na umysł jakoteż na zdrowie i szczęście. Wiele osób dla tego tylko są źli, chudzi, cierpiący, kłótliwi, ponieważ źle śpiąc źle trawią.

Źli ludzie mało sypiają.

Kwiaty których stawiania w pokoju sypialnym, potrzeba jak najbardziéj unikać, są lilia, róża, jaśmin, goździki, wydają bowiem najwięcéj gazu węglowego.

---

## NA ZGON DZIECIĘCIA.

*Przez Alex. Hr. Fredra.*

*Naśladowanie z pieśni gminnéj.*

Już cię nie ma moje dziecię,
Już cię nie ma na tym świecie!
Już się jutro razem z zorzą,
Twoje oczka nie otworzą.
O dziecino moja miła,
Już nie będziesz się bawiła;
Nie uściśniesz mnie rączkami,
Nie popieścisz twojéj matki,
Nie rozczulisz twemi łzami,
Nie ucieszysz twą swawolą,
Sama będę pośród chatki,
Sama, sama z mą niedolą.
Ach! kochane moje dziecię,
Już cię nie ma na tym świecie!

---

Już nie będziesz kwiatków zbierać,
Niemi kręty włos ubierać;
Biegać, igrać, skakać w domu,
Ach! nie będzie dzisiaj komu!
O córeczko ulubiona,
Nie przytulisz się do łona!
Twoja główka na dół spada
Jakżeś zimna, jakżeś blada!
Ach! kochane moje dziecię,
Już cię nie ma na tym świecie!

---

Ach! już słyszę, już ci dzwonią,
Już cię wezmą bracia moi,
I na górze, gdzie krzyż stoi,
Mokrą ziemią cię osłonią.
Już cię nigdy nigdy nie zobaczę!
Ach! niech jeszcze, dziecię moje,
Nad twą główką raz zapłaczę.
Potém, potém, o niebożę!
W koszuleczkę cię ustroję,
I w trumienkę małą włożę.
Moje dziecię, lube dziecię,
Już cię nie ma na tym świecie!

---

Już ją kładą w grobek mały...
Na toż mi ją nieba dały,
Drogą, lubą mą dziecinę?...
Ach! wstrzymajcie jeszcze linę,
Nie rzucajcie grudek jeszcze,
Ja ją sama wprzód umieszczę,
Sama wpuszczę w dół głęboki,
Ścisnę jeszcze zimne zwłoki.
Córko, córko! córko moja!
Matka żegna, matka twoja!
Córko słuchaj, matka płacze...
Ach! powoli sypcie glinę,
Na trumienkę, na dziecinę.
Już jéj nigdy nie obaczę!...
Ach kochane moje dziecię,
Już cię nie ma na tym świecie.

---

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

http://rcin.org.pl

# SWIĘTA KAPLICA.



Do rzędu znamienitych gmachów, które zniszczyła albo też uszkodziła niezmiernie, niebaczna chęć odnawiania wszystkiego, należy kościół pod nazwiskiem Świętej Kaplicy w Paryżu. Dwie ryciny tego gmachu, wyobrazające jego zewnętrzną i wewnętrzną postać, umieszczamy, jako widok przyjemny dla oka a zarazem będący uzupełnieniem wyobrażenia o gotyckiéj architekturze, którąśmy skreślić usiłowali w artykułach temu przedmiotowi poświęconych, a znajdujących się w zeszytach 39tym i 40tym Muzeum Domowego.

Obok tego, dajemy krótką wiadomość o tym gmachu, o ile tenże czytelników naszych obchodzić może.

Cesarz Konstantynopolitański Baldwin, odstąpił Ludwikowi Swiętemu królowi francuzkiemu, koronę cierniową Jezusa Chrystusa. Monarcha rozkazał architekto-

http://rcin.org.pl

wi Piotrowi z Montevau, aby wystawił przybytek godny tak wielkiéj świętości. Budowniczy naśladował architekturę saraceńską, już oddawna znaną i cenioną w Europie. Wnętrze téj kaplicy dzieli się na dwa piętra, jakto widziemy na rycinie umieszczonéj na stronnicy czwartéj.

Swięta Kaplica miała tytuł i przywileje parafii królewskiéj i w niéj odbywało się wiele pamiętnych obrzędów w historyi francuzkiéj; jéj duchowieństwo posiadało bogate uposażenie.

Ten szanowny pomnik uszkodzono w czasach rewolucyi i kawałami przeniesiono go do Muzeum założonego w kościele Ojców Augustyanów. Dziwne wówczas miano wyobrażenie o pomnikach. Mniemani gorliwi ich zbieracze, nie pamiętali, że odłam rzeźby, marmur, lub cegła oderwana z miejsca swojego, pozbawione tego uroku jaki im nadaje miejscowość, będą tylko kawałem gruzu; poniszczyli zatém najpiękniejsze zabytki i zbierali ich ułomki w jedno miejsce. Zewnętrzne ozdoby Kaplicy Swiętéj uległy także zniszczeniu, a wnętrze obrócono na archiwum akt stanu cywilnego.

## SIOSTRA MIŁOSIERDZIA.

Obłąkanie umysłu jest jedną z najsmutniejszych chorób, którym ludzie podpadają. Znamienici lekarze, filozofowie i przyjaciele cierpiącéj ludzkości, poświęcają biegłość i trudy swoje, dla przyniesienia ulgi tym nieszczęśliwym, którzy postradali najdroższy przymiot natury ludzkiéj. We wszystkich oświeconych krajach Europy, pozakładano instytuta, w których różnemi sposobami starają się leczeć obłąkanych. Następujące zdarzenie opowiada pewien autor francuzki.

Przed trzydziestą laty, gdym jeszcze był audytorem w radzie stanu, otrzymałem polecenie abym zwiedził szpitale i instytuta lekarskie wielu departamentów. Obowiązek ten, sprowadził mię do miasta N..... gdzie znajdował się instytut, leczeniu obłąkanych poświęcony.

Przebiegłem część gmachów gdzie byli mężczyźni. Ekonom i lekarz oprowadzali mię z izbedki do izbedki, z zimną krwią pokazując mi ten opłakany obraz nędzy. Poczciwi ci ludzie, gorliwie poświęcając się tak smutnym obowiązkom, z obojętnieli przecież na cierpienia bezustannie nasuwające się przed ich oczyma. Zdawało się, że mi pokazują sale muzeum i tłomaczą przedmioty z historyi naturalnéj. Przemawiali do mojéj ciekawości, opisywali paroxyzmy szaleństwa, których wtéj chwili nie byłem świadkiem; opowiadali wściekłość tych nędzarzy, którzy teraz spokojnie i bez siły leżeli w kącie swojéj przegrody. Pobudzali do rozmawiania spokojniejszych obłąkanych, którym wolno było chodzić po dziedzieńcu. A ja, nie mogłem przezwyciężyć mego wzruszenia; przejmowało mię uczucie wstrętu i litości, często włosy powstawały mi na głowie. Pragnąłem czém prędzéj ukończyć ten smutny przegląd i opuścić to nieszczęsne miejsce.

Przeszliśmy do szpitala kobiet. Zaprowadzono mię najprzód do sali gdzie się znajdowały siostry miłosierdzia usługujące chorym. Ledwie słów kilka rzekliśmy do przełożonéj, gdy młoda siostra zbliżyła się do lekarza i bojaźliwym lecz łagodnym głosem rzekła: »Jakże się ma dzisiaj?» Spojrzałem na nią uważniéj. Była młoda i piękna; na jéj twarzy, malował się głęboki smutek. Doktór odpowiedział: »Cóż robić! nie ma żadnéj nadziei. I obracając się do mnie, rzekł: »Pyta się o obłąkanego, którym się mocno zajmuje.» Ekonom przydał: »To jest ten z pod Nr. 17, którego pokazywałem panu. Przypomniałem sobie żem widział młodego człowieka przywiązanego do łóżka i wydającego przerażające krzyki.

»Dla czegóż tak się zajmuje tym nieszczęśliwym? rzekłem. — »Jest to bardzo smutne zdarzenie, odpowiedział lekarz.

Siostra Miłosierdzia, dosłyszawszy iż o niéj mówią, odeszła natychmiast. Twarz jéj wyrażała ponurą rozpacz. Przełożona rzekła naówczas. —»Panie, jeźli chcesz poznać okropny wypadek, który w te miejsce sprowadził siostrę Małgorzatę i skłonił ją do wykonania ślubów zakonnych, pokażę panu opisanie własną jéj ręką skreślone. Gdy weszła do nas, albo raczéj gdy chciała rzucić się na łono Boga, biedna ta dziewczyna, nie miała tyle siły aby mi opowiedzieć swoją historyą. Napisała ją szczegółowo i oddała mi ten opis.

Skróciłem przegląd; wyobraźnią moją uderzyło mocno to wszystko com widział i słyszał. Ciągle miałem na myśli smutną postać siostry Małgorzaty. Przy odejściu, przełożona oddała mi pismo. Natychmiast wróciłem do domu i przeczytałem następujące wyznanie.

»Jestem jedyną córką lekarza znanego bardzo w prowincyi.... Uważano go powszechnie za uczonego i słusznego człowieka. Szczególniéj poświęcił się leczeniu chorób umysłu. Po śmierci mojéj matki, założył nawet instytut dla obłąkanych i zajmował się niemi gorliwie. Był to dom wielki z obszernym ogrodem. Nie wielu przyjmował chorych i każdym zatrudniał się jak najgorliwiéj z szczególną starannością.

Mieszkałam z ojcem w oddzielnéj oficynie. Nie chciał abym patrzała na okropne obrazy szaleństwa. Nigdy nie zbliżałam się do tego skrzydła domu, gdzie zamknięci byli szaleńcy niebezpieczni, z któremi obchodzono się surowo. Jednakże słyszałam niekiedy ich krzyki i dreszcz przenikał moje serce.

Ale ci których obłąkanie było spokojniejsze, albo też przychodzący do zdrowia, mogli przechadzać się po ogrodzie. Używali prawie zupełnéj swobody, zbliżali się do naszego pawilonu i byliby mogli otworzyć furtkę rozdzielającą ogród od małego obwodu przeznaczonego dla nas. Nie wolno im było czynić tego: ale nie zawsze znajdowali się przy nich dozorcy, a prócz tego, mój ojciec żądał aby jak najłagodniéj obchodzono się z niemi.

Pewnego dnia, chcąc usiąśdź na ławeczce, gdziem zazwyczaj pracowała albo czytała, ujrzałam nieznanego młodzieńca; cofnęłam się natychmiast, a nawet z niejakim przestrachem.

—»Ach pani! rzekł do mnie: jakże jest boleśnie obudzać tak wielki wstręt, że nawet litość przytłumia.» Te słowa uczyniły na mnie przykre wrażenie. Nie chciałam sobie wyrzucać że pomnażam cierpienia i tak już nieszczęśliwej istoty; pomyślałam także iż przez to mogłaby się powiększyć, albo odnowić jego słabość. —»Pan zapewne chce mówić z moim ojcem, rzekłam. Zrozumiał że udaję iż go poczytuje za obcą osobę.—»Jestem z tego domu, odpowiedział, jednym z tych nieszczęśliwych, których twój ojciec, pani, chce uleczyć. Wiesz o tém dobrze. Boisz się mnie, ale bądź pani spokojna, nikomu nic złego nie czynię: mówią nawet że od niejakiego czasu jestem rozumniejszy. Aby ci tego dowieśdź, odchodzę; nie powinienem bydź w tém miejscu; wszakże to jest zabroniono? Wstał i odszedł spokojnie, a ja zostałam, bardzo pomieszana.

Powiedziałam ojcu o tém spotkaniu. —»Jest on w istocie bardzo łagodny, rzekł do mnie, i zdaje się że nie ma wielkiego pomieszania umysłu; wahałem się nawet, czyli go przyjąć do mego instytutu. Kto inny nie ja, byłby go poczytał za człowieka będącego zupełnie przy zdrowych zmysłach, ale tak znam się na téj smutnéj chorobie, iż pewien jestem, że powiększy się jego obłąkanie. Dla tego też poddałem go pod zbawienne przepisy, a nadewszystko usunąłem od niego wszelkie okoliczności, pośród których zamącił się jego rozum.

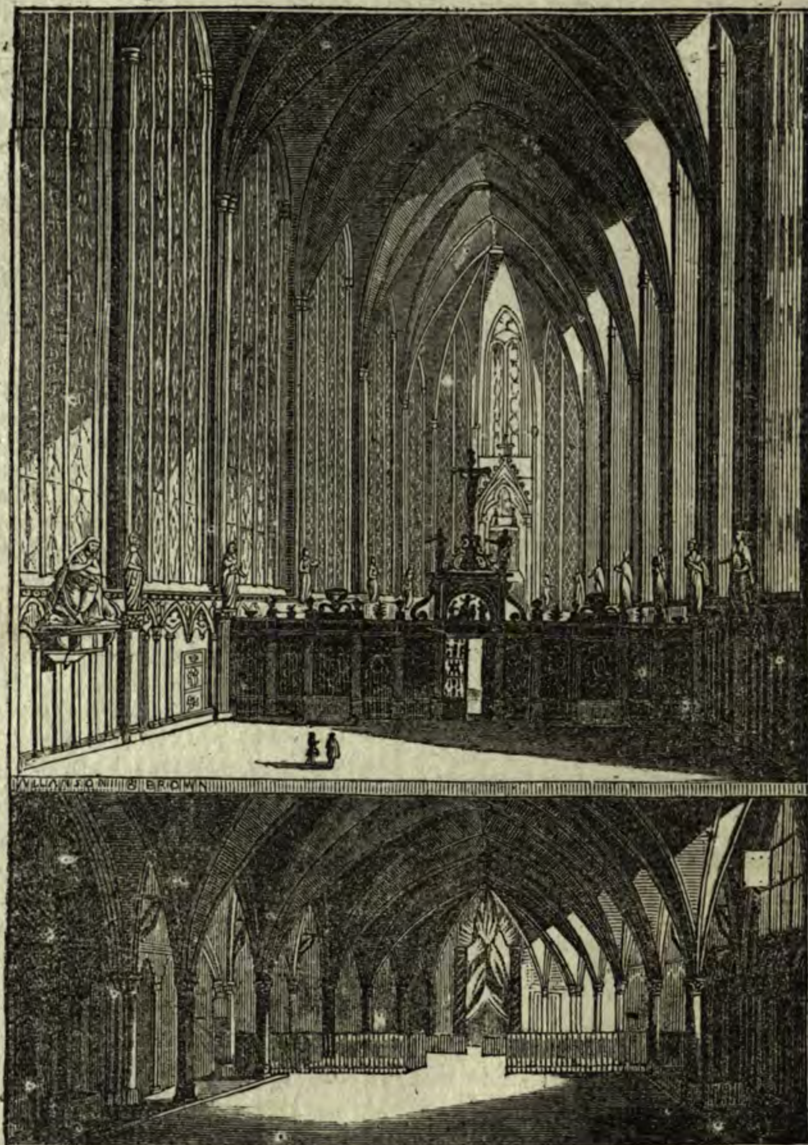
—»Mój ojcze, zapytałam się ciekawie, na czémże polega jego obłąkanie?

—»Dziwna jest, odpowiedział, a jednakże nie bez przykładna; rozumie, że jest szalony i ma niezbytą i melancholiczną myśl o złym stanie swego rozumu. Zastanawia się sam nad sobą, wmawia w siebie że jest szalonym i rozpacza. Niczém go przekonać ani pocieszyć nie można. Żadna praca, żadne zatrudnienie, nie rozerwie go wcale. Rozumie że jest do niczego niezdolny i utrzymuje że nie pojmie xiążki którą czyta, że ucieka przed nim ciąg myśli: i tak jest w rzeczy saméj. On to sam przyszedł do mnie, prosząc abym go przyjął do mojego instytutu. —»Tu jest moje miejsce, rzekł, już nie powinienem żyć z ludźmi zostającemi przy zdrowym rozumie.

Chciał obejrzeć stancye, wybrał z nich jednę, kazał przynieść do niéj swoje sprzęty, ułożył się ze mną i wprowadził się w dniu który sam wyznaczył, będzie temu trzy tygodnie. Od tego czasu już jest zdrowszy. Stale oznaczony sposób przepędzania godzin, dobrze działa na niego. Drażniły go szyderstwa albo odradzania przyjaciół. Jego uwidzenie zakorzeniało się, ponieważ chciano je zbijać. Tutaj nikt mu o niém nie mówi i on także. Nie staram się dowodzić mu że jest przy rozumie. Ale chociaż tego jeszcze nie przyznaje sam przed sobą, porównywa się z innemi szaleńcami, uderza go ich stan i zaczyna przekonywać się, że nie jest do nich podobny.

Zajęło mię to opowiadanie. W parę dni potém zapytałam się o tego młodzieńca. —»Jego choroba zmieniła trochę swój charakter, rzekł do mnie ojciec: miał paroxyzmy gwałtownego szaleństwa, lecz dla tego nie należy rozpaczać o jego uzdrowieniu. Ten rodzaj słabości nie jest może tak trwały jak spokojne i ciągłe przekręcenie wyobrażeń; ale nie należy zostawiać go w pobliskości innych obłąkanych, których paroxyzma mogłyby szkodliwie działać na niego. Chcę dać mu pokoik w naszym pawilonie. Uczynię to, jeźli w przeciągu dni kilku, nie będzie miał nowego paroxyzmu. Obchodzi mię ten młodzieniec i muszę go uleczyć.

W tydzień potém, siedziałam na ławce, gdym go postrzegła otwierającego spokojnie drzwi naszego ogródka. Gdy już wchodził, jeden z dozorców rozkazał mu surowo, aby się wrócił i chciał go nawet odprowadzić. Jakieś drżenie, jakaś błyskawica okazała się w oczach chorego; oburzyło go to przeciwieństwo. Przelękłam się, jego oczy były we mnie wlepione, zrozumiał com uczuła i uspokoił się natychmiast. Na jego twarzy malowała się uległość, pokora i smutek, już był posłusznym dozorcy, gdy ojciec mój postrzegłszy to wszystko z okna, zawołał: »Dajcie mu pokój, nic nie szkodzi.




WIDOK WEWNĘTRZNY SWIĘTEJ KAPLICY.

(Rycina należąca do pierwszéj stronnicy).

Młodzieniec obrócił się ku niemu: »Ach panie! jakże jesteś dobry! rzekł. Dźwięk jego głosu rozproszył moją obawę. Zbliżył się do mnie i usiadł na ławce.

—»Wiele wycierpiałem! rzekł, od czasu jakem był wszedł do tego ogródka. Choroba uczyniła straszliwe postępy. Przewidywałem to; ojciec pani nie chciał mi wierzyć. Już się stało! Brzydzę się życiem, gdy mam go pędzić w tym stanie. Wolę umrzeć raczéj, niżeli bydź przedmiotem przestrachu i wstrętu. Nie wiem jak śmiem stanąć pani przed tobą; wstydzę się mojego obłąkania. Wystaw sobie pani, że trzeba było związać mię; chciałem ich zabić!.. Ach! jakże surowo obeszli się ze mną. Ten kaftan... te więzy... a przytém te grubijańskie wyrazy! Ojciec pani nie wie o wszystkiem.

Zapalał się tém smutném wspomnieniem; zatrzymałam go, uspokoił się. —»Mój ojciec úważa, iż pan jesteś daleko zdrowszy, odpowiedziałam: mówi że wyjdziesz z tych paroxyzmów gorączki. —»Nazywaj

http://rcin.org.pl

pani, rzecz każdą właściwém nazwiskiem, zawołał, nie oszczędzaj mię. Mam jeszcze tyle rozumu, że mogę pojąć ostrożność twoją, ona mię boleśnie rani. Po prostu miéj litość nad biednym waryatem.

—»Pan sam jesteś przyczyną swojéj słabości, Gdybyś nie oddawał się melancholii i przesadzonym wyobrażeniom, nie byłbyś tak chory. Pewna jestem, że doznałeś zmartwienia, żeś był nieszczęśliwym.

—»Ach! tak jest! byłem nieszczęśliwym, opuszczono mię, zdradzono, nikt nie użalił się nademną, nikt mię nie zrozumiał. Mój umysł nie mógł znieść tych ciosów. Tu dopiero, tu, w domu obłąkanych, znalazłem nieco litości i współuczucia. Dzięki składam twojemu ojcu i tobie pani, że do mnie mówisz tak łagodnie i rozlewasz balsam na moje serce, uspokajasz mię i stwarzasz we mnie to mniemanie, że jestem takim jak wszyscy ludzie.

Nie doznawałam obawy, jednakże byłam niespokojna, bo skoro tylko mówić zaczynał, unosił się zaraz. Wyrazy jego były krótkie i przerywane, głos się wzmagał, jakaś czczość i zamęt pozostawały w jego myślach.

Mój ojciec przyszedł do nas. Jego obecność czyniła mocne wrażenie na obłąkanym, stał przed nim jak dziecię przed nauczycielem. Rzekł do młodzieńca:

—»Miło mi jest żeś nas odwiedził; możesz to czynić niekiedy, ale musisz bydź roztropnym i spokojnym: gdyż nie dozwalałbym ci rozmawiać z moją córką.

Bywał zatém; nie odnowiły się paroxyzmy i zwolna co raz to mniej mówił o swojém obłąkaniu. W umyśle jego obudzały się wspomnienia lat dziecinnych i pierwszéj młodości. Od dawna postradał rodziców, ojciec jego umarł w obłąkaniu: ta właśnie okoliczność największe wrażenie uczyniła na nim: obawiał się, aby choroba nie była dziedziczna. Opowiadał mi swoje samotne życie na wsi, swoją wrodzoną smętność, czas przepędzony w szkołach, gdzie taką przykrość zrządzały mu szyderstwa współuczniów, małe upodobanie do zabaw młodzieńczych i towarzyskiego życia; mówił, iż mu się zawsze zdawało, że go miano za śmiesznego i nieprzyjemnego człowieka, iż wszyscy zmawiali się przeciw niemu, że w głęboki smutek wpadał, oddając się myślom, których bezzasadność uznawał niekiedy; nareście wynurzał przedemną całą historyą duszy bojaźliwéj, nieufnéj, słabéj i że tak powiem skazanéj na postradanie rozumu.

Obecność moja dobrze na niego działała; czułam to i bardzo słodkiéj doznawałam radości. Słuchałam go, nie sprzeczając się z nim nigdy i zajmując się tém wszystkiém co mi opowiadał. Przerywałam mu tylko niby z przypadku, gdy się za bardzo unosił i nigdy nie dopuszczałam aby się zamącały jego wyobrażenia. Częstokroć, aby go rozerwać, aby przeciąć bieg melancholicznemu uniesieniu, śpiewałam przy dźwięku gitary. Była to dla niego wielka rozkosz i niezawodnie się uspokajał. Wówczas, biedny ten młodzieniec przyrównywał się do szalonego Saula, którego uspokajały pienia Dawida: płakał na tę myśl i ja także płakałam.

Mój ojciec uznał, że tak dalece przyszedł już do siebie, iż można mu dać pokoik w naszym pawilonie; coraz to bardziéj przywiązał się do niego i pochlebiał sobie, że go zupełnie uleczy.

Od tego czasu, zostawał pomiędzy nami i był spokojny; charakter miał bardzo łagodny, obejście się przyjemne i skromne. Cały dzień prawie przepędzał ze mną; nie lubił samotności, gdyż rzeczywiście szkodliwy wpływ wywierała na niego. Zaczął zajmować się naukami, ale nie miał jeszcze dosyć uwagi i spokojności, aby mógł czytać długo. Powierzał mi wszystkie swoje wrażenia i uczucia, lubił mówić o sobie i cała czynność jego umysłu, była zwrócona do tego przedmiotu. Zdawało się że jest dobrym i kochającym, a przecież myślał tylko o sobie. Nie było to samolubstwo; ale myśl jego nie miała dosyć siły do wydobycia się za tę przestrzeń.

Wówczas nawet, gdy nie było w nim żadnego śladu pomieszania umysłu, nie zwracał z krwią zimną uwagi na samego siebie. Z upodobaniem wynurzał swój smutek, niedowierzanie i cierpienia miłości własnéj; lecz nie postrzegałam w nim żadnéj mocy aby zwalczyć to smutne usposobienie umysłu.

Sposób życia, któremu poddany był w naszym domu, coraz skuteczniéj wpływał na jego uzdrowienie. Razem ze mną pielęgnował kwiaty w ogródku. Praca ogrodnicza bardzo mu pomagała. Czasami wychodził z moim ojcem i ze mną na przechadzkę dosyć daleką. Coraz to bardziéj uspokajał się jego rozum, wypogadzało oblicze. Cieszyłam się widząc te postępy ku dobremu. Mimo wiedzy mojéj, on zajmował wszystkie moje myśli. Bądź to przez obawę, bądź przez współuczucie, byłam ciągle wzruszona. Moje wyrazy, moje czyny, gesta, skinienia, wszystko to odnosiło się do niego, do jego szczęścia.

Nie mogłam szukać w nim tego, czego kobieta szuka w mężczyźnie którego kocha; nie wzbudzał we mnie wyobrażenia opieki, pomocy, wyższości. Było to uczucie jakiego doznajemy dla istoty słabéj i cierpiącéj;

był to pewien rodzaj macierzyńskiéj miłości; czułość moja nie posuwała się daléj.

Już od dwóch miesięcy żyliśmy tym sposobem, a zdrowie jego polepszało się coraz bardziéj, gdym postrzegła zmianę w jego postępowaniu. Nigdy nie zachodziła między nami chociażby najmniéjsza poufałość. Jestem poważna, a przy tém, chociaż mu sprzyjałam zawsze, wzbudzał we mnie niejaką obawę. On zaś jeszcze bardziéj lękał się samego siebie, lecz nie mógł żyć bezemnie. Ledwie na kwadrans oddalił się do swego pokoju, schodził znowu. Ale potém zaczął stronić odemnie, ile mogła tego dokonać jego słaba wola. Wspomniałam ojcu o téj zmianie; nie okazał iżby go miała uderzać i po kilku dniach rzekł do mnie. »Nasz młodzieniec zupełnie przyszedł do zdrowia. Musi opuścić instytut.

Zmieszały mię te wyrazy. Jeszcze nie pomyślałam o tém że nas opuści. Zajęta zupełnie chwilą obecną, nic nie przewidywałam, nie zdałam sobie sprawy ani z czasu który upłynął, ani z tego który potém nastąpi.

Nazajutrz rano rozmówił się z nim mój ojciec; nie byłam przy tém, ale zapewne mówił do niego łagodnie i życzliwie, gdyż go bardzo polubił. Po téj rozmowie, przez długi czas sam pozostał; a gdy był pewien że ja tylko jestem w pokoju, zszedł i usiadł przy mnie. Postrzegłam iż usiłuje mieć wielką władzę nad sobą, że chce bydź zupełnie spokojny i na pozór był nim w rzeczy saméj. — »Wiesz pani, jaka jest wola twego ojca; rzekł, iż mogę, iż powinienem opuścić ten dom, gdziem odzyskał przymiot droższy nad życie, gdzie jestem tak spokojny, tak szczęśliwy, tak rozumny!» (Wyraz ten wymówił tonem, który wskroś moje serce przeniknął). Czyliż to jest dobrze, czyliż nie naraża swego chorego na nową słabość? Tu, przy tobie pani, przy twojém staraniu, nic mi się złego nie stanie. Tyś mię uleczyła, ty jesteś moim opiekuńczym aniołem, aniołem stróżem mego słabego rozumu. Zdala od ciebie czeka mię sama tylko boleść i pomieszanie. Twój ojciec tak jest dobry! Jakimże sposobem zmienił się dla mnie? czyliż chce mię zgubić? O! zgubi mię! jestem tego pewny.

—»Przestań, rzekłam. Czyliżem ci tego nie powtarzała tak często? Nie byłeś chorym, ojciec mój nie potrzebował leczeć ciebie; rozproszyliśmy tylko twoje niedorzeczne wyobrażenia; przestawałeś z dobremi ludźmi, którzy cię kochają i pozbyłeś się wtedy twojéj nieufności i obawy. Twój to charakter i umysł powinieneś trzymać na wodzy. Nie prawdaż, wszakże nie będziesz czynił się nieszczęśliwym dobrowolnie? Przyrzekasz to mnie, twojéj dozorczyni, twojéj przyjaciołce? Często nas odwiedzisz, a ja będę cię łajać, jeźli nie będziesz zadowolonym i spokojnym.

—»O, tak jest! będę przychodził często, codzień!.. Ale to już nie jest toż samo, co żyć pod jednym dachem i widywać się o każdéj godzinie. Jeźli mię smutna myśl napadała, jeźli ogarniał mię przystęp melancholii, natychmiast przychodziłem do ciebie. Twój widok, twoje spojrzenia, dźwięk twojego głosu, rozlewały we mnie ulgę i spokojność. A teraz, pogrążę się znowu w posępnych dumaniach. Pożerać mi będą serce, i jak dawniéj przemogą wolę moją i rozum. Już zginęła moja ufność, zawsze lękać się będę samego siebie, a ta bojaźń znowu mię wtrąci do stanu z którego wyszedłem.

—»Lecz nie powinieneś przepędzać życia w tym domu. Powinieneś bydź nie naszym pacyentem, lecz przyjacielem; człowiekiem który zajmie się zaszczytném dla siebie, a pożyteczném dla bliźnich zatrudnieniem. Bezczynność i gnuśna samotność, była przyczyną twojéj słabości.

—»Zawsze mówisz tak rozsądnie, zawsze jesteś tak dobra, zawsze zdołasz orzeźwiać i leczeć.

»Tak! jest mówił daléj, powstawszy: niczego nie jestem godzien, zasługuję tylko na pogardę obojętnych, na litość dobrych; świat zna mię jako nieszczęśliwego szaleńca, od kogoż mogę żądać szacunku i prawdziwéj przychylności? Chcę wydobyć się z téj ochydy, chcę zasłużyć na szczęście. Teraz, któżby chciał połączyć swój los z losem biednego szaleńca? Tak jest, mam jeszcze tyle rozumu, iż mogę zrozumieć położenie moje... Żegnam cię pani, oddalam się. Chcesz tego, podobnie jak twój ojciec. Jest to żądanie bardzo rozumne... muszę uczynić mu zadosyć.

Wzięłam go za rękę, posadziłam go przy sobie. Uspokoił się, a wtenczas mu pozwoliłam odejśdź, nie rzekłszy ani słowa.

Od dawna zrozumiałam jego uczucia, lecz nie chciałam zastanawiać się nad niemi. Ja sama, czyliż wiedziałam, czyliż mogłam wiedzieć co czuję? Nazajutrz już go nie było przy nas; dom wydawał mi się pusty, a dzień niezmiernie długi i tęskny. Znikł przedmiot który mię bezustannie zajmował. Po wzruszeniu nastąpiła nudna tęskność. Nie było to utracone szczęście, ale dusza moja pozostała bez zajęcia. Nie wiedziałam co zrobić z moim czasem i myślami. Odwiedził nas. Mój ojciec wyznaczył godzinę, w któréj mógł bydź przy mnie. Lubo nie potrzebowałem ukrywać się przed ojcem, jednakże doznawałam niejakiego

przymusu, a nasz młody przyjaciel jeszcze większego.

Uważałam iż był wzruszony, iż walczył z mocném wewnętrznem pomieszaniem, iż miotała nim jedna myśl, którą chciał utaić i poskromić. Nie mogliśmy prowadzić rozmowy. Jego oblicze przybrało znowu dawny wyraz smutku i niespokojności, nie mogłam go rozerwać, ani ulżyć jego cierpiącéj wyobraźni.

Ojciec rzekł do mnie pewnego dnia: »Te odwiedziny więcéj czynią mu złego aniżeli dobrego. Jeźli na to zważać nie będziemy, znowu zapadnie. Powiem mu, aby nie bywał u nas, przynajmniej przez czas niejaki.

—»Sądzę, odpowiedziałam na to, iż go zmartwisz niezmiernie. Czyliż mu nie zaszkodzi to wzruszenie? —» Trzeba więc będzie wynaleźć jaki pozór, pojedziesz na parę miesięcy do ciotki, a za powrotem zobaczymy.

I tegoż samego wieczora oznajmił mu tę smutną wiadomość. Nazajutrz oddano mi list, przeczytałem w nim następujące wyrazy:

»Przedsiewzięcie pani, to przedsiewzięcie tak okrutne i niespodziane, niszczy wszelkie moje zamiary roztropności i znagla mię do kroku, od którego, wiem o tém dobrze, moje życie zależy. Zbieram z wysileniem, wszelkie jakie tylko mieć mogę zastanowienie, aby przed tobą pani otworzyć to serce, które miało pozostać na wieki zawarte przed każdą żyjącą istotą. Słowa moje muszą bydź umiarkowane, roztropne. Ach! gdybym nie okazał dowodów spokojności i rozumu, gdybym nie był takim jak wszyscy, zginąłbym na zawsze.

»Małgorzato! winienem ci wszystko. Nie śmiem ci przypominać tego; twoje dobrodziejstwa, twoje starania łączą się może w twoim umyśle z wyobrażeniami niesmaku i wstrętu. Oddalić muszę z twojéj myśli tę chwilę, kiedym cię po raz pierwszy zobaczył, ten czas którym przy tobie przepędził, te dni tak nowego dla mnie, tak niepojętego szczęścia. Wyobrażenie tego czem byłem, niechaj nigdy nie stawa między nami; zapomnij o przeszłości: ona mię przestrasza... bez wstrętu o niéj myśleć nie mogę.

»Nie wiedzmy zatém, jakim sposobem poznałem ciebie i dla czego kocham cię mocniéj niż kto bądź na tym świecie mógłby cię kochać. Jednakże, (tak często powiadałaś mi o tém), byłem tylko nieszczęśliwym! Tak jest i tyś mię tylko pocieszyła. I dla czegóżbyś czuła wstręt ku człowiekowi, którego łzy osuszyłaś, którego ochroniłaś od rozpaczy? Nie jest że to i owszem ogniwo między dwiema duszami, które się zrozumieć mogły? Ja czuję to, bez ciebie żyć nie zdołam, bez ciebie nie ma dla mnie ani spokojności, ani szczęścia: chciałem rzec, ani rozumu; ale ten wyraz ma w ustach moich nazbyt okropne znaczenie. Nie, Małgorzato, jestem przy rozumie, jestem panem samego siebie i zawsze nim będę. Zdołam znosić wzruszenia życia. Na jedno z nich tylko narażać mię nie trzeba. Zaklinam cię, nie czyń mi więcéj złego, aniżeli wyświadczyłaś mi dobrego. Nie podobna żebyś do mnie jakiego bądź nie miała przywiązania; litość sama nie czyniłaby cię tak słodką i tak miłą. Można mieć staranie o nieszczęśliwych, lecz ich uleczyć nie można, jeźli ich kochać nie będziemy. Twoje to współczucie ocaliło mię, wydobyło z przepaści. Nie wtrącaj mię w nią raz drugi. Kochaj mię; po dobrodziejstwie któreś mi wyświadczyła, nie możesz mię opuścić, byłoby to okrucieństwem, do którego jesteś nie zdolna.

»Kończę. Zapala się mój umysł... Nie, Małgorzato, mylę się, jestem spokojny, piszę z krwią zimną. Z rozsądkiem to, z całą rachubą roztropności, z poznaniem obecnego stanu i wybadaniem przyszłości, proszę cię, abym ci mógł poświęcić moje życie i zająć się szczęściem twojém. Jest to bardzo rozumne życzenie. Każdyby to uczynił, ktoby cię poznał, a z twoich oczu i zachwycających rysów wyczytał, ile twoja dusza jest czułą i dobrą.

Załączam list do twojego ojca. Sama go oddaj.

(Dokończenie nastąpi.)

## HELAMIS.

### Długo-nóg (podług *Jarockiego*).

Przylądek Dobréj Nadziei, jest gniazdem tego osobliwego czworonoga, alb raczéj dwunoga, którego rycinę stawiamy przed oczyma czytelników naszych. Od dawna pomieszany był z rodzajem skoczków i dopiero tegoczesny naturalista pan Cuvier, oznaczył dla niego nowy rodzaj i nadał mu naukowe nazwisko Helamis. Skład tego zwierzęcia zasługuje na szczególniejszą uwagę. Wielkości i wzrostu pośredniego między zającem a królikiem, do których także z wielu względów jest podobny, ma zadnie nogi nadzwyczajnie długie i zakończone wielkiemi stopami, podobnemi do stóp ptasich; przednie zaś nogi bardzo krótkie i drobne, właściwiéj na imie rąk zasługują. Ma oprócz tego bardzo znaczny ogon; głowę podobną do zajęczéj, ożywiają wydatne i czarne oczy, a przystrajają kształtne i długie uszy. Sierć ciemno żółtawa, czarna na głowie, a na grzbiecie i po



bokach, biała jest pod brodą, piersiami i brzuchem. Długie i miękkie włosy kształcą mu prócz tego piękne brwi nad oczyma, a długie i gęste wąsy ozdabiają wyższą wargę.

Długonóg nie może chodzić tak jak inne zwierzęta, skacze tylko za pomocą swoich nóg zadnich, podobnież jak kanguro i skoczki. Dopomaga sobie żylastym ogonem, a wówczas trzyma głowę tak prosto i przednie nogi tak przyciska do ciała, że zupełnie kryją się między sierścią. Wtedy tylko przestaje trzymać się prostopadle i chodzi na czterech nogach, gdy musi wdzierać się na skały, albo zstępować w przepaści. W każdym innym razie, jego przednie nogi wypełniają czynność rąk, niemi on niesie do gęby owoce, ziarka, pączki listków, któremi się żywi, gdyż budowa ciała nie dozwala mu szczykać.

Długonóg, mieszka podobnie jak króliki, w jamach, które wygrzebuje z nadzwyczajną szybkością, przedniemi nogami uzbrojonemi w ostre pazury. Jest bojaźliwym jak wszystkie spokojne i nieszkodliwe zwierzęta. W nocy tylko ośmiela się wyjśdź z nory na szukanie żeru, a wtedy nawet nie bardzo oddala się od niéj i ucieka, skoro tylko usłyszy najmniejszy szmer podejrzany. Przez dzień ciągle siedzi w jamie, i cały czas przepędza bądź na spaniu, bądź na porządkowaniu zapasów żywności, które sobie nagromadzi. Chcąc spać, opiera się plecami o ścianę swéj nory, zadnie nogi wysuwa naprzód i zgina w kolanach. Potem pochyla głowę aż do kolan, długie uszy naciska na oczy przedniemi łapkami i trzyma je jak firanki.

http://rcin.org.pl



## NATURALNE MOSTY W INCONZO.

Jednym z najbardziéj uderzających widoków dzikiéj natury, są mosty w Inconzo. Znajdują się one w Kolombii niedaleko Bogota. Jest to przejście między przepaściami utworzone ręką przyrodzenia. Kto z wierzchołka tych naturalnych mostów, spojrzy na wspaniały obraz rozwijający sie przed jego oczyma, ten oddalić musi w téj chwili wszelkie płoche i światowe myśli, a w duszy jego powstanie trwożliwe uwielbienie, przestrach pełen uszanowania i myśl o niezmierzonéj wielkości dzieł Stwórcy.

Wyobraźmy sobie głazy prostopadle ścięte i na kilkaset sążni wysokie; u ich stóp szumią i pienią się potoki, a nad głową patrzącego wznoszą się góry śniegiem pokryte, nieprzystępne ostrosłupy na tysiąc dwieście stóp wysokie, olbrzymie rozpadliny, z kktórych z szumem wypadają rzeki rozlewające się prawie bez granic; wąż boa czołga się niekiedy po tych obnażonych skałach, albo pomiędzy krzakami; szydercza małpa wyje kołysząc się nad głową podróżnika, a poważne papugi łączą piskliwe gwizdanie z hukiem potoków.

Zarzucone na dwóch prostopadłych skałach, mosty w Inconzo nie są dziełem człowieka; jego ręce przydały tylko do wyższego mostu słabe poręcze, które ochraniają podróżnego od zawrotu głowy: bo prawie każdy kto przez ten most przechodzi, czuje że nogi drżą pod nim, a wzrok się zaciemnia.

Most wyższy ma czterdzieści i siedem stóp długości, a czterdzieści i pół szerokości, w środku gruby jest tylko na stóp osiem. Most drugi, leży o sześćdziesiąt stóp niżéj: składa się z trzech głazów rzuconych tak, że środkowy tworzy zawornik. Zda-

http://rcin.org.pl

je się że były oderwane od wyższych szczytów, pod czas trzęsienia ziemi i zatrzymały się w upadku. W środku tego mostu, jest dziura mająca dziewięćdziesiąt stóp kwadratowych. Wysokość mostu wyższego, obliczono na 350 stóp od podnóża doliny.

Potok płynący przez rozpadliny skał, wpada z żałobnym hukiem w tak ciemną jaskinię, iż bez pochodni nie można dojrzeć jej ścian, a wtedy widać latające w cieniu ptaki nocne, których złowróżbe krzyki dopełniają posępności obrazu.

## SIOSTRA MIŁOSIERDZIA.

(Dokończenie.)

Uczyniłam to. List jego napisany był w następujących słowach:

»Spodziewam się panie, iż cię nie zadziwi moja prożba. Winienem ci bardzo wiele. Jeźli mię wysłuchasz, winien ci będę tysiąc razy więcéj. Kocham twoją córkę. Nie mogłem tak długo żyć razem z wami, bez powzięcia dla niéj najmocniejszéj miłości. Aż dotąd nie wiedziała o moich uczuciach. Nie powinienem był wyjawić ich przed nią prędzéj, jak przed tobą panie. Znaczny posiadam mjątek, należę do szanownéj familii; o tém wiesz panie, znasz mój charakter i uczucia; przez czas niejaki uważałeś mię jak syna. Chceszli abym na zawsze nim został?»

Po przeczytaniu tych dwóch listów, mój ojciec milczał przez chwilę, a potem spojrzał na mnie łagodnie i dobrotliwie.—»Cóż zrobimy, rzekł, aby mu odmówić bez dotknięcia go zbyt mocno? Tego właśnie lękałem się.

Nie odpowiadałam. »Co, moje dziecię, mówił daléj, czyliż możesz się wahać? Nie wiem co ci doradza dobroć serca, ale powinność ojcowska nie dopuszcza najmniejszéj wątpliwości. Ja miałbym powierzyć los mego ukochanego dziecięcia temu nieszczęśliwemu, którego mimo tylu starań nie zdołałem uleczyć, który co dzień wpaśdź może w zupełne obłąkanie? Wzdrygam się na tę myśl; byłbym większym szaleńcem niżeli on, gdybym ją chociażby na chwilę dopuścił.

Stałam oniemiała i przerażona. Żadna siła nie zdołałaby skłonić mię do wyrzeczenia chociażby jednego słowa; nie wiem co za instynkt, co za przekonanie wewnętrzne, wzbudzały we mnie tę pewność, iż idąc za niego nie byłabym się naraziła na żadne niebezpieczeństwo, iż nasze życie byłoby płynęło spokojnie i szczęśliwie, że zdołałabym zawsze utrzymać jego duszę w łagodności i rozumie, iż go zgubią zamykając przed nim jedyną drogę szczęścia. Ale jakże powiedzieć to wszystko w brew podobieństwu do prawdy, w brew rozsądkowi i pozornéj rzeczywistości? Jakże powiedzieć to mojemu ojcu, który jest tak rozsądnym, tak przewidującym, tak dobrym dla mnie? Miał za sobą słuszność, nie mogłam tego zaprzeczyć, ale w głębi serca przekonanie moje mówiło mi co innego. Teraz okropną czuję zgryzotę, żem nie nalegała, nie zaklinała mego ojca, żem nie wymogła na nim zezwolenia na nasz związek.

Oświadczył temu młodzieńcowi, że poprzednie zobowiązania nie dozwalają nam przychylić się do jego życzeń. Ostrożność ta na mało się przydała. Ojciec powiedział mi tylko że jch rozmowa była bardzo żywa, lecz nie wchodził w żadne szczegóły. Zmartwił go ten wypadek, ale zamilczał o nim przedemną. Byłam niezmiernie niespokojna. Dowiedziałam się wkrótce, iż przystąpiły paroxyzmy obłąkania połączonego z szaleństwem. Zapytałam się ojca. —»Smutna to prawda, odpowiedział i tego właśnie obawiałem się. Od dawna znam postępy téj choroby. Nie mogę przyjąć go do mego instytutu; wszystko coby tu zobaczył, odnawiałoby jego wrażenia. Lecz dowiaduję się o jego zdrowiu. Słudzy jego donoszą mi o wszystkiém; przepisuję jak należy postępować, a jeżeli dłużéj potrwa w tym stanie, każę go przenieść o dwadzieścia mil z tąd; znam lekarza tamtejszego instytutu, będą mieć o nim jak największe staranie.

Ta roztropność, ta oziębła dobroć, zniewalała mię do milczenia. Nie śmiałam oddawać się moim uczuciom: i jakież one były? Cóżbym mogła powiedzieć, czegóż żądać? Najprostsza uwaga wskazywała mi iż nie można walczyć z wolą Opatrzności. Prosiłam Boga, wzywałam cudu, marzyłam iż go dla mnie uczynić raczy; przechodziłam z rezygnacyi do nadziei; boleśnego doznawałam wzruszenia, oddając się myślom moim; uspokajałam się, gdy przez modlitwę łaska Boża wstępowała w moje serce.

Pewnego dnia na przechadzce, postrzegłam naszego biednego przyjaciela, którego wyprowadzano na świeże powietrze, korzystając z chwili uspokojenia się i rozumu. Dwaj służący czuwali nad nim; widok jego okropne wrażenie uczynił na mnie. Włosy miał długie i w nieładzie, oczy zagasłe, a na ustach widać było ślady konwulsyi i wycieńczenia.

Spojrzał na mnie. Widać było iż się wstydzi że w takim stanie mię spotyka; jednakże odzyskał odwagę usłyszawszy dźwięk mojego głosu. Byłam bardzo zmieszana, nie wiedziałam co mówić do niego; bardziéj

http://rcin.org.pl

lękałam się aby go nie zasmucić, niżeli żeby mu przykrość wyrządzić; nie pomyślałam nawet o paroxyzmie szaleństwa.

Po kilku słowach, które zaledwie wyszukać zdołał, przezwyciężył się nareście.

—»A więc wydałaś na mnie wyrok potępienia? I po cóż powziąłem taką nadzieję, taką zarozumiałość? Smutna to prawda!... Nie przyszedłem był do zdrowia, ponieważ chciałem abyś poszła za szaleńca.

I zaczął śmiać się okropnym śmiechem.

—»Czyliżem zasłużyła na to abyś do mnie tak mówił, odpowiedziałam; czyliżeś nie widział mojéj życzliwości?

—»Tak jest, twoją dobroć, twoje politowanie, twoje miłosierdzie, ale nie życzliwość. O! nie możesz mieć jéj dla mnie: mają o mnie staranie, wypełniają co nakazuje ludzkość i religia, lecz na tém koniec; a potém prędko się znudzą. Wypędzono mię, wygnano... Ty tak dobra, tak pobożna! zamknęłaś drzwi przed nieszczęśliwym; odstręczyłaś się jego niedolą! Powiedz mi, kto jest przyczyną że wpadłem znowu w ten stan okropny?

Były to nazbyt przykre wyrazy; nie mogłam powściągnąć mego wzruszenia, zalałam się łzami, łkałam. On się unosił, zaiskrzyły się jego oczy.

»Jestem niesprawiedliwy i okrutny! mówił daléj. Nie... tyś nie odrzuciła mojéj ręki, tyś nie chciała mojéj śmierci, tyś mię nie wtrąciła w okropne moje położenie; nie, nie byłabyś tak srogą. Odgadłem w tobie uczucia, które mię zapewniały, że mogę błagać ciebie o moje ocalenie; że miło ci będzie dopełnić twojego dobrodziejstwa. Twój to ojciec mię zabija, on to jest bez litości, jego to okrutna roztropność jest przyczyną wszystkiego złego. Małgorzato, zaklinam cię; powiedz mi że byłabyś zezwoliła, powiedz, że odmówienie nie pochodzi od ciebie. Zapewnij mię o tém, jest to jedyny sposób przywrócenia mi spokojności. Ta myśl ukoi moje cierpienia; zapobieży obłąkaniu. Jeźli zdołam powiedzieć, »ona mię kocha;» będzie to już dosyć szczęścia dla mnie, abym wiódł życie słodkie i spokojne. Powiedz mi to jedno słowo: »To mój ojciec.

Przestrach dotąd jeszcze przeszywa moje serce, gdy myślę o odpowiedzi, którą wyrzec mogłam wtedy. O Boże! jakże jesteś dobry, żeś mię zbawił od tak strasznego wspomnienia. Na jakież narażałam się niebezpieczeństwo!

Zwolna odzyskałam siły i łagodnie wymawiałam jemu, jak jest niewdzięczny dla mego ojca. Nawet mu uczyniłam niejaką nadzieję na przyszłość. Usiłowałam uspokoić go; dozorcy zaklinali mię abym się oddaliła; przewidywali jakiś gwałtowny paroxyzm. Kobieta która mi towarzyszyła, odprowadziła mię czémprędzéj.

W rzeczy saméj ogarnęło go szaleństwo mocniejsze niżeli kiedy kolwiek. Od tego czasu, już prawie nie miał ani jednéj przerwy rozumu.

Jakże zdołam dokończyć moje opowiadanie! jakże wysłowić tę straszliwą ostateczność.

Ojciec mój ciągle miał o nim staranie. Codziennie chodził do jego domu, wywiadywać się o symptomata choroby i polecać służącym co robić mają, ale strzegł się aby go chory nie postrzegł.

Raz zobaczył mego ojca przez kratę okna swojéj izbedki. Zapomniano drzwi zamknąć. Wybiegł wołając: »To on! to on! mój nieprzyjaciel, mój zabójca,» rzucił się na schody wprzód, nim go schwytać było można. Porwał nóż, uderzył nieszczęśliwą ofiarę i położył ją trupem u nóg swoich. Przyniesiono mego ojca, broczącego we krwi własnéj. Rana była śmiertelna. Ledwie tylko parę chwil pozostało mu do życia. Z ciężkością wyrzekł: »Moje drogie dziecię! moja biedna Małgorzato!» a w jego oczach widać jeszcze było niejakie zadowolenie, że nie naraził mię na cios, który go o śmierć przyprawia.

Nie podobna odmalować mojéj boleści, boleści która odtąd stanowi całe istnienie moje. Bóg tak rozrządził, zesłał na mnie to nieszczęście; oby wkrótce połączył mię z moim ojcem! Powtarzając te słowa, przenikając się tą myślą, zdołałam chociaż na chwilę zatwardzić moje serce i łzy osuszyć. Odzyskałam moc i spokojność z niebios pochodzącą, a któréj sobie nie wyrzucam.

W takim stanie duszy, czynność jest nieuchronnie potrzebna; chcę poświęcić się na usługi ubogich i chorych. Bóg nie może tego poczytać za złe, że oddam się dozorowaniu obłąkanych: bo ten jedyny obraz jest zawsze obecny moim oczom i myśli.

Dowiedziałam się o nieszczęśliwym sprawcy tak okropnego nieszczęścia. Nie miał odtąd ani jednego połysku rozumu i pojęcia, już odtąd nie poznawał nikogo. Może to jest dobrodziejstwem dla niego. Przeniesiono go do szpitala, dokąd mój ojciec chciał był odesłać go, opóźniając przez dobrotliwość swoją wykonanie tego zamiaru.

W tym szpitalu chcę wypełniać obowiązki siostry miłosierdzia; bez szemrania wykonywać będę rozkazy moich przełożonych. Czyliż dopuszczam się winy, sądząc że mam obowiązki względem tego, którym ojciec mój zajmował się tak dobrotliwie? Wiem że nie zdołam ani go dozierać, ani widzieć; ale znajdując się tuż przy nim; będę wiedzieć o jego

cierpieniach, nie przestanę czuwać aby ten nieszczęśliwy otrzymywał pomoc, mogącą ułagodzić jego bole fizyczne; gdyby wyzdrowiał, poproszę aby mię odesłali daleko od miejsca jego pobytu.»

---

Oddałem przełożonéj, opowiadanie siostry Małgorzaty; rzekła, iż ta biedna dziewczyna przewyższa wszystkie swoje towarzyszki poświęceniem się i pobożnością. Lecz, przydała, te usiłowania wyższe są nad jéj siły; chce przytłumić boleść swoją, ale ona ją trawi wewnętrznie; myśl ta nie porzuca jéj ani na chwilę, chociaż nigdy o niéj nie mówi.

W pół roku potém, odebrałem list następujący:

»Panie! tak mocno zająłeś się naszą siostrą Małgorzatą, iż powinnam ci oznajmić, że zakończyła swoje nieszczęśliwe istnienienie. Bóg powołał ją do siebie.

»Biedny młody człowiek zamknięty w szpitalu obłąkanych, wpadał w coraz to mocniejsze paroxyzmy. Dwa tygodnie temu, przystąpiło zapalenie mózgu; musieliśmy powiedzieć o tém Małgorzacie. Prosiła mię, aby ją uwolnić od zwyczajnéj służby. Poszła do kaplicy i modliła się przez cały dzień i część nocy.

»Młody człowiek umarł nazajutrz rano. Ciało zaniesiono do kościoła. Przyszłyśmy wszystkie pokropić je wodą święconą. Małgorzata chciała znajdować się w tym orszaku. Przechodząc koło trumny, zemdlała. W dwa dni potém umarła na moich ręku, zgonem cnotliwej.

---

## MADRYT.

Madryt nie jest tak starożytne miasto, jak wiele innych miast Hiszpanii, których dziś jest stolicą. Nieznane w epoce Rzymian, było tylko nędzną wioską za panowania Wizygotów. Parę wieków upłynęło, a przyszła stolica Hiszpanii nie wydostała się jeszcze z poziomego stanu. Aż dopiero Arabowie pomyśleli sobie, że wzgórza nad brzegiem rzeki Manzanares, pośród niezmierzonych płaszczyzn Kastylii, są miejscem bardzo stósownem do założenia miasta. Pod ich panowaniem wzrosł Madryt; otoczony murami, stał się ważnem stanowiskiem wojskowem. Dla tego też, Wizygotowie i Arabowie, zacięcie walczyli o jego posiadanie. Chrześcianie zdobyli go w Xtym wieku; ale przewidując że go zachować nie zdołają, zburzyli je i opuścili zwaliska. Maurowie podźwignęli jego mury; lecz tylko co przywrócili je do kwitnącego stanu, chrześcianie znowu przyszli, zebrać owoce ich czynności i przemysłu. Gdy już Maurowie ustępowali z północnych okolic Hiszpanii i wszystkie siły zbierali w prowincyach południowych, Madryt od owéj epoki pozostał na zawsze w mocy królów Kastylii. Raz tylko na krótki czas wyszedł z ich posiadania i to dosyć osobliwym wypadkiem. Król Armenii Leon V. wypędzony za swego państwa przez Turków, schronił się do Hiszpanii. Król Jan Iszy chcąc mu wynadgrodzić poniesioną stratę, dał mu Madryt i kilka miast pomniejszych; lecz po śmierci króla Ormiańskiego, Madryt wrócił w moc królów Kastylii.

Dopiero na początku XVI wieku, przy wstąpieniu Karóla V. na tron Hiszpanii, Madryt wzrosłszy pomału, wyniesiony został na stolicę państwa. Idąc za wpływem kardynała Xymenes, to miasto uznało jedno z pierwszych władzę nowego monarchy, a za nagrodę Karól V. wybrał je za miejsce rezydencyi podczas pobytu swego w Hiszpanii. Filip II. następca Karóla Vgo, chciał gdzie indziéj przenieść stolicę rządu, ale mieszkańcy Madrytu podali przełożenie, wnieśli obok tego podarek 250,000 dukatów i tym sposobem utrzymali się przy swoich przywilejach. Korzyści które ztąd odnieść mogło to miasto, nie przyczyniły się bardzo do jego wzrostu, nie przewyższa bowiem innych miast Hiszpanii tak, jak Londyn, Paryż i Wiedeń, przewyższają resztę miast Francyi, Anglii i Austryi.

Madryt w obrębie dwóch mil fr: posiada 500 ulic, 8000 domów, 40 placów i 200,000 mieszkańców. Nie odznacza się ani wspaniałością gmachów prywatnych, ani liczbą i świetnością gmachów publicznych. Pałac królewski, jedno z najwspanialszych rezydencyi monarszych w całéj Europie, muzeum, brama tryumfalna Alcala, most na Manzanares i piękna przechadzka Prado, oto są wszystkie przedmioty godne widzenia w téj stolicy Hiszpanii.

Z jednego tylko punktu, z miejsca które wyobraża rycina załączona do tego artykułu, Madryt ma wspaniałą postawę: jest to miejsce zwane *Puerta del Sol*, czyli brama Słońca. To miejsce zachowało imie bramy, na pamiątkę tego czasu, kiedy stała tam jedna z bram miejskich: w niém zbiega się pięć najpiękniejszych ulic Madrytu. Fontanna okrągława, dziwacznego kształtu i ozdób, gmach pocztowy czworoboczny, pełen wspaniałości, siły i odosobniony od innych, oraz kościół oryginalnej architektury, ozdabiają bramę Słońca, lecz główną jéj ozdobą jest pięć wspaniałych ulic, w których oko gubi się w dalekich głębinach miasta, a jedna z nich, ulica Alcala, tak jest szeroka, iż dziesięć powozów może nią jechać obok siebie.



PAŁAC W MADRYCIE ZWANY BRAMĄ SŁOŃCA.

Plac ten obszerny i zdrowy, jest głównem miejscem przechadzki wszystkich mieszkańców. Ztamtąd rozchodzą się wszystkie ważniejsze wiadomości, tam zbierają się ludzie nie mający nic do czynienia, tam nareście Lazarony hiszpańskie spoczywają gnuśnie leżąc na słońcu.

Madryt leży na 2,000 stóp nad powierzchnią morza w środku obszernych równin Kastylii. Okoliczne pola są suche, piaszczyste, smutne, a za obrębem miasta, na kilkanaście mil na około, nie ujrzysz ani drzew ani murawy.

---

## KARÓL V.

Kreśląc zarys życia papieża Leona Xgo, wspomnieliśmy że wiek uświetniony jego imieniem, był zarazem wiekiem trzech znamienitych monarchów, Karola V. króla Hiszpanii i Cesarza Niemiec, Franciszka Igo króla Francyi i Henryka VIII. króla Anglii. Umieszczamy teraz rys życia Cesarza Karóla V.

Karól V. najstarszy syn Filipa arcyxięcia Austryi i Joanny córki Ferdynanda króla Hiszpanii; urodził się w mieście Gand, roku 1500. Po babce swojéj, która była córką Karóla Zuchwałego Xcia Burgundyi, odziedziczył państwa domu Burgundzkiego; matka przyniosła mu w puściźnie Hiszpanią i świat niedawno przez Kolumba odkryty: po ojcu odziedziczył arcyxięztwo Austryi, a po dziadku Cesarzu Maxymilianie, pierwszeństwo przed innemi współzawodnikami, do korony niemieckiéj. Tak więc, szczególny zbieg okoliczności, oddał w moc Karóla V. tak obszerną przestrzeń krajów, jakich żaden monarcha nie posiadał od czasów Karóla W. Ferdynand katolicki król Hiszpanii, dziad jego macierzysty, stał się był panem królestw Neapolu i Sycylii, które także spadły na Karóla V. — Zawczasu sposobiono go do dźwigania tak wielkiego ciężaru. Wychował się w Niderlandach. Nauczycielem jego i przewodnikiem, był Wilhelm z Croy pan z Chievres. Karól miał największe upodobanie w ćwiczeniach wojennych. Chievres nie odwodząc go od nich, uczył go historyi i zawczasu obeznawał z interessami kraju. Wszystkie papiery nadsyłane z prowincyi, młody xiąże czytał i wnosił je na radę, gdzie o nich w jego obecności stanowiono. W roku 1516, po śmierci Ferdynanda katolickiego, został królem Hiszpanii. Zrazu nie podobała się Hiszpanom jego przychylność dla Flamandczyków. Karól wychowany we Flandryi, nie umiał po hiszpańsku, wzrostu był mierne-

go, słabowity, posępny, małomówny, nie okazywał z razu téj siły charakteru i tych zdolności, które późuiéj rozwinął. W r. 1519, 5 Lipca, większością głosów elektorowie niemieccy obrali go cesarzem. Panowanie Karóla Vgo, było ciągłém pasmem wojen. Najgłówniejszym jego przeciwnikiem okazywał się Franciszek I. król Francuzki, który namiętnie lubił wojny i pragnął rozszerzyć panowanie swoje do Włoch i Niderlandów. Pierwsza wojna między temi dwoma monarchami trwała od 1521 do 1525 r. Franciszek I. zwyciężony pod Pawią, dostał się w niewolą i podpisać musiał uciążliwy dla siebie traktat Madrycki dnia 14 Stycznia 1526. Mocą tego traktatu wyrzekł się wszelkich pretensyi do Włoch, do zwierzchnictwa nad Flandryą i Artois, odstąpił Karólowi Burgundyą, dwóch synów swoich oddał w zakład, sam zaś przyrzekł zaślubić Eleonorę siostrę cesarza.

Druga wojna między rokiem 1527—9 była nieuchronnym skutkiem tego traktatu. Karól V. i z téj wyszedł szczęśliwie. Obok tych ciągłych niemal wojen z Francyą, Karól V. miał jeszcze innych nie mniéj groźnych przeciwników. Zasady Lutra rozszerzały się po Niemczech i xiążęta Niemieccy zawarli przymierze dla oparcia się Karólowi i utrzymania tolerancyi. Turcy zdobywszy większą część Węgier, zapuszczali zagony aż do dziedzicznych państw Karóla V, to jest do arcyxięztwa Austryi. Korsarze Barbaryjscy i flotty sułtana Tureckiego napadały na brzegi Sycylii i Neapolu i pustoszyły te kraje. Łupiestwa i niekarność wojsk, zniszczyły Włochy i Flandryą. Koszta wojenne wycieńczyły Hiszpanią; tak więc panowanie tego monarchy, bynajmniej nie było pomyślném i szczęśliwem. Mimo tych ustawicznych niepokojów, Karól Vty nie spuszczał z uwagi sprawy religii i ciągle myślał o poskromieniu potęgi Turków, która za Solimana II wzrosła do najwyższego stopnia. W roku 1532, stanął na czele licznego wojska pod murami Wiednia, aby dać odpór Solimanowi, który z 300,000 żołnierzy wkroczył do Węgier. Pierwszy to raz Karól V osobiście dowodził wojskiem. Jednakże nie dał się uwieść blaskiem fałszywéj chwały; nie naraził losu całéj Europy na wątpliwy los jednéj bitwy i rozsądną zwłoką zrządził, iż rozeszła się groźna wyprawa Turków. W roku 1535 przedsięwziął wyprawę przeciw korsarzom Tunetańskim i uwolnił 20,000 niewolników chrześciańskich. Ta wyprawa nadała jego charakterowi znamie rycerskie, przez co stał się drogim całemu chrześciaństwu. Traktat zawarty w Crespy w 1544, położył kres wojnie z Francyą. Od téj chwili, Karól V. obrócił wszelkie usiłowania swoje, na zniszczenie związku protestanckich xiążąt niemieckich, wykorzenienie reformy Lutra i osiągnięcie nareście władzy nad całą Europą. Zamiarów tych nie zdołał dopiąć i owszem zbór odbyty w Augsburgu w r. 1555, zastrzegł powszechną tolerancyą.

Tak ciężkie wojny i trudy, znękały zdrowie Karóla Vgo. Państwa jego niegdyś tak kwitnące, wyludniły się i zubożyły; ujrzał przy schyłku swego zawodu, że jest mniej potężnym niżeli królowie Aragonii i Kastylii, których państwa połączył. Wówczas bratu swemu zapewnił cesarstwo niemieckie i arcy-xięztwo Austryi, a synowi swemu Filipowi, umyślił zostawić Niderlandy, Hiszpanią, Neapol i Sycylią. Dręczony podagrą, czuł że już dłużéj nie może utrzymać rządów tak wielu państw i umyślił złożyć koronę. W tym celu zwołał na dzień 15 Grudnia 1555 stany niderlandzkie. Po uczcie przeszedł do wielkiéj sali, a tam otoczony xiążętami kraju, posłami obcych mocarstw, mnóstwem możnych i szlachty, zabrał głos, wymienił wszystkie dzieła swoje od wstąpienia na tron przez lat trzydzieści i osiem, i oświadczył, że składa koronę, przekazując ją Filipowi synowi swemu. Wezwał stany aby dochowały wierności nowemu władzcy i poruczył mu szczęście poddanych, oświadczając, że ostatek dni swoich poświęci pobożności i przysposobieniu się na śmierć, któréj się nie zadługo spodziewa. 16 Stycznia następnego roku, oddał Filipowi tymże sposobem w obec wszystkich grandów Hiszpanii, rządy tego kraju.

Ne tylko dla siebie Karól V. pragnął spoczynku, lecz i dla całéj Europy, którą tak długo i tak gwałtownie wstrząsały jego wojny. Poznawszy czczość zamiarów których dopiąć nie mógł czterdziestoletniém usiłowaniem, sprzykrzył sobie daremne prace, a przyśpieszywszy zawarcie zawarszenia broni z Francyą, pojechał do Hiszpanii. Skoro tylko stanął na jéj brzegu, padł na kolana i uważając się za umarłego dla świata, ucałował ziemię. Wiele musiał wycierpieć z powodu niewdzięczności syna swojego, który zniewolił go do zatrzymania się przez kilka tygodni w Burgos, i opóźnił wypłatę połowy rocnéj pensyi, którą Karól V. oznaczył tylko na 100,000 dukatów. W mieście Valladolid rozstał się z dwoma siostrami swemi, z królową Węgierską i Francuzką, które chciały podzielać jego samotność, a potém pojechał do prowincyi Estramadury. Przejeżdżając niegdyś przez tę prowincyą, nie daleko miasta Placencya, uderzony położeniem klasztoru Swiętego Justa, należącego do zakonu Hieronimitów, rzekł był, iż takie to miej-

sce byłby obrał Dyoklecyan za swoje schronienie. Złożywszy koronę tam się udał.

Antoni Morello, autor hiszpański, tak kreśli poetyczny obraz tej uroczystej chwili.

»Klasztor S. Justa jest to obszerny gmach bez ozdób zewnętrznych, a białe jego mury, odbijają się od czarnych skał okolicznych. Widok tego klasztoru, podobnego raczej do warowni i do więzienia, przykre czyni wrażenie. Nawet żałobny szmer drzew miotanych wichrem, pomnaża tajemniczy ten smutek. Kto tam obrał schronienie dla siebie, ten postradać musiał wszystkie ogniwa, które przywiązywały go do świata, wszystkie uczucia które umilają życie.

»A przecież przybył tam pewnego wieczora, człowiek, nie tyle zgrzybiały wiekiem, ile trudem i troskami; towarzyszyły mu trzy albo cztery poważne i smętne osoby.

»Mały orszak, bez przepychu i wystawności, przybył Burgos a nikt nie wyszedł na jego spotkanie.

»Człowiek ten wysiadł z lektyki, sam zapukał do bramy i zawołał: »Otwórzcie!« A potém po cichu powiedział swoje nazwisko odźwiernemu i otworzyła się wielka i ciężka brama klasztoru. Nieznajomy pochylić musiał pod wielkiém sklepieniem, głowę nacechowaną rysami powagi i wielkości.

»Przeor nadszedł i dał błogosławieństwo nowemu bratu; ten ukląkł z pokorą i ucałował ziemię, potém zajął swoją szczupłą celę, a w refektarzu zasiadł na ostatniém miejscu jak nowo przybyłemu przystoi.

»Nazajutrz po mszy poszedł do ogrodu; dano mu rydel i kazano uprawiać kilka zagonów; wziął się do pracy, milczący, posłuszny i samotny.

»W rok potém wykonał śluby.

»Następującego roku odbyły się exekwie za umarłego nad zakonnikiem, który wykonał śluby dozgonne i okryto go całunem śmiertelnym jak się to zawsze dzieje w takim przypadku.

Nareście w dwa lata po wnijściu do klasztoru Sgo Justa, a w kilka dni po wykonaniu ślubów, mnich ten umarł, jako dobry chrześcianin, żałujący i rozciągnięty na popiele.

»Mnich ten, gdy żył w świecie, nazywał się Karolem piątym.

---

Historya, do tych szczegółów przydaje następujące jeszcze:

Karol V. w ostatnich latach oddalił od siebie wszelką etykietę i ceremonialność; nie pytał się nawet o polityczne wypadki. Czasami uprawiał swój ogródek, czasem z jednym tylko służącym wyjeżdżał do sąsiedniego lasku, na małym koniku, jedynym którego zatrzymał. Częstokroć, cierpienia wzbraniały mu wychodzić, wówczas przyjmował odwiedziny szlachty z sąsiedztwa, albo też zatrudniał się mechaniką i badał zasady tej umiejętności; szczególne miał upodobanie w robieniu zegarów i zegarków. Większą część dnia przeznaczał na modlitwę.

W ostatnich miesiącach życia, stracił ochotę do wszelkich rozrywek i poddał się pod całą surowość przepisów zakonnych. Aby przygotować się do opuszczenia tego świata, postanowił kazać odprawić własne swoje exekwie jeszcze przed śmiercią. Wzniesiono zatym katafalk w kaplicy klasztornej; słudzy jego szli jak za processyą pogrzebową ze świecami w ręku, a on sam szedł za niemi, okryty śmiertelném prześcieradłem. Spiewano oficyum za umarłych, Karól połączał swoje modlitwy z modlitwami kapłanów, jak gdyby na prawdziwym pogrzebie. Po obrzędzie, gdy wszyscy oddalili się i zamknięto drzwi kaplicy, Karól pozostał, przejęty żałobnemi myślami. Ten obraz śmierci zbyt mocne wrażenie uczynił na nim; nazajutrz dostał gorączki i umarł 21 Września 1558 mając lat 58, 6 miesięcy i 25 dni. Zwłoki jego pochowano w Grenadzie, a w sto lát potém przeniesiono je do Eskuryalu. Był zaślubił roku 1526 Izabellę córkę Emmanuela króla Portugalii; odumarła go w 1529 w dwudziestym trzecim roku życia. Miał z niéj jedynego syna Filipa, który po nim obiął tron Hiszpanii, i dwie córki: jedna, Marya, poszła za Cesarza Maxymiliana IIgo i umarła w roku 1603, druga Joanna poszła za Jana następcę tronu Portugalii i była matką króla Sebastyana. Z przybocznego łoża miał dwoje dzieci: Małgorzatę xiężnę Parmy i Don Żuana Austryackiego.

Panowanie tak długie i tylu ważnemi wypadkami władione, zwróciło uwagę wielu znamienitych pziejopisów. Robertson historyk angielski, poświęcił obszerne dzieło na skreślenie czynów i wieku Karola Vgo. Monarcha ten miał szlachetną postać, mało mówił i bardzo rzadko się uśmiechał. Powolny w powzięciu jakiego postanowienia, szybko przywodził do skutku, raz już powzięte. Obfity w wyszukanie środków, zawsze był panem samego siebie i chętnie walczył z przeszkodami. Znał ludzi i umiał ich używać do swoich zamiarów. Chociaż mało znał

http://rcin.org.pl




KLASZTOR ŚWIĘTEGO JUSTA.

kunszta i umiejętności, hojnie jednakże obdarzał uczonych i artysów.

## KOLENDA DLA DZIECI.

Na tegoroczuą kolendę wyszła z druku powieść p: t: *Obraz Boga Rodzicy* czyli *Dziecię zgubione*, ofiarowana dobrym dzieciom, przez Wydawcę Muzeum Domowego. Powieść ta naśladowana jest z dzieł Szmidta ze stosownem przepolszczeniem. Mało pisarzy rozmaitych dziełek dla dzieci, posiada tak sprawiedliwie nabytą wziętość jak Szmidt, którego już kilka dzieł mamy w języku Polskim. Najczystsza moralność i pobożność, zajmujące opowiadanie, tkliwość i prostota, oto są cechy wszystkich pism tego autora, poświęconych dla dzieci. W powieści Obraz Boga Rodzicy, wystawia dobre posłuszne dziecię, rozdzielone przypadkiem od matki, a potem znajdujące ją za cudownem Opatrzności zrządzeniem, ażeby stało się pociechą jéj lat podeszłych i wynadgrodziło przywiązaniem swojém, długie przepłakane lata.

Powiastka ta, ozdobnie wydrukowana, na pięknym papierze z dwoma kolorowanemi obrazkami, kosztuje dwa złote: trudno zaiste ofiarować dzieciom przyjemniejszą, pożyteczniejszą i obok tego tańszą kolendę. — Sprzedaje się we wszystkich xięgarniach i składach.

## UWIADOMIENIE.

Muzeum Domowe wychodzić będzie w r. 1836. I zeszyt wyjdzie 1 Stycznia 1836 r. Prenumerować można w Warszawie, W KANTORZE GŁOWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.
Na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych i po xięgarniach, rocznie zł 24, półrocznie złp. 13.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

# ZAKONY RYCERSKIE.



ZAMEK W MALBORGU.
Rycina robiona w Warszawie przez P. F. Dietrich.

RYCERZE TEUTOŃSCY, CZYLI KRZYŻACY.

Rycerski ten zakon, nazwany początkowo zakonem N. Panny Góry Syonu, ustanowiony został w 1191 dla narodu niemieckiego, przez Henryka króla Jerozolimy, za przyłożeniem się patryarchów i innych xiążąt chrześciańskich. Następująca okoliczność była do tego powodem. Gdy cesarz Fryderyk poszedł na Krucyatę z wielą innemi xiążętami, w celu odzyskania Ziemi Świętéj, którą opanował Saladyn sułtan Egiptu w r. 1187, wielka liczba panów i szlachty niemieckiéj, towarzyszyła mu, powodowana uczuciem pobożności i żądzą chwały. Ci rycerze niemieccy wsławili się w roku 1189. Po jego śmierci zdarzonéj podczas oblężenia Akry, pozostawszy bez wodza, obrali Fryderyka xięcia Szwabii, drugiego syna zmarłego cesarza i Henryka xięcia Brabancyi, za wodzów swego narodu. Pod ich naczelnictwem, wsławili się tak znakomitemi dziełami, iż Henryk król Jerozolimy, umyślił dla ich uczczenia ustanowić zakon rycerski. Statuta tego zakonu, ułożono na wzór statutów Templaryuszów i rycerzy Sgo Jana Jerozolimskiego, czyniąc go razem wojennym i gościnnym. Między innemi, wyrażono w nich, że rycerze zakonu mają bydź rodu szlachetnego, że poprzysięgną bronić kościół chrześciański i Ziemię Świętą, że przyjmować będą gościnnie pielgrzymów swego narodu i wezmą nazwisko rycerzy N. Panny z Góry Syonu. Cesarz Henryk VI. i papież Celestyn III. zatwierdzili to urządzenie. Rycerze Teutońscy nosili szatę białą z czarnym krzyżem, tego samego kształtu co krzyż zakonu Sgo Jana Jerozolimskiego i żyli podług reguły mnichów Świętego Augustyna. Bulla papiezka z dnia 22 Lutego 1191, nadała im też same przywileje, jakie posiadali rycerze S. Jana Jero:— Na mocy téj bulli, król Jerozolimski i Fryderyk xiąże Szwabii, mianowali pierwszych rycerzy tego zakonu, których liczba nie przechodziła czterdziestu. Henryk Walpole został wielkim mistrzem. Wszyscy xiążęta chrześciańscy okazali wiele życzliwości temu zakonowi i obdarzyli go przywilejami.

Pod zarządem dwóch następnych mistrzów, Ottona z Kerpen i Hermana Barth,

znacznie wzrosł ten zakon, lecz potęga jego i znaczenie, mianowicie zaczęły się od rządów Hermana Salza, obranego w 1210. On to na czele swoich rycerzy, ocalił z rąk niewiernych, Jana syna Henryka króla Jerozolimy, w bitwie którą chrześcianie przegrali przeciw królowi Syryi.

W téj to epoce, zakon ten przeniósł się nad brzegi Wisły i morza Baltyckiego, i tam ugruntował swoje siedlisko. Jak wiadomo z historyi, nad brzegami Baltyckiego morza, poczynając od granic Kujaw i Mazowsza, na prawym brzegu Wisły, mieszkał lud dziki i bałwochwalczy, Prusakami zwany, spokrewniony z Litwinami, językiem, obyczajami i bałwochwalstwem. Lud ten nie raz pustoszył Słowiańskie siedziby, które już przeszły na wiarę chrześciańską. Bolesław zwany Chrobrym, poskromił ich i chciał między niemi rozszerzyć światło wiary; toż samo usiłowanie czynili jego następcy, Bolesław Smiały i Krzywousty. Lecz Prusacy uległszy na chwilę, korzystali z osłabienia które było skutkiem podziału kraju między potomków Bolesława Krzywoustego i znowu niszczyli sąsiednie prowincye polskie. W r: 1167 w pień wycięli w bagnach swoich wojsko przeciw nim wysłane i całe Mazowsze spustoszyli. W 1180, rycerze zakonu Sgo Jana Jerozolimskiego, usiłowali stawić tamę Prusakom od strony Pomeranii, i w tym celu zbudowali zamek *Schoeneck*. Ale w owéj epoce, gdy rycerze zakonni daremnie wzywali pomocy Europy na ratunek Ziemi Swiętéj, gdy grób Zbawiciela wpadł na zawsze w moc niewiernych, przedsięwzięcie to nie miało dalszych skutków. Zamek, w sześć lat po zbudowaniu, wpadł w moc Prusaków.

Konrad xiąże Mazowiecki, utworzył towarzystwo rycerzy dla walczenia z pogańskiemi Prusakami. W 1221 nadał im zamek Dobrzyń, lecz zaledwie im się udało kilka utarczek, Prusacy wypadłszy ze swoich kryjowek, po dwudniowéj walce, w miejscu gdzie dziś stoi miasteczko Brodnica, rozbili Polaków i wycięli znaczną część rycerzy. Również nie powiodła się krucyata, którą Papież ogłosił na prośbę xięcia Konrada. Prusacy postępując za cofającą się wyprawą, miasto Płock zburzyli. Słynął już w owym czasie zakon rycerzy Teutońskich; do ich mistrza Hermana de Salza wysłał Konrad poselstwo w 1226, ofiarując mu ziemię Dobrzyńską i wszystkie kraje jakie na Prusakach zdobędzie, W. Mistrz wysłał wprzódy dwóch rycerzy dla przekonania się o stanie rzeczy, a gdy z pomyślném wrócili doniesieniem, mianował Hermana Balk prowincyonalnym mistrzem w Prusach i w 1230 wyprawił go ze stoma rycerzami na zdobycie tego kraju. Przedsięwzięcie to rozpoczęte tak szczupłemi siłami, zasługuje na szczególniejszą uwagę.

Prussy zapełnione bagnami, jeziorami i lasami, graniczyły od zachodu z Pomorzem, od południa z Mazowszem, krajami chrześciańskiemi; za podstawę przeto działań swoich, wzięli rycerze Teutońscy brzegi Wisły. Poprzednio już, za radą przysłanych dwóch rycerzy, zbudowano grodek Vogelsang, na lewém brzegu Wisły, jako strażnicę od strony Mazowsza; wkrótce po przybyciu prowincyonalnego Mistrza, wzniósł się nie daleko ztamtąd grodek Nassau (*) a przy wiosce, która się zapewne Dębem nazywała, na prawym brzegu Wisły, założyli rycerze warownię zwaną *Thor*, która im za bramę do dalszych postępów służyć miała i pod którėj osłoną istotnie wstąpili w nieprzyjacielskie posiadłości. Taki był początek miasta Torunia, ztąd także wzięło swoje nazwisko.

Bez obawy z początku spoglądali Prusacy na te usiłowania garstki rycerzy; lecz ci zaledwie ukończyli budowę, natychmiast wypędzili Prusaków z okolicznych lasów i zabezpieczyli się nad Wisłą.

W następnych latach, wznosiły się nowe zamki, a rycerze Teutońscy co raz dalej posuwali się w głąb kraju. Przybywały im na pomoc z zachodu roty Krzyżowców. Zamki służyły im za punkt oparcia się, a koloniści niemieccy osiadając pod ich zasłoną, zakładali miasta.

Nie raz poniósł także zakon ciężkie klęski od Prusaków, ale nowe posiłki z Niemiec, wkrótce podawały im sposobność powetowania tych strat, na ludach nie umiejących korzystać z odniesionych zwycięztw. Przy końcu roku 1283, całe Prussy już dostały się w moc Krzyżaków.

Zdobycz tego kraju bardzo jest podobna do postępów Rzymian w kraje Niemieckie. Jak Rzymianie budowali obronne obozy, z czego potém powstawały miasta, tak i rycerze Teutońscy nie posuwali się na przód, dopóki przez wystawienie warownego grodu, nie zabezpieczyli sobie posiadania zdobytego kraju. W przeciągu lat 53 wznieśli mnóstwo zamków, które po upływie sześciu wieków, albo jeszcze stoją nienaruszone, lub ogromem zwalisk swoich, zadziwiają potomność.

W roku 1274, założyli rycerze Teutońscy miasto Malborg; i oceniając ważność jego stanowiska, uczynili z niego obronną twier-

(*) Nie ma żadnego śladu zamku Vogelsang. Nassau, późniéj nazwane zostało Dybowem; jego zwaliska znajdują się niedaleko Torunia.

http://rcin.org.pl

dzę. W 1291 wyparci z Palestyny, główne siedlisko swoje obrali w Marpurgu w Hessyi; lecz gdy ich potęga wzmogła się w Prussach, Wielki mistrz Siegfred z Feuchtwangen, przeniósł się tamże i w Malborgu założył stolicę zakonu.

O teraźniejszym stanie tego miasta, czytelnicy Muzeum Domowego powzięli wiadomość z 11stego zeszytu, w którym znajduje się artykuł opisaniu Malborga poświęcony. Umieszczając dwie ryciny wyobrażające zewnętrzną postać zamku Malborgskiego i kaplicę rycerzy, wspomniemy po krótce o jego dawniejszéj świetności i sile.

Na miejscu gdzie teraz stoi Malborg, była wioska Alyem zwana, a przy niéj las poświęcony na cześć pogańskich bożyszczów. Rycerze Toutońscy szerząc panowanie swoje od Torunia aż do brzegów morza Baltyckiego, wznieśli zamki Chełmna, Kwidzyna, a Rehden, Stuhm i Christburg, tworzyły drugą linią obronną, któréj najważniejszém stanowiskiem był Malborg.

Heryk z Vilnove był pierwszym Komturem grodu, składającego się, jak za zwyczaj, z głównego zamku i przedzamcza. Oba otoczone zostały z trzech stron rowem obmurowanym, szerokim na 78 stóp, a na 36 głębokim, który zapełniono wodą z daleka sprowadzoną. Czwartéj strony broniła zatoka Nogat. Głęboki rów ze zwodzonym mostem, rozdzielał zamek od przedzamcza, w którym znajdowały się gospodarskie budowle i stajnie dla koni. Główna warownia (potém dla odróżnienia od późniejszych budowli, starym zamkiem nazwana) mieściła w sobie podwórze na 102 stóp długie, a na 65 szerokie, otoczone czworobocznym murem na 70 stóp wysokim. W środku podwórza była studnia na 90 stóp głęboka, wyłożona kamieniem. Od północnéj strony na przeciw mostu, znajdowała się brama sklepiona, w któréj wyższym łuku, zrobiono umyślny otwór, aby nim rzucać kamienie i pociski, na wdzierającego się nieprzyjaciela.

Wnętrze gmachu, składało się, prócz podziemnych sklepień, z czterech piątr także sklepionych, a zewnętrzne mury tak były mocne, że jeszcze pod samym szczytem miały osiem do dziesięciu stóp grubości. Pięć wież stojących w rogach warowni, razem były ozdobą i obroną. Wschodnia wieża, jako stanowisko straży, odznaczała się wysokością, dwie mniejsze przeznaczone były do obrony, północna zaś opatrzona dwoma czworobocznemi wieżami, służyła do ozdoby sali zgromadzeń kapituły, znajdującéj się w północno-wschodniéj stronie zamku.

Rzućmy teraz oko na wnętrze tego grodu. Sklepienia na skład zapasów przeznaczone, tworzyły dolne piętro; zakratowane strzelnice, służyły zamiast okien.

Sala kapituły, refektarz, jako też izby dla chorych, których przyjmowanie nakazują ustawy klasztoru, zapełniały drugie piętro; trzecie zaś i czwarte służyło za mieszkanie dla załogi. Żadne kraty nie zasłaniały tam widoku; a od strony południa i wschodu, porobione były małe okienka dla postrzegania zdaleka zbliżających się nieprzyjacioł.

Wewnątrz zamku, dół i pierwsze piętro, a od strony południa drugie piętro także, opatrzone były otwartemi gankami, które służyły do tego, aby na każde zagrożone miejsce, w razie oblężenia spiesznie przesyłać pomoc.

Pod samym szczytem zrobiony był sklepiony ganek, opatrzony strzelnicami przez które wyrzucano z kuszów i innych owczesnych machin, kamienie i pociski na oblegających. Nad temi galeryami wznosiły się blanki i otaczając dach, łączyły ozdobę i obronę.

Gdy W. Mistrz przeniósł do Malborga stolicę zakonu, zamek ten przeznaczony tylko do wojennego celu, nie odpowiadał powadze i świetności, którą naczelnik tak potężnego zakonu okazywać powinien.

Zrzucono więc część przedzamcza i na placu pomiędzy wałami, wzniósł się pałac Wielkiego Mistrza, w całéj wielkości i powadze architektury niemieckiéj, otoczony gmachami potrzebnemi do pomieszczenia wojennego i cywilnego orszaku. Ale daremnie badamy o nazwisko budowniczego, który bez marmuru i ciosowego kamienia umiał wystawić gmach, uznany nawet od współczesnych jako jeden z najwspanialszych w chrześciaństwie, jak to okazuje owe starodawne przysłowie: »Maryenburg ex luto, Offen ex saxo, ex marmore Mailand.« Obok piękności architektury, nie zapomniano o mocy i obronie: mądrze połączono te dwa względy. Nie wiadomo z pewnością kiedy ukończyła się budowa tego gmachu. Zdaje się jednak, iż to nastąpiło około roku 1335go.

Siedemnastu wielkich mistrzów mieszkało w Malborgu i tamże spoczywają ich zwłoki. Gdy to miasto przeszło w panowanie polskie; wiele ucierpiało za wojen ze Szwedami. Zamek i pałac wielkiego mistrsa, kilkakrotnym szturmem i pożarami niszczone, już były bliskie zupełnego upadku, gdy teraźniejszy następca tronu Pruskiego, zwiedzając Malborg, uderzony wspaniałością gmachów i ważnością drogich dla narodu Pruskiego pamiątek, z własnych funduszów rozkazał naprawić pałac W. Mistrza i przywrócić go do dawnego stanu.



**KAPLICA GOTYCKA W ZAMKU MALBORGSKIM.**
Rycina robiona w Warszawie przez P. F. Dietrich.

Po tém ustępie o mieście Malborgu, jako bezpośrednio należącym do dwóch rycin dzisiejszego zeszytu, dokończymy zarys historyi Teutońskiego zakonu.

Rycerze Teutońscy, których dziejopisowie nasi po prostu Krzyżakami nazywają, ugruntowawszy panowanie swoje w Prussach, posuwali się ku Litwie, a razem rozszerzać się chcieli w Mazowszu i Kujawach. To było powodem zaciętych wojen, które prowadził z niemi Władysław Łokietek, Władysław Jagiełło i Kazimierz Jagielończyk. Ten ostatni monarcha, po trzynasto-letniej wojnie, zdobył nareście i odebrał Krzyżakom część kraju, to jest ziemię Pomorską, Chełmińską i Malborską, jemu ustąpione traktatem 19 Października 1466. Od tego czasu, znacznie upadła potęga Krzyżaków, już nie śmieli wszczynać nowych wojen z sąsiadami. Stolicę zakonu przeniesiono do Królewca. Pięciu Wielkich Mistrzów panowało tam od roku 1457 do 1510, w którym to czasie, Albert margrabia Brandeburski zostawszy W. Mistrzem, wystąpił z zakonu 8 Kwietnia 1525, przyjął wyznanie reformowane i ogłosił się xięciem Pruskim. Część rycerzy Teutońskich poszła za jego przykładem, reszta musiała ustąpić z Pruss i osiadła w Niemczech, gdzie zakon ten znaczne jeszcze posiadał dobra i dzierżawy. Rycerze obrali W. Mistrzem, Lawatera de Kronberg, który założył rezydencyą swoją w Montheim we Frankonii.

Od tego czasu, zakon Teutoński nie mogąc czynić zadosyć pierwotnemu powołaniu swojemu, to jest walczyć z niewiernemi, jest tylko zaszczytném uposażeniem młodszych synów xiążąt i szlachty niemieckiej. Wielki Mistrz posiada około 20,000 talarów dochodu; zakon dzieli się na prowincye, a te zaś na komandorye. Teraźniejszym mistrzem, 56 z porządku, jest brat xięcia Modeny, xiąże Ferdynand d'Este.

## LAVATER.

Prawie każdemu znane jest nazwisko Lawatera, który poznawanie ludzi z ich fizyonomii podciągnął pod stałe i systematyczne prawidła. — Dajemy obszerniejszą wiadomość o nim i o jego systemacie.

Jan Kasper Lawater urodził się w Szwajcaryi w mieście Zurych w r. 1741, gdzie ojciec jego był doktorem.



Lawater dał nowy popęd wyobrażeniom, i prawie zupełnie stworzył umiejętność poznawania charakteru ludzi z ich fizyonomii; lubił szczegółowe spostrzeżenia, doświadczenia i fakta; namiętnie był przywiązany do sztuk pięknych i umiał rozbierać ich najgłębsze zasady; nie tak silny w rozumowaniu, nie tak zapalony, ale bardziéj pocieszający w zasadach swoich, drażliwy jak Jakób Russo, łatwowierny entuzyasta jak Swedenborg, Lavater połączał wszystkie sprzeczności charakteru, wyobraźni i talentu. Upodobanie w cudowności, które się w nim rozwinęło w dzieciństwie, zachował aż do póżnego wieku, a duch dostrzegania który oświecił jego młodość, nie zagasł w ostatnich latach życia. Żaden człowiek nie posiadał większej sprężystości charakteru, dosięgającej do cnot, do wad, do błędów i do odkryć najsprzeczniejszych pomiędzy sobą.

Lavater przeznaczony był do stanu duchownego. W jego młodości, dwaj ludzie z geniuszem, Klopsztock i Russo mocno działali na jego wyobraźnię. Dusza młodego Lavatera,z rozkoszą przejęła się religijnemi natchnieniami Klopsztoka i ognistą wymową Russa. Chciwie także czytał wiersze swoich współziomków, Bodmera i Breitingera, posiadających wtedy popularną wziętość. Te wszystkie wrażenia, działając na młodego ucznia Teologii, skłoniły go iż ośmielił się w ulotnem.piśmie powstać przeciwko jednemu ze starszych kantonu. Postępek ten zjednał mu wielu nieprzyjacioł; rodzice kazali mu wyjechać do Berlina i tam czas niejaki przepędzić. W tem mieście poznał się z wielu uczonemi ludźmi, a mianowicie ze Szpaldyngiem i Sulcerem. Za powrotem do Szwajcaryi, nowa nauka wyłącznie zwróciła jego uwagę. Od pierwszłj młodości, szczególniej uderzała go antypatya albo sympatya, którą wzbudzała w nim fizyonomia tych lub owych ludzi i szczególne rysy każdéj fizyonomii. Zastanawiając się nad przyczynami téj niechęci i wstrętu, uznał, że to jest objawienie charakteru człowieka, tajemny instynkt, ostrzegający o przymiotach, wadach i rozmaitych zdolnościach ludzi; nareście utworzył podstawę systematu fizyonomicznego. Zapala się jego wyobraźnia, uzbraja się cierpliwością, rysuje, bada, porównywa. Postrzeżenia powiększają codzień massę jego wyobrażeń, a z czasem wyświecają zupełną teoryą. Pewnego dnia, w domu lekarza Zimmermana, postrzega człowieka, którego fizyonomia zwraca jego uwagę; patrzy nań, a pierwszy raz stosując w praktyce zasady swoje, nad któremi długo rozmyślał, ocenia nieznajomego. Zdanie swoje o nim opowiada Zimmermanowi: okazało się ze wszystkiem zgodne z rzeczywistością; a wtedy Lavater odkrył swój system zdziwionemu Zimmermanowi. Od tego czasu poświęcił życie swoje téj nowéj nauce. Nie oszczędzał ani postrzeżeń, ani poszukiwań, ani czasu, ani zachodów, i zdołał oprzéć ją na podstawach jeżli nie zupełnie pewnych i niezachwianych, to przynajmniéj bardzo pozornych. Postrzeżenia swoje wydał najprzód w dwóch tomach w r. 1773, potém w czterech od 1775—8. Uderzyły one wszystkich, a nawet zatrwożyły. Ludzie nie lubią ażeby odkrywano ich tajniki. Lavater zamierzał zrzucić wszystkie maski; utrzymywał, że z saméj fizyonomii poznać może serce człowieka, jego nałogi, jego błędy, wady, zdolności, cnoty; że nareście w duszy ludzkiéj czytać zdoła jak w xiążce i roztrząsać ją do woli. Znalazł stronników i zaciętych nieprzyjacioł, cierpkich krytyków i zapalonych wielbicieli. Walczono przeciw niemu bronią śmieszności i rozumowania; wyszydzano to co w jego pismach było nowém i poważném; zbijano rozumowaniem to, co było wątpliwém i dziwaczném.

Nicolai, Museus i Lichtemberg, byli jego największemi przeciwnikami. Wyrzucali mu to zgwałcenie tajników serca, tę śmiałość rozjaśnienia tego, co Bakon nazywa nieprzystępną jaskinią. Na te zarzuty odpowiedział słowy godnemi Fenelona. »Że ze sposobem poznania ludzi, chciał połączyć sposób kochania ich bardziéj jeszcze. Sława Lavatera rozgłosiła się po całéj Europie. Ze-

http://rcin.org.pl

wszą̨d zasięgano jego rady; ustronie pastora w Zurich, stało się centralném biorem nauki fizyonomiczuéj. Tę niedogodność znosił cierpliwie, a nawet z upodobaniem, sprowadzała ona do niego takie mnóstwo oryginałów i najrozmaitszych charakterów, iż przez poświęcenie się dla umiejętności którą stworzył, zapomniał o przykrościach jakie przez to ściągnął na siebie.

Tysiące osób nalegało na niego. Przez lat dwadzieścia pięć wydając wyrocznie podług wynalezionych przez siebie zasad, często się zmylił. Sam to przyznawał; ale częściéj jeszcze odgadywał z cudowne dokładnością, a niekiedy nawet przepowiadał przyszłość, tak prawdziwie, iż w wiekach mniéj oświeconych, byliby to poczytali za rzecz nadludzką. Jeźli pewnego razu poczytał sylwetkę złoczyńcy łamanego kołem, za sylwetkę wielkiego Hallera, odgadł za to charakter i talenta Micabeau za pierwszym rzutem oka na jego rysy; toż samo powiedział o Nekerze i panu Mercier. Pewien rodzaj towarzyskiego instynktu, niezmiernie delikatny i przenikliwy rzut oka, mnóstwo doświadczeń, dopomagały Lawaterowi w tém odgadywaniu, powszechne uwielbienie wzbudzającém. Doszedł do tego, iż rysy każdéj fizyonomii klassykował podług pewnego alfabetycznego porządku, od którego klucz posiadał, a te znamiona połączone z sobą, objawiały mu wszystkie fenomena i tajemnice postępowania duszy i pojęcia.

Inni przed Lawaterem, rzucili światło na umiejętność poznawania ludzi z rysów ich fizynomii. Arystoteles, ten stary filozof, który przez surową przenikliwość swego geniuszu, przywłaszczył sobie berło wszystkich umiejętności na przeciąg trzydziestu wieków, Marek Aureliusz, Montaigue, Bakon, usiłowali oprzeć tę naukę na niepewnych skazówkach; inni nareście, mniéj lub więcéj łatwowierni i roztropni, jako to: Porta, Lachambre, Pernetti, Claramontius, Cardan, Paerson, malarz Le Brun, wskazali tylko co można zrobić. Lawater nastąpił po nich, a wszystko co powiedziano o téj umiejętności, co inni pisarze zdala tylko wskazali, on wydobył z własnego doświadczenia, z własnych badań; niczyje poszukiwania poprzednicze nie dopomogły mu w téj pracy. Czy przyjmiemy, czyli odrzucimy zasady zawarte w jego wielkiém dziele, musimy oddać sprawiedliwość mnóstwu prawdziwych postrzeżeń, trafnych wyobrażeń, myślom zarazem tchnącym uniesieniem i prawdą.

Lawater poświęcił cały majątek na ulubione doświadczenia, umarł w ubóstwie, koniec jego życia jest jednym z najpiękniejszych, jakie mogą uwieńczyć życie filozofa. Gdy w roku 1779 Francuzi najechali Szwajcaryą, Lawater okazał się jak najgorliwszym obrońcą swego kraju i współziomków. W tych chwilach zaburzeń, ratując nieszczęśliwych, bronił zarazem piastunów władzy, przeciw zapędom podżeganego pospólstwa. Padł ofiarą szlachetnego poświęcenia się. Cios śmiertelny, zadany, jedni mówią że przez francuzkiego żołnierza, drudzy że przez osobistego nieprzyjaciela, ugodził go na ulicy rodzinnego miasta; żył potém jeszcze, albo raczéj gasł zwolna przez piętnaście miesięcy. W tym przeciągu czasu, chwała, uwielbienie powszechne i żal współziomków, znoszenie jak najcierpliwsze okropnych boleści, towarzyszyły Lawaterowi zstępującemu do grobu. Podczas téj bolesnéj i powolnéj śmierci, pracował, pisał, miewał nauki, i zacny ten starzec, nad brzegiem grobu, zachęcał do cnoty, do ludzkości, za którą umarł i któréj boski promień ożywiał jeszcze jego konające spojrzenia. Żyć przestał 2 Stycznia 1801.

Oprócz badań nad fizyonomią, Lawater pisał także poezye. Okazuje w nich czułość i obfitą imaginacyą, słodką i pocieszającą filozofią, ale jest zaniedbany w stylu i rozwlekły. *Nowa Messyada*, *Józef z Arymathyi*, *Serce człowieka*, są to nie wykończone dzieła, posiadające zarody piękności. Jego drammata religijne i ulotne poezye, okazują rzadką łatwość połączoną z zaniedbaniem. Rozmyślania o wieczności i pieśni szwajcarskie, odznaczają się od innych poezyj Lawatera; pieśni zwłaszcza, tchną tą prostotą i powabem, nieznanym naszym poetom salonowym. Upowszechniły się one między ludem w Szwajcaryi i dziś brzmią niemi góry i doliny Alpejskie.

Któżby nie pragnął poznać rysów tego zadziwiającego człowieka? Temperamentu suchego i żywego, zdawał się przesuwać po jéj ziemi, któréj ledwie się dotykał; głowa jego przedłużona, szerokie czoło, okazujące giętkość i łatwość jego talentu, otoczone były rzadkim i miękkim włosem. Długie brwi zasłaniały łagodne i przenikliwe oko, tchnące życzliwością ku bliźnym. Usta drobne, nos dosyć spory, zgodny z wydatnym czołem, okazywały żywe pojęcie i talent dostrzegania. Ta piękna głowa wyrażająca szczerość, przenikliwość i czystość, usprawiedliwia godło przyjęte przez Lawatera: »Prawda i miłość bliźnich.«

Napoleon nie pojął geniuszu Lawatera i takie o nim dał zdanie:

»Lawater ze swemi stosunkami fizyczno»ści do moralności, jest tylko wielkim szar»latanem. Łatwowierność jest wrodzoną »naszą wadą, chcemy tworzyć sobie sta-

http://rcin.org.pl

»nowcze wyobrażenia, gdy przeciwnie po»winniśmy ich unikać jak najtroskliwiéj. »Tylko co ujrzemy rysy człowieka, natych»miast pragniemy odgadnąć z nich jego »charakter. Roztropniej byłoby oddalić od »siebie tę myśl i zniszczyć wpływ uwo»dzących okoliczności. Rozum i doświad»czenie: a mogłem przekonać się o tém »więcéj niżeli ktokolwiek inny: wskazują »że te wszystkie zewnętrzne znaki są kłam»stwem, od którego zabezpieczać się trze»ba. Jedyny sposób ocenienia i poznania »ludzi jest, aby ich widzieć, żyć z niemi i »doświadczyć.«

Lawater głęboko zastanawiał się nad sercem ludzkiém w tedy, kiedy byli ludzie, którzy przysposabiali wielkie wypadki, z których potém Napoleon skorzystał.

Pogarda Napoleona dla sztuki poznawania ludzi z rysów fizyonomii, nie wstrzymała publiczności od czytania Lawatera, od zamiłowania i przyjęcia jego systematu. I w istocie, jest to rzecz bardzo naturalna. Oblicze nasze, ta część ciała ludzkiego, na której Stwórca wycisnął znamienne piętno człowieka, jest zwierciadłem jego uczuć, myśli, nałogów. Wszystkie zewnętrzne i wewnętrzne wrażenia, malują się na niém. Cnoty i występki, radość i smutek, dobry byt i nędza, bieg wypadków i koleje życia, wyciskają na niém swe ślady. Za pierwszym rzutem oka na nieznajomego nam człowieka, czujemy ku niemu popęd lub wstręt, życzliwość lub niechęć, ufność lub obawę. Wprawdzie, bardzo często zawieść się możemy w naszych domniemaniach i ten błądziłby niezmiernie, ktoby ślepo wierząc w zasady fizyonomisty, przedwczesny sąd utwarzał sobie o bliźnych i albo siebie przez niebaczną ufność narażał, albo nieszczęśliwemu odmawiał wsparcia dla tego, że mu się jego fizyonomia nie podobała. Ale badanie fizyonomii i cała teorya Lawatera, niezmiernie jest ważna w sądzeniu, a zwłaszcza w wybadywaniu winowajców, i potrzebna artyście, który się malarstwu albo rzeźbie poświęca.

## O GORZENIU CIAŁA LUDZKIEGO SAMO PRZEZ-SIĘ.

Niespracowana gorliwość towarzystw wstrzemięźliwości, założonych w Anglii i Stanach Zjednoczonych, skłoniła je do wyszukiwania wszystkich chorób i przypadków, wynikających z nieumiarkowanego używania rozpalających napojów. *Gorzenie ciała ludzkiego*, samo z siebie powstające, szczególniej zdarza się u ludzi oddanych pijaństwu. Dziennik wychodzący nakładem towarzystwa wstrzemięźliwości, zebrał o tém przedmiocie wiadomość, którą udzielamy czytelnikom naszym.

---

Mimo niezmiernego postępu nauk przyrodzonych, w ostatnich pięćdziesięciu latach, przecież bardzo wiele zapytań rozwiązać jeszcze wypada, wiele przypuszczeń zbić lub utwierdzić, wiele doświadczeń poczynić. We wszystkich gałęziach tych umiejętności, jakże mnogie zdobycze zebrać zdoła człowiek obdarzony wytrwałością! jakiż niezmierny zawód chwały otwiera się dla filozofa, który dostateczném obdarzony pojęciem, zdoła zgłębić tajniki przyrodzenia i wyświecić skrytości dotąd nam nie przystępne! Chemia i geologia, te dwie umiejętności prawie za naszych czasów zrodzone, jakże olbrzymie uczyniły postępy od początku dziewiętnastego wieku!.. Ileż jeszcze postąpić mogą! Nauki lekarskie i fizyologia, chociaż trudniono się niemi od kolebki społeczeństwa, nie tyle przecież postąpiły. W rzeczy saméj, nie ma umiejętności o którejby tyle pisano, którąby uważano z tak rozmaitych stanowisk. Rzecby można, przebiegając wyliczenie dzieł medycznych, że rozpoznanie ciała ludzkiego posunięto aż do ostatnich granic; ale zapytajcie się sumiennego i światłego lekarza, odpowie, że wszystko jest jeszcze błędem, wątpliwością, mylném domniemaniem, i że teorye najlepiéj wyrozumowane, okazują się płonne, gdy je zastosować wypadnie.

Pomiędzy zjawiskami fizyologii zwierzęcéj, najbardziéj zadziwiającém i najgodniejszém uwagi jest gorzenie ciała ludzkiego samo z siebie zdarzające się. Mnóstwo przyczyn naznaczano temu fenomenowi, stósownie do stanu umiejętności, i dla tego dalsze postępy nauk wykazały ich mylność. Ciekawe przeto będzie historyczne opisanie tego fenomenu i rozmaitych teoryi, za pomocą których wytłomaczyć go chciano.

Gorzenie takie, co raz to rzadziéj się przytrafia i może ten czas wkrótce nadejdzie, kiedy za postępem moralności i dobrego bytu w klassach niższych, ten okropny rodzaj śmierci, zamieszczony będzie pomiędzy historyczne podania.

Gorzeniem ciała ludzkiego samo przezsię, nazywamy palenie albo zamienienie się w popiół, pośród takich okoliczności, iż nie podobna przypisać go jakiéj bądź obcéj przyczynie, i aby je wytłomaczyć, trzeba przypuścić szczególny stan organizmu. Gdy zastanowimy się, jak trudno jest spalić większą część istot zwierzęcych, gdy przywiedziemy sobie na pamięć, ile to drzewa potrzebowali starożytni dla spale-

http://rcin.org.pl

nia trupów, i gdy porównamy to wszystko z przypadkami, w których gorzenie samo przez-się zazwyczaj nastąpi, musimy uznać w niém wyłączny fenomen. Przez długi czas, prostota przypisywała go szczególnéj karze Boga.

Jedną z najciekawszych okoliczności, i razem najtrudniejszą do wytłomaczenia, jest ta, dla któréj nazwano fenomen ten gorzeniem samo przez się wynikającém. Nie raz bowiem nie znaleziono w przedmiotach otaczających ofiarę, ani nawet jednéj iskierki, któraby mogła zrządzić zapalenie się ciała, chociażby najbardziéj palnego. Zdarzało się w prawdzie, że światło, fajerka, albo rozrzażone węgle, leżały przy człowieku zmarłym tak okropną śmiercią, ale niepodobna było dowieśdź, że te przedmioty były przyczyną zapalenia, a tém bardziéj nie wytłomaczono jakim go udzieliły sposobem. W wielu przypadkach dowiodły najusilniejsze poszukiwania, że przy ofierze nie było żadnego śladu palącego się ciała. Następujące zdarzenie stawia nam ważny przykład téj prawdy.

Kobieta blisko sześćdziesięcio-letnia, w hrabstwie Down w Anglii, położyła się pewnego wieczora z córką swoją do łóżka; obie były na zabój pijane podług swego zwyczaju. Nieco przede dniem, inne osoby z familii, obudziły się, czując nieznośny dym, który przeszedł do ich izby. Wszedłszy tam gdzie spała stara kobieta z córką, przekonali się, że dym wychodził z ciała strawionego wewnętrznym ogniem. Ciało téj kobiety było tak czarne jak węgiel, a gęsty wyziew ze wszystkich stron jego wychodził. Wkrótce poznano że już nie żyje i nie łatwo było zgasić spalenie. Gdy kładziono zwłoki do trumny, ciało odpadało kawałami od kości. Córka jéj nic nie czuła, nie obudziła się nawet. Prześcieradło i posłanie nie okazywało żadnego śladu ognia, oprócz czarnych plam będących skutkiem dymu. Osoby zasługujące na wiarę, zeznały, że nic nie znalazły w izbie coby mogło bydź przyczyną tego palenia. Uważano tylko, że ta kobieta, oddana pijaństwu, więcéj dnia tego wypiła jak zazwyczaj.

Zasługuje na uwagę, że to gorzenie nie udziela się pobliskim ciałom i przez to różni się od wszelkiego innego gorzenia.

Wiadome nam są liczne pożary, których powodem jest ogień piorunowy i szkody zrządzone przez zapalenie się kopalni węgli ziemnych lub torfu, a przecież gorzenie samo przez się ciała ludzkiego, nie udziela się bynajmniéj przedmiotom bardzo palném, których się dotyka toż ciało.

Jakimkolwiek sposobem będziemy sobie tłomaczyć tę okoliczność, stanowi ona przecież niezmienną różnicę między dobrowolném gorzeniem ciała ludzkiego, a wszelkiém innem. Są jednakże przypadki, iż ciało ludzkie zetknąwszy się z gorejącém ciałem, zapaliło je także. Następująca okoliczność wspomniana w *Magazin Methodist*, w r: 1809, przez pana Wood, najbardziéj uderza.

Pan O'Neil, dyrektor szpitala w Limerick, nagle obudzony został o drugiéj godzinie w nocy, przez pewną osobę, która wszedłszy przestraszona, zaprowadziła go do swojéj izby, leżącéj pod izbą niejakiéj Peacock, kobiety już podeszłéj i od dawna oddanéj pijaństwu. Skoro tylko drzwi otworzył, postrzegł na ziemi leżącego trupa całego w ogniu, czerwonego jak miedź, a który zleciał przez zapaloną posowę. Spojrzał w górę i postrzegł wypalony otwór, którym to ciało spaśdź mogło. Biegnie natychmiast do izby zmarłéj Peacock, a zagasiwszy ogień, upatruje coby mogło bydź przyczyną tego pożaru, lecz żadnéj znaleźć nie może. Nie było w izbie ani światła, ani świecy, a na kominie leżało trochę tylko węgli osypanych popiołem. Troskliwie obejrzano izbę i postrzeżono, iż ogień nie zajął się w żadném inném miejscu. Koszyk i pudełko drewniane, leżące tuż przy otworze, uniknęły także działania ognia. Przytoczymy jeszcze inny przykład nie mniéj ciekawy.

(Dokończenie nastąpi.)

## NOWE DZIEŁA.

Historya starego i nowego testamenstu, Warszawa 2 tomy.—Cena złp. 7.

Pan Wojciech, czyli wzór pracy i oszczędzania, 2 tomy, Warszawa—Cena złp. 8.

Żona, mąż i kochanek, romans obyczajowy Pawła de Kock, przełożony z francuzkiego, 4 tomy, nakładem Aug: Em: Glucksberga. —Cena złp. 20.

Kolenda dla dzieci czyli Nowy Elementarz z obrazkami, Warszawa.—Cena złp. 2.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

http://rcin.org.pl

# STAFFA.



Wyspy Hebrydy, ciągnące się w liczbie trzechset, wzdłuż zachodnich brzegów Europy od półwyspu Cantyre, aż do przylądka Wrath, leżą między 56 a 59 stopniem szerokości, 8 a 10 długości jeograficznej. Angielscy geografowie ogołocili je z naukowego nazwiska Hebrydów, które pochodzi z zepsucia łacińskiego wyrazu *Ebudae*, a od ich położenia nazwali je zachodniemi wyspami (*the Western*). Ludność Hebrydów rozproszona na 86 wyspach (reszta bowiem zupełnie jest nie zamieszkała), składa się teraz z samych tylko rybaków, dzikich jak dawni Norsowie, a w średnich wiekach, były te wyspy schronieniem umiejętności, sztuk, nauk i ogniskiem cywilizacyi. Obszerne kopalnie, zwaliska kosztownego katedralnego kościoła, zbudowanego w VI. wieku, przez świętego Kolumbana patrona Szkocyi, poświadczają dziś jeszcze, że piękne utwory gotyckiego geniuszu, wznosiły się niegdyś tam, gdzie dzisiaj stoją nikczemne chaty godne łapończyków. Na wyspach, gdzie teraz daremniebyśmy upatrywali chociaż jednej chaty, napotykamy jeszcze ślady klasztorów i szkół, a monarchowie Szkoccy budowali grobowce królewskie tam, gdzie teraz same tylko ptaki morskie budują gniazda. Tak więc zgasło światło i cywilizacya z tych wysp ustąpiła. Jakie bydź mogą tego powody, trudno oznaczyć. Zdaje się, że klima stawało się co raz to ostrzejsze, a przed nieustannemi wichrami i nawałnicą, ludzie musieli ustąpić. Lecz jeźli czas pozbawił je wszystkich ozdób i świetności, którą winne były pracom ludzi, nie mógł zniszczyć cudów przyrodzenia. Hebrydy, jak wszystkie części świata, bezpośrednio wystawione na działanie dwóch najmocniejszych sił przyrodzenia, wody i ognia, morza i wulkanów, posiadają pomniki nadzwyczajnej potęgi żywiołów. Wyspę Staffa nazwać można pod tym względem stolicą archipelagu zachodniego: żadna bowiem z wysp Hebrydzkich nie nosi tylu i tak wspaniałych znamion pracy natury.

Wyspa Staffa, należąca do szkockiego hrabstwa Argyle, leży o dwanaście mil angielskich, na wschód wielkiej wyspy Mull, której stołeczne miasto Tobermory więcej wysyła statków na połów śledzi, niżeli który kolwiek port Wielkiej Brytanii, ma kształt nieregularnej ellipsy, najwięcej pół mili ang: obwodu. Staffa wynosi szczyt swój na 120 stóp nad powierzchnią morza. Cała wyspa jest tylko massą mi-

neralnéj i metalicznéj materyi, a mianowicie bazaltu, które wulkan podwodny wyrzucił wrzącą jeszcze na Ocean. Oziębienie, utworzyło stósownie do praw fizycznych, te kolumny pryzmatyczne, rozmaitego kształtu i wysokości, bez stałego jeometrycznego rozmiaru. Średnica ich wynosi od 4ch do 10ciu stóp, są one ośmio-ścienne sześcio-ścienne i t. d. Stojąc prostopadle, te kolumny bazaltowe mają za pod stawę zastygły potok lawy, tworzący zbitą i nie kształtną massę. Straszliwe wi chry północne, nie spotykając żadnéj tamy na morzu Hebrydów, pustoszą bezustannie powierzchnią wyspy Staffa, ciągłemi zalewaną deszczami: wszystko więc co tylko nie było bazaltem albo lawą, wszystko co nie stawiło oporu, spłókała fala albo wichry uniosły. Szkielet wyspy, stoi nagi, wszędzie najeżają się rzędy wierzchołków kolumn z bazaltu; ani jedno drzewo, ani jeden krzak nie rozwesela ponuréj jednostajności téj powierzchni.

Jednakże działanie powietrza rozbierając część zwierzchnią lawy i bazaltu, zrobiło z niéj pewien gatunek roślinnéj ziemi, nasiona trawy i roślin przyniesione z wiatrem, przyjęły się pod zasłoną wyższych głazów i rozszerzając się z czasem, pokryły tę skałę drobną i rzadką trawą. Ta nędzna wegetacya, wydaje trochę biednych ostów, które wkrótce burza wytępia.

Z taką samą gwałtownością fale biją brzegi téj wyspy, z jaką wichry pustoszą jéj wierzchołek. I tam podobnież, wszystko co tylko mocno nie było przyczepione do skał, oderwane zostało i wrzucone w przepaść. Tak podcięte i wygładzone połączoném działaniem morza i wichrów, brzegi Staffy prostopadle są wyciosane. Tworzą piękne bazaltowe kolumny, które zbliżone jedne do drugich i prawie jak pod sznur ustawione, otaczają wyspę wysokim murem. Ta warownia, broniona jak gdyby mieściła w sobie skarb zaczarowany, przystępna jest z jednéj tylko strony, i aby tam się dostać, trzeba upatrzyć chwilę, kiedy łódź przybliży się niesiona na falach płynących do brzegu. Tamtędy dostali się na tę wyspę rozmaici awanturnicy, którzy chcieli założyć na niéj osadę, lecz burze zawsze ich wypędziły. Arcybiskup Upsalu, Troilus, razem z panami Bank i Sulander, towarzyszami Kooka, zwiedził Staffę w 1772, i znalazł na niéj jednego tylko wieśniaka i krowę.« Okazując radość z naszego przybycia, mówi arcybiskup Upsalu, człowiek ten śpiewał przez całą noc w języku Hersów, któregośmy wcale nie rozumieli i poczęstował nas mlekiem i rybami.

We dwadzieścia lat potém, powiększyła się ludność; składała się jak mówi pewien podróżny, z dwóch rodzin zamieszkałych w dwóch xhatach zbudowanych z odłamu bazaltu i pokrytych murawą. Te dwa gospodarstwa składały się z szesnastu osób i posiadały byka, osiem krów, sześć owiec, dwie kozy, dwa psy, wieprza, koguta i osiem kur. Osada żywiła się kartoflami, które z nie małym trudem zasadziła, mlekiem, rybami i mięsem ptaków morskich. Zródło podsycane mgłą i deszczami, dostarczało bardzo oszczędnie potrzebnéj ilości wody, a wysuszone korzonki służyły za opał. Walcząc przez lat kilkanaście z tak nędznym sposobem życia, osadnicy ulegli i Staffa postradała swoich mieszkańców.

Od początku tego wieku, czasem tylko zawitają do niéj rybacy i strzelcy z wyspy Mull, dla połowu albo wybierania gniazd ptasich, lecz jeżli na tę nieprzystępną skałę już nie przybywają spekulanci, za to co raz częściéj odwiedzają onę wielbiciele natury; bo chociaż piękności Staffy, któresmy już wyliczyli, mogłyby ściągać pielgrzymów, nie wspomnieliśmy jeszcze o największéj osobliwości téj wyspy, o sławnéj grocie, o tém arcy-dziele natury, przewyższającém w wspaniałości wszystkie groty, jakie tylko sztuka lub natura mogła utworzyć.

Pęd morza, ciągle uderzając w jedno miejsce kolumnady bazaltowéj, tworzącéj obwód wyspy Staffa, musiał ją nareście wyłamać. Oderwał się jeden odłam kolumny; wody raz znalazłszy przystęp, podcięły kolumny jedne za drugiemi, i długim przeciągiem lat wyżłobiły jaskinię. Takim sposobem wytłomaczyć sobie możemy utworzenie groty Staffa.

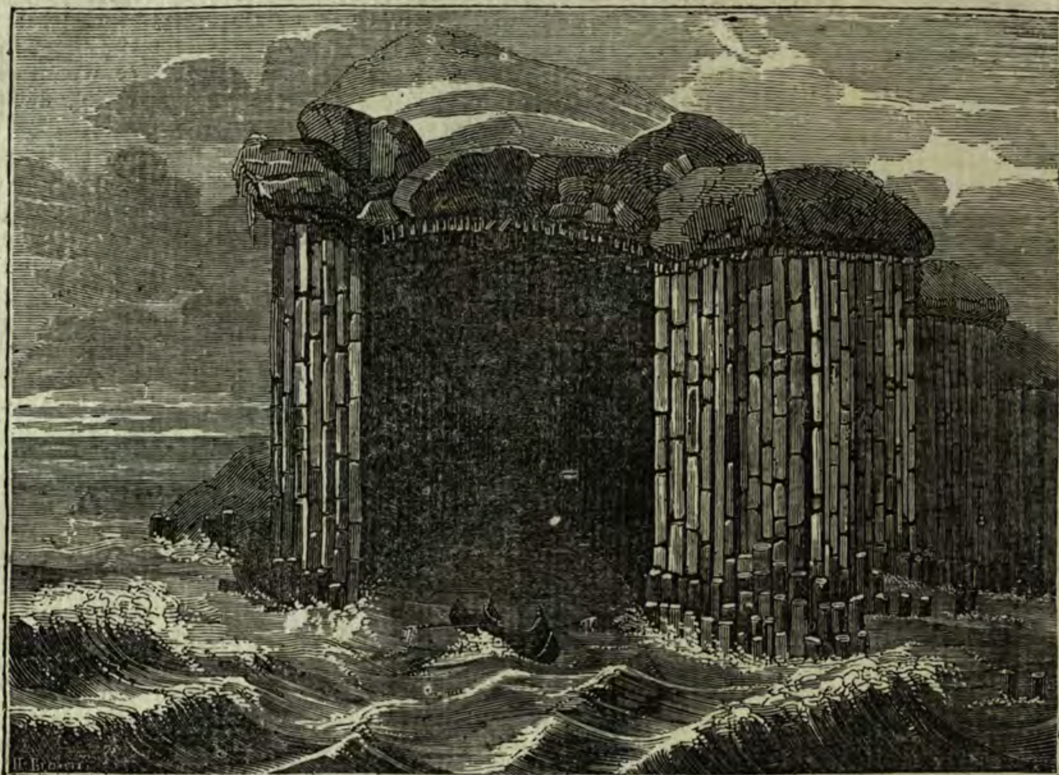
Mierzona równo z powierzchnią wody, przy wnijściu samém, grota Staffa ma 35 stóp szerokości, 56 wysokości a 140 głębokości. Wyżłobiona jest pośród massy bazaltowéj pociętéj w kolumny; jéj ściany utworzone są w zupełném swém rozwinięciu z kolumn bazaltowych, ułożonych z zadziwiającą proporcyą. Każda kolumna składa się z wielu słupów nie równéj wysokości, stojących jeden nad drugim. Większa część kolumn jest całkowita od podstawy aż do wierzchołka, lecz znajdują się i takie, które postradały jeden lub dwa bloki, a puste miejsce doskonale naznaczone jest w ścianie. Bazalt w tym czarodziejskim pałacu nie jest zupełnie czarny, ale już to przybiera barwę szaro-czerwoną, już to mieni się w błękitny lub ciemno-zielony kolor; wszystkie te ciemne barwy łączą w jeden posępny i żałobny odcień. Kolumny stojąc każda z osobna, oddzielone są jedne od drugich, substancyą wapienną biało-żół-

tawą, która wcisnęła się pomiędzy ich przedział i doskonale odznacza kształt każdéj. Śmiałe sklepienie, utrzymywane na dwóch pobocznych kolumnadach, tworzy zewnątrz fronton, na wierzchołku którego łączą się dwa łuki doskonale wymierzone. Sklepienie którego grubość do 20 stóp dochodzi, utworzone jest z niezliczonego mnóstwa ułamków kolumn. Zdaje się, że pozostały zasklepione w powietrzu, gdy się zawaliły kolumny, których były częścią. Substancya wapienna, o któréj wspomnieliśmy powyżéj, spoiła je tak mocno, jak najdoskonalsze wapno. Te pryzmatyczne ułomki, koloru szarego, czarnego, niebieskiego, zielonego, otoczone żółtawemi pasmami wapiennéj materyi, podobne są do bogatéj i zręcznie wyrobionéj mozaiki. Spód groty zajmuje morze głębokie na stóp 12 do 15; pokład po którym toczą się wały, składa się także z odłamów bazaltu, które, ile można sądzić o tém z wystających kawałów, zapełnie odpowiadają odłamom zawieszonym u sklepienia. Głębia groty, obcięta równo jak ściana, składa się także z rzędu kolumn ustawionych jak rury w organach. W około wystają z morza bazaltowe kolumny, a woda tak się o nie łamie i kręci, iż bardzo jest trudno dopłynąć czółnem do otworu groty.

Ponieważ jedna z bocznych ścian obcięta jest prostopadle od podstawy do wierzchołka i żadnemu nie uległa przypadkowi, nie podobna wedrzeć się tamtędy, lecz po drugiéj stronie ciągnie się na 12ście stóp nad powierzchnią wody, przy ścianie groty, grobla że tak powiem, złożona z poutrącanych kolumn. Za pomocą tych schodów, okrytych pianą z rozbijających się bałwanów, można dojść aż do najdalszéj części groty, a jeźli rozkład kolumn przypomina tuby organów, dziwne odgłosy wychodzące z tamtąd, pomnażają złudzenie i trafność porównania. Za temi kolumnami, utworzyła się druga jaskinia, któréj nie widać ale jéj domyśleć się można. Fale wpadają w tę niewidzialną przepaść, a powietrze wypędzane w górę, uchodzi w ówczas, pomiędzy rozpadlinami kolumn i wydaje te dziwaczne dźwięki, nie pozbawione harmonii i łagodności. Melodya zmienia się i przybiera dziksze znamie podczas gwałtownego wichru; bo kolumny z jednéj strony uderzane falami, a z drugiéj pędem powietrza, żałośliwe i poważne wydają dźwięki. Uderzeni tym nadzwyczajnym odgłosem; mieszkańcy Hebrydów nazwali ją z razu *Grotą harmonijną*, podobnież jak wyspie nadali nazwisko *Staffa* przez zastosowanie do kolumn, z których się składa. *Staffa*, w języku Norsów znaczy kolumnę.

Aż do pewnego punktu, można materyalnie rozebrać każdą część tego szlachetnego i miłego utworu; ale całość wyższa jest nad wszelkie opisy i nie podobna wydać wrażeń podziwu i uwielbienia które wzbudza. Entuzyazm wszystkich podróżnych, zwiedzających ten wspaniały pomnik, którego materyał jest dziełem Wulkana, architektura zaś dziełem Neptuna, wynurza się w wyrażach tak wspaniałych, że odrzuciwszy nawet to coby za przesadę poczytać można, nie podobnaby jeszcze wstrzymać się od podziwienia. Jeden z nich, uczony biskup Upsalu, wspomniany powyżéj, który w podróżach swoich nagromadził wielkie mnóstwo wiadomości archeologicznych, porównawszy grotę Staffa ze zwaliskami Palmiry, ze szczątkami Poestum, z kolumnadą Luwru, z kościołem Sgo Piotra w Rzymie, nie wahał się twierdzić, oparty na całéj powadze swego sądu i wiadomości, że starożytność grecka i Rzymska, wiek średni, i nowożytne czasy, nic nie utworzyły, coby wstrzymać mogło porównanie z *Grottą harmonijną*. Inny uczony, niemniéj sławny, który wszystkie badania swoje zwrócił do fenomenów natury, także oddaje pierwszeństwo Staffie. »Zstąpiłem mówi on w kratery wielu wulkanów, widziałem wiele grot, wiele kolumnad bazaltowych w Auwernii, Vivarais i Velaj; widziałem grotę olbrzymów w Antrim w Irlandyi; ale nic tak cudownego nie widziałem jak grota Staffa.» Tak porównywana z płodami natury, grota Staffa przewyższa wszystko. —»Można przytoczyć inne świadectwo jeszcze bardziéj stanowcze, na dowód jéj niezrównanéj piękności. Świadectwem tém jest podanie o jéj początku, panujące na wyspach Hebrydzkich. Widząc składność, regularność, dowcipne połączenie szegółów, mierząc trafność i potęgę stworzenia, nacechowaną we wszystkich jéj częściach, poetyczna wyobraźnia dzikich Hebrydczyków, nie uznała pracy natury w tak nadzwyczajném dziele. Grotta Staffa, jest podług nich pałacem olbrzymów, których plemie już wygasło; a jeźli się ich zapytują jaki ślad przechodu swego zostawiło to plemie, pokazują kopalne kości wielorybów i innych wielkich czworonogów i zowią je kośćmi owych olbrzymów, a potém przez naturalny związek cudownych wyobrażeń i fantastycznych mniemań; mówią, że pałace olbrzymów były pomieszkaniem wielkiego Fengala, którego Ossyan opiewał, którego jeszcze uwielbia ich wyobraźnia. Gdy lekkie ich łodzie płynące na rozhukanych bałwanach, zbliżają się do wyspy Staffa; zanucają żałosnym i jednotonnym głosem pochwały swego bohatyra; gdy podpływają ku grocie; ich pieśń, któréj takt wybijają uderzeniem wioseł, staje się

http://rcin.org.pl



GROTA FINGALA.

smętniejszą i cichszą; gdy słyszą huk wiatru jęczącego między kolumnami bazaltu, zdaje się im, że słyszą szmer harfy Ossyana. Na widok tego posępnego brzegu o który uderzają fale, na widok tajemniczéj groty, tych groźnych skał, na odgłos huku bałwanów, szumu wichrów i głosów ludzkich, łatwo można podzielać mniemania Hebrydczyków.

Nie sama tylko harmonijna grota, czyli grota Fingala, jest morskim pałacem wyspy Staffa; morze wyłamało także kolumnadę bazaltową w dwóch innych miejscach, ale wydrążenia te nie są tak wielkie i tak regularne; jednakże w każdém innem miejscu, były przedmiotem uwielbienia. Tuż przy wyspie Staffa, jest mała wysepka, także wulkaniczna; ale kolumny bazaltowe nie są ustawione w kierunku jednostajnie prostopadłym. Rozsiane na los we wszystkich kierunkach, tworzą nadzwyczajne postaci; tu są ustawione w kolumny, tam tworzą schody; w innem miejscu znowu leżą natłoczone bez porządku, jak zwaliska starożytnego miasta. Wysepka ta jest tylko odłomem Staffy i widać jeszcze pod wodą, bazaltową groblę łączącą te obie wyspy.

Bazalt, względem natury którego jeszcze nie zgadzają się uczeni, jest substancyą mineralną, kamienistą, magnes go przyciąga, a dłóto nie może go ciosać. Zdaje się że nie ma nic wspólnego prócz nazwiska, z bazaltem, którego używali starożytni rzeźbiarze.

---

GROBLA OLBRZYMOW.

Jako dopełnienie poprzedzającego artykułu, udzielamy jeszcze wiadomość o podobnemże dziele natury, a nawet łączącem się niejako z osobliwościami wysp Hebrydzkich, o Grobli Olbrzymów w Irlandyi, skreśloną przez znakomitego autora francuzkiego, pana Salwandy.

Grobla Olbrzymów znajduje się w północnéj części Irlandyi na przeciw wyspy Staffa w hrabstwie Antrim. Cały ten brzeg, okazuje widoczne ślady przerażającéj katastrofy, która Irlandyą od Anglii oddzieliła i mnóstwo wysp na tych morzach zostawiła po sobie. Od małego miasteczka Coleraine, osady angielskiéj, puściliśmy się ku brzegowi do którego ta grobla dochodzi. Brzeg ten jest bardzo wzniosły. Dziki kraj przebyć trzeba, nim się do niego dostaniemy; pola odłogiem leżące, nędzne lepianki, wybladli łachmanami okryci mieszkańcy tworzą obraz najokropniejszéj nędzy, jak

pośród bogatego i wykształconego kraju istnieć może. Gotycki zamek Dunluce, już w gruzach leżący, zbudowany na skale o pięćdziesiąt stóp od brzegu oddalonéj, jest ostatnim krańcem lądu Europy. Za nim rozciąga się Atlantycki i Północny Ocean, inne półsferze i inne niebo. To niebo północnéj Irlandyi i Szkocyi, mgłą głęboką pokryte, tajemnicze i poetyczne wzbudza wrażenie. Widząc je, można zrozumieć i czuć Ossyana poezye. Zaciemnione pochmurném niebem, morze także ma odrębną cechę. Wielkość jego bałwanów wskazuje, że z dalekich przybywają brzegów, niezmierzoną siłą pędzone.

Kolumny bazaltowe dowodzą, że z wściekłością wichrów i Oceanu, jeszcze połączyła się wściekłość ogni podziemnych. Czarny i spadzisty brzeg kamienny ze ścian bazaltowych, wznoszący się na czterysta stóp nad powierzchnią morza, uwięziłby spojrzenia wędrowca, gdyby osobliwszy widok rozciągający się u stóp jego, nie zajął go wyłącznie. Stoisz przed niezmiernym warsztatem. Wszędzie leżą części kolumn, słupy rozrzucone po ziemi, materyały do jakiegoś wielkiego dzieła. Olbrzymie dzieło jest rozpoczęte, owa to grobla olbrzymów, albo raczéj trzy groble, które z łona wód wspaniale postępują ku brzegowi i nagle zatrzymują się przerwane Materyały leżą jeszcze, ale już nie ma robotników. Jest to praca olbrzymów. Podanie opowiada w rzeczy saméj, iż olbrzymi wybudowali na morzach tę groblę, aby po niéj przejśdź do Szkocyi. Bohatyrowie Irlandyi pędząc przed sobą tych natrętnych gości, nadciągnęli, nim ukończoną została. Największa ze trzech grobel, ciągnie się na 700 stóp aż pod wodę. Im bardziéj się zbliżamy, tém bardziéj powiększa się podziwienie nasze; gdyż nie tylko wielkość dzieła, ale jego doskonałość zadziwia. Grobla zrobiona jest z bazaltowych słupów, tkwiących prostopadle w ziemi, do głębokości któréj przekonać się nie podobna; i tak ściśle spojonych, iż najmniejszéj przerwy lub szpary znaleźć nie można. Zdaje się, że je odlano w doskonałych ludwisarniach Anglii. I to najbardziéj zadziwia, że: czyli to mają pięć ścian, czy siedem, czy też dziewięć, ich kanty tak doskonale zgadzają się z pobliskiemi filarami, tak są dokładnie wycięte, wierzch tak jest gładki, iż tworzą najrówniejszy pomost, jakiby tylko zrobić można. Nie dosyć na tém, te pryzmata nie są ciągłe, składają się z pokładów na dwie albo trzy stóp wysokich i rozmaicie wpadających jedne w drugie, tak, iż aby je oddzielić, chyba je skruszyć potrzeba.

Myśl nasza gubi się w domysłach. Czujemy że nas przygnębia nieznana ręka, która zbudowała te pomniki, jak gdyby dla urągania się z naszéj słabości i daremnéj nauki To jedno tylko pozostaje uczucie po najdłuższém roztrząsaniu, że ręka Stwórcy jest potężna, a człowiek jest słabym bardzo, ale przy téj słabości szczęśliwym jeszcze, iż może nasycać się widokiem cudów i myśl swoją aż do ich sprawcy podnosić. Wprzódy nim porzuciłem groblę olbrzymów, chciałem jak lord Elgin unieść kilka łupów z tego odwiecznego gmachu, odłamać kolumny: byłbym to uczynił bez skrupułu; zostawiłbym jeszcze po sobie tyle do uiszczenia i uwielbienia, iżby wystarczyło dla najpóźniejszych pokoleń, ale nie mogłem zadosyć uczynić mojéj chęci. Dozorca, któremu margrabina Antrim, dziedziczka nadbrzeża, powierzyła straż tych pomników, sprzeciwił się memu żądaniu. Współziomkowie lorda Elgin (1), nie chcą aby kamienie ich brzegów tak wyłamywano, jak on wyłamywał płaskorzeźby Parthenonu. Mniejsza o to. Jakże są nic nie znaczące nasze życzenia i my sami, gdy je mierzyć zechcemy z najmniejszym głazem grobli olbrzymów.

## O GORZENIU CIAŁA LUDZKIEGO SAMO PRZEZ-SIĘ.

(Dokończenie.)

Anna Nelis, żona kupca wina i porteru w Dublinie, była także wielką pijaczką. Pewnego wieczora, gdy jéj mąż powrócił dopiero o godzinie pierwszéj w nocy, oboje kłócili się niezmiernie i oboje byli pijani. Pan Nelis poszedł nareście na spoczynek. Izba sypialna téj pary tak doskonale dobranéj, znajdowała się na pierwszém piętrze. Mówił żonie aby poszła z nim razem, lecz ona nie chciała tego uczynić. Widząc iż wstać nie chce, wziął świecę, mówiąc, że będzie musiała iśdź po ciemku. Nazajutrz rano, służąca otworzywszy okiennice salonu, postrzegła jakiś dziwny przedmiot w krześle pani Nelis. Mniemała z razu, iż to jest psota młodéj Nelis, która w téjże chwili weszła do pokoju, lecz przypatrując się z bliska, z przestrachem postrzegła szczątki swojéj pani, która znajdowała się w następującym stanie. Pani Nelis siedziała w krześle w niejakiéj odległości od komina, ogień się nie palił, głowa

(1) Lord Elgin, miłośnik starożytności, znajdując się w Atenach, wyłamał i zabrał płaskorzeźby swiątyni Parthenonu i przez to niezmiernie ten gmach uszkodził i zeszpecił.

http://rcin.org.pl

spoczywała na prawéj ręce opartéj o mur, korpus ciała zamienił się w węgiel, jako też suknie na niéj będące, ale wyższe i dolne części ciała, oraz suknie co je okrywały, uniknęły działania ognia. Tył i siedzenie krzesła pozostały nie tknięte. W izbie pełno było przenikającéj i smrodliwéj woni, która czuć się dawała nawet w kilkanaście dni po tym wypadku. Ta kobieta miała około czterdziestu pięciu lat, była małego wzrostu i bardzo otyła. Rzecz dziwna: przydaje autor który opowiada to zdarzenie: iż zwierzchność nie czyniła żadnego poszukiwania, a krewni tak mocno usiłowali utaić to nieszczęście, iż nie pozwolili lekarzowi Tuomis, professorowi szkoły lekarskiéj, obejrzéć ciała nieboszki. A jednakże, przydaje tenże, zaręczam za prawdziwość tych wszystkich okoliczności.

Prawie we wszystkich przypadkach zgorzenia ciała ludzkiego tym sposobem, osoby niemi dotknięte znaleziono bez życia; nie można było zatém powziąść żadnéj wiadomości o fenomenach, które poprzedziły tę katastrofę. Większa część ciała zamieniona była w woiół, a nie raz pozostała tylko część głowy, rąk i nóg. Jednakże kilka osób przeżyło pierwszy napad, i można było dowiedzieć się od nich, jakie okoliczności poprzedziły tę okropną katastrofę. Następującą okoliczność przytacza naprzód Bianchini, a potém umieszczono ją w piśmie *Transactions Philophiques* na rok 1745. Na tym fenomenie opierają się ci, którzy gorzenie ciała ludzkiego przypisują elektryczności.

Dom Marco Bartholi, mieszkaniec z góry Valeri, przyszedł za interesami na jarmark doFiletto, a załatwiwszy je udał się do Funil, na noc, do domu swego krewnego. Niezwłocznie poszedł na spoczynek; w kilka minut potém, usłyszano w jego izbie dziwny jakiś hałas i krzyki. Przybiegli domownicy i ujrzeli go leżącego na podłodze, otoczonego płomykiem lekkim przelatującym, który oddalał się w miarę jak się zbliżano do ciała i nareście zniknął. Nazajutrz rano, chirurg Baltaglia wezwany do chorego, ujrzał, że sciągacze ręki prawéj były zupełnie prawie oddzielone od mięsa, toż samo stało się i z innemi częściami ciała. Drugiego dnia pokazała się gangrena w prawéj ręce, a trzeciego rozpostarła się po całém ciele. Chory skarżył się na pożerające pragnienie i cierpiał okropne konwulsye. Czarne womity i obłąkanie nie odstępowało go aż do śmierci, która nastąpiła dnia czwartego. Podczas ostatniéj bytności swojéj, Baltaglia uważał, iż zgnilizna niezmiernie uczyniła postępy, z ciała wychodziła woń nieznośna, a paznokcie dobrowolnie odrywały się od palców prawéj ręki.

Nim jeszcze utracił przytomność, chory odpowiedział że uczuł w prawéj ręce bardzo silne uderzenie, a zarazem niebieski płomień przyczepił się do jego koszuli i spalił ją w mgnieniu oka. A jednakże chustka którą miał na ciele i gatki, nie zapaliły się wcale. Noc była spokojna, chłodna, powietrze bardzo czyste, żadnéj spalenizny, ani dymu nie było w izbie.

Świeższy wypadek potwierdza opowiadanie Bianchiniego. Wieśniak z hrabstwa Fife w Szkocyi, grzał się przy ogniu, gdy jego ciało zapaliło się nagle, a w miarę jak je chciano zagasić, wychodziły z niego niebieskie iskierki, zupełnie podobne do światła zapalonéj siarniczki. Nieszczęśliwy opowiedział przed skonaniem, że stał dosyć daleko od ognia, gdy nagle doznał pałającéj boleści w żołądku, a za chwilę postrzegł z przestrachem że płomień pożera jego i nogi ręce. Człowiek ten namiętnie lubił mocne trunki i prawie każdego tygodnia wypijał żartami (to były jego słowa) duszkiem półkwarty wódki.

Następujące postrzeżenie jest jedno z najciekawszych w tym przedmiocie. Katarzyna Heiss, mająca lat siedemnaście, delikatnéj budowy ciała, ale zdrowa zupełnie, zaczęła cierpieć od niejakiego czasu zawrót i ból głowy i przez to musiała porzucić służbę. Wieczorem 21 Lutego 1825 zajęta była szyciem, gdy chcąc wziąść świecę z okna, uczuła nagle, mocne i nadzwyczajne gorąco w całém ciele, a przykry ból w drugim palcu lewéj ręki. Ten palec natychmiast otoczony został błękitnym płomieniem, długim na półtora cala i wydającym woń siarczystą. Zanurzyła palec w wodzie, obwinęła go wilgotną chustką; płomień nie zgasł i owszem powiększył się jeszcze. Chora śpiesznie poszła do siebie, obwinąwszy rękę fartuszkiem który także spalił się po części. Płomień widać tylko było w ciemności. Kilkakrotnie umywała rękę mlekiem, nareście te obmywania powtarzane kilkanaście razy, oddaliły ogień, ale nie zdołały oddalić mocnego uczucia bólu.

Puszczenie krwi i chłodzące lekarstwa, uśmierzyły boleść, lecz dotkliwe palenie lewego przedręcza i woń siarki nie ustała. Pęcherzyki podobne do tych, jakie zrządza sparzelizna, pokazywały się na dłoni przez kilka dni. Ręka ta była rozpalona i palce nie zdołały ścierpieć najlżejszego nawet dotknięcia. Termometr umieszczony w niéj, wskazywał 25 stopni, osiem więcéj niżeli w ręce prawéj. Czyniono wiele doświadczeń z materyami palnemi, lecz bez żadnego skutku, a najczulszy elektrometr nie okazał żadnéj zmiany.

http://rcin.org.pl

Iskry elektryczne wyprowadzane z palców lewéj ręki, bolesne uczucie wzbudzały w choréj.

Wszystkie inne fakta gorzenia ciała chorego, zaświadczone przez osoby wiarogodne, zupełnie są podobne do tych, któreśmy przytoczyli. Okazuje się z postrzeżeń aż do tego czasu zebranych, 1mo. że gorzenie ciała, rzadko zdarza się u ludzi silnéj budowy, że wyłącznie prawie jest udziałem słabości i późnego wieku, i bardziéj podpadają mu kobiety niżeli mężczyźni. Po większéj części, te kobiety prowadziły życie bezczynne, były bardzo otyłe albo też niezmiernie chude i prawie wszystkie oddawały się pijaństwu. 2do że gorzenie postępuje z nadzwyczajną szybkością, a płomień koloru błękitnego nie wznosi się bardzo wysoko, ulata i nie daje się zagasić wodą. Oprócz tego, rzadko udziela się pobliskim przedmiotom, chociażby jak najbardziéj palnym. Woń spalenizny i płyn ciekły, tłusty i smrodliwy, czepiający się powierzchni ciał pobliskich, dowodzą że to jest prawdziwe gorzenie, połączone z wydobywaniem się gazu i wyziewów, nie zaś proste rozprzężenie cząstek składających ciało człowieka.

Pomiędzy teoryami, któremi usiłowano wytłomaczyć to zjawisko, najdawniejsza jest ta, która je przypisuje zbytecznemu używaniu alkoholu.

Autor tego artykułu w dzienniku angielskim, nie wspomina bynajmniéj o zapaleniu się wódki w człowieku który jéj nad miarę używa. W kraju naszym, słyszeliśmy o licznych przykładach takiéj śmierci, i to zdaje się potwierdzać mniemanie, że alkohol jeźli bezpośrednio nie zrządza gorzenia ciała, to przynajmniéj głównie do niego usposabia. Inni naznaczają za przyczynę, gaz wodorodny obficie znajdujący się w ciele, inni fosfor i działanie płynu elektrycznego. Wszystkie te mniemania mają wiele za sobą, wiele przeciw sobie. Czas okaże, czyli fizyologia zdoła należycie wyświecić i wytłomaczyć to zjawisko. Dotąd poprzestać trzeba na przytoczeniu faktów.

## MORALNOŚĆ.

### NOWE DZIEŁO.

*Pan Wojciech, czyli wzór pracy i oszczędności. Powieść we dwóch tomach, Warszawa, na rok* 1836.

Gorliwi przyjaciele ludzkości, dążą do tego, aby rozszerzając oświatę między niższemi klassami, oprzeć ją na religii i moralności; w tym celu, obok wszelkich ułatwień nauki czytania i pisania, starają się o ułożenie xiążek zastosowanych do pojęcia i wyobrażenia ludzi prostych, xiążek, któreby udzielając im przyjemną rozrywkę, mieściły w sobie zbawienne rady i żywy przykład pobożności, pracy, porządku i oszczędności. Do liczby takich dzieł należy Pan Maciéj z Jędrychowa, Pan Jan ze Świsłoczy, a teraz świeżo wydany Pan Wojciech.

Pan Wojciech jest to zamożny i zacny majster kunsztu szewckiego, który przez pracę i oszczędność dorobiwszy się uczciwego majątku na stare lata, zaprasza swoich znajomych i kolegów, także panów majstrów, na zabawę którą wyprawia obchodząc dwudziesto-piątą rocznicę swego wesela; a gdy młodzież ochoczo tańczy, on zagadniony od jednego ze starszych, zaczyna opowiadać historyą swego życia. Jeden z panów majstrów odezwał się, że dobry albo zły byt człowieka zależy od losu, od przeznaczenia, że choćby kto jak wół pracował, do niczego nie przyjdzie; a drugiemu szczęście samo idzie w rękę. Sprzeciwił się takiemu zdaniu Pan Wojciech, utrzymywał, że prócz małych wyjątków, człowiek zawsze jest przyczyną swego nieszczęścia; że gdy jest pracowitym i rządnym, może z niego podźwignąć się i byt swój polepszyć.

Życie Pana Wojciecha, jest dowodem téj prawdy. Rodzice odumarli go młodym jeszcze chłopakiem; wszedł do terminu do szewca; wyzwoliwszy się odbył kilkoletnią wędrówkę; przez oszczędność uzbierał sobie kapitalik potrzebny do założenia warsztatu na swoją rękę i ożenił się z uczciwą dziewczyną. Za błogosławieństwem Bożém, obmyślił uczciwy los dzieciom swoim i zebrał tyle, iż ostatnie lata przepędził wygodnie i szczęśliwie. W tym prostym obrębie, zamknął autor wiele wiadomości ciekawych i pożytecznych, które Pan Wojciech zebrał na wędrówce w obcych krajach. Rozmaite uwagi słuchaczów, nastręczają sposobność do zbijania ich błędnych mniemań i do uwag moralnych o prowadzeniu się w terminie i służbie, o postępowaniu ze służącemi, o wyborze żony, wychowaniu dzieci, o zbieraniu drobnych zarobków i odsyłaniu ich do kassy oszczędności, gdzie potém spory kapitalik utworzą. Zgoła, autor usiłował i osiągnął cel, aby wszystko co w téj xiążce zamieścił, było albo użyteczną wiadomością, albo zbawienną nauką. Xiążka ta głównie i niemal wyłącznie przeznaczona dla miejskiéj czeladzi, pisana po prostu, jasno zrozumiale, zupełnie odpowiada zamierzonemu celowi i zasługuje na jak największe upowszechnienie. Czyliż się powszechni stosownie do życzeń autora,, do życzeń każdego przyjaciela ludzkości? czyliż ją będą czytać i z niéj korzystać ci, dla których jest

napisana? Mimo najgorętszego życzenia, małą mamy nadzieję. Alboż czeladź rzemieślnicza weźmie u nas xiążkę do ręki? Dzieła takie jakim jest Pan Wojciech, należałoby drukować ze składek na ten cel zbieranych; a w takim razie naznaczyć na nie cenę, któraby po sprzedaniu całéj edycyi, z dwóch albo trzech tysięcy exemplarzy, ledwie koszta druku wróciła. Do nabycia i upowszechnienia xiążki, zachęcićby należało zgromadzenia czyli cechy rzemieślnicze. Bez tych pomocy i zasiłków, autor drukując dzieło własnym nakładem, musiał na nie naznaczyć zwyczajną cenę xięgarską, złotych ośm, a Pan Wojciech dopiero wtedy pożyteczny wpływ wywierać może na niższe klassy, gdy nie ośm ale trzy złote kosztować będzie.

## NUREK ROGATY.



Ten ptak winien jest wziętość swoją pięknym polotkom białym, połyskującym się jak srebro, które połączają miękkość mchu, sprężystość piór i świetność jedwabiu. Jego pierze, a zwłaszcza pod piersiami, jest bardzo gęste, nabite, ugładzone, tak, iż tworzy tylko świecącą się powierzchnią, nieprzystępną zimnu i wodzie. Takie doskonałe okrycie, bardzo potrzebne było nurkom, które pod czas najtęższych mrozów ciągle przebywają na wodzie. Nurków rozróżnić trzeba od podobnego do nich rodzaju Nurów; różnica zasadza się głównie w kształcie nóg i dzioba.

Z powodu swojego ukształtowania, mówi Buffon, nurek musi bydź zawsze mieszkańcem wód. Jego nogi prawie zupełnie w tyle umieszczone i bardzo krótkie, mają same prawie tylko stopy w kształcie wioseł i nie mogą na lądzie utrzymać ptaka. W tém położeniu nie może także latać, a gdy przypadkiem fala wyrzuci go na brzegi, trzepoce się biedny i ani wrócić do wody, ani wzbić się w górę nie zdoła, można go schwytać rękoma, chociaż mocno broni się dziobem. Ale za to niezmiernie szybko pływa po wodzie, zanurza się i w mgnieniu oka przepływa znaczne przedziały; mówią nawet, że najzręczniéj i najszybciéj porusza się zupełnie zanurzony pod wodą; do bardzo znacznéj głębokości upędza się za rybami i często wpada w sieci rybackie.

Ptaszki te żywiąc się tylko małemi rybkami, owadami, zoofitami i roślinami morskiemi, mieszkają nad rzekami, jeziorami i brzegami morza. Te które żyją na wodach słodkich, budują gniazdo z powikłanego sitowia i przyczepiają je do złamanych wierzchołków trzciny, albo też puszczają na wodę. Zazwyczaj znoszą dwa lub trzy jaja białe, albo blado-zielonawe. Niektóre gatunki gnieźdżą się w wydrążeniach skał, nie bardzo wysoko nad wodą znajdujących się.

Rogaty Nurek wyobrażony na téj rycinie, nie jest dłuższy nad dwanaście cali. W pierwszym roku nie ma ani rogu, ani kołnierzyka i dopiero go późniéj dostaje. Gatunek ten, dosyć jest rzadki w Holandyi, Francyi, Szwajcaryi i Niemczech, ale za to obficie znajduje się w wschodniéj Europie.

## UWIADOMIENIE.

Muzeum Domowe wychodzić będzie w r. 1836. 1 zeszyt wyjdzie 1 Stycznia 1836 r. Prenumerować można w Warszawie, W KANTORZE GŁÓWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.
Na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych i po xięgarniach, rocznie zł 24, półrocznie złp. 13.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

http://rcin.org.pl

# ŚWIĄTYNIE BIRMANÓW.



KLASZTOR KRÓLEWSKI W UMERAPURA

Gmach ten leżący niedaleko od Umerapura, miasta, które było stolicą państwa Birmanów aż do roku 1824, jest bardzo wspaniałéj i nadzwyczajnéj budowy, jak to wskazuje sama jego powierzchowność. Nie mniéj zadziwia architektura, jako też przepych ozdób i mnóstwo złota, znajdującego się we wszystkich jego częściach. Całkowicie zbudowany jest z drzewa, a dachy stojące jeden na drugim, tworzą pięć piąter. Każden otacza gzyms zręcznie wyrobiony i bogato złocony.

Cały gmach wyniesiony o dwanaście stóp nad ziemię stoi na 150 grubych palach drewnianych. Wszedłszy wewnątrz, nie podobna bez uwielbienia i podziwu, ujrzeć takiéj świetności. Złocona balustruda, na któréj wyryto rozmaite i dziwaczne postaci, otacza gmach zewnątrz. Balustrada wewnętrzna prowadzi do wspaniałéj sali opartéj na przepysznych kolumnach. Środkowe kolumny mają przynajmniéj 50 stóp wysokosci, są złocone, od wierzchołka aż do czterech stóp przy podstawie, która jest pomalowana laką różową.

Złocona przegroda, zrobiona z żaluzyi wysokich na 15ście do 20 stóp, rozdziela salę na dwie równe części od północy do południa. Przedziały między kolumnami, różnią się od 12stu do szesnasu stóp, a liczba tych kolumn sto przechodzi.

Ta niezmierna ilość złota, któréj Birmanowie używają do przyozdabiania swoich kościołów, jest jedynym zbytkiem tego ludu, oszczędnego i skromnego z natury swojéj. Szkoda że te gmachy budowane są z tak słabego materyału jakiem jest drzewo i w rzeczy saméj chociaż używa-

http://rcin.org.pl

ją drzewa jak najtwardszego, jednakże budowle te nie mogą przetrwać do najdalszych pokoleń i zostawić potomności pomników smaku i przepychu architektury birmańskiéj.

Malowniczą piękność tych klasztorów, pomnaża to, że je zazwyczaj budują w samotnych miejscach ocienionych drzewami. Te drzewa tworzą święte gaje, schronienie kapłanów.

Wszystkie klasztory, bądź to w mieście, bądź na wsi, służą do wychowania młodzieży. Uczą tam czytać i pisać, oraz zasad moralności i religii. Rodzice nic nie płacą za naukę dzieci, chyba że poczytamy za zapłatę, podarunki w żywności i różnych sprzętach. Czyli dziecię wchodzi do klasztoru tylko na pewien przeciąg czasu, czyli też przeznaczone jest do stanu zakonnego, oprowadzają one po mieście, ubrane w szatę żółtą, siedzące na koniu pokrytym bogatym czaprakiem, grono muzykantów idzie przed niém, a wielka liczba zakonników towarzyszy dziecięciu. Nie może bydź starsze nad lat dwanaście. Wszyscy krewni i przyjaciele idą za niém, niosąc podarunki. Tak obszedłszy całe miasto, dziecię zaprowadzone bywa do klasztoru, w którym zostawać będzie i przedstawiają je naczelnikowi zgromadzenia. Ten obrzęd powtarza się przez trzy dni, a za każdym razem składają nowe dary.

Jeszcze jest ciekawszym, obrządek przyjęcia młodego Birmana do zgromadzenia Zakonników. Dają mu najprzód żółtą suknię zakonną i pudełko do kwesty, potém musi powtórzyć po trzykroć, że przełożonego zakonu uznaje za swego przewodnika. Następnie badają, czyli nie ma jakiéj wady, bądź fizycznéj, bądź moralnéj, czyli urodził się z karłów, czy z olbrzymów, czy jest pod wpływem czarowników i złych geniuszów? Na te wszystkie pytania, kandydat musi odpowiedzieć zaprzeczeniem.

Po téj formalności, zbliża się do zgromadzenia i mówi: »Szanowni i święci mężowie, pokornie błagam waszéj pomocy. Wyprowadźcie mię z drogi śmierci i umieśćcie w przybytku cnoty i doskonałości.« Tę modlitwę powtarza po trzykroć, po czém zapytujący się mówi także kilkakrotnie: »Kto zezwala na jego przyjęcie do naszego zgromadzenia, niechaj milczy, a kto się sprzeciwia, niechaj głos zabierze i objawi swoje powody.« Jeżli wszyscy milczą, Kandydat jest przyjętym, a wtedy wskazują mu jego powinności. Pierwsza z tych powinności jest, aby zbierał żywność przebiegając ulice, co z niéj zbędzie rozdzielał ubogim; druga dotycze się ubioru jego; trzecia pomieszkania, czwarta wyraża: »Nadasz użyteczność rzeczom, które ludzie wyrzucają jako na nic nie przydatne i szukać będziesz własności lekarskich w roślinach, o których mniemają że są ich pozbawione.«

Kandydat powinien unikać wszelkiego towarzystwa, zabaw i uciech, nie odbierać życia żadnemu zwierzęciu, choćby najmniejszemu owadowi i nikomu krzywdy nie czynić.

Kapłani birmańscy poetycznym sposobem wyrażają jak naganne są te wady! Łatwiéj byłoby, mówią oni, połączyć z ciałem głowę oddzieloną od niego, aniżeli odzyskać straconą czystość. Ten kto się dopuszcza kradzieży, tak już nie odzyska cnoty, jak uschłe drzewo nie wyda latorośli, kwiatów i owoców.

---

## SEBASTYAN KLONOWICZ.

Urodził się roku 1551, zmarł w 1608.

Urodzony w Sulmierzycach, miasteczku Królewskiém Województwa Kaliskiego, pierwsze początki nauk brał w Akademii Krakowskiéj, gdzie był zaszczycony godnością doktora filozofii. Z tamtąd udał się do Lublina, a przyjąwszy obywatelstwo miasta, nieszczęśliwym losem pojął za żonę kobietę najniegodziwszych obyczajów. Zatopiona w pijaństwie i rozpuście, struła mu spokojne życie i wtrąciła do nędzy. W 57 wieku, zmarł w największym niedostatku, nawet i nie w domu swoim, ale w szpitalu publicznym. (a) Był Radnym miasta Lublina i sędzią spraw żydowskich; z tak zyskownéj posady, surowéj wielbiciel cnoty, nic nie zyskiwał i w nędzy skończył. Za życia swego, gdy złe obyczaje w rymach swych karci, wielu nienawiść na siebie ściągnął. Taki był los człowieka, rzadkiéj nauki, wielkiego talentu i nadzwyczajnéj pracy.

»Wiersz jego tak łaciński jak polski (mó»wi Fr. Siarczyński) jest płynny, łatwy i »wielkim dowcipem, niekiedy w prawdzie »jałowym zaprawny. Godzien zawsze zna»mienitego między poetami, na polskim »parnasie miejsca i pochlebnéj danéj mu »w tym wieku nazwy *Owidyusza Sarmackie*»*go*.« Lubił Klonowicz to porównanie i sam je czynił: »*Nasoni patria Sulmo est* »*Sulmina nobis*.«

Sebastyan Kujek, mieszczanin Lubelski, pokrewny jego, położonym nagrobkiem

---

(a) F. Bentkowski Hist. Lit. Pol.
Dykcyonarz Poetów X. Juszyńskiego T: I.
Fr. Siarczyński, obraz wieku Zygmunta 3go.
Pisma K. Brodzińskiego T. 1.

http://rcin.org.pl



*Sebastyan Klonowicz.*
(*podług starożytnego medalu.*)

pamięć cnotliwego Klonowicza uczcił. Zostawił dzieła następujące:

1). Roxolania. Cracov. ap. And. Petricov. 1584, przypisane Senatowi miasta Lwowa. Wystawia tu wszystkie bogactwa, któremi natura i sztuka ruskie kraje ubogaciła.

2). Pożar i upomnienie do gaszenia i wróżba o upadku mocy tureckiéj r. 1597, in 4to z godłem: »Już się pali Ukalegon.» Przypisał Januszowi Xięciu Ostrogskiemu, Kasztelanowi Krakowskiemu.

3). Żale nagrobne na śmierć Jana Kochanowskiego w Lublinie 1585 roku. Wiersz piękny pisany na wzór Idylli Teokryta.

4). Victoria deorum r. 1600 in 8vo b. m. Dzieło osobliwéj rzadkości i ledwo w któréj dowiedziane bibliotece. Powodem téj rzadkości jest, że było po wielu mieyscach palone: niektórzy albowiem utrzymywali, że bałwochwalstwo ożywiało, że tchnęło nauką politeizmu, czyli czci Bogów. Tak to niewinnie, Klonowicz, pracując lat 10 nad tém dziełem, ściągnął nienawiść mocną na siebie. Wystawia tu szkołę bohatyra i w niéj daje przepisy wychowania ludzi na wielkich i zadziwiających mężów. Mówi o tém dziele K. Brodziński w tych słowach:

»Klonowicz, który miłości prawdy całe »życie poświęcił, nie tak w »*Worku Juda*»*sza*» jak w dziele *Zwycięztwo* Bogów (Vi»ctoria deorum), trafnym i narodowym jest »satyrykiem.»

5). Catonis disticha moralia, castigatissima. Crac. ap. Górecki 8vo. 1674. Piękny przekład czterechxiąg Katonowych podwójnych wierszy, na końcu jest przydatne *Peryandra*, Biantesa i Pittaka. Dzieło to do bardzo rzadkich należy.

6). Erazma Rotterdama Dworstwo obyczajów dobrych w Krakowie, u Wojciecha Góreckiego 1674 r. 8vo. To dziełko elementarne w on czas dobrze było przyjęte, czego powtarzane wydania dowodzą.

7). Worek Judaszów, z skór, wilczéj, lisiéj, rysiéj, lwiéj etc. w Krakowie drukował Seb. Sternacki 1603 r. 4to.

Wierszem tym wyszydza Klonowicz wszelkiego rodzaju oszustów. W opisie, trafny jest i dowcipny.

8). Pamiętnik Xiążąt i Królów polskich 1639 r. przypisany Janowi Firlejowi.

9). Flis, to jest spuszczanie statków Wisłą i innemi rzekami do niéj przypadającemi. Drukował Seb. Sternacki w Rakowie 1601 r. 4to. Dla miejsca druku, nie dla rzeczy, nie raz ten poemat był palony. Ocaliło go od zaguby późniejsze wydanie w Warszawie 1643. Nie tylko co do wiersza, ale i co do opisu dokładnego biegu Wisły, rzek do niej wchodzących, w jéj nurcie haków, raf, zatorów, prądów, ostrowów; co do wyrazów wiślanéj polskiéj żegludze właściwych, nazwisk statków, szacowném jest ten ważny pomnik w starożytnéj literaturze naszéj.

O innych dziełach tak prozą, jak domniemywanych Klonowicza, znajdzie czytelnik wiadomość w Juszyńskiego Dykcyonarzu poetów, w Bentkowskim i Siarczyńskim.

Polskie dzieła Klonowicza, wydał xięgarz Józef Czech w Krakowie, we dwóch tomach, w r. 1829. K. Wł. W.

---

## DOBRA GERTRUDA.

*Powieść naśladowana z podań ludu.*

Przed trzema wiekami, stary młyn stał nad rzeczką nie daleko góry Łysicy. Była to własność młodego młynarza, którego rodzice ze stanu miejskiego pochodzący, okupili ją na wieczne czasy od dziedzica okolicznych włości.

Młody młynarz był to człowiek pracowity, uczciwy, pobożny, ale od kilku lat wszystkie nieszczęścia zwaliły się na niego. Pochował ukochaną żonę i jedynego syna, zadłużył się na lekarstwa, przez czas choroby żoninéj zaniechał mlewa, okoliczni mieszkańcy odwykli przywozić do niego zboże do mielenia, a nielitościwy wierzyciel chciał go za długi wypędzić ze młyna. Biedak! nic mu nie pozostało innego, chyba pójść gdzie służyć za chłopaka, ale i tego jeszcze nie mógł uczynić, bo stara i chora świekra potrzebowała je-

http://rcin.org.pl

go pomocy. Przy takich nieszczęściach, już nie raz o mało że nie stracił ufności w Bogu, ale Gertruda siostrzenica jego świekry, przy nich mieszkająca, dobra i wesoła dziewczyna, posiadała dwa szacowne przymioty, odwagę i uległość woli Bożéj.

»Szczęście i nieszczęście pochodzą od Boga, mówiła. Nikt na tym padole ani jednéj łzy nie uroni bez woli dobrego Boga. On ubogiéj ptaszynie daje pożywienie i ochronę, liściem okrywa słabego robaczka, a ludziom dał rozum, aby wybierali najlepszą drogę, na któréj znaleźć mogą trochę kwiatów. A z resztą, czyli ta droga wesoła będzie czy ponura, błogosławić będziemy stanąwszy u jéj kresu, tego, który nadzieją wieczności grób uwieńcza. Co on czyni, wszystko jest dobrze.

Nie smućcie się więc tak bardzo panie Jędrzeju, któż wie, może jutro da nam Bóg to, czego nam dziś odmawia. Nie zapominajcie jakie obietnice uczynił ojciec przedwieczny tym, którzy zasługują na jego łaskę.

Dobra i ochocza Gertruda, szczerem i bez interessowném poświęceniem powodowana, nie odstępowała staréj ciotki. Biedna dziewczyna, musiała nie raz obejśdź się bez kawałka chleba. Była dobra, pracowita i ładna, wszyscy nazywali ją dobrą Gertrudą. Nawet dziewczęta wiejskie oddawały jéj sprawiedliwość, a chociaż nie miała się w co stroić na święto, jednakże umiała tak dobrze ułożyć swoje przeszarzane sukienki i wstążki, iż między wszystkiemi wyglądała najpiękniéj. Stroił ją bowiem gust, porządek i ochędostwo. Dla tego też, nie jeden chłopak, syn gospodarski, starał się o jéj rękę, i zapewne poszedłszy za niego nie byłaby w tak biednym stanie, ale Gertruda odmawiała każdemu. Nareście nikt więcéj się nie oświadczył i zaczęto gadać, że Gertruda kocha młynarza. A przecież nie było to prawdą. Biedna dziewczyna nie miała czasu myśleć o miłości. I owszem pragnęła, żeby młynarz pojął bogatą żonę, któraby dobrze obchodziła się ze starą świekrą. Ale młynarz przyrzekł konającéj żonie swojéj, że nigdy nie opuści biednéj sieroty, pamiętać będzie o niéj i o staréj schorzałéj matce.

Dobra dziewczyna kontenta była ze swego losu. Te drzewa, które zacieniały brzeg rzeczki, z nią razem urosły, tam ona przepędziła wiek dziecinny, a nareście na cmentarzu kościoła pobliskiéj wioski, widać było mogiłę, którą często oblała swojemi łzami: tam spoczywa jéj ojciec i matka.

Pewnego wieczora, młynarz rzekł do niéj: »Jutro pójśdź muszę zawczasu do Bodzantyna. Zapalisz ogień na kominku i ugotujesz mi śniadanie: bo widzisz, trzeba się śpieszyć i zawczasu nazbierać drzewa na zimę; wkrótce mrozy uderzą.

—»Będę pamiętać o tém, panie Jędrzeju, rzekła Gertruda. Życzę wam szczęśliwéj podróży. Pan Jędrzéj westchnął, a Gertruda przydała aby go pocieszyć. »Bądźcie dobréj myśli, może też skończy się nasza bieda.

Gertruda przygotowała trochę kaszy na śniadanie dla młynarza i potém poszła na spoczynek, myśląc że rano wstać musi. Gdy się obudziła, czwarta biła na zegarze kościelnym we wsi. Wstała czémprędzéj i chciała rozniecić ogień. Nie mogła skrzesać ani jednéj iskierki. W tém postrzegła przez okienko u spodu góry, pod samym lasem, wielki ogień, rozpalony pod starym dębem. Przy ogniu grzało się kilku ludzi.

»Dzięki niech będą Bogu! zawołała uradowana Gertruda: wezmę od nich ognia. To są gajowi nasi, stary Piotr i Jan, oni mi nie odmówią. Porwała żelazną łopatkę i pobiegła do ognia. »Dzień dobry, dzień dobry sąsiedzi, wołała zdaleka, dajcie mi kilka węgli, abym sobie rozpaliła ogień. Mój krewniak zawczasu ma iśdź do miasta.»

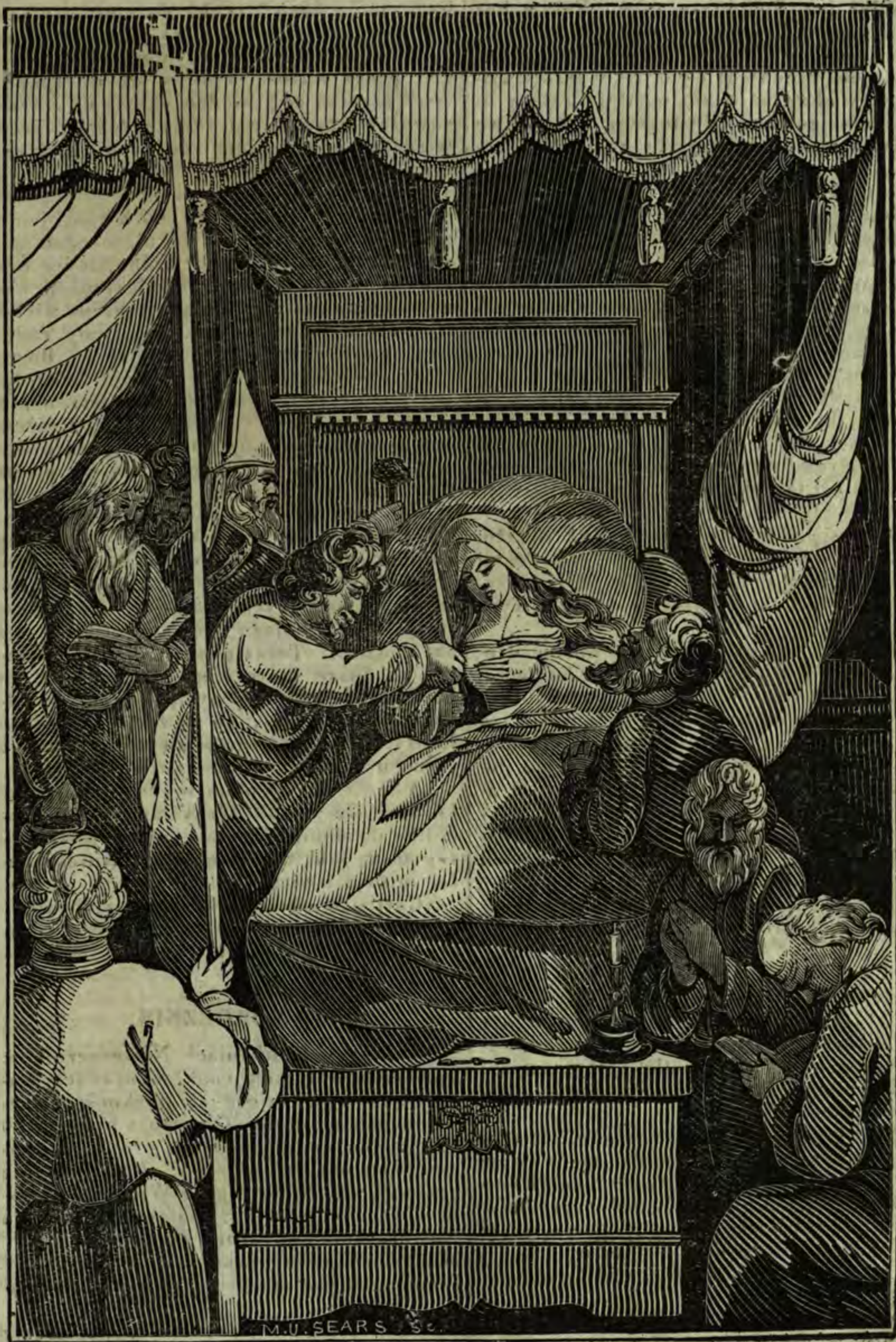
Zbliżywszy się postrzegła, że to nie byli gajowi, gdyż jéj nie przywitali i nie odpowiedzieli czyli może wziąźć węgli, ale Gertruda nabrała ich mimo tego, podziękowała i szybko powróciła do młyna. Jeszcze nie doszła do komina, a już węgle zagasły, nie mogła dojrzeć ani jednéj iskierki. Poszła więc drugi raz do tego ogniska, wzięła łopatkę i cęgi, grzecznie poprosiła o węgle, i przez chwilę przypatrzyła się nieznajomym. Zdziwiła się widząc ich dziwaczne stroje: mieli bowiem druciane kaftany, a szyszaki z kitą, okrywały ich włosy jak śnieg białe. Uzbrojeni byli w pałasze szerokie i krótkie, a długie włocznie w ręku trzymali.

Gertruda zmiarkowała się wtedy, że to są jacyś obcy; dreszcz ją przejął i nie wiedziała czyli może przystąpić po raz trzeci do tak dzikich i ponurych ludzi. A jednakże musiała to uczynić, znowu bowiem zgasły węgle, a dzień zaczynał świtać. Zebrała całą swoją odwagę, pobiegła do ogniska i tyle węgli wzięła, ile się na łopatce pomieścić mogło. Nagle obrócili się ku niéj ci ludzie, błękitnawy płomień wybuchnął z węgli, szczęknęli mieczami o włócznie i zawołali głosem straszliwym i grobowym:

»Nie waż się przychodzić więcéj.

Blada i przestraszona Gertruda, wróciła do młyna, zamknęła drzwi czém prę-

http://rcin.org.pl




Sta PATRONKA DOBREJ GERTRUDY.

*Fac simile z ryciny Alberta Durer.*

dzéj i rzuciła na komin węgle, które podobnież jak wprzódy zgasły. Potém bez sił padła na ławkę. Wyobraźcie sobie jéj przestrach. Pierwsza biła na zegarze kościelnym. Biedna dziewczyna słyszała tylko przy obudzeniu się ostatnie cztery uderzenia godziny dwunastéj i wątpliwe światło xiężyca poczytała za światło zorzy.

—»O Matko Boska!« zawołała Gertruda, z kimże ja rozmawiałam? Do kogoż to należą węgle powierzone tak straszliwym dozorcom?

Bojaźliwie wyjrzała przez okienko, ale już wszystko znikło, a czarne chmury zasłoniły światłość xiężyca. Strach ją przejął i zaczęła modlić się do świętéj Gertrudy patronki swojéj, któréj piękny obrazek, przypięty był czterema szpilkami na ścianie jéj maleńkiéj izbedki. Położyła się potém do łóżka, z razu nie mogła zasnąć i słyszała drugą i trzecią, nareście utrudzenie i tak mocne przejęcie, wprawiło ją w sen głęboki.

Gdy się obudziła, słońce już weszło. Młynarz odszedł i nie znać było wcale, że sobie ugotował śniadanie. Nie pozostało nawet najmniejszego śladu owych tajemniczych węgli.

Młynarz wrócił do domu późno wieczorem, był w jak najweselszym humorze, przyniósł z miasta rozmaite podarunki i powiedział, iż odtąd wszystko pójdzie jak najlepiéj. Napotkał bowiem w Bodzentynie poczciwego krewnego, który mu dopomógł i za niego długi zapłacił. Gertruda opowiedziała mu swoją przygodę. Młynarz nie mógł się nasłuchać, jak wyglądali ci ludzie, jakie były ich szyszaki, ich druciane kaftany, ich włócznie.

Nazajutrz rano poszedł do Bodzentyna, przyjął młynarczyka, kazał wyporządzić młyn, nakupił krów i owiec.

Od owego dnia, Gertruda nie raz bojaźliwie spoglądała w nocy na stary dąb, pod którym widziała była to ognisko. Ale nie pokazało się więcéj. Jednakże zdawało jéj się, że przy świetle xiężyca widzi blade cienie i słyszy jakieś żałosne krzyki wołające na nią.

»Niestety! rzekła przestraszona, kto wie, może kiedy będą dopominać się o swoje węgle. Ach! gdybym mogła dopomódz tym biednym duszom. Wtedy młynarz kazał zbudować kapliczkę pod tym dębem, gdzie Gertruda widziała to cudowne ognisko, i od tego czasu już się żadne widmo nie pokazało.

Nazajutrz po poświęceniu kapliczki, Gertruda poszła do kościoła, a młynarz poszedł z nią razem. Ubrał się w piękne suknie i był niezmiernie wesoły. Gdy wracali z kościoła: — Gertrudo, chceszli bydź moją żoną? rzekł do niéj: —»Tak jest, odpowiedziała, i łzy jaśniały w jéj oczach. Ale nic nie przyniosę ci w posagu, prócz miłości i wiary aż do zgonu. —»Wszystko co posiadam należy do ciebie! zawołał młynarz uniesiony radością. Tego wieczora gdy miałem pójśdź do Bodzentyna, aby wyszukać czyli jeszcze nie znajdę kogo coby mię ochronił od ostatniéj biedy i pożyczył pieniędzy na zaspokojenie nielitościwego wierzyciela, nie mogłem zasnąć aż późno po północy. Już słońce weszło gdym się obudził. Pobiegłem do komina i zamiast śniadania ujrzałem wielki stos złota i dyamentów. Upojony radością, padłem na kolana dziękując Bogu, który zakończyć raczył moją niedolę. Wziąłem część pieniędzy do kieszeni, a resztę zakopałem w piwnicy. Pobiegłem potém czém prędzéj aby ocalić nasz domek. Musiałem się śpieszyć; wiesz o tém Gertrudo że Burgrabia miał go sprzedać, a było nie mało ochotników do kupna. Zkąd wzięło się to złoto, domyśliłem się dopiero wtedy, gdyśmi opowiedziała przygodę téj straszliwéj nocy. Abyś nie lękała się używać tych skarbów, zmówiłem wszystko na mojego krewnego, któregom ani widział. Teraz gdyśmy zrobili fundacyą za dusze które cierpiały pod tym dębem, powiadam ci prawdę. Zapewne odnosiły karę za to, że za życia za bardzo lubiły złoto. Strzeżmy się tegoż samego grzechu i módlmy się za ich spoczynek.

»A teraz cóż ci mam więcéj powiedzieć kochana Gertrudo? Wszystko co posiadam należy do ciebie i przynosisz mi najpiękniejszy posag jaki tylko kobieta przynieść może, miłość i wierność.

»Gertrudo chceszli bydź moją żoną?«

Przycisnęła go do serca i odpowiedziała:

—»Twoją aż do śmierci.«

---

## NOWOROCZNIK.

Wydany w tych dniach Noworocznik p: t: *Wianek*, staraniem i nakładem Józefa Kaczanowskiego, zaleca się pięknością druku, papieru i rycin: Obejmuje same tylko oryginalne utwory poezyi i prozy; na końcu dołączona jest muzyka: »Przyrzeczenie« przez Józefa Stefaniego i Wianki Świętojańskie, muzyka Fr. Wilczka. Na czele Noworocznika położone jest godło:

Miej ty sobie pałace, ja mój domek ciasny,
Prawda, nie jest wspaniały, szczupły, ale własny...

O treści tego Noworocznika napiszemy później. Cena exemplarza zł. 20.

# ZAKOŃCZENIE.

Wydawca Muzeum Domowego ukończywszy rok pierwszy tego pisma, i stosownie do ogłoszenia w prospekcie, wydawszy wszystkie pięćdziesiąt dwa zeszytów, razem z końcem roku, uważa za rzecz stosowną i potrzebną, zwrócić uwagę szanownych Czytelników na myśl, która mu w ciągu całorocznéj pracy przewodniczyła, na plan, którego się trzymał, i który w następnym roku uzupełniać i ulepszać zamierza. — Szczęśliwy pomysł powzięli wydawcy Angielscy i Francuzcy, ażeby korzystając z odświeżonego wynalazku tak zwanych *drzewo-rytów* (Holzschnitd) drukować ryciny razem z textem, naznaczyć niską cenę, rachować na massę czytelników, a tym sposobem upowszechnić przyjemne i pożyteczne wiadomości. Taki był początek Magazynu Malowniczego we Francyi i Niemczech, zkąd potém i do nas przeszedł. Lecz ażeby przedsięwzięcie jakie nie upadało, postępować i udoskonalać się powinno. Obok Magazynu Malowniczego we Francyi, który z angielskich zbiorów wyłącznie czerpał i ryciny i artykuły, powstały w Paryżu dwa pisma, Muzeum Familijne i Mozaika, tegoż samego formatu i ceny, lecz nie poprzestające na wiadomościach encyklopedycznych i na rozmaitych widokach zwierząt, roślin, kościołów i gmachów. Historya, Podróże, Filozofia, Nauki moralne, Biografia, Poezya, Powieści filozoficzne, rozszerzyły i wzniosły ich zakres. Te dwa pisma wziął za wzór wydawca Muzeum Domowego Warszawskiego, z nich czerpał większą część artykułów i rycin. Do nich dołączył to, co daleko więcéj czytelników krajowych obchodzić może, to jest wiadomość o nowych dziełach wychodzących w języku polskim i zajmujące z nich wyciągi, oraz opisy miast, okolic, obyczajów i podań z obszernych krajów, przez plemiona Sławiańskie zamieszkałych.

Co do rycin, może sobie powinszować, iż za jego staraniem zaczęto robić w Warszawie ryciny, drukujące się razem z textem, na wzór zagranicznych, i takich siedm rycin w Muzeum zamieścił. Wynalazek ten, przez ciągłą usilność artysty, P. Dietrich, doskonalony, nastręczy wydawcy w roku przyszłym sposobność, iż będzie mógł ozdobić dzieło swoje zajmującemi artykułami, krajobrazami i wyobrażeniami zasłużonych mężów.

Myśl tę, że jeżli z razu można publiczność przynęcić widokiem licznych obrazków, łuków i wież gotyckich, rozwalin, zwierząt rozmaitych, to wkrótce sama ich mnogość sprawuje unudzenie, a smak powszechny prędko się kształci i od potocznych wiadomości, przejść pragnie do artykułów, któreby nie tylko wzrok, ale umysł i wyobraźnię bawiły; że nie artykuły do rycin, ale ryciny do artykułów robić potrzeba; że nareście ryciny Magazynowe drukujące się z textem razem, nigdy nie wyrównają sztychom, a zatém o tyle tylko mają wartość, o ile należą do zajmującego i dobrze napisanego artykułu, — myśl tę, mówię, którą powodowany wydawca Muzeum Domowego warszawskiego, pismo swoje rozpoczął i ciągle jéj przestrzegać usiłował, podziela także wydawca Muzeum francuzkiego, znany autor P. Berthoud, i w ostatnim zeszycie pisma swego z roku 1835, tak się wyraża: »Przyznać potrzeba, »że przeszedł już czas Magazynów Malo»wniczych z ich pomnikami, widokami i »przedmiotami, wyjętemi z magazynów an»gielskich. Czytelnicy już nie chcą artyku»łów trącących wodą morską i węglem zie»mnym, nie szukają liczby rycin, ale ich »wartości, chcą aby były trafne, interesują»ce i zastowane do artykułów.»

Te wszystkie względy mając na uwadze, Muzeum Domowe obejmować będzie w roku przyszłym, literaturę krajową i obcą, podróże, pamiętniki, opisy i pomniki historyczne, obyczaje i zwyczaje ludów, biografią, moralność, filozoficzne powieści, obrazy towarzystwa i poezyą. Obok tego, nie wyłącza bynajmniéj artykułów i rycin z nauk przyrodzonych, wynalazków i umiejętności, a starając się bydź przyjemném i pożyteczném dla wykształconych klass społeczeństwa, pragnie zastąpić zupełny brak literackich dzienników, na które od dawna użalają się w kraju naszym, a które przecież mimo tylokrotnie ponawianych usiłowań, nigdy utrzymać się nie mogły.

Warszawa 26 Grudnia 1835.

**F. S. Dmochowski.**

Muzeum Domowe wychodzić będzie w r. 1836. I zeszyt wyjdzie 1 Stycznia 1836 r. Prenumerować można w Warszawie, W KANTORZE GŁOWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.

Na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych i po xięgarniach, rocznie zł. 24, półrocznie złp. 13.

oraz u następujących xięgarzy.

w Kaliszu u Jahnischa.
w Radomiu w xięgarni tamtejszéj.
w Lublinie u Streibla.
w Poznaniu u T. Scherka.
w Krakowie u Friedlejna i Czecha.

http://rcin.org.pl

# SPIS PRZEDMIOTOW

## ZAWARTYCH W MUZEUM DOMOWEM.

(do wszystkich artykułów oznaczonych gwiazdką, należy jedna lub więcéj rycin).

*Zeszyt — Str.*

### BIOGRAFIA.



### HISTORYA NATURALNA.



### LITERATURA.



http://rcin.org.pl

## PODRÓŻE, OPISY i PAMIĘTNIKI HISTORYCZNE.



## POEZYA.



## POWIEŚCI FILOZOFICZNE,

*Obrazy Towarzystwa i Rozmaitości.*



http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Т.1
ФI
154